TAD WILLIAMS

Wieża Zielonego Anioła

część 1

TRZECI TOM SERII
„Pamięć, Smutek i Cierń”

REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

TAD WILLIAMS

Wieża Zielonego Anioła

część 1

Przełożył
Paweł Kruk

REBIS
DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

Całą trylogię dedykuję mojej mamie, Barbarze Jean Evans, która nauczyła mnie szukać innych światów i dzielić się tym, co w nich znajduję.

Ostatni tom, Wieża Zielonego Anioła*, który sam w sobie jest światem pełnym smutku i radości, dedykuję Nancy Deming-Williams, którą bardzo kocham.*

Nota Autora

Wiele osób bardzo mi pomogło przy pisaniu tych książek, służąc radą, wsparciem moralnym, a także niezbędną wiedzą logistyczną. Eva Cumming, Nancy Demin-Williams, Arthur Ross Evans, Andrew Harris, Paul Hudspeth, Peter Stampfel, Doug Werner, Michael Whelan – cudowni ludzie z DAW Books i moi przyjaciele z GEnieR – stanowią tylko nieliczną (choć ważną) grupę osób, które pozwoliły mi ukończyć Opowieść, jaka pochłonęła moje życie.

Szczególne podziękowania za współpracę przy ostatnim tomie składam Mary Frey. Ona to poświęciła ogromnie dużo czasu i energii, by przeczytać i przeanalizować – używam tego słowa z braku innego – ten opasły tom. Podtrzymywała mnie na duchu w chwilach, kiedy rzeczywiście bardzo tego potrzebowałem.

Nie mogę oczywiście pominąć pracy moich wydawców, Sheili Gilbert i Betsy Wollheim. Popełniły przestępstwo ogromnej troski i oto kara, na jaką zasłużyły.

Składam serdeczne podziękowania wszystkim wyżej wymienionym i innym przyjaciołom, o których nie wspomniałem, a których z pewnością nie zapomniałem.

Burzowa Góra
Trolle Turnie
Urmsheim
YIQANUC
RIMMERSGARD
Puszcza Dimmerskog
FROSTMARCH
Wealdhelm
HERNYSTIR
Las ALDHEORTE
Zamek Hayholt
ERKYNLAND
Wzgórza Thrithingów
Łąki Thrithingów
Warinstein
Perdruin
Jeziora Thrithingów
NABBAN
Osten Ard
WRAN

Streszczenie tomu pierwszego pt. *Smoczy Tron*

Przez wieki zamek Hayholt należał do nieśmiertelnych Sithów, którzy musieli go jednak opuścić, uciekając przed napaścią Człowieka. Od tamtej chwili rozpoczęły się rządy ludzi w tej największej i najpotężniejszej z twierdz oraz w pozostałej części Osten Ard. Ostatnim z panujących jest Prester John, Wielki Król wszystkich narodów ludzkich. Po triumfalnym objęciu przez niego rządów nastąpiły długie lata pokoju, w czasie których zasiadał na Smoczym Tronie wykonanym z kości pokonanego przez siebie smoka.

Simon, niezdarny czternastolatek, jest jednym z podkuchennych w Hayholt. Jego rodzice nie żyją, a rodziną są mu pokojówki i ich surowa przełożona, Rachel, zwana Smokiem. Gdy tylko Simon może uciec od prac kuchennych, chowa się w zagraconych komnatach ekscentrycznego uczonego z zamku, doktora Morgenesa. Cieszy się bardzo, gdy starzec prosi, by chłopiec został jego uczniem, lecz radość mija, kiedy się okazuje, że Morgenes woli uczyć go czytania i pisania zamiast magii.

Wszyscy spodziewają się śmierci starego, schorowanego Króla Johna, więc Elias, jego pierworodny syn, przygotowuje się do objęcia tronu. Josua, rozsądny brat Eliasa, zwany Bezrękim, toczy z przyszłym królem spór z powodu osoby Pryratesa, duchownego cieszącego się złą sławą, który jest

najbliższym doradcą Eliasa. Walka między braćmi okazuje się zwiastunem zła, jakie nadciąga nad zamek i cały kraj.

Wkrótce po przejęciu rządów przez Eliasa nastaje susza, która dotyka narody Osten Ard. Na drogach pojawiają się rozbójnicy, a z odludnych wiosek znikają ludzie. Naturalny porządek rzeczy zostaje zachwiany i poddani zaczynają tracić wiarę w swojego Króla, lecz władca i jego przyjaciele wydają się nie zważać na niedolę ludzi. W całym królestwie rozlegają się coraz częstsze głosy niezadowolenia, a tymczasem znika Josua, brat Eliasa – niektórzy twierdzą, że przygotowuje powstanie.

Złe rządy niepokoją wielu, między innymi księcia Isgrimnura z Rimmersgardu, a także hrabiego Eolaira, wysłannika leżącego na zachodzie Hernystiru. Niepokoi się nawet córka Eliasa, Miriamele; szczególnie martwi ją osoba odzianego zawsze w purpurowe szaty powiernika ojca, Pryratesa.

Tymczasem Simon zostaje pomocnikiem Morgenesa. Zaprzyjaźniają się pomimo niezdarności chłopca i odmowy Doktora uczenia go czegokolwiek, co przypominałoby magię. Podczas jednej ze swych wędrówek w podziemiach Hayholt Simon odkrywa tajemne przejście i nieomal zostaje schwytany przez Pryratesa. Udaje mu się jednak uciec, a błąkając się w nieznanych korytarzach, znajduje uwięzionego w podziemnej celi Josuę, którego chciano zgładzić w tajemniczym rytuale planowanym przez Pryratesa. Simon sprowadza Doktora Morgenesa i obaj uwalniają Josuę. Prowadzą go do komnaty Doktora, skąd Josua ma się wydostać na wolność korytarzem wiodącym pod prastarym zamkiem. Gdy Morgenes wysyła do przyjaciół ptaki z wiadomością o tym, co się stało, pojawia się Pryrates ze strażą królewską, by zaaresztować Doktora i Simona. W walce z Pryratesem ginie Morgenes, lecz jego ofiarna śmierć umożliwia Simonowi ucieczkę tym samym tunelem, którym uciekł książę.

Oszalały ze strachu chłopiec przedziera się przez ciemne korytarze pod zamkiem, które ciągną się wśród ruin starego, sithijskiego zamku. Wreszcie wydostaje się na powierzchnię. Znajduje się na cmentarzu poza murami miasta. Jego uwagę przyciąga blask ogniska. Staje się świadkiem tajemniczych wydarzeń: Pryrates i Król Elias biorą udział w dziwnym rytuale, w którym uczestniczą także ubrane na czarno postacie o białych twarzach. Wręczają one Eliasowi szary miecz zwany Smutkiem – miecz posiadający niepokojącą moc. Przerażony Simon ucieka.

Wędruje brzegiem ogromnego lasu Aldheorte. Mijają tygodnie. Simon jest skrajnie wyczerpany z głodu i zmęczenia, lecz wciąż znajduje się bardzo daleko od celu, do którego zdąża: Naglimundu, leżącej na Północy twierdzy Josui. Zbliża się do chaty drwala, by poprosić o coś do jedzenia, lecz znajduje tam obcą istotę usidloną w pułapce; jest to jeden z Sithów, o których mówi się, że istnieli tylko w legendach albo dawno już wyginęli. Powracający drwal chce zamordować bezbronnego Sithę, lecz Simon zabija go. Uwolniony Sitha zatrzymuje się tylko na chwilę, posyła Simonowi białą strzałę i znika między drzewami. Nieznany głos podpowiada Simonowi, aby wziął strzałę, która – jak wyjaśnia – jest darem od Sithy.

Mały doradca okazuje się trollem o imieniu Binabik podróżującym na ogromnej, szarej wilczycy. Wyjaśnia Simonowi, że znalazł się tu przypadkowo, lecz może towarzyszyć Simonowi do Naglimundu. W drodze do twierdzy Binabik i Simon mają wiele przygód: uświadamiają sobie, że niebezpieczeństwo, jakie im grozi, jest dużo większe od gniewu Króla i jego doradcy, którym odebrano więźnia. Ścigani przez wydające się posiadać nienaturalną moc białe ogary ze znakiem Burzowej Góry na obrożach – góry o złej sławie, która leży daleko na Północy – zmuszeni są schronić się w leśnym domu Geloë. Zabierają po drodze dwóch podróżników, których uratowali przed psami. Geloë, tajemnicza i obcesowa

kobieta, mieszkająca w lesie, o której mówi się, że jest czarownicą, przyznaje, że starożytni Nornowie – skłóceni z Sithami ich krewni – zostali w jakiś sposób wplątani w los królestwa Prestera Johna.

W dalszej wędrówce naszych bohaterów wciąż ścigają śmiertelnicy i inne istoty. Kiedy Binabik zostaje ranny od strzały, Simon i jeden z ich nowych towarzyszy, służąca z zamku, muszą przejąć na siebie trudy przewodzenia podróżą. Zostają zaatakowani przez kudłatego olbrzyma, lecz ratuje ich Josua ze swymi myśliwymi. Książę zabiera ich do Naglimundu, gdzie Binabik dochodzi do siebie i gdzie potwierdza się, że Simon został wciągnięty w wir niebezpiecznych wydarzeń. Nadciąga Elias z wojskami, by rozpocząć oblężenie Naglimundu. Towarzyszka podróży Simona, podająca się za służącą, okazuje się księżniczką Miriamele, podróżującą w przebraniu po ucieczce od ojca, który jej zdaniem oszalał, ulegając wpływom Pryratesa. Z Północy i innych części królestwa przybywają do Naglimundu przerażeni ludzie, którzy w twierdzy Josui szukają schronienia przed szalonym Królem.

Gdy książę i jego rycerze obradują nad zbliżającą się bitwą, pojawia się dziwny Rimmersman, Jarnauga. Jest on członkiem Ligi Pergaminu, koła wtajemniczonych uczonych, do którego należeli Morgenes i mistrz Binabika. Jarnauga przynosi jeszcze gorsze wieści. Wyjaśnia, że ich wrogiem jest nie tylko Elias; Króla wspomaga Ineluki, Król Burz. Był on niegdyś księciem Sithów. Zmarł pięć wieków temu, lecz jego pozbawiony ciała duch panuje teraz wśród zamieszkujących Burzową Górę Nornów, krewnych wygnanych Sithów.

Przyczyną śmierci Inelukiego była straszliwa, magiczna moc szarego miecza, Smutku, a także atak ludzi na Sithów. Według członków Ligi Pergaminu akt darowania Smutku Eliasowi ma być pierwszym krokiem jakiegoś niezrozumiałego planu zemsty, planu, w wyniku którego wciąż

żywy Król Burz ma objąć ziemię w posiadanie. Jedyna nadzieja w profetycznym poemacie, który sugeruje, że „trzy miecze” mogłyby przezwyciężyć magiczną moc Inelukiego.

Jednym z nich jest Smutek Króla Burz, który znalazł się w rękach ich przeciwnika, Króla Eliasa. Drugim jest pochodzący z Rimmersgardu Minneyar, który był kiedyś w Hayholt, lecz nie wiadomo, gdzie się teraz znajduje. Trzecim jest Cierń, czarny miecz najsławniejszego rycerza Króla Johna, sir Camarisa. Jarnauga i pozostali przypuszczają, że może on być gdzieś na skutej lodami Północy. Kierowany tą nikłą nadzieją Josua wysyła Binabika, Simona i kilku żołnierzy na poszukiwanie Ciernia, gdy tymczasem Naglimund przygotowuje się do odparcia oblężenia.

Narastający kryzys wpływa na postępowanie innych. Księżniczka Miriamele, zniechęcona troskliwą opieką swego wuja Josui, przebrana ucieka z Naglimundu w towarzystwie tajemniczego mnicha Cadracha. Ma nadzieję dotrzeć do leżącego na południu Nabbanu i tam prosić swych krewnych o pomoc dla Josui. Na prośbę Josui stary książę Isgrimnur – bardzo charakterystyczna postać – wyrusza w przebraniu na jej poszukiwanie.

Tiamak, zamieszkujący bagniste obszary kraju Wran uczony, otrzymuje dziwną wiadomość od swego dawnego nauczyciela Morgenesa, w której Doktor informuje go o nadejściu złych czasów i sugeruje, że Tiamak ma do wypełnienia zadanie.

Maegwin, córka króla Hernystiru, patrzy bezsilna na upadek swego rodu i całego kraju pogrążającego się w wirze wojny wywołanej zdradą Wielkiego Króla Eliasa.

Simon wraz z Binabikiem i pozostałymi towarzyszami wpada w zasadzkę Ingena Jeggera, łowcy z Burzowej Góry, i jego ludzi. Ratuje ich Sitha, Jiriki, uratowany wcześniej przez Simona przed chatą drwala.

Dowiedziawszy się o celu ich wyprawy, Jiriki postanawia towarzyszyć im na górę Urmsheim, legendarną kryjówkę jednego z ogromnych smoków.

W czasie, gdy Simon i jego towarzysze udają się na górę Urmsheim, Król Elias rozpoczyna oblężenie Naglimundu. Choć pierwsze ataki zostają odparte, oblężeni ponoszą dotkliwe straty. Wreszcie wydaje się, że Elias rezygnuje i jego siły wycofują się, lecz zanim mieszkańcy zamku mają czas, by zacząć celebrować zwycięstwo, na północnym horyzoncie pojawia się dziwna burza. Jest ona płaszczem, pod którym przybywają przerażające siły samego Inelukiego, armia składająca się z Nornów i olbrzymów. Kiedy Czerwona Dłoń, pięciu głównych podwładnych Króla Burz, otwiera bramy Naglimundu, rozpoczyna się straszliwa rzeź. Josua z kilkoma innymi osobami ucieka z ruin zamku. Przed wejściem do ogromnego lasu Josua przeklina Eliasa za jego okrutny pakt z Królem Burz i przysięga odebrać mu koronę ojca.

Simon i jego towarzysze wspinają się na górę Urmsheim; pokonując wiele niebezpieczeństw, odkrywają Drzewo Uduna, ogromny, zamarznięty wodospad. W pobliskiej jaskini-grobowcu odnajdują Cierń. Kiedy mają już powrócić z mieczem, pojawia się Ingen Jegger i atakuje ich ze swymi ludźmi. Bitwa budzi Igjarjuka, białego smoka, który od wieków spał pod lodem. Obie strony ponoszą dotkliwe straty. Na polu walki pozostaje tylko Simon osaczony na skalnej półce. Kiedy lodowy smok atakuje go, Simon unosi Cierń i zadaje nim cios. Tryska na niego czarna, gorąca krew bestii, a Simon traci przytomność.

Budzi się w jaskini na górze Yiquanuc zamieszkiwanej przez trolle. Opiekują się nim Jiriki i Haestan, erkynlandzki żołnierz. Cierń został odnaleziony, lecz Binabik razem ze Sludigiem, Rimmersmanem, zostaje uwięziony przez swój lud; grozi im kara śmierci. Krew smoka naznaczyła

Simona piętnem i duży kosmyk jego włosów posiwiał. Jiriki nadaje mu imię „Śnieżnowłosy” i oznajmia, że został naznaczony – na dobre i na złe.

Streszczenie tomu drugiego pt. *Kamień Rozstania*

Simon, Sitha Jiriki i żołnierz Haestan są honorowymi gośćmi w mieście zamieszkanym przez trolle, na szczycie góry Qanuc. Lecz Sludig – Rimmersman, a tym samym pradawny wróg ludu Qanuc – i przyjaciel Simona, troll Binabik, nie dostąpili takiego zaszczytu. Ludzie Binabika uwięzili ich obu i grozi im kara śmierci. W obliczu Pasterza i Łowczyni, władców Qanuc, Binabik zostaje oskarżony o to, że złamał przysięgę małżeńską, którą złożył Sisqi, ich najmłodszej córce, i opuścił swoje plemię. Simon błaga Jirikiego, by wstawił się za więźniami, lecz Sitha ma zobowiązania wobec swojej rodziny i nie chce mieszać się w sprawy trolli. Jiriki wyrusza do swego domu na krótko przed wykonaniem wyroków.

Wprawdzie Sisqi ma żal do Binabika o to, że nie dotrzymał przysięgi, ale z drugiej strony nie może pogodzić się z myślą, że troll zginie. Przy pomocy Simona i Haestana pomaga uciec obu więźniom, lecz kiedy szukają w jaskini mistrza Binabika zwoju, który miał im wskazać, gdzie znajduje się miejsce zwane Kamieniem Rozstania, wszyscy zostają ponownie schwytani przez rozgniewanych władców. Jednak testament mistrza Binabika potwierdza wyjaśnienia trolla co do jego nieobecności, a także przekonuje Pasterza i Łowczynię o tym, że nadchodzi niebezpieczeństwo, z którego nie zdawali sobie sprawy. Po naradach więźniowie zostają ułaskawieni; Simon i jego towarzysze mogą odjechać z Yiqanuc do

pozostającego na wygnaniu księcia Josui i zabrać miecz Cierń. Sisqi i inne trolle mają im towarzyszyć do podnóża gór.

Tymczasem Josua i garstka jego zwolenników uciekają z Naglimundu, zanim twierdza zostanie kompletnie zniszczona, i przemierzają las Aldheorte ścigani przez Nornów Króla Burz. Zmuszeni są bronić się nie tylko przed strzałami i włóczniami, lecz także przed niebezpieczną magią. Wreszcie spotykają mieszkającą w lesie Geloë i Leleth, niemą dziewczynkę, którą Simon uratował przed ogarami ze sfory z Burzowej Góry. Ta dziwna para prowadzi Josuę i jego ludzi przez las do miejsca, które kiedyś należało do Sithów, a do którego Nornowie za nimi nie pójdą w obawie przed złamaniem Porozumienia pomiędzy skłóconymi krewnymi. Geloë nakłania ich, by szli dalej, do miejsca jeszcze bardziej świętego dla Sithów; jest to ten sam Kamień Rozstania, do którego skierowała Simona w przekazanej mu wizji.

Miriamele, córka Wielkiego Króla Eliasa i siostrzenica Josui, podróżuje na Południe w nadziei, że nakłoni swych nabbańskich krewnych do pomocy jej wujowi; towarzyszy jej rozpustny mnich Cadrach. Oboje zostają schwytani przez hrabiego Streawe’a z Perdruin, człowieka chciwego i wyrachowanego. Oświadcza on Miriamele, że przekaże ją nieznajomej osobie, wobec której ma dług do spłacenia. Księżniczka z radością odkrywa, że nieznajomą osobą jest jej przyjaciel, duchowny Dinivan, sekretarz Lektora Ranessina, głowy Matki Kościoła. Dinivan pozostaje w tajemnicy członkiem Ligi Pergaminu; ma nadzieję, że Miriamele przekona Lektora, by ten zdemaskował Eliasa i jego doradcę, renegata Pryratesa. Matka Kościół musi odpierać ataki zarówno Eliasa, który domaga się, by nie mieszano się do jego spraw, jak i Tancerzy Ognia, religijnych fanatyków twierdzących, że Król Burz nawiedza ich w snach. Ranessin z niepokojem słucha opowieści Miriamele.

Simon i jego towarzysze opuszczają wysokie góry, lecz po drodze zostają zaatakowani przez mieszkające wśród śniegów olbrzymy; ginie Haestan i wielu trolli. Rozmyślając później nad niesprawiedliwością życia i śmierci, Simon nieświadomie ożywia lusterko, amulet ofiarowany mu przez Jirikiego, i wędruje Ścieżką Snów, na której spotyka najpierw władczynię Sithów Amerasu, a potem Utuk'ku, straszliwą królową Nornów. Amerasu próbuje zrozumieć knowania Utuk'ku i Króla Burz, dlatego wędruje Ścieżką Snów w poszukiwaniu prawdy i sprzymierzeńców.

Josua i jego towarzysze wychodzą wreszcie z lasu na łąki Wielkich Thrithingów i prawie natychmiast zostają schwytani przez wędrowny klan, którego głową jest Tan Fikolmij, ojciec kochanki Josui, Vorzhevy. Fikolmij jest wściekły, że stracił córkę, dlatego wyzywa Josuę na pojedynek, w którym – jak przewiduje – Książę ma zginąć. Jednak plan Fikolmija zawodzi i Josua wygrywa walkę. Jego przeciwnik zmuszony jest wypłacić przegrany zakład w postaci koni dla Josui i jego towarzyszy. Widząc wstyd na twarzy Vorzhevy, wracającej do swoich ludzi, Josua poślubia ją przed Fikolmijem i resztą klanu. Kiedy ojciec Vorzhevy oświadcza z radością, że nadjeżdżają żołnierze Króla Eliasa, by pochwycić Josuę, książę i jego ludzie odjeżdżają w pośpiechu na wschód, w kierunku Kamienia Rozstania.

W odległym Hernystirze Maegwin pozostała ostatnią z panującego rodu. Jej ojciec, król, i brat zginęli w walce z człowiekiem Eliasa, Skalim; tak więc Maegwin i jej ludzie schronili się w jaskiniach w górach Grianspog. Maegwin męczą tajemnicze sny, pod których wpływem udaje się do jaskiń i kopalń w sercu gór. Hrabia Eolair, najwierniejszy wasal jej ojca, wyrusza na poszukiwanie Maegwin i oboje odnajdują ogromne, podziemne miasto Mezutu'a. Maegwin jest przekonana, że mieszkają w nim Sithowie i że pomogą oni Hernystirczykom, jak to miało miejsce w dawnych czasach. Jednak jedynymi istotami napotkanymi w starym

mieście są karlaki – dziwne, bojaźliwe istoty, zamieszkujące podziemia i spokrewnione z istotami nieśmiertelnymi. Karlaki, mistrzowie prac kowalskich i kamieniarskich, wyjawiają, że poszukiwany przez ludzi Josui Minneyar jest w rzeczywistości mieczem znanym pod nazwą Biały Gwóźdź, złożonym do grobu razem z Presterem Johnem, ojcem Josui i Eliasa. Wiadomość ta nie ma większego znaczenia dla Maegwin, zawiedzionej, że sny nie pomogły jej ludziom znaleźć sprzymierzeńców. Ponadto ogarnia ją też, głupie jak sądzi, uczucie miłości do Eolaira, dlatego wysyła go w podróż; ma on dostarczyć Josui wiadomość o mieczu Minneyarze, a także kopie kamiennych map karlaków przedstawiających korytarze pod zamkiem Eliasa, Hayholt. Eolair odjeżdża posłusznie, zdumiony i rozgoryczony.

Simon, Binabik i Sludig rozstają się z Sisqi oraz pozostałymi trollami i kontynuują podróż przez Białe Pustkowie. W pobliżu północnej krawędzi wielkiego lasu odnajdują stary klasztor, zamieszkany przez dzieci, którymi opiekuje się starsza dziewczynka Skodi. Zadowoleni z tego, że znaleźli dach nad głową, pozostają na noc, lecz Skodi okazuje się kimś innym, niż się wydaje: za pomocą magii więzi w nocy całą trójkę, a potem rozpoczyna ceremonię, w czasie której chce sprowadzić Króla Burz i pokazać mu zdobyty przez siebie miecz Cierń. Wywołany zaklęciem Skodi pojawia się któryś z duchów Czerwonej Dłoni, lecz jedno z dzieci przerywa ceremonię, sprowadzając monstrualne kopacze. Skodi oraz dzieci giną, lecz Simonowi i jego towarzyszom udaje się uciec, głównie dzięki wilczycy Binabika. Czerwona Dłoń dotknął umysłu Simona, co spowodowało, że ten oszalały zostawia swych towarzyszy i pędzi konno przez las, aż wreszcie uderzony gałęzią traci przytomność. Leży omdlały w parowie, dlatego Sludig i Binabik nie mogą go odnaleźć. Zrezygnowani zabierają Cierń i sami kontynuują podróż w kierunku Kamienia Rozstania.

Oprócz Miriamele i Cadracha przybywają też do pałacu Lektora w Nabbanie inni ludzie. Wśród nich znajduje się sprzymierzeniec Josui, książę Isgrimnur, który szuka Miriamele. Jest tam także Pryrates, który wręcza Lektorowi ultimatum od Króla. Ranessin odmawia podporządkowania się Eliasowi; rozzłoszczony emisariusz królewski opuszcza salę, grożąc zemstą.

Tej nocy Pryrates przeistacza się w mroczną istotę za pomocą zaklęcia, jakie otrzymał od sług Króla Burz. Zabija Dinivana i w okrutny sposób morduje Lektora. Potem wznieca ogień, by rzucić podejrzenie na Tancerzy Ognia. Cadrach, który bardzo obawia się Pryratesa i usilnie namawia Miriamele, by uciekli z pałacu Lektora, wreszcie ogłusza ją i szybko się oddala z nieprzytomną księżniczką. Isgrimnur odnajduje umierającego Dinivana; ten przekazuje mu znak Ligi Pergaminu dla Wrańczyka Tiamaka i poleca, by udał się do gospody o nazwie „Puchar Pelippy” w Kwanitupulu, mieście leżącym na skraju bagien, na południe od Nabbanu.

Tymczasem Tiamak otrzymuje wcześniejszą wiadomość od Dinivana i jest w drodze do Kwanitupulu; w czasie podróży zostaje zaatakowany przez krokodyla, co nieomal kończy się śmiercią Wrańczyka. Ranny i chory przybywa wreszcie do gospody „Puchar Pelippy”, gdzie przyjmuje go jej nowa właścicielka.

Miriamele odzyskuje przytomność i stwierdza, że Cadrach umieścił ją w ładowni statku, który wypłynął na morze, w czasie gdy pijany mnich spał. Odnajduje ich szybko Niska Gan Itai; ma ona za zadanie chronić statek przed morskimi stworzeniami – kilpami. Choć Gan Itai z sympatią odnosi się do pasażerów na gapę, ujawnia jednak ich obecność właścicielowi statku Aspitisowi Prevesowi, młodemu szlachcicowi z Nabbanu.

Na dalekiej Północy Simon budzi się ze snu, w którym po raz kolejny słyszał Sithijkę Amerasu i odkrył tajemnicę, że Ineluki, Król Burz, jest jej synem. Simon, sam w pokrytym śniegiem lesie Aldheorte, próbuje wezwać pomoc, posługując się lusterkiem Jirikiego, lecz nikt nie odpowiada na jego wezwania. Wreszcie wyrusza w odpowiednim, jak mu się wydaje, kierunku, choć wie, że ma niewielkie szanse na pokonanie bezmiaru ogarniętego zimą lasu. Wędrując, żywi się robakami i trawami, lecz coraz bliższy jest szaleństwa lub śmierci głodowej. Wreszcie ratuje go Aditu, siostra Jirikiego, która przybyła wezwana przez Simona za pomocą lusterka brata. Podróżują dzięki magii Aditu, zima zamienia się w lato, a oni przybywają do ukrytego miasta Sithów Jao e-Tinukai'i. W tym magicznie cudownym mieście czas się zatrzymał. Kiedy Jiriki wita Simona, ten wyraża wielką radość, która zaraz potem – gdy staje przed rodzicami Jirikiego i Aditu, Likimeyą i Shima'onarim – ustępuje miejsca przerażeniu. Władcy Sithów oświadczają, że ponieważ żaden śmiertelnik nie został nigdy wpuszczony do Jao e-Tinukai'i, Simon musi pozostać tam na zawsze.

Josua i jego towarzysze wciąż uciekają przez północne łąki, lecz kiedy wreszcie decydują się stawić czoło pościgowi, okazuje się, że za nimi jadą nie żołnierze Eliasa, lecz Thrithingowie, którzy odłączyli się od klanu Fikolmija i postanowili pomóc księciu. Pod przewodnictwem Geloë docierają wszyscy do *Sesuad'ra*, Kamienia Rozstania; jest to ogromne, skaliste wzgórze w środku rozległej doliny. *Sesuad'ra* było miejscem, w którym Sithowie i Nornowie zawarli Porozumienie i gdzie się rozstali. Utrudzeni towarzysze Josui cieszą się z faktu, że choć na jakiś czas znaleźli bezpieczną przystań. Mają też nadzieję odkryć, w jaki sposób trzy Wielkie Miecze pozwolą im pokonać Eliasa i Króla Burz, co przepowiada poemat z księgi Nissesa.

Tymczasem w Hayholt Elias zachowuje się w sposób coraz bardziej szalony. Hrabia Guthwulf, były faworyt Króla, zaczyna wątpić, czy Elias jest zdolny do sprawowania władzy. Kiedy władca zmusza go, by dotknął szarego miecza Smutku, dziwna moc tej broni wyciska na nim piętno i Guthwulf zmienia się na zawsze. Rachel – Smok, przełożona pokojówek, także jest przerażona tym, co dzieje się w Hayholt. Dowiaduje się, że Pryrates jest odpowiedzialny za wydarzenia, które, w jej mniemaniu, doprowadziły do śmierci Simona, i postanawia, że trzeba coś zrobić. Po powrocie Pryratesa z Nabbanu atakuje go nożem. Lecz duchowny posiada już taką moc, że odnosi tylko lekką ranę i kiedy odwraca się, by porazić Rachel swoją magią, wtrąca się Guthwulf i sam zostaje oślepiony. Rachel w zamieszaniu udaje się uciec.

Aspitis dowiaduje się, że Miriamele jest córką szlachcica, i przyjmuje ją i Cadracha z honorami; darzy też dziewczynę szczególną sympatią. Cadrach staje się coraz bardziej ponury i po nieudanej próbie ucieczki zostaje zakuty przez Aspitisa w kajdany. Czując się opuszczona i bezradna, Miriamele pozwala uwieść się Aspitisowi.

W tym samym czasie Isgrimnur dociera wreszcie do Kwanitupulu. Odnajduje Tiamaka w gospodzie, lecz nie może znaleźć Miriamele. Początkowo rozczarowany, odkrywa wkrótce, że stary głupek, który pracuje w gospodzie jako odźwierny, to sir Camaris, najsławniejszy spośród rycerzy Prestera Johna, do którego należał kiedyś miecz Smutek. Uważano, że Camaris umarł czterdzieści lat wcześniej, lecz pozostaje tajemnicą, co naprawdę zaszło, ponieważ stary rycerz jest bezrozumny jak niemowlę.

Binabik i Sludig uciekają z Cierniem przed olbrzymami; budują tratwę i przepływają przez jezioro, w jakie zamieniła się po burzy dolina, w której znajduje się Kamień Rozstania.

Uwięziony w Jao e-Tinukai’i Simon jest bardziej znudzony niż przestraszony, lecz wciąż martwi się o swoich towarzyszy. Wzywa go Amerasu, Pierwsza Babka Sithów. Jiriki prowadzi go do dziwnego domu Sithijki, gdzie Amerasu bada wspomnienia Simona, szukając wskazówek, które pomogłyby jej odkryć plany Króla Burz. Niedługo potem Simon zostaje wezwany na zebranie wszystkich Sithów. Amerasu oświadcza, że opowie wszystkim, czego dowiedziała się o Inelukim, lecz najpierw upomina swój lud z powodu niechęci do walki i niezdrowej obsesji przeszłości i śmierci. Przedstawia jednego ze świadków: przedmiot, który, podobnie jak lusterko Jirikiego, pozwala wędrować Ścieżką Snów. Amerasu ma wyjaśnić Simonowi i zebranym Sithom, co zamierzają zrobić Król Burz i królowa Nornów, lecz wtedy pojawia się sama Utuk’ku i oskarża Amerasu, że ta sprzyja śmiertelnikom. Ukazuje się też jedna ze zjaw Czerwonej Dłoni i kiedy Jiriki oraz pozostali Sithowie walczą z ognistym duchem, Ingen Jegger, śmiertelnik, łowczy królowej Nornów, wdziera się do Jao e-Tinukai’i i zabija Amerasu, nie pozwalając jej wyjawić tajemnicy.

Ingen ginie, a Czerwona Dłoń zostaje odpędzony, lecz Sithowie nie potrafią zapobiec zniszczeniu. Pogrążają się w żałobie, a rodzice Jirikiego unieważniają swój wyrok i pozwalają Simonowi, pod przewodnictwem Aditu, odejść z Jao e-Tinukai’i. Opuszczając miasto, Simon spostrzega, że wieczne lato Sithów staje się chłodniejsze.

Kiedy docierają do krawędzi lasu, Aditu odprawia Simona łódką, wręczając mu paczkę od Amerasu, którą chłopiec ma przekazać Josui. Simon przeprawia się przez zalaną dolinę do Kamienia Rozstania, gdzie oczekują go przyjaciele. Na jakiś czas Simon i pozostali będą mogli schronić się tutaj przed nadchodzącą burzą.

Przedmowa

GUTHWULF, HRABIA UTANYEAT, zaniepokojony nienaturalną ciszą, przesunął dłońmi po porysowanym blacie Wielkiego Stołu Prestera Johna. Choć dwunastu ludzi jadło tu kolację, w sali panowało prawie zupełne milczenie, nie licząc charczącego oddechu podczaszego Króla Eliasa i pobrzękiwania łyżek o talerze. Cisza szczególnie mocno przytłaczała ślepego Guthwulfa, chociaż nie była ona niczym niezwykłym; w tych dniach niewielu zasiadało do królewskiego stołu, a ci, którzy spożywali z Królem posiłek, myśleli tylko o tym, by jak najszybciej odejść, nie kusząc losu nieostrożną rozmową podczas kolacji.

Kilka tygodni wcześniej kapitan o imieniu Ulgart, jeden z najemnych Thrithingów z Łąk, popełnił błąd, żartując na temat lekkich obyczajów nabbańskich kobiet. Większość jego rodaków podzielała ten pogląd, gdyż nie potrafili oni zrozumieć kobiet, które malowały swoje twarze i ukazywały bezwstydnie dużo odkrytego ciała. Żart Ulgarta przeszedłby niezauważony w męskim towarzystwie; w zamku pozostało już tak niewiele kobiet, że przy stole Eliasa zasiadali tylko mężczyźni. Kapitan zapomniał jednak – jeśli w ogóle kiedykolwiek o tym wiedział – że żona Wielkiego Króla, zabita strzałą Thrithinga, była nabbańską szlachcianką. I tak, zanim podano deser po kolacji, głowa Ulgarta wisiała już u siodła jednego z gwardzistów Króla, który jechał, by, ku uciesze kruków, zatknąć ją na szczycie Bramy Nearulagh.

Guthwulf pomyślał, że dawno już zaprzestano rozmów przy królewskim stole i teraz posiłki mijały nieomal w grobowej ciszy, przerywane tylko stękaniem uwijających się służących, wykonujących pracę swoją i zbiegłych towarzyszy, albo nerwowymi komplementami rzucanymi przez nielicznych szlachciców, którym nie udało się uniknąć zaproszenia Króla.

Guthwulf słyszał teraz ciche rozmowy i rozpoznał głos sir Fluirena, szepcącego coś do Króla. Stary rycerz powrócił właśnie ze swego rodzinnego kraju Nabbanu, dokąd jeździł jako emisariusz Eliasa. Tego wieczoru zajmował honorowe miejsce po prawej ręce Wielkiego Króla. Starzec zapewnił wcześniej Guthwulfa, że jego poprzednia rozmowa z Królem przebiegła bardzo spokojnie, lecz Elias wydawał się rozdrażniony w czasie całej kolacji. Guthwulf nie mógł już naocznie tego ocenić, lecz całe lata spędzone u boku Króla pomogły mu rozumieć teraz każdą zmianę w jego głosie, każdą uwagę. Ponadto dotyk, węch i słuch Guthwulfa, znacznie wrażliwsze od czasu, kiedy stracił wzrok, były jeszcze sprawniejsze w obecności straszliwego miecza Eliasa, Smutku.

Od chwili, kiedy Król zmusił hrabiego do tego, by go dotknął, szary miecz wydawał mu się nieomal żywym stworzeniem, czymś, co go znało, co czaiło się z niezwykłą cierpliwością i czujnością niczym skradający się zwierz, który trafił na trop ofiary. Sama obecność oręża wywołała u Guthwulfa gęsią skórkę i drżenie mięśni. Czasami, kiedy hrabia Utanyeat leżał, nie śpiąc, pogrążony w ciemności ślepca, wydawało mu się, że wyczuwa miecz poprzez grube mury oddzielające go od królewskiej komnaty, jakby był ogromnym sercem, którego bicie tylko on słyszał.

Elias odsunął nagle swe krzesło, tak że jego skrzypienie natychmiast uciszyło pozostałych. Guthwulf wyobraził sobie, jak wszystkie dłonie trzymające puchary i łyżki zamierają w powietrzu.

– Do diabła, starcze – warknął Król. – Czy ty służysz mnie, czy temu szczeniakowi Benigarisowi?

– Powtarzam ci tylko, Wasza Wysokość, słowa księcia – odparł drżącym głosem sir Fluiren. – Ale sądzę, że on nie chciał cię obrazić. Klany Thrithingów niepokoją jego granice, a ponadto Wrańczycy zaczynają się stawiać...

– A czy to moje zmartwienie? – Tyle razy Guthwulf widział, jak twarz Eliasa zmienia się, gdy ten się złości, że bez trudu wyobraził sobie teraz zmrużone oczy Króla. W takich chwilach jego blade oblicze stawało się prawie białe i pojawiały się na nim kropelki potu. Guthwulf słyszał, jak służący mówili, że Król chudł coraz bardziej. – Niech mnie przeklnie Aedon, przecież to ja pomogłem Benigarisowi zdobyć tron! I ja dałem mu Lektora, który nie będzie sprawiał kłopotów!

Po tych słowach Elias zamilkł. Tylko Guthwulf był w stanie usłyszeć gwałtowny wdech Pryratesa, który siedział po drugiej stronie stołu. Król zdał sobie chyba sprawę z tego, że posunął się za daleko, gdyż rzuciwszy jakiś kiepski dowcip, przeprosił zebranych i podjął cichą rozmowę z Fluirenem.

Guthwulf siedział przez chwilę oniemiały, lecz zaraz uniósł łyżkę i zaczął szybko jeść, by ukryć nagły strach. Zastanawiał się, jak w tej chwili wygląda? Czy wszyscy patrzą na niego, czy widzą zdradziecki rumieniec? Wciąż słyszał słowa Króla dotyczące Lektora i pełen niepokoju syk Pryratesa. Pozostali domyślali się pewnie, że dotyczyły one wyboru uległego Velligisa na następcę Ranessina, ale Guthwulf wiedział najlepiej. Niepokój Pryratesa, że Elias może powiedzieć za dużo, potwierdził tylko przypuszczenia ślepca: Pryrates przyczynił się do śmierci Ranessina. Teraz Guthwulf był pewny, że Elias też o tym wiedział, może nawet sam wydał

rozkaz zabicia Lektora. Król oraz jego doradca pokumali się z demonami i zamordowali najwyższego kapłana.

Siedząc wśród innych przy stole, Guthwulf czuł się równie samotnie jak ktoś, kto znalazł się na szczycie smaganej wiatrem góry. Nie potrafił już dłużej znieść ciężaru udawania i strachu. Nadszedł czas, by uciec. Lepiej być ślepym żebrakiem w jakiejś dziurze w Nabbanie, niż pozostać choć chwilę dłużej w tej przeklętej i niebezpiecznej twierdzy.

GUTHWULF OTWORZYŁ DRZWI swego pokoju i zatrzymał się na progu, by owiało go chłodne powietrze z korytarza. Była północ. Domyśliłby się tego, nawet gdyby nie słyszał żałosnego bicia dzwonu z Wieży Zielonego Anioła; odczuwał zawsze przenikliwy chłód na policzkach i oczach, kiedy słońce chowało się w najdalszych zakamarkach.

Dziwne wydawało się to, że mógł dotykać oczami, lecz po oślepieniu go przez Pryratesa właśnie one okazały się najbardziej wrażliwą częścią jego ciała. Pozwalały mu odczuwać zmiany wiatru czy pogody o wiele lepiej niż na przykład palce. Choć rzeczywiście jego niewidzące oczy okazały się bardzo przydatne, fakt, że używał ich w taki sposób, wciąż wydawał mu się przerażający. Przez jakiś czas budził się w nocy zlany potem i przestraszony snem, w którym widział samego siebie jako bezkształtne, pełzające stworzenie o mięsistych mackach wyrastających z twarzy, ślepych bulwach, trzęsących się jak rogi ślimaka. W snach wciąż widział; świadomość tego, że to, na co patrzy, jest nim samym, wyrywała go ze snu, z którego budził się i wpadał w prawdziwą ciemność – własny, rzeczywisty świat.

Guthwulf wyszedł na korytarz, zdziwiony jak zawsze, że wciąż znajduje się w mroku, choć przeszedł z jednego pomieszczenia do drugiego. Kiedy zamknął drzwi, zostawiając za sobą rozżarzone ognie paleniska, chłód stał

się jeszcze bardziej dotkliwy. Usłyszał dochodzący przez otwarte okno stłumiony brzęk zbroi strażników chodzących po murach, a potem wsłuchał się w pieśń zawodzącego wiatru, zagłuszającego odgłosy kolczug. Gdzieś w mieście zawył pies, w jednym zaś z licznych korytarzy rozległ się odgłos otwieranych i zamykanych cicho drzwi.

Przez chwilę Guthwulf kołysał się niezdecydowanie na piętach, po czym zrobił kilka kroków do przodu. Jeśli miał odejść, musi zrobić to teraz. Nie było sensu wystawać na korytarzu. Powinien pośpieszyć się i wykorzystać odpowiednią porę: noc pogrążyła świat w całkowitej ciemności, co dawało mu równe szanse. Czy miał inny wybór? Nie potrafił dłużej znieść tego, czym stał się Elias. Musi odejść w tajemnicy. Wprawdzie Król nie miał już z niego większego pożytku – co to za Namiestnik Wielkiego Króla, który nie może wyruszyć do walki – lecz wątpił, by jego były przyjaciel pozwolił mu tak po prostu odjechać. Jeśli ślepiec opuszczał zamek, który był dla niego domem, i zostawiał dawnego towarzysza Eliasa, można było podejrzewać go o zdradę, a przynajmniej na pewno tak uważałby władca zasiadający na Smoczym Tronie.

Guthwulf już od pewnego czasu zastanawiał się nad ucieczką. Sprawdzał nawet drogę, jaką miał do przebycia. Postanowił, że pojedzie w głąb Erchesteru i przenocuje u świętego Sutrina; katedra była prawie pusta – pozostali w niej mnisi życzliwie przyjmowali każdego żebraka, który miał odwagę spędzić noc w obrębie murów miasta. Rankiem mógłby wmieszać się w tłum wychodzący na Trakt Starego Lasu i prowadzący na wschód do Hasu Vale. A stamtąd, kto wie? Może w kierunku łąk, gdzie podobno Josua zbiera siły rebelianckie. Albo do opactwa w Stanshire. Gdziekolwiek, byleby tylko schronić się, zanim okropne poczynania Eliasa wszystko zniszczą.

Teraz nie było już czasu na myślenie. Noc osłoni go przed wścibskim okiem, a za dnia będzie już u świętego Sutrina. Czas iść.

Kiedy jednak ruszył korytarzem, poczuł czyjąś obecność tuż obok; obecność podobną do opadającego piórka. Oddech, westchnienie, niedająca się określić bliskość. Odwrócił się i poruszył ramieniem. Czy ktoś próbował go powstrzymać?

– Kto...?

Nie było nikogo. A jeśli jednak był tam ktoś, to stał w milczeniu, szydząc z jego ślepoty. Guthwulf miał wrażenie, że podłoga rozstąpiła się pod jego stopami. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu i nagle wyczuł bardzo mocno obecność szarego miecza, jego dziwną moc. Przez chwilę wydawało mu się, że mury zamku runęły; gwałtowny wiatr przeleciał obok niego, ale i przez niego, i zaraz ustał.

Cóż to było za szaleństwo?

„Ślepy i przerażony. – Prawie się rozpłakał. – Przeklęty”.

Guthwulf zebrał całą odwagę i ruszył korytarzem, pozostawiając za sobą bezpieczeństwo swej komnaty. Poczucie braku równowagi nie opuszczało go, kiedy szedł przez labirynt korytarzy Hayholt. Jego czujne palce trafiały na niezwykłe kształty; delikatne przedmioty oraz gładkie i dziwnie ukształtowane słupki balustrad, których obecności w tych korytarzach sobie nie przypominał. Drzwi do pomieszczeń zajmowanych kiedyś przez pokojówki były otwarte. Wiedział, że izby są puste, gdyż przełożona, zanim zaatakowała Pryratesa, wyprowadziła potajemnie wszystkie pokojówki z zamku. Mimo to z wnętrz pomieszczeń dochodziły niewyraźne szepty. Guthwulf wzdrygnął się, lecz szedł dalej. Hrabia zdążył już poznać, jak zmiennym i złudnym miejscem stał się zamek; jeszcze zanim Guthwulf stracił wzrok, Hayholt było już wyjątkowo niesamowitym miejscem.

Guthwulf szedł przed siebie, licząc kroki. W ciągu ostatnich tygodni przemierzył tę drogę kilkanaście razy: musiał przejść trzydzieści pięć kroków do zakrętu korytarza, potem dwadzieścia cztery do głównego zejścia, a stamtąd już wprost do wąskiego i zimnego Winnego Ogrodu. Po przebyciu kolejnych pięciuset kroków znowu wszedł pod dach i zmierzał korytarzem prowadzącym do pomieszczeń kapelana.

Ściana pod jego palcami stała się ciepła, a potem nagle przeraźliwie gorąca. Hrabia gwałtownie oderwał dłoń od muru, wydając okrzyk bólu i przerażenia, który odbił się echem w korytarzu.

– *...T'si e-isi'ha as-irigu...!*

Wyciągnął drżące ramię i znowu dotknął kamiennej ściany, wilgotnej i zimnej. Wiatr szarpnął jego ubraniem; wiatr albo tłum szepcących i niematerialnych istot. Bardzo mocno czuł obecność szarego miecza.

Guthwulf szedł szybko zamkowymi korytarzami, wodząc palcami, najdelikatniej jak potrafił, po zmieniających się ścianach. Był pewien, że jest jedyną żywą istotą w korytarzu. Wmawiał sobie, że dziwne odgłosy i dotknięcia, delikatne jak skrzydło ćmy, są tylko zjawami i nie mogą go powstrzymać. Są cieniami magicznych poczynań Pryratesa. Nie da się uwięzić w tym złudnym miejscu.

Hrabia dotknął surowego drewna drzwi i z radością stwierdził, że dobrze przeprowadził swoje obliczenia. Z trudem opanował okrzyk triumfu i ogromnej ulgi. Dotarł do małego portalu przy Wielkich Drzwiach Południowych. Za nimi był już tylko dziedziniec przed Murem Wewnętrznym.

Kiedy jednak otworzył drzwi i przestąpił ich próg, zamiast zimnego, nocnego powietrza poczuł gorący wiatr i żar wielu ognisk. Słychać było szepty, pełne boleści i przerażenia.

„Matko Boża! Czy w Hayholt wybuchł pożar?”

Guthwulf cofnął się, lecz nie mógł już znaleźć drzwi. Jego palce trafiły na kamień, który rozgrzewał się coraz bardziej pod jego ręką. Szepty wzmogły się i przerodziły w chór podnieconych głosów, niezbyt głośnych, lecz brzmiących przenikliwie jak odgłos roju pszczół. To szaleństwo, złuda. Nie wolno mu się poddać. Ruszył chwiejnie, wciąż licząc kroki. Teraz szedł przez błotnisty dziedziniec, lecz jednocześnie czuł, że jego buty stukają o gładki kamień. Niewidoczny zamek ulegał jakiejś przeraźliwej przemianie; płonął i drżał w jednej chwili, by w następnej stać się twardym i zimnym kamieniem, a wszystko przebiegało w całkowitej ciszy, gdyż mieszkańcy spali, nieświadomi niczego.

Sen i rzeczywistość mieszały się ze sobą. Ciemność oczu wędrowca wypełniały szepty duchów, które przeszkadzały mu w liczeniu kroków, lecz Guthwulf posuwał się pełen ponurej determinacji, która pozwoliła mu przetrwać niejedną okropną kampanię w służbie u Eliasa. Brnął w kierunku muru środkowego, aż wreszcie zatrzymał się, by odpocząć obok miejsca, gdzie, według jego niepewnych obliczeń, były kiedyś komnaty zamkowego lekarza. Wyczuł gryzący zapach spalonego drewna; wyciągnął ramię, wziął kawałek polana do ręki i skruszył je na proch. Przypomniał sobie pożar, w którym zginął Morgenes oraz kilka innych osób. Nagle, jakby wywołane jego wspomnieniami, pojawiły się wokół niego trzeszczące płomienie. To nie były rojenia jego umysłu; czuł śmiertelny żar! Gorący pierścień zaciskał się wokół niego niczym pięść, nie pozwalając mu umknąć bez względu na to, w jakim kierunku by się udał. Guthwulf wydał z siebie zdławiony okrzyk rozpaczy. Został schwytany w pułapkę! Zginie w płomieniach!

– *Ruakha, ruakha Asu’a!* – Spoza płomieni dochodziły przeraźliwe głosy.

Czuł obecność szarego miecza, który ogarnął wnętrze i przenikał wszystko. Wydawało mu się, że słyszy jego nieziemską muzykę, a także

ciszej brzmiący śpiew jego nienaturalnych braci. Trzy miecze. Trzy piekielne miecze. Teraz go znały.

Usłyszał szelest podobny do trzepotania wielu skrzydeł, a potem nagle wyczuł przed sobą otwór, puste miejsce w ścianie ognia, drzwi, które oddychały chłodnym powietrzem. Nie widząc innej drogi, narzucił płaszcz na głowę i ruszył chwiejnym krokiem przez korytarz pełen cichych i chłodnych cieni.

Południowy las ALDHEORTE
Enki-e-Shao'saye
Sesuad'ra
Rzeka Stefflod
Gadrinsett
Rzeka Ymstrecca
WZGÓRZA THRITHINGÓW
Nad Mullach
ŁĄKI THRITHINGÓW
JEZIORO THRITHINGÓW
W

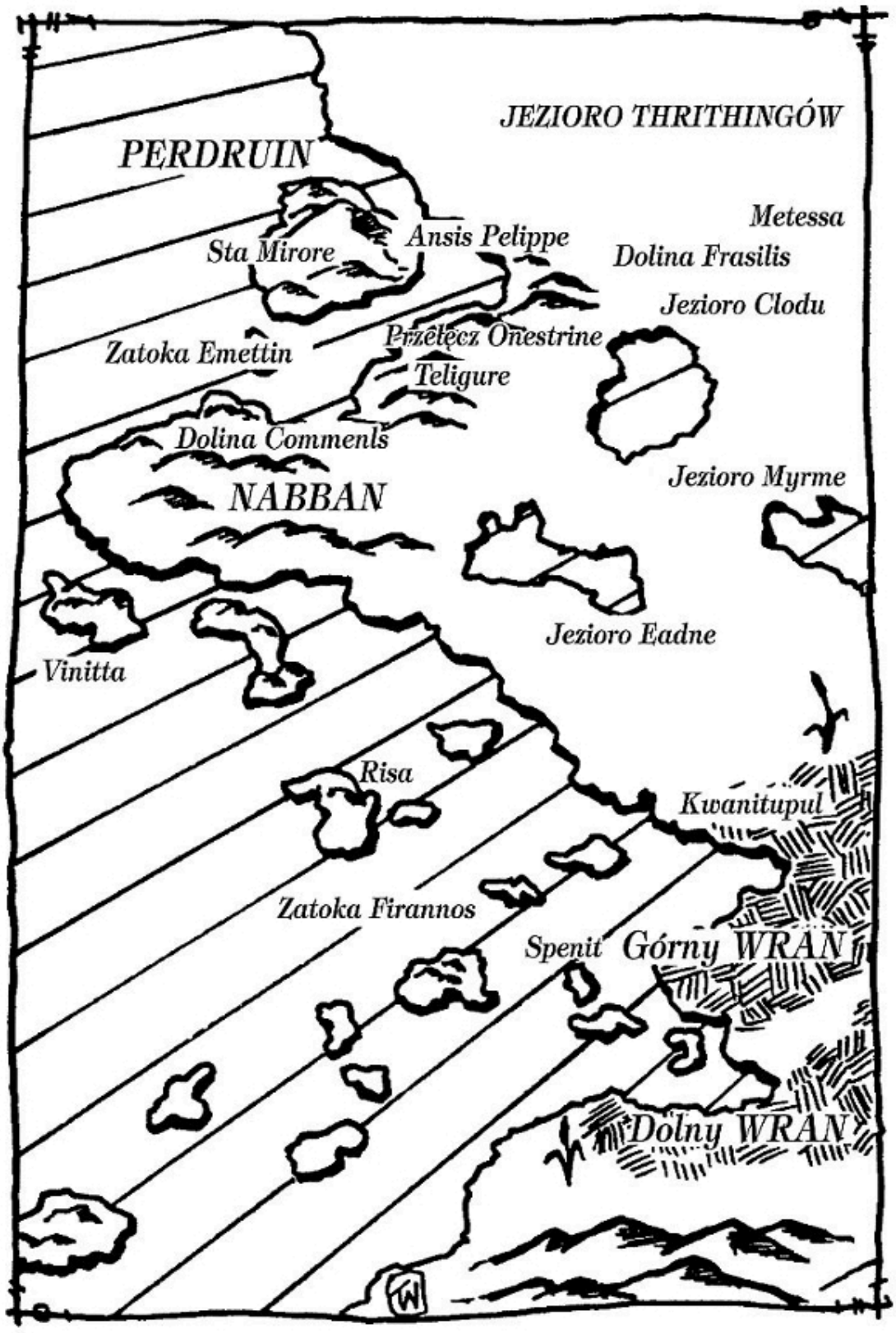
JEZIORO THRITHINGÓW
PERDRUIN
Metessa
Ansis Pelippe
Sta Mirore
Dolina Frasilis
Jezioro Clodu
Przełęcz Onestrine
Zatoka Emettin
Teligure
Dolina Commenls
Jezioro Myrme
NABBAN
Jezioro Eadne
Vinitta
Risa
Kwanitupul
Zatoka Firannos
Spenit
Górny WRAN
Dolny WRAN
W

CZĘŚĆ PIERWSZA

CIERPLIWY KAMIEŃ

1. Pod dziwnym niebem

SIMON ZMRUŻYŁ OCZY i spojrzał w górę na gwiazdy, które płynęły na czarnym niebie. Ze wszystkich sił starał się nie zasnąć. Zmęczony, spróbował skupić uwagę na najjaśniejszej konstelacji; gwiazdy tworzyły nieomal koło, unoszące się tuż nad otworem popękanej i zburzonej częściowo kopuły budynku.

Tam jest Toczące się Koło, chyba tak. Gwiezdne koło wydawało się dziwnie eliptyczne, jakby niebo, na którym widniały gwiazdy, zostało rozciągnięte. Jeśli to nie było Toczące się Koło, jaka inna konstelacja mogła ukazać się tak wysoko na niebie w połowie jesieni? Może Zając? Ale Zając miał Ogon – malutką gwiazdę tuż za główną konstelacją. A poza tym nigdy nie był aż tak duży.

Wiatr wsunął łapę do wnętrza zrujnowanego w połowie budynku. Geloë nazwała to pomieszczenie „Obserwatorium”; Simon uznał to za jeszcze jeden z jej ponurych żartów. Wiedział, że białą, kamienną kopułę otworzyły na niebo długie wieki opuszczenia, więc nie mogło tam być żadnego obserwatorium. Nawet tajemniczy Sithowie nie potrafili obserwować gwiazd poprzez kamienny sufit.

Wiatr znowu powrócił, tym razem cisnął garść śniegowych płatków. Simon zadrżał pod jego mroźnym dotykiem, lecz przyjął to z wdzięcznością: chłód odegnał częściowo senność. Zepsułby wszystko, zasypiając; nie, tej nocy nie wolno mu było zasnąć.

„Tak więc jestem mężczyzną – pomyślał. – No, prawie mężczyzną”.

Simon podwinął rękaw koszuli i spojrzał na swe ramię. Napiął mięsień, oczekując wyraźnego wybrzuszenia, i zaraz zmarszczył brwi rozczarowany. Przesunął dłonią po przedramieniu, macając zgrubienia po odniesionych ranach: tutaj zostawiły ślad pazury Hunena, tam rozciął rękę o kamień, kiedy pośliznął się na Sikkihoq. Czy były to oznaki dojrzałości? Czy blizny świadczyły o tym, że jest się dorosłym? Pomyślał, że były one też znakiem wiedzy, jaką nabył wraz z odniesionymi ranami. Ale czego właściwie nauczył się w ciągu ostatniego roku?

„Nie pozwól zginąć swoim przyjaciołom – pomyślał przygnębiony. – To pierwsza lekcja. Nie wychodź w świat i nie pozwól, żeby ścigały cię potwory i szaleńcy. Nie rób sobie wrogów”.

Tyle jeśli chodzi o mądrość, którą ludzie jakże chętnie mu przekazywali. A przecież żadna decyzja nie była tak łatwa, jak wyglądało to w kazaniach ojca Dreosana, w których człowiek miał do wyboru drogę Zła albo drogę Aedona. Doświadczenie Simona mówiło mu, że zwykle musiał wybierać między dwoma równie nieprzyjemnymi możliwościami, które w niewielkim tylko stopniu wiązały się z dobrem czy złem.

Wiatr świszczący w dziurze dachu Obserwatorium stawał się coraz bardziej przenikliwy. Simon zacisnął mocniej zęby. Miejsce to wciąż nie wydawało mu się przyjazne, choć jego ściany koloru perły pokrywały tak pięknie rzeźbione sceny. Kąty i załamania wydawały mu się dziwne, podobnie jak proporcje, które mogły zadowolić tylko obcą mu wrażliwość. Podobnie jak inne wytwory pracy nieśmiertelnych architektów, Obserwatorium całkowicie należało do Sithów; śmiertelnik nigdy nie czułby się w nim dobrze. Zaniepokojony Simon wstał; słabe echo jego kroków ginęło, zagłuszane wyciem wiatru. Jednym z interesujących szczegółów tego okrągłego pomieszczenia było to, że miało ono kamienną podłogę, niezbyt powszechne zjawisko w architekturze Sithów.

Powróciwszy pamięcią na ciepłe, porośnięte trawą łąki Jao e-Tinukai’i, Simon poruszył palcami stóp w butach. Tam chodził boso, bo każdy dzień był gorący. Na wspomnienie minionych chwil skrzyżował ramiona na piersi, szukając ciepła i pocieszenia.

Podłoga Obserwatorium składała się z równo wykrojonych i idealnie dopasowanych do siebie płyt, lecz cylindryczna ściana wydawała się wycięta z jednego bloku. Może nawet z samego Kamienia Rozstania, pomyślał. W pozostałych budynkach także nie dostrzegł żadnych spoiw ani wiązań. Jeśli Sithowie wykuli wszystkie budynki znajdujące się na powierzchni bezpośrednio w kamiennym wzgórzu, a także drążyli skałę w jego wnętrzu – wydawało się, że cały Kamień poprzecinany jest licznymi tunelami – to skąd wiedzieli, kiedy przestać kuć? Czy nie bali się, że mogą zrobić o jedną dziurę za dużo i całe wzgórze się zawali? Było to dla niego tak samo zdumiewające jak pozostała magia Sithów, o której słyszał lub którą sam widział, a także całkiem niepojęte dla śmiertelników – żeby wiedzieć, kiedy przestać!

Simon ziewnął. Usiresie Aedonie, ale ta noc się dłużyła! Spojrzał w niebo na wirujące i żarzące się gwiazdy.

„Muszę wejść wyżej i popatrzeć na księżyc”.

Simon przeszedł gładką podłogą w kierunku schodów, które prowadziły do górnych pokoi. Idąc na górę, liczył stopnie. Tej nocy robił to już kilkakrotnie. Kiedy dotarł do setnego stopnia, usiadł. Lśniąca diamentowym blaskiem gwiazda, która poprzednio znajdowała się mniej więcej w połowie wyrwy w dachu, teraz była już u jej krawędzi. Wkrótce zniknie z pola widzenia ukryta za skorupą kopuły.

„Dobrze. To znaczy, że minęło trochę czasu”.

Wstał z trudem i ruszył w górę wąskimi schodami, choć kręciło mu się trochę w głowie; wiedział jednak, że poczuje się lepiej, kiedy porządnie się

wyśpi. Wspinał się, aż doszedł do najwyższego podestu; był to podparty kolumną kamienny kołnierz, który kiedyś ciągnął się wokół całego budynku. W większości skruszał i rozpadł się, tak że obecnie pozostał tylko niewielki odcinek, wystający poza połączenie ze schodami. Simon miał teraz tuż nad głową szczyt zewnętrznej ściany. Przesunął się ostrożnie kilka kroków po podeście i dotarł do miejsca, skąd mógł sięgnąć do wyrwy w zapadniętym dachu. Uniósł ramiona i chwyciwszy się mocno, podciągnął do góry. Jedną nogę przerzucił przez mur i zwiesił swobodnie. Księżyc, schowany za poszarpaną wiatrem zasłoną chmur, świecił na tyle jasno, że ruiny białej budowli lśniły jak kość słoniowa. Simon wybrał dobry punkt do obserwacji. Obserwatorium było jedynym budynkiem stojącym na wysokości muru, dlatego patrząc stamtąd, wydawało się, że cały kompleks składa się z jednego rozległego zabudowania. W przeciwieństwie do innych opuszczonych budowli sithijskich, które dotąd widział, tutaj nie było żadnych wież ani smukłych iglic. Patrząc na te budynki, można było pomyśleć, że ich budowniczowie stracili ducha albo że wybudowali je dla jakichś praktycznych celów, a nie z czystej dumy i chęci pokazania własnych umiejętności wznoszenia tak wspaniałych budowli, choć trudno było powiedzieć, że ruiny nie robią wrażenia. Sam budulec, biały kamień, miał dziwny migotliwy połysk, a otoczone murem budynki rozmieszczono według praw niezrozumiałej, lecz logicznej geometrii. Wprawdzie budowla nie dorównywała rozmiarami tym, które Simon widział w Da’ai Chikiza i Enki-e-Shao’saye, lecz właśnie skromność rozmiarów i jednorodność formy nadawały piękno, które swą prostotą wyróżniało ją od pozostałych.

Wokół Obserwatorium, tak jak i wokół pozostałych większych budynków, takich jak Dom Rozstania i Dom Wód – ich nazwy podała im Geloë, lecz Simon nie był pewien, czy miały one cokolwiek wspólnego z ich pierwotnym przeznaczeniem – wiły się liczne ścieżki

z przylegającymi do nich mniejszymi budynkami czy raczej ich pozostałościami; pętle i spirale wydawały się splątane, a jednocześnie ułożone tak naturalnie jak płatki kwiatów. Znaczną część terenu wypełniały rozłożyste drzewa, lecz nawet i one sprawiały wrażenie, że rosną według pewnego porządku, gdyż porośnięty trawą środek magicznego kręgu ukazywał, gdzie rozpoczynał się obszar grzybów. W centrum całego niewątpliwie pięknego kiedyś kompleksu znajdował się dziwny, wyłożony płytami płaskowyż. Porastała go w większości trawa, lecz nawet w świetle księżyca widać było jego kunsztowną rzeźbę. Geloë nazwała tę część wzgórza Ogrodem Ognia. Simon, przyzwyczajony do budowli postawionych ręką człowieka, nazwałby ją Placem Targowym. Za Ogrodem Ognia, po drugiej stronie Domu Pożegnania widniały ustawione w szeregu jasne, stożkowe kształty – namioty Josui i pozostałych. Było ich coraz więcej, gdyż wciąż nadciągali nowi przybysze. Na płaskim szczycie Kamienia Rozstania pozostawiono nieco wolnego miejsca, dlatego ci, którzy przybyli ostatni, ulokowali się w tunelach biegnących pod kamienną częścią wzgórza.

Patrząc na migocące w oddali ogniska, Simon poczuł, że ogarnia go uczucie samotności. Księżyc wydawał się tak odległy, jego twarz zimna i obojętna.

NIE MIAŁ POJĘCIA, JAK DŁUGO wpatrywał się w pustą ciemność. Przez chwilę wydawało mu się, że zasnął i śni, lecz zaraz się zorientował, że to dziwne uczucie zawieszenia jest rzeczywiste – rzeczywiste i przerażające. Próbował zebrać siły, ale jego kończyny były jakby obce i bezwładne. Wydawało mu się, że z całego ciała pozostały mu tylko oczy. Jego myśli płonęły teraz blaskiem równie jasnym jak gwiazdy na niebie – wtedy, gdy

było niebo i gwiazdy, gdy istniało coś poza niekończącą się ciemnością. Ogarnęło go przerażenie.

„Ratuj mnie, Usiresie, czy nadchodzi Król Burz? Czy już zawsze będzie tak ciemno? Boże, proszę, przywróć światło!”

I jakby w odpowiedzi na jego modlitwę, w ciemności rozbłysły małe światła. Nie były to gwiazdy, jak początkowo myślał, lecz pochodnie, których płomienie jaśniały coraz bardziej, jakby zbliżały się ze sporej odległości. Z chmury drżących światełek uformowała się nitka, potem grubsza, wijąca się wstęga. Pochód składający się z wielu pochodni piął się w górę krętą drogą, tą samą, którą Simon przybył z Jao e-Tinukai’i.

Simon dostrzegł teraz zakapturzone postacie sunące w milczeniu w rytualnym marszu.

„Jestem na Ścieżce Snów – zdał sobie nagle sprawę. – Amerasu powiedziała, że łatwiej mi na nią wchodzić niż innym ludziom. Ale co to jest?”

Postacie z pochodniami dotarły do płaskiego wierzchołka wzgórza i rozeszły się, tworząc migocący wachlarz, którego brzegi znalazły się na krawędzi wzgórza. Simon nie miał wątpliwości, że widzi *Sesuad’ra*, lecz był to *Sesuad’ra* inny niż ten, którego Simon znał w rzeczywistości. Nie było tam ruin, każdy kamień budowli znajdował się na swoim miejscu. Zastanawiał się, czy widzi przeszłość, Kamień Pożegnania taki, jak był kiedyś, czy raczej dziwną przyszłość, która zostanie odbudowana, może wtedy, gdy Król Burz zajmie już całe Osten Ard.

Przybysze przeszli do przodu na płaski teren, który był Ogrodem Ognia. Znalazłszy się tam, zakapturzone postacie umieściły pochodnie w szczelinach między płytami albo na kamiennych podwyższeniach, tak że rzeczywiście zakwitł tam ogród ognia, pole migocących świateł. Płomienie

pochodni tańczyły na wietrze, a ich iskry zdawały się przewyższać swą mnogością gwiazdy na niebie.

Simon poczuł, że coś go ciągnie do Domu Rozstania wraz z sunącym tłumem. Unosił się w rozświetlonej ciemności i przeniknął przez kamienne ściany do jasno oświetlonego holu, jakby był duchem. Nie słyszał żadnych dźwięków poza szumem wirującego powietrza. Widziane z bliska obrazy zdawały się przesuwać i załamywać na swych krawędziach, wydawało się, że świat ulegał powolnemu zniekształceniu. Zaniepokojony próbował zamknąć oczy, lecz jego jaźń ze snu nie potrafiła uwolnić się od wizji; był teraz bezradną zjawą, która mogła tylko przyglądać się temu, co się działo.

Wiele postaci zebrało się wokół ogromnego stołu. W niszach na ścianach umieszczono świecące kule. Blask ich niebieskawych, pomarańczowych i żółtych świateł rzucał długie cienie na pokryte rzeźbami ściany. Jeszcze dłuższe i ciemniejsze cienie rzucał przedmiot umieszczony na stole: składał się on z ułożonych koncentrycznie kul, przez co przypominał wielkie astrolabium, które Simon często czyścił u Doktora Morgenesa. Lecz tamten przyrząd wykonano z mosiądzu i dębu, ten zaś tworzyły w całości linie z żarzącego się światła, jakby ktoś wymalował je w powietrzu ogniem. Poruszające się wokół niego postacie pozostawały zamazane, ale Simon nie miał wątpliwości, że byli to Sithowie. Nie można było nie rozpoznać ich podobnych do ptaków, z wdziękiem poruszających się postaci.

Sithijka w błękitnej szacie pochyliła się nad stołem i zręcznie nakreśliła palcem ogniste linie. Jej włosy były ciemniejsze niż nocne niebo nad *Sesuad’ra*, przypominały mroczną chmurę, która spowijała jej głowę i ramiona. Simon pomyślał, że może jest to Amerasu z czasów młodości. Postać w takim samym stopniu przypominała Pierwszą Babkę, w jakim się od niej różniła. Obok niej stał siwobrody mężczyzna w zwiewnej,

purpurowej szacie. Z jego czoła wyrastało coś, co przypominało rogi jelenia. Na ich widok Simon poczuł ogromny niepokój, gdyż pamiętał te rogi z innych, bardziej nieprzyjemnych snów. Brodaty mężczyzna nachylił się i przemówił do kobiety, a ona odwróciła się i dodała jeszcze jeden ognisty zawijas do całej konstrukcji. Simon nie widział wyraźnie twarzy ciemnowłosej kobiety, nie miał natomiast wątpliwości co do tego, kto stoi naprzeciw niej, po drugiej stronie stołu. Jakby w odpowiedzi na to, co przed chwilą zrobiła czarnowłosa kobieta, Królowa Nornów uniosła ramię i przecięła ognistą linią cały wzór, a potem jeszcze raz ruszyła dłonią i nad kulą pojawiła się cieniutka sieć z żarzącego się światła. Stojący obok mężczyzna obserwował ze spokojem każdy jej ruch. Był wysoki i wydawało się, że jest dobrze zbudowany; ubrany był w czarną, najeżoną kolcami zbroję. Jego twarzy nie skrywała żadna maska, a mimo to Simon nie widział wyraźnie jego oblicza.

„Co oni robią?” – pomyślał. Czy był świadkiem zawarcia Paktu Rozstania, o którym słyszał, gdyż bez wątpienia miał przed sobą Sithów i Nornów zebranych na *Sesuad’ra*.

Niewyraźne postacie zaczęły rozmawiać ze sobą z większym ożywieniem. Ogniste pętle i krzyżujące się linie pojawiały się w powietrzu wokół kul i wisiały w nicości, przypominając ślady po ognistych strzałach. Rozmowa wydawała się coraz bardziej gwałtowna: coraz więcej spośród obserwujących postaci podchodziło do stołu, gestykulując z ogromną zaciekłością, o jaką Simon nie podejrzewał nieśmiertelnych, i otaczało pierwszą czwórkę, lecz on wciąż słyszał tylko stłumiony ryk – wiatru albo pędzącej wody. Ogniste kule rozjarzyły się i zafalowały jak smagnięte wiatrem ognisko.

Simon żałował, że nie może podejść bliżej, by lepiej przyjrzeć się wszystkiemu. Czy oglądał przeszłość? Czy przeszłość wypełzła

z pradawnego kamienia? A może był to tylko sen, fantazja wywołana jego długim czuwaniem i pieśniami, które słyszał w Jao e-Tinukai'i? Simon wyczuwał jednak, że nie była to fantazja. Wszystko wydawało się tak prawdziwe, odnosił wrażenie, że wystarczy wyciągnąć... wyciągnąć rękę... i dotknąć...

Ryk zaczął słabnąć. Światła pochodni i kul przygasły. Simon zadrżał, powracając do rzeczywistości. Siedział na kruszącej się ścianie Obserwatorium, niebezpiecznie blisko krawędzi. Sithowie zniknęli. W Ogrodzie Ognia nie płonęły żadne pochodnie, a na całym szczycie *Sesuad'ra* nie było nikogo poza dwoma strażnikami, siedzącymi przy ognisku przed miastem namiotów. Simon trwał tak jeszcze jakiś czas, wpatrzony w odległe płomienie, i próbował zrozumieć to, co zobaczył. Czy miało to jakieś znaczenie? A może to tylko nieistotny okruch z przeszłości, jak imię wypisane na murze ręką podróżnego, pozostałe długo po tym, jak on sam odjechał?

SIMON POSZEDŁ WOLNO SCHODAMI w dół i wrócił pod swój koc. Próbował ogarnąć myślą to, co zobaczył, aż rozbolała go głowa. Z każdą godziną coraz trudniej było mu skupić myśli. Ubranie, które miał na sobie, nie było zbyt ciepłe, dlatego owinął się szczelnie kocem i pociągnął długi łyk z bukłaka. Woda z jednego ze źródeł *Sesuad'ra* była słodka i zimna. Pił dalej, delektując się posmakiem traw i kwiatów ocieni, i stukał palcami w kamienną płytkę. Sen czy nie sen, on musi skupić się na tym, co powiedział mu Deornoth. Przedtem powtarzał te słowa bez końca, aż wreszcie zatraciły jakikolwiek sens. Teraz, kiedy znowu próbował przypomnieć sobie litanię, której tak cierpliwie uczył go Deornoth, stwierdził, że jej słowa wymykają mu się jak ryby w płytkim stawie.

Myślami był daleko – powracał do wszystkich tych dziwnych wydarzeń, których doświadczył od czasu ucieczki z Hayholt.

Ależ to były chwile! Jakie rzeczy oglądał! Simon nie był nawet pewien, czy może nazwać to przygodą; takie doświadczenie było czymś więcej, jak coś, co się kończy szczęśliwie i bezpiecznie. Wątpił jednak, by wszystko skończyło się szczęśliwie, a biorąc pod uwagę, ile osób dotąd zginęło, słowo „bezpiecznie” brzmiało co najmniej jak okrutny żart. Mimo tych wątpliwości uważał, że jego dotychczasowe przeżycia znacznie wykraczały poza wyobrażenia zwykłego podkuchennego. Simon Gamoń spotkał stworzenia, o których opowiadały legendy, brał udział w bitwach, a nawet zabijał ludzi. Oczywiście było to o wiele trudniejsze, niż myślał. W rzeczywistości okazało się bardzo przygnębiające i dalekie od jego marzeń o roli kapitana wojsk królewskich. Ścigały go także demony, był wrogiem czarowników, powiernikiem ludzi szlachetnych, którzy nie okazali się o wiele lepsi czy gorsi od ludzi z kuchni, oraz przebywał jako przymusowy gość w mieście nieśmiertelnych Sithów. Nie licząc bezpieczeństwa i ciepłego łóżka, w całej jego przygodzie brakowało tylko pięknych panien. Wprawdzie spotkał księżniczkę, którą polubił już wtedy, gdy wydawała się prostą dziewczyną, ale ona dawno odeszła i tylko Aedon wiedział dokąd. Od tamtej pory w niewielkim stopniu mógł cieszyć się towarzystwem płci odmiennej. Owszem, była Aditu, siostra Jirikiego, lecz jej osobowość i uroda wykraczały poza wyobrażenia Simona o kobietach. Była jak lampart: śliczna, lecz dość przerażająca. A on tęsknił za kimś bardziej podobnym do niego, tylko znacznie ładniejszym. Potarł swą kędzierzawą brodę, pomacał wydatny nos – o wiele ładniejszym. Zmęczyła go już samotność. Pragnął z kimś porozmawiać, z kimś, kto go wysłucha i zrozumie lepiej niż jego przyjaciel – troll Binabik. Kto podzieli się z nim swoimi myślami...

„Ktoś, kto zrozumie doświadczenie ze smokiem” – pomyślał nagle.

Simon poczuł na plecach gęsią skórkę, lecz tym razem jej przyczyną nie był wiatr. Zobaczyć starożytnych Sithów – nieważne jak wyraźnie – to jedno. Wielu ludzi miało wizje: szaleńcy chwalili się nimi głośno na Placu Bitewnym w Erchesterze, a tutaj, na *Sesuad’ra*, takie zjawiska, jak przypuszczał Simon, były jeszcze bardziej powszechne. Ale on spotkał smoka, który wymykał się nieomal wszelkim wyobrażeniom. Stanął przed Igjarjukiem, lodową bestią, i nie cofnął się. Zadał cios swoim mieczem – no, mieczem: wykazał dużą arogancję, nazywając Cierń swoim – i smok padł. To było rzeczywiście czymś wspaniałym. Czegoś takiego dokonał tylko Prester John, a on był najpotężniejszym ze wszystkich ludzi, był Wielkim Królem.

„Oczywiście John zabił swojego smoka, lecz ja nie sądzę, by Igjarjuk zdechł. Im więcej o tym myślę, tym mniej mam wątpliwości. Myślę, że gdyby smok był martwy, nie przeżyłbym tak mocno chwili, kiedy chlusnęła na mnie krew. Zdaje się, że nie jestem jeszcze aż tak silny, by go zabić, nawet za pomocą Ciernia”.

Choć wyjaśnił wszystkim, co się stało na Urmsheim i co o tym myśli, większość z tych, którzy zamieszkali na szczycie Kamienia Pożegnania, nazywała go „Pogromcą Smoka”, uśmiechając się i pozdrawiając przyjaźnie, kiedy przechodził. Simon próbował pozbyć się tego przydomka, co ludzie poczytywali za skromność. Słyszał nawet, jak jedna z nowo przybyłych osadniczek z Gadrinsett opowiada jego historię swoim dzieciom; w tej niezwykle barwnej opowieści odciął głowę smoka jednym uderzeniem Ciernia. Wiedział, że jeszcze trochę i nie będzie miało większego znaczenia, co się stało naprawdę. Ludzie, którzy go lubili – a może raczej jego historię – będą pewnie opowiadać, jak pokonał smoka jedną ręką, ci zaś, którzy nie darzyli go sympatią, i tak powiedzą, że cała

historia jest zmyślona. Simon poczuł złość na myśl o tym, że będą krążyły nieprawdziwe opowieści o jego życiu. Ludzie w jakimś sensie zubożali fakty. I to właśnie nawet nie ci niedowiarkowie – nie, oni nigdy nie byliby w stanie oddać słowami tamtej chwili zupełnej ciszy, kiedy świat znieruchomiał na szczycie góry Urmsheim – lecz inni, którzy przesadzali lub upraszczali całe wydarzenie. Oni to przekazywali tę historię jako legendę o brawurowej odwadze, o jakimś wymyślonym Simonie, który zabijał smoki dlatego, że potrafił tego dokonać, albo dlatego, że te potwory są złe. Kalali tym samym jego niewinną duszę, bo przecież to zdarzenie miało o wiele większe znaczenie, znaczenie, które dostrzegł w jasnych, obojętnych oczach smoka, a także w swym własnym, nie do końca pojętym heroizmie oraz w tej krótkiej chwili, kiedy poczuł gorąco czarnej krwi, krwi, która pokazała mu świat... świat...

Simon wyprostował się. Znowu się zdrzemnął. Na Boga, sen był zdradliwym wrogiem. Trudno było z nim walczyć: czeka, aż się odwrócisz, i wtedy podkrada się cicho. Przecież dał słowo, a skoro ma być mężczyzną, musi go dotrzymać. Nie zaśnie. Nie w taką noc.

AŻ DO ŚWITU WALCZYŁ ZE SNEM – niekiedy nawet za pomocą dość drastycznych środków – lecz nie zdołał pokonać go całkowicie. Kiedy Jeremias, niezwykle przejęty swoją misją, wszedł do Obserwatorium ze świecą, zastał Simona siedzącego ze skrzyżowanymi nogami w kałuży szybko zamarzającej wody; zlepione kosmyki włosów opadły mu na czoło, a białe pasemko przypominało sopel. Mimo to Simon promieniał radością.

– Wylałem na głowę cały bukłak – oświadczył z dumą. Zęby tak mu szczękały, że Jeremias musiał go poprosić, by powtórzył. – Wylałem wodę na głowę. Żeby nie zasnąć. A co ty tutaj robisz?

– Już czas – powiedział Jeremias. – Prawie świta. Czas, byś przyszedł.

– Ach. – Simon wstał, chwiejąc się. – Nie zasnąłem, Jeremiasie. Chociaż raz nie zasnąłem.

Jeremias skinął głową. Uśmiechnął się nieśmiało.

– To dobrze, Simonie. Chodź. Rozpaliłem już ognisko u Strangyearda.

Simon, zziębnięty i osłabiony bardziej, niż się tego spodziewał, otoczył ramieniem szczupłe barki chłopca. Jeremias był teraz tak chudy, że Simon prawie nie pamiętał jego sylwetki z przeszłości: pucołowatego pomocnika kupca o potrójnym podbródku, wciąż pocącego się i sapiącego. Jeremias był teraz przystojnym giermkiem i tylko od czasu do czasu w głęboko osadzonych oczach pojawiało się przestraszone spojrzenie.

– Ognisko? – Dopiero po chwili Simon w pełni zrozumiał znaczenie słów Jeremiasa. Kręciło mu się w głowie. – Dobre? Jedzenie też?

– Bardzo dobre ognisko. – Jeremias mówił z przejęciem. – Tam w dole... w odlewni, z pewnością nauczyłem się jednej rzeczy: jak dobrze rozpalać ogień. – Pokręcił głową zamyślony, po czym podniósł wzrok na Simona. W jego spojrzeniu pojawił się na moment cień i zniknął zaraz, jak zając ścigany w trawie. Jeremias uśmiechnął się smutno. – A co do jedzenia, nie, nie ma jedzenia. Przynajmniej jeszcze nie teraz, wiesz o tym. Ale nie martw się, świnko, wieczorem dostaniesz pewnie piętkę chleba albo coś takiego.

– Ty psie – warknął Simon, uśmiechając się, i celowo mocniej oparł się na Jeremiasie, tak że ten zachwiał się pod ciężarem jego ciała.

Wyzywając się nawzajem i obrażając, z trudem utrzymali równowagę. Wyszli chwiejnym krokiem przez drzwi Obserwatorium; na zewnątrz świt rozlał się bladofioletowym światłem, oblewając szczyt Kamienia Rozstania, lecz nie słychać było śpiewu ptaków.

JEREMIAS MÓWIŁ PRAWDĘ. Ogień w zadaszonej namiotowym płótnem komnacie ojca Strangyearda płonął wspaniale, co bardzo odpowiadało Simonowi, kiedy zrzucił z siebie ubranie i wskoczył do drewnianej balii. Blask ognia padał na białe ściany komnaty, pokryte rzeźbionymi winoroślami i drobniutkimi kwiatkami, które wydawały się falować pod płytką, różowopomarańczową wodą.

Ojciec Strangyeard uniósł kolejny dzban z wodą i wylał ją na głowę i ramiona Simona. Ta kąpiel, w przeciwieństwie do tej, którą sam sobie zafundował w Obserwatorium, była ciepła. Czując, jak ciepły strumień spływa po jego wychłodzonym ciele, Simon miał wrażenie, że to krew, a nie woda.

– Niech ta woda obmyje twój grzech i niepewność. – Strangyeard urwał, by poprawić swoją opaskę. Zmrużył bystre, otoczone siatką zmarszczek oko, próbując przypomnieć sobie dalszą część modlitwy. Simon wiedział, że duchowny denerwuje się; prawie cały poprzedni dzień spędził na czytaniu i powtarzaniu krótkiej ceremonii. – Niech... niech ten mąż tak obmyty i oczyszczony z grzechu nie obawia się stanąć przede Mną, abym mógł spojrzeć w zwierciadło jego duszy i ujrzeć w nim oblicze prawego ducha i szczerość jego przysięgi... jego przysięgi. – Duchowny znowu zmrużył oko, zrozpaczony. – Och...

Simon rozkoszował się ciepłem paleniska. Czuł się ogłupiały i prawie pozbawiony ciała, ale stwierdził, że nie było to najgorsze uczucie. Poprzedniego dnia sądził, że będzie teraz zdenerwowany, przestraszony, lecz bezsenna noc wypaliła w nim strach.

Strangyeard przeczesał nerwowo dłonią kosmyki pozostałych mu jeszcze włosów i przypomniawszy sobie wreszcie końcową część ceremonii, wyrecytował ją szybko, jakby w obawie, że zaraz zapomni. Skończywszy, razem z Jeremiasem wytarli Simona miękkim suknem

i podali mu jego białą szatę, a razem z nią szeroki skórzany pas, który Simon zapiął na biodrach. Kiedy Simon wkładał pantofle, w drzwiach pojawiła się mała postać.

– Czy on jest już gotowy? – spytał Binabik. Troll mówił głosem uroczystym i poważnym; jak zawsze potrafił uszanować ceremonie innych.

Simon spojrzał na niego i poczuł, że ogarnia go nagle uczucie wielkiej miłości do małego trolla. Oto jego przyjaciel, prawdziwy przyjaciel, taki, który nie opuścił go w najtrudniejszych chwilach.

– Tak, Binabiku. Jestem gotowy.

Troll ruszył przodem, Strangyeard i Jeremias za Simonem. Po niebie, bardziej szarym niż niebieskim, pędziły postrzępione chmury. Towarzysze Simona dostosowali się do jego powolnego tempa i wszyscy razem szli w świetle poranka uroczystym krokiem.

Wzdłuż ścieżki prowadzącej do namiotu Josui stali widzowie, może stu; głównie byli to Thrithingowie Hotviga oraz osadnicy z Gadrinsett. Simon rozpoznał kilka znajomych twarzy, lecz wiedział, że najbliższe mu osoby czekają z Josuą przy namiocie. Niektóre dzieci kiwały do niego, za co natychmiast zostawały skarcone przez swych rodziców, którzy nie chcieli zakłócić podniosłej atmosfery ceremonii. Mimo to Simon odpowiadał uśmiechem. Czuł na twarzy przyjemny chłód poranka. Znowu ogarnął go nastrój beztroski, tak że ledwie powstrzymał się, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Kto by kiedykolwiek pomyślał, że coś takiego mu się przytrafi? Odwrócił się do Jeremiasa, lecz ten szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, skupiony lub zawstydzony.

Kiedy dotarli wreszcie przed namiot Josui, Jeremias i Strangyeard cofnęli się, dołączając do pozostałych widzów ustawionych w półkolu. Sludig spojrzał na Simona wzrokiem dumnego ojca; Rimmersman przystrzygł swą żółtawą brodę i zaplótł ją w warkocze. Obok niego stał

ciemnowłosy Deornoth ubrany w rycerski strój, a dalej harfiarz Sangfugol, syn księcia, Isorn i stary Towser – opatulony w gruby płaszcz mruczał coś niezadowolony do młodego Rimmersmana. Nieco bliżej wejścia do namiotu stała księżna Gutrun i mała Leleth, a obok nich Geloë. Postawą czarownica przypominała starego żołnierza, którego zmuszono do przeprowadzenia jeszcze jednej bezsensownej inspekcji, lecz kiedy Simon pochwycił spojrzenie jej żółtych oczu, skinęła dyskretnie głową, jakby przyjmowała meldunek o ukończonym zadaniu.

Na drugim końcu półkola znajdował się Hotvig i jego wojownicy; ich długie włócznie przypominały las cienkich drzew. Jasne światło poranka sączyło się w dół poprzez szczeliny między skłębionymi chmurami, odbijając się słabym blaskiem w grotach włóczni i bransoletach. Simon starał się nie myśleć o innych, jak Haestan czy Morgenes, którzy powinni tu być, lecz już nie żyli.

Pomiędzy dwiema grupami znajdował się namiot w szare, czerwone i białe pasy. Przed wejściem stał Josua z Najdelem u boku, na jego czole lśnił cienki, srebrny diadem. Towarzyszyła mu Vorzheva; wiatr rozwiewał jej gęste, czarne włosy.

– Kto staje przede mną? – spytał Josua uroczystym głosem. Na jego ustach pojawił się na chwilę uśmiech, jakby mężczyzna chciał złagodzić powagę swych słów.

– Ten, który zostanie pasowany na rycerza, książę. Twój sługa i sługa Boży. Oto Seoman, syn Eahlferenda i Susanny – Binabik wyraźnie wymawiał słowa.

– Kto przemawia w jego imieniu i zaręcza o prawdziwości słów?

– Jestem Binbiniqegabenik z Yiqanuc i potwierdzam prawdziwość słów. – Binabik skłonił się.

Widząc dworskie maniery małego trolla, niektórzy spośród widzów uśmiechnęli się.

– Czy dopełnił on nocnego czuwania i został rozgrzeszony?

– Tak! – rzucił pośpiesznie Strangyeard. – Był, to znaczy jest w stanie bezgrzesznym.

Josua po raz kolejny powstrzymał uśmiech.

– A zatem niech wystąpi Seoman.

Czując małą dłoń na swym ramieniu, Simon zrobił kilka kroków w kierunku księcia i klęknął na jedno kolano w głębokiej, falującej trawie. Poczuł na plecach dreszcz chłodu.

Josua odczekał chwilę, zanim przemówił.

– Odważnie służyłeś, Seomanie. W chwilach wielkiego niebezpieczeństwa ryzykowałeś swoje życie i powróciłeś z cenną zdobyczą. Dlatego w obliczu Boga i twoich towarzyszy nadam ci godność i tytuł, które postawią cię ponad resztą, ale jednocześnie na twe barki nałożę obowiązki cięższe niż te, które mają do spełnienia inni. Czy przysięgasz przyjąć je wszystkie?

Simon wziął głęboki oddech, by powstrzymać drżenie głosu, a także dlatego, by nie pomylić słów, których z wielką starannością uczył go Deornoth.

– Będę służył Usiresowi Aedonowi i memu panu. Będę wspomagał upadłych i bronił niewinnych. Nie zaniedbam swoich obowiązków. Będę bronił królestwa mojego księcia przed wrogiem z ciała czy ducha. Przysięgam na me imię i mój honor; Elysia, święta matka Aedona, jest mi świadkiem.

Josua wystąpił do przodu i położył swą jedyną dłoń na głowie Simona.

– Tak więc, Seomanie, jesteś od dziś moim sługą i nakładam na ciebie obowiązki stanu rycerskiego. – Josua uniósł głowę. – Giermek!

Jeremias wysunął się do przodu.

– Tak, książę Josuo! – Głos zadrżał mu lekko.

– Przynieś jego miecz!

Po krótkim zamieszaniu spowodowanym faktem, że rękojeść miecza zaplątała się w rękaw Strangyearda, Jeremias zbliżył się do Josui i Simona z mieczem w skórzanej pochwie. Był to pięknie wyczyszczony, lecz poza tym niczym niewyróżniający się erkynlandzki miecz. Simon poczuł się rozczarowany, iż nie jest to Cierń, lecz natychmiast zganił się za głupią zarozumiałość. Czy jemu nigdy nie będzie dość? A poza tym, jaki byłby wstyd, gdyby Cierń nie poddał się ceremonii i pozostał ciężki jak młyński kamień. Wyszedłby na kompletnego głupca. Simon poczuł nagle, że dłoń Josui spoczywająca na jego głowie jest ciężka jak sam czarny miecz. Pochylił głowę, by ukryć coraz większy rumieniec.

Kiedy Jeremias przypiął ostrożnie miecz do jego pasa, Simon wysunął go z pochwy, ucałował rękojeść, po czym, kreśląc w powietrzu znak Drzewa, położył miecz na ziemi u stóp Josui.

– Panie, niech tobie służy.

Książę zdjął dłoń z głowy Simona, wyciągnął z pochwy swój wąski Najdel i dotknął nim ramion młodzieńca: najpierw prawego, potem lewego i znowu prawego.

– W obliczu Boga i twoich towarzyszy, wstań, sir Seomanie.

Simon wstał, chwiejąc się. A więc stało się. Jest rycerzem. Jego umysł wydawał się równie skłębiony jak niebo nad ich głowami. Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem rozległy się wiwaty.

JAKIŚ CZAS PO CEREMONII Simon zdyszany obudził się ze snu pełnego przygniatającej go ciemności i stwierdził, że znajduje się na łóżku zaplątany

w koce. Przez pasiaste płótno namiotu Josui przeświytywały promienie słabego, zimowego słońca, dlatego ramię Simona wyglądało jak pomalowane w czerwone pasy. Simon upewnił się, że jest dzień. A więc to był tylko sen. Usiadł i pomrukując, wyplątał się z kocy. Ściany namiotu falowały pod naporem wiatru. Czy krzyczał? Miał nadzieję, że nie. Wstyd byłoby obudzić się z wrzaskiem w dzień, kiedy pasowano go na rycerza w dowód uznania jego odwagi.

– Simonie? – Na ścianie przy drzwiach namiotu ukazał się mały cień. – Nie śpisz?

– Nie, Binabiku. – Sięgnął po koszulę, gdy tymczasem Binabik wsunął się do środka.

– Dobrze spałeś? Nie jest łatwo powstrzymać sen przez całą noc. Potem czasem trudno jest zasnąć.

– Spałem. – Simon wzruszył ramionami. – Miałem dziwny sen.

Troll uniósł brwi.

– Pamiętasz go?

Simon zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba nie. Sen jakby wymknął mi się. Pamiętam tylko, że był tam Król, stare kwiaty, zapach ziemi... – Pokręcił głową. – A potem wszystko zniknęło.

– To i tak chyba nie ma znaczenia. – Binabik kręcił się po namiocie Josui w poszukiwaniu płaszcza Simona. Znalazł go wreszcie, odwrócił się i rzucił go nowo mianowanemu rycerzowi, który wciągał właśnie spodnie. – Twoje sny często cię niepokoją, lecz rzadko kiedy pozwalają się czegoś dowiedzieć. Więc chyba dobrze, że nie starasz się zapamiętać ich wszystkich.

Simon odniósł wrażenie, że został zlekceważony.

– Dowiedzieć się? Co masz na myśli? Amerasu powiedziała, że moje sny mają znaczenie. Tak samo mówiłeś ty i Geloë!

Binabik westchnął.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie wiedzie nam się zbyt dobrze, jeśli chodzi o odkrywanie ich znaczeń. Dlatego uważam, że dobrze się stanie, jeśli nie będą cię niepokoiły, przynajmniej nie w chwili, kiedy powinieneś cieszyć się i radować!

Widząc szczerze uradowaną twarz trolla, Simon zawstydził się swego chwilowego złego humoru.

– Masz rację, Binabiku. – Przypiął do pasa swój miecz; ciężar u boku, do którego nie był dotąd przyzwyczajony, stanowił jeszcze jedną niezwykłą rzecz w tych dziwnych dniach. – Dzisiaj nie będę myślał o niczym... o niczym złym.

Binabik klepnął go energicznie po ramieniu.

– Oto słowa towarzysza moich przygód! Chodźmy. Książę Josua nie dość, że użyczył ci swojego namiotu, byś mógł się wyspać, to jeszcze zadbał o godziwy posiłek i inne przyjemności.

Namioty stojące pod północno-wschodnią ścianą sithijskiej budowli na szczycie *Sesuad'ra* obwieszono różnokolorowymi wstążkami, które teraz powiewały na wietrze. Ich widok przypomniał Simonowi dni spędzone w Jao e-Tinukai'i. Wzbraniał się przed wspomnieniem tamtych chwil, gdyż budziły w nim one mieszane uczucia. Cokolwiek by dzisiaj mówili, nie mogło to odpędzić Króla Burz. Zmęczył go wieczny strach. Kamień Rozstania mógł być ich schronieniem tylko na krótki czas. Jakże tęsknił za domem, za bezpiecznym miejscem, gdzie nie musiałby się bać! Amerasu, urodzona na statku, widziała jego sny. Powiedziała, że nie musi już dłużej dźwigać żadnego ciężaru. Lecz Amerasu, która poznała przecież tyle

rzeczy, nie wiedziała wszystkiego. Może myliła się także co do przeznaczenia Simona.

W towarzystwie ostatnich gości i swoich przyjaciół Simon wszedł przez popękane wejście do oświetlonego pochodniami i ciepłego wnętrza Domu Rozstania. Obszerne pomieszczenie pełne było ludzi siedzących na rozłożonych płaszczach i kocach. Z kamiennej podłogi zebrano prastary mech i trawy, i teraz płonęły na niej liczne ogniska. W tych ciężkich czasach mało było okazji do zabawy, lecz zebrani tutaj wygnańcy wielu narodów i miejsc najwyraźniej mieli zamiar wesoło spędzić czas. Zebrani przy ogniskach zapraszali Simona do siebie i składając mu życzenia, częstowali pucharem wina. Minęła więc godzina, zanim dotarł do ogromnego stołu – kamiennej płyty, która kiedyś była częścią tego pomieszczenia – gdzie oczekiwał go książę i jego towarzysze.

– Witaj, sir Seomanie. – Josua wskazał Simonowi miejsce po swojej lewej ręce. – Osadnicy Nowego Gadrinsett nie szczędzili wysiłku, by urządzić wielką ucztę. Mamy królika i kuropatwę; a może kurczaka. A także wspaniałego pstrąga z rzeki Stefflod. – Josua pochylił się, by dokończyć szeptem. Choć ostatnie tygodnie przeżyli w spokoju, Simonowi wydawało się, że twarz księcia wciąż pozostaje napięta. – Najedz się, młodzieńcze. Nadciąga burza. Może trzeba będzie żywić się własnym tłuszczem jak niedźwiedzie.

– Nowego Gadrinsett? – spytał Simon.

– Jesteśmy tylko gośćmi na *Sesuad’ra* – wtrąciła Geloë. – Książę słusznie uważa, że okazalibyśmy dużą arogancję, nazywając nasz obóz imieniem ich świętego miejsca.

– A ponieważ wielu naszych zwolenników pochodzi z Gadrinsett, którego nazwa w języku erkynlandzkim znaczy „Miejsce Spotkań”,

nazwałem naszą osadę na jego cześć. – Josua uniósł puchar z kutego metalu. – Za Nowe Gadrinsett! – Siedzący przy stole zawtórowali mu.

Zabrano się do spożywania skromnych zasobów doliny i lasu. Simon jadł z gorliwością, która graniczyła z szaleństwem. Nie miał nic w ustach od południa poprzedniego dnia, a znaczną część nocnego czuwania spędził na myśleniu o jedzeniu. Potem ogromne zmęczenie odebrało mu apetyt, który teraz w pełni powrócił.

Jeremias stał z tyłu i napełniał jego puchar rozcieńczonym winem za każdym razem, kiedy Simon go opróżnił. Simon czuł się nieswojo na myśl o tym, że usługuje mu jego dawny towarzysz z Hayholt, lecz Jeremias nie chciał ustąpić.

Kiedy były pomocnik kupca dotarł do *Sesuad'ra*, zwabiony tam pogłoskami o rosnącej armii niezadowolonych, którzy opowiedzieli się za Josuą, Simon zdziwił się bardzo nie tylko zmianą, jaką dostrzegł w wyglądzie Jeremiasa, lecz także samym faktem spotkania, i to w tak niezwykłym miejscu. Jeśli jednak Simon był zdziwiony, to Jeremias nie chciał wierzyć, że przyjaciel żyje i że doświadczył tylu przygód. Dla Jeremiasa ów fakt graniczył z cudem i dlatego oferował Simonowi swoje usługi z gorliwością kogoś, kto wstępuje do zakonu. Simon ustąpił, lecz czuł się bardzo zażenowany bezinteresownym oddaniem swego giermka. Był o wiele szczęśliwszy w chwilach, kiedy obaj zapominali się i oddawali dawnej beztrosce.

Jeremias wciąż namawiał Simona, by ten opowiadał mu o swoich przeżyciach, lecz sam niechętnie mówił cokolwiek. Powiedział tylko, że zmuszono go do pracy w kuźniach pod Hayholt i że Inch, dawny pomocnik Morgenesa, sprawuje tam okrutne rządy. Simon wyczuwał, że Jeremias wiele przemilczał, i w duchu zwymyślał bełkoczącego olbrzyma. Przecież

był teraz rycerzem, a rycerze tym właśnie się zajmowali; wymierzali sprawiedliwość, czyż nie tak?

– Błądzisz gdzieś wzrokiem, Simonie – odezwała się lady Vorzheva, przerywając jego myśli. Obecność dziecka w jej łonie zaczynała być już widoczna, lecz ona wciąż wyglądała trochę dziko, jak koń albo ptak, który pozwala się dotykać, lecz który nigdy nie będzie do końca ujarzmiony.

Simon przypomniał sobie chwilę, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy na dziedzińcu Naglimundu; dziwił się wtedy, jak to możliwe, że tak piękna kobieta wygląda na tak bardzo nieszczęśliwą. Teraz wydawała się bardziej zadowolona, lecz wciąż nie pozbyła się pewnej zawziętości.

– Wybacz, pani. Myślałem o... o przeszłości. – Zarumienił się. O czym powinno się rozmawiać przy stole z żoną księcia? – Co za dziwny świat.

Vorzheva uśmiechnęła się.

– Tak. Rzeczywiście jest dziwny i straszny.

Josua wstał i zastukał pucharem w kamienny blat, aż w przepełnionym pomieszczeniu zapadła cisza. Patrząc na brudne twarze zwrócone w kierunku książęcego stołu, Simon doznał nagle olśnienia. Wszyscy ci ludzie, którzy wpatrywali się w Josuę z otwartymi ustami, byli tacy jak on! Jak on kiedyś! Zawsze był na zewnątrz, poza nawiasem, zawsze patrzył na inne ważne osoby. I oto teraz w jakiś cudowny, trudny do uwierzenia sposób on stał się jedną z tych ważnych osób, był rycerzem, który zasiadał przy książęcym stole, a inni patrzyli na niego zazdrośnie, lecz on wciąż był tym samym Simonem. Jak to możliwe?

– Zebraliśmy się tutaj z kilku powodów – oznajmił książę. – Przede wszystkim po to, by podziękować naszemu Bogu za to, że znaleźliśmy się tutaj żywi i bezpieczni, otoczeni wodą, która chroni nas przed wrogami. Jesteśmy tutaj także po to, by obchodzić wigilię Dnia Świętego Granisa, kiedy to pościmy i modlimy się, lecz wcześniej ucztujemy i radujemy się! –

Uniósł swój puchar w odpowiedzi na wesołe okrzyki z tłumu. Kiedy znowu zapadła cisza, uśmiechnął się i mówił dalej: – Świętujemy także nadanie honoru rycerza młodemu Simonowi, którego teraz będziemy nazywać sir Seomanem. – Rozległy się kolejne wiwaty. Simon zarumienił się i skłonił głowę. – Wszyscy widzieliście, jak pasowałem go na rycerza, byliście świadkami, gdy przyjmował miecz i składał przysięgę. Ale nie widzieliście jego sztandaru!

Rozległy się liczne szepty, kiedy Gutrun i Vorzheva pochyliły się i wyciągnęły spod stołu płócienny zwój, który leżał tuż przy nogach Simona. Do obu kobiet zbliżył się Isorn i wspólnie rozwinęli płótno, unosząc je w górę.

– Herb sir Seomana z Nowego Gadrinsett! – oświadczył książę.

Na tle biegnących ukośnie szarych i czerwonych pasów – barw książęcych – widniał czarny miecz. Wokół niego owinięty był biały smok, którego oczy, zęby i łuski wyszyto misternie szkarłatną nicią. Tłum zawiwatował.

– Niech żyje pogromca smoka! – zawołał ktoś, a inni mu zawtórowali. Simon powtórnie skłonił głowę, czerwieniąc się, i szybko wypił wino ze swego pucharu. Uśmiechnięty Jeremias napełnił go natychmiast z dumą, a Simon opróżnił naczynie równie szybko. Wszystko było wspaniałe, a jednak gdzieś w głębi serca nie mógł pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak. Nie chodziło mu o smoka – przecież go nie zabił. Ani o Cierń, gdyż z pewnością nie należał do niego i może nie przyda się na nic Josui. A jednak czuł, że coś jest nie tak...

„Na święte Drzewo – pomyślał z odrazą. – Gamoniu, czy nigdy nie znudzi ci się narzekanie?”

Josua znowu uderzył kielichem w stół.

– To nie wszystko! Nie wszystko! – Książę wyglądał na zadowolonego.

„Pewnie cieszy się, że choć raz przewodniczy jakiemuś wesołemu wydarzeniu” – pomyślał Simon.

– Mamy jeszcze coś! – zawołał Josua. – Jeszcze jeden prezent, Simonie.

Na jego znak Deornoth wstał i udał się na drugi koniec holu. Rozmowy rozgorzały. Simon napił się jeszcze rozcieńczonego wina i podziękował Vorzhevie i Gutrun za pracę, jaką włożyły w wykonanie jego proporca, wychwalając ich haft z takim przejęciem, że w końcu roześmiały się obie. Kiedy ludzie stojący przy drzwiach zaczęli krzyczeć i klaskać, Simon podniósł głowę i zobaczył Deornotha. Rycerz prowadził gniadego konia.

Simon otworzył szerzej oczy.

– Czy to jest...? – Zerwał się z miejsca, uderzając kolanem o stół, i ruszył, kulejąc, przez tłum. – Nadzieja! – zawołał. Objął ramionami kark klaczy, która powąchała delikatnie jego ramię. – Wydawało mi się, że Binabik powiedział, iż zginęła.

– Tak było – powiedział uśmiechnięty Deornoth. – Kiedy olbrzymy osaczyły Sludiga i Binabika, musieli wypuścić konie. Ale jedna z naszych grup zwiadowczych odnalazła ją niedaleko ruin sithijskiego miasta, po drugiej stronie doliny. Może działała na nią miniona obecność Sithów i czuła się bezpieczna; mówiłeś, że przebywała wśród nich.

Simon zawstydził się swego płaczu. Był pewien, że Nadzieja znalazła się na liście przyjaciół i znajomych, których stracił w tym straszliwym roku. Deornoth zaczekał, aż Simon otrze łzy, i powiedział:

– Zaprowadzę ją z powrotem do pozostałych koni. Przerwałem jej posiłek. Zobaczysz się z nią rano.

– Dziękuję, Deornoth. Dziękuję. – Simon ruszył, potykając się, na swoje miejsce przy wielkim stole.

Kiedy przyjmował gratulacje od Binabika, książę dał znak Sangfugolowi.

– Świętujemy pasowanie Simona na rycerza – powiedział harfiarz, wstając, i skłonił się w stronę książęcego stołu. – Lecz on nie podróżował sam, odwagę i poświęcenie okazali także inni. Wiemy, że książę nadał tytuły Obrońców Erkynlandu Binabikowi z Yiqanuc i Sludigowi z Elvritshalli. Jednak na nich także nie kończy się opowieść. Z sześciu śmiałków, którzy wyruszyli w daleką podróż, tylko trzech powróciło. Napisałem tę pieśń w nadziei, że w przyszłości imię żadnego z nich nie odejdzie w zapomnienie.

Na znak Josui uderzył delikatnie w struny harfy wykonanej przez jednego z osadników i zaczął śpiewać.

Na dalekiej Północy wiatrem i burzą targanej,
Gdzie zima zęby groźnie szczerzy,
Spod wiecznych śniegów
Góra Urmsheim wyrasta.

Gdy cień strachu padł na Erkynland,
Książę sześciu mężów posłał.
Wyruszył Sludig, Grimmric i Binabik, troll,
Ethelbearn, Simon i dzielny Haestan.

Wyruszyli, by miecz Camarisa odnaleźć.
Czarny miecz, zwany Cierniem, z dawnego Nabbanu,
Wykuty z okruchów spadającej gwiazdy.
Pojechali, by udręczoną ziemię księcia uratować...

Kiedy rozległa się pieśń Sangfugola, szepty ucichły i w holu zapadła cisza. Nawet Josua siedział skupiony, jakby pieśń mogła urzeczywistnić

prawdziwe zwycięstwo. Płomienie pochodni zadrżały. Simon napił się jeszcze wina.

ZROBIŁO SIĘ DOŚĆ PÓŹNO. Grało już tylko kilku muzyków; Sangfugol zamienił harfę na lutnię, a Binabik przyniósł swój flet. Tańce przybrały formę chwiejnych i wesołych pląsów. Simon wypił dość dużo wina i tańczył z dwiema młodymi osadniczkami z Gadrinsett: miłą i pulchną dziewczyną oraz jej chudą przyjaciółką. Dziewczyny nieustannie szeptały między sobą, zafascynowane młodzieńczą brodą Simona i jego dworskimi manierami. Chichotały przeraźliwie za każdym razem, kiedy próbował z nimi porozmawiać. Wreszcie zdumiony i mocno poirytowany życzył im dobrej nocy i ucałował ich dłonie – jak przystało rycerzowi – co wywołało kolejną falę nerwowych śmiechów. Simon doszedł w końcu do przekonania, że dziewczęta są jeszcze bardzo młode, i się oddalił.

Josua odprowadził Vorzhevę do łóżka i powrócił, by przewodniczyć ostatnim godzinom uczty. Siedział teraz, rozmawiając cicho z Deornothem. Obaj wyglądali na zmęczonych.

Jeremias drzemał w kącie. Uparł się, że nie pójdzie spać przed Simonem, niepomny na fakt, że jego przyjaciel spał długo w ciągu dnia. Simon zaczął już rozmyślać poważnie nad tym, by wymknąć się do łóżka, kiedy w drzwiach Domu Rozstania pojawił się Binabik. Obok niego stała Qantaqa; wilczyca węszyła zainteresowana, ale i nieufna. Binabik zostawił ją przy drzwiach i wszedł do środka. Skinął na Simona i udał się w stronę Josui.

– ...A zatem dali mu łóżko, tak? Dobrze. – Książę zwrócił się w kierunku nadchodzącego Simona. – Binabik przynosi wieści. Dobre wieści.

Troll skinął głową.

– Ja nie znam tego człowieka, ale Isorn uważał, że jego przybycie może być ważne. Hrabia Eolair, Hernystirczyk – wyjaśnił Simonowi. – Jeden z rybaków przywiózł go właśnie łodzią do Nowego Gadrinsett. – Uśmiechnął się na dźwięk nowej nazwy, do której wciąż nie mógł się przyzwyczaić. – Jest bardzo zmęczony, lecz twierdzi, że ma dla nas ważne wiadomości. Przekaże je rano, jeśli książę pozwoli.

– Oczywiście. – Josua pogładził brodę zamyślony. – Wszystkie nowiny z Hernystiru będą cenne, choć nie sądzę, żeby były radosne.

– Pewnie tak – powiedział Binabik, zniżając głos. – Isorn mówił też, że według słów Eolaira, hrabia dowiedział się czegoś ważnego o – troll mówił teraz prawie szeptem – o Wielkich Mieczach.

– Och! – szepnął zdumiony Deornoth.

Josua milczał przez chwilę.

– Tak więc – odezwał się wreszcie – jutro, w Dzień Świętego Granisa, dowiemy się być może, czy nasze wygnanie przyda się na coś, czy też pogrąży nas w beznadziei. – Wstał i odstawił swój puchar. – A zatem idźmy teraz spać. Poślę po was jutro, kiedy Eolair będzie gotów do spotkania z nami. – Po tych słowach książę ruszył do wyjścia. Drgające płomienie pochodni sprawiały, że jego cień pląsał po ścianach.

– Spać, jak nakazał książę – powiedział Binabik wesoło. Qantaqa podeszła bliżej i wcisnęła swój łeb pod jego dłoń. – Długo będziemy pamiętali ten dzień, prawda, Simonie?

Simona stać było już tylko na skinięcie głową.

2. Różnorakie kajdany

KSIĘŻNICZKA MIRIAMELE rozmyślała o oceanie.

Kiedy była mała, jedna z nianiek powiedziała jej, że morze jest matką gór i że cały ląd pochodzi od morza i kiedyś do niego powróci, choć legenda mówiła, że ląd zwany Khandią zaginął w morskich głębinach. I rzeczywiście ocean, którego fale uderzały o strome wybrzeże u stóp jej rodzinnego Meremundu, wydawał się wdzierać w głąb skalistego lądu.

Inni nazywali ocean matką potworów: kilp, krakenów, oruków i innych wodnych stworzeń. Miriamele wiedziała, że w mrocznych głębinach rzeczywiście kłębiło się od dziwnych zwierząt. Co jakiś czas fale wyrzucały na kamienistą plażę Meremundu jakieś bezkształtne cielsko, które dopóty gniło na słońcu, oglądane przez zafascynowanych okolicznych mieszkańców, dopóki odpływ nie zabrał go w tajemnicze głębiny. Nikt nie miał wątpliwości co do tego, że ocean jest kolebką potworów.

Tak więc, kiedy matka Miriamele odeszła na zawsze, a jej ojciec Elias pogrążył się w ponurej, pełnej złości rozpaczy po śmierci żony, ocean stał się jakby opiekunem dziewczyny. Zmienny jak światło dnia i nocy, kapryśny jak burze, które niszczyły jego fale, ocean zapewniał pewną ciągłość jej dzieciństwu. Przybrzeżne fale usypiały ją nocą, rankiem budził ją krzyk mew. Wstając, spoglądała na wysokie żagle widoczne na przystani poniżej zamku, trzepoczące niczym ogromne płatki kwiatów.

Ocean krył, w jej mniemaniu, różne tajemnice i wiele dla niej znaczył. Lecz aż do tej chwili, kiedy stała na rufie *Chmury Eadne*, patrząc na białe

grzywy fal, nie zdawała sobie sprawy z tego, że mógł być także więzieniem, groźniejszym od jakiejkolwiek budowli z żelaza i kamienia.

Kiedy statek hrabiego Aspitisa płynął na południowy wschód od Vinitty, w kierunku zatoki Firannos i leżących w pobliżu wysp, Miriamele po raz pierwszy poczuła, że ocean zwrócił się przeciwko niej, krępując ją o wiele skuteczniej niż etykieta dworu jej ojca albo oręż strzegących jej żołnierzy. Przecież uciekła z tamtej niewoli, czyż nie tak? Ale jak można uciec setkom mil pustego oceanu? Nie, lepiej zapomnieć o tym. Zmęczyła ją walka, poczuła bezsilność. Kamienne wybrzeże trwało dumnie przez całe wieki, lecz w końcu ulegało morzu. Zamiast walczyć, lepiej będzie pozwolić unieść się prądom jak kawał drewna; zezwolić, by kształtowały ją i prowadziły bez końca. Hrabia Aspitis nie był złym człowiekiem. Prawda, nie odnosił się do niej z taką samą troskliwością jak kilka tygodni temu, lecz wciąż był uprzejmy – to znaczy wtedy, kiedy robiła to, co chciał. A więc będzie mu posłuszna. Będzie jak bezwolna reja z rozbitego statku, dopóki czas i wydarzenia nie wyrzucą jej znowu na brzeg...

Nagle czyjaś ręka dotknęła rękawa jej sukni. Drgnęła zaskoczona i odwróciwszy się, ujrzała stojącą obok Gan Itai. Pokryta siecią zmarszczek twarz Niski pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, lecz jej złociste oczy wydawały się lśnić, choć nie docierał do nich blask słońca.

– Nie chciałam cię przestraszyć, dziewczyno. – Niska przysunęła się do poręczy i teraz obie wpatrywały się w nieustannie falujące morze.

– Kiedy nigdzie nie widać lądu – odezwała się wreszcie Miriamele – wydaje się, że statek oddalił się od krawędzi świata. To znaczy, wydaje się, jakby ląd w ogóle nie istniał.

Niska skinęła głową. Jej siwe włosy powiewały wokół twarzy.

– Czasami, kiedy nocą siedzę sama na pokładzie i śpiewam, wydaje mi się, że przemierzam Ocean Wieczny i Nieskończony, ten sam, który

przepłynęli moi ludzie, by tutaj dotrzeć. Mówią, że ocean był czarny jak smoła, ale grzywy fal lśniły niczym perły. – Mówiąc to, Gan Itai wyciągnęła ramię i położyła swoją dłoń na dłoni Miriamele. Księżniczka, zaskoczona i niepewna, co ma robić, nie poruszyła się i dalej patrzyła na morze. Chwilę później długie, spękane palce Niski wsunęły jej coś do ręki. – Ocean bywa samotnym miejscem. – Gan Itai mówiła dalej, jakby nieświadoma tego, co robi jej dłoń. – Bardzo samotnym. Trudno jest znaleźć przyjaciół. Trudno powiedzieć, komu można ufać. – Niska cofnęła rękę i schowała ją w szerokim rękawie swojej szaty. – Mam nadzieję, że odnajdziesz tych, którym możesz zaufać... Lady Maryo. – Miriamele zauważyła, że Niska zawahała się, zanim wymówiła jej fałszywe imię.

– Ja także – odparła zaczerwieniona.

– Ach! – Gan Itai skinęła głową. Jej wąskie usta wykrzywił uśmiech. – Wyglądasz nieco blado. Może wieje zbyt silny wiatr. Lepiej wróć do swojej kabiny. – Niska skłoniła lekko głowę i odeszła; jej śniade, nagie stopy sunęły szybko po kołyszącym się pokładzie.

Miriamele patrzyła na nią przez chwilę, po czym spojrzała na rumpel, gdzie hrabia Aspitis rozmawiał ze sternikiem. Hrabia uniósł ramię, by uwolnić się od złocistego płaszcza, którym wiatr szczelnie go otulił. Uchwyciwszy spojrzenie Miriamele, uśmiechnął się przelotnie i zaraz powrócił do rozmowy. W jego uśmiechu nie było nic niezwykłego, może tylko ta zdawkowość, lecz Miriamele poczuła przenikający ją chłód. Mocniej ścisnęła w dłoni pergaminowy zwitek w obawie, że wiatr wyrwie go z jej uścisku i pośle wprost do Aspitisa. Nie miała pojęcia, co trzyma w dłoni, lecz była pewna, że nie chce, by zobaczył to hrabia.

Miriamele ruszyła naprzód, pilnując się, by iść wolno. Nie potrafiła chodzić po pokładzie z taką wprawą jak Gan Itai.

ZNALAZŁSZY SIĘ W CIEMNEJ KABINIE, Miriamele rozwinęła ostrożnie pergamin. Żeby przeczytać malutkie, niewyraźne litery, musiała przysunąć kartkę do samej świecy.

Wyrządziłem wiele zła – czytała. – *I wiem, że już mi nie ufasz, ale, proszę, uwierz mi, słowa, które piszę do ciebie, są szczere. Przybierałem różne postacie, lecz żadna mnie nie zadowoliła. Padreic był głupcem, Cadrach łajdakiem. Może będę mógł stać się kimś lepszym, zanim umrę*.

Miriamele zastanawiała się, skąd mnich wziął pergamin i atrament. Po chwili doszła do wniosku, że pewnie dała mu je Niska. Patrząc na z trudem stawiane litery, wyobraziła sobie mdlejące ramiona Cadracha skute kajdanami. Ile sił musiało kosztować go napisanie tej wiadomości! Ale dlaczego nie daje jej spokoju? Dlaczego nie zostawi jej samej sobie?

Jeśli teraz czytasz mój list, to znaczy, że Gan Itai dotrzymała słowa. Tylko jej możesz zaufać na tym statku... może z wyjątkiem mnie. Wiem, że cię oszukałem i opuściłem. Jestem słabym człowiekiem, moja pani, ale zawsze ostrzegałem w porę i wciąż to czynię. Nie jesteś bezpieczna na pokładzie tego statku. Hrabia Aspitis jest bardziej niebezpieczny, niż podejrzewałem. On nie jest tylko złocistym szlachcicem z dworu księcia Benigarisa. On jest sługą Pryratesa. Wiele razy skłamałem ci, moja pani, ale nie wyjawiłem też wielu prawd. Nie czas, by teraz o tym pisać. Palce mam już zmęczone, a ramiona obolałe. Powiem ci tylko to: nikt nie może wiedzieć więcej o mocy zła, jaka czai się w osobie Pryratesa, niż ja. Na mnie spoczywa największa odpowiedzialność za to zło, gdyż ja pomogłem mu je osiągnąć.

To długa i zawiła historia. Wystarczy tylko powiedzieć, że ku memu wiecznemu wstydowi dałem mu klucz do drzwi, których nigdy nie powinien był otwierać. Co gorsza, zrobiłem to, wiedząc, jaką jest on krwiożerczą bestią. Dałem mu ten klucz, gdyż byłem słaby i przestraszony. Jest to

najgorsza rzecz, jaką uczyniłem w całym moim życiu, pełnym bolesnych pomyłek.

Daj wiarę mym słowom, pani. Niestety znam dobrze naszego wroga. Mam nadzieję, że uwierzysz także temu, że Aspitis służy nie tylko swojemu panu Benigarisowi, lecz także dziełu czerwonego duchownego. Wiedziano o tym na Viniie. Musisz uciekać. Może Gan Itai będzie mogła ci w tym pomóc. Nie sądzę, abyś mogła teraz liczyć na taką swobodę poruszania się, jaką miałaś na Viniie. Przyczyniła się do tego moja tchórzliwa próba ucieczki. Nie wiem, jak to zrobisz, ale błagam cię, uciekaj najszybciej jak to możliwe. Uciekaj do gospody zwanej „Pucharem Pelippy" w Kwanitupulu. Wiem, że Dinivan posłał tam innych, którzy, być może, będą mogli pomóc ci dostać się do twego wuja Josui.

Muszę już kończyć, gdyż bardzo bolą mnie ręce. Nie będę prosił cię o przebaczenie. Nie zasłużyłem na nie.

Na krawędzi pergaminu widniała plama krwi. Miriamele wpatrywała się w nią załzawionymi oczami, aż wreszcie ktoś zapukał gwałtownie do drzwi; jej serce zabiło mocniej. Zgniotła skrawek pergaminu w dłoni w chwili, kiedy drzwi się otworzyły.

– Moja słodka pani – powiedział Aspitis, uśmiechając się. – Dlaczego chowasz się tutaj w ciemności? Chodź, przejdziemy się po pokładzie.

Miriamele wydawało się, że pergamin parzy jej dłoń, jakby trzymała w niej rozżarzony węgiel.

– Ja... nie czuję się dobrze, mój panie. – Potrząsnęła głową, chcąc ukryć zmieszanie. – Później pójdę się przejść.

– Maryo – rzucił z wyrzutem hrabia. – Mówiłem ci, że najbardziej podoba mi się w tobie wiejska bezpośredniość. Czy chcesz stać się kapryśną dworską dziewuchą? – Zrobił długi krok i znalazł się u jej boku. Jego dłoń musnęła szyję Miriamele. – Chodź. Nic dziwnego, że źle się

czujesz, skoro przesiadujesz wciąż w tych ciemnościach. Potrzebujesz powietrza. – Pochylił się i dotknął ustami miejsca pod jej uchem. – A może wolisz, byśmy zostali tutaj, w ciemności? Może po prostu czujesz się samotna? – Palce hrabiego wolno przesunęły się blisko jej gardła; czuła ich delikatny dotyk, jakby były to pajęcze nici.

Miriamele wpatrywała się w świecę. Jej płomień tańczył przed nią; pozostała część kabiny tonęła w głębokim mroku.

WITRAŻOWE OKNA SALI TRONOWEJ w Hayholt dawno zostały potłuczone. Postrzępione kotary chroniły wnętrze przed śniegiem, lecz nie powstrzymywały napływu mroźnego powietrza. Nawet Pryrates wydawał się zziębnięty: wprawdzie wciąż chodził z gołą głową, lecz nosił czerwone szaty oblamowane futrem. Spośród wszystkich odwiedzających salę tronową tylko Król i jego podczaszy jakby nie zwracali uwagi na panujące tam zimno. Elias siedział na Smoczym Tronie z gołymi stopami i ramionami; z wyjątkiem wielkiego miecza wiszącego w pochwie u boku, ubrany był niedbale, jakby nie opuszczał swej komnaty. Mnich Hengfisk, milczący sługa Króla, miał na sobie wytarty habit, który najwyraźniej nie przeszkadzał mu czuć się w zimnej sali równie swobodnie jak Elias; na jego twarzy gościł grymas szaleńca. Wielki Król siedział skulony w głębi swej klatki ze smoczej kości. Spuściwszy głowę na pierś, spoglądał na Pryratesa. W przeciwieństwie do czarnego malachitu, z którego zrobiono rzeźby stojące po obu stronach tronu, skóra Eliasa wydawała się biała jak mleko. Na jego skroniach i chudych ramionach widać było wyraźnie nabrzmiałe niebieskie żyły, które pulsowały pod cienką skórą.

Pryrates otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął. Jego westchnienie przypominało zachowanie aedonickiego męczennika, zgnębionego głupią nikczemnością prześladowców.

– A niech cię, kapłanie – warknął Elias. – Zdecydowałem się.

Królewski doradca nic nie powiedział, tylko skinął głową; jego łysa czaszka zalśniła w blasku pochodni niczym mokry kamień. Choć wiatr poruszał zasłonami, w pokoju zdawał się panować dziwny bezruch.

– A zatem? – Zielone oczy Króla lśniły niebezpiecznym blaskiem.

Duchowny westchnął ponownie, tym razem łagodniej. Kiedy przemówił, jego głos zabrzmiał dość pojednawczo.

– Jestem twoim doradcą, Eliasie. Wykonuję tylko twoje polecenia, to znaczy pomagam ci podjąć decyzję.

– Tak więc uważam, że najlepiej będzie, jeśli Fengbald zbierze żołnierzy i pojedzie na wschód. Chcę, żeby wypłoszyli z nory Josuę i jego bandę zdrajców i zniszczyli ich wszystkich. Zbyt długo cackałem się z Guthwulfem i ślamazarnym Benigarisem. Jeśli Fengbald zaraz wyruszy, dotrze do gniazda mojego brata w ciągu miesiąca. Ty, alchemiku, wiesz, jaką będziemy mieli zimę; ty wiesz najlepiej. Jeśli będę zwlekał, stracimy okazję. – Król poirytowany dotknął dłonią twarzy.

– Zgadzam się co do pogody – odparł Pryrates ze spokojem. – Wciąż jednak mam wątpliwości co do potrzeby ścigania twego brata. On nie stanowi żadnego zagrożenia. Nawet gdyby stały za nim tysięczne armie, nie byłby w stanie powstrzymać nas przed całkowitym i chwalebnym zwycięstwem. Wystarczy jeszcze trochę poczekać.

Wiatr zmienił kierunek i zwisające z sufitu chorągwie zafalowały jak powierzchnia jeziora. Elias strzelił palcami i Hengfisk zbliżył się natychmiast z jego pucharem. Król zaczął pić, potem zakasłał i pił dalej, aż opróżnił puchar. Na jego brodzie została kropelka parującej, czarnej cieczy.

– Łatwo ci mówić – warknął Król, wychyliwszy puchar. – Na Krew Aedona, wciąż to powtarzasz. Dość już czekałem. Zmęczyło mnie to.

– Ale wiesz, Wasza Wysokość, że warto będzie poczekać.

Król zamyślił się na chwilę.

– Do tego moje sny są coraz dziwniejsze. Coraz bardziej... prawdziwe.

– To zrozumiałe. – Pryrates uniósł dłoń w uspokajającym geście. – Spoczywa na tobie ogromny ciężar. Lecz wszystko będzie dobrze. Staniesz się władcą królestwa, jakiego nie widział jeszcze świat; musisz tylko zdobyć się na odrobinę cierpliwości. W tych sprawach nie można działać pochopnie, podobnie jak na wojnie czy w miłości.

– Ha! – Elias beknął i na jego twarzy znowu pojawił się wyraz irytacji. – A co ty możesz wiedzieć o miłości, cholerny eunuchu?! – Pryrates drgnął, usłyszawszy słowa Eliasa, i zmrużył czarne oczy, lecz Król nie zauważył jego reakcji, wpatrzony w Smutek. – Powiedz mi, alchemiku, jaką ty będziesz miał korzyść z tego wszystkiego. Wciąż pozostaje to dla mnie niejasne.

– Żadnej, oprócz przyjemności służenia tobie, Wasza Wysokość.

Śmiech Eliasa bardziej przypominał szczeknięcie psa.

– Tak, oprócz tej przyjemności.

Pryrates przyglądał mu się badawczo przez chwilę. Jego twarz wykrzywił dziwny uśmiech.

– Zdobędę moc, oczywiście. Moc robienia tego, co chcę... co muszę zrobić.

Król skierował spojrzenie w stronę okna. Chwilę wcześniej na parapecie siadł kruk, który teraz muskał dziobem swe lśniące, czarne pióra.

– A co chcesz zrobić, Pryratesie?

– Zdobyć wiedzę. – Na krótką chwilę maska dyplomatycznej obojętności opadła z twarzy duchownego; pod nią ukazała się twarz dziecka, okropnego, zachłannego dziecka. – Chcę wiedzieć *wszystko*. Do tego potrzebuję mocy, która pozwoli mi to osiągnąć. Istnieją tajemnice tak

mroczne i głębokie, że jedynym sposobem poznania ich jest wedrzeć się do wnętrza wszechświata i pogrzebać w czeluściach Śmierci i Niebytu.

Elias skinieniem dłoni zażądał pucharu. Wciąż nie odrywał wzroku od kruka; ptak przesunął się do przodu i przechyliwszy głowę, odwzajemnił spojrzenie Króla.

– Dziwne rzeczy mówisz. Śmierć? Niebyt? Czy one nie są tym samym?

Pryrates uśmiechnął się złośliwie, choć nie wiadomo dlaczego.

– Och, nie, Wasza Wysokość, choć różnica jest subtelna.

Nagle Elias odwrócił się, wystawiając głowę poza smocze kły swego pożółkłego tronu.

– Do diabła, Hengfisku, nie widziałeś, że rozkazałem ci podać kielich? Piecze mnie gardło!

Mnich o wybałuszonych oczach pośpieszył do Króla. Elias wziął ostrożnie puchar i postawił przed sobą, po czym uderzył Hengfiska w bok głowy z taką siłą i szybkością, że podczaszy runął na podłogę jak rażony gromem. Elias wypił spokojnie parujący napój. Hengfisk leżał przez kilka chwil nieruchomo, zanim powoli wstał i ostrożnie zabrał puste naczynie. Uśmiech idioty nie zniknął z jego twarzy; wręcz przeciwnie, stał się szerszy i jeszcze bardziej wyraźny, jakby Król wyświadczył mu wielką łaskę. Mnich skinął kilkakrotnie głową i wycofał się w cień.

Elias nie zwracał na niego uwagi.

– Tak więc ustalone. Fengbald weźmie gwardzistów, dobierze innych żołnierzy oraz najemników i uda się na wschód. Na włóczni przywiezie mi głowę mojego przemądrzałego brata. – Zamilkł i po chwili zapytał: – Czy sądzisz, że Nornowie pójdą z Fengbaldem? Są zaciekłymi wojownikami i nie boją się zimna ani ciemności.

Pryrates uniósł brwi.

– Nie sądzę, Królu. Oni chyba nie lubią podróżować w ciągu dnia, a poza tym nie przepadają za towarzystwem śmiertelników.

– A więc nie są nazbyt przydatnymi sprzymierzeńcami. – Elias zmarszczył brwi, gładząc rękojeść swego miecza.

– Och, Wasza Wysokość, potrafią być użyteczni. – Pryrates skinął głową i uśmiechnął się. – Będą nam służyć, kiedy rzeczywiście zajdzie taka potrzeba. Ich pan, twój największy sprzymierzeniec, dopilnuje tego.

Kruk zamrugał złocistym okiem, zakrakał ochryple i wzbił się w powietrze. Postrzępiona kotara załopotała, kiedy wylatywał przez okno w porywisty wiatr.

PROSZĘ, CZY MOGĘ GO POTRZYMAĆ? – Maegwin wyciągnęła ramiona.

Młoda matka o umorusanej i zaniepokojonej twarzy podała jej niemowlę. Maegwin nie mogła powstrzymać myśli, że kobieta się jej boi; jej, dziwacznej królewskiej córki, ubranej w czarne, żałobne szaty.

– Obawiam się, że będzie niegrzeczny – odparła młoda kobieta. – Płacze przez cały dzień, mało nie oszalałam. Biedaczek jest głodny, ale nie chcę, żeby beczał przy tobie, pani. Masz na głowie ważniejsze sprawy.

Maegwin poczuła, że chłód, jaki dotąd nosiła w sercu, topnieje nieco.

– Nie martw się o mnie. – Podniosła wyżej niemowlaka o różowej twarzy; rzeczywiście wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać. – Powiedz, Caihwye, jak ma na imię.

Młoda kobieta spojrzała na nią zdziwiona.

– Znasz mnie, pani?

Maegwin uśmiechnęła się smutno.

– Nie pozostało już nas tak wielu. We wszystkich jaskiniach nie ma nawet tysiąca. Nie, nie mam problemu z zapamiętaniem tych, którzy

pozostali w Wolnym Hernystirze.

Caihwye przytaknęła jej, szeroko otwierając oczy.

– To straszne. – Pewnie była ładna przed wojną; teraz nie miała zębów i była potwornie chuda. Maegwin nie wątpiła jednak, że matka żywi dziecko najlepiej jak może.

– Jak ma na imię? – spytała powtórnie Maegwin.

– Och! Siadreth, moja pani. Tak nazywał się jego ojciec. – Caihwye pokiwała smutno głową: Maegwin nie pytała o imiennika dziecka. Wszystkie rozmowy z tymi, którzy przetrwali, o ich ojcach, mężach i synach kończyły się tak samo. Większość opowieści miała swój finał w bitwie pod Inniscrich.

– Księżniczko Maegwin. – Stary Craobhan czekał już od jakiegoś czasu w milczeniu. – Musimy iść. Oczekują nas.

Maegwin skinęła głową.

– Masz rację. – Ostrożnie podała dziecko matce. Mała, różowa twarz zmarszczyła się gotowa do płaczu. – Jest śliczny, Caihwye. Niech bogowie mają go w opiece, a Mircha da mu zdrowie. Będzie silnym mężczyzną.

Caihwye uśmiechnęła się i zaczęła kołysać małego Siadretha, by zapomniał o płaczu.

– Dziękuję, pani. Tak się cieszę, że powróciłaś cała i zdrowa.

Maegwin zaczęła się już odwracać, lecz usłyszawszy te słowa, zatrzymała się.

– Powróciłam?

Kobieta spojrzała na nią przestraszona, że powiedziała coś złego.

– Z podziemi, pani. – Wskazała dłonią w dół. – Z głębokich jaskiń. To ciebie muszą strzec bogowie, abyś zawsze powracała z tak mrocznych miejsc.

Maegwin patrzyła na nią przez chwilę, po czym się uśmiechnęła.

– Tak. Tak, ja też się cieszę, że wróciłam. – Jeszcze raz pogłaskała główkę dziecka i odwróciła się do Craobhana.

– Wiem, że sądzenie nie jest tak przyjemne jak niańczenie dzieci – rzucił przez ramię stary Craobhan – ale nie masz wyboru; to należy do twoich obowiązków. Jesteś córką Llutha.

Maegwin skrzywiła się, lecz nadal była pogrążona w myślach.

– Skąd ona wiedziała, że byłam w jaskiniach?

Starzec wzruszył ramionami.

– Nie próbowałaś zbytnio tego ukrywać. A poza tym nie dziw się, że ludzie są zainteresowani, co robią członkowie rodziny królewskiej. Zawsze mielą językami.

Maegwin zmarszczyła brwi. Craobhan oczywiście miał rację. W chęci zbadania niższych jaskiń wykazała wiele uporu i beztroski. Mogła wcześniej o tym pomyśleć, jeśli zależało jej na zachowaniu tajemnicy.

– Co oni teraz o tym myślą? – spytała wreszcie. – Ludzie.

– Co myślą o twoich przygodach? – Starzec cmoknął skrzywiony. – Myślę, że krąży o nich tyle opowieści, ile jest ognisk. Niektórzy mówią, że poszłaś szukać bogów, inni uważają, że chciałaś znaleźć jakąś dziurę, przez którą można by uciec z całego tego bałaganu. – Craobhan spojrzał na nią ponad swym kościstym ramieniem. Widząc jego znaczące, pełne zadowolenia spojrzenie, Maegwin miała ochotę go zdzielić. – W połowie zimy zaczną opowiadać o mieście pełnym złota, które znalazłaś, albo o smoku czy dwugłowym olbrzymie, z którym walczyłaś. Nie martw się. Opowieści są jak zające: tylko głupiec biega za nimi i próbuje je złapać.

Maegwin patrzyła ze złością na tył łysej głowy starca. Nie wiedziała, co mniej by się jej podobało: żeby ludzie opowiadali o niej kłamstwa czy żeby znali prawdę. Nagle zapragnęła, aby powrócił Eolair.

„Zmienna krowa” – pomyślała z drwiną o sobie.

Ale rzeczywiście pragnęła tego. Chciała z nim porozmawiać, podzielić się myślami, nawet tymi najbardziej szalonymi. Chybaby zrozumiał... A może to by tylko ugruntowało jego opinię o jej niegodziwości? I tak nie miało to większego znaczenia: Eolair odjechał ponad miesiąc temu, a Maegwin nie wiedziała nawet, czy żyje. Przecież sama go wysłała. Teraz bardzo tego żałowała.

Maegwin czuła obawę, lecz była zdecydowana i nie cofnęła ostrych słów, jakie rzuciła hrabiemu w podziemnym mieście Mezutu’a. W ciągu kilku dni, jakie upłynęły od czasu ich powrotu z jaskini do chwili wyjazdu, zamienili zaledwie kilka słów.

Eolair spędził ten czas przeważnie w podziemnym mieście, nadzorując dwóch wytrwałych hernystirskich pisarzy, którzy kopiowali kamienne mapy karlaków na baranich skórach. Maegwin mu nie towarzyszyła; choć karlaki okazały jej dużą gościnność, sama myśl o pustym, rozbrzmiewającym echem mieście wywoływała przygnębienie i uczucie grozy. Myliła się dotychczas. Nie, nie zwariowała, jak wielu sądziło, lecz się pomyliła. Wydawało jej się, że bogowie chcieli, by odnalazła tam Sithów, lecz teraz nie miała wątpliwości, że Sithowie zginęli albo bali się i nie mogli pomóc jej ludziom. Co do karlaków, byłych sług Sithów, to były one jak cienie, niezdolne pomóc nawet sobie samym.

Kiedy Eolair odjeżdżał, Maegwin była w tak wojowniczym nastroju, że pożegnała go bardzo obcesowo. Hrabia wsunął jej w dłoń podarunek od karlaków: był to lśniący, szarobiały kawałek kryształu, na którym Yis-Fidri, opiekun Komnaty Wiedzy, wyrył jej imię w alfabecie runicznym. Wyglądał on jakby był częścią Czerepu, lecz nie świecił takim niespokojnym światłem jak ogromny kamień. Wręczywszy jej podarunek, Eolair odwrócił się i dosiadł swego konia, starając się ukryć gniew. Kiedy Maegwin

patrzyła, jak hrabia zjeżdża zboczem i znika w padającym śniegu, poczuła wewnętrzną rozterkę. Modliła się, by bogowie dodali jej sił w tych trudnych chwilach. Choć oni – jak jej się wydawało – nie śpieszyli się z pomocą.

Początkowo Maegwin myślała, że jej sny o podziemnym mieście były znakiem tego, że bogowie chcą pomóc cierpiącym zwolennikom w Hernystirze. Teraz jednak wiedziała, że się myliła. Miała nadzieję, że odnajdzie Sithów, ich pradawnych i legendarnych sprzymierzeńców, i że odkrywając sens legendy, sprowadzi pomoc dla Hernystiru. Myśląc tak, okazała dumę i głupotę. Bogów nie można było zmuszać do czegokolwiek, to oni zapraszali.

Maegwin pomyliła się pod tym względem, lecz jednocześnie czuła, że jest bliska prawdy. Bez względu na to, jakich czynów dopuścili się jej ludzie, bogowie nie mogli się od nich odwrócić. Brynioch, Rhynn, Murhagh Jednoręki: oni uratują jej dzieci, wierzyła w to. Była pewna, że w jakiś sposób sprowadzą zagładę na Skalego i Eliasa, Wielkiego Króla, którzy tak bardzo upokorzyli jej wolny i dumny lud. Gdyby zemsta nie nadeszła, świat okazałby się tylko kiepskim dowcipem. Tak więc postanowiła czekać na lepszy, jaśniejszy znak: tymczasem zajmie się obowiązkami – będzie dbała o swoich ludzi i opłakiwała zmarłych.

JAKICH SPRAW BĘDĘ DZISIAJ SŁUCHAŁA? – spytała starego Craobhana.

– Tylko pomniejszych oraz jednej prośby o wydanie sądu, który nie będzie łatwy – odparł Craobhan. – Pochodzi ona z Domu Earb i Domu Lacha; są to majątki sąsiadujące ze sobą na skraju lasu Circoille. – Starzec był królewskim doradcą od czasów dziadka Maegwin i znał wszystkie zawiłości politycznego życia w Hernystirze równie dobrze jak kowal, który potrafi przewidzieć kaprysy ognia i stali. – Oba majątki dzieli część lasu – wyjaśnił. – Lecz twój ojciec musiał każdemu z osobna nadać prawa do lasu

i dokładnie określić na mapie obszar należący do poszczególnych rodów, tak jak to czynią aedoniccy królowie, gdyż inaczej ich członkowie by się powyrzynali. Oba domy nienawidzą się i walczą ze sobą od dawien dawna. Ledwie mieli czas, by udać się na wojnę przeciwko Skalemu, i nie wiem nawet, czy zauważyli, że ją przegraliśmy. – Starzec zakaszlał i splunął na ziemię.

– Czego więc chcą ode mnie?

Craobhan zmarszczył brwi.

– A jak myślisz, pani? Teraz kłócą się o miejsce w jaskini. – W jego głosie zabrzmiała nuta kpiny. – To miejsce jest dla mnie, mówią, a to dla ciebie. Nie, nie, to jest moje. – Prychnął pogardliwie. – Kłócą się jak prosięta o ostatnie wymię, choć wszyscy żyjemy w tak trudnych i niebezpiecznych czasach.

– Zdaje się, że to jacyś odrażający ludzie. – Maegwin nie potrafiła ukryć zniecierpliwienia dla tak błahych spraw.

– Sam bym tego lepiej nie wyraził – powiedział starzec.

OBECNOŚĆ MAEGWIN NIE PRZYNIOSŁA KORZYŚCI żadnej ze stron. Przewidywania Craobhana co do błahości przyczyny sporu sprawdziły się w zupełności. Okazało się, że tunel prowadzący z jaskini na powierzchnię został wykopany i poszerzony z pomocą Hernystirczyków przez członków obu rodów z innych, pomniejszych rodzin, które dzieliły z nimi jaskinię. Teraz jednak każdy ze skłóconych rodów utrzymywał, że tunel jest jego własnością i że pozostali mieszkańcy jaskini powinni płacić dziesięcinę z koziego mleka za każdym razem, kiedy przepędzają tunelem swoje stada.

Maegwin była oburzona tym, co usłyszała, i nie omieszkała tego powiedzieć. Oświadczyła także, że jeśli jeszcze raz dojdzie do tak absurdalnego sporu kwestionującego czyjąkolwiek „własność” tunelu, to

każe wojownikom zebrać winnych i strącić ich z najwyższych możliwych występów urwistej góry Grianspog. Oczywiście taki werdykt nie zadowolił ani Domu Lacha, ani Domu Earb. Czekali na rozstrzygnięcie sporu tak długo, że teraz zażądali, by rozwiązanie znalazła macocha Maegwin, Inahwen, żona zmarłego króla Llutha, a nie zaledwie jego córka. Maegwin roześmiała się tylko i nazwała ich spiskującymi głupcami. Zebrani Hernystirczycy – a wśród nich pomniejsze rodziny zamieszkujące jaskinię razem ze zwaśnionymi stronami – z radością przyjęły rezolutną decyzję Meagwin, która utarła nosa zarozumiałym ludziom Earb i Lacha.

Pozostałe sprawy zostały szybko rozstrzygnięte. Maegwin stwierdziła, że lubi to, co robi, chociaż niektóre z konfliktów były trudne i przygnębiające. Było to coś, co umiała robić, a co niewiele miało wspólnego z tym, co małe, delikatne i miłe. Otoczona piękniejszymi kobietami zawsze czuła się zawstydzona w obecności swego ojca, nawet w takim wiejskim dworze jak ich Taig. Tutaj liczył się tylko jej zdrowy rozsądek. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że w ciągu ostatnich tygodni poddani jej ojca docenili ją oraz że są wdzięczni za to, iż chce ich wysłuchać i jest sprawiedliwa. Patrząc na swój lud, obdarty i usmolony dymem, poczuła ucisk w sercu.

Hernystirczycy zasłużyli na lepszy los. Maegwin im w tym pomoże, jeśli będzie to tylko w jej mocy. Przez chwilę prawie zapomniała o tym, jak była okrutna wobec hrabiego Nad Mullach.

TEGO WIECZORU, KIEDY MEAGWIN LEŻAŁA, zapadając w sen, odniosła nagle wrażenie, że zatapia się w ciemność o wiele głębszą i przestronniejszą niż jaskinia, w której spała. Przez chwilę wydawało jej się, iż rozstąpiła się pod nią ziemia, lecz po chwili zrozumiała – to tylko sen. Powolne opadanie w pustkę zdawało się rzeczywiste, ale z drugiej strony poczuła na tyle

dziwne oderwanie, że wykluczało trzęsienie ziemi. Znała już to uczucie, pamiętała je z nocy, w czasie których śniła o pięknym mieście pod ziemią...

Jej myśli wciąż jeszcze trzepotały się w ciemności jak przestraszone nietoperze, kiedy pojawiła się chmura niewyraźnych świateł. Mogły to być świetliki, iskry albo widziane z daleka pochodnie.

Światła unosiły się ku górze jak wijący się dym ogromnego ogniska, wznosząc się na niebotyczną wysokość.

Wspinaj się – przemówił głos w jej głowie. – *Idź na Wyżyny. Już czas.*

Płynąc w pustce, Maegwin zdążała ku odległemu szczytowi otoczonemu mrugającymi światłami.

Idź na Wyżyny – powtórzył głos. – *Już czas.*

I nagle znalazła się pośród migocących świateł, które, choć małe, świeciły jasnym blaskiem gwiazd. Wokół Maegwin zebrał się niewyraźny tłum, piękny, lecz nieludzki, ubrany w kolory tęczy. Stworzenia wpatrywały się w siebie lśniącymi oczami. Ich pełne wdzięku postacie pozostawały niewyraźne; kształtem zbliżone były do ludzi, lecz Maegwin czuła, że nie są one bardziej ludzkie niż deszczowa chmura czy nakrapiany jeleń.

Już czas – powiedział głos, wiele głosów. W środku tłumu zaświeciła jaśniej plama skrzącego się i podskakującego światła, jakby z ogromnej kopuły nieba spadła jedna z gwiazd. – *Idź na Wyżyny...*

A potem fantastyczna wizja zaczęła blednąć i zapadać się w czeluść.

Maegwin obudziła się i stwierdziła, że siedzi na swoim sienniku. W ciemności jaskini jarzyły się węgle paleniska. Poza nimi wszystko pozostawało niewidoczne; słychać było tylko oddechy śpiących. Czując ból w palcach, zobaczyła, że z całych sił ściska w dłoni kamień, który otrzymała od karlaków. Przez moment wydawało jej się, że dostrzega słabe światło w jego wnętrzu, lecz przyjrzawszy się po raz drugi, stwierdziła, że to tylko złudzenie; był to przecież tylko kawałek półprzezroczystej skały.

Potrząsnęła wolno głową. Kamień nie miał większego znaczenia, przynajmniej wobec tego, czego doświadczyła. Bogowie. Bogowie znowu do niej przemówili, tym razem jaśniej. Wyżyny, powiedzieli. Już czas. Znaczy to, że przynajmniej bogowie jej ludu byli skłonni im pomóc. Chcieli też, by Maegwin coś zrobiła. Z pewnością chcieli tego – gdyby tak nie było, nie dotykaliby jej, nie dawali tak wyraźnego znaku. Maegwin zapomniała teraz o licznych drobnych sprawach minionego dnia.

„Wyżyny” – powiedziała do siebie. Długo siedziała w ciemności zamyślona.

UPEWNIWSZY SIĘ, ŻE HRABIA ASPITIS jest wciąż na pokładzie, Miriamele pobiegła szybko wąskim korytarzem i zastukała w niskie drzwi. Na odgłos pukania szepcący wewnątrz kabiny głos zamilkł.

Upłynęło kilka chwil, zanim usłyszała odpowiedź.

– Tak? Kto tam?

– Lady Marya. Czy mogę wejść?

– Wejdź.

Miriamele popchnęła wypaczone drzwi. Ustąpiły z jękiem, ukazując małą, skromnie urządzoną kabinę. Gan Itai siedziała na sienniku pod otwartym oknem, zaledwie wąską szczeliną pod sufitem. Coś tam się poruszyło; Miriamele dostrzegła białą szyję i błysk żółtego oka; chwilę później mewa wyfrunęła na zewnątrz i zniknęła.

– Mewy są jak dzieci. – Na pomarszczonej twarzy Gan Itai pojawił się uśmiech. – Kłótliwe, zapominalskie, lecz kochane.

Miriamele pokiwała głową zmieszana.

– Przepraszam, że przeszkadzam.

– Przeszkadzasz? Dziecko, a skąd ci to przyszło do głowy. Jest dzień i nie muszę śpiewać. Dlaczego więc miałabyś mi przeszkadzać?

– Nie wiem. Ja tylko... – Miriamele urwała, próbując zebrać myśli. Właściwie nie była pewna, po co przyszła. – Ja... ja muszę z kimś porozmawiać, Gan Itai. Boję się.

Niska sięgnęła do trójnogiego stołka, który najwyraźniej służył jej jako stół. Śniada dłoń Gan Itai zgarnęła zręcznie kilka wygładzonych morską wodą kamieni i wsunęła je do kieszeni szaty, po czym przysunęła stołek w stronę Miriamele.

– Usiądź, dziecko. Nie denerwuj się.

Miriamele poprawiła suknię, zastanawiając się, ile będzie w stanie wyjawić Nisce. Chociaż jeśli Gan Itai przynosiła ukryte wiadomości od Cadracha, to czy jeszcze czegoś nie wiedziała? Z pewnością było jej wiadome, że Marya to nie jest prawdziwe imię. Musiała spróbować.

– Czy wiesz, kim jestem?

Niska znowu się uśmiechnęła.

– Jesteś lady Maryą, szlachcianką z Erkynlandu.

– Doprawdy? – Miriamele czuła się zaskoczona.

Śmiech Gan Itai zabrzmiał jak szelest wiatru w suchych trawach.

– A nie? Wszystkim przedstawiasz się tym imieniem. Ale jeśli pytasz Gan Itai, kim naprawdę jesteś, to ci powiem, a przynajmniej zacznę od tego: Miriamele to twoje imię, córko Wielkiego Króla.

Miriamele poczuła dziwną ulgę.

– A więc wiesz.

– Twój towarzysz, Cadrach, utwierdził mnie w tym przekonaniu. Domyślałam się tego. Spotkałam raz twego ojca. Pachniesz tak jak on i mówisz podobnie.

– Pachnę? Spotkałaś? – Miriamele poczuła się, jakby straciła równowagę. – Jak to?

– Dwa lata temu twój ojciec spotkał się z Benigarisem na pokładzie tego statku; wtedy Benigaris występował jako książęcy syn. Aspitis, właściciel *Chmury Eadne*, był gospodarzem tego spotkania. Gościł tu także ten dziwny, podobny do jaszczurki osobnik; ten bez włosów. – Gan Itai wykonała ruch, jakby gładziła swą głowę.

– Pryrates. – Miriamele wydało się, że czuje gorycz zła, jakie niesie to imię.

– Tak, o nim mówię. – Gan Itai wyprostowała się, nasłuchując jakiegoś odległego dźwięku. Po chwili zwróciła się ponownie do swego gościa: – Nie pamiętam imion wszystkich, którzy przychodzą na ten statek. Oczywiście zwracam baczną uwagę na to, kto pojawia się na pomoście, jest to częścią Przysięgi Żeglarza, lecz imiona nie mają większego znaczenia dla morskich obserwatorów. Wtedy jednak Aspitis podał mi imiona wszystkich gości z dokładnością, z jaką moje dzieci zwykle śpiewały lekcje o pływach i prądach. Był bardzo dumny, że odwiedzają go tak ważne osoby.

Miriamele słuchała zdziwiona.

– Twoje dzieci?

– Na Ocean Niezbadany, oczywiście! – Gan Itai skinęła głową. – Mam ponad dwadzieścioro wnucząt.

– Nigdy nie widziałam dzieci Nisków.

Niska spojrzała na nią ponuro.

– Wiem, dziecko, że jesteś południowcem tylko z urodzenia, ale tam, gdzie się wychowałaś, w Meremundzie, znajduje się w pobliżu portu mała osada Nisków. Nigdy tam nie byłaś?

– Nie wolno mi było tam chodzić.

Gan Itai wydęła usta.

– To źle. Powinnaś była ich zobaczyć. Jest nas coraz mniej, a kto wie, co przyniesie jutrzejszy przypływ? Moja rodzina należy do największych, lecz na całym północnym wybrzeżu od Abaingeat aż do Naraxi i Harchy nie ma ich więcej niż dwieście. Jest nas tylko tylu na wszystkie morskie statki! – Pokręciła głową ze smutkiem.

– Co mówił mój ojciec i pozostali, kiedy tutaj byli? Co robili?

– Rozmawiali, malutka, ale nie potrafię powiedzieć, o czym. Rozmawiali całą noc, lecz ja śpiewałam na pokładzie. A poza tym jestem tutaj nie po to, by szpiegować pana statku. Jeśli nie robi on niczego, co zagrażałoby bezpieczeństwu statku, nie mam tu innego zajęcia z wyjątkiem tego, do czego się urodziłam: by śpiewem odstraszać kilpy.

– Ale przyniosłaś mi wiadomość od Cadracha. – Miriamele rozejrzała się, sprawdzając, czy drzwi na korytarz są zamknięte. – Na pewno nie tego oczekuje od ciebie Aspitis.

Po raz pierwszy w złocistych oczach Gan Itai pojawił się cień niezadowolenia.

– To prawda, lecz to, co zrobiłam, nie naraża statku na niebezpieczeństwo. – Jej pomarszczona twarz przybrała wyraz stanowczej obrony. – W końcu jesteśmy Niskami, a nie niewolnikami. Jesteśmy wolnymi ludźmi.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Księżniczka pierwsza odwróciła wzrok.

– Nie obchodzi mnie, o czym rozmawiali. Mam już dosyć ludzi, ich kłótni i wojen. Chcę tylko odejść w jakieś spokojne miejsce i zostać sama; zaszyć się w dziurze i nigdy już z niej nie wychodzić. – Niska nic nie odpowiedziała. Wciąż przyglądała się Miriamele w milczeniu. – Tylko że nie można uciec przez pięćdziesiąt mil otwartego morza. – Miriamele

poczuła ciężar beznadziejności sytuacji, w jakiej się znalazła. – Czy dotrzemy do jakiegoś lądu w najbliższym czasie?

– Przycumujemy przy jednej z wysp w zatoce Firannos. Może przy Spenit, może przy Risa, nie wiem, co zdecydował Aspitis.

– Mogłabym wtedy spróbować uciec, choć z pewnością będą mnie dobrze pilnowali. – Uczucie przygnębienia stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Nagle przyszło jej coś do głowy. – Gan Itai, czy ty kiedykolwiek schodzisz na ląd?

Niska spojrzała na nią badawczo.

– Rzadko. Ale w Risa mieszka rodzina Tinukeda’ya. Rodzina z klanu Injar. Kiedyś ich odwiedziłam. Czemu pytasz?

– Dlatego, że jeśli możesz opuszczać statek, to mogłabyś przekazać ode mnie wiadomość. Mogłabyś zanieść ją komuś, kto przekazałby ją mojemu wujowi Josui.

Gan Itai zmarszczyła brwi.

– Oczywiście, zrobię to, choć nie jestem pewna, czy on ją kiedykolwiek otrzyma. Musiałabyś mieć dużo szczęścia.

– A jakie mam inne szanse? – westchnęła Miriamele. – Tak, to głupi pomysł, ale może by się udało? Czy mam inne wyjście? – W jej oczach pojawiły się nagle łzy. Otarła je ze złością. – Nikt tu nic nie pomoże, nawet gdyby chciał. Ale ja muszę spróbować.

Gan Itai spojrzała na nią z niepokojem.

– Nie płacz, dziecko. Zaczynam żałować, że wyciągnęłam cię z kryjówki w ładowni.

Miriamele machnęła mokrą od łez dłonią.

– I tak ktoś by nas tam znalazł.

Niska nachyliła się nad nią.

– Może twój towarzysz będzie wiedział, komu przekazać wiadomość albo co napisać. On zdaje się jest mądrym człowiekiem.

– Cadrach?

– Tak. Znał prawdziwe imię Dzieci Żeglarza – powiedziała głosem ponurym, lecz pełnym dumy, jakby fakt, że ktoś wie, jak nazywa się jej lud, świadczył o jego wielkiej mądrości.

– Ale jak... – Miriamele nie dokończyła pytania. Gan Itai musiała wiedzieć, jak dostać się do Cadracha. Przecież przyniosła od niego wiadomość. Tylko że Miriamele nie była pewna, czy chce zobaczyć się z mnichem. To przez niego tyle wycierpiała.

– Chodź. – Gan Itai wstała z siennika ze zręcznością dziewczyny. – Zaprowadzę cię do niego. – Popatrzyła przez wąskie okno. – Dopiero za godzinę przyniosą mu jedzenie. Tak więc będziemy mieli dość czasu na miłą rozmowę. – Uśmiechnęła się i ruszyła do drzwi kabiny. – Czy możesz wspinać się w tej sukience?

Niska wsunęła palec za jedną z desek ściany i pociągnęła ją. Otworzył się właz tak dobrze dopasowany, że normalnie pozostawał niewidoczny. Gan Itai opuściła go na podłogę. W otworze ukazały się wysmarowane smołą belki.

– Dokąd prowadzi to przejście? – spytała Miriamele zdziwiona.

– Donikąd w szczególności – odparła Gan Itai. Wcisnęła się do dziury i wyprostowała, tak że widać było tylko jej chude, śniade nogi i rąbek szaty. – To przejście pozwala szybko dotrzeć do ładowni albo na pokład. Nazywają je dziurą Nisków. – Jej stłumiony głos odbił się słabym echem.

Miriamele schyliła się i weszła za Niską. Pod przeciwległą ścianą malutkiego pomieszczenia stała drabina. Pod sufitem widać było wąskie przejście, które ciągnęło się w obu kierunkach. Księżniczka wzruszyła ramionami i weszła na drabinę za Gan Itai. Przejście było tak niskie, że

można w nim było poruszać się tylko na czworakach, tak więc Miriamele zawiązała sukienkę tak, by jej nie przeszkadzała, i zaczęła pełznąć. Kiedy oddaliły się od kabiny Niski, ogarnęła je zupełna ciemność, w której jedyną wskazówką dla Miriamele były odgłosy pełzania Gan Itai. Belki trzeszczały, kiedy statek się kołysał. Miriamele miała wrażenie, że jest w gardzieli jakiegoś ogromnego morskiego potwora. Jakieś dwadzieścia łokci od drabiny Gan Itai zatrzymała się. Miriamele wpadła na nią.

– Spokojnie, dziecko. – Twarz Niski zajaśniała w ciemności, kiedy uchyliła kolejny właz. Gan Itai zajrzała przez dziurę i skinęła na Miriamele. Po ciemnym i ciasnym przejściu słabo oświetlona ładownia wydawała się jasnym i wesołym miejscem, choć jedynym źródłem światła był uchylony właz w jej przeciwległym końcu. – Musimy mówić cicho – powiedziała Gan Itai.

Pomieszczenie wypełnione było beczkami i workami, ustawionymi aż po krokwie i przywiązanymi, by się nie przewróciły przy wzburzonym morzu. Pod jedną ze ścian Miriamele dostrzegła skuloną postać Cadracha. Wydawało się, że i mnicha zabezpieczono przed kapryśnymi falami: jego nogi krępował gruby łańcuch, drugi ściskał mu ramiona.

– Uczony! – syknęła Gan Itai.

Okrągła głowa mnicha uniosła się ku górze. Spojrzał w ciemność między krokwiami.

– Gan Itai? – Mówił z trudem ochrypłym głosem. – Czy to ty?

Miriamele poczuła ucisk w sercu. Miłościwy Aedonie, jak on wygląda! Przywiązany jak zwierzę!

– Przyszłam z tobą porozmawiać – szepnęła Niska. – Czy strażnicy przyjdą niedługo?

Cadrach pokręcił głową. Jego łańcuchy zadzwoniły cicho.

– Nie sądzę. Nie śpieszą się z jedzeniem. Czy przekazałaś moją wiadomość... Pani?

– Tak. Ona jest tutaj i chce z tobą porozmawiać.

Mnich otworzył szerzej oczy.

– Co? Przyprowadziłaś ją tutaj?– Zasłonił twarz dłońmi, pobrzękując łańcuchami. – Nie! Nie! Zabierz ją!

Gan Itai przyciągnęła do siebie Miriamele.

– On jest bardzo nieszczęśliwy. Porozmawiaj z nim.

Miriamele przełknęła ślinę.

– Cadrachu? – odezwała się wreszcie. – Czy oni cię zranili?

Mnich osunął się na podłogę, tak że teraz przypominał niewyraźny cień.

– Odejdź, pani. Nie mam odwagi spojrzeć na ciebie i nie chcę też, byś mnie oglądała. Odejdź!

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Odezwij się do niego! – syknęła Gan Itai.

– Przykro mi, że tak cię potraktowali. – Czuła, że do oczu napływają jej łzy. – Cokolwiek miało miejsce między nami, nie chciałam, żebyś tak cierpiał.

– Ach, pani, jaki potworny jest świat. – Mnich mówił głosem, w którym słychać było powstrzymywany płacz. – Czy posłuchasz mnie i uciekniesz? Proszę.

Miriamele pokręciła głową, lecz zaraz się zorientowała, że Cadrach nie widzi jej w mroku.

– Ale jak, Cadrachu? Aspitis nie spuszcza mnie z oczu. Gan Itai powiedziała, że zaniesie ode mnie list, tylko nie wiem do kogo. Kto mógłby mi pomóc? Nie wiem, gdzie jest Josua. Krewni mojej matki z Nabbanu okazali się zdrajcami. Co mam robić?

Niewyraźna postać Cadracha uniosła się powoli.

– „Puchar Pelippy”, Miriamele. Tak jak napisałem ci w liście. Tam może będzie ktoś, kto ci pomoże. – Mnich mówił bez większego przekonania.

– Kto? Komu mogłabym wysłać wiadomość?

– Wyślij ją do gospody. Narysuj na liście gęsie pióro, pióro w kole. Dzięki temu list dotrze do kogoś, kto może ci pomóc, jeśli pojawi się tam ktoś nam przyjazny. – Mnich uniósł ciężko ramię. – Proszę, odejdź, księżniczko. Po tym wszystkim, co się stało, wolę zostać sam. Nie chcę, byś oglądała moje poniżenie.

Miriamele nie potrafiła powstrzymać łez. Dopiero po jakimś czasie znowu przemówiła.

– Czy potrzeba ci czegoś?

– Dzbana wina. Nie, całego bukłaka. Tego mi trzeba. Wino pozwoli mi dostosować stan mej duszy do ciemności panującej dookoła. – Jego śmiech był cierniem dla Miriamele. – Chcę też mieć pewność, że uciekłaś bezpiecznie.

Miriamele odwróciła głowę. Nie mogła dłużej znieść widoku skulonej postaci mnicha.

– Przepraszam – rzuciła i przecisnąwszy się obok Gan Itai, zniknęła w wąskim przejściu. Czuła, że jest jej niedobrze.

Niska powiedziała coś jeszcze do Cadracha i opuściła klapę w ścianie, pogrążając przejście w ciemności. Przeszła na czworakach obok Miriamele i ruszyła przodem w stronę drabiny.

Gdy tylko Miriamele znalazła się w kabinie Gan Itai, znowu zaczęła szlochać. Gan Itai spoglądała na nią zakłopotana, lecz widząc, że księżniczka nie przestaje płakać, objęła ją mocno długim i chudym ramieniem.

– No, nie płacz, nie płacz. Będziesz jeszcze szczęśliwa.

Miriamele rozwiązała spódnicę i jej rąbkiem otarła nos i oczy.

– Nie, nie będę. I Cadrach też nie będzie szczęśliwy. Och, Boże, taka jestem samotna! – Po tych słowach znowu wybuchnęła płaczem.

Gan Itai obejmowała Miriamele, dopóki ta nie przestała płakać.

– To okrutne krępować tak jakiekolwiek stworzenie – powiedziała Niska głosem pełnym napięcia, jakby rozgniewanym. Miriamele, oparta głową o jej pierś, była zbyt wyczerpana, by odpowiedzieć. – Ruyana Ve także związali, wiedziałaś o tym? On był ojcem naszego ludu, wielkim żeglarzem. Kiedy znowu miał wyruszyć na morze, schwytali go rozzłoszczeni i skuli łańcuchami. – Niska kołysała się do przodu i do tyłu. – A potem spalili statki. – Miriamele pociągnęła nosem. Nie miała pojęcia, o kim mówi Gan Itai, i specjalnie jej to nie interesowało. – Chcieli zrobić z nas niewolników, ale my, Tinukeda’ya, jesteśmy wolnym ludem. – Gan Itai mówiła coraz śpiewniejszym głosem, jakby nuciła smutną pieśń. – Spalili nasze statki, wielkie, wspaniałe, których nie mogliśmy odbudować na nowej ziemi, i pozostawili nas tutaj. Powiedzieli, że zrobili to dlatego, by uratować nas przed Niebytem, ale kłamali. Chcieli, byśmy tak jak i oni stali się wygnańcami; my, którzy ich nie potrzebowaliśmy! Ocean Nieskończony i Wieczny mógł pozostać naszym domem, lecz zabrali nam statki i związali potężnego Ruyana. Pragnęli, byśmy zostali ich niewolnikami. Nie można wiązać łańcuchem kogoś, kto nie wyrządził nam żadnej krzywdy. Nie można.

Gan Itai wciąż tuliła Miriamele. Kołysząc się, opowiadała jej szeptem o okrutnych niesprawiedliwościach. Słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi. Mała kabina pogrążyła się w cieniu.

MIRIAMELE LEŻAŁA W SWEJ CIEMNEJ KABINIE i słuchała cichej pieśni Niski. Kiedy się rozstawały, Gan Itai była bardzo przygnębiona. Miriamele nie przypuszczała, że Niska skrywa w sobie tak gorące uczucia, lecz łzy księżniczki i uwięzienie Cadracha spowodowały, że Gan Itai wyrzuciła z siebie cały swój smutek i gniew.

Kim w ogóle byli Niskowie? Cadrach nazwał ich Tinukeda'ya – Dziećmi Oceanu; tak mówiła Gan Itai. Skąd pochodzili? Może z jakiejś odległej wyspy? Niska wspominała coś o statkach przybyłych z daleka ciemnym oceanem. Czy już tak było na całym świecie, że każdy pragnie powrócić do jakiegoś miejsca lub czasów, które utracił?

Pukanie do drzwi przerwało jej myśli.

– Lady Maryo? Czy nie śpisz?

Nie odpowiedziała. Drzwi otworzyły się powoli. Miriamele przeklęła siebie w duchu: powinna była je zamknąć.

– Lady Maryo? – szepnął hrabia. – Czy źle się czujesz? Brakowało mi ciebie przy kolacji.

Poruszyła się i przetarła oczy, udając, że się budzi.

– Lord Aspitis? Przepraszam, ale nie czuję się dobrze. Porozmawiamy jutro, kiedy poczuję się lepiej.

Zbliżył się bezszelestnie i usiadł na brzegu łóżka. Jego długie palce musnęły policzek Miriamele.

– To okropne. Co ci dolega? Powiem Gan Itai, żeby cię zbadała. Ona zna się na leczeniu i ufam jej bardziej niż komukolwiek.

– Dziękuję, Aspitisie. To miło z twojej strony. Teraz spróbuję zasnąć. Przepraszam, że taki ze mnie kiepski towarzysz.

Hrabia jednak nie kwapił się do wyjścia. Gładził jej włosy.

– Pani, przepraszam za me słowa i grubiańskie zachowanie podczas jednego z wieczorów. Bardzo mi na tobie zależy, dlatego zmartwiłem się na

myśl o tym, że mogłabyś nas wkrótce opuścić. Przecież jesteśmy bliskimi sobie kochankami, czyż nie? – Jego dłoń zsunęła się na kark Miriamele, tak że przeszył ją chłodny dreszcz.

– Lordzie, obawiam się, że nie jestem w najlepszej dyspozycji, by mówić teraz o tym. Ale wybaczam ci twoje słowa, które, jestem przekonana, nie płynęły z serca, a były tylko wyrazem porywczości. – Zwróciła się w stronę Aspitisa, chcąc odgadnąć jego myśli. – Jego spojrzenie wydawało się szczere, lecz zaraz przypomniała sobie słowa Cadracha, a także relację Gan Itai o spotkaniu, którego był gospodarzem, i znowu poczuła chłodny dreszcz powodujący drżenie, jakiego nie potrafiła ukryć.

– To dobrze – powiedział. – Bardzo dobrze. Cieszę się, że mnie rozumiesz. Porywczość, dobrze to określiłaś.

Miriamele postanowiła wypróbować szczerość hrabiego.

– Także i ty, Aspitisie, musisz zrozumieć, dlaczego nie czuję się szczęśliwa. Widzisz, mój ojciec nie wie, gdzie jestem. Może otrzymał już z klasztoru wiadomość, o tym, że tam nie dotarłam. Będzie się bardzo martwił. Jest stary i niepokoję się o jego zdrowie. Rozumiesz więc, dlaczego muszę porzucić twoją gościnność, bez względu na to, czy chcę tego, czy nie.

– Oczywiście – odpowiedział hrabia. Miriamele ujrzała promyk nadziei. Czyżby źle oceniła Aspitisa? – Nie możemy pozwolić, by twój ojciec się martwił. Wyślemy do niego wiadomość, gdy tylko dobijemy do wyspy Spenit. Otrzyma dobrą wiadomość.

Uśmiechnęła się.

– Ucieszy się, wiedząc, że czuję się dobrze.

– Ach. – Aspitis odwzajemnił jej uśmiech. Jego wyraźny profil i jasne oczy mogłyby posłużyć rzeźbiarzowi przy tworzeniu posągu bohatera

z przeszłości. – Otrzyma więcej dobrych wieści. Powiemy mu, że jego córka poślubi szlachcica z jednej z pięćdziesięciu rodzin Nabbanu!

Uśmiech Miriamele zamarł na jej ustach.

– Co?

– Tak, zawiadomimy go o naszym rychłym ślubie! – Aspitis uśmiechnął się zadowolony. – Tak, moja pani. Długo o tym myślałem. Choć nie pochodzisz z tak znacznego rodu jak ja, i do tego urodziłaś się w Erkynlandzie, postanowiłem w imię miłości plunąć w twarz tradycji. Pobierzemy się, kiedy wrócimy do Nabbanu. – Jej zimna dłoń znalazła się w gorącym uścisku hrabiego. – Piękna Maryo, nie wyglądasz na tak szczęśliwą, jak mógłbym tego oczekiwać.

Myśli Miriamele pędziły szybko, lecz podobnie jak we śnie o pogoni, potrafiła myśleć tylko o ucieczce.

– Ja... jestem... zakłopotana, Aspitisie.

– Ach, tak. To zrozumiałe. – Wstał, po czym nachylił się i pocałował ją. Czuć było od niego winem, jego policzek zaś pachniał perfumami. Poczuła twardość jego ust na swoich. – Rozumiem, że spadło to na ciebie dość nagle. Ale byłoby niegodziwością opuścić cię po tym... co razem przeżyliśmy. Pokochałem cię, Maryo. Kwiaty Północy różnią się od kwiatów, które rosną wokół mego południowego domu, lecz pachną i kwitną równie pięknie. – Aspitis zatrzymał się w drzwiach. – Odpocznij i wyśpij się dobrze, pani. Mamy wiele do omówienia. Dobranoc. – Drzwi zamknęły się za nim.

Miriamele natychmiast wyskoczyła z łóżka i zasunęła zasuwę. Potem szybko wróciła do łóżka, wstrząsana dreszczem.

3. Na wschód od świata

TAK WIĘC JESTEM TERAZ RYCERZEM, PRAWDA? – Simon przesunął dłonią po puszystym futrze Qantaqi.

Wilczyca spojrzała na niego obojętnie. Binabik podniósł wzrok znad zwoju pergaminu i skinął głową.

– Dzięki przysiędze złożonej twojemu bogu i twojemu księciu. – Troll ponownie pochylił się nad książką Morgenesa. – Tak chyba zostaje się rycerzem.

Simon patrzył na wyłożony kamiennymi płytami Ogród Ognia, zastanawiając się, jak wyrazić słowami swoje myśli.

– Ale... ale ja nie czuję się inny. A przecież jestem rycerzem! Mężczyzną! Dlaczego więc wciąż czuję się taką samą osobą?

Pochłonięty czytaniem Binabik potrzebował paru chwil, zanim mógł odpowiedzieć.

– Przykro mi, Simonie – odezwał się wreszcie. – Nie jestem dzisiaj najlepszym słuchaczem. Powtórz, proszę, co powiedziałeś.

Simon schylił się, podniósł kawałek odłupanego kamienia i cisnął go w rosnące dookoła zarośla. Qantaqa skoczyła za nim.

– Skoro jestem rycerzem i dorosłym mężczyzną, dlaczego wciąż czuję się jak głupi podkuchenny?

Binabik uśmiechnął się.

– Simonie, przyjacielu, nie jesteś pierwszym, który ma podobne wątpliwości. Człowiek nie zmienia się wewnątrz tylko dlatego, że nadszedł

nowy czas albo że otrzymał wyróżnienie. Zostałeś rycerzem Josui w zamian za odwagę, jaką okazałeś na Urmsheim. Jeśli zmieniłeś się, to na pewno nie podczas wczorajszej ceremonii, lecz tam, na górze. – Binabik dotknął buta Simona. – Czy nie mówiłeś, że nauczyłeś się tam czegoś? Że przelana krew smoka była twoją lekcją?

– Zgadza się. – Simon patrzył na wystający z wrzosów ogon Qantaqi, podobny teraz do obłoczka dymu.

– Ludzie, zarówno trolle, jak i mieszkańcy nizin, dorastają w swoim czasie – powiedział Binabik – a nie wtedy, kiedy ktoś im to oznajmi. Nie martw się. Zawsze będziesz w znacznym stopniu podobny do Simona, choć ja zauważyłem, że zmieniłeś się przez te wszystkie miesiące naszej przyjaźni.

– Naprawdę? – Simon powstrzymał ramię przed kolejnym rzutem.

– Tak. Stajesz się mężczyzną, Simonie. Nie martw się i pozwól, by działo się to w swoim czasie. – Troll zaszeleścił arkuszami pergaminu. – Posłuchaj, chcę ci coś przeczytać. – Przesunął krótkim i grubym palcem po kilku wierszach starannego pisma Morgenesa. – Jestem ogromnie wdzięczny Strangyeardowi za to, że zabrał tę książkę z ruin Naglimundu. Jest ona naszym ostatnim ogniwem, łączącym nas z tym wielkim człowiekiem, twoim nauczycielem. – Jego palec zatrzymał się. – Tak, to tutaj. Morgenes pisze o Królu Presterze Johnie:

...Jeśli był on dotknięty palcem Bożym, to najbardziej objawiało się to w tym, że przychodził i odchodził, a także wybierał odpowiednie miejsce w najbardziej odpowiednim czasie, przez co wiele zyskiwał...

– Czytałem ten fragment – powiedział Simon, nie okazując większego zainteresowania.

– Więc z pewnością zauważyłeś, jakie ma on znaczenie dla naszych wysiłków – odparł troll.

Gdyż John Prester wiedział, że zarówno w wojnie, jak i w dyplomacji – jak również w miłości i handlu, które to zajęcia nie różnią się od poprzednich – nagrody przypadają nie najsilniejszym czy najbardziej sprawiedliwym, lecz tym, którzy mają największe szczęście. John wiedział, że sam prowokuje swoje szczęście ten, kto działa szybko i bez nadmiernej ostrożności.

Simon zmarszczył brwi, widząc zadowoloną minę trolla.

– I co?

– Ach. – Binabik westchnął niewzruszony. – Posłuchaj dalej.

Tak więc w czasie wojny, po której Nabban znalazł się pod jego panowaniem, John poprowadził swoje mocno uszczuplone wojsko przez przełęcz Onestrine wprost na włócznie legionów Andrivisa, co wszyscy uznali za czyste szaleństwo. Lecz właśnie to szalone posunięcie pozwoliło jego słabszym siłom uzyskać przewagę z zaskoczenia i utwierdziło zdezorientowane nabbańskie wojska w przekonaniu, że Bóg opiekuje się Johnem.

Simon poczuł, że nuta triumfu dostrzegalna w głosie trolla zaczyna go denerwować. Zmarszczył brwi, próbując odgadnąć to, co dla Binabika było najwyraźniej oczywiste.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że powinniśmy być tacy jak Król John? Że powinniśmy zaskoczyć Eliasa? – Taka myśl wydała się Simonowi czymś zupełnie nowym. – Myślisz, że... że powinniśmy go zaatakować?

Binabik przytaknął mu, ukazując w uśmiechu żółtawe zęby.

– Brawo, Simonie! Dlaczego nie? Dotąd tylko reagowaliśmy na poczynania innych, a nie podejmowaliśmy akcji. Może przydałaby się jakaś odmiana?

– Ale co z Królem Burz? – Simon spojrzał na zachmurzony horyzont. Z trudem przychodziło mu wymówić to imię pod ołowianym niebem,

w obcym miejscu. – A poza tym jest nas zaledwie kilkuset. Król Elias dowodzi tysiącami żołnierzy. Wszyscy o tym wiedzą!

Troll wzruszył ramionami.

– A kto powiedział, że mamy walczyć armią przeciwko armii? Ponadto coraz więcej ludzi przybywa do nas przez łąki i jest nas coraz więcej w... jaką to nazwę wymyślił Josua? W Nowym Gadrinsett.

Simon pokręcił głową i cisnął kolejny wygładzony wiatrem kamień.

– Wydaje mi się to głupie; nie, nie głupie, ale zbyt niebezpieczne.

Binabik nie wyglądał na zasmuconego. Zagwizdał na Qantaqę, która zaraz nadbiegła.

– Może masz rację, Simonie. Przejdźmy się trochę.

KSIĄŻĘ JOSUA PATRZYŁ ZATROSKANY na swój miecz. Wydawało się, że zupełnie stracił już dobry humor, jaki okazywał w czasie uczty na cześć Simona. „Nie znaczy to, że wcześniej był on bardziej szczęśliwy – stwierdził Deornoth – ale że zrozumiał, iż jego wątpliwości wobec własnej osoby niepokoiły pozostałych. W takich chwilach jak ta ludzie woleli odważnego księcia od uczciwego, dlatego Josua przybrał postawę pełną spokojnego optymizmu”. Lecz Deornoth, który znał go bardzo dobrze, nie wątpił, że Josua odczuwa równie mocno ciężar odpowiedzialności.

„On jest jak moja matka – pomyślał. – Dziwne porównanie. Lecz podobnie jak ona, książę martwi się o wszystkich i wydaje mu się, że tylko on może dźwigać ten ciężar”.

Deornoth zauważył także, że podobnie jak jego matka, Josua wydaje się starzeć szybciej od innych. Zawsze był szczupły, lecz w czasie ucieczki z Naglimundu schudł jeszcze bardziej. Teraz wprawdzie poprawił się nieco, lecz wciąż wydawał się dziwnie słaby i kruchy. Zdaniem Deornotha książę

wyglądał trochę jak istota nie z tego świata, jak ktoś, kto wrócił do zdrowia po długiej, wyczerpującej chorobie. Siwe kosmyki jego włosów stawały się coraz bardziej widoczne, a w spojrzeniu, wciąż bystrym i mądrym, pojawiła się iskra rozgorączkowania.

„On potrzebuje spokoju i odpoczynku. Szkoda, że nie mogę stanąć przed jego łóżkiem i pozwolić mu spać przez cały rok”.

– Niech Bóg da mu siły – szepnął.

Josua odwrócił się do niego.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Co powiedziałeś?

Deornoth pokręcił tylko głową; nie chciał kłamać, ale nie chciał też zdradzać swoich myśli. Obaj ponownie skierowali swoją uwagę na miecz.

Książę i jego wasal stali przed długim, kamiennym stołem w budynku, który Geloë nazwała Domem Rozstania. Po nocnej uczcie nie było już śladu, a na gładkim blacie leżał tylko czarny, lśniący miecz.

– I pomyśleć, że tylu ludzi poległo od jego ostrza – odezwał się wreszcie Deornoth. Dotknął owiniętej taśmą rękojeści; Cierń był równie zimny i martwy jak kamień, na którym spoczywał.

– Tak wielu zginęło, byśmy mogli go mieć – dodał książę.

– Skoro tak drogo nas kosztował, nie powinniśmy zostawiać go w miejscu, gdzie każdy może wejść. – Deornoth pokiwał głową. – Wasza Wysokość, on może być naszą wielką nadzieją, naszą jedyną nadzieją! Czy nie powinniśmy go ukryć albo trzymać pod strażą?

Josua uśmiechnął się słabo.

– Po co? Każdy skarb można ukraść, każdy zamek zburzyć, odkryć najlepszą kryjówkę. Lepiej niech leży tam, gdzie wszyscy mogą go oglądać i odczuwać nadzieję, jaką niesie. – Książę wpatrywał się w miecz, zmrużywszy oczy. – Nie znaczy to, że żywię wielką nadzieję, patrząc na niego. Myślę, że nie stracę nic ze swej godności w twoich oczach, jeśli

powiem, że jego widok przyprawia mnie o dreszcze. – Przesunął wolno dłonią wzdłuż ostrza miecza. – W każdym razie, biorąc pod uwagę to, co mówili Binabik i młody Simon, nikt nie zabierze miecza tam, dokąd on sam nie będzie chciał pójść. A poza tym, jeśli pozostawimy go na widoku, tak jak kiedyś topór Tethtaina, który znalazł miejsce w samym sercu legendarnej brzozy, może przyjdzie ktoś i powie nam, jak mamy się nim posłużyć.

Deornoth spojrzał na niego zaskoczony.

– Wasza Wysokość, myślisz o kimś z ludu?

Książę chrząknął.

– Mądrość niejedno ma imię. Gdybyśmy wysłuchali tego, co mówili mieszkańcy Frostmarch o nadchodzącym niebezpieczeństwie, kto wie, ile cierpienia uniknęlibyśmy? Nie, Deornoth, dla nas cenne jest każde mądre słowo o mieczu, każda pieśń czy zapomniana opowieść. – Josua nie potrafił ukryć rozgoryczenia. – Przecież nie mamy najmniejszego pojęcia, w jaki sposób mógłby nam się przysłużyć; nic o nim nie wiemy, jeśli nie liczyć dawnego poematu...

Nagle rozległ się chrapliwy głos.

Kiedy szron pokryje dzwony Clavesa
I cienie na drogę wyjdą.
Kiedy woda w studni się wzburzy,
Trzy Miecze muszą powrócić.

Obaj mężczyźni odwrócili się zdumieni. W drzwiach stała Geloë. Idąc w ich stronę, nie przestawała śpiewać.

Kiedy z Ziemi Bukkeny wypełzną,
A z gór zejdą Huneny,

Kiedy koszmar sen zmąci,
Trzy Miecze muszą powrócić.

*By powstrzymać los krocząc*y,
By rozwiać mgły czasu.
Jeśli Wczesne przeciwstawi się Późnemu,
Trzy Miecze muszą powrócić.

– Trudno było nie usłyszeć, książę Josuo, mam dobry słuch. Mówisz bardzo mądrze. Dlaczego jednak wątpisz w to, że miecz będzie pomocny... – Geloë skrzywiła się. – Wybacz starej wiedźmie z lasu jej szczerość, ale jeśli nie uwierzymy w przepowiednię Nissesa, to co innego nam pozostaje?

Josua starał się zachować pogodny wyraz twarzy.

– Nie wątpię, że miecz jest dla nas czymś ważnym, *valada* Geloë. Chciałbym tylko wiedzieć dokładniej, jak moglibyśmy się nim posłużyć.

– Podobnie jak i my wszyscy. – Czarownica skinęła głową w stronę Deornotha i zerknęła na czarny miecz. – Jak dotąd mamy jeden z trzech Wielkich Mieczy, a to o wiele więcej, niż mieliśmy rok temu.

– Tak, to prawda. – Josua oparł się o kamienny stół. – Dzięki tobie jesteśmy bezpieczni. Nie, Geloë, potrafię docenić pomyślne zrządzenie losu.

– Ale wciąż się martwisz. – Nie było to pytanie. – Coraz trudniej jest wyżywić naszych osadników i coraz trudniej panować nad nimi.

Książę przytaknął.

– Tym bardziej że wielu z nich nie potrafi powiedzieć, dlaczego się tutaj znaleźli; oni po prostu poszli za innymi. Nie wiem, jak przetrwamy zimę po tak chłodnym lecie.

– Ludzie posłuchają cię, Wasza Wysokość – powiedział Deornoth. W obecności wiedźmy Josua czuł się bardziej jak uczniak niż książę. Nie potrafił pozbyć się tego uczucia i dlatego z trudem ukrywał rozdrażnienie. – Zrobią, co im każesz. Razem przetrwamy zimę.

– Oczywiście, Deornoth. – Josua położył dłoń na ramieniu przyjaciela. – Zbyt wiele wspólnie przeżyliśmy, by zmogły nas błahostki dnia dzisiejszego. – Chciał chyba coś jeszcze powiedzieć, lecz w tym momencie usłyszeli kroki na szerokich schodach. W drzwiach ukazali się młody Simon i Binabik w towarzystwie wilczycy. Qantaqa uniosła łeb, węsząc. Obwąchała kamienną futrynę drzwi i dopiero wtedy weszła do komnaty i ułożyła się w jej rogu. Deornoth odetchnął z ulgą, widząc, że wilczyca się oddala. Choć wielokrotnie miał okazję przekonać się o nieszkodliwości Qantaqi, wciąż jednak pozostał mieszkańcem wiejskiego dworu w Erkynlandzie, gdzie przy ogniskach opowiadano o wilkach demonach.

– Ach – rzucił wesoło Josua – mój świeżo pasowany rycerz, a z nim czcigodny wysłannik odległego Yiqanuc. Chodźcie i siądźcie z nami. – Wskazał na rząd stołków, które pozostały po uczcie. – Czekamy jeszcze na innych, wśród nich jest hrabia Eolair. – Książę zwrócił się do Geloë.

– Zaglądałaś do niego, prawda? Czy czuje się dobrze?

– Jest tylko trochę podrapany i posiniaczony. Schudł też bardzo; przebył długą drogę, nic nie jedząc. Ale poza tym nic mu nie dolega.

Deornoth pomyślał, że czarownica nie powiedziałaby więcej, nawet gdyby hrabia utonął czy też został poćwiartowany, ale z pewnością zabrałaby się do leczenia i postawiła go na nogi. Nie okazywała księciu należytego szacunku i niewiele miała cech, które Deornoth mógł określić jako kobiece, lecz musiał przyznać, że wiedźma zna się na tym, co robi.

– Miło mi to słyszeć. – Josua wsunął dłoń pod płaszcz. – Zimno tutaj. Rozpalmy ogień, żebyśmy nie musieli rozmawiać, szczękając zębami.

W CZASIE GDY JOSUA I POZOSTALI zajęci byli rozmową, Simon przyniósł kilka kawałków drewna ze stosu ułożonego w rogu komnaty i ułożył je w palenisku, zadowolony, że może się czymś zająć. Dumny był z tego, że przebywał w tak doborowym towarzystwie, lecz wciąż nie miał pewności, czy jest jednym z nich.

– Ustaw szczapy tak, by u góry opierały się o siebie – poradziła mu Geloë.

Idąc za jej radą, ustawił drewniany namiot w środku paleniska. Skończywszy, rozejrzał się wokoło. Prymitywne palenisko nie pasowało do wspaniałej kamiennej podłogi, jakby zwierzęta zajęły jeden ze wspaniałych domów zamieszkanych przez rodzaj ludzki. W komnacie nie było widać niczego, co przypominałoby choć trochę palenisko. Jak oni ogrzewali pokoje? Simon przypomniał sobie biegającą po śniegu Aditu i stwierdził, że pewnie nie przejmowali się chłodem.

– Czy to miejsce rzeczywiście nazywa się Domem Rozstania? – spytał Geloë, która zbliżyła się z krzesiwem. Przez chwilę nie zwracała na niego uwagi; przykucnęła obok paleniska i przyłożyła iskrę do ułożonych wokół drewna wiórków z kory.

– Mniej więcej. Ja nazwałabym je Salą Pożegnania, ale troll skorygował moje tłumaczenie z sithijskiego. – Uśmiechnęła się słabo. Spod jej dłoni wypłynęła smużka dymu.

Simonowi wydawało się, że miał to być żart, lecz nie był pewien.

– Czy dlatego Pożegnania, że w tej komnacie rozdzieliły się dwa rody?

– Tak, o ile wiem, tutaj się rozstały. Tutaj zawarto rozejm. Pewnie Sithowie inaczej nazywali to miejsce, gdyż istniało ono o wiele wcześniej, zanim obie rodziny się rozdzieliły.

Tak więc miał rację: w swoim widzeniu ujrzał przeszłość Kamienia Rozstania. Zamyślony rozglądał się po sali, wpatrywał w kamienne

kolumny, których rzeźby wciąż pozostawały niezwykle wyraźne, choć upłynęło tak wiele lat. Kiedyś ród Jirikiego był ludem wielkich budowniczych, lecz teraz ich domy w lesie były równie kruche i nietrwałe jak ptasie gniazda. Może na tym właśnie polegała mądrość Sithów, by nie zapuszczać głęboko korzeni.

„A jednak – pomyślał Simon – dom, który trwał w miejscu, który zawsze tam był, wydawał się najcenniejszym w świecie skarbem”.

– Dlaczego te dwie rodziny się rozdzieliły?

Geloë wzruszyła ramionami.

– Trudno znaleźć jeden powód tak wielkiej zmiany, ale podobno przyczynili się do tego śmiertelnicy.

Simon przypomniał sobie ostatnie, przerażające godziny w Yasira. Królowa Nornów, Utuk’ku, rozgniewała się za to, że Sithowie nie „przepędzili śmiertelników”, jak powiedziała. Twierdziła także, że Amerasu nie chce zostawić ich w spokoju. Śmiertelników, takich jak on. Odczuwał wstyd zawsze, gdy powracało imię Amerasu: jej morderca twierdził, że dotarł do Jao e-Tinukai’i, idąc w ślad za Simonem.

Czarownica wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Czasem zapominam, jak wiele widziałeś, chłopcze. Mam nadzieję, że będziesz to pamiętał, kiedy nadejdzie twój czas.

– Mój czas?

– Śmiertelnicy przyczynili się do rozstania Sithów z Nornami – ciągnęła Geloë, ignorując pytanie Simona – lecz mówi się także o tym, że oba rody nie były zbyt zgodnymi sąsiadami nawet na swej ojczystej ziemi.

– W Ogrodzie?

– Tak ją nazywają. Nie znam dokładnie tej historii, gdyż nigdy nie interesowałam się zbytnio podobnymi opowieściami. Zawsze zajmuję się rzeczami, które są przede mną, które można zobaczyć, dotknąć i do których

można mówić. W całą sprawę wmieszana była kobieta, Sithijka, a także mężczyzna Hikeda’ya. Kobieta zmarła. Mężczyzna również. Obie rodziny zapałały nienawiścią. To stara sprawa, chłopcze. Zapytaj swojego przyjaciela, Jirikiego, kiedy go zobaczysz. W końcu to dotyczy jego rodziny.

Geloë wstała i odeszła, pozostawiając Simona z dłońmi nad ogniem.

Te stare opowieści są jak krew. Płyną w ludziach, choć oni nie wiedzą o tym, nie zdają sobie z tego sprawy. Rozważał tę kwestię przez chwilę. Nawet jeśli nie myślisz o nich, gdy nadchodzą złe czasy, stare opowieści pojawiają się ze wszystkich stron. Jak krew, są jak krew.

Rozmyślania Simona przerwało przybycie Hotviga i jego zastępcy, Ozhberna. Tuż za nimi wszedł Isorn wraz ze swą matką, księżną Gutrun.

– Księżno, jak się czuje moja żona? – spytał Josua.

– Nie czuje się dobrze, Wasza Wysokość – odparła – inaczej byłaby tu z nami. Ale należało się tego spodziewać. Wiesz, książę, że dzieci nie są tak kłopotliwe, kiedy już przybędą.

– Ach, pani, niewiele wiem – zaśmiał się Josua. – Szczególnie o tych sprawach. Nigdy dotąd nie byłem ojcem.

Wkrótce nadszedł ojciec Strangyeard w towarzystwie hrabiego Nad Mullach. Hrabia zmienił strój podróżny na ubranie Thrithingów: spodnie i koszulę z grubej, brązowej wełny. Na szyi miał złoty naszyjnik, a czarne włosy związał w koński ogon. Simon przypomniał sobie, że widział już Eolaira dawno temu w Hayholt, i po raz kolejny zamyślił się nad tym, jak dziwny jest los, który przesuwa ludzi w świecie jak pionki do gry.

– Witaj, Eolairze, witaj – przemówił Josua. – Aedon jest miłosierny, cieszę się, że cię widzę.

– Ja także, Wasza Wysokość. – Hrabia rzucił pod ścianą przy drzwiach torby juczne, które przyniósł ze sobą, i przyklęknął na jedno kolano. Kiedy

wstał, znalazł się w objęciach Josui. – Przywożę pozdrowienia od Hernystirczyków na wygnaniu.

Josua szybko przedstawił Eolaira tym, których hrabia dotąd jeszcze nie poznał. Witając się z Simonem, Eolair powiedział:

– Zdążyłem już o tobie usłyszeć od chwili mego przybycia tutaj. – Mówiąc to, uśmiechnął się ciepło. – Mam nadzieję, że znajdziesz trochę czasu, byśmy mogli porozmawiać.

Simon, mile połechtany, skinął głową.

– Oczywiście, hrabio.

Josua poprowadził Eolaira do długiego stołu, na którym spoczywał Cierń, przerażający i uroczysty niczym zmarły król złożony na marach.

– Słynny miecz Camarisa – powiedział Hernystirczyk. – Opowiadano mi o nim tyle razy, że teraz czuję się dziwnie, widząc, że istnieje naprawdę, że jest wykuty z metalu, tak jak inne miecze.

Josua pokręcił głową.

– Niezupełnie tak jak inne.

– Czy mogę go dotknąć?

– Oczywiście.

Eolair z trudem uniósł miecz z kamiennego stołu. Kiedy trzymał go w górze, żyły na jego szyi wyraźnie nabrzmiały. Po chwili odłożył broń, rozcierając dłonie.

– Ciężki jak kamień młyński.

– Czasami. – Josua poklepał go po ramieniu. – Lecz potrafi też być lekki jak piórko. Nie wiemy dlaczego ani w jaki sposób może być nam pomocny, ale to wszystko, co mamy.

– Ojciec Strangyeard powiedział mi o poemacie – odparł hrabia. – Sądzę, że i ja mogę coś dodać o Trzech Mieczach. – Rozejrzał się po

komnacie. – Jeśli jest to odpowiednia chwila.

– Jesteśmy na naradzie wojennej – odparł Josua. – Możemy mówić o wszystkim, co jest istotne, a szczególnie interesują nas nowiny dotyczące mieczy. Oczywiście chcemy też, byś opowiedział nam o swoich ludziach. Wiem, że Lluth nie żyje. Bardzo ci współczujemy. Był wspaniałym mężem i wielkim królem.

Eolair przytaknął.

– Gwythinn, jego syn, także zginął.

Siedzący niedaleko na stołku Deornoth jęknął.

– Och, to złe wieści! Opuścił Naglimund tuż przed oblężeniem. Co się stało?

– Wpadł w ręce ludzi Skalego Kaldskryke, którzy poćwiartowali go jak zwierzę. – Eolair mówił ze wzrokiem utkwionym w podłogę. – Rzucili jego ciało u stóp góry jak padlinę i odjechali.

– Niech będą przeklęci! – warknął Deornoth.

– Wstyd mi, że pochodzimy z tego samego kraju – powiedział młody Isorn.

Matka Isorna przytaknęła mu.

– Kiedy wróci mój mąż, policzy się z Ostronosym. – Powiedziała to z taką pewnością, jakby mówiła o mającym nastąpić zachodzie słońca.

– Mimo wszystko, tutaj wszyscy jesteśmy z jednego kraju – odezwał się Josua. – Jesteśmy jednym ludem. Odtąd będziemy razem występować przeciwko wspólnemu wrogowi. – Wskazał na ustawione pod ścianą stołki. – Siadajcie. Musimy sami sobie usługiwać: pomyślałem, że im mniej nas się tutaj zbierze, tym swobodniej będziemy mogli rozmawiać.

Kiedy już wszyscy usadowili się przy stole, Eolair opowiedział o upadku Hernystiru, zaczynając od opisu rzezi pod Inniscrich, w czasie której Lluth został śmiertelnie ranny. Gdy tylko zaczął mówić, na zewnątrz

dało się słyszeć jakieś hałasy. Chwilę później przez próg przeszedł, zataczając się, stary błazen, Towser, a tuż za nim Sangfugol, który próbował zatrzymać starca, ciągnąc go za koszulę.

– A więc to tak! – Towser wpatrywał się w Josuę czerwonymi oczami. – Nie jesteś bardziej lojalny od twojego krwiożerczego brata! – Błazen chwiał się, powstrzymywany wciąż przez Sangfugola. Towser był najwyraźniej pijany: twarz miał czerwoną, a włosy, te, które mu jeszcze pozostały, rozwiane.

– A niech cię, wracaj! – powiedział harfiarz. – Przepraszam, książę, zerwał się nagle i...

– I pomyśleć, że po tylu latach służby – mamrotał Towser – jestem... jestem... wyłączony – ostatnie słowo wymówił z buńczuczną dokładnością, nie bacząc na ślinę cieknącą mu po brodzie. – Wyłączony, wykluczony z twoich narad, choć byłem najbliższy twemu ojcu...

Josua wstał i spojrzał smutno na błazna.

– Staruszku, nie mogę teraz z tobą rozmawiać. Nie w takim stanie. – Zmarszczył brwi, widząc, jak Sangfugol mocuje się z Towserem.

– Pomogę, książę – odezwał się Simon. Nie mógł patrzeć na to, jak starzec się poniża.

Obaj z Sangfugolem zdołali obrócić Towsera. Błazen wydawał się opaść z sił, gdy tylko stracił z oczu księcia, i pozwolił się wyprowadzić z sali.

Na zewnątrz zimny wiatr owiewał szczyt wzgórza. Simon zdjął swój płaszcz i narzucił go na ramiona Towsera. Błazen usiadł na schodach; przypominał tłumok z chudych kości i cienkiej skóry.

– Chyba jest mi niedobrze – powiedział.

Simon poklepał go po ramieniu i spojrzał na Sangfugola, lecz wzrok harfiarza nie wyrażał większego współczucia.

– Jest jak dziecko – burknął Sangfugol. – Nie, dzieci są grzeczniejsze. Choćby taka milcząca wciąż Leleth.

– To ja im powiedziałem, gdzie znaleźć ten przeklęty miecz – wymamrotał Towser. – Pokazałem im, gdzie jest. Powiedziałem im też o tym drugim, o tym, którego Elias nie chciał wziąć do ręki. Mówiłem: „Twój ojciec chce, byś go przyjął”, ale on nie chciał słuchać. Odrzucił go, jakby trzymał w dłoni żmiję. A teraz ten czarny miecz. – Łza popłynęła po jego obrośniętym siwą szczeciną policzku. – Wyrzuca mnie jak skórkę pomarańczy.

– O czym on mówi? – spytał Simon.

Sangfugol skrzywił się.

– Zanim wyruszyliście po Cierń, mówił coś o nim księciu. Nie wiem, co on tam jeszcze wygaduje. – Pochylił się i chwycił Towsera za ramię. – Łatwo mu narzekać, nie musi bawić się w swoją niańkę. – Uśmiechnął się kwaśno do Simona. – No cóż, pewnie i w życiu rycerza przychodzą złe dni, prawda? Chwile, kiedy napadają cię wrogowie, co? – Postawił starca na nogi i czekał, aż Towser odzyska równowagę. – Tak, Simonie, ani Towser, ani ja nie jesteśmy dzisiaj w najlepszym nastroju. Ale to nie twoja wina. Przyjdź do mnie później, napijemy się wina.

Sangfugol odwrócił się i ruszył przez wysoką trawę; idąc, wspierał Towsera, lecz jednocześnie starał się trzymać go możliwie najdalej od swego czystego ubrania.

Książę Josua skinieniem głowy podziękował Simonowi, kiedy ten powrócił do Domu Rozstania; Simon miał dość mieszane uczucia, wykonując takie błahe rozkazy. Eolair kończył opowieść o upadku Hernystiru i ucieczce swego ludu w góry Grianspog. Gdy mówił o tym, jak pozostali przy życiu Hernystirczycy skryli się w jaskiniach we wnętrzu

góry, do których zaprowadziła ich królewska córka, księżna Gutrun uśmiechnęła się.

– Ta Maegwin to mądra dziewczyna. Powinniście się cieszyć, że jest z wami, skoro żona króla jest tak bezradna, jak mówicie.

Hrabia uśmiechnął się smutno.

– Masz rację, pani. Jest córką swego ojca. Kiedyś wydawało mi się nawet, że będzie lepszą władczynią niż Gwythinn, który bywał zbyt uparty, lecz teraz sam nie wiem.

Opowiedział, jak to Maegwin dziwaczała coraz bardziej, o jej snach i wizjach, a także o tym, jak te sny zaprowadziły ją i hrabiego w głąb góry, do starożytnego miasta Mezutu’a.

Wszyscy słuchali zdumieni relacji o niezwykłych mieszkańcach miasta, karlakach. Jedynie Binabik i Geloë nie okazywali większego zdziwienia, słysząc opowieść Eolaira.

– Wspaniałe – szepnął Strangyeard, wpatrując się w kopułę sufitu Domu Rozstania, jakby sam znajdował się w sercu góry. – Komnata Wiedzy! Cóż za wspaniałe opowieści musi w sobie skrywać.

– Później będziesz miał okazję przeczytać niektóre z nich – oświadczył Eolair nieco rozweselony. – Cieszę się, że duch nauki przetrwał srogą zimę. – Odwrócił się do pozostałych. – Lecz najważniejsze chyba jest to, co karlaki powiedziały o Wielkich Mieczach. Twierdzą, że oni wykuli Minneyar.

– Znamy trochę opowieść o Minneyarze – wtrącił Binabik. – Rzeczywiście występują w niej karlaki czy też dverningowie, jak nazywają ich ludzie z Północy.

– Najbardziej jednak interesuje nas to, co stało się z Minneyarem – dodał Josua. – My mamy jeden miecz. Elias ma drugi. Trzeci...

– Prawie każdy z nas widział trzeci miecz – powiedział Eolair. – A także miejsce, gdzie on spoczywa, jeśli karlaki się nie mylą. Otóż twierdzą one, że Fingil przyniósł Minneyara do Hayholt, lecz Prester John znalazł go i... i nazwał Białym Gwoździem. Josuo, jeśli oni mówią prawdę, miecz został pochowany razem z twoim ojcem.

– Och! – jęknął Strangyeard.

Pozostali milczeli zdumieni.

– Trzymałem go w dłoni – odezwał się wreszcie Josua. – Sam złożyłem go na piersi mego ojca. Jak to możliwe, by Biały Gwóźdź był Minneyarem? Ojciec nigdy o tym nie wspominał!

– Zgadza się – wtrąciła ożywiona Gutrun. – Nie powiedział też nic memu mężowi. Powtarzał Isgrimnurowi, że to stara opowieść bez znaczenia. – Księżna pokręciła głową. – Trzymał to w tajemnicy.

Simon, który słuchał dotąd w milczeniu, odezwał się wreszcie.

– Ale czy on nie przywiózł Białego Gwoździa z Waristenu, gdzie się urodził? – Spojrzał szybko na Josuę, obawiając się, że jest zbyt arogancki. – To znaczy, myślę o twoim ojcu. Tak przynajmniej mówiła opowieść, którą znałem.

Josua zmarszczył brwi zamyślony.

– Rzeczywiście tak mówiono, ale gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że ojciec nie był wśród tych, którzy stamtąd przybyli.

– Ależ tak! Tak! – Strangyeard wyprostował się, klaszcząc w dłonie. Opaska na oku przekrzywiła mu się tak, że jej krawędź osunęła się na brzeg nosa. – Ten fragment, który nie dawał spokoju Jarnaudze, fragment książki Morgenesa! Opisywał w nim, jak John zszedł do jaskini, by walczyć ze smokiem, ale idąc tam, miał ze sobą włócznię! Włócznię! Byliśmy zupełnie ślepi! – Duchowny zachichotał jak dziecko. – A przecież kiedy wyszedł z jaskini, miał Biały Gwóźdź! Och, Jarnaugo, gdybyś był tutaj z nami!

Książę uniósł dłoń.

– Wiele mamy do przemyślenia i trzeba będzie przypomnieć sobie niejedną opowieść, lecz teraz co innego jest ważniejsze. Jeśli karlaki mają rację, a ja czuję, że tak jest – kto nie uwierzyłby w równie szaloną opowieść w tak dziwnych czasach? – to musimy zdobyć ten miecz; nieważne, czy nazwiemy go Białym Gwoździem czy Minneyarem. Leży on w grobie mego ojca na Swertclif, tuż za murami Hayholt. Stojąc na murach, mój brat patrzy pewnie na kopiec. Gwardia królewska paraduje krawędzią klifu o świcie i o zmierzchu.

Chwila podniecenia minęła. Kiedy znowu zapadła cisza, Simon poczuł, że do głowy przychodzi mu pewna myśl. Była jeszcze niejasna, więc zatrzymał ją dla siebie. Poza tym była też przerażająca.

Wreszcie przemówił Eolair:

– Jest jeszcze coś, Wasza Wysokość. Mówiłem już o Komnacie Wiedzy, w której karlaki trzymają kamienne mapy wszystkich korytarzy, jakie wykuły we wnętrzu ziemi. – Wstał i podszedł do toreb, które zostawił przy drzwiach. Podniósł je i wrócił do stołu. Przechyliwszy sakwy, wysypał na ziemię plik zwojów z naoliwionej baraniej skóry. – Oto plany korytarzy pod Hayholt; karlaki twierdzą, że wykuły je w czasach, gdy zamek nosił nazwę Asu’a i należał do Sithów.

Strangyeard pierwszy rzucił się na kolana. Rozwinął jeden z rulonów z czułością kochanka.

– Ach! – Wciągnął głęboko powietrze. – Ach! – Chwilę później wyraz zdumienia zastąpił pełen uwielbienia uśmiech. – Muszę wyznać – odezwał się wreszcie – że jestem nieco, nieco rozczarowany. Nie spodziewałem się, że mapy karlaków okażą się takie... takie prymitywne!

– To nie są mapy karlaków – oświadczył Eolair nachmurzony. – Te mapy zostały sporządzone przez dwóch hernystirskich pisarzy, którzy

prawie w całkowitej ciemności i w bardzo nieprzyjemnym miejscu pracowicie kopiowali na skórze kamienne płyty map karlaków, bym mógł je wynieść na powierzchnię.

– Och! – Duchowny wyglądał na przerażonego. – Och, hrabio, wybacz! Wybacz!

– Nic nie szkodzi, Strangyeardzie. – Josua zwrócił się do hrabiego Nad Mullach: – Eolairze, przywiozłeś nam skarb, którego się nie spodziewaliśmy. Będziemy cię wychwalać pod niebiosa, kiedy wreszcie staniemy przed murami Hayholt.

– Niech ci służy, Josuo. Szczerze mówiąc, był to pomysł Maegwin. Nie jestem pewien, na co mogą wam się przydać moje mapy, ale wiedzy nigdy za dużo. Myślę, że twój archiwista zgodzi się ze mną. – Wskazał na Strangyearda, który myszkował wśród rulonów jak kozioł w świeżej kępie trawy. – Lecz muszę przyznać, że przybyłem do was z nadzieją na coś więcej niż tylko podziękowania. Opuszczając Hernystir, spodziewałem się ujrzeć armię rebeliantów, z którą moglibyśmy przepędzić z naszej ziemi Skalego. Teraz jednak widzę, że nie bardzo możesz gdziekolwiek posłać armię.

– Nie – odparł ponuro Josua. – Jest nas wciąż bardzo mało. Ciągle przybywają nowi, ale trzeba by długo czekać, zanim miałbym tylu ludzi, by wysłać wam na pomoc choć mały oddział. – Wstał i odszedł kilka kroków, rozcierając kikut prawego nadgarstka, jakby odczuwał w nim ból. – Wydaje się, że prowadzimy tę wojnę z zawiązanymi oczami: od samego początku nie wiemy, z jakimi walczymy siłami. Teraz, kiedy zaczynamy trochę rozumieć, z kim mamy do czynienia, jest nas tak mało, że jedyne, co możemy zrobić, to ukryć się tutaj, w najdalszym zakątku Osten Ard.

Deornoth pochylił się, zmarszczywszy brwi.

– Gdybyśmy wiedzieli, gdzie uderzyć, książę, ludzie z pewnością zebraliby się pod twoim sztandarem. Poza Łąkami Thrithingów mało kto wie, że ty w ogóle żyjesz.

– Prawda, książę Josuo – wtrącił Isorn. – W Rimmersgardzie jest wielu, którzy nienawidzą Skalego. Niektórzy spośród nich pomogli mi się ukryć, kiedy uciekłem z obozu Ostronosego.

– Jeśli już o tym mówimy, to w Hernystirze wieść, że przeżyłeś, jest tylko niejasną pogłoską. Moja podróż okaże się bardzo owocna, jeśli zawiozę ludziom potwierdzenie tej plotki.

Spacerujący w czasie rozmowy Josua zatrzymał się.

– Hrabio Eolairze, zawieziesz im o wiele więcej. Uwierz mi, o wiele więcej. – Przesunął dłonią po oczach, jak ktoś, kogo obudzono za wcześnie. – Co za dzień! Przerwijmy naszą naradę i posilmy się. Muszę przemyśleć to, co usłyszałem. – Uśmiechnął się znużony. – A poza tym powinienem pójść do żony. – Uniósł ramię. – Wstajemy. Wszyscy wstajemy. No, może poza tobą, Strangyeardzie, ty chyba zechcesz tutaj pozostać?

Archiwista nie podniósł nawet głowy znad stosu skórzanych rulonów.

POGRĄŻONY W PLĄTANINIE MROCZNYCH MYŚLI, Pryrates nie od razu usłyszał ten dźwięk. Kiedy wreszcie dotarł do niego przez mgłę zamyślenia, duchowny zatrzymał się nagle, powstrzymując nogę przed postawieniem kolejnego kroku.

Azha she'she t'chako, urun she'she bhabekro...

Dźwięk dochodzący z pogrążonej w ciemności klatki schodowej był delikatny, lecz przerażający, niczym uroczysta melodia, która wydobywała się i znikała w bolesnym dysonansie. Mógł to być hymn pająka owijającego swoją ofiarę lepką nicią. Powolny i eteryczny odgłos snuł się między innymi dźwiękami ze zręcznością, która sugerowała, że celowo nie układał

się on w żadną melodię czy może opierał na zupełnie obcej śmiertelnikom linii melodycznej.

Mudhul samat’ai, Jabbak s’era memekeza sanayha-z’a

Ninyek she’she, hamut’tke agrazh’a s’era ye...

Ktoś inny z pewnością wolałby się odwrócić i uciec na wyższe, skąpane w świetle dnia piętra zamku, niż spotkać tego, kto śpiewa tak niezwykłą pieśń. Lecz Pryrates nie zawahał się ani na chwilę i ruszył w dół; odgłos jego kroków odbijał się echem na kamiennych schodach. Drugi motyw melodii współbrzmiał z pierwszym; był równie obcy, równie przeraźliwie powolny. Teraz oba przypominały wycie wiatru nad otworem komina.

Pryrates dotarł do podestu i skręcił w korytarz. Dwaj Nornowie, którzy stali przed ciężkimi, dębowymi drzwiami, zamilkli nagle. Kiedy zbliżył się do nich, obrzucili go obojętnym, nieco pogardliwym spojrzeniem kota, któremu nie pozwala się dłużej wygrzewać na słońcu. Pryrates pomyślał, że jak na Hikeda’ya są wysocy: byli słusznego wzrostu, choć chudzi jak wygłodniali żebracy. Trzymali niedbale swoje srebrzystobiałe lance, a ich trupio blade twarze tchnęły spokojem, płynącym z wnętrza narzuconych na głowy kapturów.

Pryrates wpatrywał się w Nornów, a oni uważnie przyglądali się jemu.

– I co? Będziecie się na mnie gapili czy otworzycie mi drzwi?

Jeden z Nornów skłonił wolno głowę.

– Tak, Lordzie Pryratesie. – Słowa te wypowiedział z silnym akcentem, lecz w jego lodowatym głosie nie było nawet cienia uległości. Odwrócił się i otworzył ogromne drzwi, za którymi ukazał się oświetlony pochodniami korytarz i kolejne schody.

Pryrates przeszedł między dwoma strażnikami i poszedł w dół. Drzwi zamknęły się za nim. Nie uszedł nawet dziesięciu kroków, kiedy dziwna melodia znowu rozbrzmiała.

MŁOTY WZNOSIŁY SIĘ I OPADAŁY Z HUKIEM, formując coraz chłodniejszy metal w kształty przydatne Królowi, który siedział w mrocznej sali tronowej wysoko nad swoją odlewnią. Hałas był okropny, smród – zapach siarki, rozgrzanego do białości żelaza, spieczonej na proszek skały, a nawet słodkawa woń spalonego ludzkiego mięsa – jeszcze gorszy. Postacie, jakie przemykały tam i z powrotem przez ogromną odlewnię, były straszliwie zniekształcone, jakby roztapiały się pod wpływem żaru panującego w podziemnej pieczarze. Nawet gruba ochronna odzież nie mogła tego ukryć. Pryrates wiedział, że w królewskiej odlewni pozostali tylko ci o najbardziej zniekształconych ciałach lub wypaczonych duszach lub ci, których dotknęło i jedno, i drugie. Nielicznym udało się uciec, lecz większość spośród sprawnych pracowników zmarła z wyczerpania pod czujnym okiem Incha, niezdarnego nadzorcy. Niektórych wybrał do swoich eksperymentów Pryrates; ci, którzy przeżyli, powrócili tutaj, by umrzeć we wnętrzu pieców, których przedtem doglądali.

Doradca Króla patrzył poprzez gęsty dym, jak hutnicy poruszają się ciężko albo odskakują jak przypalane żaby, kiedy jęzor ognia wypełzał z pieca zbyt daleko.

„W każdym razie – pomyślał Pryrates – Inch obchodzi się z nimi z większą miłością i rozwagą, niż ja sam bym to zrobił”.

Pryrates uśmiechnął się na myśl o swojej okrutnej lekkomyślności; i tak uważał to za cud, że w ogóle pozostał jeszcze ktoś, kto mógł palić w piecach i zajmować się rozżarzonym metalem.

Dudnienie młotów ustało na chwilę i wtedy Pryrates usłyszał za sobą jakieś skrzypienie. Odwrócił się niezbyt szybko, by nie wydawało się, że jest zaskoczony, na wypadek gdyby go ktoś obserwował. Czerwony duchowny nie bał się niczego: zależało mu na tym, by wszyscy to wiedzieli.

Ujrzawszy, co było źródłem dźwięku, wyszczerzył zęby w uśmiechu i splunął na kamień.

Znaczną część ściany jaskini za jego plecami zakrywało ogromne młyńskie koło – wielkie, drewniane, okute żelazną obręczą i osadzone na piaście wyciętej z olbrzymiego pnia, czerpało wodę z rączego strumienia, który przepływał przez odlewnię, i rozlewało ją do niezwykle pomysłowego labiryntu koryt. Te z kolei kierowały wodę do różnych miejsc w odlewni, gdzie służyła ona do chłodzenia metalu, gaszenia ognia lub też – jeśli przyszła na to ochota Inchowi – do polewania spragnionych i wycieńczonych żarem pracowników odlewni. Obracające się koło prowadziło także pokryte czarną pianą żelazne łańcuchy; największy z nich ginął wysoko w ciemności, gdzie napędzał pewne urządzenia, którymi tak bardzo interesował się Pryrates. Lecz w tej chwili alchemik skupił swoją uwagę na nabierających wodę i wznoszących się ku górze czerpakach koła. Zastanawiał się, czy nie dałoby się wybudować podobnego urządzenia, lecz wielkości góry; poruszane siłą mięśni tysięcy niewolników mogłoby drążyć dno morskie i odkryć tajemnice skrywane od wieków w jego mrokach.

Kiedy tak rozmyślał nad tym, jakie to fascynujące sekrety skrywa stary jak świat morski szlam, jego ramienia dotknęła wielka dłoń o czarnych paznokciach. Pryrates odwrócił się błyskawicznie i jednym ruchem odtrącił rękę.

– Jak śmiesz mnie dotykać? – syknął, mrużąc oczy. Wyszczerzył zęby, jakby chciał rzucić się do gardła stojącej przed nim wysokiej, przygarbionej postaci.

Inch patrzył na niego przez chwilę, zanim odpowiedział. Jego okrągłą twarz pokrywały plamy zarostu i blizny od ognia. Jak zawsze sprawiał wrażenie twardego i niewzruszonego kamienia.

– Chcesz ze mną mówić?

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj. – Pryrates mówił teraz opanowanym głosem, lecz wciąż brzmiała w nim drwiąca, śmiertelna nuta. – Nigdy.

Inch zmarszczył swe nierówne brwi. Dziura w miejscu, gdzie kiedyś było oko, ziała nieprzyjemną pustką.

– Czego chcesz?

Alchemik wziął głęboki oddech, powstrzymując wściekłość, która czarną chmurą wypełniała jego umysł. Sam zdumiał się swoją gwałtowną reakcją. Nie warto było tracić energii na paskudnego nadzorcę odlewni. Kiedy Inch zrobi swoje, będzie można go zarżnąć jak głupie bydlę, którym przecież jest. Na razie jednak realizował plany Króla, a co ważniejsze – także Pryratesa.

– Król chce, by umocniono mur obronny. Nowe legary, nowe krzyżulce, wszystko z najlepszego drewna, jakie można sprowadzić z Kynslagh.

Inch opuścił głowę zamyślony. Widać było, jak wielki jest to dla niego wysiłek.

– Kiedy ma to zostać zrobione? – odezwał się wreszcie.

– Przed świętem Candlemansy. Spóźnisz się o tydzień, a ty i twoje potwory dotrzymacie towarzystwa krukom na Bramie Nearulagh. – Pryrates uśmiechnął się w duchu na myśl o zdeformowanej głowie Incha nabitej na bramę. Nawet kruki nie będą się biły o taki kąsek. – Żadnych usprawiedliwień, masz na to jedną trzecią roku. A skoro już mówimy o Bramie Nearulagh, to i tam masz coś do zrobienia. Ważne zadanie. Trzeba ją umocnić. – Sięgnął pod szatę i wyjął zwój. Inch rozwinął go i podniósł do góry, by uchwycić światło ognia. – To także trzeba skończyć przed Candlemansą.

– Gdzie jest królewska pieczęć? – Inch patrzył teraz zadziwiająco bystrym wzrokiem.

Dłoń Pryratesa śmignęła w powietrzu. Wzdłuż jego palców popłynęły strużki żółtawego blasku. Światło zamigotało i po chwili zgasło. Ręka alchemika opadła i zniknęła w fałdach obszernego rękawa jego purpurowej szaty.

– Jeśli jeszcze raz zaczniesz kwestionować moje polecenia – wycedził przez zęby – zostanie z ciebie popiół.

Twarz nadzorcy odlewni pozostawała niewzruszona.

– Wtedy brama i mur nie zostaną ukończone. Tylko doktor Inch potrafi zmusić ich, by pracowali tak szybko.

– Doktor Inch. – Wąskie usta Pryratesa wykrzywił szyderczy uśmiech. – Ratuj mnie, Usiresie, mam już dosyć rozmawiania z tobą. Rób swoje, tak jak każe Król. Masz więcej szczęścia, niż ci się wydaje, głupku. Ujrzysz początek nowej ery, złotego wieku. – Ale tylko początek, i to nie cały – dodał w myśli. – Wrócę za dwa dni. Powiesz mi, ilu potrzebujesz ludzi i jakiego sprzętu.

Kiedy odchodził, wydawało mu się, że Inch woła coś jeszcze do niego, lecz odwróciwszy się, ujrzał nadzorcę wpatrzonego w grube szprychy nieustannie obracającego się koła. Młoty waliły głośno, lecz Pryrates wciąż słyszał złowieszcze, ponure skrzypienie koła.

KSIĄŻĘ ISGRIMNUR STAŁ OPARTY O PARAPET, pocierając dłonią świeży zarost i wpatrując się w brudną wodę kanałów Kwanitupulu. Burza minęła, rzadko padający o tej porze śnieg stopniał i powietrze znowu stało się wilgotne, choć wciąż było dziwnie zimno. Isgrimnur czuł coraz silniejszą potrzebę działania, czuł, że musi coś zrobić.

„Jestem uwięziony – pomyślał. – Jakby przygwoździli mnie strzałą do ściany. Czuję się zupełnie tak samo jak w czasie tamtej przeklętej bitwy nad jeziorem Clodu”.

Lecz oczywiście nie było żadnych łuczników, żadnych atakujących go wrogów. Kwanitupul, pozbywszy się, przynajmniej na razie, obcego o tej porze zimna i wypełniwszy się swą zwyczajową aurą chciwości, nie zwracał na Isgrimnura większej uwagi niż na tysiące pozostałych przybyszów, którzy niczym pchły panoszyli się na podupadłym ciele miasta. Nie, to okoliczności usidliły byłego pana Elvritshalli, to one stały się o wiele bardziej nieugiętym wrogiem niż jakakolwiek ludzka siła, bez względu na to, jak wielu liczyła wojowników i jak dobrze byli oni uzbrojeni.

Isgrimnur wyprostował się i odwrócił z westchnieniem, by spojrzeć na Camarisa, który siedział przy przeciwległej ścianie, zawiązując i rozwiązując kawałek liny. Starzec, niegdyś największy rycerz Osten Ard, podniósł wzrok i uśmiechnął się z niewinnością głupkowatego dziecka. Pomimo swego wieku, o którym świadczyły choćby zupełnie siwe włosy, miał zadziwiająco dobre zęby. Zachował też siłę, której pozazdrościłby mu niejeden zabijaka z portowych tawern.

Mimo licznych wysiłków Isgrimnurowi nie udało się zmazać z jego twarzy tego irytującego uśmiechu. Nie miało znaczenia, czy Camaris został zaczarowany, ranny w głowę czy tylko dotknięty starością, rezultat był ten sam: książę nie potrafił wzniecić w nim nawet najsłabszej iskierki wspomnień. Starzec nie poznawał Isgrimnura, nie pamiętał przeszłości ani nawet swego prawdziwego imienia. Gdyby nie fakt, że książę znał Camarisa tak dobrze, zwątpiłby pewnie we własną pamięć, lecz Isgrimnur przebywał ze sławnym rycerzem Johna w dzień i w nocy, latem i zimą, w dobrych i złych czasach. Starzec mógł siebie nie rozpoznawać, ale Isgrimnur nie miał żadnych wątpliwości.

Lecz co można było zrobić? Nieważne, czy starzec oszalał, czy nie, należało mu pomóc. Najprostszym rozwiązaniem wydawało się zabranie

Camarisa do tych, którzy jeszcze go pamiętają i oddadzą mu cześć. Nawet jeśli świat budowany przez Camarisa walił się teraz, jeśli Król Elias zniweczył marzenia Johna, starzec zasługiwał na lepsze traktowanie niż to, jakie mu zgotowano w tej portowej dziurze. Poza tym, jeśli przetrwali jacyś ludzie księcia Josui, to powinni się dowiedzieć, że Camaris żyje. Starzec mógł stanowić wspaniały symbol nadziei i lepszej przyszłości, a Isgrimnur – mądry polityk pomimo swych licznych porywczych wystąpień – znał doskonale wartość symbolu.

Nawet jeśli Josua lub jacyś z jego ludzi przeżyli i zebrali się gdzieś na Północy, jak mówiono na placach Kwanitupulu, w jaki sposób Isgrimnur razem z Camarisem mogli przedostać się przez pełny wrogów Nabban? Czy w ogóle mógł opuścić gospodę? Ojciec Dinivan, umierając, polecił mu sprowadzić tam Miriamele. Książę, zanim ją odnalazł, musiał uciekać z Sancellan Aedonitis, lecz Miriamele mogła wiedzieć o tym miejscu, może powiedział jej o nim sam Dinivan! Mogła przybyć tam sama, pozbawiona przyjaciół, i zobaczyć, że Isgrimnur odjechał. Czy wolno mu było podjąć takie ryzyko? Przecież przysięgał Josui – nie miało znaczenia, czy książę żyje jeszcze, czy nie – że zrobi wszystko, by jej pomóc.

Zanim przybył do gospody, Isgrimnur miał nadzieję, że Tiamak, który w jakiś tajemniczy sposób stał się zaufanym Dinivana, wie coś o miejscu pobytu Miriamele, ale jego nadzieje okazały się płonne. Mocno nagabywany śniady Wrańczyk przyznał, że i jemu Dinivan polecił udać się do gospody, lecz nie powiedział po co. Poruszony bardzo wieścią o śmierci Dinivana i Morgenesa, Tiamak nie okazał się w niczym pomocny Isgrimnurowi. W rzeczywistości był dość ponurym towarzyszem. Bez wątpienia wciąż dokuczała mu noga, która, jak mówił, ucierpiała w czasie walki z krokodylem. Mimo to Isgrimnur uważał, że Tiamak mógłby w większym stopniu przyczynić się do rozwiązania licznych zagadek,

z których największą był powód, dla którego Dinivan skierował ich do tej gospody. Jednak Wrańczyk chodził tylko nadąsany po pokoju – pokoju, za który zapłacił Isgrimnur – albo też pisał coś całymi godzinami lub włóczył się, kuśtykając po ulicach Kwanitupulu, jak zapewne miało to miejsce teraz.

Isgrimnur chciał właśnie coś powiedzieć do milczącego Camarisa, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Drzwi skrzypnęły i w szparze ukazała się twarz właścicielki gospody, Charystry.

– Przyniosłam jedzenie, o które prosiłeś. – Powiedziała to takim tonem, jakby robiła mu wielką przysługę, podczas gdy Isgrimnur zapłacił o wiele więcej, niż warte były jej usługi. – Smaczny chlebek i zupa. Bardzo dobra. Z fasolą. – Postawiła wazę na niskim stole, a obok niej trzy miski. – Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz zejść na dół i jeść ze wszystkimi. – Wszyscy oznaczało dwóch wrańskich kupców handlujących piórami i wędrownego szlifierza kamieni, który aktualnie szukał pracy.

– Ponieważ płacę ci za to, żebym nie musiał jeść z nimi – warknął Isgrimnur.

– Gdzie jest twój towarzysz z bagien? – Charystra rozlała do misek parującą zupę.

– Nie wiem i nie sądzę, byś musiała się tym kłopotać. – Spojrzał na nią groźnie. – Chodziłaś gdzieś dzisiaj ze swoim przyjacielem?

– Na targ – rzuciła opryskliwie. – Nie mogę używać mojej łodzi, gdyż on – mając zajęte ręce, wskazała głową w stronę Camarisa – nie naprawił jej do dzisiaj.

– I nie zrobi tego. Nie pozwolę mu na to, choćby ze względu na jego godność; za to też ci płacę. – Isgrimnur zaczynał tracić cierpliwość. Charystra zawsze wystawiała na próbę rycerskość księcia. – Lubisz mleć językiem, kobieto. Ciekawe, co opowiadasz swoim przyjaciółkom na targu o mnie i o innych dziwnych gościach.

Rzuciła mu szybko uważne spojrzenie.

– Nic. Zupełnie nic.

– Lepiej, żeby tak było. Zapłaciłem ci za to, żebyś nic nie gadała o... o moim przyjacielu. – Spojrzał na Camarisa, który zadowolony jadł łyżką oleistą zupę. – Jednak gdyby przyszło ci do głowy brać ode mnie pieniądze i rozpowiadać po ludziach, to zapamiętaj jedno: jeśli powiesz komuś o mnie albo o tym, co tutaj robię... pożałujesz, że to zrobiłaś. – Jego ostatnie słowa zabrzmiały jak grzmot pioruna.

Charysta cofnęła się o krok przestraszona.

– Nikomu nic nie mówię! Sir, nie musisz mi grozić! Nie masz najmniejszego powodu! Najmniejszego! – Ruszyła w stronę drzwi, wymachując chochlą, jakby chciała odeprzeć ciosy. – Mówiłam przecież, że nic nie powiem, i tak będzie. Każdy potwierdzi, że Charystra dotrzymuje słowa! – Szybko zrobiła znak Drzewa i zniknęła za drzwiami, pozostawiając tłuste plamy na drewnianej podłodze.

– Rzeczywiście – prychnął Isgrimnur. Wpatrywał się w parującą ciecz w swojej misce. – Rzeczywiście, jej zapłacić za milczenie. To tak, jakby słońcu zapłacić za to, żeby nie świeciło. – Rozdawał pieniądze, jakby to była wrańska woda, a przecież wkrótce się skończą. Co wtedy zrobi? Złościł się, kiedy zaczynał o tym myśleć. – Rzeczywiście – powtórzył. – A niech mnie.

Camaris otarł brodę i uśmiechnął się, patrząc przed siebie.

SIMON POCHYLIŁ SIĘ NAD KAMIENIEM i spojrzał w dół. Blade słońce znajdowało się nieomal nad jego głową; promienie przedzierały się przez ścianę zarośli, pozostawiając ślad na zboczu wzgórza.

– Jest – zawołał i oparł się o wygładzoną wiatrem kamienną kolumnę.

Biały kamień wciąż jeszcze tchnął porannym chłodem; był zimniejszy od powietrza. Po chwili Simon poczuł przenikający go do szpiku kości chłód. Odsunął się od kolumny i odwrócił tak, by móc przyjrzeć się krawędzi wzgórza. Ustawione pionowo kamienie sprawiały, że wierzchołek wzgórza przypominał królewską koronę. Niektóre z pradawnych kolumn przewróciły się, przez co korona wydawała się w dość opłakanym stanie, lecz pozostałe trwały na miejscu, spełniając swoje zadanie od niepamiętnych czasów.

„Wyglądają zupełnie jak Kamienie Gniewu na Thisterborgu – pomyślał. – Czy i to miejsce należało do Sithów? Krążyło o nim tyle dziwnych opowieści. Gdzie oni się podziewają?”

– Idziecie? – zawołał.

Nie słysząc odpowiedzi, obszedł kamień i zsunął się nieco w dół zbocza. Przez cały czas uważał, by nie wypuścić z dłoni kęp wrzosu, choć jego gałązki kuły go w dłonie: błotniste zbocze było bardzo zdradliwe. Widoczną poniżej dolinę wypełniała szara woda, której powierzchnia prawie się nie poruszała, przez co sprawiała wrażenie kamiennej podłogi. Simon mimowolnie przypomniał sobie dni, kiedy wspiął się do dzwonnicy Wieży Zielonego Anioła i zdawało mu się, że siedzi wśród chmur ponad światem. Tutaj, na *Sesuad’ra*, miał wrażenie, że całe to kamienne wzgórze dopiero co się narodziło z odwiecznego błota. Łatwo było udawać, że poza nim nic nie istnieje, że tak właśnie musiało być, kiedy Bóg stanął na szczycie góry Den Haloi i stworzył świat, jak mówiła *Księga Aedona*.

Jiriki opowiadał Simonowi o tym, jak Narodzeni w Ogrodzie przybyli do Osten Ard. Sitha mówił, że wtedy ocean zalewał znaczną część świata, podobnie jak teraz zalewa Zachód. Lud Jirikiego przypłynął stamtąd, gdzie wschodzi słońce; pokonując niewyobrażalne odległości, przybył na pokryte zielenią wybrzeże świata, który nie znał jeszcze istot ludzkich, świata, który

był ogromną wyspą na otaczającym go oceanie. Jiriki sugerował też, że jakiś kataklizm zmienił później oblicze tego świata, tak że wody oceanu cofnęły się na wschód i na południe, odkrywając nowe góry i łąki. Dlatego Narodzeni w Ogrodzie nie mogli już powrócić do swego utraconego domu.

Simon zastanawiał się nad tym, spoglądając na wschód. Ze szczytu *Sesuad'ra* widać było jedynie ciągnące się po horyzont ciemne stepy, nieskończoną, szarozieloną równinę. Simon słyszał, że wschodnie stepy stanowiły nieprzyjazną krainę jeszcze przed straszną zimą; im dalej na wschód od lasu Aldheorte, tym bardziej stawały się jałowe i wrogie. Podróżni twierdzili, że nawet Thrithingowie i lud Hyrka zapuszczali się w nie tylko do pewnej granicy. Słońce nigdy tam nie świeciło w pełni i cała kraina tonęła w wiecznym mroku. Nieliczni śmiałkowie, którzy postanowili przebyć ją w poszukiwaniu nowych lądów, nigdy nie powrócili.

Simon zdał sobie nagle sprawę z tego, że minęła długa chwila, a on wciąż jest sam. Miał już znowu zawołać, kiedy zobaczył Jeremiasa, jak przedziera się przez jeżyny i wysoką po pas trawę w kierunku krawędzi wzgórza. Giermek prowadził za rękę Leleth, prawie niewidoczną w falujących zaroślach. Wydawało się, że dziewczynka polubiła Jeremiasa, choć jedyną tego oznaką był fakt, że trzymała się blisko niego. Wciąż milczała, a jej oblicze było poważne i nieobecne, lecz kiedy nie mogła być z Geloë, prawie zawsze pozostawała z Jeremiasem. Simon domyślał się, że być może dziewczynka wyczuwała w młodym giermku przyjazną duszę, kogoś, kto również został głęboko zraniony.

– Czy on ginie między skałami, czy płynie w dół zbocza? – zawołał Jeremias.

– I tak, i tak – powiedział Simon, wskazując palcem.

Od jakiegoś czasu szli wzdłuż strumienia, który wypływał z budynku nazwanego przez Geloë Domem Wód. Strumień miał tajemnicze źródło

wśród skał i tworzył poniżej niewielki staw, który stał się źródłem wody pitnej dla Nowego Gadrinsett, a zarazem jednym z ośrodków spotkań i handlu osadników. Potem wąską strużką przepływał przez Wodny Dom, postawiony na jednym z najwyższych punktów wzgórza, i wił się po jego wierzchołku, pojawiając się i znikając w zależności od ukształtowania terenu. Simon nigdy dotąd nie widział i nie słyszał o podobnym strumieniu – no bo kto słyszał o strumieniu na szczycie wzgórza? – dlatego postanowił prześledzić jego bieg i być może znaleźć jego źródło, zanim uniemożliwi to powrót burzy.

Jeremias dołączył do Simona. Obaj znaleźli się na zboczu, nieco poniżej wierzchołka wzgórza, i spoglądali na rączy strumień.

– Czy myślisz, że płynie do samego dołu? – Jeremias wskazał na rozległą, szarą fosę wokół Kamienia Rozstania. – A może dalej znowu kieruje się w głąb skały?

Simon wzruszył ramionami. Woda, która wypływała z samego serca świętej góry Sithów, rzeczywiście mogła zawracać do jej wnętrza niczym niepojęte koło stworzenia i zagłady, niczym przyszłość, która zbliża się, by wchłonąć teraźniejszość, a potem zaraz odchodzi, stając się przeszłością. Chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie usłyszał Leleth przedzierającą się przez zarośla na zboczu wzgórza. Simon niepokoił się o nią, choć ona sama wydawała się nie przejmować niebezpiecznym zejściem. A przecież łatwo można się było pośliznąć na stromym zboczu.

Jeremias przeszedł kilka kroków pod górę i chwyciwszy ją za ramiona, przeniósł niżej i postawił obok siebie. Kiedy Leleth znajdowała się przez chwilę w górze, luźna sukienka przesunęła się wyżej, i Simon zobaczył na jej udach blizny, długie czerwone pręgi. Pomyślał, że jej brzuch musi wyglądać jeszcze gorzej.

Przez cały ranek zastanawiał się nad tym, co usłyszał w Domu Rozstania o Wielkich Mieczach i innych sprawach. Wszystko to wydawało mu się tak abstrakcyjne, jakby on sam, jego przyjaciele i wrogowie, Elias, a nawet straszliwy Król Burz byli tylko malutkimi pionkami na planszy sithijskiej gry shent, które można ustawiać w niezliczonych konfiguracjach. Nagle przypomniał sobie wszystkie okropieństwa niedawnej przeszłości. Leleth, niewinne dziecko, została okrutnie poturbowana przez ogary z Burzowej Góry, tysiące innych ludzi pozbawiono domu, osierocono, terroryzowano i zabijano. Poczuł wzbierający potężny gniew i aż się zachwiał, jakby siła uczucia mogła go przewrócić. Jeśli istniała jakakolwiek sprawiedliwość, ktoś zapłaci za to, co się stało, za Morgenesa, Haestana, Leleth, za Jeremiasa, mizernego chłopca przepełnionego niewypowiedzianym smutkiem, i wreszcie za Simona, przygnębionego i bezdomnego.

„Litościwy Usiresie, gdybym tylko mógł, zabiłbym ich wszystkich. Eliasa, Pryratesa i Nornów o białych twarzach, wszystkich zabiłbym własnymi rękoma, gdybym tylko mógł”.

– Widziałem ją na zamku – powiedział Jeremias.

Simon spojrzał na niego zaskoczony. Dłonie zacisnął tak mocno, że aż poczuł ból.

– Co?

– Leleth. – Jeremias wskazał głową na dziewczynkę; rozglądała się po zalanej wodą dolinie, rozmazując brud na twarzy. – Kiedy była pokojówką księżniczki Miriamele. Pamiętam, że wtedy myślałem sobie: „Jaka ładna dziewczynka”. Ubrana była na biało i nosiła kwiaty. Wtedy zawsze wydawała mi się taka czysta. – Jeremias roześmiał się cicho. – Spójrz na nią teraz.

Simon poczuł nagle, że nie chce rozmawiać o smutnych rzeczach.

– Popatrz na siebie – powiedział. – Sam nie wyglądasz lepiej.

Jeremias mówił dalej:

– Simonie, czy ty naprawdę ją znałeś? Chodzi mi o księżniczkę.

– Tak. – Simon nie miał ochoty jeszcze raz opowiadać Jeremiasowi całej historii. Strasznie rozczarowała go wiadomość o tym, że Miriamele nie jest z Josuą, a także przeraziła myśl, iż nikt nie wie, gdzie ona przebywa. Marzył, aby opowiedzieć jej o swoich przygodach i o tym, że otworzy szeroko swe jasne oczy na wieść o smoku.

– Tak – powtórzył. – Znałem ją.

– Czy była tak piękna, jak powinna być księżniczka? – spytał żywo Jeremias.

– Tak myślę. – Simon niechętnie mówił o Miriamele. – Tak, była piękna, to znaczy jest piękna.

Jeremias chciał jeszcze o coś zapytać, ale w tym momencie rozległ się czyjś głos.

– Ho! – zawołał ktoś z góry. – Tutaj jesteście!

Z góry patrzyła na nich jakaś dziwna, dwugłowa postać. Jedna z głów miała spiczaste uszy.

– Próbujemy odkryć, skąd wypływa i dokąd płynie strumień, Binabiku – zawołał Simon.

Wilczyca przekrzywiła głowę i zaszczekała.

– Simonie, Qantaqa twierdzi, że powinniście przerwać swoje poszukiwania. – Binabik roześmiał się. – A poza tym Josua polecił, aby wszyscy powrócili do Domu Rozstania. Jest jeszcze wiele do omówienia.

– Idziemy.

Simon i Jeremias ujęli małe, zimne dłonie Leleth i ruszyli w górę. Z nieba spoglądało na nich mleczne oko słońca.

WSZYSCY, KTÓRZY ZEBRALI SIĘ RANO w Domu Rozstania, powrócili tam teraz. Rozmawiali cicho, jakby onieśmieleni ogromem i dziwnym kształtem komnaty, która wydawała się inna poprzedniego wieczoru, kiedy wypełniały ją tłumy. Przez okna sączyło się do środka niewyraźne światło popołudnia, lecz było ono tak słabe, że rozlewało się po całym pomieszczeniu i właściwie nie było wiadomo, skąd pochodzi. Misterne płaskorzeźby na ścianach lśniły, jakby promieniowały własnym blaskiem, przypominając Simonowi migocący mech w korytarzach pod Hayholt. Błądził w nich w miażdżącej ciemności. Wydawało mu się, że nigdy stamtąd nie wyjdzie. Chyba miało znaczenie to, że wtedy przeżył. Musiała być jakaś tego przyczyna!

„Proszę, Aedonie – modlił się. – Nie prowadź mnie tak daleko, bym musiał umrzeć”.

Ale przecież przeklął Boga za śmierć Haestana. Pomyślał, że za późno na poprawę.

Otworzywszy oczy, Simon zobaczył, że do sali przybył już Josua. Książę wracał właśnie od Vorzhevy i zapewnił wszystkich, że jego żona czuje się lepiej.

Wraz z nim przybyli dwaj inni, których nie było na porannej naradzie: Sludig, który przeprowadzał zwiad obrzeży doliny, oraz barczysty młodzieniec z Falshire o imieniu Freosel – jego to wybrano na konstabla Nowego Gadrinsett. Pomimo młodego wieku Freosel miał czujne spojrzenie kogoś, kto wiedział, co to uliczna bójka. Na jego twarzy widniały liczne blizny, a u jednej dłoni brakowało dwóch palców.

Kiedy ojciec Strangyeard odmówił krótką modlitwę i upomniano nowego konstabla, by zachował w tajemnicy wszystko, co usłyszy, wstał książę Josua.

– Musimy zdecydować o wielu rzeczach, lecz zanim to się stanie, pozwólcie, że powiem kilka słów o szczęściu i lepszych czasach. Bóg udzielił nam swojej łaski, gdy wydawało się, że czeka nas nieuchronna klęska. Podjęliśmy trud zdobycia jednego z trzech Wielkich Mieczy, który być może przyczyni się do naszego zwycięstwa, i wyprawa się powiodła. Każdego dnia coraz więcej ludzi zbiera się pod naszym sztandarem, tak że niebawem wystawimy armię, z którą będzie musiał liczyć się nawet Wielki Król. Oczywiście wciąż mamy ogromne potrzeby. Prawdą jest, że możemy zebrać armię spośród tych, którzy zmuszeni byli opuścić swoje domy w całym Erkynlandzie, lecz by pokonać Wielkiego Króla, potrzeba więcej ludzi. Prawdą jest też, że coraz trudniej jest nam wyżywić i dać schronienie naszym osadnikom. Trzeba się także liczyć z faktem, że nawet największa, najlepiej wyposażona armia może nie być w stanie pokonać sprzymierzeńca Eliasa, Króla Burz. – Josua zamilkł na chwilę. – Dlatego uważam, że musimy dzisiaj odpowiedzieć na trzy pytania: Co zamierza zrobić mój brat? Jak możemy zebrać siłę na tyle dużą, by go powstrzymać? W jaki sposób odnaleźć pozostałe dwa miecze, Gwóźdź i Smutek, które mogą przyczynić się do pokonania Nornów oraz ich władców?

Geloë uniosła dłoń.

– Wybacz, książę, ale myślę, że musimy odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie. Ile mamy czasu na zrobienie tego, o czym wspomniałeś?

– Masz rację, Geloë. Jeśli uda nam się utrzymać to miejsce przez następny rok, moglibyśmy zebrać siłę na tyle dużą, by zaatakować Eliasa na jego terenie, a przynajmniej na rubieżach, lecz nie sądzę, by tak długo dano nam spokój.

Pozostali zaczęli dyskutować głośno o tym, jakich sił mogliby spodziewać się ze wschodu i północy Erkynlandu, obszarów, które

buntowały się przeciwko srogim rządom Króla Eliasa i które mogły okazać się pomocne. Po chwili Josua dał znak, by umilkli.

– Wydaje mi się – powiedział – że zanim zajmiemy się którymkolwiek z tych problemów, musimy odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: Czego chce mój brat?

– Władzy! – przemówił Isorn. – Władzy, która pozwoli mu bawić się ludzkim życiem, jakby to były kości do gry.

– Miał ją i wcześniej – odparł Josua. – Długo się nad tym zastanawiałem, lecz nie znalazłem innej odpowiedzi. Pewnie, że świat widział już władców, którym nie wystarczało to, co mieli. Być może aż do końca nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie. Może zrozumielibyśmy zamiary mego brata, gdybyśmy wiedzieli, jaką umowę zawarł on z Królem Burz.

– Książę Josuo – powiedział Binabik. – Ja zastanawiałem się nad inną rzeczą. Bez względu na to, czego pragnie twój brat, moc Króla Burz i zła magia będą mu pomocne. Ciekawe, czego chce w zamian Król Burz?

Przez chwilę w wielkiej sali panowała cisza, a potem znowu podniosły się głosy zebranych, którzy zaczęli się spierać, tak że Josua musiał mocno tupnąć, by ich uciszyć.

– Binabiku, zadałeś straszliwe pytanie – powiedział książę. – Rzeczywiście, czego może chcieć zły?

Simon przypomniał sobie cienie w podziemiach Hayholt, po których wędrował w swym koszmarnym śnie.

– Może chce odzyskać zamek – powiedział.

Powiedział to cicho, tak że ci, którzy nie usłyszeli jego słów, nie przerywali rozmów, ale Josua i Binabik spojrzeli na niego uważnie.

– Miłościwy Aedonie – odezwał się Josua. – Czy to możliwe?

Binabik zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Coś mi się w tej myśli nie podoba, choć to bardzo bystre spostrzeżenie, Simonie. Geloë, opowiedz nam o tym, co ja tylko mgliście pamiętam.

Czarownica skinęła głową.

– Ineluki nie może nigdy powrócić do zamku. Po upadku Asu’a ruiny zamku otoczono tak wieloma zaklęciami i modlitwami, że Ineluki nie ma tam wstępu. Nie, nie sądzę, by mógł go odzyskać, choć bez wątpienia bardzo tego pragnie... ale może poprzez Eliasa chce rządzić tym, czym sam nie jest w stanie. Nornów jest niewielu, choć stanowią ogromną siłę, lecz pozostając w cieniu Smoczego Tronu, Król Burz mógłby panować nad całym Osten Ard.

Josua patrzył przed siebie posępnie.

– I pomyśleć, że mego brata tak mało obchodzą jego poddani czy nawet jego tron, iż gotowy jest za jakąś śmieszną cenę sprzedać ich wrogowi ludzkości. – Odwrócił się do pozostałych; nie potrafił ukryć gniewu, jaki w nim wzbierał. – Przyjmiemy za pewnik, że Król Burz pragnie panować nad całą ludzkością przy pomocy mojego brata. O ile wiem, Ineluki jest stworzeniem, które głównie żywi się nienawiścią, więc nie muszę wam mówić, jakie byłyby to rządy. Simon opowiedział nam, że Sithijka Amerasu odgadła zamiary Króla Burz i nazwała je przerażającymi. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, nawet poświęcić życie, jeśli będzie trzeba, by ich powstrzymać. Teraz trzeba odpowiedzieć na drugie pytanie. Jak stawić im czoło?

W CIĄGU NASTĘPNYCH KILKU GODZIN przedstawiono wiele planów. Freosel zaproponował nieśmiało, żeby po prostu zaczekać w miejscu, w którym się znaleźli, aż ludność całego Osten Ard zbuntuje się przeciw Eliasowi. Hotvig, który jak na wojownika ze stepów całkiem dobrze przystosował się

do intryg mieszkańców kamiennych domów, wysunął śmiały plan, aby wysłać ludzi wraz z mapami Eolaira, a ci wślizną się do Hayholt i zabiją Eliasa i Pryratesa. Ojciec Strangyeard wydawał się zmartwiony na wieść o tym, że jacyś nieokrzesani mordercy mogliby zabrać ze sobą cenne mapy. W miarę jak rozważano i odrzucano kolejne propozycje, atmosfera stawała się coraz gorętsza. Wreszcie gdy Isorn i Hotvig, zwykle dobrzy kompani, rzucili się nieomal na siebie, Josua zmuszony był zakończyć dyskusje.

– Pamiętajcie, że jesteśmy tutaj wszyscy przyjaciółmi i walczymy w jednej sprawie – powiedział. – Wszystkim nam zależy na przywróceniu wolności naszym ziemiom. – Książę rozejrzał się dookoła, uciszając zebranych groźnym spojrzeniem niczym Hyrka, który ponoć potrafił uspokoić konia, nie dotykając go. – Wysłuchałem was wszystkich i wdzięczny jestem za radę, lecz teraz ja muszę zdecydować. – Położył dłoń na kamiennym stole blisko owiniętej srebrną taśmą rękojeści Ciernia. – Zgadzam się, że musimy jeszcze zaczekać, zanim będziemy gotowi uderzyć na Eliasa. – Po tych słowach skinął głową w kierunku Freosela. – Ale z drugiej strony nie możemy czekać bezczynnie. Nasi sprzymierzeńcy z Hernystiru są w pułapce. Gdyby odzyskali swobodę działania, mogliby się okazać doskonałą siłą zaczepną na zachodnim skrzydle pozycji Eliasa. Gdyby zaś mieszkańcy zachodnich ziem zebrali wszystkich rozproszonych ludzi, stanowiliby nawet groźniejszą siłę. Dlatego też postanowiłem podjąć działania, które rozwiążą oba problemy, a być może przysłużą się jednemu celowi.

Josua skinął na hrabiego Nad Mullach.

– Hrabio Eolairze, powrócisz do swoich ludzi z czymś więcej niż tylko podziękowaniem, jak obiecałem. Pojedzie z tobą Isorn, syn księcia Isgrimnura. – Gutrun wydała zduszony okrzyk rozpaczy, lecz gdy syn odwrócił się do matki, by ją pocieszyć, ona uśmiechnęła się dzielnie

i poklepała go po ramieniu. Josua skłonił głowę w jej stronę, wyrażając tym samym swoje współczucie. – Księżno, zrozumiesz, że nie robię tego bez powodu, kiedy wyjawię mój plan. Isornie, weź ze sobą kilkunastu ochotników. Może niektórzy z ludzi Hotviga zgodzą się pojechać z tobą; są niezmordowanymi jeźdźcami i dobrymi wojownikami. W drodze do Hernystiru zbierzesz możliwie najwięcej swoich rozproszonych ziomków. Wiem, że większość z nich nie lubi Skalego Ostronosego i, jak słyszałem, wielu z nich błąka się teraz po Frostmarch. Następnie wciągniesz ich do służby i postąpisz wedle swego uznania: albo pomożecie ludziom Eolaira przerwać oblężenie Skalego, albo, jeśli to nie będzie możliwe, wrócicie tutaj, by pomóc nam w walce z moim bratem. – Josua przyglądał się z sympatią Isornowi, który słuchał go ze spuszczonym wzrokiem, jakby chciał zapamiętać każde słowo księcia. – Jesteś książęcym synem. Szanują cię i z pewnością uwierzą, kiedy powiesz im, że to pierwszy krok do odzyskania ich ziem.

Książę zwrócił się do pozostałych.

– Isorn i jego towarzysze wyruszą z misją, a my tymczasem będziemy pracować nad resztą spraw. Jest wiele do zrobienia. Cała Północ została tak zdziesiątkowana przez zimę, przez Skalego, Eliasa i jego sprzymierzeńca, Króla Burz, że nawet jeśli misja Isorna się powiedzie, to obawiam się, iż tereny na północ od Erkynlandu nie zapewnią nam takich sił, jakich byśmy potrzebowali. Nabban i całe Południe pozostają pod panowaniem przyjaciół Eliasa, a w szczególności Benigarisa, lecz ja muszę mieć te tereny. Dopiero wtedy zbierzemy siły wystarczające, by stawić czoło Eliasowi. Tak więc będziemy pracować, dyskutować i zastanawiać się. Musi być jakiś sposób, żeby odciąć Benigarisa od Eliasa, choć teraz jeszcze go nie znam.

Simon przez cały czas niecierpliwie słuchał, lecz trzymał język za zębami. Teraz jednak, kiedy wydawało się, że Josua powiedział już

wszystko, Simon nie mógł się powstrzymać. Kiedy inni przekrzykiwali się w czasie debaty, on rozmyślał o tym, o czym rozmawiał rano z Binabikiem.

– Książę Josuo! – zawołał. – A co z mieczami?

Książę skinął głową.

– O nich także będziemy musieli pomyśleć. Nie martw się, Simonie, nie zapomniałem o nich.

Simon wziął głęboki oddech, zdecydowany nie ustępować.

– Najlepiej byłoby zaskoczyć Eliasa. Wyślij Binabika, Sludiga i mnie po Biały Gwóźdź. Znajduje się poza murami Hayholt. W trójkę udałoby nam się dostać do grobu twego ojca i odzyskać miecz, zanim Król zorientowałby się, że tam w ogóle byliśmy. Nie przyszłoby mu do głowy, że moglibyśmy coś takiego zrobić. – Simon oczyma wyobraźni widział już, jak on i jego towarzysze paradują z Białym Gwoździem do *Sesuad'ra*, a nad jego głową powiewa sztandar ze smokiem.

Josua uśmiechnął się, lecz pokręcił głową.

– Sir Seomanie, nie wątpię w twą odwagę, lecz nie możemy podejmować takiego ryzyka.

– Przecież odnaleźliśmy Cierń, kiedy nikomu się o tym nie śniło.

– Ale obok miejsca, gdzie spoczywał miecz, nie maszerowała codziennie królewska gwardia.

– Za to był smok!

– Dość. – Josua uniósł dłoń. – Nie, Simonie. Nie nadszedł jeszcze czas. Odpowiednia chwila nadarzy się wtedy, gdy będziemy mogli zaatakować Eliasa z południa lub zachodu i odwrócić jego uwagę od Swertclif i kurhanów z mogiłami. Dostąpiłeś wielkiego zaszczytu i z pewnością dostąpisz kolejnych, lecz pamiętaj, że jesteś teraz rycerzem, a tytuł ten niesie ze sobą wiele obowiązków. Żałowałem, gdy posłałem cię po Cierń, bo myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę. Ty jednak wróciłeś wbrew

wszelkim nadziejom, więc chcę, byś pozostał przez jakiś czas przy mnie, podobnie jak Sludig i Binabik, których nie spytałeś nawet o zgodę, zgłaszając ich do tak niebezpiecznej misji. – Uśmiechnął się, by złagodzić nieco wymówkę. – Już dobrze, młodzieńcze, już dobrze.

Simon czuł, że wypełnia go to samo przytłaczające, dławiące uczucie, jakie pamiętał z Jao e-Tinukai'i. Czy oni nie rozumieli, że zbyt długie odkładanie ataku pozbawi ich szansy? Że zło umknie karze?

– Czy mogę pojechać z Isornem? – poprosił. – Chciałbym pomóc, książę Josuo.

– Naucz się być rycerzem, Simonie, i ciesz się z tymczasowej wolności. Będzie jeszcze dość niebezpiecznych chwil. – Książę wstał. Simon dostrzegł wyraźne zmęczenie na jego twarzy. – Wystarczy. Eolair, Isorn i ci, których Isorn wybierze, powinni być gotowi do drogi za dwa dni. A teraz chodźmy coś zjeść. Przygotowano posiłek, może nie tak wystawny jak ten, którym uczciliśmy pasowanie Simona, ale dość dobry, by zaspokoić głód. – Ruchem dłoni dał znak do zakończenia narady.

Binabik podszedł do Simona, chcąc z nim porozmawiać, ale ten był zły i początkowo nie odpowiedział trollowi.

A więc znowu to samo? Czekaj, Simonie, czekaj. Niech inni podejmują decyzje. Wkrótce powiemy ci, co masz robić.

– To był dobry pomysł – mruknął pod nosem.

– To będzie dobry pomysł później – powiedział Binabik. – Kiedy odwrócimy uwagę Eliasa, jak powiedział Josua.

Simon rzucił mu piorunujące spojrzenie, lecz coś w wyrazie twarzy trolla powodowało, że jego własny gniew wydał mu się głupi.

– Chcę tylko na coś się przydać.

– Simonie, przyjacielu, robisz o wiele więcej. Ale wszystko dzieje się w odpowiednim czasie. *Iq ta randayhet suk biqahuc*, jak mówią trolle: Nie

pływa się zimą bez ubrania.

Simon zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał.

– To głupie – odezwał się wreszcie.

– Dobrze – odparł Binabik rozdrażniony. – Możesz sobie mówić, co chcesz, ale nie przychodź z płaczem do mojego ogniska, kiedy wybierzesz złą porę na pływanie.

Ruszyli obaj przez porosły trawą grzbiet wzgórza, ścigani chłodnym spojrzeniem słońca.

4. Milczące dziecko

CHOĆ POWIETRZE BYŁO NIERUCHOME I CIEPŁE, ciemne chmury wydawały się nienaturalnie gęste. Przez cały dzień statek prawie nie ruszył się z miejsca; jego żagle wisiały luźno na masztach.

– Ciekawe, kiedy nadejdzie burza – odezwała się głośno Miriamele. Stojący nieopodal młody marynarz spojrzał na nią zdumiony.

– Pani? Do mnie mówisz?

– Powiedziałam, że zastanawiam się, kiedy nadejdzie burza? – Wskazała na wiszące nad ich głowami czarne chmury.

– Tak, pani. – Najwyraźniej niezręcznie było mu z nią rozmawiać. Nie mówił zbyt dobrze w języku Westerling. Miriamele domyśliła się, że pochodzi pewnie z jednej z wysepek na Południu, których mieszkańcy nie mówili nawet po nabbańsku. – Nadchodzi sztorm.

– Wiem, że nadchodzi. Tylko zastanawiam się, kiedy tu będzie.

– Ach. – Skinął głową i rozejrzał się ukradkiem, jakby te cenne wiadomości, które za chwilę miał przekazać, mogły przyciągnąć złodziei. – Wkrótce nadejdzie. – Wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Bardzo ładna.

Przjemność – choć ograniczona – jakiej doznała z rozmowy z marynarzem, prysła natychmiast. Wyraz jego oczu mówił jej wszystko; od razu rozpoznała to bezczelne spojrzenie. Uznała jednak, że bez względu na to, jak bardzo czuł się bezkarny w swej bezczelności, nawet jej nie dotknie, lecz wiedziała także, że nie zrobi tego tylko dlatego, iż uważa ją za

zabawkę i własność pana tego statku – Aspitisa. Jej nagłe oburzenie zmieszało się z niepewnością. Czy on ma rację? Pomimo wszelkich wątpliwości, jakie żywiła wobec hrabiego, który – jeśli Gan Itai i Cadrach mówili prawdę – spotkał się z Pryratesem, a nawet był jego wysłannikiem, ufała jednak, że jego oświadczyny były szczere. Teraz jednak pomyślała, że i one mogły być tylko podstępem, by pozostała mu uległa i posłuszna, dopóki nie porzuci jej w Nabbanie i nie znajdzie sobie innej. Z pewnością liczył się z tym, że Miriamele będzie zbyt zawstydzona, by komukolwiek powiedzieć o tym, co się stało. Nie wiedziała, czego bardziej się boi: wymuszonego małżeństwa z Aspitisem czy też tego, że wyprze się jej z równą swobodą, z jaką wyrzucałby portową dziwkę.

Spojrzała złowrogo na marynarza, aż ten, zmieszany, odwrócił się i odszedł na dziób statku. Miriamele patrzyła na niego, życząc mu, by się potknął i rozwalił swą bezczelną gębę, jednak nic takiego się nie stało. Po chwili znowu spojrzała na kłębowisko czarnych chmur, a potem na szarą taflę oceanu.

Na wysokości steru unosiły się w wodzie oddalone o rzut kamieniem trzy przedmioty. Kiedy Miriamele zaczęła im się przyglądać uważnie, jeden z nich podpłynął bliżej i otworzywszy czerwony pysk, zawył. Gulgoczący głos kilpy niósł się daleko nad powierzchnią spokojnego oceanu. Miriamele drgnęła zaskoczona. Gdy tylko się poruszyła, wszystkie trzy głowy natychmiast skierowały się w jej stronę; lśniące, czarne oczy wpatrywały się w nią, pyski otworzyły się bezczelnie. Miriamele odsunęła się o krok od burty i zrobiła znak Drzewa. Potem odwróciła się, by uciec od pustego spojrzenia kilp, i nieomal wpadła na Thuresa, młodego pazia hrabiego Aspitisa.

– Lady Maryo – powiedział, próbując ukłonić się, lecz stał zbyt blisko. Uderzył głową w jej łokieć i jęknął cicho. Kiedy wyciągnęła dłoń, by

rozmasować bolące miejsce, odsunął głowę zawstydzony. – Jego lordowska mość chce cię widzieć.

– Gdzie, Thuresie?

– W kabinie. – Natychmiast się poprawił: – W swojej kabinie, pani.

– Dziękuję.

Chłopiec cofnął się o krok, jakby chciał ją poprowadzić, lecz Miriamele znowu skierowała wzrok na wodę. Jedna z kilp oddaliła się nieco od swych towarzyszy i płynęła teraz tuż przy statku. Utkwiwszy swe puste spojrzenie w Miriamele, morski stwór uniósł z wody śliską, szarą dłoń i przesunął długimi palcami po burcie, jakby szukał miejsca do podciągnięcia się. Miriamele wpatrywała się w kilpę przerażona, ale i zafascynowana, niezdolna, by się poruszyć. Po chwili tak podobne do człowieka stworzenie odpłynęło od statku i zniknęło w wodzie, by pojawić się w pewnej odległości. Miriamele widziała otwarty lśniący pysk oraz kurczące się i otwierające skrzela. Patrząc, zastygła w bezruchu. Wreszcie zmusiła się, by oderwać wzrok od kilpy i odwrócić tyłem do burty. Młody Thures patrzył na nią dziwnym wzrokiem.

– Pani?

– Idę. – Ruszyła za nim, odwracając się na chwilę.

Trzy głowy unosiły się na wodzie niczym pływaki rybackich sieci.

THURES OPUŚCIŁ JĄ W KORYTARZU przed kabiną Aspitisa, a sam wrócił na pokład, by wykonać pozostałe polecenia hrabiego. Pozostawiona samej sobie Miriamele starała się odzyskać równowagę. Wciąż nie mogła pozbyć się wspomnienia wilgotnych oczu kilpy i tego, z jakim spokojem i premedytacją stwór zbliżył się do statku. Pamiętała nieomal bezczelne spojrzenie, jakby stwór chciał skłonić ją, by spróbowała go powstrzymać. Miriamele zadrżała.

Jej myśli przerwało pobrzękiwanie dobiegające z kabiny Aspitisa. Drzwi nie były zamknięte, więc podeszła bliżej i zajrzała przez szparę.

Aspitis siedział przy małym biurku. Przed nim leżała otwarta księga, której pergaminowe strony odbijały żółte światło lampy. Hrabia zgarnął ze stołu do woreczka dwa stosy monet i wrzucił pobrzękujący worek do otwartej skrzyni; prawie całkowicie wypełniały ją podobne worki. Potem Aspitis zapisał coś w swojej księdze.

Zaskrzypiała deska. Miriamele nie wiedziała, czy pod wpływem jej ciężaru, czy ruchu statku. Cofnęła się szybko, zanim Aspitis mógł podnieść wzrok i spojrzeć w szparę w drzwiach. Chwilę później podeszła do drzwi i zapukała zdecydowanie.

– Aspitisie? – Usłyszała głuche uderzenie zamykanej księgi, a potem zaraz inny odgłos, jak się domyślała, ciągniętej po podłodze skrzyni.

– Jestem, pani. Wejdź.

Pchnęła drzwi i wszedłszy do środka, zamknęła je delikatnie, tak by klamka pozostała niedomknięta.

– Posyłałeś po mnie?

– Usiądź, śliczna Maryo. – Aspitis wskazał na łóżko, lecz Miriamele udała, że nie widzi jego gestu, i siadła na stołku pod przeciwległą ścianą.

Jeden z ogarów Aspitisa przewrócił się na drugi bok, by zrobić jej miejsce, uderzył ogonem o podłogę i znowu zasnął. Hrabia ubrany był w szatę z godłem rybołowa, tę, którą tak podziwiała w czasie ich pierwszej wspólnej kolacji. Ze smutkiem pomyślała o własnej głupocie, patrząc na wyszywane złotą nicią szpony ptaka, doskonałe narzędzie chwytania i pewnego uścisku.

„Dlaczego dałam się usidlić tymi głupimi kłamstwami! Cadrach miał rację, nie powinnam była wygadywać tego wszystkiego. Wystarczyło powiedzieć, że jestem prostą, wiejską dziewczyną, a być może Aspitis

dałby mi spokój. A nawet gdyby zmuszał mnie do pójścia z nim do łóżka, nie przyszłoby mu do głowy, by się ze mną żenić”.

– Widziałam trzy kilpy, które płynęły obok statku. – Patrzyła na niego wyzywająco, jakby się spodziewała, że zaprzeczy jej słowom. – Jedna podpłynęła całkiem blisko i sprawiała wrażenie, że chce wejść na pokład.

Hrabia pokręcił głową, uśmiechając się.

– Pani, nie zrobią tego, nie obawiaj się. Nie wejdą na pokład *Chmury Eadne*.

– Ale ona dotknęła statku! – Uniosła dłoń, imitując zakrzywione szpony. – Właśnie tak! Próbowała czegoś się chwycić.

Aspitis przestał się uśmiechać i słuchał z posępnym wzrokiem.

– Później pójdę na pokład i poślę kilka strzał tym rybim diabłom. Nie będą więcej czepiać się mojego statku.

– Ale czego chcą kilpy? – Wciąż nie mogła zapomnieć szarych stworów. Poza tym nie było jej spieszno do rozmowy z Aspitisem na inne tematy. Teraz już nie miała wątpliwości, że nic dobrego nie może dla niej wyniknąć z planów hrabiego.

– Nie wiem, czego one chcą, pani. – Potrząsnął głową zniecierpliwiony. – Chociaż wiem: chcą jedzenia. Ale przecież mają wiele innych, łatwiejszych sposobów na zdobycie pożywienia, niż wchodzić na statek pełen uzbrojonych ludzi. – Spojrzał na nią uważnie. – No tak. Nie powinienem był tego mówić. Teraz się boisz.

– One jedzą... ludzi?

Aspitis znowu potrząsnął głową, tym razem bardziej energicznie.

– Jedzą ryby i czasem ptaki, które nie zdążą poderwać się z wody. – Nie odwrócił wzroku, kiedy spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Tak, żywią się też innym mięsem, jeśli potrafią je znaleźć. Zdarza się, że napadają stadami na mniejsze łodzie rybackie, lecz nikt nie wie dokładnie dlaczego.

Ale to nie ma znaczenia. Mówiłem ci, że nie mogą nic zrobić *Chmurze Eadne*. Gan Itai jest najlepszym stróżem morza.

Przez chwilę Miriamele siedziała w milczeniu.

– Jestem pewna, że się nie mylisz – odezwała się wreszcie.

– To dobrze. – Wstał, schylając głowę pod belką niskiego sufitu. – Cieszę się, że Thures cię odnalazł, choć przecież nie mogłaś odejść daleko, będąc na pokładzie statku na pełnym morzu, prawda? – Jego uśmiech wydawał się nieco szorstki. – Mamy wiele do omówienia.

– Mój panie. – Poczuła nagle dziwne uczucie znużenia. Może jeśli nie będzie się opierać, nie będzie protestować i przejmować się, wszystko potoczy się swoim własnym, niepomyślnym, lecz nietrwałym biegiem. Już wcześniej obiecała sobie, że pozwoli się unosić prądowi...

– Posuwamy się bardzo wolno – powiedział Aspitis. – Ale myślę, że wkrótce znowu zacznie wiać wiatr przed burzą. Przy odrobinie szczęścia jutro wieczorem możemy dotrzeć do wyspy Spenit. Pomyśl o tym, Maryo! Pobierzemy się tam, w kościele pod wezwaniem świętego Lavennina.

Jakże łatwo byłoby nie stawiać oporu, pozwolić się unosić, tak jak *Chmura Eadne* pchana wolno oddechem wiatru. Ale chyba nadarzy się jakaś okazja ucieczki, kiedy przypłyną na Spenit? Chyba się nadarzy?

– Mój panie – usłyszała swój własny głos. – Ja... jest... pewien problem.

– Tak? – Hrabia uniósł złocistowłosą głowę. Miriamele pomyślała, że przypomina jej wytresowanego ogara, który udaje ludzkie gesty, gdy tymczasem węszy ofiarę. – Problem?

Spoconą dłonią zmięła rąbek sukni i wzięła głęboki oddech.

– Ja nie mogę cię poślubić.

Aspitis roześmiał się nieoczekiwanie.

– Ach, co za nonsens! Oczywiście, że możesz! Czy martwisz się tym, co powie moja rodzina? Pokochają cię tak samo mocno jak ja. Mój brat

poślubił Perdruinkę i teraz jest ona ulubienicą mojej matki. Nie obawiaj się!

– Nie o to chodzi. – Mocniej ścisnęła suknię. – Problem w tym, że... że jest ktoś inny.

Hrabia zmarszczył czoło.

– Co to znaczy?

– Obiecałam już rękę komuś innemu. W naszym kraju. I ja go kocham.

– Ale przecież pytałem cię. Powiedziałaś, że nikogo nie ma. I oddałaś mi się.

Był zły, ale jak dotąd powstrzymywał swój gniew. Miriamele poczuła, że już się tak nie boi.

– Pokłóciłam się z nim i odmówiłam zgody na małżeństwo, dlatego ojciec wysłał mnie do klasztoru. Ale potem zdałam sobie sprawę, że się pomyliłam. Źle postąpiłam wobec niego... tak jak i wobec ciebie. – Poczuła nienawiść do samej siebie za te słowa. W bardzo niewielkim tylko stopniu mogłaby sobie wyrzucać, że nie jest w porządku wobec Aspitisa; hrabia nie był wobec niej zbyt rycerski. Jednak w tej chwili należało okazać szczerość. – Z was obu jego pokochałam pierwszego.

Aspitis wykrzywił usta i zbliżył się o krok. W jego głosie zabrzmiała drwiąca, napięta nuta.

– Ale oddałaś mi się.

Miriamele spuściła wzrok, by nie rozdrażnić go jeszcze bardziej.

– Myliłam się. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Mam nadzieję, że i on mi wybaczy, choć na to nie zasługuję.

Hrabia odwrócił się nagle od niej. Mówił wciąż napiętym głosem:

– Tak więc wydaje ci się, że to wystarczy? Powiesz po prostu: żegnaj, hrabio Aspitisie! Tak sądzisz?

– Mój panie, mogę jedynie polegać na honorze szlachcica. – Mała kabina wydawała jej się coraz mniejsza. Czuła gęstniejące powietrze, jakby nadchodząca burza wyciągnęła po nią swoje ramię. – Mogę tylko prosić o twą uprzejmość i współczucie.

Plecy Aspitisa zaczęły drżeć. Z jego gardła wydobywał się niski, jęczący odgłos. Miriamele przywarła plecami do ściany przerażona i nieomal przekonana, że za chwilę hrabia zamieni się we wściekłego wilka, jak to bywało w starych opowieściach nianiek.

Hrabia Eadne i Driny odwrócił się gwałtownie. Rzeczywiście wyszczerzył zęby w wilczym grymasie, lecz był to grymas śmiechu.

Miriamele patrzyła na niego zdumiona.

„Dlaczego on...”

– Ach, moja pani! – Nie potrafił ukryć swego rozbawienia. – Bystra jesteś!

– Nie rozumiem – odparła chłodno. – Czy jest w tym coś zabawnego?

Aspitis klasnął w dłonie. Miriamele podskoczyła, przestraszona nagłym hałasem.

– Jesteś bardzo mądra. – Pokręcił głową. – Ale nie aż tak mądra, jak ci się wydaje... księżniczko.

– C...co?

Uśmiechnął się. Cała sytuacja nie była już ani trochę zabawna.

– Szybko rozumujesz i bardzo dobrze wymyślasz małe kłamstewka, ale ja byłem na pogrzebie twojego dziadka, a także na koronacji twojego ojca. Ty jesteś Miriamele. Wiedziałem to od chwili, kiedy po raz pierwszy zasiedliśmy tutaj do kolacji.

– Ty... ty... – Słowa cisnęły jej się do ust, lecz żadne nie wydawały się odpowiednie. – Co...?

– Podejrzewałem coś, kiedy cię do mnie przyprowadzono. – Dotknął dłonią twarzy Miriamele i przesunął ją ku jej włosom; mocne palce hrabiego pociągnęły kosmyk za uchem Miriamele. Siedziała nieruchomo, wstrzymując oddech. – Widzisz – powiedział. – Nawet przy tak krótkich włosach widać, że przy samej głowie są złociste, jak moje. – Cmoknął. – Tak, uwierzyłbym, że udająca się do klasztoru młoda szlachcianka obcina sobie włosy, ale żeby je farbować, gdy ich naturalny kolor jest tak piękny? Dobrze ci się przyjrzałem w czasie naszej pierwszej kolacji. Potem już wiedziałem. Widziałem cię wcześniej, chociaż nie z bliska. Powszechnie było wiadomo, że córka Eliasa przebywała w Naglimundzie, a potem zaginęła po upadku twierdzy. – Strzelił palcami uśmiechnięty. – Tak więc teraz jesteś moja i pobierzemy się na Spenit, żebyś mi nie uciekła w Nabbanie, gdzie masz jeszcze krewnych. – Znowu zachichotał zadowolony z siebie. – Teraz będą też i moimi krewnymi.

Miriamele z trudem mogła wydobyć z siebie głos.

– Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

– Ale nie z powodu twojej urody, moja pani, choć niczego ci nie brakuje. I nie dlatego, że dzieliłem z tobą łoże. Gdybym miał poślubić wszystkie kobiety, z którymi się zabawiałem, musiałbym je umieścić w oddzielnym pałacu, jak robią to królowie z pustyni Nascadu. – Usiadł na łóżku i odchylił się tak, że głowę oparł o ścianę kabiny. – Nie, zostaniesz moją żoną. A potem, kiedy twój tato skończy już swoje podboje i będzie miał dosyć Benigarisa, tak jak ja mam go dość od dawna; czy wiesz, że po tym, jak zabił swego ojca, płakał przez całą noc i pił wino; a więc kiedy już Benigaris popadnie w niełaskę, trzeba będzie znaleźć kogoś innego, a czy może być ktoś lepszy do sprawowania rządów od tego, który odnalazł królewską córkę, zakochał się w niej i przywiózł do domu? – Jego uśmiech był jak ostrze noża. – Tak, to będę ja.

Wpatrywała się w niego, czując ogarniający ją chłód. Wydawało jej się, że za chwilę splunie jadem jak wąż.

– A jeśli powiem mu, że mnie porwałeś i zniewoliłeś?

Pokręcił głową z uśmiechem na ustach.

– Miriamele, nie jesteś aż tak dobrym spiskowcem, jak sądziłem. Wielu widziało, że przybyłaś na mój statek pod fałszywym imieniem, i było świadkami, że odnoszę się do ciebie z szacunkiem, chociaż powiedziano mi, iż jesteś tylko córką pomniejszego barona. Nawet jeśli wyjdzie na jaw, że zostałaś – jak to określiłaś? – zniewolona?, czy myślisz, że twój ojciec zdecyduje się obrazić twego prawowitego i wysoko urodzonego męża? Męża, który jest jego sprzymierzeńcem i jak dotąd wykonał dla niego bardzo wiele – tu wyciągnął ramię i poklepał coś, czego Miriamele nie mogła dojrzeć – ważnych zadań.

Wpatrywał się w nią swymi jasnymi oczami rozjaśnionymi iskierkami szyderstwa i zadowolenia. Miał rację. W żaden sposób nie mogła go powstrzymać. Był jej panem. Miał ją na własność.

– Idę. – Miriamele wstała, chwiejąc się.

– Śliczna Miriamele, nie rzucaj się do oceanu. Moi ludzie będą pilnować, byś nie zrobiła jakiejś sztuczki. Potrzebna mi jesteś żywa.

Pchnęła drzwi, lecz się nie otworzyły. Czuła w sobie całkowitą pustkę i ból, jakby wypompowano z niej powietrze.

– Pociągnij je – poradził jej Aspitis.

Miriamele, potykając się, wyszła na korytarz pogrążony w ciemnościach.

– Przyjdę do ciebie później, moja kochana – zawołał za nią hrabia. – Bądź gotowa.

Miała tylko tyle sił, by wspiąć się po drabinie i wejść na pokład; zaraz potem osunęła się na kolana. Pragnęła zapaść się w czeluść i zniknąć na

zawsze.

TIAMAK BYŁ ZŁY. Dotąd zdobył się na wiele poświęcenia dla dobra swych znajomych zamieszkujących suchy ląd – Ligi Papirusu, jak się nazywali, choć według Tiamaka określenie liga niezbyt przystawało do grupy kilku zaledwie osób. Ale Doktor Morgenes był jej członkiem, a Tiamak bardzo szanował Doktora, dlatego zawsze starał się dostarczyć informacje, ilekroć ktoś spośród członków Ligi o nie poprosił. Tiamak przekonał się, że nieczęsto się zdarzało, by mieszkańcy lądu potrzebowali mądrości Wrańczyka z bagien. Lecz jeśli już miało to miejsce – jak wtedy, gdy jeden z nich potrzebował trawy zwanej wiciowcem albo innej rośliny o nazwie żółty druciarz, które to rośliny nie były dostępne na targach suchego lądu – wtedy szybko kierowali do niego wiadomość. Bywało, że po wysłaniu zamówionego produktu Tiamak otrzymywał długi list z podziękowaniami: zdarzyło się to na przykład po tym, jak opracował bestiariusz fauny z bagien dla Dinivana, wyposażony w pracowicie przygotowane ilustracje, a także po opracowaniu raportu dla Jarnaugi o tym, które rzeki dopływają do Wranu i co się dzieje, kiedy ich wody łączą się ze słonymi wodami zatoki Firannos – w rzeczywistości list Jarnaugi był tak ciężki, że biedny gołąb, który go dostarczył, potrzebował dwakroć więcej czasu na przebycie drogi. W takich dziękczynnych listach członkowie Ligi napomykali czasem, że któregoś dnia i Tiamak może zostać zaliczony w poczet ich członków.

Nie doczekawszy się specjalnego uznania ze strony swych współplemieńców z wioski, Wrańczyk z tęsknotą oczekiwał podobnego wyróżnienia. Pamiętał czasy z Perdruin, wrogość i podejrzliwość okazywaną mu przez innych młodych uczonych, zaskoczonych obecnością wśród nich młodzieńca z bagien. Z pewnością uciekłby na swoje bagna, gdyby nie przychylność Morgenesa. Lecz pozorna maska nieśmiałości

u Tiamaka skrywała coś więcej niż tylko dumę. Czyż nie był on pierwszym z Wrańczyków, który opuścił rodzinne bagna, by poświęcić się studiom wśród Aedonitów? Nawet jego współplemieńcy musieli przyznać, że nie było drugiego takiego mieszkańca bagien jak on. Tak więc kiedy otrzymał obiecującą wiadomość od członków Ligi, wyczuł, że nadszedł jego czas. Wyobraził sobie, że niebawem zostanie jednym z nich – najdostojniejszych wśród naukowców, a potem co trzy lata będzie podróżował do domu jednego z członków Ligi Pergaminu na spotkanie – spotkanie równych. Jako znany uczony będzie zwiedzał świat – tak przynajmniej sobie wyobrażał.

Kiedy olbrzymi Rimmersman, Isgrimnur, pojawił się w gospodzie i wręczył mu upragniony symbol Tego, Który Nosi Zwój – złoty zwój i gęsie pióro – serce zabiło mu radośnie. Wszystkie dotychczasowe wyrzeczenia warte były takiej nagrody! Lecz już w następnej chwili książę Isgrimnur wyjaśnił, że otrzymał ten wisior od umierającego Dinivana, a kiedy Tiamak spytał o Morgenesa, usłyszał wstrząsającą wiadomość, że umarł on prawie pół roku temu.

Minęły dwa tygodnie, a Isgrimnur wciąż nie mógł pojąć przygnębienia Tiamaka. Potrafił zrozumieć, że wiadomość o śmierci dwóch znanych Tiamakowi osób mogła być przyczyną jego głębokiego smutku, choć uważał on, że melancholia Wrańczyka jest zbyt przejmująca. Poza tym Rimmersman nie przyniósł żadnego rozwiązania, żadnej wskazówki co do dalszego postępowania; przyznał także, że nie jest nawet członkiem Ligi! Isgrimnur wydawał się nie dostrzegać, że wszystko to – po długim i bolesnym okresie oczekiwania na wiadomość o planach Morgenesa – zupełnie rozbiło Tiamaka, że był on jak porwana prądem łódź. Tiamak zaniedbał wypełnienia obowiązku wobec swoich ludzi, a takie przynajmniej żywił przekonanie w chwilach, gdy był na tyle zły, by zapomnieć, że

w rzeczywistości to walka z krokodylem powstrzymała go przed kontynuowaniem poselstwa do Nabbanu. W każdym razie pewne jest, że zawiódł swoich współplemieńców.

Tiamak musiał jednak przyznać, że Isgrimnur płaci przynajmniej za jego pokój i wyżywienie w chwili, gdy jego nie byłoby już na to stać. Nie mógł tego nie zauważyć, choć z drugiej strony uważał, że tak jest sprawiedliwie: od dawien dawna mieszkańcy lądu bogacili się z pracy Wrańczyków. On sam cierpiał poniżenie, grożono mu, był ścigany na placach Ansis Pelippe.

Wtedy uratował go Morgenes, tylko że on już nie żył. Ludzie Tiamaka nigdy nie wybaczą mu tego, że ich zawiódł. Tymczasem Isgrimnur nieustannie zajmował się odźwiernym, starym Ceallio, który rzekomo miał być wielkim rycerzem, Camarisem. Zachowywał się tak, jakby zupełnie nie obchodził go mały Wrańczyk, co sprawiało, że Tiamak czuł się równie bezużyteczny jak pozbawiony nóg krab.

PODNIÓSŁ WZROK ZASKOCZONY. Zorientował się, że szedł tak długo, aż znalazł się w nieznanej mu części Kwanitupulu. Woda tutaj była ciemniejsza i bardziej brudna, pełna zdechłych ryb i morskich ptaków. Zrujnowane domy wydawały się pochylać nad kanałami pod ciężarem wiekowej warstwy soli i brudu.

Ogarnęło go przyprawiające o zawrót głowy uczucie przygnębienia i zagubienia.

„Ty, który zawsze kroczysz po piasku, pozwól mi wrócić bezpiecznie do domu. Pozwól przeżyć moim ptakom. Pozwól...”

– Człowieczku z bagien! – ryczący głos przerwał jego modlitwę. – On nadchodzi!

Tiamak odwrócił się zaskoczony. Po drugiej stronie wąskiego kanału stało trzech młodych mieszkańców lądu, ubranych w białe szaty Tancerzy Ognia. Jeden z nich odrzucił do tyłu kaptur: głowę miał w znacznej części wygoloną, tak że sterczały mu tylko kępki pozostawionych włosów. Nawet z daleka widać było, że źle mu patrzy z oczu.

– On nadchodzi! – zawołał powtórnie młodzieniec pogodnym głosem, jakby Tiamak był jego dobrym przyjacielem.

Tiamak dobrze wiedział, kim są tamci ludzie; nie chciał mieć nic wspólnego z ich szaleństwem. Odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, kuśtykając po nierównej alei. Budynki, które mijał, były zabite deskami, pozbawione życia.

– Król Burz nadchodzi! Wyleczy ci nogę! – Stojący po drugiej stronie kanału Tancerze Ognia także zawrócili. Szli równolegle do Tiamaka, nie przestając krzyczeć. – Nie słyszałeś? Jego bicz dosięgnie chorego i chromego! Ogień ich pochłonie i lód pogrzebie!

Tiamak dostrzegł otwartą bramę między budynkami po prawej stronie. Skręcił w nią z nadzieją, że nie okaże się ślepą uliczką. Wciąż słyszał drwiące okrzyki Tancerzy Ognia.

– Dokąd idziesz, śniady karzełku? Kiedy nadejdzie Król Burz, znajdzie cię w najgłębszej dziurze albo na najwyższej górze! Wracaj i porozmawiaj z nami albo sami przyjdziemy do ciebie!

Przejście prowadziło na duży dziedziniec, który kiedyś mógł być przystanią, gdzie budowano statki; teraz leżało tam tylko kilka rupieci porzuconych przez odchodzących właścicieli, powyginane od deszczu i wiatru reje, połamane styliska i skorupy potłuczonych garnków. Deski podłogi dziedzińca były połamane w wielu miejscach, tak że patrząc w dół, Tiamak widział w dziurach błotnisty nurt kanału. Szedł ostrożnie po zniszczonych deskach w kierunku drzwi widocznych po drugiej stronie

dziedzińca, które – jak sądził – miały wyprowadzić go na inną aleję. Okrzyki Tancerzy Ognia ucichły nieco, lecz za to stały się bardziej złowrogie.

Jak na Wrańczyka Tiamak dobrze orientował się w mieście, ale w Kwanitupulu gubili się nawet jego mieszkańcy. Niewiele budynków było tam zamieszkanych czy w ogóle pozostało w całości; kilka instytucji, które funkcjonowały w mieście przez ostatnie sto czy dwieście lat, wciąż zmieniało położenie – morskie powietrze i brudna woda skutecznie niszczyły farbę i pale. Nic nie trwało wiecznie w Kwanitupulu.

Uszedłszy trochę, Tiamak zaczął rozpoznawać znajome miejsca: rozwalającą się wieżę zniszczonej katedry świętego Rhiappy, a także obłażącą z jasnej farby kopułę Hali Targowej. Widząc znajome miejsca, poczuł się znowu pewniej i powrócił do rozmyślań o swojej sytuacji. Został usidlony w nieprzyjaznym mieście. Jeśli miał płacić za swoje utrzymanie, musiał zacząć zarabiać jako pisarz albo tłumacz. To oznaczałoby konieczność przeniesienia się w pobliże targu, gdyż wieczorne interesy – a szczególnie drobne transakcje, na których głównie zarabiał Tiamak – nigdy nie mogły czekać do rana. Dopóki nie zacznie pracować, będzie musiał zdać się na hojność księcia Isgrimnura. Tiamak nie miał ochoty znosić gościnności ogromnego księcia ani chwili dłużej; próbując rozwiązać ten problem, zaproponował przeniesienie się bliżej targu, by mógł zarabiać na życie, w czasie kiedy Isgrimnur opiekuje się głupkowatym odźwiernym. Książę jednak pozostawał niewzruszony. Był przekonany, że Dinivan miał określony powód, dla którego kazał im czekać w gospodzie „Puchar Pelippy”, choć Isgrimnur nie potrafił powiedzieć jaki. Tak więc wciąż mieszkali w tym samym miejscu.

Tiamak zastanawiał się także nad tym, czy może uważać siebie za członka Ligi Pergaminu. Bez wątpienia zamiarem Ligi było przyjęcie go do

swojego kręgu, lecz ci jej członkowie, których znał osobiście, nie żyli, a od innych nie miał wiadomości od miesięcy. Co miał zrobić? Do tego wszystkiego zaczął miewać złe sny – jakby bez tego nie było już dość problemów. Może nawet nie tyle złe, ile dziwne. Przez ostatnie tygodnie w jego snach wciąż pojawiała się tajemnicza postać: bez względu na to, o czym śnił, czy o krokodylu z okiem w każdym z tysiąca swych zębów, który go ścigał, czy o uczcie z ryby, którą spożywał ze swoją dawno zmarłą rodziną, zawsze znajdowała się tam dziewczynka – mała, czarnowłosa mieszkanka lądu, która obserwowała wszystko w całkowitym milczeniu. Bez względu na to, jaki miał sen – pogodny czy straszny – dziewczynka nigdy się do niego nie włączała; wręcz przeciwnie, wydawała się mniej rzeczywista niż sam sen. Z pewnością szybko by o niej zapomniał, gdyby nie fakt, że pojawiała się regularnie co noc. Ostatnio stawała się mniej wyraźna, jakby jej obraz ginął w mrokach świata snów, gdy tymczasem ona nie wyjawiła swej tajemnicy...

Tiamak spojrzał przed siebie i zobaczył dok, w którym ładowano barki. Ucieszył się, gdyż dobrze pamiętał, że mijał go, idąc w przeciwną stronę. Teraz znał już drogę.

Tak więc była to jeszcze jedna tajemnica: kim lub czym była milcząca dziewczynka? Starał się przypomnieć sobie, co Morgenes mówił mu o snach i o Ścieżce Snów, a także o tym, co taka zjawa mogła znaczyć, ale jakoś nie potrafił przypomnieć sobie żadnego sensownego wytłumaczenia. Może była ona posłańcem z krainy zmarłych, duchem wysłanym przez jego matkę, aby niepokoić go swym milczeniem za niepowodzenie...

– Śniady człowieczku z bagien!

Tiamak odwrócił się gwałtownie i ujrzał trzech Tancerzy Ognia stojących kilka kroków za nim. Teraz nie oddzielał ich żaden kanał. Przywódca Tancerzy wysunął się do przodu. Jego biała szata nie grzeszyła

kapłańską czystością – widać było na niej ślady dłoni i smoły – lecz jego oczy wydawały się straszniejsze niż oglądane z daleka, jasne i pełne ognia, jakby rozświetlone jakimś wewnętrznym blaskiem. Tiamak miał wrażenie, że spojrzenie tamtego pożre go niczym smok.

– Nie chodzisz zbyt szybko, karzełku. – Tancerz ukazał krzywe zęby w uśmiechu. – Ktoś przygniótł ci nogę? Bardzo przygniótł?

Tiamak cofnął się o kilka kroków. Trzej młodzieńcy odczekali, aż się zatrzyma, i powoli przybliżyli się do niego na taką samą odległość. Tiamak nie miał wątpliwości, że nie zostawią go w spokoju. Opuścił dłoń na rękojeść swego noża. Jasne oczy Tancerzy rozszerzyły się, jakby mały Wrańczyk zaproponował nieciekawą grę.

– Nic wam nie zrobiłem – odezwał się Tiamak.

Przywódca roześmiał się bezgłośnie, ukazując czerwony język, przypominający psi ozór.

– On nadchodzi. Nie możesz przed nim uciekać.

– Czy wasz Król Burz przysyła was, byście niepokoili niewinnych przechodniów? – Tiamak starał się, by jego głos zabrzmiał stanowczo. – Nie chce mi się wierzyć, by taka istota zniżała się do wydawania podobnych poleceń. – Delikatnym ruchem wysunął nieco nóż z pochwy.

Przywódca spojrzał na swoich towarzyszy uśmiechnięty.

– Dobrze gada jak na takiego śniadego karzełka, prawda? – Znowu zwrócił swe lśniące oczy na Tiamaka. – Pan chce wiedzieć, kto jest silny, kto się nadaje. Słabi będą potępieni, kiedy On nadejdzie.

Tiamak zaczął się wycofywać w nadziei, że dotrze do miejsca, gdzie spotka kogoś – co było mało prawdopodobne w tej części Kwanitupulu – albo że stanie pod ścianą i nie pozwoli się otoczyć Tancerzom Ognia. Modlił się do Tych, którzy patrzą i panują, żeby się nie potknąć. Zastanawiał się, czy nie pomacać za sobą dłonią, choć z drugiej strony

wiedział, że może potrzebować ramienia, by odeprzeć atak i zdążyć wyciągnąć nóż.

Trzej Tancerze Ognia posuwali się za nim z twarzami równie pozbawionymi wyrazu jak pysk krokodyla. Tiamak starał się pocieszyć, przypominając sobie, że przecież pokonał krokodyla. Te zwierzęta niewiele się od niego różniły, tym chyba tylko, że krokodyl na pewno by go zjadł. Ci młodzieńcy natomiast gotowi byliby go zabić dla czystej przyjemności albo z jakiegoś absurdalnego powodu, dla którego wysłał ich Król Burz. Tiamak cofał się, próbując znaleźć odpowiednie miejsce, by móc się zatrzymać, otoczony przez swych prześladowców, którzy sunęli dziwnym, tanecznym krokiem śmierci, i przez cały czas zastanawiał się, jak to się stało, że imię mało znanego demona z legend z Północy było teraz na ustach każdego zbója z ulicy w Kwanitupulu. Rzeczywiście wiele się zmieniło od czasu, kiedy opuścił swoje bagna.

– Ostrożnie, karzełku. – Przywódca Tancerzy spojrzał ponad Tiamakiem. – Spadniesz i utoniesz.

Tiamak zaskoczony spojrzał szybko przez ramię, spodziewając się zobaczyć krawędź nieogrodzonego kanału. W jednej chwili zorientował się, że dotarł do wylotu krótkiej alei i że był to tylko podstęp; na tyle szybko odwrócił głowę w stronę atakujących, by uniknąć potężnego ciosu pałką nabitą żelazem, która uderzyła z wielką siłą w ścianę tuż obok niego. Poleciały drzazgi.

Tiamak wyciągnął z pochwy nóż, zadał cios w dłoń trzymającą pałkę; chybił jednak, rozrywając tylko rękaw białej szaty. Dwaj z Tancerzy Ognia – z których jeden machał szyderczo rozerwanym rękawem – zajęli pozycje po obu stronach Tiamaka, podczas gdy ich przywódca ustawił się dokładnie naprzeciwko niego. Wrańczyk wycofał się w aleję, machając nożem, by utrzymać przeciwników na dystans. Przywódca roześmiał się i wyciągnął

spod szaty pałkę. Jego oczy płonęły przerażającym blaskiem radości i bezkarności.

Młodzieniec z lewej strony wydał nagle dziwny, cichy odgłos i zniknął, wycofując się na drogę, którą właśnie opuścili. Tiamak domyślił się, że tamten miał pozostać na czatach, gdy tymczasem pozostali będą go wykańczać. Chwilę później pojawiła się znowu pałka, która przed momentem zniknęła; nadleciała ze świstem i uderzyła w Tancerza stojącego po prawej stronie Tiamaka, rzucając nim o ścianę. Kiedy osuwał się na ziemię, jego głowa zostawiała czerwoną smugę na skale. Przywódca Tancerzy patrzył zdumiony i wtedy u wylotu alei, tuż za nim, pojawiła się wysoka postać. Chwyciła go mocno za szyję i cisnęła daleko aż na poręcz u brzegu kanału, która rozpadła się w drzazgi jakby uderzona kamieniem z katapulty. Bezwładne ciało osunęło się powoli do kanału; po kilku chwilach zupełnej ciszy zniknęło w głębinach oleistej wody.

Tiamak zorientował się, że nie potrafi opanować drżenia – trząsł się z podniecenia i strachu. Podniósł wzrok i zobaczył łagodną, nieco zmieszaną twarz Ceallia, odźwiernego.

„Camaris. Książę powiedział, że on nazywa się Camaris – pomyślał Tiamak. – Jest rycerzem. Składał przysięgę, by... by bronić niewinnych”.

Starzec położył dłoń na ramieniu Tiamaka i poprowadził go z powrotem na główną aleję.

TEJ NOCY TIAMAKOWI ŚNIŁY SIĘ ubrane na biało postacie o oczach podobnych do płonących kół. Zbliżały się do niego niczym łopoczące żagle. Machał rozpaczliwie ramionami, płynąc w jednym ze strumieni Wranu. Próbował uciec, lecz coś trzymało go za nogę. Im bardziej walczył, tym trudniej było mu utrzymać się na wodzie. Mała, czarnowłosa dziewczynka przyglądała mu się z brzegu w milczeniu. Tym razem pozostawała tak niewyraźna,

jakby powstała z mgły. Wreszcie, zanim sen się skończył, a Tiamak usiadł na łóżku, z trudem łapiąc oddech, zniknęła.

DIAWEN, WRÓŻBITKA, UCZYNIŁA Z JASKINI we wnętrzu góry coś, co przypominało dom, w którym mieszkała na obrzeżu Hernysadharc, tuż przy krawędzi lasu Circoille. Oddzieliła małą jaskinię od sąsiadujących z nią jam wełnianymi szalami, zawieszonymi u wejścia. Kiedy Maegwin odsunęła delikatnie jeden z nich, zza kotary buchnął obłoczek słodkawego dymu.

Sen o migocących światłach był tak wyraźny i wydawał jej się na tyle ważny, że nie mogła skupić się na własnych zajęciach przez całe rano. Choć usilnie starała się zaspokajać liczne potrzeby swego ludu, kiedy dotykała drżących dłoni jakiegoś starca albo brała w ramiona czyjeś niemowlę, myślami i sercem była daleko.

Wiele lat temu Diawen była kapłanką Mirchy, lecz złamała śluby – nikt nie wiedział dlaczego, a przynajmniej nikt nie znał prawdy, choć snuto różne domysły – i opuściła klasztor, by zamieszkać samotnie. Mówiono o niej jak o wariatce, choć znana była z tego, że potrafi uzdrawiać, przepowiadać przyszłość i czytać sny. Niejeden utrapiony mieszkaniec Hernysadharc, zostawiwszy wpierw miskę pełną owoców lub monetę dla Bryniocha czy Rhynna, czekał zmroku, by udać się do Diawen po skuteczną pomoc. Maegwin pamiętała, że jako dziecko spotkała ją kiedyś na targu w pobliżu Taig; długie, jasne włosy Diawen powiewały niczym proporce. Opiekunka dziewczynki natychmiast pociągnęła ją za sobą, jakby samo patrzenie na wróżbitkę mogło być niebezpieczne.

Tak więc stanąwszy w obliczu niezwykle sugestywnego, lecz wciąż niezrozumiałego snu i pamiętając o błędzie, jaki popełniła podczas jego interpretacji, Maegwin zdecydowała się zwrócić o pomoc. Była pewna, że

jeśli ktokolwiek potrafił zrozumieć, czego doświadczała, to jedynie Diawen.

Wnętrze jaskini wypełniał dym niczym mgła z Inniscrich, ale panował tam porządek. Wróżbitka starannie ułożyła przedmioty uratowane z domu w Hernysadharc; były to przeważnie liczne świecidełka, których z pewnością pozazdrościłaby jej niejedna sroka. Na chropowatych ścianach jaskini porozwieszała naszyjniki z lśniących paciorków, odbijające blask ognia jak kropelki rosy na pajęczynie. Na płaskim kamieniu, służącym Diawen za stół, leżały małe stosy migocących koralików – przeważnie były z metalu lub wygładzonego kamienia. Na wielu półkach ścian jaskini spoczywały pozostałe, także świecące, przedmioty, którymi posługiwała się wróżbitka: lustra różnych rozmiarów, od tych wielkości paznokcia do zwierciadeł o rozmiarach tacy, jedne wykonane z wypolerowanego metalu, inne z drogiego szkła, niektóre okrągłe, inne kwadratowe albo o kształcie elipsy jak oczy kota. Maegwin, wychowana w wiejskim dworze, gdzie podręczne lusterko stanowiło dla damy drugą – po jej reputacji – rzecz, którą mogła się poszczycić, nigdy czegoś podobnego nie widziała.

Diawen była kiedyś piękną kobietą, tak przynajmniej wszyscy mówili. Teraz trudno było to stwierdzić. Twarz miała chudą i wysuszoną, oczy wyłupiaste, a usta szerokie. Jej wciąż niezwykle długie i gęste włosy przybrały kolor tradycyjnej siwizny. Maegwin pomyślała, że wróżbitka przypomina po prostu chudą kobietę, która szybko się starzeje.

Diawen uśmiechnęła się kpiąco.

– Ach, mała Maegwin. Przyszłaś pewnie po miłosny napój. Jeśli myślisz o hrabim, to musisz najpierw rozgrzać jego krew, w przeciwnym razie napój nie zadziała. On jest ostrożny.

Początkowe zdziwienie Maegwin szybko ustąpiło miejsca złości. Skąd ta kobieta może wiedzieć o jej uczuciach do Eolaira? Czy naśmiewają się

z niej przy każdym ognisku? Przez chwilę zapomniała o swojej wielkiej odpowiedzialności wobec poddanych ojca. Dlaczego miałaby starać się uratować bandę takich idiotów?

– Dlaczego to mówisz? – warknęła. – Skąd przypuszczenie, że kocham kogokolwiek?

Diawen roześmiała się, nie bacząc na gniew Maegwin.

– Jeśli ktoś ma wiedzieć, to właśnie ja. Tak, królewska córko, ja wiem.

Przez chwilę Maegwin czuła tylko pieczenie oczu od dymu oraz dumę, urażoną śmiałym stwierdzeniem wróżbitki, i chciała zawrócić. Jednak rozsądek wziął górę. Pewnie rozmawiano o córce Llutha – jak sugerował stary Craobhan. Zawsze tak było. A Diawen była taką osobą, która z pewnością polowała na cenne okruchy, drobne fakty, które odpowiednio spreparowane i sprytnie podane czyniły jej przepowiednie bardziej niesamowitymi. Ale jeśli wróżbitka rzeczywiście posługiwała się takimi sztuczkami, czy mogła w takim razie pomóc Maegwin?

Jakby odgadując myśli dziewczyny, Diawen dała jej znak, by usiadła na gładkim kamieniu przykrytym szalem, i powiedziała:

– Tak, to prawda, że słyszałam, co mówią. Nie trzeba było magii, żeby odkryć uczucia, jakie żywisz do hrabiego Eolaira; wystarczyło raz zobaczyć was razem i wszystko było jasne. Ale Diawen wie więcej, niż może dostrzec bystre oko i usłyszeć czujne ucho. – Pogrzebała w ogniu, tak że snop iskier wyskoczył w górę, a ponad nimi uniósł się obłok żółtawego dymu, po czym spojrzała badawczo na Maegwin. – A zatem czego chcesz?

Kiedy Maegwin powiedziała jej, że pragnie, by wróżbitka pomogła jej zrozumieć sen, Diawen natychmiast przystąpiła do ubijania interesu. Nie chciała od Maegwin ubrań ani żywności.

– Nie, królewska córko – powiedziała, uśmiechając się gorzko. – Ja pomogę ci teraz, a ty będziesz mi winna przysługę. Wolę załatwić to w taki

sposób. Zgoda?

Upewniwszy się, że przysługa nie będzie dotyczyła jej pierworodnego syna czy też jej cienia, duszy lub głosu, Maegwin zgodziła się.

– Nie bój się – powiedziała Diawen uśmiechnięta. – To nie jest jakieś tam bajdurzenie przy ognisku. Nie, kiedyś będę po prostu potrzebowała pomocy i ty mi jej udzielisz. Jesteś potomkiem Rodu Herna, a ja tylko biedną wróżbitką, czyż nie tak? Dlatego zawarłyśmy taką umowę.

Maegwin opowiedziała Diawen treść ostatniego snu, a także innych, które już wcześniej ją niepokoiły; wyjawiła, co się wydarzyło, kiedy pozwoliła poprowadzić się swoim wizjom w głąb ziemi razem z Eolairem.

Dym w jaskini stał się tak gęsty, że kiedy skończyła opowiadać o Mezutu’a i jego mieszkańcach, musiała wyjść na chwilę za zasłonę, by złapać oddech. Od jakiegoś czasu Maegwin miała dziwne wrażenie, jakby jej głowa unosiła się w oderwaniu od reszty ciała, lecz znalazłszy się na zewnątrz, odzyskała jasność umysłu.

– Królewska córko, twoja opowieść jest już nieomal zapłatą – odezwała się wróżbitka, kiedy Maegwin wróciła do jaskini Diawen. – Słyszałam pogłoski, lecz nie wiedziałam, czy im wierzyć. Tak więc karlaki żyją w głębi ziemi pod nami! – Zakrzywiła palce w dziwnym geście. – Przypuszczałam, że tunele Grianspog zawierają coś więcej niż tylko martwą przeszłość.

Maegwin zmarszczyła brwi.

– A co z moim snem? Co powiesz o tych „wyżynach”, o tym, że nadszedł już czas?

Diawen skinęła głową. Na czworakach podpełzła do ściany. Przesunęła dłonią po kilku lusterkach, wybrała jedno i wróciła z nim do ogniska. Było małe, w drewnianej oprawie, sczerniałej od nie wiadomo jak długiego używania.

– Moja babka nazywała je smoczym lusterkiem – powiedziała Diawen i podała lusterko Maegwin. Wyglądało zupełnie normalnie, rzeźbiona oprawa była nieomal gładka.

– Smocze? Dlaczego?

Wróżbitka wzruszyła chudymi ramionami.

– Może w czasach Drochnathaira i innych bestii ostrzegało przed ich nadejściem? A może zostało zrobione ze smoczego pazura albo zęba. – Uśmiechnęła się, jakby chciała pokazać, że sama nie wierzy w takie przesądy. – Prawdopodobnie oprawa została wyrzeźbiona na podobieństwo smoka. W każdym razie lusterko wciąż dobrze mi służy.

Uniosła lusterko nad ogień i powoli zataczała nim koła. Kiedy znowu odwróciła je w swoją stronę, powierzchnię zwierciadełka pokrywała cienka warstwa sadzy. Diawen uniosła je na wysokość twarzy Maegwin; jej odbicie było niewyraźne, jakby widziane przez mgłę.

– Pomyśl o swoim śnie, a potem dmuchnij.

Maegwin starała się zatrzymać w umyśle obraz dziwnej procesji pięknych, lecz obcych postaci. Z powierzchni lusterka wzniósł się obłoczek sadzy. Diawen odwróciła lusterko i zaczęła je studiować, przygryzając dolną wargę w zamyśleniu. Oświetlona od dołu blaskiem ogniska, jej twarz wydawała się jeszcze chudsza, nieomal trupia.

– Dziwne – przemówiła wreszcie. – Widzę znaki, ale ich nie znam. Tak jakby ktoś mówił głośno w sąsiednim pokoju, lecz w obcym języku, którego nigdy nie słyszałam. – Zmrużyła oczy. – Coś tu jest nie tak, królewska córko. Czy jesteś pewna, że opowiedziałaś mi to, o czym ty śniłaś, a nie kto inny? – Diawen zmarszczyła brwi, usłyszawszy gniewne zaprzeczenie Maegwin. – Niewiele mogę ci powiedzieć, a już zupełnie nic z lusterka.

– Co to znaczy?

– Tak jakbym wcale w nie nie patrzyła. Lusterko mówi do mnie, ale ja go nie rozumiem. Tak więc nie masz wobec mnie żadnego zobowiązania, ale mimo to powiem ci coś, dam ci radę. – Ton jej głosu sugerował, że to, co miała do powiedzenia, równie dobrze mogłoby im przekazać lusterko. – Jeśli bogowie rzeczywiście chcą, abyś wykonała ich wolę, zrób to, o co cię proszą. – Kawałkiem białego materiału wytarła szybko lusterko i odłożyła je na półkę w ścianie.

– Co mam zrobić?

Diawen uniosła palec w górę.

– Udaj się na wysokie miejsce.

MAEGWIN POCZUŁA, ŻE JEJ BUTY ZACZYNAJĄ SIĘ zsuwać z oblodzonej skały, i natychmiast wyciągnęła ramię, by chwycić się wystającego kamienia. Zgięła kolana i przesunęła stopy, tak że odzyskała równowagę, po czym wyprostowała się, spoglądając w dół, na białe zbocze, którego znaczną część już pokonała. Z pewnością przy najmniejszym poślizgu spadłaby ze ścieżki; potem potoczyłaby się w dół i bez wątpienia roztrzaskała głowę o pnie drzew. Stała, dysząc ciężko, lecz ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że nie boi się tak bardzo. Taki upadek na pewno okazałby się śmiertelny; zginęłaby na miejscu albo może po jakimś czasie umarła, pozostawiona sama, ranna na ośnieżonym zboczu góry Grianspog. Lecz Maegwin znowu złożyła swe życie w ręce bogów. Co za różnica, jeśli postanowili zabrać ją teraz, a nie trochę później? A poza tym czyż nie wspaniale było znaleźć się znowu pod otwartym niebem, bez względu na chłód i niebezpieczeństwo? Przesunęła się ostrożnie trochę bliżej zewnętrznej krawędzi szlaku i spojrzała w górę. Jeszcze nieomal połowa zbocza dzieliła Maegwin od miejsca jej przeznaczenia – Bradach Tor, który wystawał z wierzchołka niczym dziób kamiennego statku; jego spodnia część lśniła czernią skały

pozbawionej śniegu. Jeśli się postara, dotrze na wierzchołek, zanim słabe poranne słońce, które teraz świeciło jej prosto w twarz, wkroczy daleko w popołudnie.

Maegwin zarzuciła na plecy tobołek i ponownie skierowała wzrok na ścieżkę. Z zadowoleniem stwierdziła, że padający śnieg zatarł prawie zupełnie jej ślady. Z pewnością nie było już nic widać u podnóża góry, skąd zaczęła wspinaczkę. Gdyby ludzie Skalego zaczęli węszyć w tej części góry Grianspog, z pewnością niczego nie zauważą. Bogowie jej sprzyjali, a to był dobry znak. Wspinając się stromą ścieżką, musiała nieomal bez przerwy iść mocno pochylona do przodu i chwytać się skalnych występów. Maegwin odczuwała pewną dumę z siły swego ciała, z tego, w jaki sposób jej mięśnie napinały się i rozluźniały, wciągając ją do góry z szybkością, jakiej nie powstydziłoby się wielu mężczyzn. Do tej pory wzrost i siła przynosiły Maegwin więcej zmartwień niż powodów do zadowolenia. Wiedziała, jak mało kobieca wydawała się wielu osobom, dlatego większą część życia spędziła na udawaniu, że jej to nie obchodzi. Lecz teraz z satysfakcją czuła, jak pewnie pracują jej kończyny. Niestety, właśnie jej ciało stanowiło dotąd największą przeszkodę. Jednak Maegwin była pewna, że dałaby za wygraną, gdyby musiała, choć nie byłoby to łatwe; jeszcze trudniej było zwrócić się przeciwko Eolairowi, udawać, że gardzi nim, gdy tymczasem żywiła całkiem inne uczucie. Jednak zrobiła to i nieważne, jak źle się po tym czuła. Czasem spełnienie boskiej woli wymagało twardego serca.

Wspinaczka nie stawała się łatwiejsza. Pokryta śniegiem ścieżka, którą dziewczyna się posuwała, była zaledwie zwierzęcym szlakiem. W wielu miejscach znikała zupełnie, zmuszając Maegwin, by szła na oślep przez wystające kamienie, plątaninę ogołoconych z liści wrzosów czy gałęzi powyginanych wiatrem drzew, zanim ponownie wyszła na bezpieczny

teren. Co pewien czas zatrzymywała się, żeby złapać oddech, wyżąć przemoknięte rękawice i rozetrzeć zdrętwiałe z zimna palce. Skryte za chmurami słońce zdążyło już daleko zajść na zachodnią stronę nieba, kiedy dotarła wreszcie na wierzchołek Bradach Tor. Zeskrobała śnieg i wyczerpana usiadła na czarnej wygładzonej wiatrem skale.

Poniżej widniało porośnięte lasem podgórze Grianspog, a dalej, niewidoczne teraz poprzez padający śnieg, znajdowało się Hernysadharc, jej rodzinne miasto. Tam w dole, po wyłożonych drewnem korytarzach dworu Taig, chodził teraz Skali, a jego zbóje panoszyli się po ośnieżonych ulicach Hernysadharc. Coś trzeba było zrobić; i najwyraźniej mogła to uczynić tylko królewska córka.

Nie odpoczywała długo. Szybko zaczynała marznąć, gdyż wiatr natychmiast zabierał jej ciepło, które zgromadziła w czasie wspinaczki. Rozwinęła swój tłumok i wysypała wszystko, co w nim miała, na czarny kamień. Owinęła się grubym kocem, starając się nie myśleć o tym, jak nieprzyjemny może stać się i tak już odczuwalny chłód, kiedy nadejdzie noc. Na jedną stronę odłożyła skórzaną sakiewkę z kamykami i krzemieniami; będzie musiała cofnąć się trochę ze szczytu, aby znaleźć drewno na ogień.

Maegwin nie zabrała ze sobą jedzenia nie tylko dlatego, by pokazać bogom, że im ufa, lecz również dlatego, że miała już dosyć ulegania swojemu ciału. A ciało, w którym mieszkała, nie potrafiło obyć się bez jedzenia i miłości – właśnie fakt, że ulepiona jest z tak pospolitej gliny domagającej się wciąż jedzenia, ciepła i dobrej woli innych, wciąż ją złościł. Teraz należało odrzucić przyziemne sprawy, aby bogowie mogli zobaczyć, jaka jest naprawdę.

Na samym dnie zawiniątka leżały dwa przedmioty. Pierwszy to prezent od jej ojca: rzeźbiony w drewnie słowik, symbol bogini Mirchy. Pewnego

dnia, kiedy Maegwin płakała niepocieszona po jakiejś dziecinnej tragedii, król Lluth wstał i zdjął wspaniałego ptaka, powieszonego pośród wielu innych symboli bóstw na belce pod sufitem, po czym włożył go w jej małe dłonie. Poza słowikiem nie miała już niczego, co przypominałoby jej o przeszłości, o tym, co straciła. Przycisnąwszy ptaka na chwilę do zimnego policzka, postawiła go na zaokrąglonym kamieniu, gdzie kołysał się poruszany podmuchami gwałtownego wiatru. Ostatnim skarbem w jej torbie był kamień, który otrzymała od Eolaira, prezent od karlaków. Maegwin zmarszczyła brwi, obracając ów podarek w dłoni. Wmawiała sobie, że zabrała go dlatego, iż trzymała kamień w chwili, kiedy doświadczyła zesłanego przez bogów snu, lecz dobrze wiedziała, że przyczyna była inna. Hrabia ofiarował jej kamień, a potem zaraz odjechał. Zmęczona i otumaniona wspinaczką wpatrywała się w swoje imię wypisane na kamieniu pismem runicznym, aż poczuła ból głowy. Ów odłamek skały był zupełnie bezużyteczny: jej imię otrzymało fałszywą nieśmiertelność, było takim samym oszustwem jak ogromne, kamienne miasto we wnętrzu góry. Teraz rozumiała, że wszystkie przedmioty tej ciężkiej ziemi były podejrzane.

Tak więc wspięła się na wysokie miejsce na wyraźne wezwanie bogów. Tym razem jednak postąpi zgodnie z ich wolą, nie będzie działać pochopnie. Jeśli chcieli, by stanęła przed nimi, zrobi to, chcąc wybłagać ratunek dla swego ludu oraz zgubę dla Skalego i Wielkiego Króla, dwóch oprawców, którzy tak bardzo poniżyli niewinnych ludzi; jeśli bogowie nie mieli zamiaru jej pomagać, umrze. Lecz bez względu na końcowy rezultat, zostanie tutaj, na szczycie, tak długo, dopóki bogowie nie wyjawią swojej woli.

– Bryniochu, Panie Niebios! – zawołała. – Mircho, w deszczowy płaszcz odziana! Murhaghu Jednoręki i odważny Rhynnie! Usłyszałam

wasze wezwanie! Czekam na wasz sąd!

Wirująca biel i szarość natychmiast pochłonęły jej słowa.

MIRIAMELE CZEKAŁA, STARAJĄC SIĘ NIE ZASNĄĆ, lecz Aspitis długo mruczał i wiercił się na łóżku obok niej. Przez cały czas nie potrafiła skupić myśli. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi kabiny, była jakby w półśnie i początkowo nie zdała sobie sprawy, co to był za odgłos.

Pukanie powtórzyło się, tym razem trochę głośniej. Zaskoczona przewróciła się na bok.

– Kto tam? – syknęła. Przyszło jej do głowy, że to Gan Itai, i zaraz przestraszyła się, co powie hrabia, widząc Niskę w jej kabinie. Pomyślała też, że nie chce, aby Gan Itai zobaczyła Aspitisa w jej łóżku. Miriamele nie miała wątpliwości co do tego, że Niska wie wszystko, lecz w takim upodleniu, w jakim się znalazła, chciała zachować choć odrobinę godności.

– Czy jest tam pan? – Z ulgą, ale i wstydem usłyszała głos mężczyzny, jednego z marynarzy.

Aspitis usiadł na łóżku obok niej. Czuła odrażające ciepło jego smukłego ciała.

– Co się stało? – zapytał, ziewając.

– Wybacz, panie. Sternik chce z tobą mówić. To znaczy prosi, żebyś przyszedł do niego. Mówi, że nadciąga burza. Dziwna burza.

Hrabia położył się znowu na plecach.

– Na Błogosławioną Matkę! Człowieku, która jest godzina?

– Homar zniknął właśnie za horyzontem, lordzie Aspitisie. Zaczęła się środkowa wachta. Wybacz, panie.

Aspitis zaklął znowu i sięgnął po leżące na podłodze buty. Nie odezwał się ani słowem do Miriamele, choć wiedział zapewne, że nie śpi.

W uchylonych drzwiach mignęła oświetlona blaskiem lampy brodata twarz marynarza, a potem Miriamele usłyszała kroki obu mężczyzn zdążających do drabiny prowadzącej na pokład.

Leżała w ciemności przez niekończące się minuty, nasłuchując własnego serca, które biło głośniej od uśpionego wciąż oceanu. Nie było wątpliwości, że wszyscy marynarze wiedzieli, gdzie szukać Aspitisa; przypuszczali, że znajdą go w łóżku jego kochanicy! Dławił ją wstyd. Przez chwilę pomyślała o biednym Cadrachu więzionym w ciemnej ładowni. Jego skuto łańcuchami, ale czy jej pęta były lepsze, by pozwolić jej pozostać niewidzialną?

Miriamele nie wyobrażała sobie, by jeszcze kiedykolwiek mogła wyjść na pokład i spojrzeć w oczy uśmiechniętych marynarzy; równie dobrze mogłaby stanąć przed nimi naga. Co innego pozostawać w kręgu podejrzeń, a co innego być częścią prawdy, którą znała cała załoga; kiedy Aspitis był potrzebny, można go było znaleźć w jej łóżku. To ostatnie upokorzenie spływało na nią powoli, jak chłód, który coraz bardziej paraliżuje ciało. Nie odważy się już opuścić swojej kabiny! A nawet jeśli, to tylko po to, żeby wpaść w pułapkę wymuszonego małżeństwa ze złotowłosym potworem! Wolała raczej umrzeć.

Miriamele wydała cichy okrzyk w ciemności. Zaczęła powoli rozważać tę ostatnią myśl, jakby zbliżała się do niebezpiecznego zwierza; wydała jej się tak zdumiewająco potężna, choć jeszcze niewypowiedziana. Ale przecież obiecała sobie, że przetrwa wszystko, że pozwoli ponieść się prądom i wyrzucić na jakąkolwiek plażę, lecz czy rzeczywiście tego chciała? Czy potrafiłaby poślubić Aspitisa, który zrobił z niej dziwkę i przyczynił się do zamordowania jej wuja, a także wspomagał Pryratesa? Czy dziewczyna – nie, już kobieta, pomyślała ze smutkiem – czy kobieta, w której żyłach płynie krew Prestera Johna, pozwoliłaby na coś takiego?

Lecz skoro życie, jakie prawdopodobnie ją czekało, miało być gorsze od śmierci, nie musiała się już dłużej obawiać. Mogła zrobić wszystko.

Miriamele wysunęła się z łóżka. Ubrawszy się szybko, uchyliła drzwi i wyszła na korytarz. Wspięła się po drabinie najciszej jak potrafiła i wysunęła głowę ponad właz na tyle, by upewnić się, czy Aspitis wciąż rozmawia ze sternikiem. Obaj dyskutowali o czymś z ożywieniem, machając lampami, tak że ich zapalone knoty pozostawiały świetliste smugi na tle czarnego nieba. Miriamele natychmiast schowała głowę i zeszła na dół. Zdecydowana, działała teraz z zimnym wyrachowaniem; ruszyła pewnym krokiem w kierunku kabiny Aspitisa. Kiedy wsunęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi, zdjęła kaptur z lampy.

Rozejrzała się pobieżnie po kabinie, lecz nie dostrzegła tego, czego szukała. Miecz Aspitisa leżał w poprzek jego łóżka, niczym pogański małżeński amulet, z wąskim, misternie wykutym ostrzem i rękojeścią w kształcie rybołowa o rozpostartych skrzydłach. Była to ulubiona zabawka hrabiego – może poza nią samą, pomyślała ze smutkiem Miriamele – ale nie tego szukała. Zaczęła więc bardziej szczegółowe poszukiwanie, sprawdzała w ubraniach i szkatułkach, gdzie trzymał biżuterię i kości do gry. Choć wiedziała, że czas ucieka, starannie poskładała i odłożyła na miejsce każdy kawałek materiału, który sprawdzała. Nie zmieniłoby to jej położenia, gdyby Aspitis się o tym dowiedział.

Skończywszy, rozejrzała się bezradnie, nie mogąc uwierzyć, że nie udało jej się nic znaleźć. Nagle przypomniała sobie skrzynię, do której – jak widziała – Aspitis chował sakiewki z pieniędzmi. Gdzie ona zniknęła? Klęknęła i uniosła kapę przykrywającą łóżko hrabiego. Tam była skrzynia, przykryta jednym z najlepszych płaszczy Aspitisa. Przekonana, że w każdej chwili pan Eadne i Driny może wrócić do siebie, Miriamele wsunęła się pod łóżko i wyciągnęła skrzynię; aż zamrugała, kiedy żelazne okucie

skrzyni zaskrzypiało, uderzając o drewnianą podłogę. Skrzynia, tak jak i przedtem, pełna była pieniędzy. Torby zawierały przeważnie srebrne monety, lecz w każdej było także kilkanaście złotych imperatorów. Wszystkie razem stanowiły pokaźną sumę, lecz Miriamele wiedziała, że było to nic w porównaniu z fortuną, jaką posiadał Aspitis i jego rodzina. Uniosła kilka worków, starając się, by monety nie dzwoniły, i ze zdziwieniem stwierdziła, iż jej ręce wcale się nie trzęsą. Pod wierzchnią warstwą pieniędzy spoczywała ukryta, oprawiona w skórę księga. Aspitis zapisał w niej własnoręcznie – zadziwiająco wymyślnym charakterem pisma – miejsca, do których zawitała *Chmura Eadne*: Vinitta, Grenamman, a także inne, gdzie pewnie była, zanim Miriamele znalazła się na jej pokładzie; obok każdej pozycji widniały zaszyfrowane znaki. Miriamele próbowała je odczytać, lecz po chwili odłożyła księgę zniecierpliwiona. Pod księgą leżała zwinięta biała szata z kapturem, ale i ona nie była przedmiotem poszukiwań Miriamele. Kufer nie zawierał już nic tajemniczego, więc spakowała go możliwie najdokładniej i wsunęła pod łóżko.

Czas uciekał. Miriamele siedziała na podłodze przepełniona zimną nienawiścią. Może łatwiej byłoby wymknąć się na pokład i rzucić do morza. Świt miał nadejść dopiero za kilka godzin; nikt się nie zorientuje, gdzie jest Miriamele, zanim będzie po wszystkim. Natychmiast jednak pomyślała o cierpliwie czekających kilpach i poczuła, że nie mogłaby chyba zdobyć się na to, by połączyć się z nimi w głębinach oceanu.

Ujrzała to, czego szukała, dopiero w chwili, kiedy wstawała. Przez cały czas ów przedmiot wisiał na haku za drzwiami. Zdjęła go, wsunęła za pasek pod płaszczem i wyszła na korytarz. Upewniwszy się, że nikt nie nadchodzi, zasłoniła kapturem lampę i ruszyła do swojej kabiny. W chwili, kiedy wsuwała się pod koc na swoim łóżku, zrozumiała doniosłość

odkrycia białej szaty. Miriamele była teraz w stanie dziwnego, chłodnego spokoju; odkrycie stało się jeszcze jednym koronnym dowodem niegodziwości Aspitisa i umocniło ją w postanowieniu. Leżała nieruchomo, oddychając cicho; w oczekiwaniu na Aspitisa nie pozwalała myślom odejść od raz wyznaczonego celu – nie chciała rozmyślać o dzieciństwie i przyjaciołach, nie chciała żałować miejsc, których nie miała już nigdy zobaczyć. Pełna oczekiwania słyszała każde skrzypnięcie na statku, każdy odgłos fali uderzającej o kadłub, ale w miarę, jak niekończące się godziny mijały, nie usłyszała odgłosu kroków. Drzwi jej kabiny nie skrzypnęły. Aspitis nie przyszedł.

Wreszcie kiedy niebo nad pokładem rozjaśnił świt, zapadła w ciężki, mroczny sen. Dłoń trzymała wciąż zaciśniętą na rękojeści sztyletu hrabiego.

Poczuła ręce potrząsające jej ciałem i usłyszała ciche słowa, lecz jej umysł nie chciał powrócić do rzeczywistości.

– Dziewczyno, obudź się!

Wreszcie jęknęła i odwracając się, otworzyła oczy. Z góry patrzyła na nią Gan Itai; jej zwykle smutne spojrzenie przepełniała jeszcze większa troska. Przez otwarte drzwi do jej kabiny wlewało się światło poranka. Potrzebowała zaledwie kilku chwil, by znowu odczuć ciężar bolesnych wspomnień poprzedniego dnia.

– Odejdź – powiedziała do Niski. Chciała schować głowę pod koc, lecz silne dłonie Gan Itai chwyciły ją i posadziły na łóżku.

– O czym oni mówią na pokładzie? Marynarze opowiadają, że hrabia Aspitis ma się ożenić na Spenit! Ma się ożenić z tobą! Czy to prawda?

Miriamele osłoniła dłonią oczy przed jaskrawym światłem.

– Czy wiatr się wzmógł?

W głosie Gan Itai zabrzmiało zdziwienie.

– Nie, morze wciąż jest spokojne. Dlaczego zadajesz takie dziwne pytania?

– Ponieważ nie będzie mógł mnie poślubić, dopóki tam nie dopłyniemy – szepnęła Miriamele.

Niska pokręciła głową.

– Na Ocean Niezbadany! A więc to prawda! Ach, dziewczyno, ale ty przecież tego nie chcesz?

Miriamele otworzyła oczy.

– Wolałabym umrzeć.

Gan Itai wydała cichy pomruk wyrażający przerażenie. Pomogła księżniczce wyjść z łóżka i podała jej małe lusterko, które dostała od Aspitisa, kiedy jeszcze zachowywał pozory uprzejmości.

– Czemu nie chcesz uczesać włosów? – spytała Niska. – Nie lubisz przecież, kiedy są potargane.

– Nie dbam już o nie – odparła, jednak wyraz twarzy Gan Itai poruszył ją; Niska nie wiedziała, jak inaczej mogłaby pomóc Miriamele. Wyciągnęła dłoń po lusterko, lecz w tym momencie rękojeść sztyletu, który wciąż ukrywała w fałdach koca, zaczepiła o jej rękaw i broń upadła z łoskotem na podłogę. Obie wpatrywały się w sztylet przez moment. Nagle Miriamele pomyślała ze zgrozą, że jedyna droga jej ucieczki zamyka się. Skoczyła, by chwycić sztylet, lecz Gan Itai schyliła się pierwsza. Niska podniosła nóż, a w jej złocistych oczach pojawił się wyraz zdziwienia.

– Oddaj mi go – powiedziała Miriamele.

Gan Itai spojrzała na rybołowa wyrzeźbionego w ten sposób, że wydawało się, iż siada na rękojeści sztyletu.

– To jest nóż hrabiego.

– Zostawił go tutaj – skłamała. – Daj mi go.

Niska spojrzała na Miriamele z powagą.

– Nie zostawił go tutaj. Nosi go tylko do najlepszych strojów, a ja widziałam, jak był ubrany, kiedy przyszedł nocą na pokład.

– Podarował mi go jako prezent... – Nagle Miriamele wybuchnęła płaczem, który wstrząsał całym jej ciałem.

Gan Itai podskoczyła zaniepokojona i natychmiast zamknęła drzwi.

– Nienawidzę go! – jęknęła Miriamele, kołysząc się z boku na bok. Gan Itai objęła ją swym szczupłym ramieniem. – Nienawidzę go!

– Co chcesz zrobić z tym nożem? – Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, powtórzyła: – Powiedz mi, dziewczyno.

– Mam zamiar go zabić. – Miriamele zebrała wszystkie siły, by wypowiedzieć te słowa; na chwilę przestała płakać. – Mam zamiar zabić tego pożerającego dziwki potwora, a potem niech się dzieje, co chce.

– Nie, nie, to szaleństwo – powiedziała Niska.

– Gan Itai, on wie, kim jestem. – Miriamele z trudem łapała oddech. Z trudem mówiła. – Wie, że jestem księżniczką, i mówi, że mnie poślubi... żeby móc zostać władcą Nabbanu, kiedy mój ojciec podbije już cały świat. – Sama nie mogła uwierzyć w te słowa, lecz cóż mogło powstrzymać bieg wydarzeń? – Aspitis pomógł zabić mojego wuja, Leobardisa. Daje też pieniądze Tancerzom Ognia.

– Co ty mówisz? – Gan Itai szerzej otworzyła oczy. – Tancerzom Ognia? To szaleńcy!

– Może, ale on ma skrzynię pełną srebrnych i złotych monet, ma także księgę, w której zapisuje wszystkie zapłaty. Trzyma w niej też schowaną szatę Tancerzy Ognia. Aspitis nigdy nie włożyłby tak zgrzebnej szaty. – Nagle wszystko wydało jej się tak jasne, tak śmiesznie łatwe: Aspitis umarłby raczej, niż wybrał strój tak prostacki, chyba że miał ku temu powód. I pomyśleć, że kiedyś piękne szaty robiły na niej tak wielkie

wrażenie! – Jestem pewna, że spotyka się z nimi. Cadrach mówi, że on jest na usługach Pryratesa.

Gan Itai puściła Miriamele i usiadła na łóżku, opierając się o ścianę. Z góry dochodziły odgłosy krzątających się po pokładzie marynarzy.

– Tancerze Ognia spalili część miasta Nisków w Nabbanie – powiedziała wolno Gan Itai. – Zabili drzwi domów, pozostawiając starców i dzieci wewnątrz. W innych miejscach, gdzie też mieszkają moi ludzie, palili i zabijali. A książę Nabbanu i pozostali ludzie nie robią nic. Nic. – Przesunęła dłonią po włosach. – Tancerze Ognia zawsze znajdują jakieś usprawiedliwienie swego postępowania, ale w rzeczywistości kierują się tylko jednym: lubią patrzeć na cierpienia innych. I ty mówisz mi, że mój pan daje im złoto.

– To już nie jest ważne. Będzie martwy, zanim dotrzemy do lądu.

Gan Itai pokiwała głową jakby zdziwiona.

– Nasi dawni panowie zakuli w kajdany Ruyana Żeglarza. Nowi panowie mordują nasze dzieci, swoje także zabijają i uciskają. – Położyła chłodną dłoń na ramieniu Miriamele i zmrużyła oczy w zamyśleniu. – Schowaj nóż – odezwała się wreszcie. – Nie używaj go, dopóki znowu nie przyjdę do ciebie.

– Ale... – zaczęła Miriamele.

Gan Itai ścisnęła mocno jej ramię.

– Nie – rzuciła stanowczo Niska. – Czekaj! Musisz czekać! – Wstała i wyszła z kabiny.

Kiedy drzwi za nią się zamknęły, Miriamele pozostała sama; łzy wysychały na jej policzkach.

5. Senne Pustkowie

NIEBO WYPEŁNIAŁY POSTRZĘPIONE PROPORCE szarych chmur. Na północnym horyzoncie widniała purpurowoczarna pięść ciemniejszych obłoków.

Znowu zrobiło się bardzo zimno. Simon z zadowoleniem wkładał nową koszulę z grubej wełny. Był to prezent od chudej dziewczyny z Nowego Gadrinsett, jednej z dwóch, które zainteresowały się nim w czasie uczty po ceremonii pasowania go na rycerza. Kiedy dziewczyna wraz z matką przyszły, by podarować mu prezent, wyraził uprzejmie swą wdzięczność, tak jak w jego mniemaniu uczyniłby to rycerz. Miał tylko nadzieję, że one nie pomyślą, iż tym samym wyraża zgodę na małżeństwo z córką czy coś takiego. Spotykał już tę dziewczynę wcześniej, lecz wciąż tylko chichotała i prawie się nie odzywała. Simon pomyślał, że miło jest być podziwianym, choć pragnął, by zrobił to ktoś jeszcze poza dwoma głupkowatymi dziewczynami. Ale koszula okazała się ciepła i dobrze wykonana.

– Chodź, panie rycerzu – powiedział Sludig. – Zrobimy użytek z tego kija czy też poczekamy do jutra? Jestem tak samo zmarznięty i zmęczony jak ty.

Simon podniósł wzrok.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Ale zimno, prawda?

– Zdaje się, że nasze krótkie lato się skończyło – zawołał Binabik ze swego miejsca na przewróconej kolumnie. Znajdowali się na środku Ogrodu Ognia, gdzie nic nie osłaniało ich przed mroźnym, porywistym wiatrem.

– Lato? – prychnął Sludig. – Mówisz o lecie dlatego, że na jakiś czas przestał padać śnieg? I tak co rano mam sople lodu na brodzie.

– W każdym razie pogoda poprawiła się w porównaniu z tym, przez co przeszliśmy – odparł Binabik zamyślony. Po raz kolejny rzucił kamykiem w Qantaqę, która zwinięta w kłębek leżała nieopodal. Spojrzała na niego z ukosa, lecz stwierdziwszy, że przypadkowy kamyk nie jest wart tego, by wstać i ugryźć swego pana, znowu zamknęła oczy. Siedzący obok trolla Jeremias przyglądał się uważnie wilczycy.

Simon podniósł kij, który zastępował mu miecz, i ruszył przez wyłożony płytami dziedziniec. Choć Sludig wciąż nie pozwalał mu ćwiczyć prawdziwym orężem, pomógł mu przywiązać do kija kawałki skał, tak aby broń była cięższa. Simon starał się wyważyć w dłoni swój miecz.

– No to chodź – powiedział.

Rimmersman ruszył wolno pod wiatr, który szarpał jego płaszczem, i nagle wykonał szybkie cięcie oburącz. Simon uskoczył w bok, odbijając uderzenie w górę, i sam zadał cios. Sludig zablokował go; nad kamiennym dziedzińcem rozległo się echo drewna uderzanego o drewno. Ćwiczyli przez następną godzinę, podczas gdy zasnute chmurami słońce przesuwało się nad ich głowami. Simon zaczął wreszcie swobodnie operować mieczem. Sludig często powtarzał, że miecz jest przedłużeniem jego ramienia, i Simon wreszcie to poczuł. Zrozumiał, że polegało to głównie na zachowaniu równowagi, a nie na tym, by machać czymś ciężkim; należało posuwać się z mieczem, pozwolić, by plecy i nogi pomagały mu swą mocą, a potem siłą rozpędu przenieść go do pozycji obronnej, zamiast młócić i odskakiwać na oślep.

Kiedy tak walczyli, Simon pomyślał o shencie, wymyślnej grze Sithów, w której główną bronią były często markowane lub zaskakujące posunięcia, i zaczął się zastanawiać, czy dałoby się je zastosować na polu walki.

Zadawał kolejne ciosy, wysuwając się coraz bardziej do przodu, tak by Sludig pomyślał, że zaraz straci równowagę; kiedy Rimmersman uchylił się przed kolejnym desperackim cięciem Simona i zamierzył się, by ukarać go za zbytnie wychylenie się do przodu, ten pochylił się jeszcze bardziej, jakby za chwilę miał runąć na ziemię. Miecz Rimmersmana świsnął nad głową Simona, a on sam wyprostował się w następnej chwili i trzepnął solidnie Sludiga w kolano. Rimmersman rzucił swój kij i zaczął podskakiwać, przeklinając.

– *Ummu Bok!* Bardzo dobrze, Simonie! – zawołał Binabik. – A to mi niespodzianka! – Siedzący obok niego Jeremias wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Bolało. – Sludig rozcierał wciąż nogę. – Ale pomysł był dobry. Starczy na dzisiaj, bo ręce zupełnie nam zdrętwieją.

Simon był bardzo z siebie zadowolony.

– Sludigu, czy taka sztuczka byłaby dobra w prawdziwej walce?

– Może. Choć nie mógłbyś czegoś takiego wykonać, walcząc w pełnej zbroi. Byłbyś jak żółw, który przewrócony na grzbiet, nie może wstać na czas. Zawsze rozeznaj się dobrze w sytuacji, zanim oderwiesz stopy od ziemi, bo inaczej twoją bystrość złożą z tobą do trumny. Ale dobrze to wymyśliłeś. – Wyprostował się. – Krew zamarza mi w żyłach. Zejdźmy do kuźni i ogrzejmy się trochę.

Freosel, młody konstabl Nowego Gadrinsett, polecił kilkunastu osadnikom zbudować kuźnię w jednej z większych jaskiń. Osadnicy ochoczo zabrali się do pracy i teraz topili w ogniu wszelkie zbędne żelazo, z którego mieli nadzieję wykuć nową broń, a także zreperować starą.

– Do kuźni, ogrzać się – zawołał wesoło Binabik. Cmoknął na Qantaqę.

Wilczyca wstała i przeciągnęła się.

Ruszyli żwawo; kilkanaście kroków za nimi szedł nieśmiały Jeremias. Lodowaty wiatr pędził przez Ogrody Ognia, tak że Simon poczuł chłód potu na swym karku. Jego junacki nastrój powoli opadał.

– Dlaczego nie mogliśmy udać się do Hernystiru z hrabią Eolairem i Isornem? – spytał nagle Simon.

Obaj odjechali poprzedniego dnia o świcie w towarzystwie niewielkiej gwardii honorowej złożonej głównie z Thrithingów.

– Myślę, że z powodów, które podał ci Josua – odparł Binabik. – Nie jest dobrze, aby wciąż ci sami ludzie narażali się na niebezpieczeństwo albo wciąż zdobywali zaszczyty. – Troll skrzywił się. – Niebawem wszyscy będą mieli coś do zrobienia.

– Ale my przynieśliśmy mu Cierń. Dlaczego nie mielibyśmy przynajmniej spróbować zdobyć także Minneyara albo raczej Białego Gwoździa?

– Chłopcze, to, że jesteś rycerzem, nie znaczy wcale, że wszystko zawsze ma być tak, jak byś chciał – wtrącił surowym tonem Sludig. – Powinieneś cieszyć się z dotychczasowego szczęścia.

Simon zdziwiony odwrócił się do Rimmersmana.

– Jesteś zły?

Sludig odwrócił głowę.

– Ja? Nie. Ja jestem tylko żołnierzem.

– A nie rycerzem. – Simon domyślał się, co trapiło jego towarzysza. – Sludigu, wiesz przecież, dlaczego tak jest. Josua nie jest królem. Może pasować na rycerzy tylko swoich Erkynlandczyków. Ty jesteś podwładnym księcia Isgrimnura. Na pewno otrzymasz zaszczyty, kiedy tylko wróci.

– Jeśli wróci. – W głosie Sludiga zabrzmiała nuta goryczy. – Mam już dość gadania o tym.

Simon dobrze się zastanowił, zanim odezwał się ponownie.

– Wszyscy doskonale wiedzą, czego dokonałeś. Josua opowiedział innym, ale ja i Binabik byliśmy tam i nigdy tego nie zapomnimy. – Dotknął ramienia Rimmersmana. – Proszę, nie złość się na mnie. Będąc rycerzem, wciąż jestem tym samym gamoniem, którego uczysz posługiwać się mieczem. Jestem też twoim przyjacielem.

Sludig spoglądał na niego przez chwilę spod krzaczastych, żółtawych brwi.

– Wystarczy – powiedział. – Rzeczywiście jesteś gamoń, a ja muszę się napić.

– I ogrzać. – Simon próbował ukryć uśmiech.

Przysłuchujący się w milczeniu Binabik przytaknął z powagą.

GELOË CZEKAŁA NA NICH NA SKRAJU Ogrodu Ognia. Twarz miała owiniętą szczelnie chustą chroniącą przed zimnym wiatrem, tak że widać było tylko jej okrągłe, żółte oczy. Uniosła czerwoną od chłodu dłoń, kiedy nadeszli.

– Binabiku, chciałabym, żebyście z Simonem przyszli do Obserwatorium przed zachodem słońca. – Wskazała w kierunku kamiennej skorupy oddalonej o kilkaset kroków na zachód od miejsca, w którym stali. – Potrzebuję waszej pomocy.

– Pomocy czarodziejskiego trolla i zabijającego smoki rycerza. – Uśmiech Sludiga nie był zbyt szczery.

Geloë spojrzała na niego surowo.

– To żaden zaszczyt. A poza tym, Rimmersmanie, nawet gdybyś mógł, chyba nie chciałbyś wchodzić na Ścieżkę Snów. Przynajmniej nie teraz.

– Na Ścieżkę Snów? – zapytał Simon zdziwiony. – Dlaczego?

Czarownica spojrzała na kłębowisko czarnych chmur widocznych na północnym horyzoncie.

– Nadchodzi kolejna burza. Oprócz wiatru i śniegu przybliży ona także naszego wroga. Ścieżka Snów staje się coraz bardziej niebezpieczna. Niebawem może stać się niedostępna. – Szczelniej otuliła się płaszczem. – Musimy wykorzystać czas, jaki jeszcze nam pozostał. – Geloë odwróciła się i odeszła w kierunku morza łopocących namiotów. – O zachodzie słońca! – zawołała.

– Ach! – Binabik przerwał milczenie. – Zdążymy jeszcze napić się wina i ogrzać przy ogniu. Chodźmy szybko do kuźni. – Ruszył przed siebie. Qantaqa pobiegła za nim.

Jeremias powiedział coś, lecz wiatr zagłuszył jego słowa. Simon zatrzymał się, by na niego zaczekać.

– Co powiedziałeś?

Giermek uniósł głowę.

– Powiedziałem, że nie było z nią Leleth. Zawsze chodzą wszędzie razem. Mam nadzieję, że nic się jej nie stało.

Simon wzruszył ramionami.

– Chodźmy się zagrzać.

Ruszyli szybko za znikającymi w dali Binabikiem i Sludigiem. Przed nimi wśród falujących traw pojawiała się i znikała szara postać Qantaqi.

SIMON I BINABIK PRZEKROCZYLI PRÓG oświetlonego lampą Obserwatorium. Widoczne poprzez wyrwę w załamanym dachu zachodnie niebo przypominało kulę z niebieskiego szkła. Geloë nie było w środku, lecz w Obserwatorium znajdowała się już Leleth; siedziała na przewróconej kolumnie z podkurczonymi nogami. Nawet na nich nie spojrzała, kiedy weszli. Dziewczynka zazwyczaj była bardzo zamknięta, lecz teraz Simon dostrzegł w jej spokoju coś, co go zaniepokoiło. Podszedł bliżej i wymówił

cicho jej imię, lecz ona siedziała dalej nieruchomo, wpatrzona w niebo, oddychając wolno, jak ktoś pogrążony we śnie.

– Czy myślisz, że jest chora? – spytał Simon. – Może dlatego Geloë wezwała nas tutaj. – Troska o Leleth nie przyćmiła do końca jego innych myśli; nadzieja na to, że znowu znajdzie się na Ścieżce Snów, podniecała go. Choć znalazł bezpieczne schronienie na *Sesuad'ra*, wciąż dręczyły go niezwykle żywe i niepokojące sny.

Troll pomacał ciepłą dłoń dziewczynki, a następnie pozwolił opaść rączce na kolana.

– Chyba nie możemy tutaj zrobić niczego, czego Geloë nie zrobiłaby lepiej od nas. Poczekamy cierpliwie. – Odwrócił się i rozejrzał po przestronnej, okrągłej sali. – Myślę, że było to kiedyś piękne miejsce. Trolle także potrafią rzeźbić w żywej skale, lecz Sithowie przewyższali nas w tych umiejętnościach.

Simon zasmucił się, słysząc, jak Binabik wspomina lud Jirikiego, jakby już nie istniał, lecz powrócił do tematu Leleth.

– Czy jesteś pewien, że nie możemy nic dla niej zrobić? Może okryjemy ją płaszczem? Jest zimno.

– Nic jej nie będzie – powiedziała stojąca na progu Geloë. Simon podskoczył, jakby przyłapano go na spiskowaniu. – Ona jest już trochę bliżej Ścieżki Snów. Chyba czuje się tam szczęśliwsza.

Weszła do środka, a za nią ukazał się ojciec Strangyeard.

– Witajcie, Simonie i Binabiku – powiedział duchowny. Jego twarz promieniała radością dziecka świętującego Aedonmansę. – Pójdę z wami. We śnie. To znaczy Ścieżką Snów. Czytałem o tym i od dawna mnie to fascynowało, ale nigdy nie sądziłem... – Trzepnął palcami, jakby chciał pokazać, jak nieprawdopodobne czeka go doświadczenie.

– Strangyeardzie, nie idziemy na wycieczkę – rzuciła Geloë surowym tonem. – Ale skoro jesteś już Tym, Który Nosi Pergamin, dobrze będzie, jeśli poznasz część naszej sztuki.

– Oczywiście, że to nie jest wycieczka. To znaczy, zgadzam się, dobrze jest poznać. Ale wycieczka... ja... och. – Strangyeard zamilkł zmieszany.

– Rozumiem teraz, dlaczego Strangyeard przyłączył się do nas – powiedział Binabik. – Ja także mogę się przydać, ale dlaczego Simon? I dlaczego tutaj?

Czarownica pogładziła włosy Leleth siedzącej wciąż nieruchomo obok niej na kamiennej kolumnie.

– Po pierwsze potrzebuję specjalnej pomocy, którą być może otrzymam od Simona. Ale pozwólcie, że wyjaśnię wam wszystko do końca, żebyśmy nie popełnili błędu. – Zaczekała, aż pozostali usiedli wokół niej. – Mówiłam wam, że nadciąga kolejna burza. Trudno będzie teraz iść Ścieżką Snów, jeśli w ogóle nam się to uda. Zbliżają się też inne niebezpieczeństwa. – Uniosła dłoń, powstrzymując pytanie Simona. – Nic więcej nie mogę powiedzieć. Przynajmniej dopóki nie porozmawiam z Josuą. Moje ptaki przyniosły wiadomości, ale nawet one ukryją się, kiedy nadejdzie burza. Wtedy pozostaniemy ślepi tutaj, na szczycie skały.

Mówiąc, ułożyła szybko na podłodze mały stos z drewien i podpaliła go gałązką zapaloną od jednej z lamp. Wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza i wyjęła z niej małą torebkę.

– Tak więc – ciągnęła – dopóki jeszcze jest czas, spróbujemy po raz ostatni zebrać tych, którzy mogą nam pomóc albo którzy potrzebują schronienia. Sprowadziłam was tutaj, gdyż jest to najlepsze miejsce. Wybrali je sami Sithowie, kiedy rozmawiali ze sobą na odległość, używając, jak głoszą legendy, kamieni, łusek i stawów, które nazywali swoimi świadkami. – Geloë wysypała z torby na dłoń trochę ziół. – Dlatego

właśnie nazwałam to miejsce Obserwatorium. Podobnie jak duchowni śledzili gwiazdy ze swoich obserwatoriów w dawnym Imperium, tak i Sithowie przychodzili tutaj, aby popatrzeć na swoje imperium Osten Ard. To miejsce bardzo się do tego nadaje.

Simon dość dużo wiedział o świadkach: sprowadził Aditu przy pomocy lusterka Jirikiego, widział też, co stało się z Amerasu, po tym jak posługiwała się Lampą Mgieł. Nagle przypomniał sobie sen, który go nawiedził w czasie nocy czuwania – tłum niosących pochodnie Sithów i ich dziwną ceremonię. Czy to możliwe, że natura tego miejsca ma coś wspólnego z jego wyraźną wizją przeszłości?

– Binabiku – odezwała się Geloë. – Może słyszałeś o Tiamaku, Wrańczyku zaprzyjaźnionym z Morgenesem. Wysyłał czasem wiadomości do twojego mistrza, Ookequka. – Troll przytaknął. – Znał go także Dinivan z Nabbanu. Powiadomił mnie, że przygotował jakiś plan, w który zaangażował także Tiamaka. – Geloë zmarszczyła brwi. – Nigdy jednak nie dowiedziałam się, co to był za plan. Dinivan nie żyje, a Wrańczyk być może pozostał bez przyjaciół. Razem z Leleth próbowałyśmy się z nim porozumieć, lecz nie do końca nam się to udało. Ścieżka Snów stała się bardzo zdradliwa. – Sięgnęła za leżącą kolumnę i podniosła z podłogi mały słoik z wodą. – Tak więc myślę, że twoja moc pomoże nam dotrzeć do Tiamaka. Poinformujemy go, że może przyjść do nas, jeśli potrzebuje schronienia. Poza tym obiecałam Josui, że ponownie spróbuję dotrzeć do Miriamele. Ten przypadek jest jeszcze dziwniejszy; wyczuwam jakąś zasłonę, cień, który nie pozwala mi jej znaleźć. Ty, Simonie, znałeś ją dobrze. Może ta więź pozwoli nam przebić się przez cień.

Miriamele. Simon poczuł nagle wypełniające go różne uczucia – nadzieję, sympatię, gorycz. Pamiętał, jak bardzo był zły i rozczarowany, kiedy przybywszy na *Sesuad’ra*, nie znalazł jej tam. W podświadomości

wierzył, że jeśli tylko uda mu się dotrzeć do Kamienia Rozstania, to Miriamele będzie tam na niego czekała, aby go powitać; jej nieobecność odebrał jak dezercję. Ale przestraszył się także, gdy tylko stało się jasne, że Miriamele zniknęła w towarzystwie Cadracha.

– Pomogę ci, jak tylko będę mógł – powiedział.

– Dobrze. – Geloë wstała, ocierając dłonie o spodnie. – Strangyeardzie, pokażę ci, jak zmieszać srebrnik z wilczą jagodą. Czy twoja religia zakazuje tego?

Duchowny wzruszył ramionami bezradnie.

– Nie wiem. Może... to znaczy, nadeszły dziwne czasy.

– Rzeczywiście. – Czarownica uśmiechnęła się. – Chodź więc ze mną, pokażę ci. Możesz to potraktować jako lekcję historii.

Simon i Binabik czekali cierpliwie, gdy tymczasem Geloë objaśniała odpowiednie proporcje zafascynowanemu archiwiście.

– Nie mam już więcej tych roślin – oznajmiła na koniec. – To jeszcze jeden argument, że tym razem musi nam się udać. – Wzięła z naczynia trochę mikstury i roztarła ją na dłoniach, czole i ustach Simona, po czym podobnie postąpiła z Binabikiem i Strangyeardem. Simon poczuł na skórze chłód mazi.

– A ty i Leleth? – spytał Simon.

– Ja obejdę się bez tego, a Leleth nigdy tego nie potrzebowała. Teraz siadajcie i chwyćcie się za ręce. Pamiętajcie, że Ścieżka Snów stała się dziwna. Nie przestraszcie się i zachowujcie rozsądnie.

Jedną z lamp postawili na podłodze i usiedli w kręgu obok kruszącej się kolumny. Z jednej strony Simon chwycił małą dłoń Binabika, a z drugiej równie małą dłoń Leleth. Na twarzy dziewczynki pojawił się łagodny uśmiech, nieprzytomny uśmiech kogoś, kto śni o szczęśliwych niespodziankach. Uczucie chłodu ogarnęło ramiona Simona, potem całe

jego ciało, wypełniając głowę jakby mgłą. Choć noc jeszcze nie zapadła, salę szybko ogarnęła ciemność. Wkrótce Simon widział jedynie drżący jęzor ognia, a potem nawet i on rozpłynął się w ciemności, która wszystko pochłonęła. Poza ciemnością znajdował się cały wszechświat mglistej szarości – morze nicości bez dna i powierzchni. Z tej bezkształtnej otchłani zaczęła powoli wyłaniać się jakaś postać, śmigająca szybko niczym wróbel. Po chwili Simon rozpoznał w niej Leleth, lecz była jakby ze snu, Leleth, która kręciła się i wirowała; jej czarne włosy powiewały na wietrze. Choć nie usłyszał żadnego dźwięku, zobaczył, że dziewczynka śmieje się wesoło i przyzywa go skinieniem dłoni – nawet jej oczy śmiały się tak, jak jeszcze nigdy tego nie widział. Była to dziewczynka, jakiej nigdy nie spotkał, dziecko, które – w jakiś niewyjaśniony sposób – przeżyło atak Sfory z Burzowej Góry. Oto znowu stała przed nim żywa, wolna od grozy prawdziwego świata i od swego okaleczonego ciała. Jego serce zabiło radośnie na widok jej nieskrępowanego tańca.

Leleth zawirowała przed nim, przyzywając go, prosząc w milczeniu, by pospieszył za nią! Simon spróbował, lecz okazało się, że to on jest mało zwinny, ociężały, jakby ugrzązł w szarości swego miejsca. Postać Leleth szybko stawała się coraz mniej wyraźna, aż w końcu zniknęła w niekończącej się szarości. Jego dusza ze snu poczuła, że wraz z nią odchodzi pewien rodzaj ciepła. I nagle pozostał sam.

Być może upłynęło dużo czasu, kiedy unosił się bezwładnie. Aż wreszcie poczuł, że chwyciły go delikatne, niewidzialne palce. Coś ciągnęło go do przodu, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Wciąż nie czuł swego ciała, lecz mimo to niewidzialny prąd porwał go. Nowy kształt zaczął wyłaniać się przed nim: cienista wieża upstrzona czerwonymi iskrami, jakby czarny wir z ognia i dymu. Simon zauważył, że zbliża się do niego z coraz większą prędkością, i nagle poczuł strach. W wirującej

ciemności czaiła się śmierć – śmierć albo coś jeszcze gorszego. Nigdy dotąd nie wyobrażał sobie, że strach może być tak silny. Starał się pamiętać, że jest to tylko sen, a nie rzeczywistość. Nie musi śnić, jeśli nie będzie chciał. Część jego umysłu pamiętała, że w tej chwili w jakimś innym miejscu trzyma dłonie swoich przyjaciół...

Kiedy o nich pomyślał, poczuł, że są z nim, choć pozostają niewidzialni. Zebrał siły i powstrzymał nieco swoje opadanie do wewnątrz, w kierunku wszechogarniającej, przytłaczającej ciemności. Potem wolno zaczął się podciągać; jego dusza ze snu płynęła jakby pod prąd. Kiedy oddalił się nieco od czarnego wiru, ten zapadł się nagle w sobie, a Simon poczuł, że jest wolny i płynie w stronę nowego miejsca. Szarość była tutaj łagodniejsza, światło inne, jakby słońce świeciło poprzez gęstą zasłonę chmur. Ujrzał przed sobą Leleth. Dziewczynka uśmiechnęła się zadowolona, że znowu są razem. Simon wiedział jednak, że on nigdy nie doświadczy tego wszystkiego, co ona.

Bezkształtny dotychczas sen zaczął przybierać bardziej wyraźną formę; Simon poczuł, jakby się wznosił nad budzącym się światem. Pod nim leżało pogrążone w cieniu miasto pełne nieprawdopodobnych przedmiotów, takich jak: koła od wozu, dziecięce zabawki, posągi nieznanych zwierząt, a nawet wieże oblężnicze porzucone w dawnych wojnach. Migocące światła rozjaśniały ulice biegnące w dziwny sposób pomiędzy jeszcze dziwniejszymi domami. Spojrzawszy w dół, Simon poczuł, że coś przyciąga go do jednego z budynków – wysoka budowla powstała głównie z książek i pożółkłych zwojów, sprawiała wrażenie, że za chwilę się zawali. Leleth, która dotąd krążyła wokół Simona z szybkością trzmiela, teraz popłynęła w dół, w kierunku oświetlonego okna papierowej wieży.

Na łóżku leżała jakaś postać pogrążona we śnie. Simon nie widział jej wyraźnie, jakby patrzył przez wodę. Leleth rozłożyła ramiona nad łóżkiem

i niewyraźna postać poruszyła się niespokojnie.

– *Tiamaku* – powiedziała Leleth, choć był to głos Geloë, w którym słychać było też głosy pozostałych towarzyszy Simona. – *Tiamaku, obudź się!*

Postać na łóżku drgnęła i usiadła powoli. Sylwetka jakby falowała, co wzmocniło jeszcze wrażenie Simona, że znajduje się pod wodą. Wydało mu się, że postać przemówiła, lecz początkowo nie potrafił wyodrębnić żadnych słów.

– *Tiamaku, to ja, Geloë, Geloë z lasu Aldheorte. Chcę, żebyś przybył do nas na* Sesuad’ra. *Będziesz tam bezpieczny.*

Postać zafalowała.

– *...śnię?*

– *Tak, ale to prawdziwy sen. Przybądź do Kamienia Rozstania. Trudno mi teraz z tobą rozmawiać. Oto, jak możesz go odnaleźć.* – *Leleth jeszcze raz rozłożyła ramiona i tym razem ukazał się niewyraźny wizerunek Kamienia.*

– *...Dinivan... chciał...*

– *Wiem, ale teraz jest inaczej. Jeśli chcesz się ukryć, przybądź na* Sesuad’ra. – Leleth opuściła dłonie i drżący obraz zginął. Postać na łóżku także stawała się coraz bardziej niewyraźna.

– *...!...* – Próbowała powiedzieć coś ważnego, lecz szybko znikała we mgle, podobnie jak wieża, w której spoczywała, i całe miasto. – *...z Północy... okropny... odkryłem starą noc...* – Nastąpiła cisza, a potem padły ostatnie słowa. – *...W księdze Nissesa...*

Senny cień zniknął i znowu na wszystko opadła błotnista szarość.

Znalazłszy się ponownie w gęstej mgle, Simon skierował swe myśli ku Miriamele. Skoro skontaktowali się z Tiamakiem, Geloë zechce z pewnością dotrzeć do zagubionej księżniczki. I rzeczywiście, zanim

jeszcze obraz Miriamele pojawił się w jego umyśle, ujrzał ją taką, jaką zapamiętał z domu Geloë – w przebraniu chłopięcym, z ostrzyżonymi krótko i ufarbowanymi na czarno włosami – taki właśnie obraz pojawił się w otaczającej go nicości. Postać Miriamele zamigotała – Simon pomyślał, że jej włosy odzyskały swój naturalny, złocisty kolor – lecz zaraz przybrała inny kształt. Drzewa? A może wieży? Simon poczuł chłód niepokoju. Nieraz widział już we śnie wieżę i nigdy nie oznaczało to nic dobrego. Ale nie, tym razem miał przed sobą coś więcej niż tylko pojedynczy, wysoki kształt. Drzewa? Las? Kiedy wytężył wzrok, by zobaczyć wyraźniej, mroczny obraz sam zaczął zlewać się w całość, tak że wreszcie Simon zorientował się, iż jest to statek, równie niewyraźny jak Tiamak ze snu w swojej pergaminowej wieży. Z wysokich masztów zwisały luźno liny i żagle, a wszystkie były tylko szarymi, postrzępionymi pajęczynami. Statek kołysał się, jakby pchany silnym wiatrem. Białe grzywy fal rozjaśniały mroki morskiej toni, tak samo czarnej jak niebo w górze. Jakaś siła powstrzymywała Simona, choć on sam pragnął zbliżyć się do statku. Wytężył myśli. Tam może być Miriamele!

Simona powstrzymywała ogromna, ciemna kurtyna z deszczu i mgły tak gruba, że wydawała się namacalna. Zaprzestał wysiłków zagubiony i bezradny. Nagle u jego boku pojawiła się Leleth z twarzą wykrzywioną grymasem wysiłku.

– *Miriamele!* – zawołał Simon. Jego głos wydobył się nie z jego gardła, lecz z gardła Leleth. – *Miriamele!* – zawołał jeszcze raz. Leleth przysunęła się trochę bliżej zjawy, jakby chciała, by słowa zabrzmiały głośniej, zanim je wymówi. – *Miriamele, przybądź do Kamienia Rozstania!*

Statek zdążył już zniknąć zupełnie, a burza rozszalała się na całym morzu. Simonowi wydało się, że w samym jej sercu dostrzegł podskakujące księżyce czerwonego światła, podobne do tych, które widział w ogromnym

wirze. Co to miało znaczyć? Czy Miriamele groziło jakieś niebezpieczeństwo? Czy ktoś niepokoił jej sny? Jeszcze raz spróbował przebić się przez grubą zasłonę szalejącej nawałnicy, lecz bez rezultatu. Burza otoczyła go ze wszystkich stron. Czuł jej dudnienie w sobie, jakby sam był rozkołysanym, spiżowym dzwonem; wibracja była tak silna, że wydawało mu się, iż za chwilę rozpadnie się na kawałki. Leleth zniknęła. Upstrzona iskrami ciemność trzymała go mocno niczym atramentowa pięść i nagle przyszło mu do głowy, że umrze tutaj, w tym miejscu, które nie jest żadnym miejscem. Gdzieś w oddali ukazała się plamka światła, mała i matowa jak wytarta, srebrna moneta. Poruszył się w jej stronę, lecz ciemność wciąż nacierała na niego, a czerwone iskry przeleciały przez jego ciało z sykiem niczym malutkie, ogniste strzały. Spróbował odnaleźć dłonie przyjaciół, lecz na próżno. Plamka nie przybliżyła się. Czuł coraz większe zmęczenie, jak rozbitek pozostawiony na morzu.

„Binabiku, pomóż mi! – pomyślał, lecz jego przyjaciele pozostali gdzieś poza niekończącą się ciemnością. – Pomóż mi! – Teraz oddalała się nawet mała plamka. – Miriamele – pomyślał. – Chciałem cię znowu zobaczyć...”

Jeszcze raz sięgnął po plamkę światła i poczuł, że czegoś dotyka, jakby koniuszek czyjegoś palca naciskał na jego palec, choć przecież teraz nie miał rąk, by móc dotknąć czegoś lub zostać dotkniętym. Poczuł przypływ siły i przysunął się nieco do plamki, lecz ciemność wciąż go otaczała... i znowu trochę bliżej...

DOERNOTH POMYŚLAŁ, ŻE W INNYCH OKOLICZNOŚCIACH byłaby to wesoła scena. Nie miał wątpliwości, że świat stanął na głowie, widząc, z jaką uwagą i szacunkiem Josua słucha tych niezwykłych doradców: ubranej w męskie ubranie kobiety o twarzy jastrzębia i przyciętych po męsku włosach oraz sięgającego mu do pasa trolla.

– *Valado* Geloë, czego zatem oczekujesz od Tiamaka? – spytał książę, przysuwając lampę. – Będzie mile widziany wśród nas, skoro jego mądrość dorównuje twojej czy Morgenesa.

Czarownica pokręciła głową.

– Josuo, on nie zna tajników sztuki i z pewnością nie jest wielkim strategiem. W rzeczywistości jest to nieśmiały Wrańczyk z bagien, który wie dużo o ziołach spotykanych w jego kraju. Nie. Próbowałam wezwać go tutaj, gdyż pozostawał on w bliskich kontaktach z Ligą, a także dlatego, że boję się o niego. Dinivan miał wobec niego jakieś zamiary, lecz Dinivan nie żyje. Nie możemy zostawić Tiamaka samego. Musimy uratować wszystkich, którym możemy pomóc, zanim nadejdzie burza.

Josua przytaknął, lecz bez większego entuzjazmu. Siedząca obok Vorzheva także nie wyglądała na uradowaną. Deornoth pomyślał, że żona księcia może sprzeciwić się, by jej męża obarczono jeszcze jedną odpowiedzialnością, nawet jeśli oznacza ona tylko małego człowieczka z bagien.

– Dziękuję ci za to, Geloë – powiedział Josua. – A także za to, że jeszcze raz spróbowałaś odnaleźć moją siostrzenicę, Miriamele. Coraz bardziej się o nią niepokoję.

– To dziwne – odparła Geloë. – Jest tam coś, czego nie rozumiem. Tak jakby Miriamele schowała się przed nami za zasłoną, a przecież ona tego nie potrafi. Nie wiem, co o tym myśleć. – Wyprostowała się, jakby chciała odegnać bezużyteczną myśl. – Ale mam ci coś jeszcze do powiedzenia.

Binabik od jakiegoś czasu przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Zanim czarownica zdążyła cokolwiek powiedzieć, dotknął jej ramienia.

– Wybacz, ale powinienem chyba pójść do Simona i zobaczyć, czy dobrze wypoczywa po przeżyciach na Ścieżce Snów.

Geloë nieomal się uśmiechnęła.

– Porozmawiamy później.

– Idź, Binabiku – ponaglił go Josua. – Ja też do niego przyjdę. Dzielny z niego chłopak, choć trochę zbyt niecierpliwy.

Troll skłonił się i wyszedł, unosząc zasłonę wejścia do namiotu.

– Książę Josuo, chciałabym, aby pozostałe wieści były lepsze – przemówiła Geloë. – Ptaki przyniosły mi niepokojące wiadomości. Z Zachodu zbliżają się zmasowane siły, składające się z wielu uzbrojonych ludzi.

– Co mówisz? – Josua wyprostował się zdumiony. Vorzheva zasłoniła dłońmi brzuch. – Nie rozumiem. Od kogo otrzymałaś takie wieści?

Czarownica pokręciła głową.

– Nie mówię o ptakach takich, jakie wysyłał Jarnauga, które przenoszą małe skrawki pergaminu. Mam na myśli ptaki latające wysoko po niebie. Potrafię z nimi rozmawiać... w pewien sposób. Na tyle przynajmniej, by zrozumieć ogólny sens wiadomości. Z Hayholt maszeruje armia. Minęli już miasta Doliny Hasu i zbliżają się do łąk wzdłuż granicy wielkiego lasu.

Deornoth wpatrywał się w nią zdumiony. Kiedy wreszcie odezwał się, jego głos zabrzmiał słabo i płaczliwie, nawet dla niego samego.

– Rozmawiasz z ptakami?

Geloë rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Może właśnie dzięki temu żyjesz jeszcze. A jak myślisz, skąd wiedziałam, jak odnaleźć was nad rzeką Stefflod, gdzie szykowaliście się do walki z ludźmi Hotviga? Albo skąd wiedziałam, jak odnaleźć was w lesie Aldheorte?

Josua położył dłoń na ramieniu Vorzhevy, jakby chciał ją uspokoić, choć ona wydawała się całkiem spokojna. Po chwili przemówił niespodziewanie surowym głosem.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym wcześniej, Geloë? Jakie jeszcze informacje mogliśmy uzyskać?

Wydawało się, że czarownica powstrzymuje się od gwałtownej odpowiedzi.

– Powiedziałam wam o wszystkim, co jest istotne. W czasie tej długiej zimy niewiele miałam cennych informacji. Większość ptaków nie żyje albo schowały się przed zimnem, w każdym razie nie latają. Nie zrozumcie mnie źle: nie potrafię rozmawiać z nimi tak samo, jak rozmawiam z wami. Ich myśli nie są myślami ludzi, nie zawsze można je wyrazić słowami i nie zawsze je rozumiem. One informują o pogodzie i nadchodzącym niebezpieczeństwie, tym razem oznaki te są tak oczywiste, że nawet i my potrafimy je odczytać. Ich uwagę może także zwrócić duża grupa ludzi – pieszych i jeźdźców. Ale jeśli nikt na nie nie poluje, nie przejmują się specjalnie nami.

Deornoth zdał sobie sprawę, że wciąż wpatruje się w czarownicę, i odwrócił wzrok. Zastanawiał się, czy rozmawianie z ptakami to wszystko, co robi Geloë; pamiętał tamto skrzydlate stworzenie, które go zaatakowało w lasku nad rzeką Stefflod, ale zdecydował, że głupio byłoby o tym teraz wspominać. Nie tylko głupio, lecz nawet niegrzecznie. Geloë była ich lojalnym sprzymierzeńcem i dobrym przyjacielem. Dlaczego miałby zazdrościć jej tajemnic, które stanowiły o istocie jej mądrości?

– Panie, sądzę, że *valada* Geloë ma rację – przemówił cicho. – Nieraz już wykazała, że jest naszym prawdziwym sprzymierzeńcem. Wieści, które nam przynosi, są ważne.

Josua patrzył na niego przez chwilę, po czym przytaknął mu.

– Dobrze, Geloë, czy twoi skrzydlaci przyjaciele orientują się, ilu ludzi nadchodzi i jak szybko się zbliżają?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Myślę, że chodzi o setki ludzi, choć muszę przyznać, że zgaduję. Ptaki nie potrafią liczyć tak jak my. Co do tego, kiedy tu będą, to chyba się zbytnio nie spieszą, lecz nie zdziwię się, gdy ujrzymy ich przed upływem miesiąca.

– Na Krew Aedona – zaklął Josua. – Założę się, że to Guthwulf i Gwardia Królewska. Mamy tak mało czasu. Myślałem, że będziemy się przygotowywać aż do wiosny. – Josua podniósł wzrok. – Czy jesteś pewna, że idą tutaj?

– Nie – odpowiedziała Geloë. – Lecz gdzie indziej mieliby iść?

Deornoth poczuł ulgę, która wyparła narastający w nim strach na wieść o nadciągającym wrogu. Nie tego się spodziewali, przynajmniej nie tak szybko, lecz z drugiej strony nie można było powiedzieć, by ich sytuacja była zupełnie beznadziejna. Choć wróg z pewnością przewyższał ich liczebnością, to dopóki uda im się utrzymać pozycję na doskonałym do obrony, otoczonym wodą wzgórzu, jest przynajmniej jakaś szansa odparcia oblężenia. Po raz pierwszy od upadku Naglimundu mieliby okazję zmierzyć się z siłami Eliasa. Deornoth poczuł wzbierającą w nim wolę walki. Skoro nie ma innego wyjścia, to może nie byłoby tak źle zmienić nieco świat. Jak mawiał Skali? „Walcz i żyj, walcz i umieraj, Bóg czeka na wszystkich”. Tak, to było proste.

– Tak więc – odezwał się wreszcie Josua. – Znaleźliśmy się między groźną burzą a armią mojego brata. – Pokręcił głową. – Możemy tylko się bronić. Dopiero co znaleźliśmy bezpieczne miejsce, a już znowu musimy walczyć i umierać. – Wstał, po czym odwrócił się i pocałował swoją żonę.

– Dokąd idziesz? – Vorzheva uniosła dłoń, by dotknąć jego policzka, lecz Josua odwrócił wzrok. – Dlaczego odchodzisz?

Książę westchnął.

– Powinienem pójść do Simona. Potem przejdę się trochę i pomyślę.

Po chwili wyszedł w noc świszczącą zimnym wiatrem.

WE ŚNIE SIMON SIEDZIAŁ NA MASYWNYM TRONIE z gładkiego, białego kamienia. Sala tronowa była ogromną połacią ziemi, porośniętą zieloną trawą. Nienaturalnie błękitne niebo wyglądało jak pomalowane. Wokół niego stali dworzanie; podobnie jak niebo ich uśmiechy wydawały się sztuczne i nieruchome.

– *Król przynosi odrodzenie!* – ktoś zawołał.

Stojący najbliżej niego dworzanin zbliżył się do tronu. Była to czarnooka kobieta o długich, prostych włosach ubrana w szarą szatę; jej twarz była mu wyraźnie znajoma. Postawiła przed Simonem lalkę z trzciny i liści, po czym cofnęła się i, choć nie było możliwości ukrycia się nigdzie w pobliżu, zniknęła. Na jej miejscu stanęła inna osoba.

– *Odrodzenie!* – ktoś zawołał.

– *Wybaw nas!* – krzyknął ktoś inny.

Simon próbował powiedzieć im, że nie posiada takiej mocy, lecz zdesperowane i nieznane twarze przesuwały się nieustannie wokół tronu niczym szprychy obracającego się koła. Stos ofiarowanych przedmiotów wciąż rósł. Były tam inne lalki, snopki złocistego zboża, a także bukiety kwiatów, których jasnokolorowe płatki wydawały się tak samo sztuczne jak błękitne niebo. Składano przed nim kosze pełne owoców i sera, a nawet zwierzęta; beczenie kóz i cieląt wznosiło się ponad natarczywymi okrzykami dworzan.

– *Nie mogę wam pomóc!* – krzyczał Simon. – *Nic nie można zrobić!*

Twarze pojawiały się i znikały. Krzyki i jęki wzmagały się niczym ocean rozpaczy. Simon spojrzał w dół i zobaczył, że na stosie ofiarnym złożono teraz dziecko, jakby to były mary. Niemowlę leżało z nieruchomą twarzą i szeroko otwartymi oczami. Wyciągając dłoń w kierunku dziecka,

Simon ponownie dostrzegł ofiarowaną wcześniej lalkę. Na jego oczach zaczęła gnić i sczerniała, tak że wkrótce stała się zaledwie plamą na bardzo jasnej trawie. Pozostałe dary także ulegały rozkładowi w niesamowicie szybkim tempie; owoce siniały, marszczyły się, aż w końcu pokryła je warstwa pleśni. Z kwiatów pozostały tylko suche okruchy, a ze zboża szary pył. Simon patrzył przerażony, jak ciała spętanych zwierząt marszczą się, nadymają i znikają zżerane przez masę wijących się larw.

Simon spróbował zejść ze swego tronu, lecz ten zaczął się przechylać i osuwać pod nim, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi. Upadł na kolana w błoto. Gdzie było dziecko? Gdzie? Jeśli go nie uratuje, zginie jak wszystko inne, zgnije! Rzucił się do przodu, rozgarniając śmierdzące resztki ze stosu ofiar, lecz dziecka nigdzie nie było... ten błysk złota w głębi stosu... Simon wciąż grzebał, aż wreszcie zgniłe resztki zatkały mu nos i oczy jak ziemia rzucana do grobu. Czy tam, w głębi, rzeczywiście błyszczy złoto? Musi kopać głębiej. Czy dziecko nie miało na ręku złotej bransoletki? A może był to złoty pierścionek albo opaska...? Jeszcze głębiej. Coraz trudniej było mu oddychać...

OBUDZIŁ SIĘ W CIEMNOŚCI. Kiedy otrząsnął się z przerażenia, wyplątał się z płaszcza i przesunął w stronę wejścia; odsunąwszy zasłonę, spojrzał na gwiazdy, których nie zdążyły zasłonić chmury. Jego serce biło teraz wolniej. Znajdował się w namiocie, który dzielił z Binabikiem. Przyprowadziła go tu z Obserwatorium Geloë z pomocą Strangyearda i trolla. Gdy tylko położyli go na sienniku, natychmiast zasnął i miał swój dziwny obraz. Ale zapamiętał również inny sen, w którym podróżował Ścieżką Snów oraz widział dziwną budowlę i statek widmo. Trudno było mu teraz oddzielić od siebie oba doświadczenia. Miał wrażenie, że głowa mu ciąży i jest jakby opleciona pajęczyną.

Simon wyjrzał na zewnątrz i zaczerpnął zimnego powietrza, orzeźwiającego jak łyk wina. Coraz łatwiej było mu zebrać myśli. W Obserwatorium skupił się całkowicie na Ścieżce Snów, lecz nie odnalazł Miriamele. To było najważniejsze, o wiele ważniejsze niż jakiś koszmar pełen lalek, niemowląt i złotych pierścieni. Próbowali dotrzeć do Miriamele, lecz coś ich powstrzymało – stało się tak, jak ostrzegała ich Geloë. Simon nie chciał się poddać. Kiedy inni zaprzestali poszukiwań, on brnął dalej, aż nieomal ugrzązł w czymś złym, bardzo złym.

„Prawie do niej dotarłem! Prawie! Wiem, że udałoby mi się, gdybym mógł spróbować jeszcze raz!”

Ale zioła Geloë skończyły się, a poza tym upłynął czas, w którym można było chodzić po Ścieżce Snów. Nigdy już nie spróbuje... chyba że...

Ta myśl – mądra, lecz przerażająca – przyszła mu nagle do głowy, ale w tym samym momencie coś innego zwróciło jego uwagę.

– Widzę, że już wstałeś. – Twarz księcia ukazała się nagle w świetle lampy, którą trzymał. – Binabik mówił, że spałeś, kiedy wychodził.

– Właśnie się obudziłem, Wasza Wysokość. – Simon spróbował wstać, ale zaplątał się w zasłonę wejścia do namiotu i nieomal upadł.

– Nie powinieneś wstawać. Troll mówi, że przeżyłeś trudne chwile. Nie do końca rozumiem to, co robiliście, lecz wiem wystarczająco dużo, by sądzić, że powinieneś zostać w łóżku.

– Czuję się dobrze. – Bał się, że jeśli książę uzna, iż jest chory, to nie pozwoli mu już nigdzie pojechać. A on przecież nie chciał być odsunięty od jakiejkolwiek nowej wyprawy. – To był tylko jakby zły sen. Czuję się dobrze.

– No cóż. – Josua przyjrzał mu się sceptycznie. – Skoro tak mówisz. Chodź zatem, przejdziemy się trochę. Może później uda ci się jeszcze zasnąć.

– Przejdziemy? – Simon przeklął w duchu samego siebie. Właśnie teraz chciał być sam, ale własna duma pokrzyżowała mu plany. Choć z drugiej strony będzie miał okazję porozmawiać z Josuą.

– Tak, ale tylko kawałek. Okryj się czymś. Binabik nie wybaczyłby mi, gdybyś nabawił się jakiejś malarii, pozostając pod moją opieką.

Simon wsunął się do namiotu i odnalazł swój płaszcz.

Przez chwilę szli w milczeniu. Widoczne w świetle lampy Josuy kamienie *Sesuad'ra* emanowały dziwnym blaskiem.

– Książę Josuo, chcę być pomocny – odezwał się wreszcie Simon. – Chciałbym odzyskać miecz twego ojca.

Josua nic nie odpowiedział.

– Gdybyś pozwolił pojechać mnie i Binabikowi, nikt by nas nie zauważył. Jesteśmy zbyt niepozorni, aby zwracać na siebie uwagę Króla. Przynieśliśmy ci Cierń, przyniesiemy i Biały Gwóźdź.

– Zbliża się armia – powiedział książę. – Zdaje się, że mój brat dowiedział się o naszej ucieczce i teraz próbuje nadrobić swoją dotychczasową opieszałość.

Usłyszawszy nową wiadomość, Simon poczuł ze zdziwieniem, że ogarnia go uczucie zadowolenia. Tak więc będzie okazja, by czegoś dokonać! Zaraz jednak zawstydził się swoich myśli, przypominając sobie kobiety, dzieci i starców, którzy zamieszkali w Nowym Gadrinsett.

– Co możemy zrobić? – spytał.

– Czekać. – Josua zatrzymał się przed ocienionym Domem Wód. Przed nimi płynęła popękaną, kamienną rynną ledwo widoczna strużka wody. – Wszystkie drogi pozostają odcięte. Możemy czekać i przygotowywać się. Staniemy w obronie naszego nowego domu, kiedy przybędzie Guthwulf z wojskiem; Guthwulf albo ktoś inny, może nawet sam mój brat. Jeśli nas pokonają... no cóż, wtedy będzie po wszystkim. – Wiejący na szczycie

wzgórza wiatr uniósł ich płaszcze i szarpnął resztą ubrania. – Jeśli jednak Bóg dopomoże nam w jakiś sposób, ruszymy naprzód i spróbujemy wykorzystać nasze zwycięstwo.

Książę usiadł na kawałku zwalonego muru i dał znak, by Simon zrobił to samo. Kiedy postawił lampę na ziemi, ich ogromne cienie padły na ścianę Domu Wód.

– Musimy żyć dniem bieżącym. Nie wolno nam wybiegać myślami w przeszłość, gdyż możemy stracić to, co już mamy.

Simon wpatrywał się w tańczący płomień lampy.

– A co z Królem Burz?

Josua szczelnie otulił się płaszczem.

– Nie wiem, to zbyt skomplikowany problem. Musimy skupić się na rzeczach, które rozumiemy. – Wskazał dłonią na uśpione miasto namiotów. – Tam mieszkają niewinni ludzie. Trzeba ich bronić. Teraz jesteś rycerzem, Simonie, i jest to także twoim obowiązkiem, który przysięgałeś wypełnić.

– Wiem, książę Josuo.

Książę milczał przez chwilę.

– Nie mogę też zapominać o moim dziecku. – Jego usta drgnęły na chwilę poruszone uśmiechem. – Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka.

– Naprawdę?

– Kiedy byłem młodszy, pragnąłem, by moje pierwsze dziecko było chłopcem. – Josua spojrzał w górę na gwiazdy. – Marzyłem o synu, który by kochał naukę i sprawiedliwość, lecz nie był nękany moimi uczuciami. – Pokręcił głową. – Ale teraz mam nadzieję, że nasze dziecko będzie dziewczynką. Gdybyśmy zginęli, a ono przetrwało, nie daliby mu spokoju. Elias nie pozwoliłby mu przeżyć. Gdybyśmy jednak w jakiś sposób wygrali... – Urwał.

– Tak?

– Gdybyśmy jednak wygrali i ja zasiadłbym na tronie mego ojca, pewnego dnia musiałbym wysłać mojego syna, by zrobił coś, czego ja nigdy nie mogłem dokonać, coś niebezpiecznego i chwalebnego. Taki jest los królów oraz ich synów. A potem budziłbym się wciąż niespokojny, że zginął. – Josua westchnął. – Oto, czego nienawidzę w sprawowaniu rządów i królowaniu, Simonie. Tak, w planach książęcego panowania biorą udział żywi ludzie. Ciebie, który byłeś wtedy nieomal chłopcem, i Binabika naraziłem na niebezpieczeństwa. Tak, tak, wiem, że teraz jesteś już młodym mężczyzną, w końcu kto pasował cię na rycerza?, ale to wcale nie zmniejsza wyrzutów sumienia. Dzięki litościwemu Aedonowi przeżyłeś, lecz twoi towarzysze polegli.

Simon zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Książę Josuo, ale kobieta nie wybawi nikogo z wojny. Pomyśl o Miriamele. Pomyśl o swojej żonie, lady Vorzhevie.

Josua przytaknął mu.

– Chyba masz rację. Czeka nas kolejna walka, dalsza wojna i ci najbardziej bezbronni zginą. – Po chwili milczenia podniósł nagle wzrok. – Elysio, Matko Boża, cóż to za wspaniałe lekarstwo dla kogoś, kogo męczą majaki! – Skrzywił się zawstydzony. – Binabik da mi za to kopniaka; nie dość, że ciągnę za sobą jego podopiecznego, to jeszcze opowiadam mu o śmierci i nieszczęściach. – Na chwilę objął Simona ramieniem, po czym wstał. – Wróćmy do namiotu. Wiatr staje się coraz zimniejszy.

Kiedy książę schylił się po lampę, Simon spojrzał na jego mizerną twarz i poczuł miłość do Josui, miłość zmieszaną ze współczuciem, i zastanowił się, czy wszyscy rycerze darzą swoich panów podobnymi uczuciami. Czy gdyby żył ojciec Simona, Eahlferend, byłby równie surowym, lecz uprzejmym mężczyzną, jakim był Josua? Czy rozmawialiby ze sobą o takich rzeczach?

Kiedy szli wśród falujących traw, zastanawiał się też, czy jego ojciec byłby z niego dumny.

Zanim dostrzegli Binabika, ujrzeli lśniące oczy Qantaqi; mały troll stał ledwie widoczny obok wejścia do namiotu.

– Cieszę się – odezwał się Binabik. – Muszę przyznać, że zacząłem się niepokoić, gdy zobaczyłem, że zniknąłeś, Simonie.

– To moja wina, Binabiku. Rozmawialiśmy trochę. – Josua zwrócił się do Simona. – Zostawiam cię w dobrych rękach. Śpij dobrze, młody rycerzu. – Josua uśmiechnął się i odszedł.

– A teraz – przemówił surowym tonem troll – wracaj do łóżka.

Skierował Simona do namiotu i sam wszedł za nim. Simon, kładąc się, powstrzymał grymas bólu. Czy miała to być noc, kiedy wszyscy mieszkańcy Nowego Gadrinsett chcieli z nim porozmawiać?

Nie potrafił jednak powstrzymać grymasu bólu, kiedy Qantaqa, która weszła z nimi do namiotu, oparła się łapami o jego brzuch.

– Qantaqa! *Hinik aia!* – Binabik klepnął wilczycę. Qantaqa zawarczała i wycofała się na zewnątrz. – Teraz czas na sen.

– Nie jesteś moją matką – mruknął Simon. Jak w ogóle można coś zrobić, kiedy Binabik wciąż się przy nim kręci? – Czy ty też idziesz spać?

– Ja nie mogę. – Binabik wziął dodatkowy płaszcz i narzucił go na Simona. – Tej nocy mam wartę ze Sludigiem. – Przykucnął u boku Simona. – Chcesz trochę porozmawiać? Czy Josua powiedział ci o nadciągającej armii?

– Powiedział. – Simon udał, że ziewa. – Może jutro o tym porozmawiamy. Chyba rzeczywiście chce mi się spać.

– Miałeś ciężki dzień. Ścieżka Snów okazała się zdradliwa, tak jak ostrzegała Geloë.

Ciekawość Simona przezwyciężyła jego determinację zajęcia się własnymi sprawami.

– Binabiku, co to było? To coś na Ścieżce Snów. Jak burza z iskrami. Widziałeś też?

– Nie wiem. Geloë też nie. Powiedziała, że jest to jakaś przeszkoda. Tak, burza to dobre słowo. Było to coś jak zła pogoda na Ścieżce Snów. Jednak nie znamy przyczyny. Ale nie jest to pora na zastanawianie się nad takimi problemami. – Binabik wstał. – Śpij dobrze, Simonie przyjacielu.

– Dobranoc, Binabiku. – Nasłuchiwał, jak troll, odchodząc, przywołuje Qantaqę. Potem leżał długo nieruchomo, liczył do dwustu i dopiero gdy skończył, wysunął się spod płaszczy i zaczął szukać lusterka Jirikiego.

Znalazł je w torbie, którą kiedyś miał przytwierdzoną przy siodle, a którą uratował Binabik. Była w niej także Biała Strzała i ściągnięty sznurkiem worek. Simon podniósł go i spróbował pociągnąć za sznurek. Dopiero po chwili przypomniał sobie: worek ten otrzymał od Aditu, kiedy się rozstawali; powiedziała ona wtedy, że jest to coś od Amerasu dla Josui. Simon zastanawiał się przez chwilę, czy powinien wziąć worek w jakieś ustronne miejsce i otworzyć go, lecz czuł, że czas nagli. Binabik mógł wrócić wcześniej, niż się tego spodziewał. Lepiej już było zostać upomnianym za nieobecność, niż nie zrealizować pomysłu, który przyszedł mu do głowy. Niechętnie wsunął worek do torby. Postanowił, że później, zgodnie z obietnicą, odda go księciu.

Jeszcze tylko odszukał sakiewkę z krzesiwem i wymknął się na zewnątrz, w zimną noc. Światło księżyca z trudem przedzierało się przez warstwę chmur, lecz wystarczało, by Simon odnalazł drogę poprzez grzbiet wzgórza. Wśród niezliczonych namiotów tu i ówdzie pojawiała się jakaś niewyraźna postać, lecz nikt go nie zatrzymał, tak że wkrótce minął Nowe Gadrinsett i dotarł do środkowej części ruin *Sesuad’ra*.

W Obserwatorium nie było nikogo. Simon wszedł do pogrążonego w mroku wnętrza i odnalazł pozostałości ogniska Geloë. Popiół był jeszcze ciepły. Zebrał kilka leżących poza ogniskiem drzazg, po czym posypał je trocinami ze swojej sakiewki. Uderzył kilkakrotnie kawałkiem żelaza w krzesiwo, aż wreszcie wykrzesał iskrę, która jednak zgasła, zanim zdążył ją rozdmuchać. Spróbował jeszcze kilka razy, przeklinając pod nosem. Wreszcie udało mu się rozpalić malutkie ognisko.

Rzeźbiona krawędź lusterka Jirikiego wydawała się ciepła w dotyku, za to jego szklana powierzchnia była zimna jak tafla lodu, kiedy przyłożył ją do policzka. Chuchnął na nią, podobnie jak robił to nad ogniskiem, przesunął lusterko przed siebie i spojrzał w nie. Blizna na jego twarzy nie była już tak zaogniona; tworzyła teraz zaledwie biało-czerwoną linię, biegnącą przez policzek od oka do szczęki. Pomyślał, że przydaje mu żołnierskiego wyglądu – kogoś, kto walczył z honorem za słuszną sprawę. Śnieżnobiały kosmyk włosów także dodawał mu powagi. Spojrzawszy na swą brodę, Simon nie mógł się powstrzymać, by nie przejechać po niej dłonią; wierzył, że dzięki niej wygląda na rycerza, a przynajmniej bardziej na młodego mężczyznę niż chłopca. Zastanawiał się, co powiedziałaby Miriamele, widząc go teraz.

„Może wkrótce się dowiem”.

Przechylił nieco lusterko, tak by blask ogniska oświetlił tylko połowę jego twarzy, pozostawiając drugą jej część w czerwonawym cieniu. Starał się przypomnieć sobie dokładnie to, co mówiła o Obserwatorium Geloë, że kiedyś było to miejsce, z którego Sithowie mogli widzieć i rozmawiać na znaczne odległości. Starał się przywołać w myślach dawne czasy, by ich atmosfera i cisza otuliły go niczym peleryna. Już raz przez przypadek odnalazł Miriamele; dlaczego by więc nie spróbować i teraz, w tak ważnym miejscu?

Kiedy wpatrywał się w połowę swej twarzy, wydało mu się, że blask ognia się zmienia. Drżące płomienie zakołysały się mocniej, potem uspokoiły się i zaczęły pulsować purpurowym światłem. Jego twarz widoczna w lustrze rozmyła się w szarości, a on, czując, że zapada się w cieniu, zdążył jeszcze pomyśleć z triumfem: „A nikt nie chciał nauczyć mnie magii!”

Oprawa lusterka zniknęła i Simon zanurzył się całkowicie w szarości. Czuł się pewnie, pamiętając o podróży, którą odbył wcześniej; znalazł się na znanym sobie terenie. W następnej chwili przyszła mu do głowy inna myśl. Dotąd zawsze miał przewodnika i podróżował w towarzystwie innych. Tym razem nie było z nim Leleth, która dzieliłaby jego niepokój, ani Binabika czy Geloë, którzy mogliby mu pomóc, gdyby znalazł się w niebezpieczeństwie. Szybko opanował ogarniający go zimny strach. Przecież używał już wcześniej lusterka Jirikiego, czyż nie? Wtedy także nikt mu nie pomagał. Jednak jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że wzywanie pomocy było trochę łatwiejsze niż samodzielne wchodzenie na Ścieżkę Snów.

Ale przecież Geloë mówiła, że mają mało czasu, że niebawem nie będzie wolno wejść na Ścieżkę Snów. Może była to ostatnia okazja, by spróbować dotrzeć do Miriamele, ostatnia szansa, by sprowadzić ją i uratować. Z pewnością będzie to ostatnia możliwość, jeśli dowiedzą się o tym Binabik i Geloë. Musi iść naprzód. Wyobrażał sobie, jak bardzo zdziwi się Miriamele, jak będzie zadowolona i zaskoczona...

Tym razem szarość wydawała się bardziej gęsta. Miał wrażenie, że płynie w galarecie albo w bardzo błotnistej wodzie. Jak można było poruszać się tutaj bez żadnych znaków? Simon wyobraził sobie Miriamele, tak samo jak o zachodzie słońca, kiedy znalazł się na Ścieżce Snów wraz z innymi. Teraz jednak jej obraz jakby się rozpadał. Z pewnością jej oczy

tak nie wyglądały. Nie miała też takich włosów; nawet wtedy, gdy je ufarbowała, nie miały brązowego odcienia. Starał się zapanować nad umykającym przed nim obrazem, lecz rysy zaginionej księżniczki wciąż pozostawały niewyraźne. Z trudem przypominał sobie, jak powinna wyglądać. Simon czuł się, jakby próbował wykonać witraż z kolorowej wody: pomimo jego wysiłków kontury wciąż się zamazywały.

Kiedy on usilnie próbował przywołać obraz Miriamele, szarość zaczęła się zmieniać. Różnica nie od razu stała się widoczna, lecz gdyby Simon znajdował się w swoim ciele – czego nagle bardzo zapragnął – z pewnością poczułby gęsią skórkę. W wypełnionej szarością pustce było coś jeszcze, coś o wiele większego od niego. Czuł, że to coś emanuje siłą, lecz w przeciwieństwie do burzy, w której się znalazł w czasie poprzedniej podróży, teraz odkrywał inteligencję, a nawet pełną zła cierpliwość. Zdawało mu się, że to coś przygląda mu się bezlitośnie, jakby był pływakiem na otwartym morzu, który wyczuwa pod sobą istotę o ogromnych płetwach, przepływającą pod nim w czarnych głębinach.

W swej samotności Simon poczuł się przeraźliwie osaczony. Usilnie próbował uchwycić się czegoś, co pozwoliłoby mu wydostać się z otchłani. Czuł, że strach osłabia go coraz bardziej, że gaśnie niczym płomień świecy; wciąż nie wiedział, jak się wydostać, w jaki sposób opuścić to miejsce. Starał się wyrwać ze snu, obudzić, lecz podobnie jak w majakach z czasów dziecięcych nie potrafił przerwać więzi. Przecież wszedł w ten sen, nie śpiąc, jak zatem miał się obudzić?

Niewyraźna postać, która nie była Miriamele, wciąż pozostawała widoczna. Próbował zbliżyć się do niej, oderwać od czającej się ogromnej istoty.

– *Pomóż mi!* – krzyknął bezgłośnie i gdzieś na horyzoncie jego myśli pojawił się strzęp czegoś mu znajomego. Sięgnął desperacko niczym

tonący, który chwyta się płynącej rei. Ślad czyjejś obecności wzmocnił się, lecz jednocześnie istota, która znalazła się razem z nim w szarej otchłani, przesunęła zasięg swej mocy, nie pozwalając mu uciec. Czuł, że jego beznadziejna walka bawi okrutną i bezlitosną istotę, lecz miał też wrażenie, że ta zabawa zaczyna go nużyć i chce ją zakończyć. Otoczyła go jakaś śmiertelna siła, która zmroziła jego duszę, próbując powstrzymać kolejny wysiłek Simona, by dosięgnąć wciąż słabo wyczuwalnej drugiej obecności. Dotknął jej, pomimo ogromnej odległości we śnie, i przywarł do niej.

„Miriamele?” – pomyślał z nadzieją, że to ona, lecz jednocześnie bał się, by nie zgubić cieniutkiej nici. Bez względu na to, kto to był, postać wydawała się wreszcie świadoma obecności Simona, lecz druga istota nie wypuszczała go ze swych kleszczy. Czarny cień przesunął się ponad nim i przez niego, gasząc wszelkie światło i jego myśli...

– *Seomanie?* – Nagle wyczuł obok siebie jeszcze inną obecność – nie tę wahającą się, śmiertelną kobietę. – *Seomanie! Chodź do mnie!* – zawołała. – *Chodź!*

Poczuł ciepło. Lodowy uścisk czarnej istoty wzmocnił się na chwilę, po czym zelżał; Simon zdołał pomyśleć, że stało się tak nie dlatego, że istota została pokonana, lecz dlatego, że znudziło ją zajmowanie się tak błahymi sprawami, podobnie jak kota nudzi uganianie się za myszką, która skryła się pod kamieniem. Powróciła szarość, wciąż bezkształtna, ale po chwili zaczęła wirować niczym skręcane wiatrem chmury. Simon ujrzał delikatną twarz, o oczach koloru płynnego złota.

– *Jiriki!*

– *Seomanie* – odezwała się postać o zatroskanej twarzy. – *Czy znalazłeś się w niebezpieczeństwie? Potrzebujesz pomocy?*

– *Chyba teraz jestem bezpieczny.* – Rzeczywiście czająca się postać wydawała się zniknąć ostatecznie. – *Co to było za okropieństwo?*

– *Nie wiem na pewno, co to było, lecz jeśli nie pochodziło z Nakkigi, znaczy to, że w świecie jest więcej zła, niż nawet my podejrzewaliśmy.* – Choć Simon wyczuwał ogromną odległość dzielącą go we śnie od Sithy, widział jednak, że Jiriki przygląda mu się uważnie. – *Czy chcesz powiedzieć, że wzywałeś mnie bez powodu?*

– Ja w ogóle nie zamierzałem cię wzywać – odparł Simon, czując, że najgorsze ma już za sobą. – *Chciałem dotrzeć do Miriamele, córki Króla. Opowiadałem ci o niej.*

– *Jesteś sam na Ścieżce Snów?* – W głosie Jirikiego zabrzmiał nuta gniewu, lecz także chłodnego rozbawienia. – *Co za głupi dzieciak! Kto wie, co stałoby się, gdybym właśnie nie odpoczywał i nie był blisko miejsca, w którym się znajdujesz, blisko tylko w myślach.* – Po chwili Simon odczuł większą przychylność Jirikiego. – *Mimo wszystko cieszę się, że masz się dobrze.*

– *Ja także się cieszę, że cię widzę.* – Rzeczywiście tak było. Simon nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo tęsknił za spokojnym głosem Jirikiego. – *Jesteśmy na Kamieniu Rozstania*, Sesuad'ra. *Elias wysłał wojsko. Czy możesz nam pomóc?*

Twarz Sithy spochmurniała.

– *Seomanie, nie mogę przybyć do ciebie w najbliższym czasie. Musisz sam zadbać o swoje bezpieczeństwo. Mój ojciec, Shima'onari, jest umierający.*

– *Tak mi przykro...*

– *Zabił ogara Nikua, największego w psiarni Nakkigi, lecz został śmiertelnie ranny. Był to jeszcze jeden węzeł w długiej nici naszej historii, jeszcze jeden śmiertelny dług wobec Utuk'ku i...* – Jiriki zawahał się – *...innych. Sithowie obradują. Kiedy mój ojciec spocznie ostatecznie w naszym Świętym Lesie, Zida'ya ponownie wyruszą na wojnę.* – Gniew

zupełnie zniknął z oblicza Jirikiego, który znowu był niewzruszonym Sithą, lecz Simon miał wrażenie, że wyczuwa w nim jednak pewne napięcie czy może podniecenie.

Poczuł przypływ nadziei.

– Czy przyłączycie się do Josui? Będziecie walczyć po naszej stronie?

Jiriki patrzył na niego posępnie.

– Tego nie mogę ci powiedzieć, Seomanie. Nie chcę składać obietnic, których nie mógłbym dotrzymać. Jeśli ja będę miał coś do powiedzenia, to tak się stanie. Wtedy Zida'ya i Sudhoda'ya jeszcze raz staną obok siebie do walki. Ale oprócz mnie wielu innych będzie przemawiało, a oni mają swoje zdanie. Od chwili, kiedy Rody zebrały się na naradę wojenną, wiele razy odtańczyliśmy koniec roku. Spójrz!

Twarz Jirikiego rozmyła się i znikła, ustępując miejsca obrazowi, na którym Simon ujrzał ogromne drzewa o srebrzystych liściach. U stóp drzew widać było zgromadzenie Sithów, setki nieśmiertelnych, ubranych w zbroje o najprzeróżniejszych kształtach i barwach, które lśniły w promieniach słońca przebijających się między gałęziami.

– Spójrz. W Jao e-Tinukai'i spotkali się członkowie wszystkich Rodów. Jest tutaj Chekaiso Bursztynowe Loki, podobnie jak Zinjadu Miłośniczka Wiedzy z zaginionego Kementari czy Yizashi Szara Włócznia. Przybył nawet Kuroyi – ten wysoki jeździec – który nie rozmawiał z nikim z Domu Tańczącego Roku od czasów Shi'iki'ego i Senditu. Powrócili wszyscy wygnańcy, więc znowu staniemy do walki jako jeden naród, jak w czasie upadku Asu'a. Z pewnością ani śmierć Amerasu, ani ofiara mego ojca nie pójdą na marne.

Obraz zebranych Sithów zniknął i ponownie ukazała się twarz Jirikiego.

– Lecz ja nie posiadam władzy, która pozwoliłaby mi pokierować całym zgromadzeniem – powiedział. – My, Zida'ya, mamy wiele zobowiązań. Nie

mogę obiecać, że przybędziemy, Seomanie, lecz zrobię, co w mojej mocy, by spełnić moje przyrzeczenie. Wezwij mnie, jeśli będziecie w potrzebie. Wiesz, że zrobię, co tylko będę mógł.

– *Wiem, Jiriki.* – Simon czuł, że było jeszcze wiele rzeczy, o których chciał powiedzieć, ale jego myśli wirowały w szalonym pędzie. – *Mam nadzieję, że niebawem się zobaczymy.*

Dopiero teraz Jiriki się uśmiechnął.

– *Jak już ci mówiłem, zupełnie pozbawiona magii mądrość mówi mi, że tak się stanie. Bądź dzielny.*

– *Będę.*

Po chwili twarz Sithy spoważniała.

– *A teraz idź już. Jak sam się przekonałeś, nie można już polegać na Ścieżce Snów ani na Świadkach; stały się niebezpieczne. Bardzo jest też prawdopodobne, że ktoś inny słucha naszych słów. Nie jest tajemnicą, że zebrały się Rody Sithów, ale tajemnicą ma zostać to, co zamierzają zrobić. Unikaj tych ścieżek, Seomanie.*

– *Ale ja muszę odnaleźć Miriamele* – odparł z uporem Simon.

– *Boję się, że będzie to kłopotliwe. Porzuć ten zamiar. A poza tym, może się okazać, że teraz jest bezpieczna i to ty sprowadzisz na nią niebezpieczeństwo.*

Simon poczuł winę, przypominając sobie Amerasu, lecz był przekonany, że Jiriki chciał go tylko ostrzec.

– *Jeśli tak mówisz...* – odpowiedział zrezygnowany. Tak więc wszystko było na marne.

– *Dobrze.* – Sitha zmrużył oczy i Simon poczuł, że Jiriki się oddala. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– *Ale ja nie wiem, jak wrócić!*

– Pomogę ci. Żegnaj, mój Hikka Staja.

Twarz Jirikiego stawała się coraz mniej wyraźna, aż wreszcie znikła całkowicie w falującej szarości. Kiedy i ona zaczęła znikać, Simon znowu poczuł delikatny dotyk, kobiecą obecność, którą próbował uchwycić w chwili strachu. Czy ona była z nimi przez cały czas? Czy była szpiegiem, przed którym ostrzegał go Jiriki? A może była to Miriamele, w jakiś sposób od niego oddalona, lecz mimo wszystko świadoma jego obecności. Co to było?

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek dowie się tego, gdy obudził się i siedział, drżąc z zimna, pod zniszczoną kopułą Obserwatorium.

6. Morski grobowiec

MIRIAMELE WIELE RAZY PRZEMIERZYŁA już kabinę i prawie czuła, jak ścierają się deski pod jej stopami.

Wcześniej była zdecydowana poderżnąć gardło hrabiemu, kiedy ten zaśnie. Lecz po spotkaniu z Gan Itai posłuchała jej rady i ukrywszy sztylet, czekała, choć nie wiedziała na co. Drżała, lecz nie ze złości czy desperacji; znowu powrócił strach, który dotąd zagłuszała myślą, że wszystko szybko się skończy. Ile czasu upłynie, zanim Aspitis zorientuje się, że skradziono mu nóż? Bez wątpienia natychmiast odgadnie, gdzie powinien go szukać. Tym razem przyjdzie do niej czujny i przygotowany; a ona zamiast kajdanów wstydu i poniżenia przed ludźmi poczuje ucisk takich samych kajdanów, jakimi skuto Cadracha.

Nie przestając chodzić, modliła się o pomoc do błogosławionej Elysii i Usiresa, lecz jej modlitwa nie płynęła z głębi serca, jakby rozmawiała z kimś, kto i tak dawno już ogłuchł. Wierzyła, że cokolwiek przydarzy się jej na tym statku, nie będzie interesowało Boga, skoro pozwolił jej znaleźć się w tak opłakanym stanie.

Dwukrotnie się pomyliła. Spędziwszy dzieciństwo pełne pochlebstw, doszła do wniosku, że jedyną rozsądną drogą w życiu jest słuchać samego siebie i bez względu na okoliczności nie dać się odwieść od wyznaczonego celu, lecz takie właśnie postępowanie zaprowadziło ją tam, gdzie się znalazła. Uciekła z zamku wuja, przekonana, że sama zdoła zmienić bieg dziejów, ale zdradzieckie fale czasu i historii nie zaczekały na nią

i zdarzenia, którym miała nadzieję zapobiec, miały miejsce – Naglimund upadł, a Josua został pokonany, pozostawiając ją samą sobie. Tak więc zdecydowała, że najmądrzej będzie przestać walczyć, głupio się opierać i pozwolić ponieść się biegowi wydarzeń. Lecz i ta decyzja okazała się nie najlepsza, gdyż bierność zaprowadziła Miriamele do łóżka Aspitisa, a niebawem dziewczyna miała zostać jego żoną. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, ponownie dała ponieść się brakowi rozwagi, postanawiając zabić Aspitisa, co – jak sądziła – doprowadziłoby do jej śmierci z rąk ludzi hrabiego; pozbyłaby się wtedy wszelkich wątpliwości, niejasności. Powstrzymała ją jednak Gan Itai i Miriamele dryfowała bezwolnie, tak samo jak *Chmura Eadne* na bezwietrznym morzu.

Nadeszła chwila decyzji, chwila, o której wspominali jej nauczyciele, kiedy to Pelippa, rozpieszczona żona szlachcica, musiała rozstrzygnąć, czy wyznać wiarę w potępionego Usiresa. Wciąż pamiętała obrazki z modlitewnika, z którego modliła się w dzieciństwie. Jako młoda księżniczka najbardziej podziwiała srebrzystą suknię Pelippy. Dotąd nie interesowała się szczególnie osobą Pelippy ani innych postaci, bohaterów legend i obrazów. Dopiero niedawno zaczęła się zastanawiać, jak to jest być jedną z nich. Czy królowie uwiecznieni na arrasach w Sancellan także spacerowali niespokojnie po swoich komnatach, próbując podjąć właściwą decyzję; czy zastanawiali się nad tym, co powiedzą przyszłe pokolenia, czy rozważali dotyczące teraźniejszości szczegóły, które mogłyby posłużyć im za wskazówkę?

Na niebie ukazało się słońce, a Miriamele wciąż chodziła i rozmyślała. Z pewnością musiał istnieć jakiś sposób, by okazać się dzielną, ale nie głupią, rozsądną, ale nie uległą jak woskowa świeca. Czy między tymi skrajnościami istniała droga, która pozwoliłaby jej przetrwać? A jeśli tak, to czy ona potrafiłaby uczynić z niej życie warte czegokolwiek?

Miriamele rozmyślała w blasku lampy, z dala od słońca. Niewiele spała poprzedniej nocy i nie sądziła, by nadchodząca miała jej przynieść sen – jeśli jeszcze będzie żyła.

KTOŚ ZASTUKAŁ CICHO DO DRZWI. Wcześniej wydawało jej się, że jest gotowa na spotkanie z Aspitisem, a jednak dłoń jej zadrżała, kiedy położyła ją na klamce.

W drzwiach stała Gan Itai, lecz tak zmieniona, że przez chwilę Miriamele wydawało się, iż przyszła do niej jakaś inna Niska. Jej złocistoszara skóra wydawała się całkiem śniada. Twarz zwiotczała, a podkrążone oczy wydawały się patrzeć na Miriamele z oddali. Niska otuliła się szczelnie płaszczem, jakby obawiała się przeziębić, choć powietrze było wilgotne i parne, zwiastujące burzę.

– Litościwy Aedonie! Co się stało? – Natychmiast pomyślała, że jedynym wyjaśnieniem takiego wyglądu Niski może być tylko fakt, że Aspitis odkrył kradzież i idzie do niej. Przyjęła tę myśl z chłodnym uczuciem ulgi. – Czy potrzeba ci czegoś? Może wody?

Gan Itai uniosła pomarszczoną dłoń.

– Niczego mi nie trzeba. Ja... rozmyślałam.

– Rozmyślałaś? O czym ty mówisz?

Niska potrząsnęła głową.

– Nie przerywaj mi, dziewczyno. Mam ci parę rzeczy do powiedzenia. Podjęłam decyzję. – Usiadła na łóżku Miriamele, poruszając się tak, jakby przybyło jej kilkadziesiąt lat. – Przede wszystkim, czy wiesz, gdzie na statku znajduje się łódź, którą podpływa się do brzegu?

Miriamele skinęła głową.

– Wisi na kołowrocie na śródokręciu, przy prawej burcie. – Przydało się na coś obcowanie z ludźmi morza przez większość życia.

– Dobrze. Idź tam tego popołudnia, kiedy nikt nie będzie cię pilnował. Ukryj tam to. – Niska odsłoniła płaszcz i upuściła na łóżko kilka zawiniątek. Cztery z nich stanowiły wypełnione wodą bukłaki; pozostałe dwa owinięte były szczelnie materiałem na worki. – Masz tu chleb, ser i wodę – wyjaśniła Gan Itai. – A także kościane haczyki, żebyś mogła uzupełnić prowiant. Dołożyłam kilka innych drobiazgów, które mogą okazać się użyteczne.

– O czym ty mówisz? – Miriamele wpatrywała się w Niskę zdumiona.

Gan Itai wciąż wyglądała, jakby dźwigała ogromny ciężar, lecz teraz jej oczy nie były już tak zamglone – znowu lśniły.

– Mówię o twojej ucieczce. Nie mogę siedzieć bezczynnie i patrzeć na nikczemność Aspitisa. Przecież jestem prawdziwym potomkiem Żeglarza.

– Ale to się nie uda! – Miriamele próbowała zgasić płomień bezpodstawnej nadziei. – Nawet jeśli udałoby mi się opuścić pokład statku, Aspitis dogoniłby mnie w parę godzin. Wiatr zacznie wiać, zanim dotrę do lądu. Czy myślisz, że potrafię rozpłynąć się na morzu albo prześcignąć *Chmurę Eadne*?

– Prześcignąć? Nie – zaprzeczyła Gan Itai z pewną dumą. – Oczywiście, że nie. Jest szybka jak delfin. Ale mnie pozostaw problem, jak uciec. To już moja sprawa. Ty musisz zrobić coś innego.

Miriamele zacisnęła usta, by powstrzymać kolejne wątpliwości. Bezsensowny upór niewiele pomógł jej dotychczas.

– Co?

– W ładowni, w jednej z beczek na prawej burcie znajdują się narzędzia umieszczone w oliwie. Znajdziesz ją bez trudu, gdyż widnieje na niej napis. Idź tam po zachodzie słońca, weź dłuto oraz drewniany młotek i przetnij

kajdany Cadracha. Jeśli ktoś przyjdzie do niego, musi udawać, że nadal jest skuty.

– Przeciąć kajdany? Przecież wszyscy mnie usłyszą? – Coraz bardziej wątpiła w powodzenie planu Niski.

– O ile mój nos mnie nie myli, wkrótce nadejdzie burza. Przy dużym wietrze na statku słychać wiele odgłosów. – Gan Itai uniosła dłoń, powstrzymując kolejne pytania. – Po prostu zrób to, a potem wróć do siebie albo gdziekolwiek, tylko nie daj się zamknąć w kabinie. Nie pozwól, by zamknęli zasuwę i pozbawili cię wolności, nawet gdybyś musiała udawać chorobę albo obłęd. – Niska utkwiła wzrok w Miriamele, aż ta poczuła, że jej wątpliwości znikają.

– Dobrze – powiedziała. – Zrobię tak.

– Potem, o północy, kiedy księżyc będzie dokładnie tam – Gan Itai wskazała miejsce na suficie, jakby niebo znajdowało się bezpośrednio nad ich głowami – zabierz swojego uczonego przyjaciela i pomóż mu dojść do łodzi. Dopilnuję, byście mogli ją opuścić na wodę. – Podniosła wzrok pod wpływem nagłej myśli. – Na Ocean Niezbadany, dziewczyno, tylko upewnij się, czy w łodzi są wiosła! Poszukaj ich, kiedy ukryjesz jedzenie i wodę.

Miriamele skinęła głową. A więc postanowione. Zrobi, co w jej mocy, by żyć dalej, lecz jeśli się nie uda, nie będzie walczyła z przeznaczeniem.

Nawet jako jej mąż Aspitis Preves nie mógł zatrzymać jej żywej wbrew jej własnej woli.

– A co ty zrobisz, Gan Itai? – spytała.

– To, co muszę zrobić.

ALE TO NIE BYŁ SEN! – Tiamak złościł się coraz bardziej. Jak miał przekonać tego niedźwiedziowatego Rimmersmana? – To była Geloë, mądra kobieta z lasu Aldheorte. Przemawiała do mnie poprzez dziecko, które ostatnio widywałem w snach. Czytałem o podobnych rzeczach. Jest to część sztuki, coś, co potrafią zrobić adepci.

– Uspokój się, człowieku. Nie powiedziałem, że sobie to wymyśliłeś. – Isgrimnur odwrócił się od starca, który czekał cierpliwie na kolejne pytania. Chociaż nie potrafił na nie odpowiedzieć, ten-który-kiedyś-był-Camarisem wydawał się zadowolony z okazywanego mu szacunku i potrafił godzinami wpatrywać się z uśmiechem w Isgrimnura. – Słyszałem o tej Geloë. Wierzę ci. Kiedy będziemy mogli wyruszyć, może udamy się w kierunku twojego Kamienia Rozstania. To tak samo dobre miejsce jak każde inne; słyszałem, że gdzieś w jego pobliżu obozuje Josua. Ale ja nie mogę się stąd ruszyć, bez względu na to, jak bardzo przekonujący jest twój sen.

– Dlaczego? – Tiamak już sam nie był pewien, dlaczego tak ważne było dla niego, by wyruszyli. Czuł tylko, że jest całkiem bezużyteczny. – Co mamy tu robić?

– Ja czekam na Miriamele, siostrzenicę księcia Josui – powiedział Rimmersman. – Dinivan wysłał mnie do tej przeklętej gospody. Może ją także tutaj przyśle. Przysięgałem, że ją odnajdę. Zgubiłem trop, więc muszę zaczekać w miejscu, gdzie on się kończy.

– Dlaczego zatem jej tutaj nie ma? – Tiamak zdawał sobie sprawę, że staje się uciążliwy, ale nie potrafił przestać.

– Może coś ją zatrzymało. To długa droga. – Maska cierpliwości Isgrimnura opadała powoli. – A niech cię, zamilknij już! Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Ruszaj, jeśli chcesz! Nie będę cię zatrzymywał.

Tiamak zacisnął usta i odwróciwszy się, pokuśtykał do zawiniątka z rzeczami. Zaczął je przekładać bezmyślnie, jakby szykował się do drogi.

Czy powinien odejść? Czekała go długa droga i z pewnością lepiej byłoby przebyć ją w towarzystwie. A może lepiej będzie wrócić do domu na drzewie figowym w głębi bagien? Tylko że jego ludzie będą chcieli wiedzieć, co ma im do powiedzenia w sprawie wyprawy do Nabbanu, którą miał odbyć w ich imieniu.

„Ty, Który Kroczysz Po Piasku – modlił się. – Uchroń mnie przed tym okropnym niezdecydowaniem!”

Jego dłoń dotknęła pergaminu. Wyjął stronę z księgi Nissesa i przycisnął ją do piersi. Przynajmniej tego nikt nie mógł mu odebrać. Z nikim nie dzielił tej radości. Ach, smutku nad smutkami, jaka szkoda, że Dinivan i Morgenes nie mogli już jej podziwiać! Zaczął czytać po cichu:

...Sprowadź ze Skalistego Ogrodu Nuanni
Człowieka, który choć ślepy, widzi.
Odnajdź ostrze, które różę ścina,
U stóp wielkiego Drzewa Wierszopisa.
Odnajdź głos, który cicho
Imię właściciela wymawia,
Na statku, na Najpłytszym Morzu.
Kiedy ostrze, głos i człowiek
Do prawej dłoni Księcia przyjdą,
Wtedy uwięzieni znowu będą wolni...

Przypomniał sobie zniszczoną kaplicę ku czci Nuanni, którą znalazł kilka dni temu w czasie swoich wędrówek. Sapiący i półślepy stary duchowny nie powiedział mu nic ważnego, choć chętnie z nim rozmawiał, kiedy Tiamak wrzucił do miski ofiarnej dwa cintisy. Z tego, co Tiamak się dowiedział, wynikało, że Nuanni był morskim bogiem w dawnym

Nabbanie, a dni jego wielkości minęły na długo przed pojawieniem się parweniuszowskiego Usiresa. Duchowny zapewnił go, że niewielu pozostało wyznawców starego Nuanni. Jego imię odeszłoby w zapomnienie, gdyby nie przesądni mieszkańcy wysp, choć bóg ten przemierzał kiedyś Wielką Zieleń w sercach wszystkich żeglarzy. Stary duchowny utrzymywał, że jego kaplica jest ostatnią na stałym lądzie.

Tiamak ucieszył się wtedy z wyjaśnień, gdyż znane mu z księgi imię nabrało jakiegoś znaczenia, lecz później zapomniał o tym. Teraz, czytając pierwszy wers tajemniczego poematu, zastanawiał się, czy przez „Skalisty Ogród Nuanni” można rozumieć rozrzucone wyspy zatoki Firannos.

– Co tam masz, człowieczku? Mapę? – Sądząc po głosie, Isgrimnur chciał okazać życzliwość; może wstydził się tego, że wcześniej był tak opryskliwy, ale Tiamak pozostał chłodny.

– Nic takiego. Nie twój interes. – Szybko zwinął stronicę i wsunął między swoje rzeczy.

– Nie musisz się na mnie obrażać – warknął książę. – No, porozmawiajmy. Naprawdę chcesz odejść?

– Nie wiem. – Tiamak nie chciał odwrócić się do Isgrimnura. Książę był tak ogromny, że Wrańczyk czuł się przy nim bardzo mały. – Może. Ale dla jednej osoby byłaby to niezwykle długa podróż.

– A jak byś podróżował? – Isgrimnur sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego.

Tiamak zastanawiał się przez chwilę.

– Gdybym podróżował bez was, nie musiałbym się z nikim liczyć. Tak więc udałbym się najkrótszą z możliwych dróg, przez Nabban i ziemie Thrithingów. Byłby to długi marsz, ale ja nie boję się wysiłku. – Zaraz jednak pomyślał o swojej rannej nodze. Możliwe, że długo jeszcze będzie

się goiła i z pewnością nie poniesie go długo. – A może kupiłbym osła – dodał.

– Jak na Wrańczyka, dobrze mówisz w języku Westerling. – Isgrimnur uśmiechnął się. – Używasz słów, których nawet ja nie znam.

– Mówiłem ci – odparł chłodno Tiamak. – Studiowałem z aedonickimi braćmi w Perdruin. Morgenes też mnie dużo nauczył.

– Tak, tak – przytaknął Isgrimnur. – Ale, hmm, gdybyś musiał... liczyć się z innymi, tak chyba powiedziałeś?, gdybyś musiał podróżować niezauważony, to jak byś to zrobił? Szedłbyś jakimiś bagiennymi tunelami czy jak?

Tiamak podniósł wzrok. Isgrimnur przyglądał mu się uważnie. Wrańczyk szybko spuścił oczy, starając się ukryć uśmiech. Rimmersman próbował go podejść, jakby Tiamak był dzieckiem! Wydało mu się to zabawne.

– Chybabym pofrunął.

– Pofrunął? – Tiamak nieomal usłyszał, jak zdziwienie wykrzywia twarz Isgrimnura. – Oszalałeś?

– Nie – zaprzeczył gwałtownie Tiamak. – Tę sztuczkę znają wszyscy Wrańczycy. A jak myślisz, dlaczego widuje się nas tylko w miejscach takich jak Kwanitupul, w których chcemy być obecni? Wiesz przecież, że niezdarni mieszkańcy suchego lądu często przybywają do Wranu i nigdy nie spotykają żywej duszy. Dlatego właśnie, że kiedy trzeba, potrafimy latać. Tak jak ptaki. – Zerknął ukradkiem na Isgrimnura i z zadowoleniem stwierdził, że jego twarz wygląda dokładnie tak, jak się spodziewał. – A poza tym, jak inaczej dostawalibyśmy się do naszych gniazd w koronach drzew, gdzie składamy jaja?

– Na Krew Usiresa! – Isgrimnur wybuchnął przekleństwem. – A niech cię, człowieczku! Drwisz sobie ze mnie, co?

Tiamak skulił się, oczekując, że coś ciężkiego poleci w jego stronę, lecz kiedy podniósł głowę, zobaczył, że książę uśmiecha się, kręcąc głową.

– Chyba sobie na to zasłużyłem. Zdaje się, że wy, Wrańczycy, macie też poczucie humoru.

– Niektórzy mieszkańcy lądu też je posiadają.

– Tak, ale problem pozostaje. – Isgrimnur zachmurzył się. – W dzisiejszych czasach życie stało się ciągłym wyborem. Na Imię Odkupiciela, ja dokonałem swojego wyboru i muszę z nim żyć: jeśli Miriamele nie przybędzie tutaj do dwudziestego pierwszego dnia Octandera, Dnia Dusz, wtedy i ja powiem „dość” i udam się na Północ. Oto moja decyzja. Teraz ty musisz podjąć swoją: zostajesz czy jedziesz. – Odwrócił się do starca, który przyglądał im się z głupkowatym uśmiechem na twarzy. – Mam nadzieję, że zostajesz, człowieczku – dodał cicho.

Tiamak patrzył na niego przez chwilę, potem wstał i podszedł do okna. W dole ciemny kanał lśnił w popołudniowym słońcu jak zielony metal. Wrańczyk podciągnął się i siadł na parapecie, zwieszając nogi na zewnątrz okna. *Inihe Czerwony Kwiat włosy miała czarne* – zanucił, patrząc na przepływającą łódź.

Czarne włosy i oczy czarne. Gibka jak winorośl,
Śpiewała szarym gołębicom.
Ach, wy, ach, wy, śpiewała noc całą.

Shoaneg Szybkie Wiosło usłyszał jej śpiew,
Usłyszał i pokochał ją. Silny był jak figowiec,
Lecz nie miał dzieci.
Ach, wy, ach, wy, nikt nie niósł jego imienia.

Shoaneg zawołał do Czerwonego Kwiatu,

Zalecał się, aż ją zdobył. Ich miłość była szybka jak lot ważki,
Tak więc przybyła do jego domu.
Ach, wy, ach, wy, jej pióro zawisło nad jego drzwiami.

Inihe chłopca urodziła,
Kołysała go i kochała. A on słodki był jak chłodny wiatr,
Tak jak ojciec Szybkie Wiosło nazwany,
Ach, wy, ach, wy, nie bał się wody.

Gdy podrósł, wędrować zaczął,
Biegał i wiosłował. Szybki jak królik,
Hen od domu się oddalał.
Ach, wy, ach, wy, rzadko przy ognisku zasiadał.

Pewnego dnia jego łódź pusta wróciła,
Pusta łupina na wodzie wirowała,
Przepadł syn Czerwonego Kwiatu,
Ach, wy, ach, wy, jak puch uleciał.

Shoaneg powiedział, by o nim zapomnieć,
Okrutny, bezmyślny. Jak głupie pisklę,
Co z domu odlatuje.
Ach, wy, ach, wy, ojciec przeklął jego imię.

Inihe nie chciała uwierzyć,
Tęskniła, płakała. Smutna jak zwiędłe liście,
Jej łzy zmoczyły trzcinową podłogę.
Ach, wy, ach, wy, za synem płakała.

Czerwony Kwiat płonęła chęcią znalezienia syna,
Modliła się, wierzyła. Była jak polująca sowa,
Co szuka pisklęcia.
Ach, wy, ach, wy, powiedziała, że odnajdzie syna.

Shoaneg zakazał poszukiwań,
Złościł się i krzyczał. Rozgniewany,
Oświadczył, że straci żonę, jeśli ona pójdzie szukać.
Ach, wy, ach, wy, powiedział, że jej pióro zdmuchnie ze swych drzwi...

Tiamak urwał. Do wąskiego, bocznego kanału wprowadzano barkę; jej załogę stanowili rozkrzyczani Wrańczycy. Pojazd otarł się mocno o pale, które niczym zepsute zęby wystawały z wody przed gospodą. Po kanale rozeszła się fala. Tiamak odwrócił się do Isgrimnura, lecz księcia nie było w pokoju. Pozostał tylko starzec; siedział wpatrzony w nicość z tajemniczym, ledwie dostrzegalnym uśmiechem na twarzy.

Upłynęło wiele czasu, odkąd matka Tiamaka śpiewała mu tę piosenkę. Bardzo lubiła opowieść o Inihe Czerwonym Kwiecie, która musiała dokonać okrutnego wyboru. Tiamak poczuł uścisk w gardle na wspomnienie matki. Ona oczekiwałaby od niego, że nie zawiedzie i zasłuży na okazane mu zaufanie, spłaci dług, jaki miał wobec swojego ludu. Co powinien zrobić? Czekać tutaj z mieszkańcami lądu? Czy wrócić zawstydzony do wioski? Ale gdziekolwiek pójdzie, duch jego matki będzie go obserwował zasmucony, gdyż jej syn odwrócił się od swoich ludzi. Skrzywił się, jakby ugryzł coś gorzkiego. Isgrimnur miał rację co do jednego: w tych czasach życie rzeczywiście polegało głównie na podejmowaniu trudnych decyzji.

WCIĄGNIJ JĄ! – ODEZWAŁ SIĘ GŁOS. – Szybko!

Maegwin obudziła się i stwierdziła, że patrzy w białą pustkę. Zmiana była tak nagła, że jeszcze przez moment wydawało jej się, że śni. Pochyliła się, próbując pójść przez pustkę tak samo, jak wcześniej poruszała się w szarej otchłani, lecz coś ją powstrzymało. Otworzyła szerzej usta, czując powiew mroźnego powietrza. Pochylała się nad otchłanią wirującego śniegu. Mocne dłonie trzymały ją za ramiona.

– Trzymaj ją!

Rzuciła się do tyłu, by wyswobodzić się z rąk, które ją trzymały. Kiedy poczuła za sobą bezpieczny kamień, odetchnęła głęboko i poddała się. Płatki śniegu szybko wypełniały wgłębienia, jakie jej kolana pozostawiły na krawędzi skalnej półki. Popiół jej małego ogniska zniknął już prawie całkowicie pod białym puchem.

– Lady Maegwin! Przybyliśmy, żeby ci pomóc!

Rozejrzała się nieprzytomnie. Dwaj mężczyźni wciąż trzymali ją mocno; trzeci stał nieco z tyłu. Wszyscy ubrani byli w grube płaszcze, a twarze owinęli chustami. U jednego z nich dostrzegła postrzępiony herb klanu Croich.

– Dlaczego mnie tu sprowadziliście? – Mówiła wolno i niezdarnie. – Byłam wśród bogów.

– Pani, prawie spadłaś – powiedział mężczyzna stojący z jej prawej strony. Jego uścisk uświadomił jej, że drży. – Szukamy cię od trzech dni.

Trzy dni! Maegwin potrząsnęła głową i spojrzała na niebo. Słaby blask słońca wskazywał, że jest wczesny ranek. Czy rzeczywiście przez cały czas była wśród bogów? Wydawało się, że upłynęła chwila. Gdyby tylko oni nie przyszli...

„Nie – pomyślała. – To samolubstwo. Musiałam wrócić. Na nic zdałyby się moje wysiłki, gdybym spadła i się zabiła. Przecież teraz moim

obowiązkiem jest przeżyć. Czeka na mnie coś więcej niż powinność”.

Maegwin rozprostowała zziębnięte palce i kamień karlaków potoczył się na ziemię. Czuła wszechogarniającą radość. Słusznie postąpiła! Posłuchała snu i wspięła się na Bradach Tor. Tutaj, pod niebem, znowu śniła, a sny były tak samo wyraźne jak te, które kazały przyjść na górę. Maegwin czuła obecność posłańca bogów, młodzieńca o rudych włosach. Choć nie widziała wyraźnie jego twarzy, zgadywała, że musi być piękna. Może był to jakiś bohater dawnego Hernystiru, Airgad Dębowe Serce albo Książę Sinnach, który został zabrany, by żyć w niebiosach wśród bogów? W pierwszym śnie jeszcze w jaskini zaledwie wyczuwała, że patrzy na nią, lecz kiedy spróbowała go dosięgnąć, sen rozwiał się, a ona pozostała sama na skale. Gdy zasnęła ponownie, jeszcze raz poczuła, że posłaniec jej szuka. Czuła, że bardzo pragnie ją odnaleźć, dlatego zebrała wszystkie siły, by zapłonąć jak najjaśniej, zagłębić się jak najdalej w sen i wyjść mu na spotkanie. Wreszcie dotknęła go, a on natychmiast zaniósł Maegwin na próg królestwa bogów.

Niewątpliwie ten, którego widziała, był jednym z bogów! Wtedy sen stał się znowu mniej wyraźny, być może dlatego, że żywi śmiertelnicy nie mogli oglądać bogów w ich prawdziwej postaci, a twarz, którą ujrzała, nie była obliczem człowieka. Świadczyły o tym chociażby złociste oczy płonące nieludzkim blaskiem. Może oglądała samego Bryniocha przyodzianego w chmurę? Posłaniec, którego duch pozostał z Maegwin, mówił bogu coś o górze – musiał to być Bradach Tor, gdzie spoczywało śpiące ciało Maegwin, gdy tymczasem jej dusza uleciała we śnie – a potem obaj rozmawiali o królewskiej córce i zmarłym ojcu. Wszystko to było niewyraźne, głosy odbijały się zniekształcone echem, jakby dochodziły przez ogromny tunel albo ogromną przepaść, ale o kim innym mogliby rozmawiać, jeśli nie o Maegwin i jej ojcu, który poległ w obronie swego

ludu. Nie wszystkie słowa do niej dotarły, lecz bez wątpienia zrozumiała ich sens: bogowie przygotowywali się do walki. Znaczyło to, że wreszcie zdecydowali się działać. Przez moment nawet udało jej się spojrzeć na komnaty Niebios. Ujrzała tam postacie o ognistym spojrzeniu i długich włosach, ubrane w zbroje mieniące się kolorami tęczy; ich włócznie i miecze lśniły jak błyskawice na letnim niebie. Maegwin patrzyła na samych bogów w pełni chwały i mocy! To była prawda, to musi być prawda! Jak mogła wątpić? Bogowie postanowili stanąć do walki i zemścić się na wrogach Hernystiru.

Zakołysała się w przód i w tył, a mężczyźni natychmiast ją podtrzymali. Czuła, że gdyby nawet skoczyła teraz z góry, to nie spadłaby, lecz uleciała jak ptak, pomknęłaby jak strzała w dół do swych ludzi z nowinami. Roześmiała się na myśl o tym, a potem jeszcze głośniej, uradowana, że ją wybrali bogowie ziemi, wody i nieba, by przekazała swoim ludziom wieść o wybawieniu.

– Pani? – Mężczyzna był wyraźnie zatroskany. – Czy źle się czujesz?

Nie zwracała na niego uwagi, zaprzątnięta swoimi myślami. Nawet jeśli nie potrafi latać, to musi szybko wracać na dół do jaskini, w której skryli się hernystirscy wygnańcy!

– Nigdy nie czułam się lepiej! – odparła. – Prowadźcie mnie do naszych ludzi.

Kiedy ruszyła podtrzymywana przez mężczyzn, poczuła ucisk w żołądku. Głód szybko wracał. Przez trzy dni śniła albo spoglądała ze szczytu ośnieżonej góry, przez trzy dni prawie nic nie jadła. Przepełniona słowem niebios była jednocześnie zupełnie pusta. Czy kiedykolwiek zaspokoi głód? Zatrzymała się i śmiejąc się głośno, strzepnęła z siebie śnieg. Panowało przeraźliwe zimno, ale ona czuła ciepło. Znajdowała się z dala od domu, ale radosne myśli dotrzymywały jej towarzystwa.

Żałowała, że nie może podzielić się swoim triumfem z Eolairem. Tym razem nawet wspomnienie o nim nie zasmuciło Maegwin, jak to zwykle bywało. Robił to, co do niego należało, a skoro bogowie kazali jej wysłać go w podróż, to musiała być tego jakaś przyczyna. Jak mogła wątpić, kiedy dostała wszystko, co było jej obiecane, a największy dar miała niebawem otrzymać?

– Rozmawiałam z bogami – zwróciła się do zmartwionych mężczyzn. – W tych okropnych chwilach są z nami, przyjdą do nas.

Stojący najbliżej niej spojrzał szybko na swoich towarzyszy i zaraz uśmiechnął się, z trudem opanowując drżenie głosu:

– Chwała im wszystkim.

Maegwin tak szybko zbierała swoje nieliczne rzeczy do torby, że w pośpiechu wyszczerbiła skrzydło ptaka Mirchy. Poleciła jednemu z mężczyzn, by wrócił po kamień karlaków, który upuściła w śnieg na krawędzi skalnej półki. Słońce zdążyło zaledwie wznieść się ponad horyzont, gdy Maegwin schodziła już po ośnieżonym zboczu Grianspog.

BYŁA GŁODNA, ZMĘCZONA I WRESZCIE ZACZĘŁA odczuwać chłód. Zejście okazało się trudniejsze niż sama wspinaczka na górę, choć teraz pomagali jej mężczyźni. Lecz Maegwin czuła w sobie wielką radość, jakby oczekiwała dziecka, które ma się narodzić, a potem będzie wzrastać i stanie się jeszcze piękniejsze! Wreszcie mogła oznajmić swoim ludziom, że pomoc nadchodzi! Czy mogła być lepsza nowina po dwunastu ponurych miesiącach?

Nagle zaczęła się zastanawiać, co jeszcze należało zrobić? Jak Hernystirczycy powinni przygotować się na powrót bogów?

Maegwin rozmyślała o tym, schodząc ostrożnie zboczem, podczas gdy poranek rozpływał się wolno za górą. Postanowiła, że przede wszystkim

musi porozmawiać z Diawen. Wróżbitka miała rację co do Bradach Tor i odgadła wagę jej snów. Tak, Diawen pomoże Maegwin zdecydować, co dalej.

STARY CRAOBHAN WYSZEDŁ IM NA SPOTKANIE; krzyczał rozzłoszczony, lecz z trudem potrafił ukryć swoją troskę. Jego złość spłynęła po Maegwin jak deszcz po dobrze naoliwionej skórze. Uśmiechnięta podziękowała mu za to, że wysłał jej na pomoc ludzi, ale nie chciała go usłuchać, kiedy najpierw kazał, a potem prosił i błagał, by odpoczęła. Wreszcie Craobhan i jego ludzie dali za wygraną, widząc, że nie zdołają jej przekonać, a nie chcieli użyć przemocy w jaskini pełnej ciekawskich gapiów.

Diawen stała przed swoją jaskinią, jakby się spodziewała, że Maegwin właśnie teraz nadejdzie. Wróżbitka wzięła ją pod ramię i wprowadziła do środka.

– Widzę to na twojej twarzy. – Diawen patrzyła z powagą w oczy Maegwin. – Chwalmy Mirchę, miałaś jeszcze jeden sen.

– Wspięłam się na Bradach Tor, tak jak mi poradziłaś. – Była tak podniecona, że chciała krzyczeć. – Bogowie mówili do mnie!

Opowiedziała wróżbitce o wszystkim, co przeżyła, starając się niczego nie upiększać – przecież sama rzeczywistość była wystarczająco wspaniała! Kiedy skończyła, Diawen popatrzyła na nią w milczeniu, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Ach, chwała – szepnęła. – Doświadczyłaś właściwości Świadka, tak jak w starych opowieściach.

Maegwin uśmiechnęła się. Wiedziała, że Diawen ją zrozumie.

– To wspaniale – powiedziała. – Będziemy uratowani. – Nie mogła jednak powstrzymać myśli, która nie dawała jej spokoju. – Ale co powinniśmy zrobić?

– Wypełnić wolę bogów – odpowiedziała natychmiast Diawen.

– Lecz co to znaczy?

Diawen zaczęła szukać wśród swoich licznych lusterek i wreszcie wybrała jedno z wygładzonego brązu, z rączką w kształcie wijącego się węża.

– Bądź teraz cicho. Nie chodziłam z tobą we śnie, ale mam swoje sposoby. – Potrzymała lusterko nad dymiącym ogniem, a potem zdmuchnęła nagromadzoną sadzę. Jej ciemnobrązowe oczy długo wpatrywały się w coś, co wydawało się znajdować po drugiej stronie lusterka. Jej usta poruszały się bezgłośnie. Wreszcie opuściła lusterko.

Kiedy przemówiła, jej głos wydawał się dochodzić z oddali.

– Bogowie pomagają odważnym. Bagba dał bydło ludowi Herna, ponieważ stracił on konie, walcząc w imieniu bogów. Mathan nauczyła tkać kobiety, które ukryły ją przed wściekłym mężem Murhaghem. Bogowie pomagają odważnym. – Zamrugała i odrzuciła z czoła lok siwych włosów. Teraz jej głos przybrał już zwykły ton. – Musimy wyjść bogom na spotkanie. Musimy pokazać, że dzieci Herna są godne ich pomocy.

– Co to znaczy?

Diawen potrząsnęła głową.

– Nie jestem pewna.

– Czy sami mamy chwycić za broń i wyzwać Skalego? – Maegwin zmarszczyła czoło. – Jest nas tak mało i jesteśmy tak słabi. Jak mogłabym prosić ludzi, by to zrobili?

– Nigdy nie jest łatwo wypełniać wolę bogów – westchnęła Diawen. – Wiem. Kiedy byłam młoda, przyszła do mnie we śnie Mircha, lecz ja nie mogłam zrobić tego, czego żądała. Bałam się. – Wróżbitka posmutniała. – Tak więc zawiodłam w najważniejszym momencie i musiałam porzucić habit. Przez wszystkie lata mojej samotności nie poczułam już więcej jej

dotyku... – Zamilkła. Kiedy podniosła wzrok, znowu spojrzenie jej było nadzwyczaj bystre. – Królewska córko, można bać się woli bogów, ale odrzucić ją, znaczy odrzucić też ich pomoc. Więcej ci nie powiem.

„Podnieść miecz przeciwko Skalemu i jego zbójom...” – Myśl ta płynęła przez nią jak woda. Dostrzegła w niej jakieś szalone piękno, piękno, które być może spodobałoby się bogom. Jeszcze raz wznieść miecz Hernystiru, choć na krótki moment! Z pewnością bogowie krzyknęliby uradowani w tę godzinę! I z pewnością w takiej chwili rozwarłyby się niebiosa, a błyskawice Rhynna zamieniłyby wroga w popiół...

– Muszę pomyśleć, Diawen. Ale czy poprzesz mnie, kiedy będę przemawiała do ludu?

Wróżbitka skinęła głową, uśmiechając się niczym dumny rodzic.

– Będę przy tobie, królewska córko. Powiemy ludziom, co mówili bogowie.

ZACZĄŁ PADAĆ CIEPŁY DESZCZ, pierwszy zwiastun nadchodzącej burzy. Nad horyzontem wisiały skłębione chmury upstrzone szaroczarnymi plamami, na brzegach rudawe od blasku słońca, które nieomal całkowicie zakryły. Miriamele zmrużyła oczy, chroniąc się przed padającym deszczem, i rozejrzała uważnie. Większość marynarzy zajęta była przygotowaniami do burzy i nikt nie zwracał na nią uwagi. Aspitis pozostał w swej kabinie, gdzie – miała nadzieję – będzie zbyt zajęty mapami, by zauważyć kradzież sztyletu.

Wyjęła jeden z bukłaków spod ściągniętej paskiem peleryny, a potem poluzowała ciężkie płótno, którym przykryto łódź. Jeszcze raz rozejrzała się szybko i pozwoliła bukłakowi opaść do łodzi; po chwili zrobiła to samo z drugim. Kiedy wspięła się na palce, by wepchnąć do łodzi chleb i ser, usłyszała okrzyk w języku nabbańskim.

– Hej! Przestań!

Zamarła przerażona. Wypuściła zawiniątko z żywnością i odwróciła się powoli.

– Głupcze! Założyłeś to odwrotnie! – krzyczał jeden z marynarzy, stojących wysoko na masztach. Rozzłoszczony spoglądał w górę na swego towarzysza, który stał nad nim. Tamten wykrzywił się tylko pogardliwie i wrócił do swojej pracy. Jego kompan krzyknął coś jeszcze, po czym splunął na wiatr.

Miriamele zamknęła oczy, starając się opanować drżenie kolan. Wciągnęła głęboko powietrze, a z nim zapach smoły, mokrych desek i wilgotnej wełny swego płaszcza, a także dziwny, ostry zapach nadciągającej burzy, i znowu otworzyła oczy. Deszcz wzmagał się i teraz spływał z kaptura małym strumieniem tuż przed czubkiem jej nosa. Nadszedł czas, by udać się pod pokład. Zbliżał się wieczór, a ona nie chciała zniweczyć planów Gan Itai zwykłą beztroską, nawet jeśli ich powodzenie wydawało się mało prawdopodobne. Poza tym, choć jej obecność na pokładzie nie była niczym dziwnym, to jednak mogła zdziwić Aspitisa, gdyby ją tam spotkał. Miriamele nie znała do końca planów Niski, ale zdawała sobie sprawę, że obecność hrabiego nie pomogłaby w ich realizacji.

Niezauważona przez nikogo zeszła schodami z pokładu i cicho udała się korytarzem do kabiny Niski. Drzwi nie były zamknięte na zasuwę, więc szybko dostała się do wnętrza. Gan Itai nie było w środku; Miriamele domyślała się, że przygotowuje szczegóły planu, choć sama pewnie do końca w niego nie wierzy. Niska była bardzo przygnębiona i zmęczona, kiedy Miriamele ujrzała ją tego ranka.

Dziewczyna podwiązała spódnicę, a następnie odsłoniła wejście do ukrytego korytarza; długą chwilę zastanawiała się, czy zamknąć na zasuwę

drzwi kabiny. Jeśli nie uda jej się zasłonić dobrze od wewnątrz sekretnego przejścia, każdy, kto wejdzie do kabiny, natychmiast zorientuje się, że tamtędy przechodzono, i może pójść za nią. Lecz jeśli zamknie drzwi, Gan Itai nie będzie mogła wejść do środka. Wreszcie zdecydowała pozostawić drzwi otwarte i zaryzykować przypadkowe odkrycie. Z kieszeni płaszcza wyjęła kawałek świecy, zapaliła go od lampy Gan Itai, po czym weszła do ciasnego korytarza i zasunęła za sobą wejście. Wspinając się po drabinie, świecę trzymała w zębach; dziękowała Bogu, że jej włosy są wciąż jeszcze krótkie i mokre. Starała się nie myśleć o tym, co stałoby się z kimś, komu zapaliłyby się włosy w tak ciasnym miejscu.

Kiedy dotarła do luku, wylała trochę wosku na podłogę i ustawiła w nim świecę. Następnie odrobinę uniosła klapę włazu i zajrzała przez szczelinę. W ładowni panowała ciemność, co było dobrym znakiem. Nie wierzyła, by któryś z marynarzy zdecydował się chodzić wśród nagromadzonych beczek bez jakiegokolwiek światła.

– Cadrachu! – zawołała cicho. – To ja! Miriamele!

Nikt nie odpowiadał i przez chwilę była pewna, że przybyła za późno, że mnich zmarł w ciemności. Ze ściśniętym gardłem sięgnęła po świecę i zeszła ostrożnie po drabinie przymocowanej do krawędzi włazu. Drabina kończyła się w pewnej odległości nad podłogą. Zeskakując, wylądowała bliżej, niż się tego spodziewała, tak że świeca wypadła jej z dłoni i potoczyła się pod ścianę. Natychmiast rzuciła się za nią i parząc sobie palce, chwyciła, zanim ta całkiem zgasła.

Miriamele wstrzymała oddech.

– Cadrachu?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, przecisnęła się między przechylonymi stosami zapasów. Mnich siedział skulony pod ścianą z głową zwieszoną na piersi. Chwyciła go za ramię i potrząsnęła, tak że jego głowa się zakołysała.

– Cadrachu, obudź się!

Jęknął, lecz się nie obudził. Potrząsnęła mocniej.

– Ach, bogowie – mruczał. – Ta *smearech fleann*... ta przeklęta książka... – Zaczął młócić ramionami jakby w koszmarze. – Zamknij ją! Zamknij ją! Nie powinienem był jej otwierać... – Dalsze słowa rozpłynęły się w bełkocie.

– A niech cię, obudź cię!

Wreszcie mnich otworzył oczy.

– Pa...pani? – Wyglądał żałośnie: skóra na twarzy zwisała fałdami, a z zapadniętych oczodołów patrzyły mętne oczy. Wyglądał teraz o wiele starzej.

Miriamele ujęła jego dłoń i zaraz pomyślała, że powinna to zrobić od razu. Ale czy nie był to ten sam nikczemny zdrajca, którego wepchnęła do zatoki Emettin z zamiarem utopienia? Wiedziała jednak, że to już ktoś inny. Człowiek przed nią był biedną istotą, związaną i pobitą – nie z powodu zbrodni, lecz jedynie za to, że chciał zbiec, uratować własne życie. Teraz żałowała, że nie uciekła razem z nim. Współczuła Cadrachowi i wiedziała, że nie jest na wskroś zły. W pewnym sensie zaprzyjaźnili się nawet.

Nagle Miriamele zawstydziła się swej buty. Dotąd twierdziła zawsze, że wie, co jest dobre, a co złe, gotowa była nawet zostawić Cadracha. Teraz jednak ledwie potrafiła znieść jego widok, spojrzenie zranionych i przestraszonych oczu. Uścisnęła jego dłoń i powiedziała:

– Nie bój się, zaraz wrócę. – Ze świecą w dłoni ruszyła wzdłuż rzędów beczek w poszukiwaniu narzędzi.

Wytężała wzrok, gdy tymczasem nad jej głową rozbrzmiewały kroki marynarzy. Statek zakołysał się nagle, pchnięty podmuchem wiatru. Wreszcie znalazła beczkę z napisem Otillenas. Za pomocą pręta zawieszonego w pobliżu drabiny otworzyła jej wieko. We wnętrzu

rzeczywiście znajdowały się bezcenne narzędzia owinięte w skórę i zanurzone w oliwie. Zacisnęła zęby, starając się działać spokojnie i ostrożnie. Rozwijała po kolei pakunki, aż wreszcie znalazła dłuto i drewniany młotek. Wytarłszy narzędzia w wewnętrzną stronę płaszcza, zabrała je i podeszła do Cadracha.

– Pani, co robisz? Czy zamierzasz oddać mi przysługę i zatłuc jak świnię? Tak, to byłoby najlepsze wyjście.

Miriamele ustawiła świecę na podłodze w roztopionym wosku.

– Nie bądź głupi. Chcę przeciąć krępujące cię łańcuchy. Gan Itai pomaga nam w ucieczce.

Mnich wpatrywał się w nią przez chwilę niezwykle ożywionym wzrokiem.

– Miriamele, wiesz chyba, że ja nie mogę chodzić.

– Zaniosę cię, jeśli będzie trzeba. Ale wyruszymy dopiero nocą. Do tego czasu spróbuj trochę rozetrzeć nogi. Może nawet mógłbyś trochę pospacerować. – Chwyciła łańcuch, który ciągnął się aż do kostki Cadracha. – Musiałabym go chyba przeciąć z obu stron, żeby nie dzwonił. – Domyśliła się, że uśmiechnął się głównie dlatego, by jej zrobić przyjemność. Długi łańcuch, odchodzący od kajdanów krępujących jego nogi, przechodził przez uchwyt umocowany w podłodze ładowni. Miriamele naciągnęła jeden jego koniec i przyłożyła dłuto do najbliższego ogniwa. – Możesz je potrzymać? – spytała. – Wtedy będę mogła wziąć młotek w obie ręce.

Mnich chwycił za dłuto. Miriamele podrzuciła kilkakrotnie młotek w dłoni, by wybadać jego ciężar, a potem uniosła go nad głowę.

– Wyglądasz jak Deanagha Brązowooka – szepnął.

Miriamele wsłuchała się w odgłosy statku, czekając na odpowiednio głośne skrzypienie, by uderzyć.

– Jak kto?

– Deanagha Brązowooka. – Uśmiechnął się. – Najmłodsza córka Rhynna. Kiedy otoczyli go wrogowie, a on leżał chory, jego córka biła łyżką w kocioł tak długo, dopóki nie przybyli inni bogowie z pomocą. – Spojrzał na Miriamele. – Była dzielna.

Statek zakołysał się mocniej, wydając przeciągłe skrzypienie.

– Moje oczy są zielone – powiedziała Miriamele i opuściła młotek z całej siły.

Wydawało jej się, że rozległ się huk jak od uderzenia pioruna. Przekonana, że do ładowni pędzi już Aspitis ze swymi ludźmi, spojrzała w dół. Dłuto weszło głęboko w metal, lecz jeszcze go nie przecięło.

– A niech to – westchnęła i zaczęła nasłuchiwać. Z pokładu nie dochodziły żadne podejrzane odgłosy, więc znowu uniosła młotek, gdy nagle przyszło jej coś do głowy. Zdjęła płaszcz i zwinęła go kilkakrotnie, po czym podsunęła pod łańcuch. – Trzymaj – powiedziała i uderzyła.

Zmierzyła się z łańcuchem jeszcze kilkakrotnie. Płaszcz rzeczywiście tłumił odgłos, ale i zmniejszał siłę uderzenia. Wreszcie żelazne ogniwo puściło. Potem zajęła się drugą stroną, a nawet poważnie nadwerężyła łańcuchy przy nadgarstkach Cadracha, zanim zupełnie opadła z sił. Palący ból przenikał jej ramiona. Nie była w stanie unieść ciężkiego młota nad głowę. Cadrach spróbował ją zastąpić, ale okazał się za słaby. Kiedy po kilkunastu uderzeniach nie udało mu się wbić dłuta głębiej w żelazo, oddał młot.

– Tyle wystarczy – powiedział. – Przecięcie z jednej strony pozwoli mi się uwolnić. Później owinę łańcuch wokół ramienia, żeby nie robić hałasu. Najważniejsze, że mam nogi wolne. – Poruszył stopami. – Czy myślisz, że uda ci się znaleźć tutaj jakąś ciemną szmatę?

Miriamele spojrzała na niego podejrzliwie, lecz wstała i zaczęła szukać. Powróciła z nożem Aspitisa w dłoni; przywiązała go sobie chustką do nogi.

– Nic tu nie ma. Jeśli rzeczywiście jest ci ona potrzebna, to możemy odciąć kawałek mego płaszcza. – Klęknęła i przyłożyła ostrze do ciemnej tkaniny. – Uciąć?

Cadrach przytaknął.

– Zwiążę tym paskiem łańcuchy. Nikt nie zauważy, że są przecięte, jeśli nie pociągnie mocno. – Uśmiechnął się z trudem. – W tym świetle strażnicy nigdy nie zauważą, że jedno z ogniw zrobione jest z miękkiej, erkynlandzkiej wełny.

Kiedy skończyli związywać łańcuchy i pakować narzędzia, Miriamele wzięła świecę i wstała.

– Przyjdę po ciebie o północy albo tuż przed.

– W jaki sposób Gan Itai chce dokonać tej sztuczki? – W jego głosie zabrzmiała dawna nuta ironii.

– Nie powiedziała mi, żebym się tak nie martwiła. Pewnie uważa, że im mniej wiem, tym lepiej. – Miriamele pokręciła głową. – Ale w tym względzie się pomyliła.

– Mało prawdopodobne, żeby udało nam się opuścić statek, a nawet jeśli, to i tak daleko nie uciekniemy. – Cadrach z trudem poruszał się, wyczerpany wysiłkiem ostatniej godziny.

– Zgadzam się – przyznała. – Ale Aspitis wie, że jestem królewską córką, i chce mnie zmusić do małżeństwa, więc nie obchodzi mnie, jak mało jest to prawdopodobne. – Odwróciła się.

– Wiem, pani, że cię nie obchodzi. A zatem do zobaczenia o północy.

Miriamele pozostała jeszcze przez chwilę na miejscu. W miarę jak mijała ostatnia godzina i opadały kolejne łańcuchy, nawiązywała się między nimi milcząca więź i porozumienie... więź przebaczenia.

– Bywaj – powiedziała. Wzięła świecę i wspięła się po drabinie, pozostawiając mnicha w ciemności.

WIECZÓR CIĄGNĄŁ SIĘ W NIESKOŃCZONOŚĆ. Miriamele leżała w swojej kabinie, nasłuchując odgłosów burzy, i zastanawiała się, gdzie będzie o tej porze następnego dnia.

Wiatr wiał coraz mocniej. *Chmura Eadne* kołysała się mocno na falach. Kiedy paź hrabiego zastukał do jej drzwi i obwieścił, że jego pan zaprasza ją na spóźnioną kolację, wymówiła się mdłościami z powodu wzburzonego morza i odrzuciła zaproszenie. Niedługo potem przybył sam Aspitis.

– Miriamele, ze smutkiem przyjąłem wiadomość, że jesteś chora. – Zatrzymał się w drzwiach, czujny jak drapieżnik. – Może wolałabyś spać dzisiejszej nocy w mojej kabinie, żeby nie czuć się tak samotna w chorobie?

Z trudem powstrzymała śmiech, słysząc tak podłą ironię hrabiego.

– Źle się czuję, panie. Będę ci posłuszna, kiedy mnie poślubisz. Ale tej ostatniej nocy chcę pozostać sama.

Wydawało się, że będzie nalegał, ale wzruszył tylko ramionami.

– Jak chcesz. Miałem dużo pracy podczas przygotowań przed burzą. A poza tym, tak jak mówisz, przed nami jeszcze całe życie. – Jego uśmiech błysnął jak ostrze noża. – Tak więc, dobranoc. – Zrobił krok do przodu i ucałował jej zimny policzek, a potem podszedł do stołu i palcami zgasił płomień lampy. – Będzie burzliwa noc. Nie chcesz chyba wzniecić pożaru.

Wyszedł, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Gdy tylko ucichły jego kroki, Miriamele wyskoczyła z łóżka, by się upewnić, że nie zatrzasnął drzwi na zasuwę. Otworzyły się swobodnie, a szparę wypełniła ciemność korytarza. Słyszała wyraźnie zawodzenie wiatru, choć górny właz był opuszczony. Zamknęła drzwi i wróciła do łóżka.

Siedząc wyprostowana, poddała się kołysaniu statku; zapadała w płytki, niespokojny sen, potem budziła się i na wpół przytomna biegła na korytarz do drabiny, by spojrzeć na niebo. Za którymś razem tak długo musiała czekać – nie do końca rozbudzona – aż księżyc ukaże się zza chmur, że przestraszyła się, iż zniknął na zawsze, wypędzony przez jej ojca i Pryratesa. Wróciła do łóżka dopiero wtedy, kiedy upewniła się, że jego mrugające oko jest jeszcze daleko od miejsca, które wskazała Niska.

Kiedy indziej wydało jej się, że sama Gan Itai otworzyła drzwi i zajrzała do jej kabiny. Ale jeśli nawet tak było, to kobieta nic nie powiedziała, a po chwili w drzwiach nie było już nikogo. Niedługo potem Miriamele usłyszała pomiędzy podmuchami wiatru żałosną pieśń Niski. Wreszcie wstała, nie mogąc już dłużej wytrzymać. Wyciągnęła torbę spod łóżka i wyjęła z niej mnisi strój, który zamieniła na statku na piękne suknie od Aspitisa. Włożyła spodnie, koszulę, ściągnęła paskiem szeroki habit i zawiązała stare buty. Potem wrzuciła do torby kilka drobiazgów. Nóż Aspitisa wsunęła za pas. Stwierdziła, że lepiej mieć go pod ręką, niż martwić się, że zostanie odkryty. Pomyślała, że ukryje go pod szerokim rękawem habitu, jeśli spotka kogoś w drodze do kabiny Gan Itai.

Sprawdziła, czy korytarz jest pusty. Z torbą pod pachą ruszyła najciszej, jak potrafiła; z pokładu dochodziło głośne bębnienie deszczu. Ponad odgłosy burzy wznosiła się pieśń Niski, już nie tak kojąca jak poprzednia, dziwnie niespokojna. Miriamele pomyślała, że może rozbrzmiewa w niej smutek Gan Itai. Potrząsnęła głową zdenerwowana.

Przemokła natychmiast, gdy tylko wychyliła się z luku. Wiatr niósł strumienie deszczu nieomal poziomo i uderzał o maszt latarniami z półprzezroczystego roku. Marynarze z *Chmury Eadne* w targanych wiatrem płaszczach uwijali się na pokładzie, przypominając przestraszone małpy. Panowało ogólne zamieszanie, ale nie pocieszało to zbytnio

Miriamele. Była tu cała załoga; marynarze czujnie wypatrywali zerwanej liny albo połamanego masztu. Nie uda im się przemknąć z jednej burty na drugą niezauważonymi i potem jeszcze spuścić ciężką łódź i odpłynąć. Burza z pewnością zniweczy wszystko, co planowała Gan Itai. Kiedy na chwilę Miriamele udało się dojrzeć księżyc, stwierdziła, że jest on prawie w miejscu wskazanym przez Niskę. Poprzez deszcz zobaczyła, że do włazu zbliża się dwóch marynarzy, którzy, przeklinając, ciągnęli zwój liny. Szybko opuściła klapę, zeszła po drabinie i pośpieszyła do kabiny Gan Itai, a stamtąd do ładowni.

Mnich nie spał. Wydawał się w nieco lepszym stanie, lecz wciąż poruszał się bardzo wolno. Miriamele owinęła łańcuch wokół jego ramienia i umocowała go paskami materiału z płaszcza, zastanawiając się, jak zdoła przeprowadzić Cadracha na drugą stronę statku, tak by nikt ich nie zauważył.

Cadrach uniósł ramię i pomachał nim dzielnie.

– To prawie nic nie waży.

Spojrzała na gruby łańcuch. Kłamał, oczywiście. Widziała wyraźnie jego napiętą z wysiłku twarz. Ponadto obawiała się, że przy tak dużym kołysaniu statku może zranić siebie albo Cadracha. Nie żywiła większych nadziei, ale nic już jej nie pozostało. Nadszedł czas, a ona postanowiła, że zrobi wszystko, co w jej mocy.

– Zaraz wyruszamy. Masz. – Wyciągnęła z torby małą butelkę i podała ją Cadrachowi. – Tylko kilka łyków.

Wziął butelkę, spoglądając na nią uważnie. Po pierwszym łyku na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech. Pociągnął jeszcze kilka.

– Wino. – Oblizał usta. – Dobre, czerwone, perdruińskie wino! Na Usiresa, Bagbę i... i wszystkich innych! Pani, niech Bóg cię błogosławi! – Odetchnął głęboko. – Teraz przynajmniej umrę szczęśliwy.

– Nie umieraj. Jeszcze nie. Oddaj.

Cadrach spojrzał na nią z wyrzutem, lecz zwrócił butelkę. Miriamele przechyliła ją i wypiła kilka ostatnich łyków; poczuła ciepło rozchodzące się aż do żołądka. Ukryła puste naczynie za jedną z beczek.

– Teraz już pójdziemy. – Podniosła świecę i poprowadziła Cadracha do drabiny.

Mężczyzna zatrzymał się, by złapać oddech, kiedy dotarł do przejścia Niski. Siedział, dysząc ciężko, gdy tymczasem Miriamele zastanawiała się nad kolejnym krokiem. Cały statek drżał od bębniącego weń deszczu.

– Mamy trzy drogi wyjścia na pokład – powiedziała głośno. Cadrach wydawał się nie słuchać, zajęty próbą przyjęcia pozycji pionowej. – Właz z ładowni, ale on wychodzi bezpośrednio na rufę, gdzie zawsze jest sternik. Przy takiej pogodzie na pewno ktoś tam będzie pilnował. Tak więc ta droga odpada. – Spojrzała na mnicha. Cadrach wpatrywał się w deski podłogi. – Pozostają dwie inne możliwości. Możemy przejść do włazu z głównego korytarza obok kabin Aspitisa i pozostałych marynarzy albo pójść do końca tym przejściem, które prawdopodobnie wychodzi na pokład dziobowy.

Cadrach podniósł wzrok.

– Prawdopodobnie?

– Gan Itai nigdy mi tego nie wyjaśniła, a ja zapomniałam spytać. Ale to jest dziura Niski; mówiła, że korzysta z niej, by szybciej poruszać się po statku, a skoro głównie śpiewa na pokładzie dziobowym, to pewnie tam prowadzi ten korytarz.

Mnich pokiwał głową.

– Aha.

– Tak więc uważam, że tam powinniśmy się udać. Może Gan Itai czeka na nas. Nie powiedziała, jak mamy dostać się do łodzi ani kiedy będzie na nas czekać.

– Idź pierwsza, pani.

Kiedy sunęli wolno ciasnym przejściem, nagle rozległ się huk tak głośny, że Cadrach krzyknął przerażony.

– Bogowie, co to jest? – spytał.

– Grzmot – powiedziała Miriamele. – Nadeszła burza.

– Litościwy Aedonie, chroń mnie przed statkami i morzem – jęknął Cadrach. – Niech będą przeklęte. Przeklęte.

– Przesiądziemy się tylko i będziemy bliżej morza. – Miriamele zaczęła posuwać się wolno do przodu. – Jeśli tylko dopisze nam szczęście.

Cadrach ruszył za nią. Zanim dotarli do końca przejścia, jeszcze dwukrotnie rozlegały się grzmoty, każdy głośniejszy od poprzedniego. Wreszcie przykucnęli pod włazem. Miriamele położyła dłoń na ramieniu mnicha.

– Bądź cicho. Zgaszę świecę.

Uniosła ciężką klapę na szerokość dłoni. Deszcz wciąż lał się strugami. Znaleźli się tuż pod pokładem dziobowym; schody oddalone były od nich zaledwie o kilka kroków. Błyskawica na chwilę oświetliła cały pokład. Miriamele dostrzegła sylwetki marynarzy uchwycone w pół ruchu, jakby ktoś wymalował je na fresku. Wydawało się, że samo niebo spada z góry na statek. Opuściła klapę, gdy rozległ się kolejny grzmot.

– Na pokładzie jest pełno ludzi – powiedziała, kiedy ucichło echo. – Ale nie ma nikogo w pobliżu naszego włazu. Jeśli uda nam się dotrzeć do poręczy i założymy kaptury, to może nie zauważą, że nie należymy do załogi. Stamtąd pójdziemy do łodzi.

W ciemności nie widziała mnicha, ale słyszała jego oddech tuż obok. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Nie słyszałam Gan Itai. Ona nie śpiewa.

Upłynęła chwila zanim Cadrach się odezwał.

– Boję się, Miriamele – wyszeptał przez ściśnięte gardło. – Jeśli mamy iść, to chodźmy teraz, zanim do reszty stracę odwagę.

– Ja też się boję – powiedziała – ale muszę się zastanowić. – Wyciągnęła rękę i odnalazła jego zimną dłoń. Siedzieli tak przez jakiś czas, aż wreszcie Miriamele znowu się odezwała: – Nie wiem, gdzie może być Gan Itai, skoro nie ma jej na dziobie. Może czeka na nas przy łodzi, nie wiem. Kiedy dotrzemy do łodzi, będziemy musieli odwiązać liny, które ją przytrzymują, wszystkie z wyjątkiem jednej. Pójdę jej poszukać, a kiedy wrócę, opuścimy łódź i skoczymy do wody. Jeśli nie wrócę, będziesz musiał zrobić to sam. Zostanie ci tylko jeden węzeł. Dasz radę.

– Skoczymy... do wody? – wyjąkał. – Przy takiej burzy? Kiedy dookoła aż się roi od tych potworów, kilp?

– Tak, skoczymy – powtórzyła, starając się powstrzymać zniecierpliwienie. – Połamalibyśmy kości, gdybyśmy spróbowali spuścić łódź, pozostając w środku. Nie martw się. Skoczę pierwsza i podam ci wiosło.

– Pani, zawstydzasz mnie – powiedział mnich, lecz nie cofnął dłoni. – To ja powinienem się tobą opiekować, ale wiesz, jak nienawidzę morza.

Miriamele ścisnęła jego dłoń.

– Wiem. Idźmy zatem. Pamiętaj, jeśli cię ktoś zaczepi, udaj, że nie słyszysz, i nie zatrzymuj się. Nie puszczaj też poręczy, gdyż pokład z pewnością jest bardzo śliski. Chyba nie chcesz wylądować za burtą, zanim spuścimy łódź.

Cadrach uśmiechnął się nerwowo.

– Masz rację, nie chcę. Niech Bóg ma nas w opiece – powiedział.

Wśród ryków burzy rozległ się kolejny huk, nie tak głośny jak poprzedni grzmot, choć równie potężny. Miriamele poczuła, jak ją obezwładnia, tak że musiała oprzeć się o ścianę, gdyż ugięły się pod nią

kolana. Nie miała pojęcia, co to mogło być. Wyczuwała w tym odgłosie coś strasznego, coś, co przeszyło jej serce jak zimne ostrze, lecz nie było już czasu na wahanie. Zebrawszy wszystkie siły, podniosła klapę i wyszli na deszcz.

Dziwny odgłos wciąż rozlegał się dookoła; brzmiał przeraźliwie słodko i zniewalająco, przyciągał jak prąd morski. Przez moment wydawał się nie docierać do uszu śmiertelnika, tak że słychać było tylko jego pogłos, który tłukł się w czaszce Miriamele jak przerażony nietoperz, a potem zaraz opadł równie błyskawicznie, rozbrzmiewając tak nisko, że mogła to być pieśń kamieni z dna oceanu. Miriamele miała wrażenie, że znalazła się w ogromnym ulu; dźwięk przenikał drżeniem całe jej ciało. Jakaś jego część płonęła pragnieniem, by poddać się temu ruchowi, tańczyć i krzyczeć, lecz druga część pragnęła położyć się i bić głową o pokład, dopóki dźwięk nie ustanie.

– Boże, ratuj nas, co to za okropny hałas? – jęknął Cadrach. Stracił równowagę i osunął się na kolana.

Zacisnąwszy zęby, Miriamele pochyliła głowę i ruszyła wolno w stronę poręczy. Czuła każdą kosteczkę. Chwyciła mnicha za rękaw i pociągnęła za sobą po śliskim pokładzie.

– To Gan Itai – powiedziała, próbując przebić się przez pieśń Niski. – Jesteśmy zbyt blisko. – W pewnym momencie aksamitna ciemność, rozjaśniona tylko żółtawymi smugami latarń, stała się nagle granatowo-biała. Wszystko – poręcz, dłoń Cadracha, czarna pustka morza w dole – zmieniło kolor w jednej chwili. Moment później niebo powtórnie rozdarła błyskawica i Miriamele ujrzała w jej blasku gładką, okrągłą głowę wystającą ponad poręcz burty. Gdy niebo zamknęło się i ucichło echo grzmotu, w słabym świetle latarń ukazały się kolejne lśniące postacie,

wskakujące ponad poręczą na statek. Nagle Miriamele zrozumiała. Odwróciła się szybko i pociągnęła Cadracha w stronę prawej burty.

– Co się dzieje? – krzyknął.

– To Gan Itai! – Przed nimi niczym przerażone mrówki przebiegali marynarze, ale nie ich bała się teraz Miriamele. – Niska przywołuje na pokład kilpy!

– Ratuj nas, Aedonie! – wrzasnął Cadrach. – Ratuj nas!

Kolejna błyskawica ukazała szare, podobne do żab postacie przeskakujące ponad poręczą. Znalazłszy się na pokładzie, kilpy kiwały głowami o rozdziawionych pyskach, wytrzeszczając oczy jak pielgrzymi, którzy wreszcie dotarli do upragnionej kaplicy. Jedna z nich chwyciła cienkim ramieniem marynarza, potem jakby owinęła się wokół niego i pociągnęła w ciemność. Miriamele, przerażona, odwróciła się i ruszyła szybko wzdłuż burty w kierunku miejsca, gdzie powinna znajdować się łódź. Woda zalewała jej stopy i kostki. Jak w koszmarze czuła, że porusza się coraz wolniej. Szare stwory wciąż wślizgiwały się na pokład niczym zjawy z opowieści, wyłaniające się z niepoświęconego grobu. Cadrach pozostał z tyłu i teraz krzyczał jak opętany. Nad wszystkim unosiła się pieśń Niski, która wypełniała ciemną noc, pulsującą jak ogromne serce.

Wydawało się, że kilpy są wszędzie; ich giętkie postacie wyłaniały się nagle z ciemności. Krzyki przerażonych marynarzy rozbrzmiewały nawet ponad odgłosami burzy i pieśnią Niski. Aspitis i dwóch jego oficerów bronili się przed gromadą morskich stworów pod jednym z masztów; ich miecze wyglądały jak śmigające w ciemności smugi światła. Jedna z kilp odskoczyła do tyłu, chwytając się za ramię, które nie było już częścią jej ciała. Po chwili upuściła kończynę i skupiła się nad nią; z rany buchała czarna krew.

– Miłościwy Aedonie! – Wreszcie Miriamele dostrzegła ciemny kształt łodzi. Pociągnęła Cadracha mocniej. Jedna z lamp rozbiła się o maszt i chlusnęła płonącą oliwą na mokry pokład. Dookoła buchnęły kłęby pary, a jedna z iskier upadła na rękaw Miriamele. Kiedy dziewczyna gasiła płomień, noc zajaśniała pomarańczowym blaskiem. Spojrzała w górę poprzez deszcz. Pomimo ulewy zapalił się żagiel i maszt w jednej chwili zamienił się w ogromną pochodnię.

– Cadrach, liny! – krzyknęła.

Grzmot zagłuszył czyjś zduszony okrzyk przerażenia. Chwyciła mokrą linę i zaczęła rozwiązywać węzeł; palce ślizgały się po napęczniałym od wody sznurze, lecz w końcu udało jej się go poluzować i szybko chwyciła następny. Łódź kołysała się razem ze statkiem, rzucając na boki, ale Miriamele przywarła mocno do burty. Cadrach, biały jak ściana, mocował się z kolejną z czterech lin, które utrzymywały kołowrót nad pokładem statku.

Miriamele poczuła falę zimna, jeszcze zanim stworzenie dotknęło jej ciała. Odwróciła się błyskawicznie, lecz pośliznęła się i upadła na kadłub łodzi. Kilpa podeszła bliżej i chwyciła wiciowatymi palcami szeroki rękaw jej płaszcza. Oczy stwora przypominały czarne stawy, rozświetlone ogniem płonącego masztu. Nieustannie otwierał i zamykał pysk. Miriamele krzyknęła, kiedy zwierzę pociągnęło ją do siebie. Nagle dostrzegła jakiś ruch w cieniu. Kilpa upadła do tyłu, lecz nie wypuściła rękawa, pociągając Miriamele za sobą, tak że dziewczyna musiała oprzeć się dłonią o śliski brzuch zwierzęcia. Próbowała wyswobodzić się z uścisku, lecz wiciowata dłoń trzymała mocno. Czuła smród słonej wody, błota i gnijących ryb.

– Biegnij, pani!

Zza kilpy wyłoniła się twarz Cadracha. To on zacisnął łańcuch wokół gardła zwierzęcia, lecz Miriamele dostrzegła w słabym świetle pulsujące

skrzela kilpy, półprzezroczyste skrzydełka o różowych krawędziach. Nagle zrozumiała, że kilpa nie potrzebuje gardła do oddychania: Cadrach zaciskał łańcuch za wysoko. Miriamele przybliżała się do drugiej ręki zwierzęcia, coraz bliżej mokrego pyska i galaretowatych oczu.

Pieśń Gan Itai ustała nagle, choć wydawało się, że jej echo rozbrzmiewało jeszcze długo. Ponad wiatr wznosiły się już tylko okrzyki strachu i przerażenia oraz pohukiwania przybywających morskich demonów. Miriamele opuściła rękę do pasa, lecz potrzebowała długiej chwili, zanim jej dłoń spoczęła na rękojeści noża Aspitisa. Wstrzymała oddech, kiedy broń zaczepiła się o fałdę przemoczonego ubrania. Jednak pociągnęła mocniej i nóż wysunął się zza paska. Wytrząsnęła go z pochwy i uderzyła w ramię, które ją uwięziło. Z rany trysnęła czarna krew, lecz uścisk nie zelżał.

– Ach, Boże, pomóż nam! – krzyczał przeraźliwie Cadrach.

Kilpa otworzyła pysk, ale nie wydała żadnego głosu. Wciąż ciągnęła dziewczynę do siebie, tak że teraz Miriamele widziała nawet kropelki deszczu na śliskiej skórze i miękkie, jasne wnętrze pyska zwierzęcia. Z krzykiem pełnej obrzydzenia wściekłości Miriamele rzuciła się do przodu, wbijając nóż w tułów stworzenia. Teraz kilpa wydała cichy świst. Krew trysnęła na dłoń Miriamele, która poczuła, że trzymające ją ramię zwalnia uścisk. Wbiła nóż jeszcze raz i jeszcze raz. Kilpa drgnęła i zaczęła kopać. Dziewczynie wydawało się, że trwa to całą wieczność, lecz wreszcie ciało zwierzęcia znieruchomiało. Miriamele osunęła się na pokład i zanurzyła dłonie w czystej wodzie. W świetle błyskawicy zobaczyła, że łańcuch Cadracha wciąż zaciska gardło kilpy. Mnich patrzył przerażony, wytrzeszczając oczy.

– Puść ją – jęknęła. – Jest martwa.

Cadrach kopnął kilpę i podpełzł na czworakach do łodzi. Odzyskawszy oddech, zebrał siły i rozwiązał dwa węzły, a potem pomógł Miriamele, która wciąż nie potrafiła opanować drżących dłoni. Wiosłami odepchnęli rusztowanie i ustawili je równolegle do pokładu; teraz już tylko jedna lina przytrzymywała łódź na kołowrocie. Miriamele odwróciła się i spojrzała na pokład. Maszt wyglądał jak ogromny słup ognia smagany wiatrem. Na całym pokładzie widać było grupki walczących kilp i marynarzy, lecz nie dostrzegła nikogo między łodzią a pokładem dziobowym.

– Zostań tutaj – powiedziała, narzucając kaptur na głowę. – Muszę odnaleźć Gan Itai.

Cadrach spojrzał na nią zdumiony, ale i wściekły.

– Oszalałaś? *Goirach cilagh!* Szukasz śmierci!

Miriamele nie próbowała nawet dyskutować.

– Zostań tutaj. Broń się wiosłem. Jeśli nie wrócę, opuść łódź i skacz. Dopłynę. – Ścisnęła nóż w dłoni i ruszyła przez pokład.

Piękna *Chmura Eadne* zamieniła się w statek-piekło; coś takiego mógł wymyślić diabeł, by straszyć grzeszników na morzu potępienia. Prawie cały pokład tonął w wodzie, a ogień z głównego masztu przeniósł się na pozostałe. Płaty ognia fruwały na wietrze niczym demony. Zakrwawieni marynarze, jeszcze trzymający się na nogach, przypominali upodlonych więźniów, którym wymierzono karę znacznie wykraczającą poza najgorsze nawet przestępstwo. Zginęło też wiele kilp; ich ciała leżały w pobliżu głównego masztu, gdzie wcześniej walczył Aspitis i jego oficerowie, choć co najmniej jedna ludzka noga wystawała spod ich stosu. Wiele kilp zdobyło swój posiłek i wracało do morza, lecz inne wciąż polowały na żyjących jeszcze marynarzy.

Miriamele bez przeszkód dotarła na dziób, choć musiała przejść tuż obok pożywiających się kilp. Nie wierzyła, że potrafi w ogóle przyglądać

się podobnym scenom. Wydawało się, że jej serce się zahartowało: jeszcze rok temu, widząc podobne okropieństwa, uciekłaby z płaczem w najdalszy kąt. Teraz czuła, że przeszłaby przez ogień, gdyby tylko musiała.

Odszukała schody i weszła szybko na pokład dziobowy. Niska wciąż śpiewała: cicha melodia unosiła się nad dziobem, lecz teraz był to zaledwie cień tamtej pieśni, która powstrzymywała nawet wicher. Gan Itai siedziała na pokładzie pochylona tak nisko, że twarzą dotykała nieomal desek podłogi.

– Gan Itai – odezwała się. – Łódź jest gotowa! Chodź!

W pierwszej chwili Niska nie zareagowała, lecz kiedy się wyprostowała, Miriamele otworzyła usta zdumiona. Nigdy dotąd nie widziała tak zbolałego ludzkiego oblicza.

– Ach, nie! – jęknęła Niska. – Na Ocean Niezbadany, uciekaj! – Machnęła dłonią. – Zrobiłam to, by dać ci wolność. Nie pozwól, by moja zbrodnia okazała się bezużyteczna!

– Ty nie idziesz z nami?

Niska znowu jęknęła. Można było sądzić, że postarzała się o sto lat. Jej oczy zapadły się jeszcze bardziej, ich blask zgasł.

– Nie mogę odejść. Jestem jedyną nadzieją statku. Nie zmniejszy to mojej winy, ale ulży memu sercu. Niech Ruyan mi wybaczy, to zło świata doprowadziło mnie do tego! – Odchyliła głowę i wydała przeciągły jęk rozpaczy. Miriamele, słysząc to, rozpłakała się. – Idź! – jęknęła Niska. – Błagam cię, idź!

Miriamele chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Gan Itai znowu się pochyliła. Po długiej chwili rozległa się jej płaczliwa pieśń. Deszcz zelżał na chwilę, a wiatr zmienił kierunek. Miriamele zobaczyła, że jeszcze tylko kilka postaci porusza się na pokładzie. Spojrzawszy po raz ostatni na Niskę,

zrobiła znak Drzewa i zeszła po schodach. Później się zastanowi dlaczego. Później.

Dłoń, która chwyciła ją, kiedy znalazła się już na pokładzie, należała do rannego marynarza, a nie do kilpy. Zamachnęła się nożem i marynarz upadł na pokład. Nieco dalej dostrzegła ciało Thuresa, młodego pazia hrabiego. Nie widać było na nim żadnych śladów przemocy. Twarz martwego chłopca wyglądała jak pogrążona we śnie, jego włosy falowały w płytkiej wodzie jak morskie trawy.

Cadrach ucieszył się tak bardzo na jej widok, że nie robił żadnych wymówek ani nie pytał nawet, dlaczego wróciła sama. Miriamele spojrzała na ostatnią linę podtrzymującą jeszcze łódź i przyłożyła do niej nóż. Przecinając sznur, musiała się odchylić, gdyż uwolniona poleciała gwałtownie w górę. Kołowrót zafurkotał i łódź pomknęła w dół. Opadła na wodę, wzbijając fontannę białej piany.

Cadrach podał jej wiosło.

– Trzymaj. Jesteś zmęczona. Pomogę ci w wodzie.

– Mnie? – Prawie się uśmiechnęła.

Nagle rozległ się trzeci głos.

– Tu jesteś, kochanie.

Odwróciła się i ujrzała upiorną postać, która kulejąc, szła w ich stronę. Rany widniały na całym ciele Aspitisa, a najdłuższe cięcie biegło przez policzek aż do oka, które teraz było zamknięte; zakrzepła krew zlepiła jego złociste loki, lecz nadal trzymał swój miecz. Wciąż był piękny i przerażający, jak skradający się gepard.

– Chcieliście mnie opuścić? – spytał, uśmiechając się szyderczo. – Nie zostaniecie, żeby pomóc w sprzątaniu po naszych... – Jego uśmiech był teraz upiorny – ...po naszych gościach weselnych – dodał, wskazując za siebie. Podszedł jeszcze bliżej, kołysząc mieczem z boku na bok. W blasku

płonącego masztu przypominał rozgrzany do czerwoności pręt. Miriamele wpatrywała się w niego dziwnie zafascynowana...

Wreszcie potrząsnęła głową i wyprostowała się.

– Idź do diabła.

Aspitis przestał się uśmiechać. Podniósł czubek miecza na wysokość jej oczu. Stojący za nią Cadrach zaklął bezradnie.

– Mam cię zabić – zastanawiał się hrabia – czy może jeszcze mi się przydasz? – Jego oczy patrzyły równie nieludzkim spojrzeniem jak oczy kilp.

– No, zabij mnie. Wolę umrzeć, niż wrócić do ciebie. Ty płacisz Tancerzom Ognia, nie jest tak? Robisz to dla Pryratesa?

Aspitis pokręcił głową.

– Tylko niektórym. Tym, którzy nie są... gorliwymi wyznawcami. Ale wszyscy oni są użyteczni. – Zmarszczył brwi. – Nie chcę teraz mówić o tak mało ważnych sprawach. Jesteś moja. Muszę zdecydować...

– Mam coś, co należy do ciebie – powiedziała, unosząc nóż.

Aspitis uśmiechnął się dziwnie, lecz i on uniósł miecz, jakby bronił się przed nagłym pchnięciem. Ale Miriamele rzuciła sztylet w wodę u jego stóp. Aspitis dostrzegł jego błysk i spojrzał w dół. W tym momencie Miriamele uderzyła go wiosłem w brzuch. Jęknął, próbując złapać oddech, i zachwiał się do tyłu; jego miecz przecinał na ślepo powietrze niczym żądło zranionej pszczoły. Miriamele chwyciła wiosło oburącz i jeszcze raz z całych sił uderzyła – rozległ się chrzęst łamanej kości. Aspitis wydał przeraźliwy okrzyk i runął na pokład, zakrywając twarz dłońmi. Spomiędzy jego palców trysnęła krew.

– Ha! – zawołał Cadrach z ulgą. – Spójrz na siebie, diable! Teraz będziesz musiał znaleźć coś innego, czym mógłbyś kusić kobiety!

Miriamele opadła na kolana i popchnęła wiosło w stronę Cadracha.

– Idź – powiedziała, dysząc ciężko. – Weź je i skacz.

Mnich stał przez chwilę niezdecydowany, jakby nie wiedział, gdzie jest, lecz zaraz pokuśtykał do burty. Zamknął oczy i mrucząc coś pod nosem, skoczył do wody. Miriamele wstała i jeszcze raz spojrzała na hrabiego – czerwona piana płynęła po pokładzie. Potem wspięła się na poręcz i zmusiła się, by skoczyć w pustkę. Przez chwilę opadała w ciemności. Kiedy woda zamknęła się nad jej głową, zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze wypłynie na jej powierzchnię, czy może dalej będzie opadać w nieskończoną ciemność i ciszę...

Wypłynęła. Kiedy dotarła do łodzi i pomogła Cadrachowi wciągnąć się na jej pokład, zamocowali wiosła i zaczęli oddalać się od wraka statku. Burza wciąż szalała, lecz już nie tak gwałtownie. *Chmura Eadne* stawała się coraz mniejsza, aż wreszcie zmieniła się w świecący punkt na czarnym horyzoncie, malutki płomyk podobny do spadającej gwiazdy.

7. Kowadło Króla Burz

NA PÓŁNOCNEJ KRAWĘDZI ŚWIATA znajdowała się góra, sterczący z ziemi, pokryty lodem kamienny ząb, którego cień padał na cały krajobraz i który wznosił się nad pozostałe szczyty. Od tygodni dymy i opary sączyły się szczelinami w zboczach wzniesienia. Teraz spowijały girlandą koronę Burzowej Góry, wirując w okrutnym wichrze, który krążył wokół niej, gromadząc się i ciemniejąc, jakby wysysały spomiędzy gwiazd samą istotę absolutnej nocy.

Burza nasilała się i rozprzestrzeniała. Nieliczni, którzy jeszcze pozostali w swych domach, drżeli, gdy krokwie nad ich głowami skrzypiały pod naporem wichru. Niekończąca się zamieć przynosiła coraz więcej śniegu wokół ścian i na dachach ich domów, aż pozostały z nich jedynie białe kopce podobne do wielkich grobów, które przypominały miejsca zamieszkania jedynie dzięki dymowi unoszącemu się z ich kominów.

Ogromną przestrzeń krainy znanej pod nazwą Frostmarch także pokrywała coraz grubsza warstwa śniegu. Jeszcze niedawno rozległa równina usiana była wioskami, miastami i osadami, a ich mieszkańcy podróżowali drogami prowadzącymi do wzgórz Wealdhelm. Lecz po kilku latach niekończącej się zimy, która wyniszczyła zbiory i sprawiła, że zwierzęta uciekły lub zostały zjedzone, kraj ten zamienił się w bezludne pustkowie. Ci, którzy trwali jeszcze u podnóża wzgórz albo na krawędzi lasów, wiedzieli, że jest to terytorium wilków i wędrujących duchów, dlatego nadali Frostmarch nową nazwę – Kowadło Króla Burz. Teraz

jeszcze większa burza, jeszcze cięższy młot zimna i mrozu uderzał w kowadło.

Burza wyciągnęła swe ramię nawet poza Erkynland, na południe, dmuchając mroźnym wiatrem ponad Łąkami Thrithingów, którzy po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuli przenikliwy chłód. Śnieg powrócił także do Perdruin i Nabbanu: po raz drugi w tym roku, lecz po raz trzeci od pięciu wieków. I tak tych, którzy dotąd naśmiewali się z mrocznych przepowiedni Tancerzy Ognia, ogarnął nagle strach, strach o wiele sroższy niż śnieg, opadający na książęcy dwór i świątynię. Burza, niczym ogromna powódź, rozlewała się dalej niż kiedykolwiek dotąd, przynosząc mróz i śnieg południowym krainom i przykrywając śnieżnym całunem całe Osten Ard. Gdy burza nadchodziła, duch upadał i serca truchlały.

TĘDY! – ZAWOŁAŁ PROWADZĄCY JEŹDZIEC i wskazał na lewo. – *A preteiz*, w górę i za nim! – Spiął konia ostrogami i ruszył tak szybko, że obłok jego oddechu pozostał w powietrzu za nim. Tumany śniegu uniosły się spod kopyt pędzącego konia.

Wjechał na otwartą przestrzeń między dwoma opuszczonymi domostwami, a jego wierzchowiec brnął przez zaspy z taką łatwością, jakby to była mgła, a nie śnieg. Zza jednego z budynków wybiegła ciemna postać i zaczęła biec zygzakiem przez ośnieżoną równinę. Jeździec przeskoczył przez niskie, zasypane śniegiem ogrodzenie i pogalopował za uciekającym. Kopyta końskie zacierały mniejsze ślady uciekającej ofiary, ale teraz nie było już potrzeby tropienia: ślad kończył się w zasięgu wzroku. Spomiędzy domów wyjechało kilku innych jeźdźców, którzy rozjeżdżając się na kształt otwartego wachlarza, otoczyli ofiarę. Potem skierowali konie do środka i zaczęli zaciskać sieć, którą utworzyli: polowanie dobiegło końca. Jeden

z jeźdźców schylił się i szturchnął lancą bok ciężko dyszącego jeńca. Prowadzący zsiadł z konia i zbliżył się do ofiary.

– Niezła gonitwa – powiedział książę Fengbald uśmiechnięty. – Wspaniała zabawa.

Chłopiec spojrzał na niego przerażonym wzrokiem.

– Panie, czy mam go wykończyć? – spytał jeździec z lancą. Mocniej szturchnął chłopca.

Dzieciak zapiszczał i spróbował uchylić się przed ostrym grotem.

Fengbald zdjął rękawicę, po czym odwrócił się i rzucił nią w twarz jeźdźca. Metalowe ozdoby rękawicy zostawiły wyraźne zadrapania na policzku, z którego natychmiast popłynęła krew.

– Psie! – warknął Fengbald. – Czy ja jestem jakimś demonem? Każę cię za to wychłostać. – Jeździec wycofał się pokornie poza krąg. Fengbald rzucił mu gniewne spojrzenie. – Nie morduję niewinnych dzieci. – Przeniósł wzrok na przestraszonego chłopca. – To była tylko zabawa. Dzieci uwielbiają zabawy. Ten malec dobrze się spisał. – Książę podniósł rękawicę i włożył ją z powrotem na rękę, uśmiechając się. – Dzięki tobie, chłopcze, mieliśmy wesoły pościg. Jak masz na imię?

Chłopiec wyszczerzył zęby w grymasie niczym osaczony kot, lecz nie wydał żadnego dźwięku.

– Ach, trudno – powiedział Fengbald jakby zamyślony. – Jeśli nie chce rozmawiać, to nie. Zabierzcie go do pozostałych, jedna z kobiet da mu jeść. Mówią, że suka zawsze wykarmi obcego szczeniaka.

Jeden z uzbrojonych jeźdźców Fengbalda zsiadł z konia i chwyciwszy chłopca, posadził go na swym siodle.

– To chyba ostatni – powiedział Fengbald. – Koniec zabawy. Trochę wstyd, ale chyba lepsze to, niż pozwolić im uciec i zepsuć naszą

niespodziankę. – Uśmiechnął się szeroko, zadowolony z tego, co powiedział. – Wracamy. Muszę napić się gorącego wina. Jest zimno.

Wsiadł na konia, zawrócił go i poprowadził pozostałych ku ośnieżonym ruinom Gadrinsett.

Czerwony namiot księcia Fengbalda stał na środku pokrytej śniegiem łąki i przypominał rubin rzucony do kałuży mleka. Srebrny sokół, emblemat rodu, rozpościerał szeroko skrzydła nad wejściem; wiejący w dolinie rzeki wiatr powodował, że ogromny ptak drżał, jakby pragnął wzbić się w powietrze. W odpowiedniej odległości dookoła rozstawiono namioty książęcej armii.

Fengbald siedział w swoim namiocie na stosie ozdobnie wyszywanych poduszek; ciemne, rozpuszczone włosy opadały mu na ramiona, a w dłoni trzymał kilkakrotnie już napełniany kielich, pełen mętnego wina. W czasie koronacji Eliasa Fengbald był szczupły i giętki jak chart. Teraz pan Falshire, Utanyeat i Westfold zaokrąglił się nieco w pasie i na twarzy. U jego stóp klęczała jasnowłosa kobieta, a z boku czekał blady i chudy paź, gotowy w każdej chwili spełnić życzenie swego pana.

Po drugiej stronie kosza z ogniem, który ogrzewał namiot, stał wysoki, skośnooki mężczyzna z długą brodą, odziany w skórzane i wełniane ubranie Thrithingów. Nieprzyzwyczajony do siadania na sposób mieszkańców miast, stał na szeroko rozstawionych nogach, ze skrzyżowanymi ramionami. Kiedy się poruszył, zagrzechotał naszyjnik wykonany z kości palców.

– Co jeszcze trzeba wiedzieć? – dopytywał się. – Po co tyle mówić?

Fengbald wpatrywał się w niego, wolno mrugając. Wino zamroczyło go już nieco i pewnie dlatego nie był teraz tak wojowniczy.

– Muszę cię lubić, Lezhdrako – odezwał się wreszcie. – Inaczej dawno już znudziłyby mi się twoje pytania.

Najemny wódz spojrzał na księcia obojętnie.

– Wiemy, gdzie oni są. O co jeszcze pytać?

Fengbald wypił łyk wina i otarłszy usta rękawem jedwabnej koszuli, dał znak paziowi.

– Jeszcze, Isaaku. – Ponownie odwrócił się do Lezhdraki. – Stary Guthwulf nauczył mnie czegoś, choć mu się nie powiodło. Otrzymałem klucze do ogromnego królestwa. Trzymam je w dłoni i nie zamierzam ich stracić, działając zbyt szybko.

– Klucze do królestwa? – powtórzył szyderczo Thrithing. – Co to za bzdury mieszkańców kamiennych domów?

Fengbald wydawał się zadowolony z faktu, że najemnik go nie rozumie.

– Ciekawe, w jaki sposób twoi ludzie mieliby zapędzić mnie i innych mieszkańców kamiennych domów do morza, o czym to ciągle mamroczesz? Nie jesteście dość przebiegli, Lezhdrako, ani trochę. Lepiej idź i przyprowadź starca. Lubisz nocne powietrze, prawda? Przecież wy śpicie, jecie, załatwiacie się i baraszkujecie pod gołym niebem! – Książę zachichotał.

Namiestnik Króla odwrócił się do pazia, który napełniał właśnie jego puchar, i dlatego nie dostrzegł złowieszczego wzroku wychodzącego Thrithinga. W namiocie zapadła cisza; słychać było tylko łopotanie ścian namiotu.

– A zatem, moja droga – przemówił Fengbald, trącając nogą pantofel milczącej kobiety. – Jak się czujesz, wiedząc, że należysz do mężczyzny, który pewnego dnia będzie panem całej ziemi? – Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, trącił ją mocniej. – Mów, kobieto.

Podniosła wolno głowę. Jej ładna twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu, jakby zgasła w niej ostatnia iskra życia.

– Dobrze, mój panie – powiedziała wreszcie niewyraźnie w języku Westerling z wyraźnym hernystirskim akcentem. Po chwili jej głowa znowu opadła na pierś, a włosy zasłoniły twarz.

Książę rozejrzał się zniecierpliwiony.

– A ty, Isaaku? Co ty myślisz?

– Bardzo dobrze, panie – odparł szybko paź. – Jeśli twierdzisz, że tak ma być, to znaczy, że tak będzie.

Fengbald uśmiechnął się.

– A jakżeby inaczej? Czy mogłoby mi się nie powieść? – Zamilkł na chwilę i utkwił badawcze spojrzenie w paziu, po czym wzruszył ramionami. Istniały gorsze rzeczy od strachu. – Tylko głupiec – ciągnął, szybko zapalając się do tematu – tylko głupiec mógłby nie zauważyć, że Król Elias umiera. – Machnął ręką energicznie, rozlewając trochę wina. – Nieważne, czy trawi go jakaś choroba, czy może Pryrates zatruwa go powoli. Czerwony duchowny jest idiotą, skoro myśli, że może panować nad całym królestwem. Jest najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Osten Ard. Nie, po śmierci Eliasa tylko ktoś ze szlachetnego rodu będzie mógł objąć władzę. Czy istnieje ktoś taki? Guthwulf oślepł i uciekł. – Roześmiał się krótko. – Może Benigaris z Nabbanu? On nie potrafi nawet pokierować własną matką. Skali, Rimmersman, nie jest bardziej cywilizowany ani szlachetniej urodzony niż to zwierzę, Lezhdraka. Tak więc, kiedy zabiję Eliasa, jeśli jeszcze będzie żył, i stłumię tę marną rebelię, kto pozostanie, by objąć rządy? – Podniecony własnymi słowami, jednym haustem wypił resztę wina. – Kto jeszcze pozostał? Kto mógłby stawić mi czoło? Królewska córka, ta płocha flądra? – Zamilkł i znowu utkwił wzrok w paziu, tak że ten opuścił głowę. – Nie, chociaż może gdyby Miriamele przyszła błagać mnie na kolanach, uczyniłbym ją królową, ale miałbym na nią oko. Oczywiście musiałbym ją ukarać za to, że mnie odtrąciła. –

Uśmiechnął się głupawo i położył dłoń na bladym karku klęczącej przed nim kobiety. – Ale nie bój się, mała Feurgho, nie zostawię cię dla niej. Ciebie też zatrzymam. – Zacisnął mocniej dłoń, wyczuwając opór dziewczyny, kiedy spróbowała się cofnąć.

Zasłona wejścia wybrzuszyła się, a potem została wepchnięta do wewnątrz. Wszedł Lezhdraka; włosy i brodę miał przyprószone śniegiem. Trzymał za ramię starca. Łysa głowa mężczyzny była czerwona od zbyt długiego przebywania na słońcu, a jego siwa broda pożółkła od soku korzenia cytryla. Lezhdraka brutalnie pchnął starca do przodu. Więzień zrobił kilka chwiejnych kroków i opadł sztywno na kolana u stóp Fengbalda, nie podnosząc wzroku. Starzec miał na sobie cienką koszulę, rozpiętą na posiniaczonej szyi. Fengbald chrząknął, kiedy nerwowy paź ponownie napełnił jego kielich.

– Twoja twarz jest mi znajoma. Czy ja cię już widziałem? – Starzec zaprzeczył. – W takim razie możesz podnieść głowę. Twierdzisz, że jesteś burmistrzem Gadrinsett?

Starzec przytaknął.

– Jestem – jęknął.

– Byłeś. Co nie znaczy, że sprawowanie takiego urzędu w takiej dziurze było wielkim zaszczytem. Powiedz mi, co wiesz o Josui.

– Nie... nie rozumiem.

Fengbald pochylił się i pchnął starca. Burmistrz przewrócił się na bok; wydawało się, że nie ma sił, by ponownie klęknąć.

– Nie udawaj durnia, staruchu. Co słyszałeś?

Wciąż leżący na boku burmistrz zakaszlał.

– Nic, czego byś już nie wiedział, książę – odparł drżącym głosem. – Z doliny w górze rzeki Stefflod, o której źle mówią, przybyli jeźdźcy. Mówili, że Josua Bezręki umknął swemu bratu i że z grupą wojowników

oraz czarowników wypędził demony z zaczarowanej góry w samym środku doliny i na niej ustanowił swoją twierdzę. Powiedzieli też, że wszyscy, którzy się do niego przyłączą, otrzymają pożywienie, miejsce do życia, a także będą bezpieczni przed bandytami i... – jego głos załamał się – ...przed żołnierzami Wielkiego Króla.

– A ty pewnie żałujesz, że nie posłuchałeś tych zdradzieckich pogłosek, co? – spytał Fengbald. – Wydaje ci się, że książę Josua może uratować cię przed zemstą Króla?

– Ale, panie, my nie zrobiliśmy nic złego! – zajęczał starzec. – Nic złego!

Fengbald spojrzał na niego z wyrachowanym chłodem.

– Daliście schronienie zdrajcom, gdyż zdrajcą jest każdy, kto przyłącza się do Josui. A teraz powiedz mi, ilu ludzi jest z nim na tej czarodziejskiej górze.

Burmistrz potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie wiem, panie. Od nas odeszło do nich kilkuset ludzi, a kiedy przybyli pierwsi jeźdźcy, mówili, że jest już ich około setki.

– Razem z kobietami i dziećmi?

– Tak, panie.

Fengbald strzelił palcami.

– Isaaku, znajdź strażnika i każ mu przyjść do mnie.

– Tak, panie. – Młodzieniec wyszedł pośpiesznie, szczęśliwy, że choć na parę chwil może uwolnić się od swego pana.

– Jeszcze kilka pytań. – Książę rozparł się wygodnie na poduszkach. – Dlaczego uwierzyliście, że to jest Josua? Dlaczego mieliby opuszczać bezpieczne miejsce i jechać do tak podłej i niebezpiecznej dziury?

Starzec wzruszył bezradnie ramionami.

– Jedna z kobiet, które tu mieszkały, twierdziła, że spotkała wcześniej Josuę, że sama posłała go na tę górę. Straszna plotkara, ale wszyscy ją znali. Przysięgała, że karmiła go przy swoim ognisku i rozpoznała w nim księcia. Wielu jej uwierzyło. Inni poszli, ponieważ... ponieważ słyszeli, że nadjeżdżasz, książę Fengbaldzie. Przed wami uciekali ludzie z Erkynlandu, Thrithingowie z Zachodu... – Skulił się, jakby oczekiwał uderzenia. – Wybacz, panie. – Po jego pomarszczonym policzku spłynęła łza.

Zasłona wejścia poruszyła się. Wszedł Isaak, paź, a za nim żołnierz gwardii erkynlandzkiej w hełmie.

– Wzywałeś mnie, panie? – zapytał żołnierz.

– Tak. – Fengbald wskazał w kierunku starca. – Zabierz go z powrotem do zagrody. Nie pieść się z nim, ale go nie zrań. Jeszcze będę chciał z nim rozmawiać. – Książę odwrócił się. – Lezhdrako, mamy do pomówienia. – Gwardzista podciągnął burmistrza w górę, tak że ten stanął. Fengbald patrzył pogardliwie.

– Burmistrz, rzeczywiście! – prychnął. – Wieśniaku, nie ma w tobie ani kropli szlacheckiej krwi.

Kaprawe oczy starca otworzyły się szeroko i mężczyzna wbił wzrok w Fengbalda. Przez moment wydawało się, że zrobi coś szalonego, lecz pokręcił tylko głową jak ktoś, kto budzi się ze snu.

– Mój brat był szlachcicem – powiedział ochrypłym głosem i łzy popłynęły mu po twarzy.

Żołnierz chwycił go za łokieć i wyprowadził z namiotu.

Lezhdraka rzucił księciu zuchwałe spojrzenie.

„Nie zrań go? Ty chyba byłeś bardziej okrutny” – pomyślał.

Na twarzy Fengbalda pojawił się pijacki uśmiech.

– Ja powiedziałem: „Nie pieść się z nim, ale go nie zrań”. Nie chcę, żeby pozostali wiedzieli, iż będzie puszczał farbę za każdym razem, kiedy

go o to poproszę. On może mi się przydać jako szpieg wśród jeńców albo wśród ludzi Josui. Ci zdrajcy przyjmują każdego, komu uda się umknąć przed moim gniewem, czy nie tak?

Thrithing zmrużył oczy.

– Czy uważasz, że moi jeźdźcy i twoi uzbrojeni mieszkańcy miast nie potrafią zniszczyć wrogów twojego Króla?

Fengbald pokiwał ostrzegawczo palcem.

– Nigdy nie odrzucaj broni. Nie wiadomo, kiedy może ci się przydać. To jeszcze jedna lekcja, jakiej udzielił mi ten ślepy głupiec, Guthwulf. – Roześmiał się i pomachał kielichem. Paź natychmiast podszedł do dzbana z winem.

Na zewnątrz panowała ciemność. Namiot księcia jarzył się niczym żar przysypany do połowy popiołem.

„SZCZUR – POMYŚLAŁA RACHEL z goryczą. – Jestem jak szczur w dziurze”.

Zajrzała do ciemnej kuchni, powstrzymując kolejne przekleństwo. Dobrze, że Judith dawno już opuściła Hayholt. Gdyby ta wielka jak galeon przełożona kuchni zobaczyła, w jakim stanie znajduje się jej ukochane królestwo, pewnie padłaby trupem na miejscu. Sama Rachel, Smok, czuła, jak świerzbią ją spracowane dłonie, by zabrać się do sprzątania i naprawiania szkód, lecz z drugiej strony byłaby w stanie zadusić tymi samymi rękoma tych, którzy pozwolili, by zamek tak podupadł.

Kuchnia Hayholt przypominała teraz norę dzikich psów. Drzwi do spiżarni leżały wyrwane z zawiasów, a po całej podłodze walały się resztki żywności z rozprutych worków. Jej gniew wzbudzało zarówno jawne marnotrawstwo, jak i panujący dookoła nieład. Na podłodze pełno było mąki, wgniecionej między kuchenne płyty albo porozdeptywanej ciężkimi buciorami. Ogromne piece pokrywała gruba warstwa brudu, a szufle do

pieczenia sczerniały od niewłaściwego używania. Patrząc na całe to zniszczenie ze swej kryjówki za zasłoną, Rachel poczuła płynące po twarzy łzy.

„Bóg powinien porazić tych, którzy to uczynili. Co za niegodziwość bez żadnej przyczyny – to dzieło szatana”.

Kuchnia jednak pomimo dokonanego w niej zniszczenia była jednym z miejsc najmniej dotkniętych złem, jakie rozpanoszyło się w Hayholt. Za każdym razem, kiedy Rachel opuszczała swoją kryjówkę, widziała rzeczy, które coraz bardziej ją przygnębiały. W większości komnat nie rozpalano ognia, a w korytarzach panował tak przejmujący chłód, że wydawało się, iż wypełnia je mroźna mgła. Cienie stawały się coraz dłuższe, jakby nad zamkiem zapadał jakiś dziwny mrok: ogrody i dziedzińce Hayholt pozostawały w cieniu nawet za dnia, kiedy słońce przebijało się przez chmury. Lecz najgorsze były noce. Dlatego gdy tylko zachodziło słońce, Rachel znajdowała sobie jakąś kryjówkę w opuszczonych częściach zamku i nie ruszała się z niej aż do rana. Już te nieziemskie odgłosy, jakie rozbrzmiewały w ciemności, wystarczyły, by zmusić ją do nakrycia głowy szalem, a do tego jeszcze z nastaniem nocy pojawiały się jakieś niematerialne postacie, przemykające na krawędzi jej pola widzenia. Gdy zaś dzwony wybijały północ, w zamku pojawiały się ubrane na czarno demony.

Najwyraźniej w Hayholt miały miejsce straszliwe czary. Cała starożytna budowla wydawała się tchnąć tajemniczym życiem, jakiego dotąd nie dało się zauważyć, pomimo jej chwalebnej historii. Rachel wyczuwała tajemniczą obecność, która przenikała kamień zamku, cierpliwą i czujną jak skradający się zwierz. Nie, zniszczona kuchnia w najmniejszym stopniu uosabiała zło sprowadzone przez Eliasa do jej ukochanego domu.

Czekała, nasłuchując, dopóki nie nabrała pewności, że nikogo nie ma w pobliżu, i dopiero wtedy wyszła zza zasłony. W pomieszczeniu za nią znajdowały się drzwi w ścianie obwieszonej półkami pełnymi słojów z octem i musztardą. Przejście to dochodziło do labiryntu korytarzy, które rozchodziły się po całym zamku. Od wielu już tygodni te nory pomiędzy ścianami budowli stały się domem Rachel, a ona wciąż zdumiewała się, jak gęsta jest pajęczyna tajemnych przejść, które otaczały ją przez całe życie, pozostając ukryte niczym korytarze kreta pod ogrodem.

„Teraz wiem, gdzie znikał ten nicpoń, Simon. Na Błogosławioną Matkę, nic dziwnego, że czasem wydawało mi się, iż pochłonęła go ziemia, gdy tymczasem tyle było do zrobienia”.

Wyszła na środek kuchni, starając się poruszać na tyle cicho, na ile pozwalały jej stare, sztywne kości – nie chciała zagłuszyć odgłosów kogoś nadchodzącego. W całym zamku niewielu pozostało już ludzi – Rachel nie traktowała demonów Króla o białych twarzach jako ludzi – lecz część pustych pokoi zamieszkiwali najemni Thrithingowie i inni wykorzystywani do pracy. Była pewna, że to właśnie ci barbarzyńcy i im podobni przyczynili się do zniszczenia kuchni Judith. Przecież takie paskudztwo jak diabelscy Nornowie nie żywiło się ziemskim pokarmem. Prawdopodobnie pili krew, jeśli wierzyć *Księdze Aedona*, a Rachel kierowała się nią w życiu od chwili, gdy tylko dorosła na tyle, by zrozumieć kazania duchownych.

Nie było szans na znalezienie w kuchni czegoś w miarę świeżego. Kiedy Rachel otwierała kolejne słoje, ich zawartość okazywała się zepsuta, pokryta biało-niebieską pleśnią. Szukała jednak cierpliwie i wreszcie znalazła dwa małe pojemniki z soloną wołowiną i słój marynowanych warzyw, które uchowały się pewnie dlatego, że potoczyły się pod stół. W jednej ze spiżarni odkryła także zawinięte w serwetę trzy bochenki czerstwego chleba. Chleb nadawał się do jedzenia, choć pierwszy kawałek

okazał się bardzo trudny do przełknięcia – Rachel pozostało już tylko kilka zębów, a czuła, że każdy następny kęs pozbawi ją i tych ostatnich – lecz umoczony w roztworze z wołowiny stanowił przyjemną odmianę. Ta wyprawa przyniosła jednak mierne rezultaty. Jak długo jeszcze będzie w stanie utrzymać się przy życiu, jedząc resztki ukradzione z opuszczonych spiżarni? Zadrżała na myśl o tym, co ją czeka. Nawet w tajemniczych przejściach zamku panował straszliwy chłód. Jak długo to jeszcze potrwa?

Zawinęła w szal owoce swych poszukiwań i pociągnęła ciężki tłumok po podłodze w stronę pomieszczenia z tajnymi drzwiami, pilnując, by zatrzeć ślady na pokrytej mąką podłodze. Znalazłszy się już w jego wnętrzu, gdzie podłogi nie pokrywała warstwa mąki, rozwinęła ponownie szal i wysypując jego zawartość, użyła go do zatarcia najbliższych śladów, by nikt nie zaczął się zastanawiać nad tropem, który wchodził do pomieszczenia, a nie wychodził z niego.

Kiedy zawiązywała swój szal, usłyszała głosy w korytarzu. W następnej chwili ogromne drzwi kuchni zaczęły się otwierać. Z bijącym sercem Rachel pochyliła się i chwyciwszy za zasłonę, zasunęła nią wejście do pomieszczenia w momencie, gdy drzwi uderzyły o ścianę i w kuchni rozległy się kroki.

– Do diabła z nim i jego śmiejącą się gębą, gdzie on się podziewa?

Rachel otworzyła szeroko oczy, rozpoznając głos Króla.

– Słyszałem tutaj kogoś! – krzyczał Elias. Rozległ się huk czegoś zrzuconego ze zniszczonego nożem stołu, a potem rytmiczny stukot obcasów kogoś, kto przemierzał kuchnię tam i z powrotem. – Słyszę w tym zamku każdy odgłos, każdy szept, aż mi głowa pęka! On musiał być tutaj! Jeśli nie on, to kto?

– Mówiłem ci, Wasza Wysokość, nie wiem.

Rachel wydało się, że jej serce przestało bić, gdyż był to głos Pryratesa. Nogi ugięły się pod nią; wciąż widziała go stojącego przed nią z nożem w plecach. Wyciągnęła ramię, by się podeprzeć, i trąciła dłonią zawieszony na ścianie metalowy trójnóg, który zakołysał się niebezpiecznie. Chwyciła go natychmiast, odsuwając od ściany, by nie zadźwięczał.

„Jak szczur! – Jej myśli były chaotyczną plątaniną. – Jak szczur. Zapędzona do dziury, a na zewnątrz grasują koty”.

– Niech Aedon go ukatrupi, on ma zawsze być przy mnie! – zawołał Elias ochrypłym głosem, w którym zabrzmiała nuta dziwnej rozpaczy, jakby chciał wyrazić także strach Rachel. – Hengfisku! – wrzasnął. – Niech będzie przeklęta twoja dusza, gdzie jesteś? – Znowu rozległy się kroki wściekającego się Króla. – Poderżnę mu gardło, kiedy go znajdę.

– Wasza Wysokość, ja przygotuję ci napój. Teraz ja będę się tym zajmował. Chodźmy.

– Ale nie tylko w tym rzecz. Co on robi? Gdzie się podziewa? On nie ma prawa się oddalać!

– Z pewnością znajdzie się niebawem – powiedział duchowny. W głosie Pryratesa wyczuwało się zniecierpliwienie. – Jego potrzeby są skromne i łatwo je zaspokoić. Chodź, Eliasie, wracajmy do twojej komnaty.

– On się ukrywa! – Kroki Króla nagle stały się głośniejsze. Zatrzymał się i Rachel usłyszała skrzypienie zawiasów, kiedy pociągnął za jedne ze zniszczonych drzwi. – Chowa się gdzieś w dziurze!

Kroki przybliżyły się. Rachel wstrzymała oddech i znieruchomiała. Słyszała, jak Król zbliża się, mrucząc pod nosem i odtrącając nogą rzucone na podłogę zasłony. W głowie jej wirowało. Miała wrażenie, że zapada się w ciemność, ciemność upstrzoną iskrami światła.

– Wasza Wysokość! – Tym razem głos Pryratesa zabrzmiał energiczniej. – To nie ma sensu. Chodźmy. Przygotuję napój. Jesteś zmęczony.

Elias jęknął cicho; był to jakby jęk agonii zwierzęcia. Po chwili zapytał:

– Pryratesie, kiedy to wszystko się skończy?

– Wkrótce, Wasza Wysokość. – Duchowny znowu przybrał łagodny ton. – W Wigilię Orki odbędą się pewne rytuały. Potem, kiedy nastanie nowy rok, gwiazda powróci i będzie to znakiem, że zbliża się kres. Wtedy skończy się twoje oczekiwanie.

– Ach, Pryratesie, czasem nie mogę już znieść bólu. Zastanawiam się, czy cokolwiek jest warte takiego cierpienia.

– Eliasie, bądź pewny, że ten największy dar wart jest każdej ceny. – Kroki Pryratesa rozległy się bliżej. – Znosisz ból, którego inni znieść by nie potrafili, ale i twoja odwaga nie ma sobie równej. Będzie ci to odpowiednio wynagrodzone.

Obaj mężczyźni oddalili się od kryjówki. Rachel wypuściła wreszcie powietrze z ulgą.

– Rozsadza mnie ogień.

– Wiem, Królu. – Drzwi zamknęły się z hukiem.

Rachel, Smok, osunęła się na kolana. Drżącą dłonią zrobiła znak Drzewa.

GUTHWULF WYCZUWAŁ SKAŁĘ ZA PLECAMI i skałę pod nogami, lecz jednocześnie miał świadomość, że stoi nad ogromną przepaścią. Schylił się i zaczął macać ostrożnie kamień, przekonany, że w każdej chwili jego dłoń zawiśnie w powietrzu. Jednak przed nim ciągnęła się niekończąca się kamienna podłoga korytarza.

– Boże, pomóż mi, jestem przeklęty! – zawołał. Jego głos odbił się echem od wysokiego sufitu, zagłuszając szepty, które otaczały go nie

wiedzieć od jak dawna. – Przeklęty! – Padł na kolana i wtulił mokrą od łez twarz między ramiona, nieświadomie przyjmując pozycję modlitewną.

Wiedział tylko, że znajduje się gdzieś pod zamkiem. Od chwili, gdy przekroczył próg niewidzialnych drzwi, uciekając przed ogniem, który – był przekonany – strawiłby go na popiół, czuł się równie zagubiony jak przeklęta dusza. Tak długo wędrował już w labiryncie podziemnych korytarzy, że zapomniał, co to jest dotyk wiatru czy słońca, nie wiedział, jak smakuje pożywienie inne niż ziemne robaki i chrząszcze. Do tego wciąż jeszcze ci... ci inni, którzy go nie odstępowali, ciche szepty, prawie niesłyszalne, upiorne istoty, które wydawały się wędrować u jego boku, lecz kpiąc sobie z jego ślepoty, uskakiwały, zanim ich dotknął. I tak błądził bez końca, potykając się w ciemności swej ślepoty, w piekle rozbrzmiewającym żałosnymi szeptami i pełnym przemykających postaci, aż jego życie stało się nieustannym cierpieniem. On sam był jak napięta lina rozciągnięta między strachem i głodem. Był przeklęty. Tylko takie potrafił znaleźć wyjaśnienie.

Guthwulf przewrócił się na bok i usiadł powoli. Jeśli była to kara Niebios za niegodziwości jego życia, to jak długo miał jeszcze cierpieć? Zawsze miał za nic gadanie duchownych o wieczności, lecz teraz przekonał się, że nawet godzina może ciągnąć się w nieskończoność. Jak mógł skrócić ten okropny wyrok?

– Zgrzeszyłem! – Jego krzyk okazał się tylko ochrypłym jękiem. – Kłamałem i zabijałem, choć wiedziałem, że postępuję źle! Zgrzeszyłem! – Echo odbiło się od ścian i umilkło pod sufitem. – Zgrzeszyłem – szepnął.

Guthwulf zaczął pełznąć do przodu, modląc się, by otchłań, którą wyczuwał, znalazła się rzeczywiście przed nim, by mógł stoczyć się do niej i znaleźć ulgę w śmierci – jeśli żył jeszcze. Wszystko było lepsze od niekończącej się pustki. Dawno już roztrzaskałby sobie głowę o kamień,

gdyby nie był to grzech równie ciężki jak zabójstwo kogoś innego. Bał się, że popełniwszy go, obudzi się do jeszcze większego cierpienia niż to, jakiego teraz doświadczał. Macał przed sobą zrozpaczony, lecz pełzające palce wyczuwały tylko niekończącą się skałę podłogi.

Złudna rzeczywistość jego więzienia z pewnością stanowiła część kary. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że ma przed sobą ogromną przepaść, której istnieniu zadały kłam jego palce. Kiedy indziej napotykał ogromne, sięgające sufitu kolumny i wodził dłońmi po ich misternej rzeźbie w nadziei, że odczyta jakiś pomyślny znak, a już w następnej chwili stał w komnacie tak samo pozbawionej kolumn, jak i ludzkiej obecności.

„A co z innymi? – zaczął się nagle zastanawiać. – Co z Eliasem i z tym diabłem Pryratesem?” Jeśli Niebiosa wymierzały karę, to z pewnością i oni jej nie uniknęli; nie, przewinienia Guthwulfa nie mogły równać się zbrodniom i złu ciążącym na ich duszach. Co więc stało się z nimi i z pozostałymi niezliczonymi grzesznikami, którzy chodzili po ziemi i na niej umierali? Czy każdy z nich otrzymywał wyrok skazujący go na jego własne potępienie? Czy inni błąkali się po drugiej stronie murów, zastanawiając się, czy i oni są ostatnimi stworzeniami we wszechświecie?

Podniósł się z trudem i zbliżywszy się chwiejnie do ściany, zaczął bić w nią dłonią.

– Jestem tutaj! – zawołał. – Jestem! – Jego palce zsunęły się po chłodnym, nieco wilgotnym kamieniu, a on sam raz jeszcze osunął się na podłogę.

Przez wszystkie lata, kiedy jeszcze żył – teraz wierzył, że jego życie skończyło się, choć on przebywał jeszcze w ciele wrażliwym na ból i głód – Guthwulf nie doceniał daru towarzystwa innych ludzi. Owszem, chętnie doświadczał ich obecności – szorstkiego obycia mężczyzn czy dającej zaspokojenie uległości kobiet – lecz zawsze potrafił dawać sobie radę bez

nich. Jego przyjaciele umarli lub odeszli. Niektórych musiał odtrącić, kiedy mu się sprzeciwili, innych usunąć, nie bacząc na łączące ich więzy przyjaźni. W końcu nawet Król zwrócił się przeciwko niemu, ale Guthwulf był silny. Potrzeba była oznaką słabości. Słabość była zaprzeczeniem męskości. Guthwulf pomyślał o tym, co było dla niego najcenniejsze. Nie był to jego honor, gdyż wiedział, że stracił go w chwili, gdy nie zrobił niczego, by uchronić Eliasa przed ogarniającym go szaleństwem, ani jego duma, którą stracił razem ze wzrokiem, kiedy stał się bezradnym ślepcem, oczekującym służącego z nocnikiem. Nawet jego odwaga przestała być czymś, czym mógł dysponować, gdyż opuściła go w momencie, kiedy Elias zmusił go, by dotknął szarego miecza i poczuł jego zimną, straszliwą pieśń, która przeniknęła jego ciało niczym trucizna. Nie, to, co mu jeszcze zostało, było czymś najbardziej ulotnym – malutka iskierka, wciąż tląca się, choć przygniatał ją ciężar ogromnej rozpaczy. Może była to dusza, o której tyle gadali duchowni, a może nie – było mu już wszystko jedno. Ale miał pewność, że oddałby tę ostatnią, najcenniejszą iskrę za to, by znowu mógł być z kimś, żeby móc przerwać okrutną samotność.

Pusta ciemność nagle wypełniła się silnym wiatrem, wiatrem, który przenikał go, lecz nie poruszył ani włosa na jego głowie. Guthwulf jęknął słabo: znał już to uczucie. Otoczyła go pustka pełna głosów, które przemykając tuż obok, jęczały i wzdychały niezrozumiale, choć bez wątpienia wyrażały strach i zatratę. Wyciągnął ramię, chociaż wiedział, że niczego nie pochwyci... a jednak jego dłoń dotknęła czegoś.

Guthwulf krzyknął przerażony i natychmiast cofnął rękę. Chwilę później, gdy zawodzące cienie odeszły korytarzem, coś znowu go dotknęło, tym razem nogi. Zacisnął mocno powieki, jakby z obawy, że to coś może porazić nawet oczy ślepca. Znowu poczuł natarczywe pchnięcie w nogę. Powoli opuścił ramię i poczuł... sierść.

Kot. Tak to z pewnością był kot: poczuł pod dłonią wyprężony grzbiet, giętki ogon prześlizgujący się pod jego palcami. Zwierzę potarło małym, twardym łebkiem o jego kolano. Trzymał dłoń nieruchomo z obawy, by go nie wystraszyć. Wstrzymał oddech, spodziewając się, że jest to jeszcze jedna ulotna sztuczka piekła i że za chwilę wszystko zniknie. Lecz kot wydawał się zadowolony ze swej cielesności: oparł dwie łapy na chudej nodze Guthwulfa, wbijając w nią delikatnie pazury, kiedy poruszał się pod dotknięciem człowieka.

Położywszy dłoń na wyprężonym grzbiecie zadowolonego kota, pomyślał przez chwilę, że od dawna nie jadł niczego poza robakami. Palcami wyczuwał ciepłe ciało, stanowiące dla wygłodniałego człowieka mnóstwo mięsa i słonawej krwi oddzielonej od niego tylko cienką warstwą futra.

„Byłoby to takie łatwe – pomyślał, gładząc palcami szyję kota. – Tak łatwe. Łatwe”.

Kiedy zacisnął palce trochę mocniej, kot zamruczał. Drżenie popłynęło przez gardło zwierzęcia do palców Guthwulfa, który natychmiast rozpoznał ten dreszcz zadowolenia i ufności, równie wzruszająco piękny jak muzyka anielskich chórów. Po raz drugi w tej samej godzinie Guthwulf zapłakał.

KIEDY BYŁY HRABIA UTANYEAT OBUDZIŁ SIĘ, nie potrafił powiedzieć, jak długo spał, lecz po raz pierwszy od wielu dni poczuł, że naprawdę odpoczął. Uczucie spokoju natychmiast prysnęło, gdy tylko zdał sobie sprawę, że ciepłe ciało, które wcześniej tuliło się do niego, zniknęło. Znowu był sam.

I właśnie w chwili, gdy ponownie ogarniało go uczucie pustki, poczuł delikatne pchnięcie w nogę, a potem mały, zimny nos dotknął jego dłoni.

– Wróciłeś – szepnął. – Wróciłeś. – Sięgnął w dół, by pogładzić łeb kota, lecz poczuł, że zamiast niego dotyka czegoś mniejszego, ciepłego

i lepkiego. Kot zamruczał, kiedy Guthwulf dotknął tego, co on przycisnął do jego biodra: był to szczur, niedawno zabity szczur.

Guthwulf usiadł, odmawiając w myśli modlitwę dziękczynną, po czym drżącymi dłońmi rozdarł ofiarę na pół. Równą część oddał organizatorowi uczty.

GŁĘBOKO WE WNĘTRZU BURZOWEJ GÓRY oczy Utuk'ku Seyt-Hamakhi otworzyły się nagle. Leżała bez ruchu w onyksowej krypcie, która była jej łożem, i wpatrywała się w idealną czerń swojej kamiennej komnaty. Wędrowała daleko wzdłuż nici swej sieci, do miejsc w świecie snów, do których tylko najstarsi nieśmiertelnicy potrafili dotrzeć, i tam właśnie, w cieniu najodleglejszych nieprawdopodobieństw ujrzała coś, czego się nie spodziewała. Ostrze niepokoju przeszyło jej pradawne serce. Gdzieś na samej krawędzi jej sieci pękła nić. Nie wiedziała, co mogło to oznaczać, lecz zatliła się iskra niepewności, skaza w obrazie, który kreśliła tak długo i niezawodnie.

Królowa Nornów usiadła, sięgając dłonią o długich palcach po swoją srebrną maskę. Założyła ją na twarz, by jeszcze raz upodobnić się do obojętnego oblicza księżyca, i wysłała zimną, krótką myśl. W ciemności otworzyły się drzwi i weszły ciemne postacie, wnosząc odrobinę światła, gdyż i one nosiły na twarzach maski, lecz były to maski z jasnego, lekko świecącego kamienia. Pomogli swej pani wstać z grobowca i przynieśli królewskie szaty w barwach lodu i srebra, w które ubrali Królową z rytualną starannością, z jaką kapłani ubierają zmarłego. Skończywszy, natychmiast odeszli, pozostawiając Utuk'ku samą. Siedziała nieruchomo w swej pozbawionej światła komnacie; jeśli oddychała, to robiła to bezgłośnie. Ciszę zakłócało tylko ledwie słyszalne skrzypienie korzeni góry.

Po pewnym czasie Królowa Nornów wstała i wyszła, udając się krętymi korytarzami, które jej słudzy wyryli w sercu góry w zamierzchłej przeszłości. Wreszcie dotarła do Komnaty Oddychającej Harfy i zajęła miejsce na ogromnym tronie z czarnej skały. Harfa wisiała wśród oparów wydobywających się z wielkiej studni, migocąc i zmieniając swój kształt w świetle, które dochodziło z jej głębi. Gdzieś głęboko pod Burzową Górą nucili Czarni; ich dudniące głosy tropiły melodie pieśni zakazanych już w Utraconym Ogrodzie, Venyha Do'Sae. Utuk'ku siedziała wpatrzona w harfę, pozwalając, by jej umysł przylgnął do zmienności, aż opary z głębi studni, zmrożone lodowatym powietrzem komnaty, utworzyły szron na jej powiekach.

Nie było tam Inelukiego. Już wcześniej odszedł – jak to się czasem zdarzało – do miejsca, które było tam, gdzie tylko on mógł się udać; miejsce tak odległe od świata snów, jak sny są odległe od przebudzenia, tak dalekie od śmierci, jak śmierć daleka jest od życia. Tym razem Królowa Nornów sama musiała udzielić sobie rady.

Choć jej srebrzysta twarz pozostawała tak samo niewzruszona, jednak Utuk'ku czuła cień zniecierpliwienia, gdy wpatrywała się w pustą studnię. Czas uciekał. Całe życie śmiertelnika było zaledwie jedną porą roku dla najstarszych, dlatego krótki czas, jaki upłynął między chwilą obecną a godziną jej triumfu, mógł wydawać się zaledwie kilkoma chwilami. Ale ważny był każdy moment, gdyż przybliżał zwycięstwo, tyle tylko, że aby do niego doszło, nie można było popełnić żadnego błędu.

Królowa Nornów była zmartwiona.

8. Nocne ognie

SIMON CZUŁ, JAK SZYBKO PŁYNIE KREW w jego żyłach. Rozejrzał się dookoła, spoglądając na ośnieżone wzgórza, ciemne drzewa zginane wściekłym, mroźnym wiatrem, i zastanawiał się, dlaczego jest mu tak dobrze. Z pewnością było to podniecenie, lecz także dreszcz odpowiedzialności i... strachu. Simon czuł, że życie w nim kipi.

Pochylił się i przykładając policzek do karku Nadziei, poklepał ją po boku. Jej wilgotna od potu sierść parowała w chłodnym wietrze.

– Jest zmęczona – powiedział Hotvig, zaciskając popręg siodła na swoim wierzchowcu. – Nie powinna tak szybko biegać.

– Nic jej nie będzie – odparł Simon. – Jest silniejsza, niż ci się wydaje.

– Jeśli Thrithingowie znają się na czymś, to właśnie na koniach – rzucił Sludig przez ramię. Odwrócił się od pnia, kończąc zawiązywanie spodni. – Nie bądź tak dumny, Simonie.

Simon popatrzył przez chwilę na Rimmersmana, zanim odpowiedział.

– Nie jestem dumny. Powiedziałem tak dlatego, że jeżdżę na niej od dawna. I chcę ją zatrzymać.

Hotvig uniósł dłoń w pojednawczym geście.

– Nie chciałem cię rozzłościć. To dlatego, że masz takie poważanie u księcia Josui. Jesteś jego rycerzem. Gdybyś poprosił, mógłbyś otrzymać jednego z naszych klanowych rumaków.

Simon skierował wzrok na Thrithinga i spróbował się uśmiechnąć.

– Wiem, że nie miałeś nic złego na myśli; wasz koń byłby wspaniałym podarunkiem. Ale mnie chodzi o coś innego. Nazwałem mojego wierzchowca Nadzieją, gdyż wierzę, że zawiezie mnie do domu. Prawdziwego domu.

– A gdzie jest ten dom, młody panie? – spytał jeden z pozostałych Thrithingów.

– W Hayholt – odparł stanowczo Simon.

Hotvig roześmiał się.

– Tam, gdzie rządzi brat Josui? Ty i twój koń musicie być dobrymi podróżnymi, skoro wybieracie się tam w tak paskudną pogodę.

– Może tak jest. – Simon spojrzał na pozostałych, mrużąc oczy przed popołudniowym światłem, które sączyło się między drzewami. – Czas ruszać, jeśli jesteście już gotowi. Burza może się skończyć. Nocą będziemy jechali prawie przy całkowitej pełni. Wolałbym...

Sludig otworzył usta, by coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Thrithingowie przytaknęli Simonowi zgodnie i dosiedli raźno swych koni.

– Prowadź, tanie. – Hotvig roześmiał się krótko, lecz przyjaźnie. Mała grupa wyjechała z zagajnika na owianą mroźnym wiatrem równinę.

SIMON SKORZYSTAŁ Z OKAZJI, WDZIĘCZNY, że może coś *zrobić*, tak samo jak wdzięczny był Josui za okazane mu zaufanie. Od jakiegoś czasu stawał się coraz bardziej nerwowy i niespokojny, gdyż pogoda pogarszała się, a do tego większość spośród jego towarzyszy otrzymywała ważne zadania do wykonania. Binabik, Geloë i Strangyeard wciąż dyskutowali o mieczach i Królu Burz. Deornoth nadzorował uzbrojenie i przygotowanie armii składającej się z mieszkańców Nowego Gadrinsett. Nawet Sangfugol z wdzięcznością przyjął zadanie pilnowania Towsera. Zanim Josua wezwał go do swojego namiotu, Simon zaczynał się czuć jak w czasach, które –

miał nadzieję – już minęły, to znaczy, jak dobosz idący za żołnierzami władcy.

– Taki mały zwiad. – Nazwał to zadanie Josua, lecz dla Simona było to coś równie wspaniałego jak pasowanie go na rycerza. Miał wziąć kilku wojowników Hotviga i pojechać przyjrzeć się nadciągającemu wrogowi.

– Tylko niczego nie rób – zaznaczył książę. – Masz się tylko zorientować w sytuacji. Policz namioty i konie, jeśli je dojrzycie. Może też zdołasz rozpoznać herby. Starajcie się jednak, żeby was nie zauważyli, a jeśli już do tego dojdzie, uciekajcie, i to szybko.

Simon obiecał wypełnić dokładnie rozkazy. Rycerz, który prowadzi ludzi do walki – oto jego zadanie. Nie mogąc się doczekać, kiedy będzie mógł wyruszyć na zwycięską wyprawę, Simon wiercił się – dyskretnie, miał nadzieję – i czekał, aż Josua skończy przekazywać wszystkie instrukcje.

Ze zdziwieniem dowiedział się, że Sludig poprosił o pozwolenie na pojechanie z nimi. Rimmersman wciąż dąsał się trochę na Simona z powodu zaszczytów, jakich ten dostąpił, lecz młodzieniec podejrzewał, że Sludig także cierpiał na brak zajęć i wolał pewnie pozostać na jakiś czas podwładnym Simona, niż czekać bezczynnie na szczycie *Sesuad’ra*. Sludig był żołnierzem, a nie generałem: interesowała go tylko prawdziwa walka, bezpośredni kontakt z wrogiem.

Swoją pomoc zaoferował także Hotvig. Książę Josua bardzo go lubił i ufał mu, dlatego uznał, że może go poprosić o to, by ten pojechał z Simonem i miał oko na najmłodszego rycerza. Simon ze zdziwieniem stwierdził, że wcale go to nie zmartwiło. Powoli zaczynał rozumieć, na czym polega ciężar władzy, i wiedział, że Josua stara się wszystkich zadowolić. Tak więc Simon postanowił wykorzystać oko Hotviga: da mu okazję do wykazania się w roli zwiadowcy.

BURZA PRZYBIERAŁA NA SILE. Całą dolinę rzeki Stefflod pokrywał śnieg, a sama rzeka wyglądała jak ciemna strużka płynąca przez białe pole. Simon szczelniej otulił się płaszczem i owinął wokół twarzy wełnianą chustę.

Thrithingowie starali się zachować pewność siebie, żartując nieustannie, lecz w gruncie rzeczy byli przestraszeni, widząc zmiany, jakie zima przyniosła znanym im łąkom. Simon widział, jak rozglądali się szeroko otwartymi oczami, jak niezbyt zręcznie spinali konie, przejeżdżając przez głębsze zaspy, i jak ukradkiem krzyżowali palce, żeby odegnać zło. Tylko Sludig, urodzony na zimnej Północy, wydawał się nie zwracać uwagi na okrutną pogodę.

– Co za złowieszcza zima – powiedział Hotvig. – Gdybym już wcześniej nie uwierzył w słowa Josui, że złe moce działają teraz w świecie, to z pewnością zrobiłbym to teraz.

– Tak, ponura zima. Dopiero co skończyło się lato. – Sludig strzepnął śnieg z powiek. – Ziemie na północ od Frostmarch nie widziały wiosny od ponad roku. Przyszło nam zmagać się nie tylko z ludźmi.

Simon zmarszczył brwi. Nie wiedział, do jakiego stopnia przesądni są Thrithingowie, ale nie chciał wywoływać wśród nich obaw, które mogłyby przeszkodzić w wykonaniu zadania.

– Tę burzę rzeczywiście sprowadziły złe siły – powiedział na tyle głośno, by go usłyszano pomimo świszczącego wiatru. – Ale w gruncie rzeczy to tylko zima. Śnieg nic wam nie zrobi, może najwyżej odmrozić wam tyłki.

Jeden z Thrithingów odwrócił się do niego uśmiechnięty.

– Jeśli komuś ma zamarznąć tyłek, to tobie pierwszemu na tej chudej szkapie, młody tanie.

Inni zachichotali. Simon roześmiał się razem z nimi, zadowolony, że udało mu się zmienić temat rozmowy.

Minęło popołudnie, a oni wciąż jechali w ciszy zakłócanej tylko chrzęstem końskich kopyt i nieustającym wyciem wiatru. Słońce, i tak przez cały nieomal dzień zasłonięte chmurami, dało wreszcie za wygraną i skryło się za wzgórzami. Dolinę wypełniło teraz fioletowe, pozbawione cieni światło. Niebawem było już tak ciemno, że jeźdźcy nie widzieli, dokąd jadą. Księżyc uwiązł między chmurami, stając się prawie całkowicie niewidoczny. Nie było też ani śladu gwiazd.

– Może powinniśmy rozbić obóz?! – zawołał poprzez wiatr Hotvig.

Simon zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – odparł wreszcie. – Już niedaleko. Najwyżej godzina jazdy. Chyba zaryzykujemy zapalenie pochodni.

– A może zadmiemy też w trąby? – spytał głośno Sludig. – Albo wyślemy przodem heroldów, którzy głośno oznajmią, że zbliżamy się, by rozpoznać pozycje Fengbalda?

Simon nachmurzył się, lecz nie dał się sprowokować.

– Od obozu Fengbalda w Gadrinsett wciąż oddzielają nas wzgórza. Jeśli ludzie, którzy zbiegli z jego armii, się nie mylą, zdążymy zgasić pochodnie, zanim znajdziemy się w zasięgu wzroku przeciwnika – powiedział z naciskiem. – Czy myślisz, że lepiej byłoby zaczekać do rana, kiedy strażnicy Fengbalda wypoczną i o wiele łatwiej będzie im dostrzec nas w świetle dnia?

Sludig machnął ręką pojednawczo.

Hotvig wyjął pochodnię – grubą gałąź, owiniętą paskami materiału i nasączoną smołą. Zapalił ją od iskry ze swego krzesiwa. Osłonił płomień przed wiatrem, dopóki nie rozpalił się na dobre, potem uniósł gałąź i pojechał kilka kroków naprzód, wspinając się na zbocze brzegu rzeki, by schronić się choć trochę za wzniesieniem.

– Za mną! – zawołał.

Jeźdźcy ruszyli znowu, tyle tylko, że teraz nieco wolniej. Jechali przez niewielkie wzniesienia, zdając się na konie. Podskakująca, ognista kula pochodni Hotviga była jedynym punktem w całej dolinie, który przyciągał wzrok; Simon pomyślał nawet przez chwilę, że dojrzał błędny ognik. Świat zamienił się w długi, czarny tunel, niekończący się korytarz, który wijąc się, prowadzi do mrocznego serca ziemi.

– Czy ktoś zna jakąś piosenkę? – zapytał Simon. Na tle żałosnego wycia wiatru jego głos zabrzmiał słabo.

– Piosenkę? – Sludig uniósł brwi zdziwiony.

– Dlaczego nie? Jesteśmy jeszcze daleko. Jedziesz zaledwie kilka kroków ode mnie, a prawie cię nie słyszę. Dlaczego więc nie zaśpiewać piosenki?

Hotvig i jego ludzie nie kwapili się do śpiewania, ale nie mieli chyba nic przeciwko temu. Mina Sludiga mówiła wyraźnie, jak bardzo niedorzeczny wydaje mu się ten pomysł.

– A zatem zostałem ja? – Simon uśmiechnął się. – Szkoda, że nie ma z nami Shema, stajennego. Nikt nie zna tylu piosenek i opowieści co on. – Przez chwilę zastanawiał się, gdzie się podziewa Shem. Czy mieszka jeszcze szczęśliwie w wielkiej stajni Hayholt? – Zaśpiewam wam jeden z jego utworów. Piosenkę o Jacku Mundwode.

– O kim? – spytał jeden z Thrithingów.

– O Jacku Mundwode, znanym rozbójniku. Żył w lesie Aldheorte.

– Jeśli w ogóle żył – rzucił sarkastycznie Sludig.

– Tak, jeśli w ogóle żył – zgodził się Simon. – Tak więc zaśpiewam wam jedną z piosenek o Mundwode. – Owinął lejce wokół dłoni i odchyliwszy się do tyłu, usiłował przypomnieć sobie pierwszą zwrotkę.

Odważny Jack Mundwode

zaczął wreszcie, starając się śpiewać w rytm kroków Nadziei:

Rzekł tak: Do Erchesteru się udam,
Gdyż słuchy mnie doszły,
Że panna słodka tam mieszka.

Hruse ma na imię.
Panna o włosach złocistych i miękkich jak jedwab.
Ramiona jej białe jak śnieg zimowy.
Młoda i czysta Hruse.

Inni zbóje Jacka ostrzegali:
Nie dla ciebie miasto.
Za twą głowę nagrodę wyznaczyli.
Czekają tam na ciebie.

Lecz Jack roześmiał się tylko,
Gdyż Lord Konstabl dobrym był jego znajomym.
Nieraz przed nim uciekał,
O włos od śmierci umykał.

Jack pięknie się wystroił,
W jedwabne szaty i ozdobne spinki,
I tak rzekł do Osgala: Ty będziesz sługą,
Co go zwykle przy stole stawiają.

Ja będę Księciem Kwiatów,
– Rzecze Jack – zasobnym szlachcicem.
Mężem pełnym wdzięku i bogactw,

Którego na targu się spodziewają.

Simon śpiewał na tyle głośno, by wiatr nie zagłuszał jego słów. Była to długa piosenka, składająca się z wielu zwrotek.

Jechali za pochodnią Hotviga wśród wzgórz, gdy tymczasem Simon ciągnął swą opowieść o tym, jak to Jack Mundwode przybył w przebraniu do Erchesteru i oczarował ojca Hruse, a baron myślał, że nareszcie znalazł godnego męża dla swej córki. Choć Simon musiał przerywać czasem, żeby złapać oddech lub przypomnieć sobie słowa – Shem bardzo długo uczył go tej piosenki – jego głos nabierał siły, w miarę jak upływała podróż. Zaśpiewał o tym, jak to Jack-kawalarz zaczął zalecać się do pięknej Hruse – szczerze, gdyż zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia – i zasiadł przy stole barona obok nic nie podejrzewającego Lorda Konstabla. Przekonał nawet chciwego barona, aby przyjął w darze magiczny różany krzak, który rodził złote imperatory, i który – jak domniemany Książę Kwiatów zapewnił ojca Hruse i Konstabla – miał zakwitać monetami tak długo, jak długo jego korzenie pozostaną w ziemi.

Simon kończył już piosenkę, śpiewając o tym, jak pijacka uwaga rozbójnika Osgala wydała Jacka i doprowadziła do jego pojmania przez ludzi Konstabla, kiedy Hotvig ściągnął cugle swego konia i uniesioną dłonią nakazał milczenie.

– Jesteśmy już chyba bardzo blisko. – Thrithing wskazał przed siebie. Zbocze opadało łagodnie, a dalej ciągnęła się otwarta równina.

Sludig podjechał do Simona. Para oddechu Rimmersmana unosiła się w mroźnym powietrzu nad jego głową.

– To dobra opowieść, ale skończysz ją w drodze powrotnej.

Simon przytaknął.

Hotvig zeskoczył na ziemię i zgasił pochodnię w zaspie śniegu. Wytarłszy ją do sucha w koc, który miał pod siodłem, wsunął pochodnię za pas i spojrzał wyczekująco na Simona.

– Jedziemy – powiedział Simon. – Ale ostrożnie, gdyż nie mamy światła.

Ruszyli wolno. Dojeżdżali do połowy zbocza, kiedy Simon ujrzał w oddali rozrzucone światła.

– Tam! – Wskazał i zaraz się przestraszył, że mówi za głośno. Serce zabiło mu mocniej. – Czy to jest obóz Fengbalda?

– To jest to, co pozostało z Gadrinsett – powiedział Sludig. – Obóz Fengbalda musi być niedaleko.

W rozciągającej się przed nimi części doliny, gdzie spotykały się niewidoczne teraz rzeki Stefflod i Ymstrecca, płonęło tylko kilka ognisk. Lecz w jej przeciwległym końcu, który zdaniem Simona stanowił północny brzeg rzeki Ymstrecca, na ginących w ciemności łąkach płonęło więcej ogni, migocące punkciki układały się w liczne kręgi.

– Masz rację. – Simon wpatrywał się w światła. – To musi być Gwardia Królewska. Kręgi namiotów otaczają pewnie siedzibę Fengbalda. Miło byłoby posłać strzałę przez płótno.

Hotvig podjechał do Simona.

– Tak, jest tam. Chętnie zabiłbym go własnymi rękami za to, co powiedział o Klanie Ogiera podczas naszego ostatniego spotkania. Ale dzisiaj mamy inne zadanie.

Simon odetchnął głęboko, czując podniecenie.

– Oczywiście – powiedział. – Josua chce poznać siłę wroga. – Zamyślił się na chwilę. – Może dobrze byłoby policzyć ogniska. Wtedy wiedzielibyśmy, ile mają wojska.

Sludig zmarszczył brwi.

– Nic nam to nie da, jeśli się nie dowiemy, ilu żołnierzy obozuje przy jednym ognisku.

Simon przytaknął.

– Zgadza się. W takim razie policzmy teraz ogniska, a potem podjedziemy bliżej i zorientujemy się, ilu ludzi mieszka w jednym namiocie.

– Tylko nie za blisko – ostrzegł Sludig. – Nie mam nic przeciwko walce, ale przy w miarę równych siłach.

– Jesteś bardzo mądry. – Simon uśmiechnął się. – Powinieneś wyznaczyć Binabika na swojego ucznia.

Sludig prychnął tylko.

Kiedy policzyli ogniste punkty, zjechali w dół zbocza.

– Chyba mamy szczęście – rzucił cicho Hotvig. – Myślę, że strażnicy mieszkańców kamiennych domów będą siedzieć blisko ognia, żeby osłonić się przed wiatrem.

Simon zadrżał, przytulając się do karku Nadziei.

– Nie wszyscy mieszkańcy kamiennych domów są na tyle mądrzy.

Serce Simona zabiło mocniej, gdy zjechali na pokryte śniegiem łąki.

Choć bał się, to jednak bardziej podniecała go bliskość wroga – jechali w ciszy wśród nocy, zaledwie na odległość strzału z łuku od uzbrojonych żołnierzy. Czuł, jak krew pulsuje mu w żyłach; wiatr przenikał jego grube ubranie, wywołując dreszcze. Z drugiej strony był prawie pewny, że strażnicy Fengbalda dostrzegli już ich grupę, że obserwowali ich zza namiotów i błyskając oczyma w ciemności, napinali łuki, czekając w pogotowiu.

Zatoczyli łuk, objeżdżając obóz Fengbalda. Starali się, by osłaniały ich kępy drzew; tutaj, na granicy łąk, było ich niewiele. Poczuli się bezpiecznie

dopiero wtedy, gdy dotarli nad brzeg rzeki, a jednocześnie na zachodni kraniec obozu.

– Jeśli jest tu mniej niż setka uzbrojonych ludzi, to niech będę Hyrką – oznajmił Sludig.

– W obozie są też Thrithingowie – powiedział Hotvig. – Ci, którzy mieszkają nad Jeziorem Thrithingów i nie należą do żadnego klanu.

– Skąd wiesz? – spytał Simon.

Z tej odległości namioty niczym się od siebie nie różniły; wiele z nich powstało z płachty narzuconej na szkielet z żerdzi i przywiązanej do krzaka lub wystającego kamienia, a nikt spośród mieszkańców obozu nie wychodził poza jego granice.

– Posłuchaj. – Hotvig przyłożył dłoń do ucha. Jego pokryta bliznami twarz była napięta.

Simon wstrzymał oddech i nadstawił uszu. Wiatr zagłuszał wszelkie odgłosy, nawet ludzi jadących przed nimi.

– Czego mam słuchać?

– Posłuchaj uważniej – powiedział Hotvig. – Uprząż.

Jadący obok niego Thrithing przytaknął w milczeniu.

Simon wytężył słuch, by usłyszeć to, o czym mówił Hotvig. Wydało mu się, że dobiega go delikatne dzwonienie.

– O to ci chodzi? – spytał.

Hotvig uśmiechnął się, ukazując dziurę po brakujących zębach. Wiedział, że ma się czym pochwalić.

– Tamte konie mają na sobie uprząż Thrithingów znad Jeziora, jestem tego pewien.

– Potrafisz po dźwięku rozpoznać rodzaj uprzęży? – spytał zdumiony Simon.

Pomyślał, że Thrithingowie muszą mieć uszy jak króliki.

– Nasze uzdy są inne, tak jak ptaki mają różne pióra – odezwał się inny z Thrithingów. – Młody tanie, uprząż Wielkich Thrithingów, Thrithingów z Łąk i znad Jeziora różni się od siebie tak, jak twój głos różni się od głosu kogoś z Północy.

– Jak inaczej moglibyśmy rozróżnić nasze konie z odległości w nocy? – powiedział Hotvig. – Na Czworonogiego, jak więc mieszkańcy kamiennych domów mogą powstrzymać swoich sąsiadów przed kradzieżą?

Simon pokręcił głową.

– Teraz mamy pewność, jakich najemników ma Fengbald. Ale skąd wiecie, ilu wśród nich jest Thrithingów?

– Po ich namiotach. Myślę, że ponad połowa z nich to Thrithingowie nienależący do klanów – odparł Hotvig.

Simon spochmurniał.

– I pewnie dobrzy wojownicy.

Hotvig przytaknął. Patrzył dumnie przed siebie.

– Wszyscy mieszkańcy Łąk potrafią dobrze walczyć. Ale ci, którzy nie należą do klanów, są... najbardziej zaciekli.

– Gwardzistom Króla też niczego nie brakuje. – Głos Sludiga zabrzmiał ponuro, ale w jego oku zapaliła się iskra drapieżnika. – Kiedy zadźwięczy żelazo, będzie zacięta i krwawa walka.

– Czas wracać. – Simon spojrzał na ciemną wstęgę rzeki Ymstrecca. – Jak dotąd dopisuje nam szczęście.

Jeźdźcy znowu wyjechali na otwartą przestrzeń. Simon jeszcze raz poczuł się niepewnie w tak bliskiej obecności wroga i dziękował Niebiosom, że za sprawą burzy nie musieli zostawiać koni, aby podejść bliżej obozu przeciwnika. Ze zgrozą pomyślał o pieszej ucieczce przez śnieg przed strażnikami na koniach.

Dotarli do targanej wiatrem kępy bzów, rosnącej samotnie na zboczu najniżej leżącego wzniesienia. Spojrzawszy w tył na migocące światła, które wyznaczały granice uśpionego obozu Fengbalda, Simon poczuł wzbierający w nim gniew, który dotąd tłumiło podniecenie; poczuł zimną wściekłość na myśl o tamtych żołnierzach leżących bezpiecznie w swoich namiotach, niczym gąsienice, które najpierw obżarły się liśćmi z pięknego ogrodu, a teraz leżą bezpiecznie w kokonach. To ci zbóje przyszli, by aresztować Morgenesa, to oni próbowali zburzyć zamek Josui w Naglimundzie. Pod dowództwem Fengbalda zrównali z ziemią całe miasto Falshire z taką samą bezmyślnością, z jaką dziecko burzy jednym kopnięciem mrowisko. Przede wszystkim jednak wypędzili Simona z domu, a teraz chcieli go wypędzić także z *Sesuad'ra*.

– Który ma łuk? – spytał nagle.

Jeden z Thrithingów, zdumiony, podniósł wzrok.

– Ja mam.

– Daj mi go. Ze strzałą. – Simon wziął broń i zawiesił ją na łęku siodła, nie odrywając wzroku od namiotów. – Hotvigu, daj mi pochodnię.

Thrithing spojrzał na niego uważnie, lecz wysunął zza pasa pochodnię i wręczył ją Simonowi.

– Co chcesz zrobić? – spytał cicho. Wyraz jego twarzy ukazywał jedynie spokojną ciekawość.

Simon nic nie odpowiedział. Skupiony na rzeczach, które pozwoliły mu zapomnieć na chwilę o swej nieśmiałości, z zadziwiającą łatwością zeskoczył z konia. Zdjął umazany smołą gałgan z czubka pochodni i owinął go wokół grota strzały, zaciskając mocno kawałkiem rzemienia, którym przywiązywał do pasa pochwę noża Qanuców. Klękając tak, by koń osłaniał go przed wiatrem, wyjął krzesiwo i żelazną sztabkę.

– Jedźmy, Simonie. – W głosie Sludiga brzmiała jednocześnie i troska, i złość. – Wykonaliśmy nasze zadanie. Co ty chcesz zrobić?

Simon nie zwracał na niego uwagi i uderzał krzesiwem w żelazo, aż wreszcie iskra padła na kleistą szmatę owiniętą wokół grotu strzały. Rozdmuchał większy płomień, po czym schował krzesiwo oraz żelazo i wskoczył na konia.

– Zaczekajcie na mnie – powiedział i spiął Nadzieję ostrogami, a następnie ruszył w dół zbocza.

Sludig podążył za nim, lecz Hotvig chwycił uzdę wierzchowca Rimmersmana i powstrzymał go. Zaczęli kłócić się z ożywieniem, lecz cicho.

Simon, od czasu bitwy pod Haethstad, gdzie zginął Ethelbearn, nie miał wielu okazji do strzelania z łuku, a już na pewno nie z końskiego grzbietu. Teraz jednak nie miały znaczenia umiejętności, lecz chęć zrobienia *czegoś*; pragnął przesłać wiadomość Fengbaldowi i jego pewnym siebie żołnierzom. Nie wypuszczając cugli z rąk, założył strzałę. Przez cały czas przyciskał mocno kolana do siodła, gdyż Nadzieja podskakiwała, pokonując nierówne śnieżne zaspy. Płomień zbliżał się po drzewcu strzały, aż wreszcie Simon poczuł na palcach jego żar. Zatrzymał konia, kiedy znalazł się na równinie. Nogami kierował wierzchowcem tak, by ten zatoczył szeroki łuk, i wtedy przyciągnął cięciwę do ucha. Jego usta poruszały się, ale on sam nie wiedział, co mówi, wpatrzony w ognistą kulę na końcu drzewca. Wstrzymał oddech i wypuścił strzałę.

Wyleciała w górę. Jasna i szybka jak spadająca gwiazda, pędziła łukiem przez nocne niebo, podobna do umoczonego we krwi palca, który przesuwa się po czarnym suknie. Jego serce zabiło mocniej na widok lecącej strzały; patrzył, jak wiatr zmienia jej lot, nieomal ją gasząc, najpierw targa w jedną stronę, potem w drugą, aż wreszcie ciska między skupione blisko siebie

cienie namiotów. Kilka chwil później z ciemności wyrósł ognisty kwiat, a jeden z namiotów się zapalił. Simon przyglądał się przez moment z sercem bijącym jak u ptaka, po czym odwrócił się i spiął konia.

Ani słowem nie wspomniał o strzale, kiedy już dogonił swych towarzyszy. Nawet Sludig nie zadawał żadnych pytań. Jeźdźcy otoczyli Simona i pojechali szybko przez noc, smagani mroźnym wiatrem.

CHCIAŁBYM, ŻEBYŚ SIĘ POŁOŻYŁA – powiedział Josua.

Vorzheva podniosła wzrok. Siedziała na macie obok kosza z ogniem, trzymając na kolanach rozłożony płaszcz, który właśnie naprawiała. Pomagała jej młoda dziewczyna z Nowego Gadrinsett. Także i ona spojrzała w górę, lecz zaraz spuściła wzrok i powróciła do pracy.

– Położyła? – spytała Vorzheva, przekrzywiając głowę. – Dlaczego?

Josua znowu zaczął chodzić.

– Bo tak... tak byłoby lepiej.

Vorzheva przeczesała dłonią swe czarne włosy i patrzyła, jak Josua idzie do końca namiotu, odwraca się i idzie z powrotem, pokonując odległość nie więcej niż dziesięciu łokci. Książę był tak wysoki, że wyprostować mógł się jedynie na samym środku namiotu, dlatego teraz przypominał zgarbionego pielgrzyma.

– Josuo, ja nie chcę się położyć – odezwała się wreszcie, nie spuszczając z niego wzroku. – Co ci jest?

Zatrzymał się i złożył dłonie.

– Lepiej byłoby dla dziecka... i dla ciebie... gdybyś się położyła.

Vorzheva patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem się roześmiała.

– Josuo, jesteś głupcem. Dziecko nie urodzi się przed końcem zimy.

– Pani, niepokoję się o ciebie – przemówił z troską w głosie. – Nasze życie tutaj jest tak ciężkie, pogoda bardzo zła.

Jego żona znowu się roześmiała, lecz tym razem jakby trochę urażona.

– Kobiety z Klanu Ogiera rodzą dzieci na stojąco na łąkach, a potem wracają do pracy. Nie jesteśmy jak kobiety z miasta. Josuo, co z tobą?

Na wychudzonej twarzy księcia pojawił się nagle rumieniec.

– Dlaczego zawsze musisz się ze mną sprzeczać? – rzucił. – Czy nie jestem twoim mężem? Obawiam się o twoje zdrowie i nie podoba mi się, że pracujesz tak długo w noc.

– Nie jestem dzieckiem – warknęła Vorzheva. – Ale noszę jedno w brzuchu. Dlaczego wciąż chodzisz w tę i z powrotem? Stań w miejscu i porozmawiaj ze mną!

– Próbuję z tobą rozmawiać, ale ty ciągle wszczynasz kłótnie!

– Ponieważ ty mnie pouczasz, co mam robić, jakbym była dzieckiem. Nie jestem głupia, chociaż nie potrafię mówić tak jak twoje damy z zamku!

– A niech to przeklnie Aedon, nigdy nie mówiłem, że jesteś głupia! – krzyknął. Zatrzymał się wreszcie. Najpierw wpatrywał się przez chwilę w ziemię, a potem przeniósł wzrok na młodą pomocnicę Vorzhevy. Dziewczyna skuliła się przestraszona, pragnąc skryć się w cieniu. – Czy mogłabyś zostawić nas na chwilę? – spytał. – Chcielibyśmy zostać sami.

– Ona mi pomaga! – wtrąciła gniewnie Vorzheva.

Josua utkwił w dziewczynie spojrzenie swych stalowych oczu.

– *Idź*.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi i rzuciwszy na maty swoją robotę, wybiegła z namiotu. Książę patrzył za nią przez moment, po czym zwrócił się do Vorzhevy. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, lecz zamiast tego skierował się do wyjścia z namiotu.

– Błogosławiona Elysio – mruknął pod nosem.

Nie wiadomo było, czy miało to być błogosławieństwo czy przekleństwo. Odchylił zasłonę wyjścia i opuścił namiot.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nim Vorzheva.

Josua zmrużył oczy i popatrzył w ciemność. Wreszcie dojrzał niewyraźną postać na tle jednego z namiotów. Ruszył w jej stronę, zaciskając i rozwierając pięść.

– Zaczekaj. – Wyciągnął rękę i dotknął ramienia dziewczyny. Otworzyła szerzej oczy, cofając się pod namiot, i sama uniosła ramiona, jakby chciała obronić się przed ciosem. – Wybacz mi – powiedział. – Byłem nieuprzejmy. Jesteś miła dla mojej żony i ona cię lubi. Proszę, wybacz mi.

– Wybaczyć *tobie*, panie? – spytała płaczliwie. – Ja? Przecież ja jestem nikim.

Josua zamrugał.

– Dla Boga wszystkie dusze są takie same. Proszę, idź teraz do namiotu ojca Strangyearda. Tam. Widać jego ognisko. Ogrzejesz się, a on z pewnością da ci coś do jedzenia. Przyjdę po ciebie, kiedy skończę rozmawiać z moją żoną. – Na jego twarzy pojawił się smutny, zmęczony uśmiech. – Czasem mężczyzna i kobieta potrzebują trochę czasu dla siebie, nawet jeśli jest to książę i jego pani.

Dziewczyna pociągnęła nosem i spróbowała się skłonić, lecz tak mocno przywarła do ściany namiotu, że nie mogła się zgiąć.

– Tak, książę Josuo.

– Idź zatem.

Josua patrzył, jak idzie szybko przez śnieg w stronę ogniska Strangyearda. Zobaczył jeszcze, że archiwista i ktoś inny wstają, by ją powitać. Dopiero wtedy odwrócił się i wszedł do namiotu.

Vorzheva patrzyła na niego zagniewana, ale i zaciekawiona. Powiedział jej, co zrobił.

– Jesteś najdziwniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. – Odetchnęła głęboko i spojrzała w dół na igłę i nić.

– Skoro silniejsi mogą bezwstydnie znęcać się nad słabszymi, to czym różnimy się od zwierząt?

– Różnimy się? – Wciąż nie podnosiła wzroku. – Czym się różnimy? Twój brat ściga nas ze swymi żołnierzami. Ludzie umierają, kobiety, dzieci, i po to tylko, aby zdobyć kolejne pastwiska, tytuły, sztandary. *My* jesteśmy zwierzętami. Czy nie widzisz tego? – Spojrzała na niego łagodniejszym wzrokiem jak matka spoglądająca na syna, który niczego się nie nauczył z twardej lekcji życia. Pokręciła głową i wróciła do swej pracy.

Książę podszedł do jej siennika i usiadł wśród poduszek oraz kocy.

– Przysuń się do mnie. – Poklepał dłonią wolne miejsce obok siebie.

– Tutaj jest cieplej, bliżej ognia. – Vorzheva sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej pracą.

– Jeśli usiądziemy obok siebie, i tutaj będzie ciepło.

Vorzheva westchnęła, odłożyła szycie i podeszła do siennika. Usiadła obok męża i oparła się o poduszki. Oboje patrzyli na sufit namiotu uginający się pod ciężarem śniegu.

– Przepraszam – powiedział Josua. – Nie chciałem być opryskliwy, ale martwię się. Niepokoję się o twoje zdrowie i o zdrowie dziecka.

– Dlaczego mężczyźni uważają, że oni są odważni, a kobiety słabe? Kobiety widzą w życiu więcej krwi i cierpienia, chyba że mężczyźni zabierają się do walki, ale wtedy jest to głupio przelana krew. – Vorzheva skrzywiła się. – Kobiety leczą rany, których nie da się opatrzyć.

Josua nic nie odpowiedział. Objął ją tylko ramieniem i zanurzył palce w jej czarnych, gęstych lokach.

– Nie musisz się o mnie martwić – powiedziała. – Kobiety z klanu są dzielne. Nie będę płakała. Urodzę silne i zdrowe dziecko.

Josua milczał jeszcze chwilę, a potem westchnął głęboko.

– To moja wina – odezwał się. – Byłem zbyt niecierpliwy, aby zrozumieć to, co robisz.

Vorzheva odwróciła się gwałtownie do niego z wyrazem strachu na twarzy. Wysunęła dłoń księcia ze swoich włosów i ścisnęła ją mocno.

– O czym ty mówisz? Powiedz mi!

Josua zawahał się, szukając odpowiednich słów.

– Co innego jest być żoną księcia, a co innego jego kobietą.

Odsunęła się nieco, tak by móc odwrócić się w jego stronę.

– O czym mówisz? Czy chcesz powiedzieć, że przyprowadziłbyś na moje miejsce inną kobietę? Josuo, zabiję ciebie i ją! Przysięgam na klan!

Roześmiał się cicho, choć w tej chwili Vorzheva wyglądała tak, jakby rzeczywiście chciała spełnić swoją groźbę.

– Nie, nie to miałem na myśli. – Spojrzał na nią i przestał się uśmiechać. – Pani, proszę, nigdy tak nie myśl. – Ujął ją za rękę. – Chciałem tylko powiedzieć, że jako żona księcia nie jesteś po prostu jedną z kobiet, podobnie jak i dziecko nie jest jednym z dzieci.

– I co? – Na jej twarzy wciąż malował się strach.

– Nie mogę pozwolić, aby coś stało się tobie lub naszemu dziecku. Jeśli zginę, życie, które nosisz w sobie, może być ostatnim ogniwem ze światem.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nasze dziecko musi żyć. Jeśli przegramy i Fengbald pokona nas, albo nawet jeśli wygramy, lecz ja zginę, nasze dziecko musi nas kiedyś pomścić. – Potarł dłonią twarz. – Nie, nie to chciałem powiedzieć. Istnieje coś ważniejszego niż zemsta. Nasze dziecko może być

ostatnim światłem w obliczu ciemności. Nie wiemy, czy Miriamele wróci do nas, czy w ogóle jeszcze żyje. Jeśli nie, wtedy książęcy syn – albo jego córka – w każdym razie wnuk Prestera Johna będzie miał obowiązek wznieść jedyny sztandar, pod którym zbiorą się wrogowie Eliasa i jego szatańskiego sprzymierzeńca.

Vorzheva odetchnęła z ulgą.

– Mówiłam ci już, że kobiety Thrithingów rodzą silne dzieci. O to nie musisz się martwić: twoje dziecko przysporzy ci dumy. A my wygramy. Jesteś silniejszy, niż sądzisz. – Przysunęła się do niego. – Zbyt wieloma rzeczami się martwisz.

Josua westchnął głęboko.

– Obyś miała rację. Na Usiresa i Jego łaskę, czy jest coś gorszego niż być władcą? Jakże pragnąłbym tak po prostu odejść.

– Nie zrobiłbyś tego. Mój mąż nie jest tchórzem. – Uniosła się nieco, żeby przyjrzeć mu się z bliska, jakby miała przed sobą oszusta, i znowu usiadła.

– Tak, masz rację. To jest mój los, moja próba, może nawet... moje Drzewo. Ach, każdy gwóźdź jest zimny i ostry. Ale nawet potępieniec ma prawo marzyć o wolności.

– Nie mów już o tym – powiedziała, kładąc głowę na jego ramieniu. – Sprowadzisz nieszczęście.

– Kochana, mogę przestać mówić, ale trudno jest uciszyć myśli.

Wtuliła się w niego niczym młody ptak, który próbuje wydostać się z jaja.

– Nic nie mów.

BURZA USPOKOIŁA SIĘ NIECO i odeszła na południowy wschód. Księżyc, wciąż skryty za chmurami, dawał dość światła, by roziskrzyć śnieg zalegający całą dolinę rzeki między Gadrinsett i *Sesuad'ra*, przez co wyglądała, jakby zasypano ją malutkimi diamentami.

Simon obserwował fontanny śniegu wzbijane kopytami konia Sludiga i zastanawiał się, czy dożyje chwili, kiedy będzie mógł spojrzeć wstecz na cały ten rok. Kim będzie, jeśli jakimś dziwnym trafem uda mu się przeżyć? Rycerzem, oczywiście. Już samo to okazało się spełnieniem najskrytszych marzeń z dzieciństwa. Ale co robi rycerz? Naturalnie walczy dla swego pana, lecz Simon nie chciał myśleć o wojnach. Jakie będzie jego życie, jeśli jeszcze kiedyś zapanuje pokój, a on dożyje tego dnia – obie ewentualności wydawały się czymś bardzo odległym.

Co robili rycerze? Panowali w swoich majątkach, jeśli posiadali ziemię. Ale to znaczyło chyba mniej więcej to samo, co być rolnikiem? Z pewnością nie było w tym nic wzniosłego. Na myśl o tym, że można wrócić do domu po całym dniu spędzonym wśród mokrych pól, ścisnęło go w żołądku. Zrzuciłby płaszcz i buty, wsunął pantofle i zasiadł przed ogromnym, huczącym kominkiem. Ktoś przyniósłby mu kielich grzanego wina... ale kto? Kobieta? Żona? Spróbował dojrzeć w ciemności właściwą twarz, ale mu się nie udało. Nawet Miriamele, gdyby straciła wszystko i zgodziła się poślubić kogoś tak pospolitego jak Simon – tylko czy rzeki mogą płynąć pod górę, a ryby fruwać? – nie byłaby taką kobietą, która potrafi czekać cierpliwie na męża wracającego z pól. Miriamele w takiej roli podobna byłaby do pięknego ptaka z podciętymi skrzydłami.

A zatem co by mu zostało, gdyby nie ożenił się i nie miał majątku? Niedobrze zrobiło mu się na myśl o turniejach odbywających się wiosną i jesienią na królewskim placu, o których marzył przez tyle lat. Złość go ogarnęła, kiedy pomyślał, że zdrowi mężczyźni raniliby się bez żadnej

przyczyny, tracąc oczy, kończyny, a nawet życie, jakby świat i tak nie był wystarczająco niebezpiecznym i okrutnym miejscem. Niektórzy nazywali to udawaną wojną; tyle tylko, że żadna, nawet najbardziej niebezpieczna rozrywka w niczym nie dorównywała okropieństwom, jakie widział Simon. Wojna przypominała straszliwy wicher albo trzęsienie ziemi, coś, czego nie należało lekceważyć. Naśladowanie czegoś takiego wydawało się nieomal bluźnierstwem. Ludzie uczyli się władać kopią i mieczem po to, by zachować życie, gdy wybuchnie wojna. Kiedy to wszystko się skończy – *jeśli* w ogóle się skończy – Simon chciałby uciec od wojny jak najdalej, bez względu na to, czy jest udawana, czy nie.

Lecz ludzie nie zawsze szukali wojny, strachu i bólu; nie, śmierci nie trzeba było szukać. Czy zatem rycerz nie powinien być zawsze gotowy wypełniać swój obowiązek, broniąc siebie i innych? Tak powiedział sir Deornoth, a on nie był królem, który walczy bez potrzeby lub dla przyjemności. A co to Morgenes powiedział kiedyś o wielkim Camarisie? Że Camaris dął w swój słynny róg Cellian nie po to, by wzywać pomoc czy się pysznić, lecz po to, by oznajmić wrogowi, iż nadchodzi, i dać mu możliwość ucieczki. W swojej książce Morgenes wielokrotnie powtarzał, że Camaris nie znajdywał przyjemności w walce, a jego ogromne umiejętności były dla niego ciężarem, gdyż przyciągały rywali i zmuszały go do zabijania, podczas gdy on wcale tego nie pragnął. Cóż za paradoks. Bez względu na to, jak jesteś dobry, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał cię sprawdzić. Lepiej więc było przygotowywać się do wojny czy raczej jej unikać?

Z gałęzi nad jego głową osunął się płat śniegu, i jakby wiedziony własnym życiem, ominął gruby szal, dostając się pod kołnierz na kark Simona. Simon wydał zduszony okrzyk przerażenia i natychmiast rozejrzał się w nadziei, że pozostali nie usłyszeli, jak dziecinnie się zachował. Nikt

na niego nie patrzył; wszyscy śledzili srebrzystoszare wzgórza i ośnieżone, pogrążone w ciemności drzewa.

Co więc było lepsze? Uciekać przed wojną czy osiągnąć taką siłę, że nikt nie będzie mógł cię zranić? Morgenes opowiadał mu, iż takie właśnie problemy zaprzątają umysły dobrych królów, którzy rozmyślają nad nimi nocami, podczas gdy ich poddani śpią. Simon pamiętał, że kiedy wyraził swe niezadowolenie z tak enigmatycznej odpowiedzi, Doktor uśmiechnął się smutno.

– Z pewnością odpowiedź nie jest zadowalająca, Simonie – odparł wtedy starzec. – Ale tak zwykle jest w przypadku tego rodzaju pytań. Gdyby wszystkie odpowiedzi były prawidłowe, świat okazałby się równie stały i niezmienny jak nasza katedra, wybudowana z płaskich kamieni ułożonych równiutko jeden na drugim, pod tym samym kątem, wszystko byłoby stałe i nieruchome jak ściany katedry świętego Sutrina. – Starzec uniósł wtedy dzban z piwem, naśladując gest salutowania. – Tylko czy w takim świecie byłaby miłość, Simonie? By móc ocenić piękno i wdzięk, musi istnieć też i brzydota. Cóż to byłby za świat bez niespodzianek? – Po tych słowach starzec pociągnął długi łyk piwa, otarł usta i zmienił temat rozmowy. Od tego czasu aż do chwili obecnej Simon nie zastanawiał się nad słowami Doktora.

– Sludigu. – Po długiej ciszy głos Simona zabrzmiał zaskakująco głośno.

– Co? – Zapytany odwrócił się w siodle.

– Czy chciałbyś żyć w świecie pozbawionym niespodzianek? Zarówno przyjemnych, jak i nieprzyjemnych?

Rimmersman przyglądał się przez chwilę młodzieńcowi.

– Nie gadaj głupot – mruknął i odwrócił się, zmuszając konia, by ominął wystający spod śniegu głaz.

Simon wzruszył ramionami. Hotvig, który także odwrócił się do Simona, rozejrzał się uważnie i pognał konia.

Myśl ta nie dawała jednak spokoju Simonowi. Nadzieja brnęła dzielnie przez śnieg, a on przypomniał sobie fragment niedawnego snu: była w nim łąka o barwie tak jednostajnej, jakby ją ktoś namalował, było też niebo, zimne i niezmienne niczym kawałek porcelany; cały krajobraz trwał wieczny i nieruchomy niczym kamień.

„Chyba wolę już niespodzianki – zdecydował Simon. – Wszystkie”.

NAJPIERW USŁYSZELI MUZYKĘ, melodię, której dźwięki pojawiały się i znikały zagłuszane podmuchami wiatru. Kiedy zjechali ze zbocza na dno doliny rozciągającej się wokół *Sesuad’ra*, ujrzeli niewielkie ognisko rozpalone na skraju ogromnego, czarnego jeziora, które otaczało wzgórze. Od ogniska oderwała się mała, krępa postać z kościaną fujarką w dłoni; na tle ognia postać ginęła w mroku, a widoczne pozostawały tylko jej kontury.

– Słyszeliśmy, jak grałeś – powiedział Simon. – Nie boisz się, że ktoś cię usłyszy? Może to być nieprzyjaciel?

– Nie jestem tu sam. – Binabik uśmiechnął się. – A więc wróciliście. – Mówił bardzo spokojnie, jakby niepokój o innych był ostatnią rzeczą, która mogłaby mu przyjść do głowy. – Wszyscy cali?

– Tak, Binabiku, wszystko w porządku. Wartownicy Fengbalda trzymali się blisko swoich ognisk.

– To tak jak ja – odparł troll. – Łodzie są tam – wskazał. – Chcecie się ogrzać i odpocząć czy od razu pójdziemy na górę?

– Powinniśmy chyba jak najszybciej przekazać Josui wieści – zdecydował Simon. – Fengbald ma około tysiąca ludzi, a Hotvig twierdzi, że połowa z nich to najemni Thrithingowie.

Uwagę Simona zwrócił cień sunący wzdłuż brzegu jeziora. Kiedy znalazł się na tle wysokiej zaspy, rycerz zorientował się, że to Qantaqa przemyka zwinnie brzegiem wody. Blask ognia odbił się w oczach wilczycy, kiedy spojrzała w jego stronę. Simon pokiwał głową. Tak, Binabik ma dobrą straż. Każdy, kto chciałby zaatakować trolla, najpierw z nią musiałby się zmierzyć.

– Nie są to dobre wieści, ale i nie najgorsze – powiedział Binabik, składając swój kij. – Wielki Król mógł przecież skierować na nas całe swoje siły, tak jak zrobił to w czasie oblężenia Naglimundu. – Westchnął. – Jednak tysiąc żołnierzy to też pokaźna siła. – Troll wsunął kij za pasek i chwycił cugle Nadziei. – Josua śpi dzisiejszej nocy, ale rozsądnie zdecydowałeś, aby zaraz udać się na górę. Bezpieczniej będzie dla nas wszystkich, kiedy znajdziemy się na szczycie Kamienia. Choć królewska armia jest jeszcze daleko, to jednak nie jesteśmy tutaj dość bezpieczni, a poza tym nie wiadomo, co może sprowadzić burza w czasie nocy.

Simon zadrżał.

– A zatem schrońmy się przed nią w ciepłych namiotach.

Ruszyli za Binabikiem na sam skraj jeziora. Jego wody lśniły dziwnym blaskiem.

– Dlaczego woda wygląda tak dziwnie? – spytał Simon.

Binabik skrzywił się.

– No cóż, ja także mam dla was wieści, z przykrością muszę powiedzieć. Obawiam się, że ostatnia burza przyniosła nam więcej złego, niż się spodziewaliśmy. Nasza fosa, jak wy nazywacie jezioro, zamarza.

Stojący najbliżej Sludig zaklął siarczyście.

– Jezioro jest naszą najlepszą obroną przed wojskami Króla!

Troll wzruszył ramionami.

– Jeszcze całkiem nie zamarzło. Trudno byłoby nam powrócić łodziami, gdyby tak się stało. Może nadejdzie jeszcze odwilż i woda znowu stanie się naszym sprzymierzeńcem. – Jednak wyraz jego twarzy, tak samo jak oblicze Sludiga, wskazywał, że sam nie wierzy w to, co mówi.

Dwie duże łodzie unosiły się na wodzie tuż przy brzegu.

– Wilk i ludzie wsiądą do tej – oświadczył Binabik, wskazując na jedną z łodzi. – W drugiej popłyną konie i jeden człowiek, który ich będzie pilnował. Chociaż, Simonie, sądzę, że twój koń zna na tyle Qantaqę, że może popłynąć z nami.

– Trollu, o mnie powinieneś się bardziej zatroszczyć – burknął Sludig. – Łodzie lubię jeszcze mniej niż wilki, a za wilkami przepadam równie mocno, jak lubią je konie.

Binabik machnął lekceważąco dłonią.

– Żartujesz sobie, Sludigu. Wiesz dobrze, że Qantaqa nieraz narażała swoje życie u twego boku.

– Tak więc teraz ja znowu muszę zaryzykować swoje życie, pakując się do jednej z twoich przeklętych łodzi – narzekał Rimmersman, lecz wydawało się, że z trudem powstrzymuje uśmiech.

Simon ze zdumieniem przyglądał się, jak między trollem i Rimmersmanem nawiązuje się dziwna przyjaźń.

– Dobrze – powiedział Sludig. – Idę. Ale jeśli potkniesz się o tę ogromną bestię i wpadniesz do wody, będę ostatni, który przyjdzie ci z pomocą.

– Trolle nie „wpadają” – odparł dumnie Binabik.

Wziął z ogniska płonącą żagiew, resztę ognia zasypał śniegiem i wsiadł do najbliższej łodzi.

– Wasze pochodnie świecą za jasno – powiedział. – Zgaście je. Nacieszmy się nocą. Wreszcie widać gwiazdy. – Zapalił osłoniętą rogowym

abażurem lampę zawieszoną na przodzie łodzi, po czym zręcznie przeszedł z jednego rozkołysanego pokładu na drugi i zapalił drugą lampę. Pochodnia Binabika zgasła z sykiem, rzucona do wody; światło lampy rozlało się łagodnie po jej powierzchni niczym blask księżyca. Pozostali także wrzucili swoje pochodnie do jeziora i weszli za trollem na pokład.

Jeden z ludzi Hotviga wsiadł do drugiej łodzi razem z końmi. Nadzieja, tak jak przewidywał Binabik, wydawała się nie zauważać wilczycy, dlatego mogła popłynąć z ludźmi. Stała na rufie prowadzącej łodzi i spoglądała na pozostałe konie niczym księżniczka zerkająca z balkonu na bandę pijaków wyśpiewujących na dole. Qantaqa zwinęła się w kłębek u stóp Binabika i z wywieszonym ozorem patrzyła, jak Sludig i Hotvig spychają żerdziami pierwszą z łodzi w głąb jeziora. Otoczyła ich mgła, tak że po chwili brzeg zniknął i obie łodzie zanurzyły się w królestwie oparów i czarnej wody.

Lód był jeszcze bardzo cienki i kruchy jak cukierek. Jego trzask pod dziobem łodzi przyprawiał Simona o gęsią skórkę. Fala burzy zabrała ze sobą chmury, pozostawiając nad głowami przyjaciół nieomal czyste niebo, na którym – jak mówił Binabik – rzeczywiście migotało kilka gwiazd.

– Spójrzcie – powiedział cicho troll. – Ludzie przygotowują się do walki, ale Sedda robi swoje. Wciąż próbuje złapać swego męża, Kikkasuta.

Stojący obok niego Simon spojrzał w ciemną studnię nieba. Z wyjątkiem delikatnego łoskotu łamanego lodu albo stłumionych uderzeń jego większych kawałków, w dolinie panowała nienaturalna cisza.

– Co to? – spytał nagle Sludig. – Tam.

Simon pochylił się i spojrzał we wskazanym kierunku. Rimmersman wyciągnął ramię w stronę krawędzi lasu Aldheorte, który wyrastał ponad północnym brzegiem jeziora niczym mur obronny zamku.

– Nic nie widzę – szepnął Simon.

– Już nie ma – rzucił gniewnie Sludig, jakby sądził, że Simon chce zaprzeczyć jego słowom. – Widziałem światła w lesie. Były tam.

Binabik zbliżył się do krawędzi łodzi, wpatrzony w ciemność.

– Gdzieś tam znajduje się miasto Enki-e-Shao’saye, a raczej to, co po nim zostało.

Teraz przybliżył się do nich również Hotvig. Łódź zakołysała się łagodnie. Simon popatrzył z wdzięcznością na Nadzieję, która stała spokojnie na rufie; gdyby było inaczej, płytka łódź mogłaby się wywrócić.

– W mieście duchów? – Jego pokryta bliznami twarz przypominała teraz twarz zalęknionego dziecka. – Widzisz w nim światła?

– Widziałem – powiedział Sludig. – Przysięgam na Krew Aedona, że widziałem. Ale już zniknęły.

– Hmm. – Binabik wydawał się zakłopotany. – Może to światło naszych lamp odbiło się w czymś w starym mieście.

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie Sludig. – Jedno z nich było większe od naszych lamp. Tylko że tak szybko zgasły!

– Światła czarownic – powiedział ponuro Hotvig.

– Może widziałeś je tylko przez moment pomiędzy gałęziami drzew albo wśród ruin, a potem popłynęliśmy dalej i zniknęły. – Zamyślił się na chwilę, a potem odwrócił do Simona. – Simonie, ty dzisiaj jesteś dowódcą. Czy powinniśmy zawrócić i sprawdzić te leśne światła?

Simon starał się myśleć możliwie najspokojniej, ale w głębi duszy nie miał ochoty sprawdzać, co znajduje się po drugiej stronie czarnej wody. Przynajmniej nie tej nocy.

– Nie. – Starał się, by jego głos zabrzmiał pewnie. – Nie będziemy tego sprawdzać. Musimy przekazać wieści Josui. Przecież może to być zwiad Fengbalda. Lepiej, żeby nas nie zobaczyli. – Rozważając swe słowa, Simon uznał, że użył właściwego argumentu. Przez chwilę czuł ulgę, lecz zaraz

zawstydził się, że próbuje fałszywie zrobić dobre wrażenie na ludziach, którzy ryzykowali swoje życie pod jego komendą. – A poza tym – dodał – jestem zmęczony i martwię się, nie, raczej boję, tak, boję się. To była ciężka noc. Idźmy do Josui i opowiedzmy mu o tym, cośmy widzieli, także o światłach. Niech książę zdecyduje. – Gdy tylko skończył mówić, nagle kątem oka dostrzegł coś ogromnego tuż za swoim ramieniem. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał masyw *Sesuad'ra* wynurzający się z wody za nim. Kamień wyłonił się z mgły tak nagle, jakby w jednej chwili został wypchnięty spod lśniącej powierzchni jeziora. Simon stał wpatrzony w niego z szeroko otwartymi ustami.

Binabik pogładził łeb Qantaqi.

– Simon dobrze mówi. Książę Josua powinien zdecydować, co zrobić z tą tajemnicą.

– One tam były – powtórzył gniewnie Sludig, lecz pokręcił głową, jakby nie był już tak pewny swoich słów.

Łodzie płynęły dalej. Porośnięty lasem brzeg znowu zniknął we mgle jak sen, który odchodzi przed światłem i odgłosami poranka.

Deornoth z zadowoleniem przyglądał się Simonowi, który składał raport. Na twarzy młodzieńca płonął wprawdzie rumieniec wywołany podnieceniem nowymi obowiązkami, a jego oczy odbijały być może trochę za jasno szare światło poranka, biorąc pod uwagę ważkość omawianych spraw – to znaczy, wyraźnej przewagi liczebnej armii Fengbalda, jej uzbrojenia i doświadczenia – lecz Deornoth przychylnie ocenił fakt, że Simon spokojnie relacjonuje, nie wyciąga pochopnych wniosków i waży każde słowo, nim odpowie na pytanie Josui. Ten świeżo upieczony rycerz wiele doświadczył w swym krótkim życiu i wydawało się, że pilnie się uczy. Kiedy Simon odtworzył przebieg zdarzeń całej wyprawy, uzyskując milczące poparcie przytakujących mu Sludiga i Hotviga, Deornoth

mimowolnie także skinął głową. Broda Simona wciąż jeszcze przypominała pierze kurczaka, lecz Deornoth swym doświadczonym okiem dostrzegał pod nią rysy zapowiadającego się wspaniałego męża. Wierzył, że kiedyś stanie się on przykładem godnym naśladowania.

Josua zwołał tę naradę przed swoim namiotem, przed którym płonęło ognisko pozwalające zebranym odegnać chłód poranka. Kiedy książę zadawał kolejne pytania, Freosel, krępy konstabl Nowego Gadrinsett, chrząknął, chcąc zwrócić na siebie uwagę Josui.

– O co chodzi, Freoselu?

– Dziwne, że wszystko, o czym twój rycerz mówi, że widział, zgadza się z tym, co powiedział burmistrz.

Simon zwrócił się do Freosela:

– Burmistrz? Kto to taki?

– Helfgrim, były burmistrz Gadrinsett – wyjaśnił Josua. – Przybył do nas zaraz po waszym wyjeździe. Uciekł z obozu Fengbalda i przedostał się tutaj. Jest chory, więc kazałem mu pozostać w łóżku. Dlatego nie ma go z nami. Ludzie Fengbalda źle się z nim obeszli, a potem przebył długą, męczącą drogę.

– Jak już mówiłem, Wasza Wysokość – ciągnął dalej Freosel uprzejmie, lecz stanowczo – wszystko, co mówi sir Seoman, potwierdza słowa Helfgrima. A zatem powinniśmy chyba poważnie potraktować jego informacje na temat tego, jak, gdzie i kiedy zaatakuje Fengbald.

– Twoje słowa nie są pozbawione słuszności, Freoselu. Twierdziłeś, że burmistrz jest człowiekiem godnym zaufania, a ty, jego ziomek, znasz go najlepiej. – Josua rozejrzał się po zebranych. – Co o tym myślicie? Geloë?

Czarownica podniosła wzrok zaskoczona. Przez cały czas siedziała wpatrzona w pomarańczowe płomienie ogniska.

– Josuo, nie chcę udawać wojennego stratega.

– Wiem o tym, ale znasz się na ludziach. Jak dalece możemy wierzyć słowom burmistrza? Mamy i tak mało sił; nie możemy podejmować zbytecznego ryzyka.

Geloë zastanawiała się przez chwilę.

– Josuo, wprawdzie krótko z nim rozmawiałam, ale jedno mogę powiedzieć: dostrzegłam w jego oczach cień, który mi się nie podoba. Radziłabym uważać na niego.

– Cień? – Książę spojrzał na nią uważnie. – Myślisz, że to cień zdrady czy może raczej rezultat cierpienia?

Geloë pokręciła głową.

– Nie, nie posuwałabym się aż tak daleko, by nazwać to zdradą. Oczywiście, może to być wynikiem bólu. Kto wie? Surowo się z nim obeszli, a ja widzę teraz umysł, który chowa się przed samym sobą, przed wyobrażeniem o tym, co wielcy myślą i czynią. Ale bądź ostrożny, Josuo.

Deornoth wyprostował się.

– Panie, Geloë jest mądrą kobietą – powiedział szybko. – Ale z drugiej strony nie wolno nam popełnić błędu zbytniej ostrożności, który uniemożliwi nam wykorzystanie tego, co może nas uratować.

Zanim jeszcze skończył mówić, przyszło mu na myśl, czy jego obawy o to, że czarownica nakłoni jego pana do bierności, nie przesłaniają mu tej możliwości, iż może ona mieć rację. Jednak w tych ostatnich, decydujących dniach ważne było, aby Josua wykazywał zdecydowanie. Doświadczenie nauczyło Deornotha, że wojnę może prowadzić ktoś odważny i pewny swego, gdyż te zalety pozwolą im uniknąć wielu pomniejszych błędów. Jeśli Josua będzie zbyt długo wahał się w tej sprawie – a także w innych – mieszkańcy Nowego Gadrinsett stracą resztki ducha walki, jaki im jeszcze pozostał.

– Myślę, że powinniśmy dobrze rozważyć to, co ma do powiedzenia Helfgrim – oświadczył.

Hotvig poparł natychmiast Deornotha, a pośrednio i Freosela. Pozostali nie zabierali głosu, lecz Deornoth nie mógł nie dostrzec niespokojnego spojrzenia Binabika, który siedział, grzebiąc kijem w ognisku. Deornoth pomyślał, że mały troll zbytnio zdaje się na magiczne pułapki Geloë. Tylko że teraz sytuacja była inna. To była wojna.

– Porozmawiam dzisiaj z burmistrzem – odezwał się wreszcie Josua. – Jeśli będzie miał dość sił. Masz rację, Deornoth, nie wolno nam unosić się dumą i odrzucać oferowanej pomocy. Jesteśmy w potrzebie, a – jak mówią – Bóg daje swoim dzieciom to, czego im potrzeba, jeśli Mu ufają. Ale będę pamiętał o tym, co nam powiedziałaś, Geloë. Twoje uwagi są zawsze cennym darem.

– Za pozwoleniem, książę Josuo – odezwał się Freosel. – Jeśli skończyliśmy już z tą sprawą, to chciałbym pomówić o innych.

– Naturalnie.

– Przygotowywanie się do walki nie jest naszym jedynym problemem – powiedział Freosel. – Wiesz, jak ciężko o żywność. Wyłowiliśmy prawie wszystkie ryby z obu rzek, ale teraz woda zamarza i musimy zaprzestać nawet tego. Każdego dnia myśliwi udają się coraz dalej, a przynoszą coraz mniej. Ta kobieta – wskazał na Geloë – pomogła nam znaleźć rośliny i owoce, które okazały się jadalne, ale to umożliwia nam zaledwie przetrwanie. – Urwał i przełknął ślinę, świadomy tego, że mówi szybko, ale jednocześnie zdecydowany przekazać wszystko, co miał do powiedzenia.

– Nawet jeśli uda nam się wygrać tutaj i odeprzeć oblężenie – Deornothowi wydało się, że na dźwięk tego słowa wszyscy zebrani zadrżeli – to nie będziemy mogli pozostać w tym miejscu. Nie mamy tyle żywności, żeby przetrwać zimę.

Pozostali siedzieli w milczeniu, zaskoczeni szczerością jego słów.

– No cóż, twoje słowa nie są dla mnie całkowitym zaskoczeniem – odezwał się wreszcie Josua. – Uwierz mi, wiem, jak bardzo głodni są nasi ludzie. Mam nadzieję, że mieszkańcy Nowego Gadrinsett wiedzą przynajmniej, że ty czy ja albo ktokolwiek z zebranych tutaj nie jada lepiej od nich.

Freosel przytaknął mu.

– Wiedzą o tym, Wasza Wysokość, i tylko dzięki temu uniknęliśmy dotąd większych kłopotów. Lecz jeśli ludzie zaczną umierać z głodu, nie będzie ich obchodziło, że i ty cierpisz głód. Odejdą. Niektórzy już to zrobili.

– Mój Boże! – wtrącił Strangyeard. – Dokąd oni mogą pójść? Biedacy!

– Nieważne. – Freosel pokręcił głową. – Wrócą przez łąki do Erkynlandu albo będą się wałęsać przy armii Fengbalda i żebrać o ochłapy. Na razie niewielu ich odeszło.

– Jeśli zwyciężymy – powiedział Josua – pójdziemy dalej. Taki był mój plan i widzę, że mam rację. Bylibyśmy głupcami, nie wykorzystując wiatru, który może powiać nam w plecy. – Pokiwał głową. – Wciąż nowe kłopoty. Strach i ból, śmierć i głód. Mój brat odpowie za wszystko!

– Książę Josuo, tu nie chodzi tylko o twojego brata – powiedział Simon z wyrazem gniewu na twarzy. – Król nie spowodował burzy.

– Masz rację, Simonie. Nie możemy zapominać też o jego sprzymierzeńcach. – Josua zamyślił się na chwilę i zaraz zwrócił się do młodego rycerza, jakby sobie o czymś przypomniał. – Wspominałeś coś o światłach, które widzieliście ostatniej nocy na północno-wschodnim brzegu.

Simon przytaknął.

– Tylko Sludig je widział, ale my wierzymy, że były tam naprawdę – dodał natychmiast, zerkając na Rimmersmana, który słuchał z uwagą. – Sądziłem, że powinieneś dowiedzieć się o tym, zanim zaczniemy robić cokolwiek.

– Jeszcze jedna zagadka. Może to jakiś manewr Fengbalda. Niewykluczone, że chce nas oskrzydlić, choć osobiście w to wątpię.

– Szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że jego główne siły znajdują się jeszcze tak daleko – dodał Deornoth. Pomyślał, że takie działanie nie pasuje mu do Fengbalda. Książę Falshire nigdy nie bawił się w subtelności.

– Sądzę raczej, Simonie, że to twoi przyjaciele, Sithowie, przybywają, żeby się do nas przyłączyć. Byłby to pomyślny obrót sprawy. – Josua uniósł brwi pytająco. – Zdaje się, że ostatnio rozmawiałeś, jeśli można to tak nazwać, z księciem Jirikim?

Deornoth uśmiechnął się, widząc nagły rumieniec na twarzy młodego rycerza.

– Ja... tak, Wasza Wysokość – wyjąkał Simon. – Nie powinienem był tego robić.

– To nie jest teraz istotne – odparł rzeczowo Josua. – Nie nam sądzić, czy zawiniłeś w tej sprawie, ale chciałbym wiedzieć, czy uważasz, że mogą to być oni?

– Czarodziejskie stworzenia? – wymamrotał Freosel. – Ten chłopak gada z czarodziejskimi stworzeniami?

Simon skłonił głowę zażenowany.

– Jiriki twierdził, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim będzie mógł się do nas przyłączyć, jeśli w ogóle to nastąpi. Dał mi też do zrozumienia – nie wiem tego na pewno, Wasza Wysokość – że zawiadomi mnie, kiedy zdecyduje się przyjść nam z pomocą. Jiriki wie, jak niecierpliwi są

śmiertelnicy. – Uśmiechnął się smutno. – Wie, jak bardzo podniosłaby nas na duchu świadomość tego, że idą nam z pomocą.

– Litościwy Aedonie i Jego Matko! – Freosel wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. – Czarodziejskie istoty!

Josua pokiwał głową zamyślony.

– Tak więc, jeśli ci, którzy rozpalili te ognie, nie są naszymi przyjaciółmi, to pewnie są naszymi wrogami, choć może widzieliście ogniska ludzi, o których wspominał Freosel, uciekinierów z *Sesuad'ra*. – Zmarszczył brwi. – Zastanowię się jeszcze nad tym. Może jutro wyślemy tam naszych zwiadowców. Nie zamierzam lekceważyć nikogo, kto dzieli z nami ten zakątek Osten Ard. – Wstał, otrzepując popiół ze spodni, i wsunął kikut prawego nadgarstka za połę płaszcza. – Tyle na dzisiaj. Idźcie pożywić się tym, co nam jeszcze zostało.

Książę odwrócił się i odszedł do swego namiotu. Deornoth patrzył za nim przez chwilę, po czym spojrzał na krawędź wzgórza, gdzie z szarej mgły wyłaniały się pionowo ustawione kamienie, przez co wydawało się, że *Sesuad'ra* unosi się na morzu nicości. Zachmurzył się na myśl o tym i przysunął bliżej ognia.

WE ŚNIE DOKTOR MORGENES stanął przed Simonem, ubrany jakby wybierał się w daleką drogę; miał na sobie podróżny płaszcz z kapturem ozdobionym frędzlami, poczerniałym na brzegach, jakby jego właściciel przejechał przez ogień. Twarz starca prawie całkowicie ginęła pod obszernym kapturem – z cienia błyskały tylko jego okulary i biała broda. Krajobraz za nim był Simonowi zupełnie obcy, przypominał perłową, wirującą nicość, jakby oko burzy.

– *Nie wystarczy tylko się bronić, Simonie* – przemówił głos Doktora. – *Nawet jeśli tylko walczysz o swoje życie. Potrzeba czegoś więcej.*

– *Czegoś więcej?* – Wprawdzie Simon ucieszył się niezmiernie, że choć we śnie ujrzał jeszcze Morgenesa, lecz jednocześnie wyczuwał, że ma tylko chwilę, by zrozumieć znaczenie słów starca. Cenny czas uciekał. – *Co to znaczy „czegoś więcej”?*

– *To znaczy, że musisz walczyć o coś. Inaczej będziesz tylko strachem na wróble postawionym na polu; możesz odganiać wrony, zabić je nawet, ale nigdy ich nie pokonasz. Nie zabijesz wszystkich wron...*

– *Zabić wrony? Co to znaczy?*

– *Trzeba czegoś więcej niż tylko nienawiści, Simonie, czegoś więcej...* – Wydawało się, że starzec chce jeszcze coś powiedzieć, lecz nagle białą pustkę za nim wypełnił ogromny, pionowy cień, który wyrósł nie wiadomo skąd. Cień wydawał się przytłaczająco ciężki, choć pozbawiony był materii; wyglądał jak kolumna ciemności, która mogła być wieżą, drzewem albo krawędzią toczącego się koła, która przecięła pustkę za zakapturzoną postacią, jakby to był herb.

– *Morgenesie!* – zawołał Simon, lecz we śnie jego głos stał się bardzo słaby, przytłumiony ciężarem długiego cienia. – *Doktorze! Doktorze, nie odchodź!*

– *Musiałem odejść dawno temu!* – krzyknął starzec także słabym głosem. – *Zrobiłeś to beze mnie, ale pamiętaj: fałszywy posłaniec!* – Głos Doktora stał się nagle bardzo wysoki, aż przeszedł w przejmujący wrzask. – *Fałszywy!* – krzyczał. – *Faałszyywyy!*

Płaszcz Doktora zatrzepotał gwałtownie, a jego postać zaczęła się kurczyć. Wreszcie starzec zniknął; w miejscu, w którym stał, unosił się srebrzysty ptak. Nagle ptak pomknął w górę, w nicość, zataczając koła najpierw w jedną stronę, potem w drugą, aż stał się zaledwie punkcikiem, który niebawem zniknął.

– *Doktorze!* – Simon wytężał wzrok. Wyciągnął ramię, lecz coś je powstrzymywało, jakiś ciężar, który przylgnął do niego i ciągnął w dół, jakby mleczna pustka, w której się znajdował, czymś nasiąkła. Spróbował jeszcze raz. – *Nie! Wracaj! Muszę wiedzieć więcej...*

– Simonie, to ja! – syknął Binabik. – Uspokój się, proszę! – Troll przysunął się jeszcze bliżej, tak że teraz siedział nieomal na piersi młodzieńca. – Przestań! Jeśli dalej będziesz wywijał tak rękoma, znowu uderzysz mnie w nos!

– Co? – Simon przestał machać rękoma. – Binabik?

– Od poobijanych stóp do posiniaczonego nosa – burknął troll. – Masz już dość tego młócenia?

– Czy cię obudziłem? – spytał Simon.

Binabik zsunął się z siennika i przykucnął.

– Nie. – Szczerze mówiąc, to *ja* miałem cię obudzić. Co cię tak przestraszyło we śnie?

Simon pokręcił głową.

– Nieważne. Nawet dobrze nie pamiętam.

W rzeczywistości pamiętał każde słowo, ale chciał się nad tym dłużej zastanowić, zanim porozmawia na ten temat z Binabikiem. W tym śnie ujrzał Morgenesa wyraźniej niż w poprzednich – jakby bardziej na jawie. Miał wrażenie, że było to ostatnie spotkanie z ukochanym Doktorem. Simon stał się zazdrosny o te kilka rzeczy, które mógł nazwać swoimi, a tą w szczególności nie chciał się z nikim dzielić.

– Dlaczego mnie obudziłeś? – Ziewnął, próbując zmienić temat. – Nie potrzebuję strażnika.

– Zgadzam się. – W słabym świetle gasnącego żaru uśmiech Binabika był zaledwie jaśniejszą plamą. – Ale chciałbym, żebyś wstał, włożył buty i ubranie, a następnie wyszedł ze mną na zewnątrz.

– Co? – Simon usiadł, nasłuchując odgłosów ataku, lecz nie usłyszał niczego poza nieustającym wyciem wiatru. Po chwili opadł z powrotem na łóżko i odwrócił się plecami do trolla. – Nie chcę nigdzie iść. Jestem zmęczony. Pozwól mi spać.

– To, co masz zrobić, będzie warte zachodu.

– O czym ty mówisz? – mruknął Simon przez ramię.

– To tajemnica, ale bardzo podniecająca.

– Przyjdź z nią do mnie rano. Wtedy będę nią bardziej podniecony.

– Simonie! – Binabik stawał się coraz mniej jowialny. – Nie bądź takim leniuchem. To jest bardzo ważne! Nie ufasz mi?

Jęcząc, jakby ciężar całego świata opadł na jego barki, Simon znowu usiadł na łóżku.

– Czy to naprawdę takie ważne?

Binabik przytaknął.

– I nie powiesz mi, o co chodzi?

Binabik pokręcił przecząco głową.

– Wkrótce się dowiesz. Obiecuję.

Simon wpatrywał się w trolla, wyjątkowo wesołego jak na taką nocną godzinę.

– Widzę, że bez względu na to, co to jest, wprawia cię to w dobry humor – mruknął.

– Chodź. – Binabik wstał podniecony jak dziecko w czasie uczty w święto Aedonmansa. – Osiodłałem już Nadzieję, a Qantaqa wykazała i tak dużo wilczej cierpliwości. Chodź!

Simon pozwolił się wcisnąć w buty i grubą, wełnianą koszulę. Wciągnął ciepły jeszcze płaszcz, którym przykrywał się w łóżku, wyszedł z namiotu za Binabikiem i zaraz nieomal się przewrócił, potykając o coś w ciemności.

– Na cholerne Drzewo! – zaklął. – Zimno!

Binabik zachmurzył się, słysząc przekleństwo, ale nic nie powiedział. Troll uznał, że skoro Simon został pasowany na rycerza, to jest już dorosły i wolno mu przeklinać, jeśli ma na to ochotę. W milczeniu wskazał dłonią w kierunku Nadziei, która stała opodal, grzebiąc kopytem w śniegu; oświetlała ją pochodnia wetknięta w zaspę. Simon zbliżył się do niej, po czym pogładził po pysku i zanim wdrapał się na siodło, szepnął kilka ciepłych słów do jej ucha. Troll zagwizdał cicho i z ciemności wyłoniła się Qantaqa. Binabik chwycił się gęstego, szarego futra i wspiął się na jej grzbiet. Kiedy wyciągnął ze śniegu pochodnię, dał znak wilczycy, by ruszyła.

Wyjechali z miasta ciasno ustawionych namiotów, przejechali przez płaski grzbiet *Sesuad'ra*, potem przez Ogród Ognia pokryty niewielkimi zaspami śniegu, aż wreszcie minęli strzeżony przez dwóch wartowników Dom Rozstania. Nieco dalej z ziemi wyrastał kamień, który znaczył skraj szerokiej, prowadzącej w dół drogi. Strażnicy, opatuleni tak, że widać było tylko ich lśniące oczy, unieśli włócznie, salutując. Simon pomachał im zdumiony.

– Nie obchodzi ich zbytnio, dokąd jedziemy.

– Mamy pozwolenie. – Binabik uśmiechnął się tajemniczo.

Niebo było czyste. Kiedy zjeżdżali po kruszących się kamieniach sithijskiej drogi, Simon spojrzał w górę, by upewnić się, że gwiazdy wróciły. To był pokrzepiający widok, choć rycerz ze zdumieniem stwierdził, że nie zna żadnej z nich. Zerkając na księżyc, który wyjrzał właśnie spoza strzępu chmury, Simon zorientował się, że jest wcześniej, niż przypuszczał – od zachodu słońca upłynęło może zaledwie kilka godzin. Było jednak na tyle późno, że całe Nowe Gadrinsett pogrążyło się we śnie. Dokąd mógł jechać Binabik?

Kiedy zjeżdżali wokół zbocza Kamienia, kilkakrotnie wydawało mu się, że widzi iskierki świateł w odległym lesie, malutkie punkciki, mniej wyraźne nawet od gwiazd nad ich głowami. Lecz gdy pokazywał je trollowi, ten tylko kiwał głową, jakby nic go to nie obchodziło.

Zanim dotarli do miejsca na samym dole, gdzie droga rozszerzała się, blada Sedda skryła się już za mglistą kurtyną na horyzoncie. Zjechali na pochyłe ramię podnóża góry. Wody ogromnego jeziora uderzały łagodnie o kamień. Czubki kilku zatopionych drzew wciąż wystawały ponad jego powierzchnię niczym głowy śpiących pod wodą olbrzymów.

Binabik zsiadł z Qantaqi bez słowa i poprowadził ją w stronę uwiązanej przy końcu drogi łodzi. Simon, pogrążony w obojętnym półśnie, zsunął się z siodła i wprowadził swego konia na pokład. Gdy tylko Binabik zapalił lampę na dziobie, chwycili za żerdzie i odepchnęli łódź od brzegu.

– Już niedługo będziemy mogli tak podróżować – powiedział cicho Binabik. – Chociaż wtedy nie będzie to już miało znaczenia.

– Dlaczego? – spytał Simon, ale troll machnął tylko ręką.

Pochyłe zbocze zalanej doliny coraz bardziej oddalało się od łodzi, aż wreszcie ich żerdzie nie sięgały dna. Teraz wzięli wiosła leżące dotąd na płaskim dnie łodzi. Trudno było płynąć, gdyż lód czepiał się kadłuba i wioseł, jakby chciał zmusić łódź, by zatrzymała się i wtopiła w jego taflę. Dopiero po jakimś czasie Simon zorientował się, że Binabik kieruje się w stronę północno-wschodniego brzegu jeziora, nad którym niegdyś stało Enki-e-Shao’saye i gdzie pojawiły się dziwne światła.

– Płyniemy w stronę świateł! – powiedział. Jego głos zabrzmiał jak westchnięcie, które natychmiast zamarło w mrokach przepastnej doliny.

– Tak.

– Dlaczego? Czy tam są Sithowie?

– Nie, nie Sithowie. – Binabik wpatrywał się ponad falującą lekko wodę; widać było, że z trudem opanowuje emocje. – Miałeś chyba rację: Jiriki uprzedziłby nas o swoim przybyciu.

– W takim razie, kto tam jest?

– Zobaczysz.

Troll skupił całą swoją uwagę na przeciwległym brzegu, który przybliżał się coraz bardziej. Simon patrzył, jak z mroku wyłania się nieprzenikniona ściana drzew, i nagle przypomniało mu się, jak czasem w Hayholt posyłano go z czymś do komnaty duchownych pisarzy, jak w chwili jego wejścia wszyscy nieomal jednocześnie unosili głowy i tłum wiekowych starców wyłaniał się ze swych pergaminowych snów.

Wreszcie dno zaszurało na piasku i łódź się zatrzymała. Simon oraz Binabik wysiedli i zaciągnęli ją w bardziej bezpieczne miejsce, gdy tymczasem Qantaqa biegała dookoła nich, rozchlapując wodę. Po wyprowadzeniu Nadziei na brzeg Binabik ponownie zapalił swoją pochodnię i przyjaciele wjechali do lasu.

Drzewa rosły tutaj gęsto jedno obok drugiego, jakby chciały się wzajemnie ogrzać. W świetle pochodni widać było liście o najprzeróżniejszych kształtach i rozmiarach, podobnie jak rozmaite pnącza, porosty i mchy tworzące razem nieprzeniknioną gęstwinę zieleni. Binabik poprowadził ich wąskim szlakiem jeleni. Buty Simona przemokły, dlatego stopy marzły mu coraz bardziej. Wciąż zastanawiał się, po co przypłynęli tu o tej porze.

Usłyszał ten dźwięk, zanim jeszcze mógł cokolwiek zobaczyć poprzez gęstwinę drzew: było to żałosne zawodzenie fletów, które to rozbrzmiewały, to milkły na tle niskiego, ledwie słyszalnego bębnienia. Simon spojrzał na Binabika, lecz troll wciąż nasłuchiwał, kiwając głową, i nie zwracał uwagi na Simona. Niedługo potem pojawiło się światło;

cieplejsze i bardziej nieruchome od blasku księżyca migotało między drzewami. Simon poczuł, że serce bije mu szybciej, kiedy dziwna muzyka się wzmogła. Pomyślał, że Binabik wie, co robi. Ufał swojemu przyjacielowi, mając w pamięci okropieństwa, przez jakie razem przeszli. Tylko dlaczego Binabik był tak podekscytowany? Troll przekrzywił głowę, podobnie jak robiła to Qantaqa, jakby w dziwnej muzyce fletów i bębnieniu czytał coś, czego Simon nie rozumiał.

Nerwowe podniecenie Simona rosło. Nagle zdał sobie sprawę, że od jakiegoś już czasu czuje znajomy zapach. Początkowo myślał, że to woń jego własnego ubrania, ale później natarczywość i intensywność zapachu się wzmogła...

Mokra wełna.

– Binabiku! – zawołał i roześmiał się, rozpoznając wreszcie zapach.

Zeszli na rozległą polanę usianą szczątkami miasta Sithów, lecz teraz po martwym kamieniu skakały płomienie: życie powróciło, choć może nie takie, o jakim myśleli budowniczowie osady. Wzdłuż jednej z krawędzi polany zgromadziło się stado pobekujących śnieżnobiałych baranów. Natomiast cały środek doliny, gdzie płonęły wesoło ogniska, wypełniały trolle. Niektóre śpiewały lub tańczyły. Inne grały na trollich instrumentach, które wydawały wysokie, piszczące dźwięki. Pozostałe po prostu przyglądały się rozbawione.

– Sisqinanamook! – zawołał Binabik. Na jego twarzy pojawił się niezwykle szeroki uśmiech. – *Henimaatuq! Ea kup!*

Kilka twarzy, potem kilkanaście, a potem już wszystkie zwróciły się w stronę miejsca, gdzie pojawili się troll i Simon. W następnej chwili cały tłum przeciskał się między żałośnie pobekującymi baranami. Jednak wszystkich wyprzedziła mała postać, która pierwsza wpadła w wyciągnięte ramiona Binabika.

W jednej chwili Simon znalazł się wśród mówiących bez przerwy trolli. Krzyczały i cmokały, szarpiąc go za ubranie i poklepując; ich twarze bez wątpienia wyrażały radość. Nagle rycerz poczuł, że znalazł się wśród starych przyjaciół, i w jego oczach zalśniły łzy. Poczuł tak dobrze znany mu z Yiqanuc ostry zapach oliwy i tłuszczu, lecz teraz woń ta wydała mu się bardzo przyjemna. Odwrócił się oszołomiony, by poszukać Binabika.

– Skąd wiedziałeś? – krzyknął.

Jego przyjaciel stał opodal, obejmując ramieniem Sisqi. Ona także stała uśmiechnięta z rumieńcem na twarzy. – Moja mądra Sisqinanamook przysłała do mnie jednego z ptaków Ookequka! – odparł Binabik. – Moi ludzie obozują tutaj od dwóch dni. Budują łodzie!

– Budują łodzie? – Tłoczące się trolle popychały go lekko raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Żeby przedostać się przez jezioro i dołączyć do Josui! – Binabik roześmiał się. – Sisqi sprowadziła nam na pomoc stu trolli! Teraz przekonacie się, dlaczego Rimmersmeni wciąż straszą swoje dzieci opowieściami o Dolinie Huhinka! – Odwrócił się i znowu objął Sisqi.

Ta przytuliła na chwilę głowę do jego szyi, a potem znów odwróciła się do Simona.

– Przeczytałam księgę Ookequka – powiedziała w języku Westerling dość niezgrabnie, lecz zrozumiale. – Mówię teraz więcej w twoim języku. – Skłoniła głowę. – Witaj, Simonie.

– Witaj, Sisqi – odparł. – Cieszę się, że znowu cię widzę.

– Dlatego właśnie chciałem, żebyś ze mną tu przyjechał. – Binabik zatoczył łuk ramieniem. – Jutro będziemy mówić o wojnie. Dzisiaj przyjaciele są znowu razem. Będziemy śpiewać i tańczyć!

Simon uśmiechnął się, widząc radość Binabika odbijającą się w czarnych oczach jego ukochanej. Zupełnie zapomniał już o zmęczeniu.

– Chętnie – powiedział i nie była to tylko uprzejmość.

9. Stronice starej księgi

SZPONIASTE ŁAPY WYCIĄGAŁY SIĘ w jej stronę. Puste oczy patrzyły wytrzeszczone. Były wszędzie dookoła, szare i lśniące jak u żaby, a ona nie mogła nawet krzyknąć.

Miriamele obudziła się z gardłem ściśniętym aż do bólu. Nie było nigdzie wyciągających się rąk ani oczu, jedynie kawałek materiału nad jej głową i odgłos chlupoczących fal. Długo leżała na plecach, ciężko oddychając, aż wreszcie usiadła.

„Żadnych rąk, żadnych oczu” – wmawiała sobie. Kilpy, najwyraźniej nasycone po uczcie na *Chmurze Eadne*, trzymały się w bezpiecznej odległości od ich łodzi.

Miriamele wysunęła się spod prowizorycznego namiotu, jaki razem z mnichem zrobili z szerokiego, naoliwionego płótna, którym przykryta była łódź. Zmrużyła oczy i rozejrzała się, by z pozycji słońca spróbować określić porę dnia. Powierzchnia oceanu miała monotonny, ołowiany odcień, jakby wykuło ją tysiące kowali. Zielonkawoszara jednostajność ciągnęła się we wszystkie strony, urozmaicana jedynie grzbietami fal lśniących w słabym blasku dnia.

Cadrach siedział na jednej z przednich ławek i spoglądał na swe dłonie, przytrzymując wiosła ramionami. Kawałki płaszcza, którymi owinął dłonie, wiosłując, zwisały w strzępach, podarte.

– Twoje dłonie. – Miriamele ze zdziwieniem stwierdziła, jak bardzo zgrzytliwie zabrzmiał jej głos.

Cadrach drgnął zaskoczony.

– Pani. – Spojrzał na nią. – Wszystko w porządku?

– Nie – odpowiedziała, starając się uśmiechnąć. – Jestem chora. Wszystko mnie boli. Ale spójrz na swe ręce, wyglądają okropnie.

Popatrzył ponuro na otartą skórę dłoni.

– Chyba wiosłowałem trochę za długo. Jestem jeszcze słaby.

Miriamele nachmurzyła się.

– Jesteś szalony, Cadrach! Byłeś skuty przez tyle dni! Dlaczego bierzesz się do wioseł? Zabijesz się!

Mnich potrząsnął głową.

– Nie wiosłowałem aż tak długo. Te rany są skutkiem słabości mego ciała, a nie złej pracy.

– Nie mam czym ich opatrzyć – powiedziała z żalem i zaraz podniosła wzrok. – Jaka może być pora dnia?

Mnich potrzebował kilku chwil, by odpowiedzieć na to pytanie.

– Myślę, że wczesny wieczór, księżniczko. Tuż po zachodzie słońca.

– I pozwoliłeś mi spać cały dzień? Jak mogłeś?

– Pani, potrzebowałaś snu. Wprawdzie dręczyły cię jakieś koszmary, ale mimo wszystko myślę, że odpoczęłaś trochę... – Cadrach urwał, unosząc zakrzywiony palec w geście rezygnacji. – W każdym razie uznałem, że tak będzie najlepiej.

Miriamele syknęła zdesperowana.

– Znajdę coś na te ręce. Może w jednym z pakunków Gan Itai. – Zacisnęła mocno usta, kiedy poczuła ich drżenie, gdy wymawiała imię Niski. – Zostań tutaj i nie tykaj wioseł, jeśli zależy ci na własnym życiu.

– Dobrze, pani.

Miriamele poruszała się ostrożnie ze względu na bolące mięśnie, dlatego upłynęło trochę czasu, zanim rozsupłała zawiniątko z grubego materiału, w którym znajdowały się przedmioty spakowane przez Gan Itai razem z żywnością i bukłakami z wodą. Były tam też obiecane haczyki do połowu ryb oraz długa, mocna taśma o ciemnym kolorze, jakiej Miriamele nigdy dotąd nie widziała; pakunek zawierał także mały nóż i woreczek wypełniony malutkimi słoiczkami wielkości kciuka. Otwierała je kolejno, wąchając ostrożnie.

– W tym chyba jest sól – powiedziała. – Tylko po co komu na morzu sól, skoro można ją uzyskać, odparowując wodę? – Spojrzała na Cadracha, lecz on tylko pokręcił głową. – Tutaj jest jakiś żółtawy proszek. – Zamknęła oczy i jeszcze raz powąchała. – Pachnie ładnie, ale nie jest to nic do jedzenia. – Otworzyła trzy następne słoiczki i znalazła w nich kolejno: pokruszone płatki, słodko pachnący olej i jasną maść, od której zapachu z jej oczu popłynęły łzy, kiedy pochyliła się nad słoiczkiem.

– Znam ten zapach – powiedział Cadrach. – To jest srebrnik. Dobry na okłady i tym podobne. Podstawa apteczki każdego wiejskiego uzdrawiacza.

– A więc tego szukałam.

Miriamele odcięła kawałki materiału ze swej nocnej koszuli, którą miała na sobie pod męskim ubraniem, i nasączywszy je maścią, owinęła nimi poranione dłonie Cadracha. Na koniec obwiązała je suchymi paskami, by tamte pozostały czyste.

– To z pewnością przyniesie ci trochę ulgi.

– Pani, jesteś zbyt dobra – powiedział Cadrach dość pogodnie, lecz Miriamele dostrzegła w jego oku niespodziewany błysk, jakby wezbrała w nim łza. Nie przyglądała się dokładnie, niepewna swego spostrzeżenia.

Niebo, które od pewnego już czasu matowiało coraz bardziej, przybierało szybko odcień purpury. Wiatr wzmógł się, tak że oboje

szczelniej otulili się płaszczami. Miriamele siedziała w milczeniu, oparta o burtę łodzi, czując, jak długi kadłub przechyla się kołysany fałami.

– Co teraz zrobimy? Gdzie jesteśmy? Dokąd zmierzamy?

Cadrach wciąż poprawiał opatrunki na swych dłoniach.

– Jeśli chodzi o to, gdzie się znajdujemy, to powiedziałbym, że gdzieś w zatoce Firannos, między Spenit a Wyspami Risa. Pewnie jakieś trzy mile od brzegu – kilka dni wiosłowania, nawet jeśli będziemy płynąć przez cały dzień.

– Dobra myśl. – Miriamele przysunęła się do ławki, na której siedział Cadrach, i chwyciła za wiosła. – Możemy wiosłować nawet wtedy, kiedy rozmawiamy. Czy płyniemy w dobrym kierunku? – Roześmiała się gorzko. – Skąd miałbyś wiedzieć, skoro nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy?

– Myślę, księżniczko, że powinniśmy trzymać ten kurs. Rozejrzę się jeszcze raz, kiedy pojawią się gwiazdy, ale słońce powiedziało mi na tyle dużo, by się zorientować, że płyniemy na północny wschód, i to nam na razie wystarczy. Tylko czy jesteś pewna, że powinnaś wiosłować? Może ja...

– Och, Cadrachu, z tak poranionymi dłońmi? Nonsens. – Opuściła wiosła do wody i przyciągnęła je do siebie, lecz natychmiast osunęła się na siedzeniu nieco do tyłu, gdyż jedno z nich wyskoczyło z wody. – Nie, nie pokazuj mi – powiedziała szybko. – Uczyłam się wiosłować, kiedy byłam mała, tylko dawno tego nie robiłam. – Zmarszczyła brwi w skupieniu, próbując przypomnieć sobie właściwy ruch. – Trenowaliśmy na płyciznach Gleniwentu. Ojciec zwykle zabierał mnie ze sobą.

Nagle ujrzała Eliasa wiosłującego na ławce przed nią i śmiejącego się, gdy jedno z wioseł poszybowało ponad zielonkawą wodą. W tym krótkim przebłysku wspomnienia jej ojciec wydawał się niewiele starszy od niej; dopiero teraz przyszło jej na myśl, że może – pomimo męskiego wieku –

pozostał w pewnym sensie chłopcem. Bez wątpienia sława jej potężnego i ukochanego ojca była dla niego ogromnym ciężarem, zmuszając go do coraz bardziej szalonych wyczynów, dowodów męstwa. Pamiętała swoją matkę powstrzymującą łzy strachu na wieść o kolejnym szaleństwie Eliasa na polu walki, łzy, których inni nie rozumieli. Sama zdziwiła się, że w taki sposób myśli o ojcu. Ale może pomimo swej odwagi nie miał pewności czy wręcz bał się, że na zawsze pozostanie dzieckiem, synem ojca, który wciąż żyje.

Miriamele próbowała odegnać natrętnie powracające wspomnienie, skupiając całą uwagę na wysiłku, by odnaleźć odwieczny rytm wiosła i wody.

– Dobrze, pani, bardzo dobrze. – Cadrach usiadł wygodniej; jego obandażowane dłonie i okrągła twarz przypominały jasne grzyby wyrosłe w szybko zapadającym mroku. – Tak więc wiemy, gdzie się znajdujemy – z dokładnością do kilku milionów kubłów morskiej wody. A co do tego, dokąd płyniemy... No cóż, ty powinnaś to wiedzieć, księżniczko? Przecież to ty mnie uratowałaś.

Nagle wiosła wydały jej się niezwykle ciężkie. Ogarnęło ją uczucie bezcelowości.

– Nie wiem – szepnęła. – Nie mam dokąd pójść.

Cadrach pokiwał głową, jakby spodziewał się tej odpowiedzi.

– W takim razie pozwól, że ukroję ci kromkę chleba i kawał sera za jednego cintisa, a potem powiem ci, co ja o tym myślę.

Miriamele nie chciała przerwać wiosłowania, więc Cadrach zgodził się karmić ją między pociągnięciami wioseł. Rozśmieszył ją widok mnicha uchylającego się za każdym razem, kiedy przenosiła wiosła do tyłu. W pewnym momencie okruch utkwił jej w gardle. Cadrach poklepał ją po plecach i podał wody do popicia.

– Wystarczy, pani. Musisz przerwać i zjeść porządnie. Później, jeśli jeszcze będziesz chciała, możesz powiosłować. Okazalibyśmy Bogu niewdzięczność za Jego łaskę, umierając z głupiego wyczerpania, po tym, jak pozwolił nam uciec przed kilpami i przeżyć wiele innych niebezpieczeństw. – Mnich przyglądał jej się uważnie, gdy jadła. – Jesteś chuda. Dziewczyna w twoim wieku powinna już nabrać więcej ciała. Co jadłaś na tym przeklętym statku?

– To, co przyniosła mi Gan Itai. Przez ostatni tydzień nie mogłam znieść posiłków przy jednym stole z tym... z tym człowiekiem. – Chcąc odegnać niemiłe wspomnienie, machnęła dłonią, w której trzymała piętkę chleba. – Popatrz na siebie! Na mnie mówisz, a sam wyglądasz jak szkielet! – Wcisnęła mu w dłoń kawałek sera, który dał jej przed chwilą. – Zjedz to.

– Szkoda, że nie mam dzbana. – Cadrach popił ser małym łykiem wody. – Na Złociste Włosy Aedona, ile bym dał za kilka łyków czerwonego perdruińskiego.

– Ale go nie masz – rzuciła Miriamele poirytowana. – Nie będzie wina przez... przez długi czas. Tak więc zajmij się czym innym. Powiedz mi na przykład, dokąd według ciebie powinniśmy popłynąć. – Oblizała palce, przeciągnęła się, aż poczuła ból w mięśniach, i sięgnęła po wiosła. – Powiedz mi, co tylko chcesz. Po prostu zajmij mnie czymś. – Zaczęła wolno wiosłować.

Przez jakiś czas monotonny szum morza przerywał tylko odgłos zanurzanych i wysuwanych z wody wioseł.

– Jest pewne miejsce – odezwał się wreszcie Cadrach. – Gospoda, może hotel, w Kwanitupulu.

– W mieście na skraju bagien? – spytała Miriamele podejrzliwie. – Dlaczego mielibyśmy tam płynąć? A nawet gdybyśmy się tam dostali, co za różnica, w jakiej gospodzie się zatrzymamy? Czy tam dają tak dobre wino?

Mina mnicha świadczyła o urażonej godności.

– Pani, źle mnie oceniasz. – Po chwili spoważniał. – Nie, wspominam o tym miejscu, gdyż może się ono okazać bezpieczną kryjówką w tych niebezpiecznych czasach, a ponadto tam właśnie zamierzał wysłać nas Dinivan.

– Dinivan! – Na dźwięk imienia kapłana Miriamele zdała sobie nagle sprawę, że nie myślała o nim od wielu dni, choć był taki dobry, choć poniósł tak straszną śmierć z rąk Pryratesa. – A skąd ty miałbyś wiedzieć, co zamierzał zrobić Dinivan? I jakie miałoby to teraz znaczenie?

– Łatwo mogę wyjaśnić, skąd wiem, czego chciał Dinivan. Podsłuchiwałem pod drzwiami i w innych miejscach. Słyszałem, jak rozmawiał z Lektorem o tobie i o swoich planach wobec ciebie... chociaż nie podał Lektorowi wszystkich powodów.

– Podsłuchiwałeś? – Miriamele natychmiast jednak poskromiła swoją złość, przypominając sobie, że sama także to robiła. – Ach, nieważne. Nic już mnie nie zdziwi. Ale uważam, Cadrachu, że powinieneś zmienić swoje postępowanie. Podsłuchiwanie, a poza tym jeszcze wino i kłamstwa.

– Pani, w sprawach wina nie masz chyba zbyt wiele do powiedzenia – rzekł, uśmiechając się kwaśno. – Tak więc twoje lekcje w tym względzie nie będą mi specjalnie przydatne. Co do pozostałych wad, no cóż, jak to mówią w Abaingeat? „Konieczność wzywa, a za nią przychodzi korzyść własna”. Okazuje się, że dzięki tym wadom żyjemy jeszcze.

– Dlaczego zatem Dinivan chciał mnie wysłać do tamtej gospody? – spytała. – Dlaczego nie mogłabym zostać w Sancellan Aedonitis, gdzie byłabym bezpieczna?

– Tak bezpieczna jak Dinivan i Lektor? – Pomimo stanowczości w jego głosie zabrzmiał szczery ból. – Wiesz, co tam się wydarzyło, choć bogom należy dziękować, żeś nie widziała tego na własne oczy. Wprawdzie

poróżniliśmy się z Dinivanem, ale on był dobrym i mądrym człowiekiem. Zbyt wielu ludzi przewijało się przez Sancellan, a każdy przybywał z innymi potrzebami i problemami... Przede wszystkim jednak było tam zbyt wiele pytlujących ozorów. Przysięgam, że choć ten wielki pomnik ku czci Eadona nazywają Matką Kościołem, to z tego, co słychać w Sancellan, można by sądzić, że jest ona największą plotkarą w historii świata.

– A zatem chciał posłać mnie do jakiejś gospody na bagnach?

– Tak sądzę, tak. Nawet z Lektorem mówił dosyć ogólnie, nie wymieniając żadnych nazw ani imion. Ale ja zrozumiałem, o jakie miejsce chodzi, gdyż wszyscy dobrze je znamy. Doktor Morgenes pomógł kupić je właścicielce. Jest ono związane ze sprawami, w które Morgenes, Dinivan i ja byliśmy zaangażowani.

Miriamele zatrzymała wiosła w pół ruchu i oparta o nie wpatrywała się zdumiona w Cadracha. Mnich patrzył na nią spokojnie.

– Pani? – spytał po chwili milczenia.

– Doktor Morgenes... z Hayholt?

– Naturalnie. – Opuścił głowę na pierś. – To był wielki człowiek. Niezwykle miły. Uwielbiałem go, księżniczko. Dla wielu z nas był jak ojciec.

Nad powierzchnią wody unosiła się teraz mgła. Miriamele wzięła głęboki oddech i zadrżała.

– Nie rozumiem. Skąd go znałeś? I kto to są „my”?

Mnich przeniósł spojrzenie z jej twarzy na spowitą mgłą wodę.

– To długa opowieść, księżniczko, bardzo długa. Czy kiedykolwiek słyszałaś o Lidze Pergaminu?

– Tak! W Naglimundzie. Należał do niej stary Jarnauga.

– Jarnauga. – Cadrach westchnął. – Jeszcze jeden dobry człowiek, choć kłóciliśmy się ze sobą. Ukryłem się przed nim, kiedy przebywałem

w twierdzy Josui. Jak on się miał?

– Lubiłam go – odpowiedziała wolno. – Był jednym z tych, którzy naprawdę potrafią słuchać, ale rozmawiałam z nim tylko kilka razy. Ciekawe, co się z nim stało po upadku Naglimundu. – A co to wszystko ma wspólnego z tobą?

– Jak już wspomniałem, długo by mówić.

Miriamele roześmiała się, a zaraz potem znowu zadrżała.

– Nie mamy chyba nic innego do roboty, prawda?

– Ale najpierw znajdę coś, żeby cię okryć. – Cadrach wsunął się pod prowizoryczny namiot i wyciągnął mnisi płaszcz Miriamele. Narzucił go jej na ramiona, a kaptur nasunął na krótko ostrzyżoną głowę. – Teraz wyglądasz jak udająca się do klasztoru szlachcianka, którą kiedyś miałaś być.

– Zapomnę o zimnie, jeśli będziesz do mnie mówił.

– Jesteś jeszcze słaba. Chciałbym, żebyś i mnie pozwoliła trochę powiosłować albo przynajmniej położyła się na chwilę pod osłoną.

– Cadrachu, nie traktuj mnie, jakbym była małą dziewczynką. – Surowy wyraz jej twarzy zaprzeczał dziwnemu wzruszeniu, jakie poczuła. Czy rozmawiała z tym samym człowiekiem, którego kiedyś chciała utopić, który chciał ją sprzedać w niewolę? – Dzisiaj nie wolno ci dotykać wioseł. Opuścimy kotwicę, kiedy się zmęczę. Ale na razie mogę wolno wiosłować. A teraz opowiadaj.

Mnich machnął ręką zrezygnowany.

– Dobrze. – Otulił się szczelnie swoim płaszczem i oparł plecami o ławkę, podciągając kolana, tak że prawie nie było go widać w ciemności na dnie łodzi. Niebo ściemniało już prawie zupełnie, lecz księżyc świecił na tyle jasno, by ukazać twarz Cadracha. – Nie wiem tylko, od czego mam zacząć.

– Od początku. – Miriamele zaczęła powoli wiosłować. Kilka kropel wody prysnęło jej na twarz.

– Tak. – Zamyślił się na chwilę. – Rzeczywiście, jeśli zacznę od samego początku, łatwiej będzie zrozumieć dalsze części opowieści, a poza tym pozwoli mi to odłożyć nieco te najbardziej wstydliwe. Miriamele, moja historia nie jest najweselsza i w dużej mierze prowadzi przez cień... cień, który padł na wielu poza pijanym hernystirskim mnichem. Jak wiesz, urodziłem się w Crannhyrze, lecz kiedy przedstawiam się imieniem Cadrach ec-Crannhyr, to tylko jego ostatnia część jest prawdziwa. Moje prawdziwe imię brzmi Padreic. Miałem jeszcze inne imiona, mało które przyjemne, ale urodziłem się jako Padreic, a teraz jestem Cadrachem. Nie skłamię, jeśli powiem, że Crannhyr jest jednym z najdziwniejszych miast w całym Osten Ard. Otoczone jest murami niczym forteca, lecz nigdy go nie atakowano, bo i nie ma tam czego ukraść. Szczególna tajemniczość mieszkańców Crannhyru zdumiewa innych Hernystirczyków. Mówi się, że Crannhyrczyk prędzej postawi wszystkim w gospodzie kolejkę, niż wpuści do domu nawet największego przyjaciela, lecz jak dotąd nie widziano też, by kupował on wino komu innemu poza sobą. Crannhyrczycy pozostają ze sobą w bliskich stosunkach, tak, to chyba dobre słowo. Mówią mało – w przeciwieństwie do pozostałych Hernystirczyków, którym w żyłach płynie poezja! – i nie chwalą się bogactwem ani szczęściem z obawy, że bogowie pozazdroszczą im i zabiorą je. Nawet ulice są jak konspiratorzy: w niektórych miejscach domy nachylają się ku sobie tak blisko, że aby przejść między nimi, trzeba wypuścić całe powietrze z płuc.

Crannhyr był jednym z pierwszych miast zbudowanych w Osten Ard przez człowieka. Cała osada tchnie aurą wiekowości i dlatego pewnie jej mieszkańcy rozmawiają ze sobą cicho, jakby obawiali się, że głośniejsze rozmowy sprawią, iż mury się zawalą i wystawią na światło dzienne ich

tajemnice. Niektórzy twierdzą nawet, że do zbudowania miasta przyłożyli też rękę Sithowie, ja jednak nie sądzę, aby mieli oni z tym cokolwiek wspólnego, chociaż Hernystirczycy nie są aż tak głupi, by nie wierzyć w Sithów – w przeciwieństwie do naszych sąsiadów. Widziałem ruiny sithijskich budowli i muszę stwierdzić, że w niczym nie przypominają one ściśniętych, obronnych murów miasta, w którym przeżyłem swoje dzieciństwo. Nie, Crannhyr został wybudowany ręką człowieka – przestraszonego człowieka, jeśli moje oko jest bystrym obserwatorem.

– Twoje miasto wydaje się okropnym miejscem – wtrąciła Miriamele. – Wszystkie te szepty!

– Tak, sam nie przepadałem za nim. – Cadrach uśmiechnął się; jego uśmiech był zaledwie słabym błyskiem w ciemności. – Dlatego prawie przez całe dzieciństwo myślałem o tym, żeby się stamtąd wydostać. Moja matka umarła, kiedy byłem mały, a ojciec był zimnym, twardym mężczyzną, który pasował do tego miasta. Odzywał się do nas – moich braci i sióstr – tylko tyle, ile było konieczne, a i te słowa nie były zbyt miłe. Był kotlarzem. Uznał chyba, że walenie młotem przez cały dzień, aby zapełnić nam żołądki, stanowi dostateczne wypełnienie jego powinności, i nie poczuwał się do czegokolwiek więcej. Crannhyrczycy są w większości tacy jak on: zimni i odnoszący się z pogardą do tych, którzy są inni. Dlatego nie mogłem się doczekać, aby wyruszyć w świat.

Lecz o dziwo, jak na kogoś wychowanego w atmosferze spokoju i tajemnic, zapałałem gorącą miłością do starych ksiąg i nauk. Widziany oczyma dawnych mistrzów, takich jak Plesinnen Myrmenis czy Cuimnhe’s Frethis, nawet Crannhyr wydawał się piękny i tajemniczy, jeśli pomyślało się, że skrywa nie jakieś okropieństwa, lecz dziwną mądrość, jaką nie mogły się poszczycić mniej tajemnicze miejsca. W Bibliotece Tethaina, założonej w naszym mieście wieki temu przez Świętego Króla, odnalazłem

jedyne przyjazne dusze w całym otoczonym murami więzieniu. Oni, podobnie jak ja, żyli światłem minionych dni, tropili ślady zaginionej wiedzy z radością, z jaką inny tropi jelenia, by ostatecznie utopić strzałę w jego sercu.

I tam właśnie spotkałem Morgenesa. Wtedy – a było to prawie czterdzieści lat temu, młoda księżniczko – on lubił jeszcze podróżować. Nie znałem człowieka, który by widział więcej od Morgenesa, odwiedził więcej miejsc. Doktor spędził wiele czasu wśród zwojów Biblioteki Tethaina i znał jej zbiory lepiej niż starzy mnisi, którzy się nią opiekowali. Widział moje zainteresowanie historią oraz dawną nauką i poprowadził mnie ścieżkami, których w innym wypadku nigdy bym nie odkrył. Kiedy minęły lata, a on zobaczył, że moje poświęcenie dla nauki nie było tylko kaprysem młodości, opowiedział mi o Lidze Pergaminu założonej dawno temu przez świętego Eahlstana Fiskerne, Króla Rybaka z Hayholt. Eahlstan odziedziczył zamek Fingila wraz z jego mieczem, Minneyarem, lecz odrzucił dziedzictwo niszczenia – szczególnie niszczenia nauki. Wręcz przeciwnie, pragnął uchronić wiedzę, obawiając się, że może ona odejść w cień zapomnienia; uważał, że należy używać jej w chwilach potrzeby.

– Używać? Do czego?

– Często się o to sprzeczaliśmy. Wiedza nigdy nie mogła być przeznaczona tylko „dla Dobra” lub „dla Sprawiedliwości”; Ci, Którzy Noszą Zwój zrozumieli, że z chwilą, gdy zaistnieje tak ogromne pojęcie, człowiek dotyka *wszystkiego*. Można zatem powiedzieć, że Liga jest po to, by uchronić swoją własną naukę, by powstrzymać wiek ciemności, który znowu pogrzebałby tajemnice, pracowicie przez nią odkrywane. Ale bywało też, że działania Ligi ograniczały się do obrony samej siebie, a nie swojej nauki.

Jednak wtedy daleko jeszcze byłem od tak trudnych problemów. Dla mnie Liga stanowiła marzenie o niebie, widziałem ją jako wspólnotę wyjątkowych uczonych badających tajemnice Stworzenia. Jakże pragnąłem się do nich przyłączyć. I tak, gdy nasze wspólne umiłowanie wiedzy zaowocowało przyjaźnią – choć z mojej strony była to raczej miłość do kochanego ojca – Morgenes przedstawił mnie Tresholtowi, ojcu Jarnaugi, i Ookequkowi, mądremu trollowi z dalekiej Północy. Przedstawił jako godnego wstąpienia do Ligi, a oni zaakceptowali mnie bez wahania, darząc od pierwszej chwili serdecznością i zaufaniem, jakbyśmy się znali od lat – lecz stało się tak dzięki Morgenesowi. Z wyjątkiem Tresholta, którego żona zmarła kilka dni przed naszym spotkaniem, żaden z członków Ligi nie był żonaty. Tak było od wieków. Wstępowali do niej głównie ci – a mówię też o kobietach – którzy bardziej umiłowali wiedzę niż ludzkość. Nie znaczy to jednak, że nie obchodzą ich inni ludzie; tyle tylko, że potrafią bardziej ich kochać, choć znajdują się od nich z daleka, gdyż w rzeczywistości ludzie ich rozpraszają. W przypadku Tych, Którzy Noszą Zwój sama Liga stała się dla nich w pewnym sensie rodziną. Dlatego naturalny był fakt, że tak serdecznie przyjmowali każdego kandydata, którego wysuwał Doktor. Morgenes był jakby ojcem dla członków Ligi, choć on sam wzbraniał się przed przyznaniem mu większej od pozostałych władzy, nie mówiąc już o tym, że niektórzy wydawali się starsi od niego. Ale czy kto wie, gdzie i kiedy urodził się Morgenes?

Cadrach roześmiał się w ciemności kadłuba łodzi. Miriamele wolno opuszczała wiosła do wody; zasłuchana w jego słowa, poddawała się rytmowi kołyszącej się łodzi.

– Później – ciągnął mnich – spotkałem kolejnego członka Ligi, Xorastrę z Perdruin. Była zakonnicą, lecz porzuciła habit, zanim jeszcze się spotkaliśmy. Gospoda w Kwanitupulu, o której wspominałem, w pewnym

sensie należy do niej. Była niezwykle mądrą kobietą, ale ze względu na płeć nie dane jej było osiągnąć tego, na co zasługiwała: mogłaby zostać ministrem na królewskim dworze. Xorastra również mnie zaakceptowała, a także przedstawiła parze swoich kandydatów, gdyż oboje z Morgenesem od dawna już pragnęli powiększyć liczbę członków Ligi do siedmiu, ponieważ tylu liczyła w momencie powstania.

Obaj kandydaci byli młodsi ode mnie. Dinivan był młodzieńcem, który pobierał nauki wśród Usireanów. Bystra Xorastra dostrzegła w nim iskrę i miała nadzieję, że Morgenes rozdmucha ją w płomień, przy którym ogrzeje się także i Kościół – wtedy jeszcze gorąco go kochała. Drugim kandydatem był zdolny, dopiero co wyświęcony duchowny. Pochodził on z biednej rodziny zamieszkującej jedną z wysp, lecz szybko wybił się ponad swoje środowisko dzięki bystrości umysłu. Po długich rozmowach z Xorastrą i dwoma członkami Ligi z Północy Morgenes zaakceptował obu kandydatów. Tak że kiedy następnego roku spotkaliśmy się wszyscy w Tungoldyrze w domu Tresholta, Liga Pergaminu znowu liczyła siedmiu członków.

Cadrach mówił coraz wolniej, z coraz większym wysiłkiem, więc kiedy zamilkł, Miriamele pomyślała, że zasnął. Lecz on przemówił znowu po chwili, tyle tylko, że przeraźliwie złowieszczym głosem: – Lepiej, żeby nas w ogóle wtedy nie przyjmowali. Lepiej, żeby Liga odeszła w zapomnienie.

Kiedy znowu zapadła cisza, Miriamele wyprostowała się.

– Dlaczego? – spytała. – Co takiego zrobiłeś?

Mnich jęknął.

– Nie ja, księżniczko. – Moje grzechy przyszły później. Nie, chodziło o młodego duchownego, który znalazł się wśród nas... był to Pryrates.

Miriamele wstrzymała oddech i przez moment – pomimo coraz większej sympatii, jaką zaczynała żywić do Cadracha – poczuła

zamykającą się sieć jakiejś okropnej konspiracji. Czy wszyscy jej wrogowie sprzymierzyli się razem? Czy mnich rozgrywał jeszcze inną grę, w której znowu znalazła się całkowicie zdana na jego łaskę? Ale zaraz przypomniała sobie list, który zostawiła jej Gan Itai.

– Ale ty mi o tym wspominałeś – powiedziała z ulgą. – W liście do mnie mówiłeś o Pryratesie, o tym, że dzięki tobie stał się tym, kim jest.

– Jeśli tak było, to przesadziłem rozgoryczony – odparł smutno Cadrach. – Myślę, że ziarno zła zdążyło już w nim zakiełkować, inaczej nie wyrosłoby tak prędko i tak dorodnie. Moja wina przyszła później, a polegała na tym, że pomogłem mu, chociaż wiedziałem, jak bezlitosnym stał się stworzeniem i jak czarna jest jego dusza.

– W jaki sposób mu pomogłeś? I dlaczego?

– Ach, księżniczko. Widzę, że dzisiejszej nocy ogarnia mnie pijacka wylewność Hernystirczyków, choć nie pociągnąłem nawet łyka wina, lecz mimo to istnieją rzeczy, o których wolałbym nie mówić. Historia mojego upadku należy tylko do mnie. Większość spośród przyjaciół dzisiaj już nie żyje. Powiem ci tylko to: z wielu powodów, a głównie pod wpływem rzeczy, które studiowałem – a których nie powinienem był tykać – a także przez ból i wiele nocy, kiedy to pijany próbowałem zabić winę – radość, jaką znalazłem w swoim życiu, przeminęła. Jako dziecko wierzyłem w bogów mego ludu. Kiedy dorosłem, zacząłem w nich wątpić i uwierzyłem w jedynego boga Aedonitów – jedynego, choć tak przerażająco zjednoczonego ze swym synem Usiresem i Elysią, błogosławioną matką. Później, kiedy moje studia wydały pierwsze owoce, przestałem wierzyć w jakichkolwiek bogów, starych czy nowych. Lecz w wieku męskim na me serce opadł całun przeraźliwego strachu i teraz znowu wierzę w bogów... Ach, jak bardzo wierzę...! Gdyż wiem, że

zostałem przeklęty. – Mnich otarł rękawem oczy i nos. Siedział teraz skulony w mroku, do którego nie docierało nawet światło księżyca.

– Przeklęty? Co masz na myśli? W jaki sposób przeklęty?

– Gdybym wiedział, już dawno poprosiłbym jakiegoś szarlatana, żeby dał mi proszek na odczynienie. Nie, moja pani, żartuję tylko; ponury to żart. W świecie istnieją klątwy, jakich nie odczyni żadne zaklęcie. Sądzę, że podobnie rzecz ma się ze szczęściem, którego nie potrafi ludziom odebrać żadne zło ani zazdrosny rywal, a które tylko oni sami mogą utracić. Wiem tylko, że dawno temu życie stało się dla mnie ogromnym ciężarem, ciężarem nie do uniesienia. Stałem się pijakiem z wyboru – nie jakimś tam miejscowym klaunem, który budzi sąsiadów po nocy głośnym śpiewem, gdy wypije za dużo, lecz kimś, kto w samotności serca szuka zapomnienia. Jedynym pocieszeniem były moje księgi, ale i one z czasem zaczęły tchnąć grobem: mówiły tylko o zmarłych, dawnych myślach, a przede wszystkim o bezowocnych i utraconych nadziejach; każdy, kto choć raz doświadczył momentu uniesienia, poronił ich miliony.

Tak więc piłem, urągałem gwiazdom i piłem. Pijaństwo popychało mnie coraz głębiej w przepaść rozpaczy, a książki, szczególnie tom, który najpilniej studiowałem, tylko ją pogłębiały. Tym bardziej pragnąłem zapomnienia. I tak doszło do tego, że nikt nie chciał mnie widzieć w miejscach, gdzie wcześniej przyjaźnie mnie witano. Lecz kiedy opiekunowie Biblioteki Tethaina zabronili mi do niej wstępu, pogrążyłem się całkowicie w odmętach pijaństwa, a gdy otrzeźwiałem po długich miesiącach, leżałem przy drodze za murami Abaingeat, nagi i bez grosza przy duszy. Okrywszy się gałęziami i liśćmi – jak ostatnie zwierzę – udałem się nocą do domu szlachcica, dobrego człowieka, miłośnika nauki, który był niegdyś mym patronem. Przyjął mnie, nakarmił i przenocował. Następnego

ranka dał mi mnisi habit, należący przed laty do jego brata, i życząc mi szczęścia, wyprawił w drogę.

Ach, pani, pamiętam jego spojrzenie pełne pogardy i obrzydzenia, oby nikt nigdy na ciebie tak nie spojrzał. On znał mnie dobrze i nie dał się nabrać na gadanie o rabusiach i napadzie. Odchodząc, wiedziałem, że przekroczyłem mury, za którymi mieszkali moi bliźni, że teraz jestem jak trędowaty. Widzisz, rezultatem mojego pijaństwa i haniebnych czynów było tylko jedno: inni przekonali się wreszcie, że jestem przeklęty, o czym ja dawno już wiedziałem.

Cadrach mówił coraz bardziej ponurym głosem, aż wreszcie ucichł nawet jego ochrypły szept. Miriamele siedziała w milczeniu, wsłuchując się w jego głośny oddech. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ale co ty naprawdę zrobiłeś? – odważyła się wreszcie spytać. – Mówisz, że jesteś potępiony, ale nie zrobiłeś niczego złego poza tym, że za dużo piłeś.

Śmiech Cadracha urwał się nieprzyjemnie.

– Ach, wino miało tylko uśmierzyć ból. Takie już są te plamy, moja pani. Choć inni, a szczególnie ludzie tak niewinni jak ty, nie zawsze je dostrzegają, one tam są i wielu je wyczuwa, tak jak zwierz wyczuwa w swoim stadzie chorego lub szalonego osobnika. Czyż nie próbowałaś mnie utopić?

– To było co innego! – rzuciła urażona. – Zrobiłam tak, żeby cię ukarać za coś, co zrobiłeś!

– Nie obawiaj się – mruknął mnich. – Każda kara jest usprawiedliwiona, biorąc pod uwagę, ile zła uczyniłem od tamtej nocy przy drodze w Abaingeat.

Miriamele wciągnęła wiosła.

– Czy będzie tutaj dość płytko, żeby opuścić kotwicę? – spytała, starając się opanować drżenie głosu. – Ręce mnie bolą.

– Sprawdzę.

Kiedy mnich uwalniał kotwicę z uchwytu, sprawdzając, czy jej łańcuch mocno jest przyczepiony do łodzi, Miriamele zastanawiała się, co mogłaby zrobić, aby mu pomóc. Miała wrażenie, że cierpienie Cadracha pogłębia się, w miarę jak mówi. Wyczuła, że jego dotychczasowy optymizm był tylko osłoną maskującą głębokie rany. Nie wiedziała, czy pozwolić mu opowiadać dalej, choć najwyraźniej dużo go to kosztowało, czy dać spokój? Żałowała, że nie ma z nimi Geloë albo małego Binabika – on tak dobrze wiedział, jak rozmawiać z ludźmi. Kiedy kotwica uderzyła o powierzchnię wody i zafurczała lina opuszczająca ją w dół, siedzieli jakiś czas w milczeniu. Wreszcie przemówił Cadrach głosem nieco pogodniejszym:

– Lina rozwinęła się na jakieś dwadzieścia łokci, co może oznaczać, że jesteśmy bliżej brzegu, niż się tego spodziewałem. Mimo wszystko, Miriamele, powinnaś spróbować się przespać. Jutro czeka nas dużo pracy. Jeśli mamy dotrzeć do lądu, będziemy musieli wiosłować przez cały dzień na zmianę.

– A może dostrzeże nas jakiś statek i zabierze na pokład?

– Nie wiem, czy byłoby to dla nas najszczęśliwsze rozwiązanie. Nie zapominaj, że Nabban należy teraz całkowicie do twojego ojca i Pryratesa. Myślę, że bezpieczniej będzie dostać się łodzią na brzeg, wmieszać w tłum w biedniejszej części Nabbanu, a potem odnaleźć gospodę Xorastry.

– Nie wyjaśniłeś do końca historii Pryratesa – rzuciła śmiało, mając nadzieję, że nie powiedziała niczego niestosownego. – Co było między wami?

Cadrach westchnął.

– Pani, czy rzeczywiście chcesz mnie zmusić, abym opowiadał ci o tak ponurych sprawach? Ze strachu i słabości wspomniałem o nich w moim liście, gdyż obawiałem się, że możesz nie dostrzec, jak złym człowiekiem jest Aspitis.

– Cadrachu, nie chcę zmuszać cię do czegokolwiek, co mogłoby zwiększyć twoje cierpienie, ale chciałabym wiedzieć. Pamiętaj, że tajemnice te dotyczą także moich kłopotów. Uważam, że czas je wyjawić, bez względu na to, jak są okropne.

Mnich pokiwał wolno głową.

– Oto słowa królewskiej córki, ale dobrze powiedziane. Ach, bogowie nieba i ziemi, gdybym tylko wiedział, że nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy będę opowiadał podobne historie i mówił: „oto moje życie”, chyba wsadziłbym głowę do pieca mego ojca.

Miriamele nic nie odpowiedziała, otuliła się tylko płaszczem. Momentami mgła znikała i wtedy morze wyglądało jak ogromny, czarny blat stołu. Gwiazdy nad ich głowami wydawały się zbyt małe i chłodne, by ogrzać swym blaskiem; świecąc jednostajnym światłem, przypominały okruchy mlecznobiałego kamienia.

– Nie opuściłem grona zwykłych ludzi z pustymi rękoma. – Zaczął mówić Cadrach. – Wiele rzeczy uzyskałem w sposób całkowicie legalny, w czasie lat mych studiów. Posiadałem ogromny skarb, o którym nikt nie wiedział. To, czego nie zdążyłem jeszcze przepić, przechowywał mój stary przyjaciel. Lecz kiedy wiadomo już było, że nie mogę pozostać wśród drogich mi ludzi, odebrałem swoje rzeczy od niego, choć protestował, wiedząc, że nie znajdą się w odpowiednich rękach. I tak w chwilach szczególnie trudnych zawsze znalazł się handlarz zbierający rzadkie pisma albo książki zakazane przez Kościół, który kupował ode mnie jeden z mych skarbów – nie muszę dodawać, że zwykle za śmiesznie niską cenę. Ale jak

już wspominałem, posiadałem rzecz wartą wszystkich pozostałych. Długo by opowiadać, jak ją zdobyłem, w każdym razie nie pozbywałem się jej bez względu na sytuację. Widzisz, odnalazłem *Du Svardenvyrd*, słynną księgę szalonego Nissesa; był to ponoć jedyny egzemplarz, jaki pozostał do naszych czasów. Nie wiem, czy był to oryginał, gdyż okładka została wcześniej zniszczona, ale... osoba, od której ją otrzymałem, zaklinała się, że księga jest oryginalna; nawet jeśli było to fałszerstwo, to genialne. Tak czy owak, księga zawierała prawdziwe słowa Nissesa, co do tego nie było wątpliwości. Nikt, kto przeczytał o okropieństwach, o których ja czytałem, nie mógł potem spojrzeć na świat i nie uwierzyć.

– Słyszałam o tej księdze – powiedziała Miriamele. – Kim był Nisses?

Cadrach roześmiał się krótko.

– Pytanie zadawane od wieków. Przybył z Północy, z ziem poza Elvritshallą, z kraju Czarnych Rimmersmenów, którzy mieszkają we wnętrzu Burzowej Góry, i udał się do Fingila, Króla Rimmersgardu. Nie był jakimś nadwornym magikiem, ale podobno dał Fingilowi moc, która pozwoliła mu podbić połowę Osten Ard. Może władzą tą była mądrość, gdyż Nisses wiedział o rzeczach, o jakich innym się nawet nie śniło. Kiedy Asu’a został zdobyty, a Fingil zmarł, Nisses służył jego synowi, Hjeldinowi. Wtedy właśnie napisał swoją księgę, a w niej zawarł straszliwą wiedzę, którą przyniósł ze sobą, kiedy to pojawił się po raz pierwszy u bram dworu Fingila w czasie przeraźliwej burzy śnieżnej. Obaj z Hjeldinem zmarli w Asu’a. Młody Król rzucił się z wieży nazwanej jego imieniem, Nissesa zaś znaleziono martwego w pokoju, z którego wyskoczył Hjeldin – na jego ciele nie było żadnych znaków. Leżał uśmiechnięty z księgą w zaciśniętej dłoni.

Miriamele wzdrygnęła się.

– Tak, mówili o niej w Naglimundzie. Jarnauga twierdzi, że prawdopodobnie wspomina ona o nadejściu Króla Burz i innych rzeczach.

– Ach, Jarnauga – powiedział cicho Cadrach. – Jakże ucieszyłby się, mogąc ją zobaczyć! Ale ja nigdy nie pokazałem księgi żadnemu z członków Ligi.

– Dlaczego? Skoro ją posiadałeś, nawet jeśli miałeś kopię, dlaczego nie pokazałeś Morgenesowi albo komuś innemu? Wydawało mi się, że po to właśnie powstała Liga?

– Być może. Ale zanim skończyłem czytać księgę, nie byłem już jej członkiem. Czułem to. Z chwilą, gdy przewróciłem ostatnią stronę, umiłowanie nauki ustąpiło miejsca pragnieniu zapomnienia; oba uczucia wykluczają się wzajemnie. Ale ja chodziłem już wcześniej po złych ścieżkach, poznając rzeczy, których nikt nie powinien się uczyć, jeśli chce spać spokojnie. Ach, Miriamele, byłem też zazdrosny. Zazdrościłem innym członkom Ligi radości, jaką wynosili ze studiów, spokoju i pewności tego, że zrozumiałe jest wszystko to, co można zbadać. Wierzyli, iż wystarczy dość dokładnie przyjrzeć się naturze świata, by odgadnąć wszystkie jej zamiary. Ale ja miałem coś, czego oni nie posiadali. Już sama lektura księgi byłaby dowodem na poparcie rzeczy, o których im wspominałem, a ponadto zburzyłaby podstawy ich rozumowania. Szalałem z wściekłości, ale i z rozpaczy. – Jego głos przepełniała udręka. – Świat wygląda inaczej, odkąd wyjaśnił go Nisses. Tak jakby stronice księgi zanurzono w truciźnie, która powoli zabija ducha. Ja dotknąłem ich wszystkich.

– To okropne, co mówisz! – Miriamele przypomniała sobie ilustrację, którą widziała w jednej z książek Dinivana: był to rogaty olbrzym o czerwonych oczach. Od tamtej pory wizerunek ten niepokoił ją często w snach. Czy lepiej było nie wiedzieć o pewnych rzeczach, być nieświadomym pewnych myśli i obrazów?

– Tak, straszne, ale tylko dlatego, że odzwierciedla to prawdziwe okropieństwa, jakie czają się pod skorupą budzącego się świata, cienie będące odwrotną stroną słonecznego blasku. Wreszcie jednak nawet tak potężna rzecz jak księga Nissesa stała się dla mnie zaledwie instrumentem zapomnienia: przeczytawszy ją wielokrotnie, nie mogłem już znieść jej widoku i zacząłem sprzedawać stronice księgi.

– Elysio, Matko Miłosierdzia! Kto chciałby kupić coś takiego?

Cadrach zachichotał ochrypłym głosem.

– Nawet ci, którzy byli przekonani, że mają do czynienia jedynie z kopią, prześcigali się, by kupić choć stronę. Młoda księżniczko, zakazana książka wywołuje zaciekawienie, a co dopiero prawdziwie zła – nie ma ich tak wiele – ciekawscy lgną do niej jak pszczoły do miodu. – Jego śmiech stawał się coraz głośniejszy, lecz po chwili ucichł zduszony jakby szlochem. – Słodki Usiresie, powinienem był ją spalić!

– A Pryrates? – dopytywała się Miriamele. – Czy jemu też sprzedawałeś strony?

– Nigdy! – zaprzeczył gwałtownie Cadrach. – Już wtedy wiedziałem, że on jest demonem. Został wydalony z Ligi na długo przed moim upadkiem i wszyscy wiedzieli, jak bardzo jest on niebezpieczny! – Cadrach starał się opanować. – Nie. Myślę, że odwiedzał tych samych handlarzy co ja, gdyż tworzą oni nieliczną społeczność, i tą drogą wszedł w posiadanie fragmentów. Księżniczko, on posiada ogromną wiedzę o mrocznych sprawach, szczególnie jeśli chodzi o najniebezpieczniejsze części Sztuki. Z pewnością bez problemu dowiedział się, do kogo należała księga, z której sprzedawano strony. Z łatwością też mnie odnalazł, choć starałem się pozostawać w najgłębszym cieniu. Ale, jak powiedziałem, odnalazł mnie. Wysłał po mnie gwardzistów twojego ojca. Już wtedy był doradcą książąt czy przyszłych królów.

Miriamele przypomniała sobie dzień, w którym po raz pierwszy spotkała Pryratesa. Czerwony duchowny przybył do Meremundu, przynosząc Eliasowi wieści o wydarzeniach w Nabbanie. Miriamele próbowała wtedy porozmawiać ze swoim ojcem; pragnęła powiedzieć mu coś, co przywróciłoby uśmiech na jego twarzy, posępnej od tak dawna. Tamtego dnia sprawy państwowe stały się kolejną wymówką, by uniknąć rozmowy z córką i Elias odesłał Miriamele do jej pokoju. Wychodząc, spojrzała zaciekawiona na stojącego w drzwiach Pryratesa.

Już jako młoda dziewczyna Miriamele przyzwyczaiła się do różnorodnych spojrzeń, jakie jej widok wywoływał wśród dworzan: z irytacją spoglądali na nią ci, dla których była przeszkodą w realizacji ich własnych spraw, ze współczuciem patrzyli ci, którzy dostrzegali jej zagubienie i samotność, inni zaś nie ukrywali wyrachowania, zastanawiając się, kogo poślubi królewska córka albo czy będzie atrakcyjną kobietą i uległą królową po śmierci swego ojca. Do chwili spotkania z Pryratesem nikt jednak nie obdarzył jej spojrzeniem tak nieludzkim, zimnym jak kąpiel w lodowatym morzu. Nie dostrzegła ani odrobiny ludzkiego uczucia w jego czarnych oczach: wiedziała, że byłyby takie same, gdyby patrzył na rzeźnika krojącego mięso. Jednocześnie miała wrażenie, że duchowny przenika ją swoim spojrzeniem, obnaża najskrytsze myśli, które wiją się pod jego wzrokiem. Zdumiona i przerażona uciekła z płaczem. Odchodząc, usłyszała jeszcze oschły głos alchemika, kiedy ten zaczął mówić. Wiedziała, że nic nie znaczy dla niego, że może ją zignorować lub zniszczyć, jeśli uzna to za stosowne. Dla kogoś, kto dorastał w przeświadczeniu o swojej ważności, ważności, która przewyższała nawet jej miłość do ojca, odkrycie takie było wielkim szokiem.

A przecież jej ojciec, pomimo wielu wad, nie był aż takim potworem. Dlaczego więc dopuścił Pryratesa do kręgu swych zaufanych, tak że

diabelski duchowny stał się jego najbliższym doradcą? Od tamtej chwili pytanie to nurtowało ją nieustannie, lecz nigdy nie znalazła na nie odpowiedzi.

Teraz, siedząc w kołyszącej się łodzi, starała się opanować drżenie głosu.

– Cadrachu, powiedz mi, co się stało.

Mnich najwyraźniej nie chciał o tym mówić. Miriamele słyszała, jak drapie palcem w drewnianą ławkę, jakby szukał czegoś w ciemności.

– Znaleźli mnie w stajni jednej z gospód na południu Erchesteru – powiedział wolno. – Spałem w gnoju. Żołnierze wyciągnęli mnie na zewnątrz i wrzucili na wóz. Pojechaliśmy w kierunku Hayholt. Działo się to w czasie największej suszy i w popołudniowym świetle wszystko miało kolor złocistobrązowy, nawet bezbarwne drzewa trwały nieruchomo, jakby pokryto je wyschniętym błotem. Pamiętam, że trzeźwiałem wtedy po okropnym pijaństwie i w głowie dzwoniło mi jak w dzwonnicy. Leżąc, rozglądałem się i zastanawiałem, czy widzę świat takim wyblakłym dlatego, że moje usta, oczy i nos są zupełnie wyschnięte, jakby wypchano je trocinami.

– Żołnierze myśleli, że wiozą jakiegoś przestępcę, który nie dożyje następnego dnia. Mówili o mnie, jakbym już nie żył, narzekając, że muszą wieźć i pochować takie cuchnące ścierwo. Jeden z nich odgrażał się nawet, że zażąda dodatkowej opłaty za tak paskudną robotę. Wtedy jego kolega zażartował: „Od Pryratesa?” I tamten zamilkł natychmiast. Inni śmiali się, widząc jego zmieszanie, lecz oni także udawali, jakby odechciało im się wszystkiego na samą myśl o tym, że można żądać czegoś od czerwonego duchownego. Wtedy dopiero zrozumiałem, dokąd mnie wiozą, i wiedziałem, że lepiej byłoby zostać powieszonym jak złodziej czy zdrajca,

którym przecież byłem. Próbowałem zsunąć się z wozu, ale wciągnęli mnie z powrotem.

– Patrzcie! – zawołał jeden z nich. – On wie, o kim mówimy.

– Proszę – błagałem ich. – Nie zabierajcie mnie do tego człowieka. Jeśli macie w sobie choć odrobinę aedonickiego miłosierdzia, nie oddawajcie mnie duchownemu.

Żołnierz, który ostatni zabierał głos, spojrzał na mnie i wydawało mi się, że dostrzegłem w jego oku błysk litości, lecz powiedział tylko: „Żeby się wściekł na nas? Mamy osierocić własne dzieci? Nie, człowieku, weź się w garść i zachowuj jak mężczyzna”. Płakałem przez całą drogę do Bramy Nearulagh. Wóz zatrzymał się przed okutymi żelazem drzwiami Wieży Hjeldina i wciągnięto mnie do środka. Byłem zbyt słaby i przerażony, by się bronić, choć i tak nie miałbym żadnych szans z czterema żołnierzami. Przeciągnęli mnie przez korytarz, a potem wlekli na górę; miałem wrażenie, że pokonujemy miliony schodów. Wreszcie dotarliśmy do podwójnych, dębowych drzwi, które otworzyły się przed nami. Rzucili mnie brutalnie na twardą posadzkę w jakiejś zagraconej komnacie.

– Księżniczko, moje pierwsze wrażenie było takie, że wpadłem do jeziora krwi. Cały pokój był w kolorze purpury, każdy szczegół, nawet moje dłonie, którymi zakryłem twarz, zmieniły kolor. Spojrzałem przerażony na wysokie okna. Wszystkie miały szyby z jasnoczerwonego szkła, co sprawiało, że przenikające przez nie promienie zachodzącego słońca oślepiały patrzącego i upodabniały je do ogromnych rubinów. Czerwony blask pozbawiał wszystko w komnacie naturalnych kolorów, tak jak światło zmierzchu. Nie było tam innych barw poza czernią i czerwienią. W pokoju widziałem stoły i wysokie, chylące się półki, lecz żadne z nich nie dotykały półokrągłej ściany komnaty. Wszędzie pełno było książek, zwojów i... i innych przedmiotów, których widoku nie mogłem znieść.

Duchowny odznacza się niezwykłą dociekliwością. Jest gotów zrobić wszystko, by poznać prawdę, czy też prawdy istotne dla niego. Wiele spośród obiektów jego dociekań, głównie zwierząt, pozostawało w klatkach rozstawionych wśród książek; większość stworzeń żyła jeszcze, choć lepiej byłoby dla nich, gdyby zdechły. W przeciwieństwie do wypełnionego przedmiotami środka komnaty, ściana pozostawała dziwnie odsłonięta, pokrywały ją tylko tajemnicze, wymalowane farbą symbole.

– Ach – usłyszałem nagle głos. – Witaj, członku Ligi. – Oczywiście był to głos Pryratesa; siedział na wąskim krześle z wysokim oparciem pośrodku tego dziwnego gniazda. – Mam nadzieję, że miałeś wygodną podróż?

– Przejdźmy do rzeczy – powiedziałem. Byłem zrozpaczony i zrezygnowany. – Nie należysz już do Ligi, Pryratesie, podobnie jak ja. Czego chcesz?

Uśmiechnął się. Najwyraźniej nie zamierzał przyspieszać czegoś, co było dla niego przyjemną rozrywką.

– Zawsze pozostaniesz Tym, Który Nosi Zwój, skoro należałeś kiedyś do Ligi – zachichotał. – Czyż obaj nie zajmujemy się wciąż starymi zwojami, księgami?

Serce we mnie zamarło, kiedy usłyszałem te słowa. Początkowo myślałem, że chce się zemścić za wyrzucenie go z Ligi, choć inni ponosili za to większą odpowiedzialność. Lecz usłyszawszy jego słowa, domyśliłem się, że chodzi mu o coś innego. On po prostu chciał dostać pewną książkę, która, jak sądził, była w moim posiadaniu, a ja nie miałem wątpliwości, o jaką książkę mu chodzi.

Przez jakiś czas dzielnie stawiałem mu czoło, fechtując słowami jak mieczem – bo, widzisz, pijak straci wszystko, ale jego przebiegłość przeżyje nawet jego duszę – choć obaj wiedzieliśmy, że będę musiał przegrać ten pojedynek. Byłem zmęczony – zmęczony i chory. Kiedy

rozmawialiśmy, do pokoju weszło dwóch ludzi. Nie byli to już gwardziści; nosili ciemne habity, a ich krótko ostrzyżone, ciemne włosy i śniada cera sugerowały, że pochodzą raczej z wysp południowych. Żaden z nich nie powiedział ani słowa, może byli niemowami, ale doskonale wiedziałem, po co przyszli: mieli mnie przytrzymać, tak aby Pryrates mógł się skupić, przechodząc do bardziej przekonujących argumentów w naszej dyskusji. Dałem za wygraną, kiedy chwycili mnie za ręce i przyciągnęli do krzesła Pryratesa. Nie, nie obawiałem się bólu czy tortur, które mogły udręczyć moją duszę. Przysięgam ci, Miriamele, że się tego nie bałem, choć nie wiem, jakie to ma teraz znaczenie. Ja tylko zobojętniałem na wszystko. Pomyślałem sobie, że pozwolę mu wziąć, co zechce. Pozwolę, by zrobił z tym, co zechce. Wmawiałem sobie, że przecież nie jest tak, że świat zbrukany grzechem zostaje niesłusznie ukarany, gdyż tak długo nurzałem się w jego bagnie, że jedynym dobrem, jakie widziałem przed sobą, była nicość.

– Padreic – powiedział. – Sprzedajesz stronice pewnej starej księgi. Zaraz, a może teraz nazywasz się inaczej? Nieważne. Potrzebuję tej księgi. Wyjdziesz stąd jeszcze dzisiaj, jeśli powiesz mi, gdzie ją trzymasz. – Wskazał na czerwone okna. – Jeśli nie... – Teraz wskazał na pewne przedmioty, leżące na stole stojącym najbliżej jego krzesła, przedmioty, z których nie zmyto krwi i włosów.

– Już jej nie mam – powiedziałem mu. I tak było. Dwa tygodnie wcześniej sprzedałem ostatnie strony księgi. W gospodzie, przy której mnie znaleźli, przepiłem resztkę pieniędzy.

– Nie wierzę ci, człowieczku – powiedział. I wtedy zajęli się mną jego słudzy, aż zacząłem krzyczeć. Kiedy wciąż nie mógł uzyskać zadowalającej odpowiedzi, sam zabrał się do pracy; przestał dopiero wtedy, gdy nie miałem już siły wrzeszczeć i jęczałem tylko niezrozumiale. – Hmm –

powiedział, drapiąc się po brodzie, jakby naśladował Doktora Morgenesa, który często przybierał taką pozę, kiedy zastanawiał się nad trudniejszym fragmentem tłumaczenia. – Może jednak dam za wygraną. Chociaż trudno mi uwierzyć, żeby taki śmieć jak ty milczał powodowany moralnością. Powiedz, komu sprzedałeś strony – wszystkie.

Podałem mu te nazwiska, które pamiętałem, jednocześnie przeklinając siebie za śmierć tych osób, gdyż nie miałem wątpliwości, że Pryrates gotów jest je zabić, aby otrzymać to, czego pragnie. W chwilach wahania pomagali mi jego słudzy...

Cadrach umilkł i z ciemności dobiegło jego głębokie szlochanie. Miriamele słyszała, jak próbuje je powstrzymać, aż w końcu zaniósł się kaszlem. Pochyliła się i uścisnęła mocno jego zimną dłoń, wyrażając tym samym swoje współczucie. Po chwili jego oddech stał się bardziej regularny.

– Wybacz, księżniczko – powiedział ochrypłym głosem. – Trudno mi o tym mówić.

Miriamele poczuła łzy napływające do oczu.

– To moja wina. Nie powinnam była nakłaniać cię do mówienia. Dosyć już. Prześpij się.

– Nie. – Wiedziała, że mnich drży. – Skoro zacząłem. I tak nie mógłbym zasnąć. Może poczuję się lepiej, kiedy skończę. – Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie. – Wydawało mi się, że wydobył ze mnie wszystko, czego potrzebował, ale się myliłem.

– Padreic, a co będzie, jeśli ci panowie nie będą mieli wszystkich fragmentów, których szukam? – zapytał. Ach, bogowie, nie ma nic bardziej plugawego niż uśmiech Pryratesa! – Spróbuj przypomnieć sobie, co pamiętasz z księgi. Z pewnością zostało ci jeszcze trochę oleju w głowie przesiąkniętej winem. No, mały nowicjuszu, gadaj.

I powiedziałem mu. Każde słowo, które pamiętałem, choć nie wszystko było po kolei. Szczególnie interesowały go tajemnicze słowa Nissesa odnoszące się do śmierci, a głównie te, które wspominały o „mówieniu poprzez welon”. Moim zdaniem był to pewien rytuał, pozwalający dotrzeć do czegoś, co Nisses nazywał „pieśniami wyższych sfer”, to znaczy do myśli tych, którzy w jakiś sposób pozostawali poza śmiertelnością – zarówno zmarli, jak i ci, pozostający poza życiem. Mówiłem mu o tym wszystkim, cierpiąc straszliwe męki, a on siedział tylko i słuchał, kiwając łysą głową, która lśniła w niesamowitym świetle.

W pewnym momencie zauważyłem coś dziwnego. Przestali mnie torturować, w miarę jak mówiłem coraz więcej o tym, co pamiętałem z księgi Nissesa, a nawet jeden z niemych sług Pryratesa dał mi wody do picia. I kiedy tak rozprawiałem, odpowiadając na pytania Pryratesa z gorliwością duchownego, który odprawia swoją pierwszą mszę, zauważyłem, że coś dziwnego dzieje się ze światłem w pokoju. Początkowo – musisz pamiętać, że byłem strasznie umęczony – wydawało mi się, iż Pryrates w jakiś sposób spowodował, że słońce wędruje w odwrotnym kierunku, gdyż światło wpadające przez czerwone szyby przesuwało się z zachodu na wschód. Zastanawiałem się nad tym – czasem dobrze jest skupić myśli na czymś innym niż to, co się z nami dzieje – i doszedłem do wniosku, że nie można było zaprzeczyć prawom natury. Przyczyny tego zjawiska należało raczej szukać w samej wieży czy też jej górnej części, w której się znajdowaliśmy, a która obracała się wolno, zgodnie z ruchem słońca, tyle że nieco szybciej od niego, lecz na tyle wolno, że nikt z zewnątrz nie był w stanie tego zauważyć, biorąc pod uwagę fakt, iż ze wszystkich stron budowla wyglądała identycznie.

Tak więc zrozumiałem przyczynę, dla której nic nie mogło opierać się o ściany komnaty. Pomimo strachu i bólu nie potrafiłem odegnać pełnych

podziwu myśli o wielkich przekładniach, o kołach, które z pewnością pracowały w ścianie lub pode mną. Kiedyś pasjonowały mnie takie rzeczy; w młodości spędziłem wiele godzin, studiując prawa mechaniki dotyczące obracającej się kuli ziemskiej i sfery niebieskiej. Bogom należy dziękować, że w tamtej chwili miałem o czym myśleć i mogłem zapomnieć o tym, co działo się ze mną i co ja robiłem innym.

Nie przestając mówić, rozglądałem się po okrągłym pokoju, aż wreszcie dostrzegłem delikatne znaki wycięte w czerwonym szkle okien. Zauważyłem też, że znaki te, wydłużone – przez co przypominały linie ciemniejszej czerwieni – przechodzą przez dziwne symbole przedstawione na ścianach komnaty. Doszedłem do wniosku, że Pryrates zamienił górną część Wieży Hjeldina w swego rodzaju ogromną klepsydrę wodną, niezwykle precyzyjne urządzenie wskazujące czas. Wiele o tym myślałem, lecz do dzisiaj nie przychodzi mi do głowy inne wyjaśnienie. Może zwykła klepsydra albo zegar słoneczny okazały się zbyt mało precyzyjne, z chwilą kiedy Pryrates oddał się czarnej magii.

Miriamele cierpliwie czekała na dalszą część opowieści.

– I co się stało, Cadrachu?

Cadrach milczał jeszcze przez chwilę, a kiedy wreszcie się odezwał, zaczął mówić trochę szybciej, jakby ta część jego historii była jeszcze okropniejsza od tego, co już powiedział.

– Kiedy już powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, Pryrates zamyślił się i dumał tak długo, że promień słońca zdążył zsunąć się z jednego okna i pojawić na krawędzi drugiego. Potem wstał i dał znak ręką, na który jeden z jego sług stanął za moimi plecami. Poczułem uderzenie w głowę i straciłem przytomność. Obudziłem się w krzakach na brzegu Kynslagh; ubranie miałem podarte, poplamione krwią i odchodami.

Myśleli pewnie, iż nie żyję. Pryrates uznał, że nie jestem wart większego zachodu, nawet tego, by sprawdzić, czy nie żyję.

Cadrach zamilkł, by zaczerpnąć powietrza.

– Myślisz może, iż nie posiadałem się z radości, budząc się żywym, ale ja poczołgałem się w głąb zarośli, czekając na śmierć. Wtedy jednak dni były bardzo ciepłe i suche – nie umarłem. Odzyskawszy nieco siły, udałem się do Erchesteru. Tam ukradłem ubranie i coś do jedzenia. Wykąpałem się nawet w Kynslagh, żeby móc pójść do miejsca, gdzie sprzedawali wino. – Mnich jęknął. – Nie potrafiłem jednak opuścić miasta, choć bardzo tego pragnąłem. Przerażał mnie widok Wieży Hjeldina wznoszącej się wysoko nad Hayholt, ale nie mogłem się od niej oddalić; jakby Pryrates odebrał mi część mojej duszy i uwiązał na postronku, by móc przywołać mnie z powrotem, gdy tego zapragnie, chociaż z drugiej strony najwyraźniej nie obchodziło go, czy żyję, czy nie. Tak więc pozostawałem w mieście: piłem, kradłem i próbowałem zapomnieć o straszliwej zdradzie, jakiej się dopuściłem. Nie zapomniałem o tym – nigdy nie zapomnę – ale wreszcie nabrałem tyle sił, by wyrwać się z cienia wieży i uciec z Erchesteru.

Przez chwilę wydawało się, że mnich chce jeszcze coś powiedzieć, lecz on zadrżał i zamilkł.

Miriamele znowu ścisnęła jego dłoń, która drapała nerwowo drewnianą ławkę. Gdzieś na południu samotna mewa zawołała płaczliwie.

– Cadrachu, głupotą jest obwinianie się. Każdy zrobiłby to samo.

– Nie, księżniczko – szepnął ze smutkiem. – Nie każdy. Są tacy, którzy prędzej umarliby, niż wyjawili taką tajemnicę. A co ważniejsze, inni nie oddaliby swojego skarbu – szczególnie tak niebezpiecznego skarbu jak księga Nissesa – za kilka dzbanów wina. To było moim świętym obowiązkiem. Liga Pergaminu do tego właśnie została powołana: aby zachować wiedzę, a także aby uchronić Osten Ard przed takimi jak

Pryrates, którzy chcieliby wykorzystać dawną wiedzę przeciwko innym. Zawiodłem w obu sprawach. Liga miała także strzec przed nadejściem Inelukiego, Króla Burz. I tutaj zawiodłem najbardziej, gdyż pozwoliłem Pryratesowi odnaleźć tego straszliwego ducha i raz jeszcze zainteresować go ludzkością. A wszystko to tylko dlatego, że chciałem więcej wina; więcej wina, by jeszcze bardziej otumanić swój, i tak już dość pusty, rozum.

– Ale dlaczego Pryrates chciał to wszystko wiedzieć? Dlaczego tak bardzo interesował się śmiercią?

– Nie wiem. – Cadrach był znużony. – Jego umysł jest zgniły jak stary owoc. Kto wie, co może się z niego wylęgnąć.

Miriamele ścisnęła dłoń mnicha, tym razem ze złością.

– To nie jest odpowiedź.

Cadrach wyprostował się.

– Wybacz, pani, ale nie potrafię zaspokoić twojej ciekawości. Wnioskując z pytań, jakie mi zadawał, mogę przypuszczać, że nie szukał spotkania z Królem Burz, przynajmniej nie na początku. Nie, z innych względów interesowało go „mówienie przez welon”. Myślę, że dostrzeżono go, kiedy zaczął badać te mroczne tereny. Większość śmiertelników, którzy się na to ważą, zostaje porażona śmiercią albo szaleństwem, lecz może Pryratesa uznano za dogodne narzędzie dla mściwego Inelukiego. Po tym, co usłyszałem od ciebie i innych, rzeczywiście wydaje się bardzo przydatny.

Czując chłód nocnej bryzy, Miriamele zsunęła się niżej. Czuła, że coś, co powiedział Cadrach, nie daje jej spokoju, domaga się przemyślenia.

– Chcę pomyśleć – powiedziała.

– Nie zdziwię się, pani, jeśli powiesz, że czujesz obrzydzenie. – Jego słowa dochodziły jakby z oddali. – Ja sam czuję do siebie niewypowiedziane obrzydzenie.

– Nie bądź głupcem. – Uniosła jego zimną dłoń i przycisnęła ją do swego policzka. Zaskoczony trwał nieruchomo przez chwilę, po czym zaraz cofnął rękę. – Popełniłeś błędy, Cadrachu. Podobnie jak ja i inni. – Ziewnęła. – A teraz idźmy spać, żebyśmy rano mieli siły do wiosłowania. – Wpełzła obok mnicha do prowizorycznego namiotu.

– Pani? – odezwał się Cadrach głosem wyrażającym zdziwienie, lecz ona nic nie odpowiedziała.

Jakiś czas później, kiedy zapadała już w sen, usłyszała, jak wsuwa się pod osłonę z grubego materiału. Skulił się przy jej stopach, lecz oddychał spokojnie, jakby i on rozmyślał. Wkrótce zasnęła, uśpiona łagodnym szumem fal i delikatnym kołysaniem zakotwiczonej łodzi.

10. Jeźdźcy Świtu

CHOĆ CHŁODNA, PORANNA MGŁA spowijała *Sesuad'ra*, w Nowym Gadrinsett panował bardzo wesoły nastrój. W roku przeważnie niepomyślnych nowin posiłki trolli, których przyprowadzili przez zamarzające jezioro Simon i Binabik, okazały się przyjemną niespodzianką. Kiedy Simon i jego mali przyjaciele wyłonili się zza ostatniego zakrętu starej sithijskiej drogi, natychmiast otoczyły ich gromady szczebioczących dzieci, które wybiegły im naprzeciw, pozostawiając z tyłu rodziców i starsze rodzeństwo. Górskie barany, przyzwyczajone do hałasu panującego w trollich wioskach, szły spokojnie. Co jakiś czas szorstkie, śniade dłonie chwytały dzieci i sadzały je na siodle pasterza lub łowczyni. Jeden z malców wybuchnął płaczem, nie spodziewając się tak bezpośredniego przywitania z przybyszami. Uśmiechając się z zakłopotaniem zza rzadkiej brody, troll przytrzymywał go delikatnie, ale stanowczo, aby chłopiec nie spadł między trącające się rogami barany. Płacz chłopca wznosił się ponad wrzaski innych dzieci, a nawet spontaniczną muzykę maszerujących trolli.

Binabik poinformował Josuę o przybyciu swoich ludzi, jeszcze zanim wyruszył z Simonem do lasu, a książę postarał się, by godnie ich przyjęto. Barany zaprowadzono do ogrzanej jaskini zamienionej w stajnię, gdzie z zadowoleniem zaczęły skubać siano w towarzystwie koni należących do osadników Nowego Gadrinsett. Stamtąd Sisqi i jej wojsko – wciąż otoczeni tłumem gapiów – udali się do wygładzonych wiatrem ruin Domu Rozstania. Zapasy osadników i żywność, którą przyniosły trolle, pozwoliły na

skromny, wspólny posiłek. Nowe Gadrinsett liczyło już tylu mieszkańców, że w połączeniu z kilkudziesięcioma malutkimi przybyszami wypełnili ogromną komnatę po brzegi, lecz tym razem okazała się ona o wiele cieplejszym miejscem ze względu na bliskość zebranych. Jedzenia było niewiele, lecz towarzystwo bardzo interesujące.

Sangfugol, ubrany w swój najlepszy, choć nieco znoszony kubrak i pończochy, zaśpiewał kilka starych i znanych pieśni. Trolle natychmiast wyraziły swój aplauz, uderzając dłońmi po butach, który to zwyczaj bardzo rozbawił mieszkańców Nowego Gadrinsett. Jeden z przybyszów wraz ze swoją towarzyszką, zachęcani przez pozostałe trolle, chwycili za swoje włócznie używane jednocześnie do zaganiania owiec i wykonali niezwykle akrobatyczny taniec wymagający wielu przewrotów i podskoków. Mieszkańcy Nowego Gadrinsett coraz bardziej przekonywali się do małych przybyszów – nawet ci, którzy przyszli na ucztę z uczuciem podejrzliwości wobec trolli. Jedynie osadnicy urodzeni w Rimmersgardzie wciąż siedzieli pochmurni, bo też trudno się było spodziewać, by jedna uczta zatarła odwieczne animozje, jakie od dawna żywili wobec siebie trolle i Rimmersmeni.

Simon rozglądał się z dumą. Nie pił, gdyż wciąż jeszcze czuł niemiłe dudnienie w głowie po wypitym poprzedniej nocy napoju kangkang. Mimo to czuł przyjemne oszołomienie, jakby właśnie opróżnił sporą część bukłaka z winem. Obrońcy *Sesuad’ra* z wdzięcznością witali nowych sprzymierzeńców. Trolle to małe istoty, lecz Simon pamiętał z Sikkihoq, jak dzielnymi potrafią być wojownikami. Wciąż ich szanse na odparcie ataku Fengbalda były znikome, lecz już bardziej wyrównane niż poprzedniego dnia. Ale najważniejsze dla Simona było to, że Sisqi poprosiła go oficjalnie, by walczył u boku jej wojowników. Czuł się niezwykle zaszczycony, gdyż – o ile było mu wiadomo – nigdy dotąd nie prosili o to żadnego Utku.

Powiedziała mu, że lud Qanuc docenia jego odwagę i lojalność, jaką okazał wobec Binabika.

Simon z trudem potrafił ukryć rozpierającą go dumę, lecz na razie postanowił zachować całą radość dla siebie. Mimo to przy stole uśmiechał się radośnie do każdego, kto na niego spojrzał.

Kiedy pojawił się Jeremias, Simon zmusił go, by usiadł przy nim. W towarzystwie księcia i innych „wysoce urodzonych", jak nazywał ich Jeremias, były pomocnik kupca czuł się swobodniej, gdy mógł usługiwać przy stole u boku Simona, co z kolei wcale nie sprawiało, że młodzieniec czuł się swobodniej.

– Tak nie powinno być – mruknął Jeremias ze wzrokiem utkwionym w kielich, który postawił przed nim Simon. – Simonie, jestem twoim giermkiem. Nie powinienem siedzieć przy książęcym stole. Moim obowiązkiem jest napełnianie kielichów.

– Nonsens. – Simon machnął dłonią energicznie. – Tutaj jest inaczej. A poza tym, gdybyś uciekł z zamku wtedy, kiedy ja to zrobiłem, tobie przydarzyłyby się wszystkie przygody, a ja znalazłbym się z Inchem w podziemiach...

– Nie mów tak! – powiedział szybko Jeremias, otwierając szeroko oczy w przestrachu. – Ty nie wiesz... – Starał się opanować. – Nie, Simonie, nawet tak nie mów, bo sprowadzisz nieszczęście i rzeczywiście tak się stanie! – Po chwili wyraz jego twarzy się zmienił. – I tak się mylisz – dodał zamyślony. – Mnie nie przytrafiłyby się takie rzeczy: smok, istoty z opowieści. Jeśli nie widzisz, że jesteś wyjątkowy, to... – Jeremias wciągnął głęboko powietrze – ...to jesteś głupi.

Słowa Jeremiasa wprawiły Simona w jeszcze większe zakłopotanie.

– Zdecyduj się, wyjątkowy czy głupi – mruknął.

Jeremias wpatrywał się w niego, jakby odgadując jego myśli. Pomyślał jeszcze przez chwilę, a potem na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

– Wyjątkowo głupi. Tak, to jest najwłaściwsze określenie, skoro już chcesz wiedzieć.

Czując, że znowu znaleźli się na bezpiecznym gruncie, Simon umoczył palce w swoim kielichu, po czym strzepnął kilka kropel wina na bladą twarz Jeremiasa, który parsknął zaskoczony.

– A ty, panie, nie jesteś lepszy. Namaściłem cię, a teraz nadaję ci imię „Sir Głupio Wyjątkowy”. – Z poważną miną strzepnął kilka kolejnych kropli.

Jeremias warknął i uderzył ręką w kielich, wylewając resztki wina na koszulę Simona. Wtedy obaj chwycili się za bary i zaczęli mocować jak młode niedźwiedzie.

– Wyjątkowo Głupi!

– Głupio Wyjątkowy!

Walka stawała się coraz bardziej zacięta, tak że siedzący najbliżej walczących usunęli się, by dać im więcej miejsca. Nawet książę Josua nie mógł długo zachować powagi należnej jego osobie. Lady Vorzheva śmiała się szczerze.

Trolle, które dotąd brały udział w uroczystościach odbywających się w ich ponurym Chidsik ub Lingit i nigdy dotąd nie oglądały dwóch przyjaciół mocujących się i wcierających sobie nawzajem wino we włosy, przyglądały się walce z pełnym powagi zainteresowaniem. Jedne zastanawiały się głośno, czy ze zwycięstwem wiąże się jakaś wróżba lub przepowiednia, inne dopytywały się, czy nie będzie to obrazą uczuć religijnych gospodarzy, jeśli przyjmą kilka zakładów. Co do tego ostatniego szybko doszły do wniosku, że nie będzie obrazą to, czego nikt nie widzi.

Szanse na wygraną zmieniały się kilkakrotnie, w zależności od tego, który z walczących znajdował się na granicy przegranej.

Zainteresowanie trolli rosło, gdy wciąż żaden z walczących nie wygrywał. Bardziej kosmopolityczni przedstawiciele ludu Qanuc wyjaśnili pozostałym, że musi w tym być coś więcej niż tylko zawody, skoro trwa to tak długo, i to w czasie uroczystego przyjęcia odbywającego się w jaskini Pasterza i Łowczyni mieszkańców nizin. Był to raczej, jak wyjaśnili swoim ziomkom, jakiś skomplikowany taniec, który miał sprowadzić szczęście i siłę bogów przed nadchodzącą bitwą. Nie, zaprzeczali inni, to z pewnością walka o prawo do kobiety. Barany tak postępowały, więc dlaczego nie mieliby mieszkańcy nizin?

Simon i Jeremias nagle zamarli, kiedy zdali sobie sprawę, że prawie wszyscy im się przyglądają. Spoceni, z rumieńcami na twarzach, poprawili swoje krzesła i zabrali się do jedzenia, nie ważąc się podnieść wzroku znad talerzy. Trolle szeptały między sobą zasmucone. Żałowały, że nie było tam Binabika ani Sisqi, którzy mogliby przetłumaczyć ich liczne pytania dotyczące dziwnego rytuału. Przepadła okazja, by lepiej poznać zwyczaje Utku.

BINABIK I JEGO UKOCHANA stali przed Domem Rozstania po kostki w śniegu, który pokrył Ogród Ognia. Oboje nie zwracali uwagi na zimno – późna wiosna w Yiqanuc mogła być gorsza od obecnego chłodu – a od dawna nie byli sami.

Nasunąwszy kaptury na głowy, stali tak blisko siebie, że oddechami rozgrzewali wzajemnie swoje policzki. Binabik uniósł dłoń i delikatnie strzepnął z policzka Sisqi płatek topniejącego śniegu.

– Jesteś jeszcze piękniejsza – powiedział. – Myślałem, że to samotność igrała z moją pamięcią, ale jesteś jeszcze piękniejsza, niż cię zapamiętałem.

Sisqi uśmiechnęła się i przyciągnęła go do siebie.

– Pochlebstwa, same pochlebstwa. Czy próbowałeś ich z tymi ogromnymi kobietami z nizin? Uważaj, jedna z nich może poczuć się urażona i cię spoliczkować.

Binabik zmarszczył brwi, udając, że się gniewa.

– Sisqinanamook, nie widzę nikogo poza tobą i tak jest od chwili, kiedy po raz pierwszy otworzyłaś swe oczy przede mną.

Otoczyła go ramionami i uścisnęła z całej siły. Potem odwróciła się i znowu ruszyła przed siebie. Binabik szedł obok.

– Z radością przyjąłem wieści od ciebie – powiedział. – Martwiłem się o nasz lud od czasu, kiedy opuściłem Jezioro Błękitnego Błota.

Sisqi wzruszyła ramionami.

– Damy sobie radę. Dzieci Seddy zawsze sobie poradzą. Ale przekonać rodziców, by pozwolili mi przyprowadzić choć tylu ludzi, nie było łatwe – jakbym wyciągała kamień z kopyta rozzłoszczonego barana.

– Może nawet Pasterz i Łowczyni uwierzyli w to, co napisał Ookequk – powiedział Binabik – ale fakt, że coś nieprzyjemnego okazało się prawdziwe, nie oznacza jeszcze, że stanie się to łatwiejsze do przyjęcia. Mimo to Josua i jego ludzie są bardzo wdzięczni; przyda się każde ramię, każde oko. Choć niechętnie, Pasterz i Łowczyni uczynili dobrą rzecz. – Zamilkł na chwilę. – Ty także bardzo dobrze postąpiłaś. Dziękuję ci za to, że byłaś tak miła dla Simona.

Sisqi spojrzała na niego zdumiona.

– O czym mówisz?

– O tym, że poprosiłaś go, aby przyłączył się do oddziału trolli. To miało dla niego duże znaczenie.

Uśmiechnęła się.

– Ukochany, to żadna uprzejmość. Zasłużył sobie na ten zaszczyt, a poza tym była to decyzja nie tylko moja, ale wszystkich, którzy ze mną przybyli.

Binabik patrzył na nią zdziwiony.

– Przecież oni go nie znają!

– Niektórzy znają. Są tu tacy, którzy przeżyli nasz marsz na Sikkihoq. Z pewnością widziałeś Snenneqa. Oni to opowiedzieli innym *o wyczynach twojego młodego przyjaciela,* co zrobiło duże wrażenie na naszych ludziach.

– Młody Simon. – Binabik zamyślił się na moment. – Dziwne to wszystko, ale wiem, że mówisz prawdę.

– Twój przyjaciel urósł od czasu, kiedy się rozstaliśmy nad jeziorem. Zauważyłeś to chyba?

– Wiem, że nie chodzi ci o wzrost – on zawsze był duży, nawet jak na kogoś swojego rodzaju.

Sisqi uśmiechnęła się i znowu go objęła.

– Oczywiście, że nie. Chciałam tylko powiedzieć, że od czasu, kiedy zszedł z naszych gór, wygląda jak ktoś, kto wkroczył na Ścieżkę Wieku Męskiego.

– Mieszkańcy nizin żyją inaczej, ale rzeczywiście chyba ostatni rok był dla niego w pewnym sensie ścieżką wieku dorosłego, po której wciąż kroczy. – Binabik pokiwał głową i ujął jej dłoń w swoje ręce. – Byłem w takim razie niesprawiedliwy wobec Simona, sądząc, że zrobiłaś to z uprzejmości. Jest młody i szybko się zmienia. Przebywam wciąż obok niego i pewnie nie zauważam zmian tak wyraźnie jak ty.

– Binbiniqegabeniku, widzisz rzeczy lepiej od nas. Dlatego cię właśnie kocham i dlatego nic nie może ci się stać. Nie dawałam rodzicom spokoju,

dopóki nie pozwolili, bym mogła znaleźć się u twego boku z naszymi ludźmi.

– Ach, Sisqi – powiedział zamyślony – nawet tysiąc najdzielniejszych trolli nie mogłoby nas ocalić, lecz lepiej jest mieć ciebie niż milion włóczni.

– Znowu pochlebstwa – zauważyła uśmiechnięta – ale pięknie powiedziane.

Szli dalej obok siebie przez śnieg.

JEDZENIA BYŁO MAŁO, ALE DREWNA pod dostatkiem, toteż ogień w Domu Rozstania płonął wysoko, podsycany kłodami, aż dym uczernił sufit. Kiedy indziej Simon zmartwiłby się, widząc, jak marnieje święte miejsce Sithów, ale tego wieczoru uznał to za wyraz radości w czasach, kiedy tak trudno o nadzieję. Spojrzał na krąg ludzi utworzony wokół ogniska, po skończonej kolacji.

Większość osadników wróciła już do swoich namiotów i jaskiń, zmęczona długim dniem i nieoczekiwaną ucztą. Poszły też częściowo trolle, niektóre, by doglądnąć baranów – no bo co, myślały w duchu, mieszkańcy nizin mogą naprawdę wiedzieć o owcach – a inne do jaskiń przygotowanych dla nich przez ludzi Josui. Binabik i Sisqi siedzieli teraz obok księcia przy stole i rozmawiali cicho; ich twarze, skupione i poważne, wyróżniały się spośród pozostałych jeszcze biesiadników, którzy podawali sobie przy ogniu ostatnie bukłaki z winem. Simon zawahał się przez chwilę, a potem ruszył w stronę siedzących przy ogniu.

Chwilę wcześniej lady Vorzheva opuściła książęcy stół i udała się w stronę drzwi w towarzystwie księżnej Gutrun, która szła tuż obok, podtrzymując jej łokieć, na podobieństwo matki gotowej w każdej chwili powstrzymać porywcze dziecko. Księżna zatrzymała się, ujrzawszy Simona.

– Ach, tu jesteś – powiedziała i skinęła na młodzieńca. Dziecko w jej łonie stawało się coraz większe.

– Pani, księżno. – Zastanawiał się, czy powinien się skłonić, i zaraz przypomniał sobie, że niedawno obie widziały, jak mocował się z Jeremiasem. Zaczerwienił się i natychmiast ukłonił, by ukryć twarz.

Vorzheva chyba się uśmiechnęła.

– Książę Josua mówi, że trolle są twoimi wielkimi sprzymierzeńcami, Simonie, a może powinnam mówić sir Seomanie?

Czuł, że jest coraz gorzej. Policzki piekły go niemiłosiernie.

– Proszę, pani, Simon jest dobrze. – Zerknął spod oka i wyprostował się powoli.

Księżna Gutrun cmoknęła rozbawiona.

– Na niebiosa, chłopcze, nie wstydź się tak. Vorzhevo, pozwólmy mu wrócić do innych. Jest młody, więc pewnie chce jeszcze zostać tutaj i podokazywać.

W pierwszej chwili Vorzheva rzuciła Gutrun surowe spojrzenie, lecz zaraz jej wzrok złagodniał.

– Chciałam mu tylko powiedzieć... – Zwróciła się do Simona: – Chciałam ci tylko powiedzieć, że chętnie usłyszę więcej o tobie. Wydawało mi się, że przeżyliśmy wiele dziwnych dni od chwili ucieczki z Naglimundu, ale kiedy Josua opowiedział mi o tym, co ty widziałeś... – Ponownie się roześmiała, tym razem smutniej, i położyła dłoń na swym brzuchu. Ale cieszę się, że sprowadziłeś pomoc. Nigdy nie widziałam istot podobnych do tych trolli!

– Hmm... znasz od dawna Binabika – powiedziała Gutrun, ukrywając ziewanie dłonią.

– Tak, ale inaczej jest, kiedy widzi się jedną małą osobę, a inaczej, kiedy widzi się ich więcej, o wiele więcej. – Vorzheva odwróciła się do

Simona, jakby u niego szukała pomocy. – Czy mnie rozumiesz?

– Rozumiem, lady Vorzhevo. – Uśmiechnął się, przypominając sobie swoją pierwszą wizytę u trolli. – Pamiętam chwilę, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem miasto, w którym mieszka lud Binabika: setki jaskiń wydrążonych w zboczu góry, huśtające się linowe mosty i tyle trolli – zarówno młodych, jak i starych – że trudno sobie wyobrazić. Tak, to coś zupełnie innego, niż znać tylko Binabika.

– Właśnie – Vorzheva przytaknęła mu. – Jeszcze raz ci dziękuję. Może któregoś dnia przyjdziesz opowiedzieć mi o swoich podróżach. Obecnie bywają chwile, że źle się czuję, a Josua tak bardzo martwi się o mnie, kiedy wychodzę... – Znowu się uśmiechnęła, lecz teraz jakby z goryczą. – Tak więc cieszę się, gdy ktoś przychodzi porozmawiać.

– Oczywiście, pani. Będę zaszczycony.

Gutrun pociągnęła za rękaw Vorzhevy.

– Chodź już, Vorzhevo. Pozwól młodzieńcowi udać się do przyjaciół.

– Dobrze. A zatem, dobranoc, Simonie.

– Lady Vorzhevo, księżno. – Ponownie ukłonił się, tym razem z większym wdziękiem. Najwyraźniej przychodziło mu to coraz łatwiej.

Sangfugol podniósł wzrok, kiedy Simon zbliżył się do ogniska. Harfiarz wyglądał na zmęczonego. Obok niego siedział stary Towser i prowadził jakąś bełkotliwą dysputę, nie zauważając, że Sangfugol wycofał się z niej już jakiś czas temu.

– Ach, jesteś – powiedział harfiarz. – Siadaj. Napij się wina. – Podał mu bukłak.

Simon wypił łyk z uprzejmości.

– Podobała mi się piosenka, którą śpiewałeś dzisiejszej nocy, ta o niedźwiedziu.

– Piosenka Osgala? Też ją lubię. Przypomniałem sobie, jak mówiłeś, że w kraju trolli są niedźwiedzie, więc pomyślałem, że im się spodoba.

Simon nie miał serca wyjaśniać, że może jeden na stu gości znał kilka słów w języku Westerling i harfiarz równie dobrze mógł zaśpiewać o ptactwie z bagien. Ponieważ jednak temat piosenki pozostawał dla nich zupełną tajemnicą, trolle podziwiały żywy refren i niezwykle ekspresyjny wyraz twarzy Sangfugola.

– Twoja pieśń wyraźnie zrobiła na nich wrażenie. Klaskały, aż trząsł się dach.

– Tak, widziałeś? Klepali się po butach! – Powracając myślą do tamtej chwili triumfu, Sangfugol wyprostował się dumnie. Być może jest jedynym harfiarzem oklepywanym po butach przez trolle; coś takiego nie przydarzyło się nawet legendarnemu Eoinec-Cluiasowi.

– Po butach? – Towser pochylił się i chwycił Sangfugola za kolano.

– Chciałbym wiedzieć, kto w ogóle nauczył je nosić buty? Górskie dzikusy nie noszą butów.

Simon chciał coś odpowiedzieć, ale Sangfugol potrząsnął głową poirytowany.

– Towser, znowu wygadujesz głupoty. Nie masz pojęcia o trollach.

Zmieszany błazen rozglądał się, przełykając ślinę.

– Mnie tylko dziwiło, że... – Spojrzał na Simona. – A ty znasz ich, synu? Wiesz coś o tych małych ludzikach?

– Tak. Binabik jest moim przyjacielem, przecież często go tutaj spotykałeś.

– Tak, tak. – Towser przytaknął mu; jego załzawione oczy wydawały się bardzo mętne.

Simon nie był pewien, czy Towser rzeczywiście pamięta.

– Po tym, jak opuściliśmy Naglimund i udaliśmy się na smoczą górę – mówił wolno Simon. – Górę, którą ty pomogłeś nam odnaleźć, opowiadając o Cierniu. Tak więc w drodze powrotnej z góry poszliśmy do miejsca, gdzie mieszka lud Binabika, i spotkaliśmy się z ich królem i królową. A teraz oni przysłali nam swoich ludzi, którzy pomogą nam w walce.

– A, to bardzo miło z ich strony, bardzo miło. – Zmrużywszy oczy, Towser popatrzył ponad ogniskiem na grupę najbliżej siedzących trolli, które rozbawione rzucały kości na wilgotnych trocinach. Stary błazen podniósł głowę uradowany. – I przyszli tutaj dzięki temu, że ja wam powiedziałem!

Simon pomyślał chwilę.

– W pewnym sensie tak. To prawda.

– Ha! – Towser uśmiechnął się, ukazując pieńki ostatnich zębów. Wyglądał na zadowolonego. – Opowiedziałem Josui i innym o mieczu, czy nie tak było? – Ponownie spojrzał na trolle. – Co one robią?

– Rzucają kości.

– Skoro ich tutaj sprowadziłem, to powinienem pokazać im, jak się naprawdę gra w kości. Powinienem nauczyć je, jak się gra w Bycze Rogi. – Towser wstał i chwiejnym krokiem zbliżył się do siedzących trolli, po czym opadł ciężko między nimi i siadłszy ze skrzyżowanymi nogami, zaczął wyjaśniać, jak grać w Bycze Rogi.

Trolle zachichotały, widząc, jak bardzo jest pijany, ale wyglądały na zadowolone z niespodziewanej wizyty. Wkrótce błazen i jego widzowie pogrążyli się w wesołym i niemym przedstawieniu, w którym Towser – otumaniony winem i nastrojem podniecenia całego wieczoru – próbował wyjaśnić niuanse gry w kości grupie przybyszów z gór, którzy nie rozumieli ani słowa z tego, co mówił.

Simon roześmiał się i odwrócił do Sangfugola.

– Przynajmniej zajmie się czymś na pewien czas.

Sangfugol skrzywił się.

– Szkoda, że sam wcześniej na to nie wpadłem. Już dawno posłałbym go do nich.

– Nie musisz być opiekunem Towsera. Jestem pewien, że gdybyś powiedział Josui, jak bardzo tego nie lubisz, poprosiłby kogoś innego.

Harfiarz pokręcił głową.

– To nie jest takie proste.

– Dlaczego? – Patrząc z bliska, Simon dostrzegł ciemne smugi w zmarszczkach wokół oczu Sangfugola, a także brudną plamę na czole pod kędziorami brązowych włosów. Harfiarz sprawiał wrażenie dość mocno zaniedbanego i Simon nie wiedział, czy mogło to oznaczać coś dobrego; zaniedbany Sangfugol stanowił wyłom w naturze, podobnie jak leniwa Rachel czy niezdarny Jiriki.

– Widzisz, Simonie, Towser był dobrym człowiekiem. – Harfiarz mówił powoli, jakby z wyrzutem. – Nie, źle mówię. On jest dobrym człowiekiem, tylko że teraz jest przede wszystkim stary i głupi – i oczywiście pijany, kiedy tylko może. On nie jest zły, tylko nieznośny. Ale kiedy ja pojawiłem się na dworze, on mi pomagał, chociaż nie musiał tego robić. Robił to z grzeczności. Uczył mnie nowych piosenek i melodii, pokazywał, w jaki sposób wykorzystywać głos, aby nie zawiódł mnie w chwilach potrzeby. – Sangfugol wzruszył ramionami. – Jak więc mogę teraz odwrócić się od niego tylko dlatego, że mnie denerwuje?

Głosy trolli wzmogły się, lecz nie była to kłótnia, jakiej można się było spodziewać, lecz piosenka, gardłowa i urywana; choć brzmiała dziwnie, przebijał z niej wyraźnie humor, tak że nawet Towser, nie rozumiejąc z niej ani słowa, chichotał i przyklaskiwał wesoło.

– Spójrz na niego – powiedział Sangfugol wesoło. – Zachowuje się jak dziecko. Może i my kiedyś będziemy tacy sami. Czy mogę złościć się na niego bardziej niż na niemowlę, które nie wie, co zrobiło?

– Ale wydaje się, że on doprowadza cię do wściekłości.

Harfiarz prychnął.

– A czy dzieci nie doprowadzają do wściekłości rodziców? Ale przychodzi taki dzień, kiedy rodzice stają się dziećmi i mszczą się na nich, gdyż wtedy to oni płaczą, plują i parzą palce na piecu, a ich dzieci muszą to znosić. – Uśmiechnął się. – Myślałem, że będę miał spokój od matki, kiedy wyruszałem w świat. No i popatrz, co odziedziczyłem za swoją niewierność. – Wskazał na Towsera, który z odrzuconą do tyłu głową śpiewał z trollami, a raczej zawodził, nie zwracając uwagi na melodię i słowa, jak pies wyjący do księżyca.

Simon uśmiechnął się na ten widok, lecz zaraz posmutniał. Przynajmniej Sangfugol i inni mogli zdecydować, czy zostać, czy nie z rodzicami. Inaczej rzecz się miała z sierotami.

– Jest też i druga strona tego problemu. – Sangfugol odwrócił się i spojrzał na Josuę pogrążonego w rozmowie z trollami. – Są i tacy, którzy nawet po śmierci swoich rodziców nie mogą się od nich uwolnić. – Simon ze zdziwieniem spostrzegł w spojrzeniu harfiarza uwielbienie, ale i gniew. – Czasami mam wrażenie, że on boi się nawet poruszyć z obawy, żeby nie stąpnąć na cień wspomnienia starego Króla Johna.

Simon wpatrywał się w pociągłą, zatroskaną twarz Josui.

– Martwi się o tyle rzeczy.

– Tak, nawet wtedy, kiedy na nic się to zdaje.

W tym momencie nadszedł chwiejnym krokiem Towser. Wydawało się, że kangkang jego partnerów od kości wprowadził go w kolejny, bardziej ożywiony etap pijaństwa.

– Sangfugolu, niebawem zaatakuje nas Fengbald z tysiącem żołnierzy – powiedział Simon. – Jest czym się martwić. Czasem martwienie się jest w rzeczywistości planowaniem.

Harfiarz uniósł dłoń w przepraszającym geście.

– Wiem i nie krytykuję go jako przywódcy. Jeśli ktokolwiek potrafi wymyślić, jak wygrać tę bitwę, to z pewnością książę. Ale przysięgam, Simonie, czasem wydaje mi się, że gdyby on choć raz spojrzał w dół i dostrzegł mrówki oraz pchły, które zabija z każdym krokiem, nigdy więcej nie ruszyłby z miejsca. Nie możesz być przywódcą – tym bardziej królem – i cierpieć z powodu rany zadanej któremuś z twoich poddanych, jakbyś sam ją otrzymał. Josua doświadcza zbyt wiele cierpienia, aby być szczęśliwym na tronie.

Towser słuchał ich rozmowy ożywiony.

– On jest synem swego ojca, to pewne.

Sangfugol spojrzał na niego poirytowany.

– Znowu wygadujesz głupoty, staruszku. Wszyscy wiedzą, że Prester John był jego przeciwieństwem. Ty powinieneś o tym wiedzieć najlepiej!

– Ach – mruknął Towser, przybierając niespodziewanie poważną minę. – Tak. – Po chwili ciszy, kiedy wydawało się, że powie coś jeszcze, błazen odwrócił się nagle i odszedł.

Simon wzruszył ramionami, jakby chciał zignorować dziwną odpowiedź starca.

– Jak dobry król może nie odczuwać bólu, kiedy cierpią jego ludzie? – spytał. – Czy nie powinien się przejmować?

– Naturalnie, że tak. Na Krew Aedona, tak! Inaczej byłby kimś takim jak jego szalony brat. Ale czy kiedy skaleczysz się w palec, kładziesz się i czekasz, aż się zagoi? Czy tamujesz krew i robisz dalej to, co masz do zrobienia?

Simon zastanawiał się przez chwilę nad słowami Sangfugola.

– Chcesz powiedzieć, że Josua zachowuje się jak ten rolnik z opowieści, który kupił najlepszą świnię na targu, ale nie mógł zdecydować się na jej zabicie, tak więc on i jego rodzina głodowali, lecz świnia żyła.

Harfiarz roześmiał się.

– Chyba tak. Chociaż nie twierdzę, że Josua powinien pozwolić swoim ludziom dać się zarżnąć jak prosięta. Chodziło mi tylko o to, że czasami zdarzają się złe rzeczy, bez względu na to, jak bardzo pragnie im zapobiec dobry książę.

Siedzieli wpatrzeni w ogień, a Simon rozmyślał nad słowami przyjaciela. Sangfugol zaś, upewniwszy się, że Towser będzie bezpieczny w towarzystwie trolli, których gorliwie uczył piosenek o dość wątpliwej reputacji, poszedł spać. Simon siedział jeszcze jakiś czas i słuchał głośnego koncertu, aż wreszcie rozbolała go głowa, więc wstał i udał się do Binabika, by zamienić z nim kilka słów.

Jego przyjaciel wciąż rozmawiał z Josuą, ale Sisqi prawie zasnęła; siedziała z głową opartą o ramię Binabika i przymkniętymi powiekami o długich rzęsach. Uśmiechnęła się sennie na widok Simona, lecz nic nie powiedziała. Teraz obok pary trolli i Josui siedział też krzepki konstabl, Freosel, i chudy starzec, którego Simon w pierwszym momencie nie poznał. Dopiero po chwili się domyślił, że musi to być Helfgrim, były burmistrz Gadrinsett, który uciekł z obozu Fengbalda.

Przyglądając mu się, Simon przypomniał sobie wątpliwości wyrażane wobec starca przez Geloë. Rzeczywiście, wydawał się spięty, kiedy rozmawiał z księciem, jakby bał się, że w każdej chwili może powiedzieć coś niewłaściwego i się zdradzić. Simon sam zaczął się zastanawiać, w jakim stopniu powinni zaufać temu nerwowemu starcowi, lecz zaraz zganił się za swoją gruboskórność. Kto wie, ile musiał wycierpieć biedny

Helfgrim? Czy on sam po ucieczce z Hayholt nie przypominał wędrującego przez las zwierzęcia? Czy ktoś, ujrzawszy go wtedy, zawierzyłby mu?

– Simonie, przyjacielu. – Binabik podniósł wzrok. – Cieszę się, że cię widzę. Przygotowuję się do czegoś, w czym twoja pomoc będzie jutro niezbędna.

Simon skinął głową, wyrażając gotowość.

– W rzeczywistości chodzi o dwie rzeczy – powiedział troll. – Przede wszystkim muszę nauczyć cię trochę języka Qanuc, żebyś mógł się porozumiewać z moimi ludźmi w czasie bitwy.

– Rozumiem. – Simon ucieszył się, że Binabik pamiętał. Teraz obietnica stała się jeszcze bardziej rzeczywista, kiedy wspomniano o tym w obecności Josui. – Oczywiście, jeśli książę się zgodzi, bym walczył razem z trollami. – Spojrzał na Josuę.

– Trolle mogą się okazać bardzo pomocne, jeśli będą rozumiały, czego od nich oczekujemy. Poza tym zwiększy to ich własne bezpieczeństwo. Masz moje pozwolenie, Simonie.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Co jeszcze, Binabiku?

– Musimy zebrać wszystkie łodzie, które posiadają mieszkańcy Nowego Gadrinsett. – Binabik uśmiechnął się. – Musimy mieć ich czterdzieści.

– Łodzie? Przecież jezioro wokół *Sesuad'ra* zamarzło. Co nam po nich?

– Całe łodzie będą bezużyteczne, ale przydadzą się ich części – odparł troll.

– Binabik przedstawił plan obrony tego miejsca – powiedział wolno Josua. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie jest nim zachwycony.

– To niezupełnie jest plan – powiedział uśmiechnięty Binabik. – Nie jakiś tam pomysł, który nagle przyszedł mi do głowy. Jest to sposób ludu Qanuc, który pokażę wam, Utku. Będzie to dla was wielka okazja. – Cmoknął z zadowoleniem.

– O czym mówisz?

– Powiem ci jutro, kiedy będziemy zbierać łodzie.

– Jeszcze jedno, Simonie – odezwał się Josua. – Wiem, że wspominałem już o tym, ale chciałbym spytać raz jeszcze, gdyż jest to dla mnie ważne. Czy myślisz, że istnieje jakaś szansa na przybycie twoich przyjaciół, Sithów? Znajdujemy się na ich świętym miejscu. Czy nie będą chcieli go bronić?

– Nie wiem, Josuo. Jak mówiłem wcześniej, Jiriki dał mi do zrozumienia, że trudno będzie przekonać jego ludzi.

– Szkoda. – Josua przeczesał dłonią swoje krótko ostrzyżone włosy. – Obawiam się tylko, że jest nas za mało, nawet z dzielnymi trollami. Bardzo by nam się przydała pomoc Sithów. No cóż, życie jest dziwne, czyż nie? Mój ojciec dumny był z tego, że przegnał ostatnich Sithów, a teraz jego syn modli się, aby przybyli i pomogli uratować resztki jego królestwa.

Simon pokiwał głową ze smutkiem, lecz nic nie powiedział. Milczący przez cały czas były burmistrz podniósł wzrok i spojrzał na niego uważnie. Simon próbował uchwycić strzępy myśli starca w jego mętnym spojrzeniu, lecz niczego nie dostrzegł.

– Binabiku, obudź mnie, gdy będzie czas – odezwał się wreszcie. – Dobranoc wszystkim. Dobranoc, książę Josuo. – Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi. Śpiewy trolli i mieszkańców nizin przycichły, posmutniały. Dogasający ogień oblewał czerwonym, drżącym blaskiem pogrążone w cieniu ściany.

PORANNE NIEBO BYŁO PRAWIE BEZCHMURNE, a powietrze przenikliwie zimne, tak że obłok oddechu Simona unosił się przed jego twarzą. Od świtu powtarzał z Binabikiem ważne słowa w języku Qanuc, wykazując większą niż zwykle cierpliwość.

– Powiedz „teraz”. – Binabik uniósł brwi w oczekiwaniu.

– *Ummu*.

Idąca obok nich Qantaqa potrząsnęła łbem i szczeknęła krótko. Binabik roześmiał się.

– Nie rozumie, dlaczego ty teraz do niej mówisz – wyjaśnił. – Tylko ja odzywam się do niej tymi słowami.

– Ale wydaje mi się, że mówiłeś, iż język, którym mówicie do zwierząt, jest inny od tego, którym się porozumiewacie. – Simon uderzył zmarzniętymi dłońmi schowanymi w grubych rękawicach.

Binabik spojrzał na niego z wyrzutem.

– Nie rozmawiam z Qantaqą tak, jakbym mówił do baranów, ptaków czy ryb. Ona jest moim przyjacielem. Rozmawiam z nią tak, jakbym rozmawiał z przyjacielem.

– Aha. – Simon zerknął na wilczycę. – Jak mówisz „przepraszam”?

– *Chem ea dok*.

Odwrócił się i poklepał Qantaqę po grzbiecie.

– *Chem ea dok*, Qantaqa. – Wilczyca wyszczerzyła zęby, wypuszczając ogromne kłęby pary.

Kiedy uszli jeszcze kawałek, Simon zapytał:

– Dokąd idziemy?

– Jak już ci mówiłem w nocy, idziemy zebrać łodzie. A raczej będziemy wysyłać ich właścicieli do kuźni, gdzie Sludig i inni je rozbiją. Ale każdy z nich dostanie coś takiego... – troll pokazał plik pergaminowych skrawków, na których widniało godło Josui – jako dowód, że mają słowo księcia na to, iż ich łodzie zostaną naprawione.

Simon patrzył zdumiony.

– Wciąż nie rozumiem, co chcesz zrobić. Tym ludziom potrzebne są łodzie do łowienia ryb, żeby mogli wyżywić siebie i swoje rodziny.

Binabik pokręcił głową.

– Nie teraz, kiedy nawet rzeki zamarzły. A jeśli my tutaj nie wygramy, plany ludzi z Nowego Gadrinsett nie będą już miały znaczenia.

– W takim razie czy powiesz, jaki jest *twój* plan?

– Cierpliwości, Simonie, cierpliwości. Gdy tylko skończymy nasze zadanie, zaprowadzę cię do kuźni i sam zobaczysz.

Szli w kierunku osady.

– Fengbald pewnie wkrótce zaatakuje.

– Jestem tego pewien – powiedział Binabik. – Zimno z pewnością osłabia ducha jego ludzi, choć otrzymują królewskie złoto.

– Ale czy nie uważasz, że będzie ich za mało, żeby rozpocząć oblężenie? *Sesuad'ra* jest całkiem duży, nawet dla tysiąca ludzi.

– Zgadzam się z tobą, Simonie. – Binabik zastanawiał się przez chwilę. – Wczoraj mówił o tym Josua, Freosel i inni. Uważają, że Fengbald nie będzie oblegał wzgórza. W każdym razie wątpię, żeby się orientował, jak słabe są nasze zapasy i przygotowania.

– W takim razie, co on może zrobić? – Simon spróbował postawić się w sytuacji Fengbalda. – Myślę, że będzie chciał po prostu nas zmiażdżyć. Z tego, co o nim słyszałem, nie należy do zbyt cierpliwych ludzi.

Troll spojrzał na niego z ożywieniem.

– Myślę, że dobrze to wymyśliłeś, Simonie. Ja też uważam to za najbardziej prawdopodobne. Skoro ty mogłeś poprowadzić ludzi, którzy szpiegowali obóz Fengbalda, on także mógł przysłać szpiegów. Sludig i Hotvig twierdzą, że odkryli na to dowody – ślady koni i tym podobne. Tak więc wie, że na szczyt wzgórza prowadzi szeroki trakt, którego z pewnością będziemy bronić, ale to nie to samo, co mury zamku, skąd można rzucać

kamienie. Wydaje mi się, że będzie chciał złamać naszą obronę swymi najlepszymi i najgroźniejszymi żołnierzami i wjechać na górę.

Simon zastanawiał się nad słowami trolla.

– Po waszym przybyciu nasze siły są większe, niż on się spodziewa. Może uda nam się go powstrzymać na dłużej, niż mu się wydaje.

– Bez wątpienia – odparł żywo Binabik. – Ale w końcu i tak przegramy. Znajdą inne drogi, żeby dostać się na szczyt; to nie jest zamek i nawet przy takim zimnie oraz lodzie zdeterminowani ludzie mogą się wspiąć po zboczach.

– W takim razie, czy można w ogóle coś zrobić?

– Simonie, przyjacielu, możemy wykorzystać nasze umysły i nasze serca. – Binabik uśmiechnął się łagodnie. – Dlatego właśnie szukamy łodzi, a raczej gwoździ, którymi są pozbijane.

– Gwoździ? – Zdumienie Simona rosło coraz bardziej.

– Zobaczysz. A teraz powiedz mi szybko, jak powiesz „do ataku”?

Simon pomyślał chwilę.

– *Nihuk.*

Binabik klepnął go w biodro.

– *Nihut*. Na końcu jest „t”, a nie „k”.

– *Nihut!* – powtórzył głośno Simon.

Qantaqa warknęła, rozglądając się za wrogiem.

SIMON ŚNIŁ, ŻE STOI W OGROMNEJ SALI TRONOWEJ w Hayholt i patrzy, jak Josua, Binabik i inni szukają trzech mieczy. Chociaż wszyscy zaglądali w każdy kąt, pod każdy obraz, a nawet pod malachitowe ubrania pomników byłych królów Hayholt, tylko Simon widział, że czarny Cierń, szary Smutek i trzeci, srebrzysty miecz, który musiał być Białym Gwoździem

Króla Johna, znajdowały się całkowicie na widoku, stały na ogromnym tronie z pożółkłej kości słoniowej, na Smoczym Tronie.

Wprawdzie nigdy nie oglądał trzeciego z mieczy z bliska, kiedy mieszkał w Hayholt, a jednak we śnie widział go bardzo wyraźnie; krawędź złocistej rękojeści w kształcie świętego Drzewa była tak wypolerowana, że lśniła nawet w mrocznej komnacie. Wszystkie trzy miecze stały oparte o siebie, z rękojeściami zwróconymi ku górze, przypominając dziwny stołek o trzech nogach, a nad nimi widniała czaszka smoka Shurakai, jakby za chwilę miała je połknąć, zabrać ze świata na zawsze. Jak to możliwe, że Josua i pozostali nie widzieli mieczy? Przecież tam były! Simon próbował powiedzieć swoim przyjaciołom, gdzie mają szukać, ale nie mógł wydobyć głosu. Chciał pokazać, zwrócić w jakiś sposób na siebie ich uwagę, lecz zupełnie nie czuł swego ciała. Był duchem, a jego ukochani przyjaciele popełniali błąd, okropny błąd...

– Simonie, na Aedona! Simonie, wstawaj! – Sludig potrząsał nim energicznie. – Hotvig i jego ludzie mówią, że Fengbald nadchodzi. Będzie tutaj, zanim słońce wzejdzie ponad drzewa!

Simon usiadł z trudem.

– Co? – wymamrotał. – Co?

– Fengbald nadchodzi. – Rimmersman szedł już w kierunku drzwi.

– Wstawaj!

– Gdzie jest Binabik? – Serce biło mu mocno, podczas gdy próbował obudzić się całkowicie. Co miał robić?

– Jest już z księciem Josuą i innymi. Chodź. – Sludig potrząsnął głową i uśmiechnął się podekscytowany. – Nareszcie! Nareszcie będzie z kim walczyć! – Uniósł klapę wejścia do namiotu i zniknął za nią.

Simon wyplątał się spod swego płaszcza i w pośpiechu zaczął szukać zziębniętymi stopami butów, przez co zahaczył o coś paznokciem dużego

palca. Zaklął cicho i włożył grubą koszulę. Potem znalazł swój nóż, który dostał od trolli, i przypiął jego pochwę. Miecz od Josui leżał zawinięty w naoliwione płótno pod jego siennikiem. Kiedy go odwinął, poczuł na dłoni przejmujący chłód ostrza. Zadrżał. Zbliżał się Fengbald. Oto nadszedł dzień, o którym rozmawiali od wielu tygodni. Znowu polegną ludzie, niektórzy zanim jeszcze słabo świecące słońce osiągnie południe. Może Simon będzie jednym z nich.

– Złe myśli – mruknął pod nosem, zapinając pas miecza. – Pech. – Zrobił znak Drzewa, żeby odegnać złe myśli. Musiał się spieszyć. Potrzebowali go.

Szukając rękawic w rogu namiotu, natrafił na zawiniątko o dziwnym kształcie, które dała mu Aditu. Zapomniał o nim od nocy, kiedy to wymknął się do Obserwatorium. Co to było? Nagle przypomniał sobie, że Amerasu chciała, aby otrzymał je Josua.

– Miłościwy Aedonie, co ja zrobiłem?

Czy było to coś, co mogło go uratować? Czy po raz kolejny okazał się gamoniowatym głupcem i zapomniał o broni, która mogła pomóc jego przyjaciołom? A może było to coś, co pozwalało wezwać Sithów? Czy nie będzie za późno?

Na myśl o tym, jak wielki mógł popełnić błąd, serce zabiło mu mocniej, lecz chwycił torbę i wypadł na zewnątrz – nawet pomimo pośpiechu nie mógł powstrzymać się od myśli, że materiał zawiniątka jest dziwnie gładki i miękki.

W DOMU ROZSTANIA ZBIERAŁ SIĘ coraz większy tłum podekscytowanych osadników, który – jak się wydawało – w każdej chwili mógł pęknąć jak bańka i rozlać się chaotyczną bieganiną. W środku sali Simon znalazł Josuę w towarzystwie Deornotha, Geloë, Binabika i Freosela. Książę z wyrazem

determinacji i zdecydowania na twarzy wydawał rozkazy, przeglądał plany oraz decyzje i upominał co bardziej nerwowych obrońców Nowego Gadrinsett. Widząc rozpalony wzrok Josui, Simon poczuł się jak zdrajca.

– Wasza Wysokość. – Simon zrobił krok do przodu i klęknął na jedno kolano przed księciem, który spojrzał na niego nieco zdumiony.

– Wstań, Simonie – rzucił Deornoth niecierpliwie. – Mamy wiele pracy.

– Książę Josuo, zdaje się, że popełniłem straszliwy błąd.

Książę odwrócił się, lecz widać było, że trudno jest mu oderwać się od swoich obowiązków.

– O czym mówisz, synu?

Synu. To słowo zabrzmiało w uszach Simona jak grzmot. Bardzo pragnął, żeby książę rzeczywiście był jego ojcem; było w nim coś, co bardzo kochał.

– Chyba zrobiłem coś głupiego – powiedział. – Bardzo głupiego.

– Oszczędzaj słowa – powiedział Binabik. – Powiedz tylko to, co jest istotne.

Książę Josua odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał wyjaśnienie Simona.

– A więc daj mi to – powiedział, kiedy Simon skończył. – Nie ma sensu zadręczać się, dopóki nie zobaczymy, co przyniosłeś. Sądząc po wyrazie twojej twarzy, spodziewałem się, że zrobiłeś coś gorszego, na przykład umożliwiłeś zaatakowanie nas. Wydaje mi się, że jest tutaj pewnego rodzaju upominek.

– Czarodziejski upominek? – spytał powątpiewająco Freosel. – Czy to nie jest ryzykowne?

Josua przykucnął i wziął torbę od Simona. Trudno było mu rozwiązać zawiniątko jedną ręką, ale nikt nie śmiał oferować pomocy. Uporawszy się wreszcie z taśmą, przechylił torbę. Na jego kolana wysunął się jakiś przedmiot zawinięty w czarny, bogato wyszywany materiał.

– To jest róg – powiedział, odwijając materiał.

Róg wykonany był z jednego kawałka pięknie rzeźbionej kości słoniowej lub innej pożółkłej kości. Krawędź rogu i jego ustnik pokryto srebrzystym metalem, a sam instrument wisiał na czarnym pendencie, równie pięknie ozdobionym jak opakowanie. Kształt rogu był niespotykany i patrząc na niego, miało się nieodparte wrażenie, że prawie odgaduje się jego przeznaczenie. Róg lśnił jak nowy, choć każdy szczegół wskazywał na jego wiek. Simon dostrzegał w nim pewną moc: może nie tak wielką jak Ciernia, który czasami wydawał się tchnąć własnym życiem, ale z pewnością było w nim coś, co przyciągało uwagę.

– Wspaniały przedmiot – powiedział cicho Josua. Przechylał go to w jedną to w drugą stronę, przyglądając się rzeźbom. – Nie potrafię odczytać, chociaż przypomina to pismo runiczne.

– Książę Josuo? – Binabik wyciągnął ramię. Josua podał mu róg. – Pismo Sithów. Nic dziwnego, skoro jest to prezent od Amerasu.

– Ale płótno i pendent wykonała ręka śmiertelnika – odezwała się niespodziewanie Geloë. – Dziwne.

– Czy potrafisz coś odczytać? – spytał Josua.

Binabik potrząsnął głową.

– Nie teraz. Może gdybym się lepiej przyjrzał.

– Ale może to odczytasz. – Deornoth pochylił się i wyjął kawałek cieniutkiego pergaminu z kielicha rogu. Rozwijając go, zagwizdał ze zdziwienia i podał Josui.

– Napisane w języku Westerling! – powiedział książę. – *Niech znajdzie się to w ręku prawowitego właściciela, gdy wszystko wyda się już stracone.* – Poniżej widniał dziwny znak, podobny do litery „A”.

– Znak Amerasu – oświadczyła ze smutkiem Geloë. – Jej znak.

– Ale co to może znaczyć? – spytał Josua. – Co to za róg i kto może być jego prawowitym właścicielem? Bez wątpienia jest to niezwykle cenny przedmiot.

– Za pozwoleniem, książę Josuo – wtrącił nerwowym głosem Freosel. – Może lepiej będzie nie zajmować się takimi rzeczami. A co będzie, jeśli na rogu spoczywa jakieś przekleństwo? Mówią, że podarunki Sithów mogą działać w obie strony.

– Skoro róg ma nam sprowadzić pomoc – powiedział Josua – to wstyd będzie go nie użyć. Jeśli poniesiemy dzisiaj klęskę, to wszystko nie będzie *wydawało się* stracone, lecz *będzie* stracone.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym przyłożył róg do ust i zadął w niego. Nie rozległ się żaden dźwięk. Josua zajrzał do jego wnętrza, by sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, i nabrawszy powietrza w płuca zadął ponownie z taką siłą, że aż się zgiął, lecz i tym razem róg milczał. Wyprostował się z uśmiechem na ustach. – No cóż, zdaje się, że nie ja jestem jego prawowitym właścicielem. Niech ktoś inny spróbuje.

Wreszcie zdecydował się Deornoth, lecz i jego wysiłki nie przyniosły rezultatu. Freosel machnął ręką w geście odmowy. Simon wziął róg i dmuchał w niego, aż pokazały mu się przed oczami czarne płatki, lecz róg wciąż milczał.

– Do czego on służy? – spytał zdyszany.

Josua wzruszył ramionami.

– Kto wie? W każdym razie myślę, że nie popełniłeś błędu, Simonie. Jeśli ma on nam do czegoś posłużyć, to nie nadeszła jeszcze ta chwila. – Zawinął róg z powrotem, wsadził do torby i położył u swych stóp. – Teraz musimy się zająć innymi rzeczami. Powrócimy do rogu, jeśli przeżyjemy dzisiejszy dzień; może Binabikowi albo Geloë uda się rozszyfrować pismo. Deornoth, przynieś teraz spis ludzi i wydamy ostatnie polecenia.

Binabik podszedł do Simona i ujął go za ramię.

– Potrzebnych ci jest jeszcze kilka rzeczy – powiedział. – A potem powinieneś udać się do swojego oddziału trolli.

Simon poszedł za swoim małym przyjacielem przez kłębiący się tłum.

– Binabiku, mam nadzieję, że twój plan zadziała.

Troll wykonał jakiś znak dłonią.

– Ja też mam nadzieję. Zrobimy, co będziemy mogli. Tego oczekują wszyscy bogowie czy też twój Bóg, czy może przodkowie.

Przy końcu zachodniej ściany Domu Rozstania stali mężczyźni w szeregu, a przed nimi leżał malejący stos tarcz; niektóre z nich nosiły jeszcze ślady rzecznego mchu, co wskazywało, że wcześniej były to części drewnianych łodzi. Nad rozdziałem tarcz czuwał Sangfugol, ubrany w nieco obszarpany, przypominający wojenny, szary strój.

Harfiarz podniósł wzrok.

– Ach, jesteś. Tutaj w rogu. Hej, przestań! – warknął na brodacza, który zaczął przebierać w tarczach. – Bierz z wierzchu!

Binabik zbliżył się do miejsca wskazanego przez Sangfugola i wyciągnął coś spod stosu worków. Była to jeszcze jedna drewniana tarcza, lecz na tej Gutrun i Vorzheva wymalowały godło Simona: czarny miecz i białego smoka na szaro-czerwonym tle barw Josui.

– Może nie jest to przykład wielkiej sztuki – powiedział troll – ale z pewnością jest to dowód wielkiej przyjaźni.

Simon nachylił się i uściskał Binabika, po czym wziął tarczę i uderzył w nią dłonią.

– Jest wspaniała.

Binabik zachmurzył się.

– Szkoda tylko, że nie miałeś więcej czasu, żeby nauczyć się nią posługiwać. Nie jest łatwo jeździć na koniu i walczyć, posługując się tarczą. – Spoważniał jeszcze bardziej, kiedy ujął palce Simona w swoją małą dłoń. – Nie bądź głupi, Simonie, jesteś ważny i moi ludzie też się liczą, ale... ale ktoś mi najdroższy będzie z tobą. – Odwrócił głowę. – Ona jest łowczynią naszego rodu, dzielną jak grzmot, ale – *Qinkipa!* – jakże pragnąłbym, żeby Sisqi nie brała udziału w tej bitwie.

– Nie będzie cię z nami? – spytał Simon zdumiony.

– Będę pełnił funkcję posłańca księcia, gdyż razem z Qantaqą potrafimy poruszać się szybciej i ciszej niż jeździec na koniu. – Troll zaśmiał się cicho. – Biorę włócznię po raz pierwszy od czasu, kiedy stałem się dorosły. Dziwnie będzie znowu wziąć ją do ręki. – Teraz patrzył już z powagą. – Nie, brzmi odpowiedź na twoje pytanie, Simonie, nie będę z tobą, w każdym razie nie tak blisko. Tak więc, drogi przyjacielu, proszę, miej oko na Sisqinanamook. Jeśli uchronisz ją przed krzywdą, uchronisz moje serce przed ciosem, który mógłby mnie zabić. – Ponownie uścisnął dłoń Simona. – Chodź. Jest jeszcze wiele do zrobienia. Nie wystarczy mieć dobre plany – powiedział i uderzył się w czoło, uśmiechając się szyderczo – jeśli się ich właściwie nie realizuje.

SPOTKALI SIĘ WRESZCIE W OGRODZIE OGNIA, wszyscy obrońcy *Sesuad’ra,* ci, którzy mieli walczyć, i ci, którzy mieli pozostać z tyłu. Zebrali się na ogromnym, kamiennym dziedzińcu. Choć słońce stało już wysoko, dzień był pochmurny i zimny, tak że wielu przyniosło ze sobą pochodnie. Na widok ich płomieni Simon poczuł ukłucie wspomnienia swojej wizji. Kiedyś czekało tutaj tysiąc Sithów, tak jak czekali teraz jego przyjaciele i sprzymierzeńcy na coś, co miało na zawsze zmienić ich życie.

Josua stanął na kawale zburzonej ściany, żeby móc ogarnąć wzrokiem milczący tłum. Będąc tuż obok, Simon dostrzegł na jego twarzy wyraz rozczarowania, mówiący wyraźnie o tym, jak niewielu było obrońców i jak słabo byli przygotowani.

– Mieszkańcy Nowego Gadrinsett i sprzymierzeńcy z Yiqanuc! – zawołał Josua. – Nie ma potrzeby mówić o tym, co robimy. Nadchodzi książę Fengbald, który wyrżnął kobiety i dzieci z ich własnych ziem. Musimy stawić mu czoło. Tylko tyle. Jest on narzędziem wielkiego zła, zła, które musimy powstrzymać tutaj, albo nie będzie nikogo, kto mógłby to zrobić. Nawet jeśli zwyciężymy na tym wzgórzu, nie będzie to oznaczało, że całkowicie pokonaliśmy wroga, lecz nasza porażka stanie się jego wielkim i ostatecznym zwycięstwem. Idźcie i zróbcie, co w waszej mocy; zarówno ci, którzy będą walczyć, jak i ci, którzy mają do wykonania zadania na tyłach. Bóg z pewnością patrzy na nas i dostrzeże waszą odwagę.

Szepty, które rozległy się, kiedy Josua wspomniał o złu, przeszły w owacje, kiedy kończył przemówienie. Książę schylił się i pomógł się wspiąć ojcu Strangyeardowi, który miał pobłogosławić zebranych. Archiwista pogładził nerwowo resztki swych włosów.

– Na pewno coś pokręcę – szepnął.

– Znasz się na tym bardzo dobrze – powiedział Deornoth, z trudem powstrzymując zniecierpliwienie, choć Simon wiedział, że rycerz chciał być uprzejmy.

– Obawiam się, że nie będę najlepszym wojennym duchownym.

– I nie powinieneś być – rzucił ponuro Josua. – Tak jak i żaden inny duchowny, gdyby Bóg robił to, co do Niego należy.

– Książę Josuo! – Ojciec Strangyeard, zgorszony, wciągnął głęboko powietrze i zakasłał. – Strzeż się bluźnierstwa!

Książę patrzył przed siebie z wyrazem zawziętości na twarzy.

– Po dwóch latach cierpienia całej naszej ziemi Bóg nauczył się chyba być nieco... elastyczny. Z pewnością zrozumie moje słowa.

Strangyeard potrząsnął tylko głową.

Kiedy duchowny skończył błogosławieństwo, którego i tak znaczna część nie dotarła do ogromnego tłumu, na ścianę wspiął się Freosel; zrobił to z łatwością kogoś, kto przywykł do wspinaczki. Ten osiłek przyjął na siebie znaczną część obrony i teraz wydawał się kipieć energią.

– Chodźcie wszyscy – przemówił tak głośno, że jego głos dotarł do wszystkich zebranych na rozległym, zimnym dziedzińcu. – Słyszeliście, co powiedział Josua. Czy jeszcze czegoś nam trzeba? Będziemy po prostu bronić własnego domu. Nawet borsuk zrobiłby to samo bez chwili namysłu. Czy pozwolicie, aby Fengbald zajął wasze domy, wymordował wasze rodziny? Pozwolicie?

Zebrani zaprzeczyli nierównym chórem.

– Dobrze. A zatem ruszajmy.

Simon zamyślił się przez chwilę nad słowami Freosela. *Sesuad'ra* rzeczywiście był jego domem, przynajmniej chwilowo. Musi przeżyć dzisiejszy dzień, jeśli chce zachować nadzieję na coś bardziej stałego; tak, będą musieli odeprzeć atak armii Fengbalda. Odwrócił się do Snenneqa i pozostałych trolli, które stały nieco oddalone od innych obrońców.

– *Nenit, henimaatuya* – powiedział Simon, wskazując na stajnie, gdzie czekały spokojnie ich barany i jego koń. – Chodźmy, przyjaciele.

SIMON POCZUŁ, ŻE POCI SIĘ pod hełmem i kolczugą. Kiedy razem z trollami skręcili z głównej drogi i zaczęli zjeżdżać zboczem przez gęste zarośla, pomyślał, że – w pewnym sensie – jest sam, że nie będzie przy nim nikogo,

kto by go w pełni zrozumiał. Co będzie, jeśli w obliczu trolli okaże się tchórzem albo coś stanie się Sisqi? Co będzie, jeśli zawiedzie Binabika?

Starał się odegnać takie myśli. Musi skupić się na tym, co ma do zrobienia. Nie może być mowy o gamoniowatej głupocie, jak w przypadku zapomnianego podarunku Amerasu.

Zbliżywszy się do stóp wzgórza i ukrytych miejsc przy końcu drogi, zsiedli z wierzchowców i odprowadzili je w bezpieczne miejsce. Wzniesienie porastała tutaj ścięta mrozem orlica, która czepiała się nóg i płaszczy, tak że potrzebowali prawie godziny, zanim wybrali dogodne pozycje, i dopiero wtedy trzaski oraz szamotanie ucichły. Kiedy wszyscy zajęli już swoje miejsca, Simon opuścił płytkie zagłębienie i wspiął się nieco wyżej, by zobaczyć dokładnie barykady ze zwalonych drzew, które Sludig i jego pomocnicy ułożyli u podnóża wzniesienia, by zablokować dostęp do szerokiej, kamiennej drogi. Do niego należało przekazanie książęcych rozkazów.

Na brzegu za lodową taflą, w jaką zamieniła się fosa *Sesuad'ra*, kłębiła się jakaś niewyraźna masa. Dopiero po chwili zorientował się, że jest to rozciągnięta wzdłuż zamarzniętego brzegu armia Fengbalda. Choć niezupełnie armia, gdyż książę sprowadził ze sobą znaczną część osady Gadrinsett: widać było namioty, kuchnie, a także prowizoryczne kuźnie, których dymy i pary wypełniały małą dolinę. Simon wiedział, że jest tam około tysiąca ludzi, lecz dla kogoś, kto nie widział armii dziesięciokrotnie większej – jak wojsko oblegające Naglimund – ta wydawała się ogromna niczym legendarne Pospolite Ruszenie, które przykryło wzgórza Nabbanu kocem włóczni. Na czole młodzieńca znowu pojawiły się kropelki zimnego potu. Znajdowali się tak blisko! Może dwieście łokci dzieliło kryjówkę Simona od sił Fengbalda, lecz on widział wyraźnie twarze poszczególnych żołnierzy. To byli ludzie, żywi ludzie, którzy przyszli go zabić. Z kolei jego

przyjaciele będą chcieli zabić jak najwięcej ich żołnierzy. Pod koniec dnia przybędzie wdów i sierot.

Nagle Simon podskoczył, słysząc nieoczekiwany dźwięk melodii. Odwrócił się szybko i zobaczył, że jeden z trolli kołysze się wolno z boku na bok i śpiewa cicho z uniesioną głową. Troll, zaniepokojony nagłym ruchem Simona, skierował na niego pytające spojrzenie. Simon spróbował się uśmiechnąć i dał znak, by troll nie przerywał. Po chwili żałosny głos ponownie wzniósł się w mroźnym powietrzu niczym samotny ptak w koronie pozbawionego liści drzewa.

„Nie chcę umierać – pomyślał Simon. – Ach, Boże, proszę, chcę jeszcze zobaczyć Miriamele, naprawdę chcę”.

Nagle ujrzał ją znowu we wspomnieniu tamtej niebezpiecznej chwili w pobliżu rzeki Stile, kiedy olbrzym był tuż-tuż, zanim udało mu się zapalić pochodnię. Pamiętał spojrzenie jej oczu, oczu Miriamele... bała się, ale patrzyła roztropnie. Nie mógł odegnać wspomnienia jej odwagi i piękności. Dlaczego nigdy nie powiedział Miriamele, jak bardzo ją podziwia, choć jest księżniczką?

Coś poruszyło się poniżej, w pobliżu barykady z pni drzew. Nawet z daleka potrafił rozpoznać protezę ramienia Josui, który wspinał się na prowizoryczną ścianę. Obok niego stanęły trzy inne postacie ubrane w płaszcze z kapturami naciągniętymi na głowy.

Josua złożył dłoń przed ustami.

– Gdzie jest Fengbald?! – zawołał. – Jego okrzyk pomknął echem ponad zamarzniętym jeziorem i odbił się od ścian doliny. Fengbaldzie?

Upłynęło trochę czasu, zanim od rozciągniętej wzdłuż brzegu masy odłączyła się mała grupka i wysunęła na lód. W samym środku jechał na ogromnym wierzchowcu jeździec w srebrzystej zbroi i jasnopurpurowym płaszczu. Na jego hełmie powiewał skrzydłami srebrzysty ptak. Jeździec

zdjął hełm i trzymał go pod pachą. Wiatr rozwiewał jego długie, czarne włosy.

– A jednak jesteś tam, Josuo! – krzyknął jeździec. – Byłem tego ciekaw!

– Fengbaldzie, wkroczyłeś na wolne ziemie. Nie uznajemy tutaj władzy mojego brata, gdyż jego zbrodnie odebrały mu prawo sprawowania rządów w królestwie mojego ojca. Jeśli teraz zrezygnujesz, będziesz mógł odejść spokojnie i powiedzieć mu o tym.

Fengbald odrzucił głowę, śmiejąc się szczerze ubawiony.

– Doskonale, Josuo! Doskonale! – ryknął. – Nie, to ty musisz rozważyć moją propozycję. Jeśli poddasz się królewskiej sprawiedliwości, ukarzemy tylko najbardziej winnych spośród twojej bandy zdrajców, a pozostali będą mogli odejść bezpiecznie. Poddaj się, Josuo, a oszczędzimy ich.

Simon zastanawiał się, jak zareagują na te obietnice przestraszeni i umęczeni osadnicy Nowego Gadrinsett. Fengbald bez wątpienia też o tym myślał.

– Kłamiesz, morderco! – krzyknął ktoś stojący w pobliżu Josui, lecz książę uciszył go podniesioną dłonią.

– Czy nie to samo obiecywałeś wełnianym kupcom z Falshire, zanim spaliłeś żywcem ich żony i dzieci?! – zawołał Josua.

Z tej odległości trudno było rozpoznać wyraz twarzy Fengbalda, lecz sądząc po tym, jak nagle wyprężył się, tak że nieomal stanął w strzemionach, Simon wyczuł ogarniającą go złość.

– Josuo, na twoim miejscu nie zachowywałbym się tak obraźliwie! – krzyknął książę. – Jesteś księciem kępy drzew i garstki obdartych pastuchów! Czy poddasz się i powstrzymasz rozlew krwi?!

Teraz do przodu wysunęła się jedna z postaci stojących obok Josui.

– Wysłuchaj mnie! – Był to głos Geloë. Mówiąc, zsunęła z głowy kaptur. – Wiedz, że jestem *valada* Geloë, strażnik lasu. – Wyciągnęła ramię

w kierunku niewyraźnej krawędzi lasu Aldheorte, który wyłaniał się zza wzgórz niczym milczący świadek. – Może mnie nie znasz, panie z miasta, ale twoi Thrithingowie z pewnością słyszeli o mnie! Spytaj swojego najemnika, Lezhdrakę, czy rozpoznaje moje imię!

Fengbald nie odpowiedział, lecz zaczął rozmawiać z kimś stojącym u jego boku.

– Pamiętaj o jednym, jeśli zdecydujesz się zaatakować! – zawołała Geloë. – Miejsce to, *Sesuad'ra*, jest jednym z najświętszych miejsc Sithów. Chyba nie spodoba im się to, że chcesz je zniszczyć. Jeśli wedrzesz się tutaj siłą, mogą stać się o wiele groźniejszymi wrogami, niż ci się wydaje.

Simon był pewien – a przynajmniej tak mu się wydawało – że słowa czarownicy są tylko pustą groźbą, i zapragnął bardzo, aby przybył Jiriki. Czy tak właśnie czuł się skazaniec patrzący przez malutkie okno, jak budują dla niego szubienicę? Simona ogarniała coraz bardziej przygniatająca pewność, że on, Josua i pozostali nie mogą wygrać. Armia Fengbalda przypominała zarazę, która opanowała ośnieżoną równinę poza jeziorem, plagę, która miała wszystko zniszczyć.

– Widzę – wykrzyknął nagle Fengbald – że nie dość, iż sam oszalałeś, to jeszcze otoczyłeś się innymi szaleńcami! A zatem niech tak będzie! Niech twoja starucha pospieszy się i wezwie swoje leśne duchy; a może drzewa przyjdą was uratować. Ja już straciłem cierpliwość! – Fengbald dał znak i z linii brzegu poleciał grad strzał. Wszystkie opadły daleko przed barykadą, ślizgając się po lodzie. Josua i jego towarzysze zeszli w zarośla i zniknęli z pola widzenia Simona.

Fengbald krzyknął ponownie i wtedy po lodzie zaczęło sunąć coś, co przypominało ogromną barkę. Machinę wojenną ciągnęły potężne konie pociągowe pokryte pikowanymi zbrojami, które zahaczając o lód, skrzypiały przeraźliwie. Odgłos ten sprawiał wrażenie, jakby nadjeżdżał

wóz pełen potępionych dusz. Podstawę sań wypełniały ułożone wysoko worki.

Simon mimowolnie pokiwał głową, zafascynowany widokiem machiny. Ktoś w obozie Fengbalda dobrze planował.

Gdy ogromne sanie sunęły po lodzie, ze strony obrońców poleciały nieliczne strzały – nieliczne, gdyż Josua nakazał je oszczędzać. Strzały odbijały się od żelaznych boków machiny albo wbijały się w końskie zbroje, nie czyniąc żadnej szkody, tak że po pewnym czasie zwierzęta przypominały bajeczny gatunek długonogiego jeżozwierza. Sanie pozostawiały za sobą mocno pocięty lód, porysowany poprzecznie zamocowanymi ostrzami, natomiast z wysoko ułożonych worków sypał się wolno piasek, który obsuwał się po pochyłej podstawie sań i wyznaczał szeroką ścieżkę. Dzięki niej idący za saniami żołnierze Fengbalda posuwali się z o wiele większą łatwością, niż mogli przypuszczać Josua i jego towarzysze.

– A niech ich przeklnie Aedon! – Simon czuł, że serce podchodzi mu do gardła.

Armia Fengbalda niczym kolumna mrówek sunęła przez zamarzniętą fosę.

Jeden z trolli otworzył szeroko oczy i powiedział coś, co Simon zrozumiał tylko częściowo.

– *Shummuk*.

Po raz pierwszy Simon poczuł zimną kulę strachu miażdżącą jego nadzieje. Wiedział, że musi trzymać się planu, choć pewność opuszczała go coraz bardziej.

Z DALA OD *SESUAD'RA*, A JEDNAK DZIWNIE BLISKO, w sercu pradawnego lasu Aldheorte nastąpiło poruszenie. Z mroku szczególnie gęstego zagajnika,

którego prawie nie dotknął śnieg pokrywający od wielu tygodni korony drzew, spomiędzy dwóch kamieni wyłonił się jeździec i objechał kilkakrotnie małą polankę.

– Chodźcie! – zawołał. Język, jakim się posługiwał, był najstarszym w Osten Ard. Jeździec ubrany był w lśniącą zbroję o barwach błękitno-żółtych i srebrzystoszarych. – Wyjedźcie przez Bramę Wiatrów!

Spomiędzy pionowych kamieni wyjeżdżali kolejni jeźdźcy, aż nad polanką zawisła chmura pary z ich oddechów.

Pierwszy z jeźdźców zatrzymał rumaka przed pozostałymi. Uniósł swój miecz wysoko, jakby chciał przebić chmury. Jego włosy, ściągnięte tylko błękitną przepaską, miały kiedyś kolor lawendy. Teraz były białe jak śnieg.

– Za mną! Podążajcie za Indreju, mieczem mego ojca – krzyknął Jiriki. – Udajemy się z pomocą naszym przyjaciołom. Zida’ya będą jechać po raz pierwszy od pięciu wieków.

Pozostali także wznieśli miecze, potrząsając nimi ku niebu. Rozległa się dziwna pieśń, grzmiąca jak buczenie bagiennych bąków i dzika jak wołanie wilka; pieśń rozbrzmiewała coraz głośniej, aż wszyscy śpiewali i cała polana zadrżała od jej mocy.

– W drogę, Rody Świtu! – Twarz Jirikiego przybrała maskę zaciekłości, a jego oczy płonęły niczym żar ognia. – W drogę! Niech drży wróg! Zida’ya znowu jadą!

Jiriki i pozostali – jego matka, Likimeya, na ogromnym, czarnym koniu, Yizashi z rodu Szarej Włóczni, dzielny Cheka’iso Bursztynowłosy, a także ubrany na zielono wuj Jirikiego, Khendraja’aro z łukiem – spięli konie ostrogami i ze śpiewem na ustach opuścili polanę. Tak wielki był tumult ich przejazdu, że drzewa zdawały się chylić przed nimi, a wiatr milkł jakby zawstydzony.

11. Droga powrotna

MIRIAMELE KULIŁA SIĘ W SWOIM PŁASZCZU, starając się pozostać jak najmniej widoczna. Wydawało jej się, że każdy mijający ich przechodzień zwalniał, by na nią spojrzeć – zarówno smukli Wrańczycy o spokojnych, brązowych oczach i surowych, pozbawionych wyrazu twarzach, jak i perdruińscy kupcy w finezyjnych, nonszalancko niedbałych strojach. Wszyscy zdawali się zastanawiać, skąd się tam wzięła dziewczyna o krótko przystrzyżonych włosach, ubrana w brudny mnisi habit.

Dlaczego Cadrach nie wracał tak długo? Powinna już mieć na tyle rozumu, żeby nie pozwalać mu chodzić samemu do gospody.

Kiedy mnich wreszcie się pojawił, jego twarz promieniała zadowoleniem, jakby wykonał niesłychanie ważne zadanie.

– Znalazłem. Jest niedaleko Nadbrzeża Torfowych Barek; powinienem był pamiętać. Niezbyt elegancka dzielnica.

– Piłeś wino. – Nie chciała, by jej głos zabrzmiał tak ostro, ale była zdenerwowana i zziębnięta.

– Czy jakiś karczmarz udzieliłby mi wskazówek, gdybym niczego nie zamówił? – Cadrach bronił się dzielnie. Można było pomyśleć, że nie dręczyła go już rozpacz, jaką odczuwał na łodzi, lecz Miriamele potrafiła ją dostrzec: wciąż wyzierała spod obszarpanych krawędzi jowialności, jaką mnich narzucił na siebie niby płaszcz.

– Ale przecież nie mamy pieniędzy! – zawołała. – Dlatego właśnie musimy włóczyć się po tym przeklętym mieście, żeby znaleźć twoją

gospodę!

– Uspokój się, moja pani. Postawiłem mały zakład na rzut monetą i wygrałem. Dobrze się stało, gdyż nie miałbym się jak wypłacić. Ale teraz już nie musimy się martwić. Niepokoił mnie fakt, że przyjdzie nam kluczyć po mieście kanałów, ale teraz, kiedy otrzymałem instrukcje od szynkarza, nie widzę już żadnych problemów.

Żadnych problemów! Miriamele nie mogła powstrzymać śmiechu, choć był on pełen goryczy. Od trzech tygodni żyją jak żebracy: najpierw przez kilkanaście dni koczowali na łodzi, a potem wędrowali przez miasta południowo-wschodniego wybrzeża Nabbanu, żebrząc o jedzenie, gdzie tylko się dało, i podróżując wiejskimi wozami, gdy znalazł się ktoś na tyle uprzejmy, żeby ich zabrać. Przede wszystkim jednak wędrowali pieszo, szli i szli, aż Miriamele wydało się, że gdyby w jakiś sposób pozbyła się nóg, to i tak szłaby dalej. Taki sposób życia nie był obcy Cadrachowi, który bez trudu przystosował się do niego, ale Miriamele miała coraz bardziej dość. Nie dane jej było powrócić na dwór ojca, lecz teraz zatęskniła bardzo za zamkiem wuja Josui, który jeszcze kilka miesięcy temu wydawał się jej tak ciasny.

Odwróciła się, aby złajać jeszcze Cadracha – czuła ponad ramieniem zapach wina w oddechu mnicha – i zaskoczyła go w jednej z chwil, kiedy opuścił swoją zasłonę. Na jego twarzy nie było teraz buńczucznej wesołości; poczuła ukłucie złości, ale i miłości, widząc jego zapadnięte, tak pulchne niegdyś policzki i głęboko zapadnięte, przestraszone oczy.

– No dobrze, chodźmy więc. – Ujęła go za ramię. – Ale jeśli nie dojdziemy tam szybko, wepchnę cię do kanału.

PONIEWAŻ NIE MIELI PIENIĘDZY, żeby zapłacić za przewoźnika, prawie cały ranek zmuszeni byli iść piekielnym labiryntem drewnianych alei

Kwanitupulu, zanim dotarli do Torfowej Zatoki. Za każdym zakrętem dochodzili do miejsca, które okazywało się kolejną ślepą uliczką, jeszcze jednym przejściem prowadzącym do opuszczonego podwórka albo drzwi wiszących na zardzewiałych zawiasach czy też chylącego się płotu, za którym znajdował się następny kanał. Nie widząc innego wyjścia, zawracali, wybierali inny zakręt i szalona wędrówka zaczynała się od początku. Wreszcie, kiedy niebo zbielało nieco od południowego słońca, wyszli zza rogu długiego, walącego się magazynu i ujrzeli nagle drewnianą, zżartą od soli tabliczkę oznajmiającą, że wisi ona przed gospodą „Puchar Pelippy”. Cadrach nie kłamał: nie była to elegancka dzielnica.

Mnich zajął się odnalezieniem drzwi, gdyż front budynku stanowiła nieomal jednostajnie szara i zniszczona ściana, podczas gdy Miriamele stanęła na krawędzi pomostu przed gospodą i utkwiła wzrok w wieńcu uplecionym z białych i żółtych kwiatów, który unosił się na wzburzonym nieco kanale w pobliżu drabiny prowadzącej na nadbrzeże.

– To jest wieniec ze Święta Dusz – powiedziała.

Cadrach odnalazł właśnie drzwi i przytaknął jej, zatrzymując się przed nimi w milczeniu.

– To znaczy, że minęły już ponad cztery miesiące, odkąd opuściłam Naglimund – powiedziała wolno. Mnich jeszcze raz skinął głową, po czym otworzył drzwi i dał znak, by poszła za nim. Miriamele poczuła ogarniającą ją falę smutku. – I wszystko to na nic! Dlatego, że okazałam się skończenie głupia!

– Nawet gdybyś została ze swoim wujem, rzeczy miałyby się podobnie, a może nawet jeszcze gorzej – zauważył Cadrach. – Pani, przynajmniej żyjesz. A teraz chodźmy zobaczyć, czy *Soria* Xorastra pamięta starego, choć upadłego przyjaciela.

Weszli przez podwórze, mijając dwa zardzewiałe kadłuby rybackich łodzi, i natychmiast spotkały ich dwie nieprzyjemne niespodzianki. Pierwszą było odkrycie, że gospoda śmierdzi rybami i najwyraźniej podupada. Drugą stanowiła wiadomość, iż Xorastra zmarła trzy lata temu, a Charystra, jej siostrzenica o wystającej szczęce, reprezentuje całkiem inny rodzaj karczmarki niż jej poprzedniczka.

Ujrzawszy podróżnych, gruntownie zlustrowała ich powycierane i poplamione w czasie podróży stroje.

– Nie podoba mi się wasz wygląd. Lepiej pokażcie pieniądze.

– Nie obawiaj się – odezwał się Cadrach najspokojniej, jak tylko potrafił. – Twoja ciotka była moją dobrą przyjaciółką. Pozwól nam przenocować, a jutro rano dostaniesz pieniądze – znają mnie dobrze w tym mieście.

– Moja ciotka była szalona i miała nie po kolei w głowie – odparła Charystra z pewnym zadowoleniem. – A przez swoje dobrotliwe serce zostawiła mnie z walącą się stodołą. – Wskazała na niską salę jadalną, która bardziej przypominała norę jakiegoś podłego zwierzęcia. – Prędzej odwiozą mnie do Perdruin w drewnianym pudle, niż pozwolę, żeby nocował u mnie za darmo mnich ze swoją kochanicą.

Miriamele pomyślała, że chętnie by to zobaczyła, lecz powstrzymała się przed powiedzeniem tego głośno.

– Nie jest tak, jak się wydaje – powiedziała. – Ten człowiek jest moim opiekunem. Jestem córką szlachcica, baron Seoman z Erkynlandu jest moim ojcem. Zostałam porwana, a ten oto człowiek odnalazł mnie i uratował życie. Mój ojciec będzie wdzięczny każdemu, kto pomoże mi wrócić do domu.

Stojący obok Cadrach wyprostował się dumnie, zadowolony, że może zostać bohaterem chociażby zmyślonej historii.

Charystra zmrużyła oczy.

– Ostatnio wciąż słyszę niesamowite historie. – Przyglądała im się, przygryzając wargę. – Jedna z nich okazała się nawet prawdziwa, co nie znaczy, że i z wami będzie tak samo. – Skrzywiła się. – Ja muszę zarabiać na życie, bez względu na to, czy twój ojciec jest baronem, czy samym Królem z Hayholt. Idźcie i przynieście pieniądze, skoro mówicie, że to takie proste. Niech wam pomogą wasi przyjaciele.

Cadrach jeszcze raz podjął opowieść rozpoczętą przez Miriamele, ubarwiając ją znacznie i okraszając licznymi pochlebstwami wobec karczmarki, a na koniec roztoczył wizję Charystry żyjącej spokojnie i dostatnio z torbami pełnymi złota, otrzymanymi od wdzięcznego ojca. Słysząc, jak coraz bardziej niesamowita staje się ich historia w ustach Cadracha, Miriamele zaczynała już współczuć biednej kobiecie najwyraźniej dręczonej chciwością, lecz kiedy wreszcie otworzyła usta, by skłonić Cadracha, aby już zamilkł, na schodach wiodących do sali gościnnej pojawił się ogromny mężczyzna. Wprawdzie ubrany był w habit z kapturem, bardzo podobny do tego, jaki nosił Cadrach, i miał niezbyt gęstą brodę, lecz postać ta była jej tak dobrze znana, że przez chwilę Miriamele nie mogła uwierzyć własnym oczom. Kiedy zszedł na dół i stanął w świetle lampy, zatrzymał się nagle, otwierając szeroko oczy.

– Miriamele? – przemówił wreszcie niepewnie. – Księżniczka?

– Isgrimnur! – wrzasnęła. – Książę Isgrimnur! – Serce biło jej tak mocno, że wydawało jej się, iż za chwilę się udławi. Pobiegła przez zagracony pokój, obijając się o ławki z krzywymi nogami, aż wreszcie przylgnęła do ogromnego brzucha i się rozpłakała.

– Och, biedne maleństwo – powiedział, tuląc ją do siebie ze łzami w oczach. Przytrzymał Miriamele na chwilę przed sobą i przyglądał jej się zaczerwienionymi oczami. – Nic ci nie jest? Cała i zdrowa? – Isgrimnur

zmrużył oczy, gdy tylko jego wzrok padł na Cadracha. – Ach, jest ten nikczemnik, który cię porwał!

Cadrach, który – podobnie jak Charystra – stał z szeroko rozdziawionymi ustami, drgnął nagle.

– Nie, nie. – Miriamele roześmiała się przez łzy. – Cadrach jest moim przyjacielem. On mi pomógł. Ja sama uciekłam, to nie jego wina. – Znowu objęła go mocno i wtuliła się w ogromny tułów. – Och, Isgrimnurze, tak mi było źle. Jak się ma wuj Josua? A Vorzheva, Simon i troll Binabik?

Książę pokręcił głową.

– Niewiele więcej wiem od ciebie. – Westchnął ciężko. – To istny cud. Bóg wysłuchał wreszcie moich modlitw. Niech Mu będą dzięki. Chodź, siadaj. – Odwrócił się do Charystry i machnął na nią zniecierpliwiony. – No, nie stój tak, kobieto! Przynieś nam zaraz piwa i czegoś do jedzenia!

Charystra odeszła potulnie, ogromnie zdumiona.

– Zaczekaj! – zawołał za nią Isgrimnur. – Jeśli opowiesz komukolwiek o tym, co tutaj widziałaś – zaryczał – własnymi rękami zrzucę ci dach na głowę!

Karczmarka przytaknęła głową otumaniona i skryła się w sanktuarium swojej kuchni.

TIAMAK SPIESZYŁ SIĘ, CHOĆ ZRANIONA NOGA nie pozwalała mu poruszać się szybciej niż normalnym tempem. Serce waliło mu mocno, lecz on starał się ukryć troskę.

– Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku – mruczał pod nosem – spraw, żeby nikt mnie nie zauważył! Jestem już prawie na miejscu!

Miał wrażenie, że przechodnie, których mijał na wąskich chodnikach, uparli się, aby go powstrzymać. Pewien krzepki mieszkaniec suchego lądu

niosący kosz pełen piaszczóg, wpadł na Tiamaka, nieomal go wywracając, a potem odwrócił się i zaczął pomstować grubiańsko za oddalającym się Wrańczykiem. Kusiło Timaka, żeby odpowiedzieć olbrzymowi – w końcu Kwanitupul był miastem wrańskim, bez względu na to, ilu kupców z lądu budowało swoje luksusowe domy na skraju Laguny Chamul czy też ile ich wyładowanych barek popychanych rękoma utrudzonych Wrańczyków pływało po kanałach miasta – lecz się powstrzymał. Nie mógł tracić czasu na kłótnie, nawet usprawiedliwione.

Przeszedł szybko przez jadalnię „Pucharu Pelippy", obrzucając przelotnym spojrzeniem jego właścicielkę, choć wyraz jej twarzy był co najmniej dziwny. Charystra stała, kołysząc tacą pełną chleba, sera i oliwek, jakby nie mogła się zdecydować, czy ma pójść na górę.

Tiamak obszedł ją i pokuśtykał szybko wąskimi schodami na piętro, aż doszedł do pierwszych obdrapanych i krzywo osadzonych drzwi. Otworzył je, gotowy wyrzucić z siebie wiadomości, które spieszył przekazać, lecz stanął w milczeniu, zaskoczony sceną, jaką ujrzał.

Isgrimnur siedział na podłodze. W rogu stał niski i krzepki mężczyzna, ubrany w strój wędrownego mnicha aedonickiego – taki sam, jaki nosił Isgrimnur – o twarzy, której wyraz pozostawał dziwnie niedostępny. Na łóżku siedział stary Camaris, ze skrzyżowanymi na wzór marynarzy długimi nogami. Obok niego siedziała młoda kobieta o płowych, krótko obciętych włosach. Ona także ubrana była w mnisi strój, a jej twarz o ostrych rysach nosiła wyraz zdumienia nieomal równie wielkiego jak zdumienie Charystry.

Tiamak kłapnął szczęką, zamykając usta, po czym znowu je otworzył.

– Co...? – wybąkał.

– Ach! – Isgrimnur sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego. – A oto i Tiamak, szlachetny Wrańczyk, przyjaciel Dinivana i Morgenesa. Tiamaku,

księżniczka jest już z nami. Przybyła Miriamele.

Miriamele ani na chwilę nie odrywała wzroku od starca.

– Czy to... czy to jest Camaris?

– Wiem, wiem – powiedział ze śmiechem Isgrimnur. – Sam też nie mogłem uwierzyć, niech Bóg mi wybaczy, ale to on! Żywy, choć minęło tyle czasu! – W następnej chwili twarz księcia spoważniała. – Ale odebrało mu rozum. Ach, Miriamele, on jest jak dziecko.

Tiamak pokręcił głową.

– Ja... cieszę się, Isgrimnurze. Cieszę się, że przybyli twoi przyjaciele. Ja też mam wieści.

– Nie teraz. – Isgrimnur promieniał radością. – Później, mały Tiamaku. Uczcijmy to dziś wieczorem. – Odwrócił się w stronę drzwi. – Charystro! Gdzie jesteś, kobieto!

Właścicielka gospody zdążyła już uchylić nieco drzwi, lecz Tiamak zamknął je przed jej nosem. Usłyszał pomruk zdziwienia i odgłos ciężkiego bochna chleba toczącego się po schodach.

– Nie – odezwał się Tiamak. – Isgrimnurze, to nie może czekać.

Książę spojrzał na niego spod krzaczastych brwi.

– A zatem?

– Nabbańscy żołnierze szukają tej gospody.

Wyraz zniecierpliwienia w jednej chwili zniknął z twarzy Isgrimnura. Książę odwrócił się i spojrzał uważnie na małego Wrańczyka.

– Skąd wiesz?

– Widziałem ich przy Hali Targowej. Wypytywali przewoźników, i to niezbyt uprzejmie. Ich przywódca wydawał się bardzo zdesperowany, żeby znaleźć naszą gospodę.

– I znalazł? – Isgrimnur wstał i poszedł w róg pokoju, skąd wziął swój miecz, Kvalnir, który stał tam owinięty.

Tiamak wzruszył ramionami.

– Wiedziałem, że nie zdążę przybyć tutaj przed żołnierzami, chociaż lepiej od nich znam miasto. Ale pomyślałem sobie, że dobrze będzie opóźnić ich przybycie, dlatego wtrąciłem się do ich rozmowy i zaproponowałem, że porozmawiam z przewoźnikami, którzy także są Wrańczykami. – Tiamak spojrzał na młodą kobietę po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczął opowiadać. Jej twarz nie była już tak zdumiona, ale za to bardzo zbladła. Słuchała uważnie. – Posługując się naszym językiem z bagien, wyjaśniłem przewoźnikom, że to są źli ludzie i że powinni rozmawiać tylko ze mną i w moim języku. Powiedziałem im, że po odejściu żołnierzy powinni opuścić Halę Targową i wrócić później. Potem porozmawiałem z nimi jeszcze chwilę, udając, że pytam o drogę – w rzeczywistości to oni opowiadali mi, jakimi szaleńcami są mieszkańcy suchego lądu – i dopiero wtedy wyjaśniłem dowódcy żołnierzy, gdzie mogą znaleźć „Puchar Pelippy”. Nie patrz tak na mnie, książę Isgrimnurze! Wysłałem ich na drugi koniec miasta. Zdziwił mnie ich przywódca; kiedy wskazałem mu drogę, aż zadrżał cały, jakby nie mógł się doczekać.

– Jak... jak on wyglądał? – spytała Miriamele napiętym głosem.

– Wyglądał dziwnie. – Tiamak się zawahał. Nie wiedział, jak ma się zwracać do księżniczki z lądu, nawet takiej, która nosi męskie stroje. – Nie był ubrany jak żołnierz. Wysoki, sprawiający wrażenie silnego, miał na sobie bogaty strój, ale jego twarz cała była posiniaczona, a oczy mocno przekrwione. Wyglądał, jakby krokodyl chwycił go swymi szczękami. Brakowało mu też zębów.

Miriamele jęknęła i zsunęła się z siennika na podłogę.

– Elysio, ratuj mnie! To Aspitis! – powiedziała drżącym, pełnym desperacji głosem. – Cadrachu, skąd on mógł wiedzieć, dokąd się udajemy? Czy znowu nas zdradziłeś?

Mnich zamrugał oczami, ale odpowiedział spokojnie:

– Nie, moja pani. Najwidoczniej udało mu się dotrzeć do brzegu, a potem – mogę się tylko domyślać – w jakiś sposób wymienił pewnie informacje ze swoim prawdziwym panem. – Cadrach zwrócił się do Isgrimnura. – Książę, Pyrates zna dobrze to miejsce, a Aspitis jest jego człowiekiem.

– Aspitis? – Isgrimnur pokręcił głową, zapinając pas miecza na swym ogromnym brzuchu. – Nie znam go, ale chyba nie jest naszym przyjacielem.

– Nie. – Cadrach spojrzał na Miriamele siedzącą na podłodze z głową między rękami. – On nie jest przyjacielem.

Isgrimnur wydał jakiś nieartykułowany dźwięk. Tiamak zwrócił ku niemu niespokojne spojrzenie, przypominało to pomruk bardzo rozzłoszczonego niedźwiedzia, lecz okazało się, że Isgrimnur myśli tylko, kręcąc palcami krótką brodę.

– Wróg depcze nam po piętach – odezwał się wreszcie. – Nawet gdybyśmy mieli obok siebie Camarisa czterdzieści lat młodszego, ach, Miriamele, on był najpotężniejszy, i tak sytuacja nasza byłaby trudna. Tak więc musimy uciekać... i to szybko.

– Dokąd możemy się udać? – spytał Cadrach.

– Na Północ, do Josui. – Isgrimnur zwrócił się do Tiamaka: – Co ty mówiłeś wcześniej, mały Wrańczyku? Że gdybyśmy podróżowali razem z Camarisem jako uciekinierzy, znalazłbyś inną drogę?

Tiamak poczuł ucisk w gardle.

– Tak, ale to nie będzie łatwe. – Ogarnął go chłód, jakby na jego kark padł zimny oddech Tej, Która Czeka, By Wszystko Zabrać. Nagle przestraszył się myśli, że musiałby zabrać tych mieszkańców lądu przez labirynt wrańskich bagien.

Miriamele wstała.

– Josua żyje?

– Tak mówią. – Isgrimnur pokręcił głową. – Podobno jest gdzieś na północny wschód od ziem Thrithingów. Ale nie wiem, czy to prawda.

– Tak! – Na zapłakanej twarzy Miriamele pojawił się nagle wyraz dziwnej pewności. – Ja w to wierzę!

Cadrach wzruszył ramionami; wciąż stał w rogu niczym opuszczony domowy posążek.

– Dobrze, że w to wierzysz, zwłaszcza że nie mamy innego punktu zaczepienia. O jakiej innej drodze mówiłeś? – Zwrócił zamyślone spojrzenie na Wrańczyka.

– Przez Wran. – Tiamak chrząknął. – Pościg za nami będzie prawie niemożliwy. Możemy udać się na Północ, na sam skraj terytorium Thrithingów znad Jeziora.

– Gdzie schwycą nas po przejściu pierwszych stu mil na otwartym terenie – rzucił ponuro Cadrach.

– Do diabła, człowieku – warknął Isgrimnur. – A co innego możemy zrobić? Próbować przejść przez Kwanitupul, omijając tego Aspitisa, a potem przez cały wrogi nam Nabban? Popatrz na nas! Czy może być bardziej podejrzana i rzucająca się w oczy banda? Dziewczyna, dwóch mnichów – w tym jeden brodaty – dziecinny olbrzym i Wrańczyk! Czy mamy wybór?

Wydawało się, że Hernystirczyk podejmie spór, lecz po chwili wahania wzruszył tylko ramionami i skulił niczym żółw, który powraca do swojej

skorupy.

– Tak, chyba nie mamy innej możliwości – przyznał cicho.

– Co powinniśmy zrobić? – odezwała się Miriamele już nie tak przestraszona. Wciąż była jeszcze mocno poruszona, ale teraz w jej oczach pojawiła się iskra determinacji.

Tiamak spoglądał na nią z podziwem. Isgrimnur zatarł olbrzymie dłonie.

– Tak. Musimy uciekać. Za godzinę nie powinno nas już tutaj być, a nawet wcześniej, jeśli to możliwe. Dlatego nie możemy marnować czasu. Tiamaku, wyjdź przed gospodę i obserwuj. Ktoś inny mógł udzielić żołnierzom lepszych wskazówek niż twoje; byłoby po nas, gdyby zaskoczyli nas znienacka. Ty nie będziesz się rzucał w oczy. – Rozejrzał się zamyślony. – Zaprowadzę Camarisa na podwórze, żeby zajął się mniej poszarpanymi sieciami. Cadrachu, pomożesz mu. Pamiętaj, on jest dziecinny, ale pracuje tutaj od lat, więc zna się na robocie i rozumie wiele słów, chociaż sam nie mówi. Ja pozbieram resztę rzeczy i przyjdę pomóc wam przy łodzi. Potem zniesiemy ją do kanału.

– Isgrimnurze, a ja? – Miriamele przestępowała z nogi na nogę, w nadziei, że i ona będzie mogła coś zrobić.

– Weź tę jędzę, karczmarkę, do kuchni i zajmij się naszym prowiantem. Zabierz rzeczy, które nie będą się psuły, gdyż nie wiadomo, jak długo będziemy musieli się obejść bez... – Zamilkł olśniony nagłą myślą. – Bez wody! Świeżej wody! Słodki Usiresie, przecież udajemy się na bagna. Zabierz tyle wody, ile tylko zdołasz. Pomogę ci nieść dzbany, czy cokolwiek, w co ją wlejesz. Na podwórzu za karczmą jest beczka na deszczówkę, myślę, że pełna. Ha! Wiedziałem, że ta paskudna pogoda przyda się na coś! – Wykręcał nerwowo palce, goniąc za myślami. – Albo nie, księżniczko, nie chodź jeszcze. Powiedz Charystrze, że zapłacimy za

wszystko, co zabierzemy, ale ani słowa o tym, dokąd jedziemy! Za głupiego cintisa sprzedałaby nasze nieśmiertelne dusze. Szkoda, że nie jestem taki jak ona. Zapłacę jej za wszystko, choć uszczupli to znacznie nasze zasoby. – Książę odetchnął głęboko. – No, a teraz ruszajcie! Przez cały czas nasłuchujcie wezwania Tiamaka, a wtedy biegnijcie na podwórze.

Po tych słowach odwrócił się i otworzył drzwi. Charystra, zdezorientowana, siedziała na szczycie schodów wśród porozrzucanej żywności. Isgrimnur popatrzył na nią przez chwilę, po czym nachylił się do Miriamele i szepnął jej do ucha; Tiamak był na tyle blisko, by usłyszeć jego słowa.

– Nie spuszczaj jej z oka – mruknął książę. – Może będziemy musieli zabrać ją ze sobą, przynajmniej na tyle daleko, żeby nie wydało się, w którą stronę pojechaliśmy. Jeśli będzie się stawiać, zawołaj, a zaraz przyjdę. – Wziął Miriamele pod łokieć i poprowadził w kierunku siedzącej na schodach Charystry.

– Witaj ponownie, dobra kobieto – odezwała się księżniczka. – Nazywam się Marya. Spotkałyśmy się już na dole. Chodźmy do kuchni przygotować trochę jedzenia dla mnie i moich przyjaciół, od dawna jesteśmy w podróży i bardzo zgłodnieliśmy. – Schyliła się i pomogła Charystrze wstać, po czym ponownie się schyliła po chleb i ser. – Widzisz? – odezwała się wesoło, biorąc ogłupiałą kobietę pod ramię. – Niczego nie zmarnujemy i dobrze zapłacimy.

Obie zniknęły w dole schodów.

MIRIAMELE PRACOWAŁA JAKBY W AMOKU. Tak bardzo skupiła się na zadaniu, jakie miała do wykonania, że zupełnie zatraciła poczucie tego, dlaczego to robi, dopóki nie usłyszała ostrzegawczego okrzyku Tiamaka i uderzenia jego pięści w dach nad ich głowami. Z bijącym sercem chwyciła ostatnią

wiązkę suszonej cebuli – Charystra nie dbała specjalnie o zaopatrzenie swojej spiżarni – i ruszyła szybko w stronę podwórza, popychając przed sobą protestującą karczmarkę.

– No, no co ty sobie myślisz? – utyskiwała Charystra. – Nie ma powodu, żeby mnie tak traktować, bez względu na to, kim jesteś!

– Bądź cicho, a wszystko będzie dobrze! – Miriamele pragnęła, aby tak było naprawdę.

Kiedy znalazły się w pokoju jadalnym, usłyszała na schodach ciężkie kroki Isgrimnura. Szybko dołączył do nich i nacierając swym ogromnym cielskiem na Charystrę, zmusił ją, by wyszła z nimi na podwórze. Camaris i Cadrach byli tak pochłonięci pracą, że nie podnieśli nawet wzroku, kiedy ich towarzysze wyszli na zewnątrz. Stary rycerz trzymał w dłoni pędzel umoczony w smole, mnich zaś przecinał właśnie kawał żaglowego płótna.

Chwilę później z dachu zsunął się Tiamak.

– Widziałem żołnierzy, są niedaleko – rzucił zdyszany. – Znajdują się o jakieś tysiąc kroków od nas, może trochę mniej, i idą w naszą stronę!

– Czy to ci sami żołnierze? – spytał Isgrimnur. – A niech mnie, po co pytam? Oczywiście, że tak. Musimy iść. Czy łódź wysmarowana?

– Myślę, że utrzyma nas na wodzie przez jakiś czas – powiedział spokojnie Cadrach. – Jeśli zabierzemy to ze sobą – tu wskazał na smołę i płótno – będziemy mogli poprawić parę rzeczy, kiedy się zatrzymamy.

– Jeśli w ogóle będziemy mieli okazję się zatrzymać – burknął Isgrimnur. – Dobrze. Miriamele?

– Opróżniłam spiżarnię. Nie było z tym większego problemu.

Charystra, która zdążyła już odzyskać nieco ze swej buty, wysunęła się do przodu.

– A co ja i moi goście będziemy teraz jeść? – spytała energicznie. – Mój stół znany jest w całym Kwanitupulu.

Isgrimnur prychnął tak gwałtownie, że aż podskoczyły mu wąsy.

– Problemem nie jest twój stół, lecz to, co na nim stawiasz. Dostaniesz swoją zapłatę, kobieto, ale najpierw odbędziemy krótką podróż.

– Co?! – wrzasnęła Charystra. – Ja jestem poczciwą aedonicką kobietą! Co chcecie ze mną zrobić?

Książę spojrzał skrzywiony na pozostałych.

– Nie podoba mi się to, ale nie możemy jej tutaj zostawić. Wysadzimy ją w jakimś bezpiecznym miejscu, oczywiście z pieniędzmi. – Zwrócił się do Cadracha: – Weź kawałek liny i zwiąż ją, dobrze? Tylko postaraj się nie zrobić jej krzywdy.

Ostatnie przygotowania przebiegały przy odgłosach protestów wściekłej Charystry. Tiamak, obawiając się, że Isgrimnur może zapomnieć o czymś z ich cennego bagażu, pobiegł na górę, by się upewnić, że nic tam nie zostało. Powróciwszy, przyłączył się do pozostałych, którzy wynosili właśnie łódź przez szerokie drzwi dziedzińca.

– Każdy przyzwoity podwórzec remontowy ma kołowrót – utyskiwał Isgrimnur. Po jego twarzy płynęły strużki potu.

Miriamele obawiała się, że któryś ze starszych mężczyzn może się zranić, ale Camaris, pomimo swego wieku, wydawał się niewzruszony brzemieniem ciężaru, a Isgrimnur był jeszcze silnym mężczyzną. Jeśli już ktoś miał mieć kłopoty, to byli to mały Tiamak i Cadrach, wciąż wyczerpani po tym, przez co przeszli. Miriamele chciała im pomóc, ale bała się choć na chwilę zostawić Charystrę, aby ta nie narobiła hałasu albo nie wpadła do wody i nie utopiła się.

Kiedy szli chwiejnie w dół rampy w kierunku tylnego doku, Miriamele była pewna, że usłyszała tupot kroków Aspitisa i jego zbójów. Wydawało jej się, że łódź posuwa się wyjątkowo wolno, niczym ślepy, ośmionogi chrząszcz, który zaczepia się na każdym wąskim zakręcie.

– Pospieszcie się! – ponaglała Charystra, jęcząc, niespokojna o swój los.

Wreszcie dotarli do wody. Kiedy opuścili łódź ponad krawędzią pływającego doku, Cadrach sięgnął między ławki i spośród narzędzi, które zabrali ze sobą do naprawy łodzi, wyciągnął ciężki, drewniany młotek, po czym wrócił po rampie do gospody.

– Co robisz?! – zawołała Miriamele. – Będą tutaj lada chwila.

– Wiem. – Cadrach przyśpieszył kroku, chwiejąc się i przyciskając młot do piersi.

Isgrimnur popatrzył groźnie za mnichem.

– Czy on zwariował?

– Nie wiem. – Miriamele popchnęła Charystrę w kierunku łodzi, która skrzypiała cicho, ocierając się o ścianę doku. Kiedy karczmarka zaczęła stawiać opór, stary Camaris wstał, uniósł ją z taką samą łatwością, z jaką ojciec unosi malutką córkę, i posadził obok siebie na ławce. Kobieta skuliła się przestraszona, a po jej policzku popłynęły łzy. Miriamele patrzyła na nią ze współczuciem.

Po chwili na pomoście ukazał się ponownie Cadrach. Pozostali pomogli mu wsiąść do łodzi, którą on odepchnął od brzegu doku. Łódź skierowała się w kierunku środka kanału.

Miriamele pomogła mnichowi usadowić się na ławce.

– Co robiłeś?

Cadrach milczał przez chwilę, łapiąc oddech, po czym położył ostrożnie młot na zwiniętym płótnie.

– Tam była jeszcze jedna łódź. Chciałem się upewnić, że połatanie jej zajmie im więcej czasu niż nam naprawa tej łodzi. Nie można ścigać kogoś w Kwanitupulu bez łodzi.

– Dobry pomysł – pochwalił go Isgrimnur. – Chociaż bez wątpienia niebawem zdobędą inną łódź.

– Patrzcie! – Tiamak wskazał dłonią. Kilkunastu żołnierzy ubranych w niebieskie płaszcze i hełmy zbliżało się drewnianym chodnikiem do „Pucharu Pelippy”.

– Najpierw zapukają – powiedział cicho Cadrach. – Potem wyważą drzwi. A potem się zorientują, co zrobiliśmy, i zaczną szukać łodzi.

– A zatem lepiej wykorzystajmy naszą przewagę. Do wioseł! – Isgrimnur chwycił za wiosło.

Camaris złapał swoje i kiedy oba zanurzyły się w zielonej wodzie, mała łódź skoczyła do przodu.

Siedząca na rufie Miriamele spojrzała do tyłu na znikającą gospodę. Wydawało jej się, że w zamieszaniu, jakie powstało wokół wejścia do budynku, na chwilę zajaśniały złociste włosy. Przerażona opuściła wzrok na wzburzoną wodę kanału i modliła się do Matki Bożej i kilku świętych, aby nigdy już nie ujrzała Aspitisa.

JESTEŚMY PRAWIE NA MIEJSCU. – Zezowaty Rimmersman popatrzył na palisadę z powyginanych, sosnowych pni z taką czułością, jakby zobaczył znajomą ulicę. – Tam będziesz mógł się pożywić i odpocząć.

– Dziękuję, Dypnirze – powiedział Isorn. – To mi wystarczy. – Chciał może coś jeszcze powiedzieć, ale Eolair chwycił za uzdę jego konia i zatrzymał go. Nie zauważywszy niczego, Dypnir jechał dalej, aż stał się ledwie widocznym cieniem w mroku lasu.

– Isornie, czy możemy mu zaufać? – spytał hrabia Nad Mullach. – Jeśli nie jesteś tego pewien, niech przedstawi inne dowody, zanim znajdziemy się w pułapce.

Isorn zmarszczył brwi.

– On jest ze Skoggey. Ludzie stamtąd są wierni mojemu ojcu.

– To on mówi, że jest ze Skoggey. A oni byli wierni twemu ojcu. – Eolair pokręcił głową, zdumiony, że syn księcia może posiadać tak mało wyczucia. Choć z drugiej strony podziwiał ogromną dobroć i otwartość Isorna.

„Wielkim skarbem jest każdy, kto potrafi zachować takie cechy w czasach pełnych okropieństw” – pomyślał hrabia, ale jednocześnie czuł ciężar odpowiedzialności za własne życie i dlatego nie mógł przyglądać się spokojnie, nawet jeśli miałoby to obrazić syna księcia Isgrimnura.

Isorn skwitował uśmiechem niepokój Eolaira.

– Zna ludzi, których powinien znać. W każdym razie byłby to dość dziwaczny sposób organizowania zasadzki na kilka zaledwie osób. Czy nie sądzisz, że gdyby był on człowiekiem Skalego, to po prostu napadłoby na nas stu ludzi?

Eolair ponownie się nachmurzył.

– Z pewnością nie, jeśli jest on tylko zwiadowcą i udaną akcją chce się dorobić awansu. Dość już o tym. Ale nie będę wkładał miecza do pochwy zbyt głęboko.

Młody Rimmersman roześmiał się.

– Ja także, hrabio Eolairze. Zapominasz, że większość mego dzieciństwa spędziłem z Einskaldirem – niech Aedon da mu odpoczywanie – najbardziej nieufnym mężem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

Teraz Hernystirczyk także się uśmiechnął. Porywczość i niecierpliwość Einskaldira niezmiennie przypominały dawne, pogańskie Rimmersgard, którego bogowie byli zmienni jak pogoda i nieubłagani jak góry Vestivegg.

Eolair, Isorn i czterej Thrithingowie byli w drodze już od kilkunastu tygodni. Ludzie Hotviga byli dość przyjaźni, lecz podróż przez ucywilizowane części wschodniego Erkynlandu – to znaczy noszące ślady domostw i pól uprawnych, obecnie w większości opuszczonych –

napełniała ich pewnym niepokojem. W miarę jak oddalali się od ojczystych równin, stawali się coraz bardziej ponurzy, rozmawiali prawie wyłącznie między sobą w swym gardłowym języku, a nocami zbierali się przy ognisku i śpiewali rodzime pieśni. Z tego też powodu Isorn i Eolair zdani byli głównie na swoje towarzystwo.

Hrabia z ulgą stwierdził, że płowowłosy, niedźwiedziowaty syn księcia okazał się o wiele lepszym kompanem, niż wyglądał na pierwszy rzut oka. Bez wątpienia był dzielny, lecz odwagą swoją różnił się od wielu innych, dla których najmniejsza choć słabość była ujmą na honorze w oczach innych. Młody Isorn po prostu nie wiedział zbyt wiele o strachu, gdyż rzeczy, które miał do zrobienia, uważał za słuszne i konieczne. Nie można było też powiedzieć, że był nieczuły. Wciąż nie potrafił swobodnie opowiadać o tym, jak znalazł się w niewoli Czarnych Rimmersmenów, jak torturowano jego i jego towarzyszy, a także o spotkaniu z nieśmiertelnymi istotami o bladych twarzach. Jednak bystre oko Eolaira dostrzegało, że każdy inny, kto przeszedłby przez takie doświadczenia, byłby bardziej poruszony. Dla Isorna stanowiło to okropne przeżycie, jednak należało ono już do przeszłości.

I kiedy tak jechali u podnóża wzgórz wznoszących się ponad dziwnie pustą Doliną Hasu oraz skrajem lasu Aldheorte, trzymając się odpowiednio daleko od niebezpiecznego, zasypanego śniegiem Erchesteru i Hayholt – a także wysokiego Thisterborga, o którym Eolair nie potrafił zapomnieć – hrabia Nad Mullach coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że lubi młodego Rimmersmana, który zarówno swoich rodziców, jak też swój lud kochał tak mocno, że oba te uczucia zlały się w istocie w jedną wielką miłość. A jednak Eolair, zmęczony i poobijany trudami wydarzeń, obznajomiony już z okropieństwami wojen, zanim jeszcze zaczęła się ta ostatnia, zastanawiał się, czy on sam był kiedyś tak młody jak Isorn.

– Jesteśmy prawie na miejscu. – Głos Dypnira wyrwał Eolaira z zamyślenia i kazał mu powrócić w mrok lasu.

– Mam tylko nadzieję, że dadzą nam coś do picia – powiedział Isorn, uśmiechając się – i to tyle, by starczyło dla wszystkich.

Eolair otworzył usta, żeby mu odpowiedzieć, i wtedy w popołudniowej ciszy rozległ się nowy głos.

– Stójcie! Pozostańcie na miejscu! – Ktoś mówił w języku Westerling, ale z silnym akcentem Rimmersgardu.

Isorn i Eolair ściągnęli cugle. Jadący za nimi Thrithingowie także zatrzymali się posłusznie. Eolair słyszał, jak szepcą między sobą.

– To ja! – zawołał ich przewodnik, odwracając w bok zarośniętą twarz, tak żeby ukryty obserwator mógł go zobaczyć. – To ja, Dypnir. Przyprowadzam sprzymierzeńców.

– Dypnir? – zapytał głos powątpiewająco.

Po chwili rozległy się stłumione głosy rozmowy w języku Rimmerspakk. Isorn słuchał uważnie.

– Co oni mówią? – szepnął Eolair. – Nie rozumiem, kiedy mówią tak szybko.

– O czymś, co ty podejrzewałeś. Dypnir zniknął kilkanaście dni temu i oni pytają go dlaczego. Tłumaczy się koniem.

Eolair i jego towarzysze znaleźli Dypnira przy leśnym szlaku w zachodniej części lasu Aldheorte, jak chował się w pobliżu swego zdechłego konia, który złamał nogę i któremu Dypnir dopiero co poderżnął gardło. Rozłożyli między siebie bagaże jednego z jucznych koni i dali wierzchowca Rimmersmanowi w zamian za to, że zaprowadzi ich do ludzi, którzy mogliby im pomóc, choć nie sprecyzowali, o jaką pomoc im chodzi – dali tylko do zrozumienia, że na pewno nie spodoba się to Skalemu Ostronosemu.

– Dobrze. – Ukryty strażnik znowu mówił w języku Westerling. – Jedźcie za Dypnirem. Ale powoli i trzymajcie ręce tak, żebyśmy je widzieli. Mamy łuki, więc pożałujecie, jeśli przyjdzie wam ochota na jakieś głupie sztuczki w ciemnym lesie.

Isorn wyprostował się w siodle.

– Rozumiemy. Ale i wy nie próbujcie sztuczek. – Dodał coś jeszcze w Rimmerspakk. Po chwili ciszy Dypnir otrzymał jakiś znak i ruszył powoli, a Eolair i jego towarzysze za nim.

Jechali jeszcze jakiś czas w gęstniejącym mroku.

Początkowo hrabia Nad Mullach dostrzegł jedynie malutkie iskierki podobne do czerwonych gwiazd. Przyjrzawszy się lepiej, zobaczył, że światła drżą oraz podskakują, i wtedy zdał sobie sprawę, że są to płomienie ognia widziane przez gęste gałęzie drzew. W pewnym momencie skręcili nagle i przejechali przez coś, co przypominało żywopłot z drzew, schylając głowy, na co nalegał szeptem Dypnir, aż znaleźli się w przyjaznym blasku ognia.

Obóz stanowił coś, co nazywano mieszkaniem trapera: była to polanka wycięta w gęstym zagajniku i osłonięta przed wiatrem sosnowymi i świerkowymi gałęziami przywiązanymi między pniami drzew. Na środku polany wokół ogniska siedziało trzydziestu, może czterdziestu ludzi, których oczy błysnęły odbitym światłem ognia, kiedy odwrócili się, by w milczeniu przyjrzeć się obcym. Wielu z nich ubranych było w brudne i poszarpane stroje wojenne, a wszyscy mieli spojrzenie ludzi, którzy od dawna już nie śpią pod dachem.

„Na Kocioł Rhynna, to obóz rozbójników. Obrabują nas i zabiją”. – Na chwilę ogarnęło Eolaira przerażenie, gdy pomyślał o tym, że zakończą swoją wyprawę w tak bezsensowny sposób, a także wściekłość, że tak potulnie dali się wprowadzić w szpony śmierci.

Siedzący najbliżej wejścia na polanę chwycili za broń. Thrithingowie poruszyli się niespokojnie na koniach i przesunęli dłonie bliżej rękojeści swoich mieczy. Zanim czyjś nieopaczny ruch zdążył sprowokować atak którejś ze stron, Dypnir uniósł ramiona w górę i zsunął się z pożyczonego wierzchowca. Krzepki Rimmersman lepiej czuł się na koniu niż na ziemi, dlatego poszedł koślawo w kierunku środka polany.

– Spokojnie – powiedział. – Ci ludzie są przyjaciółmi.

– Nikt, kto przychodzi wyjadać z naszego garnka, nie jest przyjacielem – warknął jeden z najbardziej ponurych Rimmersmanów. – A kto zaręczy, że oni nie są szpiegami Skalego?

Milczący dotąd Isorn pochylił się nagle w siodle.

– Ule? – odezwał się niepewnie. – Czy ty nie jesteś Ule, syn Frekkego, Siwowłosego?

Mężczyzna spojrzał na niego uważnie, zmrużywszy oczy. Mógł być w wieku Eolaira. Jego zmęczona twarz była tak brudna, że wydawało się, iż nosi on maskę. Za pas wsunięty miał niewielki topór z wyszczerbionym ostrzem.

– Tak, jestem Ule, syn Frekkego. Skąd znasz moje imię? – powiedział to głosem napiętym, jakby gotowy do skoku.

Isorn zsiadł z konia i zrobił krok do przodu.

– Jestem Isorn, syn księcia Isgrimnura z Elvritshalli. Twój ojciec był jednym z najwierniejszych towarzyszy mojego ojca. Nie pamiętasz mnie, Ule?

Po tych słowach na polanie rozległy się ciche rozmowy i szelest ogólnego poruszenia. Isorn musiał poczuć się rozczarowany, jeśli oczekiwał, że stojący przed nim ludzi podskoczą i uściskają go radośnie.

– Urosłeś od czasu, kiedy widziałem cię po raz ostatni – powiedział syn Frekkego. – Ale wciąż jesteś podobny do swojego ojca. – Ule wpatrywał się

w niego i widać było, że wzbiera w nim łagodny gniew. – Tylko że on nie jest już księciem, a jego ludzie są banitami. Dlaczego nas nachodzisz?

– Przychodzimy, by prosić was o pomoc. Takich jak wy, pozbawionych domów, jest o wiele więcej, a oni zaczęli się zbierać, żeby odebrać to, co im zabrano. Przynoszę wam wieści od mojego ojca, prawowitego księcia, a także od księcia Josui z Erkynlandu, który również jest wrogiem Skalego Ostronosego.

Zdumione szepty stawały się coraz głośniejsze, lecz Ule wydawał się nie zwracać na nie uwagi.

– Chłopcze, to marna sztuczka. Twój ojciec zginął w Naglimundzie, a twój książę Josua poległ razem z nim. Nie opowiadaj nam niestworzonych historyjek tylko dlatego, że chciałbyś znowu rządzić sforą psów. Teraz jesteśmy wolnymi ludźmi.

Niektórzy z jego towarzyszy przytaknęli mu, mrucząc pod nosem.

– Wolnymi ludźmi? – wycedził Isorn przez gardło ściśnięte złością.

– Spójrzcie na siebie! Spójrzcie na to! – Wskazał dookoła. Eolair przyglądał mu się, zaskoczony nagłym przypływem energii młodego Rimmersmana. – Wolni wolnością psów, które wypędzono z domu i pozwolono im włóczyć się po lesie, czy o tym mówisz? Gdzie są wasze domy, wasze żony i dzieci? Mój ojciec żyje...! – Zamilkł, starając się uspokoić. Eolair pomyślał, że Isorn zwątpił nagle w to, co tak pewnie oznajmił. – Mój ojciec odzyska swoje ziemie – powiedział. – Ci, którzy mu w tym pomogą, także odzyskają swoje majątki, a nawet więcej, gdyż kiedy skończymy ze Skalim, jego ludzie pozostawią wiele niezamężnych kobiet i pozostawionych odłogiem pól. Każdy prawdziwy mężczyzna, który pojedzie z nami, zostanie nagrodzony.

Stojący dookoła wybuchnęli gromkim śmiechem, lecz był to raczej wyraz aprobaty dla przechwałki niż szyderstwo. Eolair, niezwykle biegły

w sztuce dyplomacji, wyczuł, że powoli zaczynają odzyskiwać grunt pod nogami.

Ule wstał nagle, ukazując swą ogromną postać ubraną w postrzępiony strój. Pozostali uciszyli się.

– W takim razie powiedz mi coś, Isornie, synu Isgrimnura – zaczął. – Powiedz mi, co się stało z moim ojcem, który służył twojemu ojcu przez całe życie. Czy on czeka na mnie na końcu twojej drogi, jak spragnione mężczyzn wdowy czy rozległe bezpańskie pola, o których mówisz? Czy będzie on czekał, żeby uściskać swojego syna? – Drżał cały ze złości.

Isorn nie drgnął nawet. Wciągnął głęboko powietrze.

– Ule, on był w Naglimundzie. Zamek padł oblegany przez Króla Eliasa. Tylko niewielu uciekło i twój ojciec nie był jednym z nich. Tak więc jeśli umarł, to umarł dzielnie. – Zamilkł na chwilę, idąc myślami za wspomnieniem. – Zawsze był dla mnie bardzo dobry.

– Cholerny staruszek kochał cię jak rodzonego wnuka – rzucił Ule z goryczą i zrobił chwiejny krok do przodu. Eolair, pogrążony w myślach, dopiero po chwili sięgnął po miecz, przeklinając własną opieszałość. Ule objął Isorna żelaznym uściskiem swych ramion i uniósł wyższego od siebie młodzieńca do góry. – Niech będzie przeklęty Skali! – Łzy zostawiały jaśniejsze strużki na brudnej twarzy Ulego. – Morderca, przeklęty morderca! Tylko śmierć może położyć kres tej wojnie! – Postawił Isorna na ziemi i otarł twarz rękawem. – Ostronosy musi umrzeć. Wtedy mój ojciec będzie się śmiał w niebie.

Isorn wpatrywał się w niego przez chwilę, aż łzy napłynęły mu do oczu.

– Ule, mój ojciec kochał Frekkego. Ja też go kochałem.

– Na Krew z Drzewa, czy w tym przeklętym miejscu jest coś do picia? – zawołał Dypnir.

Teraz ze wszystkich stron zaczęli cisnąć się obszarpańcy, żeby powitać Isorna.

PEWNIE DZIWNIE ZABRZMI TO, co mam wam do powiedzenia – powiedziała Maegwin. Zdenerwowana bardziej, niż przypuszczała, zamilkła na chwilę i wygładziła fałdy swej starej, czarnej sukienki. – Ale jestem córką Króla Llutha i kocham Hernystir ponad własne życie. Wolałabym dać sobie wyrwać serce, niż skłamać przed wami.

Jej ludzie słuchali uważnie, zebrani w największej z jaskiń znajdujących się we wnętrzu Grianspog; była to wysoka pieczara, w której odbywały się sądy i rozdzielano żywność. Być może Maegwin rzeczywiście miała im powiedzieć coś dziwnego, lecz oni i tak postanowili jej wysłuchać. Cóż mogłoby ich jeszcze zaskoczyć w świecie równie szalonym jak ten, w jakim się znaleźli?

Maegwin spojrzała do tyłu na stojącą tuż za nią Diawen. Oczy wróżbitki płonęły jakimś osobistym szczęściem, a ona sama uśmiechnęła się zachęcająco.

– Powiedz im! – szepnęła.

– Wiecie, że bogowie rozmawiali ze mną w snach – zaczęła głośno Maegwin. – To oni przypomnieli mi dawną pieśń i nakłonili, abym przyprowadziła was do tych jaskiń, gdzie znaleźliśmy bezpieczeństwo. Później Cuamh Ziemski Pies, bóg podziemi, zaprowadził mnie do ukrytego miejsca, którego nie oglądano od czasów Tethaina, a w którym to bogowie zostawili dla nas podarunek. Dla was! – Wskazała na jednego z pisarzy, który schodził z Eolairem do Mezutu’a, aby skopiować mapy karlaków. – Wstań i opowiedz ludziom o tym, co widziałeś.

Starzec wstał, chwiejąc się, i zaraz wsparł się na jednym ze swych młodych uczniów.

– Rzeczywiście, było to miasto bogów – przemówił drżącym głosem. – Ukryte głęboko w ziemi, jest większe od całego Hernysadharc i znajduje się w jaskini rozleglejszej niż zatoka Crannhyru. – Starzec rozłożył chude ramiona, próbując bezskutecznie ukazać rozmiary kamiennego miasta. – Tam w mroku szeptały stworzenia, jakich dotąd nie oglądaliśmy. – Uniósł pospiesznie dłoń, widząc, że niektórzy z zebranych kreślą znak przeciw złemu. – Nie, one nie wyrządziły nam żadnej szkody. Wręcz przeciwnie, zaprowadziły nas do swojej kryjówki, gdzie zrobiliśmy to, o co prosiła nas księżniczka.

Maegwin dała znak starcowi, żeby usiadł.

– Bogowie pokazali mi miasto, a w nim znaleźliśmy rzeczy, które pozwolą nam skierować nawałnicę bitwy przeciwko Skalemu i jego panu, Eliasowi z Erkynlandu. Eolair zabrał dary dla naszych sprzymierzeńców. Widzieliście, jak odjeżdżał.

Zebrani przytaknęli. Wśród ludzi, którzy – tak jak oni teraz – prowadzili równie samotniczy tryb życia, wyjazd hrabiego Nad Mullach na tajemniczą wyprawę stał się tematem plotek na kilka tygodni.

– Tak więc bogowie dwukrotnie do mnie przemawiali i dwukrotnie mieli rację.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła niepokój. Czy rzeczywiście tak było? Czy nie przeklinała samej siebie za to, że źle ich zrozumiała? Były nawet chwile, gdy winiła samych bogów za to, że ukazali jej okrutne, złe znaki. Milczała, targana nagłą wątpliwością, lecz Diawen pochyliła się i dotknęła jej ramienia, jakby czytała w jej myślach. Maegwin znowu poczuła się pewniej.

– Teraz bogowie przemówili do mnie, przemówili po raz trzeci najpotężniejszym słowem. Widziałam samego Bryniocha! – Była przekonana, że jego właśnie widziała w swojej wizji. Dziwna twarz

o złocistych oczach wciąż płonęła w jej pamięci niczym ognisty obraz słońca, widoczny w ciemności zamkniętych oczu. – I Brynioch oznajmił mi, że bogowie ześlą Hernystirowi pomoc!

Nieliczni z zebranych porwani wizją Maegwin wznieśli okrzyki radości. Inni, niepewni swych myśli, spojrzeli z nadzieją na sąsiadów.

– Craobhanie! – zawołała Maegwin. – Wstań i opowiedz naszym ludziom, jak mnie znaleźliście.

Stary doradca wstał z widoczną niechęcią. Wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że jest on politykiem, praktycznym mężem, który nie zajmuje się jakimiś wydumanymi przepowiedniami i rozmowami bogów z księżniczką. Zebrani w jaskini dobrze o tym wiedzieli, dlatego jego słowa miały być dużym atutem Maegwin.

Craobhan rozejrzał się po jaskini.

– Znaleźliśmy księżniczkę na Bradoch Tor – zaczął śpiewnym głosem. Pomimo wieku jego głos wciąż brzmiał donośnie; używał go z wielkim powodzeniem w służbie ojca i dziada Maegwin. – Sam tego nie widziałem, ale znam dobrze ludzi, którzy ją przyprowadzili na dół; tak, można im zaufać. Już trzy dni pozostawała na szczycie góry, a nie zamarzła z zimna. Kiedy ją znaleźli, była... – spojrzał bezradnie na Maegwin, lecz nie znalazł w jej surowej twarzy żadnego przyzwolenia, które pozwoliłoby mu uniknąć tej chwili – ...była pogrążona w głębokim śnie.

W tłumie rozległy się liczne szepty. Tor uważany był za bardzo tajemnicze miejsce, więc zdumieli się, słysząc, że kobieta wspięła się na niego w czasie tak surowej zimy.

– Czy to był tylko sen? – spytała nagle Diawen.

Craobhan spojrzał na nią ze złością i wzruszył ramionami.

– Mężczyźni mówili, że był to sen, jakiego nigdy dotąd nie widzieli – powiedział. – Oczy miała otwarte i mówiła, jakby do kogoś, kto stał przed

nią... ale tam niczego nie było.

– Do kogo mówiła? – spytała Diawen.

Stary Craobhan ponownie wzruszył ramionami.

– Mówiła... przemawiała tak, jakby zwracała się do bogów; przerywała też i słuchała, jakby odpowiadali na jej słowa.

– Dziękuję, Craobhanie – powiedziała uprzejmie Maegwin. – Jesteś uczciwym i lojalnym mężem. Rozumiem, dlaczego mój ojciec tak bardzo cię cenił. – Starzec usiadł, lecz nie wydawał się uszczęśliwiony. – Wiem, że bogowie przemawiali do mnie – mówiła dalej. – Widziałam miejsce, w którym mieszkają bogowie, ujrzałam samych bogów, niewyobrażalnie pięknych, ubranych w stroje wojenne.

– W stroje wojenne? – zawołał ktoś. – O jakiej wojnie mówisz, pani? Z kim walczą bogowie?

– Nie z kim – odparła Maegwin, unosząc palec w geście ostrzeżenia. – Raczej dla kogo. Bogowie będą walczyć po naszej stronie. – Pochyliła się do przodu, dając znak, by tłum się uciszył. – Zniszczą naszych wrogów, ale tylko wtedy, gdy zwrócimy się do nich całym sercem.

– Już to zrobiliśmy, pani! – zawołała kobieta.

– Dlaczego nie pomogli nam dotąd? – wykrzyknął ktoś inny. – Zawsze ich czciliśmy.

Maegwin odczekała, aż umilkną głosy.

– Owszem, odnosiliśmy się do nich z szacunkiem, ale był to szacunek, jaki okazujemy staremu krewnemu, którego tolerujemy, utyskując nieustannie. Nigdy nie okazywaliśmy im czci, która byłaby zadośćuczynieniem za ich piękno i moc, za dary, jakie nasz lud otrzymał od nich! – Mówiła coraz donośniejszym głosem. Znowu czuła bliskość bogów; uczucie to wzbierało w niej niczym źródło krystalicznej wody. Było ono tak dziwne, oszałamiające, że nagle wybuchnęła śmiechem. Zdumione twarze

zwróciły się w jej stronę. – Nie! – zawołała. – Odprawialiśmy obrzędy, czyściliśmy rzeźby, paliliśmy święte ognie, ale mało kto z nas zapytał kiedykolwiek, jak jeszcze moglibyśmy okazać bogom, że jesteśmy warci ich pomocy.

Craobhan chrząknął znacząco.

– A jak myślisz, Maegwin, czego oni jeszcze chcą? – Zwrócił się do niej tonem nienaturalnie poufałym, lecz ona roześmiała się tylko.

– Chcą, żebyśmy pokazali, że im ufamy! Chcą, żebyśmy okazali nasze oddanie, żebyśmy z ufnością złożyli nasze życie w ich rękach – choć tak jest przez cały czas. Bogowie pomogą nam, przekonałam się o tym, ale tylko wtedy, kiedy okażemy się tego godni! Dlaczego Bagba dał ludziom bydło? Ponieważ ludzie stracili konie w wojnach bogów, w czasach, kiedy bogowie nas potrzebowali.

Mówiąc te słowa, nagle zrozumiała. Diawen miała rację! Karlaki, przestraszona sithijska kobieta, która mówiła przez Czerep, okrutna zima – wszystko wydało jej się nagle takie zrozumiałe!

– Bo widzicie! – zawołała. – Sami bogowie prowadzą wojnę! Jak myślicie, dlaczego spadł śnieg, dlaczego zima nie odchodzi, choć tyle już razy księżyc zmieniał swe oblicze? Dlaczego Frostmarch roi się od legendarnych stworzeń, których nie oglądano od dnia Herna? Ponieważ bogowie prowadzą wojnę, podobnie jak i my. Tak jak małe dzieci naśladują walki wojowników, tak samo i nasz mały konflikt jest tylko niewielką potyczką wobec ogromnej wojny, która toczy się w Niebiosach. – Wciągnęła głęboko powietrze i aż zadrżała od boskiego uczucia, wypełniona radosną siłą. Teraz nie miała już wątpliwości, że ujrzała prawdę. Była ona jasna jak blask słońca dla kogoś, kto przebudził się ze snu. – Ale podobnie jak wyobrażenia dziecięce wpływają na obraz wojen dorosłych, tak samo nasze zmagania tutaj, na zielonej ziemi, wpływają na

wojny w Niebiosach. Jeśli więc pragniemy pomocy bogów, i my musimy im pomóc. Musimy być odważni i zaufać ich dobroci. Musimy wykrzesać przeciw ciemności najmocniejszą magię, na jaką nas stać.

– Magię? – odezwał się czyjś zdumiony głos. – Czy tego nauczyła cię wróżbitka?

Meagwin usłyszała syk zniecierpliwienia Diawen, lecz była zbyt podniecona, by okazywać teraz złość.

– Bzdura! – krzyknęła. – Nie mówię o sztuczkach jakichś tam magików. Miałam na myśli magię, której głos słychać na ziemi i w Niebiosach. Magię naszego umiłowania Hernystiru i jego bogów. Czy chcecie pozbyć się wroga? Czy znowu chcecie chodzić po swych zielonych polach?

– Powiedz nam, co mamy zrobić? – zawołała kobieta stojąca na przedzie.

– Powiem. – Maegwin czuła wypełniające ją spokój i siłę. W jaskini zaległa cisza i kilkaset napiętych twarzy zwróciło się w jej stronę. Tuż przed nią siedział stary Craobhan; ściągnął brwi sceptycznie, pełen troski i złości. Maegwin patrzyła na niego w tej chwili z miłością, gdyż wyraz klęski na jego twarzy świadczył jedynie o słuszności jej cierpienia i potwierdzał moc snów. – Powiem wam wszystkim – powtórzyła głośniej, a jej głos rozniósł się echem po całej jaskini z taką siłą i pewnością, że mało kto mógł wątpić, iż rzeczywiście słucha wybrańca bogów.

MIRIAMELE I JEJ TOWARZYSZE ZATRZYMALI SIĘ tylko na chwilę, żeby wysadzić Charystrę na brzeg w jednym z opuszczonych doków na skraju Kwanitupulu. Pełna sakiewka, którą Isgrimnur rzucił na zniszczone deski pokładu, tylko częściowo złagodziła wściekłość karczmarki.

– Bóg ukarze was za to, jak obeszliście się z aedonicką kobietą! – zawołała za odpływającymi. Sunęli wolno kanałem zarośniętym

poskręcanymi drzewami, patrząc, jak wciąż stoi na brzegu i wymachuje rękami, aż wreszcie znika.

Cadrach mrugnął.

– Jeśli to, co ostatnio przeżyliśmy, ma być sposobem okazywania łaski przez Boga, to ja dla odmiany chciałbym chyba zakosztować trochę Jego kary.

– Nie bluźnij – mruknął Isgrimnur, pociągając mocno wiosłem. – Wciąż jednak żyjemy i jesteśmy wolni. To doprawdy wielki dar.

Mnich wzruszył ramionami bez przekonania, ale nic już nie powiedział.

Wydostali się na rozległą lagunę, tak płytką, że nad wodą kołysały się na wietrze źdźbła bagiennej trawy. Miriamele spoglądała na oddalający się Kwanitupul. W świetle późnego popołudnia niskie, szare miasto przypominało wraki statków, które osiadły na mieliźnie – ogromna, lecz nieprzydatna osada. Nagle zatęskniła za miejscem, które mogłaby nazwać domem, za najprostszymi i najnudniejszymi zajęciami dnia codziennego. W tej chwili nie potrafiła już znaleźć nawet okrucha czaru przygody w jej wyobrażeniu.

– Wciąż nie widać pościgu – odezwał się Isgrimnur z zadowoleniem. – Gdy tylko dotrzemy do bagien, będziemy bezpieczni.

Siedzący na dziobie łodzi Tiamak uśmiechnął się dziwnie.

– Nie mów takich rzeczy. – Wskazał na prawo. – Płyń tam, do tego małego kanału między dwoma baobabami. Nie mów tak. Możesz ściągnąć uwagę.

– Czyją uwagę? – spytał książę poirytowany.

– Tych, Którzy Oddychają Ciemnością. Lubią czasem odpłacić za śmiałe słowa, napędzając ludziom strachu.

– Pogańskie duchy – mruknął Isgrimnur.

Mały Wrańczyk znowu się uśmiechnął, lecz był to smutny i jakby mimowolny uśmiech. Uderzył dłonią w kościste udo, tak że dźwięk uniósł się echem nad leniwie płynącą wodą, i spojrzał bardziej już ożywiony. – Tak mi wstyd. Wy, ludzie, uważacie mnie pewnie za głupca. Ale ja studiowałem z najlepszymi uczonymi z Perdruin i jestem równie cywilizowany jak każdy mieszkaniec lądu! Tylko że teraz wracamy do mojego domu i ja... boję się. Nagle dawni bogowie mojego dzieciństwa wydali mi się bardziej realni niż kiedykolwiek.

Siedzący obok Miriamele Cadrach przytaknął jego słowom z wyrazem dziwnego zadowolenia na twarzy.

W MIARĘ JAK UPŁYWAŁO POPOŁUDNIE, drzewa i oplatające je pnącza stawały się coraz gęstsze, kanały zaś, do których kierował ich Tiamak, coraz mniejsze i bardziej porośnięte zielskiem. Słońce zbliżało się do liściastego horyzontu, a Camaris i Cadrach ledwie byli w stanie poruszać wiosłami wśród gęstego zielska, kiedy Isgrimnur korzystał z zasłużonego odpoczynku.

– Jeszcze trochę, a będziemy się posługiwać wiosłami jak bosakiem. – Tiamak popatrzył na mętną wodę. – Mam nadzieję, że łódź okaże się na tyle mała, iż zdołamy dotrzeć tam, dokąd zamierzam. Z pewnością będziemy musieli znaleźć coś o mniejszym zanurzeniu, ale lepiej trochę dalej, żeby ścigający się nie zorientowali, co zrobiliśmy.

– Nie mam już ani cintisa. – Isgrimnur rozpędził dłonią chmarę wiszących nad jego głową owadów. – Za co kupimy inną łódź?

– Za tę, którą płyniemy. Z pewnością nie dostaniemy w zamian czegoś równie solidnego, lecz każdy, kto kupi ją od nas, będzie wiedział, że w Kwanitupulu dostanie za nią dwie lub trzy inne płaskodenne, a do tego jeszcze beczułkę palmowego wina.

– Jeśli już mowa o łodziach – wtrącił Cadrach, przestając na chwilę wiosłować – to czuję pod nogami więcej wody, niż miałbym na to ochotę. Czy nie powinniśmy się zatrzymać i załatać łódź, szczególnie że będziemy skazani na nią przez najbliższych kilka dni? Chętnie się rozejrzę za jakimś miejscem na obóz.

– Mnich ma rację. – Tiamak zwrócił się do Isgrimnura. – Czas się zatrzymać.

Kiedy płynęli wolno, a Wrańczyk wypatrywał z dziobu miejsca odpowiedniego do zacumowania łodzi, Miriamele co jakiś czas dostrzegała między chylącymi się drzewami światełka małych, zrujnowanych chat. – Czy to domy twoich ludzi? – spytała Tiamaka.

Potrząsnął głową, uśmiechając się nieznacznie.

– Nie, pani. Ci spośród moich ludzi, którzy muszą zarabiać na życie w Kwanitupulu, tam też mieszkają. Ten obszar nie jest właściwym Wranem i mieszkanie tutaj byłoby dla nich czymś gorszym niż przeżycie dwóch pór roku, jakie muszą spędzić w mieście, zanim mogą powrócić do domu z zarobionymi pieniędzmi. Nie, ci, których domy widzisz, to w większości mieszkańcy lądu, Perdruińczycy albo Nabbańczycy, którzy opuścili swoje miasta. Są inni od swoich ziomków, gdyż wielu z nich długo już mieszka na skraju bagien. W Kwanitupulu nazywają ich mącicielami albo szumowinami i mówi się o nich, że są dziwni oraz że nie można na nich polegać. – Ponownie uśmiechnął się, jakby zawstydzony nieco swym długim wywodem, i zaraz powrócił do poszukiwań miejsca na obozowisko.

Miriamele dostrzegła smużkę dymu płynącą z jednego z domów, i zaczęła się zastanawiać, jak to jest mieszkać w tak odosobnionym miejscu i nie słyszeć ludzkiego głosu od rana do wieczora. Spojrzała w górę na pochylające się nad wodą drzewa, których korzenie, w miejscach gdzie sięgały wody, podobne były do wijących się węży, a gałęzie powyginane

niczym chwytające szpony. Blask zachodzącego słońca nie docierał przez drzewa do wąskiego kanału, co potęgowało wrażenie, że wzdłuż jego brzegu pojawiają się wciąż samotne postacie wyciągające łapy, by chwycić małą łódź i przytrzymać w miejscu, dopóki woda nie podniesie się i nie połkną jej korzenie, pnącza i błoto. Zadrżała. Gdzieś w mroku zaskrzypiała brzoza niczym przestraszone dziecko.

12. Taniec kruka

POCZĄTKOWO BITWA NIE WYDAWAŁA SIĘ Simonowi czymś realnym. Z jego stanowiska na podgórzu *Sesuad'ra* rozległa tafla zamarzniętego jeziora ciągnęła się jak marmurowa podłoga, a za nią widniała ośnieżona równina sięgająca porośniętych lasem i także białych od śniegu wzgórz. Wszystko było tak małe, takie odległe! Simon nieomal wmówił sobie, że powrócił do Hayholt i teraz spogląda z Wieży Zielonego Anioła na krzątających się mieszkańców zamku.

Z jego miejsca przednia straż składająca się z obrońców *Sesuad'ra*, którzy mieli zatrzymać księcia Fengbalda na lodzie i nie dopuścić go do barykady z pni blokującej dostęp do sithijskiej drogi, przypominała przedstawienie malutkich kukiełek. Ludzie machali mieczami i toporami, a potem padali nagle przeszyci niewidocznymi strzałami, jakby jakiś bóg opuścił ich sznurki. Wszystko wydawało się tak odległe! Przyglądając się miniaturowej walce, Simon wiedział jednak, że to, co widzi w dole, dzieje się naprawdę i że niebawem on także się tam znajdzie.

Barany i ich jeźdźcy stawali się coraz bardziej niespokojni. Ci spośród trolli Simona, których pozycja nie pozwalała zobaczyć, co się dzieje, szeptem zadawali pytania swoim towarzyszom. Chmura oddechów całej grupy zawisła tuż nad ich głowami. Wszędzie dookoła gałęzie drzew lśniły kroplami topniejącego śniegu.

Simon, równie zniecierpliwiony jak jego podwładni, przytulił się do karku Nadziei. Ciepło i zapach jej skóry dodawały mu pewności. Chciał

zrobić coś dobrego i słusznego, pomóc Josui i jego przyjaciołom, lecz jednocześnie bał się śmiertelnie tego, co mogło się wydarzyć tam w dole, na szklistej tafli zamarzniętego jeziora. Teraz jednak mógł tylko czekać. Nie nadszedł jeszcze czas śmierci lub chwały Simona i jego małych wojowników.

Obserwował scenę uważnie, starając się zrozumieć sytuację. Linia żołnierzy Fengbalda, którzy trzymali się piaskowego szlaku, jaki usypała im wojenna machina, zafalowała pod naporem ataku obrońców. Zafalowała, ale nie załamała się, gdyż siły Fengbalda dzielnie stawiły opór i zaraz same odpowiedziały atakiem, rozbijając wroga na mniejsze grupki. Żołnierze Fengbalda natychmiast otoczyli atakujących, tak że niewzruszona dotąd linia sił księcia zmieniła się szybko w małe, ruchliwe mrowiska, w które wrzucono garść okruchów.

Stłumione odgłosy walki wzmagały się. Brzęk mieczy i toporów uderzających o zbroje, zduszone okrzyki wściekłości i przerażenia, wszystko to potęgowało jeszcze uczucie oddalenia, jakby bitwa rozgrywała się pod powierzchnią jeziora.

Nawet niedoświadczony Simon zorientował się, że przednie siły obrońców poniosły klęskę. Ci, którzy przeżyli, wycofywali się, gdyż coraz to nowe oddziały Fengbalda wchodziły na lód. Obrońcy, ślizgając się, sunęli po lodzie do barykady i zalesionego zbocza, które przestało już być bezpieczną kryjówką.

Nadzieja zarżała i potrząsnęła łbem niecierpliwie. Simon zacisnął zęby. Wiedział, że musi pozostać na miejscu. Książę nakazał im czekać na wezwanie, bez względu na to, co się będzie działo.

„Czekać”. – Simon westchnął rozzłoszczony.

Tak trudno było wykonać rozkaz...

OJCIEC STRANGYEARD AŻ PODSKAKIWAŁ ze zmartwienia.

– Och! – jęknął i omal nie upadł w błoto. – Biedny Deornoth!

Sangfugol chwycił archiwistę za rękaw, ratując go tym samym przed ześliźnięciem się ze zbocza.

Stojący wysoko na zboczu Josua patrzył uważnie w dół. Vinyafod, koń, którego otrzymał od Thrithingów, stał opodal przywiązany do gałęzi.

– Tam! – Zawołał Josua podniecony. – Widzę czerwony grzebień! Jeszcze stoi na nogach! – Książę wychylił się ostrożnie do przodu. Sangfugol, stojący nieco niżej, zrobił ruch, jakby chciał iść w jego stronę i złapać swego pana, podobnie jak uczynił to przed chwilą z archiwistą. – Udało mu się wyrwać! – krzyknął Josua z ulgą. – Dzielny Deornoth! Zbiera ludzi i wycofują się powoli. Ach, na Boski Pokój, jak ja go kocham!

– Chwalmy imię Aedona. – Strangyeard zrobił znak Drzewa. – Spraw, żeby wszyscy powrócili bezpiecznie. – Opaska na oku przypominała teraz czarną plamę na jego rozgorączkowanej i podnieconej twarzy.

Sangfugol jęknął rozgoryczony:

– Już połowa z nich leży we krwi na lodzie. Ważne jednak, że podobnie rzecz się ma z ludźmi Fengbalda. – Wszedł na kamień i spojrzał w dół, na kłębiących się ludzi. – Josuo, chyba widzę Fengbalda! – zawołał.

– Dobrze – powiedział książę. – Czy dał się wciągnąć?

– Fengbald to głupiec – odparł Sangfugol. – Połknie naszą przynętę jak głodny pstrąg.

Josua odwrócił się i rzucił mu chłodne, trochę nieobecne, lecz rozbawione spojrzenie.

– Tak, z pewnością. Sangfugolu, chciałbym mieć twoją wiarę.

Harfiarz zarumienił się.

– Wybacz, Wasza Wysokość. Chciałem tylko powiedzieć, że Fengbald nie jest tak dobrym taktykiem jak ty.

Książę ponownie skierował spojrzenie na jezioro.

– Harfiarzu, nie trać czasu na pochlebstwa, jestem zbyt zajęty, żeby je teraz docenić. Nie wolno też nie doceniać wroga. – Osłonił oczy przed blaskiem słońca, które wspinało się za chmurami po niebie. – A niech to! Jednak nie dał się całkowicie zwieść! Tylko część jego sił poszła do przodu. Reszta wciąż trzyma się brzegu jeziora.

Sangfugol milczał zawstydzony. Strangyeard znowu zaczął podskakiwać.

– Gdzie jest Deornoth? Ach, to przeklęte stare oko!

– Cofa się. – Josua zeskoczył ze swego stanowiska i zszedł do pozostałych. – Binabik nie wrócił jeszcze od Hotviga, a ja nie mogę dłużej czekać. Gdzie jest chłopak Simona?

Jeremias, który przycupnął za kłodą, by nikomu nie wchodzić w drogę, skoczył na nogi.

– Jestem, Wasza Wysokość.

– Dobrze. Idź. Najpierw do Freosela, a potem na dół, do Hotviga i jego ludzi. Powiedz im, żeby się przygotowali, powiedz, że atakujemy. Niebawem dam znak.

Jeremias, blady, lecz spokojny, skłonił się szybko i popędził w górę.

Josua się zachmurzył. Gwardziści i najemnicy Fengbalda rzeczywiście posuwali się wolno, choć odnieśli sukces w pierwszym starciu.

– Niestety – westchnął. – W miarę jak przybywa mu lat i obowiązków, Fengbald staje się coraz ostrożniejszy. – Jego przeklęte oczy! Nie mamy innej możliwości, musimy zamknąć drzwi pułapki bez względu na to, ilu żołnierzy w nią wpadnie. – Uśmiechnął się gorzko. – Dzień jutrzejszy zostawimy diabłowi.

– Książę Josuo! – Strangyeard znieruchomiał zdumiony. Szybko zrobił w powietrzu znak Drzewa.

NAD JEZIOREM UNOSIŁA SIĘ CHMURA PARY z oddechów ludzi i koni. Trudno było dojrzeć cokolwiek na odległość dalszą niż kilka łokci, a nawet i ci, którzy pozostawali w zasięgu wzroku Deornotha, byli słabo widoczni, przez co odgłosy walki przypominały odgłosy bitwy duchów.

Deornoth przyjął na rękojeść uderzenie gwardzisty. Siła ciosu była tak duża, że nieomal wytrąciła mu miecz. Zdołał jednak utrzymać go w drżącej dłoni i po chwili sam zaatakował. Chybił, lecz zdołał przeciąć niechronioną nogę wierzchowca żołnierza. Cętkowany rumak zarżał przeraźliwie, odskoczył do tyłu, a potem stracił równowagę i runął na pokruszony lód, wzbijając obłok śnieżnej mgiełki. Deornoth ściągnął cugle Vidalixa i oddalił się od przewróconego, bijącego wściekle kopytami konia. Jeździec został uwięziony pod jego ciałem, lecz w przeciwieństwie do swego wierzchowca nie wydawał żadnych odgłosów.

Deornoth uniósł miecz i uderzył nim w swoją tarczę najsilniej, jak potrafił; jego oddech świszczał we wnętrzu hełmu.

– Do mnie! – wykrzyknął ponad wrzawą. – Cofamy się, cofamy!

Rozglądając się, poczuł w ustach coś słonawego i splunął. Z pionowego wycięcia w jego hełmie popłynęła czerwona strużka. Ciecz na twarzy była krwią, musiała to być rana, jaką otrzymał wcześniej, kiedy inny żołnierz wgniótł mu hełm. Nie czuł jej – nigdy nie czuł drobnych ran w czasie zaciekłej walki – ale pomodlił się szybko do Matki Elysii, żeby krew nie spłynęła mu na oczy i nie oślepiła go w nieodpowiednim momencie.

Część jego ludzi usłyszała wezwanie i zbierała się już wokół niego. Nie byli jeszcze wytrawnymi wojownikami, ale Bóg jeden wiedział, jak dzielnie stawili czoło okrutnym gwardzistom. Ich zadaniem nie było rozbicie sił

Fengbalda a tylko spowolnienie ich marszu i ewentualnie zwabienie do barykady i pierwszej spośród niespodzianek Josui: grupy wyborowych łuczników Nowego Gadrinsett. Wiadomo było, że sami łucznicy nie mogli przesądzić o losie bitwy, gdyż żołnierze po obu stronach byli zbyt dobrze schowani za zbrojami, ale mogli spowodować pewne straty, które być może przestrzegą Fengbalda przed atakiem na podnóże wzgórza. Dotąd obie strony wypuściły niewiele strzał, chociaż w pierwszych momentach bitwy Deornoth widział swoich żołnierzy padających na lód z drżącymi jeszcze strzałami, które utkwiły w ich gardłach albo nawet przebiły żelazną kolczugę. Teraz, kiedy zgęstniała poranna mgła, użycie łuków stało się jeszcze trudniejsze.

„Dzięki Bogu, że walczymy z Fengbaldem” – pomyślał Deornoth.

W następnej chwili wykonał szybki unik przed uderzeniem miecza jeźdźca, który wyłonił się niespodziewanie z mgły. Koń przemknął z chrzęstem obok i rozpłynął się w powietrzu. Deornoth wziął kilka głębokich oddechów.

„Paru rycerzy i zgraja partaczy, przynajmniej na razie. Tylko taki głupiec jak Fengbald mógłby zaatakować ufortyfikowane wzgórze bez osłony łuczników! Mogliby nas posiekać na kawałki już na samym początku”.

Jednak Fengbald, pomimo całej swojej ignorancji, nie okazał się aż tak głupi, jak się spodziewano. Mieli nadzieję, że pośle przynajmniej znaczną część swoich Thrithingów, licząc na to, że jako znakomici jeźdźcy dadzą sobie radę na lodzie. Thrithingowie byli okrutnymi wojownikami, ale uwielbiali indywidualne potyczki. Książę był przekonany, że ludzie Deornotha podrażnią najemników i sprowokują ich, by wysunęli się ze swoich oddziałów, przez co staną się łatwiejszym celem ataku i zdezorganizują szyki Fengbalda. Obrońcy nie brali jednak pod uwagę

ogromnych sań i usypanego z nich piaskowego dywanu – Deornoth zastanawiał się, kto wpadł na taki pomysł – który ułatwił wrogowi poruszanie się po lodzie i pozwolił Fengbaldowi wysłać swoich zdyscyplinowanych gwardzistów.

W pewnym momencie rozległ się dźwięk przypominający coraz głośniejsze bicie bębnów. Deornoth podniósł wzrok i zobaczył, że jeździec, który zaatakował go przed chwilą, zdołał wreszcie zatrzymać konia – śliskie podłoże wymagało tak ostrożnych ruchów ze strony walczących po obu stronach żołnierzy, że cała bitwa przypominała raczej podwodny taniec – i teraz znowu wyłaniał się z mgły, tym razem wolniej, pozwalając wierzchowcowi zaledwie na ostrożny chód. Deornoth skierował Vildalixa w stronę atakującego i uniósł miecz. Gwardzista także uniósł swój i wciąż zbliżał się powoli.

Dziwne to było dla Deornotha uczucie zobaczyć wroga ubranego w zielony mundur Królewskiej Gwardii. Jeszcze dziwniejszy wydawał się fakt, że ma tyle czasu, by zastanowić się nad tym w oczekiwaniu, aż ten zuchwały żołnierz pokona dzielącą ich odległość. Gwardzista uchylił się przed zamaszystym cięciem zadanym przez jednego z towarzyszy Deornotha – miecz mignął we mgle jak błyskawicznie wysunięty jęzor węża – i niewzruszenie jechał dalej; w pobliżu znajdowało się więcej żołnierzy Josui, którzy próbowali zebrać się i przeprowadzić zorganizowany odwrót. Deornoth nie mógł oprzeć się myśli, że ukryta pod hełmem twarz tego śmiałka może być mu znajoma, może pili kiedyś razem wino albo grali w kości...

Vildalix, dzielny, ale i niezwykle wrażliwy koń, natychmiast zareagował na delikatne ściągnięcie wodzów i przechylił się mocno na jedną stronę w chwili, gdy nadjechał przeciwnik, którego pierwszy cios musnął niegroźnie tarczę Deornotha. Rumak tańczył przez chwilę, starając się

uniknąć leżącego na lodzie, który wcześniej zginął przygnieciony swoim koniem, przez co cios Deornotha także nie doszedł celu. Atakujący gwardzista ściągnął wodze swego wierzchowca, a ten rozstawił szeroko nogi, próbując zatrzymać się na śliskim lodzie. Widząc swoją szansę, Deornoth obrócił konia i pojechał za przeciwnikiem. Wyćwiczony koń Thrithingów z łatwością wykonał zwrot, tak że Deornoth dopadł gwardzistę, zanim ten wykonał w pełni niezgrabny obrót.

Pierwszy cios Deornotha opadł na uniesioną tarczę przeciwnika, wywołując snop iskier, lecz atakujący wykorzystał siłę rozpędu miecza i zadał drugie uderzenie, przekrzywiając dłonie w nadgarstkach i pochylając się mocno w bok, tak by nie wypuścić miecza. Uderzył na odlew w głowę żołnierza, w chwili kiedy tamten ponownie opuścił tarczę; bok hełmu gwardzisty wgiął się do wewnątrz pod znacznym kątem. Krew natychmiast popłynęła po jego szyi, a on sam zsunął się z siodła; przez chwilę zawisł w strzemionach, a potem runął z łoskotem na lód, gdzie leżał, drgając konwulsyjnie. Deornoth odwrócił się – długie doświadczenie bitewne pozwoliło mu odepchnąć jakiekolwiek wyrzuty sumienia. Być może to drgające ciało było kiedyś kimś, kogo znał, lecz teraz każdy królewski gwardzista był tylko jego wrogiem.

– Wracamy! – zawołał, stając w strzemionach, by móc lepiej ocenić sytuację na polu bitwy. – Za mną! Ostrożnie za mną! – Nie miał pewności, ale wydało mu się, że dostrzegł niewiele więcej niż połowę ludzi, z którymi wyruszył do walki. Z uniesionym mieczem ruszył w stronę wielkiej, drewnianej barykady. Tuż obok jego głowy przeleciała strzała, potem jeszcze jedna, lecz strzelec nie był najlepszy albo może mgła utrudniła mu zadanie.

Ludzie Deornotha wydali stłumiony okrzyk i pojechali za nim.

GDZIE JEST BINABIK?! – KRZYCZAŁ JOSUA. – Miał być moim posłańcem, ale nie wrócił od Hotviga! – Książę skrzywił się. – Boże, daj mi cierpliwość, słuchajcie mnie! Może mu się coś stało! – Odwrócił się do młodego Jeremiasa, który stał nie opodal, dysząc ciężko. – Czy Hotvig powiedział, że Binabik odjechał jakiś czas temu?

– Tak, Wasza Wysokość. Powiedział, że słońce zdążyło wznieść się o dłoń od chwili, kiedy troll go opuścił.

– Co za pech. – Josua zaczął chodzić tam i powrotem, lecz nie spuszczał wzroku z pola bitwy. – No cóż, nic tu nie poradzimy. Obawiam się, że głos może nie dotrzeć na taką odległość, idź więc do Simona i powiedz mu, że jeśli nie usłyszy żadnego sygnału od momentu, gdy wyruszy Hotvig, a zdąży doliczyć do pięciuset, niech wyrusza z trollami. Zrozumiałeś?

– Tak, jeśli nie usłyszy rogu, ma policzyć pięć setek po tym, jak ukaże się Hotvig, i wyruszyć. – Jeremias zastanawiał się chwilę i dodał: – Wasza Wysokość.

– Dobrze. Biegnij zatem, biegnij. Teraz liczą się nawet krótkie chwile. – Josua dał mu znak ręką i zwrócił się do Sangfugola. – Czy i ty jesteś gotów?

– Tak, panie – powiedział harfiarz. – Uczyli mnie najlepsi. – Bez wątpienia potrafię zatrąbić kilka dźwięków na instrumencie tak prostym jak róg.

Josua uśmiechnął się ponuro.

– Sangfugolu, twoja zuchwałość dodaje mi pewności siebie. Pamiętaj tylko, panie mistrzu, że ma to być coś więcej niż tylko trąbienie – masz zagrać sygnał zwycięstwa.

SIMON LUSTROWAŁ WZROKIEM oddział swoich małych towarzyszy głównie po to, żeby się czymś zająć, gdy nagle zdał sobie sprawę, że nie ma wśród nich

Sisqi. Szybko zbliżył się do trolli, przyglądając się kolejnym twarzom, lecz nie znalazł ukochanej Binabika. Przecież była ich dowódcą, gdzie mogła się podziać? Zastanowił się chwilę i doszedł do wniosku, że nie widział jej od momentu odprawy wojennej przed Domem Rozstania.

„Och, nie, litościwy Aedonie – pomyślał zdesperowany. – Co powie Binabik? Zgubiłem jego ukochaną, jeszcze zanim zaczęła się bitwa!”

Odwrócił się do najbliżej stojącego trolla.

– Sisqi? – spytał i wzruszył kilkakrotnie ramionami, chcąc dać do zrozumienia, że nie wie, gdzie ona się znajduje. Dwie trollice zwróciły na niego pytające spojrzenia. A niech to, przecież tak nazywa ją Binabik. Jak brzmiało jej pełne imię? – Sis... Sisqimook? – spróbował. – Sisqinamok?

Jedna z kobiet przytaknęła mu energicznie, zadowolona, że go rozumie.

– *Sisqinanamook*.

– Gdzie ona jest? – Simon nie mógł sobie przypomnieć odpowiednika tego pytania w języku trolli. – Sisqinanamook? Gdzie? – Pokazał ręką na różne strony i ponownie wzruszył ramionami.

Wreszcie wyglądało na to, że jego mali towarzysze zrozumieli znaczenie jego pytania: po długich naradach w języku Qanuc stojący najbliżej troll pokazał mu bardzo zrozumiałymi gestami, że nie wiedzą, dokąd poszła Sisqinanamook.

Simon klął siarczyście w chwili, kiedy przybył Jeremias.

– Simonie, czyż to nie wspaniałe? – spytał giermek. Jeremias wydawał się bardzo podniecony. – O tym właśnie marzyliśmy w Hayholt.

Simon skrzywił się.

– Tylko że my okładaliśmy się klepkami z beczki, a tamci ludzie w dole użyją prawdziwych mieczy. Czy wiesz, gdzie jest Sisqi, narzeczona Binabika? Powinna być tutaj, z innymi trollami.

– Nie wiem, ale Binabika też nie ma. Wysłuchaj mnie, Simonie. Muszę ci najpierw przekazać wiadomość od Josui. – Jeremias przekazał instrukcje księcia, po czym powtórzył je na wszelki wypadek jeszcze raz.

– Powiedz mu, że jestem gotowy... to znaczy, że *jesteśmy* gotowi. Zrobimy to, co mamy do zrobienia. Ale muszę odnaleźć Sisqi. Ona jest ich przywódcą!

– Nie musisz – odezwał się giermek zadowolony. – Teraz ty jesteś wojennym przywódcą trolli. Muszę biec do Josui. Teraz, kiedy zabrakło Binabika, ja jestem jego głównym posłańcem. – Rzucił niedbale, ale nie potrafił ukryć dumy.

– Ale co będzie, jeśli mnie nie posłuchają? – Simon wpatrywał się w Jeremiasa przez chwilę. – Bardzo jesteś zadowolony, Jeremiasie – burknął. – Tutaj giną ludzie. Może i my zginiemy.

– Wiem. – Jeremias przybrał poważną minę. – Ale przynajmniej taki był nasz wybór, Simonie. Przynajmniej jest to honorowa śmierć. – Na jego twarzy pojawił się dziwny grymas, jakby za chwilę miał się rozpłakać. – Przez długi czas, kiedy przebywałem... pod zamkiem, szybka i czysta śmierć wydawała mi się czymś wspaniałym. – Jeremias odwrócił się i skulił ramiona. – Ale teraz uważam, że muszę żyć. Leleth potrzebuje mnie jako przyjaciela. Ty potrzebujesz kogoś, kto powie ci, co robić. – Westchnął i uśmiechnął się smutno. Machnął niewyraźnie dłonią i zniknął w krzewach, odchodząc tam, skąd przyszedł. – Powodzenia, Simonie, to znaczy sir Seomanie.

Simon chciał jeszcze za nim zawołać, lecz Jeremiasa już nie było.

BINABIK POJAWIŁ SIĘ NAGLE I NIESPODZIEWANIE. Josua usłyszał cichy szelest, a gdy podniósł wzrok, stwierdził, że patrzy wprost w żółte oczy Qantaqi

stojącej tuż nad nim z wywieszonym ozorem. Usadowiony na jej grzbiecie troll strącił z twarzy kilka gałązek i pochylił się do przodu.

– Książę Josuo – przemówił cicho, jakby rozmawiali w czasie dworskiej uroczystości.

– Binabik! – Josua zrobił krok do tyłu. – Gdzie byłeś?

– Wybacz, Josuo. – Troll zsunął się z grzbietu Qantaqi i zszedł zboczem do miejsca, w którym stał książę. – Widziałem ludzi Fengbalda, rozglądających się tam, gdzie nie powinni tego robić. Poszedłem za nimi. – Spojrzał znacząco na Josuę. – Szukali łatwego do wspinaczki miejsca. Fengbald nie jest tak głupi, jak się spodziewaliśmy. Z pewnością wie, że nie zdoła nas wyprzeć po pierwszym ataku.

– Ilu ich było?

– Niewielu. Sześciu... pięciu.

– Nie wiesz? Jak blisko ich podszedłeś?

Książę nie dostrzegł uśmiechu Binabika.

– Najpierw było ich sześciu. – Troll oklepał swój kij ze strzałkami. – A potem jeden spadł ze wzgórza.

Josua pokiwał głową.

– A pozostali?

– Po tym jak odwiedliśmy ich od miejsca, którego nie powinni zobaczyć, zostawiłem Sisqi, żeby ich dalej zwodziła, a sam udałem się na górę. Pomogły nam kobiety z Nowego Gadrinsett.

– Kobiety? Binabiku, nie wolno ci narażać na niebezpieczeństwo kobiet i dzieci.

Mały troll pokiwał głową.

– Wiesz, że o swój dom będą walczyły równie dzielnie jak mężczyźni. Zawsze tak było wśród trolli. Ale nie martw się. Potrzebne były mnie i Sisqi

tylko do tego, żeby zepchnąć duże kamienie. – Rozłożył dłoń w geście wyrażającym zakończenie czegoś. – Ci mężczyźni nie są już dla nas niebezpieczni i nie dostaną od Fengbalda żadnej nagrody za swoje poszukiwania.

Josua westchnął strapiony.

– Mam nadzieję, że przynajmniej mojej żony nie ciągnąłeś do tych kamieni.

Binabik roześmiał się.

– Muszę powiedzieć, książę Josuo, że bardzo chciała pójść z nami. Masz dzielną żonę; byłaby dobrą żoną trolla! Ale Gutrun nie pozwoliła jej wychodzić poza obóz. – Troll rozejrzał się. – Co się dzieje na dole? Nie miałem czasu, żeby się przyjrzeć, gdyż musiałem wracać.

– Tak jak mówiłeś, Fengbald okazał się lepiej przygotowany, niż przypuszczaliśmy. Zbudowali coś na podobieństwo sań, co tępi lód i pozwala żołnierzom swobodniej poruszać się po nim. Atak Deornotha został odparty, ale gwardziści Fengbalda nie ścigali go – wciąż gromadzą się na jeziorze. Ja chcę... ale dosyć już. Sam zobaczysz, co zamierzam zrobić.

– Czy chcesz, żebym pojechał do Hotviga? – spytał Binabik.

– Nie. Jeremias przejął twoje obowiązki, podczas gdy ty przedstawiałeś szpiegów Fengbalda damom z Nowego Gadrinsett. – Josua uśmiechnął się krótko. – Dziękuję, Binabiku. Wiedziałem, że jeśli nie zostałeś ranny albo schwytany, to robisz coś ważnego; ale następnym razem postaraj się mnie zawiadomić.

– Wybacz, Josuo. Nie chciałem czekać zbyt długo.

Książę odwrócił się i dał znak Sangfugolowi, który natychmiast zbliżył się do niego. Ojciec Strangyeard i Towser wpatrywali się w to, co działo się na jeziorze, choć Towser sprawiał wrażenie, że zasypia, jakby tocząca się

w dole bitwa nie była dość interesująca, by mógł zapomnieć o swojej południowej drzemce.

– Zadmij na Freosela – powiedział Josua. – Trzy krótkie dźwięki i trzy długie.

Sangfugol przyłożył róg do ust, nadął policzki i zadął. Wezwanie odbiło się echem od zalesionego zbocza i przez chwilę wydawało się, że bitewna wrzawa zamarła. Harfiarz jeszcze raz nabrał powietrza i zadął. Kiedy ucichło echo, ponowił wezwanie po raz trzeci.

– A teraz zobaczymy – powiedział stanowczo Josua – zobaczymy, jak Fengbald przygotował się do prawdziwej walki. Binabiku, widzisz go tam?

– Chyba tak. W czerwonej, powiewającej pelerynie?

– Zgadza się. Obserwuj go i patrz, co robi.

W tej samej chwili w przedniej linii sił Fengbalda nastąpiło jakieś załamanie. Znajdujący się najbliżej barykady żołnierze zatrzymali się nagle i zaczęli uciekać chaotycznie.

– Hurra! – wykrzyknął Strangyeard i podskoczył; zaraz jednak przypomniał sobie, że powinien zachować przystającą duchownemu powagę, i natychmiast przywdział maskę zatroskanej uwagi.

– Na Krew Aedona, patrzcie, jak podskakują! – powiedział Josua zadowolony. – Ale to nie powstrzyma ich na długo. Ach, jaka szkoda, że nie mamy więcej strzał!

– Freosel dobrze wykorzysta te, które mamy – powiedział Binabik. – Dobrze wycelowana włócznia jest warta trzech, jak mówimy w Yiqanuc.

– Ale trzeba skorzystać z zamieszania, jakie wywołał Freosel. – Josua chodził zamyślony, nie odrywając wzroku od pola bitwy. Minęło jeszcze kilka chwil, ale dłużej już nie mógł wytrzymać, więc zawołał: – Sangfugolu, daj znak Hotvigowi!

Róg zagrał ponownie, dwa długie dźwięki, dwa krótkie i dwa długie.

Grad strzał obrońców *Sesuad'ra* zaskoczył ludzi Fengbalda: natychmiast rozproszyli się i zaczęli uciekać. Ich ranni towarzysze pozostali na lodzie – niektórzy z nich próbowali czołgać się z powrotem, pozostawiając za sobą czerwone ślady niczym pełzające ślimaki. Korzystając z zamieszania, Deornoth i ci, którzy jeszcze z nim zostali, wyrwali się z kręgu bitwy.

Deornoth trzykrotnie wracał za drewnianą ścianę, by pomóc nieść rannych. Dopiero kiedy się upewnił, że nic już nie może zrobić, usiadł ciężko w błocie w cieniu barykady i zdjął hełm. Odgłosy bitwy wciąż nie słabły.

– Sir Deornoth – powiedział ktoś. – Jesteś ranny.

Machnął dłonią zniecierpliwiony, nie chcąc, by się nim zajmowano, lecz przyjął kawałek materiału. Za pomocą gałgana i śniegu zmył krew z twarzy oraz włosów i pomacał głowę zmarzniętymi palcami. Rana nie była głęboka. Dobrze, że posłał tego człowieka do pomocy innym. Używając zakrwawionej szmaty jako bandaża, obwiązał ranę – ucisk natychmiast uśmierzył nieco ból głowy.

Sprawdziwszy pozostałe skaleczenia, z których żadne nie krwawiło tak jak cięcie na głowie, wyciągnął z pochwy miecz. Zwykły, o skórzanej rękojeści, z gałką w kształcie głowy jastrzębia, prawie zupełnie pozbawioną szczegółów przez długie używanie. Wytarł go w suchy róg swojego płaszcza, z niechęcią spoglądając na nowe szczerby, choć zdobył je honorowo. Potem uniósł miecz, tak by uchwycić słabe światło słońca i upewnić się, że nie zostawił ani jednej plamki.

„Nie jest to żaden słynny miecz – pomyślał. – Nie ma imienia, ale mimo to dobrze służył przez wiele lat. Chyba tak jak ja". – Uśmiechnął się do siebie. Odpoczywający obok żołnierze popatrzyli na niego. – „Nikt o mnie nie będzie pamiętał, choćby nie wiem jak długo opowiadali o Eliasie

i Josui. Ale mnie to nie martwi. Robię tylko to, co Usires, Pan, chciałby, żebym robił. Czyż i On nie był pokorny?”

A jednak bywały chwile, kiedy Deornoth pragnął, aby lud Hewenshire zobaczył go w takiej chwili jak ta, żeby zobaczyli, jak lojalnie walczy dla wielkiego księcia, jak książę polega na nim. Czy wykazał zbyt wiele dumy jak na dobrego Aedonitę? Może...

Jego myśli przerwało kolejne wezwanie rogu, które dobiegło ze zbocza nad nimi. Deornoth wstał ciekawy, co się dzieje, i zaczął wspinać się na barykadę. Po chwili jednak zszedł na dół i wrócił po swój hełm.

„Głupio byłoby dać sobie wsadzić strzałę między oczy, jeśli można tego uniknąć” – pomyślał.

Razem z kilkoma innymi mężczyznami wspiął się na samą górę, tak by móc spojrzeć przez otwory obserwacyjne, które Sludig i jego pomocnicy wycięli w najwyżej ułożonej kłodzie. Kiedy zajęli pozycje na górze, rozległy się gromkie okrzyki: spomiędzy drzew nieco na wschód wyjechał oddział jeźdźców, którzy mknęli ku tafli jeziora wprost na zbierające się ponownie siły Fengbalda. Jeźdźcy ci wyróżniali się czymś wśród pozostałych, lecz mgła, plątanina ludzi i koni nie pozwalały od razu powiedzieć, na czym polegała różnica.

– Jedź, Hotvigu! – zawołał Deornoth.

Stojący obok niego mężczyzna zawtórował mu. Thrithingowie znacznie swobodniej poruszali się po lodzie niż ludzie Fengbalda. Sprawiali wrażenie, że wciąż jadą po twardej ziemi.

– Mądry Binabiku – powiedział do siebie Deornoth. – Możesz jeszcze nas uratować!

– Spójrzcie, jak oni jadą! – zawołał jeden z obserwujących mężczyzn, brodaty starzec, który ostatni raz walczył, gdy Deornoth był jeszcze w kołysce. – Troll miał dobry pomysł! To działa!

– Ale ich wciąż jest więcej – zauważył Deornoth. – Jedź, Hotvigu! Jedź!

Kilka chwil później Thrithingowie dopadli już gwardzistów Fengbalda. Kopyta ich koni wydawały dziwnie dźwięczny odgłos, kiedy uderzały o lód. Natarli na pierwszą linię niczym ogromna maczuga i bez problemu zrobili w niej wyrąb. W jednej chwili wzmogły się krzyki ludzi i kwiczenie koni, brzęk mieczów i tarcz wzrósł dwukrotnie. Hotvig, z brodą ustrojoną purpurowymi, wojennymi wstęgami, wywijał włócznią niczym zręczny rzeczny rybak; za każdym razem, gdy wylatywała w powietrze, docierała do celu, wypuszczając zeń fontannę krwi koloru wstążek rycerza. Wszyscy Thrithingowie, walcząc, śpiewali – melodia była prosta, bardziej przypominała rytmiczne skandowanie zestrojone z każdym pchnięciem i cięciem. Z niezwykłą łatwością zatoczyli koło wokół ludzi Fengbalda, jakby utrudzeni bitwą gwardziści poruszali się w błocie. Frontowa linia sił księcia zachwiała się i cofnęła. Okrutna pieśń Thrithingów się wzmogła.

NA BOGA! – WRZASNĄŁ ROZWŚCIECZONY FENGBALD, wywijając bez celu swym długim mieczem. – Trzymajcie szyk, a niech was! – Odwrócił się do Lezhdraki. Najemny dowódca wpatrywał się, złowrogo zmrużywszy oczy, w Hotviga i jego ludzi. – Oni posiadają jakąś sithijską magię! – krzyczał książę. – Spójrz, poruszają się po lodzie, jakby byli na polu turniejowym.

– W tym nie ma żadnej magii – warknął Lezhdraka. – Popatrz na kopyta ich koni. Mają specjalne podkowy; widzisz błysk gwoździ? Josui udało się w jakiś sposób podkuć konie podkowami nabitymi gwoździami.

– A niech go! – Fengbald uniósł się w strzemionach i rozejrzał dookoła. Na jego bladej, przystojnej twarzy lśniły kropelki potu. – No cóż, dobra sztuczka, ale to za mało, bo my i tak przewyższamy ich liczebnością, chyba że ma na górze armię trzykrotnie większą od tej, lecz nie sądzę. Przyprowadź swoich ludzi, Lezhdrako. Zawstydzimy moich gwardzistów

i pokażemy im, jak walczyć. – Podjechał trochę bliżej przedniej linii i zawołał najgłośniej, jak potrafił: – Zdrajcy! Trzymajcie szyk albo zawiśniecie na królewskiej szubienicy!

Lezhdraka chrząknął z dezaprobatą, widząc, jak Fengbald się miota, i spojrzał na pierwszy oddział najemnych Thrithingów, którzy przez cały czas siedzieli spokojnie w siodłach, w oczekiwaniu na swoją kolej, nie zwracając większej uwagi na to, co się dzieje. Wszyscy mieli pancerze z wyparzonej skóry, a na głowach skórzane hełmy o metalowych obrzeżach – w takiej zbroi walczyli wojownicy z łąk. Na znak Lezhdraki milczący jeźdźcy wyprostowali się w siodłach. W ich oczach jakby zapłonęły iskry.

– Słuchajcie mnie, wy padlinożerne psy – zawołał Lezhdraka w swoim języku. – Tym mieszkańcom kamiennych domów i ich sługusom, Wielkim Thrithingom, wydaje się, że nas przestraszą tylko dlatego, że mają dobre podkowy! – Skierował swego konia na piaskowy szlak usypany przez jedne z sań. Jego ludzie wydali krótki okrzyk i natychmiast ustawili się za nim.

– Zabijcie ich wszystkich! – krzyczał Fengbald, jeżdżąc obok kolumny i wymachując mieczem. – Zabijcie wszystkich, ale przede wszystkim pamiętajcie, żeby Josua nie uszedł żywy z pola walki. Wasz pan, Król Elias, domaga się jego śmierci.

Najemny kapitan spojrzał na księcia z ledwie ukrywaną pogardą, ale ten pojechał już dalej, wymyślając swoim gwardzistom.

– Nie obchodzą mnie kłótnie mieszkańców kamiennych domów! – Lezhdraka zawołał do swoich ludzi w języku Thrithingów. – Ale wiem coś, o czym ten idiota nie ma pojęcia: żywy książę będzie lepszą zapłatą niż pieniądze Fengbalda. Dlatego chcę mieć jednorękiego księcia żywego. Natomiast jeśli Hotvig albo jakiś inny pomiot Wielkich Thrithingów ujdzie z życiem, to będziecie żreć własne bebechy.

Dał znak i kolumna ruszyła. Najemnicy wyszczerzyli zęby w uśmiechu i poklepali rękojeści swojej broni. Dobrze znali zapach, który unosił się w powietrzu – zapach krwi.

DEORNOTH I JEGO LUDZIE PRÓBOWALI PONOWNIE utworzyć szyk bojowy, kiedy pojawił się Josua prowadzący Vinyafoda. Zaraz za nim nadeszli ojciec Strangyeard i Sangfugol, obaj ubłoceni i w nieładzie.

– Sprawdziły się podkowy Binabika, a przynajmniej zmusiły Fengbalda, by się odsłonił! – zawołał Josua.

– Obserwujemy, co się dzieje, Wasza Wysokość. – Deornoth jeszcze raz uderzył rękojeścią miecza w wewnętrzną stronę hełmu, lecz wgięcie było zbyt duże, żeby je teraz wyprostować. Zaklął i założył go na głowę. Nie mieli innej zbroi; i tak ledwie starczyło tego, co zebrali, a to dzięki Thrithingom, którzy przywieźli swoje skórzane zbroje. Tak więc Deornoth wiedział, że nie znajdzie nic innego, chyba że ekwipunek zdjęty z poległych. Postanowił zachować swój hełm, nawet wgnieciony.

– Cieszę się, że jesteś gotów – powiedział Josua. – Musimy wykorzystać przewagę, zanim nadciągną kolejne oddziały Fengbalda.

– Szkoda tylko, że nie mamy więcej takich podkuć na buty. – Deornoth wziął swoje kolce w zziębnięte dłonie i przypiął do butów. Pomacał palcami wystające spod obcasa gwoździe. – Ale wykorzystaliśmy każdy najmniejszy skrawek metalu, jaki był do zużycia.

– Niewielka cena, jeśli nas to uratuje, albo zupełnie bez znaczenia, jeśli przegramy – powiedział Josua. – Mam nadzieję, że dałeś je przede wszystkim tym, którzy muszą walczyć pieszo.

– Tak zrobiłem – odparł Deornoth. – Starczyło prawie dla wszystkich koni razem z jeźdźcami Hotviga.

– Dobrze – powiedział Josua. – Pomóż mi, proszę, założyć gwoździe Vinyafodowi. – Na twarzy księcia pojawił się rzadko u niego widziany otwarty i wesoły uśmiech. – Odłożyłem je dla siebie wczoraj.

– Ależ panie! – Deornoth podniósł wzrok zdumiony. – Do czego ci kolce?

– Nie sądzisz chyba, że będę oglądał całą bitwę ze wzgórza? – Josua spoważniał. Wydawał się szczerze zdziwiony. – W mojej sprawie tam w dole walczą i umierają dzielni ludzie. Jakże mógłbym nie stanąć obok nich?

– Właśnie dlatego. – Deornoth zwrócił się do Sangfugola i Strangyearda, lecz obaj szybko odwrócili wzrok zawstydzeni. Domyślił się, że już omawiali to z księciem i przegrali potyczkę. – Josuo, jeśli tobie coś się stanie, na nic nam zwycięstwo.

Josua spojrzał przenikliwie na Deornotha.

– Ach, stary przyjacielu, to nieprawda. Zapominasz, że Vorzheva nosi naszego potomka. Będziesz chronił ją i dziecko, tak jak obiecałeś. Wiem, że jeśli wygramy dzisiaj, a ja nie doczekam tej chwili, ty umiejętnie i rozsądnie poprowadzisz ludzi dalej. Oni będą zbierać się pod naszym sztandarem i nie będzie ich to specjalnie obchodzić, czy żyję, gdyż dla nich ważne jest to, że walczymy z moim bratem, Królem. Poza tym jestem przekonany, że niebawem powróci Isorn z ludźmi z Hernystiru i Rimmersgardu. A jeśli jego ojciec, Isgrimnur, odnajdzie Miriamele, to czy może istnieć bardziej prawe imię, które zobowiązuje do walki, niż imię wnuczki Króla Johna? – Przyglądał się przez chwilę Deornothowi. – No, rozchmurz się. Jeśli Bóg chce, żebym obalił mojego brata, to żaden król ani łucznik na całej ziemi Aedona mnie nie zabije. – Schylił się i podniósł jedną z nóg Vinyafoda. Koń poruszył się niespokojnie, lecz nie zmienił pozycji. – A poza tym, widzisz, w dzisiejszych czasach trzeba wiele rzeczy ważyć

ostrożnie. Ludzie, którzy zobaczą swojego księcia obok siebie, będą wiedzieli, że poświęcają się dla kogoś, kto to doceni. – Założył skórzaną torebkę z utwardzonym dnem i kolcami na kopyto konia, po czym obwiązał rzemienie wokół jego kostki. – Nie ma sensu się sprzeczać – powiedział, nie podnosząc wzroku.

Deornoth westchnął. Był bardzo nieszczęśliwy, ale gdzieś w głębi duszy przeczuwał, że jego książę tak postąpi – byłby nawet zdziwiony, gdyby tego nie zrobił.

– Będzie wedle twego życzenia, Wasza Wysokość.

– Nie, Deornoth. – Josua sprawdził supeł. – To nie życzenie, to konieczność.

SIMON KRZYCZAŁ URADOWANY, widząc, jak jeźdźcy Hotviga gromią pierwszą linię Fengbalda. Sprytny pomysł Binabika okazał się skuteczny: Thrithingowie, choć wolniejsi niż zazwyczaj, i tak przewyższali szybkością swojego wroga i znacznie lepiej manewrowali końmi. Wojska Fengbalda wycofały się i zmuszone były przegrupować się ponownie kilkaset łokci przed barykadą.

– Na nich! – krzyknął Simon. – Dzielny Hotvig! – Trolle także wiwatowały, wydając dziwne, gardłowe okrzyki. Ich czas nadchodził. Simon odliczał w myśli, chociaż pomylił się dwa lub trzy razy i musiał zgadywać. Jak dotąd bitwa przebiegała zgodnie z przewidywaniami Josui.

Simon spojrzał na swoich dziwnych towarzyszy, na ich okrągłe twarze oraz małe postacie i poczuł wzbierającą sympatię i lojalność. Przyszli z tak daleka, żeby walczyć w czyjejś sprawie – nawet jeśli miała ona w rezultacie okazać się sprawą wszystkich – i teraz on pragnął, aby powrócili bezpiecznie do swych domów. Mieli stawić czoło większym i silniejszym ludziom, ale trolle przyzwyczajone były do walki w zimowych warunkach.

One także miały pod butami kolce, tyle że bardziej skomplikowane od tych, jakie Binabik polecił wykonać kowalom. Binabik wyjaśnił Simonowi, że takie kolce stały się niezwykle cenne dla trolli, odkąd utraciły one szlaki handlowe, a także kontakt z kupcami, którzy dostarczali im żelaza. Dlatego każdą parę kolców przekazywano z pokolenia na pokolenie, oliwiono starannie i naprawiano. Utrata ich stanowiła rzecz okropną, gdyż prawie nie było szans zdobycia nowych.

Oczywiście ich osiodłane barany nie potrzebowały żelaznych podków: miękkie skórzaste kopyta przylegały do lodu niczym łapy much chodzących po ścianie. Płaskie jezioro było dla nich niczym w porównaniu z niebezpiecznymi, oblodzonymi zboczami góry Mintahoq.

– Jestem – odezwał się ktoś z tyłu.

Simon odwrócił się i napotkał wyczekujące spojrzenie Sisqi. Jej twarz była zarumieniona i zroszona kropelkami potu, a futrzana kurtka, którą nosiła pod skórzanym kaftanem, podarta i zabłocona, jakby trollica czołgała się przez zarośla.

– Gdzie byłaś? – spytał. Z ulgą stwierdził, że Sisqi nie odniosła żadnej rany.

– Z Binabikiem. Pomóc mu walczyć. – Uniosła dłonie i zaczęła przedstawiać jakieś niezrozumiałe sceny, lecz po chwili wzruszyła ramionami i dała za wygraną.

– Czy Binabikowi nic się nie stało? – spytał Simon.

Myślała przez chwilę, a potem skinęła głową.

– Nie ranny.

Simon odetchnął z ulgą.

– Dobrze. – Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili nastąpiło w dole kolejne poruszenie. W pobliżu barykady pojawiła się nowa grupa, która miała włączyć się do walki. W następnym momencie Simon usłyszał

słabe, żałosne wezwanie rogu. Rozległ się długi dźwięk, potem cztery krótkie i jeszcze dwa długie, które odbiły się słabym echem od zbocza. Serce zabiło mu mocniej i poczuł jednocześnie chłód i mrowienie, jakby wpadł do lodowatej wody. Stracił rachubę, ale teraz nie miało to już znaczenia. Nadszedł czas!

Podekscytowany wspinał się ostrożnie na siodło, tak by nie zadrapać kolcami boku Nadziei. Większość słów, których Binabik uczył go tak pracowicie, wyleciała mu z głowy.

– Teraz! – zawołał. – Teraz, Sisqi! Josua nas wzywa! – Wyciągnął miecz i machnął nim w powietrzu, tak że na moment zahaczył o nisko wiszącą gałąź. Jak oni mówią „do ataku”? *Ni...* co? Odwrócił się i uchwycił spojrzenie Sisqi. Patrzyła na niego z powagą. Ona wiedziała. Uniosła ramię i zawołała coś do swojego wojska.

„Teraz wszyscy wiedzą, co się dzieje – pomyślał. – Nie muszę im niczego mówić”.

Sisqi skinęła głową przyzwalająco.

– *Nihut!* – wykrzyknął i ruszył błotnistą ścieżką.

NADZIEJA POŚLIZNĘŁA SIĘ, GDY TYLKO ZNALAZŁA SIĘ na lodzie, lecz Simon – który przecież jechał przez jezioro bez kolców kilka dni temu – odetchnął z ulgą, gdyż natychmiast odzyskała równowagę. Z przodu dobiegały odgłosy bitwy, jego trolle także teraz krzyczały, wydając dziwne wojenne okrzyki, w których rozpoznawał nazwy niektórych szczytów Yiqanuc. Wrzawa stawała się coraz głośniejsza, aż wyparła całkowicie myśli Simona z jego głowy. I nagle, nie wiadomo kiedy, znaleźli się w samym środku akcji.

Hotvig przełamał swoim atakiem linię Fengbalda i zmusił jego żołnierzy do opuszczenia bezpiecznego, piaskowego pasa. Wtedy żołnierze

Deornotha, w większości jeźdźcy, wypadli zza barykady i zaatakowali tych gwardzistów, którzy stracili łączność ze swoją strażą tylną. Walka w pobliżu barykady stała się szczególnie zacięta i tam właśnie Simon, zdumiony, dostrzegł Josuę; książę stał w strzemionach, jego szary płaszcz powiewał na wietrze, a on krzyczał coś, lecz jego słowa ginęły we wrzawie. Tymczasem Fengbald wysłał swoich najemnych Thrithingów, którzy zamiast wesprzeć cofających się gwardzistów, zgromadzili się wokół rozbitej kolumny, chcąc jak najszybciej zmierzyć się z wojownikami Hotviga.

Oddział Simona zaatakował najemników z zaskoczenia, tak że ci znajdujący się najbliżej atakujących trolli zdążyli zaledwie się rozejrzeć, a już dosięgły ich krótkie włócznie napastników. Na twarzy Thrithingów, którzy ujrzeli baśniowe trolle, pojawił się wyraz świadczący raczej o przesądnym strachu niż zdziwieniu. Trolle pędziły z okrzykiem wojennym na ustach, wywijając nad głowami naoliwionymi rzemieniami z przywiązanymi do nich kamieniami – ich przeraźliwe buczenie przypominało odgłos roju oszalałych pszczół. Barany poruszały się szybko między wolniejszymi od nich końmi, co przestraszyło niektóre z nich tak bardzo, że stając dęba, zrzucały jeźdźców. Trolle wykorzystywały także swoje krótkie włócznie, by dźgnąć konie w nieosłonięte brzuchy, dlatego niejeden Thrithing zginął przygnieciony ciężarem własnego wierzchowca.

Zgiełk bitwy, który początkowo wydawał się Simonowi ogromnym rykiem, szybko się zmienił – gdy młodzieniec znalazł się wśród walczących – przechodząc w rodzaj ciszy, przerażającego, dudniącego spokoju, w którym z mgły wyłaniały się zawzięte twarze i parujące, spienione końskie pyski o czerwonych gardłach. Wszystko odbywało się jakby z niesamowitą ospałością, a on sam czuł, że porusza się jeszcze wolniej.

Zamachnął się mieczem, choć był on ze zwykłej stali, wydawał się równie ciężki jak czarny Cierń.

Topór ugodził jednego z trolli. Jego małe ciało zostało wyrzucone z siodła i zdawało się lecieć wolno niczym opadający liść, dopóki nie zniknęło pod kopytami Nadziei. Simon miał wrażenie, że w tej dudniącej ciszy słyszy słaby, wysoki pisk, niby dobiegający z oddali krzyk ptaka.

„Zabity” – przemknęło mu przez głowę, kiedy Nadzieja potknęła się i ponownie odzyskała równowagę. – „Został zabity”. – Chwilę później musiał szybko zasłonić się mieczem, by odparować cięcie jednego z Thrithingów. Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim oba miecze zderzyły się z cichym brzękiem i poczuł, jak mrowienie wywołane wstrząsem uderzenia spływa po jego ramieniu aż do piersi. Coś otarło się o niego z drugiej strony. Spojrzawszy w dół, zorientował się, że jego prowizoryczny pancerz został rozdarty, a z ramienia płynie strużka krwi; czuł tylko zimne zdrętwienie między nadgarstkiem a łokciem. Zdumiony uniósł miecz, by oddać cios, lecz nie było komu. Zawrócił konia i wypatrując przez unoszącą się znad lodu mgłę, pojechał w stronę grupy kotłujących się ciał, gdzie dostrzegł kilka osaczonych trolli.

Potem znalazł się w samym środku bitewnego chaosu i nic już nie miało większego sensu. Otumaniony rozszalałym koszmarem otrzymał cios w pierś zadany czyjąś tarczą i spadł na ziemię. Próbował wstać niezdarnie i z przerażeniem stwierdził, że nawet mając kolce Binabika na podeszwach, ledwie trzyma się na nogach na śliskiej powierzchni jeziora. Na szczęście nie wypuścił z ręki cugli, więc Nadzieja nie zdążyła się oddalić, choć właśnie dlatego nieomal przypłacił to życiem.

Jeden z Thrithingów wynurzył się z mgły na swym koniu i przyparł Simona do boku Nadziei. Twarz posępnego wojownika była tak pocięta rytualnymi bliznami, że widoczna pod hełmem skóra przypominała korę

brzozy. Simon znalazł się w bardzo trudnej pozycji, gdyż ramię, na którym trzymał tarczę, wciąż jeszcze pozostawało zaplątane w cugle, przez co tylko częściowo mógł się nią zasłonić. Thrithing wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdyż zadał mu już dwie rany: jedną w ramię, którym operował mieczem, równolegle do wcześniej zranionego miejsca, drugi raz ugodził go w udo tuż pod kolczugą. Chwile Simona były policzone, lecz niespodziewanie z mgły wyłoniła się inna postać – kolejny Thrithing, który zderzył się ze swoim towarzyszem, spychając jego konia w stronę Simona i częściowo wyrzucając jeźdźca z siodła. Simon zadał desperacki cios, jego miecz zsunął się po nodze przeciwnika i utkwił w jego kroczu. Thrithing padł na ziemię; krew tryskała fontanną z rany, a on zaczął wić się i wrzeszczeć, aż hełm spadł mu z głowy. Wychudzona i wykrzywiona bólem twarz o wybałuszonych oczach przypomniała Simonowi szczura w Hayholt, który wpadł do beczki zbierającej deszczówkę. Okropnością było patrzeć, jak bije desperacko łapami, szczerząc zęby i wybałuszając oczy. Simon próbował go ratować, ale przerażone zwierzę ugryzło go w rękę, więc uciekł, nie mogąc znieść widoku tej sceny. Teraz starszy już Simon patrzył przez chwilę na wijącego się wojownika, po czym przycisnął nogą jego pierś do lodu i ugodził mieczem w gardło, przytrzymując go, dopóki Thrithing nie znieruchomiał.

Poczuł dziwną lekkość. Potrzebował kilku chwil, żeby odciąć kawałek obszernego rękawa przeciwnika i obwiązać nim ranę na nodze. Dopiero kiedy wsunął stopę w strzemię, zdał sobie w pełni sprawę z tego, co zrobił. Poczuł ciężką kulę w żołądku, ale na szczęście nie jadł niczego tego ranka. Po chwili dopiero podciągnął się ciężko na siodło.

WCZEŚNIEJ SIMON SPODZIEWAŁ SIĘ, że będzie w pewnym sensie zastępcą dowódcy trolli, namiestnikiem Josui wśród sprzymierzeńców księcia, lecz

szybko zrozumiał, że jego główne zadanie polega na zachowaniu własnego życia.

Sisqi i jej miniaturowi żołnierze rozpierzchli się po całym polu bitwy. W pewnym momencie znalazł się w miejscu, gdzie zebrało ich się najwięcej, tak więc przez jakiś czas walczyli ramię w ramię. Zobaczył wtedy Sisqi – jej włócznia śmigała jak żądło osy, a twarz wyrażała zawziętość, która upodabniała ją do małego, śnieżnego demona. Jednak niebawem zawierucha bitwy znowu ich rozdzieliła. Simon szybko spostrzegł, że trolle walczą o wiele skuteczniej, kiedy poruszają się swobodnie między jeźdźcami, zamiast sunąć w szyku bojowym. Ich barany mknęły po lodzie z niezwykłą zwinnością, a same trolle okazały się godnym przeciwnikiem Thrithingów, choć tu i ówdzie wśród innych ciał widać było rannego lub martwego trolla.

Simon stoczył jeszcze kilka potyczek i zabił drugiego Thrithinga, tym razem w bardziej wyrównanej walce.

W chwili kiedy walczył z Thrithingiem, przyszło mu do głowy, że w oczach przeciwników wcale nie jest dzieckiem. Był wyższy od tego mężczyzny, a zbroja i kolczuga sprawiały, że mógł wyglądać na groźnego wojownika. Pocieszony tą myślą, ponowił atak, zmuszając Thrithinga do cofnięcia się. Kiedy wreszcie zbliżyli się do siebie tak blisko, że ich konie stykały się nieomal piersiami, przypomniał sobie lekcje Sludiga. Udał nieudane cięcie i przeciwnik dał się nabrać: odpowiedział ciosem, wychylając się mocno do przodu. Simon wyczekał, aż Thrithing utraci równowagę, i uderzył tarczą w jego skórzany hełm, a potem zaraz wykonał pchnięcie, wsuwając miecz między połowy napierśnika. Thrithing siedział jeszcze w siodle, kiedy Simon cofał konia, wyciągając swój miecz, lecz nim zdążył się odwrócić, jego przeciwnik zsunął się na zakrwawiony lód.

Simon, zdyszany, popatrzył dookoła, zastanawiając się, kto zwycięży.

TEN DŁUGI DZIEŃ NA ZAMARZNIĘTYM JEZIORZE odebrał mu wszelkie złudzenia co do szlachetności wojny. W wirze bitewnej rzezi nie było już ani odrobiny godności; widział tylko walające się trupy przyjaciół i wrogów, okaleczone i zakrwawione, niektóre zupełnie pozbawione twarzy pod straszliwymi ranami; słyszał tylko płacz i jęki umierających żołnierzy; czuł smród potu przerażonych ludzi, ich krwi i odchodów. Wojna okazała się taka, jak kiedyś opisał ją Morgenes: rodzaj piekła na ziemi, jakie ludzkość stworzyła, nie mogąc doczekać się życia pozagrobowego. Simon najbardziej cierpiał z powodu groteskowej wręcz niesprawiedliwości. Za każdego rycerza, który został ściągnięty na lód, płaciło życiem pół tuzina piechurów. Nawet zwierzęta cierpiały katusze, jakich powinno się oszczędzić zdrajcom i mordercom. Widział pozostawione samym sobie kwiczące konie, okaleczone przypadkowym uderzeniem. Choć większość z nich należała do wojsk Fengbalda, nikt ich nie pytał, czy chcą iść na wojnę. Zmuszono je do tego, tak samo jak Simona i pozostałych osadników z Nowego Gadrinsett. Może nawet królewscy gwardziści woleliby znaleźć się gdzie indziej niż na tym polu bitwy, gdzie sprowadził ich obowiązek, a uwięziła lojalność. Jedynie najemnicy przybyli tam z własnej woli. Simon nie rozumiał ludzi, którzy sami chcieli znaleźć się w takim miejscu, tak jak nie rozumiał jaszczurki czy pająka – a nawet jeszcze mniej, gdyż nawet te małe stworzenia zawsze unikały niebezpieczeństwa. Zdał sobie sprawę, że tacy ludzie to szaleńcy i oni stanowią najmroczniejszy problem świata, polegający na tym, że szaleńcy są na tyle silni i pozbawieni lęku, by narzucić swoją wolę słabym i miłującym pokój. Simon nie mógł oprzeć się myśli, że skoro Bóg pozwolił na takie szaleństwo, to musi On być starym bogiem, który utracił kontrolę nad światem.

SŁOŃCE SKRYŁO SIĘ WYSOKO ZA CHMURAMI; trudno było powiedzieć, jak długo szalała bitwa, zanim Josua ponownie zadął w róg. Tym razem mgłę przeszyło wezwanie do zebrania się. Simon, utrudzony jak nigdy dotąd, odwrócił się do kilku walczących nieopodal trolli i zawołał:

– *Sosa!* Chodźmy!

Parę chwil później nieomal wpadł na Sisqi, która stała nad swoim martwym baranem z twarzą równie pozbawioną emocji jak poprzednio. Simon pochylił się ku niej i podał jej rękę. Chwyciła ją swymi zimnymi, suchymi dłońmi i wspięła się na strzemię. Simon pomógł jej wsiąść na siodło.

– Gdzie jest Binabik? – spytała, przekrzykując zgiełk.

– Nie wiem, ale Josua nas wzywa. Jedziemy teraz do Josui.

Róg zagrał jeszcze raz. Osadnicy Nowego Gadrinsett szybko się wycofywali, jakby nie mogli już zdzierżyć ani chwili dłużej, co mogło być prawdą. Widząc, jak szybko odjeżdżają, Simon odniósł wrażenie, że znikają niczym morska piana pozostała po wracającej ku morzu fali. Odchodząc, pozostawili pół tuzina trolli i kilku piechurów Deornotha, otoczonych przez jeźdźców Fengbalda w odległości jakichś pięćdziesięciu łokci. Simon wiedział, że sami nie zdołają się obronić. Przyjrzał się walczącym. Nie stanowili znacznej siły. Te trolle z pewnością słyszały róg tak jak Simon, lecz pozostały; czy jego obowiązkiem było ratować wszystkich? Krwawił, był zmęczony i przestraszony, a bezpieczne schronienie było tuż-tuż. Przetrwał, co graniczyło nieomal z cudem! Ale wiedział, że nie może zostawić tych dzielnych wojowników.

– Pojedziemy tam? – spytał Sisqi, wskazując na grupę otoczonych obrońców.

Sisqi spojrzała w tamtą stronę i przytaknęło wolno. Potem krzyknęła coś do zebranych wokół nich trolli, podczas gdy Simon obrócił Nadzieję

i ruszył ostrożnie w stronę gwardzistów. Trolle ustawiły się za nim. Teraz nie śpiewały już, nie wydawały bojowych okrzyków – jechały w milczeniu wynikającym z kompletnego wyczerpania.

I znowu Simon zanurzył się w koszmarny chaos ciosów i krzyków. Górna część jego tarczy pękła rozłupana uderzeniem miecza, tak że drzazgi z malowanego drewna poleciały wysoko w powietrze. On także zadawał liczne ciosy w twarde przedmioty, ale w ogólnym zamieszaniu nie mógł dojrzeć, co to było. Widząc nadchodzącą pomoc, otoczeni obrońcy zdwoili wysiłki i wreszcie udało im się przebić przez krąg jeźdźców, lecz zginął przynajmniej jeszcze jeden troll. Jego umazany krwią baran wytrząsnął ze strzemiona but martwego trolla i popędził zygzakami przez lód, aż wreszcie zniknął we mgle. Zmęczeni gwardziści początkowo walczyli zaciekle, ale niebawem i oni nie mieli ochoty przedłużać bitwy, podobnie jak Simon i jego ludzie. Jednak walczyli dzielnie, próbując zepchnąć grupę trolli w kierunku własnych sił. Wreszcie Simon dostrzegł możliwość wyrwania się i zawołał do Sisqi. Zdobywając się na jeszcze jeden morderczy wysiłek, żołnierze, trolle, konie i barany rzucili się w wyrwę powstałą wśród atakujących i pomknęli ku barykadom.

Róg Josui zagrał ponownie, kiedy Simon i jego trolle – zauważył ze zgrozą, że nie ma ich więcej niż czterdziestu – dotarli do drewnianej ściany u stóp wzgórza. Zbierali się tam też pozostali obrońcy; nawet ci, którzy nie byli ranni, wyglądali na śmiertelnie skonanych. Mimo to kilku spośród ludzi Hotviga wciąż śpiewało, a u siodła jednego z nich wisiało coś, co wyglądało jak dwie zakrwawione głowy.

Simon poczuł ogromną ulgę na widok Josui stojącego przed barykadą z mieczem wzniesionym do góry i wykrzykującego coś do powracających wojowników. Książę wyglądał ponuro, ale jego słowa miały dodać im otuchy.

– Dobrze! – zawołał. – Pozwoliliśmy im posmakować własnej krwi! Przekonali się, że potrafimy kąsać. Cofamy się, cofamy! Dzisiaj już nie wrócą.

Wprawdzie Simonowi przez cały czas towarzyszył chłód, jaki zmroził jego serce, lecz z drugiej strony poczuł falę głębokiej miłości i pełnej lojalności wobec Josui; wiedział, że księciu pozostały do zaoferowania tylko słowa. Obrońcy *Sesuad'ra* stanowili prawie równorzędnych przeciwników dla lepiej wyćwiczonych i uzbrojonych sił Fengbalda, ale liczebnością Fengbald przewyższał ich nieomal trzykrotnie, a ponadto wykorzystali już wszystkie swoje niespodzianki – jak kolce Binabika. Teraz miała to już być tylko wojna na wyczerpanie i Simon wiedział, że znajdzie się po stronie przegrywających.

Na lodzie za nimi kruki zaczynały już swoją ucztę. Podskakiwały, uderzały dziobami i przekrzykiwały się ochryple. Słabo widoczne we mgle przypominały małe, czarne demony, które przybyły, aby napawać się widokiem zniszczenia i śmierci.

Obrońcy *Sesuad'ra* szli wolno w górę, prowadząc zmęczone wierzchowce. Simon odczuwał dziwne odrętwienie, lecz mimo to ucieszył się, widząc, że przeżyło więcej trolli niż tylko ci, których przyprowadzili z Sisqi. Pozostałe trolle wyszły nadchodzącym naprzeciw, ściskając ich i wykrzykując radośnie, choć rozległy się też jęki smutku, kiedy zaczęto wymieniać poległych.

Simon ucieszył się jeszcze bardziej, ujrzawszy stojącego obok Josui Binabika. Sisqi także go dostrzegła. W jednej chwili zeskoczyła z siodła Simona i popędziła w stronę ukochanego. Objęli się czule, zapominając o Josui i pozostałych.

Simon przyglądał im się przez chwilę, a potem ruszył dalej. Wiedział, że powinien poszukać reszty przyjaciół, ale na razie czuł się tak zmęczony

i sponiewierany, że każdy następny krok był jedynym wysiłkiem, na jaki potrafił się zdobyć. Ktoś idący obok podsunął mu kielich z winem. Wypił je i oddał naczynie, a potem zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków w stronę ognisk obozu. Teraz, kiedy bitwa się zakończyła, niektóre spośród kobiet z Nowego Gadrinsett zeszły z osady, by przynieść jedzenie i opatrzyć rannych. Jedna z nich, młoda dziewczyna o prostych włosach, podała mu miskę pełną czegoś parującego. Chciał jej podziękować, lecz nie miał tylu sił, by wydusić z siebie choć słowo.

Słońce dotykało dopiero zachodniego horyzontu i dzień jeszcze się nie skończył, ale Simon położył się na ziemi z płaszczem pod głową, gdy tylko zjadł cienką zupę. Nadzieja stała opodal, skubiąc kępki trawy, które ostały się niestratowane kopytami walczących. Chwilę później Simon poczuł, że zapada w sen. Miał wrażenie, że świat przybliża się i oddala od niego, jakby on sam leżał na pokładzie ogromnego, wolno płynącego statku. Szybko ogarniała go ciemność – nie ciemność nocy, lecz nieprzenikniony mrok, który sączył się z jego wnętrza. Wiedział, że choć raz nie przyśnią mu się wieże i ogromne koła. Tym razem będą to kwiczące konie i tonący w beczce szczur.

ISAAK, MŁODY PAŹ, NACHYLIŁ SIĘ do kosza z ogniem, by ogrzać dłonie, gdyż ziąb przenikał go do kości. Na zewnątrz wiatr grał na linach namiotu księcia Fengbalda i szarpał jego falującymi ścianami, jakby próbował, czy da się go oderwać od ziemi i ponieść w noc. Issak bardzo tęsknił za Hayholt, który musiał opuścić.

– Chłopcze! – zawołał Fengbald. W jego głosie zabrzmiała z trudem ukrywana nuta gniewu. – Gdzie jest moje wino?

– Właśnie je zagrzewam, panie – powiedział Isaak. Wyjął z dzbana żelazo i szybko zbliżył się, by napełnić puchar księcia.

Fengbald nie zwracał na niego uwagi i przez cały czas nie odrywał wzroku od Lezhdraki, który stał z boku z ponurą miną, ubrany jeszcze w poplamioną krwią skórzaną zbroję. W przeciwieństwie do niego, książę zdążył się już wykąpać – Isaak musiał podgrzewać na malutkim ognisku niezliczone dzbany wody – i przebrać w szatę z purpurowego jedwabiu oraz irchowe pantofle; jego czarne włosy opadały w mokrych lokach na ramiona.

– Dosyć tych bzdur – odezwał się do najemnika.

– Bzdur? – warknął Lezhdraka. – Ty mi to mówisz! Na własne oczy widziałem czarodziejski lud!

Fengbald zmrużył oczy.

– Lepiej licz się ze słowami.

Lezhdraka zacisnął pięści, lecz jego dłonie pozostały przy udach.

– Dobrze wiesz, że ich widziałem. Ty także.

Książę skrzywił się z odrazą.

– Widziałem oddział karłów, potworków, takich, jakie fikają koziołki i dokazują pod każdym tronem w Osten Ard. To nie byli Sithowie, wbrew temu, co mówili Josua i ta jego wiedźma, Geloë.

– Nie wiem, czy karły, czy czarodziejskie stworzenia, ale ona nie jest zwykłą kobietą – odparł ponuro Lezhdraka. – Na łąkach dobrze znają jej imię i z lękiem je wymieniają. Ci, którzy wchodzą do jej lasu, już z niego nie wracają.

– Śmieszne. – Fengbald opróżnił kielich. – Nie jestem skory do tego, żeby kpić z tajemnych sił... – Urwał, jakby jego uwagę zaprzątnęło jakieś nieprzyjemne wspomnienie. – ...Ale nie pozwolę też kpić z siebie. I nie dam się zastraszyć różnymi sztuczkami, bez względu na to, jak bardzo boją się ich przesądne dzikusy.

Thrithing wpatrywał się w niego, a jego twarz przybrała dziwnie zimny wyraz.

– Twój pan, z tego co słyszałem, dość mocno interesuje się tym, co nazywasz „przesądami”.

Fengbald odpowiedział mu równie chłodnym spojrzeniem.

– Ja nikogo nie nazywam panem. Elias jest Królem, to wszystko. – Moment władczej buty jednak szybko minął. – Isaak! – zawołał rozdrażniony. – Jeszcze wina! – Kiedy paź szybko podbiegł, by napełnić jego puchar, Fengbald pokręcił głową. – Dość już tych kłótni, Lezhdrako. Mamy problem i chcę go rozwiązać.

Najemnik skrzyżował ramiona.

– Moim ludziom nie podoba się to, że Josui pomagają czarodziejscy sprzymierzeńcy – rzucił ponuro – ale nie obawiaj się. Nie są babami. Będą walczyć. Nasze legendy mówią, że krew czarodziejskich istot można tak samo przelać jak ludzką. Daliśmy tego dowód dzisiaj.

Fengbald machnął dłonią zniecierpliwiony.

– Ale w taki sposób ich nie pokonamy. Są silniejsi, niż myślałem. Jak mogę wrócić do Eliasa i powiedzieć mu, że większość jego gwardzistów poległa w walce z bandą osaczonych chłopów? – Przez chwilę pukał palcem w krawędź kielicha. – Nie, istnieją inne sposoby. One pozwolą mi wrócić do Hayholt w roli zwycięzcy.

Lezhdraka prychnął.

– Nie ma innych sposobów. Co, może jakaś ukryta ścieżka, tajemniczy szlak, o którym wspominałeś? Wiem, że twoi szpiedzy nie wrócili. Nie, jedyny sposób to ten, który już wykorzystaliśmy. Będziemy bić się z nimi, aż ich pokonamy.

Fengbald nie słuchał już jego słów. Skierował spojrzenie na wejście do namiotu i stojącego w nim żołnierza, który nie był pewien, czy ma wejść.

– Tak? – odezwał się.

Żołnierz przyklęknął na kolano.

– Panie, przysłał mnie kapitan straży.

– Dobrze. – Fengbald poprawił się na krześle. – Przyprowadziłeś pewną osobę, tak?

– Tak, panie.

– Wprowadź go i zaczekaj na zewnątrz, dopóki cię nie zawołam.

Żołnierz wyszedł, starając się ukryć wyraz rozczarowania, że musi pozostać na zimnym wietrze. Fengbald spojrzał na Lezhdrakę z pogardą.

– Wygląda na to, że jeden z moich szpiegów powrócił.

Chwilę później klapa wejścia uniosła się ponownie. Do namiotu wszedł chwiejnym krokiem starzec; na jego postrzępionym ubraniu lśniły płatki śniegu.

Fengbald uśmiechnął się szeroko.

– A więc wróciłeś! Nazywasz się Helfgrim, zgadza się? – Książę odwrócił się do Lezhdraki, coraz weselszy, w miarę jak odgrywał swoje przedstawienie. – Lezhdrako, pamiętasz chyba burmistrza Gadrinsett? Opuścił nas na pewien czas, by udać się z wizytą, a teraz powrócił. – W następnej chwili książę znowu przybrał bardziej surowy ton. – Czy wymknąłeś się niepostrzeżenie?

Helfgrim przytaknął z ponurą miną.

– Panuje wielkie zamieszanie. Nikt nie widział mnie od chwili rozpoczęcia bitwy. Wielu innych też zginęło; ciała zostały na lodzie albo w lesie u stóp wzgórza.

– Dobrze. – Fengbald strzelił palcami zadowolony. – I oczywiście zrobiłeś tak, jak ci mówiłem?

Starzec spuścił głowę.

– Nie ma niczego, panie.

Fengbald wpatrywał się w niego przez moment. Zaczerwienił się na twarzy i zaczął wstawać, ale zaraz usiadł, zaciskając pięści.

– A zatem musiałeś zapomnieć, co ci mówiłem.

– O co tu chodzi? – spytał Lezhdraka zniecierpliwiony.

Książę nie zwracał na niego uwagi.

– Issak! – zawołał. – Przyprowadź strażnika.

Kiedy drżący z zimna żołnierz wszedł do namiotu, Fengbald przywołał go do siebie i szepnął mu coś do ucha. Strażnik ponownie opuścił namiot.

– Spróbujemy jeszcze raz – powiedział Fengbald, zwracając się do burmistrza. – Czego się dowiedziałeś?

Wydawało się, że Helfgrim nie ma odwagi spojrzeć mu w oczy. Twarz starca, czerwoną, o słabo zarysowanej brodzie, wykrzywił grymas jakby z trudem ukrywanego żalu.

– Nic godnego uwagi, mój panie – odpowiedział wreszcie.

Fengbald najwyraźniej zdołał się już opanować, gdyż uśmiechnął się tylko niewyraźnie. Upłynęło kilka chwil i klapa wejścia znowu się uniosła. Tym razem strażnikowi towarzyszyli dwaj inni żołnierze. Nowi strażnicy przyprowadzili dwie kobiety: obie w średnim wieku, siwiejące, ubrane w brudne i wytarte płaszcze. Wystraszone otworzyły szeroko oczy, zdumione widokiem kulącego się przed Fengbaldem starca.

– Ojcze! – zawołała jedna z nich.

– Och, miłościwy Aedonie – wyszeptała druga, robiąc znak Drzewa.

Fengbald przyglądał się chłodnym wzrokiem.

– Helfgrim, ty chyba zapomniałeś, kto trzyma ten bat. A teraz spróbujmy jeszcze raz. Jeśli skłamiesz, będę zmuszony zadać ból twoim córkom, chociaż moje aedonickie sumienie sprzeciwia się temu. Ale przede

wszystkim ucierpi twoje sumienie, gdyż będzie to twoja wina. – Uśmiechnął się. – Mów.

Starzec spojrzał na twarze przerażonych córek.

– Niech Bóg mi wybaczy – powiedział. – Niech Bóg wybaczy mi zdradę!

– Nie rób tego, ojcze! – zawołała jedna z kobiet. Druga szlochała bezradnie z twarzą wciśniętą w rękaw płaszcza.

– Nie mogę inaczej. – Helfgrim zwrócił się do księcia. – Tak – powiedział drżącym głosem. – Jest inna droga na wzgórze i mało kto z nich wie o niej. To jest jeszcze jeden sithijski trakt. Josua strzeże go, lecz niezbyt wielką siłą, gdyż na dole jest on zarośnięty i pozostaje niewidoczny. Pokazał mi go, kiedy omawialiśmy plany obrony.

– Niewielką siłą? – Fengbald uśmiechnął się i spojrzał triumfująco na Lezhdrakę. – A jak szeroki jest ten trakt?

Helfgrim mówił tak cicho, że prawie nie było go słychać:

– Tuzin ludzi będzie mogło pójść w jednym szeregu, kiedy wytnie się trochę krzaków.

Przysłuchujący się dotąd w milczeniu najemnik wysunął się teraz do przodu. Złość powodowała, że blizny na jego ciemnej twarzy jaśniały bielą.

– Jesteś zbyt ufny – warknął do Fengbalda. – Skąd wiesz, że to nie pułapka? Skąd wiesz, że Josua nie będzie czekał na nas z całą armią?

Fengbald wydawał się niewzruszony.

– Lezhdrako, wy, mieszkańcy łąk, jesteście zbyt ograniczeni; chyba ci już to kiedyś mówiłem? Ludzie Josui zajmą się przygotowaniami do odparcia naszego frontalnego ataku; nie będą mogli sobie pozwolić na to, żeby angażować więcej żołnierzy ponad tę niewielką siłę, a my tymczasem złożymy im niespodziewaną wizytę drugą drogą Helfgrima. Weźmiemy

dość ludzi. Aby upewnić się, że nie czeka nas żaden podstęp, zabierzemy też burmistrza.

Słysząc te słowa, obie kobiety wybuchnęły płaczem.

– Błagam, nie zabierajcie go do bitwy! – odezwała się jedna z nich. – On jest za stary!

– To prawda. – Fengbald jakby zastanawiał się nad czymś. – I dlatego może nie będzie bał się śmierci, gdyby czekała nas jakaś pułapka, gdyby okazało się, że jest tam więcej ludzi niż tylko niewielki oddział. Was też zabierzemy.

Helfgrim podskoczył.

– Nie! Nie możesz narażać ich życia! One są niewinne!

– Ale będą bezpieczne jak gołąbki w gołębniku. – Fengbald uśmiechnął się. – Jeżeli twoja historia okaże się prawdziwa. Zginą jednak, jeśli spróbujesz mnie zdradzić. Zginą szybko, ale w bólach.

Starzec ponowił swoje błaganie, lecz Fengbald rozsiadł się wygodnie na krześle i milczał niewzruszony. Wreszcie burmistrz podszedł do córek.

– Wszystko będzie dobrze. – Poklepał je niezgrabnie, zawstydzony obecnością okrutnych obcych ludzi. – Będziemy razem. Nic złego się nie zdarzy. – Kiedy odwrócił się do Fengbalda, na jego twarzy pojawił się wyraz złości, a głos już mu nie drżał. – Bądź przeklęty, nie ma żadnej pułapki, sam się przekonasz. Tylko kilka tuzinów ludzi, jak mówiłem. Dla ciebie zdradziłem księcia. Musisz okazać honor wobec moich dzieci i zapewnić im bezpieczeństwo, jeśli dojdzie do walki. Proszę.

Fengbald machnął ręką uspokajająco.

– Bez obawy. Przyrzekam na honor szlachcica, że gdy zdobędziemy to przeklęte wzgórze i Josua zostanie zabity, ty i twoje córki odejdziecie wolno. A wszystkim napotkanym powiecie, że książę Fengbald dotrzymuje

obietnicy. – Wstał i dał znak strażnikom. – Zabierzcie całą trójkę, ale trzymajcie ich z dala od pozostałych.

Kiedy wyprowadzono więźniów, Fengbald zwrócił się do Lezhdraki:

– Dlaczego milczysz, człowieku? Czy nie potrafisz przyznać, że się pomyliłeś i że to ja rozwiązałem nasz problem?

Wydawało się, że Thrithing będzie chciał się sprzeczać, ale on skinął tylko niechętnie głową.

– Mieszkańcy kamiennych domów są słabi. Żaden Thrithing nie zdradziłby swoich ludzi po to tylko, żeby ratować córki.

Fengbald roześmiał się.

– My, mieszkańcy kamiennych domów, jak nas nazywasz, inaczej traktujemy nasze kobiety. – Podszedł do kosza z ogniem i wyciągnął nad nim swe długie dłonie. – A jutro, Lezhdrako, pokażę ci, jak *ten* mieszkaniec kamiennych domów traktuje swoich wrogów. Szczególnie tych, którzy ośmielili mu się sprzeciwić, tak jak książę Josua. – Zacisnął usta. – To przeklęte zaczarowane wzgórze spłynie krwią.

Uśmiechnięty utkwił wzrok w żarzących się węglach. Wiatr wył na zewnątrz i ocierał się o ścianę namiotu jak zwierzę.

13. Budowniczowie gniazd

TIAMAK WPATRYWAŁ SIĘ W NIERUCHOMĄ WODĘ. Myślami był jednak gdzie indziej, dlatego kiedy między wodnymi liliami pojawił się niewyraźny cień ryby, Wrańczyk uderzył o wiele za późno. Gapił się przez chwilę z obrzydzeniem w garść zielska ociekającego wodą i zaraz rzucił kępę wodorostów do błotnistej wody. Jeśli w okolicy były jakieś ryby, to z pewnością zdążyły już uciec.

„Wy, Którzy Patrzycie i Panujecie – pomyślał przybity – dlaczego mi to zrobiliście?”

Przybliżył się do brzegu i możliwie najspokojniej popłynął do następnej zatoczki, gdzie znowu zatrzymał łódź i rozpoczął wyczekiwanie.

Wydawało mu się, że od czasów gdy sięgał pamięcią, zawsze dostawał mniej, niż tego pragnął. Jako najmłodszy z sześciorga rodzeństwa wciąż miał uczucie, że jego bracia i siostry jedli więcej od niego, że kiedy miska docierała wreszcie do niego, niewiele już w niej zostawało. Nie dorównał wzrostem trzem braciom, nie potrafił łapać ryb tak zręcznie jak jego zwinna siostra Twiyah ani znajdować tak przydatnych korzeni i jagód jak jego mądra siostra Rimihe. Kiedy wreszcie znalazł coś, co potrafił robić lepiej od innych – opanował umiejętność czytania i pisania, którą posiadali mieszkańcy lądu, a nawet nauczył się ich języka – okazało się to niewielkim darem. Jego rodzina, a także pozostali mieszkańcy Wioski niezbyt doceniali wysiłki Tiamaka, by posiąść wiedzę mieszkańców lądu. Czy byli dumni, kiedy udał się do Perdruin, by tam studiować w szkole?

Oczywiście, że nie. Choć prawdopodobnie żaden inny Wrańczyk nie zdobył się na coś takiego – a może właśnie dlatego – jego rodzina nie rozumiała takich ambicji. Nawet sami mieszkańcy lądu, z nielicznymi tylko wyjątkami, spoglądali na niego z pogardą. Obojętni nauczyciele i kpiący z niego inni uczniowie dali młodemu Tiamakowi wyraźnie do zrozumienia, że bez względu na to, ile przeczyta ksiąg i zwojów, zawsze pozostanie tylko dzikusem, wyuczonym zwierzątkiem, które opanowało kilka sztuczek.

I tak było przez całe życie aż do tego okropnego roku; jedyną jego skromną pociechą były studia i okazjonalna korespondencja z członkami Ligi Pergaminu. Teraz zaś wszystkiego otrzymywał w nadmiarze, jakby Ci, Którzy Patrzą i Panują chcieli mu wszystko wynagrodzić w czasie jednej pory roku.

„Oto, w jaki sposób bogowie drwią sobie z nas – pomyślał rozgoryczony. – Decydują się spełnić nasze życzenie i robią to w taki sposób, że wkrótce już wcale tego nie pragniemy. I pomyśleć, że przestałem w nich wierzyć!”

Ci, Którzy Patrzą i Panują zastawili zmyślną pułapkę, co do tego nie było wątpliwości. Najpierw zmusili go, aby wybierał między swoimi ludźmi a przyjaciółmi, a potem przysłali krokodyla, który sprawił, że Tiamak zawiódł swoich ludzi. Teraz trzeba było przeprowadzić przyjaciół przez bagna – ich życie leżało w jego ręku – a jedyna bezpieczna droga prowadziła przez jego Wioskę, gdzie musiałby się spotkać z tymi, których zawiódł. Żałował, że on sam nie potrafił wymyślić tak niezawodnej pułapki – codziennie jadłby kraby.

Stał zanurzony po uda w zielonkawej wodzie i zastanawiał się. Co miał robić? Jeśli powróci do Wioski, wszyscy natychmiast dowiedzą się o jego nikczemności. Może nawet nie pozwolą mu odejść i zatrzymają jako zdrajcę klanu. Ale jeśli zdecyduje się uniknąć gniewu swoich ludzi, będzie

musiał nadrobić wiele mil, żeby znaleźć odpowiednią łódź. Pozostałe klany zamieszkujące tę część Wranu – Domy Wysokich Gałęzi, Żółte Drzewa i Kwiat w Skale – znajdowały się dalej na południe. Żeby dotrzeć do któregoś z nich, należało zboczyć z głównego szlaku wodnego i przedostać się przez jedną z najniebezpieczniejszych części bagien. Właściwie to nie mieli wyboru: musieli zatrzymać się w jego rodzinnej Wiosce albo w innej osadzie, gdyż bez płaskodennej łodzi nie było mowy o tym, żeby dostać się do Jeziora Thrithingów. Łódź, którą teraz płynęli, coraz bardziej przeciekała. Już teraz zmuszeni byli kilkakrotnie iść przez zdradzieckie błota w miejscach zbyt płytkich dla ich łodzi. Tiamak westchnął. Jak to powiedział Isgrimnur? Życie stało się ciągłym wybieraniem – i miał rację.

Między jego kolanami przemknął cień. Tiamak błyskawicznie wsunął rękę pod wodę i poczuł w dłoni coś małego i śliskiego. Ścisnął mocno i podniósł rękę do góry. Był to niezbyt wielki okaz ryby szparkookiej. Ale lepsze to niż nic. Odwrócił się i wyciągnął z wody płócienny worek, który unosił się na jej powierzchni, przywiązany do grubego korzenia. Wrzucił wijącą się rybę do środka, zacisnął mocno sznurek i opuścił worek z powrotem do wody. Może to dobry znak. Tiamak zamknął oczy, by odmówić krótką modlitwę dziękczynną. Miał nadzieję, że bogów, podobnie jak dzieci, można pochwałą nakłonić do dobrego zachowania. Skończywszy modlitwę, ponownie skierował wzrok na zieloną wodę.

MIRIAMELE ZE WSZYSTKICH SIŁ STARAŁA SIĘ utrzymać ogień, lecz nie było to łatwe. Odkąd weszli na bagna, niezwykle trudno było znaleźć cokolwiek, co przypominałoby suche drewno, dlatego ogień, jaki udawało im się rozniecić, palił się niezwykle kapryśnie.

Podniosła wzrok na widok wracającego Tiamaka. Jego chuda, śniada twarz pozostawała niedostępna; skinął tylko głową, kładąc na ziemi coś

zawiniętego w liście, i poszedł do Isgrimnura oraz jego towarzyszy, którzy zajęci byli naprawianiem łodzi. Wrańczyk wydawał się bardzo nieśmiały: przez ostatnie dwa dni, odkąd opuścili Kwanitupul, zamienił z nią zaledwie kilka słów. Myślała, że może wstydzi się swojego śpiewnego akcentu, ale zaraz odrzuciła tę myśl. Tiamak posługiwał się językiem Westerling o wiele lepiej niż wielu spośród tych, którzy mówili nim od dzieciństwa: chropowate spółgłoski Isgrimnura i melodyjne samogłoski pochodzącego z Hernystiru Cadracha bardziej raziły niż nieznaczna śpiewność mowy Wrańczyka.

Miriamele wyjęła z liści ryby przyniesione przez Tiamaka i oczyściła je. Dokładnie wytarła nóż w liście, zanim ponownie schowała go do pochwy. Przed ucieczką z Hayholt nigdy wcześniej nie gotowała, ale musiała się tego nauczyć podróżując z Cadrachem, chociażby dlatego, żeby nie zagłodzić się na śmierć w chwilach, kiedy był on zbyt pijany, by zrobić cokolwiek. Zastanawiała się, czy może na bagnach rośnie jakaś roślina, którą można by przyprawić ryby. Rozważała możliwość zawinięcia ryb w liście i ugotowania ich na parze. Po chwili namysłu wstała i poszła w kierunku łodzi, aby poradzić się Wrańczyka.

Tiamak przyglądał się, jak Isgrimnur, Cadrach i Camaris po raz trzeci czy czwarty próbują zakleić szczeliny w łodzi, wskutek których prawie nieustannie jej dno pełne było wody. Tiamak trzymał się nieco z boku, jakby przebywanie w bezpośrednim sąsiedztwie mieszkańców lądu było zbyt wielką zuchwałością, ale Miriamele pomyślała, że może jest odwrotnie: może to Wrańczyk uważał, że nie warto przebywać w towarzystwie kogoś, kto nie mieszka na bagnach. Zastanawiała się, czy powściągliwość Tiamaka była wyrazem jego dumy czy nieśmiałości? Słyszała, że niektóre dzikusy, jak Thrithingowie, rzeczywiście z pogardą traktują ludzi z miast. Czy możliwe, by i Tiamak do nich należał? Nagle

zdała sobie sprawę, jak mało wie o ludziach, których nie spotykało się na dworach Nabbanu i Erkynlandu, a przecież zawsze uważała się za bystrego sędziego ludzkości. Przekonała się, że świat po drugiej stronie murów jest o wiele większy i bardziej skomplikowany, niż się tego spodziewała.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia Tiamaka, lecz cofnęła ją.

– Tiamak? – odezwała się.

Wrańczyk podskoczył, zaskoczony.

– Tak, lady Miriamele?

– Chciałabym cię spytać o pewne rośliny, takie do gotowania.

Spuścił wzrok i skinął głową. Miriamele nie wierzyła, by mogło to być milczenie powodowane dumą. Oboje wrócili do ogniska. Zaczął mówić swobodniej, kiedy zadała mu kilka pytań, wykazując, że rzeczywiście jest zainteresowana tematem. Zdumiała się tym, co usłyszała. Choć Wrańczyk nie do końca wyzbył się rezerwy, to okazał się tak bogatym źródłem informacji o roślinach, że niebawem nie była w stanie zapamiętać nawet części z tego, co usłyszała. Chodząc wokół ich obozowiska, znalazł kilka kwiatów, liści i korzeni, którymi bez obawy mogli przyprawić ryby, a wymienił drugie tyle, zapewniając, że znajdą je w czasie dalszej podróży. Zaabsorbowany tematem zaczął wymieniać inne rośliny używane do pisania lub opatrywania ran.

– Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś?

Tiamak znieruchomiał.

– Wybacz, lady Miriamele – powiedział cicho. – Rozgadałem się.

Miriamele roześmiała się.

– To wspaniałe. Ale gdzie się tego nauczyłeś?

– Zajmuję się tym przedmiotem od wielu lat.

– Czy istnieje ktoś jeszcze, kto posiadłby tak ogromną wiedzę?

Tiamak odwrócił głowę. Miriamele patrzyła na niego zafascynowana.

Czy on się czerwieni?

– Ależ nie, nie, ja jestem tylko uczniem – powiedział. – Podniósł wzrok nieśmiało, lecz w jego spojrzeniu pojawiła się iskierka dumy. – Ale mam nadzieję, że kiedyś ludzie dowiedzą się o moich badaniach, poznają moje imię.

– Z pewnością. – Wciąż pełna była podziwu. Ten mały człowieczek z potarganą czupryną czarnych włosów, ubrany zaledwie w przepaskę na biodrach, wydawał się posiadać wiedzę nie mniejszą od duchownych pisarzy z Hayholt! – Nic dziwnego, że Morgenes i Dinivan przyjaźnili się z tobą.

Wyraz zadowolenia natychmiast zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca smutkowi.

– Dziękuję, lady Miriamele. Pozwól, że pozostawię cię tutaj. I tak wystarczająco długo cię zanudzałem.

Odwrócił się i odszedł bagienną polaną, przeskakując z jednej twardej kępy na drugą z taką łatwością, że kiedy usiadł na kłodzie, jego stopy pozostały suche. Nawet to napawało podziwem Miriamele – ona wciąż miała nogi ubłocone do kolan.

„Tylko co ja takiego powiedziałam?” – Wzruszyła ramionami i zabrała się do przyrządzania ryb.

PO KOLACJI, KTÓRA ZYSKAŁA JESZCZE po kilku kulinarnych wskazówkach Tiamaka, wszyscy zasiedli przy ognisku. Powietrze pozostało ciepłe, choć słońce skryło się już za drzewami, kładąc cienie na bagnach. Gdy tylko zaczął zapadać wieczór, rozległ się chór żab, a z nimi niebawem zaczęły współzawodniczyć gromady śpiewających, gwiżdżących i skrzeczących ptaków, tak że zapadający zmrok przypominał letni jarmark.

– Jak duży jest Wran? – spytała Miriamele.

– Prawie tak duży jak półwysep Nabbanu – odpowiedział Tiamak. – Ale my musimy przejść tylko niewielką część, gdyż znajdujemy się już w najbardziej na północ wysuniętym regionie.

– Powiedz nam, przewodniku, ile zajmie nam podróż? – Cadrach siedział oparty o kłodę, próbując zrobić fujarkę z trzciny. Obok leżało kilka pogniecionych źdźbeł, ofiar wcześniejszych prób.

Miriamele znowu dostrzegła smutek na twarzy Wrańczyka.

– To zależy.

Isgrimnur uniósł krzaczaste brwi.

– Od czego?

– Od tego, którą drogę wybierzemy. – Tiamak westchnął. – Chyba lepiej będzie, jak o tym porozmawiamy. Nie powinienem sam podejmować decyzji.

– Mów, człowieku – powiedział książę.

Tiamak wyjaśnił im, co go trapiło. Wyjaśnił, że nie chodziło tylko o to, iż wstydził się wracać między swoich po tym, jak ich zawiódł, ale że nawet jeśli pozostałym pozwolą odejść, on sam może zostać zatrzymany, co pozbawi ich przewodnika w samym środku bagiennego labiryntu.

– Czy nie moglibyśmy wynająć kogoś innego z twojej wsi? – spytał Isgrimnur. – Co nie znaczy, że przyjmujemy, iż może ci się coś przydarzyć – dodał pośpiesznie.

– Rozumiem. – Spojrzenie Tiamaka pozostało chłodne. – Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie. Nasz klan nigdy nie robił niczego, co mogłoby przynieść innym kłopoty – chyba że komuś z Wioski działa się jawna krzywda – ale nie mogę zagwarantować, że starsi nie będą próbowali powstrzymać kogoś, kto zechciałby udzielić wam pomocy. Trudno mi powiedzieć.

Dyskutowali i naradzali się, w miarę jak mijała noc. Tiamak wyjaśnił najlepiej, jak potrafił, odległość i niebezpieczeństwa, których mogli się spodziewać podróżni udający się do którejś z osad położonych na południe od jego Wioski. Wreszcie podjęli decyzję w chwili, kiedy nad ich głowami ugięły się gałęzie pod stadem małp, które poszły sobie dalej, pokrzykując.

– Wiem, że to dla ciebie trudne, Tiamaku – przemówił Isgrimnur. – I dlatego nie będziemy cię zmuszać, ale najlepszym rozwiązaniem wydaje się podróż do twojej Wioski.

Wrańczyk przytaknął mu z ponurą miną.

– Zgadzam się. Chociaż nie zrobiłem nic złego Domom Wysokich Gałęzi ani Żółtym Drzewom, to jednak nie mam pewności, że okażą życzliwość obcym. – Westchnął ciężko. – Chyba przejdę się trochę. Zostańcie przy ognisku. – Wstał i szybko zniknął w ciemności.

Camaris, znudzony dyskusją pozostałych, dawno zasnął z głową na płaszczu i długimi nogami podkurczonymi jak u chłopca. Miriamele, Isgrimnur i Cadrach spojrzeli na siebie ponad skaczącymi płomieniami. Niewidoczne ptaki, które ucichły w chwili, kiedy Tiamak odchodził, znowu się rozwrzeszczały.

– Chyba jest bardzo smutny – powiedziała Miriamele.

Isgrimnur ziewnął.

– Ale i tak wykazał dużo opanowania.

– Biedak. – Miriamele ściszyła głos, obawiając się, że Wrańczyk może wrócić i usłyszy jej słowa. Nikt nie lubił, kiedy się nad nim użalano. – Wie bardzo dużo o kwiatach i innych roślinach. Szkoda, że musi żyć z dala od ludzi, którzy by go zrozumieli.

– Nie tylko on – odezwał się Cadrach bardziej do siebie niż do pozostałych.

Miriamele obserwowała małego, cętkowanego jelenia o okrągłych oczach, który przyszedł nad wodę się napić. Wstrzymała oddech, gdy zwierzę zbliżało się ostrożnie piaszczystym brzegiem, oddalone o jakieś trzy łokcie od łodzi; jej towarzysze zamilkli, zmęczeni popołudniowym upałem, tak więc nic nie wystraszyło jelenia. Miriamele oparła brodę o burtę łodzi i podziwiała zgrabne ruchy zwierzęcia.

Kiedy jeleń zanurzył pysk w błotnistej wodzie, spod jej powierzchni wynurzył się nagle inny pysk z licznymi zębami. Krokodyl chwycił jelenia, zanim ten zdążył odskoczyć, i wciągnął wierzgającą ofiarę w brunatną ciemność. Po chwili na wodzie pozostały tylko bąbelki. Miriamele odwróciła się oburzona, ale i nieco przestraszona. Jak szybko pojawiała się śmierć!

Im więcej obserwowała, tym bardziej zmienny wydawał się Wran: pełen drgających liści paproci, przemykających cieni – ciągle coś się ruszało. Każdy okaz piękna – jak ogromne, purpurowe kwiaty o kształcie dzwonu, pachnące równie mocno jak każda bogata wdowa z Nabbanu, albo kolibry przypominające paciorki drogocennego naszyjnika – wydawał się mieć swój szpetny odpowiednik, chociażby wielkie jak miski, ogromne i szare pająki zwisające z gałęzi nad wodą.

Wśród drzew widziała kolorowe ptaki, chichoczące małpy, a nawet cętkowane węże, które zawieszone na drzewie przypominały nabrzmiałe winne kłącza. O zachodzie słońca spod wyższych gałęzi wypływały chmury nietoperzy. Wszędzie też rozlegało się ciche bzyczenie i trzepotanie skrzydeł owadów. Żadna roślina nie pozostawała nieruchoma, drzewa i trzciny chyliły się naginane wiatrem, wodne rośliny podskakiwały unoszone drobną falą. Wran był niczym ogromny gobelin utkany z żywych nici.

Miriamele przypomniała sobie las Aldheorte, który także żył swoim życiem, pełen głębokich korzeni i milczącej mocy, lecz las był stary i niezmienny. Tak jak pradawny lud żył w rytm dostojnej, rytualnej muzyki, szedł niezmiennym krokiem. Kiedy tam była, pomyślała, że Aldheorte mógłby pozostać taki do końca czasu. Tymczasem Wran jakby rodził się w każdej chwili niczym piana na krawędzi wrzącego stworzenia. Wydawało jej się, że gdyby wróciła tutaj za dwadzieścia lat, mogłaby zastać straszliwą pustynię, ale równie dobrze nieprzebytą dżunglę, plątaninę czerni i zieleni, która nie dopuszcza do swego wnętrza ani promyka światła.

W miarę upływu czasu, kiedy posuwali się ku wnętrzu bagien, Miriamele wydawało się, że jej ciężar staje się coraz lżejszy. Wciąż czuła jeszcze gniew: na ojca i jego poczynania, na Aspitisa, który zwiódł ją i upokorzył, na Boga, który to miał być dobry, a odebrał jej kontrolę nad własnym życiem... lecz uczucie gniewu przestało już być tak żywe, tak bolesne. Trudno było zachować zżerającą duszę gorycz, znajdując się w świecie tętniącym życiem. Zanurzając się w nieustannie odradzający się świat, nie sposób było nie doznać uczucia, że jest się jego częścią.

CO TO ZA KOŚCI? – SPYTAŁA MIRIAMELE. Brzeg po obu stronach wody usiany był szkieletami; porozrzucane kręgosłupy i żebra przypominały klepki rozbitych okrętów, wyblakłe i dziwnie białe na tle błota. – Mam nadzieję, że należą do zwierząt?

– Wszyscy jesteśmy zwierzętami – zauważył Cadrach. – I wszyscy mamy kości.

– Mnichu, czy zamierzasz przestraszyć dziewczynę? – warknął Isgrimnur. – Przyjrzyj się czaszkom. To były krokodyle, a nie ludzie.

– Cicho. – Siedzący na dziobie Tiamak odwrócił się. – Książę Isgrimnur ma rację. Kości należą do krokodyli. Ale uciszcie się teraz. Zbliżamy się do

Stawu Sekoba.

– Co to takiego?

– Przyczyna tych wszystkich szkieletów. – Wrańczyk otworzył szerzej oczy, ujrzawszy Camarisa, który zanurzył dłoń w wodzie i z dziecinnym zaciekawieniem przyglądał się powstałym falom. – Isgrimnur! Nie pozwól mu tego robić!

Książę odwrócił się i podniósł dłoń Camarisa. Starzec spojrzał na niego z lekkim wyrzutem, lecz położył mokrą dłoń na swojej nodze.

– A teraz bądźcie cicho, proszę – powiedział Tiamak. – Wiosłujcie powoli i nie chlapcie.

– Ale dlaczego? – dopytywał się Isgrimnur, lecz zaraz zamilkł, widząc spojrzenie Tiamaka. Razem z Miriamele starali się wiosłować równo i delikatnie.

Kanał, którym teraz płynęli, wydawał się zasłonięty z obu stron zieloną kurtyną, tak gęste były gałęzie chylących się ku wodzie wierzb. Po pewnym czasie ściana zieleni skończyła się i nagle wypłynęli na rozległe jezioro. Wokół niego rosły drzewa figowe, których poskręcane korzenie oplatały brzeg prawie ze wszystkich stron. Mniej więcej naprzeciw nich drzewa rosły nieco dalej od wody sięgającej tam szerokiej, piaszczystej plaży. Gładką i lśniącą powierzchnię jeziora mąciło tylko kilka malutkich wysepek w pobliżu plaży. Kilka ptaków brodziło przy brzegu, co jakiś czas zanurzając dzioby w błocie. Miriamele pomyślała natychmiast, że piaszczysty brzeg byłby wspaniałym miejscem na obóz; samo jezioro wydawało jej się ogromnym rajem po błotnistych kępach, na których dotąd obozowali, i już chciała powiedzieć to Tiamakowi, lecz powstrzymało ją jego groźne spojrzenie. Przypuszczała, że musi to być jakieś święte miejsce Wrańczyków, ale nie był to jeszcze powód, by traktował ją jak niegrzeczne dziecko.

Miriamele odwróciła się od Tiamaka i spojrzała ponad wodą, by zapamiętać ten widok i kiedyś przywołać uczucie idealnego spokoju, jakie uosabiał. W pewnym momencie doznała wrażenia, że jezioro się porusza, że jego woda odpływa na jedną stronę. Po chwili zorientowała się jednak, że poruszają się małe wysepki. Krokodyle! Już wcześniej nieraz się nabrała, widząc kłody i wysepki, które nagle ożywały. Uśmiechnęła się na myśl o swej naiwności mieszkańca miasta. Może jednak nie byłoby to najlepsze miejsce na obóz, chociaż kilka krokodyli wcale nie psuło jego uroku...

Wysepki stawały się coraz większe, w miarę jak dopływały do brzegu, lecz dopiero gdy przerażająco ogromny stwór wypełzł na brzeg w światło dnia, Miriamele zdała sobie sprawę, że był to tylko jeden krokodyl.

– Litościwy Boże! – powiedział Cadrach zduszonym szeptem, a zaraz za nim powtórzył to Isgrimnur.

Ogromna jak barka i długa jak dziesięciu ludzi bestia odwróciła głowę, by spojrzeć na sunącą jeziorem łupinę. Isgrimnur i Miriamele przestali wiosłować.

– Nie przestawajcie wiosłować! – syknął Tiamak. – Powoli, ale wiosłujcie dalej!

Miriamele wydawało się, że nawet z tej odległości dostrzega błysk obserwujących ich oczu, czuje chłód pradawnego spojrzenia. Zamarła, widząc, jak olbrzymie nogi zwierzęcia poruszają się i grzebią w piasku, jakby olbrzym zamierzał powrócić do wody. Lecz po kilku chwilach krokodyl znieruchomiał, pokryty guzami łeb opadł na piasek i żółte oko się zamknęło.

Płynąc w kierunku ujścia z jeziora, oboje, Miriamele i Isgrimnur, zaczęli mocniej wiosłować, jakby rozumieli się bez słów. Niebawem z trudem łapali oddech. Tiamak nakazał im przestać wiosłować.

– Jesteśmy bezpieczni – oznajmił. – Dawno już minął czas, kiedy mógłby nas tak bez trudu dogonić. Urósł za duży.

– Co to było? – spytała Miriamele, dysząc. – Co to za potwór?

– Stary Sekob. Nazywamy go pradziadem krokodyli. Nie wiem, czy to prawda, ale z pewnością jest on panem swego gatunku. Każdego roku przybywają inne krokodyle, żeby z nim walczyć. Co roku urządza sobie z nich ucztę i tak się obżera, że nie musi już polować. Niektórym, tym najsilniejszym, udaje się uciec i dotrzeć na brzeg rzeki, gdzie zdychają. To ich kości leżały.

– Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. – Cadrach zbladł mocno, ale mówił z pewnym podnieceniem. – Wygląda jak ogromny smok!

– On jest smokiem Wranu – przyznał Tiamak. – Co do tego nie ma wątpliwości. Ale w przeciwieństwie do mieszkańców lądu, my zostawiamy nasze smoki w spokoju. Nie jest dla nas groźny, a zabija wielu spośród ludożerców, którzy niepokoiliby Wrańczyków. Dlatego okazujemy mu szacunek. Stary Sekob zbyt dobrze się żywi, żeby uganiać się za takim marnym kąskiem, jaki stanowimy.

– Dlaczego więc kazałeś nam siedzieć cicho? – spytała Miriamele.

Tiamak rzucił jej chłodne spojrzenie.

– Może i nie miałby ochoty nas pożreć, ale przecież nie przychodzi się pofiglować do sali tronowej króla. Szczególnie kiedy król jest stary i drażliwy.

– Elysio, Matko Boża. – Isgrimnur pokręcił głową. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, chociaż dzień nie był zbyt ciepły. – Nie, oczywiście, że nie chcielibyśmy rozzłościć staruszka.

– A teraz płyńmy – powiedział Tiamak. – Jeśli będziemy wiosłować aż do zmroku, jutro w południe powinniśmy dopłynąć do Wioski.

W miarę upływu czasu Wrańczyk stawał się coraz bardziej rozmowny. Kiedy wpłynęli na wodę zbyt płytką, by można było na niej wiosłować, nie mieli nic innego do roboty, jak słuchać opowieści swoich towarzyszy, gdyż wtedy Tiamak odpychał łódź żerdzią. Wypytywany przez Miriamele opowiedział im wiele o życiu Wranu, a także o swoich niezwykłych doświadczeniach, które sprawiły, że stał się kimś wyjątkowym pośród swoich ludzi.

– Ale wy nie macie króla? – spytała.

– Nie. – Wrańczyk zastanawiał się przez chwilę. – Mamy naszych starszych, jak ich nazywamy, choć niektórzy z nich nie są starsi ode mnie. Każdy może zostać jednym z nich.

– Jak to możliwe? Po prostu się zgłaszają?

– Nie. Muszą wydać ucztę. – Uśmiechnął się zawstydzony. – Kiedy mężczyzna ma żonę i dzieci – a czasem i inną rodzinę, która z nim mieszka – i potrafi ich wyżywić, a przy tym jeszcze coś odłożyć, wtedy rozdaje to, co mu zostaje, innym. W zamian może poprosić o łódź albo o nowe pływaki do łowienia ryb, ale może też powiedzieć: „Oddacie mi, kiedy wydam ucztę”. I tak, kiedy rozdał już wystarczająco dużo, „dopomina się o swoje kraby”, jak mówimy, co znaczy, że prosi wszystkich, którzy są mu coś winni, żeby oddali dług. Wtedy zaprasza wszystkich z Wioski na ucztę. Jeśli wszyscy goście są zadowoleni, zostaje starszym. Później co roku musi wydawać taką ucztę, a jeśli tego nie zrobi, nie będzie starszym w tym roku.

– Brzmi to dość głupio – mruknął Isgrimnur, drapiąc się. Jak dotąd owady skupiały swoją uwagę głównie na nim; jego wielka twarz cała była pokryta czerwonymi śladami po ukłuciach.

Miriamele rozumiała go i wybaczyła jego nieuprzejmość.

– Nie głupsze niż przekazywanie ziemi z ojca na syna. – Cadrach mówił spokojnie, ale z odrobiną sarkazmu. – Albo zdobywanie jej, rozłupując

toporem głowę sąsiada, jak jeszcze do niedawna postępował twój lud, książę.

– Nie powinno się posiadać czegoś, jeśli nie jest się w stanie tego obronić – odparł Isgrimnur jakby od niechcenia, gdyż całą prawie uwagę skupiał na próbie podrapania się między łopatkami.

– Myślę, że to dobry sposób – powiedział cicho Tiamak. – Nie pozwala on nikomu głodować ani gromadzić nadmiernie bogactw. Dopóki nie rozpocząłem studiów w Perdruin, nie wyobrażałem sobie, by mogło być inaczej.

– Lecz jeśli ktoś nie chce zostać starszym – zauważyła Miriamele – wtedy nie ma potrzeby rozdawania swoich rzeczy.

– Tak, ale wtedy nikt nie darzy go zbytnim szacunkiem. – Tiamak uśmiechnął się. – Ponadto starsi decydują o tym, co jest dobre dla Wioski, więc może się tak zdarzyć, że uznają, iż wspaniały staw pełen ryb, w pobliżu którego samolubny i bogaty mężczyzna wybudował swój dom, będzie należał do całej Wioski. Nie ma sensu być bogatym i nie być starszym, to rodzi tylko zazdrość.

Książę Isgrimnur wciąż się drapał. Tiamak i Cadrach zagłębili się w cichej rozmowie dotyczącej szczegółów wrańskiej teologii. Miriamele, zmęczona rozmową, przyglądała się staremu Camarisowi.

Mogła to robić zupełnie swobodnie, gdyż starzec wydawał się tym nie interesować, traktował swoich towarzyszy z obojętnością konia na targu, o którym rozmawiają stojący za ogrodzeniem kupcy. Obserwując jego dobrotliwą, lecz nie głupią twarz, nie mogła uwierzyć, że znajduje się w obecności postaci z legend. Imię Camaris-sa-Vinitta było nieomal tak sławne jak imię jej dziadka Prestera Johna; wierzyła, że obaj pozostaną w pamięci przyszłych pokoleń. Oto siedział przed nią, stary i tępy, podczas

gdy cały świat uznał go za zmarłego. Jak to możliwe, by coś takiego miało miejsce? Jakie tajemnice skrywało to na pozór otwarte oblicze?

Miriamele zwróciła uwagę na dłonie starego rycerza. Stwardniałe i poocierane latami pracy w gospodzie „Puchar Pelippy”, a także w czasie licznych potyczek w bitwach, wciąż pozostały w pewnym sensie imponujące, duże, o długich palcach, lecz delikatne. Obserwując, jak miętosi bezmyślnie materiał swych podartych spodni, zastanawiała się, czy to możliwe, by takie zręczne i ostrożne dłonie zadawały śmierć z szybkością i okrucieństwem, o jakich wspominały legendy. Ale widziała, jak jest silny – taką siłą mógłby zaimponować mężczyzna o połowę od niego młodszy. Kilkakrotnie w czasie ich podróży przez Wran zdarzały się niebezpieczne momenty, kiedy łódź groziła przechyleniem albo ktoś zapadał się w błoto, a wtedy Camaris reagował z zadziwiającą szybkością.

Ponownie zaczęła przyglądać się twarzy Camarisa. Miriamele nie widziała go nigdy wcześniej przed spotkaniem w gospodzie – zniknął ćwierć wieku przed jej urodzeniem – a jednak dostrzegała w jego twarzy coś niepokojąco znajomego. Widziała to tylko przez krótką chwilę, jakiś nierozpoznawalny szczegół, który sprawiał, że czuła się, jakby się znalazła na krawędzi wielkiego odkrycia... lecz chwila mijała, a wraz z nią podobieństwo. W momencie, kiedy patrzyła na niego, nie doświadczała podobnego uczucia: Camaris przypominał po prostu przystojnego starca o szczególnie zamyślonej i nieobecnej twarzy.

Może wrażenie to powodowały liczne gobeliny i obrazy, których przecież tyle oglądała. Jego portrety można było zobaczyć w Hayholt, w książęcym pałacu w Nabbanie, a nawet w Meremundzie... chociaż Elias zawieszał je tylko wtedy, gdy przybywał jego ojciec John, w dowód uznania przyjaźni Króla z największym rycerzem Osten Ard. Jej ojciec Elias, który sam uważał się za znakomitego rycerza w królestwie swego

ojca, irytował się, słysząc opowieści Wielkiego Stołu, a szczególnie te, które ilustrowały wielkość Camarisa...

Myśli Miriamele przerwało oświadczenie Tiamaka, że zbliżają się do Wioski.

– Mam nadzieję, że wybaczycie mi, jeśli przenocujemy jedną noc w moim małym domu – powiedział. – Nie widziałem go od wielu miesięcy i chciałbym się upewnić, że moje ptaki przeżyły. Potrzebowalibyśmy jeszcze godziny, żeby dotrzeć do Wioski, a jest nieco później, niż się spodziewałem. – Wskazał w kierunku czerwonego zachodniego nieba. – Spotkanie ze starszymi możemy odłożyć do rana.

– Mam nadzieję, że masz w domu jakieś zasłony, aby powstrzymać robaki – odezwał się płaczliwie Isgrimnur.

– Twoje ptaki? – spytał Cadrach zaintrygowany. – Od Morgenesa?

Tiamak przytaknął.

– Tak, chociaż ja też hodowałem własne. Ale prawdą jest, że Morgenes nauczył mnie tej sztuki.

– Czy moglibyśmy wysłać przez nie wiadomość do Josui? – spytała Miriamele.

– Nie do Josui – odpowiedział Tiamak zamyślony. – Ale gdyby był z nim jakiś członek Ligi Pergaminu, moglibyśmy spróbować. Te ptaki nie potrafią odnaleźć każdego. Dotyczy to tylko niektórych ludzi; one rozróżniają jedynie miejsca, podobnie jak inne ptaki przenoszące wiadomości. Porozmawiamy jeszcze o tym, kiedy znajdziemy się już pod moim dachem.

TIAMAK KIEROWAŁ ŁÓDŹ KOLEJNYMI WĄSKIMI KANAŁAMI, a niektóre z nich były tak płytkie, że musieli wchodzić do wody, by przenieść łódź nad

płyciznami. Wreszcie znaleźli się w szerszej odnodze, która płynęła wzdłuż alei drzew figowych. Łódź zatrzymała się przed chatą tak sprytnie ukrytą, że z pewnością minęliby ją, gdyby nie jej właściciel. Tiamak spuścił drabinę z powyginanych pnączy i kolejno wspięli się do jego domu.

Miriamele poczuła się rozczarowana, widząc, jak jest tu ubogo. Spodziewała się, że mały uczony jest człowiekiem skromnym o niewielkich potrzebach, ale sądziła, że odwiedzając po raz pierwszy mieszkanie Wrańczyka, ujrzy przynajmniej jakieś egzotyczne meble i przedmioty. Tutaj zaś nie było ani stołów, ani krzeseł czy łóżek. Obok paleniska wpuszczonego w podłogę pod zmyślnie wywierconym otworem odprowadzającym dym, jedynymi przedmiotami domowego użytku były: mała wiklinowa skrzynia, solidniejsza i większa skrzynia z drewna, pulpit do pisania wykonany z kory i kilka innych dziwnych drobiazgów. Mimo wszystko było tam sucho, co dla Miriamele stanowiło niezwykle miłą odmianę.

Tiamak pokazał Cadrachowi stos drewna ułożony pod okapem jednego z wysokich okien i polecił mu rozpalić ogień, a sam udał się na dach, by zobaczyć, co się stało z ptakami. Camaris przykucnął niezgrabnie w rogu; w małym domku wyglądał jak olbrzym, podobnie jak Isgrimnur, który niewiele był od niego niższy, ale za to o wiele cięższy.

Tiamak pojawił się w oknie, zwisając z dachu do góry nogami. Wydawał się bardzo szczęśliwy.

– Patrzcie! – W dłoni trzymał pierzastą kulę. – To Miodowy Łasuch! Wróciła! Inne też przyleciały! – W następnej chwili zniknął niespodziewanie, jakby ktoś pociągnął za sznurek. Camaris podszedł do okna i wspiął się za Wrańczykiem z zadziwiającą zręcznością.

– Gdybyśmy tylko znaleźli jeszcze coś do jedzenia – odezwał się Isgrimnur. – Jestem wdzięczny Tiamakowi, ale nie przepadam za jego

bagiennym paskudztwem. – Oblizał usta. – Nie pogardziłbym udźcem wołowym albo czymś takim, co daje siły.

Miriamele nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Nie sądzę, żeby mieli tutaj wiele krów.

– Nic nie wiadomo – mruknął Isgrimnur zamyślony. – To dziwne miejsce. Wszystkiego można się spodziewać.

– Spotkaliśmy pradziada krokodyli – powiedział Cadrach, przygotowując krzesiwo. – Bardzo możliwe, książę Isgrimnurze, że gdzieś w zaroślach kryje się ogromna prababka wszystkich krów? A jej szponder jest wielki jak wóz.

Rimmersman nie dał się sprowokować.

– Jeśli waćpan będziesz grzeczny, to może i zostawię ci kilka kęsów.

ALE NIE BYŁO WOŁOWINY. Isgrimnur, tak jak i jego pozostali towarzysze, zmuszony był zadowolić się cienką zupą z różnych traw bagiennych i kilku kawałków z jedynej ryby, jaką Tiamak zdołał złowić przed zmrokiem. Isgrimnur napomknął coś o wspaniale upieczonym gołębiu, ale widząc przerażenie Tiamaka, szybko przeprosił za swą niestosowną propozycję.

– Ja już taki jestem bezpośredni – mruknął skruszony. – Strasznie mi przykro. Nie tknąłbym twoich ptaków. – Lecz nawet gdyby nie żartował, nie przyszłoby mu to łatwo. Camaris przykleił się do gołębi Tiamaka, jakby odnalazł dawno utraconego członka rodziny. Starzec spędził prawie cały wieczór na dachu z głową w gołębniku. Przyszedł tylko na krótko, żeby wypić swoją zupę, i zaraz powrócił na dach, gdzie siedział, obserwując w milczeniu ptaki, dopóki wszyscy nie pokładli się na podłodze. Wtedy i on powrócił do domu; położył się i utkwił wzrok w suficie, jakby widział przez strzechę swoich nowych przyjaciół – Isgrimnur i Cadrach chrapali już

głośno, gdy on wciąż leżał z otwartymi oczami. Miriamele obserwowała go, dopóki jej myśli nie zaczęły krążyć powoli w wirze senności.

Wreszcie zasnęła w domu na drzewie, wsłuchana w plusk wody na dole i pytające okrzyki nocnych ptaków w górze.

Inne ptaki krzyczały, kiedy obudziło ją przenikające przez korony drzew słońce. Ich głosy były przenikliwe i powtarzające się, lecz nie przeszkadzało jej to szczególnie. Spała zadziwiająco dobrze; czuła się, jakby odpoczęła po raz pierwszy od chwili opuszczenia Nabbanu.

– Dzień dobry! – zawołała wesoło do Tiamaka skulonego nad paleniskiem. – Czuję miły zapach.

Wrańczyk podniósł głowę.

– Znalazłem garnek mąki, który zakopałem z tyłu domu. Nie wiem, jak to się stało, że zachowała się sucha. Zwykle moje zabezpieczenia przepuszczają wilgoć. – Wskazał palcem na płaskie placki podskakujące na rozgrzanym kamieniu. – To niewiele, ale ja zawsze czuję się lepiej, jeśli mogę zjeść coś ciepłego.

– Ja także. – Miriamele wciągnęła głęboko powietrze. Jakże dziwny wydawał się fakt, że ktoś wychowany przy uginających się królewskich stołach mógł odczuwać zadowolenie, czując zapach przaśnych placków przyrządzonych na gorącym kamieniu, jeśli tylko sprzyjały okoliczności. Była w tym ukryta jakaś głębsza prawda, ale Miriamele zdecydowała, że jest za wcześnie na poważne rozmyślania. – Gdzie są inni? – spytała.

– Próbują usunąć kamienie z wąskiej części kanału. Jeśli zdołamy przepłynąć łodzią poza to miejsce, bez problemu dotrzemy do Wioski. Będziemy tam przed południem.

– Dobrze. – Miriamele zastanawiała się nad czymś przez moment. – Chciałabym się umyć? Gdzie mam pójść?

– Niedaleko stąd jest staw wypełniony deszczową wodą – powiedział Tiamak. – Ale powinienem pójść z tobą.

– Mogę pójść sama – odparła trochę może zbyt energicznie.

– Oczywiście, lady Miriamele, lecz pamiętaj, że tutaj bardzo łatwo jest zrobić zły krok. – Wrańczyk najwyraźniej czuł się zawstydzony, upominając ją, dlatego jej także zrobiło się wstyd.

– Wybacz – powiedziała. – To bardzo miło z twojej strony, że chcesz mnie tam zaprowadzić, Tiamaku. Pójdziemy, gdy tylko będziesz gotowy.

Wrańczyk uśmiechnął się.

– Pozwól tylko, że zdejmę placki, by się nie spaliły. Pierwsze kraby należą się temu, kto założył pułapkę, nie sądzisz?

Nie było łatwo zejść na dół, żonglując gorącymi plackami. Miriamele nieomal spadła z drabiny.

Ich trzej towarzysze znajdowali się trochę dalej w górę wodnego szlaku, zanurzeni po pas w zielonej, błotnistej wodzie. Isgrimnur wyprostował się i pomachał im ręką. Pracował bez koszuli, tak że widać było w pełnej okazałości jego ogromną pierś i brzuch pokryte rudawobrązowym owłosieniem. Miriamele zachichotała, gdyż bardzo przypominał jej niedźwiedzia.

– W domu czeka jedzenie – zawołał Tiamak. – Będzie więcej z ciasta, które przygotowałem.

Isgrimnur znowu pomachał ręką.

Przez jakiś czas szli przez gęste, czepiające się nóg zarośla, omijając połacie błota, a potem zaczęli wspinać się na niewielkie wzniesienie.

– Oto jedno z małych wzgórz – wyjaśnił Tiamak. – W tej części Wranu jest ich kilka – pozostała część jest bardzo płaska. – Tiamak wskazał przed siebie, lecz tamta strona była tak samo porośnięta drzewami jak pozostałe. –

Stąd nie widać, ale tam znajduje się najwyższy punkt Wranu, nie dalej jak pół mili. Nazywa się *Ya Mologi* – Kołyska.

– Skąd ta nazwa?

– Nie wiem. Mówi się, że Ta, Która Zrodziła Ludzkość żyła tutaj. – Podniósł wzrok znowu zawstydzony. – To jedna z naszych bogiń.

Kiedy Miriamele nic nie odpowiedziała, Wrańczyk odwrócił się i wskazał wzdłuż wzniesienia nieco wyżej ponad nimi. Rósł tam rząd drzew – były to znowu wierzby, jak zauważyła Miriamele. Wydawały się bardziej dorodne od otaczającej ich roślinności.

– Tam. – Tiamak ruszył do miejsca, w którym teren opadał.

Był to malutki kanion, niewielka zmarszczka na powierzchni wzgórza, nie większy niż na rzut kamieniem. Jego dno wypełniała stojąca woda porośnięta hiacyntami, liliami wodnymi i długimi trawami.

– Oto deszczowy staw – oświadczył z dumą Tiamak. – Z jego powodu mój ojciec Tugumak wybudował tutaj swój dom, chociaż stąd jest daleko do Wioski. W tej części jest jeszcze kilka podobnych stawów, ale ten jest najprzyjemniejszy.

Miriamele spojrzała na wodę niepewnie.

– Mogę się tutaj wykąpać? – spytała. – Nie będzie żadnych węży, krokodyli i tym podobnych?

– Może tylko kilka chrząszczy wodnych – zapewnił ją Wrańczyk. – Pójdę już. Czy znajdziesz drogę do domu?

Miriamele zastanawiała się przez chwilę.

– Tak. A jeśli nie, to zawołam, jestem wystarczająco blisko.

– Masz rację. – Tiamak odwrócił się i ruszył pod górę, a po chwili zniknął za rzędem wierzb. Odchodząc, zawołał jeszcze: – Zostawimy ci jedzenie, pani!

„Powiedział to, żeby pokazać, iż jest daleko – pomyślała Miriamele, uśmiechając się. – Żebym nie musiała się martwić, że mnie obserwuje. Nawet na bagnach są dżentelmeni”.

Rozebrała się, rozkoszując porannym ciepłem, które było jedną z przyjemnych rzeczy na bagnach, i weszła do wody. Westchnęła z ulgą, kiedy woda sięgnęła jej kolan; była tylko trochę chłodniejsza od tej, w jakiej zwykła się kąpać. Pomyślała, że otrzymała od Tiamaka prezent – jeden z najmilszych od dłuższego czasu.

Pod palcami stóp czuła przyjemne, miękkie błoto. Chylące się nisko nad wodą wierzby – jakby zazdrosne o wodę – sprawiały, że czuła się nieomal tak samo bezpiecznie jak w swojej komnacie w Meremundzie. Zaczęła brodzić wzdłuż brzegu stawu, aż trafiła na miejsce, gdzie dno porastała gęsta trawa. Usiadła na niej jak na dywanie, tak że woda sięgnęła jej prawie do brody. Opłukała twarz i spryskała włosy, próbując rozczesać splątane kosmyki. Teraz, kiedy znowu zaczęły odrastać, nie mogła ich zaniedbywać.

Uporawszy się z włosami, siedziała jeszcze przez jakiś czas wsłuchana w ptasie wrzaski i szum ciepłego wiatru, który kołysał drzewami.

Miriamele wkładała swój brudny i nieco cuchnący mnisi strój, utyskując jednocześnie, że nie okazała się dość przewidująca i nie zabrała z „Pucharu Pelippy” odzieży na zmianę, gdy nagle szelest liści nad jej głową wzmógł się. Miriamele spojrzała w górę, spodziewając się ujrzeć jakiegoś dużego ptaka albo małpę, lecz widok tego, co ujrzała, sprawił, że wstrzymała na chwilę oddech zdumiona.

Zwisająca z gałęzi istota była wielkości małego dziecka, ale i tak zdawała się nieprzyjemnie duża. Przypominała trochę kraba, a trochę pająka, lecz pomimo skorupiastej powłoki miała tylko cztery nogi – tak przynajmniej wydawało się Miriamele – z których każda połączona była stawami i zakończona pazurem. Ciało stworzenia pokrywała skórzasta

skorupa – szarozielona z czarnymi cętkami – upstrzona tu i ówdzie porostami. Jednak najbardziej przerażające były jego oczy: czarne, lśniące paciorki, o tak inteligentnym spojrzeniu pomimo zdeformowanej głowy i chitynowego pancerza, że Miriamele cofnęła się odruchowo, dopóki nie była pewna, że stworzenie jej nie dosięgnie, bez względu na to, jak dobrym byłoby skoczkiem. Zwierzę przyglądało jej się w niepokojąco ludzki sposób, choć nie posiadało innych cech ludzkich; nie miało nawet pyska, chyba że były nim małe, mlaskające wypustki w szczelinie u spodu płaskiej głowy.

Miriamele zadrżała, wstrząśnięta uczuciem obrzydzenia.

– Odejdź! – zawołała, wymachując rękoma, jakby odganiała psa.

Lśniące oczy wpatrywały się w nią z wyrazem, który mógł oznaczać drwiącą złośliwość.

„Ono nie ma twarzy – pomyślała. – Jak to możliwe, żeby posiadało uczucia?” – Przecież to było zwierzę, niebezpieczne lub nie. Skąd przypuszczenie, że dostrzegła uczucia w czymś, co było tylko wielkim robakiem? Mimo wszystko widok zwierzęcia napawał ją przerażeniem. Choć nie zachowywało się agresywnie, Miriamele okrążyła szerokim łukiem drzewo i wyszła z małego wąwozu. Stworzenie nie poruszyło się, by pójść za nią, ale odwróciło głowę, obserwując ją, dopóki nie zniknęła.

GHANT – WYJAŚNIŁ TIAMAK, kiedy znowu wsiadali do łodzi. – Przykro mi, że cię wystraszył, lady Maryo. Okropne stworzenia, lecz rzadko atakują ludzi i prawie nigdy nie są większe od dziecka.

– Ale on patrzył na mnie jak człowiek! – Miriamele wzdrygnęła się. – Nie potrafię tego wyjaśnić, ale był okropny.

Tiamak skinął głową.

– To nie są prymitywne zwierzęta; tak przynajmniej uważam, chociaż nasi ludzie twierdzą, że ghanty nie są mądrzejsze od zwykłych raków. Ja jednak jestem odmiennego zdania: widziałem olbrzymie miasta, jakie budują, a także jak zmyślnie polują na ryby i ptaki.

– Sugerujesz, że są to rozumne stworzenia? – wtrącił Cadrach. – Zburzyłoby to w sposób niepokojący hierarchię Matki Kościoła. Czy wtedy nie musiałyby posiadać duszy? Może Nabban będzie musiał przysłać do Wranu misjonarzy, by sprowadzić je na łono Prawdziwej Wiary.

– Dość już tych kpin, Hernystirczyku – mruknął Isgrimnur. – Pomóż mi lepiej zepchnąć z piachu tę przeklętą łódź.

Mieli przed sobą niedługą podróż do Wioski – tak przynajmniej twierdził Tiamak. Poranek był pogodny i przyjemnie ciepły, lecz obraz ghanta zmącił nastrój Miriamele. Przypomniał jej, jak wrogi jest kraj bagien. To nie był jej dom. Może Tiamak potrafił żyć tutaj szczęśliwy, choć wątpiła, by tak było, lecz z pewnością nie ona.

Wrańczyk popychał teraz łódź cienkim końcem wiosła, prowadząc ją licznymi kanałami i strumieniami, które zawsze skrywała gęsta zasłona roślinności porastającej nierówne, piaszczyste brzegi – była to najczęściej ściana bladej trzciny albo ciemnych pnączy ozdobionych jasnymi, jakby rozgorączkowanymi kwiatami – tak że za każdym razem, kiedy skręcali w kolejną odnogę, poprzednia znikała za nimi prawie w tej samej chwili, w której dziób ich łodzi wynurzał się w nowym strumieniu.

Niebawem po obu stronach szlaku wodnego zaczęły pojawiać się zabudowania Wioski. Niektóre domy znajdowały się na drzewach, podobnie jak dom Tiamaka; inne stały na palach z pni. Kiedy minęli kilkanaście, Tiamak skierował łódź do pomostu dużego domu na palach i zawołał głośno na właściciela.

– Roahog! – krzyknął.

Kiedy nikt nie odpowiedział, uderzył wiosłem w drewniany pomost; hałas wypłoszył z rosnących dookoła drzew stado zielono-purpurowych ptaków, które z wrzaskiem wzbiły się w górę, lecz wciąż nikt nie odpowiadał. Tiamak zawołał jeszcze raz i wzruszył ramionami.

– Nie ma garncarza – powiedział. – W pozostałych domach też nikogo nie widziałem. Może zebrali się na przystani.

Popłynęli dalej. Domy, które teraz mijali, znajdowały się bliżej siebie. Niektóre z zabudowań sprawiały wrażenie, że składają się z wielu mniejszych o różnym kształcie i wielkości – pozlepiane chaotycznie pudełka upstrzone czarnymi dziurami okien niczym gniazda sów zamieszkujących urwiska. Tiamak zatrzymywał łódź przy niektórych z nich i wołał, lecz nikt nie odpowiadał na jego powitania.

– Przystań – powiedział stanowczo, lecz Miriamele wydawało się, że dostrzega w jego spojrzeniu niepokój. – Muszą być na przystani.

Przystań okazała się szerokim dokiem, który sięgał środka najszerszej części szlaku wodnego. Ze wszystkich stron otaczały go gęsto domy, a nawet część samego doku osłonięta była ścianami i przykryta słomianym dachem. Miriamele domyśliła się, że pewnie urządzano tam też targ. Dookoła widać było ślady po mieszkańcach – ogromne, zdobione kosze, przycumowane łodzie podskakujące przy pomoście – ale ani śladu samych mieszkańców.

Tiamak był wyraźnie poruszony.

– Wy, Którzy Patrzycie i Panujecie – szepnął. – Co tu się stało?

– Odeszli? – Miriamele rozglądała się dookoła. – Czy możliwe, żeby wszyscy poszli?

– Pani, nigdy nie byłaś na Północy – odezwał się ponuro Isgrimnur. – We Frostmarch jest wiele całkowicie opuszczonych miast.

– Tak, ale tamtych wygnała wojna. A tutaj przecież jeszcze nie dotarła.

– Niektórzy mieszkańcy Północy uciekli przed wojną – wtrącił Cadrach. – Inni przed istotami, które nawet trudno nazwać. Strach jest już wszędzie.

– Nie rozumiem. – Tiamak kręcił głową, jakby wciąż nie pojmował tego, co zobaczył. – Moi ludzie nie uciekliby tak po prostu, nawet gdyby bali się wojny, ale pewnie nawet jeszcze o niej nie zdążyli usłyszeć. Tu żyjemy i tutaj jest nasz dom. Dokąd mogli pójść?

Nagle Camaris podniósł się w łodzi, powodując, że ta zakołysała się niebezpiecznie; lecz starzec natychmiast uchwycił równowagę i sięgnął po długiego, żółtawego nasiennika, który zwisał z gałęzi nad ich głowami; po chwili usiadł i zaciekawiony zaczął oglądać swoją zdobycz.

– No cóż, w każdym razie mamy tutaj jakieś łodzie – powiedział Isgrimnur. – Tego nam trzeba. Tiamaku, nie chcę być niegrzeczny, ale uważam, że powinniśmy wziąć jedną z nich i udać się w dalszą drogę. W zamian zostawimy naszą łódź, tak jak mówiłeś. – Zmarszczył brwi, zastanawiając się, jak w najbardziej honorowy sposób załatwić całą sprawę. – Może mógłbyś napisać list na jednym z twoich pergaminów i wyjaśnić im, co zrobiliśmy.

Przez moment Tiamak patrzył na księcia nieprzytomnie, jakby nagle przestał rozumieć język Westerling.

– Ach – odezwał się wreszcie. – Nowa łódź. Masz rację. – Pokręcił głową. – Książę Isgrimnurze, wiem, że powinniśmy się spieszyć, ale czy nie moglibyśmy zatrzymać się tutaj na krótko? Muszę się rozejrzeć, sprawdzić, czy moje siostry albo ktoś inny zostawił wiadomość, dokąd poszli.

– No cóż... – Isgrimnur wpatrywał się w pomost. Miriamele domyślała się, że książę nie jest zachwycony tym pomysłem. Rzeczywiście było coś dziwnego w tej opuszczonej Wiosce. Wydawało się, że jej mieszkańcy

zniknęli, jakby zmieceni nagłym podmuchem wiatru. – Dobrze, niech będzie. I tak przypuszczaliśmy, że podróż tutaj zajmie nam cały dzień.

– Dziękuję. – Tiamak skinął głową. – Czułbym się... – zaczął znowu. – Jak dotąd nie zrobiłem dla mojego ludu wszystkiego, co było w mojej mocy. Nie byłoby w porządku wziąć łódź i odpłynąć, nie próbując nawet sprawdzić, co się stało. – Chwycił za jeden z kołków cumowniczych i przywiązał mocno łódź.

WYDAWAŁO SIĘ, ŻE MIESZKAŃCY WIOSKI opuścili ją w pośpiechu. Wskazywały na to liczne użyteczne przedmioty, wśród których znalazło się kilka koszy pełnych owoców i warzyw. Tiamak udał się na poszukiwanie jakichś wskazówek, które powiedziałyby mu, gdzie i dlaczego odeszli jego ludzie, podczas gdy Isgrimnur i Cadrach zajęli się nieoczekiwanym darem, wyładowując plonami nową łódź – dużą, solidnie zbudowaną o płaskim dnie – aż zanurzyła się w wodzie głębiej chyba, niż pragnąłby tego Tiamak. Miriamele przeprowadziła własne poszukiwania i w jednej z chat znalazła kilka kwiecistych sukienek. Były obszerne i bezkształtne, lecz w obecnej sytuacji mogły się okazać miłą odmianą stroju. Odkryła też skórzane pantofle zszywane rzemieniem i pomyślała, że chętnie włoży je zamiast butów, których prawie nie zdejmowała od chwili opuszczenia Naglimundu. Przez chwilę wahała się, czy powinna zabierać czyjąś własność, nie mogąc dać niczego w zamian, lecz szybko zebrała się w sobie i zabrała znalezione przedmioty. Nie miała niczego, co mogłaby zostawić.

Zbliżało się popołudnie, a Tiamak pojawiał się co pewien czas z wiadomościami, które niczego nie wyjaśniały. Także stwierdził, że mieszkańcy opuścili swoje domy w pośpiechu, lecz wciąż nie potrafił powiedzieć, dlaczego uciekli. Jedyną istotną wskazówką był fakt, że z chaty, w której zbierali się starsi, zniknęły włócznie i pozostała broń –

była ona własnością całej Wioski i zabierano ją tylko w chwilach konfliktu lub bitwy.

– Pójdę do domu Starszego Mogahibu. – On przewodzi starszym, więc może u niego znajdę coś ważnego. Mieszka w górnej części kanału, dlatego wezmę łódź. Wrócę, zanim słońce oprze się o korony drzew. – Wskazał na sunące na zachód słońce.

– Chcesz zjeść, zanim wypłyniesz? Zaraz rozpalę ogień.

Tiamak potrząsnął głową.

– Później. Wrócę przed nocą.

Mijało popołudnie, a Tiamak nie wracał. Miriamele i jej towarzysze najedli się rzepy, a przynajmniej czegoś, co ją przypominało – były to twardawe bulwy, które zdaniem Tiamaka nadawały się do spożycia; do tego zjedli miękkawe, żółte owoce owinięte w zielone liście i upieczone w ognisku. Posiłek zakończył brązowy, podobny do gołębia ptak, schwytany w pułapkę przez Cadracha i ugotowany w zupie. Kiedy cienie wydłużyły się znacznie na powierzchni zielonej wody, a bzyczenie owadów się wzmogło, Miriamele zaczęła się martwić.

– Powinien już wrócić – zapewniał ją Isgrimnur. – Pewnie odkrył coś interesującego, może jakąś bazgraninę ziomka z bagien albo coś takiego. Wróci niedługo.

Ale Tiamak nie wracał, chociaż słońce dawno zniknęło za drzewami, a na niebie pojawiły się gwiazdy. Miriamele i pozostali zrobili sobie posłania na pomoście przystani. Kładli się niechętnie, gdyż wciąż nie wiedzieli, co się stało z mieszkańcami Wioski, i z wdzięcznością spoglądali na żar ogniska. Miriamele długo nie mogła zasnąć.

KIEDY SIĘ OBUDZIŁA, SŁOŃCE STAŁO JUŻ WYSOKO. Zatroskane oblicze Isgrimnura potwierdziło jej obawy.

– Ach, biedny Tiamak! Gdzie on jest? Co się mogło stać? Mam nadzieję, że nie jest ranny?

– Nie tylko Tiamak jest biedny, pani – odezwał się Cadrach ponurym tonem, który z trudem ukrywał jego niepokój. – Pomyśl o nas. W jaki sposób wydostaniemy się z tych bezbożnych bagien?

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, lecz zaraz je zamknęła. Nie miała nic do powiedzenia.

NIC WIĘCEJ NIE MOŻEMY ZROBIĆ – powiedział Isgrimnur, gdy nastał drugi ranek. – Musimy sami spróbować odnaleźć drogę.

Cadrach skrzywił się.

– Równie dobrze możemy od razu oferować swe ciało pradziadowi krokodyli. Przynajmniej zaoszczędzimy czasu.

– A niech cię – warknął Isgrimnur. – Chyba się nie spodziewasz, że popełznę tam i pozwolę się zjeść! Nigdy się nie poddaję, a byłem już kilka razy w opałach.

– Ale nigdy dotąd nie zgubiłeś się na bagnach Wranu – sprzeczał się Cadrach.

– Przestańcie już! Przestańcie! – Miriamele czuła, że kręci jej się w głowie. Kłótliwy nastrój utrzymywał się od południa poprzedniego dnia. – Isgrimnur ma rację. Nie mamy wyboru.

Wydawało się, że Cadrach chce powiedzieć jeszcze coś nieprzyjemnego, ale zacisnął tylko usta i wlepił wzrok w puste chaty.

– Popłyniemy w tym samym kierunku co Tiamak – oświadczył Isgrimnur. – W ten sposób może natkniemy się na niego, jeśli jest ranny albo przedziurawił łódź.

– Ale powiedział przecież, że nie płynie daleko, tylko na koniec Wioski – zauważyła Miriamele. – Skąd będziemy wiedzieli, gdzie płynąć, kiedy skończą się domy?

– Masz rację, byłem głupi, że nie zapytałem go o to wcześniej – odburknął Isgrimnur. – Co nie znaczy, że bylibyśmy o wiele mądrzejsi, nawet gdyby nam to powiedział; od tych przeklętych labiryntów kręci mi się w głowie.

– Ale wciąż świeci to samo słońce, nawet nad Wranem – powiedziała Miriamele nieco zdesperowana. – Widać też gwiazdy. Może przynajmniej uda nam się ustalić północ, gdzie przebywa wuj Josua.

Isgrimnur uśmiechnął się smutno.

– Masz rację, księżniczko. Spróbujemy.

Cadrach wstał nagle i poszedł do łodzi, obchodząc Camarisa siedzącego na brzegu pomostu z nogami zanurzonymi w zielonej wodzie. Wcześniej zrobiła tak Miriamele i ugryzł ją żółw, lecz najwyraźniej starzec bardziej zaprzyjaźnił się z mieszkańcami rzeki.

Cadrach schylił się i chwycił jeden z worków złożonych na pomoście. Rzucił go do Camarisa, który złapał go pewnie i opuścił do łodzi.

– Nie będę się już sprzeczał – powiedział mnich, schylając się po drugi worek. – Załadujmy żywność i wodę. Przynajmniej nie umrzemy z głodu lub pragnienia, chociaż może się okazać, że nie byłoby to takie złe.

Miriamele roześmiała się.

– Elysio, Matko Boża, Cadrach, czy nie możesz być już bardziej ponury? Może lepiej będzie zabić cię teraz i oszczędzić ci cierpienia.

– Słyszałem już gorsze pomysły – mruknął Isgrimnur.

MIRIAMELE SPOGLĄDAŁA TĘSKNIE za znikającą z tyłu Wioską. Chociaż puste, było to jednak miejsce, gdzie jeszcze niedawno mieszkali ludzie; widzieli tego wyraźne ślady. A ona i jej towarzysze opuszczali je, by znowu pogrążyć się w labiryncie nieznanych im bagien. Nagle zaczęła żałować, że nie zdecydowali się zaczekać na Tiamaka jeszcze przez kilka dni.

Ranek upływał, a oni mijali coraz rzadziej pojawiające się domy. Tylko zasłona roślinności wciąż pozostawała równie gęsta. Obserwując niekończący się fresk zieleni, Miriamele po raz pierwszy pożałowała, że przybyli tutaj z Tiamakiem. Wran wydawał się tak bezmyślny w swej obfitości roślin i tak obojętny na coś równie pozbawionego znaczenia jak człowiek. Poczuła się bardzo mała.

PIERWSZY ZOBACZYŁ TO CAMARIS, chociaż nic nie powiedział, nie wydał żadnego odgłosu; mówiła o tym jego postawa – wyprężył się nagle niczym chart, który znalazł trop. Pozostali wytężyli wzrok, wpatrując się w dryfującą łódź.

– To jego łódź! – zawołała Miriamele. – Ktoś w niej jest! Ktoś w niej leży! To musi być Tiamak!

– Tak, to jego łódź – powiedział Isgrimnur. – Poznaję żółto-czarne oczy wymalowane na dziobie.

– Och, Cadrachu, szybciej! – Miriamele nieomal wepchnęła mnicha do wody, szarpiąc jego ramię. – Pchaj szybciej!

– Na nic mu się nie przydamy, jeśli łódź się wywróci i utoniemy – wycedził Cadrach przez zaciśnięte zęby.

Wreszcie zbliżyli się do łodzi. Na jej dnie leżała skulona ciemnowłosa, śniada postać z ręką przerzuconą przez burtę, jakby zasnęła w chwili, gdy chciała dotknąć wody. Gdy tylko obie łodzie dotknęły się burtami,

Miriamele przeszła na pokład drugiej, powodując, że obie zakołysały się, i szybko zbliżyła się do Wrańczyka.

– Ostrożnie, pani – powiedział Cadrach, lecz Miriamele uniosła już głowę obcego i położyła ją na swych kolanach. Jęknęła, ujrzawszy zakrzepłą krew na śniadej twarzy, a potem zaraz wydała zduszony okrzyk.

– To nie jest Tiamak!

WRAŃCZYK, KTÓRY NAJWYRAŹNIEJ wiele ostatnio wycierpiał, był trochę bardziej krępy od Tiamaka i miał nieco jaśniejszą skórę. Jego ciało oblepione było jakąś kleistą substancją o bardzo nieprzyjemnym zapachu. Nic innego nie można było stwierdzić, gdyż pozostawał on wciąż nieprzytomny. Miriamele przyłożyła do jego spękanych ust bukłak z wodą, uważając, by się nie udławił. Obcy przełknął kilka łyków, ale wciąż nie otwierał oczu.

– Jak to się stało, że ten przeklęty Wrańczyk znalazł się w łodzi Tiamaka? – mruknął Isgrimnur, wydłubując patykiem błoto z obcasów swych butów. Siedzieli teraz na brzegu, gdzie rozbili prowizoryczny obóz, by zastanowić się, co robić dalej; ziemia była tutaj bardzo podmokła. – I co się stało z Tiamakiem? Czy myślicie, że ten osobnik napadł na niego i odebrał mu łódź?

– Spójrzcie na niego – powiedział Cadrach. – Ten człowiek nie byłby w stanie udusić kota. Nie, nie powinniśmy chyba pytać, w jaki sposób zdobył łódź, ale dlaczego nie ma w niej z nim Tiamaka; a przede wszystkim, co się przydarzyło temu nieszczęśnikowi? Pamiętajcie, że jest to pierwszy ziomek Tiamaka, jakiego spotykamy od momentu opuszczenia Kwanitupulu.

– Masz rację. – Miriamele przyglądała się obcemu. – Może to, co przydarzyło się mieszkańcom wioski, przydarzyło się także i jemu. A może

on uciekał przed... przed czymś. – Zamyśliła się. Nie dość, że nie odnaleźli swojego przewodnika, to jeszcze natknęli się na nową tajemnicę, co tylko skomplikowało i pogorszyło ich sytuację. – Co mamy zrobić?

– Chyba musimy go zabrać – powiedział Isgrimnur. – Wypytamy go, kiedy się obudzi, ale jeden Aedon wie, kiedy to nastąpi. Nie możemy tak długo czekać.

– Wypytamy go? – mruknął Cadrach. – A jak to zrobimy? Tiamak uchodzi za wyjątek wśród swoich ludzi, sam tak twierdził.

– O czym mówisz?

– Wątpię, aby ten człowieczek mówił innym językiem poza swoim własnym.

– A niech to diabli! – Książę się zaczerwienił. – Wybacz, księżniczko. On ma rację. – Wzruszył ramionami. – I tak musimy go zabrać.

– Może będzie potrafił narysować szkic albo mapę – powiedziała Miriamele.

– Tak! – ożywił się Isgrimnur. – Mapę! Dobra myśl, pani!

WRAŃCZYK PRZESPAŁ RESZTĘ POPOŁUDNIA; nie drgnął nawet, kiedy łódź otarła się hałaśliwie o błotnisty brzeg, gdy ponownie wypychali ją na środek kanału. Zanim wyruszyli, Miriamele oczyściła jego rany, stwierdzając z ulgą, że nie są poważne, te przynajmniej, które pozostawały widoczne. Nie mogła zrobić już nic więcej.

Niewdzięczne zadanie Isgrimnura, polegające na odnalezieniu bezpiecznej drogi w zdradzieckim labiryncie, okazało się nieco łatwiejsze przez fakt, że w tej części bagien kanał biegł stosunkowo prostym szlakiem. Przy małej ilości rozwidleń i bocznych odgałęzień należało tylko utrzymać się w głównym korycie. Wprawdzie minęli kilka miejsc, gdzie można było

wybrać inną drogę, lecz nie przejmowali się tym zbytnio, gdyż wciąż jeszcze napotykali domy.

Jakiś czas po tym jak słońce minęło zenit, dziwny Wrańczyk obudził się nagle, czym wystraszył Miriamele, która osłaniała jego twarz szerokim liściem i zwilżała wodą. Ujrzawszy ją, przerażony Wrańczyk otworzył szerzej brązowe oczy i szybko rozejrzał się na boki, jakby szukał wroga, który go otoczył. Po kilku chwilach jego spojrzenie złagodniało nieco, choć wciąż nic nie mówił. Leżał nieruchomo wpatrzony w liściasty baldachim, który przesuwał się nad ich głowami. Oddychał płytko, co sprawiało wrażenie, że otwarcie oczu stanowi największy wysiłek, na jaki go obecnie stać. Miriamele przemawiała do niego cicho i wciąż zwilżała mu czoło. Była pewna, że przewidywania Cadracha sprawdziły się i obcy mówi tylko swoim językiem, lecz ona nie chciała powiedzieć mu niczego szczególnego; miała tylko nadzieję, że cichy i przyjazny głos sprawi, że poczuje się lepiej, nawet jeśli nie zrozumie ani słowa.

Minęła godzina, zanim obcy nabrał na tyle sił, by częściowo usiąść i napić się wody. Wciąż wyglądał na bardzo oszołomionego i chorego, dlatego nikt się nie zdziwił, kiedy jedynym odgłosem, jaki wydał, były jęki cierpienia, które nie ustały nawet wtedy, gdy Miriamele zaoferowała mu kolejny łyk wody. Wrańczyk odepchnął bukłak i wskazał na kanał skrzywiony.

– Czy on zwariował? – Isgrimnur przyglądał się obcemu podejrzliwie. – Tylko tego nam potrzeba, zwariowany człowieczek z bagien.

– Chyba chce nam powiedzieć, żebyśmy zawrócili – powiedziała Miriamele i nagle doznała olśnienia, od którego aż jej się zakręciło w głowie. – On nam mówi, że to jest zła droga.

Wreszcie Wrańczyk odzyskał mowę.

– *Mualum nohoa!* – wymamrotał najwyraźniej przerażony. – *Sanbidub nohoa yia ghanta!* – Wypowiedziawszy te słowa, kilkakrotnie chwycił się burty i spróbował wyskoczyć do wody. Na szczęście był słaby i rozkojarzony, więc Miriamele zdołała powstrzymać go bez większego trudu. Zdumiała się, widząc, że Wrańczyk wybucha płaczem – jego okrągła, śniada twarz wyglądała równie bezbronnie i szczerze jak oblicze dziecka.

– O co może mu chodzić? – spytała zaniepokojona. – Pewne jest tylko, że ma na myśli jakieś niebezpieczeństwo.

Isgrimnur pokręcił głową. Pomagał Cadrachowi wydobyć łódź z plątaniny przybrzeżnych zarośli, gdzie się dostała, kiedy negocjowali, którą wybrać drogę.

– Kto to wie? Może chodzi mu o jakieś zwierzę albo o innych mieszkańców bagien, z którymi prowadzi wojnę. A może ma na myśli jakiś pogański przesąd, czarodziejski staw czy coś takiego.

– A może ma na myśli przyczynę opustoszenia wioski Tiamaka? – powiedział Cadrach. – Spójrzcie.

Wrańczyk znowu usiadł, próbując uwolnić się z uścisku Miriamele.

– *Yia ghanta!* – wymamrotał.

– Ghanta – powtórzyła Miriamele wpatrzona ponad wodą. – Ghanty? Ale Tiamak powiedział...

– Może Tiamak przekonał się, że nie miał racji. – Cadrach wyszeptał zaledwie swoje słowa.

Łódź wypłynęła zza zakrętu i na przeciwległym brzegu strumienia pojawiła się dziwna ogromna budowla. Przypominała bardzo karykaturę Wioski i z pewnością zamieszkiwało ją wielu mieszkańców. Lecz Wioska Tiamaka bez wątpienia została wzniesiona ręką człowieka, czego nie można było powiedzieć o wyrastającej przed nimi konstrukcji z błota, liści i patyków, która wznosiła się znad powierzchni wody między korony drzew

na wysokość kilkunastu ludzi i ciągnęła wzdłuż brzegu znaczną część mili. Z jej wnętrza wydobywał się trzaskający i buczący odgłos, który niósł się ponad wodą, jakby znaleźli się w wysoko sklepionej komnacie. Nawet z przeciwległego brzegu można było dostrzec niektórych spośród budowniczych tego olbrzymiego gniazda. Ghanty poruszały się w charakterystyczny dla siebie sposób, opuszczając się zręcznie z gałęzi na gałąź, pojawiając się i znikając w czarnych dziurach gniazda.

Miriamele poczuła strach, ale i dziwną, pełną obrzydzenia fascynację. Już widok jednego ghanta był niepokojący. Sądząc po rozmiarach budowli, nie miała wątpliwości, że w jej wnętrzu ukrywają się ich setki.

– Matko Usiresowa – szepnął Isgrimnur. Zawrócił łódź i zaczął szybko pchać ją w górę strumienia, dopóki nie zniknęli bezpiecznie za zakrętem. – Co to za piekielne istoty?

Miriamele skuliła się na wspomnienie drwiącego spojrzenia czarnych jak smoła oczu na nieludzkiej twarzy, które ujrzała w czasie kąpieli. To są właśnie ghanty.

Ranny Wrańczyk, który znieruchomiał, ujrzawszy gniazdo, zaczął nagle załamywać ręce.

– *Tiamak!* – powiedział przez ściśnięte gardło. – *Tiamak nib dunou yia ghanta!* – Wskazał na miejsce, gdzie za ścianą zieleni znajdowało się gniazdo. Miriamele nie potrzebowała znajomości języka Wrańczyków, by zrozumieć, co powiedział.

– Tam jest Tiamak. Och, Boże, pomóż mu, on jest w gnieździe ghantów.

14. Mroczne korytarze

SCHODY BYŁY STROME, A WOREK CIĘŻKI, lecz mimo to Rachel odczuwała pewną radość. Jeszcze tylko raz, jeszcze jeden raz będzie musiała odważyć się pójść do górnych pokoi zamku i po wszystkim.

Kiedy znalazła się w połowie schodów, obok ocienionego podestu, zatrzymała się i opuściła worek ostrożnie, żeby nie narobić hałasu słoikami. Drzwi zakrywał najstarszy jej zdaniem i najbardziej ze wszystkich zakurzony arras w całym zamku. Dbała o to, aby wejście do jej kryjówki nie rzucało się w oczy i by mogła codziennie z niego korzystać. Cała jej istota buntowała się, kiedy musiała dotykać dłonią butwiejącej tkaniny, ale bywały okoliczności, kiedy należało zapomnieć o sprzątaniu. Rachel uśmiechnęła się kwaśno. Ciężkie chwile przynoszą dziwne zmiany – mawiała jej matka. Jeśli to nie była święta prawda, to co nią było?

Rachel wcześniej naoliwiła dokładnie stare zawiasy, tak że kiedy teraz uniosła arras i nacisnęła klamkę, drzwi otworzyły się bezgłośnie. Przeniosła worek nad niskim progiem i opuściła za sobą tkaninę, zakrywając drzwi. Odsłoniwszy lampę, ustawiła ją w niszy i zaczęła rozpakowywać worek.

Wreszcie wyjęła ostatni słoik, słomką umazaną w sadzy narysowała na nim to, co zawierał, i cofnęła się, by rzucić okiem na swoją spiżarnię. Pracowała nad nią ciężko od miesiąca i sama dziwiła się swoją śmiałością w plądrowaniu. Potrzebowała jeszcze tylko worka z suszonymi owocami, który zauważyła w czasie dzisiejszego wypadu, i będzie mogła przetrwać zimę, nie narażając się na schwytanie. Tak, potrzebowała owoców: ich brak

naraziłby ją na skurcze albo i co gorszego, a przecież nie mogła zachorować, nie mając nikogo, kto by się nią zajął. Zaplanowała wszystko dokładnie, tak by móc pozostać samą: była pewna, że w zamku nie został już nikt, komu mogłaby zaufać.

Długo i cierpliwie szukała miejsca na swoją kryjówkę. Ta mnisia cela, ukryta w głębi jednej z dawno nieużywanych części zamku, okazała się doskonała. Po niezliczonych wypadach do kuchni zamieniła się w spiżarnię, której pozazdrościłby jej niejeden pan umęczonego Erkynlandu. Kilka kondygnacji wyżej znalazła też inny opuszczony pokój z małym okienkiem tuż nad ziemią. Obok znajdował się wylot jednej z kamiennych rynien. Rachel i tak miała już w swoim pokoju beczkę pełną pitnej wody, ale dopóki padał śnieg i deszcz, mogła napełniać wiadro z rynny, nie naruszając cennych jej zapasów.

Znalazła też kilka ubrań, ciepłe koce, słomiany siennik, a nawet krzesło – i to nie byle jakie, z oparciem! Nazbierała drewna do malutkiego kominka i tyle słoików z marynowanymi warzywami i mięsem oraz zawiniętych bochenków spieczonego chleba, że z trudem przeciskała się od drzwi do łóżka. Ale warto było się wysilić. Teraz wiedziała, że może przetrwać w swoim pokoju znaczną część roku. Nie potrafiła powiedzieć, co może się wydarzyć do czasu, kiedy skończą się jej zapasy, co może zmusić ją do tego, by wyszła ze swej nory na światło dzienne, ale o to nie miała już sił się martwić. Będzie mieszkała w kryjówce bezpiecznie, będzie sprzątała ją i czekała. Już w dzieciństwie wbito jej do głowy tę zasadę: Rób, co możesz. Resztę powierz Bogu.

Dużo teraz rozmyślała o swojej młodości. Ciągła samotność i życie w ukryciu zmuszały ją do tego, by często błądzić myślą w przeszłości w poszukiwaniu radości i pociechy. Przypominała sobie rzeczy – jak święto Aedonmansy, kiedy niepokoiła się, że jej ojciec zaginął w śnieżycy, albo

słomianą lalkę, którą zrobiła dla niej jej siostra – o których nie myślała od lat. Wspomnienia, niczym marynaty pływające w słonawej ciemności słoików, czekały tylko, by je znowu wyciągnąć.

Rachel przesunęła nieco do tyłu ostatni ze słoików, tak by wszystkie stały w równym rzędzie. Zamek może się rozpaść, ale tutaj, w jej królestwie będzie panował porządek!

„Jeszcze tylko jedna wyprawa – pomyślała. – Potem już nie będę musiała się bać. Wtedy trochę odpocznę”.

PRZEŁOŻONA POKOJÓWEK DOTARŁA NA GÓRĘ SCHODÓW i miała już otworzyć drzwi, gdy nagle ogarnęła ją fala przeraźliwego zimna. Po drugiej stronie drzwi rozległy się kroki, słyszała wyraźnie stłumione stukanie podobne do wody kapiącej na kamienną posadzkę. Ktoś nadchodził! Złapią ją!

Serce biło jej tak szybko, że wydało się, iż wyskoczy z klatki piersiowej. Ogarnęło ją straszliwe odrętwienie.

„Ruszaj się, idiotko, ruszaj!”

Kroki stawały się coraz głośniejsze. Wreszcie cofnęła dłoń i stwierdziwszy, że jednak może się ruszać, zeszła o stopień niżej. Rozglądając się dookoła, zastanawiała się, dokąd uciec. Znalazła się w pułapce!

Ruszyła z powrotem w dół po śliskich stopniach. W miejscu, gdzie schody skręcały, znajdował się podest bardzo podobny do tego, na którym znalazła swój nowy dom. Tutaj także wisiał zakurzony i postrzępiony arras. Pociągnęła mocno, kiedy poczuła opór ciężkiej, zakurzonej tkaniny. Nie łudziła się, że i za tym gobelinem znajdzie drzwi, ale przynajmniej będzie mogła przycisnąć się do ściany w nadziei, że osoba, która właśnie otwierała drzwi powyżej, jest krótkowzroczna albo się spieszy.

A jednak były tam drzwi! Rachel pomyślała, że pewnie każdy gobelin w zamku skrywał ukryte przejście. Nacisnęła na klamkę.

– Och, Aedonie na Drzewie – wyszeptała. – Pewnie zawiasy zaskrzypią. – Ale zawiasy nie wydały najmniejszego odgłosu i drzwi otworzyły się cicho, podczas gdy zawiasy górnego wejścia zaskrzypiały przeciągle. Odgłos kroków stawał się coraz głośniejszy, w miarę jak zbliżały się po schodach. Rachel przecisnęła się przed drzwi i pociągnęła je za sobą, lecz te nie domknęły się, pozostawiając szparę na szerokość dłoni.

Rachel spojrzała w górę, zastanawiając się, czy nie odważyć się odsłonić lampę, ale z ulgą zauważyła, że trochę światła daje płonąca na schodach pochodnia. Przemogła się i zaczęła szukać przyczyny, choć serce waliło jej jak młot, a przed oczyma migały czarne płatki. Tam! Drzwi przycięły górną część arrasu, ale zbyt wysoko, by mogła dosięgnąć. Chwyciła gruby, zakurzony gobelin, by nim potrząsnąć, lecz kroki rozbrzmiewały już prawie na podeście. Rachel cofnęła się za szczelinę uchylonych drzwi i wstrzymała oddech.

W miarę jak kroki się zbliżały, coraz bardziej czuła ogarniające ją zimno – przenikający do szpiku kości chłód, jakby wyszła z ciepłego pokoju na owiany zimowym wiatrem dziedziniec. Czuła, że nie potrafi opanować drżenia. Przez szparę w drzwiach dostrzegła dwie ubrane na czarno postacie. Przez chwilę słyszała cichy szept ich rozmowy, która jednak nagle ustała. Jedna z nich odwróciła się, tak że Rachel dostrzegła jej bladą twarz. Nogi ugięły się pod nią. To było jedno z tych czarodziejskich stworzeń zwanych Białymi Lisami! Po chwili postać znowu się odwróciła i zaczęła mówić coś do swojego towarzysza niskim, lecz dziwnie śpiewnym głosem, a potem spojrzała w górę schodów, którymi nadeszli. W górze rozległ się stukot innych butów.

„Jest ich więcej!”

Rachel zaczęła się cofać powoli, chociaż bała się śmiertelnie, że może spowodować hałas. Modląc się, by postacie nie zauważyły uchylonych drzwi, Rachel nieustannie macała za sobą dłonią w poszukiwaniu ściany. Cofnęła się już kilkanaście kroków, tak że szpara w drzwiach była tylko żółtawą kreską, lecz wciąż nie mogła namacać ściany. Wreszcie zatrzymała się i odwróciła, przerażona myślą, że w każdej chwili może wejść na coś lub coś przewrócić.

Zorientowała się, że to nie jest pokój. Stała u wylotu korytarza, który odchodził w ciemność.

Zastanawiała się. Nie było sensu stać tutaj, mając tuż za plecami tamte istoty. Nie można się było spodziewać jakiegoś zagłębienia w kamiennych ścianach korytarza, za to mogło się zdarzyć, że wyda jakiś nieoczekiwany odgłos albo nawet zemdleje i upadnie na podłogę, robiąc hałas. Kto wie, jak długo postacie miały zamiar stać tam i szczebiotać jak dwa ptaki na gałęzi. Kiedy nadejdą następni, może nawet wejdą do tego korytarza! Jeśli teraz pójdzie, to przynajmniej spróbuje znaleźć lepszą kryjówkę albo wyjście na zewnątrz.

Rachel ruszyła wolno korytarzem, przyciskając jedną dłoń do ściany – czuła pod palcami ohydne, oślizłe stworzenia – a w drugiej trzymała przed sobą zaciemnioną latarnię, uważając, by nie uderzyć nią o kamień. Kiedy korytarz skręcił, cieniutka kreska światła z uchylonych drzwi zniknęła i Rachel pogrążyła się w całkowitej ciemności. Uchyliła ostrożnie osłonę latarni, tak by jeden jej promyk padł na podłogę przed nią, i znowu ruszyła wolno przed siebie.

RACHEL UNIOSŁA LAMPĘ WYSOKO i wytężyła wzrok, wpatrując się w jednostajną ciemność poza kręgiem światła. Czy ten labirynt nie miał końca? Przedtem wydawało jej się, że zna Hayholt bardzo dobrze, ale

ostatnie tygodnie przyniosły wiele odkryć. Okazało się, że pod piwnicami, które stanowiły kres jej panowania, znajdował się nieomal drugi zamek. Czy Simon wiedział o tych miejscach?

Wspomnienie chłopca zawsze było bolesne. Pokiwała głową i poczłapała ciężko dalej. Jak dotąd nie słyszała, by ktoś szedł za nią; odpoczęła już trochę i nie widziała sensu, by stać tam i czekać nie wiadomo na co.

Ale problem pozostał: jeśli nie odważy się wrócić, to co zrobi? Przestała już wierzyć, że znajdzie drogę w plątaninie zakrętów. Co będzie, jeśli skręci nie tam, gdzie trzeba, i pozostanie w korytarzach na zawsze...?

„Głupia. Wystarczy, żebyś trzymała się tego korytarza, a jeśli już musisz skręcić, to zaznacz zakręt. Wtedy będziesz mogła wrócić do schodów”.

Prychnęła zniecierpliwiona; był to ten sam głos, który doprowadzał do łez niejedną nową pokojówkę. Rachel zawsze była za dyscypliną, nawet jeśli sama miała się jej poddać.

„Nie ma czasu na głupoty”.

A jednak czuła się dziwnie, wędrując przez te opuszczone, ciągnące się między światami korytarze. Przypominały trochę Miejsce Oczekiwania, o którym mówił ojciec Dreosan, miejsce między Niebem a Piekłem, gdzie zmarłe dusze oczekiwały na sąd, gdzie pozostawały nie wiadomo jak długo, kiedy nie były jeszcze gotowe, by wejść do pierwszego, ani dostatecznie złe, by wstąpić do drugiego. Rachel nigdy nie podobała się ta myśl: zawsze lubiła jasne i klarowne podziały. Postępujesz źle, więc będziesz potępiony i zginiesz w płomieniach. Przestrzegasz aedonickich zasad i prowadzisz czyste życie, pofruniesz prosto do Niebios i będziesz tam śpiewał oraz odpoczywał wśród wiecznych błękitów. To miejsce pośrednie, o którym

wspominał duchowny, pozostawało dla niej nieprzyjemnie tajemnicze. Bóg, którego wielbiła Rachel, nie powinien urządzać świata w ten sposób.

Światło lampy padło na ścianę przed nią; korytarz doprowadził ją do innego, prostopadłego, co oznaczało, że jeśli chce iść dalej, będzie musiała skręcić w prawo lub w lewo. Zastanawiała się. Musiała zdecydować, czy opuścić główny korytarz. Nie podobała jej się ta myśl. Nie była pewna, czy odważy się wrócić tą samą drogą. Spodziewała się, że nie uszła daleko od miejsca, w którym zeszła ze schodów.

Wspomnienie szepcących postaci o białych twarzach, które zbierały się przy schodach, pomogło jej podjąć decyzję.

Umazała palec w sadzy i wspięła się, by zrobić znak na ścianie po swej lewej ręce. Posłuży jej za wskazówkę w drodze powrotnej. Po chwili skręciła niechętnie w prawo.

Korytarz wił się w nieskończoność, czasem przecinały go inne przejścia, czasem rozszerzał się, tworząc pozbawione okien małe galerie, puste niczym splądrowane grobowce. Rachel zostawiała znak przy każdym zakręcie. Zaczynała się już martwić o lampę – bała się, że skończy się oliwa, jeśli będzie szła dalej, zamiast wracać – gdy nagle korytarz doprowadził ją do starych drzwi.

Nie było na nich żadnych znaków, nie miały też zamknięcia. Wiekowe drewno było wypaczone i tak poplamione wodą, że drzwi przypominały skorupę żółwia. Ogromne zawiasy wykonane z kawałów surowego metalu przymocowane były równie prymitywnymi gwoździami. Rachel dokładnie zbadała podłogę, by się upewnić, że nie ma na niej innych świeżych śladów poza jej własnymi, po czym zrobiła znak Drzewa i pociągnęła za prostą klamkę. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem, lecz tylko trochę, gdyż były widocznie zablokowane gromadzącym się od wieków kurzem i gruzem.

Skrywały one kolejną ciemność, lecz jej mroki rozświetlał nieco czerwonawy blask.

„To musi być Piekło! – pomyślała. – Wyszłam z Miejsca Oczekiwania wprost do Piekła! – Ale zaraz upomniała samą siebie: – Elysio, Matko Boża! Głupia starucho, przecież jeszcze nie umarłaś! Bądź rozsądna!” – Przeszła przez próg.

Korytarz po drugiej stronie drzwi był inny od tych, którymi szła dotąd. Tam ściany zbudowano z równo ociosanego kamienia, tutaj była to surowa skała. Na nagiej ścianie drżał czerwonawy blask światła, które wydawało się dochodzić z dalszej części korytarza po lewej stronie, jakby ktoś za zakrętem rozpalił ognisko.

Rachel miała już podejść kilka kroków w stronę źródła światła, gdy nagle usłyszała jakiś odgłos dobiegający z innego korytarza po prawej stronie. Szybko cofnęła się za drzwi, lecz te nie dały się zamknąć. Wcisnęła się w ocieniony kąt i wstrzymała oddech.

To coś, co słyszała, nie poruszało się szybko. Rachel skuliła się jeszcze bardziej, słysząc coraz wyraźniej delikatne drapanie, ale jednocześnie poczuła wzbierającą w niej złość. Żeby ona, przełożona pokojówek, musiała chować się po dziurach we własnym domu przed jakimiś... jakimiś stworzeniami! Spróbowała uspokoić bijące szybko serce i przypomniała sobie moment, kiedy zaatakowała Pryratesa, uczucie piekielnego podniecenia, dziwnej satysfakcji z tego, że zdobyła się wreszcie na jakiś czyn po wielu miesiącach tępego cierpienia. Ale co teraz? Najsilniejszy cios, na jaki się zdobyła, najwyraźniej nie uczynił najmniejszej szkody czerwonemu duchownemu, jak więc mogła liczyć na to, że zdziała cokolwiek przeciw całej gromadzie demonów? Nie, lepiej będzie pozostać w ukryciu i zachować gniew na chwilę, kiedy będzie potrafiła odpowiednio go spożytkować.

Gdy postać minęła uchylone drzwi, Rachel w pierwszej chwili odetchnęła z ulgą, widząc, że jest to tylko śmiertelnik, mężczyzna o ciemnych włosach, ledwie widoczny na tle czerwonawej ściany. Lecz zaraz powróciła ciekawość podsycana wściekłością, jaką niedawno czuła. Kto był tak swobodny, by wędrować po tych ciemnych labiryntach?

Wysunęła głowę zza ściany, by spojrzeć na oddalającą się postać. Mężczyzna szedł bardzo wolno, przesuwając dłonią po ścianie; idąc, odchylił głowę do tyłu i kiwał nią z boku na bok, jakby czytał coś na suficie.

„Litościwy Aedonie, on jest ślepy!” – zdała sobie sprawę Rachel. Ten niepewny krok, badające dłonie – tak, nie miała wątpliwości. Chwilę później wiedziała już, kim jest obcy. Wcisnęła się gwałtownie w ciemny kąt.

„Guthwulf! Ten potwór! Co on tutaj robi?!” – Przez chwilę pomyślała, że zbóje Eliasa wciąż jej szukają, przeczesując każdy kąt zamku. Tylko dlaczego miałby to robić ślepiec? I kiedy on oślepł?

Wciąż czuła niepokój, kiedy powracała myślą do tamtego wydarzenia. Przecież wtedy na balkonie z Eliasem był Guthwulf, z pewnością. To on zwarł się w uścisku z alchemikiem, gdy ten, z nożem Rachel w plecach, chciał zaatakować leżącą na ziemi ochmistrzynię. Dlaczego to zrobił? Wszyscy wiedzieli, że hrabia Utanyeat jest Namiestnikiem Wielkiego Króla, najbardziej bezlitosnym z jego sług. Czy on uratował jej życie?

Rachel poczuła, że kręci jej się w głowie. Znowu wyjrzała przez uchylone drzwi, lecz hrabia Guthwulf zniknął już za zakrętem, zdążając w kierunku czerwonego światła. Nagle od ciemności oderwał się malutki cień i przemykając obok jej stóp, pomknął za Guthwulfem. Kot? Szary kot?

Świat korytarzy pod zamkiem coraz bardziej przypominał jej sen pełen zagadek. Odsłoniła latarnię i poszła z powrotem, w kierunku, z którego

przyszła, pozostawiając za sobą uchylone drzwi. Na razie nie chciała mieć nic do czynienia z Guthwulfem, ślepym czy widzącym. Postanowiła wrócić po swoich znakach do schodów w nadziei, że Białe Lisy odeszły, zajęte swoimi piekielnymi sprawami. Miała dużo do przemyślenia – za dużo. Pragnęła tylko bezpiecznie wrócić do swojego sanktuarium i zasnąć.

KIEDY GUTHWULF POSUWAŁ SIĘ WOLNO DO PRZODU, w jego głowie rozbrzmiewała kusząca, trująca muzyka, muzyka, która przemawiała do niego, wzywała go, ale także napawała strachem jak nic, czego dotąd doświadczył.

Przez długi czas niekończącej się ciemności dni i nocy słyszał tę pieśń tylko w snach, lecz tego dnia usłyszał ją wreszcie wtedy, gdy nie spał; wzywała go z głębin, wypędzając nawet z jego umysłu szepcące głosy, które go nie opuszczały. Był to głos szarego miecza, który musiał znajdować się gdzieś niedaleko.

Jakaś część Guthwulfa mówiła mu, że przecież miecz jest tylko rzeczą, martwym kawałkiem metalu, który wisiał u boku Króla, i ostatnią rzeczą, jakiej powinien pragnąć, było odszukanie go, gdyż tam, gdzie był miecz, był też i Elias. Guthwulf z pewnością nie chciał dać się złapać – nie dbał o swoje bezpieczeństwo, ale wolał raczej umrzeć w ciemnościach pod zamkiem, niż pozwolić, by ci, którzy znali go wcześniej, zobaczyli, jakim stał się wrakiem – lecz nie potrafił uwolnić się od obecności miecza. Jego życie sprowadzało się teraz niemal wyłącznie do odgłosów i cieni, zimnego kamienia, upiornych głosów i szurania własnych butów. Ale miecz żył swoim życiem, silniejszym od jego własnego. Chciał być blisko niego.

„Nie dam się złapać – wmawiał sobie Guthwulf. – Będę sprytny i ostrożny”. – Chciał tylko zbliżyć się na tyle, by czuć śpiewną siłę miecza...

Jego myśli przerwało coś, co otarło się o jego kostki – kot, przyjaciel-cień. Schylił się, by pogłaskać zwierzę, i przesunął palcami po chudym grzbiecie, wyczuwając drobne mięśnie. Przyszedł z nim być może po to, żeby ustrzec go przed kłopotami. Prawie się uśmiechnął.

Kiedy się wyprostował, po jego policzkach spłynęły krople potu. Powietrze stawało się coraz cieplejsze. Zaczynał powoli wierzyć, że po niezliczonych schodach i pochyłościach, które pokonał, wreszcie zbliżał się do powierzchni, tylko czy to możliwe, by rzeczy tak bardzo się zmieniły od czasu, kiedy zszedł na dół? Czy zima odeszła i nastało ciepłe lato? Nie wydawało mu się, by minęło aż tak dużo czasu, ale wieczna ciemność była zdradliwa. Ślepy Guthwulf nauczył się już tego, pozostając pod zamkiem. A co do pogody... no cóż, w tak niezwykłych i złych czasach wszystko było możliwe.

Teraz kamienna ściana pod jego palcami stawała się coraz cieplejsza. Gdzie on zdążał? Zaraz odpędził tę myśl. Gdziekolwiek by to było, tam znajdował się miecz. Miecz, który go wzywał. Powinien iść jeszcze trochę dalej...

„Tamta chwila, kiedy Smutek zaśpiewał w nim, wypełniając go...”

W momencie kiedy Elias zmusił go, aby dotknął miecza, Guthwulfowi wydało się, że stał się jego częścią. Dziwna muzyka zawładnęła nim. Wtedy choć przez chwilę stanowili jedność.

„Smutek potrzebował swoich braci. Razem śpiewaliby jeszcze głośniej”.

Jeszcze w sali tronowej, choć przerażało go to, Guthwulf pragnął tego zjednoczenia. Teraz pragnienie powróciło. Bez względu na wszystko chciał poczuć pieśń, która nie dawała mu spokoju. Wiedział, że jest to rodzaj szaleństwa, ale nie miał siły oprzeć się temu. Natomiast cały swój spryt

i opanowanie skupił na tym, by zbliżyć się do miecza, nie dając się złapać. Teraz był już tak blisko...

Powietrze w wąskim korytarzu było duszne. Guthwulf zatrzymał się i pomacał wokoło siebie. Kot odszedł, pewnie w miejsce bardziej sprzyjające jego łapom. Kiedy mężczyzna znowu przyłożył dłoń do ściany, macał tylko przez chwilę i zaraz cofnął rękę. Gdzieś przed nim rozbrzmiewał słaby, lecz nieustanny odgłos, ledwie słyszalny ryk. Co tam mogło być?

Kiedyś pod zamkiem miał swoje legowisko smok, czerwona bestia Shurakai, której śmierć rozsławiła Prestera Johna, a kości posłużyły za tron w Hayholt; bestia, której ognisty oddech zabił dwóch królów i wielu mieszkańców zamku. Czy możliwe, by żył tam smok, jakiś pomiot Shurakai, który dorastał w ciemnościach? Jeśli tak jest, to niech go zabije, niech zamieni w popiół. Guthwulf nie dbał już o takie rzeczy. Pragnął jedynie zanurzyć się w pieśni szarego miecza.

Korytarz prowadził teraz stromo w górę, tak że Guthwulf musiał się pochylić, by iść dalej. Żar stał się trudny do zniesienia: książę wyobrażał sobie, że jego skóra ciemnieje i kurczy się, podobnie jak skóra pieczonego latem prosiaka. W miarę jak piął się w górę, ryk stawał się coraz głośniejszy, przypominał głuche dudnienie grzmotu, wzburzonego morza albo niespokojny oddech śpiącego smoka. A potem odgłos zaczął się zmieniać. Guthwulf zdał sobie sprawę, że korytarz rozszerza się. Kiedy skręcił za róg, instynkt ślepca powiedział mu, że teraz przejście nie tylko się rozszerza, lecz także staje się coraz wyższe. Uderzył go gorący podmuch. Głuchy grzmot odbił się dziwnym echem.

Uszedł jeszcze kilka kroków i znał już tego przyczynę. Za miejscem, do którego doszedł, znajdowała się o wiele większa komnata, może tak rozległa jak kopuła katedry świętego Sutrina w Erchesterze. Ognisty dół?

Czy w jakiś sposób dotarł do legendarnego Jeziora Sprawiedliwości, gdzie wrzucano grzeszników w ogniste głębiny? Czy w tym kamiennym królestwie oczekiwał go sam Bóg? Ostatnio Guthwulf nie pamiętał już wiele ze swego życia przed tym, jak oślepł, lecz to, co jeszcze pozostało mu w pamięci, wydało mu się teraz głupie i bez znaczenia. Jeśli istniało takie miejsce, taka kara, to niewątpliwie zasłużył na nią, ale żałował, że nigdy nie mógłby już poczuć magii szarego miecza.

Guthwulf posuwał się teraz małymi kroczkami, ostrożnie stawiając stopy. Prawie całą swoją uwagę skupił na sprawdzaniu tego, co ma przed sobą. Wreszcie jego noga nie znalazła gruntu. Zatrzymał się i przyklęknął, macając palcami rozgrzaną podłogę. Miał przed sobą kamienną krawędź, która ciągnęła się na boki dalej, niż mógł sięgnąć ramionami. Za nią była już tylko pustka wypełniona palącym wiatrem.

Stał, kołysząc się z nogi na nogę, gdyż żar przenikał podeszwy jego butów, i słuchał ryku. Wyodrębnił też inne odgłosy. Jeden przypominał dźwięk uderzających o siebie ogromnych kawałów metalu; doszły go też ludzkie głosy.

Odgłos uderzającego o siebie metalu powtórzył się i przywołał z jego pamięci dawne wspomnienie. Potężny grzmot był odgłosem otwierania i zamykania ogromnych drzwi zamkowej odlewni. Ludzie podsycali ogień – widział to wielokrotnie, kiedy przeprowadzał inspekcję odlewni jako Namiestnik Króla. Pewnie znalazł się u wylotu jednego z tuneli znajdujących się prawie dokładnie nad olbrzymim piecem. Nic dziwnego, że wydawało mu się, że zaraz zapalą mu się włosy!

Ale szary miecz był tutaj. Wiedział o tym równie dobrze jak mysz, która wyczuwa nadlatującą sowę. Tam w dole musi być Elias z mieczem u boku.

Guthwulf cofnął się poza krawędź, zastanawiając się pospiesznie, jak mógłby zejść na dół niepostrzeżenie.

Musiał iść dalej, gdyż kiedy stał w jednym miejscu, żar parzył mu stopy. Szedł, przeklinając. Nie było sposobu, by się zbliżyć. Może chodzić tym tunelem całymi dniami, zanim znajdzie drogę na dół, a Elias nie będzie tam przecież w nieskończoność. Lecz nie mógł też zaprzestać poszukiwań. Miecz wzywał go i nie dbał o to, co ich dzieli.

Guthwulf poszedł korytarzem potykając się i oddalając od ognia, chociaż miecz wołał, by zawrócił, by skoczył w ogniste zapomnienie.

– Dobry Boże, dlaczego mi to uczyniłeś? – zawołał ślepiec, lecz jego głos natychmiast utonął w ryku pieca. – Dlaczego rzuciłeś na mnie to przekleństwo?

Łzy ulatywały parą z jego twarzy, gdy tylko się pojawiły.

INCH SKŁONIŁ SIĘ PRZED KRÓLEM ELIASEM. W migającym blasku odlewni ogromny mężczyzna przypominał małpę z południowych lasów, małpę przebraną w ludzki strój, co i tak nie bardzo upodabniało ją do człowieka. Pozostali pracownicy padli na podłogę, ujrzawszy Króla; wyglądało to tak, jakby Król potrafił zabijać ludzi samą swoją obecnością.

– Pracujemy, Wasza Wysokość, pracujemy – mruknął Inch. – Żmudna praca.

– Pracujecie? – przemówił Elias oschle. Jego blada twarz pozostawała sucha, choć przełożony hutników ociekał potem. – Oczywiście, że pracujecie. Ale nie skończyliście zadania, które wam wyznaczyłem, i jeśli nie przedstawisz mi natychmiast przyczyny, każę wygarbować twoją śmierdzącą skórę i wysuszę ją nad piecem.

Olbrzym opadł na kolana.

– Pracujemy najszybciej, jak potrafimy.

– Ale nie dość szybko. – Król błądził wzrokiem po ciemnym suficie jaskini.

– Trudno jest tak pracować, panie. Mamy tylko częściowe plany. Czasem musimy przerabiać niektóre elementy po otrzymaniu planów kolejnej części. – Inch podniósł wzrok; jego jedyne oko bacznie obserwowało reakcję Króla.

– Co to znaczy „częściowe plany”? – Coś poruszyło się u wylotu tunelu w górze, nad wielkim piecem. Król wytężył wzrok, lecz gorące powietrze i wznoszący się dym zniekształciły to coś białego, co widział przez chwilę – twarz?

– Wasza Wysokość! – ktoś zawołał. – Tutaj jesteś!

Elias odwrócił się wolno w stronę ubranej w purpurową szatę postaci. Uniósł brwi nieco zaskoczony, ale nic nie powiedział.

Pryrates zbliżył się szybko.

– Zdziwiłem się, widząc, że odszedłeś. – Jego ochrypły głos zabrzmiał bardziej przychylnie niż zwykle. – Czy mogę ci towarzyszyć?

– Nie musisz być przy mnie przez cały czas – odpowiedział stanowczo Elias. – Pewne rzeczy mogę sam wykonywać.

– Ale ostatnio nie czułeś się dobrze, Wasza Wysokość. – Pryrates uniósł dłoń, powiewając szerokim rękawem. Przez moment wydawało się, że chwyci Eliasa za ramię i poprowadzi z powrotem, lecz on przyłożył dłoń do swojej głowy i potarł łysą czaszkę. – Ze względu na twoją niemoc obawiałem się, że możesz się potknąć na jednym z tych stromych stopni.

Elias spojrzał na niego i zmrużył oczy, tak że stały się zaledwie czarnymi szparkami.

– Nie jestem starcem, kimś podobnym do mojego ojca w ostatnich latach jego życia. – Spojrzał na klęczącego Incha i zaraz ponownie

skierował wzrok na Pryratesa. – Ten dureń twierdzi, że plany obrony zamku są trudne.

Alchemik rzucił Inchowi piorunujące spojrzenie.

– Kłamie, Wasza Wysokość. Sam je zatwierdziłeś. Wiesz, że tak nie jest.

– Ale dostajemy je w częściach. – Inch mówił wolno niskim głosem, w którym wyraźnie zabrzmiał z trudem powstrzymywany gniew.

– Nie sprzeczaj się w obecności Króla! – warknął Pryrates.

– Mówię prawdę!

– Cicho! – Elias wyprostował się. Jego chuda dłoń opadła na rękojeść szarego miecza. – Ma być cisza! – krzyknął. – O czym on mówi? Dlaczego dostaje tylko część planów?

Pryrates wziął głęboki oddech.

– Dla zachowania tajemnicy, Królu Eliasie. Wiesz, że kilkunastu robotników uciekło. Dlatego nikomu nie pokazujemy całych planów obrony zamku. Znając je, z pewnością pobiegliby natychmiast do Josui.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której Pryrates wpatrywał się w Króla. Wydawało się, że powietrze w odlewni zmieniło się nieco, jakby zgęstniało, a ryk ognia dziwnie przycichł. Skaczące płomienie rzucały długie cienie.

Elias jakby nagle stracił zainteresowanie sprawą.

– Tak, chyba tak. – Jego spojrzenie znowu powędrowało do miejsca w ścianie, gdzie wydawało mu się, że dostrzegł ruch. – Przyślę tutaj kilkunastu ludzi. Znajdzie się jeszcze tylu najemników, których wygląd mnie nie interesuje. – Odwrócił się do nadzorcy. – Wtedy nie będziesz już miał wymówki.

– Tak, Wasza Wysokość. – Ogromnym cielskiem Incha wstrząsnął dreszcz.

– Dobrze. Wiesz, na kiedy chcę mieć zrobione konstrukcje ścian i bramy. *Zrobisz* je na czas.

– Tak, Wasza Wysokość.

Król odwrócił się do Pryratesa.

– Widzę, że sam Król musi doglądać pewnych rzeczy.

Duchowny skłonił łysą głowę.

– Panie, jesteś niezastąpiony.

– Ale też trochę zmęczony, Pryratesie. Jest chyba tak, jak mówisz, rzeczywiście nie czuję się najlepiej.

– Tak, Wasza Wysokość. Może napój leczniczy, a potem trochę snu? – Teraz Pryrates rzeczywiście wsunął dłoń pod łokieć Eliasa i skierował go delikatnie w stronę schodów prowadzących do zamku. Król poszedł z nim uległy jak dziecko.

– Tak, chyba położę się trochę, ale nie wiem, czy zasnę. – Raz jeszcze spojrzał na ścianę ponad piecem i potrząsnął sennie głową.

– Tak, panie, to wspaniały pomysł. Niech nadzorca zajmie się swoją pracą. – Pryrates rzucił znaczące spojrzenie Inchowi, który wytrzymał jego wzrok. Czerwony duchowny odwrócił się z kamiennym wyrazem twarzy i wyprowadził Króla z pieczary.

Leżący przez cały czas plackiem pracownicy zaczęli powoli wstawać; byli zbyt poobijani i zmęczeni, by choć szeptem skomentować tak niezwykłe wydarzenie. Wracali wolno do swoich obowiązków, podczas gdy Inch klęczał jeszcze jakiś czas, z twarzą równie pozbawioną wyrazu jak twarz Pryratesa.

RACHEL UWAŻNIE WRACAŁA KORYTARZEM i odnalazła podest, na którym się ukryła. Odetchnęła z ulgą, kiedy wyjrzawszy na schody, nikogo nie

zobaczyła. Białe Lisy odeszły.

„Pewnie poszły do jakiejś diabelskiej roboty”. – Zrobiła znak Drzewa.

Odsunęła z czoła kosmyk siwiejących włosów. Była wyczerpana nie tylko wędrówką przez korytarz – wydawało jej się, że szła bez końca – lecz także strachem przed odkryciem. Nie była już dziewczynką i nie mogła sobie pozwolić na to, by serce biło jej tak jak dzisiaj: tak nie płynie krew rozgrzana uczciwą pracą.

„Starzejesz się, kobieto”.

Rachel nie była tak głupia, by zapomnieć o ostrożności, dlatego schodziła po schodach cicho i powoli, za każdym zakrętem sprawdzała drogę, chowając za sobą lampę, by jej nie zdradziła. Dlatego zbyt późno dostrzegła brata Hengfiska, królewskiego podczaszego na schodach poniżej, kiedy nieomal wpadła na niego w cieniu między dwoma płonącymi na ścianie pochodniami. Zaskoczenie jej było tak wielkie, że krzyknęła przestraszona i upuściła latarnię. Ta potoczyła się z hukiem na podest – miejsce jej kryjówki! – i zatrzymała się tuż przy obutej w sandał nodze mnicha, wylewając na posadzkę płonącą oliwę. Mnich o wybałuszonych oczach popatrzył ze spokojem na płomienie tuż przy jego stopie, po czym podniósł wzrok na Rachel i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Miłościwa Rhiappo – jęknęła Rachel. – Boże, miej litość! – Zaczęła wycofywać się po schodach, ale mnich poruszał się szybko jak kot; w jednej chwili był przy niej i zagrodził jej drogę, wciąż wykrzywiając twarz w okropnym uśmiechu. Jego oczy przypominały puste stawy.

Rachel cofnęła się kilka kroków w dół w kierunku podestu. Mnich posuwał się za nią w milczeniu. Kiedy Rachel zatrzymała się, on też się zatrzymał. Kiedy spróbowała iść szybciej, on wyprzedził ją, zmuszając, by posuwała się przyciśnięta do ściany, jeśli nie chciała go dotknąć. Biło od

niego pulsujące ciepło, cuchnął dziwnie, jakby gorącym metalem i gnijącymi roślinami.

Rachel rozpłakała się. Niezdolna wykonać ani jednego kroku, Rachel Smok osunęła się i kucnęła pod ścianą.

– Błogosławiona Elysio, Matko Boża – modliła się głośno – co w swej czystości zrodziłaś Odkupiciela, miej litość nad tym grzesznikiem. – Zacisnęła mocno oczy i zrobiła znak Drzewa. – Elysio wyniesiona ponad wszystkich śmiertelników, Królowo Niebios i Morza, wstaw się za proszącą, aby ten grzesznik doświadczył miłosierdzia.

Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że nie pamięta dalszych słów. Skuliła się, próbując je sobie przypomnieć – a jej serce biło tak szybko – i czekała, aż ta istota dotknie jej swymi nieczystymi rękami. Lecz kiedy minęła długa chwila i nic się nie stało, jej ciekawość wzięła górę nawet nad strachem i Rachel otworzyła oczy.

Hengfisk wciąż stał przed nią, ale uśmiech zniknął z jego twarzy. Mnich, oparty o ścianę, szarpał swoje szaty, jakby zdziwił go fakt, że ma je na sobie. Spojrzał na nią. Coś się zmieniło. Był teraz inny – może bardziej mroczny, niepewny, lecz bardziej ludzki niż istota, która stała przed nią kilka chwil temu.

Hengfisk spojrzał w dół na kałużę płonącej oliwy, na błękitne płomienie liżące nieomal jego stopy i odskoczył gwałtownie, zaskoczony. Płomienie zadrżały. Mnich poruszał ustami, lecz początkowo nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

– ...*Vad es...?* – wydusił z siebie. – ...*Uf nammen Hott, vad es...?*

Wciąż wpatrywał się w Rachel spojrzeniem pełnym zdumienia, lecz po kilku chwilach wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać. Stała się bardziej napięta, jakby niewidzialna dłoń chwyciła go z tyłu za głowę. Zacisnął usta i patrzył pustym spojrzeniem. Rachel krzyknęła cicho, przestraszona.

Działo się coś, czego nie rozumiała, wewnątrz tego człowieka toczyła się jakaś walka, a ona mogła tylko przyglądać się przerażona.

Hengfisk potrząsnął głową jak pies wynurzający się z wody, jeszcze raz rzucił okiem na Rachel, a potem rozejrzał się na boki. Wyraz jego twarzy znowu się zmienił: teraz mnich przypominał kogoś uwięzionego pod ogromnym ciężarem. W następnej chwili odwrócił się nagle i poszedł chwiejnie schodami do góry. Słyszała odgłos jego niepewnych kroków oddalających się w ciemność.

Słaniając się na nogach, Rachel podeszła do gobelinu i odsunęła go drżącą dłonią. Otworzyła drzwi po omacku, osunęła się nieomal do środka pomieszczenia i szybko zamknęła za sobą drzwi. Zatrzasnęła zasuwę, zanim legła na materacu i nasunęła koc na głowę – potem leżała, drżąc jakby w gorączce.

PIEŚŃ, KTÓRA ZWABIŁA GO z bezpiecznych podziemi, stawała się coraz bardziej odległa. Guthwulf zaklął cicho. Spóźnił się. Elias odchodził, zabierał szary miecz do swojej sali tronowej, do zakurzonego grobowca pełnego malachitowych postaci i smoczych kości. Tam, gdzie rozbrzmiewała muzyka, pozostała tylko pustka, gryząca nicość w jego istocie.

Pozbawiony wszelkiej nadziei wybrał kolejny korytarz, który wydawał się prowadzić w dół; uciekał z powierzchni jak wykopany z ziemi robak. Powstała w nim dziura, przez którą wiał wiatr i przelatywał pył. Był pusty.

Kot powrócił do niego, gdy powietrze bardziej nadawało się do oddychania, a kamienie nie były już tak gorące. Czuł, jak mruczące zwierzę ociera się o jego nogi, lecz nie zatrzymał się, by je pogłaskać: w tej chwili nie miał nic do zaoferowania. Miecz śpiewał w nim, a potem odszedł.

Niebawem znowu powrócą głosy idiotów, duchów, głosy pozbawione znaczenia...

Sprawdzając dłonią drogę przed sobą, Guthwulf odchodził w głębiny powoli niczym koło Czasu.

15. Szklane Jezioro

ICH ODGŁOS PRZYPOMINAŁ SZUM WICHRU, ryk byków, trzask ognia mknącego przez równinę. Choć jechali przez drogi nieużywane od wieków, konie mknęły pewnie ukrytymi ścieżkami przez doliny, moczary i lasy. Stare szlaki, po których nikt nie jeździł od kilkunastu pokoleń śmiertelników, zostały otwarte na ten dzień, jakby koło Czasu cofnęło się w swojej koleinie.

Sithowie wyjechali z lata do kraju nękanego zimą, lecz kiedy mknęli przez ogromny las, przez miejsca, nad którymi niegdyś sprawowali władzę – wzgórzyste Maa’sha, porośnięte cedrami Peja’ura, Shisae’ron pełne strumieni i Hekhasor o czarnej glebie – wydawało się, że ziemia pod kopytami ich koni drży niespokojnie, jakby budziła się z zimowego snu. Zdumione ptaki wzlatywały w górę i wisiały w powietrzu niczym trzmiele, spoglądając na mknących Sithów, a wiewiórki nieruchomiały na zmarzniętych gałęziach. Ukryte głęboko w norach niedźwiedzie pomrukiwały pełne wygłodniałego oczekiwania. Nawet światło wydawało się zmieniać po przejeździe Sithów, gdyż z chmur strzeliły słoneczne promienie, zapalając tysiące iskier na śniegu.

Lecz zima mocno trzymała: gdy tylko Sithowie przejechali, znowu zacisnęła swe szpony i las pogrążył się w martwej ciszy.

JEŹDŹCY NIE ZATRZYMYWALI SIĘ NA ODPOCZYNEK, choć wygasł żar zachodzącego słońca, a wśród koron drzew pojawiły się lśniące gwiazdy.

Ich blask wystarczył, by konie znalazły właściwą drogę, choć szlaki, którymi pędziły, porosły mchem stuleci. Konie były śmiertelne, pochodziły z Ziemi, lecz ich jeźdźcy urodzili się w Venyha Do’sae. Kiedy konie Osten Ard biegały po łąkach dzikie i nieujarzmione, nie wiedząc jeszcze, co to ręka i wędzidło, przodkowie rumaków, na których teraz jechali Sithowie, niosły już swoich jeźdźców przeciw olbrzymom albo posłańców na krańce promiennego imperium. Mknęły jak morska bryza, tak gładko, że ponoć Benayha z Kementari pisał swoje wiersze w siodle i ani razu nie zamazał litery. Z mlekiem matki wyssały znajomość dróg, we krwi miały wiedzę, a ich wytrzymałość wydawała się wręcz magiczna. Kiedy więc Sithowie wyjechali w ten niekończący się dzień, wydawało się, że ich rumaki nabierają sił, w miarę jak płynął czas. Słońce rumieniło się za wschodnim horyzontem, a oni wciąż jechali; niezmordowane zwierzęta pędziły niczym rozpędzona fala zmierzająca na skraj lasu.

Jeśli konie nosiły w sobie pradawną krew, to jeźdźcy stanowili żywą historię Osten Ard. Nawet najmłodsi z nich, urodzeni po wypędzeniu z Asu’a, byli świadkami przemijania wielu wieków. Najstarsi zaś pamiętali Tumet’ai wiosną, polany porośnięte ognistymi makami, całe połacie czerwieni otaczającej Jhina-Tsenei, zanim pochłonęło ją morze.

Dawno temu Sithowie odeszli sprzed oczu świata, pogrążeni w smutku, pozostając jedynie we wspomnieniach. Dzisiaj jechali w zbroi strojnej jak pióra ptaka, ich włócznie lśniły niczym zastygłe błyskawice. Śpiewali, gdyż Sithowie czynili to zawsze. Jechali, a dawne szlaki otwierały się przed nimi, leśne polany rozbrzmiewały dudnieniem końskich kopyt po raz pierwszy od czasów, gdy najstarsze drzewa ledwie wyrastały z ziemi. Olbrzym obudził się z wiekowego snu.

Sithowie jechali.

SIMON NIE SPAŁ DOBRZE, chociaż wrócił z bitwy poobijany i straszliwie zmęczony, a potem jeszcze po zachodzie słońca pomagał Freoselowi i innym szukać leżących w błocie strzał – trudno byłoby to robić w ciągu dnia, a co dopiero przy świetle pochodni. Obudził się po północy, czując, jak bolą go mięśnie i kręci mu się w głowie. W obozie panowała cisza. Wiatr przegnał chmury i niebo rozbłysło iskierkami gwiazd.

Nie mogąc zasnąć, wstał i poszedł do ognisk straży, które płonęły na zboczu powyżej wielkiej barykady. Największe z nich paliło się w pobliżu jednego z kamiennych posągów Sithów, przy nim znalazł Binabika i pozostałych – Geloë, ojca Strangyearda, Sludiga i Deornotha; siedzieli wokół księcia i rozmawiali cicho. Josua pił zupę z parującej miski. Simon domyślił się, że jest to pewnie jego pierwszy posiłek tego dnia.

Książę podniósł wzrok, kiedy Simon wszedł w krąg światła.

– Witaj, młody rycerzu – powiedział. – Jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Wypełniłeś zadanie, które ci powierzyłem, tak jak się tego spodziewałem.

Simon skłonił głowę, nie wiedząc, co powiedzieć. Cieszył się z pochwały, ale wciąż miał w pamięci to, co się działo na lodzie. Nie czuł się zbyt szlachetnym.

– Dziękuję, książę Josuo.

Usiadł owinięty w płaszcz i słuchał, jak pozostali omawiają bitwę. Wyczuł, że wszyscy skupiali się na głównym temacie, lecz każde z nich wiedziało to, co on: nie mogli wygrać z Fengbaldem wojny na wyczerpanie. Wróg znacznie przewyższał ich liczebnością. *Sesuad’ra* nie był ufortyfikowanym zamkiem, który mógłby odpierać długie oblężenie; istniało zbyt wiele miejsc, w których atakujący mogli znaleźć oparcie dla stopy. Skoro nie potrafili zatrzymać sił hrabiego na jeziorze, to mogli tylko sprzedać swoje życie możliwie najdrożej.

Kiedy Deornoth z głową obandażowaną paskiem materiału opowiadał o sposobie walki najemnych Thrithingów, których obserwował w czasie bitwy, do ogniska podszedł Freosel. Konstabl wciąż jeszcze miał na sobie zbroję, a jego dłonie pokrywało zaschnięte błoto. Pomimo mrozu na jego czole lśniły krople potu, jakby biegł całą drogę z Nowego Gadrinsett.

– Przychodzę z osady, książę Josuo – przemówił zdyszany. – Zniknął Helfgrim, burmistrz Gadrinsett.

Josua spojrzał na Deornotha, a potem na Geloë.

– Czy ktoś widział, jak odchodził?

– Obserwował bitwę razem z innymi. Nikt nie wie, co się z nim stało.

Książę się zachmurzył.

– Nie podoba mi się to. Mam nadzieję, że nic złego mu się nie stało. – Westchnął i postawił miskę na ziemi. – Musimy spróbować czegoś się dowiedzieć – powiedział, wstając. – Rano nie będzie okazji.

Zza Freosela wysunął się Sludig.

– Za pozwoleniem, książę Josuo – odezwał się. – Nie ma potrzeby, żebyś się tym zajmował. Inni to sprawdzą, a ty odpocznij trochę.

Josua uśmiechnął się.

– Dziękuję ci, Sludigu, ale mam tam też coś innego do zrobienia, więc nie będzie to dla mnie kłopotliwe. Deornoth, Geloë, może pójdziecie ze mną. Ty także, Freoselu. Chciałbym dokończyć rozmowę. – Trącił nogą jedną z kłód w ognisku, po czym otulił się płaszczem i ruszył ścieżką. Ci, których imiona wymienił, poszli za nim, ale Freosel odwrócił się i położył dłoń na ramieniu Simona.

– Sir Seomanie, bezmyślne bzdury gadałem.

Simon nie wiedział, o co mu chodzi, a poza tym poczuł się nieco zmieszany, słysząc ten tytuł w ustach młodego i piastującego ważną funkcję rycerza.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O baśniowym ludzie. – Falshirczyk patrzył na niego poważnie. – Może uważasz, że wyśmiewałem się albo szydziłem. Widzisz, dalej się ich boję, jak większość bogobojnych Aedonitów, ale teraz wiem, że potrafią być wielkim sprzymierzeńcem. Jeśli więc możesz ich sprowadzić, zrób to. Przyda się każda pomoc.

Simon pokręcił głową.

– Ja nie mam nad nimi żadnej mocy, Freoselu. Nie wiesz, jacy oni są.

– Masz rację. Ale jeśli oni są twoimi przyjaciółmi, powiedz im, że znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji. – Odwrócił się i poszedł ścieżką w górę za księciem i pozostałymi.

Siedzący obok Sludig skrzywił się.

– Sprowadź Sithów. Ha! Łatwiej byłoby sprowadzić wiatr.

Simon przytaknął mu.

– Ale potrzebujemy pomocy.

– Chłopcze, jesteś zbyt ufny. Niewiele znaczymy dla Sithów. Nie sądzę, żebyśmy jeszcze spotkali się z Jirikim. – Rimmersman zmarszczył brwi, widząc wyraz twarzy Simona. – A poza tym mamy własne miecze, własne umysły i serca. – Pochylił się do przodu i rozłożył dłonie nad ogniem. – Bóg daje człowiekowi dokładnie tyle, na ile zasłużył, ani mniej, ani więcej. – Po chwili się wyprostował. – Jeśli książę mnie nie potrzebuje, to pójdę poszukać miejsca na spanie. Jutro będzie jeszcze więcej pracy. – Skinął Simonowi, Binabikowi oraz Strangyeardowi i poszedł w dół, w kierunku barykady, pobrzękując łańcuchem pasa.

Simon patrzył za odchodzącym Sludigiem i zastanawiał się, czy ma rację co do Sithów, przygnębiony uczuciem zbliżającej się przegranej, jakie przyniosły słowa Sludiga.

– Rimmersman jest zły. – Archiwista wydawał się zdziwiony własnymi słowami. – To znaczy, nie wiem, prawie go nie znam...

– Chyba masz rację, Strangyeardzie. – Binabik spojrzał na kawałek drewna, w którym rzeźbił. – Niektórzy nie lubią być zależni od innych, szczególnie gdy kiedyś było inaczej. Sludig znowu stał się piechurem, po tym jak wysłano go na wyprawę po miecz. – Troll mówił mądrze, lecz wyraz jego twarzy świadczył o tym, że podziela ból Rimmersmana. – Martwię się, że będzie walczył przepełniony takim uczuciem. Przyjaźnimy się od czasów naszej wyprawy na Północ, ale odkąd przybyliśmy tutaj, wydaje mi się coraz bardziej smutny i ponury.

Zapadła cisza przerywana tylko trzaskiem płomieni.

– Czy on ma rację? – spytał nagle Simon.

Binabik spojrzał na niego pytająco.

– Co masz na myśli? Sithów?

– Nie. On powiedział, że Bóg daje każdemu tyle, na ile zasłużył, ani mniej, ani więcej. – Simon zwrócił się do Strangyearda. – Czy to prawda?

Archiwista odwrócił głowę zmieszany, lecz po chwili spojrzał Simonowi w oczy.

– Nie, Simonie. Nie sądzę, aby tak było. Ale ja także nie wiem, co myśli Bóg.

– Pytam, ponieważ moi przyjaciele, Morgenes i Haestan, z pewnością nie otrzymali tego, na co sobie zasłużyli: jeden zginął w płomieniach, a drugi zmiażdżony maczugą olbrzyma. – Simon nie potrafił ukryć wypełniającej go goryczy.

Binabik otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz widząc, że Strangyeard ma podobny zamiar, powstrzymał się.

– Wierzę, że Bóg ma swoje plany, Simonie. – Archiwista mówił powoli. – Może my ich po prostu nie rozumiemy... a może sam Bóg nie wie do

końca, jak w praktyce zrealizują się Jego zamierzenia.

– Ale duchowni zawsze mówią, że Bóg wie wszystko!

– Może woli zapomnieć o niektórych, bardziej bolesnych rzeczach – odpowiedział cicho Strangyeard. – Gdybyś żył wiecznie, doświadczał każdego bólu zadawanego w świecie, umierał z każdym żołnierzem, płakał z każdą wdową i sierotą, dzielił ból matki tracącej ukochane dziecko – to czy i ty nie chciałbyś zapomnieć?

Simon patrzył w kołyszące się płomienie ogniska.

„Tak jak Sithowie – pomyślał. – Schwytani w pułapkę swego bólu na zawsze. Spragnieni końca, jak powiedziała Amerasu”.

Binabik zestrugał kilka wiórów ze swojego kawałka drewna. Coraz bardziej przypominał on wilczy łeb o długim pysku i postawionych uszach.

– Simonie, przyjacielu, jeśli wolno mi spytać, czy jest jakaś przyczyna, dla której tak bardzo przejąłeś się słowami Sludiga?

Simon pokręcił głową.

– Ja po prostu nie wiem, jak... jak być. Ci ludzie przybyli tutaj, żeby nas zabić. Ja też chcę, żeby zginęli boleśnie, w mękach... Ale, Binabiku, oni są gwardzistami! Spotykałem ich na zamku. Niektórzy z nich dawali mi słodycze albo sadzali na konia i mówili, że przypominam im ich synów. – Simon zaczął dłubać patykiem w błotnistej ziemi. – Kto ma rację? Jak oni mogą robić nam coś takiego, przecież nigdy ich nie skrzywdziliśmy?! Król zmusza ich do tego, dlaczego więc mają cierpieć bardziej od nas?

Binabik uśmiechnął się.

– Dobrze, że przynajmniej nie martwisz się o najemników; nie, nic nie mów, nie trzeba! Trudno współczuć komuś, kto w bitwie szuka złota. – Wsunął nieukończoną jeszcze rzeźbę za kurtkę i zaczął rozkładać swój kij, by umieścić nóż w długiej rączce. – Pytania, które zadajesz, są ważne, ale są to pytania bez odpowiedzi. Na tym chyba polega stawanie się mężczyzną

czy kobietą: trzeba odpowiadać sobie na pytania, które w rzeczywistości nie mają odpowiedzi. – Zwrócił się do Strangyearda: – Czy masz gdzieś tutaj książkę Morgenesa, czy została w osadzie?

Archiwista siedział wpatrzony w ogień.

– Co? – spytał wyrwany z zamyślenia. – Książkę? Och, niebiańskie pastwiska, nie rozstaję się z nią. Nie mógłbym zostawić jej bez opieki. – Odwrócił się i spojrzał nieśmiało na Simona. – Oczywiście ona nie należy do mnie. Nie myśl, proszę, że zapomniałem, jaki byłeś uprzejmy, pozwalając mi ją przeczytać. Nawet nie wiesz, jakie to wspaniałe uczucie delektować się słowem Morgenesa!

Simon poczuł nieomal przyjemne ukłucie żalu na wspomnienie Morgenesa. Jak bardzo brakowało mu tego dobrego starca!

– Ona też nie jest moja, ojcze Strangyeardzie. Dał mi ją tylko na przechowanie, żeby tacy ludzie jak ty czy Binabik mogli ją przeczytać. – Uśmiechnął się smutno. – To jeszcze jedna lekcja, jakiej się ostatnio nauczyłem: że nic nie należy do mnie. Kiedyś myślałem, że Cierń jest mi przeznaczony, ale teraz wątpię. Otrzymałem też inne rzeczy, ale żadna z nich nie spełnia moich oczekiwań. Cieszę się, że ktoś robi dobry użytek ze słów Morgenesa.

– Wszyscy z nich czerpiemy. – Binabik uśmiechnął się, lecz jego słowa zabrzmiały poważnie. – Morgenes zaplanował coś dla nas wszystkich na te trudne czasy.

– Chwileczkę. – Strangyeard wstał. Po chwili wrócił ze swoją torbą i jak zawsze wysypał jej zawartość: *Księgę Aedona*, szalik, bukłak na wodę, kilka monet i błyskotek, by dogrzebać się do samego dna, gdzie bezpiecznie umieścił manuskrypt. – Jest! – oświadczył triumfalnie i znieruchomiał. – Ale dlaczego ja jej szukałem?

– Ponieważ ja cię o to prosiłem – wyjaśnił Binabik. – Jest tam pewien fragment, który powinien zainteresować Simona.

Troll wziął manuskrypt i zaczął go ostrożnie kartkować, mrużąc oczy w słabym świetle ogniska. Simon pomyślał, że Binabik będzie potrzebował trochę czasu na znalezienie fragmentu, którego szukał, dlatego wstał, by opróżnić pęcherz. Na zboczu wzgórza wiał zimny wiatr, a białe jezioro, które częściowo widział między gałęziami, wyglądało jak miejsce spotkań duchów. Wrócił szybko do ogniska, drżąc z zimna.

– Znalazłem. – Binabik pomachał stronicą. – Chcesz sam przeczytać czy ja mam to zrobić?

Simon uśmiechem przyjął zwyczajową troskliwość trolla.

– Wciąż mi coś czytasz, więc zrób to i teraz.

– Robię to w imię twojej ciągłej edukacji – oświadczył Binabik z udawaną powagą. – Posłuchaj: *W rzeczywistości* – pisze Morgenes – *dyskusja nad tym, kto był największym rycerzem w królestwie Aedona, przez wiele lat rodziła wszędzie spory, zarówno w komnatach Sancellan Aedonitis w Nabbanie, jak i w gospodach Erkynlandu i Hernystiru. Trudno byłoby zaprzeczyć, że istniał ktoś większy od Camarisa, lecz tak mało czerpał on radości z walki, że można by pomyśleć, iż rzemiosło wojenne było dla niego pewną pokutą, a jego umiejętności karą. Bywało często, że kiedy honor nakazywał mu brać udział w turniejach, ukrywał swego zimorodka pod przebraniem, gdyż zdarzało się, że przeciwnik przegrywał jeszcze przed walką rażony strachem. Znany był też z tego, że stawiał sobie często liczne utrudnienia, walczył na przykład tylko lewą ręką, i to nie z brawury, ale, jak sądzę, powodowany ogromnym pragnieniem zmierzenia się z kimś, kto wreszcie okaże się lepszy od niego, co pozwoliłoby mu pozbyć się ciężaru pozostawania najznakomitszym rycerzem w Osten Ard, który to fakt powodował, że Camaris stawał się przyczyną każdej burdy w gospodzie, jak*

również natchnieniem wszystkich minstreli. Kiedy walczył w czasie wojny, przyznawali to nawet sami duchowni, okazywał pokonanym wrogom zbyt daleko idącą pokorę i łaskę, jakby szukał honorowej porażki i śmierci. Swoje waleczne wyczyny, o których opowiadano w całym Osten Ard, wydawał się traktować jak najbardziej wstydliwe postępki.

Odkąd Tallistro z Perdruin poległ w zasadzce w czasie pierwszej Wojny Thrithingów – ten zdradliwy podstęp stał się równie znany jak wyczyny Camarisa – jedynie John mógł konkurować z Camarisem o miano największego rycerza w królestwie Aedona. W rzeczywistości nikt nie wątpił, że Prester John w swej świetności mógł pokonać sir Camarisa w otwartej walce. Po bitwie pod Nearulagh, gdzie obaj się spotkali, Camaris unikał nawet ćwiczebnych walk z Johnem, by nie zburzyć delikatnej równowagi ich przyjaźni. I tak, kiedy dla Camarisa jego umiejętności stały się ciężarem, a rzemiosło wojenne próbą i źródłem smutku – nawet w czasie wojen aprobowanych przez Matkę Kościół – Prester John nigdzie nie był tak szczęśliwy jak na placu bitewnym. Nie, nie był okrutny – zawsze oddawał wrogowi sprawiedliwość, z wyjątkiem Sithów, do których żywił jakąś osobistą urazę i których prześladował, dopóki nie odeszli w zapomnienie. A ponieważ niektórzy utrzymują, że Sithowie nie są ludźmi i nie posiadają duszy – ja osobiście jestem innego zdania – można więc powiedzieć, że wszyscy wrogowie Johna byli przez niego traktowani sprawiedliwie, stwierdziłby to nawet najbardziej skrupulatny duchowny. Także dla swoich poddanych, nawet dla pogańskich Hernystirczyków, John okazał się wspaniałomyślnym królem. Niebezpiecznym orężem stał się dopiero wtedy, kiedy kobierzec wojny rozwinął się u jego stóp. To właśnie Matka Kościół, w imię której prowadził podboje, nadała mu imię Miecza Pana – w dowód wdzięczności, ale chyba też trochę ze strachu.

Tak więc spór pozostał nierozstrzygnięty do dzisiaj: kto był większy? Camaris, najzręczniejszy szermierz, jakiego znała ludzkość? Czy John, tylko odrobinę mniej biegły, ale za to przywódca i mąż, który z radością witał sprawiedliwą i pobożną wojnę...? – Binabik chrząknął. – Pisząc o tym, że spór pozostał nierozstrzygnięty, sam Morgenes rozpisuje się przez następne kilka stron, wnikliwiej badając problem, który w swoim czasie był niezmiernie ważny, a przynajmniej tak uważano.

– A zatem Camaris zabijał lepiej od Johna, ale mniej mu się to podobało? – spytał Simon. – Dlaczego więc to robił? Dlaczego nie został mnichem albo pustelnikiem?

– Ach, oto sedno twoich zmartwień, Simonie – odparł Binabik ożywiony. – Oto, dlaczego pisma wielkich myślicieli są nam tak bardzo pomocne w naszym myśleniu. Morgenes ułożył słowa i imienia w inny sposób, ale przedstawił ten sam problem, co ty: czy słuszne jest zabijanie, nawet jeśli akceptuje je twój pan, kraj czy Kościół? Czy lepiej jest zabijać, nie lubiąc tego, czy w ogóle nie zabijać, a potem patrzeć na zło, jakie dzieje się tym, których kochasz?

– Czy Morgenes daje odpowiedź?

– Nie. – Binabik potrząsnął głową. – Jak mówiłem, mądrzy ludzie wiedzą, że nie ma prawdziwych odpowiedzi na takie pytania. Życie polega na zadawaniu ich i na szukaniu rozwiązań, które każdy z nas znajduje dla siebie.

– Binabiku, chociaż raz powiedz, że na jakieś pytanie można odpowiedzieć. Jestem zmęczony myśleniem.

Troll roześmiał się.

– Oto kara za przyjście na świat... nie, może to zbyt mocno powiedziane. Oto kara za uczestnictwo w prawdziwym życiu – tak brzmi

lepiej. Witaj, Simonie, w świecie tych, którzy każdego dnia skazywani są na myślenie oraz zastanawianie się i którzy nigdy niczego nie są pewni.

– Dziękuję ci – prychnął młodzieniec.

– Tak, Simonie – powiedział Strangyeard z dziwnie poważną żarliwością. – Witaj. Modlę się, abyś kiedyś z radością przyjął fakt, że twoje decyzje nie były łatwe.

– Jak to?

Strangyeard pokręcił głową.

– Wybacz, że mówię tak, jak zwykli mawiać starzy ludzie, ale... ale sam się przekonasz.

Simon wstał.

– Dobrze. Skoro już i tak kręci mi się w głowie, zrobię to, co Sludig: odejdę rozżalony i spróbuję zasnąć. – Położył dłoń na ramieniu Binabika, a potem odwrócił się do archiwisty, który starannie chował do swojej torby książkę Morgenesa. – Dobranoc, ojcze Strangyeardzie. Dobranoc, Binabiku.

– Dobranoc, przyjacielu.

Odchodząc, słyszał, iż troll i duchowny rozmawiają cicho. Świadomość, że tacy jak oni czuwają, rodziła w nim swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa.

BUDZIŁ SIĘ PRAWIE ŚWIT, KIEDY DEORNOTH wykonał wreszcie wszystko, co miał do zrobienia. Naostrzył dwukrotnie swój miecz. Umocował kilka sprzączek oderwanych od płaszcza, co wymagało szycia grubą igłą, a potem starannie oczyścił z błota swoje buty. Teraz mógł pozostać na boso – jeśli nie liczyć gałganów, którymi owinął stopy – do chwili wymarszu na pole walki albo włożyć buty i nie ruszać się z miejsca. Każdy najmniejszy

nawet krok przez błotnisty teren obozu z pewnością zniweczyłby jego pracę. I bez obcasów wypełnionych błotem wystarczająco trudno było poruszać się podczas bitwy.

Niebo zbladło nieco, kiedy Deornoth usłyszał cichy śpiew swoich ludzi. Do wczoraj żaden z nich nie był jego żołnierzem. Tworzyli oni bardzo wątpliwą armię: wielu z nich nigdy wcześniej nie miało w ręku miecza, a ci, którzy potrafili nim władać, byli często tak starzy, że już od lat nie stawiali się na coroczne musztry w swoich majątkach. Ale walka w obronie własnego domu potrafiła zmienić nawet najłagodniejszego chłopa w żołnierza, z którym trzeba było się liczyć, a dla wielu z nich to wzgórze było teraz domem. Ludzie Deornotha pod dowództwem tych kilku, którzy byli żołnierzami z prawdziwego zdarzenia, spisali się dzielnie, a nawet bardzo dzielnie. Dowódca żałował, że jedyną nagrodą, jaką miał im do zaoferowania, była kolejna rzeź następnego dnia.

Słyszał ssący odgłos końskich kopyt w błocie; ciche rozmowy obozujących dookoła ludzi ucichły. Na ścieżce biegnącej przez obóz ujrzał grupę jeźdźców. Prowadził ich rycerz na kasztanowym rumaku, wysoki i szczupły, w trzepoczącym na wietrze płaszczu. Josua był wreszcie gotów. Deornoth westchnął i wstał. Dał znak pozostałym oddziałom i sięgnął po buty. Skończył się czas bujania w obłokach. Nie wkładając butów, by oddalić ten nieunikniony moment, wyszedł na spotkanie księcia.

POCZĄTEK DRUGIEGO DNIA NIE PRZYNIÓSŁ wielu niespodzianek. Była to krwawa jatka, tak jak przewidywał Sludig; pierś w pierś, miecz o miecz – kiedy nastało południe, lód spływał krwią, a kruki ucztowały na obrzeżach pola walki.

Ci, którzy przeżyli bitwę, nazwą ją po swojemu: dla Josui i jego towarzyszy było to oblężenie *Sesuad’ra,* dla kapitanów wojsk Fengbalda

bitwa w Dolinie Stefflod, dla najemnych zaś Thrithingów bitwa o Kamień, ale dla większości tych, którzy będą o niej wspominać, a mało kto nie zadrży, opowiadając, najbardziej trafną nazwą było Szklane Jezioro.

Wojna na zamarzniętej fosie *Sesuad'ra* toczyła się ze zmiennym szczęściem, gdyż raz jedna, raz druga strona zdobywała przewagę. Początkowo gwardziści, zawstydzeni porażką poprzedniego dnia, zaatakowali z taką gwałtownością, że obrońcy zmuszeni byli wycofać się na swoją barykadę. Zginęliby tam niechybnie, przyparci znacznie większą siłą wroga, gdyby nie Josua, który przybył na ognistym Vinyafodzie wraz z oddziałem dowodzonych przez Hotviga Thrithingów, którzy dostatecznie uszczuplili flanki atakujących, by powstrzymać ich przed całkowitym wykorzystaniem swojej przewagi. Ponadto ze zbocza poleciały strzały, które wcześniej zebrał Freosel i pozostali obrońcy, zmuszając ubranych na zielono gwardzistów do wycofania się poza ich zasięg. W czerwonym stroju hrabia Fengbald jeździł tam i z powrotem na środku jeziora, wymachując mieczem i gestykulując.

Jego wojska ponownie zaatakowały, lecz tym razem obrońcy lepiej się przygotowali, tak że fala zielonych jeźdźców rozbiła się o wielką drewnianą ścianę. Zaraz potem oddział obrońców spadł ze wzgórza i rozrywając zieloną linię, wbił swój nóż głęboko w bebechy sił Fengbalda. Nie byli dość mocni, by rozdzielić armię księcia – gdyby tak się stało, bitwa potoczyłaby się inaczej – ale nawet wtedy, gdy zostali odepchnięci, ponosząc liczne straty, widać było, że walczący pod dowództwem Deornotha farmerzy przemienieni w wojsko zyskali nową energię do walki. Wiedzieli, że potrafią bić się niemal jak równy z równym; nie było wątpliwości, że nie pozwolą, by królewscy słudzy weszli do ich domów, nie płacąc krwawej ceny.

Słońce wyjrzało zza koron drzew, oblewając porannym światłem przeciwległy stok doliny. Nad lodem znowu wzniosła się gęsta mgła. Walka stała się jeszcze bardziej zacięta, gdyż ludzie występowali teraz nie tylko przeciw sobie, lecz zmagali się także ze zdradliwym polem bitwy. Obie strony wydawały się wierzyć, że walka rozstrzygnie się przed nocą. Liczba nieruchomych ciał rozrzuconych po zamarzniętym jeziorze nie pozwalała wątpić, że do wieczora niewielu pozostanie obrońców, by stawić czoło przeciwnikowi.

Minęła zaledwie godzina od świtu, a Simon zapomniał już o Camarisie, Presterze Johnie, a nawet o samym Bogu. Miał wrażenie, że jest łodzią podczas sztormu, tyle tylko, że fale, które usiłowały go zatopić, miały ludzkie twarze i ostre miecze. Tego dnia trolle nie czekały już jako oddział rezerwy. Josua był przekonany, że Fengbald uderzy po prostu z całą siłą na obrońców *Sesuad'ra*, by ich definitywnie pokonać, więc nie było sensu przygotowywać żadnych niespodzianek. Przestał istnieć jakikolwiek porządek w bitwie – pojawiały się tylko szczątkowe komendy, niewyraźne odgłosy rogów i postrzępione proporce. Przeciwnicy pędzili ku sobie, uderzali i jakiś czas trwali tak w zwarciu jak dwie tonące osoby, po czym cofali się, by złapać oddech przed kolejną szarżą, pozostawiając we mgle ciała poległych.

W chwili kiedy gwardziści ponownie przyparli obrońców do barykady, Simon zobaczył, jak jeden z nich nadział trolla Snenneqa na kopię i wyrzuciwszy go z siodła, przybił do bala jednej z barykad. Chociaż troll prawdopodobnie już nie żył, żołnierz cofnął kopię i ponownie przebił ciało Snenneqa, obracając nią, jakby zabijał robaka. Simon, rozwścieczony, spiął ostrogami Nadzieję i skoczył w lukę między kotłującymi się ciałami, zamierzając się z całych sił; nieomal pozbawiony głowy gwardzista runął na lód w fontannie krwi. Simon schylił się i chwycił Snenneqa za kurtkę,

podnosząc go z taką łatwością, jakby ten nic nie ważył. Głowa trolla podskakiwała bezwładnie, a brązowe oczy patrzyły martwo. Simon przycisnął do siebie małe ciało, nie bacząc na krew spływającą na jego spodnie i siodło.

Jakiś czas potem znalazł się na obrzeżu pola bitwy. Ciało Snenneqa zniknęło. Nie wiedział, czy gdzieś je złożył, czy zgubił. Pamiętał tylko wyraz zdziwienia i strachu na twarzy martwego trolla oraz krew na jego ustach i zębach.

Simon doszedł do wniosku, że łatwo jest nienawidzić, jeśli się nie myśli. Wystarczyło zobaczyć twarze wrogów jako blade plamy we wnętrzu ich hełmów, ich otwarte usta jako obrzydliwe czarne dziury, by atakować z całą siłą i miażdżyć ich głowy, odrąbywać kończyny, dopóki znienawidzone istoty nie padły martwe. Odkrył też, że łatwiej było przetrwać, jeśli się nie bał – a nie bał się w tej chwili: miał wrażenie, jakby cały strach wypalił się w nim. Przeciwnicy, których spotykał na swojej drodze – wielu z nich znało żołnierskie rzemiosło bardzo dobrze, niektórzy walczyli już w wielu bitwach – wydawali się przestraszeni determinacją Simona. A on zadawał ciosy, każdy następny potężniejszy od poprzedniego. Kiedy wznosili swoje miecze, on zadawał cięcia w dłonie i ramiona. Kiedy cofali się, by sprowokować go do wychylenia się do przodu, on nacierał swoim koniem z impetem na ich bok i grzmocił jak Ruben Niedźwiedź młotem w rozgrzane żelazo. Zorientował się, że prędzej czy później zaczynali się bać, w głębi hełmu pojawiał się błysk przerażonych oczu. Prędzej czy później zaczynali się wahać, cofać, lecz Simon ani na chwilę nie ustawał; ciął i raził, dopóki przeciwnik nie padł lub nie uciekł. Wtedy brał głęboki oddech, słysząc niewiele więcej ponad szaleńcze bicie własnego serca, i kiedy złość ponownie dodała mu siły, ruszał na poszukiwanie kolejnego wroga.

Krew tryskała dookoła, unosząc się nad lodem czerwoną mgiełką. Konie padały, przebierając konwulsyjnie nogami. Odgłosy bitwy wzmagały się, tak że stały się nieomal nie do zniesienia. Kiedy Simon sunął przez szalejącą rzeź, czuł, że jego ramiona zamieniają się w żelazo, równie twarde i nieustępliwe jak miecz w jego dłoni; wydawało mu się, że nie ma konia, lecz tylko cztery mocne nogi, które niosły go tam, gdzie tego pragnął. Zbryzgany był krwią, częściowo własną, ale nie czuł niczego poza rozpierającym pierś pragnieniem pokonywania istot, które przyszły, aby zabrać jego nowy dom i zabić przyjaciół.

Jego twarz pod hełmem była mokra od łez, chociaż on o tym nie wiedział.

WRESZCIE ZASŁONA OPADŁA, wpuszczając nieco światła do ciemnego pokoju zwierzęcych myśli Simona. Znalazł się gdzieś na środku jeziora i ktoś wołał jego imię.

– Simonie! – Był to wysoki, dziwny głos. Początkowo rycerz nie wiedział, gdzie się znajduje. – Simonie! – Głos zawołał ponownie.

Spojrzał w dół, szukając osoby, która go wołała, ale skulony piechur na ziemi nie mógł już nigdy nikogo zawołać. Przerażające odrętwienie ustąpiło nieco. Zabitym był jeden z żołnierzy Fengbalda. Simon odwrócił głowę, nie mogąc znieść widoku twarzy trupa.

– Simonie, tutaj! – Była to Sisqi w towarzystwie dwóch innych trolli. Kiedy zawrócił konia w kierunku nadjeżdżających, dostrzegł skośne szparki żółtych oczu ich baranów. Co one myślały? Co mogły myśleć zwierzęta o czymś takim?

– Sisqi... – Zamrugał. – Co...?

– Chodź, chodź szybko! – Wskazywała włócznią na miejsce gdzieś bliżej barykady.

Bitwa wciąż szalała. Simon wytężał wzrok, lecz wiedział, że trzeba by mieć oczy Jarnaugi, żeby cokolwiek wypatrzeć w takim chaosie.

– O co chodzi?

– Pomóż swojemu przyjacielowi! Twojemu *Croohok*! Chodź!

Simon spiął ostrogami konia i ruszył za trollami, które zręcznie prześlizgiwały się wśród walczących. Nadzieja coraz częściej potykała się na śliskiej powierzchni jeziora. Biedna! Powinien ją napoić, pozwolić się wyspać. Czuł walenie w głowie, a prawe ramię było jakby poobijane pałkami.

„Litościwy Aedonie, co ja zrobiłem? Co ja dzisiaj zrobiłem?”

Trolle prowadziły go w głąb bitwy. Ludzie dookoła byli skrajnie wyczerpani, jak niewolnicy z Wysp Południowych wysyłani niegdyś do walki na nabbańskich arenach. Nacierając na siebie, zamierali na chwilę, a odgłos ich mieczy rozbrzmiewał żałośnie, jakby rozdzwoniły się setki pękniętych dzwonów.

Sludig wraz z grupą obrońców zostali otoczeni przez Thrithingów. Rimmersman w obu dłoniach trzymał topory. Bez konia starał się zachować równowagę na lodzie, utrzymując na dystans dwóch Thrithingów. Simon i trolle zbliżyli się najszybciej jak mogli i zaatakowali od tyłu. Obolałe ramię uniemożliwiło młodemu rycerzowi zadanie poprawnego ciosu, lecz zdołał uderzyć mieczem w nieosłonięty zad konia przeciwnika, tak że rumak stanął dęba przerażony. Jeździec runął na lód, gdzie natychmiast dobili go ludzie Sludiga. Rimmersman chwycił uzdę ślizgającego się konia i przez jakiś czas zasłaniał się nim przed drugim z przeciwników. Wreszcie udało mu się wsunąć stopę w strzemię i wspiąć na siodło, unosząc jeden z toporów tak, by odtrącić zakrzywiony miecz Thrithinga. Dwukrotnie jeszcze rozległ się szczęk ich broni, zanim Sludig z okrutnym okrzykiem wytrącił jednym z toporów miecz przeciwnikowi, a drugi wbił w jego

głowę, dziurawiąc twardy, skórzany hełm, jakby to była skorupa jajka. Następnie oparł się nogą o pierś Thrithinga i wyrwał topór. Przeciwnik opadł na kark swego konia i osunął się ciężko na ziemię.

Simon zawołał do Sludiga, lecz zaraz musiał się odwrócić, gdyż pozbawiony jeźdźca koń w zamieszaniu wpadł na Nadzieję, nieomal wyrzucając młodzieńca z siodła. Chwyciwszy mocno lejce, poprawił się w siodle i kopnął przestraszonego rumaka, który zarżał i oddalił się, próbując utrzymać równowagę na lodzie.

Rimmersman przez chwilę wpatrywał się w Simona nieprzytomnie, jakby go nie poznawał. Na jego żółtawej brodzie widniały krople krwi, a druciana kolczuga była rozerwana w kilku miejscach.

– Gdzie jest Deornoth?

– Nie wiem! Dopiero tutaj przyjechałem! – Simon podniósł się w siodle, by rozejrzeć się dookoła.

– Został odcięty. – Sludig także stanął w strzemionach. – Tam! Widzę jego płaszcz! – Wskazał na gromadę Thrithingów, wśród których pojawiał się i znikał niebieski płaszcz. – Chodź! – Sludig spiął ostrogami zdobytego konia. Zwierzę zaczęło się ślizgać, gdyż nie miało żelaznych kolców.

Simon zawołał na Sisqi i jej przyjaciół, którzy ze spokojem razili włóczniami rannych Thrithingów. Sisqi krzyknęła coś do swoich towarzyszy i wszyscy ruszyli za Simonem oraz Sludigiem.

Od jakiegoś już czasu napływały chmury, które zaciemniły niebo. Teraz w powietrzu pojawiły się maleńkie płatki śniegu. Mgła gęstniała coraz bardziej. Simonowi wydało się, że dostrzegł błysk purpury w ciemnej masie walczących niedaleko za Sludigiem. Czy to mógł być Fengbald? W samym środku bitwy? Było to wręcz niemożliwe, by książę ryzykował, mając po swojej stronie przewagę liczebną i doświadczenie.

Simon nie miał czasu na zastanawianie się, gdyż Sludig wpadł między grupę Thrithingów, młócąc toporami. Wprawdzie dwóch natychmiast padło rannych, otwierając drogę Rimmersmanowi, lecz na ich miejscu od razu pojawili się inni, niektórzy na koniach, by go otoczyć. Simon znowu poczuł silne uczucie nierzeczywistości. Co on tutaj robi? Żaden z niego żołnierz! To szaleństwo. Ale co innego mógł uczynić? Jego przyjaciele odnosili rany i ginęli. Popędził przed siebie, siekąc Thrithingów. Teraz po każdym ciosie płomień bólu wędrował w górę jego ramienia aż do podstawy czaszki. Z odrętwienia wyrwały go podniecone okrzyki Sisqi i jej trolli.

Sludig musiał zsiąść z konia i klęczał teraz obok leżącej postaci w płaszczu koloru przedwieczornego nieba. Twarz Deornotha była bardzo blada. Pod nim, częściowo przykryty niebieskim płaszczem, leżał na plecach ogromny Thrithing; jego oczy pozostały szeroko otwarte, a na ustach zakrzepła krew. Wyostrzonym spojrzeniem kogoś, kto jest na granicy obłędu, Simon dostrzegł płatek śniegu opadający na oko najemnika.

– On jest przywódcą najemników! – krzyknął Sludig. – Deornoth go zabił!

– Ale czy Deornoth żyje?

Sludig już się schylił, by podnieść rycerza. Simon rozejrzał się, czy nie zagraża im bezpośrednie niebezpieczeństwo, lecz Thrithingowie już gdzie indziej pogrążyli się w wirze bitewnego chaosu. Simon szybko zsiadł z konia i pomógł Sludigowi wsadzić Deornotha na jego wierzchowca. Rimmersman wspiął się na siodło i chwycił mocno rycerza, który osuwał się jak bezwładna lalka.

– Źle – powiedział Sludig. – Źle z nim. Musimy dostać się do barykady.

Ruszył powoli przed siebie. Sisqi i dwa trolle podążyli za nim. Rimmersman jechał szerokim łukiem, by znaleźć się na względnie bezpiecznym obrzeżu bitwy.

Simon stał oparty o bok Nadziei i patrzył na plecy Sludiga i bezwładną głowę Deornotha, podskakującą ponad ramieniem Rimmersmana. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Jiriki i jego Sithowie nie przybywali. Bóg nie wydawał się skory do pomocy prawym ludziom. Gdyby tak dało się zapomnieć o całym koszmarze. Simon zadrżał. Wydawało mu się, że wystarczy zamknąć oczy, by wszystko zginęło, a on obudzi się w swoim łóżku w pomieszczeniach służby w Hayholt, przed którymi pełza wiosenne słońce...

Potrząsnął głową i na drżących nogach wspiął się na konia. Ruszył przed siebie. Nie było czasu, by dać się ponieść marzeniom. Nie było czasu.

Znowu dostrzegł błysk purpury, tym razem z prawej strony. Obrócił się i ujrzał postać w czerwonej szacie na białym koniu. Na hełmie rycerza widniały srebrzyste skrzydła.

Fengbald!

Powoli, jakby lód zamienił się w warstwę miodu, ściągnął wodze i obrócił konia w kierunku jeźdźca. To musiał być sen! Książę znajdował się za grupą walczących gwardzistów, lecz wydawało się, że jego uwagę zaprzątają najbliżej niego walczący żołnierze. Stojąc poza kręgiem walczących, Simon miał wolną drogę. Uderzył ostrogami w boki Nadziei.

Wydawało mu się, że w miarę jak się zbliża, nabierając prędkości, srebrzysty hełm – lśniący pomimo słabego światła – staje się coraz większy. Na ciemnym tle widniejących w oddali drzew purpurowy płaszcz i jasna kolczuga wyglądały jak świeża rana.

Simon krzyknął, lecz postać się nie odwróciła. Uderzył kolcami w boki Nadziei. Klacz parsknęła rozdrażniona i ruszyła szybciej; z jej pyska poleciała piana.

– Fengbaldzie! – zawołał ponownie i tym razem wydawało się, że książę go usłyszał.

Hełm z opuszczoną przyłbicą obrócił się w jego stronę. Simon spróbował zajrzeć w szparki na oczy, lecz niczego nie dojrzał. Książę uniósł miecz i zwrócił konia w stronę atakującego – Fengbald także wydawał się poruszać niezwykle wolno, jakby i on znalazł się w koszmarnym śnie.

Simon zacisnął niewidoczne pod przyłbicą zęby. A zatem koszmar. Tym razem będzie to koszmar Fengbalda. Odchylił miecz do tyłu, czując, jak napinają się mięśnie jego łopatek. Kiedy Nadzieja spadła na księcia, Simon zadał cios oburącz. Opadł na miecz księcia z takim impetem, że nieomal wyleciał z siodła, lecz coś się jakby załamało. Odjechawszy dalej, wyprostował się w siodle i ostrożnie zawrócił konia. Fengbald spadł z konia i wypuścił miecz; teraz leżał na lodzie, próbując wstać.

Simon zeskoczył ze swego wierzchowca i natychmiast pośliznął się, lądując na łokciach i kolanach. Podpełznął do próbującego się podnieść księcia, a potem uniósł się na kolana i uderzył mieczem na odlew w błyszczący hełm. Fengbald opadł na lód, rozłożywszy ramiona, jakby to były skrzydła srebrzystego orła z jego płaszcza. Simon podciągnął się w górę i klęknął na jego piersi. On, Simon, pokonał księcia Fengbalda! Czy w takim razie wygrali? Zdyszany rozejrzał się dookoła, lecz nikt nie zwracał na nich uwagi. Nic nie wskazywało też na to, że bitwa została przesądzona: jezioro pełne było walczących ludzi. Czy to możliwe, by wygrał bitwę i nikt tego nie zauważył?

Simon wyciągnął nóż trolli i przyłożył go do gardła Fengbalda, rozpinając jego hełm. Wreszcie udało mu się i zerwał hełm z głowy przeciwnika, odrzucając go na lód.

Jego więzień okazał się mężczyzną w średnim wieku i był łysy, a nie siwy. Brakowało mu też wielu zębów w zakrwawionych ustach. To nie był Fengbald.

– Na cholerne Drzewo! – zaklął Simon.

Świat się walił. Nic nie było prawdziwe. Wpatrywał się w płaszcz i leżący nieopodal hełm ze skrzydłami orła. Nie było wątpliwości, że należały do Fengbalda. To jednak z pewnością nie był książę.

– Oszukani! – jęknął. – Och, Boże, zostaliśmy oszukani jak dzieci.

Poczuł zimną kulę w żołądku.

– Matko Aedona, gdzie jest Fengbald?

GDZIEŚ DALEKO NA ZACHÓD, z dala od trosk obrońców *Sesuad'ra*, z pieczary u zbocza góry Grianspog wyszła mała procesja; przypominała rząd białych myszy, które wypuszczono z klatki. Znalazłszy się na zewnątrz, postacie zatrzymały się oślepione śnieżnym blaskiem.

Hernystirczycy – a było ich zaledwie kilkuset, głównie kobiety i dzieci – stłoczyli się zdezorientowani na skalnej półce przed jaskinią. Maegwin wyczuwała, że najchętniej popędziliby z powrotem do bezpiecznej dziury. Sytuacja była bardzo delikatna. Księżniczka wykorzystała całą swoją siłę perswazji, by nakłonić ich do tej podróży, której koniec wydawał się znany.

„Bogowie naszych przodków – myślała. – Bryniochu i Rhynnie, gdzie się podziała nasza odwaga?" – Jedynie Diawen, która szła obok, oddychając głęboko zimnym powietrzem, z rękoma wzniesionymi ku górze jak w rytualnym tańcu, wydawała się rozumieć doniosłość tego marszu. Wyraz twarzy starego Craobhana nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że uważa on to przedsięwzięcie za niedorzeczność. Lecz jej pozostali poddani wyglądali przede wszystkim na przestraszonych, gotowych w każdej chwili powrócić do jaskiń.

Potrzebowali zachęty. Trudno było śmiertelnikom żyć tak, jak chciały tego ich bóstwa – mało kto pragnął nieść taki ciężar. Maegwin wzięła głęboki oddech.

– Hernystirczycy, przed nami wielkie dni! – zawołała. – Bogowie pragną, byśmy zeszli na dół i stawili czoło wrogowi, który zabrał nam domy, nasze pola i bydło. Pamiętajcie, kim jesteście! Chodźcie ze mną!

Wyszła na ścieżkę. Pozostali ruszyli za nią, wolno, niechętnie. Szli, drżąc, choć ubrani byli w najcieplejsze ubrania, jakie mieli. Wiele dzieci płakało.

– Arnoranie! – zawołała.

Harfiarz trzymający się nieco z tyłu, może w nadziei, że wszyscy o nim zapomną, zbliżył się, pochylając się pod naporem wiatru.

– Tak, pani?

– Idź przy mnie – powiedziała. Arnoran rzucił okiem na ośnieżone zbocze opadające stromo w dół tuż pod ścieżką i szybko odwrócił wzrok. – Chcę, żebyś zaśpiewał piosenkę.

– Którą?

– Taką, której słowa będą wszystkim znane. Coś, co ich zagrzeje. – Przez chwilę szła w milczeniu, zastanawiając się. Arnoran spoglądał nerwowo na swoje stopy. – *Lilia Cuimnhe*.

– Dobrze, pani. – Arnoran uniósł harfę i zagrał kilka początkowych dźwięków, by rozgrzać palce. Potem zaczął jeszcze raz, głośniej, tak by inni usłyszeli.

Lilia Hernysadharc z urody swej słynie,

zaśpiewał, a jego głos wzniósł się ponad wiatrem, który przelatywał po zboczu i potrząsał drzewami,

Jak krew czerwona, biała jak śnieżny puszek,
Lecz ja jej nie zerwę, och, nie, nie zginie,
Gdyż ja dalej iść muszę.

W Inniscrich fiołki z urody znane,
Ciemne jak niebo u progu nocy,
Lecz mnie ich zerwać nie jest dane,
Muszę iść dalej, choć wbrew swej mocy.

Abaingeat ze stokrotek słynie,
Co jak gwiazdy lśnią na łąki niebie,
Lecz ja zostawię je w dolinie
I pójdę dalej przed siebie.

Najsłodszy kwiat ona hoduje,
Gdzie łąką rzeka się snuje.
I tam, gdzie ona kwitnie, się udam,
Lilia Hernysadharc.

Gdy zimą wiatry powieją,
Wyschną soki i liście zmarnieją.
Wtedy na pewno miłość tę wspomnę:
Lilia Cuimnhe.

Zanim wyśpiewał refren, wielu dołączyło do niego. Szli teraz raźniej, szybciej, jakby ich stopy dostosowały się do rytmu starej pieśni. Głosy też rozbrzmiewały donośniej, aż wzniosły się ponad wiatr, który, o dziwo, przycichł, jakby uznał swoją porażkę.

Ostatni Hernystirczycy schodzili z góry, śpiewając.

ZATRZYMALI SIĘ NA OŚNIEŻONEJ PÓŁCE, by zjeść posiłek w słabym blasku słońca. Maegwin przechadzała się wśród swoich ludzi, zwracając

szczególną uwagę na dzieci. Po raz pierwszy od długiego czasu była szczęśliwa i miała świadomość spełnionego obowiązku: wreszcie córka Llutha robiła to, do czego była przeznaczona. Zadowolona czuła, jak znowu wypełnia ją miłość do ludu Hernystiru – i jej podwładni też to odczuwali. Część starszych Hernystirczyków z pewnością nie pozbyła się wątpliwości co do ich szaleńczej wyprawy, lecz dla młodych był to promyk nadziei; chodzili za Maegwin, pokrzykując radośnie, by pozbyć się wątpliwości. Nawet ich rodzice zapomnieli na chwilę o niebezpieczeństwie, które na nich czyhało. Czy to możliwe, by księżniczka była tak przepełniona światłem i prawdą, gdyby nie wspomagali jej bogowie?

Sama Maegwin wszystkie swoje wątpliwości pozostawiła na Bradach Tor. Zanim nastało południe, jej ludzie znowu szli, wznosząc pieśń.

Wydawało się, że w ludzi wstąpiła nadzieja, kiedy znaleźli się u podnóża góry. Większość z nich ujrzała łąki Hernystiru po raz pierwszy od chwili, gdy przed pół rokiem wojska rimmersgardzkie wypędziły ich w góry. Teraz wracali do domu.

Natychmiast pojawiła się pierwsza pikieta Skalego, który dostrzegł małą armię schodzącą z Grianspog, lecz żołnierze wstrzymali konie zdumieni, widząc, że armia zamiast broni niesie niemowlęta. Rimmersmeni – każdy z nich zahartowany w okropnościach boju – patrzyli zdezorientowali na Maegwin i jej wojsko.

– Stójcie! – krzyknął przywódca. W hełmie i futrzanym płaszczu przypominał zaskoczonego na progu nory borsuka. – Idziecie gdzie?

Maegwin skrzywiła się pogardliwie, słysząc, jak niezdarnie posługuje się językiem Westerling.

– Idziemy do twojego pana, Skalego Kaldskryke.

W oczach żołnierzy pojawiło się jeszcze większe zdumienie.

– Nie trzeba tylu, żeby się poddać – powiedział przywódca. – Powiedz kobietom i dzieciom, niech czekają tutaj. Pójdą mężczyźni z nami.

Maegwin spojrzała na niego gniewnie.

– Głupcze! Nie przychodzimy, żeby się poddać. Chcemy odebrać nasze ziemie. – Dała znak i Hernystirczycy znowu ruszyli.

Rimmersmeni kręcili się dookoła nich jak psy, które próbują zagonić stado wrogich im owiec.

Kiedy tak szli przez pokryte śniegiem łąki ciągnące się między przedgórzem a Hernysadharc, Maegwin jeszcze raz poczuła wzbierający w niej gniew, który na chwilę stłumiła radość słusznego działania. Oto widziała pradawne drzewa – dęby, brzozy i olchy – zwalone siekierą Rimmersgardczyków; ciała roślin odarto z kory i odciągnięto koleinami. Żołnierze Skalego nie pozostawili wokół swoich obozów niczego, co wyrastało ponad zamarznięte błoto. Wraz z poszarzałym śniegiem leciały popioły ich niezliczonych ognisk. Nic dziwnego, że bogowie nie byli zadowoleni – oblicze ich ziemi nosiło ślady ran i cierpienia. Maegwin rozejrzała się i dostrzegła odbicie swojego gniewu na twarzach ludu. Ich ostatnie wątpliwości topniały niczym płatki śniegu spadające na rozgrzany kamień. Z ich pomocą bogowie oczyszczą to miejsce. Jak można było wątpić, że stanie się inaczej?

Wreszcie kiedy słońce zawisło nabrzmiałe na popołudniowym, szarym niebie, dotarli na skraj Hernysadharc. Teraz stanowili już część większego tłumu; w miarę jak ludzie Maegwin zbliżali się powoli, dołączało do nich wielu Rimmersmenów, którzy przybiegali ze swoich osad, by obejrzeć ten dziwny spektakl, przez co wydawało się, że idzie za nimi cała armia najeźdźców. Ogromny pochód składający się może z tysiąca ludzi zmierzał wąskimi i krętymi uliczkami Hernysadharc w kierunku królewskiego domu, Taig.

Kiedy wreszcie dotarli na szczyt ogołoconego wzgórza, przed ogromnymi, dębowymi drzwiami dworu czekał na nich Skali Kaldskryke. Rimmersman miał na sobie ciemną zbroję, jakby spodziewał się bitwy, a pod pachą trzymał swój hełm z podobizną kruka. Otaczała go straż przyboczna – brodaci, ponurzy zbóje.

W tej ostatniej chwili wielu spośród ludzi Maegwin poczuło, że ich odwaga topnieje. Tak jak dotąd Rimmersmeni trzymali się w należytej odległości, tak teraz wielu spośród Hernystirczyków zaczęło zwalniać, ociągać się. Lecz Maegwin i kilku spośród jej towarzyszy – Craobhan, jak zawsze lojalny sługa, był jednym z nich – podeszli bliżej. Maegwin odważnie szła w kierunku człowieka, który najechał i brutalnie podbił jej kraj.

– Kim jesteś, kobieto? – zapytał Skali. Jego głos zabrzmiał zaskakująco łagodnie.

Maegwin słyszała go wcześniej tylko raz, kiedy Skali krzyczał u stóp góry, w której się schronili, oznajmiając przywiezienie w darze okaleczonego ciała jej brata, lecz ten jeden raz wystarczył; zapamiętała ten głos i znienawidziła go. Nos, dzięki któremu Skali zyskał swój przydomek, wyraźnie odcinał się od jego szerokiej, ogorzałej twarzy. Mężczyzna patrzył na nią czujnym, bystrym wzrokiem, lecz w jego spojrzeniu nie było ani odrobiny uczucia – nie spodziewała się tego.

Wreszcie stanęła twarzą w twarz z mordercą jej rodziny, szczęśliwa, że potrafi zachować tak lodowaty spokój.

– Jestem Maegwin – oświadczyła. – Córka Llutha-ubh-Llythinna, króla Hernystiru.

– Który nie żyje – dodał krótko Skali.

– Którego ty zabiłeś. Przychodzę oznajmić ci, że twoje panowanie się skończyło. Masz opuścić tę ziemię, zanim dosięgnie cię kara bogów

Hernystiru.

Skali wpatrywał się w nią uważnie. Jego żołnierze uśmiechali się pod nosem, widząc, jak groteskowa jest ta scena, lecz nie on.

– A jeśli tego nie zrobię, królewska córko?

– Bogowie wyznaczą twój los. – Mówiła spokojnie, choć czuła przepełniający ją gniew. – Nie będzie on łaskawy.

Skali patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem zwrócił się do jednego ze strażników.

– Zapędźcie ich do zagrody. Jeśli będą się opierać, zabijcie najpierw mężczyzn.

Strażnicy ryknęli śmiechem i otoczyli ludzi Maegwin. Jedno z dzieci zaczęło płakać, przyłączyły się inne.

Kiedy brutalne dłonie najeźdźców opadły na ramiona jej ludzi, Maegwin poczuła, że mur jej pewności się chwieje. Co się dzieje? Kiedy bogowie zaczną działać? Rozejrzała się, spodziewając się zobaczyć gromy lecące z nieba albo rozstępującą się ziemię, która pochłonie wroga, lecz nic takiego nie nastąpiło. Poszukała wzrokiem Diawen. Wróżbitka zamknęła oczy skupiona i poruszała bezgłośnie ustami.

– Nie! Nie dotykajcie ich! – krzyknęła Maegwin, widząc, jak strażnicy popychają włóczniami kilkoro płaczących dzieci, które odłączyły się od pozostałych. – Musicie opuścić tę ziemię! – krzyczała z całą mocą, na jaką potrafiła się zdobyć. – Taka jest wola bogów!

Rimmersmeni nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Jej serce biło tak szybko, że wydawało się, iż zaraz pęknie. Co się działo? Dlaczego bogowie ją zdradzili? Czy możliwe, by to wszystko okazało się tylko jakąś niezrozumiałą sztuczką?

– Bryniochu! – krzyczała. – Murhaghu Jednoręki! Gdzie jesteście?

Niebiosa milczały.

BLASK ŚWITU SĄCZYŁ SIĘ PRZEZ KORONY DRZEW, lśniąc słabo na kruszących się ruinach. Oddział pięćdziesięciu jeźdźców i stu piechurów minął kolejną zwaloną ścianę; jej ośnieżone szczątki emanowały tysiącem różanych oraz lawendowych iskier i wydawały się bardziej ożywione niż zwykły kamień. Przejechali w milczeniu, a potem zaczęli opuszczać się krętą ścieżką ku białej tafli zamarzniętego jeziora.

Helfgrim, burmistrz, wyciągnął szyję, spoglądając do tyłu, choć nie było to łatwe, zważywszy na to, że miał ręce przywiązane do kuli siodła.

– A więc to jest czarodziejskie miasto – szepnął.

– Jesteś mi potrzebny, żeby mnie zaprowadzić do tego przejścia – warknął Fengbald – ale nie znaczy to, że nie mogę złamać ci ręki. Nie chcę więcej słyszeć o czarodziejskich miastach.

Helfgrim odwrócił się; na jego ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

– Książę Fengbaldzie, to wstyd być tak blisko czegoś podobnego i nie obejrzeć tego.

– Oglądaj sobie, co chcesz, tylko się zamknij. – Fengbald spojrzał groźnie na swoich żołnierzy, jakby sprawdzał, czy któryś ośmiela się podzielać zdanie Helfgrima.

Kiedy dotarli na brzeg zamarzniętego jeziora, Fengbald spojrzał w górę, odgarniając z twarzy targane wiatrem włosy.

– Ach, widzę, że chmury się gromadzą. To dobrze. – Odwrócił się do Helfgrima. – Najlepiej byłoby zrobić to nocą, ale nie jestem aż tak głupi, żeby liczyć na to, iż jakiś stary głupiec znajdzie drogę po ciemku. Poza tym Lezhdraka zdążył już pewnie narobić wystarczającego zamieszania po drugiej stronie jeziora.

– Z pewnością. – Helfgrim spojrzał ostrożnie na księcia. – Panie, może chociaż moje córki mogłyby jechać przy mnie?

Fengbald rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

– Dlaczego?

Starzec milczał przez chwilę.

– Trudno mi to powiedzieć. Wierzę w twoje słowo, panie, ale obawiam się, że żołnierze, pozostając poza zasięgiem wzroku, mogliby dopuścić się jakiejś niegodziwości.

Książę roześmiał się.

– Nie obawiasz się chyba, staruszku, o cnotę swoich córek? Moja intuicja mówi mi, że dni ich dziewictwa dawno już przeminęły.

Helfgrim drgnął.

– Nawet jeśli tak jest, zachowałbyś się uprzejmie, gdybyś ulżył sercu ojca.

Fengbald zastanawiał się przez moment, a potem zagwizdał na giermka.

– Isaak, powiedz strażnikom, którzy wiozą córki, żeby podjechali bliżej. Ucieszą się, że będą mogli jechać u boku swego pana.

Młody Isaak, który sam chętnie wsiadłby na konia, obojętnie czy u boku pana, czy nie, skłonił się i odszedł błotnistą ścieżką.

Niebawem pojawili się strażnicy. Córki Helfgrima nie były związane; obie siedziały na siodłach przed jeźdźcami, przypominając nieco branki Hyrków, o których mówiło się, że porywają często swoje narzeczone nocą i uwożą je bezceremonialnie, przerzucone przez siodło jak worki z paszą.

– Wszystko w porządku, córki? – spytał Helfgrim.

Młodsza otarła rąbkiem płaszcza zapłakane oczy i spróbowała uśmiechnąć się dzielnie.

– Nic nam nie jest, ojcze.

– To dobrze. Nie płacz, króliczku. Bądź dzielna jak twoja siostra. Nie ma się czego bać. Wiesz przecież, że książę Fengbald to człowiek honoru.

– Tak, ojcze.

Książę uśmiechnął się dobrotliwie. On wiedział najlepiej, jakim jest człowiekiem, ale dobrze było usłyszeć, że pospólstwo też o tym wie.

Wiatr zawiał mocniej, kiedy pierwsi jeźdźcy wyjechali na lód. Fengbald zaklął, gdyż jego koń potknął się i musiał szeroko rozstawić nogi, by się nie przewrócić.

– Nawet gdybym nie miał innego powodu – syknął – zabiłbym Josuę chociażby dlatego, że przez niego musiałem przyjechać na to odludzie.

– Daleko trzeba uciekać, żeby uniknąć twego długiego ramienia, książę Fengbaldzie – powiedział Helfgrim.

– Moje ramię sięgnie wszędzie.

Zza północnego zbocza wzgórza zawiał wiatr, niosąc nieomal poziomo padający śnieg. Fengbald zmrużył oczy i naciągnął na głowę kaptur.

– Czy to tutaj?

Helfgrim także wytężył wzrok i skinął głową, wskazując na ciemniejszą plamę.

– Tamto wzniesienie, panie. – Wciąż wpatrywał się w padający śnieg.

Fengbald uśmiechnął się.

– Dlaczego jesteś taki ponury? – spytał, przekrzykując wiatr. – Czyżbyś mi nie ufał?

Helfgrim spojrzał na swoje związane ręce i wydął usta.

– Nie, książę, ale smutno człowiekowi, kiedy zdradza ludzi, którzy byli dla niego dobrzy.

Książę skinął na najbliżej jadących jeźdźców.

– Zrobiłeś to, żeby ratować córki – szlachetny powód. Poza tym Josua i tak skazany był na porażkę. Nie jesteś bardziej winny od robaka, który zżera trupa, a który miałby być obwiniony za to, że śmierć zbiera plony. –

Uśmiechnął się zadowolony z udanego porównania. – Tak, nie jesteś bardziej winny od robaka.

Helfgrim podniósł wzrok. Jego pomarszczona, upstrzona płatkami śniegu twarz wydawała się szara.

– Może masz rację, książę Fengbaldzie.

Wzgórze wznosiło się teraz nad nimi niczym palec uniesiony w ostrzeżeniu. Znajdowali się zaledwie kilkaset łokci od krawędzi lodu, gdy Helfgrim znowu wskazał palcem.

– Tam jest ścieżka, książę Fengbaldzie.

Nawet z tak bliskiej odległości trudno było dostrzec wyłom w zaroślach. Jednak wystarczyło to, by Fengbald uwierzył, że Helfgrim mówił prawdę.

– Dobrze, a zatem... – zaczął książę, gdy nagle w górze rozległ się głos.

– Zatrzymaj się, Fengbaldzie! Nie wolno ci wchodzić!

Książę wstrzymał konia zaskoczony. U wylotu ścieżki pojawiła się grupa niewyraźnych postaci. Jedna z nich przyłożyła dłoń do ust.

– Wracaj, Fengbaldzie. Odejdź, opuść to miejsce! Pozwolimy ci odjechać do Erkynlandu!

Książę odwrócił się nagle do Helfgrima i uderzył go w głowę. Starzec zachwiał się i nieomal spadł z konia, lecz zdołał utrzymać się w siodle dzięki temu, że był do niego przywiązany.

– Zdrajco! Mówiłeś, że będzie tylko kilku strażników!

Helfgrim otworzył szerzej oczy, przerażony. Czerwony ślad po uderzeniu Fengbalda wyraźnie kontrastował z bladością policzka.

– Nie kłamałem, panie! Spójrz, jest ich tylko kilku!

Fengbald dał znak swoim żołnierzom, by pozostali na miejscu, a sam podjechał do przodu, wytężając wzrok.

– Jest was tylko garstka! – krzyknął do żołnierzy na ścieżce. – W jaki sposób mnie powstrzymacie?!

Jeden z mężczyzn wysunął się do przodu.

– Zrobimy to, Fengbaldzie. Oddamy życie, a nawet więcej, żeby cię zatrzymać!

– Dobrze! – Książę najwyraźniej przyjął, że przeciwnicy blefują i próbują go zastraszyć. – W takim razie dopilnuję, żebyście je szybko oddali! – Wzniósł dłoń, dając znak swoim ludziom.

– Stójcie! – zawołał żołnierz ze ścieżki. – Daję wam ostatnią szansę! Wiem, że mnie nie poznajesz, ale może pamiętasz moje imię? Jestem Freosel, syn Freobeorna.

– A co mnie to obchodzi, szalony człowieku?! – krzyknął Fengbald. – Ty nic dla mnie nie znaczysz!

– Tak samo jak nic nie znaczyły dla ciebie moje dzieci i żona, ojciec i matka, i inni pomordowani! – Ogromna postać wyszła na lód, a za nią pozostali obrońcy. – Było ich około dziesięciu. – Ty sukinsynu, spaliłeś połowę Falshire! Teraz przyszedł czas zapłaty!

– Dość tego! – Fengbald odwrócił się, by dać znak ludziom do ataku. – Na górę i oczyśćcie to szczurze gniazdo z szaleńców!

Freosel i jego towarzysze pochylili się i podnieśli coś, co przypominało topory, miecze czy też inny rodzaj broni. Chwilę później, kiedy jego ludzie ruszyli do przodu, Fengbald zobaczył zdumiony, że obrońcy zamierzają się ogromnymi drewnianymi młotami. Freosel pierwszy uderzył swoim w lód, jakby ogarnął go atak szaleństwa. Jego towarzysze ustawili się obok niego i zrobili to samo.

– Co oni robią? – ryknął Fengbald. Najbardziej wysunięci spośród jego żołnierzy wciąż znajdowali się jakieś sto łokci od brzegu. – Czy wszyscy ludzie Josui poszaleli z głodu i wyczerpania?

– Oni cię zabijają – odezwał się spokojny głos.

Książę odwrócił się i ujrzał Helfgrima wciąż przywiązanego do siodła. Strażnicy z córkami stali obok, podnieceni i zdezorientowani.

– O czym ty gadasz? – warknął Fengbald i zamierzył się mieczem, jakby chciał odciąć starcowi głowę. Zanim jednak zdołał uczynić krok, rozległ się przerażający, ogłuszający dźwięk – niczym trzask łamanej kości olbrzyma. Chwilę później odgłos się powtórzył. Gdzieś z przodu rozległy się najpierw wrzaski przerażonych mężczyzn, a potem zaraz jeszcze bardziej straszne, nieomal ludzkie kwiki przestraszonych koni.

– Co się dzieje? – dopytywał się książę, próbując zobaczyć coś poprzez kotłujących się ludzi.

– Przygotowali dla ciebie lód, Fengbaldzie. Pomogłem im to zaplanować. Widzisz, my też jesteśmy z Falshire. – Helfgrim mówił na tyle głośno, by być słyszanym poprzez wiatr. – Mój brat był tam burmistrzem. Wiedziałbyś o tym, gdybyś przybył tam w gościnę, a nie tylko po to, by kraść nasz chleb, nasze złoto, a nawet nasze kobiety. Nie myślałeś chyba, że będziemy siedzieć bezczynnie i pozwolimy ci zabić tych spośród nas, którym udało się uciec przed twoją brutalnością?

Rozległ się kolejny trzask i nagle, zaledwie kilkadziesiąt jardów od burmistrza i księcia, ze szczeliny wzbiła się fala czarnej wody. Wzdłuż pęknięcia odłamywały się kolejne kawały lodu; dwóch jeźdźców zsunęło się do wody i prawie natychmiast zniknęło w jej odmętach.

– Ale ty też zginiesz! – krzyknął Fengbald, kierując konia w stronę starca.

– Oczywiście. Nagrodą będzie to, że ja i moje córki pomścimy innych – ich dusze powitają nas z radością. – Na ustach Helfgrima pojawił się uśmiech zimny jak lód.

Fengbald nagle został rzucony w bok, kiedy biała powierzchnia lodu pod jego koniem wyskoczyła w górę. W następnej chwili koń księcia zniknął, a on sam próbował chwycić postrzępioną krawędź lodowej bryły, która chwiała się niebezpiecznie. Jego nogi już znajdowały się w lodowatej wodzie.

– Pomóżcie mi! – wrzasnął.

Helfgrim i jego córki wciąż siedzieli spokojnie w siodłach rzucających się koni. Ich strażnicy uciekali niezdarnie po ostatnim całym jeszcze kawale lodu w kierunku brzegu.

– Za późno! – zawołał starzec. Obie kobiety patrzyły w dół na księcia szeroko otwartymi oczami, starając się ogarnąć wzrokiem przerażającą scenę. – Za późno, Fengbaldzie – powtórzył Helfgrim. Zaraz potem nastąpił trzask i część lodu, na którym stała cała trójka, załamała się, pogrążając w czarnej wodzie. Burmistrz i jego córki zniknęli niczym duchy ścigane dźwiękiem kościelnego dzwonu.

– Ratunku! – wrzeszczał Fengbald. Jego palce osuwały się po lodzie. Kiedy przesunął się na lodzie, bryła, na której leżał, przechyliła się, tak że przeciwległy koniec wzniósł się wysoko, brzeg zaś z księciem zapadł się pod wodę. Fengbald wybałuszył oczy. – Nie! Ja nie mogę umrzeć! Nie mogę!

Lodowa ściana wzniosła się nieomal pionowo, a potem przechyliła szybko. Dłoń księcia chwyciła powietrze i zniknęła.

OCZY MAEGWIN PEŁNE BYŁY SŁOŃCA, lecz serce przepełniała wątpliwość, która promieniami bólu przenikała kończyny. Rimmersmeni Skalego zaganiali włóczniami jej ludzi, jakby byli zwierzętami.

– Bogowie naszego ludu! – Jej głos się załamał. – Uratujcie nas! Obiecaliście!

Skali Ostronosy podszedł do niej uśmiechnięty, z dłońmi zatkniętymi za pas.

– Dziewczyno, twoi bogowie nie żyją. Tak jak twój ojciec i twoje królestwo. Ale przydasz się na coś. – Maegwin czuła bijący od niego smród, podobny do odoru starego mięsa. – Piękna to ty nie jesteś, *haja*, ale masz długie nogi, a ja lubię takie. Chyba lepsze to, niż zostać dziwką moich ludzi, co?

Maegwin cofnęła się, unosząc ramiona, jakby chciała się obronić przed uderzeniem. Zanim zdążyła coś powiedzieć, w oddali rozległ się dźwięk rogu. Skali i część jego ludzi odwrócili się zdziwieni. Róg zagrał ponownie, czysto, przejmująco. Jego głos zabrzmiał nad Taig i poniósł się dalej ponad polami Hernysadharc. Maegwin wytężyła wzrok.

Najpierw był to tylko błysk, migotanie widoczne na wschodzie. Kopyta grzmiały jak rwąca rzeka wypełniona deszczami. Ludzie Skalego zaczęli gorączkowo szukać swoich hełmów, które odrzucili, widząc, z kim mają do czynienia. Sam Skali ryczał, by przyprowadzono mu konia.

„Wojsko”, zdała sobie sprawę Maegwin. Nie, to był sen, sen, który spełnił się na jawie, na ośnieżonych łąkach. Wreszcie przybyli!

Róg zagrał jeszcze raz! Jeźdźcy z niesłychaną szybkością zbliżali się do Hernysadharc. Ich zbroje lśniły wszystkimi kolorami tęczy: błękitem nieba, purpurą rubinów, zielenią liści, a także cynobrem mgły o zachodzie słońca. Teraz słyszała także ich śpiew, czysty, przeciągły jak głos niesłychanie melodyjnie ćwierkających ptaków. Mogło ich być stu, ale i dziesięć tysięcy: Maegwin nie potrafiła powiedzieć, gdyż przeraźliwe piękno nadjeżdżających nieomal nie pozwalało zatrzymać na nich oka. Emanowali światłem, kolorem i dźwiękiem, jakby świat uległ rozdarciu, z którego wylał się czysty sen.

Róg zagrał ponownie. Maegwin, nagle osamotniona, poszła chwiejnym krokiem w stronę Taig; w tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, że po raz pierwszy od najazdu Skalego dotyka drewnianych ścian dworu. Przerażeni Rimmersmeni zbierali się na zboczu wzniesienia, poniżej wielkiej komnaty jej ojca, próbując zwrócić konie w stronę tajemniczego oddziału. Rogi nadjeżdżającej armii znowu zagrały.

„Bogowie przybyli!” – Maegwin odwróciła się w drzwiach, by popatrzeć. Oto nadszedł kres jej bólu i spełniła się nadzieja: bogowie pędzili przez pola, by uratować jej ludzi! Bogowie! Bogowie! Sprowadziła bogów!

We wnętrzu dworu rozległ się hałas. Nadbiegali ludzie Skalego, naciągając hełmy i w pośpiechu sięgając po miecze. Jeden z nich wpadł na Maegwin i popchnął ją na innego, który uderzył ją z całej siły pięścią w głowę.

Świat Maegwin zawirował i zniknął.

TO BINABIK Z POMOCĄ SISQI odszukał wreszcie Simona, a raczej Qantaqa, która potrafiła znaleźć właściwy trop nawet w szaleństwie, jakie otaczało teraz wzgórze. Simon siedział na lodzie ze skrzyżowanymi nogami obok nieruchomej postaci ubranej w strój Fengbalda. Nad nim stała Nadzieja; drżąc w mroźnym wietrze, spuściła pysk do jego ucha. Qantaqa trąciła łapą nogę Simona i zaskomlała cicho, czekając na swojego pana.

– Simonie! – Binabik szedł ostrożnie po wyszczerbionym lodzie. Dookoła leżały ciała zabitych, lecz troll nie zatrzymał się przy żadnym z nich. – Czy jesteś ranny?

Simon podniósł wolno głowę. Gardło miał tak zaschnięte, że ledwo przemówił szeptem:

– Binabiku? Co się stało?

– Nic ci nie jest, Simonie? – Troll się pochylił, by przyjrzeć się przyjacielowi, i znowu się wyprostował. – Odniosłeś wiele ran. Musimy wracać.

– Co się stało? – powtórzył pytanie Simon.

Binabik ciągnął go za ramiona, próbując nakłonić, by wstał, lecz wydawało się, że Simon nie ma dość sił. Sisqi czekała z boku gotowa w każdej chwili pomóc.

– Wygraliśmy – powiedział Binabik. – Cena była wysoka, ale Fengbald nie żyje.

– Nie. – Wyraz zaniepokojenia pojawił się na nieprzytomnej twarzy Simona. – To nie był on. To był ktoś inny.

Binabik spojrzał na leżącą postać.

– Wiem, Simonie. Fengbald zginął gdzie indziej; straszna śmierć dla niego i jego ludzi. Ale chodźmy. Musisz się ogrzać, zjeść. Trzeba ci opatrzyć rany.

Simon jęknął cicho, pozwalając się podeprzeć trollowi, który przyglądał mu się z niepokojem. Simon pokuśtykał kilka kroków, po czym zatrzymał się i chwycił wodze Nadziei.

– Nie dam rady wsiąść – powiedział cicho.

– Chodź pieszo, jeśli możesz – powiedział Binabik. – Powoli. Sisqi i ja pójdziemy z tobą.

Wyprzedzani przez Qantaqę poszli wolno w stronę Kamienia, którego szczyt skąpany był w krwawym blasku zachodzącego słońca. Nad zamarzniętym jeziorem wisiała gęsta mgła; kruki niczym małe, czarne demony przeskakiwały z ciała na ciało.

– Och, Boże – powiedział Simon. – Chcę iść do domu.

Binabik pokręcił tylko głową.

16. Pochodnie w błocie

ZATRZYMAJ SIĘ. – CADRACH MÓWIŁ NIEOMAL SZEPTEM, lecz w jego głosie wyraźnie dało się słyszeć napięcie.

Isgrimnur zanurzył bosak głębiej, aż dotknął błotnistego dna. Łódź podryfowała z powrotem w trzciny.

– O co chodzi, człowieku? – spytał poirytowany. – Sprawdziliśmy wszystko z tysiąc razy. Czas płynąć.

Na dziobie łodzi siedział stary Camaris z długą włócznią, którą Isgrimnur zrobił ze sztywnej trzciny. Była cienka i lekka, z jednym końcem wyostrzonym na kamieniu, tak że przypominał on ostry sztylet. Jak zwykle stary rycerz wydawał się nieświadom tego, o czym rozmawiali pozostali. Uniósł włócznię i wykonał udawane pchnięcie, zanurzając jej czubek w wodzie.

Cadrach wciągnął głęboko powietrze. Miriamele miała wrażenie, że mnich zaraz się rozpłacze.

– Nie mogę płynąć.

– Nie możesz? – Isgrimnur prawie krzyknął. – Co to znaczy „nie mogę”? To był twój pomysł, żeby zaczekać do rana i wtedy udać się do gniazda! No więc, o co ci teraz chodzi?

Mnich pokręcił głową, unikając wzroku księcia.

– W nocy próbowałem zebrać odwagę. Modliłem się przez całe rano – ja! – Rzucił Miriamele pełne ironii spojrzenie. – Ja! A mimo to nie mogę. Jestem tchórzem i dlatego nie mogę popłynąć w takie miejsce.

Miriamele położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nawet żeby ratować Tiamaka? – Dotykała jego ramienia delikatnie, jakby mnich był z kruchej porcelany. – Nawet, jak sam mówiłeś, żeby nas ratować? Przecież bez Tiamaka możemy nigdy się stąd nie wydostać.

Cadrach ukrył twarz w dłoniach. Miriamele poczuła, że ogarnia ją dawna nieufność. Czy to możliwe, by mnich udawał? Co on knuje?

– Niech Bóg mi wybaczy, pani – jęknął – ale ja po prostu nie mogę pójść do tej dziury pełnej paskudnych stworzeń. Nie mogę. – Jego plecami wstrząsnął dreszcz i Miriamele pomyślała, że mnich nie może udawać. – Już dawno pogodziłem się z myślą, że nie jestem prawdziwym mężczyzną – wyznał poprzez palce. – Wierzcie mi, nie chodzi mi nawet o moje życie. Ale nie mogę.

Isgrimnur mruczał pod nosem zdesperowany.

– A niech cię, to już koniec. Powinienem był rozwalić ci łeb, tak jak zamierzałem, gdy tylko się spotkaliśmy. – Książę zwrócił się do Miriamele: – Nie powinnaś była mnie przekonywać. – Znowu przeniósł oskarżycielski wzrok na Cadracha. – Porywacz, pijak i tchórz!

– Tak, rzeczywiście powinieneś chyba mnie zabić przy pierwszej okazji – powiedział obojętnie Cadrach. – Ale zapewniam cię, że lepiej będzie, jeśli zrobisz to teraz, zamiast ciągnąć mnie do tego błotnistego gniazda. Nie pójdę tam.

– Ale dlaczego, Cadrachu? – spytała Miriamele. – Dlaczego?

Mnich spojrzał na nią. Jego zapadłe oczy i zaczerwieniona od słońca twarz wydawały się błagać o zrozumienie, lecz ponury uśmiech mówił, że Cadrach nie liczy na to. – Po prostu nie mogę, pani. Przypomina mi ono... o pewnym miejscu, w którym kiedyś byłem. – Mnich znowu zadrżał.

– Jakim miejscu? – dopytywała się, lecz Cadrach milczał.

– Aedonie na świętym Drzewie – burknął Isgrimnur. – Co my mamy robić?

Miriamele utkwiła wzrok w kołyszących się trzcinach, które ukrywały ich jeszcze przed gniazdem ghantów, znajdującym się kilkaset łokci w górę kanału. Błotnisty brzeg cuchnął odpływem. Skrzywiła się i westchnęła. Rzeczywiście, co mieli robić?

Dopiero późnym popołudniem poprzedniego dnia zdecydowali się na jakiś plan. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Tiamak nie żyje, co utrudniało podjęcie decyzji. Chociaż nikt tego nie mówił, wszyscy dzielili skryte przekonanie, że najlepiej byłoby płynąć dalej i liczyć na to, że Wrańczyk, którego znaleźli w łodzi Tiamaka, dojdzie do siebie na tyle, by wskazać im drogę. Gdyby to zawiodło, mogli spotkać innego tubylca, który wyprowadziłby ich z bagien Wranu. Żadne z nich nie czuło się dobrze na myśl o pozostawieniu Tiamaka, chociaż wydawało się to najbezpieczniejszym dla nich wyjściem, lecz z drugiej strony strach było pomyśleć, co musieliby zrobić, żeby sprawdzić, czy on żyje, i jeszcze go uratować.

A jednak Miriamele odetchnęła, kiedy Isgrimnur oświadczył, że nie postąpiliby po aedonicku, zostawiając Tiamaka. Bez względu na to, jak przerażająca była myśl o pójściu do gniazda ghantów, nie chciała odpływać, nie podejmując chociażby próby uratowania Wrańczyka. Przecież wcześniej stawała wobec równie nieprzyjemnych ewentualności. A poza tym, jak mogłaby żyć z myślą, że ona zdołała się uratować, gdy tymczasem ten mały, nieśmiały uczony pozostał wśród potworów?

Cadrach – najbardziej ze wszystkich obawiający się gniazda – nalegał, by zaczekać do rana. Jego argumenty nie były pozbawione słuszności: nie było sensu podejmować tak szaleńczej akcji bez planu bitwy, a już z pewnością nierozsądnie było zaczynać ją tuż przed zachodem słońca.

Cadrach stwierdził, że będą potrzebowali nie tyle broni, ile pochodni, gdyż gniazdo miało wprawdzie otwory wpuszczające światło, ale nie można było przewidzieć, jakie ciemne korytarze wiją się we wnętrzu budowli. Tak więc przyjęto sugestie mnicha.

Dopłynęli do brzegu zarośniętego zielonymi, grubymi trzcinami i tam rozbili obóz. Miejsce było podmokłe i błotniste, lecz znajdowało się w bezpiecznej odległości od gniazda. Isgrimnur naciął swoim mieczem ogromne naręcze trzcin, a potem razem z Cadrachem utwardzili je nad żarem z ogniska. Niektóre zaostrzyli na końcach, zamieniając je na krótkie włócznie; inne rozcięli częściowo i między połowy wsunęli kamienie, które następnie przywiązali pnączami, tak by powstały prymitywne maczugi. Isgrimnur narzekał, że nie mają dobrego drewna i lin, ale Miriamele i tak podziwiała ich pracę. Czuła się o wiele pewniej, wiedząc, że będą mieli choć tak prymitywną broń. Na końcu poświęcili część ubrań, które Miriamele zabrała z wioski, drąc je na paski i owijając nimi pozostałe trzciny. Miriamele rozgniotła liść jednego z drzew zwanego przez Tiamaka palmą oliwną, po czym umoczyła szmatę w jego soku i przytknęła do ognia. Paliła się, choć nie tak dobrze jak oliwna lampa; spalająca się oliwa wydawała kwaśny, nieprzyjemny zapach. Miriamele stwierdziła, że pozwoli im to utrzymać przez jakiś czas zapalone pochodnie, a przeczuwała, że cenna będzie dla nich każda chwila. Rozgniotła więcej podobnych liści i uzyskaną z nich papką natarła szmaty pochodni; sok był tak gęsty i kleisty, że niebawem trudno jej było rozdzielić palce.

Kiedy wreszcie świt rozjaśnił trochę niebo, Isgrimnur obudził przyjaciół. Postanowili, że zostawią rannego Wrańczyka w obozie: wydawał się tak bardzo wyczerpany, iż nie było sensu narażać go na kolejne niebezpieczeństwo. Stwierdzili, że jeśli przeżyją próbę uratowania

Tiamaka, powrócą do obozu, jeśli nie, to przynajmniej on będzie miał niewielką szansę przetrwania i ucieczki.

ISGRIMNUR WYCIĄGNĄŁ BOSAK Z WODY i strząsnął z jego końca grudę błota.

– A zatem, co robimy? Mnich jest bezużyteczny.

– Może jednak przyda się na coś. – Miriamele spojrzała znacząco na Cadracha. – Nie podniósł wzroku. – W każdym razie możemy wykonać pierwszą część planu.

– Masz rację. – Isgrimnur patrzył na Hernystirczyka, jakby miał ochotę wypróbować na nim jedną z maczug. Po chwili wcisnął mu w dłonie bosak. – Ruszajmy. A ty zrób coś pożytecznego.

Cadrach wyprowadził łódź z trzcinowego lasu na środek strumienia. Poranne słońce nie świeciło zbyt jasno, przesłonięte cienką warstwą chmur, lecz powietrze było cieplejsze niż poprzedniego dnia. Miriamele czuła pot na czole i żałowała, że nie ma odwagi zdjąć butów, by zanurzyć stopy w błotnistej wodzie.

Niebawem ujrzeli cel swojej podróży i wtedy zbliżyli się bardziej do brzegu, starając się możliwie najdłużej pozostać pod osłoną trzcin i drzew. Gniazdo wyglądało równie złowrogo jak poprzedniego dnia, lecz teraz wydawało się, że kręci się wokół niego mniej ghantów. Kiedy nie odważyli się już płynąć dalej, Isgrimnur pozwolił łodzi podryfować na przeciwległy brzeg strumienia, gdzie drzewa całkowicie zasłoniły ich przed wzrokiem mieszkańców gniazda.

– Teraz zaczekamy – powiedział cicho.

Siedzieli długo w milczeniu. Najbardziej dokuczały owady. Miriamele, nie chcąc robić hałasu uderzeniem, próbowała je zdejmować palcami, lecz było ich zbyt wiele i okazały się uparte, dlatego nie mogła uchronić się przed licznymi ukąszeniami. Całe ciało swędziało ją tak bardzo, że

wydawało się jej, iż za chwilę zwariuje; myśl o tym, żeby wskoczyć do wody i utopić wszystkie robaki jednocześnie, stawała się coraz bardziej nieodparta. Zacisnęła mocno dłonie na burcie łodzi. Jak byłoby przyjemnie. Przestałoby swędzieć. Do diabła z krokodylami...

– Tam – szepnął Isgrimnur.

Miriamele podniosła wzrok.

Kilkadziesiąt łokci od ich łodzi samotny ghant schodził po długiej gałęzi zwisającej nad samą wodą. Połączone stawami nogi sprawiały wrażenie, że porusza się trochę niezgrabnie, lecz szedł szybko i sprawnie po cienkiej, kołyszącej się gałęzi. Od czasu do czasu zamierał w bezruchu i wtedy szary, upstrzony porostami, wydawał się naturalnym wybrzuszeniem kory.

– Pchaj – szepnął Isgrimnur, dając znak Cadrachowi.

Mnich odepchnął łódź od brzegu i pozwolił jej unosić się wolno w kierunku gałęzi. Wszyscy w łodzi siedzieli nieruchomo.

Początkowo wydawało się, że ghant ich nie zauważył. Łódź zbliżała się, a on sunął cierpliwie wzdłuż gałęzi w stronę trzech małych ptaków, które siedziały na jej końcu. Ptaki, podobnie jak myśliwy, które na nie czatował, wydawały się nieświadome niebezpieczeństwa.

Isgrimnur pochylony do przodu zajął pozycję na dziobie łodzi. Wreszcie ghant ich zauważył; czarne oczy zalśniły, kiedy stwór kołysał się w miejscu, zastanawiając się pewnie, czy zbliżający się obiekt jest zagrożeniem czy potencjalnym kąskiem. Isgrimnur uniósł włócznię i wtedy ghant podjął decyzję: odwrócił się błyskawicznie i ruszył w kierunku pnia drzewa.

– Teraz, Isgrimnurze! – krzyknęła Miriamele.

Rimmersman cisnął włócznią z całej siły. Łódź przechyliła się niebezpiecznie. Ptaki poderwały się, krzycząc i trzepocząc gwałtownie

skrzydłami. Włócznia wyleciała ze świstem, rozwijając za sobą cenną linę Tiamaka, i ugodziła w ghanta, lecz nie przebiła jego pancerza – odbiwszy się od niego, wpadła do wody, siła uderzenia była jednak na tyle duża, że zrzuciła zwierzę z gałęzi. Ghant zniknął na chwilę pod wodą, a potem zaraz się wynurzył, przebierając wściekle nogami; w następnej chwili obrócił odwłok i zaczął niezgrabnie płynąć w stronę brzegu.

Cadrach szybko popchnął łódź, aż znalazła się przy ghancie. Isgrimnur pochylił się nisko i uderzył go dwukrotnie płaską stroną miecza. Ghant wynurzył się z wody nieruchomy, a wtedy Isgrimnur szybko założył pętlę na jedną z jego łap, by zaholować zwierzę do brzegu.

– Nie chcę go kłaść w łodzi – powiedział.

Miriamele w duchu przyznała mu rację.

Ghant sprawiał wrażenie martwego – pancerz jego bulwiastej głowy był pęknięty, a ze szczeliny ciekła szaroniebieska ciecz – lecz mimo to wszyscy trzymali się w bezpiecznej odległości, kiedy odwracali go na grzbiet na piaszczystym brzegu. Jedynie Camaris pozostał w łodzi, choć przyglądał się wszystkiemu z zainteresowaniem.

Isgrimnur zmarszczył czoło.

– Boże, miej nas w opiece. Paskudne robale.

– Nie zabijemy ich twoją włócznią. – W opinii Miriamele ich szanse na powodzenie znacznie zmalały.

Isgrimnur pomachał dłonią uspokajająco.

– Tak, mają gruby pancerz. Nasze włócznie muszą być cięższe. Myślę, że wystarczy umocować z tyłu kamień. Nie martw się niepotrzebnie, księżniczko. Zrobimy, co mamy do zrobienia.

Dziwne, lecz uwierzyła mu i poczuła się lepiej. Isgrimnur zawsze traktował ją jak ulubioną siostrzenicę, nawet wtedy, gdy stosunki księcia z jej ojcem stały się napięte. Ona zaś darzyła go pełną miłości i przekory

poufałością, na którą nigdy nie potrafiła się zdobyć wobec Eliasa. Wiedziała, że Isgrimnur zrobi wszystko, co w jego mocy, by zapewnić im bezpieczeństwo, a skoro książę Elvritshalli robił wszystko, co w jego mocy, to można było mieć nadzieję na sukces. Isgrimnur był niesłychanie zdolnym człowiekiem, choć pozwalał swoim towarzyszom i domownikom podśmiechiwać się ze swojego porywczego usposobienia oraz gołębiego serca, które się pod nim kryło. Miriamele cieszyła się bardzo, że jest z nią teraz.

– Mam nadzieję, że masz rację. – Uścisnęła jego ogromną dłoń.

Wszyscy wpatrywali się w zabitego ghanta. Miriamele teraz dopiero zobaczyła, że ma on sześć nóg, a nie cztery, jak poprzednio myślała. Dwie, których nie dostrzegła wcześniej, były małe i drobne, a znajdowały się w miejscu, gdzie pozbawiona szyi głowa łączyła się z tułowiem. Pysk zwierzęcia skrywała częściowo dziwna, jakby pierzasta grzywka, a jego matowa, skórzasta skorupa przypominała żółwie jajo.

– Odwróć się, księżniczko – powiedział Isgrimnur, unosząc Kvalnir. – Nie spodoba ci się ten widok.

Miriamele powstrzymała uśmiech. „A on myśli, że co ja robiłam przez ostatnie pół roku?”

– Nie jestem aż tak wrażliwa.

Książę opuścił miecz, przyłożył go do brzucha zwierzęcia i pchnął. Ghant osunął się nieco w błocie. Isgrimnur chrząknął i przytrzymując stopą odwłok, pchnął jeszcze raz. Musiał naciskać przez chwilę, zanim miecz przebił się przez skorupę, która ustąpiła z lekkim trzaskiem. Miriamele cofnęła się, czując słonawy, kwaśny odór.

– Skorupa jest twarda – powiedział Isgrimnur. – Ale da się ją przebić. – Zdobył się na uśmiech. – Myślałem, że może przyjdzie nam oblegać zamek pełen żołnierzy w ciężkich zbrojach.

Cadrach zbladł jak ściana, lecz nie odrywał wzroku od ghanta, zafascynowany.

– W przerażający sposób przypomina człowieka, tak jak mówił Tiamak – powiedział cicho. – Ale nie będę specjalnie współczuł ani temu, ani innym, które zabijemy.

– Zabijemy? – zaczął gniewnie Isgrimnur, lecz zaraz umilkł, czując kolejny uścisk dłoni Miriamele.

– Czego jeszcze możemy się teraz dowiedzieć? – spytała.

– Nie widzę jadowitych żądeł ani zębów, więc pewnie nie gryzą jak pająki, co jest bardzo obiecujące. – Książę wzruszył ramionami. – Można je zabić. Ich skorupy nie są tak twarde jak skorupy żółwia. To nam chyba wystarczy.

– W takim razie czas ruszać – powiedziała Miriamele.

CADRACH POPCHNĄŁ PŁASKĄ ŁÓDŹ w kierunku brzegu. Teraz znaleźli się zaledwie kilkaset kroków od gniazda. Jak dotąd wydawało się, że pozostają niezauważeni.

– Co z łodzią? – spytał szeptem Isgrimnur. Czy możemy ją zostawić, a potem szybko do niej wrócić? – I krzywiąc się, dodał: – A co z tym przeklętym mnichem?

– Mam pomysł – szepnęła Miriamele. – Cadrachu, jeśli utrzymasz łódź na środku strumienia, dopóki nie wyjdziemy na zewnątrz, będziesz mógł podpłynąć pod samo gniazdo i nas zabrać. Pewnie będziemy się spieszyć – dodała, uśmiechając się kwaśno.

– Co? – Isgrimnur najwyraźniej powstrzymywał się, by nie ryknąć. – Chcesz zostawić tego tchórza w naszej łodzi? Chcesz pozwolić, żeby nas

opuścił, gdy przyjdzie mu na to ochota? Nie, na Aedona, zabierzemy go ze sobą, nawet związanego i zakneblowanego, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Cadrach ścisnął mocno bosak, aż zbielały mu kostki.

– Równie dobrze możecie mnie zabić – rzucił chrapliwym głosem. – Gdyż umrę, jeśli mnie tam zaciągniecie.

– Przestań, Isgrimnurze. Może nie pójdzie z nami do gniazda, ale i nie zostawi nas tutaj. Nie po tym, co on i ja razem przeszliśmy. – Odwróciła się do mnicha i spojrzała na niego znacząco. – Prawda, Cadrachu?

Podniósł ostrożnie wzrok, jakby spodziewał się jakiegoś podstępu. Milczał przez chwilę.

– Nie, pani, nie zrobiłbym tego, bez względu na to, co myśli książę Isgrimnur.

– Księżniczko, dlaczego miałbym ci na coś takiego pozwalać? – rzucił gniewnie książę. – Przecież sama mówiłaś, że okradł cię i sprzedał wrogowi!

Miriamele zachmurzyła się. To była prawda, a i tak nie powiedziała Isgrimnurowi wszystkiego. Nie opowiedziała mu o tym, jak Cadrach próbował uciec i zostawić ją na statku Aspitisa. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak bardzo wierzyła, że Cadrach ich nie zostawi, lecz doszła do wniosku, iż nie ma to sensu: nie znała odpowiedzi. Po prostu wierzyła, że on tam będzie, kiedy wyjdą na zewnątrz... jeśli w ogóle wyjdą.

– Nie mamy specjalnie wyboru – powiedziała do księcia. – Jeśli nie zmusimy go do pójścia z nami, a i bez tego nasze zadanie będzie wystarczająco trudne, będziemy musieli związać go gdzieś i powstrzymać przed zabraniem łodzi, gdyby zdecydował się tak postąpić. Nie widzisz, Isgrimnurze, że to najlepsze rozwiązanie? Nie wiadomo, co się stanie, jeśli zostawimy łódź bez opieki, nawet schowaną przed ghantami.

Isgrimnur długo milczał, a jego obrośnięte brodą szczęki poruszały się, jakby przeżuwał kolejne ewentualności.

– Chyba masz rację – odezwał się wreszcie. – Niech tak będzie, ale jeśli nie znajdziemy cię tam, kiedy wyjdziemy... – spojrzał groźnie na Cadracha – ...odszukam cię i połamię kości, a potem zjem jak bażanta.

Cadrach uśmiechnął się smutno.

– Jestem pewien, że zrobiłbyś to, książę Isgrimnurze. – Mnich odwrócił się do Miriamele. – Pani, dziękuję za okazane mi zaufanie. Niełatwo jest być kimś takim jak ja.

– I dobrze – warknął Isgrimnur. – Inaczej byłoby was o wiele więcej.

– Wszystko będzie dobrze, Cadrachu – powiedziała Miriamele. – Tylko módl się za nas.

– Do wszystkich bogów, jakich znam.

Nie przestając mruczeć pod nosem, książę uderzył krzesiwem i przyłożył iskrę do jednej z pochodni. Pozostałe poutykali razem z Miriamele za pasy, tak że wyglądali jak jeże. Miriamele zabrała maczugę i jedną z obciążonych włóczni, podobnie jak Camaris, który dzierżył swoją broń z obojętną miną. Isgrimnur miał u boku swój miecz Kvalnir, a w wolnej ręce trzymał dwie krótkie włócznie.

– Żeby wyruszać na bitwę z patykiem w ręku – mruczał. – I po co? Żeby walczyć z robakami.

– Może to być temat do paskudnej piosenki – szepnęła Miriamele.

– Albo wspaniałej ballady. Zobaczymy. – Odwróciła się do Camarisa. – Sir Camarisie, idziemy pomóc Tiamakowi, twojemu przyjacielowi, pamiętasz? On jest tam. – Wskazała włócznią na gniazdo widoczne częściowo poprzez drzewa. – Musimy go odnaleźć i wyprowadzić. – Wpatrywała się w jego obojętną twarz. – Isgrimnurze, czy myślisz, że on rozumie?

– Stał się dość głupkowaty, ale nie aż tak bardzo, jak by się wydawało.

– Książę chwycił nisko zwisającą gałąź i przeszedł przez burtę, wchodząc do sięgającej mu goleni wody. – Księżniczko, pomogę ci. – Podniósł ją do góry i postawił na brzegu. – Josua nigdy mi nie wybaczy, jeśli coś ci się stanie. W dalszym ciągu twierdzę, że głupotą jest zabierać ciebie, szczególnie że ten tutaj zostaje sobie bezpiecznie.

– Potrzebujesz mnie – powiedziała. – Będzie dość zajęcia dla trojga.

Isgrimnur pokręcił głową bez przekonania.

– Tylko trzymaj się blisko mnie.

– Dobrze, wuju.

Gdy tylko Camaris dobrnął do brzegu, Cadrach zaczął odpychać łódź na głębszą wodę.

– Zaczekaj – powstrzymał go Isgrimnur. – Zaczekaj przynajmniej, dopóki nie znajdziemy się w środku. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, zanim będziemy gotowi.

Cadrach skinął głową i zatrzymał łódź bosakiem.

– Niech was Bóg strzeże – powiedział cicho. – Powodzenia.

Książę prychnął i ruszył przez zarośla, chlupocąc butami w błocie. Miriamele kiwnęła głową do Cadracha, wzięła Camarisa za rękę i ruszyła za księciem.

– Powodzenia – powtórzył Cadrach. Odchodzący nie usłyszeli już jego szeptu.

WIDZICIE! – SYKNĘŁA MIRIAMELE. – Tamto jest wystarczająco duże!

W powietrzu unosiło się delikatne buczenie. Byli już bardzo blisko gniazda, tak blisko, że Miriamele mogłaby go dotknąć, gdyby odważyła się wysunąć ramię z kwitnących zarośli, w których się ukrywali. Zbliżając się

do ulepionej z błota budowli, zdali sobie sprawę, że liczne spośród drzwi, które w rzeczywistości były zwykłymi dziurami, okazały się za małe, by przeszła przez nie chociaż księżniczka, a co dopiero ogromny Isgrimnur.

– Dobrze – powiedział książę. – Spróbujmy tamtędy. – Sięgnął już po swoją pochodnię, lecz wstrzymał się i dał znak, by pozostali uczynili to samo. Pod ścianą gniazda kilka łokci od nich pojawiły się dwa ghanty. Chociaż szły jeden za drugim, to mlaskały i posykiwały do siebie, jakby prowadziły rozmowę. Miriamele znowu zaczęła się zastanawiać, do jakiego stopnia są one inteligentne. Ghanty przeszły obok na czterech łapach. Cała trójka obserwowała je, dopóki nie zniknęły za krzywizną gniazda.

– Teraz. – Isgrimnur wyciągnął z błota swoją pochodnię; wcisnął ją tam za sobą, żeby zasłonić jej płomień. Nawet w porannym słońcu Miriamele poczuła się przy nim trochę bardziej bezpieczna.

Rozejrzawszy się na wszystkie strony, książę podszedł do gniazda i przechylił się przez nierówny otwór. Po chwili wszedł do środka i dał znak Miriamele i Camarisowi.

Kiedy nadszedł ten moment, Miriamele zawahała się, zanim weszła za księciem, wciągając głęboko powietrze, jakby nurkowała. Rozumiała decyzję Cadracha o wiele lepiej niż swoją własną. To miejsce jest pełne takich pełzających, mlaskających stworów... Poczuła, że trzęsą jej się kolana. Jak można wejść do tej czarnej dziury? Ale w niej był już Tiamak, sam wśród ghantów. Może woła o pomoc w ciemności.

Przełknęła ślinę i weszła do środka.

Znalazła się w okrągłym korytarzu, szerokim na wyciągnięcie ramion i nieco wyższym od niej. Isgrimnur musiał się schylić, lecz idący za nią Camaris zmuszony był zgiąć się wpół. Z glinianych ścian wystawały kamienie i kawałki patyków, a wszystko pokryte było jasną pianką, która

przypominała ślinę. W ciemnym i wilgotnym tunelu czuć było rozkładającą się roślinność.

– Uch! – Miriamele wykrzywiła nos. Serce biło jej szybko. – Wcale mi się to nie podoba.

– Wiem – szepnął Isgrimnur. – Paskudnie. Ale idźmy dalej.

Poszli krętym korytarzem, ślizgając się w błocie. Isgrimnurowi i Camarisowi tym trudniej było utrzymać równowagę, że przez cały czas musieli iść zgięci. Miriamele czuła, że odwaga opuszcza ją coraz bardziej. Dlaczego tak bardzo nalegała, by pokazać, jaka jest dzielna? To nie było miejsce dla dziewczyny. To nie było odpowiednie miejsce dla kogokolwiek.

– Chyba Cadrach miał rację. – Starała się powstrzymać drżenie głosu.

– Nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby tutaj przychodzić – odpowiedział cicho książę. – Ale nie o to chodzi. Poza tym, jeśli dalej będzie tak, jak to wygląda tutaj, to będę szczęśliwy. Boję się tylko, żebyśmy nie dostali się do mniejszego tunelu, gdzie należałoby iść na czworakach.

Miriamele pomyślała, że może trzeba będzie uciekać przed ghantami i nie będą mogli biec. Spojrzała na lśniącą i śliską podłogę tunelu i zadrżała.

Światło wejścia stawało się coraz ciemniejsze, w miarę jak pokonywali kolejne zakręty korytarza. Zapach zgnilizny stawał się coraz bardziej intensywny, lecz pojawił się też inny, ostrzejszy. Miriamele wsunęła swoją maczugę za pas i zapaliła jedną z pochodni od pochodni Isgrimnura, a potem jeszcze jedną, którą podała Camarisowi; starzec wziął ją równie spokojnie, jak niemowlę bierze podaną mu skórkę chleba. Miriamele zazdrościła mu jego spokoju idioty.

– Gdzie są ghanty? – spytała szeptem.

– Nie szukaj kłopotów. – Isgrimnur zrobił pochodnią znak Drzewa, zanim ruszył dalej.

Nierówny tunel wił się licznymi zakrętami, jakby przeprawiali się przez bebechy jakiegoś ogromnego zwierzęcia. W pewnym momencie doszli do innego, poprzecznego korytarza. Isgrimnur zatrzymał się i nasłuchiwał przez chwilę.

– Z tego chyba dochodzi głośniejszy hałas. – Książę wskazał na odnogę. Rzeczywiście głuche buczenie rozbrzmiewało trochę głośniej.

– Tylko czy powinniśmy iść w tamtą stronę, czy w przeciwnym kierunku? – Miriamele próbowała odegnać dłonią duszący dym z pochodni.

Isgrimnur spojrzał na nią zrezygnowany.

– Myślę, że Tiamak czy jakikolwiek inny więzień będzie raczej w samym sercu gniazda. Pójdźmy w stronę hałasu, choć nie powiem, żeby mi się to podobało – dodał. Uniósł ramię i jedną z trzcinowych włóczni nakreślił koło, odsłaniając pod pianką błotnistą ścianę. – Musimy pamiętać, żeby zaznaczać drogę.

Ściany nowego tunelu pokrywała grubsza warstwa piany, a w niektórych miejscach zwisała nawet z sufitu kleistymi soplami. Miriamele starała się ze wszystkich sił ich nie dotykać, lecz oddychania nie dało się uniknąć. Miała wrażenie, że nieprzyjemne i gęste powietrze krzepnie w jej płucach. Przez cały czas wmawiała sobie, że przecież nie ma jeszcze powodów do narzekań: przebywali w gnieździe już od jakiegoś czasu, a wciąż nie spotkali jego mieszkańców. Już sam ten fakt stanowił o ich wielkim szczęściu.

– To miejsce z zewnątrz nie wygląda na tak duże – powiedziała do Isgrimnura.

– Nigdy nie widzieliśmy, jak wygląda od tyłu. – Ostrożnie ominął grudę białego błota. – A poza tym sądzę, że te tunele wzajemnie się zapętlają. Założę się, że gdybyś przebiła się przez tę... – uderzył w ścianę swoją

pochodnią; piana zasyczała i zabulgotała – z pewnością trafiłabyś na inny tunel po drugiej stronie.

– Ciągle w koło. Jak w muszli – szepnęła Miriamele. Już na samą myśl o takiej niekończącej się spirali błota i mroku kręciło jej się w głowie. Ze wszystkich sił starała się opanować strach. – A jednak... – zaczęła.

Gdzieś z przodu coś się poruszyło.

Ghant musiał wyjść z jakiegoś bocznego tunelu; teraz stał nieruchomo na środku ich przejścia. Isgrimnur także zastygł na moment, a potem wolno poszedł do przodu. Ghant, choć nie posiadał części ciała, którą można by nazwać twarzą, wpatrywał się w nich, kurcząc i prostując małe nóżki umiejscowione tuż pod głową. Nagle odwrócił się i zaczął się oddalać w górę tunelu. Isgrimnur wahał się przez chwilę, a potem pobiegł ciężko za nim, z trudem utrzymując równowagę. W pewnym momencie zatrzymał się i rzucił włócznią, po czym wyprostował się i syknął z bólu, co przyprawiło Miriamele o gwałtowne bicie serca.

– A niech to! Uderzyłem się w głowę. Uważajcie, ten przeklęty sufit jest bardzo niski. – Stał, rozcierając czoło.

– Masz go?

– Chyba tak. Nie widzę dokładnie. – Książę poszedł kilka kroków do przodu. – Tak. Nie żyje, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Miriamele podeszła bliżej i spojrzała ostrożnie ponad ramieniem Isgrimnura na stworzenie widoczne w plamie blasku pochodni. Ghant leżał w błocie z włócznią Isgrimnura wystającą z jego grzbietu; z rany wyciekała strużka rzadkiej cieczy, trochę tylko jaśniejszej od krwi. Nogi zwierzęcia drgnęły kilkakrotnie, a potem znieruchomiały, kiedy Camaris pochylił się i przewrócił je. Twarz ghanta pozostawała bez wyrazu tak samo po śmierci, jak i za życia. Starzec zebrał z podłogi garść błotnistej ziemi i rzucił ją na pierś martwego zwierzęcia. Miriamele pomyślała, że to bardzo dziwny gest.

– Chodźmy – szepnął Isgrimnur.

Nowy tunel nie był już tak kręty jak pierwszy. Biegł stromo w dół; nierówne i gąbczaste ściany wyglądały, jakby wypluły je właśnie jakieś ogromne szczęki – spoglądając na lśniące sople piany, Miriamele postanowiła odegnać tę myśl.

– A niech to – odezwał się nagle Isgrimnur. – Ugrzązłem.

Jego but zapadł się głęboko w błotniste podłoże tunelu. Miriamele podała przyjacielowi rękę, by mógł złapać równowagę, wyciągając nogę. Z dziury wydobył się okropny odór, a malutkie stworzenia wykopane butem szybko zagrzebały się ponownie. Pomimo całych swych wysiłków Isgrimnur zapadał się coraz głębiej.

– To jest jak wsysający piasek, o którym opowiadał Tiamak. Nie można się z niego wydobyć. – W jego głosie zabrzmiała nuta strachu.

– To tylko błoto. – Miriamele chciała, by jej słowa zabrzmiały spokojnie, lecz jednocześnie zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby teraz nadeszły ghanty. – Zostaw but, jeśli będzie trzeba.

– Cała noga mi się zapadła, nie tylko but. – Rzeczywiście jedna noga księcia zapadła się w błoto po kolano, stopa drugiej także skryła się już w błocie. Smród padliny stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

Camaris zbliżył się do Isgrimnura i ustawił swe nogi po obu stronach jego stopy, po czym chwycił za nogę księcia. Miriamele modliła się, by była tam tylko jedna plama zdradliwego błota. Jeśli byłoby inaczej, obaj mogliby zostać w pułapce. Co ona by wtedy zrobiła?

Stary rycerz pociągnął. Isgrimnur stęknął z bólu, lecz jego stopa pozostała w błocie. Camaris pociągnął jeszcze raz, napinając się tak mocno, że żyły na jego szyi nabrzmiały jak grube liny. Wreszcie noga Isgrimnura wysunęła się z błota z głuchym plaśnięciem. Camaris natychmiast odciągnął go na twardszy grunt.

Książę stał pochylony przez chwilę, przyglądając się błotu, które oblepiło jego nogę poniżej kolana.

– Po prostu utknąłem – powiedział, oddychając ciężko. – Tylko utknąłem. Idźmy dalej. – Resztki strachu pozostały na jego twarzy, podobnie jak błoto na nodze.

Ruszyli dalej, lecz teraz starali się wybierać najbardziej suche miejsca w przejściu. Miriamele czuła, że robi jej się coraz bardziej niedobrze od smrodu błota i dymu z pochodni, dlatego ucieszyła się, widząc, że wąski korytarz przechodzi w coś, co przypominało grotę, w której biała piana zwisała niczym stalaktyty. Weszli do niej ostrożnie, lecz grota okazała się tak samo pusta jak korytarz. Kiedy szli między dużymi kałużami, Miriamele spojrzała w górę.

– Co to jest? – spytała.

Nieomal nad ich głowami zwisały z sufitu dziwnie opalizujące worki. Każdy z nich miał długość hamaka, a z ich środka zwisały cienkie, białe wici, które powiewały leniwie w ciepłym powietrzu pochodni.

– Nie wiem, co to jest, ale mi się nie podoba – powiedział Isgrimnur skrzywiony.

– Myślę, że to są torebki nasienne. Takie jak pająki zostawiają z jajami pod liśćmi.

– Nigdy nie zaglądałem specjalnie pod liście – mruknął książę. – I nie chcę tego oglądać dłużej, niż jest to konieczne.

– Czy nie powinniśmy czegoś zrobić? Pozabijać je albo spalić?

– Nie przyszliśmy tutaj, żeby zabić wszystkie robaki – odparł Isgrimnur. – Naszym zadaniem jest dostać się do środka, odnaleźć biednego Wrańczyka i uciec z nim. Bóg jeden wie, co mogłoby się stać, gdybyśmy zaczęli się z tym paprać.

Chlupocząc, szybko przeszli w drugi koniec groty, gdzie ta znowu przechodziła w tunel. Miriamele, wiedziona jakąś niezdrową ciekawością, odwróciła się, by jeszcze raz popatrzeć. Wydało jej się, że w słabym świetle pochodni ujrzała niewyraźny ruch w jednym z worków, jakby coś macało łapą białawą ścianę, próbując się wydostać.

Uszli zaledwie kilka kroków, kiedy tunel skręcił, i wtedy stanęli naprzeciw pół tuzina ghantów. Kilkanaście innych wspięło się już wcześniej na ścianę tunelu i teraz cmokały zdumione. Pozostałe przywarły do ziemi; ich umazane błotem odwłoki pobłyskiwały matowym blaskiem w świetle pochodni. Miriamele zamarła z przerażenia.

Isgrimnur wysunął się do przodu i zamachnął się mieczem. Oddychając ciężko, Miriamele przysunęła się do niego i uniosła pochodnię. Po kilku chwilach niezdecydowanego cmokania ghanty odwróciły się i ruszyły szybko w dół tunelu.

– Boją się nas! – krzyknęła Miriamele.

– Może – powiedział Isgrimnur. – Albo idą po swoich przyjaciół. Ruszajmy. – Poszedł szybko, schylając głowę pod niskim sufitem.

– Ale one też poszły w tamtą stronę – zauważyła Miriamele.

– Powiedziałem, że musimy się dostać do samego serca tego przeklętego miejsca.

Mijali kolejne boczne odgałęzienia, lecz Isgrimnur zachowywał się, jakby dobrze wiedział, dokąd idzie. Buczenie stawało się coraz głośniejsze, a smród zgnilizny coraz trudniejszy do zniesienia. Przeszli jeszcze przez dwie groty z jajami – jeśli rzeczywiście do tego one służyły. Miriamele nie miała już ochoty na odwracanie się i przyglądanie.

Do głównej pieczary doszli tak niespodziewanie, że nieomal wypadli z tunelu, ślizgając się na pochyłej podłodze, wprost w rój ghantów.

Grota była duża i ciemna. Jedynym źródłem światła były pochodnie Miriamele i jej towarzyszy, lecz wystarczyło ono, by dojrzeć pełzające mrowie; odwłoki migotały słabo, kiedy stworzenia wspinały się na siebie, niezliczone oczy błyszczały niemo. Grota nie była szersza niż na rzut kamieniem, a jej ściany tworzyło wygładzone błoto. Całą podłogę wypełniały setki ghantów.

Buczenie było tutaj tak donośne, że przenikało całe ciało Miriamele.

– Matko Usiresowa – wyszeptał Isgrimnur załamującym się głosem.

Miriamele poczuła, że robi jej się zimno i kręci się w głowie.

– Co... – Przełknęła ślinę. – C...co... zrobimy?

Isgrimnur pochylił się, wytężając wzrok. Ghanty wydawały się nie zwracać na nich uwagi, choć niektóre znajdowały się od nich zaledwie o kilka łokci. Sprawiały wrażenie bardzo czymś zajętych. Miriamele z trudem łapała oddech. Może tutaj właśnie składały jaja i nie zauważą obcych, pochłonięte instynktem.

– Co tam jest, na samym środku? – spytał szeptem Isgrimnur. Nie potrafił powstrzymać drżenia głosu. – To, wokół czego się zebrały?

Miriamele także wytężyła wzrok, chociaż w tej chwili ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było przyglądanie się temu czemuś. Wydawało jej się, że ma przed sobą najgorszą z możliwych wizji piekła: kłębowisko ubłoconych stworzeń pozbawionych radości i nadziei, kopiące bezcelowo łapy, ocierające się o siebie odwłoki – i to nieustające, przenikliwe buczenie. Miriamele zamrugała i zmusiła się do skupienia uwagi. Na środku groty, tam gdzie kotłowało się najbardziej, stały jasne i lśniące bryły. Najbliższa z nich miała u góry ciemną plamę, która wydawała się poruszać. Dopiero po chwili Miriamele zdała sobie sprawę, że ciemna plama jest w rzeczywistości głową – ludzką głową.

– To jest Tiamak – szepnęła przerażona. Poczuła ucisk w żołądku. – Cały jest czymś oblepiony. Och, Matko Boża, musimy mu pomóc!

– Cicho. – Isgrimnur, równie przerażony jak Miriamele, dał jej znak, by zamilkła. – Musimy się zastanowić.

Mała piłka na galaretowatym korpusie zaczęła się gwałtownie szamotać. Oboje patrzyli zdumieni, jak jej usta się otwierają i Tiamak zaczyna głośno krzyczeć. Lecz zamiast słów z jego gardła wydobył się przejmujący ryk, który okazał się buczeniem i mlaskaniem ghantów; brzmiało to tak nienaturalnie w ustach małego Wrańczyka, że Miriamele wybuchnęła płaczem.

– Co oni mu zrobili?! – krzyknęła. Nagle poczuła tuż obok jakiś ruch, podmuch gorącego powietrza, i zobaczyła płomień, który zbliżał się szybko w kierunku podłogi groty i kłębiących się ghantów.

– Camaris! – zawołał Isgrimnur, lecz starzec przedzierał się już przez kłębowisko, siekąc pochodnią jak kosą.

Buczenie załamało się na chwilę, lecz Miriamele wciąż słyszała jego echo. Ghanty wokół Camarisa zaczęły buczeć ostrzej i zaraz inne powtórzyły okrzyk alarmu. Camaris szedł wśród nich jak dozorca sfory ogarów, który przyszedł odebrać im lisa. Podniecone stworzenia biegały wokół jego nóg, niektóre chwytały za płaszcz i spodnie, gdy on młócił je pochodnią.

– Och, Boże, pomóż mi, on nie może tam iść sam – jęknął Isgrimnur. Rozłożywszy ramiona dla zachowania równowagi, zaczął schodzić po pochyłej podłodze. – Zostań tutaj! – zawołał do Miriamele.

– Idę z tobą! – odkrzyknęła.

– Nie, do diabła! – zawołał. – Zostań tutaj z pochodnią, żebyśmy mogli odnaleźć drogę powrotną do tunelu. Będzie po nas, jeśli stracimy światło!

Uniósł miecz nad głowę i natarł na najbliższe ghanty. Kiedy uderzył pierwszego, rozległo się przeraźliwe, głuche plaśnięcie. Zrobił jeszcze kilka kroków do przodu, aż odgłosy uderzeń zginęły w ogólnym tumulcie.

Buczenie zupełnie już ucichło. Ogromną pieczarę wypełniało staccato rozzłoszczonych ghantów, przerażający chór mokrego cmokania. Miriamele próbowała się zorientować, co się dzieje, lecz Isgrimnur stracił już swoją pochodnię i był teraz zaledwie niewyraźnym kształtem pośród kotłujących się odwłoków i wierzgających nóg. Pochodnia Camarisa wciąż przecinała ciemność niczym ognisty proporzec, łopocząc w przód i w tył, w miarę jak starzec zbliżał się do Tiamaka.

Miriamele była przerażona, ale i wściekła. Dlaczego ona ma tutaj siedzieć, podczas gdy Isgrimnur i Camaris narażają swoje życie? Oni są jej przyjaciółmi! A co będzie, jeśli zginą albo zostaną schwytani? Wtedy sama będzie musiała uciekać i szukać drogi powrotnej. Nie udałoby jej się tego dokonać. Tylko co innego mogłaby próbować zrobić?

„Pomyśl, dziewczyno, pomyśl” – mówiła do siebie, podskakując niecierpliwie, by zobaczyć, czy Isgrimnur trzyma się jeszcze na nogach. – „Co zrobić? Co?”

Nie mogła tak stać i się przyglądać. Wyjęła zza pasa dwie ostatnie pochodnie i przyłożyła do trzeciej palącej się. Zapalone wetknęła w błoto po obu stronach wejścia do tunelu i zaczerpnąwszy powietrza, ruszyła za Isgrimnurem; nogi tak jej się trzęsły, że z trudem utrzymywała równowagę na śliskiej pochyłości. Ogarnęło ją uczucie nierzeczywistości: niemożliwe, żeby to zrobiła. Czuła zimne swędzenie na całym ciele. Nikt, kto posiadał choć trochę rozumu, nie zszedłby do tego piekła. Ale jej stopy jakoś niosły ją do przodu.

– Isgrimnurze! – wrzasnęła. – Gdzie jesteś?

Otoczyły ją zimne, ubłocone stworzenia podobne do ożywionych gałęzi drzew. Syczące stwory były wszędzie; guzowate głowy obijały się o jej nogi, odwłoki ocierały się o brzuch. Kopała jak wściekły koń. Zakończona pazurami łapa opadła na jej nogę i zaczepiła się o but. W świetle pochodni ujrzała na chwilę swój cel, lśniący jak mokry kamień. Uniosła krótką włócznię, gubiąc nieomal pochodnię, którą trzymała w tej samej dłoni, i uderzyła z całej siły. Włócznia trafiła w cel. Kiedy ją wyszarpnęła, łapa opadła.

Łatwiej było zadawać ciosy maczugą, lecz w ten sposób nie zabijała ghantów. Uderzane przewracały się i toczyły po podłodze, lecz za chwilę były już z powrotem, drapiąc i chwytając pazurami. Po pewnym czasie wsunęła maczugę za pas i przełożyła pochodnię do wolnej ręki; ona przynajmniej pozwalała utrzymać ghanty na bezpieczną odległość. Jednego z nich uderzyła wprost w pozbawiony wyrazu pysk, tak że palmowy olej z pochodni rozprysnął się i przywarł do skorupy. Ghant zaskrzeczał ohydnie i opadł na dół, zagrzebując się w błoto, lecz natychmiast inny wspiął się na drżącą skorupę, by zająć jego miejsce. Krzyknąwszy ze strachu i obrzydzenia, odrzuciła go kopnięciem. Armia ghantów nie ustępowała ani na krok.

– Miriamele! – Głos Isgrimnura dobiegł gdzieś z przodu. – Czy to ty?!

– Tutaj! – krzyknęła załamującym się głosem, który – bała się – zaraz przejdzie w niekończący się wrzask przerażenia. – Och, szybko, szybko!

– Mówiłem ci, żebyś tam została! – zawołał. – Camaris wraca! Widzisz pochodnię?

Dźgnęła w ghanta, który wyrósł tuż przed nią, lecz włócznia zsunęła się po pancerzu. Nagle w kotłującej się masie rozbłysł drżący płomień.

– Widzę!

– Idziemy! – Głos księcia był ledwie słyszalny pośród grzechotania ghantów. – Zostań na miejscu i machaj pochodnią!

– Jestem tutaj! – krzyknęła. – Jestem tutaj!

Wydawało jej się, że stoi w morzu wijących się stworów, które faluje nieustannie. Jej pochodnia tańczyła nad nimi. Miriamele walczyła jak oszalała – wciąż mieli szansę! Zataczała pochodnią szeroki łuk, by trzymać je możliwie najdalej od siebie. Nagle pazury zaczepiły o pochodnię, która z sykiem upadła w błoto, pozostawiając Miriamele w ciemności. Pchnęła rozpaczliwie włócznią.

– Tutaj! – krzyknęła. – Zgubiłam pochodnię!

Isgrimnur nie odpowiadał. Wszystko stracone. Miriamele zastanawiała się przez chwilę, czy będzie potrafiła zabić się sama – nie pozwoli im pozbawić się życia.

Coś chwyciło ją za ramię. Spróbowała się wyszarpnąć, krzycząc przeraźliwie, lecz nie mogła się uwolnić.

– To ja! – zawołał Isgrimnur. – Nie ukłuj mnie! – Przyciągnął ją do siebie i zawołał na Camarisa, który pozostał nieco z tyłu. Pochodnia przybliżała się, a wokół niej podskakiwały ghanty niczym krople wody na rozgrzanym kamieniu. – Jak znajdziemy wyjście?! – ryknął Isgrimnur.

– Zostawiłam pochodnie przy wylocie do tunelu. – Miriamele odwróciła się, by poszukać wzrokiem, kiedy coś uczepiło się jej płaszcza. – Tam! – Po chwili dopiero zdała sobie sprawę, że Isgrimnur nie może widzieć miejsca, które wskazuje. Kopnięciem odrzuciła ghanta. – Za tobą!

Isgrimnur uniósł ją i poniósł kilka kroków, oczyszczając drogę Kvalnirem, aż wreszcie przedarli się przez wściekłe ghanty i stanęli na podejściu do tunelu.

– Musimy zaczekać na Camarisa!

– Już idzie. Ruszaj!

– Czy ma Tiamaka?

– Ruszaj!

Miriamele zaczęła się wspinać błotnistym podejściem, osuwając się nieomal po każdym kroku. Słyszała za sobą pomrukiwania Isgrimnura i od czasu do czasu głuchy trzask ostrza miecza spadającego na skorupę ghanta. Znalazłszy się na górze, natychmiast wyciągnęła z błota pochodnie i odwróciła się gotowa do walki. Tuż obok był Isgrimnur, a pochodnia Camarisa migotała na początku podejścia.

– Pospiesz się! – Pochodnia znieruchomiała na chwilę, a potem zaraz zatoczyła łuk w jedną i drugą stronę, jakby Camaris opędzał się od ghantów. Teraz dostrzegła błyski jego włosów, srebrzystożółtych w świetle pochodni. – Pomóż mu – zwróciła się błagalnym tonem do Isgrimnura. Książę zszedł kilka kroków niżej, wymachując mieczem. Wreszcie Camaris pozbył się ghantów i obaj, potykając się oraz ślizgając, dotarli do wejścia do tunelu. Camaris zgubił wcześniej swoją maczugę. Na jego ramieniu przewieszony był Tiamak, nieprzytomny i oblepiony białą galaretą. Miriamele patrzyła przerażona na bezwładne ciało.

– A niech to, ruszaj! – Isgrimnur popchnął Miriamele w kierunku tunelu.

Oderwała wzrok od oblepionej postaci Wrańczyka i zaczęła biec, wymachując pochodnią, której blask rzucał groteskowe cienie na ściany piekła.

Podłoga za nimi zaroiła się od ghantów. Isgrimnur wsunął się do tunelu, a za nim wlała się fala opancerzonych postaci. Ścigający może i dopadliby księcia, lecz było ich tak wielu, że całkowicie wypełnili tunel, blokując się nawzajem. Nadbiegające z tyłu ghanty próbowały się przedrzeć przez plątaninę swoich towarzyszy, tak że po paru chwilach wejście do tunelu wypełniła masa kłębiących się i wierzgających nogami ciał.

– Prowadź! – krzyknął książę.

Trudno było poruszać się szybko z nisko pochyloną głową i zgiętymi plecami, do tego jeszcze coraz trudniej było jej utrzymać równowagę na śliskiej podłodze. Miriamele upadła kilkakrotnie, raz nawet wykręcając mocno nogę w kostce. Prawie nie czuła bólu, choć wiedziała, że jeśli przeżyją, to poczuje go później. Starała się śledzić znaki, które Isgrimnur pracowicie zostawiał na ścianach, lecz kiedy uszli kilkaset kroków, z przerażeniem zdała sobie sprawę, że musiała przeoczyć któryś z zakrętów. Wiedziała, że powinni już przejść przez jedną z pieczar z jajami, lecz oni wciąż szli niczym nieróżniącym się od innych tunelem, który ponadto prowadził w dół, a przecież droga powrotna powinna iść w górę.

– Isgrimnurze, chyba zgubiliśmy drogę! – Zwolniła i przysunęła pochodnię do ściany w nadziei, że znajdzie jakiś znajomy szczegół. Za sobą słyszała ciężkie kroki Camarisa.

Rimmersman zaklął siarczyście.

– Idź przed siebie! Nic już nie poradzimy!

Miriamele znowu przyspieszyła. Czuła potworny ból w nogach, a każdy oddech przynosił ukłucie mnóstwa szpilek w płucach. Pewna teraz, że zgubili drogę, skręciła w jeden z poprzecznych tuneli, który wydawał się prowadzić w górę. Podłoga nie była bardzo pochyła, lecz śliskie błoto znacznie utrudniało marsz. Z tyłu dochodził chrzęst doganiających ich ghantów.

U wylotu tunelu pojawił się inny, prostopadły, lecz iskierka nadziei w sercu Miriamele natychmiast zgasła, gdyż w tunelu pod nimi były już ghanty. Poruszając się przy samej ziemi i na czterech łapach, znacznie lepiej dawały sobie radę w pochyłym korytarzu. Miriamele mocniej wbiła stopy w podłoże i utkwiła wzrok w wylocie tunelu. Znalazłszy się na górze, wybrała prawą odnogę poprzecznego tunelu. Teraz nawet Camaris ciężko

dyszał. Najszybsze ghanty dogoniły Isgrimnura, który ubezpieczał tyły. Książę zamachnął się szeroko, rycząc z wściekłości i obrzydzenia; ghanty potoczyły się z sykiem na głowy sunącej w górę masy.

Miriamele i jej towarzysze uszli zaledwie pięćdziesiąt kroków nowym tunelem, kiedy pierwsze ghanty ukazały się z tyłu w jego wejściu. Teraz na równym podłożu poruszały się jeszcze szybciej. Niektóre były tak rozpędzone, że wpadały na ścianę, zanim skręciły za zbiegami.

– Musimy walczyć – wysapał Isgrimnur. – Camaris! Połóż Wrańczyka!

– Och, miłościwy Boże, nie! – krzyknęła Miriamele. – Słyszę inne z przodu! – To był koszmar, przerażający, niekończący się koszmar. – Isgrimnurze, jesteśmy w pułapce!

– Stójcie, a niech to, stójcie! Będziemy tutaj walczyć!

– Nie! – Miriamele była przerażona. – Jeśli tutaj zostaniemy, będziemy musieli walczyć z dwoma grupami! Biegnijmy!

Poszła przed siebie, lecz zorientowała się, że nikt za nią nie idzie. Odwróciła się i zobaczyła, że Isgrimnur wpatruje się ponuro w ghanty, które zwolniły i zbliżały się ostrożnie do swojej ofiary. Miriamele odwróciła się w drugą stronę i dostrzegła błyski oczu odbijających światło pochodni.

– Miłościwa Elysio – szepnęła zrezygnowana. Stojący obok niej Camaris wpatrywał się w podłogę, jakby zaabsorbowany dziwną, lecz nie tak straszną myślą. Na jego ramieniu leżał Tiamak; z zamkniętymi oczami i uchylonymi ustami przypominał śpiące dziecko. Ogarnął ją ogromny smutek. Tak bardzo chciała uratować małego Wrańczyka...

Nagle Isgrimnur ryknął przeraźliwie i odwrócił się. Ze zdumieniem zobaczyła, że książę z całej siły kopie w ścianę. W ataku jakiejś straszliwej furii i frustracji uderzał obcasem w ścianę raz za razem.

– Isgrimnurze...! – Zaczęła Miriamele, lecz w tym momencie but księcia przebił się przez błoto, wybijając dziurę wielkości jego głowy. Kopnął jeszcze raz i kolejny kawał błota upadł na podłogę.

– Pomóżcie mi! – jęknął.

Miriamele postąpiła krok do przodu, ale zanim zrobiła cokolwiek, odpadł duży kawał ściany. Powstała teraz dziura prawie na dwa łokcie wysoka, lecz za nią była tylko ciemność.

– Idź! – poganiał ją książę.

Cmokające wściekle ghanty znajdowały się już zaledwie kilkadziesiąt kroków od nich. Miriamele wsadziła do dziury pochodnię, potem głowę i ramiona, nieomal pewna, że zaraz poczuje na sobie łapy ghanta. Wreszcie udało jej się przecisnąć przez otwór; modliła się, by po drugiej stronie znalazła grunt pod nogami, a nie czarną otchłań. Jej dłonie dotknęły podłogi innego tunelu. Sprawdziwszy, że jest pusty, odwróciła się szybko, by pomóc pozostałym. Camaris przepchnął przez dziurę bezwładne ciało Tiamaka. Nieomal go upuściła – mały Wrańczyk nie ważył dużo, lecz ciężaru dodawała mu maź, którą był oblepiony. Potem przeszedł Camaris, a na końcu przecisnął swoje ogromne cielsko Isgrimnur. Gdy tylko opadł na podłogę, w dziurze natychmiast pojawiły się twarde i lśniące łapy ghantów.

Kvalnir przeciął powietrze, wywołując piski bólu po drugiej stronie ściany. Łapy natychmiast cofnęły się, lecz gniewne mlaskanie się wzmagało.

– Miecz ich nie odstraszy, zaraz znowu będą próbowały przeleźć – powiedział książę zdyszany.

Miriamele wpatrywała się w dziurę przez chwilę. Słyszała odgłos ocierających się o siebie pancerzy i czuła odrażający smród ghantów. Szykowały się do kolejnego ataku, zaledwie o kilka cali od niej.

– Daj mi swoją koszulę – odezwała się nagle do Isgrimnura. – Jego także. – Wskazała na Camarisa.

W pierwszej chwili książę spojrzał na nią przerażony, jakby obawiał się, że nagle postradała zmysły, ale zaraz szybko ściągnął postrzępioną koszulę i wręczył ją Miriamele. Musiała cierpliwie trzymać ją nad płomieniem, gdyż koszula była wilgotna i poplamiona błotem, lecz wreszcie zajęła się ogniem, a wtedy Miriamele nadziała ją na włócznię i wsadziła w dziurę. Z drugiej strony dobiegły syki i szczękanie. Miriamele upchnęła w dziurze koszulę Camarisa; obie prawie wypełniły otwór i paliły się równym płomieniem. Wtedy chwyciła jeszcze ciężki płaszcz Isgrimnura i zatkała nim resztę dziury.

– Biegnijmy – powiedziała. – One chyba nie lubią ognia. – Ze zdumieniem stwierdziła, że teraz jest bardzo spokojna, choć kręciło jej się nieco w głowie. – Te szmaty nie zatrzymają ich na długo.

Camaris podniósł Tiamaka i wszyscy ruszyli szybko przed siebie. Przy każdym zakręcie wybierali ten tunel, który wydawał się prowadzić do góry. Jeszcze dwukrotnie przebijali się przez błotniste ściany i wąchali jak psy, poszukując powietrza z zewnątrz. Wreszcie znaleźli tunel, który choć węższy i niższy, wypełniony był świeższym powietrzem.

Żaden z ghantów nie pojawił się jeszcze w polu widzenia, lecz odgłosy pościgu stawały się coraz głośniejsze. Miriamele wlokła się z trudem, nie zwracając już uwagi na galaretowatą maź na ścianach. Jasna piana oblepiła jej twarz i włosy. Kawałek wpadł nawet w jej otwarte usta i zanim go wypluła, poczuła gorycz piżma. Za następnym zakrętem tunel nagle się rozszerzył. Przeszli jeszcze kilkanaście kroków, skręcili ponownie i ujrzeli korytarz rozjaśniony światłem dziennym.

– Światło! – krzyknęła Miriamele. Nigdy nie witała blasku dnia z większą radością.

Poszli jeszcze kawałek tunelem i za kolejnym zakrętem natknęli się na dziurę w ścianie, za którą bez wątpienia widać było niebo, szare i ponure, ale wspaniałe, upragnione niebo. Szybko przecisnęła się przez otwór i stanęła na nierównym błocie.

Pod nimi kołysały się korony drzew, tak wspaniale bujne i zielone, że z trudem je rozpoznawała. Znajdowali się na jednej z górnych części gniazda; o dwieście łokci od nich płynął leniwie strumień. Nie czekała na nich żadna łódź.

Z dziury wyszli Isgrimnur i Camaris.

– Gdzie jest mnich? – warknął Isgrimnur. – A niech go! Wiedziałem, że nie można mu ufać!

– Mniejsza o to teraz – powiedziała Miriamele. – Musimy jakoś stąd zejść.

Po krótkich poszukiwaniach znaleźli drogę na niższy dach. Poszli ostrożnie wzdłuż śliskiej krawędzi i zeszli jeszcze niżej, a potem na kolejne, coraz niższe poziomy, cały czas posuwając się w kierunku frontowej części gniazda i strumienia. Kiedy dotarli wreszcie na sam brzeg, skąd od ziemi dzielił ich już tylko jeden skok, z dziury na szczycie gniazda wynurzyło się kilka ghantów.

– Są już – wysapał Isgrimnur. – Skaczcie!

W tej samej chwili z głównego wejścia pod nimi wysypała się cała masa rozwścieczonych stworów. Miriamele poczuła, że ogarnia ją śmiertelne przerażenie. Byli już tak blisko celu, to niesprawiedliwe!

– Święty Aedonie, miej nas w opiece. – Głos Isgrimnura był coraz słabszy. – Odsuń się, Miriamele. Ja skoczę pierwszy.

– Nie! – zawołała. – Jest ich zbyt wiele!

– Nie możemy zostać tutaj. – Rzeczywiście ghanty zsuwały się coraz niżej ze zręcznością pająków. Cmokały podniecone, a ich czarne oczy lśniły

wyczekująco.

Nagle na plaży coś błysnęło. Miriamele, zdumiona, spojrzała w dół na ghanty, które teraz przebierały wściekle łapami. Ich szczękanie stało się głośniejsze, a niektóre jakby się zapaliły. Miriamele spojrzała na strumień, próbując zrozumieć, co się stało. Na wodzie pojawiła się łódź. Stojący na dziobie Cadrach trzymał w dłoni coś, co przypominało zapaloną ogromną pochodnię.

Mnich machnął tym czymś do przodu i kula ognia poleciała poprzez wodę na brzeg, spadając między stłoczone ghanty. Ognisty pocisk wybuchł, rozpryskując się wielkimi płatami ognia, które przyklejały się do stworów niczym płonący klej. Niektóre z porażonych ghantów padały na ziemię ze skwierczącymi skorupami i piszczały jak gotowane homary, inne zaś biegały tam i z powrotem, szarpiąc bezsilnie za swoje pancerze. Cadrach pochylił się, a kiedy się wyprostował, na końcu jego dziwnego kija znowu pojawił się płomień; machnął i ogień znowu rozprysł się wśród piszczących przeraźliwie ghantów. Mnich przyłożył dłonie do ust.

– Skaczcie teraz! – zawołał. – Szybko!

Miriamele odwróciła się i spojrzała na Isgrimnura. Książę nie zdążył się jeszcze otrząsnąć ze zdumienia, ale pozbierał się na tyle, by dać Miriamele lekkiego, lecz stanowczego kuksańca.

– Słyszałaś, co powiedział – mruknął. – Skacz!

Skoczyła. Upadła ciężko na ziemię i potoczyła się po piasku. Krawędź jej płaszcza zapaliła się, lecz Miriamele szybko zdusiła ogień dłońmi. Chwilę później rozległo się ciężkie stęknięcie i na ziemi wylądował Isgrimnur. Miotające się po plaży ghanty nie zwracały prawie uwagi na swoje ofiary. Książę wstał i wyciągnął ramiona. Wychylony mocno za krawędź dachu Camaris puścił Tiamaka. Książę przewrócił się na piasek, lecz utrzymał w ramionach nieruchomego Wrańczyka. W następnej chwili

na plaży był już i Camaris. Wszyscy popędzili w kierunku strumienia. Kilka ghantów, których nie dosięgnął ogień, biegło w ich kierunku, lecz Isgrimnur i Miriamele odrzucili je kopniakami. Uciekający zeszli z brzegu i zanurzyli się w zielonkawej wodzie.

MIRIAMELE POŁOŻYŁA SIĘ NA PŁASKIM DNIE ŁODZI, z trudem łapiąc oddech. Cadrachowi wystarczyło kilka pchnięć bosakiem, by łódź znalazła się na środku strumienia, poza zasięgiem miotających się ghantów.

– Czy jesteś ranna? – Twarz mnicha była blada, a jego oczy gorączkowo jasne.

– Co... co ty...? – Nie mogła złapać oddechu, by skończyć zdanie.

Cadrach spuścił głowę i wzruszył ramionami.

– Po tym jak poszliście do... do tego miejsca, przyszedł mi do głowy pomysł. Liście palmy oleistej. Ugotowałem je. Znam się na pewnych rzeczach. – Podniósł tubę, którą zrobił z ogromnej trzciny. – Tego użyłem do rzucania ogniem. – Miriamele zauważyła, że jego dłoń pokrywały okropne pęcherze.

– Och, Cadrachu, patrz, co zrobiłeś!

Cadrach odwrócił się i popatrzył na Isgrimnura oraz Camarisa pochylonych nad Tiamakiem. Na brzegu ghanty podskakiwały i syczały jak zmuszone do tańca potępione dusze. Wzdłuż frontowej ściany ognia wciąż pełzały płomienie, a kłęby czarnego dymu zasnuwały popołudniowe niebo.

– Nie, popatrz, co ty zrobiłaś – powiedział mnich uśmiechnięty i nie był to tak bardzo ponury uśmiech.

CZĘŚĆ DRUGA

KRĘTA DROGA

17. Noc ognisk

SIMONIE, JA WOLAŁBYM NIE IŚĆ. – Jeremias polerował miecz Simona za pomocą kamienia i szmaty.

– Nie musisz. – Simon jęknął, wciągając but na nogę. Od bitwy minęły już trzy dni, a on wciąż czuł ból w każdym mięśniu. – On po prostu chce czegoś ode mnie.

Jeremias wydawał się zadowolony, lecz najwyraźniej nie chciał pokazać, że tak łatwo przyjmuje wolność.

– Ale czy twój giermek nie powinien udać się z tobą, gdy wzywa cię twój książę? Co się stanie, jeśli będziesz potrzebował czegoś, czego zapomniałeś? Kto ci po to pójdzie?

Simon roześmiał się, lecz zaraz umilkł, czując przenikliwy ból w żebrach. Dzień po bitwie ledwo wstał z łóżka. Miał wrażenie, że jego ciało jest workiem pełnym stłuczonych, glinianych naczyń. Wciąż poruszał się jak starzec.

– Po prostu sam pójdę i to przyniosę albo wezwę ciebie. Nie martw się. Tutaj nie jest tak jak tam, przecież wiesz. To nie jest królewski dwór w Hayholt.

Jeremias przyjrzał się uważnie ostrzu miecza i pokręcił głową.

– Mówisz tak, ale nigdy jednak nie wiadomo, czy książę nie rozeźli się na ciebie. Może niespodziewanie wpaść w zły humor i zachować się jak król.

– Moje ryzyko. A teraz oddaj mi już ten przeklęty miecz, bo nic z niego nie zostanie.

Jeremias spojrzał na niego nieco przestraszony. Przytył trochę od czasu przybycia do Nowego Gadrinsett, lecz ponieważ nie mieli dość żywności, daleko mu jeszcze było do dawnego pucołowatego chłopaka, z którym kolegował się Simon; wciąż jeszcze nie potrafił się pozbyć lękliwego spojrzenia.

– Zawsze dobrze obchodzę się z twoim mieczem – oświadczył z powagą.

– Och, na Zęby Boga – zaklął Simon jak zahartowany w bojach żołnierz. – Żartowałem tylko. Daj mi go. Muszę iść.

Jeremias spojrzał na niego z urazą.

– Simonie, jeśli już mówimy o żartach, to powinny one być śmieszne. – Z ledwie dostrzegalnym uśmiechem na twarzy wręczył Simonowi ostrożnie miecz. – Obiecuję, że powiem ci, kiedy twój dowcip będzie śmieszny.

Zanim jednak Simon zdążył odpowiedzieć, uniosła się płachta w wejściu do namiotu. Ukazała się tam mała postać, milcząca i poważna.

– Leleth – powiedział Jeremias. – Wejdź. Chcesz się przejść ze mną? A może dokończę opowieść o Jacku Mundwode i niedźwiedziu?

Dziewczynka zrobiła kilka kroków do przodu, co zwykle wyrażało jej zgodę. Popatrzyła przez chwilę na Simona, a on pomyślał, że jej spojrzenie jest nienaturalnie dorosłe. Pamiętał ją ze Ścieżki Snów – wolne stworzenie, szczęśliwie unoszące się w swoim świecie – i poczuł niejasny wstyd, jakby w jakimś sensie przyczynił się do uwięzienia pięknej istoty.

– Pójdę już – powiedział. – Leleth, opiekuj się Jeremiasem. Nie pozwól mu brać do ręki niczego ostrego.

Jeremias cisnął w Simona gałganem do czyszczenia, kiedy ten wychodził z namiotu.

Simon, znalazłszy się na zewnątrz, odetchnął głęboko. Powietrze było chłodne, ale chyba nie aż tak bardzo jak kilka dni temu, jakby w pobliżu skradała się wiosna.

„My tylko pokonaliśmy Fengbalda – upominał samego siebie. – Ani trochę nie zraniliśmy Króla Burz, więc nie można się łudzić, że odgoniliśmy zimę”.

Myśl ta natychmiast nasunęła mu kolejne pytanie. Dlaczego Król Burz nie przysłał Fengbaldowi pomocy, jak wtedy, kiedy Elias oblegał Naglimund? Sceny z opowieści Strangyearda o przerażającym ataku Nornów były tak samo żywe w jego umyśle, jak wspomnienia jego własnych dziwnych przygód. Skoro miecze były tak ważne, a Hikeda’ya wiedzieli, że Josua posiada jeden z nich – książę i Deornoth byli przekonani, że tak jest w istocie – to dlaczego nie przybyły olbrzymy i uzbrojeni Nornowie? Czy miał z tym coś wspólnego sam Kamień?

„Może dlatego, iż to sithijskie miejsce? Ale przecież nie bali się zaatakować Jao e-Tinukai’i”.

Pokręcił głową. Będzie musiał porozmawiać o tym z Binabikiem i Geloë, choć był pewien, że oni też już się nad tym zastanawiali. Jeśli tak, to będzie to jeszcze jedna zagadka bez odpowiedzi wśród tylu innych, które dotychczas nagromadziły się przed nimi. Simon był już bardzo zmęczony pytaniami bez odpowiedzi.

Jego buty skrzypiały na cienkiej warstwie śniegu, kiedy szedł przez Ogród Ognia do Domu Rozstania. Simon celowo przekomarzał się w namiocie z Jeremiasem, by rozweselić przyjaciela, lecz sam nie był w zbyt wesołym nastroju. Wciąż śniły mu się okropności bitwy: krew i kwik koni. Teraz szedł do Josui, lecz książę był w jeszcze bardziej ponurym nastroju. Wcale mu się nie spieszyło do tego spotkania.

Zatrzymał się, wypuszczając obłok pary z oddechu, i spojrzał na zniszczoną kopułę Obserwatorium. Gdyby tylko miał na tyle odwagi, by wziąć jeszcze raz lusterko i spróbować porozmawiać z Jirikim! Ale Simon dobrze wiedział, co oznaczał fakt, że Sithowie nie przybyli im z pomocą, chociaż tak bardzo byli im potrzebni: Jiriki miał ważniejsze sprawy na głowie niż waśnie śmiertelników. A poza tym Sitha wyraźnie ostrzegał Simona przed niebezpieczeństwem wchodzenia na Ścieżkę Snów. Może gdyby to zrobił, w jakiś sposób zwróciłby uwagę Króla Burz na *Sesuad'ra* – mógłby tym samym zburzyć ścianę obojętności, która wydawała się główną przyczyną ich zdumiewającego zwycięstwa.

Ale teraz był przecież mężczyzną, a przynajmniej powinien nim być, więc nie mógł sobie pozwolić na jakieś gamoniowate sztuczki. Sprawa była zbyt poważna.

W DOMU ROZSTANIA PANOWAŁ PÓŁMROK; zapalono tylko kilka pochodni, dlatego też ogromna sala ginęła częściowo w cieniu. Josua stał przy marach.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Simonie. – Książę na chwilę tylko oderwał wzrok od ciała Deornotha, które spoczywało złożone na kamiennej kolumnie, okryte sztandarem z Drzewem i Smokiem, jakby rycerz tylko spał przykryty cienkim kocem. – Są już Binabik i Geloë – powiedział książę, wskazując na dwie postacie siedzące przy palenisku pod przeciwległą ścianą. – Zaraz do was przyjdę.

Simon poszedł w stronę paleniska, starając się robić jak najmniej hałasu. Troll i czarownica rozmawiali cicho.

– Witaj, Simonie, przyjacielu – odezwał się Binabik. – Chodź do nas. Usiądź i się ogrzej.

Simon usiadł, skrzyżowawszy nogi na kamiennej podłodze, lecz po chwili przysunął się bliżej ognia.

– Wydaje się jeszcze bardziej smutny niż wczoraj – szepnął.

Troll spojrzał na Josuę.

– To dla niego wielki cios. Jakby z Deornothem odeszli wszyscy ludzie, których kochał i o których się troszczył.

Geloë wydała cichy odgłos zniecierpliwienia.

– Nie można toczyć bitew bez ponoszenia strat. Deornoth był dobrym człowiekiem, ale zginęli też inni.

– Myślę, że on w ten sposób opłakuje także i pozostałych. – Troll wzruszył ramionami. – Ale jestem pewien, że dojdzie do siebie.

Geloë skinęła głową.

– Tak, ale mamy mało czasu. Musimy wykorzystać naszą przewagę.

Simon popatrzył na nią zaciekawiony. Jak zawsze wydawała się pozbawiona konkretnego wieku, lecz jakby straciła nieco ze swej dotychczasowej pewności. I nic dziwnego: ostatni rok był straszliwy.

– Geloë, chciałbym cię o coś zapytać – powiedział. – Czy wiedziałaś o Fengbaldzie?

Czarownica zwróciła na niego swe żółte oczy.

– Pytasz, czy wiedziałam, że wyśle na pole walki kogoś w swojej zbroi, żeby nas oszukać? Nie. Ale wiedziałam o planach Josui i Helfgrima. Nie wiedziałam tylko, czy Fengbald połknie przynętę.

– Simonie, i ja o tym wiedziałem – odezwał się Binabik. – Pomagałem zaplanować, jak rozbić lód. Dokonano tego z pomocą moich trolli.

Simon czuł rumieńce na policzkach.

– Tak więc wiedzieli wszyscy z wyjątkiem mnie?

Geloë pokręciła głową.

– Nie, Simonie. Oprócz mnie, Josui i Helfgrima wiedzieli tylko Binabik, Deornoth, Freosel i trolle, które pomogły przygotować pułapkę. W niej pokładaliśmy ostatnią nadzieję, dlatego nie chcieliśmy, by wieść o tej zasadzce rozniosła się i dotarła do Fengbalda.

– Nie ufaliście mi?

Binabik położył dłoń na ramieniu Simona.

– Simonie, tu nie chodziło o zaufanie. Ty i inni walczący na lodzie mogliście zostać schwytani. W czasie tortur nawet najdzielniejsi nie potrafią dochować tajemnicy, a przecież Fengbald nie ma skrupułów w takich sprawach. Im mniej osób wiedziało o zasadzce, tym większe były szanse jej powodzenia. Gdyby trzeba było cię o tym poinformować, zrobilibyśmy to bez wahania.

– Simonie, Binabik ma rację. – Josua podszedł bardzo cicho i teraz stał nad siedzącymi. Długi, ciemny pas jego cienia padł na sufit. – Ufam tobie tak samo jak pozostałym... pozostałym żyjącym. – Ledwie dostrzegalny cień przemknął po jego twarzy. – To ja rozkazałem, aby wiedzieli tylko ci bezpośrednio zaangażowani w plan. Jestem pewien, że mnie rozumiesz.

Simon przełknął ślinę.

– Oczywiście, książę Josuo.

Josua usiadł na kamieniu ze wzrokiem utkwionym w falujące płomienie.

– Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, to doprawdy cud. Chociaż cena była wysoka.

– Żadna cena nie jest wysoka, jeśli niewinni ludzie zachowują życie – odpowiedziała Geloë.

– Być może. Ale można było przypuszczać, że Fengbald wypuści kobiety i dzieci...

– Ale teraz oni wszyscy żyją i są wolni – odparła zwięźle Geloë. – A z nimi wielu mężczyzn. Do tego jeszcze odnieśliśmy niespodziewane zwycięstwo.

Na ustach Josui pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

– *Valada* Geloë, czy zajmujesz miejsce Deornotha? On zawsze robił to samo: upominał mnie, kiedy zaczynałem się zamartwiać.

– Nie mogę zająć jego miejsca, Josuo, ale chyba nie ma powodu, żebyśmy musieli przepraszać za zwycięstwo. Nie widzę ujmy w opłakiwaniu zmarłych. Nie chcę ci tego odmawiać.

– Nie, oczywiście, że nie. – Książę przyglądał się jej przez chwilę, po czym odchylił się do tyłu i rozejrzał po sali. – Musimy oddać cześć zmarłym.

W drzwiach zaskrzypiała skóra. Stał tam Sludig z dwoma torbami przerzuconymi przez ramię. Sądząc po jego napiętej twarzy, można było przypuszczać, że są one pełne kamieni.

– Książę Josuo?

Książę odwrócił się.

– Tak, Sludigu?

– Tylko to znaleźliśmy. Jest na nich herb Fengbalda. Są całkiem przemoczone, ale ich nie otwierałem.

– Połóż je przy ogniu. Usiądź i zostań z nami. Bardzo nam pomogłeś, Sludigu.

Rimmersman skłonił głowę.

– Dziękuję, książę Josuo, ale mam też dla ciebie inną wiadomość. Więźniowie są gotowi do rozmowy z tobą. Tak przynajmniej twierdzi Freosel.

– Ach. – Josua spuścił głowę. – Skoro tak twierdzi Freosel... On jest prostoduszny ale bardzo rozsądny. Nie tak jak nasz stary przyjaciel Einskaldir, prawda, Sludigu?

– Tak, Wasza Wysokość.

Wydawało się, że Sludig czuje się niezręcznie, rozmawiając z księciem. Simon zauważył, że jego przyjaciel został wreszcie doceniony, lecz jakby nie czuł się dzięki temu bardziej szczęśliwy.

Josua położył dłoń na ramieniu Simona.

– W takim razie wzywają mnie obowiązki – powiedział. – Pójdziesz ze mną, Simonie?

– Oczywiście, książę Josuo.

– Dobrze. – Josua zwrócił się do pozostałych: – Bądźcie tak dobrzy i przyjdźcie po kolacji. Mamy jeszcze dużo do omówienia.

Kiedy doszli do drzwi, Josua wsunął kikut prawego przedramienia pod ramię Simona i poprowadził go do mar, na których spoczywało ciało Deornotha. Simon zauważył, że jest nieco wyższy od księcia. Dawno już nie stał tak blisko Josui, lecz mimo wszystko się zdziwił. On, Simon, był wysokim mężczyzną, nie młodzieńcem. Zdumiała go ta myśl.

Zatrzymali się przed marami. Simon stał cierpliwie. Nie czuł się dobrze w tak bezpośredniej bliskości ciała rycerza. Blada, kanciasta twarz na kamiennej płycie bardziej przypominała oblicze wyrzeźbione w mydle niż twarz Deornotha, którego pamiętał. Skóra, szczególnie na nosie i powiekach, stała się teraz półprzezroczysta.

– Simonie, nie znałeś go tak dobrze jak ja. Był najlepszy.

Simon przełknął ślinę. Poczuł suchość w ustach. Zmarli byli tacy... nieżywi. Kiedyś Josua, Binabik, Sludig, wszyscy z Nowego Gadrinsett dołączą do nich. „Nawet on – pomyślał z odrazą. – Jak to jest być martwym?”

– Był zawsze dla mnie bardzo miły, Wasza Wysokość.

– Zawsze taki sam. Był rycerzem do szpiku kości.

Im więcej Josua mówił o Deornothu w ciągu ostatnich kilku dni, tym bardziej Simon zdawał sobie sprawę, że prawie go nie znał. Wydawał się prostym człowiekiem, cichym i uprzejmym, lecz trudno było o nim myśleć w kategoriach współczesnego rycerza, tak jak wyrażał się o nim Josua.

– Zginął dzielnie. – Zabrzmiało to jak marne kondolencje, lecz książę się uśmiechnął.

– Tak. Szkoda, że nie udało wam się ze Sludigiem dotrzeć do niego wcześniej, ale z pewnością zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy. – Twarz Josui zmieniła się w jednej chwili, jakby chmury zasłoniły nagle słońce. – Nie chcę przez to powiedzieć, że w czymkolwiek zawiedliście. Wybacz, Simonie. Staję się bezmyślny w swoim smutku. Deornoth zawsze wiedział, jak mnie przywołać do porządku. Ach, Boże, będzie mi go brakowało. On był moim najlepszym przyjacielem, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy do chwili jego śmierci.

Simon poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, widząc łzy w oczach Josui. Chciał się odwrócić, ale przypomnieli mu się Sithowie i słowa Strangyearda. Może to najwięksi i najwspanialsi zawsze najbardziej cierpieli? Czy można obwiniać kogoś za tak wielki smutek?

Simon dotknął ramienia Josui.

– Chodź, Josuo. Chodźmy już. Opowiedz mi o Deornothu. Nie miałem okazji poznać go lepiej.

Książę długo się ociągał, zanim oderwał wzrok od alabastrowego oblicza.

– Tak, masz rację. Pójdziemy już.

Pozwolił, by Simon wyprowadził go na zewnątrz.

GDY TYMCZASEM ON PRZYSZEDŁ, żeby mnie przeprosić. – Josua roześmiał się, choć niewiele było radości w jego uśmiechu. – Jakby cokolwiek zawinił. Biedny, wierny Deornoth. – Pokręcił głową, ocierając oczy. – Na Aedona, dlaczego tak się dzieje, że wisi nade mną chmura żalu nad przeszłością? Wciąż albo ja błagam o wybaczenie, albo robią to inni wokół mnie. Nie dziwię się, że Elias zawsze uważał mnie za głupca. Czasem wydaje mi się, że miał rację.

Simon powstrzymał uśmiech.

– Może twój problem polega na tym, że jesteś zbyt skłonny dzielić się myślami z ludźmi, których dobrze nie znasz, na przykład ze zbiegłymi podkuchennymi.

Josua najpierw spojrzał na niego uważnie, a potem się roześmiał, lecz tym razem pogodniej.

– Może masz rację, Simonie. Ludzie woleliby pewnie silnego i zdecydowanego księcia. – Zachichotał. – Ach, Usiresie Aedonie, czy doczekają się kiedyś lepszego? – Podniósł wzrok i rozejrzał się po namiotach. – Boże, zagadałem się. Gdzie jest jaskinia, w której trzymają jeńców?

– Tam. – Simon wskazał na skalisty występ tuż pod kamienną krawędzią *Sesuad'ra*, ledwie widoczny za ścianami miasta namiotów.

Josua skierował się w tamtą stronę, a Simon poszedł za nim; szedł wolno, by złagodzić wciąż odczuwalny ból gojących się ran.

– Zapędziłem się – powiedział Josua. – I to nie tylko szukając więźniów. Prosiłem, byś poszedł ze mną, gdyż chciałem cię o coś zapytać.

– Tak? – Simon nie potrafił ukryć zaciekawienia. Czego może chcieć od niego książę?

– Chciałbym pochować zmarłych na wzgórzu. – Josua zatoczył ramieniem łuk ponad trawiastym szczytem *Sesuad'ra*. – Ty najlepiej znasz

Sithów, a przynajmniej jesteś z nimi w najlepszych stosunkach. Binabik i Geloë z pewnością także dużo o nich wiedzą. Czy myślisz, że pozwoliliby na to? W końcu to ich miejsce.

Simon zastanawiał się przez chwilę.

– Czy pozwoliliby? Nie sądzę, by Sithowie mogli tego zabronić, jeśli o to chodzi. – Uśmiechnął się smutno. – Nie przybyli nawet, żeby bronić Kamienia, więc nie wydaje mi się, aby ich armia próbowała powstrzymać nas przed pochowaniem tutaj zmarłych.

Szli jakiś czas w milczeniu.

– Nie, chyba nie mieliby nic przeciwko temu – odezwał się wreszcie. – Co nie znaczy, że wypowiadam się w ich imieniu – dodał pośpiesznie. – Jiriki pochował swojego krewnego An’nai razem z Grimmrikiem na górze Urmsheim. – Wydarzenia na smoczej górze wydały mu się już tak odległe, jakby przeżył je inny Simon, jego daleki krewny. Potarł obolałe ramię i westchnął. – Ale, jak powiedziałem, nie mogę mówić w imieniu Sithów. Byłem tam przez... przez ile? miesiąc?, a mimo to daleko mi do zrozumienia ich.

Josua podniósł wzrok zaciekawiony.

– Jak się czułeś, mieszkając wśród nich? Jak wyglądało ich miasto Jao...

– Jao e-Tinukai’i. – Simon odczuł zadowolenie, że z łatwością wypowiada trudną nazwę. – Josuo, bardzo chciałbym ci to opisać. Ale to tak, jakby opisywać sen: potrafisz powiedzieć, co się stało, lecz nie do końca jesteś w stanie opisać, co czułeś. Oni są starzy, Wasza Wysokość, bardzo starzy. Choć gdy się na nich patrzy, są młodzi, zdrowi i... piękni. – Przypomniał sobie Aditu, siostrę Jirikiego: jej wspaniałe, jasne oczy drapieżnika, uśmiech pełen skrywanej radości. – Josuo, oni mają prawo nas nienawidzić, tak mi się przynajmniej wydaje, a mimo to sprawiają wrażenie

zdumionych nami. My czulibyśmy się podobnie, gdyby owce stały się nagle groźne i wypędziły nas z miasta.

Josua roześmiał się.

– Owce? Chcesz powiedzieć, że władcy Nabbanu, król Fingil z Rimmersgardu, a nawet mój ojciec byli zaledwie kudłatymi, niegroźnymi stworzeniami?

Simon zaprzeczył.

– Nie. Chciałem tylko wyrazić, jak bardzo różnimy się od Sithów. Oni rozumieją nas w równie niewielkim stopniu jak my ich. Jiriki i jego babka Amerasu może aż tak bardzo się nie różnią. Potraktowali mnie uprzejmie i ze zrozumieniem, ale pozostali Sithowie... – Simon zatrzymał się, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. – Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Josua patrzył na niego życzliwie.

– A jak wyglądało miasto?

– Próbowałem już opisać je wcześniej, kiedy tutaj przybyłem. Powiedziałem, że przypominało ogromną łódź, lecz także wyglądało jak tęcza przed wodospadem. To okropne, ale wciąż nie potrafię znaleźć lepszych słów. Całe miasto to płachty rozwieszone pomiędzy drzewami, lecz wydają się one bardzo solidne. Sprawiało to wrażenie, że w każdej chwili mogą je spakować i zabrać, dokąd zechcą. – Roześmiał się zrezygnowany. – Brakuje mi słów.

– Myślę, że dość dobrze to wyraziłeś, Simonie. – Książę patrzył przed siebie zamyślony. – Bardzo chciałbym ich kiedyś poznać. Nie rozumiem, dlaczego mój ojciec tak się ich bał i nienawidził. Jaki kawał historii i wiedzy muszą oni posiadać!

Dotarli do wejścia jaskini, zagrodzonego prowizoryczną, opuszczoną kratą z drewna. Pilnujący groty strażnik, jeden z Thrithingów Hotviga,

postawił na ziemi dzban pełen żarzących się węgli, przy którym rozgrzewał sobie ręce, i uniósł kratę, by wpuścić ich do środka.

W przedsionku stało więcej strażników: byli tam zarówno Thrithingowie i Erkynlandczycy Freosela. Zasalutowali Josui i Simonowi, który przyjął honory wielce zażenowany. Z głębi pieczary wyłonił się Freosel.

– Wasza Wysokość, sir Seomanie – powiedział, skłaniając głowę. – Myślę, że już czas. Zaczynają się ożywiać. Jeśli będziemy dłużej zwlekać, możemy mieć kłopoty, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

– Zdaję się na twój sąd, Freoselu – odparł Josua. – Zaprowadź mnie do nich.

Wnętrze obszernej jaskini, oddzielone od wejścia skręcającą ścianą – przez co pozostawało odcięte od słońca – podzielono drewnianą palisadą na dwie części.

– Wykrzykują na siebie nawzajem. – Uśmiech Freosela ukazał dziurę po brakującym zębie. – Obwiniają się. W nocy budzą jedni drugich. Zachowują się tak, jak przewidywaliśmy.

Josua skinął głową, podchodząc do lewej przegrody, po czym zwrócił się do Simona.

– Nic nie mów – rzucił stanowczo. – Słuchaj tylko.

Początkowo Simon niewiele potrafił dojrzeć w słabym świetle pochodni. Wyraźnie czuć było urynę i niemyte ciała – a wydawało mu się, że już nie zauważa takich zapachów.

– Chciałbym pomówić z waszym kapitanem! – zawołał Josua.

W mroku coś się poruszyło i przy palach pojawił się gwardzista w podartym zielonym mundurze.

– To ja, Wasza Wysokość.

Josua przyjrzał mu się uważnie.

– Sceldwine? Czy to ty?

– To ja, książę Josuo – odpowiedział żołnierz, wyraźnie skonfundowany.

– No cóż. – Josua wydawał się zaskoczony. – Nie sądziłem, że spotkam cię w takim miejscu.

– Ja też nie, Wasza Wysokość. Nie myślałem też, że będę musiał z tobą walczyć. To wstyd...

Freosel zbliżył się do rozmawiających.

– Nie słuchaj go, Josuo – odezwał się szyderczo. – On i jego rzezimieszki powiedzą wszystko, byleby tylko ratować życie. – Uderzył ogromną dłonią w palisadę, tak że cała zadrżała. – My nie zapomnieliśmy, coście zrobili w Falshire.

Sceldwine najpierw cofnął się przestraszony, a potem pochylił do przodu, by lepiej widzieć. W blasku pochodni ukazała się teraz jego blada, umęczona twarz. – Nie robiliśmy tego dla przyjemności. – Zwrócił się do księcia: – Przeciwko tobie też nie walczyliśmy z własnej woli, książę Josuo. Musisz nam uwierzyć.

Josua zamierzał coś powiedzieć, lecz Freosel przerwał mu niespodziewanie:

– Josuo, twoi ludzie nie pozwolą na to. To nie jest Hayholt czy Naglimund. Nie ufamy tym uzbrojonym gburom. Będziemy mieli kłopoty, jeśli zostawisz ich przy życiu.

Wśród więźniów rozległy się niewyraźne pomruki, lecz z pewnością nie były to odgłosy dzielnych wojowników.

– Freoselu, nie chcę ich zabijać – powiedział Josua ponuro. – Przysięgali mojemu bratu. Nie mieli wyboru.

– A czy my mieliśmy? – odpowiedział szybko Freosel. – Oni dokonali złego wyboru. Splamili ręce naszą krwią. Zabij ich i skończmy z tym.

Niech Bóg się martwi o wybór.

Josua westchnął.

– Sceldwine, co ty na to? Dlaczego miałbym pozwolić ci żyć?

Erkynlandczyk wydawał się zagubiony.

– Ponieważ jesteśmy tylko żołnierzami w służbie Króla. Chociażby z tego powodu. – Patrzył szeroko otwartymi oczami.

Josua skinął na Freosela i Simona i wszyscy trzej odeszli na środek jaskini poza zasięg słuchu więźniów.

– I co? – spytał.

Simon potrząsnął głową.

– Zabić ich, książę Josuo? Ja nie...

Josua uniósł dłoń.

– Nie, oczywiście, że ich nie zabiję. – Odwrócił się do Freosela, który stał obok uśmiechnięty. – Freosel pracuje nad nimi od dwóch dni. Są przekonani, że chce ich głów oraz że mieszkańcy Nowego Gadrinsett domagają się, by ich powieszono przed Domem Rozstania. A my chcemy, by osiągnęli odpowiedni nastrój.

Simon zrozumiał, że znowu źle ocenił sytuację.

– W takim razie, co chcecie zrobić?

– Słuchajcie mnie. – Josua przybrał niezwykle poważną minę i odszedł wolno w stronę palisady i czekających za nią zdenerwowanych więźniów. – Sceldwine – powiedział. – Może będę tego żałował, ale mam zamiar darować życie tobie i twoim ludziom.

Freosel prychnął głośno, wyrażając swe niezadowolenie, i odszedł. Wśród więźniów rozległy się pomruki ulgi.

– Ale... – Josua uniósł palec – ale nie będę was żywił. Musicie zapracować na siebie. Moi ludzie powiesiliby mnie, gdybym choć tego nie

zażądał; i tak będą bardzo niezadowoleni, że pozbawiłem ich przyjemności egzekucji. Jeśli okażecie się godni zaufania, pozwolimy wam walczyć po naszej stronie i zostać z nami, kiedy zrzucimy mojego szalonego brata ze Smoczego Tronu.

Sceldwine zacisnął mocno dłonie na palu.

– Josuo, będziemy walczyć po twojej stronie. W tych okropnych czasach nikt nie okazał nam tyle łaski.

Jego towarzysze natychmiast przytaknęli mu głośno.

– Dobrze. Zastanowię się, jak to wszystko urządzić. – Josua skinął głową i odwrócił się od więźniów.

Simon poszedł za nim na środek jaskini.

– Na Odkupiciela – powiedział Josua. – Gdyby rzeczywiście walczyli po naszej stronie...! Zyskalibyśmy setkę wyćwiczonych żołnierzy. Może inni pójdą w ich ślady, kiedy się dowiedzą.

Simon uśmiechnął się.

– Byłeś bardzo przekonujący, Freosel także.

Josua wyglądał na zadowolonego.

– Coś mi się zdaje, że w rodzinie naszego konstabla znalazłoby się kilku wędrownych aktorów. Jeśli chodzi o mnie, to... no cóż, wszyscy książęta to urodzeni kłamcy, wiecie o tym. – Zaraz jednak spoważniał. – Teraz muszę się zająć najemnikami.

– Chyba nie zaproponujesz im tego samego? – spytał Simon, zmartwiony.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ... ponieważ ci, którzy walczą dla pieniędzy, są inni.

– Wszyscy żołnierze walczą dla pieniędzy – odparł łagodnie Josua.

– Nie o to mi chodzi. Słyszałeś, co mówił Sceldwine. – Walczyli, gdyż myśleli, że muszą to robić. I rzeczywiście, przynajmniej po części tak jest. Ale Thrithingowie walczyli dlatego, że zapłacił im Fengbald. Jedyną twoją zapłatą dla nich może być ich życie.

– Co stanowi dość znaczną sumę, czy nie tak? – zauważył Josua.

– Tylko co się stanie, kiedy odzyskają broń? Oni nie są tacy jak gwardziści, Josuo. Jeśli chcesz budować królestwo inne od tego, którym włada twój brat, nie możesz opierać go na najemnikach i im podobnych. – Zamilkł nagle, zdając sobie sprawę, że poucza samego księcia. – Wybacz – wybąkał. – Nie powinienem mówić w taki sposób.

Josua przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Młody Simonie, mają rację co do ciebie – powiedział wolno. – Pod tą rudą czupryną znajduje się mądra głowa. – Położył dłoń na ramieniu Simona. – Nie miałem zamiaru zajmować się nimi, dopóki nie spotkam się z Hotvigiem. Ale zastanowię się nad tym, co mi powiedziałeś.

– Wybacz moją śmiałość – powiedział Simon zawstydzony. – Jesteś dla mnie bardzo dobry.

– Twoje myśli, Simonie, są dla mnie tak samo cenne jak myśli Freosela. Głupcem jest ten, kto nie słucha życzliwych rad. Choć jeszcze większym głupcem jest ten, kto ślepo słucha wszystkich rad. – Uścisnął ramię Simona. – Wracajmy. Chciałbym, żebyś opowiedział mi jeszcze o Sithach.

SIMON CZUŁ SIĘ DZIWNIE, używając lusterka do tak pospolitej czynności jak przystrzyganie brody, lecz Sludig dał mu do zrozumienia – w dość bezpośredni sposób – że wygląda coraz bardziej kudłato. Oparte o kamień lusterko Jirikiego zamrugało w zapadającym zmroku. Simon musiał co pewien czas przecierać je rękawem, gdyż w powietrzu unosiła się lekka mgła. Niewprawiony w przeprowadzaniu podobnych operacji kościanym

nożem – mógłby pożyczyć ostrzejszy, stalowy nóż Sludiga, ale wtedy Rimmersman stałby przy nim i pouczał nieustannie – Simon zdążył kilkakrotnie zadać sobie sporo bólu, gdy nagle pojawiły się trzy młode kobiety.

Simon widywał je wcześniej w Nowym Gadrinsett; z dwiema tańczył nawet w noc pasowania go na rycerza, najmłodsza z nich zaś podarowała mu koszulę. Wszystkie wydawały mu się bardzo młode, choć on sam był może starszy od nich o rok. Szczególną uwagę zwrócił na dość pulchną dziewczynę o brązowych, kręconych włosach, która przypominała mu nieco pokojówkę Hepzibah.

– Co robisz, sir Seomanie? – spytała Chuda. Miała duże, poważne oczy, które przykrywała powiekami za każdym razem, kiedy Simon zatrzymał na niej wzrok.

– Przycinam brodę – odparł ponuro. „Sir Seomanie”, też coś. Kpią sobie z niego?

– Och, nie ścinaj jej! – wtrąciła dziewczyna o kręconych włosach. – Bardzo ci z nią do twarzy.

– Nie, nie rób tego – zawtórowała jej Chuda.

Trzecia z nich, niska dziewczyna o prostych, złocistych włosach i kilku piegach na twarzy potrząsnęła głową.

– Nie rób tego.

– Tylko ją przycinam. – Zastanawiał się, jak głupie mogą być kobiety. Jeszcze kilka dni temu ludzie ginęli w obronie tego miejsca! Ludzie, których pewnie dobrze znały. A oto teraz zawracają mu głowę jego brodą. Jakie one są zmienne.

– Naprawdę uważacie, że jest ładna? – spytał.

– Och, tak – bąknęła Kędzierzawa i zaraz się zaczerwieniła. – To znaczy, wyglądasz z nią... mężczyzna wygląda z brodą na starszego.

– Więc uważasz, że powinienem wyglądać na starszego? – spytał stanowczym głosem.

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie. – Ale ładnie ci z nią.

– Sir Seomanie, mówią, że byłeś bardzo dzielny w czasie bitwy – powiedziała Chuda.

Wzruszył ramionami.

– Walczyliśmy o swój dom, o swoje życie. Starałem się tylko nie dać się zabić.

– Camaris też by tak powiedział – zauważyła.

Simon roześmiał się głośno.

– Żaden Camaris. Nic takiego.

Niska dziewczyna podeszła trochę bliżej i przyglądała się teraz uważnie lusterku Simona.

– Czy to jest to zaczarowane lusterko? – spytała.

– Zaczarowane lusterko?

– Ludzie mówią... – zawahała się i spojrzała niepewnie na przyjaciółki.

Chuda dziewczyna natychmiast przyszła jej z pomocą.

– Ludzie mówią, że przyjaźnisz się z czarodziejskimi istotami i że one przychodzą, kiedy wezwiesz je przez swoje lusterko.

Simon uśmiechnął się zamyślony. Okruchy prawdy pomieszane z głupotą. Jak to się stało? I kto o nim mówi? Dziwnie było o tym myśleć.

– Nie, to nie tak. Rzeczywiście dostałem lusterko od jednego z Sithów, ale oni wcale nie przychodzą, kiedy ich wzywam. Gdyby tak było, nie musielibyśmy walczyć sami z Fengbaldem.

– Czy twoje lusterko może spełniać życzenia? – spytała Kędzierzawa.

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie Simon. – Nigdy nie spełniło żadnego z moich życzeń. – Przypomniał sobie, jak Aditu uratowała go w lesie

Aldheorte. – To znaczy, ono działa w inny sposób – skończył. On także mieszał prawdę z kłamstwem. Tylko jak wytłumaczyć szaleństwo ostatniego roku, tak by go zrozumiały?

– Modliłyśmy się, sir Seomanie, żeby udało ci się sprowadzić pomoc – powiedziała poważnie Chuda. – Tak bardzo się bałyśmy.

Spojrzawszy na jej blade oblicze, upewnił się, że mówi prawdę. Z pewnością się bały, ale czy to znaczy, że teraz nie potrafią cieszyć się z tego, że wciąż żyją? One nie były wcale takie zmienne. Czy będą rozpaczały podobnie jak Josua?

– Ja też się bałem – powiedział. – Mieliśmy dużo szczęścia.

Zapadła cisza. Dziewczyna o kręconych włosach poprawiła płaszcz, który rozchylił się, ukazując jej gładką szyję. Rzeczywiście robiło się cieplej. Stał tam bez ruchu od dłuższego czasu, a nie poczuł chłodu. Spojrzał w niebo, jakby chciał się upewnić, że zima odchodzi.

– Czy masz swoją damę? – odezwała się nagle Kędzierzawa.

– Czy co mam? – spytał, chociaż usłyszał wyraźnie pytanie.

– Swoją panią – powiedziała, rumieniąc się. – Ukochaną.

Simon milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Właściwie to nie.

Dziewczęta wpatrywały się w niego wyczekująco jak szczenięta, aż poczuł, że sam też się rumieni.

– Nie, właściwie to nie. – Ściskał swój nóż już tak długo, że zbielały mu palce.

– Ach – przemówiła Kędzierzawa. – No cóż, sir Seomanie, pozostawimy cię twoim zajęciom. – Jej chuda przyjaciółka pociągnęła ją za łokieć, lecz ona zignorowała ją. – Czy przyjdziesz na ognisko?

– Ognisko?

– Na uroczystość. Będą też uroczystości żałobne. W środku osady. – Wskazała w kierunku Nowego Gadrinsett. – Jutro wieczorem.

– Nic o tym nie wiedziałem. Tak, chyba przyjdę. – Znowu się uśmiechnął. Po dłuższej rozmowie okazywały się bardzo rozsądnymi, młodymi kobietami. – Jeszcze raz dziękuję ci za koszulę – zwrócił się do Chudej.

Zamrugała szybko.

– Może włożysz ją na jutrzejszy wieczór.

Pożegnawszy się, wszystkie trzy odeszły przez płaski wierzchołek; idąc, przytuliły się do siebie, rozchichotane. Przez chwilę Simon poczuł się urażony, podejrzewając, że może się z niego śmieją, lecz zaraz zmienił zdanie. Wydawało mu się, że go lubią. Dziewczyny takie już po prostu są.

Odwrócił się do lusterka, by skończyć przycinanie brody, zanim zajdzie słońce. Ognisko, mówiły? Zastanawiał się, czy powinien pójść z mieczem.

SIMON ROZMYŚLAŁ NAD TYM, CO POWIEDZIAŁ. Prawdą było, że nie ma żadnej damy serca, jaką powinni – jego zdaniem – mieć rycerze, nawet takie obdartuchy jak on. Jednak nie mógł nie pomyśleć o Miriamele. Jak dawno już jej nie widział? Zaczął liczyć miesiące na palcach: Yuven, Tiyagar, Anitul, Septander, Octander... prawie pół roku! Z pewnością już o nim zapomniała.

Ale Simon o niej nie zapomniał. Pamiętał chwile – dziwne i przerażające – kiedy był pewien, że ona pragnęła być z nim równie mocno jak on. Kiedy patrzyła na niego, jej oczy wydawały się tak ogromne, spoglądały na niego z taką uwagą, jakby chciały go pochłonąć, jakby chciała zapamiętać każdy rys jego twarzy. Czy to działo się tylko w jego wyobraźni? Pewne jest, że oboje przeżyli niewiarygodną przygodę, prawie

pewne jest też, że uważała go za przyjaciela... ale czy myślała o nim jeszcze inaczej?

Przypomniał ją sobie taką, jaka była w Naglimundzie. Włożyła wtedy błękitną szatę, dzięki której wydała mu się tak niesamowicie doskonała, tak zupełnie inna od oberwanej służącej, która spała oparta na jego ramieniu. Wyczuwał w niej pewne wahanie, kiedy spotkali się na zamkowym dziedzińcu, lecz czy było to wyrazem wstydu z powodu oszustwa wobec niego, czy może obawy, że ujawnienie jej prawdziwego imienia rozdzieli ich?

Wcześniej widział ją w wieży Hayholt: jej włosy przypominały złocisty jedwab. Simon, biedny podkuchenny, patrzył na nią i czuł się jak karaluch, który ujrzał nagle błysk słońca. Jej twarz, tak pełna życia, tak zmienna, pełna złości i śmiechu, bardziej nieprzewidywalna niż twarz jakiejkolwiek kobiety, którą spotkał...

W końcu powiedział sobie, że nie ma sensu dłużej tak się mazgaić. Należało raczej przypuszczać, że traktowała go jak przyjacielskiego podkuchennego, jak dziecko służących, które wychowuje się wśród dzieci państwa, lecz o którym zapominają, gdy tylko dorosną. A nawet jeśli myślała czasem o nim, to i tak nie było szansy, by cokolwiek z tego wyszło. Tak zwykle się działo, a przynajmniej tak go uczono.

A jednak Simon wędrował po świecie już dostatecznie długo i widział wystarczająco dużo dziwów, by się przekonać, że niezmienne fakty życia, o których mówiła mu Rachel, nie są wcale tak pewne. Właściwie czym się różnią zwykli ludzie od szlachetnie urodzonych? Josua jest dobrym i mądrym człowiekiem – Simon nie wątpił, że byłby z niego wspaniały Król – ale już jego brat Elias okazał się potworem. Czy pierwszy lepszy wieśniak, którego przyprowadzono by z pola, potrafiłby zrobić coś gorszego od niego? Co było takiego świętego we krwi szlachetnie

urodzonych? A przecież sam Król John pochodził z rodziny wieśniaków czy jakiejś takiej!

Nagle przyszła mu do głowy straszliwa myśl: co się stanie, jeśli Elias zostanie pokonany, a Josua zginie? Co będzie, jeśli Miriamele nigdy się nie odnajdzie? Wtedy ktoś inny zostałby Królem albo Królową! Simon niewiele wiedział o świecie, a przynajmniej o tym, który wykraczał poza krętą ścieżkę jego podróży przez ostatnie pół roku. Czy istnieją jacyś wielcy, którzy mogliby rościć sobie prawo do Smoczego Tronu? Może tamten szlachcic z Nabbanu, Bigaris, czy jak on tam się nazywa? Albo potomek Llutha, zmarłego króla Hernystiru? A może stary Isgrimnur, jeśli w ogóle powróci. Jego przynajmniej Simon darzył szacunkiem.

Teraz jego myśli płonęły jak rozżarzone węgle. A dlaczego wśród nich nie miałby znaleźć się on, Simon? Skoro świat i tak stanął na głowie, a ci, którzy pragnęli władzy, mogli odejść, kiedy opadnie pył, dlaczego nie miałby to być rycerz z Erkynlandu, rycerz, który – podobnie jak John – walczył ze smokiem i który został naznaczony jego czarną krwią? Który odbył podróż do zakazanej krainy Sithów i został przyjacielem trolli? Czy on nie byłby godny księżniczki?

Simon wpatrywał się w swoje odbicie w lusterku; widział biały kosmyk włosów, długą bliznę i mechatą brodę.

„Patrzcie na mnie – pomyślał i nagle roześmiał się głośno. – Król Simon wielki. – Równie dobrze mogłaby to być Rachel, księżna Nabbanu, mnich Cadrach albo Lektor Matki Kościoła. Równie dobrze gwiazdy mogłyby świecić w południe!”

A tak w ogóle, to kto chciałby zostać Królem?

Jego zdaniem jedynie ból czekał tego, kto miałby zastąpić Eliasa na kościanym tronie. Nawet jeśli można było pokonać Króla Burz, co wydawało się raczej niemożliwe, to całe królestwo leżało w ruinie, ludzie

umierali z głodu i zimna. Nie byłoby żadnych turniejów i parad, przez wiele lat żaden promień słońca nie zalśniłby na zbroi.

„Nie – pomyślał z goryczą. – Następnym Królem powinien zostać ktoś taki jak Barnabas, kościelny z kaplicy w Hayholt; ktoś, kto potrafiłby dobrze grzebać zmarłych”.

Wsunął lusterko do kieszeni płaszcza i usiadł wygodnie na kamieniu, by przyjrzeć się zachodzącemu słońcu.

VORZHEVA ODNALAZŁA SWOJEGO MĘŻA w Domu Rozstania. W długiej sali pozostał tylko Josua nad ciałem zmarłego Deornotha. Sam książę wcale nie przypominał żywego: stał nieruchomo jak posąg ustawiony obok ołtarza, na którym złożono jego przyjaciela.

– Josua?

Książę odwrócił się wolno, jakby budził się ze snu.

– Tak, pani?

– Za długo tu jesteś. Dzień już się kończy.

Uśmiechnął się.

– Dopiero przyszedłem. Byłem z Simonem i zajmowałem się też innymi sprawami.

Vorzheva pokręciła głową.

– Przyszedłeś tutaj już dawno temu, nawet jeśli dokładnie nie pamiętam. Spędziłeś tutaj prawie całe popołudnie.

Twarz Josui drgnęła.

– Doprawdy? – Odwrócił głowę i spojrzał na Deornotha. – Czuję... nie wiem, czuję, że nie powinienem zostawiać go samego. On zawsze troszczył się o mnie.

Vorzheva podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia.

– Wiem. Chodź ze mną.

– Dobrze. – Josua wyciągnął rękę i dotknął całunu, którym przykryto pierś Deornotha.

Kiedy Josua i jego towarzysze przybyli na *Sesuad’ra*, Dom Rozstania był zaledwie kamienną skorupą. Później osadnicy założyli okiennice na puste okna i solidne drewniane drzwi, by można było omawiać sprawy Nowego Gadrinsett w cieple i spokoju. Mimo to widać było prowizorkę tymczasowych mieszkańców Domu; ich niezbyt zgrabne udogodnienia kontrastowały bardzo z kunsztem Sithów. Josua przesunął dłonią po drobnej rzeźbie, a zaraz potem Vorzheva poprowadziła go do jednych z drzwi w tylnej ścianie i razem wyszli w blask zachodzącego słońca.

Ściany ogrodu były mocno pokruszone, kamienne alejki popękane i zarośnięte. Brutalny najazd zimy przetrwało tylko kilka najbardziej wytrzymałych różanych krzewów, choć mogły upłynąć miesiące lub nawet lata, zanim zakwitną ponownie; ich ciemne liście i cierniste gałęzie wydawały się mocne i zdecydowane przetrwać. Patrząc na nie, człowiek się zastanawiał, jak długo tu rosną i kto je posadził.

Vorzheva i Josua przeszli obok poskręcanej, ogromnej sosny, która wyrosła w wyrwie między częściami muru. Wydawało się, że krwawe słońce zawisło na jej koronie.

– Czy wciąż myślisz o niej? – spytała nagle Vorzheva.

– Co? – odpowiedział pytaniem Josua jakby wyrwany ze snu. – O kim?

– O tej drugiej. Tej, którą kochałeś. Żonie twojego brata.

Książę przechylił głowę.

– Hylissa. Nie, tylko czasami. Muszę teraz skupić się na najważniejszych sprawach. – Objął żonę ramieniem. – Teraz mam rodzinę, o którą muszę się troszczyć.

Przez chwilę Vorzheva przyglądała mu się podejrzliwie, lecz potem skinęła głową.

– Tak – powiedziała. – Masz rodzinę.

– I to nie byle jaką rodzinę, cały naród.

Prychnęła zniecierpliwiona.

– Nie możesz być mężem wszystkich kobiet, ojcem dla wszystkich dzieci.

– Oczywiście, że nie. Ale muszę być księciem, czy mi się to podoba, czy nie.

Szli w milczeniu zasłuchani w urywany śpiew samotnego ptaka, który przysiadł gdzieś wysoko w koronie sosny. Wiatr był wciąż chłodny, chociaż wyczuwało się w nim nieco cieplejszy prąd, co, być może, skłoniło ptaka do śpiewu.

Vorzheva przytuliła głowę do ramienia Josui, tak że jej czarne włosy połaskotały go w brodę.

– Co teraz zrobimy? – spytała. – Bitwa się skończyła.

Josua poprowadził ją do kamiennej ławki, potłuczonej na jednym końcu, lecz wciąż nadającej się do siedzenia. Starli resztki topniejącego śniegu i usiedli.

– Nie wiem – powiedział. – Chyba czas zwołać kolejną Radę. Jest wiele rzeczy do omówienia. Mam wątpliwości co do wyboru najlepszej drogi. Kiedy pochowamy zmarłych, powinniśmy coś postanowić.

Vorzheva uniosła wzrok zdziwiona.

– O czym ty mówisz, Josuo? Po co ten pośpiech?

Książę uniósł dłoń i przyglądał się jej.

– Ponieważ możemy stracić dogodną okazję, jeśli szybko nie uderzymy.

– Nie uderzymy? – spytała. – Na kogo? Cóż to za szaleństwo? Straciliśmy jedną trzecią ludzi. Poprowadziłbyś tych kilkuset, którzy przeżyli, przeciwko swojemu bratu?

– Ale przecież odnieśliśmy ważne zwycięstwo. Pierwsze, jakie udało się odnieść komukolwiek od chwili rozpoczęcia naszej szalonej kampanii. Ludzie nabiorą otuchy, jeśli teraz zaatakujemy, dopóki żywa jest pamięć zwycięstwa, a Elias nie wie, co się stało; poza tym, kiedy inni zobaczą, że działamy, przyłączą się do nas.

Vorzheva otworzyła szeroko oczy. Zasłoniła brzuch ramieniem, jakby chciała ochronić nienarodzone jeszcze dziecko.

– Och, nie, Josuo! To jest zbyt głupie! Myślałam, że zaczekasz przynajmniej, aż skończy się zima. Jak zamierzasz teraz walczyć?

– Wcale nie mówiłem, że zamierzam zrobić cokolwiek – powiedział. – Jeszcze nie podjąłem decyzji i nie podejmę jej, dopóki nie zwołam Rady.

– Tak. Wy, mężczyźni, będziecie siedzieć i rozprawiać o wielkiej bitwie, jaką stoczyliście. Czy kobiety też tam będą?

– Kobiety? – spojrzał na nią pytająco. – Geloë weźmie udział w naradzie.

– Ach, tak, Geloë – parsknęła. – Ponieważ nazywa się ją „mądrą kobietą”. Tylko takiej kobiety potraficie słuchać. Kobiety, która ma swoje imię, jak szybki koń albo silny wół.

– A co powinniśmy zrobić? Zaprosić całe Nowe Gadrinsett? – Książę zaczynał się niecierpliwić. – To byłoby głupie.

– Nie bardziej głupie niż wysłuchiwanie rad tylko mężczyzn. – Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, najwyraźniej starając się opanować. Odetchnęła głęboko kilkakrotnie, zanim znowu zaczęła mówić. – Kobiety w Klanie Ogiera opowiadają pewną historię. Jest to opowieść o byku, który nie słuchał swoich krów.

Josua czekał.

– I co? – spytał wreszcie. – Co się z nim stało?

Vorzheva zmarszczyła czoło i poszła wolno pokruszoną, kamienną ścieżką.

– Postępuj tak dalej, a się dowiesz.

Wyraz twarzy Josui odzwierciedlał częściowo jego niezadowolenie, ale i rozbawienie.

– Zaczekaj, Vorzhevo. – Wstał i poszedł za nią. – Słusznie czynisz, strofując mnie. Powinienem cię wysłuchać. Co się stało z bykiem?

Spojrzała na niego uważnie.

– Powiem ci kiedy indziej. Teraz jestem za bardzo zła.

Josua wziął ją za rękę i szedł obok. Ścieżka wiła się wśród poprzewracanych kamieni, prowadząc do okalających ogród kamiennych kolumn, zza których dochodziły czyjeś głosy.

– Dobrze – odezwała się nagle. – Byk był zbyt dumny, by słuchać krów. Kiedy powiedziały mu, że wilk wykrada ich cielęta, nie uwierzył, ponieważ sam tego nie widział. Kiedy wilk wykradł wszystkie cielęta, krowy wypędziły byka i znalazły sobie innego. – Patrzyła na niego hardo. – Potem wilki zjadły pierwszego byka, gdyż nie miał on nikogo, kto strzegłby go w czasie snu.

Josua roześmiał się głośno.

– Czy to jest ostrzeżenie?

Vorzheva ścisnęła jego ramię.

– Proszę, Josuo. Ludzie są zmęczeni walką. Zadomowili się tutaj. – Przyciągnęła go do szczeliny między kamieniami. Widać stąd było targowisko, które powstało pod murami Domu Rozstania. Mężczyźni, kobiety i dzieci handlowali tą garstką przedmiotów, które przynieśli ze sobą

z poprzednich domów, a także nowymi, które zdobyli na *Sesuad'ra*. – Widzisz – powiedziała Vorzheva. – Dla nich zaczęło się tutaj nowe życie. Sam im mówiłeś, że walczą o swój dom. Jak więc teraz możesz kazać im iść dalej?

Josua przyglądał się grupce obdartych dzieci, bawiących się w przeciąganie liny kolorową szmatą. Krzyczały roześmiane, wzbijając tumany śnieżnego pyłu; gdzieś niedaleko matka upominała gniewnie dziecko, by schowało się przed wiatrem.

– Ale to nie jest ich prawdziwy dom – powiedział cicho. – Nie możemy zostać tutaj na zawsze.

– A kto mówi, że na zawsze? Tylko do wiosny! Dopóki nie urodzi się nasze dziecko!

Josua potrząsnął głową.

– Ale może już nigdy nie będziemy mieli takiej okazji. – Odwrócił się od kamiennej ściany z ponurą miną. – A poza tym jestem to winien Deornothowi. Oddał życie nie po to, byśmy mogli odejść spokojnie, lecz byśmy odpłacili mojemu bratu za wyrządzone krzywdy.

– Winien Deornothowi! – Vorzheva powtórzyła ze złością, lecz jej wzrok wyrażał smutek. – Cóż za stwierdzenie! Tylko mężczyzna może coś takiego powiedzieć!

Josua odwrócił się i przyciągnął ją gwałtownie do siebie.

– Pani, kocham cię. Staram się tylko robić to, co jest słuszne.

Odwróciła wzrok.

– Wiem, ale...

– Ale nie jesteś przekonana, że podjąłem najlepszą decyzję. – Skinął głową, gładząc jej włosy. – Vorzhevo, słucham wszystkich, ale ostateczne słowo należy do mnie. – Westchnął i przez chwilę stali naprzeciw siebie

w milczeniu. – Miłościwy Aedonie, nie życzę tego nikomu – odezwał się wreszcie. – Vorzhevo, obiecaj mi coś.

– Co? – Płaszcz stłumił jej głos.

– Zmieniłem zdanie. Jeśli coś mi się stanie... – Zamyślił się. – Jeśli coś mi się stanie, zabierz nasze dziecko od tego wszystkiego. Nie pozwól, by posadzili go na tronie albo żeby użyli go jako sztandaru, pod którym będą zbierały się wojska.

– Go?

– Albo ją. Nie pozwól, by nasze dziecko zostało wplątane w tę grę, tak jak stało się to ze mną.

Vorzheva potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nikt nie odbierze mi mojego dziecka, nawet twoi przyjaciele.

– Dobrze. – Josua spojrzał w górę poprzez wachlarz jej rozwianych włosów. Zachodnie niebo zaczerwieniło się od słońca, które zniknęło za Domem Rozstania. – Teraz łatwiej będzie mi znieść to, co jeszcze przede mną.

PIĘĆ DNI PO BITWIE POCHOWANO ostatnich spośród poległych na *Sesuad'ra*; byli wśród nich mężczyźni i kobiety z Erkynlandu, Hernystiru i z kraju Thrithingów, trolle z Yiqanuc i mieszkańcy Nabbanu, uchodźcy z kilkudziesięciu miejsc, pochowani w płytkiej ziemi na szczycie Kamienia Rozstania. Książę Josua mówił uroczyście o ich cierpieniu i poświęceniu, a jego płaszcz powiewał na wietrze. Przemówienia wygłosili też ojciec Strangyeard, Freosel i Binabik. Mieszkańcy Nowego Gadrinsett słuchali zastygli w bezruchu.

Niektóre groby pozostały bezimienne, lecz większość z nich zdobił mały pomnik – rzeźbiona tablica albo kamień z imieniem poległego.

Gwardziści zrobili wszystko, co w ich mocy, by przebić się przez zmarzniętą skorupę, i także pochowali swoich towarzyszy u brzegu jeziora; jeden wielki grób zaznaczyli ogromnym kamieniem z napisem, który głosił: „Żołnierze z Erkynlandu polegli w bitwie nad Stefflod. *Em Wulstes Duos*”. – Tak chciał Bóg.

Nikt nie opłakiwał tylko poległych Thrithingów. Ich pozostali przy życiu towarzysze wykopali na równinie rozległy dół, przekonani po części, że Josua zamierza ich stracić i że kopią grób dla siebie. Lecz kiedy skończyli, uzbrojeni strażnicy odprowadzili ich daleko na równinę i puścili wolno. Okropną hańbą dla Thrithinga była utrata konia, mimo to najemnicy szybko zdecydowali, że marsz pieszo mimo wszystko lepszy jest od śmierci.

Tak więc wreszcie pochowano wszystkich zmarłych, pozbawiając kruki oczekiwanej uczty.

Kiedy uroczysta muzyka wznosiła się ponad przeciągłe zawodzenie wiatru, wielu spośród żałobników pomyślało, że drogo okupili to heroiczne zwycięstwo. Na myśl o tym, że pokonali zaledwie najmniejszą z wysłanych przeciwko nim sił, tracąc niemal połowę własnych, wzgórze wydało im się jeszcze zimniejsze i bardziej samotne.

KTOŚ CHWYCIŁ SIMONA Z TYŁU ZA RAMIĘ. Odwrócił się błyskawicznie, wyrywając ramię, gotowy zadać cios.

– Spokojnie, młodzieńcze, nie bądź taki narwany! – Stary błazen skulił się, wznosząc ręce nad głową.

– Przepraszam, Towserze. – Simon poprawił płaszcz. Bardzo chciał znaleźć się już przy ognisku, które płonęło nieopodal. – Nie wiedziałem, kto to jest.

– Nie gniewam się. – Towser zachwiał się nieco. – Co to ja chciałem... to znaczy, może pójdę z tobą kawałek. Na uroczystości. Moje nogi nie niosą mnie już tak pewnie jak kiedyś.

„Nic dziwnego” – pomyślał Simon; Towser wyraźnie chuchał winem. Zaraz jednak przypomniał sobie, co powiedział Sangfugol, i poskromił swoje zniecierpliwienie.

– Dobrze. – Podał starcowi ramię, by ten mógł się na nim wesprzeć.

– Dobry chłopak, bardzo dobry. Simon się nazywasz, dobrze pamiętam? – Starzec uniósł wzrok; jego twarz była istnym labiryntem zmarszczek.

– Zgadza się. – Simon uśmiechnął się w ciemności. Wcześniej musiał kilkanaście razy przypominać Towserowi swoje imię.

– Zajdziesz daleko, tak, daleko – powiedział starzec. Szli wolno w stronę migocącego ognia. – A ja znam ich wszystkich.

TOWSER ODSZEDŁ W SWOJĄ STRONĘ, gdy tylko dotarli do ogniska.

Starzec szybko przyłączył się do grupy podchmielonych trolli, by przypomnieć im historię byczego Rogu, a sobie – jak przypuszczał Simon – smak kangkang. Początkowo Simon trzymał się na obrzeżu zgromadzenia.

Zanosiło się na wielką ucztę, może pierwszą, jaką oglądał *Sesuad’ra*. Obóz Fengbalda pękał w szwach od zapasów, jakby zmarły książę ogołocił cały Erkynland, by zapewnić sobie na ziemi Thrithingów zbytek, jaki pozostawił w Hayholt. Josua roztropnie kazał większość zapasów odłożyć na później – nawet gdyby mieli opuścić Kamień, nie nastąpiłoby to następnego dnia – lecz pozwolił też, by sporą część przeznaczono na tę noc, która miała być wielkim świętem zwycięstwa. Otworzenie beczułek Fengbalda sprawiło szczególną radość Freoselowi, który opróżnił pierwszy kufel Ciemnego ze Stanshire z taką przyjemnością, jakby była to krew księcia, a nie zwykłe piwo.

Już wcześniej na środku Ogrodu Ognia ułożono stos drewna, którego nie zbywało mieszkańcom Nowego Gadrinsett. Teraz ognisko płonęło jasno, a większość ludzi zebrała się w kamiennym ogrodzie. Sangfugol i kilku innych wielbicieli muzyki przechadzali się, przygrywając mniejszym grupkom słuchaczy. Niektórzy z nich oklaskiwali muzyków z większym entuzjazmem niż pozostali. Simon z uśmiechem słuchał, jak trzech mocno podchmielonych biesiadników nalegało, by razem z Sangfugolem zaśpiewać *U Brzegów Greenwade*. Sangfugol mrugnął porozumiewawczo, ale przyjął zaproszenie. Simon w duchu pogratulował harfiarzowi cierpliwości i poszedł dalej.

Noc była chłodna lecz pogodna, a wiatr, który tarmosił żałobników niemiłosiernie jeszcze w czasie uroczystości pogrzebowych, teraz niemal ustał. Doszedł do wniosku, że biorąc pod uwagę porę roku, pogoda była dość dobra. Wciąż się zastanawiał, czy dzieje się tak dlatego, że w jakiś sposób osłabła moc Króla Burz. Tym razem jego myśli poszły jeszcze dalej.

„A jeśli on tylko zbiera siły? Co będzie, jeśli wyciągnie swe ramię i dokona tego, czego nie udało się dokonać Fengbaldowi?”

Simon bał się dalej myśleć o tym. Wzruszył ramionami i poprawił pas miecza.

Pierwszy kielich wina, jaki mu ofiarowano, rozgrzał jego żołądek i rozluźnił mięśnie. Wcześniej pomagał grzebać zmarłych – paskudne zadanie, gorsze jeszcze przez to, że spod maski szronu co jakiś czas ukazywała się znajoma twarz. Simon i pozostali używali wszystkiego, co tylko możliwe, by przebić się przez zmarzniętą skorupę ziemi, choć z drugiej strony panujące zimno opóźniało proces gnicia, co czyniło ich pracę mniej uciążliwą. Mimo to przez ostatnie dwie noce męczyły go koszmary: wciąż widział zesztywniałe ciała staczające się do dołu, zastygłe

w najprzeróżniejszych pozycjach; postacie, które mógłby wyrzeźbić jakiś szalony rzeźbiarz opętany obsesją bólu i cierpienia.

„Oto wojenne nagrody” – pomyślał, idąc przez rozochocony tłum. Jeśli Josua miał odnieść zwycięstwo, to po czekających ich jeszcze bitwach uroczystości bardziej będą przypominały taniec Yrmansol. Będzie można usypać z ciał górę większą od Wieży Zielonego Anioła.

Na samą myśl o tym zrobiło mu się zimno i niedobrze. Poszedł po kolejny kielich wina.

Simon zauważył, że uroczystość przybrała dość żywiołowy charakter. Śmiechy rozlegały się nieco za szybko i za głośno, jakby weselący się bardziej robili to dla dobra innych niż samych siebie. W miarę jak płynęło wino, zaczęły się sprzeczki i bójki, co – zdaniem Simona – było ostatnią rzeczą, na jaką można było mieć ochotę. A jednak, przechadzając się, spotykał małe grupki zebrane wokół walczących i przeklinających mężczyzn; gapie zachęcali do walki lub szydzili z kotłujących się w błocie przeciwników. Byli wśród nich jednak i tacy, którzy wyglądali na zmartwionych.

„Oni wiedzą, że to jeszcze nie koniec – pomyślał, żałując, że tak poważne myśli nie dają mu spokoju w noc, która miała być świętem radości. – Cieszą się, że żyją, ale wiedzą, że przyszłość może się okazać o wiele gorsza”.

Poszedł dalej, przyjmując kielich wina, kiedy go poczęstowano. Zatrzymał się na chwilę przy Domu Rozstania, by popatrzeć, jak Sludig i Hotvig się siłują – nie widział bardziej przyjacielskiej walki. Obaj rozebrali się do pasa, próbując wypchnąć się wzajemnie poza krąg ze sznura, lecz ich zmaganiom towarzyszyły radosne okrzyki, a kiedy przestali, by złapać oddech, obaj napili się wina z jednego bukłaka. Simon przywitał ich z daleka.

Poszedł dalej, czując się jak samotna mewa, która krąży wokół masztu statku, na którym towarzystwo bawi się beztrosko.

SIMON STRACIŁ POCZUCIE CZASU, nie wiedział, czy minęła godzina od zapadnięcia zmroku, czy może zbliża się północ. Po którymś z kolei wypitym kielichu wina świat stał się trochę mniej wyraźny.

W tym właśnie momencie czas jednak nie był rzeczą najistotniejszą. Za to taką wydawać się mogła dziewczyna, która szła obok Simona; blask dogasającego ognia odbił się w jej czarnych, falujących włosach. Jak się niedawno dowiedział, dziewczyna nie nazywała się Kędzierzawa, lecz Ulca. Potknęła się, a on objął ją ramieniem, zdumiony, jak ciepłe może być ciało nawet poprzez grube ubranie.

– Dokąd idziemy? – spytała i roześmiała się. Sprawiała wrażenie, że bierze pod uwagę różne miejsca.

– Przejść się – odparł Simon. Po chwili namysłu zdecydował, że powinien bardziej sprecyzować swoje plany. – Pospacerujemy.

Z tyłu dochodziły stłumione odgłosy biesiady i przez chwilę wydało mu się, że znowu znalazł się w środku bitwy, na śliskim od krwi, zamarzniętym jeziorze...

Poczuł gęsią skórkę. Dlaczego musi teraz myśleć o takich rzeczach? Prychnął z obrzydzeniem.

– Co? – Ulca zachwiała się. Ona także skosztowała wina z bukłaka, który dał im Sangfugol. Zrobiła to z pewną wprawą.

– Nic – odpowiedział. – Zamyśliłem się. Myślałem o walce. O bitwie.

– To musiało być... straszne! – Mówiła podnieconym głosem. – Przyglądałyśmy się, Welma i ja, i płakałyśmy.

– *Welmaja?* – Simon patrzył na nią zdumiony. Czy chciała wprowadzić go w zakłopotanie? – O czym ty mówisz?

– Welma. Powiedziałam Welma i ja, moja przyjaciółka, ta chuda. Poznałeś ją! – Ulca ścisnęła ramię Simona, ubawiona jego żartem.

– Ach. – Próbował przypomnieć sobie dotychczasową rozmowę. O czym to rozmawiali? Ach, o bitwie. – Tak, to było okropne. Pełno krwi. Zabici ludzie. – Próbował znaleźć odpowiednie słowa, by podsumować swoje doświadczenie i wyjaśnić tej młodej kobiecie, co przeżył. – To było gorsze od wszystkiego – powiedział ciężko.

– Och, sir Seomanie! – zawołała, lecz zaraz zamilkła, gdyż pośliznęła się na śliskim podłożu. – Pewnie bałeś się bardzo!

– Simon. Mów do mnie Simon, a nie Seoman. – Zastanawiał się chwilę nad tym, co powiedziała. – Trochę. Trochę się bałem. – Trudno było nie zauważyć bliskości dziewczyny. Miała bardzo miłą buzię, okrągłe policzki i długie rzęsy. I jej usta. Dlaczego były tak blisko niego?

Wytężył wzrok i zorientował się, że pochyla się do przodu, opadając w kierunku Ulki niczym ścięte drzewo. Oparł dłonie na jej ramionach, by zachować równowagę, i z zainteresowaniem pomyślał, jak mała mu się teraz wydawała.

– Mam zamiar cię pocałować – wyrzucił z siebie nagle.

– Nie powinieneś – powiedziała Ulca, lecz zamknęła oczy i stała nieruchomo.

Simon nie zamknął oczu, bojąc się, że może nie trafić celu i przewrócić się na ziemię. Jej usta wydały mu się dziwnie jędrne pod jego ustami, lecz ciepłe i miękkie niczym łoże rozścielone w zimową noc. Pozwolił swoim ustom pozostać na miejscu przez jakiś czas, podczas gdy on usilnie starał się przypomnieć sobie, czy już to kiedyś robił, a jeśli tak, to jaki był

następny krok. Ulca też się nie poruszała, więc stali w miejscu, wdmuchując sobie nawzajem do ust pachnący winem oddech.

Simon szybko się zorientował, że całowanie to coś więcej niż tylko przykładanie ust do ust, i wkrótce zapomniał o zimnie, okropnościach bitwy, a nawet o wesołych pląsach wokół ogniska. Wyciągnął ramiona i mocniej przytulił to wspaniałe stworzenie, rozkoszując się słodyczą uległego ciała, które przywarło do niego – zapragnął, by nigdy już nie musiał robić nic innego, bez względu na to, jak długo miało to trwać.

– Ach, Seomanie – odezwała się wreszcie Ulca, odchylając głowę, by złapać oddech. – Można zemdleć przy tobie.

– Mmmm. – Simon ponownie przyciągnął ją do siebie i przechylił głowę, by móc ugryźć ją delikatnie w ucho. Gdyby tylko była trochę wyższa! – Usiąść – powiedział. – Chcę usiąść.

Wciąż spleceni w uścisku przeszli niezgrabnie kilka kroków, aż Simon znalazł kawał muru, wystarczająco wysoki, by na nim usiąść. Kiedy usiedli, narzucił na nich swój płaszcz, po czym przyciągnął do siebie Ulcę i znowu zaczął ją całować, ściskając i miętosząc. Czuł ciepło jej oddechu na swojej twarzy. W niektórych miejscach była miękka, w innych nie. Cóż to był za wspaniały świat!

– Och, Seomanie – powiedziała z ustami przyciśniętymi do jego policzka. – Twoja broda! Drapie!

– Tak, prawda, że drapie?

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to ktoś inny odpowiedział na uwagę Ulki. Spojrzał w górę.

Stojąca przed nimi postać ubrana była cała na biało: miała białe buty, spodnie i białą kurtkę. Jej włosy rozwiewał lekki wiatr, na jej twarzy gościł szyderczy uśmieszek, a skośne oczy przypominały bardziej oczy kota lub lisa niż oczy ludzkie.

Ulca patrzyła przez chwilę z otwartymi ustami, a potem krzyknęła cicho przestraszona.

– Kto...? – Wstała chwiejnie. – Seomanie, kto...?

– Jestem kobietą z czarodziejskiego ludu – przemówiła siostra Jirikiego i zaraz dodała kamiennym głosem: – A ty jesteś małą śmiertelną kobietą, która całuje mojego przyszłego męża! Zdaje się, że będę musiała zrobić ci coś strasznego.

Ulca wstrzymała oddech i krzyknęła, tym razem głośniej, odpychając Simona tak mocno, że niemal spadł z kamienia. Zerwawszy się na nogi, popędziła z rozwianymi włosami w stronę ogniska.

Simon patrzył za nią nieco ogłupiały, po czym odwrócił się do Sithijki.

– Aditu?

Aditu patrzyła za uciekającą Ulcą.

– Witaj, Seomanie – mówiła spokojnie, lecz jakby trochę rozbawiona. – Mój brat przysyła pozdrowienia.

– Co tutaj robisz? – Simon wciąż nie rozumiał, co się dzieje. Miał wrażenie, że wypadł z łóżka w czasie cudownego snu i spadł na głowę wprost do jamy niedźwiedzia. – Miłościwy Aedonie! Co miał znaczyć ten przyszły mąż?

Aditu błysnęła zębami w uśmiechu.

– Myślałam, że dobrze będzie dodać jeszcze jedną historię do Opowieści o Seomanie Śmiałym. Podsłuchiwałam przez cały wieczór i słyszę, że wciąż pada twoje imię. Zabijasz smoki, walczysz czarodziejskimi mieczami, dlaczego więc nie miałbyś mieć żony z czarodziejskiego ludu? – Położyła swoją chłodną dłoń na jego nadgarstku. – A teraz chodź, mamy wiele do omówienia. Innym razem będziecie ocierali sobie twarze z tą małą śmiertelniczką.

Simon poszedł oszołomiony za Aditu w stronę ogniska.

– Po czymś takim już na pewno nie – wymamrotał.

18. Umowa Lisa

EOLAIR SPAŁ BARDZO NIESPOKOJNIE, dlatego obudził się natychmiast, gdy tylko Isorn dotknął jego ramienia.

– O co chodzi? – Poszukał dłonią miecza, zanurzając palce w wilgotne liście.

– Ktoś idzie. – Rimmersman wydawał się napięty, wyraz jego twarzy był nieco dziwny. – Sam nie wiem – mruknął. – Lepiej przyjdź.

Eolair przewrócił się na bok i wstał, po czym przypiął miecz. Księżyc zawisł nad Jelenim Borem; z jego położenia Eolair wnioskował, że niedługo nadejdzie świt. Rzeczywiście w powietrzu było coś dziwnego; hrabia czuł to wyraźnie. Ten las, zwany przez Hernystirczyków *Fiathcoille*, ciągnął się kilka mil na południowy wschód od Nad Mullach wzdłuż rzeki Baraillean i był miejscem, gdzie hrabia polował w młodości każdej wiosny i jesieni, miejscem, które znał równie dobrze jak swój dom. Kiedy wcześniej kładł się otulony płaszczem i kocem, czuł się, jakby odwiedził starego przyjaciela. Teraz nagle wszystko się zmieniło, w sposób dla niego zupełnie niezrozumiały.

Obóz budził się powoli do życia. Większość ludzi Ulego wciągała już buty. Ich liczba prawie się potroiła od chwili spotkania z Isornem – na obrzeżach Frostmarch włóczyło się wielu ludzi, którzy gotowi byli przyłączyć się do zorganizowanej siły, bez względu na to, jaki był jej cel – dlatego Eolair był przekonany, że zagrozić im może tylko znaczny oddział.

A jeśli zwietrzył ich Skali? Stanowili dość liczną grupę, lecz w obliczu armii Ostronosego byli jak denerwujący komar.

Isorn przywoływał go z krawędzi lasu. Eolair ruszył w jego stronę najciszej, jak potrafił; słuchając chrzęstu swych butów na śniegu, usłyszał coś jeszcze...

Najpierw wydawało mu się, że to wiatr, który zawodzi jak chór dusz, lecz drzewa trwały nieruchomo, a z ich gałęzi nie spadła ani odrobina śniegu. Nie, to nie wiatr. Był to powtarzający się regularnie rytmiczny odgłos. Przypominało to... śpiew.

– Na Bryniocha! – zaklął, podchodząc do Isorna. – Co to jest?

– Strażnicy usłyszeli to już godzinę temu – szepnął syn księcia. – Jak musi być głośny, skoro jeszcze nikogo nie widzimy.

Eolair pokręcił głową. Przed nimi ciągnęła się ośnieżona nizina Inniscrich, blada i pomarszczona jak pognieciony jedwab. Ludzie podpełzali do krawędzi lasu, tak że po pewnym czasie Eolair miał wrażenie, iż otacza go tłum czekający na królewską procesję. Lecz spojrzenia ich surowych twarzy wyrażały bardziej strach niż ciekawość. Wilgotne dłonie zaciskały się na rękojeściach mieczy.

Śpiew wzmógł się, a potem ucichł gwałtownie. Teraz w lesie Stagwood rozbrzmiewały tylko odgłosy końskich kopyt. Eolair przesunął dłonią po twarzy, by pozbyć się resztek snu, i odwrócił się do Isorna. Nie zdążył jednak nic powiedzieć. Gdy to ujrzał, poruszył tylko niemo ustami.

Ukazali się na wschodzie, jakby przybywali z północnego Erkynlandu, albo – jak pomyślał Eolair – z głębi lasu Aldheorte. Początkowo widoczny był tylko blask księżyca odbity w metalu, srebrzysta chmura płynąca w ciemności. Kopyta dudniły jak deszcz na drewnianym dachu, a potem noc przeszył dziwnie przenikliwy dźwięk rogu i wtedy pojawili się

w całości. Jeden z ludzi Ulego oszalał, kiedy ich ujrzał: pobiegł w las, bijąc się po głowie, jakby ją poparzył, i nigdy więcej już go nie widziano.

Wprawdzie nikt więcej nie został już tak poważnie dotknięty, ale i nikt spośród tych, którzy spędzili tamtą noc w lesie Stagwood, nie był już taki sam i nie potrafił nawet powiedzieć dlaczego. Nawet Eolair stał zdumiony, Eolair, który przemierzył Osten Ard wzdłuż i wszerz, który widział sceny zmieniające człowieka w słup strachu. Nawet hrabia nie potrafił opisać uczucia, z jakim patrzyło się na jadących Sithów.

Po ich przejeździe nawet księżyc wydawał się świecić innym blaskiem. Powietrze stało się blade i krystaliczne; krawędzie przedmiotów świeciły, jakby każde drzewo, każdego człowieka i źdźbło trawy osadzono w diamencie. Sithowie przemknęli niczym ogromna fala z lśniącą grzywą włóczni. Ich twarze były surowe, dzikie i piękne jak oblicze polującego jastrzębia, włosy rozwiane na wietrze. Rumaki Sithów zdawały się pędzić szybciej niż jakikolwiek inny koń, lecz poruszały się tak, jak można było tylko ujrzeć we śnie, krokiem miękkim jak lejący się miód – ich kopyta rzeźbiły ciemność, wyrzucając snopy iskier.

Minęło kilka chwil, a sithijska armia zmieniła się w niewyraźną chmurę znikającą na zachodzie. Pozostała po nich tylko cisza i... i łzy w oczach niektórych spośród patrzących.

– Lud Sprawiedliwych... – szepnął Eolair. Jego głos zabrzmiał jak skrzek żaby.

– Si...Sithowie? – Isorn kręcił głową, jakby otrzymał niespodziewany cios. – Ale dlaczego? Dokąd jadą?

I nagle Eolair zrozumiał.

– Umowa Lisa – powiedział i roześmiał się. Serce zabiło mu żywiej.

– O czym ty mówisz? – Isorn patrzył zdumiony na hrabiego Nad Mullach, który odwrócił się i szedł w głąb lasu.

– Jest taka stara pieśń! – zawołał, nie odwracając się. – Umowa Lisa! – Znowu się roześmiał i zaśpiewał; miał wrażenie że słowa same wyskakują mu z gardła, jakby spragnione nocnego powietrza.

Nigdy nie zapominamy – powiedział Lud Sprawiedliwych,
Choć Czas płynie nieubłaganie.
W blasku księżyca nasze rogi zagrają,
W blasku słońca zalśnią nasze włócznie...

– Nie rozumiem! – zawołał Isorn.

– Nic nie szkodzi! – Eolair odchodził szybko w kierunku obozu. – Zwołaj ludzi! Musimy jechać do Hernysadharc!

W oddali zabrzmiał srebrzysty róg, jakby echo jego słów.

– To taka stara pieśń naszego ludu! – Eolair zawołał do Isorna.

CHOĆ PĘDZILI OD WCZESNEGO ŚWITU, po Sithach nie zostało ani śladu, z wyjątkiem może odcisków końskich kopyt na ośnieżonej trawie, które i tak już ginęły, gdyż trawa wstawała, a śnieg powoli topniał w cieple poranka.

– Opowiada ona o obietnicy, jaką Lud Sprawiedliwych złożył Czerwonemu Lisowi, księciu Sinnachowi, przed bitwą pod Ach Samarath: obiecali, że nigdy nie zapomną wierności Hernystirczyków.

– Więc uważasz, że oni jadą stawić czoło Skalemu?

– Kto to może wiedzieć? Ale spójrz, dokąd pojechali! – Hrabia stanął w siodle i wskazał na ślady oddalające się poprzez rozległą równinę na zachód. – Prosto jak lot strzały wystrzelonej do Taig!

– Nawet jeśli tam jadą, to my i tak nie możemy pędzić za nimi w takim tempie – powiedział Isorn. – Ujechaliśmy kilka mil, a konie już słabną.

Eolair rozejrzał się. Cała grupa zaczynała się dzielić na mniejsze, a niektórzy jeźdźcy zostali z tyłu.

– Możliwe. Ale niech mnie Bagba ugryzie, jeśli oni jadą do Hernysadharc, to chcę tam być!

Isorn uśmiechnął się.

– Byłoby to możliwe, gdyby twój czarodziejski lud zostawił ci czarodziejskie konie, ze skrzydłami u nóg. Ale my tam i tak dotrzemy.

Hrabia potrząsnął głową, ale ściągnął cugle swego wierzchowca, zwalniając do cwału.

– Masz rację. Nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli zajeździmy nasze konie.

– Albo i samych siebie. – Isorn dał znak pozostałym, by zwolnili.

Zatrzymali się na południowy posiłek. Eolair pilnował się, żeby jego niecierpliwość nie wzięła góry nad rozsądkiem, i pozwolił ludziom choć trochę odpocząć; jeśli czekała ich walka, to ludzie, którzy nie mieli siły unieść miecza, i konie, które nie miały siły zrobić następnego kroku, nie mogli się w niej na wiele przydać.

Po godzinnym odpoczynku wyruszyli dalej, lecz teraz Eolair pilnował, by nie jechali zbyt szybko. Przed zmrokiem opuścili Inniscrich i dotarli na skraj Hernysadharc, lecz wciąż znajdowali się kilkanaście godzin jazdy od Taig. Minęli kilka obozowisk, które – jak się domyślał Eolair – pozostały po ludziach Skalego. Wszystkie były opuszczone, ale widać było, że stało się to niedawno: w jednym z nich wciąż jeszcze tlił się żar w ognisku. Hrabia zastanawiał się, czy Rimmersmeni uciekli przed Sithami, czy też spotkało ich coś innego.

Eolair uległ wreszcie namowom Isorna i zarządził postój w pobliżu Ballacym; było to obwarowane murem miasto, położone na niewielkim wzgórzu, z którego roztaczał się widok na zachodni skraj Inniscrich.

Znaczna część miasta uległa zniszczeniu w czasie przegranej przez Llutha bitwy prawie rok temu, lecz nienaruszone mury dawały bezpieczne schronienie.

– Nie chcemy chyba przybyć nocą w środku bitwy – powiedział Isorn, kiedy zbliżali się do zniszczonej bramy. – Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, i twój czarodziejski lud przybył, aby pokonać Hernystirczyków, to jak w ciemności rozróżnią dobrych śmiertelników od złych?

Eolair niechętnie słuchał takich uwag, ale nie mógł odmówić Isornowi racji. Dobrze wiedział, że tak nieliczny oddział, jakim dysponował, niewiele mógł zdziałać przeciwko ogromnej armii Skalego, ale z drugiej strony wściekał się na myśl, że wciąż musi czekać. Jego serce zabiło żywiej w odpowiedzi na widok Sithów. Żeby wreszcie coś zrobić! Zadać wreszcie cios tym, którzy spustoszyli jego ziemię! Myśl ta pchała go do przodu jak silny wiatr. A teraz jeszcze trzeba było czekać aż do rana.

Tego wieczoru Eolair wypił więcej wina, niż wynosiła jego skromna racja, i zaraz położył się spać, pozostawiając innym dyskusje o tym, co widzieli i co mogli jeszcze zobaczyć. Wiedział, że nawet odurzony winem, długo będzie musiał czekać na sen. I tak było.

NIE PODOBA MI SIĘ TO – powiedział Ule, ściągając lejce. – Gdzie oni się podziali? I, na Świętego Aedona, co się tutaj stało?

Ulice Hernysadharc wyglądały na dziwnie opustoszałe. Eolair wiedział, że po najeździe Skalego w mieście pozostała zaledwie garstka Hernystirczyków, ale nawet jeśli Sithowie wypędzili wszystkich Rimmersmenów – co wydawało się niemożliwe, gdyż widzieli przejeżdżających Sithów zaledwie dzień wcześniej – to powinni pozostać jacyś mieszkańcy miasta.

– Mnie też nie – odparł hrabia. – Ale nie chce mi się wierzyć, by cała armia Skalego kryła się w zasadzce na kilkudziesięciu ludzi.

– Eolair ma rację. – Isorn osłonił dłonią oczy. Wciąż było zimno, jednak słońce świeciło zdumiewająco jasno. – Wjedźmy do środka i wtedy zobaczymy, co dalej.

Ule zacisnął usta, powstrzymując odpowiedź, i tylko wzruszył ramionami. Wszyscy trzej przejechali przez prymitywną bramę zbudowaną przez Rimmersmenów; pozostali ruszyli za nimi.

Dla Eolaira widok palisady wokół Hernysadharc był niepokojący. Niczego takiego wcześniej tutaj nie było; nawet stary mur wokół Taig pozostał tam tylko po to, by oddać cześć przeszłości. Większość dawnych murów zmarniała już dawno temu, tak więc części, które pozostały, wyraźnie odcinały się od reszty, jak ostatnie zęby w szczęce starca. Ale ta prosta, lecz mocna palisada została postawiona niedawno.

„Czego się obawiał Skali? – zastanawiał się Eolair. – Garstki upodlonych Hernystirczyków, którzy pozostali jeszcze przy życiu? A może swojego sprzymierzeńca, Wielkiego Króla Eliasa?”

Jeszcze bardziej niepokojące było jednak to, co stało się z nową palisadą. Jej bale były sczerniałe i opalone, jakby uderzył w nie piorun, a duża część ściany – pozwalająca przejechać przez nią obok siebie kilkunastu jeźdźcom – została całkowicie zmieciona. Nad szczątkami unosiły się jeszcze smużki dymu.

Tajemnica tego, co stało się z mieszkańcami Hernysadharc, wyjaśniła się częściowo, kiedy Eolair i jego ludzie wjechali na szeroką drogę, zwaną niegdyś Traktem Tethaina. Nazwa ta odeszła wraz z wielkim królem Hernystiru, a ludzie zaczęli nazywać trakt Drogą Taig, gdyż prowadziła ona bezpośrednio na wzgórze do wielkiego dworu. Wjechawszy na błotnistą drogę, ludzie Eolaira ujrzeli na szczycie wzgórza ogromny tłum; zebrani

wokół Taig przypominali owce skupione wokół lizawki. Przybysze zbliżali się powoli.

Serce Eolaira zabiło mocniej, kiedy się upewnił, że ludzie stojący u podnóża Wzgórza Herna są Hernystirczykami. Widząc, że odwracają się zaniepokojeni przybyciem nieznajomych, uzbrojonych jeźdźców, uniósł dłoń, by ich uspokoić.

– Ludu Hernysadharc! – zawołał, stając w strzemionach. Coraz więcej ludzi zaczęło się odwracać, usłyszawszy jego okrzyk. – Jestem Eolair, hrabia Nad Mullach. A to są moi przyjaciele, którzy nie wyrządzą wam krzywdy.

Reakcja była zadziwiająca. Niektórzy z najbliżej stojących krzyknęli radośnie i pomachali przybyłym, lecz nie wydawali się bardzo poruszeni. Po chwili znowu odwrócili się i skierowali wzrok na szczyt wzgórza, chociaż jadący na koniu Eolair miał od nich lepszy widok, a on nie dostrzegał niczego poza ciągnącym się tłumem.

Isorn także rozglądał się zdziwiony.

– Co wy tutaj robicie? – zawołał do stojących najbliżej niego ludzi. – Gdzie jest Skali?

Niektórzy pokręcili głowami, jakby nie rozumieli, gdy tymczasem inni rzucali wesołe dowcipy o tym, jak to Skali został odesłany do Rimmersgardu, lecz nikt nie miał ochoty wyjaśniać szczegółów synowi księcia i jego towarzyszom.

Eolair zaklął pod nosem i spiął lekko konia, pozwalając mu, by torował drogę. Choć nikt mu się nie sprzeciwiał, to jednak tłum był tak wielki i gęsty, że upłynęło trochę czasu, zanim przejechali pomiędzy szczątkami muru obronnego i dotarli na teren pradawnego Taig. Eolair wytężył wzrok i zagwizdał zdumiony.

– Niech mnie Bagba ugryzie – powiedział i roześmiał się, choć nie wiedział dlaczego.

Taig i wszystkie jego zabudowania wciąż stały na szczycie wzgórza w całej swojej okazałości, lecz otaczające je pola pokryły kolorowe namioty. Namioty wszelkich możliwych kolorów i rozmiarów, jakby ktoś rozsypał na ośnieżoną trawę kosz pełen kolorowych łatek. Dawna stolica Hernystirczyków przemieniła się nagle w wioskę, zbudowaną przez czarodziejskie dzieci.

Eolair dostrzegł między namiotami krzątające się postacie, gibkie i ubrane w stroje nie mniej kolorowe od ich domów. Podjechał jeszcze bliżej, mijając ostatnich gapiów, i wjechał na sam szczyt. Ludzie patrzyli zaciekawieni na barwne tkaniny i dziwnych przybyszów, lecz nie odważyli się pokonać dzielącej ich wolnej przestrzeni i zbliżyć się do obcych. Wielu spoglądało zazdrośnie na hrabiego i jego ludzi.

Kiedy wjechali do łopoczącego na wietrze miasta, wyszła im naprzeciw samotna postać. Eolair zatrzymał konia przygotowany na wszelką ewentualność, lecz ze zdziwieniem zobaczył, że osobą, która wyszła na spotkanie, jest Craobhan, najstarszy, ale i najbardziej lojalny doradca królewskiej rodziny. Starzec stanął jak wryty, ujrzawszy hrabiego; stał długo, milcząc, aż wreszcie w jego oczach ukazały się łzy, a on rozłożył szeroko ramiona.

– Hrabia Eolair! Niech nas Mircha błogosławi, jak dobrze cię widzieć.

Eolair zsiadł z konia i objął starca.

– I ciebie, Craobhanie, i ciebie. Co tu się wydarzyło?

– Ha! Więcej, niż mogę ci opowiedzieć, stojąc na wietrze. – Craobhan zachichotał dziwnie. Wydawał się pijany, a przecież nigdy dotąd Eolair nie widział go w takim stanie. – Na bogów, więcej, niż potrafię ci opowiedzieć. Chodźmy do dworu. Chodźmy, zjesz i napijesz się.

– Gdzie jest Maegwin? Czy nic jej nie jest?

Craobhan spojrzał na niego o wiele bystrzejszym wzrokiem.

– Żyje i jest szczęśliwa – powiedział. – Chodź już. Chodź, zobaczysz... no, tak jak mówiłem, więcej, niż potrafię ci teraz opowiedzieć. – Starzec pociągnął go za łokieć.

Eolair odwrócił się i kiwnął na pozostałych.

– Isorn, Ule, chodźcie. – Poklepał Craobhana po ramieniu. – Czy nasi ludzie dostaną coś do jedzenia?

Craobhan machnął chudą dłonią.

– Gdzieś tam. Pewnie ludzie z miasta mają jeszcze jakieś zapasy. Ach, Eolairze, jest wiele do zrobienia, wiele. Nie wiem, od czego zacząć.

– Ale co się stało? Czy Sithowie przepędzili Skalego?

Craobhan pociągnął go za ramię, prowadząc do ogromnego dworu.

Eolair zdążył rzucić okiem zaledwie na kilku Sithów, kiedy mijali ich, idąc do dworu. Ci, których widział, zajęci byli budowaniem swojego obozu, dlatego ani nie spojrzeli na przechodzących, lecz nawet z takiej odległości hrabia dostrzegł ich inność, ich dziwne, ale zgrabne ruchy, ich spokój i opanowanie. Choć w kilku miejscach sithijskie kobiety i mężczyźni pracowali razem, to jednak nie słychać było, by wypowiedzieli choć jedno słyszalne słowo – pracowali zjednoczeni wspólnym celem, co było równie niepokojące jak ich dziwne twarze i ruchy.

W miarę jak zbliżali się do Taig, coraz wyraźniej można było dostrzec ślady okupacji Skalego. Pieczołowicie pielęgnowane wcześniej ogrody były teraz zryte, kamienne ścieżki zniszczone. Eolair przeklął w duchu Ostronosego i jego barbarzyńców, lecz wciąż zastanawiał się, co się z nimi stało.

Wnętrze dworu nie różniło się od ogrodów. Ze ścian pozrywano gobeliny, z nisz pozabierano relikty, a podłogi nosiły ślady licznych butów.

W nieco lepszym stanie pozostała Sala Rzeźb, gdzie król Lluth sprawował rządy – Eolair domyślił się, że tam pewnie rezydował Skali – ale i ona nosiła ślady barbarzyńców z Północy. W wysokim suficie tkwiło wiele strzał, które z pewnością wystrzelili żołnierze Skalego, celując do wiszących tam rzeźb.

Craobhan, najwyraźniej unikający rozmowy, posadził ich w sali i odszedł w poszukiwaniu czegoś do picia.

– Jak myślisz, Eolairze, co tu się stało? – Isorn pokręcił głową. – Widząc, co Skali i jego zbóje tutaj narobili, wstydzę się, że jestem Rimmersmanem.

Siedzący obok nich Ule rozglądał się podejrzliwie, jakby spodziewał się, że ludzie Skalego czają się po kątach.

– Nie ma się czego wstydzić – powiedział Eolair. – Nie zrobili tego dlatego, że są Rimmersmenami, ale dlatego, że przybyli do innego kraju, i to w złym czasie. Nabbańczycy, Hernystirczycy czy Erkynlandczycy, wszyscy mogliby zrobić to samo.

Widać było, że takie wyjaśnienie nie zadowala Isorna.

– Tak nie można. Kiedy mój ojciec odzyska władzę, dopilnuje, by naprawiono szkody.

Hrabia uśmiechnął się.

– Jeśli w ogóle przeżyjemy, a to będzie naszym największym zmartwieniem, wtedy chętnie sprzedam swój dom w Nad Mullach, kamień po kamieniu, by naprawić szkody. Nie, to nie będzie nasze największe zmartwienie.

– Chyba masz rację, Eolairze. – Isorn zachmurzył się. – Bóg jeden wie, co się zdarzyło w Elvritshalli, odkąd nas stamtąd przepędzono. A jeszcze ta okropna zima.

Rozmowę przerwało im wejście Craobhana, który przybył w towarzystwie młodej Hernystirki, niosącej cztery ogromne cynowe kufle ozdobione skaczącym jeleniem, godłem królewskim.

– Trzeba używać najlepszych – przemówił Craobhan, uśmiechając się. – Kto wie, co się jeszcze może zdarzyć w tych dziwnych czasach?

– Gdzie jest Maegwin? – Eolair martwił się coraz bardziej, gdyż Maegwin do tej pory nie przyszła, by się z nimi przywitać.

– Śpi. – Craobhan znowu machnął lekceważąco dłonią. – Zaprowadzę cię, kiedy się pokrzepisz. Pij.

Eolair wstał.

– Wybacz, stary przyjacielu, ale chciałbym ją teraz zobaczyć. Później piwo będzie mi lepiej smakowało.

Starzec wzruszył ramionami.

– Jest w swoim dawnym pokoju. Pilnuje jej kobieta. – Starzec wydawał się bardziej zainteresowany swoim kuflem niż królewską córką.

Hrabia przyglądał się przez chwilę starcowi. Co się stało z tym Craobhanem, którego znał? Sprawiał wrażenie otumanionego, jakby otrzymał cios w głowę.

Pozostawało wiele innych rzeczy, o które należało się zatroszczyć. Eolair wyszedł z sali; jego towarzysze pozostali, pijąc piwo i przyglądając się zniszczonym rzeźbom.

Maegwin rzeczywiście spała. Eolair zaledwie rzucił okiem na potarganą kobietę czuwającą u jej boku, która wydała mu się jakby znajoma, zanim klęknął i ujął dłoń Maegwin. Na jej czole leżała mokra szmata.

– Czy została ranna? – Wyczuwał, że Craobhan coś przed nim ukrywał. Może była ciężko ranna.

– Tak – powiedziała kobieta. – Ale to niegroźne uderzenie i już się z tego wyleczyła. – Kobieta uniosła gałgan, odsłaniając sine miejsce na

bladym czole Maegwin. – Teraz tylko odpoczywa. To był wielki dzień.

Eolair odwrócił się szybko na dźwięk jej głosu. Wydawała się tak samo otumaniona jak Craobhan – jej szeroko otwarte oczy patrzyły niewidząco, usta drgały.

„Czy wszyscy tu powariowali?” – zastanawiał się.

Maegwin drgnęła. Kiedy odwrócił się, zamrugała gwałtownie, zamknęła na chwilę oczy i znowu je otworzyła.

– Eolair? – przemówiła zaspanym jeszcze głosem. Uśmiechnęła się jak dziecko; na jej twarzy nie było ani śladu gniewu, jaki pamiętał z chwili ich rozstania. – Czy to naprawdę ty? A może to jeszcze jeden sen...

– To ja, pani. – Ponownie uścisnął jej dłoń. Teraz nie była już tamtą młodą dziewczyną, której hrabia przyglądał się niegdyś z rosnącym zainteresowaniem. Jak to możliwe, by kiedykolwiek złościł się na nią, bez względu na to, co powiedziała lub zrobiła?

Maegwin spróbowała wstać. Jej brązowe włosy były potargane, powieki opadały jeszcze ciężko. Wydawało się, że położono ją do łóżka w ubraniu; gołe były tylko jej stopy wystające spod koca.

– Czy... czy widziałeś ich?

– Czy widziałem... kogo? – spytał cicho, choć wiedział, o kim mówi. A jednak jej odpowiedź zaskoczyła go.

– Bogów, głupcze. Czy widziałeś bogów? Byli tacy piękni...

– Bogów?

– To ja ich sprowadziłam – powiedziała i uśmiechnęła się sennie. – Przyszli do mnie... – Opuściła głowę na poduszkę i zamknęła oczy. – Do mnie – szepnęła.

– Ona potrzebuje snu, hrabio Eolairze – odezwała się kobieta.

Na dźwięk jej stanowczego teraz głosu hrabia zadrżał.

– O czym ona mówi, o bogach? – dopytywał się. – Czy ma na myśli Sithów?

Kobieta uśmiechnęła się znacząco.

– Ma na myśli to, co mówi.

Eolair wstał, z trudem powstrzymując gniew. Musi jeszcze wiele się dowiedzieć. Będzie cierpliwy.

– Opiekuj się dobrze księżniczką Maegwin – powiedział, idąc w stronę drzwi. W jego ustach zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba.

Kobieta skinęła głową.

Eolair, zamyślony, zdążył zaledwie wejść do Sali Rzeźb, gdy rozległy się za nim czyjeś kroki. Zatrzymał się i odwrócił, opuszczając odruchowo dłoń na rękojeść miecza. Isorn i Ule także wstali zaniepokojeni.

Postać, którą ujrzeli w drzwiach, była wysoka, ale nie przesadnie, ubrana w niebieską zbroję dziwnie przypominającą malowane drewno, ale to nie zbroja – składająca się z licznych płytek powiązanych lśniącymi, czerwonymi rzemieniami – była najdziwniejsza. Przybysz miał włosy białe jak śnieg – związane błękitną chustą opadały mu na ramiona. Wydawał się gibki niczym młoda brzoza i, pomimo koloru włosów, zaledwie w wieku męskim, jeśli w ogóle można było coś powiedzieć o twarzy tak różnej od twarzy ludzkiej. Złociste oczy nieznajomego emanowały blaskiem słońca odbitego w leśnym stawie.

Eolair stał nieruchomo wpatrzony w obcego. Wydawało mu się, że stanęła przed nim postać z dalekiej przeszłości, że jedna z opowieści jego babki dzieje się na jawie. Spodziewał się spotkania z Sithami, ale okazał się równie zaskoczony jak ktoś, komu opowiadano o głębokim kanionie i kto nagle staje na jego krawędzi.

Kiedy książę wciąż się nie ruszał, przybysz cofnął się o krok.

– Wybacz. – Obcy skłonił się w trochę dziwny sposób, zataczając długą dłonią szeroki łuk, lecz w jego pozornie niedbałym geście nie było cienia kpiny. – W gorączce tego pamiętnego dnia zapominam o dobrych manierach. Czy mogę wejść?

– Kim... kim jesteś? – spytał Eolair, zapominając o swojej dworskiej uprzejmości. – Proszę, wejdź.

Obcy nie wydawał się urażony.

– Jestem Jiriki i-Sa’onserei. W tej chwili przemawiam w imieniu Zida’ya. Przybyliśmy, aby spłacić dług księciu Sinnachowi z Hernystiru. – Po tym formalnym wstępie uśmiechnął się kocim uśmiechem. – A ty kim jesteś?

Eolair szybko przedstawił siebie i swoich towarzyszy. Isorn wpatrywał się w obcego zafascynowany, Ule stał blady i niespokojny, a stary Craobhan uśmiechał się dziwnie kpiąco.

– Dobrze – powiedział Jiriki, kiedy Eolair skończył. – To bardzo dobrze. Słyszałem już dzisiaj twoje imię, hrabio Eolairze. Mamy wiele do omówienia. Ale przede wszystkim powiedz mi, kto tutaj jest panem? O ile wiem, król nie żyje.

Eolair spojrzał pytająco na Craobhana.

– Inahwen?

– Żona króla jest jeszcze w jaskini na Grianspog. – Starzec zaświszczał, jakby powstrzymywał śmiech. – Nie chciała przyjść z pozostałymi. Może i słusznie zrobiła. Tak, chyba tak.

– Maegwin, królewska córka, śpi teraz. – Eolair wzruszył ramionami. – Chyba ze mną będziesz musiał pomówić, przynajmniej na razie.

– Czy będziesz tak dobry i pójdziesz ze mną do naszego obozu? A może wolisz, żebyśmy przyszli tutaj?

Eolair nie był pewien, kim byli „my”, ale pomyślał, że nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby w pełni nie wykorzystał takiej okazji. Maegwin bez wątpienia potrzebowała spokoju, a nie można było jej tego zapewnić, sprowadzając na dwór pełno ludzi i Sithów.

– Z przyjemnością pójdziemy z tobą, Jiriki i-Sa’onserei – powiedział.

– Wystarczy Jiriki, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Sitha czekał w drzwiach.

Eolair i jego towarzysze wyszli za nim na zewnątrz. Przed nimi falowało miasto namiotów, przypominające pole wyrośniętych dziczków.

– Chciałbym cię spytać, jeśli pozwolisz – zaczął niepewnie Eolair – co się stało z palisadą, którą Skali wybudował wokół miasta?

Jiriki zastanawiał się przez chwilę.

– Ach, o to chodzi – odezwał się wreszcie uśmiechnięty. – Mówisz pewnie o tym, co zrobiła moja matka Likimeya. Spieszyliśmy się, a tamta ściana stała na naszej drodze.

– Mam nadzieję, że *ja* nigdy nie stanę jej na drodze – wtrącił Isorn.

– Nie musisz się obawiać, dopóki nie staniesz między moją matką a honorem Domu Tańczącego Roku – powiedział Jiriki.

Szli po mokrej trawie.

– Wspominałeś coś o umowie z Sinnahem – odezwał się hrabia. – Skoro pokonaliście Skalego w jeden dzień, to... wybacz, Jiriki, ale jak to się stało, że przegraliście bitwę pod Ach Samrath?

– Po pierwsze, niezupełnie pokonaliśmy tego Skalego. On sam i wielu jego ludzi uciekli na wzgórza i dalej do Frostmarch, więc wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Ale zadałeś trafne pytanie. – Sitha zmrużył oczy, zastanawiając się. – Myślę, że w pewnym sensie jesteśmy innym narodem niż pięć wieków temu. Wielu z nas jeszcze się wtedy nie narodziło i my, dzieci Wygnania, nie jesteśmy już tak ostrożni jak nasi rodzice. Ponadto

wtedy baliśmy się żelaza, dopiero później nauczyliśmy się przed nim bronić. – Ponownie uśmiechnął się swoim kocim grymasem, lecz zaraz spoważniał. Odsunął z czoła kosmyk jasnych włosów. – Także ci Rimmersmeni nie spodziewali się nas. Pomogło nam zaskoczenie. Ale myślę, że w kolejnych bitwach, a pewnie będzie ich wiele, nikt już nie będzie tak zaskoczony. Znowu będzie jak w Ereb Irigu. Obawiam się, że wielu zginie, a my w jeszcze mniejszym stopniu możemy sobie na to pozwolić niż wasz lud.

Kiedy mówił, wiatr zatrzepotał płótnem namiotów i zmienił kierunek, tak że teraz wiał z północy. Nagle na Wzgórzu Herna powiało chłodem.

ELIAS, WIELKI KRÓL OSTEN ARD, zachwiał się jak pijany. Idąc dziedzińcem, przemykał z cienia do cienia, jakby szkodziło mu światło słońca, choć dzień był chłodny i pochmurny, a słońce nawet w południe pozostawało niewidoczne za kłębowiskiem chmur. Za nim wznosiła się wysoko kopuła kaplicy Hayholt; teraz wydawała się dziwnie niesymetryczna. Od dawna niesprzątany, brudny śnieg zmarszczył część ołowianych płyt, przez co ogromna kopuła przypominała teraz stary, pomięty filcowy kapelusz.

Nieliczni chłopi, których zmuszono do pozostania w Hayholt, a których zadaniem było opiekowanie się tym, co jeszcze pozostało z zamku, rzadko opuszczali swoje pomieszczenia, chyba że zmuszały ich do tego obowiązki najczęściej rozdzielane przez Thrithinga nadzorcę – jego komendom towarzyszyły zwykle dość gwałtowne zachęty do pracy. Nawet królewscy żołnierze obozowali na polach poza murami Erchesteru. Ogłoszono, że Król nie czuje się dobrze i potrzebuje spokoju, lecz po cichu szeptano, że Król zwariował, a w zamku straszy. W rezultacie tylko nieliczni przemykali się chyłkiem wewnętrznym dziedzińcem tego pochmurnego popołudnia, a każdy z nich – był tam żołnierz z wiadomością dla Lorda Konstabla i para

przestraszonych wieśniaków wywożących beczki z pomieszczeń Pryratesa – zdołał zauważyć chwiejny krok Eliasa, zanim odwrócił pośpiesznie wzrok. Już nawet nie chodziło o to, że bardzo niebezpiecznym, a nawet zgubnym było dać się przyłapać na przyglądaniu się Królowi w jego niemocy, lecz w jego chodzie było coś tak przeraźliwie nienaturalnego i złego, że ci, którzy go widzieli, czuli, iż muszą się odwrócić i zrobić ukradkiem znak Drzewa.

Wieża Hjeldina była szara i przysadzista. Okna na górnym piętrze emanowały czerwonym blaskiem i sprawiały, że można ją było wziąć za pogańskiego boga o rubinowych oczach z pustyni Nascadu. Elias zatrzymał się przed ciężkimi, dębowymi drzwiami; były wysokie na trzy łokcie i pomalowane na czarno, ich zawiasy z brązu pokryły zielone plamy. Po obu stronach drzwi stały zakapturzone postacie w szatach jeszcze ciemniejszych niż matowa czerń drzwi. Każda z nich trzymała lancę, pokrytą dziwnymi, niezwykle misternymi rzeźbami i ostrą jak brzytwa.

Król zachwiał się w miejscu, wpatrzony w nieziemskie postacie. Widać było, że w obecności Nornów czuje się niepewnie. Zrobił jeszcze jeden krok w stronę drzwi. Choć żaden ze strażników nie poruszył się, a ich twarze pozostawały niewidoczne w głębi kapturów, nagle stali się bardziej czujni, niczym pająki, które wyczuły pierwsze kroki muchy na krawędzi ich pajęczyny.

– I co? – odezwał się wreszcie Elias niespodziewanie głośno. – Czy otworzycie mi te cholerne drzwi?

Nornowie nie odpowiedzieli. Nie drgnęli nawet.

– A niech to, no co z wami? – warknął Elias. – Nie znacie mnie, wy nędzne stworzenia? Ja jestem Królem! Otwierajcie drzwi! – Zrobił nagle krok do przodu. Jeden z Nornów opuścił nieco swoją lancę w kierunku środka przejścia. Elias zatrzymał się i odchylił do tyłu, jakby Norn

skierował lancę w stronę jego twarzy. – A więc to jest wasza gra? – Na jego bladej twarzy widać było wzbierającą w nim wściekłość. – To ma być gra? W moim własnym domu? – Zaczął kołysać się w przód i w tył, jakby zamierzał rzucić się na drzwi. Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza, który wisiał u jego boku.

Strażnik odwrócił się wolno i uderzył dwukrotnie końcem lancy w ciężkie drzwi. Po chwili uderzył jeszcze trzy razy i przyjął poprzednią pozycję.

Na jednym z parapetów wieży zakrakał kruk. Niebawem drzwi zaskrzypiały i w ich szczelinie ukazał się Pryrates.

– Elias! – powiedział. – Wasza Wysokość. Co za zaszczyt!

Król się skrzywił. Jego dłoń wciąż pozostawała zaciśnięta na rękojeści Smutku. – Żaden zaszczyt, klecho. Przychodzę porozmawiać z tobą i to *mnie* należą się zaszczyty, a co mnie spotyka?

– Cóż takiego? – Na twarzy Pryratesa pojawił się wyraz wielkiej troski, ale i rozbawienia, jakby przekomarzał się z dzieckiem. – Powiedz, Królu, co się stało, i jak mogę to naprawić?

– Te... te stworzenia nie chciały mi otworzyć drzwi. – Elias wskazał na milczących strażników. – Chciałem sam to zrobić, ale jeden z nich zagrodził mi drogę.

Pryrates pokręcił głową i odwróciwszy się, zaczął rozmawiać z Nornami w ich śpiewnym języku, którym najwyraźniej posługiwał się dość dobrze. Po chwili znowu zwrócił się do Króla.

– Proszę, Wasza Wysokość, nie wiń ich ani mnie. Widzisz, niektóre z badań, jakie prowadzę tutaj w imię wiedzy, mogą się okazać niebezpieczne. Obawiam się, że ktoś, kto wejdzie niespodziewanie do środka, może się poczuć zagrożony. A ty, mój Król, jesteś najważniejszą osobą na świecie. Dlatego rozkazałem, by nie wpuszczano nikogo, kogo

osobiście nie wprowadzę do środka. – Pryrates uśmiechnął się uśmiechem, który pasowałby równie dobrze węgorzowi. – Zrozum, Królu, że było to tylko dla twojego dobra.

Król patrzył przez chwilę na Pryratesa, potem przeniósł wzrok na strażników, którzy stali nieruchomo jak posągi.

– Myślałem, że stawiasz na straży najemników. Wydawało mi się, że te istoty nie lubią światła dziennego.

– Nie robi im to żadnej szkody – odparł Pryrates. – Wolą pozostawać w cieniu; spędzili tyle wieków we wnętrzu Burzowej Góry. – Mrugnął porozumiewawczo, jakby opowiadał o dziwactwie jakiegoś ekscentrycznego krewnego. – Ale jestem już na bardzo interesującym etapie moich badań: naszych badań, Wasza Wysokość, i pomyślałem, że oni będą lepszymi strażnikami.

– Wystarczy – przerwał mu Elias zniecierpliwiony. – Czy wpuścisz mnie wreszcie? Przyszedłem, żeby z tobą porozmawiać.

– Oczywiście – zapewnił go Pryrates, lecz nagle zaczął jakby myśleć o czymś innym. – Zawsze mam ochotę porozmawiać z tobą, mój Królu. A może wolałbyś pójść do twojej komnaty?

– A niech cię, klecho, wpuść mnie. Królowi nie każe się czekać na progu!

Pryrates wzruszył ramionami i skłonił się.

– Naturalnie, że nie, panie. – Odsunął się na bok, wskazując dłonią na schody. – Proszę do mojej komnaty.

W wysokim, sklepionym przedsionku płonęła jasno jedna pochodnia. Kąty pozostawały pełne cieni, które pochylały się i wyciągały, jakby chciały się uwolnić. Pryrates poszedł wąskimi schodami na górę.

– Wasza Wysokość, pozwól, że pójdę pierwszy i się upewnię, że można cię przyjąć – zawołał przez ramię.

Elias zatrzymał się na drugim podeście, by złapać oddech.

– Schody – mruknął. – Za dużo schodów.

Drzwi do komnaty były otwarte, a światło kilku zapalonych pochodni wylewało się na korytarz. Znalazłszy się w środku, Król spojrzał w górę, na okna zasłonięte długimi zasłonami. Duchowny, który właśnie zamykał wieko dużej skrzyni wypełnionej chyba książkami, odwrócił się i uśmiechnął.

– Witaj, mój Królu. Nie odwiedzałeś mnie od jakiegoś czasu.

– Nie zapraszałeś mnie. Gdzie mogę usiąść? Umieram.

– Ach, nie, mój panie, cóż za słowo – powiedział wesoło Pryrates. – Wręcz przeciwnie, rodzisz się na nowo. Ale prawdą jest, że ostatnio nie czujesz się dobrze. Proszę, usiądź na moim krześle. – Poprowadził Eliasa do krzesła z wysokim oparciem; nie zdobiły go żadne rzeźby, a mimo to wydawało się emanować siłą. – Czy chciałbyś napić się swego uspokajającego napoju? Widzę, że nie ma z tobą Hengfiska, ale mogę kazać go przyrządzić. – Odwrócił się i klasnął w dłonie. – Munshazou! – zawołał.

– Mnich nie przyszedł ze mną, ponieważ rąbnąłem go w ucho albo gdzieś w okolice – burknął Elias, wiercąc się na twardym krześle. – Będę szczęśliwy, jeśli nie ujrzę więcej tej gęby z wybałuszonymi ślepiami. – Zakasłał, zamykając rozgorączkowane oczy. W tej chwili zupełnie nie wyglądał na szczęśliwego człowieka.

– Czyżby sprawiał ci jakieś kłopoty? Tak mi przykro z tego powodu. Powiedz mi, w czym problem, a ja dopilnuję, by... odpowiednio go potraktowano. Przecież jestem twoim sługą.

– Tak – rzucił oschle Elias. – Jesteś nim. – Chrząknął i znowu się przekrzywił, szukając wygodniejszej pozycji.

Ktoś zakaszlał nieśmiało w drzwiach. Stała w nich niska, ciemnowłosa kobieta. Nie wyglądała staro, lecz jej ziemistą twarz przecinały głębokie

zmarszczki. Na jej czole, tuż nad nosem, widniał znak, może litera z jakiegoś starożytnego języka. Stojąc, kołysała się lekko, tak że rąbek jej obszernej sukni ocierał się o podłogę, a malutkie talizmany o barwie kości, które nosiła na biodrach i szyi, grzechotały cichutko.

– Oto Munshazou – powiedział Pryrates do Eliasa. – Moja służąca z Naraxi, mojego domu. – Zwrócił się do kobiety: – Przynieś królowi coś do picia. A dla mnie... nie, ja nic nie potrzebuję. Idź już.

Odwróciła się, grzechocząc ozdobami, i odeszła.

– Wybacz, że ci przerwano – odezwał się alchemik. – Mówiłeś o swoich kłopotach z Hengfiskiem.

– Nie martw się o mnicha. On nic nie znaczy. Po prostu obudziłem się i zobaczyłem, że stoi nade mną i gapi się na mnie. Stał tuż przy moim łóżku! – Król otrząsnął się jak mokry pies. – Boże, jego gębę mogłaby znieść chyba tylko jego własna matka. I ten jego przeklęty uśmiech... ciągle się uśmiecha... – Elias pokręcił głową. – Przyłożyłem mu pięścią, aż poleciał na drugi koniec sypialni. – Roześmiał się i zakaszlał. – To go oduczy szpiegować mnie, kiedy śpię. A ja potrzebuję snu. Ostatnio udało mi się trochę...

– Czy dlatego do mnie przyszedłeś, panie? – spytał Pryrates. – Nie możesz spać? Może powinienem przyrządzić coś dla ciebie; mam taki wosk, który mógłbyś palić w misce przy swoim łóżku...

– Nie! – zaprzeczył Elias rozzłoszczony. – Nie chodzi też o mnicha. Przyszedłem do ciebie, ponieważ miałem sen.

Pryrates spojrzał na niego uważnie. Skóra nad jego oczami – miejsce, w którym inni mają brwi – uniosła się pytająco.

– Sen, panie? Ach, oczywiście, jeśli o tym chciałeś ze mną pomówić...

– Nie o takim śnie mówię! Wiesz, o co mi chodzi! Miałem *prawdziwy* sen!

– Ach. – Duchowny skinął głową. – I on cię niepokoi.

– Tak, na święte Drzewo, i to piekielnie mnie niepokoi! – Król zamrugał, przyłożył dłoń do piersi i zaczął kasłać gwałtownie. – Widziałem jadących Sithów! Widziałem Dzieci Świtu! Jechali do Hernystiru!

W drzwiach rozległo się ciche grzechotanie. Munshazou ukazała się z tacą, na której stał wysoki rdzawoczerwony puchar pełen parującej cieczy.

– Dobrze. – Pryrates podszedł do drzwi, by odebrać kielich od kobiety. Jej jasne oczy bacznie go obserwowały, lecz twarz pozostała nieruchoma. – Możesz odejść – powiedział. – Proszę, Wasza Wysokość, wypij to. Oczyści twoje płuca.

Elias wziął kielich i zaglądając do niego podejrzliwie, napił się trochę.

– Smakuje tak samo jak pomyje, które zawsze mi przygotowujesz.

– Istnieją pewne... podobieństwa. – Pryrates wrócił w pobliże kufra pełnego książek. – Pamiętaj, mój Królu, że ty masz specjalne wymagania.

Elias upił kolejny łyk.

– Widziałem nieśmiertelnych: Sithów. Jechali walczyć ze Skalim. – Spojrzał uważnie znad kielicha na Pryratesa. – Czy to prawda?

– Rzeczy widziane w snach nie zawsze są całkowicie prawdziwe lub całkowicie fałszywe... – zaczął Pryrates.

– A żebyś spadł na samo dno piekieł! – wrzasnął Elias, unosząc się nieco z krzesła. – Czy to prawda?

Pryrates skłonił łysą głowę.

– Sithowie opuścili swój dom w głębi lasu.

Zielone oczy Eliasa lśniły niebezpiecznie.

– A Skali?

Pryrates przysunął się do drzwi, jakby przygotowywał się do ucieczki.

– Tan Kaldskryke i jego Kruki... zwinęli obóz.

Król wydał przeciągły syk i zacisnął dłoń na rękojeści Smutku, aż na jego bladym przedramieniu wyraźnie zaznaczyły się żyły. Ciemne jak grzbiet szczupaka ostrze wysunęło się z pochwy. Wydawało się, że pochodnie w komnacie pochyliły się, jakby przyciągane jego mocą.

– Klecho – warknął Elias. – Słuchasz ostatnich uderzeń swojego serca, jeśli zaraz nie zaczniesz mówić jasno.

Zamiast się skulić, Pryrates podniósł głowę. Pochodnie znowu zadrżały, a oczy alchemika straciły swój blask; przez chwilę wydawało się, że ich białka zniknęły, jakby zostały wessane w głąb głowy, pozostawiając jedynie dziury w pociemniałej czaszce. Przygniatające napięcie wypełniło pokój. Pryrates uniósł dłoń, a Król zacisnął mocniej palce na rękojeści miecza. Na moment wszystko znieruchomiało, a potem duchowny przesunął dłoń do szyi i poprawił kołnierz, po czym pozwolił jej opaść swobodnie.

– Wybacz, Wasza Wysokość – powiedział. Na jego ustach pojawił się lekko drwiący uśmieszek. – Często jest tak, że doradca pragnie uchronić swego pana przed nowinami, które mogą go niepokoić. Dobrze widziałeś. Sithowie przybyli do Hernystiru i wyparli Skalego.

Elias patrzył na niego przez chwilę.

– Jaki to ma wpływ na nasze plany? Nic nie mówiłeś o Dzieciach Świtu.

Pryrates wzruszył ramionami.

– Ponieważ to nie ma znaczenia. Było to nieuniknione, odkąd rzeczy osiągnęły pewien etap. Można było przypuszczać, że coraz większa aktywność naszego... naszego dobroczyńcy ściągnie ich. Ale to nie wpłynie na nasze plany.

– Czy aby na pewno? Chcesz powiedzieć, że nie ma znaczenia dla Króla Burz to, co robią Sithowie?

– Ten plan był przygotowywany bardzo długo. Nic go nie może zaskoczyć. W rzeczywistości Królowa Nornów ostrzegła mnie, że mogę się tego spodziewać.

– Ach tak! Zdaje się, że jesteś bardzo dobrze poinformowany. – W głosie Eliasa wciąż brzmiała nuta wściekłości. – W takim razie powiedz mi coś: skoro wiesz o tym, to dlaczego nie potrafisz mi powiedzieć, co dzieje się z Fengbaldem? Dlaczego nie wiemy jeszcze, czy wykurzył mojego brata z jego legowiska?

– Ponieważ nasi sprzymierzeńcy nie przywiązują do tego większej wagi. – Pryrates ponownie uniósł dłoń, by powstrzymać odpowiedź Króla. – Proszę, Wasza Wysokość, chciałeś, żebym był szczery, więc jestem. Uważają, że Josua został pokonany i że marnujesz swój czas, interesując się nim. Sithowie natomiast są wrogami Nornów od niepamiętnych czasów.

– Ale wciąż nie mają znaczenia, jeśli prawdą jest to, co powiedziałeś. – Król patrzył groźnie. – Nie rozumiem, dlaczego oni są ważniejsi od mojego zdradzieckiego brata, a jednak nie na tyle ważni, byśmy musieli się nimi martwić: chociaż rozgromili mojego głównego sprzymierzeńca. Wydaje mi się, Pryratesie, że prowadzisz podwójną grę. Niech Bóg ma cię w opiece, jeśli okaże się, że to prawda!

– Służę tylko mojemu panu, Wasza Wysokość, a nie Królowi Burz czy Królowej Nornów. Wszystko jest kwestią koordynacji. Josua był dla ciebie zagrożeniem, ale go pokonałeś. Potrzebowałeś Skalego, żeby bronił twojej flanki, i on wykonał swoje zadanie. Nawet Sithowie nie są groźni, gdyż nie zaatakują nas, dopóki nie wyzwolą Hernystiru. Są skrępowani dawnymi zobowiązaniami. A potem będzie już za późno, by przeszkodzić twemu ostatecznemu zwycięstwu.

Elias wpatrywał się w parujący puchar.

– Dlaczego więc widziałem, jak jechali?

– Odkąd otrzymałeś podarunek, zbliżyłeś się do Króla Burz. – Pryrates wskazał na szary miecz, który teraz spoczywał w pochwie u boku Eliasa. – W nim płynie sithijska krew, a raczej płynęła, kiedy jeszcze żył. Nic dziwnego, że pojawienie się Zida'ya zwróciło jego uwagę poprzez ciebie. – Pryrates zbliżył się do Króla. – Ale miałeś też inne sny, wcześniej, prawda?

– Wiesz, że tak, alchemiku. – Elias opróżnił puchar i skrzywił się, przełykając ostatni łyk. – Kiedy już w ogóle uda mi się zasnąć, wtedy zawsze widzę jego! Ta lodowata istota o płonącym sercu! – Nagle jego oczy, oczy pełne strachu, zaczęły błądzić po ocienionych ścianach komnaty. – Moje sny są pełne ciemności między...

– Uspokój się, Wasza Wysokość – powiedział Pryrates. – Dużo cierpisz, ale nagroda będzie wspaniała. Wiesz o tym.

Elias potrząsnął głową.

– Szkoda, że nie wiedziałem, jak to będzie, że nie wiedziałem, co się ze mną stanie – wycedził napiętym, chrapliwym głosem. – Szkoda, że tego nie wiedziałem, zanim zawarłem ten diabelski pakt.

– Wasza Wysokość, pozwól, że przyniosę ci ten wosk, który pozwoli ci zasnąć. Musisz odpocząć.

– Nie. – Król podniósł się chwiejnie z krzesła. – Nie chcę więcej snów. Lepiej już nigdy nie zasnąć.

Elias ruszył wolno do drzwi, dając znak, że nie chce, by Pryrates mu towarzyszył. Długo schodził po schodach.

Duchowny stał, nasłuchując. Kiedy ogromne drzwi zaskrzypiały otwierane, a potem trzasnęły, Pryrates potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć irytującej go myśli, i powrócił do ksiąg, które schował w skrzyni.

JIRIKI POSZEDŁ PIERWSZY, poruszając się niespodziewanie szybko. Eolair, Isorn i Ule zostali nieco z tyłu; szli wolniej, by zobaczyć jak najwięcej.

Szczególnie nieswojo czuł się Eolair, dla którego Hernysadharc i Taig były wcześniej drugim domem. Teraz, idąc za Sithą przez Wzgórze Herna, czuł się jak ojciec, który powraca do domu i widzi, że zamieniono mu dzieci.

Sithowie tak szybko wybudowali swoje miasto, rozciągając wielobarwne płótna między drzewami otaczającymi Taig, że wydawało się, iż istniało ono tam od zawsze. Nawet kolory – tak rażąco jaskrawe – z oddali wyglądały na bardziej stonowane, odcienie letniego wschodu i zachodu słońca bardziej pasowały do ogrodów dworu króla.

Tak jak ich namioty wtopiły się naturalnie w otoczenie dworu, podobnie było i z Sithami: Zida'ya zachowywali się, jakby byli u siebie w domu. Eolair nie zauważył u nich ani odrobiny nieśmiałości czy potulności – prawie nie zwracali uwagi na hrabiego i jego towarzyszy. Nieśmiertelni chodzili dumnie, a pracując, śpiewali rytmiczne piosenki, które, choć dziwne, wydawały mu się znajome w swoich ptasich trelach. Choć dopiero przybyli, miało się wrażenie, że czują się tak swobodnie na ośnieżonej trawie i między drzewami, jak łabędzie sunące po gładkim stawie. Wszystko, co robili, przepełniały spokój i pewność siebie; nawet samo zawiązywanie lin, których przecież tyle potrzebowali, by nadać swojemu miastu kształt, przypominało magiczne sztuczki. Obserwując ich, Eolair – zawsze uważany za zręcznego i zgrabnego – poczuł się jak niezdarna bestia.

Dom, w którym zniknął Jiriki, powstał z błękitnolawendowego jedwabiu, rozciągniętego wokół majestatycznego dębu. Eolair i jego towarzysze zatrzymali się niepewni, co mają zrobić, lecz Jiriki wynurzył się natychmiast i dał im znak, by weszli.

– Musicie zrozumieć, że moja matka niewiele więcej może wam okazać poza formalnym powitaniem – powiedział cicho, kiedy zatrzymali się w wejściu. – Wciąż opłakujemy mego ojca i Pierwszą Babkę. – Wprowadził ich w jedwabny krąg. Sprzątnięto tu śnieg i trawa była sucha. – Przyprowadzam hrabiego Eolaira z Nad Mullach, a także Isorna, syna Isgrimnura z Elvritshalli, i Ulego, syna Frekkego ze Skoggey.

Sithijka uniosła głowę. Siedziała na lśniącym, jasnoniebieskim płótnie, otoczona ptakami, które karmiła. Choć jej ramiona i kolana skrywały pióra pierzastych stworzeń, Eolair natychmiast pomyślał, że jest to osoba twarda jak stal. Włosy koloru ognia związała na czole szarą opaską; w jej warkoczach widniało kilkanaście czarnych piór. Tak jak Jiriki miała na sobie zbroję, wykonaną jakby z drewna, tyle tylko, że jej była lśniąca i czarna jak pancerz chrząszcza. Pod spodem nosiła szarą spódnicę. Na nogach miała sięgające poza kolana buty tego samego koloru. Jej oczy, podobnie jak oczy jej syna, miały kolor stopionego złota.

– Likimeya y’Briseyu no’e-Sa’onserei – zaintonował Jiriki. – Królowa Dzieci Świtu i Pani Domu Tańczącego Roku.

Eolair i jego towarzysze klęknęli na kolano.

– Wstańcie, proszę – przemówiła nieco gardłowym szeptem. Wydawało się, że nie włada tak dobrze językiem śmiertelników jak Jiriki. – To twój kraj, hrabio Eolairze, a Zida’ya są tylko gośćmi. Przybyliśmy, żeby spłacić dług wobec waszego Sinnacha.

– To dla nas zaszczyt, Królowo.

Uniosła dłoń o długich paznokciach.

– Nie mów „Królowo”. To jest tylko tytuł, a właściwie słowo najbliższe jego znaczeniu w waszym języku. My nie zwracamy się do siebie w ten sposób, z wyjątkiem pewnych okazji. – Uniosła lekko brwi, kiedy wszyscy

trzej wstali. – Wiesz, hrabio Eolairze, jest taka stara opowieść, która mówi, że w Domu Nad Mullach jest krew Zida'ya.

Przez chwilę hrabia nie był pewien, czy dobrze ją rozumie, podejrzewając, że może któryś z jego przodków popełnił jakąś niegodziwość wobec Sithów. Lecz kiedy wreszcie dotarło do niego znaczenie słów Sithijki, poczuł, że robi mu się zimno.

– Stara opowieść? – Wydawało mu się, że jego głowa zaraz uleci. – Pani, nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. Chcesz powiedzieć, że sithijska krew płynęła w żyłach moich przodków?

Likimeya uśmiechnęła się, błyskając zębami.

– To stara opowieść, jak powiedziałam.

– Sithowie potrafią powiedzieć, czy jest ona prawdziwa? – Hrabia zastanawiał się, czy Sithijka prowadzi jakąś grę.

Strzeliła palcami i ptaki wzleciały między gałęzie drzew; przez moment nie było jej widać spoza trzepoczących skrzydeł.

– Dawno temu, kiedy śmiertelnicy i Zida'ya żyli bliżej siebie... – Wykonała dziwny gest dłonią. – Mogło się to zdarzyć. Tak, my wiemy, że to *może* się zdarzyć.

Eolair czuł się coraz bardziej zagubiony. Ze zdumieniem stwierdził, jak szybko opuściło go dyplomatyczne doświadczenie.

– A zatem to miało miejsce? Lud Sprawiedliwych... łączył się ze śmiertelnikami?

Likimeya jakby straciła zainteresowanie tematem rozmowy.

– Tak, ale bardzo dawno temu. – Skinęła na Jirikiego, który zbliżył się i rozkładając szeleszczący jedwab, dał znak przybyszom, by usiedli. – Dobrze jest znowu być na *M'yin Azoshai*.

– Tak nazywamy to wzgórze – wyjaśnił Jiriki. – Hern otrzymał je od Shi'iki i Senditu. Było to, jak byście pewnie się wyrazili, święte miejsce

naszego ludu. Przekazanie go śmiertelnikowi oznaczało przyjaźń między ludem Herna i Dziećmi Świtu.

– Jedna z naszych legend jest bardzo zbliżona do tego, co mówisz – powiedział wolno Eolair. – Zastanawiałem się, czy jest ona prawdziwa.

– W większości legend tkwi ziarno prawdy. – Jiriki uśmiechnął się.

Likimeya przeniosła wzrok na towarzyszy Eolaira, którzy niemal skulili się pod siłą spojrzenia jej jasnych, kocich oczu.

– Wy jesteście Rimmersmenami – powiedziała, nie odrywając od nich wzroku. – Nie mamy powodów, by darzyć was miłością.

Isorn spuścił głowę.

– Wiem, pani. – Wziął głęboki oddech, by uspokoić głos. – Ale, proszę, nie zapominaj, że my żyjemy krótko. To było dawno temu, wiele pokoleń temu. My nie jesteśmy tacy jak Fingil.

Likimeya uśmiechnęła się.

– Wy może nie, ale co powiecie o waszym krewnym, z którym przyszło nam walczyć? Widziałam, czego tutaj dokonał; nie różni się to zbytnio od tego, co uczynił Fingil Krwaworęki Zida'ya pięć wieków temu.

Isorn pokręcił głową, lecz nic nie odpowiedział. Ule bardzo zbladł i wydawało się, że skoczy lada moment.

– Isorn i Ule walczyli przeciwko Skalemu – wtrącił pospiesznie Eolair. – Zebraliśmy ludzi i jechaliśmy przeciwko Skalemu, kiedy nas minęliście. Przepędzając mordercę, wyrządziliście ogromną przysługę im obu, ale także i mojemu ludowi. Teraz można mieć nadzieję, że pewnego dnia ojciec Isorna odzyska swoje ziemie.

– Ach. – Likimeya skinęła głową. – Jiriki, czy oni jedli coś?

Jej syn spojrzał pytająco na hrabiego.

– Nie, pani – odpowiedział Eolair.

– A zatem zjemy razem i wtedy porozmawiamy.

Jiriki wstał i zniknął w szczelinie między łopoczącymi ścianami. Zapadła cisza – dość niezręczna dla Eolaira – lecz Likimeya nie wydawała się skłonna jej przerywać. Siedzieli, słuchając wiatru szumiącego w konarach dębu, dopóki nie powrócił Jiriki z drewnianą tacą pełną owoców, chleba i sera.

Hrabia siedział zdumiony. Czy oni nie mieli służących, którzy wykonywaliby takie prace? Przyglądał się, jak Jiriki nalewa coś z błękitnej, kryształowej flaszki do pucharów wyrzeźbionych z takiego samego drewna jak taca i podaje je gościom z lekkim, lecz bardzo eleganckim ukłonem. Oto królowa i książę najstarszego ludu, a mimo to usługiwali sobie nawzajem? Przepaść między Eolairem a nieśmiertelnymi wydawała się w tej chwili szczególnie ogromna.

Cokolwiek było w kryształowej flaszce, paliło jak ogień, smakowało jak miód, a pachniało jak fiołki. Ule najpierw upił ostrożnie łyk, po czym szybko wypił resztę, nie protestując, kiedy Jiriki napełniał jego kielich ponownie. Opróżniwszy swój puchar, Eolair poczuł, jak zmęczenie ostatnich dwóch dni rozpływa się pod wpływem przyjemnego ciepła. Jedzenie także było znakomite, szczególnie wspaniałe dojrzałe owoce. Przez chwilę hrabia zastanawiał się, skąd Sithowie wzięli takie przysmaki w środku panującej od roku zimy, ale szybko uznał to za kolejny mały cud w ich rosnącym katalogu.

– Musimy podjąć wojnę – odezwała się nagle Likimeya. Spośród zebranych ona jedna nie jadła i zaledwie umoczyła usta w miodzie. – Skali wymknął nam się na razie, ale serce twego królestwa jest wolne. Zrobiliśmy początek. Z twoją pomocą, Eolairze, i z pomocą tych, którzy jeszcze zachowali silną wolę, wkrótce zdejmiemy jarzmo z szyi naszych dawnych sprzymierzeńców.

– Pani, brakuje mi słów, by wyrazić wdzięczność – odparł Eolair. – Dzisiaj Zida’ya pokazali, że dotrzymują słowa. Niewiele spośród plemion śmiertelników może powiedzieć o sobie to samo.

– A co potem, Królowo Likimeyo? – spytał Isorn. Zdążył już wypić trzy puchary jasnego eliksiru i zaczerwienił się nieco. – Czy pojedziesz z Josuą? Czy pomożesz mu zająć Hayholt?

Jej spojrzenie było surowe i chłodne.

– My nie walczymy dla śmiertelnych książąt, Isornie, synu Isgrimnura. Walczymy, aby spłacić nasze długi i się bronić.

Eolair wstrzymał oddech.

– Czy to znaczy, że zatrzymacie się tutaj?

Likimeya potrząsnęła głową, po czym uniosła dłonie i splotła palce.

– To nie jest takie proste. Za szybko mówiłam. Istnieją rzeczy niebezpieczne dla Josui Bezrękiego, jak i dla Dzieci Świtu. Zdaje się, że wróg Bezrękiego zawarł pakt z naszym wrogiem. W każdym razie zrobimy tak, jak zamierzaliśmy: gdy tylko Hernystir będzie wolny, pozostawimy wojny śmiertelników im samym: przynajmniej na razie. Nie, hrabio Eolairze, mamy też inne długi, ale teraz nadeszły dziwne czasy. – Uśmiechnęła się, a tym razem jej uśmiech bardziej przypominał ten, jaki mógłby się pojawić na twarzy śmiertelnika. Eolair podziwiał jej dziwnie piękne rysy. Jednocześnie uderzyła go myśl, że siedzi obok istoty, która widziała upadek Asu’a. Ona była tak stara jak największe z ludzkich miast, a może starsza. Eolair zadrżał.

– Choć nie pojedziemy na pomoc twojemu księciu – ciągnęła Likimeya – to jednak pojedziemy na pomoc jego fortecy.

Na chwilę zapadła cisza, po czym przemówił Isorn:

– Wybacz, pani, ale nie rozumiemy, o czym mówisz.

Na pytanie odpowiedział Jiriki.

– Kiedy Hernystir będzie wolny, pojedziemy do Naglimundu. Zamek jest teraz we władaniu Króla Burz, a stoi on zbyt blisko domu naszego wygnania. Odbierzemy mu zamek. – Twarz Sithy sposępniała. – Chcemy mieć pewność, że kiedy nadejdzie ostateczna bitwa: a ona się zbliża, wierzcie mi, śmiertelnicy, Nornowie nie będą mieli dziury, do której mogliby się schować.

Eolair obserwował oczy Jirikiego, kiedy Sitha przemawiał, i wydało mu się, że dostrzegł w nich nienawiść, która tliła się od wieków.

– Wojna, jakiej jeszcze świat nie widział – powiedziała Likimeya. – Wojna, w której wiele zostanie rozstrzygnięte raz na zawsze. – Jeśli oczy Jirikiego tliły się, to jej płonęły.

19. Uśmiech

NIC WIĘCEJ NIE MOGĘ DLA NICH ZROBIĆ, chyba że... – Cadrach potarł wilgotne czoło, jakby chciał wycisnąć z głowy jeszcze jakiś pomysł. Niewątpliwie był zmęczony, ale – pamiętając wymysły księcia – nie miał zamiaru się poddawać.

– Nic już nie można zrobić – powiedziała stanowczo Miriamele. – Połóż się. Musisz się przespać.

Cadrach spojrzał na Isgrimnura, który stał na dziobie łodzi z bosakiem w dłoni. Książę zacisnął tylko usta i dalej obserwował strumień.

– Tak, chyba tak zrobię.

Miriamele, która sama dopiero co się obudziła z wieczornej drzemki, pochyliła się i nakryła płaszczem całą trójkę. I tak poza ochroną przed robakami nie miała z niego większego pożytku. Nawet nocą na bagnach było bardzo ciepło.

– Może jak zgasimy świecę, to te pełzające ohydy pójdą szukać jedzenia gdzie indziej. – Uderzył dłonią w swe ramię i wziął w palce to, co zostało, by się lepiej przyjrzeć. – To przeklęte światło je przyciąga. A można było się spodziewać, że lampa bagiennych ludków je odstraszy. – Prychnął głośno. – Wciąż nie rozumiem, jak można mieszkać tutaj przez cały rok.

– Jeśli chcemy zgasić lampę, to powinniśmy opuścić kotwicę. – Miriamele nie miała ochoty płynąć w ciemności. Wyglądało na to, że zostawili ghanty za sobą, lecz ona wciąż dokładnie przyglądała się każdej

nisko wiszącej gałęzi. Poza tym Isgrimnur od dawna już nie spał i należało dać mu trochę odpoczynku od owadów.

– Dobrze. Myślę, że strumień jest tutaj wystarczająco szeroki, byśmy mogli się bezpiecznie zatrzymać – powiedział Isgrimnur. – Nie widzę gałęzi. Te małe potworki są dość uciążliwe, lecz jeśli już nigdy nie ujrzę tych przeklętych poczwar... – Nie skończył.

Miriamele wciąż śniły się cmokające ghanty i lepkie łapy, które trzymały ją w miejscu, gdy tymczasem ona chciała się im wyrwać.

– Pomóż mi przy kotwicy. – Razem dźwignęli kamień i wyrzucili za burtę. Kiedy opadł na dno, Miriamele sprawdziła, czy lina nie jest zbyt luźna.

– Połóż się pierwszy – powiedziała. – Ja teraz popilnuję.

– Dobrze.

Zerknęła szybko na Camarisa, śpiącego na rufie z głową opartą na płaszczu, i zgasiła lampę.

Początkowo ogarnęła ich przerażająco głęboka ciemność. Miriamele wydawało się, że czuje wyciągające się bezgłośnie łapy, i ledwie się opanowała, by nie odwrócić się i odgonić zjawy.

– Isgrimnurze?

– Co?

– Nic. Chciałam tylko usłyszeć twój głos.

Teraz ciemność przestała być już tak nieprzenikniona. Wprawdzie księżyc pozostawał schowany za chmurami lub za koronami drzew pochylających się nad strumieniem, lecz było na tyle jasno, by Miriamele mogła rozróżnić wszystko dookoła siebie, ciemną postać Isgrimnura i plamy brzegów po obu stronach łodzi.

Słyszała, jak książę manipuluje bosakiem, by zostawić go w bezpiecznej pozycji, a zaraz potem jego postać zsunęła się na dół łodzi.

– Jesteś pewna, że nie chcesz jeszcze pospać? – spytał głosem bełkotliwym ze zmęczenia.

– Nie, jestem wypoczęta. Później się położę. Idź spać.

Igrimnur nie protestował dłużej, co świadczyło o tym, jak bardzo jest wyczerpany. Po chwili chrapał już głośno. Miriamele uśmiechnęła się.

Łódź kołysała się delikatnie i łatwo można było sobie wyobrazić, że unoszą się jak chmura na nocnym niebie. Nie czuć było żadnego prądu, a jedynie delikatne pchanie bagiennej bryzy. Miriamele oparła się wygodnie i spojrzała na niewyraźne niebo, by odszukać jakąś znaną jej gwiazdę. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu pozwoliła sobie na tęsknotę za domem.

„Ciekawe, co robi teraz mój ojciec? Czy myśli o mnie? Czy mnie nienawidzi?”

Wspomnienie o Eliasie nasunęło jej inne myśli. Zaczęła się zastanawiać nad tym, co Cadrach powiedział pierwszej nocy po ich ucieczce z *Chmury Eadne*. W czasie swego wyznania mnich wspomniał, że Pryrates był szczególnie zainteresowany komunikowaniem się ze zmarłymi – Cadrach powiedział, że nazywa się to „mówieniem poprzez welon” – i że najbardziej interesują go te części księgi Nissesa, które o tym mówią. Kiedy myślała o tym, zaczynała też myśleć o ojcu. Ale dlaczego? Czy Elias coś o tym wspominał?

Choć bardzo starała się zebrać myśli, wciąż nie potrafiła uchwycić tego, co wydawało się w zasięgu ręki. Łódź poruszała się powoli, bezgłośnie pod niewyraźnymi gwiazdami.

ZDRZEMNĘŁA SIĘ TROCHĘ. Pierwsze promienie świtu wpełzały już na niebo, oblewając bagna perlistoszarym światłem. Miriamele wyprostowała się, pojękując cicho. Siniaki i rany po walce z ghantami zaczynały tężeć: czuła się, jakby spuszczono ją z góry w worku pełnym kamieni.

– Pa...pani? – To było ledwie słyszalne westchnienie.

– Tiamak? – Odwróciła się gwałtownie, kołysząc łodzią. Wrańczyk leżał z otwartymi oczami. Wydawało się, że na jego twarz, wciąż bladą i wynędzniałą, powróciła iskierka życia.

– T...tak, pani. – Oddychał głęboko, jakby zmęczyło go nawet tych kilka słów. – Gdzie... jesteśmy?

– Jesteśmy na rzece, ale zupełnie nie wiem gdzie. Po tym, jak uciekliśmy z gniazda ghantów, płynęliśmy prawie przez cały dzień. – Przyglądała mu się uważnie. – Bardzo cię boli?

Chciał potrząsnąć głową, ale ledwie nią poruszył.

– Nie, ale woda... napiłbym się.

Pochyliła się i sięgnęła po bukłak z wodą, leżący przy nogach Isgrimnura. Otworzyła go i wlała Tiamakowi ostrożnie trochę wody do gardła.

Tiamak odwrócił się nieco i spojrzał na leżącą obok niego nieruchomą postać.

– Młodszy Mogahib – szepnął. – Czy on żyje?

– Jeszcze tak. Wydaje się... bardzo chory, chociaż z Cadrachem nie znaleźliśmy na nim żadnych ran.

– Nie, nie znajdziecie. U mnie też nie. – Tiamak położył głowę i zamknął oczy. – A pozostali?

– Jacy pozostali? – spytała ostrożnie. – Jesteśmy tutaj wszyscy: ja, Cadrach, Camaris i Isgrimnur, i wszyscy czujemy się dość dobrze.

– Ach, dobrze. – Tiamak nie otwierał oczu.

Isgrimnur usiadł, rozglądając się nieprzytomnie.

– Co to? – mruknął. – Miriamele... co?

– Nic, Isgrimnurze. Tiamak się obudził.

– Tak? – Książę znowu opadł na pokład. – Mózg nieuszkodzony? Gada do rzeczy? Jeszcze czegoś tak potwornego nie widziałem...

– W gnieździe mówiłeś innym językiem – Miriamele zwróciła się do Tiamaka. – To było straszne.

– Wiem. – Skrzywił się z odrazą. – Później o tym opowiem. Nie teraz. – Uchylił nieco powieki. – Czy wynieśliście cokolwiek ze mną?

Miriamele pokręciła głową.

– Tylko ciebie. No i całe to błoto, którym byłeś oblepiony.

– Ach. – Przez chwilę wydawał się bardzo rozczarowany, ale zaraz się rozluźnił. – I tak dobrze. – Po chwili otworzył szerzej oczy. – A moje rzeczy? – spytał.

– Mamy wszystko, co miałeś w łodzi. – Miriamele poklepała jego zawiniątko.

– Dobrze... to dobrze. – Odetchnął z ulgą i opadł na płaszcz.

Niebo jaśniało powoli, a drzewa po obu stronach łodzi zaczynały nabierać kolorów.

– Pani?

– Tak?

– Dziękuję. Dziękuję, że poszliście za mną.

Miriamele słuchała jego coraz wolniejszego oddechu. Niebawem on także zasnął.

JAK JUŻ MÓWIŁEM WCZORAJ W NOCY, MIRIAMELE – powiedział Tiamak – chciałbym wam wszystkim podziękować. Okazaliście się lepszymi przyjaciółmi, niż mógłbym tego oczekiwać. Nie zasłużyłem na taką przyjaźń.

Isgrimnur zakaszlał.

– Bzdura. Nic innego nie mogliśmy zrobić. – Miriamele miała wrażenie, że książę jest trochę zakłopotany. Może przypomniał sobie ich dyskusję nad tym, czy ratować Wrańczyka, czy go zostawić.

Wcześniej rozbili prowizoryczny obóz w pobliżu rzeki. Na małym ognisku, którego płomienie pozostawały prawie niewidoczne w blasku poranka, grzała się woda na zupę i herbatę z żółcienia.

– Nie, nie rozumiecie. Uratowaliście nie tylko moje życie. Jeśli mam *ka*, duszę, jak wy to nazywacie, to ona nie przetrwałaby ani dnia dłużej w tamtym miejscu. Może ani godziny dłużej.

– Ale co oni ci robili? – spytała Miriamele. – Mamrotałeś straszliwie, prawie tak samo jak ghanty!

Tiamak zadrżał. Siedział owinięty płaszczem, ale poza tym prawie się nie ruszał.

– Spróbuję wam to wyjaśnić, chociaż sam niewiele rozumiem. Czy jesteście pewni, że niczego ze mną nie wynosiliście?

Pozostali pokręcili głowami.

– To było... – zaczął, lecz urwał, zastanawiając się. – To był kawałek czegoś, co przypominało lusterko. Było stłuczone, ale miało jeszcze kawałek pięknie rzeźbionej oprawy. One... ghanty wsadziły mi je do ręki. – Uniósł dłoń, ukazując gojące się rany. – Gdy tylko dały mi je, poczułem przenikające mnie zimno, od palców do głowy. Potem niektóre z nich wymiotowały tą kleistą substancją i oblepiły mnie nią. – Wziął głęboki oddech, lecz i tak nie mógł mówić dalej. Przez chwilę siedział nieruchomo ze łzami w oczach.

– Tiamaku, nie musisz o tym mówić – powiedziała Miriamele. – Nie teraz.

– Albo przynajmniej powiedz nam, jak cię złapały – wtrącił Isgrimnur. – Jeśli możesz, oczywiście.

Wrańczyk spuścił oczy.

– Złapały mnie jak świeżo wyklutego kraba. Trzy z nich spadły na mnie z drzewa – Spojrzał szybko w górę, jakby spodziewał się, że znowu się to stanie. – A kiedy walczyłem z nimi, pojawiło się kilkanaście innych i pokonały mnie. Och, one są mądre! Owinęły mnie lianami, tak samo jak ja czy wy związalibyście więźnia, chociaż nie umiały zawiązać węzłów. Trzymały jednak liany na tyle mocno, że nie mogłem się uwolnić. Potem próbowały zanieść mnie na drzewo, ale chyba byłem za ciężki. Musiały więc ciągnąć za liany i gałęzie, żeby przyciągnąć łódź do brzegu. A potem zaniosły mnie do gniazda. Nie wiecie nawet, jak bardzo pragnąłem, żeby mnie zabiły albo przynajmniej ogłuszyły. To było okropne, być niesionym przez te cmokające potwory ciemnymi korytarzami! – Znowu musiał przerwać na chwilę. – To, co zrobiły mnie, zdążyły już zrobić Młodszemu Mogahibowi. – Wskazał głową na drugiego Wrańczyka, który leżał na ziemi, wciąż pogrążony we śnie. – Przeżył chyba dlatego, że nie był tam długo. Może nie okazał się aż tak przydatnym narzędziem, jakim ja miałem być. W każdym razie zdecydowały się go wypuścić, by zachować lusterko dla mnie. Kiedy ciągnęły go obok mnie, zacząłem krzyczeć do niego. Był na wpół oszalały, ale usłyszał mnie i odpowiedział. Wtedy go rozpoznałem i powiedziałem, że moja łódź została na zewnątrz i że może ją wziąć i uciec.

– Czy powiedziałeś mu, żeby nas znalazł? – spytał Cadrach. – Jeśli próbował to zrobić, to mieliśmy ogromne szczęście.

– Nie, nie – odparł Tiamak. – Wszystko trwało tylko chwilę. Potem jednak miałem nadzieję, że jeśli uda mu się uciec i popłynie do Wioski, to może was znajdzie. Miałem nadzieję, że zorientujecie się, iż nie opuściłem was dobrowolnie. – Zmarszczył brwi. – Trudno było mi liczyć na to, że ktoś przyjdzie tam za mną...

– Wystarczy, człowieku – wtrącił szybko Isgrimnur. – Co one ci zrobiły?

Miriamele była teraz pewna, że książę pragnie uniknąć tematu ich decyzji. Uśmiechnęła się. Jakby ktokolwiek wątpił kiedy w jego dobrą wolę i odwagę! Chociaż sądząc po tym, co powiedział o Cadrachu, może jednak był nieco wrażliwy.

– Wciąż nie jestem pewien. – Tiamak zmrużył oczy, jakby chciał znowu zobaczyć tamtą scenę oczyma wyobraźni. – Jak już mówiłem, one... włożyły mi do ręki lusterko i oblepiły mnie tą wydzieliną. Uczucie zimna stawało się coraz silniejsze. Myślałem, że umieram: płonąłem i konałem z zimna jednocześnie. A potem, kiedy już wydawało mi się, że to moje ostatnie chwile, stało się coś jeszcze bardziej dziwnego. – Podniósł głowę i spojrzał Miriamele prosto w oczy, jakby chciał się upewnić, że mu uwierzy. – Do mojej głowy zaczęły napływać słowa. Nie, nie słowa. To nie były słowa. Raczej... obrazy. – Zamilkł na chwilę. – Jakby otworzyły się drzwi i do mojej głowy zaczęły napływać z zewnątrz myśli. Tylko że one... one nie były myślami ludzkimi.

– Nie? Ale jak to rozpoznałeś? – Cadrach, zaintrygowany, pochylił się do przodu i wpatrywał we Wrańczyka.

– Nie potrafię tego wyjaśnić, ale wiedziałem, że nie dotknęły one nigdy ludzkiego umysłu, tak samo jak słyszycie skrzeczenie sroki w koronie drzewa i wiecie, że to nie jest ludzki głos. Tamte myśli były... zimne. Były powolne, cierpliwe i tak mi nienawistne, że mógłbym oderwać sobie głowę, gdybym nie był unieruchomiony błotem. Jeśli przedtem nie do końca wierzyłem w Tych, Którzy Oddychają Ciemnością, to teraz z pewnością w nich wierzę. To było okropne mieć ich w swojej czaszce.

Tiamak drżał. Miriamele pochyliła się i otuliła go płaszczem. Isgrimnur rzucał nerwowo patyki do ogniska.

– Nie mów więcej, jeśli nie chcesz – powiedziała Miriamele.

– To już prawie wszys...wszystko. Wy...wybaczcie, ale nie mo... nie mogę się opanować.

– Chodź – powiedział Isgrimnur, zadowolony, że może coś zrobić. – Przysuniemy cię bliżej ognia.

Kiedy przeniesiono go bliżej ogniska, Wrańczyk zaczął mówić dalej:

– Częściowo byłem świadomy, że mówię jak ghanty, chociaż nie czułem tego. Czułem raczej, że przyjmuję te przerażające, druzgoczące myśli do mojej głowy i wypowiadam je głośno, tylko że one przybierały postać cmokania i buczenia, jakie wydają te stworzenia. A jednak miało to jakiś sens, to było to, czego chciałem: chciałem mówić, mówić, pozwolić, by wszystkie myśli tej zimnej istoty znajdującej się wewnątrz mnie wypłynęły na zewnątrz, by ghanty je zrozumiały.

– Czego dotyczyły te myśli? – spytał Cadrach. – Pamiętasz?

Tiamak zamknął oczy.

– Niektóre. Ale jak już mówiłem, to nie były słowa, a poza tym były czymś tak różnym od tego, co ja mógłbym pomyśleć, że trudno jest mi wyjaśnić, co właściwie pamiętam. – Wysunął dłoń spod płaszcza i sięgnął po miseczkę z herbatą z żółcienia. – Były to obrazy. Widziałem ghanty, które wyłażą z bagien i zalewają miasta, tysiące ghantów niczym muchy na drzewie cukrowca. One... one się po prostu gromadziły. I wszystkie śpiewały tym swoim buczeniem, wszystkie śpiewały tę samą pieśń mocy, jedzenia i wiecznego życia.

– I to właśnie mówił... mówiła im ta zimna istota? – spytała Miriamele.

– Tak mi się wydaje. Ja mówiłem jak ghant, patrzyłem jak one: to też było straszne. Ty, Który Zawsze Kroczysz Po Piasku, nie pozwól, bym kiedyś jeszcze zobaczył coś podobnego! Świat widziany ich oczyma jest skrzywiony i popękany, a jedyne kolory to krwistoczerwony i czarny.

I migocze, jakby pokryty był tłuszczem albo jakby patrzyło się pod wodą. Do tego jeszcze: to jest mi najtrudniej wyjaśnić: nic nie miało twarzy, ani ghanty, ani ludzie uciekający w popłochu z miast. Wszystkie żywe istoty były bło...błotnistymi grudami z no...nogami.

Tiamak zamilkł. Drżącą dłonią podnosił do ust miseczkę z herbatą.

– To wszystko. – Teraz wziął głęboki, drżący oddech. – Wydawało mi się, że trwa to całe lata, a przecież były to zaledwie kilka dni.

– Biedny Tiamak! – powiedziała Miriamele. – Jak ci się udało pozostać przy zdrowych zmysłach!

– Nie udałoby mi się, gdybyście przyszli trochę później – odpowiedział stanowczo. – Jestem tego pewien. Czułem, jak mój umysł rozciąga się i rozrywa, jakbym wisiał, trzymając się czubkami palców nad przepaścią. Czarną przepaścią bez dna. – Spojrzał w swoją miskę. – Ciekawe, ilu Wrańczyków z mojej Wioski poza Młodszym Mogahibem posłużyło im w podobny sposób, lecz nie przeżyło.

– Były tam inne bryły – powiedział wolno Isgrimnur. – Ustawione w rzędzie obok ciebie, ale większe i nie widać w nich było głów. Podszedłem do nich bardzo blisko. – Zawahał się na moment. – Pod mazią widać było... postacie.

– Pewnie inni z mojej Wioski – szepnął Tiamak. – Ach, to straszne. Ghanty używały ich pewnie jak świec, po kolei. Straszne.

Przez jakiś czas wszyscy siedzieli w milczeniu.

Wreszcie odezwała się Miriamele:

– Ale mówiłeś, że ghanty nigdy wcześniej nie były niebezpieczne.

– Nie były. Chociaż jestem przekonany, że po moim odejściu mieszkańcy Wioski zaatakowali ich gniazdo i wtedy stały się niebezpieczne. Dlatego pewnie nie znaleźliśmy broni w domu Starszego

Mogahiba. Isgrimnur widział, co stało się z atakującymi. – Tiamak spojrzał na drugiego Wrańczyka. – On był pewnie ostatnim z więźniów.

– Ale ja wciąż nie rozumiem, po co to lusterko – powiedział książę. – Przecież ghanty nie używają lusterek, prawda?

– Nie. – Tiamak uśmiechnął się słabo do Isgrimnura. – Ja także się nad tym zastanawiam, Isgrimnurze.

Cadrach, który właśnie nalewał herbaty Camarisowi, spojrzał przez ramię.

– Mam pewne teorie, ale muszę je przemyśleć. Jedno nie ulega wątpliwości. Jeśli tymi stworzeniami kieruje jakaś inteligencja, może tylko w pewnych okresach, to nie możemy zwlekać. Musimy opuścić Wran najszybciej, jak to jest możliwe. – Mówił chłodnym, stanowczym głosem, jakby niewiele obchodził go przedmiot rozmowy. Miriamele nie podobało się jego nieco nieobecne spojrzenie.

Isgrimnur przytaknął mu.

– Przynajmniej raz mnich ma rację. Rzeczywiście nie mamy czasu do stracenia.

– Ale Tiamak jest chory! – rzuciła rozgniewana nieco Miriamele.

– Pani, nic nie można zrobić. Oni mają rację. Mogę wami kierować, jeśli dacie mi coś do podparcia. Przynajmniej zaprowadzę was na tyle daleko od gniazda, że będziemy mogli zaryzykować postój na lądzie.

– A zatem w drogę. – Igrimnur wstał. – Czas ucieka.

– Rzeczywiście – powiedział Cadrach. – Z każdym dniem coraz szybciej.

Powiedział to z takim chłodem i powagą, że pozostali spojrzeli na niego, lecz mnich brnął już przez wodę do brzegu, by załadować na łódź ich bagaże.

W CIĄGU NASTĘPNYCH KILKU DNI Tiamak szybko wracał do zdrowia, lecz nie można było tego powiedzieć o Młodszym Mogahibie. Wrańczyk wciąż zapadał w nieprzytomny, rozgorączkowany sen. Rzucał się i wykrzykiwał rzeczy, które po przetłumaczeniu przez Tiamaka w dużej mierze przypominały koszmary, jakich on sam doświadczył; kiedy się uspokajał, leżał jak martwy. Tiamak dawał mu lekarstwa przyrządzone z leczniczych ziół zebranych na brzegu rzeki, ale nie na wiele się zdały.

– Jego ciało jest silne. Jednak sądzę, że ucierpiał jego umysł. – Tiamak pokręcił smutno głową. – Może trzymali go dłużej, niż myślałem.

Płynęli przez Wran, kierując się na północ, lecz droga prowadziła licznymi meandrami, które znał tylko Tiamak. Było jasne, że bez niego błądziliby pewnie po bagnach nie wiedzieć jak długo. Miriamele nie chciała nawet myśleć, jaki byłby ich koniec.

Miała już dość bagien. Po zejściu do gniazda nabrała obrzydzenia do błota, odoru i dziwnych stworzeń, które teraz dostrzegała wszędzie. Wran był zdumiewająco żywą krainą, taką też była ich łódź pełna robactwa. Nie chciała w żadnym spędzić ani chwili dłużej, niż było to konieczne.

Trzeciej nocy po ich ucieczce z gniazda zmarł Młodszy Mogahib. Według słów Tiamaka krzyczał coś o słońcu przesuwającym się do tyłu oraz o potokach krwi płynących przez miasta na suchym lądzie, a potem jego twarz pociemniała i wytrzeszczył oczy. Tiamak próbował dać mu wody do picia, lecz on zacisnął mocno szczęki. Chwilę później ciało Wrańczyka zesztywniało. Kiedy zgasła w nim ostatnia iskra życia, był sztywny jak pal.

Tiamak wyglądał na bardzo poruszonego, choć próbował się opanować.

– Młodszy Mogahib nie był moim przyjacielem – powiedział, kiedy przykryli Wrańczyka płaszczem. – Ale był ostatnim ogniwem łączącym mnie z moją Wioską. Teraz już nigdy się nie dowiem, czy wszyscy zostali

schwytani, czy wszystkich zabrano do gniazda – jego usta drżały – czy może ktoś uciekł do innej, bezpieczniejszej wioski po nieudanym ataku na gniazdo.

– Jeśli są jeszcze jakieś bezpieczne wioski – powiedział Cadrach. – Mówiłeś, że w całym Wranie istnieje wiele podobnych gniazd. Czy możliwe, by tylko to stało się tak niebezpieczne?

– Nie wiem. – Wrańczyk westchnął ciężko. – Będę musiał wrócić i spróbować znaleźć odpowiedź.

– Ale nie sam – wtrąciła stanowczo Miriamele. – Zostań z nami. Kiedy odnajdziemy Josuę, pomożemy ci odnaleźć twoich ludzi.

– Księżniczko – upomniał ją Isgrimnur. – Nie możesz zakładać tego z góry...

– Dlaczego nie? Czy i ja nie należę do królewskiej rodziny? Czy ma to jakieś znaczenie? Josua będzie potrzebował wielu sprzymierzeńców; Tiamak pokazał, że warto zabiegać o pomoc Wrańczyków.

Tiamak najwyraźniej bardzo się zmieszał.

– Pani, jesteś bardzo miła, ale nie mógłbym oczekiwać spełnienia podobnej obietnicy. – Spojrzał na Młodszego Mogahiba. – Musimy coś zrobić z ciałem.

– Pochowamy go? – spytał Isgrimnur. – Ale jak, przy tak mokrej ziemi?

Tiamak pokręcił głową.

– My nie chowamy naszych zmarłych. Pokażę wam rano. Teraz, jeśli pozwolicie, muszę się przejść. – Odszedł wolno, kulejąc.

Isgrimnur popatrzył niepewnie na ciało.

– Wolałbym nie zostawać z nim sam.

– Co to, Rimmersmanie, boisz się duchów? – spytał Cadrach, uśmiechając się nieprzyjemnie.

Miriamele zachmurzyła się. Miała nadzieję, że po tym, jak ogniste pociski mnicha pomogły im w ucieczce, Isgrimnur i Cadrach zbliżą się trochę do siebie. I rzeczywiście Isgrimnur wydawał się gotów zawrzeć rozejm, lecz złość Cadracha stała się jeszcze bardziej zawzięta, jeszcze bardziej nieprzyjemna.

– Ostrożność nie zawadzi... – zaczął Isgrimnur.

– Och, bądźcie cicho, obaj – wtrąciła Miriamele, poirytowana. – Tiamak stracił przyjaciela.

– Nie przyjaciela – zauważył Cadrach.

– No to kogoś ze swego klanu. Słyszałeś: ten człowiek był jedynym z Wioski, jakiego odnalazł po powrocie. Jedyny Wrańczyk, jakiego spotkał! A teraz on nie żyje. Też byś chciał w takiej sytuacji pobyć sam. – Odwróciła się i odeszła, by usiąść obok Camarisa, który skręcał trawy, robiąc coś w rodzaju naszyjnika.

– No cóż... – mruknął Isgrimnur, lecz zamilkł, przygryzając brodę. Cadrach także nic już nie powiedział.

KIEDY MIRIAMELE OBUDZIŁA SIĘ NASTĘPNEGO RANKA, Tiamaka nie było nigdzie w pobliżu. Uspokoiła się niedługo potem, gdy ujrzała go wracającego do obozu z naręczem liści palmy oliwnej. Przyglądali się wszyscy, jak obkłada nimi Młodszego Mogahiba, warstwa po warstwie – jakby parodiował duchownego z Domu Przygotowań w Erchesterze; tak że w końcu widać było już tylko stos długich, ociekających liści.

– Zabiorę go teraz – powiedział cicho. – Nie musicie iść ze mną, jeśli nie chcecie.

– Ale czy chciałbyś, żebyśmy to zrobili? – spytała Miriamele.

Tiamak patrzył na nią przez chwilę.

– Tak, chciałbym.

Miriamele upewniła się, że idą wszyscy, nawet Camaris, chociaż starzec wydawał się bardziej zainteresowany ptakami o długich, pierzastych ogonach niż zmarłymi i pogrzebami.

Z pomocą Isgrimnura Tiamak ułożył ostrożnie w łodzi owinięte w liście ciało Młodszego Mogahiba. Kiedy upłynęli kawałek w górę strumienia, skierował łódź do piaszczystego brzegu. Stała tam już konstrukcja z cienkich gałęzi. Pod nią ułożył stos drewna i palmowych liści. Razem z Isgrimnurem ułożyli ciało na konstrukcji, która ugięła się lekko pod jego ciężarem.

Sprawdziwszy, że wszystko jest w porządku, Tiamak cofnął się kilka kroków i stanął obok pozostałych.

– Ty, Która Czekasz, By Wszystko Odebrać – przemówił uroczystym głosem. – Która stoisz za ostatnią rzeką, Młodszy Mogahib opuszcza nas. Kiedy będzie przepływał obok ciebie, pamiętaj, że był dzielny: poszedł do gniazda, by ratować swoją rodzinę, swoich współplemieńców. Pamiętaj też, że był dobry.

Tiamak zamyślił się na chwilę. Miramele przypomniała sobie, jak wcześniej mówił, że nie byli przyjaciółmi.

– Zawsze szanował swego ojca i innych starszych – odezwał się wreszcie. – Zawsze wydawał uczty, kiedy przychodził na to czas, i nigdy nie skąpił. Pamiętaj o twej umowie z Tą, Która Zrodziła Ludzkość. Młodszy Mogahib otrzymał swoje życie i żył nim; potem, kiedy Ci, Którzy Patrzą i Rządzą dotknęli jego ramienia, oddał je. Ty, Która Czekasz, By Wszystko Odebrać, nie pozwól, by przepłynął obok ciebie! – Tiamak zwrócił się do pozostałych. – Powiedzcie to razem ze mną, proszę.

– Nie pozwól, by przepłynął obok ciebie! – powiedzieli wszyscy głośno.

Gdzieś w gałęziach odezwał się ptak; jego skrzek przypominał skrzypienie otwieranych drzwi.

Tiamak podszedł do stosu i przyklęknął. Krzesiwem i kawałkiem metalu skrzesał iskry, które padły na palmowe liście. Po kilku chwilach ogień był już całkiem duży i liście zaczęły czernieć i się zwijać.

– Nie musicie patrzeć – powiedział Tiamak. – Możecie zaczekać trochę dalej, przyjdę do was.

Teraz Miriamele wyczuła, że Wrańczyk chce zostać sam. Wsiedli do łodzi i popłynęli w dół strumienia; znalazłszy się za zakrętem, widzieli już tylko pióropusz ciemnego dymu.

Później, kiedy Tiamak przyszedł przez wodę, Isgrimnur pomógł mu wsiąść do łodzi. Skierowali łódź z powrotem do obozu. Tej nocy Tiamak mało mówił; siedział wpatrzony w ogień jeszcze długo po tym, jak pozostali położyli się spać.

CHYBA TERAZ CZĘŚCIOWO ROZUMIEM OPOWIEŚĆ TIAMAKA – oświadczył Cadrach.

Był późny ranek szóstego dnia po tym, jak uciekli z gniazda ghantów. Było ciepło, lecz wiejąca bryza sprawiła, że bagna stały się bardziej znośne niż jeszcze kilka dni temu. Miriamele zaczynała wierzyć, że niebawem uda im się z nich wydostać.

– Co to znaczy „rozumiem”? – Isgrimnur próbował powstrzymać swoją zgryźliwość, lecz niezupełnie mu się to udało. Stosunki między Rimmersmanem i mnichem wciąż się pogarszały.

Cadrach obdarzył go mentorskim spojrzeniem, ale odpowiedź skierował do Miriamele i Tiamaka siedzących na środku łodzi. Camaris popychał łódź bosakiem i obserwował uważnie brzeg z rufy.

– Mam na myśli skorupę lustra. A także mowę ghantów. Chyba wiem, co one znaczą.

– Powiedz nam, Cadrachu – ponagliła go Miriamele.

– Jak wiesz, pani, zajmowałem się studiami nad dawnymi naukami. – Mnich chrząknął, chyba trochę zadowolony, że przemawia do publiczności. – Otóż czytałem o czymś, co nazywa się Świadkami...

– Czy było o tym w księdze Nissesa? – spytała Miriamele i ze zdumieniem dostrzegła, że Tiamak kurczy się, jakby przed ciosem. Odwróciła się do niego, lecz Wrańczyk wpatrywał się w Cadracha; było to spojrzenie pełne podejrzliwości, wściekłej podejrzliwości, jakby nagle się okazało, że Hernystirczyk jest półghantem.

Zdziwiona spojrzała na Cadracha, który z kolei patrzył na nią z niemą wściekłością.

„On chyba nie chce do tego wracać” – pomyślała i pożałowała, że w ogóle zabrała głos. Ale reakcja Tiamaka szczerze ją zdumiała. Co takiego powiedziała? Albo Cadrach?

– W każdym razie – zaczął mnich ponownie, niechętnie, jakby teraz czuł się tylko zmuszony do kontynuacji – kiedyś istniały przedmioty zwane Świadkami, wykonane przez Sithów w głębinach czasu. Przedmioty te pozwalały im przemawiać na ogromne odległości, a może nawet przekazywać sobie wizje i sny. Miały one różną postać: Kamieni, Łusek, Stawów czy Stosów Całopalnych: tak twierdzą stare księgi. Łuskami nazywali Sithowie lustra. Nie wiem dlaczego.

– Czy chcesz powiedzieć, że lusterko Tiamaka było jednym z takich przedmiotów? – spytała Miriamele.

– Tak się domyślam.

– Ale co Sithowie mogą mieć wspólnego z ghantami? Nawet jeśli, jak słyszałam, nienawidzą oni ludzi, to nie chce mi się wierzyć, by woleli te

okropne robale.

Cadrach przytaknął jej.

– Tak, lecz jeśli istnieją jeszcze Świadkowie, to może inni mogą także się nimi posługiwać. Przypomnij sobie, księżniczko, to, co usłyszałaś w Naglimundzie. Przypomnij sobie, kto knuje i czeka na Północy.

Przypomniawszy sobie dziwne przemówienie Jarnaugi, Miriamele poczuła nagle dziwny chłód, który z pewnością nie był powiewem bryzy.

Isgrimnur pochylił się ze swego miejsca przy kolanach Camarisa.

– Powoli, człowieku. Czy chcesz powiedzieć, że ten tam Król Burz uprawia jakieś czary razem z ghantami? W takim razie do czego im był Tiamak? To nie ma sensu.

Cadrach zacisnął usta, powstrzymując ostrą odpowiedź.

– Nie twierdzę, że jestem pewien wszystkiego, o czym mówię, Rimmersmanie. Ale może jest tak, że ghanty są zbyt odmienne... może zbyt prymitywne dla tych, którzy używają Świadków, by z nimi rozmawiać bezpośrednio. – Wzruszył ramionami. – Zgaduję tylko, że potrzebowali istoty ludzkiej jako pośrednika. Potrzebowali posłańca.

– Ale co mógłby Król... – Miriamele powstrzymała się. Nawet jeśli Isgrimnur wymówił to imię, to ona nie chciała tego robić. – Czego ktoś taki mógłby chcieć od ghantów w środku Wranu?

Cadrach pokręcił głową.

– Pani, tego już nie wiem. Kto może znać plany... kogoś takiego?

Miriamele spojrzała na Tiamaka.

– Czy pamiętasz coś jeszcze z tego, co ci kazali mówić? Czy możliwe, że Cadrach ma rację?

Tiamak wyraźnie nie miał ochoty o tym mówić. Patrzył uważnie na mnicha.

– Nie wiem. Mało wiem o... magicznych czy starych księgach. Bardzo mało.

– Wcześniej już nienawidziłam tych ghantów – powiedziała Miriamele. – Ale jeśli to prawda, jeśli są częścią tego... tego, z czym walczy Josua... – Skuliła się, krzyżując ramiona. – Im szybciej stąd odejdziemy, tym lepiej.

– Przynajmniej w jednym wszyscy się zgadzamy – mruknął Isgrimnur.

TEJ NOCY, KIEDY ŁÓDŹ PŁYNĘŁA WOLNO, kołysząc się na wodzie, Miriamele miała sen: przemawiały do niej głosy zza zasłony cienia – piskliwe, natarczywe głosy, szepcące o stracie i zniszczeniu, jakby były to upragnione rzeczy.

Obudziwszy się, spojrzała w słabo świecące gwiazdy i zdała sobie sprawę, że nawet otoczona przyjaciółmi czuje się samotna.

OKAZAŁO SIĘ, ŻE TIAMAK NIEZUPEŁNIE powrócił do zdrowia. Dzień po pogrzebie Młodszego Mogahiba znowu dostał gorączki, osłabł i zobojętniał. Kiedy nadeszła noc, Wrańczyk miał okropne sny, wizje, których nie pamiętał rano, lecz w czasie których rzucał się i głośno krzyczał. W towarzystwie cierpiącego Tiamaka pozostali czuli się niemal równie źle jak on.

Mijały dni, a Wran wciąż nie pozwalał im odejść, jak zbyt gościnny gospodarz: po każdej mili bagiennej plątaniny – obojętnie, czy ją pokonywali, płynąc pod parnym niebem, czy też brodząc przez lepkie i cuchnące błoto – ukazywała się kolejna mila bagna. Miriamele zaczynała już podejrzewać, że jakiś czarodziej płata im okrutne figle i przenosi ich do punktu wyjścia nocą, kiedy zapadają w lekki sen.

Wszędobylskie owady, które najwyraźniej znajdowały przyjemność w docieraniu do ich najczulszych miejsc, osłonięte chmurami, lecz wciąż silnie grzejące słońce, powietrze gorące i wilgotne jak para nad talerzem pełnym zupy, wszystko to sprawiało, że temperamenty podróżnych wciąż pozostawały na granicy wytrzymałości, a czasem nawet wybiegały poza nią. Nawet deszcz, początkowo witany jak zbawienie, wkrótce okazał się przekleństwem. Ciepły deszcz padał nieustannie przez trzy dni, aż wreszcie Miriamele i jej towarzysze zaczęli podejrzewać, że to demony walą w ich głowy malutkimi młotkami. Nieprzyjemne warunki zaczęły się dawać we znaki nawet Camarisowi, który dotąd pozostawał niewzruszony, pozwalając kąsającym robakom pełzać po swoim ciele bezkarnie – już od samego patrzenia na coś takiego Miriamele dostawała gęsiej skórki i musiała się podrapać. Ale trzy dni i trzy noce nieustannego deszczu dały się we znaki nawet jemu. Kiedy płynęli trzeciego dnia podczas burzy, starzec nasunął na czoło kapelusz, który zrobił sobie z paproci, i spojrzał smutno na pomarszczoną deszczem powierzchnię wody; wyglądał tak żałośnie, że Miriamele podeszła do niego i objęła go ramieniem. Nie okazał tego w sposób widoczny, lecz coś w jego postawie mówiło, że jest wdzięczny za ten gest – pozostał na miejscu, nieruchomy, lecz trochę bardziej zadowolony. Miriamele podziwiała jego szerokie bary, wręcz nieprzyzwoite u kogoś w jego wieku.

Tiamak z trudem siedział na dziobie owinięty w koc i szczękając zębami, wskazywał drogę. Oznajmił, że prawie dotarli do północnego skraju Wranu, ale to samo powiedział im już wiele dni temu; jego oczy błyszczały teraz dziwnie. Isgrimnur i Miriamele starali się nie okazywać sobie nawzajem, że się martwią. Natomiast Cadrach, który kilkakrotnie nieomal pobił się z księciem, jawnie drwił z możliwości opuszczenia kiedykolwiek bagien. Wreszcie Isgrimnur zagroził, że jeśli mnich jeszcze

raz się ośmieli rozgłaszać pesymistyczne uwagi, to on wyrzuci go za burtę i resztę drogi będzie musiał przepłynąć, jeśli chce udać się dalej. Mnich się uspokoił, lecz spojrzenia, jakie rzucał Isgrimnurowi za jego plecami, bardzo niepokoiły Miriamele.

Było dla niej jasne, że Wran góruje nad nimi wszystkimi. Zrozumiała, że nie jest to miejsce dla ludzi, a już na pewno nie dla mieszkańców suchego lądu.

TUTAJ BĘDZIE DOBRZE – POWIEDZIAŁA. Przeszła jeszcze kilka kroków, z trudem łapiąc równowagę w mlaszczącym pod butami błocie.

– Jeśli tak twierdzisz, pani – mruknął Cadrach.

Oddalili się nieco od obozu, by zakopać pozostałości z ich kolacji, głównie rybie ości, łuskowate skóry i resztki owoców. W czasie ich długiej podróży wścibskie małpy wciąż zakradały się do obozu w poszukiwaniu odpadków, nawet wtedy, gdy któreś z nich czuwało na straży. Ostatnim razem, kiedy nie pozbyli się pozostałości po kolacji, spędzili noc w samym środku małpiego festiwalu, w czasie którego wrzeszczące i walczące ze sobą małpy konkurowały o najlepsze kąski.

– Wykop dół, Cadrachu – rzuciła oschle Miriamele.

Spojrzał na nią z ukosa, potem pochylił się i zaczął skrobać wilgotną ziemię. W blasku latarni zalśniły białe, wijące się robaki, odkrywane trzcinową łopatką. Kiedy dół był gotowy, Miriamele wrzuciła do niego liściaste zawiniątko, a Cadrach zepchnął na nie błoto, po czym zaraz odwrócił się i ruszył w stronę obozowego ogniska.

– Cadrachu!

Odwrócił się powoli.

– Tak, księżniczko?

Zbliżyła się do niego.

– Przykro mi z powodu tego, co powiedział ci Isgrimnur. Tam, przy gnieździe. – Uniosła dłonie bezradnie. – On był zmartwiony. Czasem gada bezmyślnie, ale dobry z niego człowiek.

Twarz Cadracha pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Jakby schował swe myśli za zasłoną, pozostawiając na zewnątrz jedynie nic nie mówiące oczy.

– Tak. Dobry człowiek. Jest ich tak niewielu.

Miriamele pokręciła głową.

– Wiem, że to żadne wytłumaczenie. Ale rozumiesz chyba, dlaczego był zły!

– Oczywiście. Rozumiem bardzo dobrze. Przecież od lat żyję z samym sobą, więc jak mógłbym nie poznać, kiedy ktoś czuje się tak samo, ktoś, kto nie wie nawet tego wszystkiego, co ja wiem?

– A niech cię – warknęła Miriamele. – Dlaczego jesteś taki? Cadrachu, ja cię nie nienawidzę! Nie czuję do ciebie wstrętu, choć wzajemnie sprawialiśmy sobie kłopoty!

Patrzył na nią długą chwilę, jakby targany sprzecznymi emocjami.

– Nie, pani. Ty traktujesz mnie lepiej, niż na to zasługuję.

Nie chciała mu zaprzeczać.

– I nie winię cię za to, że nie chciałeś pójść do gniazda!

Pokręcił wolno głową.

– Nie, moja pani. Nikt by mnie nie winił, nawet twój książę, gdyby wiedział...

– Co wiedział? – spytała energicznie. – Powiedz mi, Cadrachu! Jest coś, czego mi jeszcze nie opowiedziałeś.

Mnich zacisnął usta.

– Nie chcę o tym mówić.

– Och, Litościwa Elysio – jęknęła Miriamele zrezygnowana. Podeszła jeszcze bliżej i chwyciła dłoń mnicha. Cadrach drgnął i chciał wyrwać rękę, lecz trzymała mocno. – Posłuchaj mnie. Inni będą cię nienawidzić, jeśli sam siebie nienawidzisz. Wie o tym każde dziecko, a przecież ty jesteś uczonym człowiekiem.

– A jeśli nienawidzi się dziecko – rzucił gorzko – wtedy dziecko zacznie nienawidzić samo siebie.

Nie zrozumiała jego słów.

– Proszę, Cadrachu. Musisz wybaczać, zaczynając od siebie. Nie mogę patrzeć, jak źle traktuje się mojego przyjaciela, nawet jeśli robi to on sam.

Napięta dłoń mnicha, która cały czas próbowała się wyrwać, nagle znieruchomiała.

– Przyjaciela? – spytał.

– Przyjaciela. – Miriamele mocniej ścisnęła jego dłoń i puściła ją. Cadrach cofnął się o krok, lecz nie odchodził. – Proszę, musimy starać się być dla siebie mili, dopóki nie dotrzemy do Josui, bo inaczej zwariujemy.

– Dotrzeć do Josui... – Mnich powtórzył jej słowa nieprzytomnie. Nagle wydał się jej bardzo odległy.

– Oczywiście. – Miriamele ruszyła w stronę obozu, lecz zatrzymała się. – Cadrachu?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Co?

– Znasz czary, prawda? – Postanowiła mówić dalej, kiedy nic nie odpowiedział. – To znaczy, chciałam powiedzieć, że wiesz o nich dużo, to przynajmniej dałeś do zrozumienia. Ale myślę, że potrafisz je robić.

– O czym mówisz? – spytał poirytowany, ale w jego głosie zabrzmiał też strach. – Jeśli chodzi ci o te ogniste pociski, nie były to żadne czary. Wynaleźli je dawno temu Perdruińczycy, chociaż używali do nich innej oliwy. Walczyli nimi z morskimi chrząszczami...

– Tak, to było sprytne. Ale wiesz, że ja nie o tym mówię. Dlaczego inaczej studiowałbyś rzeczy takie jak... jak ta księga. Wiem też wszystko o Doktorze Morgenesie, więc skoro byłeś członkiem jego... jak to nazwałeś? Liga Papirusu?

Cadrach machnął dłonią zniecierpliwiony.

– Sztuka, moja pani, nie jest torbą pełną sztuczek czarnoksiężnika. To jest pewien sposób rozumienia rzeczy, poznania, jak działa świat, w taki sam sposób, jak budowniczy poznaje działanie dźwigni lub pochylni.

– Widzisz! A jednak ją znasz!

– Ja nie czynię czarów – oświadczył stanowczo. – Raz czy dwa wykorzystałem wiedzę, jaką dały mi moje studia. – Choć wydawało się, że rozmawia z Miriamele szczerze, to jednak nie chciał spojrzeć jej w oczy. – Ale nie jest to tym, co ty nazywasz magią.

– Niech i tak będzie – powiedziała Miriamele podekscytowana. – Ale pomyśl tylko, jak mógłbyś okazać się pomocny Josui. Pomyśl o tym, w jaki sposób moglibyśmy mu pomóc. Morgenes nie żyje. Kto inny może doradzić księciu w sprawie Pryratesa?

Teraz jednak Cadrach podniósł wzrok. Przypominał zapędzonego w róg kota.

– Pryratesa? – Roześmiał się cicho. – Czy myślisz, że ja mogę być pomocny przeciwko Pryratesowi? A przecież on jest najmniejszą częścią tego, co nam zagraża.

– Tym bardziej! – Miriamele ponownie wyciągnęła ramię, by wziąć go za rękę, lecz mnich cofnął dłoń. – Cadrachu, Josua potrzebuje pomocy. Jeśli

boisz się Pryratesa, to jak bardzo musisz bać się świata, jaki nastanie, jeżeli on i jego Król Burz nie zostaną pokonani?

Na dźwięk wypowiedzianego imienia w oddali rozległo się głuche dudnienie grzmotu. Miriamele rozejrzała się zdumiona, jakby bała się, że obserwuje ich ogromna postać. Kiedy odwróciła się do Cadracha, mnich brnął już przez błoto w kierunku obozu.

– Cadrachu!

– Dość już! – zawołał. Pochylił nisko głowę i zniknął w zaroślach. Słyszała, jak przeklina, idąc przez zdradzieckie błoto.

Miriamele poszła za nim do obozu, lecz Cadrach nie chciał już z nią rozmawiać. Wyrzucała sobie, że powiedziała nie to, co trzeba, kiedy już prawie do niego dotarła. Co za szalony, smutny człowiek! Lecz także denerwujący; przez ich ciągłe nieporozumienia zapomniała go spytać o myśl Pryratesa, tę, którą oplótł jej umysł tamtej nocy, i mówił coś o jej ojcu, śmierci, o sobie samym i księdze Nissesa. Dla niej wciąż było to ważne. Bała się, że może upłynąć dużo czasu, zanim znowu będą mieli okazję o tym porozmawiać.

Choć noc była ciepła, Miriamele otuliła się szczelnie kocem, kiedy położyła się do snu, lecz sen nie przychodził. Leżała długo wsłuchana w dziwną, niemilknącą nigdy pieśń bagien. Musiała też pogodzić się z obecnością pełzających i skrzydlatych istot, lecz one, choć denerwujące, były niczym wobec niespokojnych myśli.

KU JEJ MIŁEMU ZASKOCZENIU, kolejny dzień przyniósł wyraźną zmianę otoczenia. Drzewa nie były już tak gęsto ze sobą splecione, a ich łódź od czasu do czasu opuszczała duszne zarośla i wypływała na rozległe laguny, które można by porównać do luster, gdyby nie marszczona lekko wiatrem woda i las kołyszących się na wietrze wodnych traw.

Tiamak wydawał się zadowolony z ich postępów i oznajmił, że znajdują się bardzo blisko samego skraju Wranu. Jednak coraz bliższa możliwość ucieczki nie poprawiła jego zdrowia, tak że prawie przez cały ranek budził się i ponownie zapadał w niespokojny sen; czasem zrywał się gwałtownie, podskakując i krzycząc głośno, i dopiero po dłuższej chwili dochodził do siebie.

Późnym popołudniem gorączka wzrosła i Tiamak pocił się i mamrotał prawie nieustannie, uspokajając się tylko na krótkie chwile. W czasie jednego z takich momentów ulgi na tyle odzyskał przytomność, by zająć się swoim zdrowiem. Poprosił Miriamele, żeby przygotowała mu napar z ziół; pokazał, gdzie rosną, i opisał, jak wyglądają: miała to być kwitnąca trawa zwana szybkozielem i pełzająca nisko przy ziemi roślina o owalnych liściach, której nazwy nie potrafił sobie przypomnieć.

– Dodaj też trochę żółcienia – powiedział Tiamak, dysząc. Wyglądał okropnie: oczy miał czerwone, a skórę lśniącą od potu. Miriamele starała się opanować drżenie rąk, rozcierając składniki, które zebrała, na płaskim kamieniu ułożonym na jej kolanach. – Żółcień przyspieszy ściąganie – mruknął.

– Który to jest? – spytała. – Czy rośnie tutaj?

– Nie, ale to bez znaczenia. – Tiamak spróbował się uśmiechnąć, ale był to dla niego zbyt duży wysiłek, tak więc zazgrzytał zębami i jęknął cicho. – Mam trochę w mojej torbie. – Z trudem odwrócił głowę w stronę torby, w której przechowywał swój cenny dobytek.

– Cadrachu, czy przyniesiesz? – zawołała Miriamele. – Boję się, żeby nie wysypać tego, co mam tutaj.

Mnich, usadowiony u stóp Camarisa pchającego łódź bosakiem, wstał i ruszył energicznie przez łódź, omijając Isgrimnura bez słowa. Klęknął i zaczął przeglądać zawartość torby.

– Żółcień – powiedziała Miriamele.

– Wiem, pani – odpowiedział Cadrach z odrobiną szyderczego tonu. – Korzeń. Korzeń, który jest żółty. Wiem to... po tylu latach studiów... – Nagle znieruchomiał, wyczuwając coś pod palcami. Zmrużywszy oczy, wyjął z torby pakunek zawinięty w liście i związany cienkimi pnączami. Część liści zeschła i pokruszyła się. Miriamele dostrzegła coś białego w środku pakunku.

– Co to jest?

Cadrach odchylił opakowanie trochę dalej.

– Bardzo stary pergamin... – zaczął.

– Nie, ty demonie! Ty szarlatanie!

Krzyk tak przestraszył Miriamele, że upuściła zaokrąglony kamień, którego używała jako tłuczka; uderzył boleśnie w jej stopę i potoczył się na dno łodzi. Tiamak z szeroko otwartymi oczami próbował się podnieść.

– Nie dostaniesz tego! – krzyczał. W kącikach jego ust zebrały się kropelki śliny. – Wiedziałem, że będziesz chciał go zdobyć!

– On bredzi! – powiedział Isgrimnur zaniepokojony. – Powstrzymajcie go, bo przewróci łódź!

– Tiamaku, to tylko Cadrach – przemówiła Miriamele uspokajająco, lecz i ona zdumiała się wyrazem nienawiści, jaki pojawił się na twarzy Wrańczyka. – On chce tylko znaleźć żółcień.

– Wiem, kim on jest – warknął Tiamak. – I wiem też, czego chce. Bądź przeklęty, demonie-mnichu! Czekasz, aż zachoruję, żeby dostać mój pergamin! Nie dostaniesz go! On jest mój! Kupiłem go za własne pieniądze!

– Odłóż to, Cadrachu – powiedziała Miriamele. – Wtedy się uspokoi.

Mnich, początkowo zaskoczony, a teraz jakby przestraszony – co z kolei zaniepokoiło Miriamele – wsunął zawiniątko do torby i podał ją Miriamele.

– Proszę. – Jego głos znowu stał się dziwnie odległy. – Wyjmij to, czego szukacie. Mnie nie można ufać.

– Och, Cadrachu – powiedziała. – Nie bądź głupi. Tiamak jest chory. Nie wie, co mówi.

– Wiem. – Wrańczyk wciąż wpatrywał się w mnicha szeroko otwartymi oczami. – Zdradził się. Wiedziałem, że on chce to dostać.

– Na miłość Aedona – mruknął Isgrimnur rozzłoszczony. – Dajcie mu coś, żeby zasnął. Nawet ja wiem, że mnich nie chciał niczego ukraść.

– Nawet ty, Rimmersmanie? – mruknął Cadrach, lecz bez cienia zwyczajowej zaczepności. W jego głosie zabrzmiało raczej echo ogromnej bezsilności, a także coś jeszcze – jakaś szczególna nuta, której Miriamele nie potrafiła określić.

Zmartwiona i zdezorientowana zaczęła szukać żółcienia Tiamaka. Wrańczyk z włosami wilgotnymi i potarganymi wciąż patrzył groźnie na Cadracha jak rozwścieczona sójka, która odkryła wiewiórkę myszkującą wokół jej gniazda.

MIRIAMELE SĄDZIŁA, ŻE PRZYCZYNĄ AWANTURY była choroba Tiamaka, ale tamtej nocy obudziła się w obozie, który udało im się rozbić na jednym z nielicznych kawałków piaszczystego brzegu, i ujrzała Cadracha – został wyznaczony do pierwszej warty – przeszukującego rzeczy Tiamaka.

– Co ty robisz? – W kilku skokach była już przy nim. Próbowała opanować złość i zniżyła głos, by nie obudzić pozostałych. Wciąż miała wrażenie, że wyłącznie ona jest odpowiedzialna za Cadracha i że nie powinna mieszać do ich spraw pozostałych, jeśli było to możliwe.

– Nic – mruknął mnich, lecz wyraz jego twarzy przeczył słowom.

Miriamele wsunęła dłoń do torby i położyła na jego ręce, zaciśniętej na owiniętym w liście pergaminie.

– Powinnam była wiedzieć – powiedziała wściekła. – Czy to prawda, co powiedział Tiamak? Czy teraz, kiedy jest zbyt słaby, by chronić swoje rzeczy, chciałeś mu je ukraść?

Cadrach żachnął się jak ranne zwierzę.

– Nie jesteś lepsza od nich wszystkich z tym swoim gadaniem o przyjaźni! Przy pierwszej okazji zwracasz się przeciwko mnie, jak Isgrimnur!

Słowa mnicha zabolały Miriamele, ale mimo to była na niego wściekła, że zachował się tak podle po tym, jak mu zaufała.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Jesteś głupia – warknął. – Gdybym chciał mu coś ukraść, po co miałbym czekać, zamiast zrobić to, zanim uratowaliście go z gniazda? – Wyszarpnął dłoń z torby razem z dłonią Miriamele, po czym wcisnął jej w dłonie pakunek. – Masz! Byłem tylko ciekawy, co to może być, i dlaczego tak nagle zamienił się w *goirach*... dlaczego tak się zezłościł. Nigdy wcześniej tego nie widziałem; nawet nie wiedziałem, że tam jest. Zatrzymaj sobie to, księżniczko. Zachowaj przed parszywymi złodziejaszkami takimi jak ja!

– Ale mogłeś go poprosić – rzekła, zawstydzona i zła, że tak się czuje. – A nie myszkować, kiedy wszyscy śpią.

– Tak, poprosić! Widziałaś, jak milutko na mnie patrzył, gdy tylko tego dotknąłem! Czy wiesz, co to jest, moja uparta pani? Wiesz?

– Nie. I nie będę wiedziała, dopóki nie powie mi tego Tiamak. – Spojrzała niepewnie na długi i okrągły pakunek. W innych okolicznościach pierwsza byłaby za tym, żeby sprawdzić, czego tak strzeże Wrańczyk. Teraz jednak uwikłała się w sidła własnej bezstronności, a poza tym obraziła

mnicha. – Popilnuję tego i nie będę zaglądała – powiedziała. – Kiedy Tiamak poczuje się lepiej, poproszę go, aby nam pokazał.

Cadrach patrzył na nią długo. Jego twarz, oświetlona blaskiem księżyca i umazana purpurą dogasającego ogniska, wyglądała groźnie.

– Dobrze, pani – szepnął. Miała wrażenie, że jego głos stał się twardy jak lód. – Dobrze. Wszelkimi sposobami chroń to przed łapami złodziei. – Odwrócił się i odszedł do swego płaszcza, który zaciągnął daleko od ogniska, z dala od innych. – A zatem trzymaj straż, księżniczko Miriamele. Pilnuj, by nie zbliżył się żaden złoczyńca. Ja idę spać. – Położył się, znikając w mroku.

Miriamele siedziała, nasłuchując odgłosów nocy. Chociaż mnich już się nie odezwał, nieomal czuła jego czuwającą obecność, oddaloną zaledwie o kilka kroków. Jakaś żywa i bolesna rana znowu się w nim otworzyła, a jeszcze kilka tygodni temu pozostawała prawie niewidoczna. Dotąd sądziła, że cokolwiek to było, mnich wyrzucił to z siebie w tamtą noc pełną zwierzeń w zatoce Firannos. Teraz Miriamele żałowała, że się obudziła, zamiast przespać całą noc do rana, kiedy światło dnia uczyniłoby wszystko zwykłym i bezpiecznym.

WRESZCIE ZOSTAWILI WRAN ZA SOBĄ. Nie stało się to w jednej chwili; drzewa stopniowo się przerzedzały, strumienie stawały się coraz węższe, aż wreszcie Miriamele i jej towarzysze znaleźli się na otwartej przestrzeni, porośniętej tylko mniejszymi zaroślami i poprzecinanej małymi kanałami. Świat znowu sięgał od horyzontu do horyzontu. Tak już przywykła do ograniczonego widoku, że poczuła się wręcz nieswojo na widok takiej przestrzeni.

Do pewnego stopnia ostatni obszar Wranu okazał się najbardziej zdradliwy, gdyż o wiele częściej niż przedtem musieli nieść łódź. Raz

zdarzyło się, że Isgrimnur utknął po pas w piachu i wydostał się tylko dzięki pomocy Miriamele i Camarisa.

Przed nimi rozciągały się ziemie Thrithingów znad Jezior, rozległy obszar małych, porośniętych prawie wyłącznie trawą wzgórz. Rzadko widoczne drzewa rosły głównie na ich zboczach, lecz z wyjątkiem kilku sosnowych kęp większość z nich skarłowaciała i prawie nie odróżniała się od krzewów. W świetle późnego popołudnia wydawało się, że to samotny, owiany wiatrem kraj, w którym niewiele stworzeń, a już na pewno nie ludzie, chciałoby zamieszkać dobrowolnie.

Wraz z Wranem skończył się też obszar wiedzy Tiamaka, tak więc coraz trudniej było im wybierać strumienie na tyle szerokie, by przepłynęła po nich łódź. Kiedy strumień, który wybrali, okazał się po pewnym czasie zbyt wąski do żeglugi, wysiedli z łodzi i stanęli w milczeniu na brzegu, z kołnierzami podniesionymi wysoko, by ochronić się przed zimną bryzą.

– Zdaje się, że nadszedł czas, by dalej pójść pieszo. – Isgrimnur patrzył poprzez pustkowie na północ. – To jest obszar Jezior Thrithingów, więc przynajmniej będziemy mieli wodę do picia.

– Ale co z Tiamakiem? – spytała Miriamele. Napój, który przygotowała dla Wrańczyka, z pewnością mu pomógł, lecz nie czynił cudów: Tiamak mógł stanąć na nogi, lecz wciąż był słaby i bardzo blady.

Isgrimnur wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może poczekamy kilka dni, dopóki nie nabierze sił, chociaż nie chciałbym spędzić tu ani chwili dłużej, niż jest to konieczne. Albo zrobimy nosze.

Nagle Camaris pochylił się i wsunął ramiona pod pachy zdumionego Tiamaka. Następnie bez najmniejszego wysiłku podniósł go wysoko i opuścił sobie na ramiona. Wrańczyk już wcześniej zrozumiał intencje

starca, więc rozłożył szeroko nogi po obu stronach głowy Camarisa i usiadł mu na barkach.

Książę uśmiechnął się szeroko.

– Chyba mamy rozwiązanie. Nie wiem, jak długo będzie w stanie go ponieść, ale może chociaż do czasu, aż znajdziemy jakieś schronienie. Byłoby wspaniale.

Pozbierali z łodzi swoje rzeczy i spakowali do kilku worków, które zabrali z Wioski Tiamaka. Wrańczyk nie oddał swojej torby i przyciskał ją mocno do siebie wolną dłonią. Od chwili incydentu na łodzi nie wspomniał ani słowem o torbie i jej zawartości, a Miriamele uznała, że nie nadszedł jeszcze czas, by go o to zapytać.

Z większym żalem, niż się tego spodziewali, Miriamele i pozostali pożegnali się w milczeniu z łodzią i ruszyli skrajem Jezior Thrithingów.

CAMARIS OKAZAŁ SIĘ NIEZASTĄPIONY w swojej nowej roli. Chociaż zatrzymywał się na odpoczynek tylko wtedy, kiedy robili to pozostali, i szedł bardzo wolno przez pojawiające się jeszcze od czasu do czasu bagienne tereny, to jednak zachowywał takie samo tempo jak jego mniej obciążeni towarzysze i nie sprawiał wrażenia nadmiernie zmęczonego. Co pewien czas Miriamele zerkała na niego, nie mogąc wyjść z podziwu. Skoro potrafił robić takie rzeczy jako starzec, to do czego musiał być zdolny w kwiecie wieku? Zaczynała wierzyć, że wszystkie legendy o nim, nawet te najbardziej niesamowite, mogły jednak być prawdziwe.

Choć starzec wydawał się niezmordowany, Isgrimnur wymógł, że i on poniesie Wrańczyka przynajmniej przez ostatnią godzinę przed zachodem słońca. Kiedy wreszcie się zatrzymali, by rozbić obóz, książę stękał, dyszał i sprawiał wrażenie, że żałuje swojej decyzji.

Rozbili obóz jeszcze przed zapadnięciem zmroku w małej kępie niskich drzew; potem nazbierali drewna i rozpalili ognisko. Śnieg, pokrywający znaczną część Północy, tutaj najwyraźniej się nie utrzymał, lecz gdy zapadł wieczór, chłód stał się na tyle przenikliwy, że wszyscy przybliżyli się do ogniska. Miriamele cieszyła się w duchu, że nie pozbyła się swego postrzępionego i brudnego mnisiego habitu.

Zimny wiatr wył w gałęziach tuż nad ich głowami. Uczucie przytłoczenia, jakie odczuwała, podróżując przez Wran, ustąpiło miejsca poczuciu niebezpiecznego odsłonięcia, ale przynajmniej spali na suchej ziemi.

NASTĘPNEGO DNIA TIAMAK POCZUŁ SIĘ NIECO LEPIEJ i szedł sam przez cały ranek; dopiero potem Camaris znowu wziął go na plecy. Isgrimnur, wydostawszy się z bagiennego labiryntu, znowu stał się sobą: wciąż wyśpiewywał piosenki dość wątpliwej reputacji – Miriamele z radością liczyła, ile razy urywał nagle i czerwony prosił o wybaczenie – i opowiadał historie oraz wspominał zdarzenia, których był świadkiem. Cadrach natomiast pozostał tak samo milczący jak od chwili ich ucieczki z *Chmury Eadne*. Kiedy ktoś go zagadywał, odpowiadał, szczególnie uprzejmie Isgrimnurowi, jakby nigdy dotąd się nie kłócili, lecz przez resztę dni pozostawał równie milczący jak Camaris. Miriamele nie podobało się jego puste spojrzenie, lecz żadne jej słowa nie były w stanie przełamać jego milczenia i zamknięcia w sobie, tak że wreszcie się poddała.

Nisko położony gąszcz Wranu pozostał daleko za nimi: nawet ze szczytów najwyższych wzgórz widać było już tylko ciemną plamę na południowym horyzoncie. Kiedy rozbili obóz w kolejnej kępie drzew, Miriamele zaczęła się zastanawiać, jak daleko uszli i – co ważniejsze – ile im jeszcze zostało.

– Ile jeszcze musimy przejść? – spytała Isgrimnura, kiedy posilali się z jednej miski, napełnionej zupą z suszonej ryby, którą zabrali z Wioski Tiamaka.

Książę pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, pani. Pewnie ponad pięćdziesiąt mil, może sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt. Obawiam się, że czeka nas jeszcze długa droga.

Miriamele zasępiła się.

– To zajmie nam kilka tygodni.

– Co możemy zrobić? – powiedział i uśmiechnął się. – W każdym razie, księżniczko, jest o wiele lepiej, niż było dotychczas, a poza tym przybliżyliśmy się do Josui.

Miriamele się ożywiła.

– Jeśli rzeczywiście on tam jest.

– Jest tam, jest. – Isgrimnur uścisnął jej dłoń swoją olbrzymią łapą. – Najgorsze mamy za sobą.

COŚ OBUDZIŁO MIRIAMELE tuż przed świtem, gdy noc już zbladła.

Zdążyła zaledwie pozbierać myśli, kiedy ktoś chwycił ją mocno za ramiona i pociągnął do góry. Usłyszała zadowolony głos mówiący w języku nabbańskim.

– Jest tutaj. Przebrana za mnicha, tak jak mówiłeś, panie.

Kilkunastu jeźdźców, niektórzy z pochodniami, otoczyło obóz. Miriamele usłyszała jęk Isgrimnura; książę siedział na ziemi z lancą jednego z napastników na gardle.

– Miałem stać na warcie – mruknął rozgoryczony. – To była moja warta...

Mężczyzna, który podniósł Miriamele, poprowadził ją do jednego z jeźdźców – był wysoki, z obszernym kapturem na głowie, przez co jego twarz pozostawała niewidoczna w mroku. Poczuła zaciskające się na niej macki lodowatego strachu.

– Tak – odezwał się jeździec w języku Westerling, lecz z mocnym akcentem. – Tak. – Choć nie zdążył powiedzieć wiele, w jego głosie wyraźnie czuło się zadowolenie.

Złość Miriamele zmniejszyła nieco jej strach.

– Zdejmij kaptur, mój panie. Nie musisz kryć oblicza przede mną.

– Doprawdy? Chcesz zobaczyć, co mi zrobiłaś? – Odrzucił kaptur zamaszystym gestem niczym wędrowny aktor. – Czy jestem tak samo piękny, jakim mnie pamiętasz? – spytał Aspitis.

Miriamele cofnęła się, choć z tyłu przytrzymywał ją mocno żołnierz. Twarz hrabiego, kiedyś tak piękna, że po ich pierwszym spotkaniu śniła jej się po nocach, teraz była kompletną ruiną. Z nosa pozostał zaledwie skrawek ciała, przekrzywiony na jedną stronę jak źle przyklejony kawałek gliny. Lewa kość policzkowa uległa złamaniu i zapadła się do wewnątrz, dlatego w świetle pochodni wydawało się, że zamiast policzka jest tam głęboka dziura. Wokół oczu zebrała się czarna krew, a pozostałą część twarzy hrabiego pokrywała siatka blizn, jakby założył maskę. Tylko włosy Aspitisa pozostały równie piękne, równie złociste jak przedtem.

Miriamele wzięła głęboki oddech.

– Widywałam gorsze obrazy – powiedziała cicho.

Połowa ust Aspitisa wykrzywiła się w dziwnym grymasie, ukazując resztki zębów.

– Cieszę się, słodka pani, gdyż ten obraz będziesz oglądała do końca swego życia. Związać ją!

– Nie! – Był to głos Cadracha, który wynurzył się z ciemności. Chwilę później strzała zadrżała w pniu drzewa tuż przy jego twarzy.

– Jeśli jeszcze raz się poruszy, zabijcie go – rozkazał spokojnie Aspitis. – Właściwie to może powinienem pozwolić wam go zabić. On także jest odpowiedzialny za to, co stało się ze mną i moim statkiem. – Pokręcił wolno głową, najwyraźniej delektując się chwilą zwycięstwa. – Ach, jesteście takimi głupcami, księżniczko, ty i ten twój mnich. Udało wam się uciec do Wranu i co? Myśleliście, że pozwolę wam odejść? Że zapomnę, co mi zrobiliście? – Pochylił się i utkwił w niej przekrwione oczy. – Gdzie indziej moglibyście iść, jeśli nie na północ, do swoich przyjaciół? Ale zapominasz, moja pani, że to są moje ziemie. Mój zamek nad jeziorem Eadne znajduje się zaledwie kilka mil stąd. Od dawna już przeczesywałem te wzgórza i czekałem na was. Wiedziałem, że przyjdziecie.

Czuła ogarniające ją coraz większe odrętwienie.

– Jak udało ci się uciec ze statku?

Jego szyderczy uśmiech był potworny.

– Potrzebowałem dużo czasu, żeby zrozumieć, co się stało, to prawda, ale po tym, jak uciekliście, moi ludzie mnie znaleźli. Przede wszystkim kazałem zabić tę zdradliwą Niskę. Zrobiła diabelską robotę. Nie próbowała nawet uciekać. Później kilpy wróciły do morza. Myślę, że nie miałyby odwagi zaatakować bez zaklęcia Niski. Ale mieliśmy dość ludzi, żeby dowiosłować do Spenit. – Uderzył dłońmi po udach. – Dość. Teraz jesteś moja. Będziesz pytała, kiedy ci na to pozwolę.

Pełna złości i smutku na wieść o śmierci Gan Itai Miriamele rzuciła się w stronę Aspitisa, pociągając za sobą trzymającego ją żołnierza.

– Bądź przeklęty! Co z ciebie za mężczyzna! Co z ciebie za rycerz! Ty i twoje gadanie o pięćdziesięciu wielkich rodach Nabbanu!

– A ty, królewska córko, która tak łatwo mi się oddałaś, która zaciągnęłaś mnie do swojego łóżka? Czy ty jesteś tak wielka i czysta?

Zawstydziła się, że słowa te dotarły do uszu Isgrimnura i pozostałych, lecz ostrze złości nie pozwoliło jej się poddać. Splunęła na ziemię.

– Będziesz o mnie walczył? – spytała. – Przed twoimi i moimi ludźmi? Czy raczej zabierzesz mnie jak złodziejaszek, tak jak próbowałeś tego przedtem, używając kłamstw i przemocy wobec gości?

Hrabia zmrużył oczy.

– Walczyć o ciebie? Co to za bzdury? Dlaczego miałbym to robić? Jesteś moja, zdobyłem sobie ciebie.

– Nigdy nie będę twoja – zaprzeczyła gwałtownie. – Jesteś nędzniejszy niż Thrithingowie, którzy przynajmniej walczą o swoją narzeczoną.

– Walczą, walczą, co ty knujesz? – warknął Aspitis. – Kto miałby walczyć o ciebie? Jeden z tych starców? Mnich? A może ten człowieczek z bagien?

Miriamele zamknęła na moment oczy, próbując zatrzymać dodającą jej odwagi wściekłość. Aspitis był nikczemny, ale nie mogła pozwolić w tej chwili ponieść się emocjom.

– Aspitisie, ty nie jesteś mężczyzną. Każdy z tego obozu mógłby cię pokonać. – Rozejrzała się, upewniając, że słuchają jej żołnierze hrabiego. – Potrafisz kraść kobiety, ale nie jesteś mężczyzną.

Rozległ się metaliczny syk miecza z rękojeścią rybołowa, który Aspitis wysunął z pochwy. Zaraz jednak się pohamował.

– Nie, przejrzałem cię, pani. Sprytna jesteś. Próbujesz mnie tak rozwścieczyć, bym cię zabił na miejscu. – Roześmiał się. – Ach, i pomyśleć, że jest taka kobieta, która woli raczej umrzeć, niż poślubić hrabiego Eadne. – Uniósł dłoń i dotknął pokiereszowanej twarzy. – A nawet myślała tak, jeszcze zanim mi to zrobiła. – Uniósł miecz, tak że jego czubek

znalazł się tuż obok szyi Miriamele. – Nie, ja mam lepszą karę dla ciebie: małżeństwo. W moim zamku jest wieża, z której nie uciekniesz. Już po godzinie poznasz każdy jej kamień. A pomyśl, jak to będzie po kilku latach.

Miriamele uniosła głowę.

– Więc nie będziesz o mnie walczył.

Aspitis uderzył pięścią po udzie.

– Dość tego gadania!

– Słyszycie? – Miriamele zwróciła się do ludzi Aspitisa, którzy siedzieli dookoła, czekając. – Wasz pan jest tchórzem.

– Cicho! – wrzasnął Aspitis. – Bo cię wychłoszczę!

– Zgniótłby cię nawet ten starzec – powiedziała, wskazując na Camarisa. Starzec siedział owinięty kocem i przyglądał się im szeroko otwartymi oczami. Nie poruszył się od chwili przybycia Aspitisa i jego ludzi. – Isgrimnurze – zawołała. – Daj mu miecz!

– Księżniczko... – zaczął niepewnie książę. – Pozwól, że ja...

– Zrób to! Niech ten starzec posieka hrabiego na kawałki. Wtedy będą wiedzieli, dlaczego ich pan musi wykradać kobiety.

Isgrimnur, zerkając ostrożnie na żołnierzy, wyciągnął Kvalnir spod swoich rzeczy. Sprzączki pasa zadźwięczały, kiedy popchnął miecz po ziemi w stronę Camarisa. Był to jedyny dźwięk, jaki rozległ się przez dłuższą chwilę.

– Panie? – odezwał się żołnierz pilnujący Miriamele. – Co...?

– Zamknij się – warknął Aspitis, zsiadając z konia. Podszedł do Miriamele i ująwszy jej twarz w obie dłonie, wpatrywał się w nią. Potem, zanim zdążyła zrobić cokolwiek, pochylił się i pocałował ją okaleczonymi ustami. – Przed nami wiele interesujących nocy – powiedział i odwrócił się do Camarisa. – No, bierz miecz, żebym mógł cię zabić. Potem skończę też

z pozostałymi. Pozwolę wam bronić się albo uciekać, jak wolicie. – Odwrócił się do Miriamele. – Przecież jestem dżentelmenem.

Camaris wpatrywał się w miecz leżący u jego stóp, jakby zobaczył węża.

– Załóż pas – ponagliła go Miriamele.

„Miłościwa Elysio – pomyślała przerażona. – A co będzie, jeśli on nie wygra?”

– Na miłość boską, człowieku, załóż go! – zawołał Isgrimnur.

Starzec spojrzał na niego, po czym schylił się i podniósł pas. Wyciągnął Kvalnir i pozwolił pochwie opaść na ziemię. Trzymał go niedbale, jakby niechętnie.

– *Matra sa Duos* – powiedział z odrazą Aspitis. – On nawet nie wie, jak się z tym obchodzić. – Rozwiązał swój płaszcz, który zsunął się na ziemię, odsłaniając żółto-szarą opończę, po czym zrobił kilka kroków w stronę Camarisa. Starzec patrzył na niego otumaniony. – Zabiję go szybko, Miriamele – odezwał się hrabia. – To ty jesteś okrutna, każąc mu walczyć. – Miecz Aspitisa błysnął w świetle poranka, kiedy ten zadał cios w odsłoniętą szyję starca.

Kvalnir powędrował do góry niezgrabnie i miecz Aspitisa odskoczył. Hrabia chrząknął rozzłoszczony i zamierzył się ponownie. I jeszcze raz jego ostrze zadźwięczało na mieczu księcia i odskoczyło. Miriamele usłyszała pomruk zdziwienia pilnującego jej żołnierza.

– Widzicie! – zawołała, śmiejąc się głośno, choć wiele ją to kosztowało. – Tchórzliwy hrabia nie potrafi poradzić sobie nawet ze staruszkiem!

Aspitis zaatakował z większym animuszem. Camaris, który wciąż poruszał się jak we śnie, machał mieczem zwodniczo wolno. Kolejne ciosy zostały odparowane.

– Widzę, że twój starzec miał jednak kiedyś miecz w ręku. – Hrabia oddychał trochę głębiej. – To dobrze. Przynajmniej nie będę czuł się winny, że zostałem zmuszony do zabicia kogoś, kto nie potrafi się bronić.

– Atakuj go! – krzyknęła Miriamele, lecz Camaris jakby jej nie słyszał. Jednak jego ruchy stawały się coraz płynniejsze; w miarę jak budziły się w nim dawne odruchy, w miarę jak budził się z długiego snu, bronił się coraz zręczniej, blokując każde pchnięcie i roztaczając wokół siebie stalową pajęczynę, której Aspitis nie był w stanie przeciąć.

Walka rozgorzała na dobre. Nie było wątpliwości, że hrabia Eadne jest doskonałym szermierzem, ale i on szybko się zorientował, że ma przed sobą nie byle jakiego przeciwnika. Aspitis zwolnił tempo, stał się bardziej ostrożny, lecz nie wycofywał się z walki. Ogarnął go płomień dumy, a może jakiegoś głębszego, zwierzęcego instynktu. Natomiast Camaris wciąż sprawiał wrażenie, że walczy tylko dlatego, że musi. Miriamele wydawało się, że było już kilka momentów, kiedy mógł sam zaatakować, lecz nie zrobił tego, czekając, aż przeciwnik przyjdzie do niego.

Aspitis zamarkował cios, po czym zadał pchnięcie pod gardą Camarisa, lecz w jakiś sposób Kvalnir znalazł się na miejscu i odtrącił miecz hrabiego. Aspitis zadał cios w nogi starca, ale Camaris odsunął się bez widocznego pośpiechu, utrzymując równowagę. Był jak woda, wciskając się zawsze tam, gdzie była jakaś dziura, ustępował, lecz nie załamywał się, przyjmował każdy cios Aspitisa, kierując go w dół lub w górę, w jedną lub w drugą stronę. Na jego czole zalśniły kropelki potu, lecz na twarzy gościł niezmiennie ten sam wyraz spokojnego ubolewania, jakby zmuszono go do towarzyszenia dwóm przyjaciołom, którzy obrzucają się wyzwiskami.

Dla Miriamele pojedynek trwał w nieskończoność. Chociaż jej serce biło mocno, to jednak miała wrażenie, że całe wieki musi czekać na jego następne uderzenie. Obaj walczący, hrabia o pokiereszowanej twarzy

i wysoki, długonogi Camaris, wyszli poza kępę sosen i teraz krążyli wokół siebie na porośniętym trawą zboczu; ich miecze śmigały, połyskując pod szarym niebem. W pewnej chwili Aspitis zaatakował po raz kolejny, a Camaris stanął w dziurze i stracił równowagę. Hrabia natychmiast wykorzystał okazję i zadał cios w ramię starca, z którego popłynęła strużka krwi. Stojący za Miriamele Isgrimnur zaklął bezradnie.

Rana jakby rozbudziła Camarisa. Choć wciąż nie atakował zbyt agresywnie, to zaczął odparowywać pchnięcia hrabiego z większą siłą – dźwięk metalu niósł się przez równinę Thrithingów. Miriamele zaczęła się obawiać, że może to nie wystarczyć, gdyż, pomimo ogromnego hartu ducha, starzec jakby zaczął odczuwać zmęczenie. Znowu się potknął, lecz tym razem nie było tam żadnej dziury, i miecz Aspitisa zdołał ominąć Kvalnir i dotrzeć do ramienia starca, zadając kolejną ranę. Ale i hrabia także osłabł: zadawszy serię pchnięć, z których większość została zablokowana, odskoczył kilka kroków do tyłu, dysząc ciężko, i pochylił się nisko do przodu, jakby za chwilę miał upaść. Miriamele dostrzegła, że podnosi coś z ziemi.

– Camaris! Uważaj! – krzyknęła.

Aspitis cisnął garść ziemi wprost w twarz starca i natychmiast przypuścił wściekły atak, próbując zakończyć walkę jednym pchnięciem. Camaris zachwiał się do tyłu i uniósł dłoń do oczu, kiedy Aspitis zbliżał się do niego. W następnej chwili hrabia osunął się na kolana, wyjąc z bólu.

Dłuższe ramiona Camarisa pozwoliły mu sięgnąć dalej niż odległość wyciągniętego miecza Aspitisa, tak więc starzec uderzył płazem hrabiego w ramię, lecz ostrze odbiło się i poleciało do góry, przecinając czoło hrabiego. Aspitis, z twarzą zalaną krwią, dźwignął się na nogi i ruszył w stronę Camarisa, machając mieczem przed sobą. Ocierając załzawione

oczy, starzec opuścił swój miecz na głowę hrabiego. Aspitis osunął się na ziemię jak zaszlachtowany wół.

Miriamele wyrwała się z uścisku zdumionego żołnierza i popędziła w dół zbocza. Camaris opadł na ziemię, dysząc ciężko. Wyglądał na zmęczonego i nieszczęśliwego jak dziecko, które otrzymało zbyt ciężkie zadanie. Miriamele przyjrzała mu się szybko, by się upewnić, że rany nie są groźne, po czym wyjęła Kvalnir z jego biernej dłoni i klęknęła obok Aspitisa. Hrabia także oddychał, chociaż bardzo płytko. Przewróciła go na wznak, przyglądając się przez chwilę jego zakrwawionej, groteskowej twarzy... i coś się w niej zmieniło. Bańka nienawiści i strachu, która rosła w niej od chwili ucieczki z *Chmury Eadne*, nagle pękła. Teraz wydał jej się taki mały. Nie miał najmniejszego znaczenia – postrzępiona ruina – nie różnił się niczym od płaszcza pozostawionego na oparciu krzesła, którego tak potwornie się bała, będąc małą dziewczynką. Ranek się rozjaśnił i demon znowu zamienił się w pomięty płaszcz.

Na jej ustach pojawił się jakby uśmiech. Przycisnęła ostrze miecza do gardła hrabiego.

– Hej, wy tam! – zawołała do żołnierzy Aspitisa. – Czy chcecie opowiedzieć Benigarisowi, jak zginął jego najlepszy przyjaciel?

Isgrimnur wstał, odtrącając włócznię pilnującego go żołnierza.

– Chcecie? – spytała ponownie.

Żaden z ludzi Aspitisa się nie odezwał.

– W takim razie oddajcie nam łuki, wszystkie. I cztery konie.

– Ty wiedźmo, nie oddamy ci naszych koni! – zawołał jeden z żołnierzy.

– Dobrze. A zatem możecie zabrać Aspitisa z przeciętym gardłem do Benigarisa i powiedzieć mu, że dokonali tego starzec i dziewczyna, gdy

tymczasem wy biernie się przyglądaliście; jeśli w ogóle uda wam się wydostać stąd bez szwanku, gdyż będziecie musieli zabić nas wszystkich.

– Nie targuj się z nimi – rozległ się nagle głos Cadracha. – Zabij tego potwora. Zabij go!

– Cicho. – Miriamele zastanawiała się, czy mnich chce utwierdzić żołnierzy w przekonaniu, że ich panu rzeczywiście grozi niebezpieczeństwo. Jeśli tak, to był znakomitym aktorem.

Żołnierze spoglądali na siebie niepewnie. Isgrimnur wykorzystał ten moment i zaczął odbierać im łuki i strzały. Po chwili warknął na Cadracha i mnich przyszedł mu z pomocą. Niektórzy z żołnierzy przeklinali ich głośno i sprawiali wrażenie, jakby mieli zamiar stawić opór, lecz żaden nie odważył się wszcząć walki. Kiedy Isgrimnur i Cadrach założyli strzały do łuków, żołnierze zaczęli rozmawiać między sobą ze złością, lecz Miriamele wiedziała, że niebezpieczeństwo minęło.

– Cztery konie – powiedziała spokojnie. – Wyświadczę wam przysługę i pojadę na jednym koniu z człowiekiem, którego to ścierwo – dźgnęła Aspitisa – nazwało człowieczkiem z bagien. Inaczej musielibyście zostawić nam pięć koni.

Kłócąc się jeszcze przez jakiś czas, żołnierze Aspitisa oddali wreszcie cztery konie bez siodeł. Kiedy umieścili swoje bagaże na pozostałych koniach, dwóch spośród nich podniosło Aspitisa i przerzuciło go bezceremonialnie przez siodło jednego z koni. Zmuszeni do tego, by jechać po dwóch na jednym koniu, odjeżdżali mocno zawstydzeni.

– Jeśli on przeżyje – zawołała za nimi Miriamele – to przypomnijcie mu, co się stało.

Jeźdźcy szybko zniknęli między wzgórzami.

OPATRZONO RANY, ZAŁADOWANO NA KONIE skromny bagaż i nim nadeszło południe, Miriamele i jej towarzysze znowu byli w drodze. Miriamele czuła ogromną ulgę, jakby obudziła się z koszmarnego snu i ujrzała za oknem słoneczny poranek. Camaris ponownie zapadł w spokojną obojętność i wcale nie wyglądał na tego, który najbardziej ucierpiał. Cadrach nie mówił dużo, ale zachowywał się tak już od jakiegoś czasu.

Aspitis stał się cieniem w podświadomości Miriamele od chwili ucieczki z jego statku. Teraz cień ten zniknął. Miała ochotę śpiewać, jadąc przez pagórkowate tereny Thrithingów z Tiamakiem podskakującym przed nią na siodle.

Tamtego popołudnia przejechali kilkanaście mil. Kiedy zatrzymali się na noc, także i Isgrimnur był w doskonałym nastroju.

– Teraz będziemy się posuwać o wiele szybciej, księżniczko. – Jego uśmiech ginął pod gęstą brodą. Jeśli nawet nie darzył jej już takim szacunkiem, po tym, jak Aspitis wyjawił jej tajemnicę, to był na tyle uprzejmy, by tego nie okazywać. – Na Młot Drora, widziałaś Camarisa? Widziałaś go? Jak młodzieniaszek.

– Tak. – Uśmiechnęła się. Książę był dobrym człowiekiem. – Widziałam go, Isgrimnurze. Było tak jak w dawnych pieśniach, a nawet lepiej.

OBUDZIŁ JĄ RANO. Z wyrazu jego twarzy poznała, że coś się stało.

– Tiamak? – Poczuła, że robi jej się niedobrze. Tyle przeszli! Przecież Wrańczyk wracał do zdrowia.

Książę pokręcił głową.

– Nie, mnich. Zniknął.

– Cadrach? – Na to Miriamele nie była przygotowana. Potarła czoło, by się rozbudzić. – Jak to zniknął?

– Odszedł. Zabrał jednego z koni. Zostawił wiadomość. – Isgrimnur wskazał na kawałek materiału z wioski Tiamaka, który leżał na ziemi przyciśnięty kamieniem.

Miriamele próbowała określić, co czuje, lecz znalazła tylko pustkę. Podniosła kamień i rozwinęła jasny materiał. Tak, to Cadracha; znała już jego charakter pisma. Wiadomość była chyba napisana końcem spalonej gałązki.

„Co aż tak ważnego miał do powiedzenia, że tracił tyle czasu na napisanie tej wiadomości?” – zastanawiała się.

Księżniczko,

Nie mogę jechać z tobą do Josui. Ja nie jestem jednym z nich. Nie wiń siebie. Nikt nie okazał mi tyle życzliwości co ty, nawet wtedy, kiedy już wiedziałaś, kim jestem.

Obawiam się, że rzeczy mają się o wiele gorzej, niż sądzisz. Chciałbym jeszcze coś zrobić, ale nie potrafię już nikomu pomóc.

Wiadomość była niepodpisana.

– Jakie „rzeczy”? – spytał Isgrimnur poirytowany. Czytał jej przez ramię. – Co to znaczy, że „rzeczy mają się gorzej”?

Miriamele wzruszyła bezradnie ramionami.

– Kto to wie? – „Znowu sama” – pomyślała.

– Może byłem dla niego za ostry – burknął książę. – Ale to jeszcze nie powód, by uciekać i zabierać konia.

– On zawsze się bał. Odkąd go znałam. Trudno jest żyć wciąż ze strachem.

– Nie ma co ronić nad nim łez – powiedział Isgrimnur. – Mamy własne kłopoty.

– Tak – odparła Miriamele, zwijając kawałek materiału. – Nie ma co ronić łez.

20. Podróżni i posłańcy

NIE BYŁAM TUTAJ OD WIELU PÓR ROKU – powiedziała Aditu. – Tak, od wielu pór roku.

Zatrzymała się i uniosła dłoń, wykonując palcami dziwne gesty; jej gibkie ciało kołysało się jak różdżka różdżkarza. Simon przyglądał jej się z podziwem. Szybko przychodził do siebie.

– Może powinnaś zejść? – spytał.

Na ustach Aditu pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech, lecz rzuciła mu tylko przelotne spojrzenie i znowu popatrzyła w niebo. Poszła kilka kroków wzdłuż wąskiego, kruszącego się parapetu Obserwatorium.

– Dom Tańczącego Roku powinien się wstydzić – powiedziała. – Powinniśmy lepiej zadbać o to miejsce. Z żalem patrzę na tę ruinę.

Simon nie spostrzegł, by wyglądała na tak bardzo zasmuconą.

– Geloë nazywa to miejsce Obserwatorium – powiedział. – Dlaczego?

– Nie wiem. Co to jest „obserwatorium”? Nie znam tego słowa w waszym języku.

– Ojciec Strangyeard mówił, że to jest takie miejsce, jakie mieli w Nabbanie za czasów Imperatorów: wysokie budynki, z których patrzyli w gwiazdy i starali się odgadnąć, co się wydarzy.

Aditu roześmiała się, po czym uniosła jedną stopę do góry, by zdjąć z niej but, który położyła na parapecie, a potem zrobiła to samo z drugim butem; zachowywała się z takim spokojem, jakby stała na ziemi, a nie dwadzieścia łokci w górze na wąskim, kamiennym gzymsie. Po chwili

podniosła oba buty i rzuciła je na dół. Upadły, uderzając głucho, w mokrej trawie.

– W takim razie pewnie żartuje, choć w jej żarcie może być trochę prawdy. Tutaj nikt nie patrzył w gwiazdy, chyba że tak, jak w jakimś innym miejscu. To było miejsce *Rhao iye-Sama'an*: Wielkiego Świadka.

– Wielkiego Świadka? – Simon pomyślał w duchu, że Aditu mogłaby nie chodzić tak szybko po śliskim parapecie. Choćby ze względu na to, że musiał wciąż za nią podążać, jeśli chciał usłyszeć jej słowa. A poza tym... to jednak było niebezpieczne, nawet jeśli ona tak nie uważała. – Co to takiego?

– Ty, Simonie, wiesz, co to jest Świadek. Jiriki dał ci swoje lusterko. Ono jest mniejszym Świadkiem. Wciąż istnieje jeszcze wiele podobnych. Wielkich Świadków było jednak tylko kilka, a każdy związany był w pewien sposób z miejscem: Staw Trzech Głębi w Asu'a, Mówiący Ogień w Hikehikayo, Zielona Kolumna w Jhina-T'senei. Jednak większość z nich została zniszczona lub zagubiona. Tutaj, na *Sesuad'ra*, Wielkim Świadkiem był ogromny kamień znajdujący się pod ziemią, kamień zwany Okiem Ziemnego Smoka. Ziemny Smok to inna nazwa dla, trudno wytłumaczyć różnicę, Wielkiej Bestii, która gryzie swój ogon – wyjaśniła. – Wybudowaliśmy to wszystko na tym kamieniu. Właściwie to niezupełnie był to Wielki Świadek, a w rzeczywistości wcale nawet nie Świadek, lecz posiadał taką moc, że nawet mniejszy Świadek, taki jak lusterko mojego brata, okazałby się Wielkim Świadkiem, gdyby go użyć tutaj.

Simonowi kręciło się już w głowie od nazw i wyjaśnień.

– Co to znaczy, Aditu? – spytał, starając się pozostać uprzejmy. Od dłuższego już czasu, odkąd zaczął trzeźwieć, próbował zachować spokój i być elokwentny. Chciał, żeby się przekonała, że dojrzał w czasie, kiedy się nie widzieli.

– Mniejszy Świadek zaprowadzi cię na Ścieżkę Snów, ale pokaże ci tylko tych, których już znasz, albo tych, których szukasz. – Uniosła lewą nogę i odchyliła się do tyłu, wyginając plecy w łuk; rozglądała się dookoła jak dziewczynka, która wdrapała się na wysokie do pasa ogrodzenie. – Ktoś, kto zna się na tym, jak używać Wielkiego Świadka, może czasem nawet zajrzeć w inne czasy i inne miejsca.

Simon przypomniał sobie to, co zobaczył w noc czuwania, a także później, kiedy przyniósł tam lusterko Jirikiego. Zastanawiał się nad tym, przyglądając się Aditu, która odchyliła się już tak mocno, że jej palce dotknęły kamienia. Chwilę później jej nogi śmignęły w górze, a ona stanęła na rękach.

– Aditu! – odezwał się ostro, lecz zaraz opanował głos. – Czy nie powinniśmy pójść do Josui?

Ponownie się roześmiała; był to krótki dźwięk czystej, zwierzęcej przyjemności.

– Mój przestraszony Seomanie. Jak już ci mówiłam, nie ma pośpiechu. Wieści, jakie przynoszę, mogą zaczekać do jutra. Daruj swemu księciu jeszcze jedną spokojną noc. Z tego, co widziałam, potrzebuje on trochę spokoju od zmartwień i trosk. – Przeszła kilka cali na rękach. Rozpuszczone włosy owinęły białą chmurą jej twarz.

Simon nie mógł już dłużej patrzeć na to, co wyrabiała. Niepokoił się i złościł.

– Dlaczego więc przybyłaś tutaj aż z Jao e-Tinukai’i, jeśli nie jest to ważne? – Zatrzymał się. – Aditu! Dlaczego to robisz? Skoro przybyłaś, żeby porozmawiać z Josuą, to chodźmy do niego.

– Nie powiedziałam, Seomanie, że to nie jest ważne – odparła. W jej głosie zabrzmiała nuta dawnej kpiny, ale i jeszcze coś jakby złość. – Powiedziałam tylko, że może to zaczekać do jutra. I tak będzie. – Opuściła

kolana między łokcie i ustawiła stopy między dłońmi. Potem jednym ruchem uniosła ramiona i wstała, jakby szykowała się do skoku w pustkę. – A do tego czasu będę robiła to, co zechcę, bez względu na to, co myśli młody śmiertelnik.

Simon był zdumiony.

– Wysłano się, byś zaniosła wieści księciu, a ty wolisz gimnastyczne sztuczki.

Aditu przybrała chłodny wyraz twarzy.

– W rzeczywistości, gdyby to ode mnie zależało, wcale bym tutaj nie przychodziła. Pojechałabym z moim bratem do Hernystiru.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Taka była wola Likimeyi.

Zanim Simon zdążył odetchnąć zdziwiony, Aditu schyliła się, chwyciła jedną dłonią za parapet i opuściła się. Następnie znalazła występ drugą dłonią i podparła się jedną stopą, szukając kolejnej szczeliny drugą. Schodziła szybko i zwinnie, jak wiewiórka zbiegająca po drzewie.

– Wejdźmy do środka – powiedziała.

Simon roześmiał się i poczuł, że gniew go opuszcza.

Obserwatorium wydało mu się jeszcze bardziej niesamowite, kiedy stanął w nim obok Sithijki. Patrząc na ocienione schody, pnące się w górę pod ścianami okrągłego pomieszczenia, miał wrażenie, że znajduje się we wnętrzu ogromnego zwierzęcia. Płytki migotały nawet w ciemności i sprawiały wrażenie, że wciąż zmieniają wzór, w jaki je ułożono.

Poczuł się dziwnie na myśl o tym, że Aditu jest prawie tak samo młoda jak on, gdyż Sithowie wybudowali to miejsce na długo przed jej urodzeniem. Jiriki powiedział kiedyś, że on i jego siostra są „dziećmi Wygnania”, co znaczyło – zdaniem Simona – że urodzili się po upadku Asu’a, który miał miejsce pięć wieków temu, niedługi okres w pojęciu

Sithów. Ale Simon spotkał także Amerasu, a ona przybyła do Osten Ard, zanim stanęło tam cokolwiek. A jeśli jego sen w czasie nocy czuwania był prawdziwy, to starsza od niej Utuk’ku stała w tym właśnie budynku, w którym oba ludy się rozdzieliły. Niepokojąca była myśl, że istnieje coś tak długowiecznego jak Pierwsza Babka albo Królowa Nornów.

Jeszcze bardziej niepokojący był fakt, że Królowa Nornów – w przeciwieństwie do Amerasu – wciąż żyła i wciąż posiadała ogromną moc; do tego jeszcze żywiła do Simona i jego bliźnich jedynie nienawiść.

Nie lubił myśleć o tym, w ogóle nie lubił myśleć o Królowej Nornów. Łatwiej było mu zrozumieć gwałtowny gniew Inelukiego niż pajęczą cierpliwość Utuk’ku. Przerażała go myśl, że istnieje ktoś, kto potrafi czekać tysiąc lat albo i więcej i knuje, przygotowując zemstę...

– Seomanie Śnieżnowłosy, co myślisz o wojnie? – spytała nieoczekiwanie Aditu.

W drodze do Obserwatorium opowiedział jej pokrótce o tym, jak przebiegała walka.

– Walczyliśmy dzielnie – zastanawiał się przez chwilę. – To było wspaniałe zwycięstwo. Nie spodziewaliśmy się go.

– Ale co ty myślisz?

Simon milczał przez chwilę.

– To było okropne – powiedział wreszcie.

– Tak. – Aditu odeszła kilka kroków i znalazła się w miejscu, do którego nie docierało światło księżyca, dlatego prawie rozpłynęła się w mroku. – Tak, to jest okropne.

– Ale dopiero co mówiłaś, że chciałaś jechać na wojnę do Hernystiru z Jirikim!

– Nie. Powiedziałam tylko, że chciałam być z nimi, a to nie to samo, Seomanie. Mogłabym być jeszcze jednym jeźdźcem, jeszcze jednym

łukiem albo parą oczu. Jest nas mało, chociaż połączyliśmy się z Rodami Wygnania, opuszczając Jao e-Tinukai'i. Bardzo mało. I nikt z nas nie pragnął walki.

– Ale przecież wy, Sithowie, prowadziliście wojny – zaprotestował Simon. – Wiem o tym.

– Tylko w obronie własnej. I może raz albo dwa w naszej historii, tak jak obecnie moja matka i brat na Zachodzie, walczyliśmy w obronie tych, którzy nam pomogli w potrzebie. – Mówiła bardzo poważnym głosem. – Lecz nawet teraz, Seomanie, chwyciliśmy za broń tylko dlatego, że Hikeda'ya przywlekli wojnę do nas. Wtargnęli do naszego domu i zabili mego ojca i Pierwszą Babkę, a także wielu innych spośród nas. Nie sądź, że pędzimy do walki na każde machnięcie miecza. Nadeszły dziwne dni, Seomanie, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Simon poszedł przed siebie i potknął się o kamień. Schylił się, by rozetrzeć bolący palec.

– Na cholerne Drzewo! – zaklął pod nosem.

– Mało widać w ciemności, Seomanie – powiedziała Aditu. – Wybacz. Pójdziemy już.

Simon nie potrzebował niańki.

– Zaraz przestanie boleć. – Jeszcze raz potarł mocno palec u nogi. – Dlaczego Utuk'ku pomaga Inelukiemu?

Aditu wyłoniła się z zaciemnionego miejsca i ujęła jego dłoń w swoje chłodne palce. Wydawała się zatroskana.

– Porozmawiajmy na zewnątrz. – Poprowadziła Simona przez drzwi. Kiedy szedł za Aditu, jej długie włosy powiewały na wietrze, muskając jego twarz. Miały mocny, dziwny zapach, ostry, lecz nieco słodkawy, jak zapach sosnowej kory.

Kiedy ponownie znaleźli się na otwartej przestrzeni, ujęła jego drugą dłoń i spojrzała mu w oczy – w blasku księżyca jej oczy przypominały migocące bursztyny.

– Z pewnością nie jest to miejsce, by mówić o nich i myśleć zbyt dużo – rzekła zdecydowanie i zaraz uśmiechnęła się łobuzersko. – A poza tym, nie powinnam chyba zostawać sama ze śmiertelnym chłopcem w ciemnym miejscu. Ach, Seomanie Śnieżnowłosy, te opowieści, jakie opowiadają o tobie w obozie...

Rozzłościł się nieco, ale poczuł też zadowolenie.

– Kimkolwiek są ci, którzy je opowiadają, nie wiedzą, o czym mówią.

– Ale dziwna z ciebie bestia, Seomanie. – Bez słowa nachyliła się i pocałowała go; nie było to pospieszne muśnięcie, jakim obdarowała go przy pożegnaniu wiele tygodni temu, lecz gorący pocałunek, od którego przeszył go dreszcz zdumienia. Jej usta były chłodne i słodkie jak płatki porannej róży.

Zanim pomyślał, że może mieć dość, Aditu się odsunęła.

– Tamtej śmiertelniczce podobało się całowanie z tobą, Seomanie. – Na jej twarz znowu powrócił kpiący, zuchwały uśmiech. – Czy całowanie jest czymś dziwnym?

Simon pokręcił głową zagubiony.

Aditu wzięła go pod ramię i pociągnęła lekko do przodu. Podniosła buty, które wcześniej rzuciła na ziemię, i poszli przez mokrą trawę pod murem Obserwatorium. Przez chwilę nuciła jakąś melodię, zanim zaczęła mówić.

– Pytałeś, czego chce Utuk’ku?

Simon nie odpowiedział, wciąż zdumiony tym, co się przed chwilą stało.

– Tego nie potrafię ci powiedzieć, a przynajmniej nie na pewno. Ona jest najstarszym myślącym stworzeniem w całym Osten Ard, Seomanie, ponaddwukrotnie starsza od następnej najstarszej istoty. Nikt, może poza Pierwszą Babką, nie jest w stanie pojąć jej przebiegłego postępowania. Jeśli jednak miałabym zgadywać, to powiedziałabym, że ona pragnie Niebytu.

– Co to znaczy? – Simon zaczynał się już zastanawiać, czy rzeczywiście wytrzeźwiał, gdyż świat wirował wolno, a on chciał się położyć i zasnąć.

– Gdyby pragnęła śmierci – powiedziała Aditu – to odeszłaby w zapomnienie tylko ona, byłaby to tylko jej śmierć. Ona jest zmęczona życiem, Seomanie, ale w końcu jest najstarsza. Nie zapominaj o tym. Utuk'ku żyje, odkąd tylko rozbrzmiewały pieśni w Osten Ard, a nawet dłużej. Tylko ona z żyjących istot widziała ostatni dom, który zrodził nasz rodzaj. Myślę, że ona nie może znieść myśli, iż inni będą żyli dalej, kiedy ona odejdzie. Nie może zniszczyć wszystkiego, choć pewnie pragnie tego bardzo, ale może ma nadzieję przyczynić się do największego z możliwych kataklizmów i tym samym pociągnąć za sobą w zapomnienie tyle istnień, ile tylko możliwe.

Simon zatrzymał się, przerażony tym, co usłyszał.

– To straszne!

Aditu wykonała dziwny gest, który, zdaje się, miał być wzruszeniem ramion.

– Utuk'ku *jest* straszna. Ona jest szalona, Seomanie, choć może jest to szaleństwo tak misternie tkane jak najwspanialszy *juya'ha*. Była chyba najmądrzejsza spośród Urodzonych w Ogrodzie.

Księżyc uwolnił się z plątaniny chmur; wisiał teraz nad ich głowami jak kosa żniwiarza. Simon chciał pójść spać – głowa bardzo mu ciążyła – ale z drugiej strony nie chciał stracić takiej szansy. Tak rzadko można było

spotkać Sithę skorego do odpowiedzi na pytania, i co ważniejsze, odpowiadającego wprost, bez zwyczajowej tajemniczości.

– Dlaczego Nornowie poszli na Północ?

Aditu schyliła się i podniosła gałązkę poskręcanej winorośli o białych kwiatach i ciemnych liściach. Wplotła ją sobie we włosy, tak że zawisła tuż przy jej twarzy.

– Obie rodziny, Zida'ya i Hikeda'ya, pokłóciły się. Dotyczyło to śmiertelników. Ród Utuk'ku uważał was za zwierzęta, a nawet za coś gorszego od zwierząt, gdyż my, z Ogrodu, nie zabijamy, jeśli da się tego uniknąć. Dzieci Świtu nie zgadzały się z Dziećmi Chmury. Chodziło też o inne rzeczy. – Spojrzała na księżyc. – Potem umarli Nenais'u i Drukhi. Tamtego dnia padł cień, który pozostał już na zawsze.

Dopiero co cieszył się, że Aditu jest tak szczera i otwarta, a już poczuł, że coraz mniej ją rozumie... Nie próbował jednak zastanawiać się zbyt długo nad jej niezbyt jasną odpowiedzią. Nie miał ochoty poznawać nowych imion, wystarczyło to, co zdążyła mu już powiedzieć – w każdym razie chodziło mu o coś innego, kiedy zadawał to pytanie.

– Kiedy obie rodziny rozstawały się – powiedział ożywiony – miało to miejsce tutaj, prawda? Wszyscy Sithowie przyszli do Ogrodu Ognia z pochodniami. A potem w Domu Rozstania zebrali się wokół czegoś, co wydawało się zrobione z ognia, i zawarli umowę.

Aditu przeniosła na niego swoje kocie spojrzenie.

– Kto ci to opowiedział?

– Ja to widziałem! – Wyraz jej twarzy upewnił go, że nie mylił się wcześniej. – Widziałem to w czasie nocy czuwania. Kiedy pasowano mnie na rycerza. – Roześmiał się, słysząc swoje słowa. Zmęczenie dawało o sobie znać.

– Widziałeś? – Aditu chwyciła go za rękę. – Opowiedz mi, Seomanie. Przespacerujmy się jeszcze trochę.

Opisał tamtą wizję, a potem opowiedział jej też, co zdarzyło się później, kiedy użył lusterka Jirikiego.

– To, co wydarzyło się wtedy, kiedy przyniosłeś tutaj Łuskę, świadczy o tym, że *Rhao iye-Sama'an* posiada wciąż moc – powiedziała wolno. – Ale mój brat miał rację, przestrzegając cię przed Ścieżką Snów. Rzeczywiście stała się bardzo niebezpieczna. Gdyby nie to, wzięłabym lusterko i spróbowałabym odnaleźć Jirikiego, by opowiedzieć mu o tym, co mi powiedziałeś.

– Po co?

Potrząsnęła głową. Jej włosy zafalowały jak płomień.

– Z powodu tego, co widziałeś w czasie czuwania. To jest straszne. Żeby ujrzeć coś z Dawnych Dni bez Świadka... – Wykonała palcami skomplikowany gest. – Albo jest jeszcze w tobie coś, czego Amerasu nie dostrzegła, choć nie chce mi się wierzyć, by Pierwsza Babka coś przeoczyła, nawet w tak trudnych chwilach, albo dzieją się rzeczy, które wykraczają poza nasze podejrzenia. To mnie bardzo niepokoi. Żeby Oko Ziemnego Smoka pokazało wizję z przeszłości w taki sposób, bez wezwania... – Westchnęła głęboko.

Simon nie odrywał od niej wzroku. Rzeczywiście wyglądała na zmartwioną – coś takiego wydawało mu się dotąd niemożliwe.

– Może to przez smoczą krew – odezwał się nieśmiało. Wskazał na bliznę na swej twarzy i pukiel jasnych włosów. – Jiriki powiedział, że zostałem w jakiś sposób naznaczony.

– Może – odparła, ale nie wydawała się przekonana.

Simon poczuł się trochę urażony. A więc nie uważa, że jest kimś wyjątkowym?

Wreszcie zostawili za sobą potłuczone płyty Ogrodu Ognia i zbliżali się do miasta namiotów. Większość uczestników zabawy poszła już spać; płonęło jeszcze tylko kilka ognisk. Z cienia dochodziły śmiechy i rozmowy tych, którzy pozostali.

– Chodź, odpoczniesz, Seomanie – powiedziała Aditu. – Ledwie trzymasz się na nogach.

Najpierw chciał zaprotestować, ale rzeczywiście tak było.

– Gdzie będziesz spała?

Spojrzała na niego szczerze zdumiona.

– Spała? Nie, Śnieżnowłosy, tej nocy będę spacerowała. Mam wiele do przemyślenia. A poza tym prawie od wieku nie oglądałam blasku księżyca na pokruszonych kamieniach *Sesuad'ra*. – Wyciągnęła rękę i uścisnęła jego dłoń. – Śpij dobrze. Rano pójdziemy do Josui. – Odwróciła się i odeszła cicho jak mgła. Po chwili była już tylko ledwie widocznym cieniem.

Simon potarł twarz dłońmi. Tyle miał do przemyślenia. Cóż to była za noc! Ziewnął i ruszył w stronę namiotów Nowego Gadrinsett.

STAŁO SIĘ COŚ DZIWNEGO, JOSUO.

W wejściu do jego namiotu stała Geloë, z wyjątkowo niepewnym wyrazem twarzy.

– Wejdź, proszę. – Książę zwrócił się do Vorzhevy, która siedziała w łóżku, przykryta kilkoma kocami: – A może wolisz, żebyśmy poszli sobie gdzie indziej? – spytał żony.

Vorzheva pokręciła przecząco głową.

– Nie czuję się dziś zbyt dobrze, ale skoro już muszę zostać w łóżku, to niech przynajmniej poleżę w czyimś towarzystwie.

– Ale może wieści, jakie przynosi *valada* Geloë, zbytnio cię zmartwią – odpowiedział książę z niepokojem. – Czy moja żona może być przy naszej rozmowie?

Geloë uśmiechnęła się kpiąco.

– Kobieta z dzieckiem w łonie to nie ktoś umierający ze starości, książę Josuo. Kobiety są silne: rodzenie dzieci to ciężka praca. A poza tym moje nowiny nie przestraszą nikogo... nawet ciebie. – Uśmiechnęła się pogodniej, dając do zrozumienia, że żartuje.

Josua pokiwał głową.

– Chyba na to zasłużyłem. – Jego uśmiech był ledwie widoczny. – Cóż takiego dziwnego się wydarzyło? Wejdź, proszę.

Geloë zrzuciła z ramion mokry płaszcz i zostawiła go tuż za wejściem. O dach namiotu uderzały krople deszczu, który zaczął padać niedawno. Geloë przesunęła dłonią po swych mokrych, krótko przyciętych włosach i usiadła na jednym ze stołków, jakie Freosel zbił dla Josui.

– Właśnie otrzymałam wiadomość.

– Od kogo?

– Nie wiem. Przyniósł ją jeden z ptaków Dinivana, ale list nie jest napisany jego ręką. – Sięgnęła pod kurtkę i wyjęła pierzastą kulę, która cicho zapiszczała; między palcami błysnęło czarne oko. – Oto, co przyniósł. – W dłoni trzymała kawałek ceraty. Rozwinęła ją ostrożnie i z jej środka wyjęła skrawek pergaminu, który rozwinęła zręcznie, nie niepokojąc ptaka.

Książę Josuo

Pewne znaki wskazują na to, że powinieneś zacząć myśleć o Nabbanie. Pewne usta szepnęły mi, że możesz znaleźć tam większe poparcie, niż ci się wydaje. Zimorodki stały się zbyt zachłanne. W ciągu dwóch tygodni

przybędzie posłaniec, który powie więcej niż ta krótka wiadomość. Nie rób nic, dopóki on nie przybędzie; to dla twojego dobra.

Geloë podniosła wzrok, skończywszy czytać; w jej żółtych oczach czaiło się zmartwienie.

– List podpisany jest tylko słowem „Przyjaciel”, napisanym starym, runicznym pismem Nabbanu. Napisał to ktoś, kto jest Tym, Który Nosi Zwój albo kimś równie uczonym. Albo ktoś, kto chce, żebyśmy uwierzyli, że napisał to członek Ligi.

Josua uścisnął dłoń Vorzhevy, zanim wstał.

– Czy mogę zobaczyć? – Geloë podała mu zwitek, a on dokładnie go obejrzał i oddał jej. – Nie poznaję charakteru pisma. – Zrobił kilka kroków w kierunku przeciwległej ściany, po czym zatrzymał się i poszedł w stronę wejścia. – Autor listu wyraźnie sugeruje, że w Nabbanie panuje niepokój, że ród Benidrivinów nie cieszy się popularnością, jak to już kiedyś bywało: nic dziwnego, skoro Benigaris siedzi w siodle, a cugle trzyma Nessalanta. Ale czego ta osoba może chcieć ode mnie? Mówisz, że przyniósł to jeden z ptaków Dinivana?

– Tak. I to właśnie najbardziej mnie niepokoi. – Geloë chciała coś jeszcze powiedzieć, gdy z wejścia dobiegło nieśmiałe kaszlnięcie.

Stał tam ojciec Strangyeard; deszcz przykleił mu do głowy ostatnie kosmyki jego rudych włosów.

– Wybacz, książę Josuo. – Na widok Vorzhevy zaczerwienił się straszliwie. – Lady Vorzheva. Mam nadzieję, że wybaczysz mi moje... najście.

– Wejdź, Strangyeardzie. – Książę skinął na duchownego, jakby przywoływał płochliwego kota. Vorzheva uśmiechem wyraziła swoje zadowolenie z wizyty duchownego.

– Poprosiłam, by przyszedł, Josuo – powiedziała Geloë. – Skoro był to ptak Dinivana, rozumiesz mnie chyba.

– Oczywiście. – Josua wskazał archiwiście jeden z wolnych stołków. – Opowiedz mi o ptakach. Pamiętam, co mówiłeś o samym Dinivanie, choć trudno mi uwierzyć, że sekretarz Lektora należy do takiego towarzystwa.

Geloë popatrzyła na niego nieco zniecierpliwiona.

– Wielu byłoby dumnych, należąc do Ligi Pergaminu. Nic, co Dinivan robił w jej imieniu, nie zaszkodziłoby jego zwierzchnikowi. – Przymknęła oczy, gdyż przyszła jej do głowy pewna myśl. – Ale Lektor nie żyje, jeśli pogłoski, które słyszeliśmy, są prawdziwe. Podobno zabili go wyznawcy Króla Burz.

– Słyszałem o Tancerzach Ognia – powiedział Josua. – Ci, którzy uciekli do nas z Południa, prawie o niczym innym nie mówią.

– Niepokoi mnie jednak fakt, że od chwili tego wydarzenia nie miałam wiadomości od Dinivana – mówiła dalej Geloë. – Jeśli nie on, to kto może mieć jego ptaki? A jeśli przeżył atak na Lektora: słyszałam, że był wielki pożar w Sancellan Aedonitis, to dlaczego sam nie pisze?

– Może został ranny albo poparzony – wtrącił nieśmiało Strangyeard. – Może kazał komuś napisać w swoim imieniu.

– Możliwe – zgodziła się Geloë. – Ale wtedy podpisałby pewnie list swoim imieniem; chyba że tak bardzo boi się odkrycia, że nie chciał ryzykować wysłania wiadomości ze swoim imieniem.

– A zatem musimy przyjąć – odezwał się Josua – że skoro nie jest to list od Dinivana, to musi to być jakiś podstęp. Może wysłali go odpowiedzialni za śmierć Lektora.

Vorzheva uniosła się nieco w łóżku.

– A może ani jedno, ani drugie. Ktoś, kto znalazł ptaki Dinivana, wysłał je we własnym imieniu.

Geloë przytaknęła jej wolno.

– Prawda. Ale musiałby to być ktoś, kto zna przyjaciół Dinivana i domyślał się, gdzie mogą przebywać. Wiadomość skierowana jest do twojego męża, jakby osoba ta wiedziała, że list dotrze bezpośrednio do niego.

Josua znowu zaczął spacerować.

– Myślałem o Nabbanie – mruknął. – Tak, wiele razy. Północ jest spustoszona: nie sądzę, by Isorn i pozostali zebrali tam dużą siłę. Zima i wojna rozgoniły ludzi. Ale gdyby udało się wyprowadzić Benigarisa z Nabbanu... – Zatrzymał się ze wzrokiem utkwionym w dach namiotu. – Wtedy mielibyśmy pokaźną armię i statki... Wtedy mielibyśmy realną szansę stawienia czoła mojemu bratu. – Zmarszczył brwi. – Lecz kto wie, czy wiadomość jest prawdziwa? Nie lubię, kiedy ktoś stosuje podobną politykę. – Uderzył dłonią po udzie. – Aedonie! Dlaczego nic nie może być proste?

Geloë poruszyła się na stołku. Patrzyła na niego wyjątkowo współczująco.

– Ponieważ nic nie jest proste, książę Josuo.

– Lecz bez względu na to, czy jest to prawda, czy kłamstwo – wtrąciła Vorzheva – list mówi, że przybędzie posłaniec. Wtedy dowiemy się więcej.

– Być może – powiedział Josua. – Jeśli nie jest to spisek, by utrzymać nas w niepewności, opóźnić nasze działania.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne, jeśli wolno mi tak powiedzieć – zapiszczał Strangyeard. – Który z naszych wrogów jest tak słaby, żeby uciekać się do równie podłych sposobów...? – Urwał, spoglądając na Josuę. – To znaczy...

– To brzmi rozsądnie, Strangyeardzie – zgodziła się Geloë. – To nędzna gra. Myślę, że Elias i jego... sprzymierzeniec są poza podejrzeniami.

– A zatem nie powinieneś spieszyć się ze zwołaniem Rady, Josuo. – W głosie Vorzhevy zabrzmiała nuta zwycięstwa. – Nie jest dobrze snuć plany, dopóki nie przekonacie się, czy wiadomość jest prawdziwa, czy nie. Musicie zaczekać na posłańca.

Książę odwrócił się do niej; małżonkowie wymienili między sobą spojrzenia. Pozostali czekali w milczeniu, nie wiedząc, co mogło ono oznaczać. Wreszcie Josua skinął głową.

– Chyba masz rację – powiedział. – List mówi o dwóch tygodniach. A zatem zwołam Radę za dwa tygodnie.

Vorzheva uśmiechnęła się zadowolona.

– Słusznie, Książę Josuo – powiedziała Geloë. – Ale wciąż jeszcze pozostaje wiele do... – Urwała, gdyż w wejściu pojawił się Simon. Kiedy zatrzymał się niezdecydowany, Josua skinął na niego niecierpliwie. – Wejdź, Simonie, wejdź. Rozmawiamy o dziwnej wiadomości i o jeszcze dziwniejszym posłańcu.

– Posłańcu? – spytał Simon.

– Otrzymaliśmy list, chyba z Nabbanu. Czy potrzeba ci czegoś?

Simon przełknął ślinę.

– Może przyjdę później.

– Zapewniam cię – odezwał się Josua – że o cokolwiek mnie poprosisz, okaże się to prostsze od tajemnicy, którą próbujemy rozwikłać.

Simon wciąż nie wiedział, co zrobić.

– No cóż... – powiedział, wchodząc do środka. Tuż za nim weszła inna postać.

– Błogosławiona Elysio. Matko naszego Odkupiciela – przemówił Strangyeard dziwnie zduszonym głosem.

– Nie. Moja matka nazwała mnie Aditu – odparła towarzyszka Simona. Choć mówiła płynnie w języku Westerling, to jednak słychać było dziwny akcent. Nie wiadomo, czy słowa gościa miały być żartem, czy nie.

Była gibka jak brzoza, o głodnych, złocistych oczach i gęstych, śnieżnobiałych włosach, związanych szarą opaską. Ubrana cała na biało, wydawała się jarzyć w ocienionym namiocie, jakby do jego wnętrza wtoczył się kawałek zimowego słońca.

– Aditu jest siostrą mojego przyjaciela Jirikiego. Jest Sithijką – dodał Simon bez potrzeby.

– Na Drzewo – szepnął Josua. – Na święte Drzewo.

Śmiech Aditu był płynnym, melodyjnym dźwiękiem.

– Czy twoje słowa są zaklęciem, które ma mnie przepędzić? Jeśli tak, to nie są chyba skuteczne.

Wstała Geloë. Pod maską zmarszczek po jej twarzy przemykały różne emocje.

– Witaj, Dziecko Świtu – powiedziała wolno. – Jestem Geloë.

Aditu uśmiechnęła się łagodnie.

– Wiem, kim jesteś. Mówiła o tobie Pierwsza Babka.

Geloë uniosła dłoń, jakby chciała dotknąć ducha wspomnianej osoby.

– Amerasu była mi bardzo droga, chociaż nigdy się nie spotkałyśmy. Kiedy Simon powiedział mi, co się stało... – Niespodziewanie w jej oczach pojawiły się łzy. – Będzie nam brakowało twojej Pierwszej Babki.

Aditu pochyliła głowę na moment.

– Rzeczywiście, brakuje jej nam. Cały świat ją opłakuje.

Josua wysunął się do przodu.

– Wybacz moją nieuprzejmość, Aditu – powiedział, wymawiając starannie jej imię. – Jestem Josua. Jest też tutaj moja żona Vorzheva, a także

ojciec Strangyeard. – Przesunął dłonią po oczach. – Czy możemy cię czymś poczęstować?

Aditu skłoniła się.

– Dziękuję, ale napiłam się ze źródła tuż przed świtem; nie jestem też głodna. Przynoszę wiadomość od mojej matki Likimeyi, Pani Domu Tańczącego Roku. Wiadomość, która może was zainteresować.

– Z pewnością. – Josua nie potrafił ukryć zainteresowania przybyszem i wpatrywał się w nią zaciekawiony. Także i Vorzheva przyglądała się Aditu, lecz jej wyraz twarzy był inny. – Z pewnością – powtórzył. – Usiądź, proszę.

Sithijka osunęła się na podłogę jednym ruchem, miękko jak puch.

– Czy na pewno jest to odpowiednia chwila, książę Josuo? – W jej melodyjnym głosie zabrzmiała nuta rozbawienia. – Nie wyglądasz dobrze.

– Co za przedziwny ranek – odparł książę.

TAK WIĘC POJECHALI JUŻ DO HERNYSTIRU? – Josua wymawiał słowa powoli. – Niespodziewane wieści.

– Nie wyglądasz na zadowolonego – zauważyła Aditu.

– Mieliśmy nadzieję, że Sithowie pomogą nam, choć nie spodziewaliśmy się tego, zdając sobie sprawę, że nie zasługujemy na pomoc. – Skrzywił się. – Wiem, że nie mieliście powodów, by darzyć przyjaźnią mego ojca, a tym samym mnie i moich ludzi. Ale cieszę się, że Hernystirczycy usłyszą róg Sithów. Żałowałem, że nie mogę bardziej pomóc ludowi Llutha.

Aditu wzniosła ręce wysoko ponad głową, a jej gest wydał się dziwnie niestosowny w czasie tak poważnej dyskusji.

– Tak jak i my. Ale my dawno przestaliśmy mieszać się do poczynań śmiertelników, nawet Hernystirczyków. Może i nie zmienialibyśmy naszego postępowania, nawet narażając swój honor, gdyby nie to, że bieg wydarzeń pokazał, iż wojna Hernystirczyków jest także i naszą wojną. – Spojrzała na księcia. – Jak i twoją. Dlatego kiedy Hernystirczycy odzyskają wolność, Zida'ya pojadą do Naglimundu.

– Tak jak mówiłaś. – Josua rozejrzał się po zebranych, jakby chciał się upewnić, że i oni usłyszeli to samo. – Ale nie powiedziałaś dlaczego.

– Z wielu powodów. Ponieważ znajduje się ono zbyt blisko naszego lasu i naszych ziem. Ponieważ Hikeda'ya nie mogą mieć żadnej twierdzy na południe od Nakkigi. Istnieją też inne powody, o których nie powinnam teraz wspominać.

– Lecz jeśli pogłoski są prawdziwe – powiedział Josua – to Nornowie są już w Hayholt.

Aditu przekrzywiła głowę na jedną stronę.

– Niewielu, głównie po to, by dopilnować umowy twojego brata z Inelukim. Ale, książę Josuo, musisz pamiętać, że między Nornami a ich nie zmarłym panem istnieje tak wielka różnica jak między twoim zamkiem a zamkiem twojego brata. Ineluki i jego Czerwona Dłoń nie mogą przybyć do Asu'a, który wy nazywacie Hayholt. Dlatego zadaniem Zida'ya jest się upewnić, że nie znajdą oni domu także w Naglimundzie ani nigdzie na południe od Frostmarch.

– Dlaczego... dlaczego on nie może przyjść do Hayholt? – spytał Simon.

– Zabrzmi to ironicznie, ale możecie za to podziękować okrutnemu Fingilowi i pozostałym śmiertelnym królom, którzy rządzili w Hayholt – odpowiedziała Aditu. – Przerazili się, gdy zobaczyli, co Ineluki zrobił w ostatnich chwilach swego życia. Nie śniło im się nawet, że ktokolwiek, nawet Sithowie, może posiadać taką moc. Tak więc zanim śmiertelnicy

osiedlili się w naszym domu, otoczyli go modlitwami i zaklęciami: jeśli jest między nimi jakaś różnica, każdy kamień tego, co pozostało z zamku. Postępowali podobnie, odbudowując go, tak że stworzyli wokół niego tak silną osłonę, że Ineluki nie może tam wejść, chyba że Czas się skończy i nic już nie będzie miało znaczenia. – Jej twarz napięła się. – Ale on wciąż posiada ogromną moc. Może posłać swoje żyjące sługi, które pomogą mu zapanować nad twoim bratem, a poprzez niego nad ludzkością.

– Więc twoim zdaniem takie są plany Inelukiego? – spytała Geloë. – Czy tak myślała Amerasu?

– Nigdy nie będziemy wiedzieli na pewno. Umarła, zanim zdążyła podzielić się owocami swych rozmyślań, o czym pewnie opowiedział wam Simon. Jeden z Czerwonej Dłoni został posłany do Jao e-Tinukai'i, by ją uciszyć; z pewnością kosztowało to wiele sił nawet kogoś takiego jak Utuk'ku i Nie Żyjącego, zamieszkujących w Nakkiga, co świadczy o tym, jak bardzo obawiali się mądrości Pierwszej Babki. – Szybko skrzyżowała dłonie na piersi i dotknęła palcami oczu. – Tak więc Rody Wygnania zebrały się w Jao e-Tinukai'i, by zastanowić się nad tym, co się stało, i omówić plan wojny. Wszyscy Zida'ya zgodzili się co do tego, że Ineluki zamierza wykorzystać twojego brata i poprzez niego zapanować nad ludzkością. – Aditu nachyliła się do kosza z ogniem i podniosła tlącą się gałązkę. Uniosła ją przed siebie, tak że blask padł na jej twarz. – W pewnym sensie Ineluki żyje, lecz nie może w pełni powrócić do tego świata, a w miejscu, którego pragnie najbardziej, nie posiada bezpośredniej władzy. – Aditu spojrzała po zebranych. – Ale zrobi wszystko, co w jego mocy, by dostać w swoje ręce parweniuszowskich śmiertelników. A jeśli przy okazji uda mu się poniżyć swoją rodzinę i swój ród, to tym bardziej będzie się cieszył. – Aditu wydała odgłos, który przypominał nieco westchnięcie, i wrzuciła gałązkę z powrotem do ognia. – Może i dobrze się

dzieje, że większość bohaterów, którzy umierają dla innych ludzi, nie może powrócić, by zobaczyć, co ludzie robią z ciężko okupionym życiem i wolnością.

Nastąpiła cisza przerwana dopiero przez Josuę.

– Czy Simon powiedział ci, że pochowaliśmy naszych poległych towarzyszy na *Sesuad'ra*?

Aditu skinęła głową.

– Książę Josuo, śmierć nie jest nam obca. Jesteśmy nieśmiertelni, lecz tylko w tym sensie, że możemy umrzeć jedynie z własnej woli albo z woli kogoś innego. Może właśnie dlatego bardziej jesteśmy wplątani w śmiertelną sieć. To, że żyjemy znacznie dłużej od was, nie znaczy wcale, że chętnie rozstajemy się ze swoim życiem. – Na jej ustach pojawił się chłodny uśmiech. – Tak więc śmierć znamy dobrze. Twoi ludzie dzielnie walczyli, broniąc się. Z dumą dzielimy to miejsce z tymi, którzy zginęli.

– A zatem chciałbym pokazać ci coś jeszcze. – Josua wstał i wyciągnął ramię w stronę Sithijki.

Przyglądająca się im uważnie Vorzheva nie wyglądała na zadowoloną. Aditu wstała i poszła za księciem w kierunku wejścia.

– Pochowaliśmy mojego przyjaciela, najdroższego przyjaciela, w ogrodzie za Domem Rozstania – powiedział. – Simonie, może pójdziesz z nami? A także Geloë i Strangyeard, jeśli nie macie nic przeciwko temu – dodał pośpiesznie.

– Zostanę i porozmawiam z Vorzhevą – odparła czarownica. – Aditu, chętnie porozmawiam z tobą później.

– Oczywiście.

– Ja chyba pójdę – odezwał się Strangyeard tonem nieomal przepraszającym. – Tam jest tak ładnie.

– *Sesu-d’asu* jest teraz smutnym miejscem – powiedziała Aditu. – Kiedyś był piękny.

Stali przed rozległym Domem Rozstania; jego kruszące się ściany migotały lekko w blasku słońca.

– Myślę, że wciąż jest piękny – powiedział książę.

– Zgadzam się – zawtórował mu Simon. – Jest jak stara kobieta, która kiedyś była piękną dziewczyną i której piękno wciąż widać na jej twarzy.

Aditu uśmiechnęła się.

– Mój Seomanie – powiedziała. – Widzę, że przebywając wśród nas, stałeś się podobny do Zida’ya. Jeszcze trochę, a zaczniesz układać wiersze i szeptać je mknącemu wiatrowi.

Przeszli przez rozległą salę do zniszczonego ogrodu, gdzie kamienny kopiec znaczył grób Deornotha. Aditu stała przez chwilę w milczeniu, po czym dotknęła dłonią najwyższego kamienia.

– To dobre, spokojne miejsce. – Jej wzrok stał się odległy, jakby oczyma wyobraźni oglądała coś dalekiego. – Spośród wszystkich pieśni Zida’ya – szepnęła – najbliższe naszym sercom są te, które mówią o utracie.

– Może dzieje się tak dlatego, że nie znamy prawdziwej wartości czegoś, dopóki tego nie utracimy – powiedział Josua. Spuścił głowę.

Trawa między kamieniami zafalowała na wietrze.

ZE WSZYSTKICH ŚMIERTELNIKÓW żyjących na *Sesuad’ra* najbardziej zaprzyjaźniła się z Aditu Vorzheva – jeśli śmiertelnik potrafi rzeczywiście zaprzyjaźnić się z nieśmiertelnikiem. Nawet Simon, który mieszkał wśród Sithów, a jednego nawet uratował, nie był pewien, czy może któregoś z nich zaliczyć do grona przyjaciół.

Początkowo dość chłodna wobec Sithijki, Vorzheva wydawała się przekonać do niej, być może przez fakt, że w jej naturze było coś obcego, że Aditu *była* obca, jedyna spośród swego ludu w tym miejscu, podobnie jak ona sama, kiedy znalazła się w Naglimundzie. Tak więc żona księcia polubiła Sithijkę i wręcz domagała się jej towarzystwa. Aditu także wydawała się odwzajemniać okazywaną przyjaźń; kiedy nie przebywała z Simonem albo Geloë, można ją było znaleźć u boku Vorzhevy, gdy razem spacerowały wśród namiotów, albo siedzącą przy niej w namiocie, kiedy żona księcia czuła się chora lub zmęczona. Dotychczasowa towarzyszka Vorzhevy, księżna Gutrun, ze wszystkich sił starała się być uprzejma wobec dziwnego gościa, lecz coś w jej aedonickiej naturze nie pozwalało księżnej czuć się swobodnie w towarzystwie Aditu. Kiedy Vorzheva i Aditu śmiały się i rozmawiały, księżna przyglądała się Sithijce podejrzliwie, jakby była ona niebezpiecznym zwierzęciem, które rzekomo ma być oswojone.

Aditu zaś wyrażała wciąż swoją fascynację dzieckiem, które Vorzheva nosiła w swoim łonie. Wyjaśniła, że wśród Zida'ya rodziło się niewiele dzieci, szczególnie w tych dniach. Ostatnie urodziło się ponad wiek temu i teraz było tak samo dorosłe jak najstarsze z Dzieci Świtu. Aditu zainteresowała się też Leleth, chociaż dziewczynka nie komunikowała się z nią więcej niż z pozostałymi. Jednak pozwalała Aditu zabierać się na spacery, a czasem nawet nosić się na rękach, na co nie pozwalała prawie nikomu.

Aditu interesowała się niektórymi spośród śmiertelników, a większość mieszkańców *Sesuad'ra* była nią zafascynowana, ale i przestraszona. Opowieść Ulki – nawet jej prawdziwa wersja była dość niesamowita – rozrastała się przekazywana z ust do ust, aż wreszcie okazało się, że gdy pojawiła się Sithijka, błysnęło światło i buchnął dym; a później – głosiła wieść – rozwścieczona flirtem śmiertelnej dziewczyny z jej ukochanym

zagroziła, że zamieni Ulcę w kamień. Ulca szybko stała się bohaterką wszystkich dziewcząt na *Sesuad'ra*, Aditu zaś, rzadko widywana przez większość mieszkańców wzgórza, była przedmiotem niezliczonych plotek i przesądnych szeptów.

Ku swemu utrapieniu także i Simon nie przestał być tematem plotek i domysłów małej społeczności. Jeremias, który często odwiedzał targ pod murami Domu Rozstania, chętnie opowiadał ostatnie nowiny: smok, któremu Simon odebrał miecz, powróci pewnego dnia i Simon będzie musiał z nim walczyć; Simon jest po części Sithą i Aditu została przysłana, by go sprowadzić do Ludu Sprawiedliwych, i tak dalej. Słysząc te wyssane z palca historie, Simon skręcał się ze złości. Nic nie mógł na to poradzić. Każda próba zaprzeczenia zmyślonym opowieściom utwierdzała tylko mieszkańców Nowego Gadrinsett w przekonaniu, że jest on niezwykle skromny albo przebiegły. Czasem bawiło go to, co usłyszał, lecz wciąż nie czuł się swobodnie, obserwowany i podziwiany przez innych, dlatego najczęściej wybierał towarzystwo ludzi, których znał i którym ufał. To oczywiście rozpalało nowe domysły.

Jeśli na tym polegała sława, to wolałby pozostać nic nieznaczącym podkuchennym. Czasem, kiedy szedł przez Nowe Gadrinsett, a ludzie machali do niego albo szeptali do siebie, czuł się zupełnie nagi, lecz mógł jedynie iść dalej z uśmiechem na ustach i podniesioną głową. Podkuchenni mieli wybór: uciec albo się schować, ale nie rycerze.

CZEKA NA ZEWNĄTRZ, JOSUO. Przysięga, że go oczekujesz.

– Ach. – Książę odwrócił się do Simona. – To musi być ten tajemniczy posłaniec, o którym ci opowiadałem, a który pewnie przynosi wieści z Nabbanu. Rzeczywiście upłynęły dwa tygodnie, nieomal co do dnia. Wprowadź go – zwrócił się do Sludiga.

Rimmersman wyszedł i po kilku chwilach powrócił, prowadząc wysokiego mężczyznę o zapadniętych policzkach i bladej – nieco ponurej, zdaniem Simona – twarzy. Rimmersman cofnął się pod ścianę i pozostał tam z jedną dłonią na rękojeści topora, drugą skubał żółtawą brodę.

Posłaniec przyklęknął wolno na jedno kolano.

– Książę Josuo, mój pan przesyła pozdrowienia i nakazuje mi oddać ci to. – Kiedy obcy wsunął dłoń pod płaszcz, Sludig zrobił krok do przodu, chociaż posłaniec stał oddalony od księcia o kilkanaście kroków, lecz obcy wyjął tylko zwój pergaminu związany wstążką i zalakowany niebieskim woskiem.

– Skrzydlaty delfin – powiedział Josua, spoglądając na herb wyciśnięty w wosku. – A zatem twym panem jest hrabia Streawe z Perdruin?

Na ustach posłańca pojawił się nieco afektowany uśmiech.

– Zgadza się, książę Josuo.

Książę złamał pieczęć i rozwinął zwój. Przez chwilę przeglądał treść listu, po czym zwinął go i oparł o krzesło.

– Nie będę się z tym spieszył. Jak się nazywasz, człowieku?

Posłaniec skłonił głowę wyraźnie zadowolony, jakby od dawna oczekiwał tego najważniejszego pytania.

– Lenti.

– Dobrze, Lenti. Sludig dopilnuje, byś dostał coś do jedzenia i picia. Wskaże ci też miejsce na spoczynek, gdyż będę potrzebował trochę czasu na odpowiedź, może nawet kilkunastu dni.

Posłaniec rozejrzał się po książęcym namiocie, oceniając standard, jakiego może oczekiwać w Nowym Gadrinsett.

– Tak, książę Josuo.

Sludig wysunął się do przodu i skinieniem głowy dał znak Lentiemu, by poszedł za nim.

– Nie mam zbyt wysokiego zdania o tym posłańcu – odezwał się Simon, kiedy wyszli.

Josua jeszcze raz rozwinął list.

– Głupiec – przyznał. – Ta rola przerosła go, choć nie wymagała wielkiego wysiłku. Ale nie myl Streawe'a z jego sługami. Perdruiński hrabia jest sprytny jak targowy złodziejaszek. Choć rzeczywiście trudno się spodziewać, by dotrzymał obietnicy, skoro nie stać go nawet na lepszego posłańca, by mi ją przekazać.

– Jakiej obietnicy? – spytał Simon.

Josua zwinął pergamin i wsunął go sobie do rękawa.

– Hrabia Streawe twierdzi, że może oddać mi we władanie Nabban. – Wstał. – Starzec kłamie oczywiście, ale daje nam to do myślenia.

– Nie rozumiem, Josuo.

Książę uśmiechnął się.

– Ciesz się. Dni twojej prostoduszności wobec ludzi takich jak Streawe szybko się kończą. – Poklepał Simona po ramieniu. – Na razie zakończmy naszą rozmowę, młody rycerzu. Będzie na to czas na Radzie.

– A więc jesteś gotów ją zwołać?

Josua skinął głową.

– Nadszedł czas. Choć raz my zagramy i zobaczymy, czy uda nam się nakłonić do tańca mojego brata i jego doradców.

WYKONAŁEŚ NIEZWYKLE CIEKAWY UNIK, sprytny Seomanie. – Aditu wpatrywała się w grę shent, którą zrobiła z drewna, korzennych barwników i gładkich kamieni. – Fałszywy ruch wykonany dodatkowo w sposób

udawany: pozór, który wydaje się udawaniem, lecz który zawiera w sobie ostatecznie prawdę. Doskonale, ale co zrobisz, jeśli ja umieszczę moje jasne kamienie tutaj... i tutaj... i tutaj?

Simon zachmurzył się. Przez krótką chwilę się zastanawiał, czy Aditu nie próbuje go oszukać, lecz zaraz uświadomił sobie, że ona nie musi oszukiwać kogoś, dla kogo niuanse shentu wciąż pozostają głęboką tajemnicą, tak samo jak Simon nie musiałby podstawiać nogi małemu chłopcu, który chciałby się z nim ścigać. A jednak nie mógł nie zadać tego pytania.

– Czy możliwe jest oszukiwanie w tej grze?

Aditu spojrzała sponad swoich pionków. Miała na sobie jedną z luźnych sukien Vorzhevy. Nieco skromniejszy strój i rozpuszczone włosy sprawiały, że nie wyglądała już tak niebezpiecznie dziko, a w rzeczywistości nadawały jej wygląd niepokojąco ludzki. Jej oczy lśniły w blasku ognia.

– Oszukiwać? To znaczy kłamać? Gra może być na tyle zwodnicza, na ile pragną tego gracze.

– Nie o to mi chodzi. Czy możesz zrobić specjalnie coś, co jest wbrew zasadom gry? – Była dziwnie piękna. Patrzył na nią, przypominając sobie noc, kiedy go pocałowała. Co miał znaczyć tamten pocałunek? Czy w ogóle coś znaczył? A może była to dla niej jeszcze jedna zabawa z pieskiem?

Zastanawiała się przez jakiś czas nad jego pytaniem.

– Nie wiem dokładnie, co odpowiedzieć. Czy potrafiłbyś oszukać własne ciało i pofrunąć, machając ramionami?

Simon zaprzeczył.

– Musi istnieć jakiś sposób, by złamać zasady, których tyle jest w tej grze...

Zanim Aditu zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, do namiotu wpadł Jeremias, zdyszany i najwyraźniej podekscytowany.

– Simonie! – zawołał i zaraz zatrzymał się w miejscu na widok Aditu. – Przepraszam. – Pomimo zmieszania z trudem potrafił ukryć podniecenie.

– Co się stało?

– Przybyli ludzie!

– Co? Jacy ludzie? – Simon zerknął na Aditu, lecz ona powróciła do swoich pionków na planszy.

– Książę Isgrimnur i księżniczka! – Jeremias wymachiwał ramionami jak oszalały. – Przyszli z nimi też inni! Dziwny człowieczek, podobny do Binabika, ale prawie tak duży jak my! I jeszcze starzec, wyższy nawet od ciebie. Simonie, wszyscy poszli na dół zobaczyć ich!

Przez moment siedział w milczeniu, pozwalając wirować myślom.

– Księżniczka? – odezwał się wreszcie. – Księżniczka Miriamele?

– Tak, tak – dyszał Jeremias. – Ubrana jak mnich, ale zdjęła kaptur i machała do ludzi. Chodź, Simonie, wszyscy idą na dół. – Ruszył do drzwi, lecz po paru krokach zatrzymał się i spojrzał przez ramię na swego przyjaciela. – Simonie? Co się stało? Nie chcesz zobaczyć księżniczki, księcia Isgrimnura i brązowego człowieczka?

– Księżniczka... – Odwrócił się bezradnie do Aditu, która rzuciła mu obojętne spojrzenie kota.

– Seomanie, zdaje się, że będzie ci się to podobało. Później zagramy.

Simon wstał i poszedł za Jeremiasem na zewnątrz; szedł wolno, potykając się jak lunatyk. Jak we śnie słyszał wiwatujących dookoła ludzi; okrzyki zlewały się, wypełniając jego uszy jak ryk morza.

Miriamele powróciła.

21. Spełnione modlitwy

STAWAŁO SIĘ CORAZ ZIMNIEJ, W MIARĘ jak Miriamele i jej towarzysze posuwali się przez trawiaste wzgórza. Zanim dotarli do pozornie bezkresnych Łąk Thrithingów, ziemię pokrył śnieg, a słońce – choć było dopiero popołudnie – przypominało matową misę umazaną ciemnymi plamami chmur. Miriamele jechała otulona szczelnie przed wścibskim wiatrem. Teraz odczuwała nieomal wdzięczność dla Aspitisa za to, że ich odnalazł: podróż byłaby o wiele trudniejsza, gdyby musieli iść pieszo. Mimo chłodu i niewygody Miriamele wypełniało dziwne uczucie wolności. Hrabia ścigał ją przedtem, lecz teraz już się go nie bała, chociaż wciąż żył i mógł planować zemstę. Za to wciąż myślała o ucieczce Cadracha.

Jej stosunek do mnicha zmienił się od chwili ich ucieczki z *Chmury Eadne*. Niewątpliwie zdradził ją kilkakrotnie, lecz jednocześnie sprawiał wrażenie, że nadal się nią opiekuje. Wciąż dzieliła ich nienawiść mnicha do samego siebie – i pewnie ona sprawiła, że odszedł – lecz jej uczucia się zmieniły.

Żałowała, że doszło do sprzeczki o zawiniątko Tiamaka. Miriamele miała nadzieję, że w końcu uda jej się dotrzeć do wnętrza Cadracha i wydobyć zeń człowieka, którego lubiła. Ale okazało się, że chyba za szybko chciała pogłaskać dzikiego psa, i on uciekł spłoszony. Miała niejasne wrażenie, że straciła szansę ważniejszą, niż potrafiła to w pełni zrozumieć.

Nawet konno była to daleka podróż, a jej myśli nie zawsze okazywały się najlepszymi kompanami.

POTRZEBOWALI TYGODNIA, BY DOTRZEĆ do Łąk Thrithingów, wyruszając o brzasku i jadąc jeszcze po zachodzie słońca – jeśli w ogóle widzieli słońce. Pogoda pogarszała się, lecz nie przełamywała się ostatecznie: przeważnie po południu słońce przebijało się wreszcie przez część chmur jak zmęczony, ale zdeterminowany posłaniec.

Ziemia Thrithingów okazała się rozległym dywanem łąk, przeważnie płaskich i monotonnych. A nawet jeśli teren zaczynał wznosić się nieco, to było to tym bardziej przygnębiające, gdyż po całym dniu łagodnego podjazdu Miriamele wciąż się łudziła, że wreszcie dotrą na szczyt i *gdzieś* się znajdą. Zamiast tego jednak wjeżdżali na płaską łąkę, równie monotonną jak łagodne zbocze, a po jakimś czasie zaczynali zjeżdżać w dół takim samym łagodnym i monotonnym zboczem. Wzdragała się już na samą myśl o tym, że trzeba by było odbyć tak monotonną podróż pieszo. Akr po akrze, mila po mili Miriamele nieustannie dziękowała modlitwą za podarunek Aspitisa, jaki ofiarował im nieświadomie, zostawiając konie.

Jadący przed nią na siodle Tiamak szybko wracał do zdrowia. Zachęcony przez swych towarzyszy, opowiedział jej – a także Isgrimnurowi, który ucieszył się, że ktoś podzieli z nim ciężar opowieści – o swoim dzieciństwie na bagnach i trudnym roku, który spędził jako młody uczeń wśród uczonych w Perdruin. Choć Wrańczyk był zbyt powściągliwy, by opowiadać o przykrościach, jakie go tam spotkały, to jednak Miriamele wydawało się, że niemal czuje najdrobniejsze niegodziwości przemilczane w opowieści.

„Nie jestem pierwsza, która czuje się samotna, niezrozumiana i niechciana. – Myśl ta – tak oczywista – spadła na nią nagle jak grom

z jasnego nieba. – A przecież jestem księżniczką, osobą uprzywilejowaną – nigdy nie byłam głodna, nigdy nie musiałam się obawiać, że umrę w zapomnieniu, nigdy nie mówiono mi, że nie jestem dość dobra, by zrobić coś, co chciałam zrobić”.

Słuchając Tiamaka, obserwując jego silne, lecz w jakimś sensie kruche ciało, oraz jego precyzyjne gesty uczonego, Miriamele przeraziła się swoją dobrowolną ignorancją. Jak ona mogła – ze swym przyrodzonym bogactwem – tak się zamartwiać kilkoma niedogodnościami, które Bóg czy los postawił na jej drodze? Powinna się wstydzić.

Próbowała podzielić się swoimi myślami z księciem Isgrimnurem, lecz on nie pozwolił jej popaść w zbytnią nienawiść do samej siebie.

– Księżniczko, każdego z nas dręczą własne smutki – powiedział. – Żaden wstyd, jeśli bierzemy je sobie do serca. Ale grzeszymy, zapominając, że inni także mają swoje, albo kiedy użalamy się nad sobą, zamiast wyciągnąć rękę do drugiego, gdy jest to możliwe.

Miriamele uświadomiła sobie, że Isgrimnur jest kimś więcej niż tylko burkliwym, starym żołnierzem.

TRZECIEJ NOCY, KTÓRĄ SPĘDZALI NA ŁĄKACH THRITHINGÓW, siedząc wokół ogniska – małego, gdyż trudno było tam o drewno – Miriamele zebrała się wreszcie na odwagę, by spytać Tiamaka o zawartość jego torby.

Wrańczyk był tak zmieszany, że nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– To straszne, pani. Niewiele pamiętam, lecz wtedy byłem pewien, że Cadrach chce mnie okraść.

– Skąd takie przypuszczenie? I co to było?

Tiamak wahał się przez chwilę, lecz wreszcie sięgnął do swej torby, wyjął pakunek i rozwinął liście.

– Stało się tak pewnie dlatego, że mówiłaś o mnichu i księdze Nissesa – wyjaśnił wstydliwie. – Teraz wiem, że nie miałaś nic złego na myśli, gdyż Morgenes także wspominał coś o Nissesie w liście do mnie, ale wtedy byłem rozgorączkowany i wydawało mi się, że mój skarb jest w niebezpieczeństwie.

Tiamak wręczył jej pergamin. Kiedy go rozwinęła, Isgrimnur obszedł ognisko, by spojrzeć jej przez ramię. Camaris, jak zwykle obojętny na wszystko, patrzył w noc.

– To wygląda jak pieśń – rzucił Isgrimnur ponuro, jakby spodziewał się czegoś zupełnie innego.

– ...*Mąż, który choć ślepy, widzi*... – przeczytała Miriamele. – Co to znaczy?

– Sam nie wiem – odparł Tiamak. – Ale spójrz tutaj. Podpisane jest imieniem Nissesa. Myślę, że jest to część jego zaginionej księgi, *Du Svardenvyrd*.

Miriamele wstrzymała oddech.

– Ach! Przecież to ta sama książka, którą Cadrach sprzedawał strona po stronie. – Poczuła ucisk w żołądku. – To jej szukał Pryrates. Skąd ją masz?

– Kupiłem ją w Kwanitupulu prawie rok temu. Była wśród innych staroci. Handlarz pewnie nie wiedział, że jest cokolwiek warta, albo w ogóle nie sprawdzał, co wcześniej kupił.

– Myślę, że Cadrach nie wiedział, co masz w swojej torbie – powiedziała Miriamele. – Jakie to wszystko dziwne! Może jest to jedna ze stron, które sam sprzedał!

– Sprzedawał stronice księgi Nissesa? – spytał Tiamak. W jego głosie wściekłość mieszała się ze zdziwieniem. – Jak to możliwe?

– Cadrach opowiedział mi, że był biedny i zdesperowany. – Zastanawiała się, czy opowiedzieć resztę historii Cadracha. Mogli nie

zrozumieć jego postępowania. Pomimo ucieczki mnicha Miriamele czuła, że powinna go bronić przed innymi, którzy nie znają go tak dobrze jak ona. – Wtedy używał innego imienia – powiedziała, jakby to mogło oczyścić mnicha z zarzutu. – Nazywał się Padreic.

– Padreic! – Tiamak był coraz bardziej zdumiony. – Znam to imię! Czy to może być ten sam człowiek? Doktor Morgenes znał go dobrze!

– Tak, on znał Morgenesa. To dziwna historia.

Isgrimnur prychnął, lecz był to wyraz raczej obrony niż pogardy.

– Rzeczywiście, dziwna historia.

Miriamele szybko zmieniła temat.

– Może Josua coś z tego zrozumie.

Książę pokręcił głową.

– Myślę, że książę Josua będzie miał co innego do roboty niż oglądanie starych pergaminów, jeśli go w ogóle znajdziemy.

– Ale to może okazać się ważne. – Tiamak spojrzał na Isgrimnura. – Tak jak mówiłem, Doktor Morgenes napisał do mnie w liście, że jego zdaniem nadchodzą czasy, przed którymi ostrzegał Nisses. Morgenes wiedział o wielu rzeczach, które pozostają niedostępne dla innych.

Isgrimnur chrząknął i wrócił na swoje miejsce przy ogniu.

– Tego już nie rozumiem. Ani trochę.

Miriamele obserwowała Camarisa, który rozglądał się w ciemności ze spokojem i władczością sowy usadowionej na gałęzi drzewa.

– W dzisiejszych czasach mamy do czynienia z tyloma tajemnicami – powiedziała. – Czy nie będzie miło, kiedy wszystko znowu stanie się proste?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległ się śmiech Isgrimnura.

– Zapomniałem, że mnich uciekł. Czekałem, aż powie: „Nic już nie będzie proste” albo coś w tym rodzaju.

Miriamele też się uśmiechnęła.

– Rzeczywiście, tak by pewnie powiedział. – Wyciągnęła dłonie nad ogniem i westchnęła. – Tak.

Dni mijały, a oni jechali wciąż na północ. Ziemię przykrywała coraz grubsza warstwa śniegu; wiatr stał się ich przeciwnikiem. Kiedy zostawili za sobą Łąki Thrithingów, zaczęli popadać w coraz większe przygnębienie.

– Trudno uwierzyć, by Josui i jego ludziom dobrze się powodziło w taką pogodę. – Isgrimnur musiał nieomal krzyczeć, by pozostali go usłyszeli. – Teraz na Południu jest znacznie gorzej niż wtedy, kiedy tam byłem.

– Dobrze, jeśli w ogóle żyją – powiedziała Miriamele. – To będzie dobry początek.

– Tylko, księżniczko, my nie wiemy dokładnie, gdzie ich szukać – odpowiedział książę takim tonem, jakby ją przepraszał. – Pogłoski, które słyszałem, mówiły tylko o tym, że Josua jest gdzieś na ziemiach Wielkich Thrithingów. Przed nami jeszcze przynajmniej ze sto mil równie bezludnej i dzikiej ziemi jak ta, którą widzisz tutaj. – Zatoczył łuk ręką, wskazując na ponure, ośnieżone pustkowie. – Możemy ich szukać całymi miesiącami.

– Znajdziemy go – powiedziała Miriamele z przekonaniem. Przecież na coś musi się przydać wszystko, przez co przeszła, czego się nauczyła. – Na ziemiach Thrithingów mieszkają ludzie – dodała. – Jeśli Josua i pozostali założyli tam obóz, to Thrithingowie będą o tym wiedzieli.

Isgrimnur prychnął głośno.

– Thrithingowie! Miriamele, znam ich lepiej, niż ci się wydaje. Oni nie mieszkają w miastach. Przede wszystkim nie zostają długo w jednym miejscu, więc możemy w ogóle ich nie spotkać. Może nawet lepiej, żeby

tak się stało. Ci barbarzyńcy mogą równie dobrze skrócić nas o głowę, jak udzielić informacji o Josui.

– Wiem, że walczyłeś z Thrithingami – odparła Miriamele. – Ale to było dawno temu. – Pokręciła głową. – Poza tym chyba i tak nie mamy wyboru. Będziemy się martwić, kiedy nadejdzie na to pora.

Książę przyglądał się jej z wyrazem troski, ale i rozbawienia.

– Jesteś córką swego ojca.

Miriamele przyjęła uwagę, o dziwo, z zadowoleniem, choć zmarszczyła czoło. Chwilę później się roześmiała.

– Z czego się śmiejesz? – spytał podejrzliwie Isgrimnur.

– Tak naprawdę to z niczego. Myślałam o czasie spędzonym z Binabikiem i Simonem. Nieraz wydawało mi się, że zginę za chwilę: raz, kiedy niemal dopadły nas straszliwe psy, kiedy indziej był to olbrzym i łucznicy... – Strząsnęła włosy z czoła, lecz wiatr natychmiast znowu je zwichrzył. Wcisnęła kosmyki pod kaptur. – Teraz już tak nie myślę, bez względu na to, w jak okropnej znajduję się sytuacji. Kiedy złapał nas Aspitis, nie wierzyłam do końca, że mnie zabierze. Uciekłabym, gdyby tak się stało.

Ściągnęła nieco cugle, szukając słów, by wyrazić myśl.

– Widzisz, tak naprawdę, to nie ma w tym nic zabawnego. Lecz wydaje mi się, że pewne rzeczy dzieją się bez względu na to, co robimy. Są jak fale, ogromne fale oceanu: mogę z nimi walczyć i zginąć albo pozwolić im się unosić i płynąć z głową ponad powierzchnią wody. Ja *wiem*, że zobaczę znowu wuja Josuę. A także Simona, Binabika i Vorzhevę; po prostu jest jeszcze coś do zrobienia.

Isgrimnur spojrzał na nią uważnie, jakby zamiast małej dziewczynki, którą kiedyś niańczył na kolanach, miał przed sobą nabbańską wróżbitkę.

– A co potem? Kiedy już wszyscy będziemy razem?

Miriamele uśmiechnęła się, ale teraz był to gorzki i smutny uśmiech.

– Fala rozbije się, kochany wuju, i niektórzy z nas pójdą pod wodę i nigdy nie wypłyną na powierzchnię. Oczywiście nie wiem, jak to się stanie. Ale teraz już się tego tak nie boję.

Potem jechali w milczeniu, trzy konie i czterech jeźdźców, zmagających się z wiatrem.

JEDYNIE Z CZASU, JAKI UPŁYNĄŁ, ZORIENTOWALI SIĘ, że wjechali już na Wzgórza Wielkich Thrithingów: ośnieżone łąki odeszły w zapomnienie tak samo jak krajobraz, jaki widzieli w czasie pierwszego tygodnia swej podróży. Wciąż posuwali się na północ, a jednak pogoda się nie pogarszała. Miriamele miała nawet wrażenie, że robi się nieco cieplej, a wiatr nie jest już tak przenikliwy.

– Dobry znak – powiedziała, kiedy pewnego popołudnia na niebie ukazało się słońce. – Mówiłam ci, Isgrimnurze. Dotrzemy tam.

– Choć nie wiemy, gdzie znajduje się to „tam” – mruknął książę.

Tiamak poruszył się w siodle.

– Może powinniśmy pojechać w kierunku rzeki. Jeśli jeszcze mieszkają tutaj jacyś ludzie, to bardzo prawdopodobne, że właśnie nad rzeką, gdzie mogą łowić ryby. – Pokręcił smutno głową. – Szkoda, że nie pamiętam dokładniej mojego snu.

– Rzeka Ymstrecca znajduje się na południe od wielkiego lasu. Ale płynie prawie przez całe ziemie Thrithingów: spory kawał do przeszukania.

– Czy przez te ziemie nie płynie inna rzeka? – spytał Tiamak. – Dawno nie patrzyłem na mapę.

– Tak, płynie. Stefflod, jeśli dobrze pamiętam. – Książę zamyślił się. – Bardziej przypomina większy strumień.

– Ale często przy zbiegu rzek można napotkać wioski – powiedział Tiamak niespodziewanie pewnym głosem. – Tak jest u nas, a także w innych miejscach.

Miriamele chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz powstrzymała się, spojrzawszy na Camarisa. Starzec odjechał nieco w bok i wpatrywał się w niebo. Spojrzała też w górę, lecz nie dostrzegła niczego poza burymi chmurami.

Isgrimnur zastanawiał się nad słowami Wrańczyka.

– Może masz rację, Tiamaku. Jeśli będziemy jechać na północ, to z pewnością dotrzemy do rzeki Ymstrecca. Ale wydaje mi się, że Stefflod musi płynąć bardziej na wschód. – Rozejrzał się, jakby szukał potwierdzenia swoich słów w krajobrazie. Jego wzrok zatrzymał się na Camarisie. – Na co on tak patrzy?

– Nie wiem – odparła Miriamele. – Och, to pewnie ptaki!

Dwa ciemne kształty nadlatywały ze wschodu, wirując niczym popioły wzniesione z ogniska.

– Kruki! – powiedział Isgrimnur. – Ptaki krwi!

Kruki zatoczyły koło nad podróżnymi, jakby znalazły to, czego szukały. Miriamele wydawało się, że widzi ich żółte, lśniące oczy. Ogarnęło ją uczucie, że są obserwowani. Zatoczywszy kilka kół, ptaki pofrunęły w dół; ich czarne pióra lśniły coraz wyraźniej, w miarę jak się zbliżały. Miriamele wtuliła głowę w ramiona i zakryła ramieniem twarz. Kruki przeleciały nad ich głowami, krocząc. Chwilę później wzbiły się w górę i odleciały. Niebawem były już tylko dwoma oddalającymi się punktami na północnym horyzoncie.

Camaris ani na chwilę nie schylił głowy. Obserwował oddalające się ptaki z wyrazem skupienia i zamyślenia.

– Co to za ptaki? – spytał Tiamak. – Czy są niebezpieczne?

– To zwiastuny nieszczęścia – mruknął Isgrimnur. – W moim kraju posyłamy im strzały. Żywią się padliną. – Książę skrzywił się.

– Miałam wrażenie, że się nam przyglądały – powiedziała Miriamele. – Jakby chciały sprawdzić, kim jesteśmy.

– Nie mów tak. – Isgrimnur wyciągnął ramię i ścisnął jej rękę. – Co im za różnica, kim jesteśmy?

Miriamele potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Tak mi się tylko wydawało: ktoś chciał wiedzieć, kim jesteśmy, i teraz wie.

– To tylko kruki. – Uśmiech księcia nie ukrył jego niepokoju. – Mamy inne zmartwienia.

– To prawda – powiedziała.

PO KILKU DNIACH DOTARLI WRESZCIE do rzeki Ymstrecca. Szybko płynąca woda wydawała się niemal czarna w słabym blasku słońca. Plamy śniegu upstrzyły jej brzegi.

– Rzeczywiście się ociepla – odezwał się Isgrimnur, zadowolony. – Jest niewiele zimniej, niż powinno być o tej porze roku. W końcu mamy już Novander.

– Novander? – zdziwiła się Miriamele. – Twierdzę Josui opuściliśmy w Yuvenie. Minęło pół roku. Miłościwa Elysio, bardzo długo jesteśmy w drodze.

Skręcili i pojechali wzdłuż rzeki na wschód; obóz na noc rozbili w takiej odległości, by wciąż słyszeć odgłosy rzeki. Następnego ranka wyruszyli wcześnie, kiedy niebo było jeszcze szare.

Po południu dotarli na skraj płytkiej doliny, porośniętej mokrą trawą. Przed nimi, podobne do pozostałości po niszczycielskiej powodzi, widniały

ruiny rozległej osady. Najwyraźniej stało tu kilkaset prostych domów – i to jeszcze nie dawno zamieszkanych – lecz coś musiało spowodować, że ich mieszkańcy odeszli lub uciekli. Z wyjątkiem kilku ptaków, zrujnowane miasto wydawało się opuszczone.

Miriamele poczuła ogromne rozczarowanie.

– Czy to był obóz Josui? Dokąd oni odeszli?

– Jego obóz jest na wielkim wzgórzu, pani – powiedział Tiamak. – Tak przynajmniej widziałem we śnie.

Isgrimnur spiął konia ostrogami i zaczął zjeżdżać w dół, w kierunku osady.

Kiedy przyjrzeli się z bliska, okazało się, że znaczna część zniszczeń leżała w samej naturze osady, gdyż większość zabudowań sklecono ze ścinków i nazbieranego drewna. Wydawało się, że coś takiego jak gwóźdź było mieszkańcom osady nieznane; surowe sznury trzymające elementy lepiej skonstruowanych domów przetarły się i popękały podczas zimy, jaka nawiedziła ziemie Thrithingów. Ale Miriamele orzekła, że nawet w najlepszych czasach domy te musiały przypominać zwykłe rudery.

Można było przypuszczać, że mieszkańcy nie uciekali w popłochu i mieli czas na to, by zabrać swój dobytek: skromny, sądząc po jakości domów. Zniknęła większość przedmiotów codziennego użytku; Miriamele znalazła tylko kilka potłuczonych garnków i ubrań tak wytartych i sponiewieranych, że nie mogły się już na nic przydać, nawet zimą.

– Odeszli – powiedziała do Isgrimnura. – Ale jakby z własnego wyboru.

– Albo zostali do tego zmuszeni – zauważył książę. – Może zostali wyprowadzeni, jeśli wiesz, o czym mówię.

Camaris zsiadł z konia i teraz grzebał w stosie darni i gałęzi, która kiedyś była domem. Wstał, trzymając w dłoni coś świecącego.

– Co to jest? – Miriamele podjechała do starca. Wyciągnęła dłoń, lecz Camaris wpatrywał się w kawałek metalu. Po chwili schyliła się i wyjęła delikatnie przedmiot z jego twardej dłoni.

Tiamak osunął się na kark konia i przyjrzał się uważnie znalezionemu przedmiotowi.

– Wygląda jak sprzączka od płaszcza – zauważył.

– Tak, to jest sprzączka. – Na brzegu pogniecionego i pogiętego kawałka lśniącego metalu widniał słabo widoczny wzór liści ostrokrzewu. Na jego środku znajdowały się dwie skrzyżowane włócznie i złowieszcze oblicze gada. Miriamele poczuła dreszcz strachu. – Isgrimnurze, spójrz na to.

Książę podjechał do niej i wziął w rękę sprzączkę.

– To insygnia Gwardii Królewskiej.

– Żołnierzy mojego ojca – szepnęła Miriamele. Rozejrzała się odruchowo, jakby gwardziści leżeli gdzieś w pobliżu w przygotowanej zasadzce. – Byli tutaj.

– Może po tym, jak ci ludzie odeszli – powiedział Isgrimnur. – Albo z jakiegoś innego powodu, którego nie znamy. – Jego słowa nie zabrzmiały zbyt przekonująco nawet dla niego samego. – Przecież nie wiemy nawet, kto tutaj mieszkał, księżniczko.

– Ja *wiem* – odparła gniewnie. – Byli to ludzie, którzy uciekli przed moim ojcem. Pewnie Josua i pozostali byli z nimi. Zostali schwytani albo zmuszeni do ucieczki.

– Wybacz, lady Miriamele – odezwał się nieśmiało Tiamak – ale wydaje mi się, że nie powinniśmy tak szybko wyciągać wniosków. Książę Isgrimnur ma rację: wielu rzeczy nie wiemy. To miejsce nie jest tym, które pokazała mi we śnie Geloë.

– W takim razie co powinniśmy zrobić?

– Jechać dalej – powiedział Wrańczyk. – Jechać po śladach. Może mieszkańcy tej osady odeszli, by dołączyć do Josui.

– To wygląda obiecująco. – Książę osłonił oczy dłonią przed słońcem. Wskazał na skraj osady, gdzie widniało kilka kolein odchodzących na północ.

– A więc jedźmy. – Miriamele oddała sprzączkę Camarisowi.

Starzec patrzył na nią przez chwilę, a potem upuścił na ziemię.

KOLEINY BIEGŁY DOŚĆ BLISKO SIEBIE, tak że ich ślad znaczył się wyraźną blizną w rozmokłej trawie. Po obu stronach tej świeżo zaznaczonej drogi widniały ślady ludzi, którzy nią jechali: połamane szprychy kół wozów, rozmokłe popioły ognisk, liczne zakopane dziury. Choć pozostałości po ludziach nie dodawały uroku dziewiczym terenom, to Miriamele cieszyła się, widząc, jak są świeże, gdyż znaczyło to, że ludzie przejeżdżali tędy nie dawniej jak miesiąc lub dwa temu.

Kiedy zasiedli do skąpej kolacji, przyrządzonej z resztek zapasów zabranych z Wioski Tiamaka, Miriamele zapytała Isgrimnura, co zrobi, kiedy wreszcie dotrą do Josui. Miło było rozmawiać o tej chwili jak o czymś, co się zdarzy, a nie co może się zdarzyć: nadawało to większego prawdopodobieństwa temu wydarzeniu, choć tak zupełnie nie potrafiła pozbyć się przesądnego strachu, rozmawiając o dobrych rzeczach, które się jeszcze nie wydarzyły.

– Pokażę mu, że dotrzymałem słowa – odpowiedział z uśmiechem książę. – Pokażę mu ciebie. A potem uściskam z całej siły moją żonę.

Miriamele uśmiechnęła się na wspomnienie pulchnej, zaradnej Gutrun.

– Chcę to zobaczyć. – Spojrzała na śpiącego Tiamaka i Camarisa, który czyścił miecz Isgrimnura, zafascynowany tak samo jak wtedy, kiedy obserwował lecące ptaki. Przed pojedynkiem z Aspitisem stary rycerz nie

chciał nawet dotknąć miecza. Miriamele patrzyła na niego ze smutkiem. Trzymał miecz księcia w taki sposób, jakby był to stary przyjaciel, lecz przyjaciel, któremu nie można już do końca zaufać.

– Tęsknisz za nią, prawda? – spytała, odwracając się do Isgrimnura. – Za twoją żoną.

– Ach, słodki Usiresie, bardzo. – Nie odrywał wzroku od ogniska, jakby chciał uniknąć spojrzenia Miriamele. – Bardzo tęsknię.

– Kochasz ją. – Miriamele była zadowolona, ale i zaskoczona: Isgrimnur odkrywał przed nią uczucia, jakich się nie spodziewała. Dziwny wydał jej się tak silny płomień miłości w piersi kogoś tak starego i tak jej dobrze znanego jak książę, a jeszcze dziwniejszy fakt, że obiektem tej miłości była księżna Gutrun.

– Tak, kocham ją, kocham – powiedział smutno. – Ale to nie tylko to, pani. Ona jest częścią mnie, przez lata rośliśmy obok siebie, oplatając się jak gałęzie starych drzew. – Roześmiał się i pokręcił głową. – Wiedziałem od samego początku. Od chwili, gdy ujrzałem ją niosącą gałązkę jemioły ze statku-mogiły w Sotfengsel... Ach, jaka ona była piękna. Miała najjaśniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem! Jak z bajki.

Miriamele westchnęła.

– Chciałabym, żeby i o mnie ktoś tak kiedyś mówił.

– Z pewnością powie, dziewczyno, z pewnością. – Isgrimnur uśmiechnął się. – A jeśli wyjdziesz za mąż, i to za tego jedynego, zrozumiesz, co mam na myśli. On stanie się częścią ciebie, tak jak Gutrun stała się częścią mnie. Na zawsze, aż do śmierci. – Zrobił na piersi znak Drzewa. – A nie jakieś południowe bzdury, kiedy wdowa lub wdowiec pobierają się powtórnie. Jak inna kobieta mogłaby ją zastąpić? – Zamilkł, rozmyślając o niestosowności drugiego małżeństwa.

Miriamele także milczała zamyślona. Czy i ona znajdzie kiedyś takiego męża? Pomyślała o Fengbaldzie, za którego zamierzał wydać ją ojciec, i zadrżała. Zarozumiały idiota! I pomyśleć, że Elias, właśnie on, chciał ją zmusić, by wyszła za kogoś, kogo nie kochała, gdy tymczasem on sam nigdy nie zaznał szczęścia po śmierci matki Miriamele, Hylissy...

„Chyba że chciał mnie uchronić przed tak okropną samotnością – pomyślała. – Może uważał, że lepiej będzie nie kochać nikogo tak bardzo, by nie czuć straty". – Jak bardzo bolało ją serce, kiedy patrzyła, jak wiedzie samotne życie dla jej...

Myśl ta spadła na nią jak grom z jasnego nieba; nie dawała jej spokoju od chwili, kiedy Cadrach opowiedział jej swoją historię. Nagle stało się to dla niej tak jasne, tak bardzo jasne! Tak jakby dotąd chodziła po omacku w ciemnej komnacie, aż nagle ktoś otworzył drzwi, wpuszczając światło, i zobaczyła wszystkie dziwne przedmioty, których dotykała w ciemności.

– Och! – szepnęła. – Och, ojcze!

Isgrimnur ze zdumieniem zobaczył, że zaczęła płakać. Próbował ją uspokoić, ale ona nie potrafiła powstrzymać łez. Na pytanie, co jest ich przyczyną, odpowiedziała tylko, że jego słowa przypomniały jej o śmierci matki. Była to okrutna półprawda, choć nie zamierzała być okrutna. Po chwili Miriamele odsunęła się od ogniska, pozostawiając Isgrimnura z poczuciem winy, że to on był sprawcą jej łez.

Pochlipując cicho, Miriamele położyła się owinięta w koc i spojrzała zamyślona w gwiazdy. Nagle miała tyle do przemyślenia. Nic właściwie się nie zmieniło, a jednak wszystko widziała teraz inaczej.

Zanim zasnęła, w jej oczach jeszcze raz pojawiły się łzy.

RANKIEM NADESZŁA KRÓTKA ZADYMKA ŚNIEŻNA, nie na tyle silna, by powstrzymać konie, lecz wystarczająca, by Miriamele drżała z zimna. Szare

wody rzeki Stefflod płynęły leniwie niczym strumień roztopionego ołowiu, a śnieg tuż nad ich powierzchnią wydawał się gęstszy, tak że pola po drugiej stronie pozostawały o wiele mniej widoczne niż brzeg, na którym się znaleźli. Miriamele miała wrażenie, że rzeka przyciąga śnieg, tak jak magnetyt przyciągał kawałki żelaza w kuźni Rubena Niedźwiedzia.

Teren wciąż wznosił się nieznacznie, a późnym popołudniem, kiedy ogarnął ich zimny zmrok, wjechali między niewysokie wzgórza. Drzewa rosły tu tak samo rzadko jak na obszarze Jezior Thrithingów, lecz Miriamele z ulgą przyjęła zmianę, choć wiatr smagał ją mocno po twarzy.

Wjechali wysoko między wzgórza, zanim zdecydowali się rozbić obóz. Kiedy wstali zmarznięci następnego ranka, dłużej niż zwykle siedzieli przy ognisku. Nawet Camaris wsiadał na konia z widoczną niechęcią.

Śnieg padał coraz rzadszy, aż wreszcie późnym rankiem ustał. Koło południa zza chmur wysunęło się słońce i strzeliło oślepiającymi strzałami promieni. Zanim dotarli wczesnym popołudniem do – jak im się wydawało – szczytu wzgórz, chmury powróciły, przynosząc ze sobą chłodny, lecz niezbyt mocny deszcz.

– Księżniczko! – zawołał Isgrimnur. – Spójrz tam! – Wyjechał nieco przed pozostałych, by sprawdzić drogę; łatwy podjazd wcale nie musiał oznaczać równie łatwego zjazdu, a książę nie chciał ryzykować na obcym terenie. Miriamele podjeżdżała z uczuciem niepokoju, ale i radosnego oczekiwania. Siedzący przed nią Tiamak pochylił się mocno do przodu. Książę stał w przerwie między rzadko rosnącymi drzewami i pokazywał dłonią na coś między pniami.

– Spójrz!

Poniżej ciągnęła się rozległa dolina, zielona misa upstrzona białymi plamami. Pomimo lekkiego deszczu w dolinie panował bezruch, powietrze wydawało się napięte jak wstrzymany oddech. Pośrodku doliny, z jakby

częściowo zamarzniętego jeziora wznosiło się ogromne, kamienne wzgórze, porośnięte pokrytą częściowo śniegiem roślinnością. Ukośnie padające promienie słońca sprawiały, że jego zachodnie zbocze emanowało zachęcająco ciepłym blaskiem. Z wierzchołka wzgórza wznosiły się setki bladych pióropuszy dymu.

– Bogu niech będą dzięki, co to może być? – odezwał się zdumiony Isgrimnur.

Miriamele skrzyżowała ramiona podekscytowana. Zielone wzgórze wydawało jej się zbyt prawdziwe.

– Mam nadzieję, że to dobre miejsce i że jest tam Josua i pozostali.

– *Ktoś* tam mieszka – powiedział Isgrimnur. – Spójrzcie, ile ognisk!

– Jedźmy! – Miriamele spięła konia. – Dotrzemy tam przed nocą.

– Nie śpiesz się tak. – Isgrimnur ruszył za nią. – Nie wiemy, czy jest tam Josua.

– Dam się złapać każdemu, kto ofiaruje mi łóżko i ciepły kąt – rzuciła przez ramię Miriamele.

Camaris, jadący ostatni, zatrzymał się w przerwie między drzewami i spojrzał w dół na dolinę. Jego twarz pozostała tak samo niewzruszona jak poprzednio, ale długo jeszcze stał w miejscu, zanim podążył za pozostałymi.

Chociaż było jeszcze widno, kiedy dotarli na brzeg jeziora, mężczyzna, który wypłynął im naprzeciw, miał ze sobą pochodnie – ogniste kwiaty rzucające jasne plamy na czarną powierzchnię wody jeziora, gdy łodzie płynęły wolno między topniejącą krą. Isgrimnur nie zsiadał z konia, obserwując uważnie łodzie, lecz zanim pierwsza z nich dotarła do brzegu, rozpoznał stojącą na jej dziobie postać o żółtawej brodzie i z okrzykiem radości zeskoczył z siodła.

– Sludig! Niech błogosławiony Aedon ma cię w opiece!

Jego wasal szedł już przez wodę. Zanim zdążył klęknąć na kolano, Isgrimnur chwycił go w ramiona i przycisnął mocno do piersi.

– Jak się ma książę? – zawołał. – A moja żona? Mój syn?

Choć i Sludig nie był ułomkiem, musiał wyswobodzić się z niedźwiedziego uścisku księcia i zaczerpnąć głęboko powietrza, zanim zapewnił Isgrimnura, że wszyscy czują się dobrze, chociaż Isorn wyruszył z misją księcia. Książę Isgrimnur zatańczył niezgrabnie jak niedźwiedź.

– A ja przywiozłem księżniczkę! – zawołał. – I jeszcze więcej! Ale prowadź! Ach, co za święto!

Sludig roześmiał się.

– Obserwowaliśmy was od południa. Josua polecił, żebyśmy sprawdzili, kim jesteście. Ale się zdziwi! – Szybko pomógł wprowadzić konie na jedną z barek, a potem pomógł Miriamele wsiąść do łodzi.

– Księżniczko. – Trzymał ją mocno, sadzając na ławce. – Witamy w Nowym Gadrinsett. Wuj się ucieszy na twój widok.

Pomocnicy Sludiga przyglądali się uważnie Tiamakowi i Camarisowi, lecz Rimmersman nie pozwolił im marnować czasu. Niebawem wszyscy płynęli w kierunku wzgórza.

U jego podnóża czekały dwa chude i niezadowolone woły, zaprzężone do drewnianego wozu. Kiedy posadzono na nim wszystkich podróżnych, Sludig smagnął jednego z nich i wóz ruszył, skrzypiąc po kamienistej drodze.

– Co to jest? – Isgrimnur wychylił się, by spojrzeć na jasne kamienie.

– Sithijska droga – oznajmił nie bez dumy Sludig. – To jest miejsce Sithów, bardzo stare. Nazywają je *Sesuad’ra*.

– Słyszałem o nim – szepnął Tiamak do Miriamele. – Mówią o nim mądre księgi, ale nie sądziłem, że jeszcze istnieje ani że jest to kamień, który pokazała mi Geloë!

Miriamele pokręciła głową. Nie obchodziło jej zbytnio, gdzie ją wiozą. Na widok Sludiga poczuła ogromną ulgę i dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona.

Kołysząc się w rytm wozu, próbowała odegnać zmęczenie. Z góry drogą zbiegały im naprzeciw dzieci. Znalazłszy się przy wozie, biegły za nim, pokrzykując wesoło.

Zanim dotarli na szczyt wzgórza, zebrał się tam już ogromny tłum. Miriamele poczuła się nieomal przytłoczona takim morzem ludzi; dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy opuścili zatłoczone ulice Kwanitupulu, i teraz nie potrafiła spojrzeć jednocześnie na tyle pełnych oczekiwania, napiętych twarzy. Oparła się o Isgrimnura i zamknęła oczy.

Kiedy znaleźli się na samym szczycie, twarze stały się znajome. Przy pomocy Sludiga zsiadła z wozu i wpadła wprost w objęcia Josui, który przytulił ją prawie tak samo mocno jak Isgrimnur Sludiga. Po chwili odsunął ją na odległość ramienia i przyjrzał jej się uważnie. Był jeszcze szczuplejszy niż w chwili, kiedy widziała go po raz ostatni, ubrany w szary, jak zwykle, ale dziwny, wiejski strój. Jej serce otworzyło się nieco szerzej, wpuszczając ból i radość.

– Zbawca wysłuchał moich modlitw – powiedział książę. Jego twarz, choć chuda i mizerna, bez wątpienia mówiła, że cieszy się na jej widok. – Witaj z powrotem, Miriamele.

Potem pojawiło się więcej twarzy: Vorzheva, ubrana w dziwny, podobny do namiotu strój, harfiarz Sangfugol, a nawet mały Binabik, który najpierw złożył z figlarnym uśmiechem na ustach dworski ukłon, zanim ujął jej dłoń w swe małe palce. Dostrzegła też inną, dziwnie znajomą postać. Miała brodę, pukiel białych włosów na rudej czuprynie i jasną bliznę na policzku. Człowiek ten przyglądał się, jakby chciał zapamiętać jej twarz, by kiedyś móc wyrzeźbić ją w kamieniu.

Potrzebowała długiej chwili.

– Simon? – spytała wreszcie.

W jednej chwili jej zdumienie zmieniło się w dziwną gorycz: tyle razy została oszukana! Świat się zmienił, gdy tymczasem ona była zajęta gdzie indziej. Simon nie był już chłopcem. Jej przyjaciel odszedł, a jego miejsce zajął ten wysoki młodzieniec. Czy nie było jej aż tak długo?

Usta nieznajomego poruszały się, lecz dopiero po jakimś czasie dotarły do niej jego słowa. Głos Simona brzmiał teraz bardziej doniośle:

– Cieszę się, że wróciłaś bezpiecznie, księżniczko. Bardzo się cieszę.

Wlepiała w niego swój wzrok, aż poczuła piekące łzy. Świat wydawał się wywrócony do góry nogami.

– Proszę – powiedziała, odwracając się szybko do Josui – ja chyba... chyba muszę się położyć. – Nie widziała już, jak były podkuchenny schylił głowę, jakby został odesłany do kąta.

– Oczywiście – odparł zatroskany wuj. – Oczywiście. Zaraz się położysz. A potem urządzimy wielką dziękczynną ucztę!

Miriamele skinęła głową i pozwoliła Vorzhevie poprowadzić się w kierunku miasta łopoczących namiotów. Z tyłu Isgrimnur wciąż ściskał zapłakaną i chichoczącą żonę.

22. Szepty wśród kamieni

WODA WYPŁYWAŁA Z OGROMNEJ SZCZELINY, rozbryzgując się na bazaltowej półce, przelewała przez jej krawędź i spływała w dół. Pomimo swej siły wodospad pozostawał prawie niewidoczny w ciemnej jaskini, oświetlonej tylko kilkoma żarzącymi się kamieniami umieszczonymi w ścianach. Ta niewiarygodnie wysoka jaskinia nosiła nazwę *Yakh Huyeru*, co znaczyło Drżąca Komnata. Choć nazwę tę nadano z innego powodu, to rzeczywiście wydawała się drżeć, gdyż *Kiga'rasku*, Wodospad Łez, spływał nieustannie na jej dno. Wodospad płynął bardzo cicho albo z powodu osobliwego echa w jaskini, albo też dlatego, że była tak niesłychanie głęboka. Niektórzy z mieszkańców góry szeptem opowiadali, że Kiga'rasku nie ma dna, że jego woda przelatuje przez dno ziemi i leje się nieustannie do czarnej otchłani Pomiędzy.

Stojąc na krawędzi przepaści, Utuk'ku wydawała się zaledwie srebrzystobiałym okruchem na tle ściany czarnej wody. Jej jasne szaty powiewały poruszane wiatrem wzbudzanym przez wodospad. Opuściła twarz skrytą za maską, jakby chciała dojrzeć dno Kiga'rasku, lecz w tej chwili nie widziała potężnego strumienia wody, tak samo jak nie widziała słońca sunącego nad szczytem góry, za grubym na setki łokci kamieniem Burzowej Góry.

Utuk'ku rozmyślała.

W misternym planie, który zaczęła snuć tak dawno temu, pojawiły się dziwne i niepokojące zmiany, a przecież rozważała wszystkie możliwości,

modyfikowała plan w miarę rozwoju wydarzeń od tysięcy mrocznych dni. Jedna z tych zmian spowodowała lekkie rozdarcie w sieci myśli. Oczywiście było to do naprawienia – tkanina Utuk’ku była mocna i musiałoby puścić więcej nici, by się zupełnie rozerwała, zagrażając jej długo planowanemu zwycięstwu, ale łatanie dziur wymagało pracy, ostrożności i niezwykłego skupienia, na jakie tylko Najstarsza mogła się zdobyć.

Srebrna Maska odwróciła się wolno, odbijając światło jak księżyc, który właśnie wyłonił się zza chmur. W wejściu do Yakh Huyeru pojawiły się trzy postacie. Stojąca najbliżej klęknęła i zakryła dłońmi oczy; dwie pozostałe uczyniły to samo.

Przyglądając się im i zastanawiając nad zadaniem, które miała im powierzyć, Utuk’ku poczuła przez chwilę żal na wspomnienie straty Ingena Jeggera – ale trwało to tylko chwilę. Utuk’ku Seyt-Hamakha była ostatnią spośród urodzonych w Ogrodzie: przeżyła wszystkich o wiele stuleci nie dlatego, że traciła czas na zbędne emocje. Jegger był gorliwy i ślepo oddany jak najlepszy chart, a do tego posiadał pewne ludzkie cechy odpowiadające jej planom, ale w końcu był tylko narzędziem, czymś, co się wykorzystywało, by potem odrzucić, gdy nie będzie już potrzebne. W swoim czasie okazał się niezastąpiony. Do innych zadań pozostali inni słudzy.

Nornowie, którzy skłonili się przed nią – dwie kobiety i mężczyzna – podnieśli wolno głowy, jakby budzili się ze snu. Ich pani wlała w nich swoje pragnienia, jakby napełniała dzban mlekiem, i teraz dała znak dłonią w rękawicy, by odeszli. Odwrócili się i odeszli, cicho i szybko niczym przemykające o świcie cienie.

Utuk’ku stała jeszcze długo przed ścianą wody, wsłuchana w nieziemskie echa. Wreszcie Królowa Nornów odwróciła się i poszła

wolno w kierunku Komnaty Oddychającej Harfy.

KIEDY ZAJĘŁA SWOJE MIEJSCE PRZY STUDNI, śpiewy dochodzące z głębi Burzowej Góry wzmogły się: Czarni w swój niezgłębiony, nieludzki sposób witali ją z powrotem na oszronionym tronie. Poza Utuk'ku w Komnacie Harfy nie było nikogo, ale wystarczyłaby jedna jej myśl lub drgnienie palca, by pojawiły się lśniące włócznie.

Przyłożyła długie palce do skroni maski wpatrzona w kołyszącą się nad Studnią kolumnę pary. Kontury Harfy wciąż się zmieniały, a ona mieniła się purpurą, żółcią i fioletem. Obecność Inelukiego pozostawała niema. Od dawna już coraz bardziej zamykał się w sobie, czerpiąc siłę z jakiegoś ostatecznego źródła, tak jak płomień świecy żywi się powietrzem. Przygotowywał się do wielkiej próby, która miała nadejść niebawem.

Choć w pewnym sensie czuła ulgę, uwolniwszy się od jego ognistych, przepełnionych złością myśli – myśli, które często nawet dla niej pozostawały niezrozumiałe, które jawiły się jej tylko jako chmura tęsknoty i nienawiści – to jednak na ustach skrytych za maską Królowej Nornów pojawił się wyraz niezadowolenia. Zmartwiła się tym, co zobaczyła w świecie snów; a przecież podjęła pewne kroki. Byłoby pewną ulgą podzielić się myślami z istotą, która skupiła się w sercu Studni, ale nie było to możliwe. Znaczna część Inelukiego miała pozostać nieobecna aż do ostatnich dni, kiedy to wzejdzie Gwiazda Zdobywcy.

Utuk'ku zmrużyła nagle swe bezbarwne oczy. Nieoczekiwanie gdzieś na krawędzi arrasu z siły i snu, którego nici snuły się przez Studnię, coś się poruszyło. Królowa Nornów zwróciła swój wzrok do wewnątrz, sięgając macką umysłu wzdłuż delikatnych nici swojej sieci, macając niezliczone nitki zamiarów, planów i przeznaczenia. Znalazła: jeszcze jedna zerwana nić.

Po jej ustach przemknęło westchnienie, delikatne jak powiew wiatru na skrzydłach nietoperza. Śpiew Czarnych załamał się na moment, gdy wstrząsnęła nią fala irytacji, lecz po chwili głosy znowu podjęły śpiew, pusty i pełen triumfu. To tylko ktoś manipulował jednym z Wielkich Świadków, jakiś młokos, choć z rodu Amerasu, Urodzonej Na Statku. Ukarze szczeniaka. I tę szkodę da się naprawić. Będzie to wymagało jeszcze trochę koncentracji, jeszcze więcej skupienia, ale szkoda zostanie naprawiona. Królowa Nornów była zmęczona, ale nie aż tak bardzo.

Minęło już pewnie tysiąc lat od chwili, kiedy uśmiechnęła się po raz ostatni, ale gdyby pamiętała, jak się to robi, z pewnością uśmiechnęłaby się teraz. Nawet najstarsi spośród Hikeda'ya nie znali innej pani poza Utuk'ku. Niektórzy z nich uważali nawet – co można im wybaczyć – że nie jest ona żywą istotą, lecz jako stworzenie Króla Burz jest cała z lodu, czarów i nieskończonej złośliwości. Ale Utuk'ku wiedziała, co robi. Choć tysiącletnie życia niektórych jej przodków stanowiły zaledwie cząstkę jej życia, to pod trupio bladymi szatami i srebrzystą maską kryła się żywa kobieta. W jej pradawnym ciele wciąż biło serce – powolne i silne, jak ślepy stwór pełzający po dnie głębokiego, niemego oceanu.

Była zmęczona, ale wciąż nieugięta, wciąż silna. Od tak dawna planowała to, co miało niebawem nadejść, że nawet oblicze ziemi nad jej głową zdążyło się zmienić dotknięte dłonią Czasu, a ona wciąż czekała. Doczeka się dnia zemsty.

Światła Studni migotały na pustej, metalowej twarzy, którą pokazywała światu. Może w chwili ostatecznego triumfu, pomyślała, przypomni sobie, co to jest uśmiech.

ACH, NA ŚWIĘTY GAJ – POWIEDZIAŁ JIRIKI. – To rzeczywiście jest Mezutu'a, Srebrzysty Dom. – Uniósł pochodnię wyżej. – Nigdy go jeszcze nie

widziałem, ale istnieje o nim tyle pieśni, że wydaje mi się, iż znam wszystkie wieże, mosty i ulice, jakbym się tutaj wychowywał.

– Nie byłeś tutaj? Myślałem, że to twoi ludzie wybudowali to miasto. – Eolair odsunął się od krawędzi schodów.

Poniżej leżało ogromne miasto, wspaniały labirynt pogrążonego w cieniu kamienia.

– Owszem, częściowo, ale ostatni Zida'ya opuścili to miejsce na długo przed tym, jak się urodziłem. – Jiriki otworzył szeroko oczy, jakby nie mógł oderwać wzroku od dachów podziemnego miasta. – Kiedy losy nasze i Tinukeda'ya rozdzieliły się, Jenjiyana z rodu Słowików oznajmiła w swej mądrości, że powinniśmy przekazać to miejsce Dzieciom Żeglarza, spłacając częściowo dług, jaki byliśmy im winni. – Zmarszczył brwi i pokręcił głową; rozpuszczone włosy rozsypały się na jego ramionach. – Przynajmniej Dom Tańczącego Roku pamiętał, co to jest honor. Dała im też leżące na północy Hikehikayo, a także oblane morzem Jhina-T'senei, które dawno już zniknęło w głębinach wód.

Eolair starał się nie pogubić w licznych nazwach.

– Twoi ludzie przekazali to miejsce Tinukeda'ya? – spytał. – Stworzeniom, które my nazywamy *domhaini*? Karlakom?

– Niektórych z nich tak nazwano – odparł Jiriki. Skierował wzrok na hrabiego. – To nie są „stworzenia", hrabio Eolairze. Pochodzą z Utraconego Ogrodu, podobnie jak my. Popełniliśmy błąd, uważając ich za kogoś gorszego od nas. Chciałbym teraz uniknąć tego błędu.

– Nie miałem nic złego na myśli – powiedział Eolair. – Ale spotkałem ich, jak już ci opowiadałem. Byli... dziwni. Ale bardzo dla nas uprzejmi.

– Dzieci Oceanu zawsze były łagodne. – Jiriki zaczął schodzić po schodach. – Dlatego chyba moi ludzie ich sprowadzili; wiedzieli, że będą uległymi sługami.

Eolair ruszył za Sithą. Jiriki poruszał się niezwykle szybko i pewnie, idąc tak blisko krawędzi schodów, jak nigdy nie odważyłby się Eolair, i w ogóle nie patrzył pod nogi.

– Dlaczego powiedziałeś, że „niektórych z nich tak nazwano?” – spytał Eolair. – Czy istnieli Tinukeda’ya, którzy nie byli karlakami?

– Tak. Ci, którzy tutaj mieszkali. Karlaki, jak je nazywacie, stanowili mniejszą grupę, jaka odłączyła się od głównego plemienia. Pozostała część ludu Ruyana trzymała się blisko wody, gdyż ocean zawsze był drogi ich sercom. Wielu z nich zostało „morskimi stróżami”, jak nazwali ich śmiertelnicy.

– Mówisz o Niskach? – Eolair spotkał wielu stróżów morza w czasie swoich licznych podróży po południowych wodach. – Oni wciąż żyją. Ale wcale nie są podobni do karlaków!

Jiriki zwolnił nieco, by poczekać na hrabiego.

– To właśnie okazało się błogosławieństwem, ale i przekleństwem Tinukeda’ya. Z czasem zmienili się, by lepiej przystosować do miejsca, w którym zamieszkali: ich krew i kości posiadają pewne możliwości zmiany. Myślę, że gdyby świat miał zginąć w płomieniach ognia, jedynymi istotami, które by przeżyły, byłyby właśnie Dzieci Oceanu. Za jakiś czas potrafiłyby zjadać dym i pływać w gorącym popiele.

– To jest zadziwiające – powiedział Eolair. – Yis-fidri i jego towarzysze wydawali się tak bojaźliwi. Kto by pomyślał, że są zdolni do czegoś takiego?

– Na południowych bagnach żyją jaszczurki, które potrafią zmieniać ubarwienie, by upodobnić się do pnia lub liścia, na których siedzą – rzekł Jiriki uśmiechnięty. – One też są bojaźliwe. Nie widzę nic dziwnego w tym, że najbardziej bojaźliwe istoty potrafią się najlepiej chować.

– Ale dlaczego karlaki tak bardzo się was boją, skoro daliście im to miejsce? Kiedy przyszliśmy tutaj z lady Maegwin po raz pierwszy, obawiały się, że jesteśmy waszymi sługami i przyszliśmy, by ich stąd wyciągnąć.

Jiriki zatrzymał się. Przez chwilę wydawało się, że coś w dole przykuło jego uwagę. Kiedy odwrócił się do Eolaira, nawet obce rysy nie potrafiły ukryć wyrazu bólu, jaki pojawił się na jego twarzy.

– Mają rację, że się boją, hrabio Eolairze. Mądra Amerasu, która niedawno od nas odeszła, powiedziała, że powinniśmy się wstydzić za to, w jaki sposób ich traktowaliśmy. Nie obeszliśmy się z nimi dobrze, skrywaliśmy przed nimi rzeczy, które powinni byli wiedzieć... ponieważ sądziliśmy, że będą lepszymi sługami, jeśli pozostaną w nieświadomości. Kiedy Jenjiyana, pani Domu Tańczącego Roku, przekazała im to miejsce w odległej przeszłości, sprzeciwiło jej się wielu spośród Rodów Świtu. Niektórzy z nich do dzisiaj uważają, że dzieci Ruyana powinny pozostać naszymi sługami. Tak więc karlaki mają prawo się bać.

– Nic z tego, co mówisz, nie znalazło się w naszych legendach o twoim ludzie – powiedział Eolair. – Namalowałeś smutny i ponury obraz, książę Jiriki. Dlaczego mi o tym wszystkim opowiadasz?

Sitha ruszył znowu po kruszących się schodach.

– Ponieważ ta era niebawem przeminie, hrabio Eolairze. Co nie znaczy, że nadejdą szczęśliwsze dni, chociaż zawsze jest jakaś nadzieja. Ale na dobre czy na złe, ta era się kończy.

Poszli w dół w milczeniu.

EOLAIR PROWADZIŁ JIRIKIEGO PRZEZ KRUSZĄCE SIĘ MIASTO, przypominając sobie szczegóły swojej pierwszej wizyty, choć sądząc po niecierpliwości Sithy, którą ten starał się maskować swoją uprzejmością, równie dobrze

mógłby poprowadzić go Jiriki. Kiedy szli przez rozbrzmiewające echem puste ulice, Eolair po raz kolejny odniósł wrażenie, że Mezutu'a przypomina bardziej królikarnię bojaźliwych, lecz przyjaznych stworzeń niż miasto. Tym razem, mając w pamięci słowa Jirikiego o oceanie, ujrzał je jako koralowy ogród, o niezliczonych domach wyrastających jedne z drugich, ziejących otworami pustych drzwi i tuneli, o wieżach połączonych kamiennymi przejściami cienkimi jak szkło. Zastanawiał się, czy karlaki tęskniły za morzem, czy dlatego całe miasto i dodatkowe budowle – nawet w tej chwili Jiriki wskazywał na coś, co zostało dodane do oryginalnych zabudowań Mezutu'a – stopniowo zamieniały się w podmorską grotę osłoniętą przed słońcem kamieniem, a nie błękitną wodą.

Kiedy wreszcie wynurzyli się z tunelu ozdobionego rzeźbami wyrytymi w żywej skale i stanęli na ogromnej kamiennej arenie, wokół Jirikiego roztoczył się nimb jasnego, kredowego światła. Wpatrzony w środek areny Sitha uniósł dłonie na wysokość ramion i wykonał ostrożny gest, zanim przesunął się do przodu, lecz wszystkie jego ruchy były niezwykle płynne i szybkie.

Ogromny Czerep wciąż stał na środku wielkiej misy, pulsując różnokolorowym, zmieniającym się światłem. Znajdujące się dookoła ławki były puste, podobnie jak cała arena.

– Yis-fidri! – zawołał Eolair. – Yis-hadra! To ja, Eolair, hrabia Nad Mullach! – Jego głos wzniósł się nad areną i odbił echem od ścian rozległej jaskini. Nikt nie odpowiedział. – To ja, Eolair, Yis-fidri! Wróciłem!

Kiedy i tym razem nikt nie odpowiedział, nie rozległy się niczyje kroki i nie zaświeciło światło krystalicznych pałeczek karlaków, Eolair zszedł do Jirikiego.

– Tego się obawiałem – powiedział hrabia. – Bałem się, że znikną, kiedy ciebie przyprowadzę. Mam tylko nadzieję, że nie opuścili miasta na dobre. Pewnie uważają mnie za zdrajcę, który sprowadził jednego z ich dawnych panów.

– Być może. – Jiriki wydawał się zamyślony, napięty. – Na moich przodków! – szepnął. – Stoję przed Czerepem Mezutu’a...! Czuję jego śpiew!

Eolair przybliżył dłonie do mlecznego kamienia, lecz poczuł jedynie nieco cieplejszy prąd powietrza.

Jiriki także przysunął dłonie do kamienia, lecz go nie dotknął, zatrzymując je tuż nad jego powierzchnią, jakby objął coś niewidzialnego, coś, co miało kształt kamienia, lecz było większe od niego. Kamień rozjarzył się nieco mocniejszym światłem, jakby to, co pływało w jego wnętrzu, zbliżyło się do jego powierzchni. Jiriki obserwował zmieniające się kolory; wciąż nie dotykając kamienia, przesuwał dłonie wokół niego niczym w rytualnym tańcu.

Upłynęło dużo czasu, aż Eolair poczuł, że zaczynają boleć go nogi. Wreszcie usiadł na jednej z kamiennych ławek. Na plecach i szyi poczuł prąd zimnego powietrza, jaki przebiegał nad areną. Szczelniej otulił się płaszczem i obserwował Jirikiego, który wciąż stał przed migocącym kamieniem, zatopiony w niemym transie.

Eolair, mocno już znudzony, zaczął bawić się warkoczem swoich ciemnych włosów. Trudno było powiedzieć, ile upłynęło czasu od momentu, kiedy Jiriki podszedł do kamienia, lecz hrabia zdawał sobie sprawę, że nie była to chwila. Eolair znany był ze swojej cierpliwości i nawet w tych tak szalonych czasach trudno było sprawić, by ją stracił.

Nagle Sitha drgnął i odsunął się od kamienia. Zachwiał się i odwrócił do Eolaira. W jego spojrzeniu pojawił się blask, który nie był tylko

odbiciem światła kamienia.

– Mówiący Ogień – powiedział Jiriki.

Eolair patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– O czym mówisz?

– Mówiący Ogień w Hikehikayo. To jeszcze jeden Świadek, Wielki Świadek, podobnie jak Czerep. W pewnym sensie znajduje się bardzo blisko, nie chodzi mi o odległość. Nie mogę po prostu potrząsnąć Czerepem i zwrócić go na inne rzeczy.

– Na jakie inne rzeczy chciałbyś go zwrócić?

Jiriki pokręcił głową. Jeszcze raz spojrzał szybko na kamień, zanim zaczął mówić.

– Trudno mi to wyjaśnić, hrabio Eolairze. Pozwól, że powiem to inaczej: gdybyś zgubił się we mgle, a potem znalazł drzewo, na które mógłbyś się wspiąć, by rozejrzeć po okolicy, czy nie zrobiłbyś tego?

Eolair przytaknął mu.

– Oczywiście, ale wciąż chyba cię nie rozumiem.

– To proste. Od niedawna my, którzy zwykliśmy chadzać Ścieżką Snów, nie możemy tego robić, jakby opadła nagle mgła i ktoś bał się oddalać od domu, chociaż istnieje taka potrzeba. Świadkowie, którymi ja mogę się posługiwać, posiadają mniejszą moc, nie ma z nich wielkiego pożytku, chyba że ktoś posiada taką siłę i wiedzę jak nasza Pierwsza Babka. Czerep Mezutu’a jest Wielkim Świadkiem: myślałem o tym, żeby go odszukać, zanim jeszcze opuściliśmy Jao e-Tinukai’i, ale właśnie odkryłem, że nie wiadomo dlaczego, nie mogę go używać. Tak jakbym wspiął się na drzewo, o którym mówiłem, i stwierdził, że nade mną na samym jego czubku jest już ktoś inny, kto nie pozwala mi rozejrzeć się dookoła.

– Jirirki, obawiam się, że wszystko to jest zbyt tajemnicze dla takiego śmiertelnika jak ja, choć wydaje mi się, że częściowo rozumiem, o czym

mówisz. – Eolair zastanawiał się przez chwilę. – Innymi słowy, chciałbyś wyjrzeć przez okno, ale ktoś zasłonił je z drugiej strony. Czy tak?

– Tak. Dobrze to ująłeś. – Jiriki uśmiechnął się, lecz Eolair dostrzegł na jego twarzy zmęczenie. – Ale nie odejdę stąd, dopóki nie spróbuję wyjrzeć przez to okno tyle razy, na ile starczy mi sił.

– Zaczekam na ciebie. Tylko że przynieślimy mało jedzenia i picia, a poza tym nie wiem jak twoi ludzie, ale moi będą mnie niebawem potrzebowali.

– Co do jedzenia i picia – powiedział Jiriki zamyślony – to możesz wziąć moje. – Ponownie odwrócił się w stronę Czerepu. – Kiedy uznasz, że czas wracać, powiedz mi, ale mnie nie dotykaj, dopóki ci nie powiem, że możesz to zrobić. Nie wiem dokładnie, co mam czynić, dlatego bezpieczniej będzie, żebyś mnie zostawił samemu sobie, bez względu na to, co może się wydarzyć.

– Nie zrobię niczego, jeśli mnie o to nie poprosisz – obiecał Eolair.

– Dobrze. – Jiriki uniósł dłoń i znowu zaczął wykonywać koliste ruchy wokół kamienia.

Hrabia westchnął i oparł się o kamienną ławkę, próbując znaleźć w miarę wygodną pozycję.

EOLAIR OBUDZIŁ SIĘ Z DZIWNEGO SNU – uciekał przed ogromnym kołem, które było wielkie jak wzgórze, chropowate i potrzaskane niczym krokwie starego sufitu – i natychmiast zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Światło kamienia było teraz jaśniejsze, pulsowało jak serce, lecz przybrało niezdrowy, niebieskawozielony odcień. Powietrze w całej jaskini było naładowane jak przed burzą i wszędzie unosił się zapach jak po uderzeniu pioruna.

Jiriki wciąż stał przed migocącym Czerepem podobny do pyłku na morzu oślepiającego światła, lecz nie tkwił już nieruchomo jak tancerz Mirchy przygotowujący się do modlitwy o deszcz: teraz jego kończyny były powyginane, a głowa odrzucona do tyłu, jakby czyjaś niewidzialna dłoń próbowała wycisnąć z niego życie. Eolair zerwał się zaniepokojony, lecz niepewny, co ma robić. Sitha zabronił mu się dotykać bez względu na wszystko, lecz kiedy hrabia zbliżył się na tyle, by zobaczyć twarz Jirikiego – prawie niewidoczną w morzu oślepiającej jasności – poczuł ucisk w sercu. Z pewnością tego Jiriki nie planował!

Złociste oczy Sithy były prawie zupełnie wywrócone, tak że pod powiekami pozostały widoczne tylko niewielkie księżyce białek. Zęby wyszczerzył w grymasie osaczonego zwierzęcia, a żyły na jego czole i szyi nabrzmiały tak bardzo, jakby za chwilę miały wyskoczyć spod skóry.

– Książę Jiriki! – zawołał Eolair. – Jiriki, słyszysz mnie?

Usta Sithy rozchyliły się nieco. Z jego gardła wydobył się przeciągły, głuchy okrzyk, który odbił się echem od ścian jaskini, okrzyk zupełnie niezrozumiały, lecz bez wątpienia niosący tyle bólu i strachu, że choć Eolair zakrył uszy dłońmi, jego serce zabiło mocniej, przepełnione pełnym współczucia strachem. Wyciągnął ostrożnie dłoń w kierunku Sithy i ze zdumieniem zobaczył, jak podnoszą się na niej włosy, poczuł mrowienie.

Hrabia Eolair zastanawiał się jeszcze tylko przez chwilę. Wymyślając sobie w duchu od głupców, odmówił szybko modlitwę do Cuamha, Ziemskiego Psa, po czym zrobił krok do przodu i chwycił Jirikiego za ramiona.

Gdy tylko jego palce dotknęły Sithy, poczuł nagle ogromną siłę, która opadła na niego znikąd, rwący prąd strachu, krwi i pustych głosów, które przelatywały przez niego, porywając jego myśli niczym garstkę liści. Lecz w tej krótkiej chwili, zanim jego dusza została porwana w nicość, ujrzał

jeszcze swoje dłonie chwytające Sithę, który pod naporem ciężaru ciała Eolaira osunął się na Czerep. Jiriki dotknął kamienia. Snop iskier poleciał w górę; milion jaśniejszych niż niebieskawozielone światło kamienia iskierek zatańczyło w powietrzu niczym dusze świetlików całego świata. A potem na wszystko opadła ciemność. Eolair poczuł, że opada, opada, leci jak kamień rzucony w bezdenną przepaść...

ŻYJESZ. – W GŁOSIE JIRIKIEGO ZABRZMIAŁA ULGA.

Eolair otworzył oczy i zobaczył jasny, niewyraźny kształt, który niebawem zmienił się w twarz Jirikiego. Chłodne dłonie Sithy spoczywały na jego skroniach.

Eolair odsunął jego ręce. Sitha cofnął się, pozwalając mu usiąść; Eolair poczuł niejasną wdzięczność za to, że Jiriki pozwolił mu to zrobić samemu, chociaż potrzebował dużo czasu, by uspokoić drżące ciało. W głowie czuł potworne dudnienie, jakby ktoś uderzał z całej siły w kocioł Rhynna, wzywając do bitwy. Musiał zamknąć na chwilę oczy, by nie zwymiotować.

– Ostrzegałem cię, żebyś mnie nie dotykał – powiedział Jiriki, lecz w jego głosie nie było nagany. – Przykro mi, że musiałeś tyle wycierpieć z mojego powodu.

– Co... co się stało?

Jiriki pokręcił głową. Poruszał się jakby nieco sztywniej, ale Eolair i tak patrzył na niego z podziwem, pamiętając, że przecież Sitha znosił o wiele dłużej to, co on czuł tylko przez chwilę.

– Sam nie jestem pewien – odparł Jiriki. – Coś nie chciało, abym wszedł na Ścieżkę Snów albo żebym używał Czerepu, coś, co posiadało o wiele większą moc i wiedzę ode mnie. – Skrzywił się, błyskając białymi zębami. – Słusznie ostrzegałem Seomana przed Ścieżką Snów. Sam chyba też powinienem słuchać własnych rad. Likimeya, moja matka, będzie zła.

– Myślałem, że umierasz – jęknął Eolair. Miał wrażenie, jakby ktoś podkuwał konia wewnątrz jego głowy.

– Gdybyś mnie nie wyciągnął, to chyba czekałoby mnie coś gorszego niż śmierć. – Nagle się roześmiał. – Jestem ci winien Staja Ame, hrabio Eolairze, Białą Strzałę. Niestety, moją ma już ktoś inny.

Eolair przewrócił się na bok i spróbował wstać. Próbował kilkakrotnie, aż wreszcie przy pomocy Jirikiego, której tym razem już nie odtrącał, udało mu się podnieść. Czerep znowu wydawał się spokojny, migocąc matowym światłem na środku pustej areny i rzucając cienie za kamiennymi ławkami.

– Białą Strzałę? – spytał. Bolała go głowa, a jeszcze bardziej mięśnie, jakby przeciągnięto go za wozem z Hernysadharc do Crannhyru.

– Kiedyś ci to wyjaśnię – odpowiedział Jiriki. – Muszę nauczyć się żyć z tymi zniewagami.

Ruszyli obaj w kierunku tunelu, którym dotarli na arenę. Eolair kulał, Jiriki szedł pewniejszym krokiem, lecz także wolno.

– Zniewagami? – spytał powtórnie Eolair. – O czym mówisz?

– O tym, że znowu uratował mnie śmiertelnik. To już staje się moim nawykiem.

Odgłos ich niepewnych kroków odbijał się echem i ulatywał wysoko w ciemność jaskini.

CHODŹ, KICI, KICI. Chodź już, złośniku.

Rachel poczuła się nieco zawstydzona. Nie była pewna, jak się mówi do kota; przedtem koty obchodziły ją o tyle, o ile zmniejszały populację szczurów, a wszystkie te pieszczoty i karmienia zostawiała pokojówkom. Obdarowywanie pieszczotami i przysmakami nie należało do jej obowiązków, nie udzielała ich żadnym ze swych podopiecznych, ani tym

dwunogim, ani czteronogim. Ale teraz czuła tego potrzebę – choć z pewnością głupią – i dlatego tak się poniżała.

„Dzięki niech będą miłościwemu Aedonowi, że nie widzi mnie żadne ludzkie stworzenie”.

– Kici, kici. – Rachel pomachała kawałkiem solonej wołowiny. Przesunęła się odrobinę do przodu, nie zważając na ból w plecach i szorstki kamień, jaki znalazł się pod jej kolanem. – Chcę cię nakarmić, ty, niech-Rhiappa-ma-nas-w-opiece, paskudo. – Zmarszczyła czoło i jeszcze raz pomachała kawałkiem mięsa. – Najlepiej bym zrobiła, gdybym cię ugotowała.

Ale kot, który stał na środku korytarza, tuż poza zasięgiem ramienia Rachel, wiedział, że nie należy traktować tej pogróżki poważnie. Nie dlatego, że Rachel miała miękkie serce – chciała tylko, by kot wziął mięso, gdyby nie to, przejechałaby miotłą po jego grzbiecie – ale dlatego, że jedzenie kociego mięsa było dla Rachel równie niepojęte jak wskoczenie na ołtarz kościelny. Nie potrafiła tak naprawdę powiedzieć, czym kocie mięso różni się od mięsa królika albo jelenia, ale nie potrzebowała tego wiedzieć. Wystarczyło jej, że przyzwoici ludzie nie jadali kotów.

A jednak przez ostatni kwadrans kilkakrotnie się zastanawiała, czy nie poczęstować kopniakiem krnąbrnego stworzenia i nie spuścić go po stromych schodach, a potem zająć się czymś, co nie wymagało obecności zwierząt. Ale najbardziej irytowało ją to, że ten pomysł nie nadawał się do zastosowania.

Rachel spojrzała na swe drżące ramię i potłuszczone palce. I wszystko po to, by pomóc potworowi?

„Wariujesz, kobieto. Wariujesz”.

– Kici, kici...

Szary kot zbliżył się o krok i zatrzymał, przyglądając się Rachel podejrzliwie. Rachel odmówiła w duchu modlitwę do Elysii i spróbowała podsunąć mu kawałek mięsa. Kot podszedł ostrożnie, poruszył nosem i polizał mięso. Przez chwilę udawał, że ma zamiar zająć się myciem swoich wąsów, ale jednocześnie jakby nabrał odwagi. Chwyciwszy zębami mięso, odgryzł kawałek, cofnął się, by je pogryźć, a potem znowu się przysunął. Rachel zbliżyła wolną dłoń i pogłaskała grzbiet kota. Drgnął, lecz kiedy ona nie uczyniła żadnego gwałtownego gestu, pozostał na miejscu i zjadł ostatni kawałek. Przesuwała palcami po futrze, gdy tymczasem kot obwąchiwał jej pustą już dłoń. Rachel podrapała go za uchem, dzielnie odpędzając myśli o uduszeniu małego stworzenia. Kiedy wreszcie usłyszała zadowolone mruczenie, wstała z kolan.

– Jutro – powiedziała. – Jutro będzie więcej mięsa. – Odwróciła się i poszła ciężko korytarzem do swojej kryjówki. Kot obserwował, jak odchodzi, potem obwąchał kamienną podłogę w poszukiwaniu ewentualnych resztek, jakie mogła zgubić, i usiadłszy, zaczął się myć.

JIRIKI I EOLAIR WYSZLI W ŚWIATŁO DZIENNE, mrugając jak krety. Hrabia żałował, że wybrał właśnie to wejście do podziemnych kopalń, tak bardzo oddalone od Hernysadharc. Gdyby weszli tam przez jaskinie, w których schronili się Hernystirczycy, tak jak zrobili to z Maegwin za pierwszym razem, mogliby spędzić noc w jednej z nich, co zaoszczędziłoby im długiej podróży konnej.

– Nie wyglądasz dobrze – zauważył Sitha, pewnie nie bez racji.

Głowa już tak nie bolała Eolaira, ale wciąż dokuczał mu okropny ból mięśni.

– Nie czuję się dobrze. – Hrabia rozejrzał się dookoła. Na ziemi leżało jeszcze trochę śniegu, ale pogoda i tak znacznie się poprawiła w ciągu

ostatnich kilku dni. Kusząca była myśl o pozostaniu tutaj i wyruszeniu do Taig dopiero rano. Zmrużywszy oczy, spojrzał na słońce. Dopiero wczesne popołudnie: wydawało mu się, że spędzili pod ziemią znacznie więcej czasu... jeśli to był wciąż ten sam dzień. Uśmiechnął się kwaśno na myśl o tym. Chyba jednak lepsza bolesna jazda do Taig niż noc na mimo wszystko zimnym pustkowiu.

Ich konie, gniady wałach Eolaira i biały rumak Jirikiego z grzywą ustrojoną piórami i dzwoneczkami, skubały skąpą trawę, uwiązane na długich pętach. Potrzebowali zaledwie kilku chwil, by przygotować je do drogi, i zaraz obaj, człowiek i Sitha, odjechali na południowy wschód w kierunku Hernysadharc.

– Powietrze jest inne – zawołał Eolair. – Czujesz to?

– Tak. – Jiriki uniósł dłoń niczym polujące zwierzę, które bada wiatr. – Ale nie wiem, co to może znaczyć.

– Mnie wystarczy, że się ociepliło.

ZANIM DOJECHALI NA SKRAJ HERNYSADHARC, słońce skryło się już za górą Grianspog i niebo nad horyzontem straciło swój rdzawy kolor. Jechali obok siebie Traktem Taig, omijając dość licznych pieszych i przejeżdżające wozy. Na widok oznak życia powracającego do jego miasta Eolair zapomniał trochę o bólu. Daleko jeszcze było do normalności i ludzie wciąż patrzyli spojrzeniem wygłodniałych i zalęknionych istot, ale przynajmniej poruszali się swobodnie po swojej ziemi. Wydawało się, że wielu z nich wraca z targu: mocno ściskali swoje zdobycze, nawet jeśli była to tylko garść cebuli.

– Czego więc się dowiedziałeś? – odezwał się wreszcie Eolair.

– Od Czerepu? I dużo, i mało. – Jiriki dostrzegł minę hrabiego i roześmiał się. – Przypominasz mi teraz mojego przyjaciela, Seomana

Śnieżnowłosego! Tak, my, Dzieci Świtu, rzeczywiście rzadko kiedy dajemy jasną odpowiedź.

– Seomana?

– Wy nazywacie go, zdaje się, Simonem. – Jiriki skinął głową; wiatr rozwiał jego mlecznobiałe włosy. – Dziwny trochę młodzieniec, ale bardzo dzielny i dobroduszny. Jest też mądry, chociaż to ukrywa.

– Chyba go znam. Jest z Josuą Bezrękim na Kamieniu – na Ses...sesu... – Machnął ręką, starając się przypomnieć sobie nazwę wzgórza.

– *Sesuad'ra*. Tak, to on. Owszem, jest młody, ale został pochwycony w bieg wydarzeń i chyba nie przypadkiem. Myślę, że odegra ważną rolę. – Jiriki spojrzał na wschód, jakby spodziewał się zobaczyć tam Simona. – Amerasu, nasza Pierwsza Babka, zaprosiła go do swojego domu, a to jest wielki zaszczyt.

Eolair pokręcił głową.

– Kiedy go spotkałem, wydawał się wyrośniętym i trochę niezdarnym młodzieńcem, ale od dawna już nie wierzę w pozory.

Jiriki uśmiechnął się.

– A zatem płynie w tobie wiele starej, hernystirskiej krwi. Pozwól teraz, że się zastanowię nad tym, czego dowiedziałem się od Czerepu. Potem pójdziemy razem do Likimeyi i oboje usłyszycie, co mam do powiedzenia.

Kiedy wjeżdżali na Wzgórze Herna, Eolair dostrzegł postać idącą wolno przez mokrą trawę. Uniósł dłoń.

– Zaczekaj chwilę, proszę. – Podał Jirikiemu cugle i zsiadłszy z konia, poszedł w stronę postaci, która schylała się co kilka kroków, jakby zbierała kwiaty. Za nią stado ptaków opadało na ziemię i wzbijało w powietrze, trzepocząc skrzydłami.

– Maegwin? – zawołał Eolair. Nie zatrzymała się, więc przyśpieszył kroku, by ją dogonić. – Maegwin – powiedział, kiedy stanął obok niej. –

Czy dobrze się czujesz?

Córka Llutha odwróciła się i spojrzała na niego. Miała na sobie ciemny płaszcz, ale pod spodem widać było jasnożółtą suknię. Jej pas zdobiła klamra w kształcie słonecznika z kutego złota. Wyglądała bardzo ładnie i przepełniał ją spokój.

– Hrabia Eolair – przemówiła cicho i uśmiechnęła się, a potem zaraz pochyliła i wysypała na ziemię garść nasion.

– Co robisz?

– Sieję kwiaty. Długa zima wyniszczyła nawet Niebiańskie Kwiecie. – Zatrzymała się i znowu rzuciła garść nasion. Z tyłu ptaki sprzeczały się głośno o zdobycze.

– O czym mówisz, jakie Niebiańskie Kwiecie?

Podniosła wzrok i spojrzała na niego uważnie.

– Co za dziwne pytanie. Pomyśl tylko, Eolairze, jakie piękne kwiaty wyrosną z tych nasion. Pomyśl, jak będzie pięknie, kiedy ogrody bogów znowu zakwitną.

Eolair patrzył na nią przez chwilę bezradnie. Maegwin szła przed siebie, rozsypując nasiona. Ptaki, wciąż nienasycone, nie odstępowały jej.

– Ale przecież jesteś na Wzgórzu Herna – powiedział. – Jesteś w Hernysadharc, w miejscu, gdzie się urodziłaś i wychowałaś!

Maegwin zatrzymała się i poprawiła swój płaszcz.

– Źle wyglądasz, Eolairze. A to niedobrze. Nikt nie powinien chorować w takim miejscu.

Jiriki szedł przez trawę, prowadząc konie. Zatrzymał się w pewnej odległości, by nie przeszkadzać w rozmowie.

Ku zaskoczeniu Eolaira Maegwin odwróciła się do Sithy i przyklękła dworskim zwyczajem.

– Witaj, Bryniochu! – zawołała i wstając, wskazała na czerwone zachodnie niebo. – Jakim pięknym uczyniłeś dzisiaj niebo. Dziękuję ci, Świetlisty.

Jiriki nic nie odpowiedział, lecz skierował na Eolaira spokojne spojrzenie kociej ciekawości.

– Czy nie wiesz, kto to jest? – hrabia spytał Maegwin. – To jest Jiriki, Sitha. On nie jest bogiem, a tylko jednym z tych, którzy uratowali nas przed Skalim. – Kiedy w odpowiedzi otrzymał jedynie pobłażliwy uśmiech, przemówił donioślejszym głosem: – Maegwin, to nie jest Brynioch. Nie jesteś wśród bogów. To jest Jiriki, nieśmiertelnik, ale z krwi i kości, podobnie jak my.

Maegwin uśmiechnęła się porozumiewawczo do Sithy.

– Mój panie, Eolair jest chyba w gorączce. Czy zabrałeś go zbyt blisko słońca w czasie waszej dzisiejszej podróży?

Hrabia Nad Mullach patrzył przed siebie bezradnie. Czy ona rzeczywiście oszalała, czy może prowadziła tylko jakąś grę?

– Maegwin! – przemówił stanowczo.

Jiriki dotknął jego ramienia.

– Chodźmy, hrabio Eolairze. Porozmawiamy.

Maegwin ponownie klęknęła.

– Jesteś dobry, Bryniochu. Skończę swoją pracę, jeśli wolno mi odejść. To i tak niewiele wobec twojej uprzejmości i gościnności.

Jiriki skłonił głowę. Maegwin odwróciła się i odeszła wolno przez wzgórze.

– Bogowie, pomóżcie mi! – odezwał się Eolair. – Ona oszalała! Jest gorzej, niż myślałem.

– Nawet ktoś, kto nie jest jednym z was, może stwierdzić, że została głęboko dotknięta.

– Co ja mogę zrobić? – szepnął hrabia. – Co będzie, jeśli nie powróci jej rozum?

– Mam przyjaciółkę: kuzynkę, jak wy to nazywacie, która jest uzdrowicielką. – Nie wiem, czy będzie mogła pomóc tej młodej kobiecie, ale z pewnością nie zaszkodzi.

Popatrzył za Eolairem, który dosiadł swego konia, a potem sam jednym płynnym ruchem wskoczył na swojego i pojechali w milczeniu do Taig.

KIEDY RACHEL USŁYSZAŁA ZBLIŻAJĄCE SIĘ KROKI, wcisnęła się głębiej w cień, zanim zdała sobie sprawę, że niczego to nie zmieni. Przeklinała siebie w duchu za swoją głupotę.

Kroki były wolne, jakby idący odczuwał zmęczenie albo niósł coś ciężkiego.

– A teraz dokąd idziemy? – Rozległ się głęboki, chrypliwy szept rzadko używanego głosu. – Idziemy. Dokąd idziemy? Dobrze, a zatem idę. – Rozległ się niewyraźny świst, który mógł być śmiechem albo płaczem.

Rachel wstrzymała oddech. Najpierw ukazał się kot; szedł teraz pewnie, przekonany prawie po tygodniu ich spotkań, że czeka go obiad. Po chwili w świetle lampy pojawił się mężczyzna. Jego blada, pokryta bliznami twarz zarosła siwą brodą, a ciało, widoczne pod strzępami brudnego ubrania, było przeraźliwie chude. Oczy miał zamknięte.

– Zwolnij – przemówił ochrypłym głosem. – Jestem słaby. Nie mogę iść tak szybko. – Zatrzymał się, jakby wyczuł na twarzy światło lampy. – Gdzie jesteś, kocie? – spytał drżącym głosem.

Rachel pochyliła się, by pogłaskać kota, który ocierał się o jej kostki, i podsunęła mu kawałek solonej wołowiny. Potem się wyprostowała.

– Hrabio Guthwulfie. – Po słabym szepcie Guthwulfa siła jej głosu zaskoczyła ją samą.

Mężczyzna drgnął i cofnął się, nieomal wywracając, lecz nie zaczął uciekać, tylko wzniósł ręce przed oczy.

– Przeklęte istoty, zostawcie mnie w spokoju! – zawołał. – Straszcie kogo innego! Pozostawcie mnie mojej niedoli! Pójdę do miecza, jeśli on chce tego.

– Nie odchodź, Guthwulfie! – odezwała się szybko Rachel.

Tym razem na dźwięk jej głosu hrabia odwrócił się i ruszył chwiejnym krokiem z powrotem korytarzem.

– Tutaj się najesz! – zawołała za nim. Zjawa w postrzępionym ubraniu nic nie odpowiedziała i zniknęła w ciemności. – Zostawię ci jedzenie i odejdę! Będę tak robić codziennie! Nie musisz ze mną rozmawiać!

Kiedy echo zamilkło, podsunęła mały kawałek mięsa kotu, który zaczął żuć go łapczywie. Miskę z mięsem i suszonymi owocami postawiła na skalnym występie poza zasięgiem kota, ale w takim miejscu, w którym nie mógł jej nie zauważyć ten żywy strach na wróble, jeśli odważy się tam wrócić.

Nie wiedząc jeszcze dokładnie, co zamierza robić, Rachel podniosła swoją lampę i skierowała się w stronę schodów prowadzących do wyższych, lepiej jej znanych części zamkowego labiryntu. Wreszcie zrobiła to i nie było już odwrotu. Ale dlaczego? Znowu będzie musiała ryzykować wyprawy w górne części zaniku, gdyż zapasy, jakie zgromadziła, miały zapewnić egzystencję jednej skromnie żywiącej się osobie, a nie dwóm i kotu z żołądkiem bez dna.

– Ach, Rhiappo, zachowaj mnie przed samą sobą – burknęła.

Może zrobiła to dlatego, że w tych okropnych czasach był to jedyny sposób, aby zrobić jakiś dobry uczynek, chociaż nigdy nie była zbyt gorliwa w sprawowaniu dobroczynności, gdyż jej zdaniem tak wielu żebraków, zupełnie zdrowych na ciele, bało się po prostu pracy. A może jednak zrobiła dobry uczynek. Czasy się zmieniały, a z nimi i Rachel.

A może czuła się tylko samotna. Prychnęła pogardliwie i ruszyła śpiesznie korytarzem.

23. Dźwięk rogu

KILKA RZECZY WYDARZYŁO SIĘ PO PRZYBYCIU MIRIAMELE i jej towarzyszy na *Sesuad’ra*.

Pierwszą i najmniej ważną była zmiana, jaka zaszła w Lentim, posłańcu hrabiego Streawe’a. Ten Perdruińczyk o krzaczastych brwiach pierwsze dni swego pobytu w Nowym Gadrinsett spędził, wałęsając się po małym targu, zaczepiając miejscowe kobiety i wszczynając bójki z kupcami. Wciąż pokazywał ludziom swoje noże, sugerując, że może ich użyć, jeśli przyjdzie mu na to ochota.

Gdy tylko przybył książę Isgrimnur z księżniczką, Lenti natychmiast wycofał się do namiotu, w którym go zakwaterowano, i prawie z niego nie wychodził. Trzeba go było bardzo namawiać, by osobiście odebrał odpowiedź Josui, a kiedy przybył tam i dowiedział się, że będzie tam też obecny Isgrimnur, nogi się pod nim ugięły i trzeba było go posadzić, gdy Josua udzielał mu instrukcji. Najwyraźniej – tak przynajmniej opowiadano później na targu – on i Isgrimnur spotkali się już wcześniej i chyba ich znajomość nie była przyjemna dla Lentiego. Gdy tylko Lenti otrzymał odpowiedź dla swojego pana, natychmiast opuścił *Sesuad’ra*. Ani on, ani nikt inny nie żałował, że tak się stało.

Drugim, o wiele bardziej zdumiewającym wydarzeniem było ogłoszenie przez księcia Isgrimnura faktu, że starzec, który z nim przybył, jest w rzeczywistości Camarisem-sa-Vinita, największym rycerzem epoki Króla Johna. W całej osadzie powtarzano, że gdy Josua dowiedział się o tym

tamtego wieczoru, klęknął przed starcem i ucałował jego rękę, co było dostatecznym dowodem na to, że Isgrimnur mówił prawdę. Jeszcze dziwniejsze jednak było to, że rzekomy sir Camaris pozostał zupełnie obojętny wobec czynu Josui. I tak natychmiast w całym Nowym Gadrinsett rozległy się sprzeczne głosy, mówiące, że starzec odniósł wcześniej ranę w głowę, zwariował z pijaństwa lub czarów albo też złożył śluby milczenia.

Trzecim i najsmutniejszym wydarzeniem była śmierć Towsera. Stary błazen zmarł we śnie tej samej nocy, kiedy powróciła Miriamele i jej towarzysze. Twierdzono, że jego serce nie wytrzymało radości i podniecenia. Ci, którzy wiedzieli, przez co Towser przeszedł wraz z pozostałymi uciekinierami z Naglimundu, mieli nieco inne zdanie, ale w końcu był już starym człowiekiem i jego śmierć wydawała się czymś naturalnym. Dwa dni później w czasie pogrzebu Josua przypomniał nielicznej grupce zebranych o długiej służbie Towsera u Króla Johna. A jednak znaleźli się i tacy, którzy zauważyli, że pomimo książęcych pochwał błazna pochowano obok ofiar niedawnej bitwy, a nie u boku Deornotha w ogrodzie przed Domem Rozstania.

W dowód pamięci o tym, czego nauczył go Towser, Sangfugol dopilnował, by pochowano go z lutnią i jego błazeńskim strojem. Razem z Simonem nazbierali śnieżników i ozdobili nimi świeżo usypaną mogiłę.

SZKODA, ŻE UMARŁ WŁAŚNIE W CHWILI, kiedy przybył Camaris. – Miriamele plotła cieniutki naszyjnik z pozostałych śnieżników, które otrzymała od Simona. – Camaris był jedną z nielicznych osób, które znał z tamtych czasów, a nawet nie mieli okazji porozmawiać. Choć Camaris pewnie i tak by nic nie powiedział.

Simon pokręcił głową.

– Ale Towser rozmawiał z Camarisem, księżniczko. – Zamilkł. Dziwny wydał mu się ten tytuł, tym bardziej że siedziała przed nim prawdziwa, z krwi i kości. – Towser zbladł, kiedy go zobaczył, jeszcze zanim Isgrimnur wyjaśnił, kim on jest. Stał przed Camarisem jakiś czas i zacierał ręce w ten sposób, a potem szepnął: „Panie, nikomu nie powiedziałem, przysięgam!” A potem odszedł do swego namiotu. Chyba tylko ja słyszałem jego słowa. Nie miałem pojęcia, o czym mówi, wciąż nie wiem.

Miriamele skinęła głową.

– Pewnie nigdy się nie dowiemy. – Spojrzała na niego ukradkiem i natychmiast skierowała wzrok na kwiaty.

Simonowi wydawało się, że jest piękniejsza niż kiedykolwiek. Farba zeszła z jej włosów, więc przybrały teraz swój naturalny złocisty kolor, krótko przycięte podkreślały jej ostry profil i zielone oczy. Simon podziwiał w niej nawet to, że była teraz poważniejsza. Tak, podziwiał, to właściwe słowo, ale nic nie mógł poradzić na swoje uczucia. Pragnął chronić ją przed wszystkim, lecz jednocześnie wiedział dobrze, że ona nigdy nie pozwoli, by ktokolwiek traktował ją jak bezbronne dziecko.

Wyczuwał też inną zmianę w Miriamele. Wciąż była miła i uprzejma, ale jakby bardziej odległa, powściągliwa, czego wcześniej u niej nie zauważył. Dawna równowaga, jaką osiągnęli między sobą, wydawała się już nie istnieć, lecz Simon nie potrafił powiedzieć, co ją zastąpiło. Miriamele okazywała nieco większą rezerwę, ale była też bardziej czujna wobec niego, jakby się go bała.

Nie mógł oderwać od niej wzroku, dlatego ucieszył się, że jej uwagę choć na chwilę zaprzątnęły leżące na jej kolanach kwiaty. Czuł się tak dziwnie – patrząc na prawdziwą Miriamele po tylu miesiącach wspominania jej i wyobrażania sobie – że trudno mu było skupić myśli w jej obecności. Minął już tydzień od powrotu Miriamele i wydawało się,

że zdążyli pozbyć się swej nieśmiałości, a jednak wciąż istniała między nimi przepaść. Czegoś takiego nie czuł nawet w Naglimundzie, gdzie spotkał ją po raz pierwszy jako królewską córkę.

Simon opowiedział jej – nie bez pewnej dumy – o przygodach, jakich doświadczył przez ostatnie pół roku. Ku swemu zdumieniu odkrył, że przeżycia Miriamele okazały się prawie tak samo niewiarygodne jak jego.

Początkowo pomyślał, że to okropności jej podróży – kilpy i ghanty, śmierć Dinivana i lektora Ranessina, a także nie do końca wyjaśnione uwięzienie na statku pewnego nabbańskiego szlachcica – stały się cegiełkami ściany, jaką wyczuwał między nimi. Ale teraz nie był tego pewien. Wcześniej byli przyjaciółmi, i nawet gdyby nie mogli już nigdy być dla siebie nikim więcej, to przecież ich przyjaźń była prawdziwa. Musiało się wydarzyć coś, co kazało jej traktować go w inny sposób.

„A może to przeze mnie – zastanawiał się Simon. – Czy to możliwe, żebym zmienił się tak bardzo, że już mnie nie lubi?”

Pogładził swoją brodę w zamyśleniu. Miriamele podniosła wzrok i uśmiechnęła się kpiąco. Poczuł przyjemne ciepło; wydawało mu się, że znowu ma przed sobą Maryę, służącą.

– Jesteś z niej dumny, prawda?

– Dumny? Z brody? – Simon ucieszył się w duchu, że ją ma, gdyż bardzo się zaczerwienił. – Ona po prostu... urosła.

– Hmm. Tak po prostu? W jednej chwilce?

– A co w tym złego? – odparł nieco urażony. – Na cholerne Drzewo, jestem przecież rycerzem! Dlaczego nie miałbym nosić brody?

– Nie przeklinaj. A przynajmniej nie w obecności dam, a szczególnie księżniczek. – Powstrzymywany uśmiech zaprzeczał jej spojrzeniu, które miało być bardzo surowe. – A poza tym, nawet jeśli jesteś rycerzem,

Simonie: muszę ci uwierzyć na słowo, dopóki nie spytam wuja Josui, nie znaczy to wcale, że jesteś na tyle dorosły, by nie wyglądać głupio z brodą.

– Spytać Josui? Możesz spytać kogokolwiek! – Simon ucieszył się, widząc, że Miriamele zachowuje się trochę inaczej niż poprzednio, ale jednocześnie rozzłościły go nieco jej słowa. – Nie jestem dość dorosły! Mam prawie szesnaście lat! Skończę niedługo, w dzień świętego Yistrina! – Teraz dopiero przypomniał sobie, że ojciec Strangyeard wspominał, że ten dzień niebawem nadejdzie.

– Naprawdę? – Miriamele patrzyła teraz na niego poważnie. – Moje szesnaste urodziny wypadły w czasie podróży do Kwanitupulu. Cadrach był bardzo miły. Ukradł placek z konfiturą i kilka goździków, ale nie było wielkiej zabawy.

– Ten złodziejaszek – warknął Simon. Wciąż pamiętał, jak stracił swoją sakiewkę i ile zaznał przez to wstydu.

– Nie mów tak – odparła niemal gniewnie Miriamele. – Nic o nim nie wiesz, Simonie. On dużo wycierpiał. Miał niełatwe życie.

Simon prychnął.

– On wycierpiał? A co powiesz o ludziach, których okrada?

Miriamele zmrużyła oczy.

– Ani słowa więcej o Cadrachu. Ani słowa.

Simon otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

„A niech mnie – pomyślał. – Z dziewczynami szybko można popaść w kłopoty. Jakby wszystkie szykowały się do roli Rachel Smoka!”

– Przykro mi, że nie miałaś ładnych urodzin – powiedział.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, lecz zaraz jej wzrok złagodniał.

– Możemy świętować wspólnie, kiedy przyjdzie dzień twoich urodzin. Ofiarujemy sobie nawzajem prezenty, tak jak robią to w Nabbanie.

– Ty już mi dałaś prezent. – Sięgnął do kieszeni swego płaszcza i wydobył z niej błękitną chustę. – Pamiętasz? Otrzymałem ją, kiedy wyruszaliśmy na Północ z Binabikiem i pozostałymi.

Miriamele wpatrywała się w chustę.

– Zatrzymałeś ją? – spytała cicho.

– Oczywiście. Nosiłem ją prawie przez cały czas.

Otworzyła szeroko oczy, a potem odwróciła się i wstała niespodziewanie z kamiennej ławki.

– Muszę już iść, Simonie – powiedziała dziwnym głosem, unikając jego spojrzenia. – Wybacz, proszę. – Zebrała fałdy sukni i ruszyła szybko przez biało-czarne płyty Ogrodu Ognia.

– A niech mnie – mruknął Simon. Wydawało się, że wszystko idzie tak dobrze. Co on takiego zrobił? Kiedy wreszcie nauczy się rozumieć kobiety?

BINABIK, JAKO NAJBLIŻSZY POZYCJI PEŁNOPRAWNEGO członka Ligi Pergaminu, przyjął przysięgę od Tiamaka i ojca Strangyearda. Potem z kolei on złożył przysięgę na ich ręce. Geloë uśmiechała się sardonicznie, słysząc recytowane litanie. Nigdy nie pochwalała zbytnio formalności związanych z Ligą Pergaminu, dlatego między innymi nie była jej członkiem, choć cieszyła się ich wielkim szacunkiem. Oczywiście istniały też i inne powody, lecz ona nigdy o nich nie wspominała, a ci, którzy mogliby coś o tym powiedzieć, odeszli.

Tiamakiem targały mieszane uczucia przyjemności i rozczarowania. Od dawna marzył o tej chwili, lecz w wyobraźni zawsze otrzymywał zwój i pióro od Morgenesa przy asyście Jarnaugi i Ookequka. Tymczasem sam

przyniósł wisior Dinivana z Kwanitupulu, otrzymawszy go wcześniej od Isgrimnura, a teraz siedział w towarzystwie dość niepewnych spadkobierców tamtych wielkich dusz.

Mimo wszystko odczuwał też niewypowiedziane podniecenie w chwili, kiedy jego marzenie spełniło się, choć w tak marny sposób. Może dzień ten okaże się pamiętny – dzień nadejścia nowego pokolenia członków Ligi, które uczyni ich tak samo ważnymi i poważanymi osobami, jak miało to miejsce za czasów samego Eahlstana Fiskerne!

Żołądek Tiamaka zaburczał. Geloë spojrzała na niego, a on uśmiechnął się zawstydzony. W zamieszaniu porannych przygotowań zapomniał o jedzeniu. Poczuł ogarniającą go falę zmieszania. No, proszę! Oto Ci, Którzy Patrzą i Rządzą przypominali mu o tym, kim jest. Rzeczywiście, nowa epoka; zebrani tutaj będą musieli bardzo się jeszcze natrudzić, żeby być tak dobrymi członkami Ligi jak ich poprzednicy. To nauczy go, dzikusa z bagiennej wioski, żeby nie podnosił głowy zbyt wysoko!

Jego żołądek zaburczał ponownie. Tym razem Tiamak nie spojrzał na Geloë i podciągnął wysoko kolana, kuląc się na podłodze namiotu Strangyearda niczym handlarz glinianych wyrobów w zimny dzień.

– Binabik prosił mnie, bym przemówiła – powiedziała Geloë, kiedy złożono przysięgi. Mówiła z werwą jak żona Starszego, przedstawiająca dzieci i wyjaśniająca obowiązki nowej narzeczonej. – Zgodziłam się, gdyż jestem jedyną osobą, która znała pozostałych członków Ligi. – Stanowczość jej spojrzenia nie dodawała Tiamakowi animuszu. Wcześniej korespondował z nią tylko i nie miał pojęcia, jak silną jest osobą. Teraz gwałtownie próbował przypomnieć sobie listy, które do niej napisał, by upewnić się, że były wystarczająco uprzejme. Z pewnością była to osoba, której nie należało złościć.

– Wstąpiliście do Ligi Pergaminu w czasach bardzo trudnych, czasach, jakich świat jeszcze nie oglądał, nawet w okresie panowania Fingila, który był wiekiem podbojów, ucisku i tępienia wiedzy. Wiecie wystarczająco dużo, by zrozumieć, że to, co się dzieje, nie jest tylko wojną dwóch książąt. Elias z Erkynlandu w jakiś sposób pozyskał sobie pomoc Inelukiego Króla Burz, którego nie zmarła dłoń sięgnęła wreszcie z Północnych Turni, czego obawiał się już wiele wieków temu Eahlstan Fiskerne. Naszym zadaniem jest powstrzymać to zło, zanim zamieni ono walkę obu książąt w z góry przegraną bitwę z wieczną ciemnością. Wydaje się, że pierwszą częścią tego zadania jest rozwikłanie zagadki trzech mieczy.

DYSKUSJA NAD POEMATEM NISSESA zajęła im niemal całe popołudnie. Zanim Binabik zaproponował, żeby coś zjeść, stronice książki Morgenesa pokryły całą podłogę namiotu Strangyearda; nad każdą dyskutowano żywo, tak że przepełnione wonią kadzidła powietrze wydawało się drgać z napięcia.

Teraz Tiamak zorientował się, że wiadomość, jaką otrzymał od Morgenesa, musiała dotyczyć trzech mieczy. Wcześniej przypuszczał, że nikt inny nie wie o jego tajemniczym skarbie: teraz wiedział, że tak było. Ten dzień z pewnością utwierdziłby go w przekonaniu, że zdarzają się zbiegi okoliczności, gdyby wcześniej nie wyrobił sobie tego zdrowego, naukowego poglądu. Kiedy rozdano wszystkim chleb i wino, a pełne usta i konieczność podzielenia się jednym dzbanem złagodziły nieco ostrość spierających się dyskutantów, Tiamak zdecydował się przemówić.

– Znalazłem coś, co być może was zainteresuje. – Odstawił ostrożnie swój kielich i wyciągnął z torby owinięte w liście zawiniątko. – Znalazłem to na targu w Kwanitupulu. Chciałem zawieźć do Dinivana do Nabbanu i zobaczyć, co on na to powie. – Rozwinął ostrożnie zwój, a pozostali pochylili się, by lepiej się przyjrzeć. Tiamak czuł teraz pełną niepokoju

dumę, jak ojciec, który przyniósł dziecko, by Starsi zaaprobowali nadane mu imię.

Strangyeard wstrzymał oddech.

– Błogosławiona Elysio, czy on jest prawdziwy?

Tiamak wzruszył ramionami.

– Nawet jeśli nie, to jest to doskonała kopia. W czasie studiów w Perdruin widziałem wiele pergaminów z czasów Nissesa. Jest to rimmersgardzkie pismo runiczne, jakim wtedy się posługiwano. Spójrzcie na zawinięte do tyłu spirale. – Pokazał drżącym palcem.

Binabik zmrużył oczy.

– *Ze Skalistego Ogrodu Nuanni* – przeczytał.

– Myślę, że chodzi tu o Wyspy Południowe – zauważył Tiamak. – Nuanni...

– Był bogiem morza, czczonym w dawnym Nabbanie – nie wytrzymał Strangyeard, co było zdumiewające u nieśmiałego duchownego. – Oczywiście, skalisty ogród Nuanni: wyspy! Ale co znaczy pozostała część?

Kiedy wszyscy pochylili się nad tekstem, Tiamak poczuł ogarniającą go dumę. Starsi zaaprobowali imię jego dziecka.

NIE WYSTARCZY UTRZYMAĆ NASZEJ POZYCJI. – Książę Isgrimnur siedział na stołku naprzeciw Josui. – Odniosłeś ważne zwycięstwo, lecz to niewiele znaczy dla Eliasa. Minie kilka miesięcy i mało kto będzie o tym pamiętał.

Josua siedział zasępiony.

– Rozumiem. Dlatego chcę zwołać Radę.

Isgrimnur pokręcił głową, potrząsając brodą.

– Wybacz moją bezpośredniość, ale to nie wystarczy.

Książę uśmiechnął się.

– Po to tu jesteś, Isgrimnurze.

– A zatem pozwól, że powiem to, co mam do powiedzenia. Potrzeba nam więcej zwycięstw, i to szybko. Jeśli nie odeprzemy Eliasa, nie będzie miało znaczenia, czy to gadanie o trzech mieczach zadziała, czy nie.

– Naprawdę uważasz, że to bzdury?

– Po tym wszystkim, co widziałem ostatnimi czasy? Nie, *niczego* nie nazwałbym dzisiaj bzdurami, ale nie o to chodzi. Dopóki będziemy siedzieć tutaj na tyłkach, nie mamy szans na zdobycie Białego Gwoździa. – Książę prychnął. – Na Młot Drora! Nie mogę uwierzyć, że miecz Johna okazał się Minneyarem. Zupełnie mnie zaskoczyłeś tą wiadomością.

– Chyba musimy się przyzwyczaić do niespodzianek – odparł Josua. – W takim razie co proponujesz?

– Nabban – odparł Isgrimnur bez wahania. – Wiem, że powinienem nalegać, byś udał się do Elvritshalli, by uwolnić moich ludzi, ale rozumiem twoje obawy. Jeśli pogłoski, które słyszałem, są prawdziwe, to połowa zdolnych do walki mężczyzn została wcielona do armii Skalego, a to oznaczałoby długą walkę. Jego Kruki są zaciekłymi wojownikami. Nienawidzę tego zdradzieckiego ścierwa, ale jestem ostatni, by nazwać go łatwym przeciwnikiem.

– Ale Sithowie pojechali do Hernystiru – zauważył Josua. – Słyszałeś o tym.

– I co z tego? Nic nie rozumiem z opowieści Simona, a ta białowłosa Sithijka nie wydaje mi się aż tak znakomitym zwiadowcą, żeby na jej informacjach opierać całą kampanię. – Książę skrzywił się. – Nie znaczy to jednak, że nie będę się cieszył, jeśli Sithowie i Hernystirczycy wypędzą Skalego. Ale ci spośród jego ludzi, którzy zechcieliby zaciągnąć się do naszej armii, będą rozproszeni po całym Frostmarch; nawet przyjmując, że pogoda się poprawi, nie chciałbym uganiać się za nimi i przekonywać, że

powinni zaatakować Erkynland. W końcu to moi ludzie i mój kraj, więc posłuchaj, Josuo, co mam do powiedzenia. – Nasrożył swe krzaczaste brwi groźnie, jakby z góry obawiał się sprzeciwu Josui.

Książę westchnął.

– Zawsze słucham twoich rad, Isgrimnurze. Jeszcze siedząc na twoich kolanach, uczyłem się taktyki, pamiętasz?

– Aż tak wiele nie jestem od ciebie starszy, szczeniaku – mruknął Isgrimnur. – Jeśli nie wstydzisz się ludzi, to zaraz wyciągnę cię na śnieg i udzielę lekcji.

Josua uśmiechnął się.

– Obawiam się, że będziemy musieli to odłożyć na inny dzień. Ach, ale cieszę się bardzo, że wróciłeś, Isgrimnurze. – Po chwili jego twarz znowu spoważniała. – A zatem mówisz, żeby udać się do Nabbanu. Ale jak?

Isgrimnur przysunął do księcia swój stołek i zniżył głos.

– Według wiadomości Streawe’a teraz jest odpowiednia chwila: Benigaris jest bardzo niepopularny. Mówi się o tym, że przyczynił się do śmierci swojego ojca.

– Tylko że armia Zimorodka nie zdezerteruje z powodu pogłosek – powiedział Josua. – Pamiętaj, że nie jest to pierwszy ojcobójca, jaki rządzi w Nabbanie. Nabbańczyków trudno wprawić w zdumienie. W każdym razie oficerowie w armii są wierni rodowi Benidrivinów. Będą walczyć z każdym, nawet Eliasem, kto spróbuje jawnie narzucić im swoją władzę. Oni z pewnością nie obaliliby Benigarisa, by poprzeć moją sprawę. Pamiętasz chyba stare nabbańskie powiedzenie, że „lepsza nasza dziwka niż wasz święty”.

Isgrimnur wyszczerzył zęby w podstępnym uśmiechu.

– Ale kto mówi, że mieliby obalać Benigarisa w twoim imieniu? Prędzej pozwoliliby Nessalancie dowodzić armią, niż tobie tego dokonać.

Josua pokręcił głową zniecierpliwiony.

– No więc kto?

– A niech cię, Camaris! – Isgrimnur uderzył ogromną dłonią po udzie. – On jest prawowitym spadkobiercą tronu. Leobardis otrzymał książęcy tytuł tylko dlatego, że Camaris zniknął i został uznany za zmarłego.

Książę wpatrywał się zdumiony w starego przyjaciela.

– Ale on postradał rozum, przynajmniej częściowo.

Książę wyprostował się.

– Zgodzili się na tchórzliwego ojcobójcę. Dlaczego nie mieliby przyjąć bohaterskiego głupka?

Josua znowu pokręcił głową.

– Isgrimnurze, zdumiewasz mnie. Skąd ci to przyszło do głowy?

Isgrimnur uśmiechnął się szeroko.

– Miałem dużo czasu do myślenia, od chwili kiedy znalazłem Camarisa w gospodzie w Kwanitupulu. – Przeczesał palcami brodę. – Szkoda, że nie ma tutaj Eolaira, by zobaczył, jakim intrygantem zostałem na starość.

Josua roześmiał się głośno.

– No cóż, nie jestem pewny, czy twój pomysł zadziała, ale przynajmniej daje on do myślenia. – Wstał i podszedł do stołu. – Napijesz się jeszcze wina?

Isgrimnur uniósł swój puchar.

– Myślenie bardzo wysusza gardło. Nalejesz mi?

TO JEST *PRISE'A*: ZAWSZE ZIELONY. – Aditu podniosła delikatną gałązkę, by pokazać Simonowi jasnoniebieski kwiat. – Nawet jeśli go zerwiesz, nie zwiędnie, dopóki nie przeminie jego pora. Mówi się, że nasi ludzie przywieźli go na statkach z Ogrodu.

– Niektóre z tutejszych kobiet noszą je we włosach.

– Tak jak i nasi ludzie, kobiety i mężczyźni – odparła Sithijka, rzucając Simonowi wesołe spojrzenie.

– Proszę, halo! – ktoś zawołał. Simon odwrócił się i dostrzegł Tiamaka, przyjaciela Miriamele. Mały człowieczek wydawał się czymś bardzo podniecony. – Sir Seomanie, lady Aditu, książę Josua pragnie, byście przyszli do niego. – Wysunął ramię, by złożyć uprzejmy ukłon, lecz był zbyt podniecony, by go skończyć. – Och, proszę, pośpieszcie się!

– O co chodzi? – spytał Simon. – Czy coś się stało?

– Chyba znaleźliśmy coś ważnego. – Stał, wspinając się na palce niecierpliwie. – W moim zwoju, w moim!

Simon pokręcił głową.

– W jakim zwoju?

– Dowiecie się. Chodźcie do namiotu Josui! Proszę! – Tiamak odwrócił się i ruszył drobnymi kroczkami w kierunku osady.

Simon roześmiał się.

– Dziwny człowiek! Jakby mu pszczoła wpadła do spodni.

Aditu opuściła ostrożnie gałązkę na jej dawne miejsce, a potem powąchała palce.

– To mi przypomina o moich obowiązkach w domu, w Jao e-Tinukai’i – powiedziała. – W każdym pokoju zawsze jest pełno kwiatów.

– Pamiętam.

Poszli z powrotem przez wierzchołek wzgórza. Tego dnia słońce świeciło całkiem mocno i choć horyzont zaciemniły chmury, niebo nad ich głowami było niebieskie. Śnieg na ziemi stopniał, z wyjątkiem zagłębień na zboczach, gdzie cień długo pozostawał w ciągu dnia. Simon zastanawiał się, gdzie jest Miriamele; szukał jej rano, by ją namówić na wspólny spacer,

ale nie zastał w namiocie. Księżna Gutrun powiedziała mu, że księżniczka wyszła wcześnie.

W namiocie Josui panował ścisk. Obok Tiamaka stali Geloë, ojciec Strangyeard i Binabik. Książę siedział na stołku, przyglądając się zwojowi, który rozłożył sobie na kolanach. Vorzheva siedziała pod ścianą, szyjąc coś. Aditu skinęła głową wszystkim na powitanie i przyłączyła się do niej.

Josua spojrzał znad pergaminu.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Simonie. Mam nadzieję, że będziesz mógł nam pomóc.

– Ale jak, książę Josuo?

Książę uniósł dłoń, nie odrywając wzroku od zwoju.

– Najpierw musisz wysłuchać tego, co znaleźliśmy.

Tiamak wysunął się nieśmiało do przodu.

– Proszę, książę Josuo, czy mogę opowiedzieć, co się wydarzyło?

Josua uśmiechnął się do Wrańczyka.

– Tak, ale dopiero, kiedy przyjdą Isgrimnur i Miriamele.

Simon stanął obok Binabika zajętego rozmową z Geloë. Czekał cierpliwie, słuchając ich dyskusji o piśmie runicznym i błędach w tłumaczeniu, ale jego ciekawość rosła coraz bardziej. Wreszcie przybył Isgrimnur z Miriamele. Jej krótkie włosy były zmierzwione od wiatru, a na policzkach pojawił się lekki rumieniec. Simon nie potrafił oderwać od niej tęsknego spojrzenia.

– Musiałem gramolić się prawie na sam dół tego cholernego wzgórza, żeby ją znaleźć – mruknął książę. – Mam nadzieję, że nie na darmo.

– Mogłeś mnie zawołać, a sama bym przyszła – odpowiedziała słodko Miriamele. – O mało się nie zabiłeś.

– Nie podobało mi się to, gdzie chodzisz. A poza tym, nie chciałem cię przestraszyć.

– A myślisz, że nie można się przestraszyć, gdy nagle wypada z krzaków ogromny, zdyszany Rimmersman?

– Proszę. – W głosie Josui zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. – Nie czas na przekomarzania. Nie na darmo twój wysiłek, Isgrimnurze, tak sądzę. – Odwrócił się do Wrańczyka i wręczył mu pergamin. – Tiamaku, wyjaśnij wszystko przybyłym.

Tiamak z roziskrzonym wzrokiem opowiedział szybko, w jaki sposób zdobył pergamin, a potem pokazał go wszystkim, zanim przeczytał poemat.

...Sprowadź ze Skalistego Ogrodu Nuanni
Człowieka, który choć Ślepy, Widzi.
Odnajdź ostrze, które Różę ścina,
U stóp wielkiego Drzewa Wierszopisa.
Odnajdź Głos, który cicho
Imię właściciela głosu wymawia
Na statku na Najpłytszym Morzu.
Kiedy Ostrze, Głos i Człowiek
Do prawej Dłoni Księcia przyjdą,
Wtedy Uwięzieni znowu będą Wolni...

Skończywszy, rozejrzał się po namiocie.

– My... – zawahał się. – My... Członkowie Ligi Pergaminu... przedyskutowaliśmy słowa, które przeczytałem, oraz ich możliwe znaczenie. Poemat ten może się okazać dla nas tak samo ważny jak inne pisma Nissesa.

– A zatem, co on znaczy? – spytał Isgrimnur. – Czytałem go już wcześniej, ale nic nie zrozumiałem.

– Dlatego, że nie miałeś takich możliwości jak niektórzy z nas – powiedział Binabik. – Simon, ja i inni stanęliśmy w obliczu części tej zagadki. – Troll zwrócił się do Simona: – Prawda, Simonie?

Simon zastanowił się.

– Drzewo Wierszopisa: Drzewo Uduna! – Zerknął nie bez dumy na Miriamele. – Tam właśnie znaleźliśmy Cierń!

Binabik przytaknął mu. W namiocie zapadła cisza.

– Tak, „ostrze, które Różę ścina” zostało tam znalezione – powiedział troll. – Miecz Camarisa, zwany Cierniem.

– Ebekah, żona Johna – szepnął Isgrimnur. – Róża Hernysadharc. – Szarpnął mocno za swą brodę. – Oczywiście! – zwrócił się do Josui. – Camaris był specjalnym opiekunem twojej matki.

– Tak więc doszliśmy do wniosku, że poemat częściowo dotyczy Ciernia – zgodził się Binabik.

– Co do reszty – odezwał się Tiamak – to wydaje nam się, że ją rozumiemy, ale nie jesteśmy pewni.

Geloë pochyliła się do przodu.

– Możliwe, że skoro wiersz mówi o Cierniu, to mówi także o Camarisie. „Człowiek, który choć ślepy, widzi” może odnosić się do kogoś, kto jest ślepy na przeszłość, nawet na swoje imię, choć oczyma widzi tak samo dobrze jak inni.

– A nawet lepiej – wtrąciła cicho Miriamele.

– To ma sens. – Isgrimnur zmarszczył czoło. – Nie wiem, jak to możliwe, że takie rzeczy znalazły się w księdze sprzed setek lat, ale to brzmi prawdziwie.

– W takim razie, co nam jeszcze pozostało? – spytał Josua. – Część mówiąca: „Sprowadź...” i tak dalej oraz ostatnie wersy o uwolnieniu uwięzionych.

Na chwilę zapadła cisza.

Simon chrząknął.

– Może to głupie... – zaczął.

– Mów, Simonie – zachęcił go Binabik.

– Skoro jedna część jest o Camarisie, inna o jego mieczu, to może pozostałe mówią o innych rzeczach i miejscach, w których przebywał.

Josua uśmiechnął się.

– To nie jest głupie, Simonie. My także o tym myśleliśmy. Chyba nawet wiemy, co znaczy część zaczynająca się od „Sprowadź”.

Nagle rozległ się śmiech Aditu, dźwięczny jak spadająca woda.

– A więc pamiętałeś, by dać im to, Seomanie. Bałam się, że zapomnisz. Byłeś bardzo zmęczony i smutny, kiedy się rozstawaliśmy.

– Dać im? – powtórzył Simon zdezorientowany. – Co...? – I nagle przypomniał sobie. – Róg!

– Róg – powiedział Josua. – Podarunek dla nas od Amerasu. Podarunek, który nie wiedzieliśmy, jak wykorzystać.

– Ale jak róg ma się do imienia właściciela głosu? – spytał Simon.

– Mieliśmy to tuż pod nosem, że tak powiem. Kiedy Isgrimnur znalazł Camarisa w Kwanitupulu, nosił on imię Ceallio, co w języku perdruińskim znaczy „zawołaj” albo „wezwij”. Słynny róg Camarisa został nazwany „Cellian”, co znaczy to samo w języku nabbańskim.

Aditu wstała płynnie jak wzlatujący jastrząb.

– Tylko śmiertelnicy nazywali go „Cellian”. Ma on o wiele starszą nazwę, swoje prawdziwe imię, imię Tworzenia. Róg, który przysłała wam

Amerasu, należał do Sithów na długo przed tym, nim Camaris używał go w czasie bitew. Nosi on imię *Ti-tuno*.

– Ale w jaki sposób znalazł się w rękach Camarisa? – spytała Miriamele. – A skoro miał go Camaris, to jak odzyskali go Sithowie?

– Z łatwością mogę odpowiedzieć na twoje pierwsze pytanie – odparła Aditu. – Ti-tuno został wykonany z zęba smoka Hidohebhi, czarnej bestii, którą zabili Hakatri i Ineluki. Kiedy książę Sinnach, śmiertelny Hernystirczyk, przybył nam z pomocą przed bitwą pod Ach Samrath, Iyu'unigato z Domu Tańczącego Roku podarował mu róg w dowód wdzięczności; był to podarunek od przyjaciela ofiarowany przyjacielowi.

Kiedy Aditu zamilkła, Binabik dał znak, że chciałby coś dodać. Otrzymawszy pozwolenie, powiedział:

– Wiele wieków po upadku Asu'a, kiedy John objął rządy w Erkynlandzie, miał okazję uczynić Hernystirczyków swoimi wasalami. Nie zrobił tego jednak, dlatego w dowód wdzięczności Król Llythinn przysłał róg Ti-tuno jako część wiana Ebekah, która miała zostać żoną Johna. – Uniósł małą dłoń, jakby dawał komuś prezent. – Camaris strzegł jej w czasie tamtej podróży i bezpiecznie dowiózł do Erkynlandu. Hernystirska narzeczona tak bardzo urzekła Johna, że podarował róg Camarisowi, by upamiętnić dzień jej przybycia do Hayholt. – Binabik wykonał teraz szerszy gest, jakby chciał namalować scenę, o której opowiadał. – A co do tego, w jaki sposób róg powrócił do Amerasu i Sithów, no cóż, może to opowie nam sam Camaris. Ale z pewnością przybył ze „statku na najpłytszym morzu".

– Nie rozumiem – powiedział Isgrimnur.

Aditu uśmiechnęła się.

– Jao e-Tinukai'i znaczy „Statek na Oceanie Drzew". Trudno wyobrazić sobie płytszy ocean od tego, w którym w ogóle nie ma wody.

Simon zaczynał się gubić w powodzi słów i kolejnych wyjaśnień.

– Binabiku, dlaczego uważasz, że Camaris może nam opowiedzieć więcej? Myślałem, że nie potrafi mówić, że oszalał albo objęty jest jakimś zaklęciem.

– Może wszystko po trochu – odpowiedział troll. – Ale może prawdą jest, że ostatni wiersz poematu mówi o samym Camarisie; to znaczy, że kiedy wszystko zostanie połączone, on uwolni się od swej niemocy. Mamy nadzieję, że wtedy odzyska rozum.

Znowu na kilka chwil zapadła cisza.

– Tak – odezwał się wreszcie Josua. – Nie wiemy tylko, w jaki sposób to się dokona, jeśli wierzyć przedostatniemu wersowi. – Uniósł ramiona; na jego lewym nadgarstku wciąż widniała obręcz po kajdanach Eliasa, prawe przedramię zaś kończył osłonięty skórą kikut. – Jak widzicie – powiedział – jedyną rzeczą, jakiej ten książę nie ma, jest prawa dłoń. – Uśmiechnął się kpiąco. – Ale mamy nadzieję, że nie należy rozumieć słów wiersza dosłownie. Może kiedy tamte rzeczy znajdą się w mojej obecności, spełni się przepowiednia.

– Raz już próbowałem pokazać Camarisowi Cierń – odezwał się Isgrimnur. – Myślałem, że może to pobudzi jego umysł, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Ale on nie chciał się nawet zbliżyć do miecza. Zachowywał się, jakby to był jadowity wąż. Wyrwał mi się i uciekł z pokoju. – Zamilkł na chwilę. – Ale może kiedy wszystko znajdzie się razem, róg i wszystko inne, może wtedy...

– Dlaczego więc nie spróbujemy? – odezwała się Miriamele.

– Dlatego, że nie możemy – rzucił ponuro Josua. – Zgubiliśmy róg.

– Co? – Simon spojrzał na księcia, by się przekonać, czy nie żartuje. – Jak to możliwe?

– Zniknął gdzieś w czasie bitwy z Fengbaldem – powiedział Josua. – Dlatego właśnie chciałem, abyś tu przyszedł, Simonie. Miałem nadzieję, że może zabrałeś go z powrotem.

Simon pokręcił głową.

– Bardzo chciałem go oddać, książę Josuo. Obawiałem się, że sprowadziłem jakieś nieszczęście na nas wszystkich, zapominając dać ci go wcześniej. Nie, nie widziałem go.

Nie widział go też nikt z pozostałych.

– A zatem musimy go poszukać, tylko spokojnie – oświadczył Josua. Jeśli wśród nas znajduje się zdrajca albo tylko złodziej, to nie może się dowiedzieć, że róg jest dla nas bardzo cenny, gdyż możemy go już nigdy nie odzyskać.

Znowu rozległ się śmiech Aditu. Tym razem wydał się wszystkim bardzo nie na miejscu.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale w coś takiego Zida’ya nigdy by nie uwierzyli. Żeby zgubić Ti-tuno!

– Nie ma w tym nic śmiesznego – burknął Simon. – A właściwie, czy nie mogłabyś użyć jakichś czarów, żeby go odnaleźć?

Aditu zaprzeczyła.

– To nie jest tak, Seomanie. Próbowałam już ci to wyjaśnić. Przepraszam, że się śmiałam. Pomogę wam w poszukiwaniach.

Simon pomyślał, że Aditu wcale nie wygląda na skruszoną. Ale skoro nie potrafił zrozumieć śmiertelnych kobiet, jak mógł mieć nadzieję, że kiedykolwiek zrozumie Sithijkę?

Zebrani wychodzili powoli z namiotu, rozmawiając między sobą. Simon zaczekał na Miriamele na zewnątrz. Podszedł do niej, gdy tylko wyszła.

– A zatem chcą przywrócić pamięć Camarisowi. – Miriamele sprawiała wrażenie zmęczonej i roztargnionej, jakby nie spała dobrze ostatniej nocy.

– Spróbujemy pewnie, jeśli uda nam się odnaleźć róg. – W duchu Simon bardzo się cieszył z faktu, że Miriamele uczestniczyła w spotkaniu i sama zobaczyła, jak bardzo jest on zaangażowany w narady Josui.

Miriamele podniosła wzrok i rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie.

– A jeśli on nie chce przypomnieć sobie przeszłości? – spytała. – A może on właśnie teraz po raz pierwszy w życiu jest szczęśliwy?

Simon był tak zdumiony jej uwagą, że nic nie odpowiedział. Wędrowali przez osadę w milczeniu, a potem Miriamele pożegnała się i poszła w swoją stronę. Simon pozostał sam, zastanawiając się nad jej słowami. Czy i ona miała wspomnienia, o których chciałaby zapomnieć?

MIRIAMELE ZNALAZŁA JOSUĘ W OGRODZIE za Domem Rozstania. Stał wpatrzony w niebo ustrojone postrzępionymi serpentynami chmur.

– Wuju Josuo?

Odwrócił się.

– Miriamele. Cieszę się, że cię widzę.

– Lubisz tutaj przychodzić, prawda?

– Chyba tak. – Skinął wolno głową. – Dobre miejsce do rozmyślań. Za bardzo martwię się o Vorzhevę, jej dziecko i o to, w jakim świecie przyjdzie mu żyć.

– Tęsknisz za Deornothem.

Josua spojrzał znowu na niebo.

– Tak, brakuje mi go. Ale przede wszystkim nie chcę, by jego poświęcenie poszło na marne. Łatwiej będzie mi pogodzić się z jego śmiercią, jeśli okaże się, że nasze zwycięstwo nad Fengbaldem ma jakieś

znaczenie. – Książę westchnął. – W porównaniu ze mną był młody, nie przeżył nawet trzydziestu wiosen.

Miriamele długo przyglądała się wujowi w milczeniu, zanim się odezwała.

– Chcę cię o coś prosić, Josuo.

Wskazał na jedną z kruszących się ławek.

– Proś, o co chcesz.

Wzięła głęboki oddech.

– Kiedy... kiedy przybędziemy do Hayholt, chcę porozmawiać z ojcem.

Josua przechylił głowę i uniósł brwi zdziwiony.

– O czym ty mówisz, Miriamele?

– Z pewnością będziesz z nim rozmawiał, zanim dojdzie do decydującego oblężenia – powiedziała szybko, jakby od dawna przygotowywała się do wypowiedzenia tych słów. – Musicie to zrobić, bez względu na to, jak krwawa będzie walka. On jest twoim bratem, więc z pewnością porozmawiasz z nim. Chcę tam być.

Josua wahał się.

– Nie wiem, czy to byłoby roztropne...

– I chcę porozmawiać z nim sam na sam – ciągnęła Miriamele.

– Sam na sam? – Książę patrzył na nią zdumiony. – Miriamele, to niemożliwe! Jeśli uda nam się doprowadzić do oblężenia Hayholt, twój ojciec będzie zdesperowany. Jak mógłbym zostawić cię z nim samą! Zrobiłby z ciebie zakładnika!

– To nie ma znaczenia! – odparła z uporem. – Wuju, muszę z nim pomówić. *Muszę*!

Zacisnął usta, powstrzymując cierpką odpowiedź, tak że kiedy znowu przemówił, jego głos zabrzmiał łagodnie.

– Dlaczego, Miriamele?

– Nie mogę ci tego powiedzieć. Ale muszę z nim porozmawiać. To może być ważne, bardzo ważne!

– W takim razie nalegam, abyś mi powiedziała, siostrzenico. Jeśli nie uczynisz tego, moja odpowiedź brzmi nie, nie mogę zostawić cię samej z ojcem.

W jej oczach zabłysły łzy. Otarła je ze złością.

– Nic nie rozumiesz. O tym mogę rozmawiać tylko z nim. I muszę z nim o tym pomówić. Proszę, Josuo, proszę!

Na jego twarzy pojawił się wyraz udręki.

– Miriamele, wiem, że nie jesteś lekkomyślną dziewczyną. Ale też od twoich decyzji nie zależy życie setek, a może i tysięcy ludzi. Jeśli więc nie możesz powiedzieć mi tego, co jest dla ciebie ważne: a wierzę, że to jest ważne, to ja nie mogę pozwolić, byś ryzykowała swoje życie z tego powodu, a może też i życie wielu innych.

Wpatrywała się w niego przenikliwie. Łzy na jej twarzy zastąpił teraz wyraz zimnej maski.

– Proszę, zastanów się, Josuo. – Wskazała na grób Deornotha. Spomiędzy kamieni zdążyło już wyrosnąć kilka źdźbeł trawy. – Pamiętaj o swoim przyjacielu, wuju Josuo, i o tym wszystkim, czego nie zdążyłeś mu powiedzieć.

Josua potrząsnął głową. W blasku słońca widać było, że jego brązowe włosy stają się coraz rzadsze na czubku głowy.

– Na Krew Aedona, Miriamele, nie mogę ci na to pozwolić. Możesz się gniewać na mnie, ale chyba rozumiesz, że nie mogę tego zrobić. – Mówił teraz chłodniejszym głosem. – Kiedy twój ojciec wreszcie się podda, zrobię wszystko, by nic mu się nie stało. Wtedy, jeśli będzie to w mojej mocy, będziesz mogła z nim porozmawiać. Tylko tyle mogę ci obiecać.

– Wtedy będzie za późno. – Wstała i odeszła szybko przez ogród.

Josua patrzył za nią. Potem, wciąż siedząc nieruchomo, przeniósł wzrok na grób Deornotha i dostrzegł wróbla, który usiadł na stosie kamieni. Ptak podskoczył kilkakrotnie, zaćwierkał i wzleciał w górę. Spojrzenie księcia powędrowało ku płynącym po niebie chmurom.

SIMONIE!

Odwrócił się. Przez mokrą trawę biegł Sangfugol.

– Simonie, czy mogę z tobą porozmawiać? – Harfiarz zatrzymał się, dysząc ciężko. Włosy miał potargane, a ubranie sprawiało wrażenie przypadkowego, jakby włożył poszczególne części, nie zważając na krój i kolor, co było raczej niezwykłe w jego przypadku; nawet w czasie najgorszych dni ich wygnania Simon nie widział Sangfugola tak zaniedbanego.

– Oczywiście.

– Ale nie tutaj. – Sangfugol rozejrzał się czujnie, choć nikogo w pobliżu nie było. – Chodźmy gdzieś, gdzie nikt nas nie usłyszy. Może do twojego namiotu?

Simon skinął głową zdumiony.

– Dobrze.

Poszli przez miasto namiotów. Niektórzy spośród mieszkańców machali do nich na powitanie. Za każdym razem harfiarz kulił się, jakby każda z napotkanych osób stanowiła potencjalne zagrożenie. Wreszcie dotarli do namiotu Simona, w którym Binabik przygotowywał się właśnie do wyjścia. Wkładając ocieplane futrem buty, troll opowiadał o zaginionym rogu – poszukiwano go od trzech dni, lecz jak dotąd bez rezultatu – oraz o innych rzeczach. Sangfugol najwyraźniej nie mógł się doczekać jego wyjścia, co

nie uszło uwagi Binabika. W pewnym momencie urwał w pół zdania, pożegnał się i poszedł do Geloë i pozostałych.

Kiedy troll wyszedł, Sangfugol odetchnął z ulgą i usiadł ciężko na podłodze, nie zwracając uwagi na brud. Simon zaczynał się niepokoić. Rzeczywiście coś się musiało stać.

– O co chodzi? – spytał. – Boisz się czegoś?

Harfiarz nachylił się do niego, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu:

– Binabik mówi, że wciąż szukają rogu. Zdaje się, że Josua bardzo go potrzebuje.

Simon wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie, czy róg się na coś przyda. Potrzebny jest głównie dla Camarisa. Mają nadzieję, że pomoże mu jakoś odzyskać rozum.

– Co ty mówisz. – Harfiarz pokręcił głową. – Jak róg mógłby sprawić coś takiego?

– Nie wiem – odparł Simon zniecierpliwiony. – O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Myślę, że jak już znajdą złodzieja, to książę będzie bardzo zły.

– Pewnie powieszą go na ścianie Domu Rozstania – rzucił Simon rozdrażniony, lecz zaraz ugryzł się w język, ujrzawszy przerażenie na twarzy Sangfugola. – O co chodzi? Miłościwy Aedonie, czy ty go ukradłeś?

– Nie, nie! – zaprzeczył gwałtownie harfiarz. – Nie ukradłem go, przysięgam!

Simon wpatrywał się w niego.

– Ale – przemówił wreszcie Sangfugol drżącym głosem – ale wiem, gdzie on jest.

– Co? Gdzie?

– Mam go w swoim namiocie. – Harfiarz powiedział to głosem potępionego męczennika, który wybacza swoim katom.

– Jak to możliwe? Skąd on się wziął w twoim namiocie? Ty go nie zabrałeś?

– Miłościwy Aedonie, Simonie, przysięgam, że nie. Znalazłem go wśród rzeczy Towsera po jego śmierci. Simonie, ja... ja w pewnym sensie kochałem staruszka. Wiedziałem, że dużo pije, i czasem rozmawiałem z nim, jakbym chciał mu urwać głowę, ale on był dla mnie dobry, kiedy byłem młody i... a niech to, tęsknię za nim.

Simon zaczynał tracić cierpliwość, choć to, co mówił Sangfugol było smutne.

– Ale dlaczego go zatrzymałeś? Dlaczego nie powiedziałeś nikomu?

– Chciałem mieć po nim jakąś pamiątkę. – Sangfugol skulił się, bardzo zawstydzony i skruszony. – Dałem mu do grobu moją drugą harfę. Myślałem, że nie będzie miał nic przeciwko temu, myślałem, że róg należy do niego! – Chwycił Simona za rękę, lecz po chwili ją puścił. – Potem, kiedy zrozumiałem, o co to całe zamieszanie, bałem się już przyznać, że mam róg. Wyjdzie na to, że ukradłem Towserowi róg po jego śmierci. A przecież ja nigdy bym tego nie zrobił!

Simon uspokoił się nieco. Wydawało się, że harfiarz zaraz się rozpłacze.

– Powinieneś był powiedzieć – powiedział łagodnie. – Nikt by cię nie oskarżył. Teraz chodźmy lepiej do Josui.

– Och, nie! On będzie wściekły! Nie, Simonie, może po prostu dam ci go, a ty powiesz, że go znalazłeś. Będziesz bohaterem.

Simon zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – powiedział wreszcie. – To nie jest dobry pomysł. Po pierwsze, musiałbym skłamać przed Josuą, skąd go mam. Co będzie, jeśli powiem, że gdzieś go znalazłem, a potem się okaże, że oni już tam szukali. Pomyślą, że

ja go ukradłem. – Pokręcił głową. Chociaż raz to nie on popełnił błąd. Nie śpieszył się, by brać winę na siebie. – Nie martw się, nie będzie tak źle, jak myślisz. Pójdę z tobą. Wiesz przecież, że Josua nie jest taki zły.

– Kiedyś powiedział mi, że jeśli jeszcze raz zaśpiewam *Kobietę z Nabbanu*, to mi urwie głowę. – Sangfugol pozbył się już nieco swego strachu, ale teraz zaczynał wpadać w nastrój przygnębienia.

– I dobrze powiedział – odparł Simon. – Wszyscy mamy już jej dość. – Wstał i wyciągnął dłoń do harfiarza. – Chodźmy do księcia. Byłoby łatwiej, gdybyś nie czekał tak długo.

Sangfugol pokiwał smutno głową.

– Wydawało się, że jeszcze łatwiej będzie nic nie mówić. Myślałem, że wezmę róg i podrzucę go gdzieś, ale bałem się, że ktoś mnie przyłapie. – Odetchnął głęboko. – Ze zmartwienia nie spałem od dwóch nocy.

– Poczujesz się lepiej, kiedy porozmawiasz z Josuą. Chodź już.

Na zewnątrz Sangfugol zatrzymał się w słońcu i zmarszczył chudy nos. Uśmiechnął się nieśmiało, jakby poczuł woń zbawienia w wilgotnym powietrzu poranka.

– Dziękuję, Simonie – powiedział. – Jesteś dobrym przyjacielem.

Simon prychnął lekceważąco i klepnął harfiarza po ramieniu.

– Porozmawiajmy z nim teraz; pewnie dopiero co zjadł śniadanie. Ja zawsze jestem w lepszym nastroju, kiedy się najem; może z książętami jest tak samo.

PO OBIEDZIE WSZYSCY ZEBRALI SIĘ w Domu Rozstania. Josua stał skupiony przed ołtarzem, na którym leżał Cierń. Simon wyczuwał jego napięcie.

Pozostali rozmawiali cicho między sobą. W ich rozmowach także wyczuwało się nastrój oczekiwania, lecz najbardziej ciężka wydawała się

panująca w ogromnej sali cisza. Przez drzwi wpadały promienie słońca, lecz nie sięgały przeciwległego końca sali. Miejsce to przypominało kaplicę i Simon nie mógł odpędzić myśli, że może niebawem ujrzą cud. Gdyby udało im się przywrócić Camarisowi rozum, myśli i uczucia człowieka, który czterdzieści lat temu przestał istnieć dla świata, czy nie byłoby to w pewnym sensie wskrzeszeniem zmarłego?

Przypomniał sobie, co powiedziała Miriamele, i z trudem opanował drżenie. Może to nie był dobry pomysł. Może rzeczywiście należało zostawić Camarisa w spokoju?

Josua obracał w dłoni róg ze smoczego zęba, przyglądając się roztargnionym wzrokiem wyrytym na nim inskrypcjom. Kiedy przyniesiono mu róg, nie był aż tak zły, jak przewidywał Sangfugol, ale o wiele bardziej zdumiony faktem, że wziął go Towser. Kiedy przeszła mu złość, okazał się nawet tak wspaniałomyślny, że zaprosił Sangfugola, by także był świadkiem tego, co miało się wydarzyć. Harfiarz jednak, uradowany z obrotu sprawy, nie chciał już mieć nic wspólnego z rogiem i poczynaniami książąt i powrócił do swego łóżka, by wreszcie się wyspać.

Wśród nielicznej grupki zebranych nastąpiło poruszenie, kiedy do sali wszedł Isgrimnur z Camarisem. Starzec wystrojony w odświętną koszulę i pończochy, jak dziecko przygotowane do pójścia do kościoła, wszedł do środka i rozejrzał się, mrużąc oczy, jakby chciał ocenić pułapkę, w którą go prowadzili. Rzeczywiście wyglądało to trochę tak, jakby przywiedli go, by wytłumaczył swoje przestępcze czyny: zebrani w sali wpatrywali się w jego twarz w napięciu. Camaris wydawał się przestraszony.

Simon przypomniał sobie, jak Miriamele opowiadała wcześniej, że starzec był stróżem i człowiekiem do wszystkiego w gospodzie w Kwanitupulu i że nie traktowano go tam dobrze; może teraz myślał, że

zostanie za coś ukarany. Sądząc po jego nerwowym spojrzeniu, można było przypuszczać, że jest to ostatnie miejsce, do którego miał ochotę przyjść.

– Proszę, sir Camarisie. – Josua wziął Cierń z ołtarza; zrobił to z łatwością, jakby miecz nic nie ważył.

Simon zastanawiał się, co to może znaczyć, gdyż pamiętał naturę Ciernia. Jego zdaniem miecz żył swoim życiem i poddawał się tylko wtedy, gdy robiono to, czego pragnął. Czy teraz miało się spełnić jego ostateczne życzenie? Czy miał to być powrót do swego dawnego pana?

Książę Josua zwrócił miecz rękojeścią do Camarisa, lecz on nie chciał go wziąć.

– Proszę, sir Camarisie. To jest Cierń. Należał do ciebie i wciąż jest twój.

Na twarzy starca pojawił się jeszcze większy strach. Cofnął się, unosząc dłonie, jakby chciał się obronić przed ciosem. Isgrimnur wziął go pod ramię.

– Wszystko w porządku – mruknął książę. – Miecz jest twój, Camarisie.

– Sludigu! – zawołał Josua. – Czy masz pas do miecza?

Rimmersman zbliżył się, niosąc pas z ciężką pochwą z czarnej skóry, ozdobioną srebrem. Z pomocą Isgrimnura zapiął pas wokół bioder Camarisa. Starzec nie protestował. Wydawało się, że zamienił się w kamień. Kiedy skończyli, Josua wsunął ostrożnie miecz do pochwy, tak że rękojeść Ciernia znalazła się między łokciem Camarisa a jego koszulą.

– Teraz róg, proszę – powiedział Josua.

Freosel, który trzymał go w chwili, kiedy książę niósł miecz, podał stary róg. Josua przełożył pendent nad jego głową i róg zawisł obok prawej dłoni starca. Miecz o długim ostrzu wydawał się pasować do wysokiego właściciela. Snop światła rozjaśnił jego włosy. Wszyscy mieli wrażenie, że tak właśnie powinno być, wszyscy z wyjątkiem Camarisa.

– Nic nie robi – powiedział cicho Sludig do Isgrimnura.

Simon znowu miał wrażenie, że uczestniczy we mszy, lecz teraz wydawało mu się, że kościelny zapomniał wyłożyć relikwiarza albo duchowny zapomniał słów modlitwy. Zapadła niezręczna cisza.

– Może przeczytamy poemat? – zaproponował Binabik.

– Tak – zgodził się Josua. – Przeczytaj go.

Binabik nie zamierzał zrobić tego sam, lecz popchnął do przodu Tiamaka. Wrańczyk uniósł pergamin w drżącej dłoni i równie drżącym głosem przeczytał poemat Nissesa.

...Kiedy Ostrze, Głos i Człowiek

– jego głos nabierał siły z każdym wersem,

Do prawej Dłoni Księcia przyjdą,
Wtedy uwięzieni znowu wolni będą...

Tiamak skończył i podniósł wzrok. Camaris rzucił mu jakby nieco urażone spojrzenie, spojrzenie posłane towarzyszowi podróży, który teraz zrobił coś niezrozumiałego. Stary rycerz przypominał psa, który miał zrobić coś poniżającego dla swojego pana, zawsze dobrego pana.

Nic się nie zmieniło. W sali rozległy się szepty rozczarowania.

– Może jednak popełniamy jakiś błąd – powiedział wolno Binabik. – Musimy go jeszcze przestudiować.

– Nie – zaprzeczył zdecydowanym głosem Josua. – Nie wierzę w to. – Podszedł do Camarisa i uniósł róg na wysokość jego twarzy. – Czy go nie poznajesz? To jest Cellian! Jego dźwięk napełniał strachem serca przeciwników mojego ojca! Zagraj na nim, Camarisie! – Przysunął róg do ust starca. – Pragniemy, abyś powrócił!

Spojrzawszy przestraszonym, wręcz przerażonym spojrzeniem na Josuę, Camaris odepchnął go. Zrobił to z taką siłą, że książę zatoczył się do tyłu i byłby się przewrócił, gdyby nie podtrzymał go Isgrimnur. Sludig warknął i zrobił krok w kierunku Camarisa, jakby chciał uderzyć starca.

– Zostaw go, Sludigu! – powstrzymał go Josua. – Jeśli kogokolwiek należy tutaj winić, to mnie. Jakie mam prawo niepokoić zdziecinniałego starca? – Josua zacisnął pięść i wbił wzrok w kamienną podłogę. – Może powinniśmy dać mu spokój. On miał już swoje bitwy; my powinniśmy stoczyć swoje, a jemu dać spokój.

– On nigdy nie wycofał się z walki – powiedział Isgrimnur. – Znałem go, dobrze pamiętam. Zawsze czynił to, co było dobre, co było konieczne. Nie poddawaj się tak łatwo.

Josua znowu spojrzał na starca.

– Dobrze, Camarisie, chodź ze mną. – Ujął go delikatnie za łokieć. – Chodź ze mną – powtórzył i odwróciwszy się, poprowadził uległego rycerza w kierunku drzwi prowadzących do ogrodu.

Popołudnie stawało się coraz chłodniejsze. Stare ściany i kamienne ławki pociemniały od mgiełki deszczu. Pozostali zebrali się w drzwiach, niepewni co do zamiarów księcia.

Josua poprowadził Camarisa do stosu kamieni, które znaczyły mogiłę Deornotha. Ujął dłoń starca i położył ją na grobie, a na niej położył swoją.

– Sir Camarisie – przemówił wolno. – Proszę, wysłuchaj mnie. Kraj, w którym panował mój ojciec, porządek, jaki ustanowił Król John, niszczeją, rozrywane wojną i magią. W niebezpieczeństwie jest wszystko, czemu poświęciłeś swoje życie; jeśli tym razem przegramy, obawiam się, że nie będzie możliwości odbudowy.

– Pod tymi kamieniami spoczywa mój przyjaciel. Był rycerzem, tak jak ty. Sir Deornoth nigdy cię nie poznał, ale przybył do mnie, usłyszawszy

piosenki o twoim życiu. „Uczyń mnie rycerzem”, powiedział pierwszego dnia. „Pragnę służyć tak, jak służył Camaris. Pragnę być narzędziem twoim i Boga, aby poprawić los naszych ludzi i naszego kraju”. Tak powiedział, Camarisie. – Nagle Josua się roześmiał. – Był głupcem: świętym głupcem. Przekonał się, że czasami kraj i ludzie nie są warci, by ich uratować. Ale on przysiągł Bogu, że będzie czynił słusznie, i całe swoje życie poświęcił temu, by dotrzymać przysięgi.

Josua mówił coraz głośniej. Wydawało się, że wytrysnęło w nim jakieś źródło, z którego płynęły wartko słowa.

– Umarł w obronie tego miejsca; jedna bitwa, jedna potyczka pozbawiła go życia, a jednak bez niego dawno już stracilibyśmy możliwość odniesienia jeszcze większego zwycięstwa. Umarł tak, jak żył, starając się zrobić to, co było w ludzkiej możliwości, winiąc siebie, kiedy zawiódł, potem próbując jeszcze raz. Umarł za tę ziemię, Camarisie, za którą i ty walczyłeś, za ten sam porządek, który i ty ustanawiałeś, aby słabi mogli wieść spokojne życie, bezpieczni przed silnymi, którzy chcieliby narzucić im swoją wolę. – Książę nachylił się do samej twarzy starca, tak by uchwycić jego spojrzenie. – Czy jego śmierć pozostanie bez znaczenia? Jeśli nie wygramy tej walki, wyrośnie zbyt wiele grobów, by przejmować się jednym z nich, i nie będzie komu opłakiwać takich ludzi jak Deornoth. – Josua zacisnął palce na dłoni rycerza. – Wróć do nas, Camarisie. Proszę, nie pozwól, by jego śmierć pozostała bez znaczenia. Pomyśl o bitwach z przeszłości, o bitwach, w których, jak wiem, wolałbyś nie walczyć, a jednak wziąłeś w nich udział, ponieważ były sprawiedliwe. Czy i to cierpienie ma pozostać bez znaczenia? To jest nasza ostatnia szansa. Po nas przyjdzie ciemność.

Książę puścił dłoń starca i odwrócił się; jego oczy lśniły. Stojący w drzwiach Simon poczuł ogromny smutek.

Camaris wciąż stał nieruchomy z dłonią na kamiennym grobie. Wreszcie odwrócił się i spojrzał za siebie, a potem powoli podniósł róg i długo się w niego wpatrywał, jakby nigdy dotąd go nie widział. Zamknął oczy, przyłożył go ostrożnie do ust i zadął.

Róg zagrał. Najpierw słabo, potem coraz głośniej i głośniej, aż zadrżało powietrze; dźwięk wydawał się nieść ze sobą szczęk broni i tętent końskich kopyt. Z zamkniętymi oczami Camaris wziął głęboki oddech i zadął jeszcze raz, jeszcze głośniej. Przeszywający dźwięk uniósł się nad wzgórzem i odbił echem w dolinie. A potem zamilkł.

Simon zorientował się, że dłońmi zakrywa uszy, podobnie jak wielu innych.

Camaris znowu utkwił wzrok w rogu. Następnie spojrzał na pozostałych. Coś się zmieniło. Jego oczy nabrały głębi, posmutniały, pojawiła się w nich iskra zrozumienia. Jego usta poruszyły się, pragnąc wypowiedzieć słowa, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk poza ochrypłym charczeniem. Camaris spojrzał w dół na rękojeść Ciernia. Powolnym ruchem wysunął go z pochwy i uniósł w górę – przypominał czarną, lśniącą smugę, która przecięła światło odchodzącego popołudnia. Na jego ostrzu zalśniły kropelki deszczu.

– Powinienem... powinienem był wiedzieć, że moje... moje cierpienie jeszcze się nie skończyło, moja wina nie została odkupiona – przemówił głosem boleśnie suchym i ostrym, dziwnie oficjalnie. – Ach, mój Boże, mój kochający i okropny Boże. Staję pokornie przed Tobą. Przyjmę karę.

Ku zdumieniu wszystkich starzec opadł na kolana. Długo nic nie mówił, a tylko jakby się modlił. Po jego policzkach płynęły łzy; mieszając się z kroplami deszczu, lśniły w ostatnich promieniach słońca. Wreszcie Camaris wstał i pozwolił się odprowadzić Isgrimnurowi i Josui.

Simon poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw. Spojrzawszy w dół, zobaczył małą dłoń Binabika. Troll patrzył na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Wiesz co, Simonie, wszyscy o tym zapomnieliśmy. Wiesz, jak ludzie Deornotha, żołnierze z Naglimundu, go nazywali? „Prawą ręką księcia”. Nawet Josua o tym zapomniał. Tak, szczęście... a może coś innego, Simonie, przyjacielu. – Troll ścisnął rękę Simona i poszedł szybko za księciem.

Simon, wzruszony, odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na Camarisa. Miriamele stała przy drzwiach. Rzuciła mu spojrzenie, które wydawało się mówić: To wszystko przez ciebie.

Odwróciła się i poszła za Camarisem i pozostałymi do Domu Rozstania, pozostawiając Simona samego w deszczu.

24. Bestie na niebie

CZTEREJ SILNI MĘŻCZYŹNI, sapiąc i pocąc się z wysiłku, chociaż wiała chłodna nocna bryza, wnieśli lektykę po wąskich schodach i postawili ją pośrodku ogrodu na dachu. Siedzący w niej mężczyzna był tak opatulony futrami, że pozostawał prawie niewidoczny, a jednak wysoka, elegancko ubrana kobieta natychmiast wstała ze swego miejsca i zbliżyła się do niego, wydając cichy okrzyk radości.

– Hrabia Streawe! – powiedziała księżna wdowa. – Cieszę się, że przyszedłeś. I to w tak chłodny wieczór.

– Droga Nessalanto, tylko na twoje zaproszenie jestem zdolny do wyjścia w tak okropną pogodę. – Hrabia ujął jej dłoń w rękawiczce i przysunął do swych ust. – Wybacz, że nie wstaję.

– Nonsens. – Nessalanta strzeliła palcami na sługi hrabiego, dając im znak, by przynieśli jego krzesło do jej miejsca, na którym ponownie usiadła. – Chociaż chyba się ociepla. Mimo wszystko jesteś wspaniały, przychodząc dzisiaj.

– Droga pani, to przyjemność twego towarzystwa. – Streawe zakasłał w chusteczkę.

– Obiecuję, że nie będziesz żałował. – Wskazała dłonią na rozgwieżdżone niebo, jakby to ona sama kazała je nad nimi rozwinąć. – Spójrz na nie! Ucieszysz się, że przyszedłeś. Xannasavin jest wspaniałym człowiekiem.

– Pani, jesteś zbyt łaskawa – odezwał się ze schodów głos.

Hrabia Streawe, zbyt opatulony futrami, przekrzywił niezgrabnie głowę, by dojrzeć mówiącego.

Mężczyzna, który wszedł do ogrodu, był wysoki i szczupły; dłonie o długich palcach trzymał złożone jak do modlitwy. Nosił długą, kędzierzawą brodę, czarną, lecz przetykaną siwizną. Jego szaty także były czarne, ozdobione gwiezdnymi symbolami Nabbanu. Szedł między krzewami i drzewami w donicach z gracją bociana, a kiedy znalazł się przy siedzących, klęknął przed księżną.

– Pani, ucieszyłem się z twojego wezwania. Zawsze służę ci z radością. – Zwrócił się do Streawe'a: – Księżna Nessalanta byłaby wspaniałym astrologiem, gdyby nie jej ważniejsze powinności wobec Nabbanu. Jest ona kobietą o niesłychanej intuicji.

Perdruiński hrabia uśmiechnął się w głębi swego kaptura.

– Tak, wszyscy o tym wiedzą.

Coś w głosie Streawe'a spowodowało, że Nessalanta zawahała się na moment, zanim zaczęła mówić.

– Xannasavin jest zbyt uprzejmy. Niewiele zdążyłam poznać. – Skrzyżowała skromnie dłonie na wysokości piersi.

– Ach, gdybym ciebie, pani, miał za ucznia – powiedział Xannasavin – niejedną zgłębilibyśmy tajemnicę... – Jego głos brzmiał głęboko i dobitnie. – Czy moja pani chce, bym zaczął?

Nessalanta, wpatrzona w ruch jego warg, otrząsnęła się, jakby obudzona ze snu.

– Ach, nie, Xannasavinie, jeszcze nie. Musimy poczekać na mojego najstarszego syna.

Streawe spojrzał na nią zaciekawiony.

– Nie wiedziałem, że Benigaris zajmuje się naukami o gwiazdach.

– O tak, on interesuje się... – zawahała się. – On jest... – Podniosła wzrok. – Ach, oto i on!

Benigaris wszedł na dach domu. Za nim podążało dwóch strażników w opończach z godłem zimorodka. Książę Nabbanu przytył nieco w talii, mimo to wciąż był wysokim mężczyzną o szerokich barach. Jego gęste wąsy niemal całkowicie zasłaniały mu usta.

– Matko – rzucił krótko, zbliżając się do zebranych. Ująwszy jej dłoń, skłonił głowę, po czym zwrócił się do hrabiego. – Streawe, brakowało mi ciebie wczoraj przy kolacji.

Hrabia przyłożył chustkę do ust i zakasłał.

– Wybacz, dobry Benigarisie. Ale sam widzisz, moje zdrowie... Czasem zmuszony jestem pozostać w domu, nie mogąc nawet przyjąć zaproszenia Sancellana Mahistrevisa, znanego ze swej gościnności.

Benigaris chrząknął.

– W takim razie nie powinieneś pewnie też przychodzić na ten zimny dach. – Zwrócił się do Nessalanty. – Matko, po cośmy tutaj przyszli?

Księżna wdowa przybrała minę urażonej dziewczynki.

– Dobrze wiesz, po co. Jest to odpowiednia pora, by przyjrzeć się gwiazdom, a Xannasavin powie nam, co przyniesie kolejny rok.

– *Ja* wam mogę powiedzieć, co przyniesie – burknął Benigaris. – Kłopoty i jeszcze raz kłopoty. Gdziekolwiek się zwrócę, wszędzie czyhają kłopoty. – Spojrzał na Streawe’a. – Ty wiesz, jak to jest. Chłopi chcą chleba, a kiedy go dostaną, chcą więcej. Próbowałem sprowadzić trochę tych ludzi z bagien, żeby pomogli przy obsiewaniu pól, ale te przeklęte śniade ludziki nie chcą przyjść, a ja musiałem wysłać wiele oddziałów na pogranicze z Thrithingami, i teraz baronowie krzyczą, że ich chłopi są uciskani, a ich pola leżą odłogiem! Co mam zrobić, posłać wojsko na te przeklęte bagna?

– Tak, nie jest mi obcy trud dowodzenia – odarł Streawe ze współczuciem. – Podjąłeś się bardzo trudnego zadania w niezwykle trudnej chwili.

Benigaris skłonił lekko głowę, przyjmując pochwałę.

– A do tego jeszcze ci przeklęci, po trzykroć przeklęci Tancerze Ognia! Podpalają się, strasząc ludzi! Nie powinienem był wierzyć Pryratesowi...

– Wybacz, Benigarisie – powiedział Streawe. – Ale nie usłyszałem, wiesz, już nie ten słuch. Pryrates...?

Książę spojrzał na hrabiego, zmrużywszy oczy.

– Nieważne. W każdym razie to był paskudny rok i nie sądzę, by kolejny okazał się lepszy. – Uśmiechnął się gorzko. – Chyba że namówię niektórych spośród intrygantów, żeby zostali Tancerzami Ognia. Niejednemu byłoby do twarzy w ognistym przebraniu.

– Dosyć już – odezwała się Nessalanta nieco rozdrażniona. – Moim zdaniem mylisz się, Benigarisie, to powinien być wspaniały rok. Ale przecież nie ma co spekulować. Xannasavin powie wam wszystko, czego chcecie.

– Księżno, jestem tylko pokornym obserwatorem niebieskich znaków – powiedział astrolog. – Ale zrobię, co w mej mocy...

– A jeśli nie pokażesz nam czegoś lepszego od tego, co już mieliśmy w tym roku – mruknął Benigaris – to chyba zrzucę cię z tego dachu.

– Benigarisie! – Głos Nessalanty, dotąd wdzięczny, nieomal dziewczęcy, teraz zabrzmiał jak trzaśnięcie bicza. – Zabraniam ci mówić tak w mojej obecności! Zabraniam ci grozić Xannasavinowi! Rozumiesz?

Benigaris drgnął prawie niedostrzegalnie.

– Żartowałem tylko. Na Świętą Krew Aedona, matko, nie obrażaj się tak. – Podszedł do krzesła, częściowo osłoniętego baldachimem z książęcym herbem, i usiadł na nim ciężko. – Mów, człowieku – mruknął,

dając znak Xannasavinowi. – Powiedz nam, jakie to cuda skrywają gwiazdy.

Astrolog zamaszystym ruchem wyjął spod obszernej szaty plik zwojów.

– Jak wspomniała księżna – zaczął głosem miękkim, wprawnym – dzisiejsza noc sprzyja przepowiedniom. Nie tylko dlatego, że układ gwiazd jest sprzyjający, ale także dlatego, że niebo jest czyste. – Uśmiechnął się do księcia Benigarisa. – A już to jest dobrym znakiem.

– Mów dalej – powiedział książę.

Xannasavin podniósł zwinięty pergamin i wskazał na kolistą konfigurację gwiazd.

– Jak widzicie, Tron Yuvenisa znajduje się dokładnie nad nami. Tron, jak wiemy, zawsze miał znaczenie dla panujących w Nabbanie, było tak od czasów pogańskich. Spadkobiercy Imperium słusznie czynią, obserwując, kiedy pojawiają się w nim pomniejsze gwiazdy. – Zamilkł na chwilę, by waga jego słów dotarła do słuchających. – Dzisiejszej nocy widzimy, że Tron ułożył się pionowo, a na jego górnej krawędzi szczególnie jasno świecą Wąż i Mixis Wilk. – Odwrócił się i wskazał na inną część nieba. – Na południowym niebie widać Sokoła i Skrzydlatego Chrząszcza. Chrząszcz zawsze przynosi zmiany.

– To jakby jedna z menażerii dawnych Imperatorów – rzucił zniecierpliwiony Benigaris. – Pełno zwierząt. Co to wszystko znaczy?

– Znaczy to, mój panie, że dla Domu Benidrivinów nadchodzą wielkie czasy.

– Wiedziałam – mruknęła Nessalanta. – Wiedziałam.

– Skąd takie przypuszczenia? – spytał Benigaris, spoglądając w niebo.

– Długo musiałbym wyjaśniać, by przedstawić jasno sprawę – odparł astrolog. – Dlatego niech wystarczy waszym wysokościom to, że gwiazdy,

które od dawna oznajmiały wahanie, niepewność i wątpliwość, teraz obwieszczają nadejście zmian. Wielkich zmian.

– Ale to może oznaczać cokolwiek – mruknął Benigaris. – Na przykład pożar całego miasta.

– Ach, książę, mówisz tak, ponieważ nie wysłuchałeś mnie do końca. Muszę jeszcze wspomnieć o dwóch innych czynnikach: najważniejszych czynnikach. Jednym z nich jest sam Zimorodek. Tam, widzicie? – Xannasavin wskazał na wschodnie niebo. – Nigdy jeszcze nie świecił tak jasno, a o tej porze roku szczególnie trudno go zobaczyć. Los waszego rodu zmieniał się tak, jak zmieniał się blask Zimorodka. Jak już mówiłem, nigdy jeszcze nie świecił tak jasno. Mój panie, nadchodzi wielka chwila Rodu Benidrivinów. Twojego rodu.

– A drugi czynnik? – Benigaris wydawał się coraz bardziej zainteresowany.

– Ach. – Astrolog rozwinął jeden z pergaminów i skupił na nim uwagę. – Jest to coś, czego nie możecie zobaczyć w tej chwili. Mówię o Gwieździe Zdobywcy, która pojawi się niebawem.

– Mówisz o brodatej gwieździe, którą widzieliśmy w zeszłym roku i jeszcze wcześniej? – spytał Streawe zaciekawiony. – Ta ogromna, czerwona gwiazda?

– Ta właśnie.

– Ale kiedy się pojawiła, prostacy niemal postradali zmysły! – powiedział Benigaris. – To przez nią zaczęto wygadywać te bzdury o zagładzie i tym podobne!

Xannasavin przytaknął mu.

– Książę Benigarisie, znaki nieba zostają często źle odczytane. Gwiazda Zdobywcy powróci, lecz nie jest ona zwiastunem nieszczęścia, a tylko zmian. Historia pokazuje, że oznajmia ona nadejście nowego porządku po

okresie chaosu i walk. To ta gwiazda obwieściła koniec imperium i koniec panowania Khanda.

– I to ma być dobry znak? – zawołał Benigaris. – Czy chcesz, żebym się ucieszył na wieść o tym, że coś zwiastuje koniec imperium? – Wydawało się, że za chwilę doskoczy do astrologa i porachuje mu kości.

– Ależ, mój panie, nie zapominaj o Zimorodku! – rzucił pośpiesznie Xannasavin. – Zmiany nie mogą się okazać na twoją niekorzyść, kiedy on świeci tak jasno! Nie, mój panie, wybacz, że pokorny sługa ośmiela się pouczać cię w czymkolwiek, ale czy nie potrafisz wyobrazić sobie sytuacji, w której wielkie imperium upadnie, ale los Rodu Benidrivinów się poprawi?

Benigaris wcisnął się w siedzenie, jakby powstrzymał go cios. Spuścił głowę i wlepił wzrok w swoje dłonie.

– Porozmawiamy o tym później – powiedział. – Teraz zostaw nas na chwilę.

Xannasavin skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, panie. – Ukłonił się jeszcze raz, tym razem w kierunku Streawe’a. – Cieszę się, że wreszcie cię spotkałem, hrabio. To dla mnie zaszczyt.

Streawe skinął głową, zamyślony podobnie jak Benigaris.

Xannasavin ucałował dłoń Nessalanty, ukłonił się, niemal dotykając czołem dachu i chowając pergaminy między fałdy szaty, odszedł w stronę schodów. Echo jego kroków oddalało się powoli w ciemności.

– Widzicie? – spytała Nessalanta. – Widzicie teraz, dlaczego tak go cenię? Jest wspaniały.

Streawe przytaknął jej.

– Rzeczywiście robi wrażenie. Myślisz, że można polegać na jego słowach?

– Najzupełniej. Przepowiedział śmierć mojego biednego męża. – Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego smutku. – Ale Leobardis nie chciał mnie posłuchać, chociaż go ostrzegałam. Powiedziałam mu, że jeśli postawi nogę na erkynlandzkiej ziemi, nigdy go już nie zobaczę. Twierdził, że wygaduję bzdury.

Benigaris spojrzał na matkę uważnie.

– Xannasavin powiedział ci, że on umrze?

– Tak. Gdyby tylko twój ojciec mnie posłuchał.

Hrabia Streawe chrząknął.

– No cóż, chciałem to odłożyć na inną chwilę, ale po tym, co powiedział astrolog, oznajmiając świetlistą przyszłość dla ciebie, Benigarisie, myślę, że to dobry moment, żeby podzielić się z wami moimi myślami.

Benigaris patrzył jeszcze przez chwilę zamyślony na matkę, zanim odwrócił się do hrabiego.

– O czym mówisz?

– O pewnych faktach, o których się dowiedziałem. – Starzec rozejrzał się. – Ach, wybacz, Benigarisie, ale czy nie będzie nietaktem, jeśli poproszę twoich strażników, żeby odeszli dalej? – Wskazał na uzbrojonych żołnierzy, którzy przez cały czas stali w pobliżu nieruchomo jak posągi. Benigaris chrząknął i dał znak strażnikom.

– A zatem?

– Jak wiesz, posiadam wiele źródeł informacji – zaczął hrabia. – Wiem o wielu rzeczach, których nieświadomi są nawet potężniejsi ode mnie. Niedawno usłyszałem coś, co może cię zainteresować. Dotyczy to wojny Eliasa i Josui. A także... innych rzeczy. – Zamilkł i spojrzał na księcia wyczekująco.

Nessalanta pochyliła się do przodu zaciekawiona.

– Mów, Streawe. Wiesz, jak bardzo cenimy twoje rady.

– Tak – powiedział Benigaris. – Mów. Chętnie usłyszę, czego się dowiedziałeś.

Hrabia uśmiechnął się, ukazując wciąż białe zęby w wilczym uśmiechu.

– Ach tak – powiedział. – Z pewnością cię to zaciekawi...

EOLAIR NIE ZNAŁ SITHY, który stał w Sali Rzeźb. Ubrany był dość konserwatywnie, przynajmniej jak na Sithę, w koszulę i spodnie z jasnokremowego materiału, który mienił się jak jedwab. Kasztanowe włosy – najbardziej podobne do ludzkich, jakie hrabia dotąd widział u Sithów – nosił związane w węzeł na czubku głowy.

– Likimeya i Jiriki mówią, że musisz przyjść do nich. – Jego hernystirski, podobnie jak karlaków, brzmiał jak z innej epoki. – Musisz zaczekać czy możesz iść już? Dobrze, żebyś szedł już.

Eolair zobaczył, że Craobhan chce zaprotestować, dlatego natychmiast położył dłoń na jego ramieniu. Prośba zabrzmiała tak apodyktycznie zapewne tylko dlatego, że Sitha niezręcznie posługiwał się ich językiem; z pewnością czekaliby na niego cierpliwie nawet i kilka dni.

– Jedno z was, uzdrowicielka, jest u królewskiej córki, Maegwin – przemówił do posłańca. – Muszę z nią porozmawiać i potem przyjdę.

Sitha skinął szybko głową z miną zupełnie bierną, niczym kormoran, który pochwycił rybę w rzece.

– Powiem im. – Odwrócił się i wyszedł z sali, nie czyniąc najmniejszego hałasu.

– Czy oni teraz są tutaj panami? – spytał Craobhan ze złością. – Czy mamy robić, co nam każą?

Eolair pokręcił głową.

– Nie, przyjacielu, to nie tak. Jiriki i jego matka chcą po prostu ze mną porozmawiać, jestem pewien. Nie wszyscy z nich władają naszym językiem tak dobrze jak ich władcy.

– Mimo wszystko nie podoba mi się to. Najpierw musieliśmy długo znosić niewolę Skalego... kiedy wreszcie Hernystirczycy zajmą należyte im miejsce na swojej własnej ziemi?

– Wszystko się zmienia – uspokoił go Eolair. – Ale my zawsze potrafimy przetrwać. Pięć wieków temu Rimmersmeni Fingila zapędzili nas na wzgórza i klify. A jednak wróciliśmy. Skali też ucieka, a my przetrwaliśmy jego niewolę. Chyba Sithowie nie są aż tak wielkim ciężarem, prawda?

Starzec zmrużył oczy, przyglądając mu się podejrzliwie. Po chwili uśmiechnął się.

– Ach, mój hrabio, powinieneś być raczej księdzem albo generałem. Potrafisz odpowiednio patrzeć na sprawy.

– Tak jak i ty, Craobhanie. Inaczej nie miałby kto dzisiaj narzekać.

Zanim starzec zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się inny Sitha – tym razem była to siwowłosa kobieta w zielonej sukni i srebrzystym płaszczu. Pomimo siwych włosów nie wyglądała wcale starzej od tego, który niedawno odszedł.

– Kira’athu – powiedział hrabia, wstając. Jego głos nie brzmiał już teraz tak swobodnie. – Czy możesz jej pomóc?

Sithijka patrzyła na niego przez chwilę, po czym potrząsnęła głową; gest ten wydawał się dziwnie nienaturalny, jakby nauczyła się go z książki.

– Jej ciało jest zdrowe. Ale nie mogę dotrzeć do jej ducha, jakby schował się przede mną w ciele, podobnie jak mysz, kiedy na pole padnie cień sowy.

– Co to znaczy? – Eolair starał się opanować zniecierpliwienie.

– Boi się. Ona się boi. Jest jak dziecko, które widziało, jak zabito jego rodziców.

– Tak, śmierć nie jest jej obca. Pochowała ojca i brata.

Sithijka poruszyła wolno palcami. Eolair nie miał pojęcia, co mógł oznaczać ten gest.

– Nie o tym mówię. Każdy, Zida’ya czy Sudhoda’ya: Dzieci Świtu czy śmiertelnicy, kto przeżył wystarczająco dużo, rozumie śmierć. Jest straszna, lecz można ją zrozumieć. Dziecko jednak jej nie pojmuje. Coś przyszło do tej kobiety Maegwin w ten właśnie sposób, coś, czego ona nie rozumie i co przestraszyło jej duszę.

– Czy ona wyzdrowieje? Czy możesz jej w jakiś sposób pomóc?

– Nic więcej nie mogę zrobić. Jej ciało jest zdrowe. Całkiem inną sprawą jest jej dusza. Muszę nad tym pomyśleć. Może istnieje jakaś odpowiedź, której teraz nie widzę.

Trudno było odczytać cokolwiek z kociej twarzy Kira’athu, a i w jej słowach Eolair nie znalazł zbyt wielkiej nadziei. Książę zacisnął dłonie i przycisnął je do ud.

– A może *ja* coś mogę zrobić?

W oczach Sithijki zabłysło coś, co mogło być iskrą współczucia.

– Jeśli kobieta Maegwin schowała swoją duszę dość głęboko, to tylko ona sama potrafi ją przyprowadzić z powrotem. Nie zrobisz tego za nią. – Zamilkła, jakby szukała słów pociechy. – Bądź dobry, to już coś. – Odwróciła się i wyszła.

– Maegwin oszalała – odezwał się Craobhan po długiej chwili ciszy.Hrabia uniósł dłoń.

– Proszę.

– Niczego nie zmienisz, jeśli nie będziesz chciał słuchać. Kiedy wyjechałeś, jej stan się pogarszał. Mówiłem ci, gdzie ją znaleźliśmy: na

Bradach Tor, bredziła i śpiewała. Jeden Mircha wie, jak długo siedziała tam w chłodzie i śniegu. Twierdziła, że widziała bogów.

– Może i tak było – powiedział z goryczą Eolair. – Po tym wszystkim, co widziałem przez ostatnie dwanaście miesięcy, czy mam prawo wątpić w jej słowa? Może to było dla niej za dużo... – Stał, ocierając wilgotne dłonie o spodnie. – Pójdę do Jirikiego.

Craobhan skinął głową. W jego oczach zalśniły łzy, ale zacisnął tylko mocno usta.

– Nie poddawaj się, Eolairze. Nie poddawaj. Potrzebujemy ciebie jeszcze bardziej niż ona.

– Kiedy wrócą Isorn i pozostali – powiedział hrabia – powiedz im, gdzie jestem. Poproś, żeby na mnie zaczekali, jeśli mogą; myślę, że rozmowa z Sithami nie potrwa długo. – Spojrzał na ciemniejące niebo. – Chciałbym dzisiaj porozmawiać z Isornem i Ulem. – Poklepał starca po ramieniu i ruszył do drzwi.

– Eolairze.

Odwrócił się w drzwiach zewnętrznych i ujrzał Maegwin stojącą w wejściu do sali.

– Pani? Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedziała cicho, lecz jej wzrok przeczył temu. – Dokąd idziesz?

– Idę porozmawiać z... – Zdał sobie sprawę, że nieomal powiedział „bogami”. Czy szaleństwo jest zaraźliwe? – Idę porozmawiać z Jirikim i jego matką.

– Nie znam ich – odparła. – Ale chciałabym pójść z tobą.

– Ze mną? – Nie wiedział dlaczego, ale wydało mu się to dziwne.

– Tak, hrabio Eolairze. Chciałabym pójść z tobą. Czy to takie straszne? Chyba nie jesteśmy aż tak zaciekłymi wrogami? – Jej słowa zabrzmiały

pusto, jak dowcip opowiedziany na ostatnim stopniu szubienicy.

– Oczywiście, pani – rzucił pospiesznie. – Oczywiście, Maegwin.

Wprawdzie Eolair nie dostrzegł żadnych istotnych zmian w obozie Sithów, który rozciągał się na wierzchołku Wzgórza Herna, to jednak teraz wydał mu się on bardziej pogmatwany niż kilka dni temu, bardziej związany z ziemią. Sprawiał wrażenie, że stoi tu od czasów jego młodości. Przepełniał go nastrój ciszy i delikatnego ruchu: różnokolorowe namioty kołysały się i mieniły jak rośliny w strumieniu. Hrabia poczuł przez chwilę złość – echo niezadowolenia Craobhana. Jakim prawem Sithowie czuli się tutaj tak swobodnie? W końcu czyja to była ziemia?

Chwilę później jednak zgromił samego siebie. Lud Sprawiedliwych taką już miał naturę. Choć posiadali niegdyś ogromne miasta, odwiedzane tylko przez nietoperze – jeśli sądzić po tym, co widział w Mezutu’a – nie przyzwyczajali się do jednego miejsca. Ze słów Jirikiego, który opowiadał o Ogrodzie, ich pradawnym domu, można było wywnioskować, że choć od tak dawna zamieszkiwali Osten Ard, to jednak czuli się na tej ziemi nieomal jak podróżni. Wzgórze Herna było jeszcze jednym miejscem na ich drodze.

Maegwin szła w milczeniu; wyraz jej twarzy sprawiał wrażenie, że za swą maską skrywa ona niespokojne myśli. Przypomniał sobie dzień, kiedy to – wiele lat temu – przyprowadziła go, by zobaczył, jak będzie się prosiła jej ulubiona świnia. Coś poszło nie tak i pod koniec maciora zaczęła kwiczeć z bólu. Zanim usunięto dwa martwe prosiaki – jeden z nich był owinięty zakrwawioną pępowiną, która go udusiła – przestraszona świnia przygniotła innego spośród już narodzonych.

Przez cały czas trwania tamtego koszmaru Maegwin miała taki sam wyraz twarzy jak teraz. Rozpłakała się dopiero wtedy, gdy świnia była już bezpieczna i karmiła małe. Eolair zdał sobie sprawę, że wtedy po raz ostatni pozwoliła mu się przytulić. Współczuł jej wtedy, starając się zrozumieć jej

smutek z powodu śmierci – jego zdaniem tylko zwierząt; trzymał ją w ramionach, przyciskając do piersi, i zrozumiał, że choć wciąż jeszcze młoda, jest już kobietą. Dziwne to było uczucie.

– Eolairze? – Głos Maegwin drżał lekko. – Czy mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście, pani. – Nie potrafił pozbyć się wspomnienia tamtej chwili, kiedy zakrwawieni klęczeli oboje na słomie. Wtedy nawet w połowie nie czuł się tak bezsilny jak teraz.

– Jak... jak ty umarłeś?

Początkowo wydało mu się, że się przesłyszał.

– Wybacz, Maegwin. Jak co zrobiłem?

– Jak umarłeś? Wstyd mi, że nie spytałam cię wcześniej. Czy była to śmierć, na jaką zasłużyłeś, szlachetna? Och, mam nadzieję, że nie cierpiałeś bardzo. Chyba sama bym czegoś takiego nie zniosła. – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. – Ale przecież to nie ma już znaczenia, jesteś tutaj! Wszystko za nami.

– Jak umarłem? – Nierzeczywistość pytania zupełnie go zdumiała. Chwycił ją za ramię i zatrzymał się. Stali na trawiastym wzgórzu, a namiot Likimeyi znajdował się zaledwie o rzut kamieniem. – Maegwin, ja nie umarłem. Dotknij mnie! – Ujął w dłoń jej chłodne palce. – Ja żyję! I ty także!

– Otrzymałam cios, gdy tylko przybyli bogowie – powiedziała wpatrzona w dal. – Chyba był to Skali, przynajmniej ostatnią rzeczą, jaką pamiętam przed przebudzeniem się tutaj, był jego wzniesiony topór. – Zaśmiała się drżącym głosem. – To zabawne. Czy można się obudzić w niebie? Czasem wydaje mi się, że po prostu śpię.

– Maegwin. – Ścisnął jej dłoń. – Wysłuchaj mnie. My nie umarliśmy. – Eolair poczuł, że za chwilę się rozpłacze, i potrząsnął głową ze złością. – Jesteś w Hernystirze, tam, gdzie się urodziłaś.

Maegwin spojrzała na niego z dziwnym błyskiem w oku. Przez chwilę Eolairowi wydawało się, że dotarł do niej.

– Wiesz, Eolairze – powiedziała wolno – kiedy żyłam, wciąż się bałam. Bałam się, że stracę rzeczy mi drogie. Bałam się porozmawiać z tobą, najbliższym przyjacielem. – Potrząsnęła głową. Wiatr porwał jej włosy, odsłaniając długą, białą szyję. – Nie potrafiłam ci nawet powiedzieć, że cię kocham, Eolairze. Ach, kochałam cię tak gorąco! Bałam się, że jeśli ci to wyznam, odtrącisz mnie i stracę nawet twoją przyjaźń.

Eolair czuł, że jego serce jest jak kamień uderzony młotem, który za chwilę rozpadnie się na kawałki.

– Maegwin, ja... ja nie wiedziałem. – Czy i on ją kochał? Czy to coś pomoże, jeśli powie, że i on ją kochał, bez względu na to, czy to była prawda, czy nie? – Ja... byłem ślepy – wyjąkał. – Nie wiedziałem.

Uśmiechnęła się smutno.

– Teraz to już nie ma znaczenia – przemówiła z bolesną stanowczością. – Za późno, by przejmować się takimi sprawami. – Ścisnęła jego dłoń i ruszyła przed siebie.

Teraz kroczył do błękitno-purpurowego namiotu Likimeyi jak ktoś ugodzony w ciemności strzałą, i tak tym zaskoczony, że szedł dalej, nie zdając sobie sprawy, że już nie żyje.

JIRIKI I JEGO MATKA POGRĄŻENI BYLI W CICHEJ, lecz gwałtownej rozmowie, kiedy Eolair przekroczył płócienny krąg. Likimeya wciąż miała na sobie zbroję, lecz jej syn przywdział lżejszy strój.

Jiriki podniósł wzrok.

– Hrabia Eolair. Cieszymy się, że przyszedłeś. Chcemy ci coś pokazać i porozmawiać. – Wzrok Sithy powędrował ku jego towarzyszce. – Lady

Maegwin, witamy.

Eolair czuł, że Maegwin jest bardzo spięta, lecz dygnęła dworsko.

– Mój panie – powiedziała.

Hrabia zastanawiał się, co ona widzi. Jeśli Jiriki jest dla niej bogiem niebios, Bryniochem, to kim była jego matka? Co widziała, patrząc na szeleszczące dookoła jedwabie, owocowe drzewa, blask odchodzącego popołudnia i obce twarze Sithów?

– Usiądźcie, proszę. – Głos Likimeyi zabrzmiał zaskakująco melodyjnie pomimo jego chropowatości. – Napijecie się czegoś?

– Ja dziękuję. – Eolair zwrócił się do Maegwin. Potrząsnęła głową, lecz jej wzrok był nieobecny, jakby chciała uciec przed tym, co miała przed sobą.

– A zatem nie czekajmy – przemówiła Likimeya. – Chcemy ci coś pokazać. – Spojrzała na brązowowłosego posłańca, który wcześniej przychodził do Taig.

Sitha zbliżył się, niosąc w dłoniach niewielki worek. Szybkim ruchem rozwiązał go i przewrócił do góry nogami. Coś ciemnego potoczyło się po trawie.

– Na Łzy Rhynna! – krzyknął Eolair zduszonym głosem.

Przed nim leżała głowa Skalego; jego oczy i usta pozostały szeroko otwarte. Żółta broda przybrała niemal szkarłatny kolor od krwi, która popłynęła z przeciętej szyi.

– Oto twój wróg, hrabio Eolairze – powiedziała Likimeya. Kot, który zabił mysz, wykazałby taki sam spokój, składając ją u stóp pana. – On i kilkudziesięciu jego ludzi pojawili się wreszcie na wzgórzach, na wschód od Grianspog.

– Zabierzcie to, proszę. – Eolair poczuł gorycz w ustach. – Nie chcę go tak oglądać. – Spojrzał z niepokojem na Maegwin, ale ona nawet nie

drgnęła: siedziała nieruchomo, wpatrzona w ciemniejące niebo widoczne ponad jedwabnymi ścianami.

W przeciwieństwie do rudych włosów Likimeyi, jej brwi były białe – dwie, podobne do blizn, kreski nad oczami. Uniosła jedną z nich, dając wyraz nieco kpiącemu zdziwieniu.

– Wasz książę Sinnach w ten sposób przedstawiał pokonanych wrogów.

– To było pięćset lat temu! – Eolair starał się uspokoić. – Wybacz, pani, ale my, śmiertelnicy, zmieniamy się w takim okresie czasu. Nasi przodkowie byli bardziej okrutni niż my. – Przełknął ślinę. – Śmierć nie jest mi obca, ale to było dla mnie zaskoczeniem.

– Nie mieliśmy nic złego na myśli. – Likimeya rzuciła znaczące spojrzenie Jirikiemu, który właśnie pojawił się w wejściu. – Sądziliśmy, że twoje serce ucieszy się, widząc, jaki los spotkał tego, który zniewolił wasz lud.

– Rozumiem. Ja też nie chciałem was obrazić. Jesteśmy wdzięczni za pomoc. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo. – Nie mógł powstrzymać się, by jeszcze raz nie spojrzeć na zakrwawioną głowę.

Posłaniec schylił się i chwyciwszy głowę Skalego za włosy, wrzucił ją do worka. Eolair powstrzymał się, by zapytać, co stało się z ludźmi Ostronosego. Pewnie żywią się nimi sępy gdzieś wśród wzgórz.

– To dobrze – odparła Likimeya. – Gdyż my chcemy tylko pomóc.

– Co możemy zrobić? – spytał Eolair już spokojnym głosem.

Jiriki zwrócił się w jego stronę. Twarz Sithy nosiła maskę obojętności jeszcze większej niż zazwyczaj. Czyżby nie aprobował słów matki? Eolair starał się odpędzić podobne myśli. Zrozumienie Sithów oznaczało pogrążenie się w szalonym labiryncie.

– Teraz, kiedy Skali nie żyje, a jego wojska zostały rozproszone, nasz cel został osiągnięty – powiedział Jiriki. – Ale zaledwie rozpoczęliśmy

naszą podróż. Przed nami jej najważniejsza część.

Kiedy Jiriki mówił, jego matka sięgnęła do tyłu po słój, przysadzisty, a jednak w pewnym sensie zgrabny przedmiot o ciemnoniebieskiej, lśniącej powierzchni. Zanurzyła w nim dwa palce. Kiedy je wyjęła, ich czubki były szaroczarne.

– Mówiliśmy ci, że nie możemy tutaj pozostać – kontynuował Jiriki. – Musimy jechać dalej do Ujin e-d'a Sikhunae, wy nazywacie to miejsce Naglimundem.

Likimeya zaczęła nacierać sobie twarz; robiła to powoli, jakby rozpoczynała jakiś rytuał. Najpierw nakreśliła linie wzdłuż policzków i wokół oczu.

– A... a co mogą zrobić Hernystirczycy? – spytał Eolair. Nie potrafił oderwać wzroku od matki Jirikiego.

Sitha pochylił głowę na chwilę, a potem podniósł ją i uchwycił spojrzenie hrabiego.

– Na krew przelaną przez nasze narody, proszę cię, aby oddział twoich ludzi przyłączył się do nas.

– Do was? – Eolair przypomniał sobie pełen blasku i triumfu przejazd Sithów. – W jaki sposób my moglibyśmy wam pomóc?

Jiriki uśmiechnął się.

– Zbyt nisko cenicie siebie, a nas przeceniacie. Ważne jest, aby zdobyć zamek, który kiedyś należał do Josui, ale będzie to bitwa, jakiej jeszcze świat nie widział. Kto wie, jaką rolę mogą odegrać śmiertelnicy w walce Urodzonych w Ogrodzie? A poza tym istnieją rzeczy, których tylko wy możecie dokonać. Nas jest niewielu. Potrzebujemy was, Eolairze. Potrzebujemy.

Twarz Likimeyi pokrywała teraz maska, tak że jej bursztynowe oczy wydawały się płonąć w ciemności niczym cenne kamienie w skalnej

szczelinie. Trzy linie biegły od jej dolnej wargi do brody.

– Jiriki, nie mogę zmuszać do niczego moich ludzi – powiedział Eolair. – Szczególnie po tym, co przeszli. Ale myślę, że jeśli ja pójdę, to inni dołączą do mnie. – Rozważał wymogi honoru i obowiązku. Nie mógł już spełnić obietnicy zemsty na Skalim, lecz wydawało się, że Rimmersman był zaledwie pionkiem w grze Eliasa, a nawet potężniejszego wroga. Hernystir był wolny, ale wojna z pewnością się nie skończyła. Hrabia poczuł pewną pokusę na myśl o czymś tak prostym jak bitwa. Zaczynał już odczuwać ciężar borykania się z szaleństwem Maegwin i zagospodarowywaniem Hernysadharc.

Niebo nad ich głowami było teraz tak granatowe jak słój Likimeyi. Wokół namiotu ustawiono na drewnianych stojakach świecące kule; podświetlone od spodu gałęzie owocowych drzew emanowały złocistym blaskiem.

– Pojadę z wami do Naglimundu – przemówił wreszcie. Pomyślał, że Craobhan będzie mógł się opiekować mieszkańcami Hernysadharc, a także Maegwin i żoną Llutha, Inahwen. Craobhan zajmie się odbudową: doskonale nadaje się do tego zadania. – Przyprowadzę wszystkich, którzy zechcą pójść ze mną.

– Dziękuję ci, hrabio Eolairze. Świat się zmienia, ale pewne rzeczy pozostają niezmiennie prawdziwe. Serca Hernystirczyków się nie zmieniają.

Likimeya odłożyła słój, wytarła palce o buty, pozostawiając szerokie plamy, i wstała. Z maską na twarzy sprawiała wrażenie jeszcze bardziej obcej, jeszcze bardziej niepokojącej.

– A więc postanowione – powiedziała. – Kiedy nadejdzie trzeci poranek po dzisiejszej nocy, wyruszymy do Ujin e-d’a Sikhunae. – Jej oczy zabłysły w świetle kryształowych kul.

Eolair nie potrafił wytrzymać długo jej spojrzenia, ale też nie mógł powstrzymać ciekawości.

– Wybacz, pani – powiedział. – Mam nadzieję, że nie będę niegrzeczny. Czy wolno mi spytać, co masz na twarzy?

– Popiół. Żałobny popiół. – Wydała z głębi gardła dźwięk, który mógł oznaczać westchnienie zniecierpliwienia. – Nie zrozumiesz tego, śmiertelniku, ale ci powiem. Wyruszamy na wojnę z Hikeda'ya.

Zapadła cisza, w czasie której Eolair zastanawiał się, co znaczyły jej słowa. Po chwili przerwał ją Jiriki. Mówił głosem łagodnym, przepełnionym żalem.

– Hrabio Eolairze, Sithowie i Nornowie mają wspólnych przodków. – Uniósł dłoń i wykonał ruch, jakby gasił świecę. – Będziemy musieli zabić członków naszej rodziny.

W DRODZE POWROTNEJ MAEGWIN MILCZAŁA prawie przez cały czas. Odezwała się dopiero wtedy, gdy pojawiły się spadziste dachy Taig.

– Jadę z tobą. Chcę zobaczyć, jak walczą bogowie.

Potrząsnął gwałtownie głową.

– Zostaniesz tutaj z Craobhanem i innymi.

– Nie. Jeśli mnie zostawisz, pojadę za tobą. – Mówiła głosem spokojnym i stanowczym. – A poza tym, czego się lękasz, Eolairze? Przecież nie mogę umrzeć dwukrotnie, prawda? – roześmiała się głośno.

Próżne były jego sprzeciwy. Wreszcie, kiedy już zaczynał tracić cierpliwość, przyszło mu coś do głowy.

Sithijska uzdrowicielka powiedziała, że ona sama musi znaleźć drogę powrotu. Może to jest właśnie jej część?

Zaraz jednak pomyślał o niebezpieczeństwie. Nie wolno mu podejmować takiego ryzyka. Chociaż nie sądził, by potrafił ją powstrzymać, nawet gdyby ją zostawił; w całym Hernysadharc nie było bardziej upartej osoby od królewskiej córki, szalonej czy nie. Bogowie, czy ona była przeklęta? Nic dziwnego, że tęsknił za brutalną prostotą bitwy.

– Później o tym pomówimy – powiedział. – Jestem zmęczony.

– W tym miejscu nikt nie powinien być zmęczony. – W jej głosie zabrzmiała nuta triumfu. – Martwię się o ciebie, Eolairze.

SIMON WYBRAŁ WCZEŚNIEJ NIEOCIENIONE MIEJSCE niedaleko zewnętrznego muru *Sesuad'ra*. Tego dnia słońce świeciło całkiem mocno, chociaż było na tyle wietrznie, że oboje włożyli płaszcze. Mimo to miło było zdjąć kaptur i poczuć na szyi ciepło słonecznych promieni.

– Przyniosłem trochę wina. – Simon wyciągnął z torby bukłak i dwa kielichy. – Sangfugol twierdzi, że jest dobre, chyba perdruińskie. – Zaśmiał się nerwowo. – Dlaczego wino z jednego miejsca ma być lepsze od innego? Winogrona są wszędzie takie same.

Miriamele uśmiechnęła się. Sprawiała wrażenie zmęczonej: wyraźnie widać było cienie pod jej oczami.

– Nie wiem. Może uprawiają je inaczej.

– Nieważne. – Simon ostrożnie napełnił kielichy. – Wciąż nie jestem pewien, czy w ogóle lubię wino. Rachel nigdy nie pozwoliłaby mi go pić. „To jest diabelska krew", mawiała.

– Przełożona pokojówek? – Miriamele skrzywiła się. – Okropna kobieta.

Simon wręczył jej kielich.

– Ja też tak wcześniej myślałem. Potrafiła się rozzłościć. Ale chyba robiła dla mnie, co mogła. A ja jej tego nie ułatwiałem. – Podniósł kielich do ust i pozwolił, by cierpkość powoli płynęła mu po języku. – Ciekawe, gdzie ona jest teraz? Czy jeszcze w Hayholt? Mam nadzieję, że ma się dobrze. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało. – Uśmiechnął się do siebie; i pomyśleć, że w taki sposób mówi o Smoku! Nagle podniósł wzrok. – Och, nie, upiłem już trochę. Czy nie powinniśmy czegoś powiedzieć, wznieść jakiegoś toastu?

Miriamele uniosła swój kielich z powagą.

– Za twoje urodziny, Simonie.

– A także za twoje, księżniczko Miriamele.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, popijając wino. Wiatr kładł trawy, rysując na nich różne wzory, jakby przewalały się po nich w niespokojnym śnie ogromne bestie.

– Jutro rozpoczyna się Rada – odezwał się Simon. – Ale wydaje mi się, że Josua już podjął decyzję.

– Pojedzie do Nabbanu – powiedziała Miriamele nieco rozgoryczona.

– Co w tym złego? – Simon wskazał na jej kielich, już pusty. – To dopiero początek.

– Zły początek. – Utkwiła wzrok w jego dłoni, kiedy podawał jej puchar. Simon poczuł się nieswojo pod jej natarczywym spojrzeniem. – Przepraszam, Simonie. Po prostu nie podoba mi się wiele rzeczy. Wiele.

– Mów, jeśli chcesz. Jestem dobrym słuchaczem, księżniczko.

– Nie nazywaj mnie księżniczką! – Po chwili przemówiła już łagodniejszym tonem: – Proszę, Simonie, nie ty. Kiedyś, gdy nie wiedziałeś, kim jestem, byliśmy przyjaciółmi. Potrzeba mi teraz tej przyjaźni.

– Oczywiście... Miriamele. – Wziął głęboki oddech. – Czy już nie jesteśmy przyjaciółmi?

– Nie o to mi chodziło. – Westchnęła. – To samo było z decyzją Josui. Nie zgadzam się z nim. Uważam, że powinniśmy wyruszyć bezpośrednio do Erkynlandu. To nie jest taka wojna, jakie prowadził mój dziadek, ta jest o wiele gorsza. Obawiam się, że przybędziemy za późno, jeśli wcześniej będziemy chcieli podbić Nabban.

– Na co za późno?

– Nie wiem. Nie potrafię wykazać, że moje odczucia, moje myśli są słuszne. To źle, ale ponieważ jestem księżniczką, córką Wielkiego Króla, gotowi są mnie wysłuchać. Chociaż potem ignorują w uprzejmy sposób. Lepiej od razu powiedzieliby, żebym siedziała cicho!

– Co to ma wspólnego ze mną? – spytał cicho Simon.

Miriamele już od jakiegoś czasu siedziała z zamkniętymi oczami, jakby wsłuchując się w siebie. Simon, widząc jej delikatne, złocistobrązowe rzęsy, miał wrażenie, że jest tak krucha, iż zaraz się rozpadnie na kawałeczki.

– Nawet ty, Simonie, który spotkałeś mnie jako służącą... nie, jako służącego! – Roześmiała się, lecz wciąż nie otwierała oczu. – Nawet ty, Simonie, patrząc na mnie, nie widzisz mnie. Widzisz imię mego ojca, zamek, w którym się wychowałam, drogie suknie. Ty widzisz... księżniczkę. – Wypowiedziała to słowo w taki sposób, jakby oznaczało coś strasznego.

Simon przyglądał jej się przez długą chwilę, obserwując rozwiane wiatrem włosy, aksamitną skórę policzka. Całym sobą pragnął powiedzieć jej, co widzi naprawdę, ale wiedział, że nigdy nie znajdzie właściwych słów; cokolwiek powie, będzie tylko bełkotem gamonia.

– Jesteś tym, kim jesteś – odezwał się wreszcie. – Czy podobnym oszustwem nie jest udawanie, że się jest kimś innym, tak samo jak inni udają, że rozmawiają z tobą, gdy tymczasem mówią do... księżniczki?

Nagle otworzyła oczy. Były takie czyste, pytające. W jednej chwili wyobraził sobie, jak to musiało być, gdy się stawało przed jej dziadkiem, Presterem Johnem. Przypomniał sobie też, kim jest on sam: gamoniowatym synem służącej, który przypadkiem został rycerzem. W tym momencie była mu bliższa niż kiedykolwiek dotąd, lecz jednocześnie dzieliła ich przepaść oceanu.

Miriamele przyglądała mu się uważnie. Wreszcie odwrócił się, zawstydzony.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Jej głos zabrzmiał dźwięcznie, ale jakoś nie oddawał jej niespokojnego wyrazu twarzy. – Nie przepraszaj, Simonie. I pomówmy o czym innym. – Odwróciła się i spojrzała ponad falującymi trawami. Dziwna, gwałtowna chwila przeminęła.

Skończyli pić wino i zajęli się chlebem i serem. Na koniec Simon wyjął zawinięte w liść cukierki, które kupił na małym targu w Nowym Gadrinsett; były to małe kulki z miodu i prażonych nasion. Rozmawiali teraz o innych rzeczach i dziwnych miejscach, które oboje widzieli. Miriamele spróbowała opowiedzieć Simonowi o Gan Itai i jej śpiewie, o tym, jak swą muzyką potrafiła połączyć niebo i ziemię. Simon w zamian próbował wyjaśnić jej, co czuł, przebywając w domu Jirikiego i oglądając Yasira, żywy namiot z motyli. Próbował też opisać kruchą, straszną Amerasu, ale się zawahał. Jej wspomnienie wciąż jeszcze niosło ze sobą wiele bólu.

– A ta druga Sithijka? – spytała Miriamele. – Ta, która jest tutaj, Aditu?

– O co ci chodzi?

– Co o niej myślisz? – Zmarszczyła brwi. – Wydaje mi się, że ona nie umie się zachować.

Simon prychnął łagodnie.

– Ja bym raczej powiedział, że zachowuje się po swojemu. Oni są inni, Miriamele.

– W takim razie chyba nie mam zbyt dobrego zdania o Sithach. Ona ubiera się i zachowuje jak dziewucha z tawerny.

Simon powstrzymał uśmiech. Strój, jaki obecnie nosiła Aditu, był niesłychanie umiarkowany w porównaniu z tym, który miała na sobie w Jao e-Tinukai'i. Prawdą jest, że wciąż pokazywała więcej swego śniadego ciała niż inne mieszkanki Nowego Gadrinsett, lecz starała się bardzo, by ich nie drażnić. A co do jej zachowania...

– Nie jest chyba taka zła – powiedział.

– Pewnie, co miałbyś powiedzieć innego – odparła Miriamele najwyraźniej rozdrażniona. – Włóczysz się za nią jak szczeniak.

– Wcale nie! – zaprzeczył urażony. – Jest moją przyjaciółką.

– To miłe słowo. Słyszałam, jak przyjaciele mojego ojca używają go w odniesieniu do kobiet, których nie wpuszczono by do kościoła. – Miriamele się wyprostowała. Nie drażniła się z nim tylko. W jej głosie znowu wyczuł gniew. – Nie winię cię za to, taka już jest natura mężczyzn. Na swój sposób jest całkiem ponętna.

Simon roześmiał się.

– Nigdy nie zrozumiem – powiedział.

– Czego? Czego nie zrozumiesz?

– Nieważne. – Pokręcił głową. Zdecydował, że lepiej będzie skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. – Ach, byłbym zapomniał. – Odwrócił się i sięgnął po swoją torbę, którą oparł o wygładzoną przez wieki ścianę. – Przecież świętujemy nasze urodziny. Czas na prezenty.

Miriamele podniosła wzrok zaskoczona.

– Och, Simonie! Ale ja nic dla ciebie nie mam!

– Wystarczy, że tu jesteś. Widok ciebie bezpiecznej jest już wystarczającym prezentem... – Jego głos się załamał, aż przeszedł do żenującego pisku. Chrząknął natychmiast, by ukryć zmieszanie. – Ty i tak dałaś mi już prezent: chustę. – Rozchylił płaszcz, by mogła zobaczyć ją owiniętą wokół jego szyi. – Nigdy jeszcze nie dostałem takiego prezentu. – Uśmiechnął się i opuścił płaszcz. – A teraz ja mam coś dla ciebie. – Sięgnął do torby i wyjął z niej coś długiego, owiniętego w materiał.

– Co to jest? – Smutek i troska ustąpiły miejsca dziecięcemu zaciekawieniu, jakie pojawiło się na jej twarzy.

– Rozwiń.

Pośród fałd materiału ukazała się biała sithijska strzała.

– Chcę, żebyś ją zatrzymała.

Miriamele spoglądała to na strzałę, to na Simona. Jej twarz pobladła.

– Och, nie – szepnęła. – Nie, Simonie, nie mogę.

– Jak to? Oczywiście, że możesz. To jest mój prezent. Binabik powiedział, że została wykonana przez Sithę o imieniu Vindaomeyo dawniej, niż jesteśmy w stanie sobie to wyobrazić. Miriamele, spośród wszystkiego, co posiadam, tylko to warte jest księżniczki, a ty nią jesteś, czy ci się to podoba, czy nie.

– Nie, Simonie, nie. – Wcisnęła mu strzałę z powrotem do ręki. – Nie. Nikt jeszcze nie był dla mnie tak dobry jak ty, ale nie mogę jej przyjąć. To nie jest zwykły przedmiot. Ta strzała to obietnica Jirikiego, jego przysięga. Tak mi powiedziałeś. A to zbyt wiele znaczy. Sithowie nie rozdają takich rzeczy bez powodu.

– Ja też nie – burknął Simon ze złością. „A więc nawet to nie jest dość dobre” – pomyślał. Pod cieniutką warstwą złości gotował się wulkan urazy.

– Chcę, żebyś *ty* ją miała.

– Proszę, Simonie. Dziękuję. Nawet nie wiesz, jaki jesteś dobry, ale zbyt wiele by mnie to kosztowało, gdybym ją przyjęła. Nie mogę.

Urażony i zdezorientowany zacisnął dłoń na strzale. Wciąż odrzucano jego propozycje. Poczuł wzbierające w nim uczucie dzikiego szaleństwa.

– W takim razie zaczekaj tutaj – powiedział, wstając. Musiał się powstrzymywać, by nie krzyczeć. – Obiecaj mi, że nie ruszysz się stąd, dopóki nie wrócę.

Spojrzała na niego niepewnym wzrokiem, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Zostanę, jeśli tego chcesz. Czy to długo potrwa?

– Nie. – Po chwili szedł już w stronę kruszącej się kamiennej bramy w wielkim murze. Uszedł zaledwie kilka kroków, a potem zaczął biec.

KIEDY WRÓCIŁ, MIRIAMELE SIEDZIAŁA WCIĄŻ w tym samym miejscu. W czasie nieobecności Simona znalazła owoc granatu, który schował jako ostatnią niespodziankę.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale nie miałam co robić. Otworzyłam go, ale nic nie zjadłam. – Pokazała mu jedną połowę, pełną równo ułożonych pestek. – Co tam masz?

Simon wysunął miecz spomiędzy fałd płaszcza. Patrzyła zdumiona, jak klęka przed nią.

– Miriamele... księżniczko... podaruję ci jedyny prezent, jaki mi jeszcze został. – Wysunął w jej stronę rękojeść miecza i pochylił głowę, utkwiwszy wzrok w trawie wokół jego butów. – Ofiaruję ci moją służbę. Jestem teraz rycerzem. Przysięgam, że jesteś moją damą i że będę twoim obrońcą... jeśli mnie przyjmiesz.

Simon zerknął spod oka na Miriamele. Na jej twarzy pojawiły się uczucia, których nie potrafił zidentyfikować.

– Och, Simonie – powiedziała.

– Jeśli nie chcesz przyjąć mojej służby albo nie możesz z jakiegoś powodu, którego nie mogę poznać z powodu mojej głupoty, to powiedz. Wciąż możemy pozostać przyjaciółmi.

Nastąpiła długa cisza. Simon ponownie spuścił wzrok, czując, że kręci mu się w głowie.

– Oczywiście – odezwała się wreszcie. – Oczywiście, że cię przyjmę, drogi Simonie – powiedziała nieco zmienionym głosem. Uśmiechnęła się. – Ale nigdy ci tego nie wybaczę.

Spojrzał w górę zaniepokojony, by sprawdzić, czy żartuje. Na jej ustach drżał niepewny uśmiech, lecz oczy miała zamknięte. Jej rzęsy lśniły jakby zroszone łzami. Nie potrafił powiedzieć, czy jest szczęśliwa, czy smutna.

– Co powinnam zrobić? – spytała.

– Nie jestem pewien. Weź miecz i dotknij ostrzem moich ramion. Josua też tak zrobił. A potem powiedz: „Będziesz moim rycerzem”.

Podniosła miecz, dotknęła rękojeścią swojego policzka, po czym opuściła go i dotknęła ostrzem jego ramion, najpierw lewego, potem prawego.

– Będziesz moim rycerzem, Simonie – szepnęła.

– Tak się stanie.

POCHODNIE W DOMU ROZSTANIA wypalały się powoli. Dawno minęła już pora wieczornego posiłku, lecz nikt nawet o nim nie wspomniał.

– To już trzeci dzień Rady – powiedział książę Josua. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Proszę, wysłuchajcie mnie jeszcze przez kilka chwil. –

Przesunął dłonią po oczach.

Isgrimnur pomyślał, że ze wszystkich zebranych to właśnie książę wygląda na najbardziej zmęczonego po dniach zagorzałych kłótni i dyskusji. Chcąc dać wszystkim możliwość wypowiedzenia się, Josua wdawał się w dyskusje nie do końca związane z najważniejszą sprawą, czego nie aprobował dawny pan Elvritshalli. Książę Josua nigdy by nie przetrwał rygorów kampanii przeciwko swojemu bratu, gdyby się nie uodpornił. Poprawił się już od chwili, kiedy spotkali się z Isgrimnurem po raz ostatni – podróż do tego dziwnego miejsca wydawała się odmienić wszystkich, którzy ją odbyli – lecz książę wciąż uważał, że Josua nie opanował jeszcze do końca umiejętności słuchania bez wdawania się w dyskusje. Bez tego, pomyślał, żaden władca nie przetrwa długo.

Wiele było nieporozumień. Thrithingowie z nieufnością spoglądali na mieszkańców Nowego Gadrinsett i obawiali się, że staną się oni ciężarem, kiedy Josua zdecyduje się przenieść obóz na równinę. Z kolei sami osadnicy nie byli pewni, czy w ogóle chcą się ruszać ze wzgórza, gdyż nie mieli żadnej ziemi, na której mogliby się osiedlić, dopóki Josua nie odbierze części terytorium od swojego brata albo Benigarisa.

Freosel i Sludig, którzy po śmierci Deornotha zostali głównymi dowódcami wojsk, także różnili się w opiniach co do tego, gdzie książę powinien się udać. Sludig trzymał stronę swego seniora, Isgrimnura, i obstawał przy ataku na Nabban. Freosel, podobnie jak wielu innych, uważał, że wypad na południe oznaczał zejście z głównej linii ataku. Był on Erkynlandczykiem, a Erkynland obejmował więcej niż tylko kraj Josui: także to miejsce, które najwięcej ucierpiało od rządów Eliasa. Freosel jasno wyraził swoje zdanie, sugerując, że powinni wyruszyć na zachód, ku zachodnim majątkom Erkynlandu, i tam zebrać dodatkowe siły wśród niezadowolonych poddanych, a potem zaatakować Hayholt.

Isgrimnur westchnął i podrapał się po podbródku, delektując się przez chwilę coraz większą brodą. Miał ochotę po prostu wstać i oznajmić wszystkim, co mają zrobić i jak to osiągnąć. Wyczuwał nawet, że Josua w głębi duszy chętnie pozbyłby się ciężaru przywódcy, lecz nie można było na to pozwolić. Książę wiedział, że gdyby tylko Josua utracił przywództwo, pomniejsze frakcje rozwiązałyby się i przepadłaby szansa stawienia zorganizowanego oporu Eliasowi.

– Sir Camarisie – przemówił w pewnym momencie Josua, zwracając się do starego rycerza. – Dotąd prawie nie zabierałeś głosu. Jeśli mielibyśmy pojechać do Nabbanu, jak sugeruje Isgrimnur i inni, ty będziesz naszym sztandarem. Dlatego pragnę usłyszeć twoje zdanie.

Starzec rzeczywiście prawie przez cały czas milczał, choć Isgrimnur wątpił, by powodem tego była jego dezaprobata. Camaris raczej przysłuchiwał się kolejnym argumentom niczym mędrzec stojący na ławce pośród tawernianej zawieruchy, obecny, a jednak poza kłócącymi się, skupiony na czymś, co umknęło uwagi pozostałych.

– Książę Josuo, nie potrafię ci powiedzieć, co będzie słuszne – przemówił stary rycerz, tak jak to miał w zwyczaju od chwili odzyskania rozumu, z niewymuszoną powagą. Mówił powoli, ostrożnie, jakby wręcz parodiował dawną dworską mowę; mógłby być Dobrym Wieśniakiem z przypowieści z *Księgi Aedona*.

– Nie mnie stawać między tobą a Bogiem, który udziela odpowiedzi na wszystkie pytania. Mogę ci tylko powiedzieć, co myślę. – Pochylił się do przodu i utkwił wzrok w swoich długich dłoniach złożonych przed nim na stole jak do modlitwy. – Wciąż nie pojmuję wiele z tego, co usłyszałem. Umowa twojego brata z Królem Burz, który w moich czasach był starą legendą, znaczenie trzech mieczy, w tym mojego Ciernia, i rola, jaką mają odegrać, wszystko to jest dla mnie dziwne, bardzo dziwne. Ale wiem na

pewno, że kochałem mojego brata Leobardisa, a sądząc z tego, co powiedziałeś, dobrze służył on Nabbanowi przez wszystkie te lata, kiedy ja straciłem pamięć: lepiej chyba, niż ja bym to zrobił. On był stworzony do rządzenia, ja nie. Jego syna Benigarisa znałem jako wrzeszczące niemowlę. Serce mi się ściska, że ktoś z mojego rodu okazał się ojcobójcą, ale nie mogę wątpić w dowody, o których słyszałem. – Pokręcił wolno głową. – Nie potrafię powiedzieć ci, czy udać się do Nabbanu, czy do Erkynlandu, czy gdziekolwiek indziej na całej zielonej ziemi Pana. Ale jeśli pojedziesz do Nabbanu, Josuo, tak, pojadę na czele armii. Jeśli ludzie użyją mego imienia jako sztandaru, nie będę ich powstrzymywał, choć nie wydaje mi się to bardzo rycerskie: głos człowieka powinien wykrzykiwać tylko imię Odkupiciela. Ale nie mogę pozwolić, by tak haniebny czyn rodu Benidrivinów przeszedł niezauważony. Jeśli te słowa mogą być odpowiedzią dla ciebie, Josuo, to otrzymałeś ją. – Uniósł dłoń, jakby składał przysięgę. – Tak, pojadę do Nabbanu. Ale żałuję, że muszę powrócić do królestwa mojego przyjaciela Johna, które legło w gruzach, i do ukochanego Nabbanu, zgniecionego butem mojego zbrodniczego siostrzeńca. – Opuścił wzrok na stół. – Jest to najsroższa próba, jakiej poddał mnie Bóg, a przecież i tak już wiele razy Go zawiodłem. – Starzec zamilkł, lecz jego słowa wydawały się unosić w powietrzu niczym dym kadzidła. Nikt nie odważył się odezwać, zanim zabrał głos Josua.

– Dziękuję ci, sir Camarisie. Wiem, ile cię będzie kosztowało, by stawić czoło swoim rodakom. Ubolewam bardzo nad tym, że musimy cię o to prosić. – Książę rozejrzał się po sali. – Czy ktoś jeszcze chce zabrać głos, zanim skończymy?

Siedząca obok Vorzheva poruszyła się, jakby miała zamiar coś powiedzieć, lecz tylko rzuciła mężowi gniewne spojrzenie, na co on natychmiast odwrócił wzrok. Isgrimnur domyślił się, co zaszło między nimi

– Josua polecił jej, by została, dopóki nie urodzi się dziecko – i zmarszczył brwi niezadowolony; książę nie potrzebował dodatkowych wątpliwości, które mogłyby wpłynąć na zmianę jego decyzji.

Wstała Geloë, zajmująca miejsce w dalszej części stołu.

– Jest chyba jeszcze coś, Josuo. Odkryliśmy to z ojcem Strangyeardem zeszłej nocy. – Odwróciła się do duchownego, który siedział obok niej. – Strangyeardzie?

Archiwista wstał, ściskając w dłoni plik pergaminów. Poprawił opaskę na oku i rozejrzał się niespokojnie po zebranych, jakby nagle zdał sobie sprawę, że znalazł się przed trybunałem oskarżony o herezję.

– Tak – powiedział. – Tak. Jest jeszcze coś ważnego, to znaczy może okazać się ważnym. – Wyciągnął jeden z pergaminów.

– Mów, Strangyeardzie – zachęcił go uprzejmie książę. – Chętnie wysłuchamy, co masz do powiedzenia.

– Ach, tak. Otóż znaleźliśmy coś w manuskrypcie Morgenesa. W jego *Żywocie Johna Presbitera*. – Podniósł kilka spośród licznych pergaminów, by pokazać je tym, którzy nie widzieli jeszcze księgi Doktora Morgenesa. – Pomógł nam w tym także Tiamak z Wranu. – Wskazał na Wrańczyka. – Stwierdziliśmy, że Morgenes bardzo się tym interesował, nawet później, kiedy już potrafił częściowo przewidzieć umowę Eliasa z Królem Burz. Widzicie, bardzo go to niepokoiło.

– Co mamy widzieć? – Siedzenie Isgrimnura coraz bardziej miało dość twardego krzesła, a i plecy dawały mu się we znaki. – Co go niepokoiło?

– Och! – Strangyeard spojrzał na niego zdumiony. – Wybaczcie. Brodata gwiazda, oczywiście. Kometa.

– W czasie panowania mojego brata pojawiła się taka gwiazda na niebie – powiedział Josua. – A ściślej biorąc, po raz pierwszy ujrzeliśmy ją w noc jego koronacji. Wtedy też pochowano mojego ojca.

– O niej mówię! – przytaknął mu Strangyeard. – *Asdridan Condiquilles*, Gwiazda Zdobywcy. Przeczytam, co o niej napisał Morgenes. – Przyłożył palec do pergaminu.

...Dziwnym wydaje się fakt, że Gwiazda Zdobywcy zamiast świecić jasno w chwilach triumfu zdobywców, jak wskazuje na to jej imię, wydaje się raczej pojawiać jako zwiastun upadku imperiów. Obwieściła ona upadek Khandu, dawnych Morskich Mocarstw, a nawet upadek największego może mocarstwa – panowania Sithów w Osten Ard – który to nastąpił w chwili zburzenia Asu'a. Pierwsze zapiski uczonych Ligi Pergaminu mówią, że Gwiazda Zdobywcy świeciła jasno na niebie w chwili, kiedy Ineluki, syn Iyu'unigato, wymówił zaklęcie, które miało zniszczyć sithijski zamek, a także znaczną część armii Fingila.

Ponoć jedynym rzeczywistym zwycięstwem, które ujrzało blask Gwiazdy Zdobywcy, była chwila triumfu Odkupiciela, Usiresa Aedona, gdyż świeciła ona na nabbańskim niebie, kiedy powieszono Usiresa na Drzewie Egzekucji. Jednakże można przyjąć, że i wtedy zwiastowała upadek, gdyż śmierć Aedona stanowiła początek ostatecznego upadku potężnego Imperium Nabbanu...

Strangyeard odetchnął głęboko. W jego oczach pojawił się teraz blask: czuł się nieswojo, czytając takiemu zgromadzeniu słowa Morgenesa.

– Tak więc widzicie, że nie jest to fakt bez znaczenia.

– Ale dlaczego? – spytał Josua. – Ona już się pojawiła na początku rządów mojego brata. Co z tego, nawet jeżeli przepowiedziała upadek imperium? Nie wątpię, że chodzi tu o imperium mojego brata. – Uśmiechnął się niewyraźnie. Wśród zebranych także przebiegł szmer.

– To jeszcze nie koniec opowieści, książę Josuo – powiedziała Geloë. – Dinivan, a także inni, wśród nich i Morgenes, zanim umarł, studiowali tę

sprawę. Widzisz, Gwiazda Zdobywcy nie odeszła. Ona wróci.

– Jak to?

Wstał Binabik.

– Dinivan odkrył, że co pięćset lat – zaczął wyjaśniać – gwiazda pojawia się na niebie nie raz, lecz trzykrotnie. Ukazuje się na trzy lata, w pierwszym roku świeci jasno, w drugim jest ledwie widoczna, a w trzecim roku świeci najjaśniej.

– Dlatego znowu pojawi się tego roku, w końcu zimy – powiedziała Geloë. – Będzie to trzeci raz. Po raz ostatni pojawiła się w czasie upadku Asu’a.

– Wciąż nie rozumiem – odparł Josua. – Nie wątpię, że to, co mówicie, jest ważne, ale i tak mamy wiele innych tajemnic do rozwikłania. Co ta gwiazda dla nas oznacza?

Geloë pokręciła głową.

– Może nic. Może, tak jak w przeszłości, zwiastuje odejście wielkiego królestwa, lecz nie potrafimy powiedzieć, czy chodzi o królestwo Wielkiego Króla, Króla Burz czy też mocarstwo twojego ojca – jeśli przegramy. Trudno uwierzyć, by jej ukazanie się w chwilach tak przełomowych nie miało znaczenia dla historii.

– Zgadzam się – powiedział Binabik. – Nie można takich rzeczy ignorować, uważając je tylko za zbieg okoliczności.

Josua rozglądał się niepewnie, jakby oczekiwał, że ktoś z siedzących przy stole da mu odpowiedź.

– Ale co to znaczy? Co powinniśmy w związku z tym faktem zrobić?

– Po pierwsze, może to oznaczać, że miecze okażą się dla nas użyteczne dopiero wtedy, kiedy gwiazda pojawi się na niebie – oznajmiła Geloë. – Zdaje się, że mają one znaczenie głównie dlatego, że pochodzą z innych światów. Może niebiosa pokażą nam, kiedy staną się one najbardziej

przydatne. – Wzruszyła ramionami. – A może gwiazda oznajmi chwilę, kiedy Ineluki będzie najsilniejszy, najbardziej pomocny Eliasowi w walce przeciwko nam, gdyż właśnie pięć wieków temu wypowiedział zaklęcie, które uczyniło go tym, czym jest teraz. W takim wypadku będziemy musieli dotrzeć do Hayholt, zanim nadejdzie ta chwila.

W ogromnej sali zapadła cisza przerywana tylko cichym trzaskiem płomieni w palenisku. Josua, zamyślony, przekładał stronice książki Morgenesa.

– Nic więcej nie dowiedzieliście się o mieczach, z którymi wiążemy tak wielkie nadzieje, nic, co mogłoby się nam jeszcze przydać? – spytał.

Binabik potrząsnął głową.

– Wiele rozmawialiśmy z sir Camarisem. – Mały troll skłonił się z szacunkiem w stronę rycerza. – Opowiedział wszystko, co wie o Cierniu i jego właściwościach, ale wciąż nie wiemy, w jaki sposób mógłby się on okazać dla nas przydatny.

– W takim razie nie możemy ryzykować swojego życia, zdając się na nie – wtrącił Sludig. – Magia i czarodziejskie sztuczki zawsze okazują się zwodnicze.

– Mówisz o rzeczach, których nie znasz... – powiedziała ponuro Geloë.

Josua wyprostował się.

– Dość. Nie możemy teraz porzucić trzech mieczy. Gdybyśmy tylko walczyli z moim bratem, może wtedy moglibyśmy zaryzykować. Ale nie ma wątpliwości, że krok w krok idzie za nim Król Burz i trzy miecze są naszą jedyną nadzieją na ratunek przed jego ciemnością...

Miriamele wstała.

– Dlatego, wuju Josuo... Książę Josuo, pozwól, że poproszę cię jeszcze raz, abyśmy udali się bezpośrednio do Erkynlandu. Jeśli miecze mają jakiekolwiek znaczenie, to musimy odebrać ojcu Smutek, a także odzyskać

Biały Gwóźdź z grobu dziadka. Sądząc z tego, co powiedzieli Geloë i Binabik, mamy niewiele czasu.

Jej twarz wyrażała powagę, lecz Isgrimnur miał wrażenie, że wyczuwa w jej słowach rozpacz. To go zdziwiło. Choć niezwykle ważne były ich decyzje, nie rozumiał, dlaczego mała Miriamele przemawia, jakby całe jej życie całkowicie zależało od tego, by pojechać do Erkynlandu i stawić czoło ojcu.

Josua patrzył chłodnym wzrokiem.

– Dziękuję, Miriamele. Cenię sobie twoje rady. – Zwrócił się do pozostałych. – Teraz muszę podjąć decyzję. – W każdym jego słowie przebijało pragnienie zakończenia przedłużających się dyskusji.

– Oto, co postanowiłem. Można pozostać tutaj, umocnić Nowe Gadrinsett i przeczekać, aż rządy mojego brata zwrócą się przeciwko niemu. To jedna możliwość. – Josua przeczesał dłonią krótkie włosy, a potem uniósł dwa palce. – Druga możliwość to pojechać do Nabbanu, gdzie z Camarisem na czele naszej armii mamy szansę zyskać popleczników i zebrać armię zdolną do pokonania Wielkiego Króla. – Książę uniósł trzeci palec. – Trzecia ewentualność to: jak sugerowała Miriamele, a także Freosel i inni, udać się wprost do Erkynlandu, ufając, że uda nam się zebrać tam dość zwolenników, by pokonać obronę Eliasa. Istnieje szansa, że Isorn i hrabia Nad Mullach dołączą do nas wraz z ludźmi, których zebrali w Hernystirze i Frostmarch.

Wstał młody Simon.

– Wybacz, książę Josuo. Nie zapominaj o Sithach.

– Nic nie jest pewne, Seomanie – powiedziała Aditu. – Nic.

Jej słowa zaskoczyły Isgrimnura. Dotąd siedziała tak cicho, że zapomniał w ogóle o jej istnieniu. Zastanawiał się, czy mądrze postępowali,

rozmawiając tak otwarcie w jej obecności. Co w rzeczywistości Josua i pozostali wiedzieli o nieśmiertelnych?

– Możliwe, że dołączą do nas Sithowie – przyznał Josua – choć, jak mówi Aditu, nie wiemy, co się dzieje w Hernystirze ani co planują Sithowie. – Książę zamknął oczy. – Musimy także odzyskać pozostałe dwa spośród Wielkich Mieczy – przemówił po chwili. – Dowiedzieliśmy się również o Gwieździe Zdobywcy, choć muszę przyznać, niewiele mi to mówi, może tyle tylko, że może ona mieć jakiś wpływ na wydarzenia. – Zwrócił się do Geloë: – Oczywiście, powiecie mi natychmiast, jeśli dowiecie się czegoś więcej.

Czarownica skinęła głową.

– Pragnąłbym pozostać tutaj. – Josua spojrzał szybko na Vorzhevę, lecz ona nie podniosła wzroku. – Niczego bardziej nie pragnąłbym, niż być świadkiem narodzin mojego dziecka w miejscu, które można nazwać bezpiecznym. Chciałbym zobaczyć, jak nasi osadnicy zamieniają to starożytne miejsce w nowe, tętniące życiem miasto, schronienie dla każdego, kto go potrzebuje. Ale nie możemy pozostać. Brakuje nam żywności, a każdego dnia przybywają kolejni uciekinierzy i ofiary wojny. Jeśli tutaj zostaniemy, mój brat przyśle armię potężniejszą niż wojska Fengbalda. Poza tym jestem zdania, że minął już czas obrony. Tak więc wyruszamy.

Co do tego, gdzie, po długim namyśle zdecydowałem, że do Nabbanu. Nie jesteśmy jeszcze dość silni, by zmierzyć się bezpośrednio z Eliasem; obawiam się też, że Erkynland jest tak bardzo spustoszony, że trudno byłoby nam zebrać tam armię. Ponadto w razie porażki nie mielibyśmy się dokąd udać, musielibyśmy się wycofywać przez otwarty teren. Nie potrafię powiedzieć, ilu zginęłoby tylko w czasie ucieczki po przegranej bitwie, że nie wspomnę już, ilu poległoby w samej bitwie.

Tak więc Nabban. Dotrzemy tam, zanim Benigaris zdoła zebrać odpowiednią armię; liczymy też na to, że do tego czasu Camaris zdoła przyciągnąć wielu na naszą stronę. Jeśli przy odrobinie szczęścia uda nam się pokonać Benigarisa i jego matkę, Camaris odda nam także do dyspozycji flotę Nabbanu, co ułatwi nam późniejsze kroki. – Uniósł ramiona, powstrzymując szepty, które już rozległy się w sali. – Ale nie będę też lekceważył ostrzeżenia członków Ligi Pergaminu co do Gwiazdy Zdobywcy. Niechętnie wyruszam zimą, szczególnie że wydaje się ona narzędziem Króla Burz, lecz chyba im szybciej wyruszymy z Nabbanu do Erkynlandu, tym lepiej. Nawet jeśli gwiazda ma być zwiastunem upadku imperium, to nie musi ona być znakiem dla nas: postaramy się dotrzeć do Hayholt, zanim się ukaże. Mamy nadzieję, że łagodna pogoda się utrzyma i opuścimy to miejsce w ciągu dwóch tygodni. Tak postanowiłem. – Opuścił dłoń na stół. – A teraz idźcie wszyscy odpocząć. Nie ma sensu dłużej się sprzeczać. Udajemy się do Nabbanu.

Niektórzy próbowali jeszcze zadawać pytania.

– Dość! – zawołał Josua. – Idźcie i zostawcie mnie w spokoju!

Popędzając zebranych do wyjścia, Isgrimnur się odwrócił. Josua siedział zgarbiony na swoim miejscu i pocierał dłonią czoło. Obok niego siedziała Vorzheva wpatrzona przed siebie, jakby jej mąż znajdował się oddalony o tysiące mil.

PRYRATES WSZEDŁ DO DZWONNICY. Wysokie, łukowate okna wpuszczały wiatr, który wirował wokół Wieży Zielonego Anioła i targał czerwone szaty mnicha. Tu mężczyzna zatrzymał się; jego obcasy jeszcze raz zastukały na kamiennej podłodze, a potem zapadła cisza.

– Wzywałeś mnie, Wasza Wysokość? – spytał po długiej chwili.

Elias stał wpatrzony na wschód ponad dachami Hayholt. Słońce schowało się już za zachodni horyzont, a po niebie płynęły ciężkie, czarne chmury. Wszystko pogrążyło się w cieniu.

– Fengbald nie żyje – powiedział Król. – Josua go pokonał.

Pryrates podniósł głowę zdziwiony.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

Wielki Król obrócił się na pięcie.

– Jak to, klecho? Dziś rano przybyło pół tuzina gwardzistów, pozostałość po armii Fengbalda. Opowiedzieli mi wiele zdumiewających rzeczy. Ale ty zdaje się *wiesz* już o tym.

– Nie, Wasza Wysokość – zaprzeczył gwałtownie alchemik. – Zdziwiłem się tylko, że nie zostałem poinformowany zaraz po przybyciu żołnierzy. Zwykle obowiązkiem królewskiego doradcy jest...

– ...Przesiać nowiny i zdecydować, co można powiedzieć panu – skończył za niego Elias. Jego wzrok płonął, a uśmiech wcale nie był przyjazny. – Posiadam wiele źródeł informacji, Pryratesie. Nie zapominaj o tym.

Duchowny skłonił się sztywno.

– Proszę o wybaczenie, mój Królu, jeśli cię uraziłem.

Elias przyglądał mu się przez chwilę, a potem znowu odwrócił się do okna.

– Powinienem się domyślić, wysyłając tego bufona Fengbalda. Powinienem się domyślić, że nie wykona dobrze tego zadania. Na krew i potępienie! – Uderzył dłońmi o kamienny parapet. – Gdybym posłał Guthwulfa!

– Hrabia Utanyeat okazał się zdrajcą, Wasza Wysokość – zauważył ze spokojem Pryrates.

– Zdrajca czy nie, był najlepszym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Zmełłby mojego brata i jego obszarpaną armię na pasztet. – Król pochylił się i podniósł kamień. Przez chwilę ważył go w dłoni, a potem cisnął w powietrze. Patrzył, jak opada bezgłośnie. – Teraz Josua wyruszy przeciwko mnie – odezwał się wreszcie. – Znam go. Zawsze chciał mi odebrać tron. Nigdy nie przebaczył mi tego, że urodziłem się pierwszy, ale był zbyt sprytny, by mówić o tym głośno. Tak, mój brat potrafi działać dyskretnie. Podstępny i zjadliwy jak żmija. – Twarz Króla, mizerna i zmęczona, wydawała się mimo wszystko pełna okrutnej żywotności. Zaciskał i rozwierał nerwowo palce. – Ale ja będę przygotowany, prawda?

Usta alchemika wykrzywił grymas uśmiechu.

– Tak, panie, będziesz gotów.

– Teraz mam przyjaciół, potężnych przyjaciół. – Dłoń Króla opadła na podwójną rękojeść Smutku, który spoczywał u jego boku. – A poza tym nadchodzą rzeczy, których Josua nie może się spodziewać, nawet gdyby żył całe wieki. Kiedy się dowie, będzie już za późno. – Wysunął miecz z pochwy. Szare ostrze wydawało się być żywą istotą, czymś, co wyciągnięto spod kamienia wbrew jego woli. Kiedy Elias uniósł miecz, wiatr rozpostarł jego płaszcz niby skrzydła; przez moment w zapadającym zmierzchu wydawał się skrępowaną istotą, demonem z mrocznej przeszłości. – On i wszyscy, którzy za nim idą, zginą, Pyratesie – syknął Król. – Nie wiedzą, na kogo podnoszą rękę.

Pyrates przyglądał mu się z wyraźnym niepokojem.

– Twój brat nie wie, mój Królu. Ale ty mu pokażesz.

Elias odwrócił się i skierował swój miecz na wschód. Na dalekim horyzoncie błysnęła iskra błyskawicy.

– Chodźcie więc! – zawołał. – Chodźcie wszyscy! Starczy śmierci dla wszystkich! Nikt nie odbierze mi Smoczego Tronu. Nikt!

Jakby w odpowiedzi rozległ się odległy grzmot.

25. Podobizna nieba

JECHALI Z PÓŁNOCY NA CZARNYCH KONIACH – rumakach, które wyrosły w zimnej ciemności, które pewnie stąpały w najczarniejszą noc i nie bały się lodowatych wiatrów ani wysokich przełęczy. Było ich troje: dwie kobiety i mężczyzna, Dzieci Chmury. Ich śmierć wyśpiewywali już Czarni, gdyż mało było prawdopodobne, by powrócili do Nakkigi. To oni byli Szponami Utuk’ku.

Opuściwszy Burzową Górę, przejechali przez ruiny starego miasta, Nakkigi, zerkając zaledwie na pokruszone szczątki wieku, kiedy to ich lud oglądał jeszcze słońce. W ciągu nocy minęli wioski Czarnych Rimmersmenów. Nie spotkali nikogo, gdyż ich mieszkańcy, podobnie jak wszyscy śmiertelnicy, wiedzieli, że w tych złych czasach po zmroku należy pozostać w domu.

Choć pędzili, potrzebowali wielu nocy, by pokonać Frostmarch. Przez cały czas jeźdźcy pozostawali niewidoczni, czasem tylko komuś nagle przyśnił się niespodziewanie zły sen albo jakiś podróżny poczuł niezwykle mroźny podmuch, choć i tak wiał zimny wiatr. Jechali w cieniu i ciszy, aż dotarli do Naglimundu.

Tam się zatrzymali, by pozwolić wypocząć koniom – nawet okrutna dyscyplina stajni Burzowej Góry nie potrafiła uchronić żywej istoty przed ostatecznym zmęczeniem – i porozmawiać z tymi, którzy zadomowili się w opuszczonym zamku Josui Bezrękiego. Przywódczyni Szponów Utuk’ku, choć była ona pierwszą wśród równych – złożyła onieśmielona hołd panu

zamku, jednemu z Czerwonej Dłoni. Siedział spowity w powiewne, szare szaty, a każda ich fałda lśniła od ognia, którym żarzył się zajmowany kiedyś przez Josuę tron. Utuk'ku okazała szacunek, lecz nic poza tym. Nawet Nornowie, zahartowani przez długie wieki ich wygnania w zimnym podziemiu, czuli respekt przed sługami Króla Burz. Podobnie jak ich pan, i oni przeszli *na drugą stronę*: spróbowali Niebytu i powrócili; od swoich wciąż żyjących braci różnili się tak, jak gwiazda różni się od rozgwiazdy. Nornowie nie lubili Czerwonej Dłoni, nie lubili tej wypalonej pustki – każdy z nich był jak dziura w realnym świecie, dziura wypełniona nienawiścią – ale dopóki ich pani popierała wojnę Inelukiego, musieli okazywać respekt pierwszym sługom Króla Burz.

Czuli się też oddaleni od swych braci. Ponieważ Szpony otaczał nimb pieśni śmierci, Hikeda'ya z Naglimundu przyjęli ich pełną czci ciszą i umieścili w zimnej komnacie z dala od innych. Podróżni nie pozostali długo w zamieszkanym przez wiatr zamku.

Stamtąd pojechali przez rzekę Stile, przez ruiny Da'ai Chikiza, i dalej na zachód przez las Aldheorte, gdzie zataczali ogromne koło wokół granic Jao e-Tinukai'i. Utuk'ku i jej sprzymierzeniec spotkali się już z Dziećmi Świtu i wyciągnęli z tego możliwe korzyści, lecz ta misja wymagała dyskrecji. Chociaż chwilami wydawało się, że las próbuje ich powstrzymać, kiedy ścieżki nagle znikały, a konary drzew tuliły się do siebie tak bardzo, że blask gwiazd stawał się mylący, to jednak cała trójka nieustannie, niezmordowanie posuwała się na południowy wschód. Byli przecież wybrańcami Królowej Nornów: niełatwo było ich odwieść od ofiary.

Wreszcie przedarli się przez las i znaleźli na jego skraju. Znajdowali się już blisko celu. Podobnie jak wcześniej Ingen Jegger, przyjechali z Północy, niosąc śmierć wrogom Utuk'ku, lecz w przeciwieństwie do Łowczego

Królowej, który zaznał porażki, gdy tylko podniósł rękę na Zida’ya, oni byli nieśmiertelni. Nie będą się śpieszyli. Nie popełnią błędu.

Zwrócili konie w kierunku *Sesuad’ra*.

ACH, DOBRY BOŻE, CO ZA ULGA. – Josua wziął głęboki oddech.

– Jak dobrze być wreszcie w ruchu.

Isgrimnur uśmiechnął się.

– Tak, dobrze – powiedział. – Nawet jeśli nie wszyscy się z tym zgadzają.

Obaj siedzieli na koniach przy kamiennych pozostałościach bramy, które znaczyły krawędź wierzchołka wzgórza, i przyglądali się chaotycznemu wymarszowi mieszkańców Nowego Gadrinsett. Maszerujący mijali ich i schodzili dawną sithijską drogą prowadzącą wokół zbocza wzgórza. Wydawało się, że wśród idących znajduje się równie dużo owiec i krów co ludzi; przestraszone zwierzęta ryczały i beczały, obijając się nawzajem i powodując dodatkowy chaos wśród obładowanych ludzi. Niektórzy spośród osadników sklecili wcześniej proste wozy i na nich umieścili swój dobytek, co urozmaicało i tak już niezwykle dziwaczny pochód.

Josua przyglądał się zasępiony.

– Bardziej niż armię przypominamy przemieszczający się jarmark.

Hotvig, który właśnie nadjechał w towarzystwie Freosela, roześmiał się.

– Tak właśnie wyglądają nasze klany, kiedy podróżują. Tyle tylko, że tutaj większość stanowią twoi mieszkańcy kamiennych domów. Przyzwyczaisz się.

Freosel przyglądał się krytycznie idącym.

– Wasza Wysokość, potrzeba nam jak najwięcej bydła. Mamy wielu ludzi do wyżywienia. – Zmusił niezręcznie konia, by podjechał jeszcze bliżej; wciąż nie mógł się przyzwyczaić do jazdy konnej. – Hej, tam! – zawołał. – Zróbcie trochę miejsca dla tamtego wozu!

Isgrimnur przyznał w duchu Josui rację: rzeczywiście wyglądali jak wędrowni handlarze, choć podróżujący nie zachowywali się tak pogodnie, jak zwykle miało to miejsce podczas kupieckich wypraw. Słychać było płacz dzieci – choć niektóre z nich były zadowolone z podróży – i nieustanne utyskiwania i narzekania mieszkańców Nowego Gadrinsett. Większość z nich niechętnie opuszczała to względnie bezpieczne miejsce; bardzo mglisty wydawał im się argument konieczności zrzucenia Eliasa z tronu, dlatego większość spośród osadników wolałaby pozostać na *Sesuad'ra* i pozwolić innym dać się wciągnąć w ponury wir wojny. Z drugiej strony ludzie ci wiedzieli, że miejsce to przestałoby już być tak bezpieczne, kiedy wszyscy zdolni do walki odeszliby z Josuą. Tak więc rozgoryczeni, lecz nieskorzy do ryzyka pozostania bez opieki armii księcia, mieszkańcy Nowego Gadrinsett wyruszali za nim do Nabbanu.

– Z tymi przebierańcami nie przestraszymy nawet bandy uczonych, a co dopiero mojego brata – powiedział Josua. – Chociaż niczego im nie ujmuję: nikomu z nas, tylko dlatego że jest tak ubrany i słabo uzbrojony. – Uśmiechnął się. – Tak, chyba po raz pierwszy wiem, co czuł mój ojciec. Zawsze starałem się traktować dobrze moich poddanych, gdyż tak nakazuje Bóg, ale nigdy nie czułem tej wielkiej miłości, jaką darzył ich Prester John. – Josua pogładził kark Vinyafoda w zamyśleniu. – Czy to możliwe, by staruszek zachował trochę z tej miłości dla obu synów? Wreszcie chyba wiem, co on czuł, wjeżdżając przez Bramę Nearulagh do Erchesteru. Oddałby życie za tamtych ludzi, tak jak ja oddałbym za tych. – Książę znowu się uśmiechnął, tym razem nieśmiało, jakby wstydził się swoich

myśli. – Bez względu na wszystko, Isgrimnurze, przeprowadzę tę ukochaną hałastrę bezpiecznie przez Nabban. Ale kiedy dotrzemy do Erkynlandu, oddamy kości w ręce Boga, a kto wie, co On z nimi zrobi?

– W każdym razie nikt z nas tego nie wie – odparł Isgrimnur. – A poza tym dobre czyny nie gwarantują jeszcze Jego poparcia. Tak przynajmniej powiedział mi którejś nocy ojciec Strangyeard; jego zdaniem grzechem może się okazać próba kupienia Bożej miłości ani dobrymi czynami, ani złymi.

Na skraju drogi zaparł się muł, jeden z nielicznych w całej osadzie. Jego właściciel pchał wóz, do którego zaprzęgnięto zwierzę, lecz wół rozstawił szeroko nogi i ani drgnął. Właściciel przeszedł do przodu i smagnął zwierzę rózgą po karku; wół zwiesił tylko głowę, stuliwszy uszy, i przyjmował razy z niemym, wrogim uporem. Przekleństwa właściciela odbijały się echem wśród tłumu, który z konieczności zgromadził się za wozem.

Josua roześmiał się i nachylił do Isgrimnura.

– Jeśli chcesz zobaczyć, jak widzę samego siebie, to spójrz na to biedne zwierzę. Gdyby jechali pod górę, ciągnąłby przez cały dzień i ani razu by się nie zatrzymał. Ale teraz ma przed sobą niebezpieczną drogę prowadzącą w dół, a za sobą ciężki wóz, nic dziwnego, że się zaparł. Stałby tak do Dnia Sądu, gdyby tylko mu pozwolić. – Spojrzał na Isgrimnura. – Ale przerwałem ci. Powtórz, co powiedział ci Strangyeard.

Isgrimnur nie przestawał przyglądać się mułowi i jego właścicielowi. Stanowili obrazek zarówno śmieszny, jak i patetyczny, coś, co sugeruje więcej, niż jest pokazane.

– Duchowny powiedział, że kupowanie sobie Bożej przychylności dobrymi czynami jest grzechem. Oczywiście najpierw przeprosił, że w ogóle ośmiela się wyrażać jakiekolwiek opinie. Znasz go, wiesz, jaka z niego potulna myszka, ale tak powiedział. Powiedział, że Bóg nic nam nie

jest winien, a my Jemu wszystko, że powinniśmy robić dobre uczynki dlatego, że są dobre, a nie dlatego, że spodziewamy się nagrody, tak jak dzieci oczekują nagrody, za to, że były cicho.

– Tak, to prawda, że ojciec Strangyeard zachowuje się jak myszka – powiedział Josua. – Ale i mysz potrafi być dzielna. Choć jest mała, szybko się uczy, żeby nie prowokować kota. Podobnie rzecz się ma ze Strangyeardem. On wie, kim jest i gdzie jest jego miejsce. – Josua spojrzał na wzgórza, które stanowiły zachodnią ścianę doliny. – Zastanowię się nad tym, co powiedział. Czasami rzeczywiście robimy to, czego chce Bóg, ze strachu albo z chęci otrzymania nagrody. Tak, zastanowię się.

Isgrimnur zaczął żałować, że w ogóle otwierał usta.

„Jeszcze mu tego trzeba – kolejny powód, żeby siebie winić. Jest jak prawdziwy magik, rozrzucający dookoła swoje troski. Prawdziwy książę. Będzie kiedyś o czym opowiadać przy ognisku”.

– Co powiesz na to, żebyśmy usunęli z drogi tego idiotę i jego muła? – zaproponował Isgrimnur. – Inaczej niedługo będzie tutaj jak w czasie bitwy pod Nearulagh.

– Masz rację. – Na twarzy Josuy znowu ukazał się uśmiech pogodny jak chłodny, jasny poranek. – Ale chyba nie woźnicę trzeba będzie namawiać, a muły nie darzą zbytnim szacunkiem książąt.

YAH, NIMSUK! – ZAWOŁAŁ BINABIK. – Gdzie jest Sisqinanamook?

Pasterz odwrócił się i uniósł zakrzywioną włócznię w geście powitania.

– Jest przy łodziach, Śpiewający. Sprawdza, czy nie przeciekają, żeby barany nie zmoczyły kopyt! – Roześmiał się, ukazując nierówne, żółte zęby.

– W takim razie ty nie masz co płynąć, bobyś poszedł na dno jak kamień – odparł uśmiechnięty Binabik. – Znajdą cię latem, kiedy cofną się wody. Będziesz wtedy małym, błotnym człowieczkiem. Okaż trochę szacunku.

– Jest zbyt pogodnie – odparł Nimsuk. – Spójrz, jak brykają! – Wskazał na barany, które rzeczywiście wydawały się bardzo ożywione; niektóre z nich udawały, że walczą, czego prawie nigdy nie robiły.

– Nie pozwól, żeby się pozabijały – powiedział Binabik. – Miłego odpoczynku. – Nachylił się i szepnął coś do ucha Qantaqi. Wilczyca skoczyła ponad śniegiem z trollem na grzbiecie.

Sisqi rzeczywiście sprawdzała łodzie. Binabik pozwolił odejść wilczycy, która otrząsnęła się żywo i pobiegła na skraj lasu. Troll przyglądał się ukochanej z zadowoleniem. Sprawdzała łodzie równie nieufnie, jak mieszkaniec lądu mógłby liczyć rzemienie mostu trolli nad przepaścią.

– Jaka dokładna – kpił Binabik uśmiechnięty. – Nasi ludzie mają już tego dość. – Wskazał dłonią na barany wyglądające niczym malutkie kropki rozsiane po dnie doliny oraz na nieco większe plamki – pasterzy i łowczynie, którzy wykorzystywali wolne chwile przed kolejnym etapem podróży.

– Sprawdzę wszystkie. – Sisqi odwróciła się i otworzyła ramiona. Stali jakiś czas naprzeciwko siebie w milczeniu. – Co innego, kiedy kilku wypływa na ryby na Jezioro Błękitnego Błota – powiedziała Sisqi – a co innego, kiedy od łodzi zależy życie naszych ludzi i baranów.

– Powinni się cieszyć, że jesteś tak dokładna – odezwał się Binabik już poważniej. – Ale choć na chwilę zapomnij o łodziach.

Uściskała go mocno.

– Dobrze.

Binabik spojrzał na dolinę. Śnieg w wielu miejscach stopniał, odsłaniając kępy żółtozielonej trawy.

– Barany za bardzo się najedzą – zauważył. – Nie są przyzwyczajone do takiej obfitości.

– Czy śnieg topnieje? – spytała Sisqi. – Mówiłeś, że o tej porze roku jest tu dużo śniegu.

– Nie zawsze, ale zima przesunęła się daleko na południe. Jednak już chyba nie wróci. – Spojrzał w niebo. Płynęło po nim zaledwie kilka chmurek, które ani trochę nie zasłaniały słońca. – Nie wiem, co o tym myśleć. Nie sądzę, by ten, który sprawił, że zima zaszła tak daleko, zrezygnował. Nie wiem. – Puścił Sisqi i uderzył się dłonią w pierś. – Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że bardzo mi przykro, iż tak mało ostatnio się widujemy. Trzeba było omówić wiele rzeczy. Geloë i pozostali wciąż mozolą się nad książką Morgenesa, próbując znaleźć odpowiedzi na nasze pytania. Studiowaliśmy też zwoje Ookequka, a do tego ja byłem potrzebny.

Sisqi uniosła jego dłoń i przycisnęła ją na chwilę do swojego policzka.

– Nie masz za co przepraszać. Wiem, jak pracujesz... – wskazała głową w stronę podskakujących na wodzie łodzi – tak jak ty wiesz, co ja muszę zrobić. – Spuściła wzrok. – Widziałam, jak wstałeś na zebraniu mieszkańców lądu i przemawiałeś. Niewiele z tego rozumiałam, ale widziałam, z jaką uwagą cię słuchali, Binbiniqegabeniku. – Jego pełne imię wymówiła z namaszczeniem. – Byłam z ciebie dumna, mój ukochany. Szkoda tylko, że ojciec i matka nie widzieli tego, co ja.

Binabik prychnął, ale najwyraźniej był zadowolony.

– Nie sądzę, by szacunek mieszkańców lądu znaczył wiele dla twoich rodziców, ale dziękuję ci. Mieszkańcy nizin, po tym, jak widzieli nas w bitwie, ciebie także bardzo cenią, wszystkich naszych ludzi. – Jego

okrągła twarz spoważniała. – O tym też chciałem z tobą pomówić. Powiedziałaś mi kiedyś, że myślisz o powrocie do Yiqanuc. Czy nastąpi to wkrótce?

– Wciąż się zastanawiam – powiedziała. – Wiem, że matka i ojciec potrzebują nas, ale i tutaj możemy się przydać. Mieszkańcy nizin i trolle walczący obok siebie: może to pozwoli nam żyć bezpieczniej w przyszłości.

– Mądra Sisqi. – Binabik uśmiechnął się. – Ale walka może stać się zbyt niebezpieczna dla naszych ludzi. Nie widziałaś bitwy o zamek, mieszkańcy nizin nazywają to „oblężeniem”. W takiej bitwie niewiele byłoby dla nas miejsca, a za to wiele niebezpieczeństw. A Josuę i jego ludzi czeka przynajmniej jedna lub dwie podobne bitwy.

Sisqi przytaknęła mu z powagą.

– Wiem. Ale jest też i ważniejszy powód, Binabiku. Trudno mi będzie znowu się z tobą rozstawać.

Binabik odwrócił wzrok.

– Tak jak i mnie było trudno, kiedy Ookequk zabrał mnie na południe. Oboje wiemy, że mamy obowiązki, które musimy wykonać, choć tego nie pragniemy. – Binabik wziął ją pod ramię. – Chodź, przejdźmy się trochę, gdyż niebawem nie będziemy mieli wiele czasu dla siebie.

Zawrócili i poszli w kierunku wzgórza, omijając czekających na łodzie ludzi.

– Najbardziej żałuję tego, że wszystkie te kłopoty opóźniają nasz ślub – powiedział Binabik.

– Opóźniają tylko słowa. W noc, kiedy przyszłam, żeby cię uratować, byliśmy poślubieni. Nawet gdybyśmy nie mieli się już nigdy zobaczyć.

Binabik spuścił głowę.

– Wiem. Ale musisz usłyszeć te słowa. Jesteś córką Łowczyni.

– Mamy oddzielne namioty. – Sisqi uśmiechnęła się. – Zachowujemy wszelkie obyczaje.

– Nie mam nic przeciwko dzieleniu mojego z młodym Simonem – odparł troll. – Ale wolałbym dzielić go z tobą.

– Mamy też chwile dla siebie. – Uścisnęła jego dłoń. – I co zrobisz, kochany, kiedy to wszystko się skończy? – Mówiła zdecydowanym głosem, jakby nie wątpiła, że będzie jeszcze jakieś „później”. Z lasu wyłoniła się Qantaqa i ruszyła w ich stronę.

– Jak to? Wrócimy oboje na Mintahoq albo wrócę sam, jeśli ty udasz się tam wcześniej.

– A co z Simonem?

Binabik szedł coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymał się i kijem strącił śnieg z gałęzi. Tutaj, u podnóża wzgórza, hałas nie był tak dokuczliwy.

– Nie wiem. Zostałem jego towarzyszem na mocy obietnicy, ale nadejdzie taka chwila, kiedy zostanę z niej zwolniony. Potem... – Wzruszył ramionami i wykonał gest trolli, wystawiając na zewnątrz otwarte dłonie. – Nie wiem, kim dla niego jestem. Nie bratem, ojcem też nie...

– Przyjacielem? – podsunęła Sisqi.

Qantaqa zbliżyła się do niej i trąciła nosem jej dłoń. Trollica podrapała wilczycę po pysku, przesuwając dłonią po szczękach, które połknęłyby jej ramię do łokcia. Wilczyca zamruczała zadowolona.

– Z pewnością. To dobry chłopak. Nie, dobry mężczyzna. Patrzyłem, jak dorasta.

– Niech Qinkipa spośród Śniegów przeprowadzi nas przez to wszystko bezpiecznie – powiedziała Sisqi poważnie. – Żeby Simon wyrósł szczęśliwie, żebyśmy my kochali się i mieli dzieci, nasi ludzie pozostali w swoich domach w górach. Już się nie boję mieszkańców nizin, Binabiku, ale czuję się szczęśliwsza wśród ludzi, których rozumiem.

Odwrócił się i przyciągnął ją do siebie.

– Niech Qinkipa wysłucha twoich próśb. I nie zapomnij – powiedział, kładąc dłoń obok jej palców na karku wilczycy – musimy też prosić Panią Śniegów, żeby chroniła również Qantaqę. – Uśmiechnął się. – Chodź, pójdziemy jeszcze kawałek. Znam ciche, osłonięte od wiatru miejsce na zboczu, może nie znajdziemy takiego przez wiele następnych dni.

– A łodzie, Śpiewający? – drażniła się z nim. – Muszę je jeszcze sprawdzić.

– Sprawdzałaś już każdą pewnie po kilka razy – powiedział. – Trolle i tak się nie utopią. Chodź.

Objęła go ramieniem i poszli przytuleni do siebie. Za nimi, jak milczący szary cień, podążała wilczyca.

A NIECH CIĘ, SIMONIE, TO BOLI! – Jeremias odskoczył do tyłu, dmuchając na obolałe palce. – To, że jesteś rycerzem, nie oznacza jeszcze, że musisz złamać mi rękę.

Simon wyprostował się.

– Chcę ci tylko pokazać coś, czego nauczył mnie Sludig. A poza tym sam muszę poćwiczyć. Nie bądź dzieckiem.

Jeremias popatrzył na niego urażony.

– Nie jestem dzieckiem. A ty nie jesteś Sludigiem. Pewnie nawet nie robisz tego prawidłowo.

Simon wziął głęboki oddech, powstrzymując ciętą odpowiedź. Jeremias nie był winien, że on czuł się niespokojny. Od dawna już nie miał okazji porozmawiania z Miriamele, i nie miał nic ważnego do zrobienia, choć sama likwidacja obozu okazała się niezwykle skomplikowana i pracochłonna.

– Przepraszam, głupio powiedziałem. – Uniósł ćwiczebny miecz zrobiony z drewna odzyskanego z barykady. – Pokażę ci, jak się to robi. Musisz odwrócić miecz... – Wyciągnął ramię i uderzył w drewniany miecz Jeremiasa. – A potem... tak...

Jeremias westchnął.

– Wolałbym, żebyś poszedł porozmawiać z księżniczką, zamiast mnie okładać. – Podniósł miecz. – No dobrze.

Zadawali pchnięcia i markowali je, stukając głośno drewnianym orężem. Niektóre z pasących się nieopodal owiec uniosły głowy, by sprawdzić, czy barany znowu się bodą; kiedy jednak okazało się, że to tylko walka dwunożnych istot, powróciły do skubania trawy.

– Dlaczego powiedziałeś to o księżniczce? – spytał Simon zdyszany.

– Co? – Jeremias starał się pozostać poza zasięgiem długich ramion przeciwnika. – A jak myślisz? Włóczysz się za nią, odkąd tutaj przybyła.

– Wcale nie.

Jeremias cofnął się i opuścił klepkę-miecz na ziemię.

– Nie? W takim razie musiał to być jakiś inny niezdarny, rudowłosy idiota.

Simon uśmiechnął się zawstydzony.

– Tak bardzo to widać?

– Na Usiresa Zbawcę, tak! Nie ma się co dziwić. Jest bardzo ładna i wydaje się miła.

– Ona jest... jeszcze wspanialsza. Dlaczego więc *ty* za nią nie ganiasz?

Jeremias rzucił mu urażone spojrzenie.

– Nie zauważyłaby mnie, nawet gdybym padł trupem u jej stóp. – Spojrzał kpiąco na Simona. – Nie znaczy to, że do ciebie pędzi jak na skrzydłach.

– To nie jest zabawne – burknął Simon.

Jeremiasowi zrobiło się przykro.

– Przepraszam, Simonie. Jestem pewien, że to straszne być zakochanym. Dobrze, stawaj i połam mi wszystkie palce, jeśli ci to pomoże.

– Kto wie. – Simon uśmiechnął się i uniósł miecz. – A teraz, Jeremiasie, zrób to wreszcie dobrze.

– Zrób kogoś rycerzem – dyszał Jeremias, unikając potężnego ciosu – a na zawsze zrujnujesz życie jego przyjaciołom.

Odgłosy ich walki wzmogły się znowu, nieregularne uderzenia drewnianych klepek podobne były do walenia dziobem ogromnego, pijanego dzięcioła.

USIEDLI NA MOKREJ TRAWIE, popijając wodę z bukłaka. Simon rozpiął pod szyją koszulę, by ochłodzić skórę wiatrem. Wiedział, że niebawem będzie mu zimno, ale teraz czuł się wspaniale. Nagle między nimi pojawił się cień; spojrzeli w górę zaskoczeni.

– Sir Camaris! – Simon wstał powoli, Jeremias zaś wpatrywał się w starca szeroko otwartymi oczami.

– *Hea*, siadaj, młodzieńcze. – Camaris rozłożył dłoń, dając Simonowi znak, by usiadł. – Przyglądałem się, jak walczyliście.

– Nie potrafimy zbyt wiele – powiedział Simon skromnie.

– Rzeczywiście.

Simon miał nadzieję, że starzec mu zaprzeczy.

– Sludig starał się nauczyć mnie tego, co sam potrafi – powiedział, starając się mówić z szacunkiem. – Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na naukę.

– Sludig, lennik Isgrimnura. – Camaris spojrzał uważniej na Simona. – A ty jesteś tym młodzieńcem z zamku. To ciebie Josua pasował na rycerza? – Po raz pierwszy w jego mowie zabrzmiał obcy akcent. Niektóre dźwięki wymawiał zbyt gładko, po nabbańsku.

– Tak, sir Camarisie. Nazywam się Simon. A to jest mój przyjaciel i giermek, Jeremias.

Starzec spojrzał na Jeremiasa i skinął głową, po czym skierował wzrok ponownie na Simona.

– Wiele się zmieniło – powiedział wolno. – I chyba nie na lepsze.

Simon czekał przez chwilę, aż rycerz wyjaśni, co miał na myśli.

– O czym mówisz, panie? – spytał wreszcie.

Starzec westchnął.

– To nie twoja wina, młodzieńcze. Wiem, że czasem monarcha mianuje rycerzy na polu walki, i nie wątpię, że dokonałeś szlachetnych czynów: słyszałem, że pomogłeś odnaleźć mój miecz Cierń, ale bycie rycerzem to coś więcej niż tylko szczęk miecza. To wielkie powołanie, Simonie... wielkie powołanie.

– Sir Deornoth próbował nauczyć mnie tego, co powinienem wiedzieć – powiedział Simon. – Przed nocą czuwania uczył mnie o Regule Rycerza.

Camaris usiadł zadziwiająco zręcznie jak na swój wiek.

– Tak. Czy wiesz, ile trwała służba w charakterze giermka albo pazia u Gavenaxesa z Honsa Claves?

– Nie, panie.

– Dwanaście lat. I codziennie, młody Simonie, każdego dnia była lekcja. Dwa długie lata uczyłem się tylko tego, jak obchodzić się z końmi Gavenaxesa. Masz konia, prawda?

– Tak. – Simon czuł się trochę nieswojo, ale był też zafascynowany. Największy rycerz w historii świata opowiada mu o regułach rycerstwa. Każdy młody szlachcic od Rimmersgardu do Nabbanu dałby sobie odciąć rękę za to, by móc znaleźć się na miejscu Simona. – Nazywa się Nadzieja.

Camaris rzucił mu badawcze spojrzenie, jakby zamierzał wyrazić swoje niezadowolenie, ale mówił dalej.

– W takim razie musisz nauczyć się dbać o nią. Ona jest kimś więcej dla ciebie niż tylko przyjacielem, Simonie, jest częścią ciebie, jak twoje ręce czy nogi. Rycerz nie przyda się na wiele sobie ani Bogu, jeśli nie pozna swojego konia bardzo dobrze, jeśli nie będzie mógł mu zaufać, jeśli tysiąc razy nie wyczyści i nie naprawi każdej części uprzęży.

– Staram się, sir Camarisie. Ale tyle jest do nauczenia się.

– Trzeba przyznać, że trwa wojna – ciągnął Camaris. – Zrozumiałe więc, że można zaniedbać inne, równie istotne sztuki, jak polowanie, polowanie z sokołem. – Wbrew swoim słowom nie wydawał się przekonany o ich słuszności. – W takich czasach dopuszcza się nawet odstępstwa od zasady pierwszeństwa, chyba że koliduje to z wojskową dyscypliną; w każdym razie łatwiej jest walczyć, kiedy zna się swoje miejsce w mądrych planach Boga. Nic dziwnego, że bitwa z ludźmi Króla przypominała bijatykę. – Wyraz jego twarzy, surowy i poważny dotąd, złagodniał. – Ale ja cię zanudzam, prawda? – Uśmiechnął się. – Przez czterdzieści lat jakbym spał nieprzerwanie, a teraz jestem już za stary na to wszystko. To nie jest mój świat.

– Och, nie – zaprzeczył Simon. – Nie nudzę się, sir Camarisie. Ani trochę. – Spojrzał na Jeremiasa, oczekując od niego pomocy, ale on wciąż siedział z wybałuszonymi oczami. – Proszę, powiedz mi coś, co pomoże mi być lepszym rycerzem.

– Czy starasz się być miły? – spytał chłodno największy rycerz w królestwie Aedona.

– Nie, panie. – Simon nie mógł się powstrzymać i roześmiał się; przez chwilę czuł, że zacznie chichotać przestraszony. – Nie. Wybacz, panie, ale kiedy spytałeś, czy mnie nudzisz... – Nie potrafił nawet wyrazić, jak niedorzeczne wydało mu się to pytanie. – Jesteś bohaterem, sir Camarisie – odezwał się wreszcie. – Bohaterem.

Starzec wstał równie łatwo, jak wcześniej usiadł. Simon przestraszył się, że jednak go obraził.

– Wstań, młodzieńcze.

Simon wstał posłusznie.

– Ty też... Jeremiasie. – Przyjaciel Simona wstał, przywołany skinięciem palca. Camaris spojrzał na nich krytycznie. – Pożyczcie mi miecz, proszę. – Wskazał na drewniany miecz Simona, który ten wciąż trzymał w dłoni. – Zostawiłem Cierń w namiocie. Muszę przyznać, że wciąż czuję się nieswojo, nosząc *ją* u boku. Emanuje z *niej* jakby pewien niepokój, którego nie lubię. Może to tylko moje odczucie.

– *Ją*? – spytał Simon zdziwiony.

Starzec machnął dłonią.

– Tak mówimy na Vinittcie. O statkach i mieczach mówimy „ona”, o górach i burzach „on”. A teraz słuchajcie uważnie. – Drewnianym mieczem narysował w mokrej trawie koło. – Reguła Rycerza mówi, że jesteśmy stworzeni na podobieństwo Pana, tak jak świat... – Wewnątrz pierwszego koła nakreślił drugie, mniejsze. – ...stworzony jest na podobieństwo Niebios. Tyle tylko, że jest prostszy, smutniejszy, nie tak wspaniały. – Przyjrzał się kołu krytycznie, jakby już dostrzegł w nim pełno grzeszników.

– Tak jak aniołowie są sługami i posłańcami Boga Najwyższego – mówił dalej – tak rycerze spełniają swoje posługi wobec ziemskich władców. Aniołowie wprowadzają w czyn zamierzenia Boga, które są absolutnie dobre, lecz ziemia nie jest tak doskonała, podobnie jak jej władcy, nawet ci najlepsi. Dlatego nie zawsze wiadomo, co jest wolą Bożą. Dlatego mamy wojny. – Przedzielił wewnętrzne koło pojedynczą kreską. – One są najlepszym sprawdzianem prawości naszych władców. To właśnie wojna najlepiej odzwierciedla ostrze noża woli Bożej, gdyż wojna jest jak zawias, na którym wznoszą się lub upadają ziemskie królestwa. Gdyby o zwycięstwie miała decydować jedynie siła, siła nie złagodzona honorem i litością, wtedy nikt nie odniósłby zwycięstwa, gdyż wola Boża nie przejawia się tylko w manifestacji większej siły. Czy Bóg bardziej kocha kota od myszy? – Camaris pokiwał smutno głową i spojrzał na słuchających. – Słuchacie mnie?

– Tak – odpowiedział szybko Simon.

Jeremias skinął tylko głową w milczeniu.

– Tak więc wszyscy aniołowie, z wyjątkiem Tego, Który Uciekł, przede wszystkim posłuszni są Bogu, gdyż jest On doskonały, wszechmocny i wszechwiedzący. – Camaris nakreślił kilka małych znaków w zewnętrznym kole; Simon przypuszczał, że mają one oznaczać aniołów. W rzeczywistości czuł się nieco zagubiony, lecz czuł, że jest w stanie zrozumieć wiele z tego, co mówi rycerz, dlatego słuchał i czekał cierpliwie. – Ale – ciągnął starzec – jak już powiedziałem, władcy na ziemi nie są doskonali. Są grzesznikami, podobnie jak my. I tak, chociaż każdy rycerz musi być wierny swemu panu, to musi też zachowywać Regułę Rycerza: przestrzegać zasad walki i zachowania się w czasie bitwy, zasad honoru, łaski i odpowiedzialności, które to są takie same dla *wszystkich* rycerzy. – Camaris przeciął linią wewnętrzne koło prostopadle do poprzedniej kreski.

– A zatem nie ma znaczenia, który spośród ziemskich władców wygra wojnę, jeśli rycerze walczą zgodnie z zasadami Reguły, bitwa zostanie wygrana zgodnie z prawem boskim. Będzie ona odzwierciedleniem Jego woli. – Spojrzał uważnie na Simona. – Słuchasz mnie?

– Tak, sir. – W rzeczywistości pojmował wszystko dość mgliście i postanowił, że zastanowi się nad tym w samotności.

– Dobrze. – Camaris schylił się i wytarł ubłocony koniec drewnianego miecza jakby to był sam Cierń, po czym oddał go Simonowi. – Tak jak duchowni powinni przekazywać Jego wolę w sposób zrozumiały dla ludzi i przystępny, tak i Jego rycerze muszą wypełniać Jego wolę w podobny sposób. Dlatego wojna, bez względu na to, jak bardzo okrutna, nie powinna przerodzić się w zwierzęcą walkę. Dlatego rycerz to coś więcej niż tylko silny człowiek na koniu. On jest Bożym namiestnikiem na polu bitwy. Szermierka jest jego modlitwą: może być poważna, smutna, ale zawsze musi dawać zadowolenie.

„On nie wygląda na zadowolonego – pomyślał Simon. – Ale jest w nim coś z duchownego”.

– Dlatego nie wystarczy odbyć nocy czuwania, a potem zostać uderzonym mieczem w ramię, by stać się rycerzem, tak jak nie zostaje nikt duchownym tylko dlatego, że nosi *Księgę Aedona* z jednego końca wsi na drugi. Potrzeba jeszcze wiele nauki, wiele. – Spojrzał na Simona. – Wstań i unieś swój miecz, młodzieńcze.

Simon wykonał polecenie. Camaris był od niego wyższy o szerokość dłoni, co go zaskoczyło, gdyż przyzwyczaił się już do tego, że góruje wzrostem prawie nad wszystkimi.

– Trzymasz go jak maczugę. Rozluźnij dłonie. – Camaris położył swoje ręce na dłoniach Simona. Palce miał suche i twarde, jakby przez całe życie pracował w ziemi albo budował domy.

W jednej chwili, czując jego dotyk, Simon poczuł ogrom doświadczenia starego rycerza, czuł, że do jego świadomości przenika o wiele więcej niż tylko to, że ma przed sobą rycerza z legend czy też niezwykle doświadczonego i mądrego starca. Czuł niezliczone lata ciężkiej pracy, niezliczone i przeważnie niechętnie podejmowane pojedynki, przez które musiał przejść, by stać się najpotężniejszym rycerzem swojej epoki; lecz przez cały czas Simon miał wrażenie, że starzec nie znajduje w tym wszystkim większej przyjemności niż dobroduszny duchowny, któremu polecono zdemaskować głupawego grzesznika.

– Musisz czuć ciężar miecza, kiedy go podnosisz. – Poczuj siłę nóg. Nie, teraz nie zachowujesz równowagi. – Popchnął stopy Simona ku sobie. – Dlaczego wieża się nie przewraca? Ponieważ stoi prosto na fundamentach.

Wkrótce i Jeremias zabrał się do pracy, ciężkiej pracy.

Popołudniowe słońce wydawało się szybko przesuwać po niebie; wiatr stawał się coraz zimniejszy, w miarę jak zbliżał się wieczór. Kiedy starzec zapędził ich do twardej musztry, w jego oczach pojawił się błysk – chłodny wprawdzie, lecz jasny.

ZANIM CAMARIS POZWOLIŁ IM ODEJŚĆ, zapadł już wieczór. W dolinie zapłonęły liczne ogniska. Ten dzień przeznaczono na przeprawę wszystkich na drugi brzeg rzeki, by wyruszyć o świcie następnego dnia. Teraz mieszkańcy Nowego Gadrinsett rozbijali prowizoryczne obozy, zasiadali do spóźnionej kolacji albo spacerowali bez celu w zapadającym mroku. W dolinie zapanowała atmosfera bezruchu i oczekiwania. Było to trochę tak jak Świat Pomiędzy, pomyślał Simon, miejsce przed Niebem.

„Ale to także miejsce przed Piekłem – pomyślał. – To nie będzie dla nas zwykła podróż, przed nami wojna... albo jeszcze coś gorszego”.

Szli razem z Jeremiasem w milczeniu, rumiani z wysiłku, czując chłodny pot na twarzach. Simon czuł przyjemny ból mięśni, ale wiedział, że następnego dnia wcale nie będzie taki szczęśliwy, szczególnie po całym dniu spędzonym w siodle. Nagle coś sobie przypomniał.

– Jeremiasie, czy doglądałeś Nadziei?

Jeremias spojrzał na niego poirytowany.

– Oczywiście, że tak. Przecież powiedziałem ci, że to zrobię.

– To nic, i tak rzucę na nią okiem.

– Nie ufasz mi? – spytał Jeremias.

– Ależ ufam – zapewnił go pospiesznie Simon. – To nie ma z tobą nic wspólnego. Pomyślałem o Nadziei po tym, co sir Camaris powiedział o rycerzu i jego koniu. – Poza tym chciał też przez chwilę pozostać sam: musiał się zastanowić nad całą lekcją Camarisa. – Chyba mnie rozumiesz?

– Chyba tak. – Jeremias nachmurzył się, ale nie wydawał się obrażony. – Pójdę poszukać czegoś do jedzenia, sam pójdę.

– Spotkamy się później przy ognisku Isgrimnura. Sangfugol będzie chyba śpiewał.

Jeremias ruszył w kierunku najruchliwszej części obozu, w której stał namiot postawiony rano przez niego, Simona i Binabika. Simon poszedł ku zboczu, gdzie uwiązano konie.

Wieczorne niebo przybrało fioletowy kolor, lecz pozostawało niewyraźne, tak że nie było widać na nim gwiazd. Idąc przez grząską łąkę w zapadającej ciemności, Simon pomyślał, że przydałoby się trochę światła księżyca. W pewnej chwili pośliznął się i przewrócił; przeklinając głośno, wytarł zabłocone dłonie w spodnie i tak już brudne po długiej lekcji szermierki. Buty miał już zupełnie przemoczone.

Z ciemności wyłoniła się postać, którą okazał się Freosel. Wracał właśnie od koni, gdzie doglądał swojego wierzchowca i Vinyafoda Josui.

Przynajmniej w tym sensie zastąpił on Deornotha w życiu Josui i zdaje się, że robił to nadspodziewanie dobrze. Falshirczyk opowiadał kiedyś Simonowi, że pochodzi z rodu kowali; Simon nie wątpił w to, podziwiając szerokie bary Freosela.

– Witaj, sir Seomanie – powiedział. – Widzę, że i ty nie zabrałeś pochodni. Może nie będzie ci potrzebna, jeśli się pośpieszysz. – Spojrzał do góry na ciemniejące niebo. – Ale uważaj, jakieś pięćdziesiąt kroków stąd jest rozległe grzęzawisko.

– Inne już wcześniej odkryłem. – Simon roześmiał się, pokazując na swoje ubłocone buty.

Freosel popatrzył uważnie na stopy Simona.

– Przyjdź do mojego namiotu, to dam ci łoju. Skóra nie będzie pękać. Przyjdziesz posłuchać harfiarza?

– Chyba tak.

– A zatem przyniosę łój ze sobą. – Fresoel skłonił głowę i poszedł w swoją stronę. – Uważaj na grzęzawisko! – zawołał jeszcze przez ramię.

Simon patrzył pod nogi uważnie, tak że bez przygód udało mu się obejść grząskie miejsce, bardzo podobne do tego, z którym się już zaznajomił. Słyszał coraz wyraźniej ciche parskanie koni. Uwiązano je na zboczu wzgórza, które teraz znaczyło się ciemną linią na tle nieba.

Nadzieja stała tam, gdzie powiedział mu Jeremias, uwiązana niedaleko poskręcanego, rozłożystego dębu. Simon ujął jej pysk w dłonie i poczuł ciepły oddech, potem położył głowę na jej karku i poklepał zwierzę. Silny, koński zapach dodawał mu pewności siebie.

– Jesteś moim koniem – powiedział cicho. Nadzieja zastrzygła uszami. – Mój koń.

Jeremias okrył ją grubym kocem – był to prezent od Gutrun i Vorzhevy, którego sam używał, dopóki nie wyprowadzono koni z ciepłych stajni,

urządzonych w pieczarach *Sesuad’ra*. Simon sprawdził, czy koc nie jest przywiązany za mocno. Odwracając się, ujrzał niewyraźną postać, która przemknęła w ciemności między końmi. Serce zabiło mu gwałtownie.

„Nornowie?”

– Kto... kto tam? – zawołał. Powstrzymał drżenie głosu i zawołał ponownie. – Kto tam jest? Wyjdź! – Opuścił dłoń do boku, lecz zdał sobie sprawę, że nie ma ze sobą żadnej broni oprócz noża od trolli.

– Simon?

– Miriamele? Księżniczka? – Podszedł bliżej. Zerkała na niego zza konia, jakby się chowała. Kiedy się zbliżył, i ona wyszła z ukrycia. W jej stroju nie było nic niezwykłego, miała na sobie jasną suknię i ciemny płaszcz, lecz w jej spojrzeniu kryło się coś wyzywającego.

– Nic ci nie jest?! – spytał i zaraz przeklął samego siebie za tak głupie pytanie. Zaskoczyło go to spotkanie, dlatego nie bardzo wiedział, co powiedzieć. „Lepiej już nic nie mówić – pomyślał – niż wyjść na gamonia”.

Ale dlaczego ona tak wygląda, jakby czuła się winna?

– Nie. – Spojrzała ponad jego ramionami, jakby chciała się upewnić, czy jest sam. – Przyszłam popatrzeć na konia. – Wskazała na niewyraźne kształty. – To jest jeden z tych, które zabraliśmy... zabraliśmy temu nabbańskiemu szlachcicowi, o którym ci opowiadałam.

– Przestraszyłaś mnie – powiedział Simon i roześmiał się. – Myślałem, że jesteś duchem albo... albo jednym z naszych wrogów.

– Nie jestem wrogiem – odparła Miriamele weselszym już nieco głosem. – Ani też duchem, o ile mi wiadomo.

– Dobrze wiedzieć. Skończyłaś?

– Skończyłam... co? – Miriamele wpatrywała się w niego dziwnie czujnym wzrokiem.

– Doglądanie konia. Myślałem, że może... – Urwał. Miriamele wydawała się bardzo nieswoja. Zastanawiał się, czy ją w jakiś sposób obraził. Może ofiarując jej w prezencie Białą Strzałę? Tamto dziwne popołudnie wydawało mu się teraz jak sen.

Zaczął jeszcze raz:

– Sangfugol i paru innych będą dzisiaj grać i śpiewać. Przed namiotem Isgrimnura. – Wskazał w dół na krąg ogni. – Przyjdziesz posłuchać?

Miriamele jakby się wahała.

– Przyjdę – powiedziała wreszcie. – Tak, będzie miło. – Uśmiechnęła się. – Jeśli Isgrimnur nie zacznie śpiewać.

W jej głosie brzmiała jakaś obca nuta, mimo to Simon roześmiał się równie ubawiony, jak i zdenerwowany.

– To będzie zależało od tego, czy zostało jeszcze trochę wina Fengbalda.

– Fengbald. – Miriamele prychnęła z odrazą. – I pomyśleć, że mój ojciec chciał mnie wydać za tego... za tę świnię.

Simon odezwał się, by zmienić temat:

– Sangfugol będzie śpiewał jedną z piosenek o Jacku Mundwode. Obiecał. Myślę, że będzie to ta o Wozach Biskupa. – Wziął ją pod ramię prawie bezwiednie. Dopiero po chwili zdał sobie z tego sprawę. Co on wyprawia? Żeby ją tak łapać? Czy się nie obrazi?

Miriamele wydawała się w ogóle tego nie zauważać.

– Tak, będzie miło – powiedziała. – Dobrze będzie posiedzieć przy ognisku i pośpiewać.

Simon słuchał zdziwiony, gdyż podobne zabawy miały miejsce prawie co noc, a szczególnie ostatnio, kiedy zbierano się na Radzie. Jednak nic nie odpowiedział, delektując się bliskością jej szczupłego, silnego ramienia.

– Będzie bardzo miło – powiedział i poprowadził ją w dół ku ogniskom.

PO PÓŁNOCY, KIEDY MGŁY WRESZCIE SIĘ ROZPROSZYŁY, a na niebie ukazał się księżyc jasny jak srebrna moneta, na wzgórzu, które dopiero co książę i jego towarzysze opuścili, coś się poruszyło.

Obok jednego z ogromnych kamieni ustawionych na skraju wierzchołka stały trzy postacie – ciemne, niemal niewidoczne pomimo blasku księżyca – i spoglądały w dół na dolinę. Większość z ognisk się dopalała, lecz ognisty krąg wciąż otaczał obóz, po którym chodzili jeszcze osadnicy.

Nieruchomi jak sowy Szpony Utuk'ku obserwowali długo obóz. Wreszcie bez słowa odwrócili się i poszli przez wysoką trawę ku środkowi wierzchołka wzgórza. Przed nimi szczerzyły zęby kamienne ruiny *Sesuad'ra*.

Słudzy Królowej Nornów przebyli znaczną odległość w krótkim czasie. Mogli pozwolić sobie na to, by zaczekać na odpowiedniejszą chwilę, która z pewnością nadejdzie niebawem, kiedy to zebrani w dole ludzie nie będą tak czujni.

Trzy postacie wśliznęły się bezgłośnie do budynku, który śmiertelnicy nazywali Obserwatorium, i stały tam długo wpatrzone w gwiazdy. Potem usiadły na kamieniach. Jedna z nich zaczęła cicho śpiewać: w kamiennej komnacie unosiła się melodia pozbawiona życia i ostra jak rozłupana kość.

Choć jej odgłos nie odbił się nawet echem w Obserwatorium, a już z pewnością nie mogli jej usłyszeć ludzie w dolinie, to jednak niektórzy z nich jęknęli niespokojnie przez sen. Ci na tyle wrażliwi, by poczuć dotknięcie pieśni – Simon był wśród nich – śnili o lodzie, o rzeczach zniszczonych i zgubionych oraz o gniazdach pełnych wijących się węży, ukrytych w starych studniach.

26. Podarunek dla Królowej

KSIĄŻĘ I JEGO LUDZIE – POWOLNA PROCESJA WOZÓW, zwierząt i obładowanych pieszych – opuścili dolinę i wyszli na równiny, zdążając na południe wzdłuż rzeki Stefflod. Obszarpana armia potrzebowała prawie tygodnia, by dotrzeć do miejsca, gdzie rzeka łączyła się ze swoją większą kuzynką, rzeką Ymstrecca.

Dla wielu był to jakby powrót do domu, gdyż rozbili obóz w dolinie osłoniętej wzgórzami, w której powstała pierwsza z osad uciekinierów, Gadrinsett. Wielu, moszcząc swoje legowiska i szukając pośród ruin drewna, zastanawiało się, czy zyskali cokolwiek, opuszczając to miejsce i oddając swój los w ręce Josui i jego rebeliantów. Tu i ówdzie rozlegały się szepty niezadowolenia, ale nieliczne. Większość pamiętała odwagę, z jaką Josua i jego ludzie stawili czoło żołnierzom Wielkiego Króla.

Powrót mógł okazać się gorszy; ociepliło się i większość śniegu, który wcześniej pokrywał tę część łąk, znowu stopniała. Jednak wiatr hulał w płytkich parowach, naginał mniejsze drzewa i kładł trawy; płomienie ognisk wyginały się i podskakiwały; magiczna zima zelżała, lecz na równinach Thrithingów był przecież prawie Decander.

Książę oznajmił, że zatrzymają się tam na trzy noce i w tym czasie on i jego doradcy zdecydują, którą wybrać drogę. Poddani, jeśli można ich tak było nazwać, skwapliwie skorzystali z możliwości odpoczynku. Dla rannych, niedołężnych i tych obarczonych dziećmi nawet taka krótka podróż z *Sesuad'ra* okazała się ciężka. Ktoś rozgłosił, że Josua zmienił

zdanie i zamierza odbudować Nowe Gadrinsett na miejscu starej osady. Choć bardziej rozważni próbowali wykazać, że Josua może być taki czy inny, ale nie jest głupcem, i że bezcelowe byłoby opuszczać wysokie, wygodne do obrony miejsce na rzecz tak odsłoniętego, to jednak wśród armijnej zbieraniny znalazło się na tyle dużo chętnych uwierzyć w podobne plotki, że nie dało się już ich stłumić.

NIE MOŻEMY ZOSTAĆ TUTAJ DŁUGO – powiedział Isgrimnur. – Każdy dzień postoju kosztuje nas kilkunastu ludzi, którzy nie pójdą z nami, kiedy przyjdzie do wymarszu.

Josua studiował postrzępioną, wyblakłą od słońca mapę. Ta cenna zdobycz należała wcześniej do nieżyjącego już Helfgrima, byłego burmistrza Gadrinsett, który, wraz z córkami, stał się nieomal świętym patronem osadników.

– Nie zostaniemy tutaj długo – odparł książę. – Ale jeśli chcemy oddalić się z nimi wszystkimi od rzeki, w głąb łąk, musimy mieć pewność, że znajdziemy wodę. Trudno przewidzieć, jak zmieni się pogoda. Deszcz może długo nie padać.

Isgrimnur parsknął zdesperowany i spojrzał na Freosela, u niego szukając pomocy, lecz młody Falshirczyk od początku nie popierał wyprawy do Nabbanu i teraz patrzył w milczeniu przed siebie. Wyraz jego twarzy mówił, że powinni byli udać się wzdłuż rzeki Ymstrecca na zachód, do Erkynlandu.

– Josuo – zaczął książę – znalezienie wody nie powinno być dla nas problemem. Zwierzęta mogą pić rosę, jeśli zajdzie taka potrzeba, a my możemy napełnić wodą mnóstwo bukłaków, zanim oddalimy się od rzeki. Na łąkach powstało wiele nowych strumieni z topniejącego śniegu. Ważniejszym problemem może okazać się żywność.

– Tego problemu także jeszcze nie rozwiązaliśmy – zauważył Josua. – Ale nie wiem, czy wybór jakiejkolwiek drogi ma z tym związek. Możemy wybrać szlak biegnący w pobliżu jezior; nie wiem tylko, jak bardzo mogę zaufać mapie Helfgrima...

– Nigdy... nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak trudno jest wyżywić tylu ludzi. – Strangyeard prawie przez cały czas zajęty był czytaniem tłumaczenia jednego ze zwojów Ookequka, które dostarczył Binabik. – Jak sobie radzą armie?

– Albo opróżniają do dna królewską sakiewkę – wtrąciła ponuro Geloë – albo zjadają wszystko, co się znajduje dookoła, jak maszerujące mrówki. – Wstała z miejsca, na którym siedziała obok archiwisty. – Josuo, rośnie tutaj wiele roślin, którymi możemy karmić naszych ludzi, wiele ziół i kwiatów, a nawet traw; można z nich przyrządzić dość syty posiłek, choć ci wychowani w miastach mogą w to nie wierzyć.

– Obce staje się znajome, kiedy jesteś głodny – zacytował Isgrimnur. – Nie pamiętam, kto to powiedział, ale tak jest. Posłuchaj, Geloë: damy sobie radę. Musimy się tylko śpieszyć. Im dłużej tutaj zostaniemy, tym bardziej wyjałowimy to miejsce, jak mrówki. Lepiej będzie nam się wiodło, kiedy będziemy się przemieszczać.

– Isgrimnurze, nie zatrzymaliśmy się dlatego, że chciałem pomyśleć – odparł Josua nieco chłodno. – Trudno oczekiwać, by całe miasto, bo tylu nas jest, tak po prostu wstało i za jednym marszem poszło do Nabbanu. Pierwszy tydzień był ciężki. Dajmy im trochę czasu, żeby się przyzwyczaili.

Książę Elvritshalli szarpnął się za brodę.

– Ja nie chciałem... wiem, Josuo. Ale teraz już musimy poruszać się szybko, tak jak mówiłem. Ci, którzy nie nadążą, dogonią nas, kiedy zatrzymamy się na dobre. I tak by nie walczyli.

Josua wydął usta.

– Czy oni są gorszymi dziećmi Boga tylko dlatego, że nie mogą utrzymać miecza?

Isgrimnur pokręcił głową. Książę był znowu w tym nastroju.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło. Chcę tylko powiedzieć, że to jest armia, a nie kościelna procesja, za którą idzie Lektor. Możemy zacząć to, co mamy do zrobienia, nie czekając, aż dogoni nas ostatni kuternoga i ostatni koń, który zgubił podkowę.

Josua zwrócił się do Camarisa; starzec siedział w milczeniu przy małym ognisku, wpatrzony w dym ulatujący dziurą w dachu namiotu.

– A ty co myślisz, sir Camarisie? Maszerowałeś dłużej niż my wszyscy, może z wyjątkiem Isgrimnura. Czy on ma rację?

Starzec powoli oderwał wzrok od kołyszących się płomieni.

– Tak, zgadzam się z tym, co mówi książę Isgrimnur. Wszystkim naszym ludziom jesteśmy winni to, co im obiecaliśmy, co więcej, jesteśmy też to winni dobremu Panu, który słyszał nasze obietnice. Zarozumiałością byłoby jednak próbować czynić wolę Bożą, trzymając za rękę każdego zmęczonego piechura. – Zamilkł na chwilę. – Jednak pragnęlibyśmy także: nie, jest to konieczne, by ludzie przyłączyli się do nas. A ludzie nie przyłączają się do pędzącej bezładnie bandy, a chętnie idą z triumfującą armią. – Rozejrzał się po namiocie. – Powinniśmy iść najszybciej, jak to jest możliwe, ale zachowując należyty porządek. Przed nami powinni jechać jeźdźcy, lecz nie tylko po to, by sprawdzać, co znajduje się z przodu, lecz także obwieszczać nasze nadejście, powinni oni wołać: „Nadjeżdża książę!” – Przez chwilę wydawało się, że powie coś jeszcze, lecz on zamilkł wpatrzony przed siebie.

Josua uśmiechnął się.

– Powinieneś być nauczycielem, sir Camarisie. Jesteś równie subtelny jak moi dawni nauczyciele, bracia Usireanie. Tylko w jednym się z tobą nie zgadzam. – Odwrócił się nieco, tak by widzieć wszystkich zebranych. – Udajemy się do Nabbanu. Dlatego nasi heraldowie będą krzyczeć: „Camaris powrócił! Sir Camaris powrócił, by poprowadzić swój lud!” – Roześmiał się. – „Jest z nim Josua!”

Camaris zmarszczył czoło, jakby poczuł się nieswojo, słysząc słowa księcia.

Isgrimnur skłonił głowę.

– Camaris ma rację. Pośpiech, ale pełen godności.

– Tylko że godność nie upoważnia do plądrowania zamieszkanych terenów – powiedział Josua. – W ten sposób nie zyskamy sobie popleczników.

Isgrimnur wzruszył ramionami; jego zdaniem książę bawił się w subtelności.

– Nasi ludzie są głodni, Josuo. Niektórzy z nich przebywają na wygnaniu od ponad dwóch lat. Jak im wytłumaczysz, kiedy już dotrzemy do Nabbanu, żeby nie ruszali żywności, która rośnie przy drodze, albo żeby nie jedli owiec, które się tam pasą?

Książę popatrzył na mapę znużony.

– Nie potrafię już odpowiedzieć na więcej pytań. Zrobimy, co w naszej mocy. Niech Bóg nas prowadzi.

– Niech Bóg okaże nam litość – poprawił go Camaris. Starzec znowu spojrzał w ulatujący dym.

ZAPADŁA NOC. TRZY POSTACIE USIADŁY W LASKU, z którego widać było dolinę. Stłumione i kruche dźwięki muzyki rzeki docierały aż na górę. Nie rozpalili

ogniska, lecz białoniebieski kamień żarzył się słabo między nimi, trochę tylko jaśniej niż księżyc. Jego błękitny blask oblewał blade, pociągłe twarze, gdy postacie rozmawiały w syczącym języku Burzowej Góry.

– Tej nocy? – spytał Norn o imieniu Urodzony-Pod-Kamieniem-Tzaaihta.

Żyła-Srebrzystego-Ognia uczyniła palcem gest zaprzeczenia. Położyła dłoń na kamieniu i zamarła w bezruchu na długą chwilę. Wreszcie wypuściła wstrzymywany oddech.

– Jutro, kiedy Mezhumeyru skryje się za chmurami. Dzisiejszej nocy, w nowym miejscu, śmiertelnicy będą czujni. Jutro. – Spojrzała znacząco na Urodzonego-Pod-Kamieniem-Tzaaihta. Był z nich najmłodszy i nigdy jeszcze nie opuszczał ciemnych jaskiń we wnętrzu Nakkigi. Dostrzegła jego napięte długie palce i błysk w purpurowych oczach i wiedziała, że zniesie ten widok. Nie wątpiła, że jest dzielny. Każdy, kto przetrzymał długą szkołę Jaskini Tortur, nie bał się już niczego, może poza gniewem Pani w Srebrnej Masce, ale zbytnia gorliwość mogła okazać się równie szkodliwa jak tchórzostwo.

– Spójrzcie na nich – powiedziała Wzywana-Przez-Głosy. Wpatrywała się w kilka postaci widocznych w obozowisku w dole. – Są jak robaki, wciąż się wiją, wciąż się wiercą.

– Gdyby twoje życie trwało zaledwie kilka pór roku – odparła Żyła-Srebrzystego-Ognia – może i ty byłabyś tak ruchliwa. – Spojrzała w dół na migocącą konstelację ognisk. – Ale masz rację, oni są jak robaki. – Zacisnęła usta. – Kopali, jedli i zostawili po sobie odpadki. Teraz pomożemy skończyć z nimi.

– Tym jednym czynem? – spytała Wzywana-Przez-Głosy.

Żyła-Srebrzystego-Ognia spojrzała na nią; jej twarz była zimna i twarda jak kość słoniowa.

– Wątpisz?

Nastąpiła pełna napięcia chwila milczenia, aż wreszcie przemówiła Wzywana-Przez-Głosy:

– Pragnę tylko spełnić Jej wolę. Chcę jedynie tego, co dla Niej będzie najlepsze.

Urodzony-Pod-Kamieniem-Tzaaihta wydał dźwięczny odgłos zadowolenia. Blask księżyca zalśnił w białkach jego oczu.

– A Ona pragnie śmierci... *wyjątkowej* śmierci – powiedział. – To będzie nasz dar dla Niej.

– Tak. – Żyła-Srebrzystego-Kamienia podniosła kamień i schowała go do czarnej kieszeni. – To jest podarunek od Szponów. Podarujemy go Jej jutrzejszej nocy.

Zamilkli i reszta długiej nocy upłynęła w milczeniu.

WCIĄŻ ZA DUŻO MYŚLISZ O SOBIE, SEOMANIE. – Aditu pochyliła się i przesunęła wygładzone kamienie na półksiężyc, który ciągnął się przez całe Szare Wybrzeże. Kamienie shent migotały słabo w blasku kryształowych kul Aditu umieszczonych na drewnianym trójnogu. Przez uchyloną zasłonę wejścia do namiotu Simona sączyło się światło popołudniowego słońca.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

Aditu podniosła wzrok z planszy na Simona; w głębi jej spojrzenia czaiły się iskierki zadowolenia.

– Za bardzo chowasz się w sobie, to chciałam powiedzieć. Nie myślisz o tym, co myśli twój partner. Shent to gra dla dwóch osób.

– Nawet jeśli się myśli, ledwie można zapamiętać wszystkie reguły gry – burknął Simon. – A poza tym skąd mam wiedzieć, co ty myślisz w czasie gry? *Nigdy* nie wiem, o czym myślisz!

Wydawało się, że Aditu odpowie mu jakąś złośliwą uwagą, lecz zamiast tego przykryła dłonią swoje kamienie.

– Martwisz się czymś, Seomanie. Zauważyłam to w twojej grze. Grasz już na tyle dobrze, że twoje nastroje znajdują odbicie w Domu Shent.

Nie pytała, czym się martwi. Simon domyślał się, że nawet gdyby jej towarzysz pojawił się bez nogi, Aditu czy jakikolwiek inny Sitha czekałby kilka lat, nie zapytawszy, co się stało. Irytowała go trochę ta jej – jak on to nazywał – sithijskość, ale z drugiej strony miło mu było usłyszeć, że jej zdaniem lepiej gra w shent, choć pewnie chciała powiedzieć, że gra lepiej, jak na śmiertelnika, a ponieważ, o ile wiedział, był on jedynym śmiertelnikiem, który potrafił grać w tę grę, był to raczej wątpliwy komplement.

– Nie martwię się. – Spuścił wzrok na planszę. – Może i tak – poprawił się. – Ale nie jest to nic, w czym mogłabyś mi pomóc.

Aditu nic nie powiedziała; odchyliła się tylko do tyłu, oparta na łokciach, i wyciągnąwszy szyję w swój dziwny, ptasi sposób, potrząsnęła głową. Jej jasne włosy wysunęły się spod spinki i opadły na ramiona.

– Nie rozumiem kobiet – odezwał się nagle i zaraz zacisnął zęby, jakby się spodziewał, że Aditu zacznie się z nim sprzeczać. Najwyraźniej przyznawała, że rzeczywiście ich nie rozumie, gdyż wciąż milczała. – Nie rozumiem ich.

– Co masz na myśli, Seomanie? Przecież rozumiesz wiele rzeczy. Ja często mówię, że nie rozumiem śmiertelników, ale wiem, jak wyglądają i jak długo żyją, mówię ich kilkoma językami.

Simon spojrzał na nią poirytowany. Czy znowu kpiła sobie z niego?

– Ale przecież kobiety to coś więcej – mruknął. – Nie rozumiem Miriamele. Księżniczki.

– Tej chudej z żółtymi włosami?

A więc kpiła z niego.

– Możesz ją tak nazwać. Ale widzę, że to głupio rozmawiać z tobą na ten temat.

Aditu pochyliła się i dotknęła jego ramienia.

– Przepraszam, Seomanie. Rozzłościłam cię. Powiedz mi, co cię trapi, jeśli chcesz. Może rozmowa ze mną pozwoli ci poczuć się lepiej, nawet jeśli nie rozumiem dobrze śmiertelników.

Wzruszył ramionami zmieszany, że w ogóle poruszył ten temat.

– Sam nie wiem. Czasem jest dla mnie miła. A kiedy indziej zachowuje się prawie, jakby mnie nie znała. Czasem wydaje mi się, że ona się mnie boi. *Mnie*! – Zaśmiał się gorzko. – Przecież uratowałem jej życie! Dlaczego miałaby się mnie bać?

– Właśnie dlatego, że uratowałeś jej życie. – Aditu powiedziała to bardzo poważnie. – Spytaj mojego brata. To wielka odpowiedzialność ocalić komuś życie.

– Ale Jiriki nie zachowuje się tak, jakby mnie nie lubił!

– Mój brat pochodzi z bardzo starego i pełnego rezerwy ludu, chociaż wśród Zida'ya on i ja uchodzimy za młodzieńczo impulsywnych i niebezpiecznie nieobliczalnych. – Uśmiechnęła się swym kocim uśmiechem; z jej ładnej buzi równie dobrze mógłby wystawać koniuszek mysiego ogona. – Nie, nie możesz powiedzieć, że on cię nie lubi. Jiriki bardzo cię ceni, Seomanie Śnieżnowłosy. Inaczej nigdy nie przyprowadziłby cię do Jao e-Tinukai'i, co z kolei zdaniem wielu naszych ludzi świadczyło o tym, że nie można na nim całkowicie polegać. Ale twoja Miriamele jest śmiertelniczką, i do tego bardzo młodą. W rzece pływają ryby, które żyją dłużej od niej. Nie dziw się więc, że taki dług wdzięczności jest dla niej dużym ciężarem.

Simon wpatrywał się w Aditu. Spodziewał się dokuczliwych uwag, a tymczasem ona mówiła o Miriamele z powagą, a ponadto opowiadała o Sithach rzeczy, których nigdy dotąd nie słyszał. Czuł się rozdarty między dwoma fascynującymi tematami rozmowy.

– To nie wszystko. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie wiem, jak... jak z nią być. Z księżniczką Miriamele. To znaczy, wciąż o niej myślę. Tylko kim ja jestem, żeby myśleć o księżniczce?

Aditu roześmiała się; był to perlisty dźwięk przypominający spadającą wodę.

– Jesteś Seomanem Śmiałym. Widziałeś Yasira. Spotkałeś się z Pierwszą Babką. Czy jakiś inny młody śmiertelnik może się czymś podobnym pochwalić?

Poczuł, że się czerwieni.

– Nie w tym rzecz, Aditu. Ona jest księżniczką, córką Wielkiego Króla!

– Córką waszego wroga? Czy tym się martwisz? – Wydawała się szczerze zdumiona.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Nie, nie, nie. – Rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiednich słów. – Ty jesteś córką króla i królowej Zida’ya, czy tak?

– Mniej więcej tak to można wyrazić w waszym języku. Tak, pochodzę z Domu Tańczącego Roku.

– Co by było, gdyby ktoś, nie wiem, ktoś z nieważnej rodziny, ze złego rodu, czy coś takiego, zechciał się z tobą ożenić?

– Ze złego rodu? – Aditu spojrzała na niego uważnie. – Czy chodzi ci o to, że mogłabym uważać kogoś za gorszego od siebie? Od dawna jest nas za mało, by tak postępować, Seomanie. Dlaczego musisz się z nią żenić? Czy ludzie nigdy nie kochają się ze sobą, nie żeniąc się?

Simon milczał długą chwilę. Żeby kochać się z królewską córką, nie pragnąc się z nią ożenić?

– Jestem rycerzem – odparł sztywno. – Muszę zachowywać się honorowo.

– Kochanie kogoś nie jest honorowe? – Pokręciła głową; na jej usta powrócił kpiący uśmiech. – A ty mówisz, że *mnie* nie rozumiesz!

Simon oparł łokcie na kolanach i schował twarz w dłoniach.

– Chcesz powiedzieć, że dla was nie ma znaczenia, kto się z kim żeni? Nie wierzę.

– To właśnie stało się przyczyną niezgody między Zida'ya a Hikeda'ya – powiedziała. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że jej spojrzenie nie jest już tak łagodne. – Wyciągnęliśmy wnioski z tej straszliwej lekcji.

– Jak to?

– Obie rodziny rozłączyły się z powodu śmierci Drukhiego, syna Utuk'ku i jej męża Ekimeniso Czarnego Drzewca. Drukhi pokochał i poślubił Nenais'u, córkę Słowika. – Uniosła dłoń i zrobiła gest, jakby zamykała książkę. – Ona zginęła zabita przez śmiertelników, zanim jeszcze lody połknęły Tumet'ai. Był to przypadek. Tańczyła w lesie i blask jej jasnej sukni przyciągnął uwagę myśliwego. Wypuścił strzałę, myśląc, że wytropił pięknego ptaka. Jej mąż, Drukhi, oszalał, kiedy ją znalazł. – Aditu pochyliła głowę, jakby rzeczy, o których opowiadała, dopiero co się wydarzyły.

Kiedy milczała przez dłuższą chwilę, Simon zapytał:

– Ale dlaczego stało się to przyczyną sporu między rodzinami? I co to ma wspólnego z tym, żeby się żenić, z kim się chce?

– To długa historia, Seomanie, może najdłuższa spośród tych, jakie nasi ludzie opowiadają, nie licząc ucieczki z Ogrodu i przeprawy przez czarne morze na ten ląd. – Popchnęła palcem jeden z kamieni shent. – W tamtym

czasie na czele wszystkich Urodzonych w Ogrodzie stali Utuk’ku i jej mąż. Oni sprawowali pieczę nad gajami Tańczącego Roku. Kiedy ich syn zakochał się w Nenais’u, córce Jenjiyany i jej męża Initriego, Utuk’ku gwałtownie się temu sprzeciwiła. Rodzice Nenais’u należeli do naszego klanu Zida’ya, chociaż wtedy inaczej się nazywał. Członkowie naszego klanu wierzyli także, że śmiertelnicy, którzy przybyli na tę ziemię po Urodzonych w Ogrodzie, powinni żyć tutaj w spokoju, jeśli nie będą walczyć z nami.

Wzięła kilka innych kamieni i ułożyła je na planszy.

– Utuk’ku i jej klan uważali, że śmiertelników należy wypędzić za Ocean, a ci, którzy nie odejdą, powinni zginąć, tak jak giną owady zgniecione ręką rolnika. Dwa największe klany i pozostałe mniejsze podzieliły się jednak tak równo, że nawet pozycja Utuk’ku jako Pani Domu Tańczącego Roku nie pozwoliła jej narzucić swojego zdania pozostałym. Widzisz, Seomanie, my nigdy nie mieliśmy króla ani królowej, tak jak wy.

W każdym razie Utuk’ku i jej mąż bardzo gniewali się na syna, który poślubił kobietę ze zdradzieckiego, ich zdaniem, klanu, który popierał śmiertelników. Kiedy zginęła Nenais’u, Drukhi oszalał i przysiągł, że zabije każdego śmiertelnika, jakiego napotka. Ludzie z klanu Nenais’u powstrzymali go, chociaż także byli bardzo rozzłoszczeni. Kiedy zwołano Yasira, Urodzeni w Ogrodzie nie mogli podjąć żadnej decyzji, lecz obawiali się tego, co może się stać, kiedy uwolnią Drukhiego, dlatego postanowiono, że należy go uwięzić. Coś takiego nie wydarzyło się wcześniej po tej stronie Oceanu. Drukhi nie potrafił znieść ciężaru szaleństwa, a także ciężaru więzienia, do którego wtrącili go jego ludzie, gdy tymczasem zabójcy jego żony chodzili wolni, dlatego sprowadził swoją śmierć.

Simon słuchał zafascynowany, chociaż z wyrazu twarzy Aditu widział, jak smutna była dla niej ta opowieść.

– Chcesz powiedzieć, że sam się zabił?

– Nie tak, jak myślisz, Seomanie. Nie, raczej... przestał żyć. Kiedy znaleziono go martwego w jaskini Si’injan’dre, Utuk’ku i Ekimeniso zabrali swój klan i odeszli na Północ; przysięgli, że nigdy nie powrócą do ludzi Jenjiyany.

– Ale przedtem jeszcze wszyscy udali się na *Sesuad’ra* – powiedział Simon. – Poszli do Domu Rozstania i tam zawarli umowę. To właśnie widziałem w mojej wizji w czasie nocy czuwania.

Skinęła głową.

– Tak, z tego, co mówiłeś, rzeczywiście widziałeś to, co się wtedy wydarzyło.

– I dlatego Utuk’ku i Nornowie nienawidzą śmiertelników? –spytał.

– Tak. To oni rozpoczęli wojnę z pierwszymi śmiertelnikami w Hernystirze, na długo przed tym, jak Hern nadał mu tę nazwę. W tej wojnie zginął Ekimeniso i wielu innych Hikeda’ya. Stało się to dodatkowym powodem niechęci do śmiertelników.

Simon oparł się o krzesło, obejmując ramionami kolana.

– Nie wiedziałem o tym. Morgenes, Binabik i inni mówili, że tamta bitwa była pierwszą, kiedy to śmiertelnicy zabili Sithów.

– Sithów, tak: Zida’ya. Lecz ludzie Utuk’ku walczyli ze śmiertelnikami, jeszcze zanim z zachodniego morza przybyli żeglarze i wszystko zmienili. – Pochyliła głowę. – Teraz wiesz, dlaczego my, Dzieci Świtu, jesteśmy ostrożni, mówiąc, czy ktoś jest lepszy, czy nie. Takie słowa kojarzą nam się z tragedią.

Simon przytaknął jej.

– Chyba rozumiem. Ale u nas jest inaczej, Aditu. Mamy pewne zasady, które mówią, kto może kogo poślubić, a księżniczka nie może wyjść za rycerza bez majątku, szczególnie gdy był on kiedyś podkuchennym.

– Widziałeś te zasady? Czy trzymacie je w jednym z waszych świętych miejsc?

Skrzywił się.

– Wiesz, co mam na myśli. Jeśli chcesz wiedzieć, jak to wygląda naprawdę, powinnaś porozmawiać z Camarisem. On wie wszystko: kto się komu powinien kłaniać, kto i kiedy powinien wkładać ubranie w odpowiednim kolorze... – Simon uśmiechnął się smutno. – Pewnie odciąłby mi głowę, gdybym wspomniał mu o tym, że ktoś taki jak ja miałby zamiar poślubić księżniczkę. Jedyna pociecha to fakt, że zrobiłby to bez przyjemności.

– Tak, Camaris. – Wydawało się, że Aditu chce powiedzieć coś ważnego. – On... on jest dziwnym człowiekiem. Myślę, że wiele widział.

Simon spojrzał na nią uważnie, lecz nie był pewien, co znaczyły jej słowa.

– Tak. I chyba chce mnie tego wszystkiego nauczyć, zanim dotrzemy do Nabbanu. To dobrze. – Wstał. – Niebawem się ściemni, dlatego muszę już pójść do niego. Miał pokazać mi, jak używać tarczy... – Simon zamilkł na chwilę. – Dziękuję, że chciałaś ze mną porozmawiać.

Aditu skinęła głową.

– W niczym cię pewnie nie pocieszyłam, ale może nie będziesz już taki smutny, Seomanie.

Wzruszył ramionami, podnosząc płaszcz z ziemi.

– Zaczekaj – powiedziała, wstając. – Pójdę z tobą.

– Do Camarisa?

– Nie. Ale kawałek mogę iść z tobą.

Wyszła za nim na zewnątrz. Kryształowa kula zamigotała, przez chwilę świeciła słabszym światłem, a potem zgasła, przez nikogo nie dotknięta.

I CO? – SPYTAŁA KSIĘŻNA GUTRUN. Miriamele wyczuła, że jej niecierpliwy ton skrywa strach.

Geloë wstała. Uścisnęła dłoń Vorzhevy i położyła ją na kocu.

– Nic złego – powiedziała. – Tylko trochę krwi; i tak już nie leci. Gutrun, przecież rodziłaś dzieci, niańczyłaś nawet wnuki. Ty powinnaś wiedzieć najlepiej, zamiast ją straszyć.

Księżna uniosła dumnie brodę.

– Tak, urodziłam i wychowałam swoje dzieci, czym nie wszyscy mogą się pochwalić. – Kiedy Geloë zignorowała ten złośliwy przytyk, kontynuowała nie mniej gorąco: – Ale ja nigdy nie rodziłam w siodle, a przysięgam, że jej mąż tego właśnie pragnie! – Spojrzała na Miriamele, jakby oczekiwała jej poparcia, ale niedoszła poplecznicz ka wzruszyła tylko ramionami. Nie było sensu sprzeczać się teraz. Stało się: książę postanowił jechać do Nabbanu.

– Mogę jechać na wozie – powiedziała Vorzheva. – Na Stepowy Grzmot, Gutrun, kobiety w moim klanie czasem jeżdżą na koniu aż do ostatniej chwili!

– W takim razie inne kobiety z twojego klanu są głupie – wtrąciła Geloë. – Nawet jeśli ty nie jesteś. Rzeczywiście możesz jechać na wozie. Nie będzie to tak męczące na łąkach. – Odwróciła się do Gutrun. – A co do Josui, to wiesz, że stara się robić to, co najlepsze. Zgadzam się z nim. Jest surowy, ale nie może kazać wszystkim czekać sto dni tylko dlatego, by jego żona mogła urodzić dziecko w ciszy i spokoju.

– W takim razie powinien znaleźć inne rozwiązanie. Powiedziałam Isgrimnurowi, że takie postępowanie jest okrutne, i nie zmienię zdania. Prosiłam go, by powtórzył to księciu Josui. Nie obchodzi mnie, co książę sobie o mnie myśli, ale nie mogę patrzeć, jak Vorzheva cierpi.

Geloë uśmiechała się ponuro.

– Wierzę, że twój mąż słuchał cię uważnie, lecz nie sądzę, by twoje słowa dotarły kiedykolwiek do Josui.

– Jak to? – spytała księżna.

Zanim Geloë zdążyła odpowiedzieć – a Miriamele miała wrażenie, że wcale się z tym nie śpieszyła – w wejściu coś zaszeleściło. Przez chwilę ukazał się skrawek rozgwieżdżonego nieba, a potem zasłona opadła: w namiocie pojawiła się Aditu.

– Czy nie przeszkadzam? – spytała Sithijka. Miriamele wydało się, że Aditu zadała to pytanie na serio. Dla młodej kobiety wychowanej na fałszywej uprzejmości dworu jej ojca dziwny wydawał się ktoś, kto pytał, jakby rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi. – Słyszałam, Vorzhevo, że źle się czujesz.

– Czuję się lepiej – odparła żona Josui uśmiechnięta. – Wejdź, Aditu, cieszę się, że przyszłaś.

Sithijka usiadła na podłodze w głowie łóżka Vorzhevy; długie, kształtne dłonie złożyła na kolanach. Miriamele przyglądała jej się z zainteresowaniem. W przeciwieństwie do Simona, który najwyraźniej przyzwyczaił się już do Sithijki, ona wciąż czuła się nieswojo w obecności tak obcej istoty. Aditu wydawała jej się równie dziwna jak postać z dawnych legend, a nawet dziwniejsza przez to, że siedziała tuż obok w słabym blasku ognia, równie prawdziwa jak kamień czy drzewo. Miała wrażenie, że ostatni rok wywrócił świat do góry nogami i nagle ukazały się istoty, które dotąd ukrywały się tylko w legendach.

Aditu wyjęła spośród fałd swojej szarej tuniki torebkę.

– Przyniosłam coś, co pomoże ci zasnąć. – Wysypała na dłoń trochę zielonych liści i pokazała je Geloë, która skinęła głową. – Zaparzę je, kiedy będziemy rozmawiać.

Sithijka wydawała się nie zauważać pełnego dezaprobaty spojrzenia Gutrun. Za pomocą dwóch patyków podniosła z paleniska kamień, otrząsnęła z niego popiół i wrzuciła go do miski z wodą. Kiedy nad naczyniem uniosła się chmura pary, rozkruszyła liście.

– Słyszałam, że mamy zostać tutaj jeszcze jeden dzień, a więc będziesz miała okazję odpocząć, Vorzhevo.

– Nie wiem, dlaczego wszyscy tak się o mnie boją. Przecież to tylko dziecko. Kobiety codziennie rodzą dzieci.

– Ale nie jedynych potomków książąt – powiedziała cicho Miriamele. – I nie w środku wojny.

Pomagając sobie patykiem, Aditu przesuwała kamień tak, by jeszcze bardziej rozgniótł liście.

– Jestem pewna, że ty i twój mężczyzna będziecie mieli zdrowe dziecko – powiedziała. Dla Miriamele jej słowa zabrzmiały niestosownie; tak mógł powiedzieć śmiertelnik. Może Simon jednak miał rację.

Kiedy usunięto kamień, Vorzheva usiadła i sięgnęła po parującą miskę. Skosztowała mały łyk. Miriamele patrzyła, jak na jej szyi poruszają się mięśnie, kiedy pije.

„Jest taka śliczna” – pomyślała.

Vorzheva przymykała ze zmęczenia swe ogromne, czarne oczy; jej włosy tworzyły gęstą, czarną chmurę wokół jej głowy. Miriamele odruchowo dotknęła swoich przyciętych loków, czując postrzępione końce tam, gdzie przycięła ufarbowane włosy. Czuła się jak brzydka młodsza siostra.

„Uspokój się – powiedziała w duchu do siebie. – Jesteś wystarczająco ładna. Czego jeszcze ci potrzeba?”

Mimo wszystko czuła się nieswojo w towarzystwie wyzywająco pięknej Vorzhevy i niezwykle zgrabnej Sithijki.

„Ale Simonowi się podobam. – Prawie się uśmiechnęła. – Tak, wiem o tym. Lecz co to ma za znaczenie? On nie może zrobić tego, co ja muszę zrobić. A poza tym on nic o mnie nie wie”.

Dziwny wydawał jej się fakt, że Simon, który ślubował służyć jej – była to bolesna, ale i przyjemna chwila – był tym samym niezgrabnym chłopcem, który towarzyszył jej w Naglimundzie. Nawet się tak bardzo nie zmienił, ale to, co się zmieniło... Niewątpliwie był starszy. Nie chodziło o wzrost, mechatą brodę, ale sposób, w jaki chodził, i spojrzenie jego oczu. Teraz widziała, że będzie z niego przystojny mężczyzna; nie przyszłoby jej to nawet do głowy, kiedy zatrzymała się w leśnym domu Geloë. Jego wydatny nos i pociągła twarz nabrały proporcji, których wcześniej im brakowało.

Jak to powiedziała kiedyś jedna z jej nianiek o innym dziecku z Hayholt? „Musi dojrzeć na buzi”. Tak, tego potrzeba było Simonowi – choć już coraz mniej.

Ze zdziwieniem myślała o tym wszystkim, czego dokonał, odkąd opuścił Hayholt. Był prawie bohaterem! Walczył ze smokiem! Czy większą odwagę okazali sir Camaris albo Tallistro? Pamiętała, jak zdawkowo opowiadał o swym spotkaniu z bestią – choć widziała jednocześnie, że bardzo pragnie pochwalić się nieco – a także to, jak stanął u jej boku, kiedy zaatakował ich olbrzym. Przekonała się wtedy, jaki potrafi być dzielny. W rzeczywistości żadne z nich nie uciekało, więc ona też była dzielna. Simon był rzeczywiście dobrym kompanem, a teraz stał się jej obrońcą.

Miriamele poczuła przyjemne ciepło, jakby coś się w niej poruszyło. Próbowała bronić się przed tym, przed jakimkolwiek podobnym uczuciem. To nie była odpowiednia chwila. To nie był odpowiedni czas, a wkrótce może już na nic nie być czasu...

Dźwięczny głos Aditu przywiódł ją z powrotem do namiotu i zebranych w nim osób.

– Jeśli zrobiłaś już wszystko, co chciałaś zrobić dla Vorzhevy – powiedziała Sithijka do Geloë – to chciałabym ci przez chwilę potowarzyszyć. Chcę z tobą o czymś pomówić.

Gutrun wydała jakiś nieokreślony pomruk, co zdaniem Miriamele miało wyrażać jej opinię na temat osób, które wychodzą, by porozmawiać o swoich tajemnicach. Geloë albo zignorowała, albo nie usłyszała jej komentarza, gdyż odparła:

– Myślę, że teraz potrzeba jej już tylko snu, a przynajmniej spokoju. – Teraz dopiero zwróciła się do Gutrun: – Przyjdę do niej później.

– Jak sobie życzysz – odparła księżna.

Czarownica skinęła Vorzhevie i Miriamele, po czym wyszła za Aditu. Vorzheva położyła się i uniosła dłoń w geście pożegnania. Wydawało się, że zasypia.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko ciche, monotonne mruczenie Gutrun zajętej szyciem; nie ustało ono nawet wtedy, gdy księżna przysunęła szycie do ognia, by sprawdzić ścieg. Wreszcie Miriamele wstała.

– Vorzheva jest zmęczona. Ja także już pójdę. – Pochyliła się i ujęła dłoń leżącej. Vorzheva otworzyła oczy i najwyraźniej potrzebowała chwili, by skupić wzrok na Miriamele. – Dobranoc. Jestem pewna, że to będzie wspaniałe dziecko. Oboje z wujem Josuą będziecie z niego dumni.

– Dziękuję. – Vorzheva uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

– Dobranoc, ciociu Gutrun – powiedziała Miriamele. – Cieszę się, że byłaś tutaj, kiedy powróciłam z Południa. Tęskniłam za tobą. – Ucałowała ciepły policzek księżnej, po czym delikatnie wyswobodziła się z jej matczynego uścisku i wyszła.

– Od lat tak do mnie nie mówiła! – usłyszała głos zdumionej Gutrun. Vorzheva mruknęła coś sennie. – Biedne dziecko, wydaje się takie smutne – mówiła dalej Gutrun. – A zresztą, dlaczegóż by nie...?

Miriamele nie usłyszała już jej dalszych słów, odchodząc przez mokrą trawę.

ADITU I GELOË SZŁY WZDŁUŻ SZEMRZĄCEJ STEFFLOD. Sieć chmur zakryła księżyc, lecz gwiazdy migotały w ciemności powyżej. Wiejący ze wschodu łagodny wiatr niósł zapach traw i mokrych kamieni.

– Dziwne jest to, co mówisz, Aditu. – Obie tworzyły dość szczególną parę; Sithijka starała się dopasować swój koci krok do bardziej sztywnego chodu Geloë. – Ale nie widzę w tym nic groźnego.

– Nie twierdzę tego, tylko że daje to do myślenia. – Aditu roześmiała się. – I pomyśleć, że zostałam tak wciągnięta w sprawy śmiertelników! Brat matki, Khendraja’aro, nie byłby zadowolony.

– Sprawy tych śmiertelników po części są i sprawami twojej rodziny – odparła rzeczowo Geloë. – Inaczej nie byłoby cię tutaj.

– Wiem – przyznała Aditu. – Ale wielu spośród moich ludzi z pewnością będzie próbowało znaleźć inne powody dla tego, co robimy, niż te, które mają cokolwiek wspólnego ze śmiertelnikami. – Schyliwszy się, zerwała kilka źdźbeł trawy i powąchała je. – Tutaj rośnie inna trawa niż w lesie, a nawet na *Sesuad’ra*. Jest... młodsza. Nie czuję w niej tyle życia, ale pomimo to jest słodka. – Upuściła źdźbła na ziemię. – Ale nie o tym chciałam mówić. Camaris nie stanowi żadnego zagrożenia, chyba że dla samego siebie. Ale dziwne wydaje się to, że ukrywa swoją przeszłość, tym bardziej dziwne, że wie o wielu rzeczach, które mogłyby pomóc jego ludziom w ich walce.

– Nie można go naciskać – odpowiedziała Geloë. – Pewne jest, że jeśli zdecyduje się wyjawić swoje tajemnice, nastąpi to w odpowiednim czasie. – Wsunęła dłonie do kieszeni grubej tuniki. – Choć z drugiej strony sama jestem bardzo ciekawa. Czy jesteś pewna?

– Nie – odpowiedziała Aditu zamyślona. – Nie jestem pewna. Ale od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie coś, co powiedział Jiriki. Oboje chyba myśleliśmy, że Seoman był pierwszym śmiertelnikiem, który postawił nogę w Jao e-Tinukai'i. Z pewnością tak uważali mój ojciec i matka. Ale Jiriki powiedział mi, że kiedy Amerasu ujrzała Seomana, wspomniała, że nie on jest pierwszy. Długo się nad tym zastanawiałam, ale przecież Pierwsza Babka znała dzieje Urodzonych w Ogrodzie lepiej niż ktokolwiek inny, może nawet lepiej niż Utuk'ku o srebrnej twarzy, która od dawna rozmyśla nad przeszłością, lecz nigdy nie uczyniła z tego sztuki.

– Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego uważasz, że tym pierwszym był Camaris.

– Początkowo było to tylko niejasne przeczucie. – Aditu skręciła w kierunku szemrzącej cicho rzeki. – Dostrzegłam coś w jego spojrzeniu, zanim jeszcze odzyskał rozum. Zauważyłam kilkakrotnie, że uważnie mi się przygląda, sądząc, że tego nie widzę. Później, kiedy wróciła mu pamięć, patrzył na mnie nieustannie, już nie ukradkiem, ale otwarcie, jednak było to spojrzenie pełne bolesnych wspomnień.

– Ale to mogło oznaczać cokolwiek, możesz mu kogoś przypominać. – Geloë zastanawiała się przez chwilę. – A może było mu wstyd za to, w jaki sposób jego przyjaciel John walczył z wami.

– Z tego, co powiedział mi archiwista Strangyeard, wynika, że John prawie całkowicie przepędził Zida'ya, zanim jeszcze Camaris przybył na dwór – odpowiedziała Aditu. – Nie patrz tak na mnie! – Roześmiała się. –

Ciekawi mnie wiele rzeczy, a my, Dzieci Świtu, zawsze lubiliśmy badania i naukę, choć nigdy nie używaliśmy tych słów.

– Mimo wszystko Camaris mógł przyglądać ci się z wielu innych powodów. Aditu no-Sa’onserei, stanowisz dość niecodzienny widok, przynajmniej dla śmiertelników.

– To prawda, ale jest coś więcej. Pewnej nocy, zanim jeszcze Camaris odzyskał pamięć, spacerowałam niedaleko Obserwatorium: jak je nazywasz, kiedy zobaczyłam, że idzie w moją stronę. Skinęłam mu głową, lecz on wydawał się pogrążony w świecie cieni. Śpiewałam piosenkę, bardzo starą, ulubioną piosenkę Amerasu, i kiedy go mijałam, dostrzegłam, że jego usta się poruszają. – Zatrzymała się i przykucnęła na brzegu rzeki, lecz patrzyła w górę na Geloë; jej oczy nawet w ciemności przypominały rozżarzone węgle. – On wymawiał słowa tej samej piosenki.

– Jesteś pewna?

– Tak pewna, jak co do tego, że drzewa w Gaju żyją i wkrótce znowu zakwitną, czuję to w mojej krwi i sercu. On znał piosenkę Amerasu i choć wciąż pozostawał w świecie cieni, to śpiewał ją mimowolnie ze mną. Była to wesoła piosenka, którą zwykła śpiewać Pierwsza Babka. Takich piosenek nie śpiewa się w miastach śmiertelników ani nawet w najstarszej części Hernystiru.

– Ale co to może oznaczać? – Geloë stała obok Aditu, wpatrzona ponad rzekę. Wiatr zmienił nieco kierunek i teraz wiał od strony obozu, położonego powyżej na wzgórzu. Zwykle opanowana czarownica wydawała się zaciekawiona słowami Sithijki. – Co to może znaczyć, nawet jeśli Camaris znał Amerasu?

– Nie wiem. Ale biorąc pod uwagę, że róg Camarisa należał kiedyś do naszego wroga, a nasz wróg był synem Amerasu, a także jednym z największych spośród nas, chciałabym wiedzieć. Prawdą jest też, że

miecz tego rycerza jest niezwykle dla nas ważny. – Zacisnęła nieco usta, co miało oznaczać wyraz niezadowolenia. – Gdyby tak żyła Amerasu i mogła wyjaśnić nasze podejrzenia.

Geloë pokręciła głową.

– Zbyt długo szukamy w cieniu. Co możemy zrobić?

– Próbowałam zbliżyć się do niego, ale on uprzejmie unika rozmowy ze mną. Kiedy próbuję naprowadzić go na odpowiedni temat, udaje, że mnie nie rozumie, albo po prostu wynajduje jakiś powód, by odejść. – Aditu wstała. – Może książę Josua potrafi nakłonić go do mówienia. Albo Isgrimnur, on chyba był Camarisowi najbliższy. Znasz ich obu, Geloë. Są wobec mnie podejrzliwi, za co ich nie winię, minęło wiele pokoleń śmiertelników, zanim mogliśmy nazwać Sudhoda'ya naszymi sprzymierzeńcami. Może za twoją namową jednemu z nich uda się przekonać Camarisa, by nam powiedział, czy rzeczywiście był w Jao e-Tinukai'i i jakie to może mieć znaczenie?

– Spróbuję – obiecała Geloë. – Dziś wieczór mam się z nimi zobaczyć. Ale nawet jeśli uda im się przekonać Camarisa, nie jestem pewna, czy to, co nam powie, będzie dla nas miało jakąś wartość. – Przeczesała palcami włosy. – Ale i tak ostatnio dowiedzieliśmy się wielu cennych rzeczych. – Podniosła wzrok. – Aditu? Co się stało?

Sithijka znieruchomiała z głową nienaturalnie przekrzywioną.

– Aditu? – spytała powtórnie Geloë. – Czy coś nam grozi?

– *Kei-vishaa* – syknęła Aditu. – Czuję to!

– Co?

– Kei-vishaa. To jest... nie czas na wyjaśnienia. Tego zapachu nie powinno być tutaj. Dzieje się coś złego. Chodź ze mną, Geloë, boję się!

Aditu skoczyła jak spłoszony jeleń. W następnej chwili zniknęła w ciemności, mknąc w kierunku obozu. Czarownica pobiegła za nią kilka

kroków, mrucząc coś gniewnie. Kiedy znalazły się w cieniu wierzb porastających wzgórze nad brzegiem rzeki, coś zadrżało; odległe gwiazdy jakby przygasły na chwilę, ciemność stężała, a potem eksplodowała. Z cienia nie wynurzyła się już Geloë, a przynajmniej nie jej zwykła postać, lecz skrzydlata istota.

Sowa otworzyła szeroko żółte oczy i poleciała za Aditu, śledząc ledwie dostrzegalny ślad w mokrej trawie.

PRZEZ CAŁY WIECZÓR SIMON ODCZUWAŁ NIEPOKÓJ. Rozmowa z Aditu tylko trochę mu pomogła. W pewnym sensie jeszcze bardziej go pobudziła.

Bardzo pragnął porozmawiać z Miriamele. Myślał o niej nieustannie: w nocy, kiedy próbował zasnąć, w dzień, gdy tylko ujrzał kobiecą twarz lub usłyszał kobiecy głos, a nawet w najmniej oczekiwanych chwilach, kiedy powinien skupić się na czymś innym. Dziwił się, jak ważna stała się ona dla niego w tak krótkim czasie od chwili powrotu: najmniejsza zmiana w jej zachowaniu wobec niego nie dawała mu spokoju przez wiele dni.

Tamtej nocy, kiedy spotkał ją przy koniach, wydawała mu się taka dziwna. Później, kiedy spotkali się przy ognisku Isgrimnura, była miła, może tylko trochę zamyślona. Ale tego dnia wciąż go unikała. Tak przynajmniej mu się wydawało, gdyż ilekroć zapytał o nią, okazywało się, że jest gdzie indziej, aż nabrał przekonania, że chowa się przed nim specjalnie.

Zmrok ustąpił miejsca ciemności, która opadła niczym ogromny, czarny ptak. Lekcja u Camarisa szybko się skończyła; starzec wydawał się czymś bardzo zajęty i z trudem skupiał uwagę na wyjaśnieniach dotyczących porządku bitwy i zasad walki. Simon, sam zaabsorbowany bieżącymi troskami, niewiele rozumiał z wywodów rycerza. Wymyślił jakiś powód

i wymknął się wcześniej, zostawiając starca przy ognisku. Camaris wydawał się zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Po bezowocnych przeszukiwaniach obozu Simona udał się do Vorzhevy i Gutrun. Księżna wyjaśniła szeptem, by nie obudzić żony księcia, że Miriamele była tam wcześniej, lecz wyszła jakiś czas temu. Simon rozczarowany powrócił do swoich poszukiwań.

Wreszcie znalazł się na skraju obozowiska, w blasku ognistego kręgu, który znaczył granice obozu tych ludzi Josui, dla których namiot stanowił w tej chwili niewyobrażalny luksus. Cały czas rozmyślał nad tym, gdzie może być Miriamele. Wcześniej sprawdził nad rzeką, podejrzewając, że może chce ona skupić myśli nad wodą, lecz znalazł tam tylko kilku osadników z Nowego Gadrinsett, którzy z pochodniami przyszli na nocny połów, zresztą bez większego powodzenia.

„Może jest przy koniach” – przyszło mu nagle do głowy.

Tam przecież spotkał ją mniej więcej o tej samej porze poprzedniej nocy. Może odpowiadało jej to miejsce, kiedy wszyscy udali się już na kolację. Odwrócił się i poszedł w stronę pogrążonego w ciemności zbocza.

Najpierw zatrzymał się przy Nadziei, by się z nią przywitać. Klacz powitała go najpierw dość wyniośle i dopiero po chwili przytuliła pysk do jego ucha. Zaraz potem poszedł wyżej, gdzie miał być uwiązany koń księżniczki. Rzeczywiście dostrzegł tam poruszającą się postać. Uradowany ze swej przenikliwości podszedł bliżej.

– Miriamele?

Zakapturzona postać drgnęła i obróciła się gwałtownie. Przez chwilę widział tylko bladą plamę twarzy w głębi kaptura.

– S...Simon? – Głos wyrażał strach i zdziwienie, ale z pewnością należał do niej. – Co tutaj robisz?

– Szukałem ciebie. – Zaniepokoił go ton jej głosu. – Nic ci nie jest? – Tym razem pytanie to wydało mu się bardzo na miejscu.

– Ja... ja... – jęknęła. – Po co przyszedłeś?

– Co się stało? – Zbliżył się jeszcze kilka kroków. – Czy ty...? – Zatrzymał się.

Nawet w blasku księżyca widział, że kontur jej konia jest nieco zniekształcony. Wyciągnął ramię i dotknął toreb przyczepionych do siodła.

– Wybierasz się gdzieś? – spytał. – Uciekasz.

– Nie *uciekam*. – Teraz jej głos przepełniał ból i złość. – Nie uciekam. Zostaw mnie, Simonie.

– Dokąd jedziesz? – Poczuł wszechogarniającą nierealność, jaka przebijała z otoczenia: ciemne zbocze porośnięte kilkoma samotnymi drzewami, twarz Miriamele schowana w głębi kaptura. – Czy to przeze mnie? Czy zrobiłem coś złego?

Roześmiała się gorzko.

– Nie, Simonie, nie przez ciebie. – Jej głos złagodniał. – Ty nie zrobiłeś niczego złego. Byłeś mi przyjacielem nawet wtedy, kiedy na to nie zasługiwałam. Nie mogę ci powiedzieć, dokąd jadę i, proszę, poczekaj do jutra, zanim powiesz Josui, że mnie widziałeś. Proszę cię o to.

– Ale... ale ja nie mogę! – Jak miałby powiedzieć Josui, że stał bezczynnie i przyglądał się, jak ona wyjeżdża sama? Starał się opanować gwałtowne bicie serca, zastanawiając się, co zrobić. – Pojadę z tobą – odezwał się wreszcie.

– Co? Nie możesz!

– Nie mogę pozwolić, byś pojechała sama. Przecież przysięgałem cię chronić.

Wydawało się, że Miriamele zaraz się rozpłacze.

– Ale ja nie chcę, żebyś ze mną jechał, Simonie. Jesteś moim przyjacielem, nie chcę, żeby ci się coś stało!

– A ja nie chcę, żeby *tobie* coś się stało. – Uspokoił się już nieco. Miał dziwne, lecz silne wrażenie, że podjął słuszną decyzję. Chociaż jakaś jego część wołała: „Gamoń, gamoń!” – Dlatego zamierzam pojechać z tobą.

– Ale Josua potrzebuje ciebie!

– Josua ma wielu rycerzy, lepszych ode mnie. A ty masz tylko jednego.

– Nie mogę ci na to pozwolić, Simonie. – Potrząsnęła gwałtownie głową. – Ty nie rozumiesz, co ja robię i dokąd jadę...

– A więc mi powiedz.

Potrząsnęła przecząco głową.

– W takim razie dowiem się, jadąc z tobą. Przykro mi, Miriamele, albo mnie zabierzesz, albo zostajesz.

Utkwiła w nim swoje spojrzenie, jakby chciała zajrzeć w jego serce. Wydawała się walczyć z sobą niezdecydowana, ciągnąc w zamyśleniu za lejce, aż Simon przestraszył się, że koń może się jej wyrwać.

– Dobrze – odezwała się wreszcie. – Ach, Elysio, miej nas wszystkich w swojej opiece! Ale musimy już ruszać, a tobie nie wolno pytać, dokąd jedziemy i dlaczego dzisiaj.

– Niech tak będzie. – Jego wątpiąca część wrzeszczała, starając się zwrócić jego uwagę, lecz on postanowił jej nie słuchać. Nie mógł znieść myśli, że sama jechałaby w ciemności. – Muszę tylko wrócić po mój miecz i parę rzeczy. Czy zabrałaś jedzenie?

– Tyle, by starczyło dla mnie, ale nie waż się kraść więcej. Ktoś mógłby cię zauważyć.

– No cóż, później będziemy się tym martwić. Ale muszę zabrać miecz i zostawić wyjaśnienie. A może ty to zrobiłaś?

Patrzyła na niego zdumiona.

– Oszalałeś?

– Nie chcę powiedzieć, dokąd jedziemy, ale wyjaśnić, że odjechałaś z własnej woli. Miriamele, musimy to zrobić – dodał stanowczo. – Inaczej postąpiłabyś bardzo okrutnie. Mogliby pomyśleć, że zostałaś porwana przez Nornów albo że... – uśmiechnął się na myśl o tym – że uciekliśmy, żeby się pobrać, jak to było w piosence o Mundwode.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Dobrze, idź po miecz i zostaw wiadomość.

Simon nasrożył się.

– Odchodzę. Ale pamiętaj, Miriamele, jeśli nie będzie cię tutaj, kiedy wrócę, jeszcze dzisiejszej nocy ruszy za tobą całe Nowe Gadrinsett.

Uniosła dumnie brodę.

– Idź. Chcę być w drodze przed świtem, więc się pośpiesz.

Skłonił się z kpiącą miną i pobiegł w dół zboczem.

WYDAWAŁO MU SIĘ TO DZIWNE, ale kiedy przypominał sobie tę noc później, w chwilach wielkiego bólu, nie pamiętał, co czuł, biegnąc do obozu, przygotowując się do ucieczki z królewską córką. Wspomnienie wszystkiego tego, co nastąpiło później, stłumiło to, co pulsowało w nim, kiedy zbiegał zboczem.

Tamtej nocy czuł, że świat śpiewa o nim, a wszystkie gwiazdy świecą tuż nad jego głową. Kiedy biegł, wydawało mu się, że świat zawisł niebezpiecznie na krawędzi przepaści, a każda ewentualność wydawała mu się zarówno piękna, jak i straszna. Miał wrażenie, że krew smoka Igjarjuka znowu w nim ożyła, otwierając go na przepastne niebo, wypełniając pulsem całej ziemi.

Mknął przez obóz, nie zważając na to, co się dookoła dzieje, nie słysząc śmiechów ani śpiewów; widział przed sobą tylko krętą ścieżkę między namiotami.

Szczęśliwie Binabika nie było w namiocie. Wcześniej Simon ani przez chwilę się nie zastanowił, co powiedziałby, gdyby troll czekał na niego. Mogło się zdarzyć, że Binabik potrzebował Simona do czegoś, lecz nie zostawił żadnej wiadomości. W pośpiechu szukał czegoś, na czym mógłby napisać parę słów, aż wreszcie znalazł jeden ze zwojów, które Binabik zabrał z jaskini Ookequka. Wiadomość wypisał starannie kawałkiem węgla z paleniska na odwrocie skórzanego pergaminu.

Miriamele odiechała a ja razem z Nją

napisał, zaciskając zęby.

Nic Jej sie nie stanie. Powiedz księciu Josui, że musze iechać. Przywiozę Ją jak tylko bede mugł. Powiedz Josui że jestem złym rycerzem, ale staram sie robić jak najlepiej. Tfuj przyjaciel Simon.

Po chwili zastanowienia dopisał:

Możesz wziąć moje żeczy jeśli nie wruce. Przepraszam.

Zostawił wiadomość na łóżku Binabika, zabrał miecz oraz kilka niezbędnych drobiazgów i opuścił namiot. W wejściu zawahał się, przypominając sobie o torbie ze skarbami: Białą Strzałą i lusterkiem Jirikiego. Wrócił po nią, chociaż każda chwila wydawała mu się nieskończonością. Wierzył, że Miriamele będzie czekała. Wprawdzie napisał Binabikowi, że może je zatrzymać, lecz przypomniało mu się, co powiedziała Miriamele. Zostały mu powierzone, były dowodem złożonej

obietnicy. Nie mógł ich oddać, tak samo jak nie mógł oddać swego imienia, a nie było czasu, by przeszukiwać torbę i wybierać tylko najważniejsze przedmioty. Nie chciał dać sobie nawet chwili do zastanowienia, wiedząc, że może opuścić go odwaga.

„Będziemy sami, tylko my dwoje – powtarzał sobie. – Będę jej opiekunem!”

Wydawało mu się, że upłynęły wieki, zanim znalazł wreszcie torbę, którą ukrył w dziurze przykrytej kawałkiem darni. Z mieczem i torbą pod pachą oraz siodłem przerzuconym przez ramię – aż zamrugał, kiedy zadźwięczała uprząż – pobiegł najszybciej jak potrafił przez obóz ku zboczu, gdzie stały przywiązane konie, gdzie – miał nadzieję – czekała Miriamele.

Rzeczywiście czekała. Widząc jej zniecierpliwienie, poczuł lekki dreszcz. Czekała na niego!

– Pośpiesz się, Simonie! Czas ucieka! – Nie wydawała się podzielać jego radosnego podniecenia, pragnąc jedynie wyruszyć w drogę.

Osiodłał Nadzieję, wepchnął do sakiew swoje rzeczy i niebawem prowadzili konie na szczyt wzgórza, poruszając się cicho jak duchy. Po raz ostatni odwrócili się, by spojrzeć na sieć ognisk, rozłożoną na dnie doliny.

– Patrz! – odezwał się Simon zdziwiony. – To nie jest ognisko! – Wskazał na pomarańczowo-czerwony jęzor ognia, jaki wyrósł mniej więcej w środku miasta namiotów. – Zapalił się namiot!

– Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stanie, a przynajmniej odciągnie to ich uwagę, dopóki nie odjedziemy – rzuciła ponuro Miriamele. – Musimy jechać, Simonie.

Wskoczyła zwinnie na konia – znowu miała na sobie koszulę i spodnie pod ciężkim płaszczem – i ruszyła w dół zbocza.

Jeszcze raz spojrzał na ognie i spiął ostrogami Nadzieję, pogrążając się w cieniu, którego nie przenikał nawet blask księżyca.

DODATEK

Osoby

Erkynlandczycy

Barnabas – kościelny z kaplicy w Hayholt

Deornoth, sir – z Hewenshire, rycerz Josui

Eahlferend – rybak, ojciec Simona

Eahlstan Fiskerne – „Król Rybak”, założyciel Ligi Pergaminu

Ebekah, także znana jako Efiathe z Hernysadharc – Królowa Erkynlandu, żona Johna, matka Eliasa i Josui

Elias – Wielki Król, najstarszy syn Johna, brat Josui

Fengbald – hrabia Falshire, Namiestnik Wielkiego Króla

Freobeorn – ojciec Freosela, kowal z Falshire

Freosel – Falshirczyk, konstabl Nowego Gadrinsett

Guthwulf – hrabia Utanyeat

Heanwig – stary pijak ze Stanshire

Helfgrim – były burmistrz Gadrinsett

Inch – nadzorca odlewni

Isaak – giermek Fengbalda

Jack Mundwode – legendarny leśny bandyta

Jeremias – były pomocnik kupca, przyjaciel i giermek Simona

John – Król John Presbiter, Wielki Król, także znany jako „Prester John”

Judith – przełożona nad kuchnią w Hayholt

Leleth – towarzyszka Geloë, przedtem pokojówka Miriamele

Maefwaru – Tancerz Ognia

Miriamele – księżniczka, córka Eliasa

Morgenes, Doktor – Ten, Który Nosi Zwój, przyjaciel i nauczyciel Simona

Osgal – rozbójnik z bandy legendarnego Jacka Mundwode

Rachel – przełożona pokojówek w Hayholt, także znana jako „Smok”

Roelstan – zbiegły Tancerz Ognia

Sangfugol – harfiarz Josui

Sceldwine – kapitan uwięzionych gwardzistów z Erkynlandu

Shem Stajenny – stajenny z Hayholt

Simon – podkuchenny z zamku (nazwany przez matkę Seomanem)

Stanhelm – hutnik w odlewni

Stary Kulas – pracownik w odlewni w Hayholt

Strangyeard, ojciec – Ten, Który Nosi Zwój, duchowny, archiwista Josui

Towser – błazen Króla Johna (prawdziwe imię: Cruinh)

Ulca – dziewczyna na *Sesuad’ra*, zwana „Kędzierzawą”

Welma – dziewczyna na *Sesuad’ra*, zwana „Chudą”

Wiclaf – były Pierwszy Kowal, zabity przez Tancerzy Ognia

Zebediah – podkuchenny z Hayholt, zwany „Grubym Zebediahem”

Hernystirczycy

Airgad Żelazne Serce – słynny hernystirski bohater

Arnoran – minstrel

Bagba – bóg bydła

Brynioch z Niebios – bóg nieba

Bulychlinn – rybak z legendy, który schwytał demona w sieci

Cadrach-ec-Crannhyr – mnich bliżej nieokreślonego zakonu, także znany jako „Padreic”

Caihwye – młoda matka

Craobhan – doradca królewskiej rodziny

Croich, ród – hernystirski klan

Cuamh Ziemski Pies – bóg ziemi

Deanagha Brązowooka – bogini hernystirska, córka Rhynna

Diawen – wróżbitka

Earb, ród – hernystirski klan

Eoin-ec-Cluias – legendarny hernystirski harfiarz

Eolair – hrabia Nad Mullach

Feurgha – kobieta hernystirska, niewolnica Fengbalda

Frethis z Cuimhne – hernystirski uczony

Gullaighn – zbiegły Tancerz Ognia

Gwynna – kuzynka Eolaira i kasztelanka

Gwythinn – brat Maegwin, syn Llutha

Hern – założyciel Hernystiru

Inahwen – trzecia żona Llutha

Lach, ród – hernystirski klan

Lluth – król, ojciec Maegwin i Gwythinna

Llythinn – król, ojciec Llutha, wuj Ebekah, żony Johna

Maegwin – księżniczka, córka Llutha

Mathan – bogini ogniska domowego, żona Murhagha Jednorękiego

Mircha – bogini deszczu, żona Bryniocha

Murhagh Jednoręki – bóg wojny, mąż Mathan

Penemhwye – matka Maegwin, pierwsza żona Llutha

Rhynn – bóg

Siadreth – syn Caihwye

Sinnah – hernystirski książę, także znany jako „Czerwony Lis”

Tethtain – były pan Hayholt, „Święty Król”

Rimmersmeni

Dror – bóg burzy

Dypnir – jeden z członków grupy Ulego

Einskaldir – żołnierz Isgrimnura, zabity w lesie

Elvrit – pierwszy król Osten Ard pochodzenia rimmersgardzkiego

Fingil Krwawa Pięść – pierwszy pan Hayholt pochodzenia ludzkiego

Frekke Siwowłosy – żołnierz Isgrimnura, zabity w Naglimundzie

Gutrun – księżna, żona Isgrimnura

Hengfisk – mnich zakonu Hoderundianów, podczaszy Eliasa

Hjeldin – syn Fingila, „Szalony Król”

Ikferdig – trzeci władca Hayholt, „Spalony Król”

Isgrimnur – książę Elvritshalli, mąż Gutrun

Isorn – syn Isgrimnura i Gutrun

Jarnauga – członek Ligi Pergaminu

Nisse – (Nisses) autor *Du Svardenvyrd*

Skali – tan Kaldskryke, zwany „Ostronosym”

Sludig – żołnierz Isgrimnura

Trestolt – ojciec Jarnaugi

Ule syn Frekkego – przywódca zbuntowanych Rimmersmenów

Nabbańczycy

Aspitis Preves – hrabia Driny i Eadne

Benigaris – książę Nabbanu, syn Leobardisa i Nessalanty

Benidrivis – pierwszy książę za panowania Johna, ojciec Camarisa i Leobardisa

Brindalles – brat Seriddana

Camaris-sa-Vinitta, sir – najznakomitszy rycerz Johna, znany jako „Camaris Benidrivis”

Dinivan – członek Ligi Pergaminu, sekretarz Lektora Ranessina, zabity w Sancellan Aedonitis

Domitis – biskup katedry świętego Sutrina w Erchesterze

Eneppa – kucharka w domu Metessów, niegdyś zwana „Fuiri”

Elysia – matka Usiresa Aedona, zwana „Matką Bożą”

Fluiren, sir – rycerz z rodu Sulianów, członek Wielkiego Stołu Johna

Gavanaxes – rycerz z rodu Clavenów, którego giermkiem był Camaris

Hylissa – matka Miriamele, żona Eliasa, zabita przez Thrithingów

Lavennin, święty – patron wyspy Spenit

Leobardis – książę Nabbanu, zabity w Naglimundzie

Metessów Ród – ród nabbańskich szlachciców, w herbie błękitny żuraw

Munshazou – służąca Pryratesa z Naraxi

Nessalanta – księżna, matka Benigarisa

Nuanni (Nuannis) – nabbański starożytny bóg oceanu

Pasevalles – młody syn Brindallesa

Pelippa, święta – zwana „Pelippą z Wyspy”

Plesinnen Myrmenis – dawny uczony

Pryrates – duchowny, alchemik, czarnoksiężnik, doradca Eliasa

Ranessin – Lektor Matki Kościół, zabity w Sancellan Aedonitis

Rhiappa, święta – w Erkynlandzie zwana „Rhiap”

Seriddan, baron – lord Metessy, także znany jako „Seriddan Metessis”

Sulis, lord – nabbański szlachcic, były pan Hayholt, „Król Czapla”, także znany jako „Apostata”

Thures – młody paź Aspitisa

Usires Aedon – Syn Boży w religii aedonickiej

Varellan – najmłodszy syn Leobardisa i Nessalanty, brat Benigarisa

Velligis – Lektor Matki Kościół

Xannasavin – nadworny astrolog Nabbanu

Yistrin, święty – święty patron dnia urodzin Simona

Sithowie

Aditu (no-Sa’onserei) – córka Likimeyi i Shima’onari; siostra Jirikiego

Amerasu y-Senditu no’e-Sa’onserei – matka Inelukiego, zabita w Jao e-Tinukai’i, zwana „Pierwszą Babką”, także znana jako: „Amerasu Urodzona na Statku”

Benayha – sławny poeta i wojownik sithijski

Briseyu Puchowe Pióro – matka Likimeyi, żona Hakatriego

Cheka’iso – zwana „Bursztynowe Loki”, z klanu Sithów

Chiya – z klanu Sithów, kiedyś mieszkanka Asu’a

Dom Kontemplacji – ród sithijski

Dom Tańczącego Roku – ród sithijski

Dom Zgromadzeń – ród sithijski

Drukhi – syn Utuk’ku i Ekimeniso, mąż Nenais’u

Hakatri – syn Amerasu, zaginął na Zachodzie

Ineluki – syn Amerasu, zabity w Asu’a, obecnie Król Burz

Initri – mąż Jenjiyany

Jenjiyana – żona Initriego, matka Nenais’u, zwana „Słowikiem”

Jiriki (i-Sa’onserei) – syn Likimeyi i Shima’onari, brat Aditu

Kendhraja’aro – wuj Jirikiego i Aditu

Kira’athu – sithijska uzdrowicielka

Kuroyi – nazywany „wysokim jeźdźcem”, pan Wielkiego Anvi’janya, przywódca sithijskiego klanu

Likimeya (y-Briseyu no’e-Sa’onserei) – matka Jirikiego i Aditu, zwana „Likimeya Księżycowe Oczy”

Mezumiiru – kochanka księżyca w sithijskiej legendzie

Senditu – matka Amerasu

Shi’iki – ojciec Amerasu

Shima’onari – ojciec Aditu i Jirikiego, zabity w Jao e-Tinukai’i

Vindaomeyo – Sitha z Tumet’ai znany ze strzał, które robił

Yizashi Szara Włócznia – przywódca sithijskiego klanu

Zinjadu – zwana „Kochanką Wiedzy”

Trolle Qanuc

Binabik (Binbiniqegabenik) – członek Ligi Pergaminu, Ten, Który Śpiewa w plemieniu Qanuc, przyjaciel Simona

Chukku – legendarny bohater trolli

Kikkasut – legendarny król ptaków

Nimsuk – pasterz Qanuc, jeden z żołnierzy Sisqi

Nunuuika – Łowczyni

Ookequk – członek Ligi Pergaminu, mistrz Binabika

Qinkipa – bogini śniegów

Sedda – bogini księżyca

Sisqi (Sisqinanamook) – córka Pasterza i Łowczyni, narzeczona Binabika

Snenneq – pierwszy pasterz Chugik

Uammannaq – Pasterz

Thrithingowie

Fikolmij – ojciec Vorzhevy, tan klanu Mehrdon

Hotvig – wojownik z plemienia Wielkich Thrithingów, później żołnierz Josui

Lezhdraka – najemny wódz Thrithingów

Ozhbern – wojownik z plemienia Wielkich Thrithingów

Ulgart – najemny kapitan Thrithingów z Łąk

Vorzheva – żona Josui, córka Fikolmija

Perdruińczycy

Charystra – właścicielka „Pucharu Pelippy”

Lenti – sługa Streave’a, zwany „Avi Stetto”

Streawe, hrabia – pan Perdruin

Tallistro, sir – sławny rycerz Wielkiego Stołu Johna

Xorastra – członek Ligi Pergaminu, poprzednia właścicielka gospody „Puchar Pelippy”

Wrańczycy

Buayeg – właściciel „chaty ducha” (wrańska legenda)

Ci, Którzy Oddychają Ciemnością – bogowie

Ci, Którzy Patrzą i Rządzą – bogowie

Inihe Czerwony Kwiat – kobieta z piosenki Tiamaka

Młodszy Mogahib – Wrańczyk z Wioski Tiamaka

Nuobdig – Mąż Siostry Ognia w legendzie wrańskiej

Rimihe – siostra Tiamaka

Shoaneg Szybkie Wiosło – mężczyzna z piosenki Tiamaka

Ta, Która Czeka, By Wszystko Zabrać – bogini śmierci

Ta, Która Zrodziła Ludzkość – bogini

Ten, Który Zawsze Kroczy Po Piasku – bóg

Ten, Który Zgina Drzewa – bóg wiatru

Tiamak – członek Ligi Pergaminu, zielarz

Tugumak – ojciec Tiamaka

Twiyah – siostra Tiamaka

Nornowie

Akhenabi – mówca w Naglimundzie

Ekimeniso Czarne Drzewce – mąż Utuk’ku, ojciec Drukhi

Mezhumeyru – imię Nornów dla Mezumiiru

Urodzony-Pod-Kamieniem-Tzaaihta – Szpon Utuk’ku

Utuk’ku Seyt-Hamakha – Królowa Nornów, pani Nakkigi

Wzywana-Przez-Głosy – Szpon Utuk’ku

Żyła-Srebrzystego-Ognia – Szpon Utuk’ku

Inni

Derra – dziecko pochodzące częściowo z plemienia Thrithingów

Deornoth – pochodzący częściowo z plemienia Thrithingów

Gan Itai – Niska z *Chmury Eadne*

Geloë – mądra kobieta, nazywana „*valada* Geloë”

Imai-an – karlak

Ingen Jegger – Czarny Rimmersman, łowczy Utuk’ku, zabity w Jao e-Tinukai’i

Injar – klan Nisków zamieszkujący wyspę Risa

Nin Reisu – Niska z Klejnotu Emettina

Ruyan Ve – patriarcha Tinukeda’ya, zwany „Żeglarzem”

Sho-vennae – karlak

Veng’a Sutekh – zwany „Księciem Czarnego Wiatru”, jeden z Czerwonej Dłoni

Yis-fidri – karlak, mąż Yis-hadry, pan Komnaty Wiedzy

Yis-hadra – karlak, żona Yis-fidri, pani Komnaty Wiedzy

Miejsca

Anvi’janya – miejsce zamieszkania Kuroyi, także znane jako „Ukryta” albo „Wielka” Anvi’janya.

Ballacym – miasto na obrzeżach Hernysadharc

Bradach Tor – wysoki szczyt w górach Grianspog

Bregshame – małe miasteczko przy Rzecznym Trakcie między Stanshire i Falshire

Cathyn Dair, nad Srebrzystym Morzem – hernystirskie miasto z piosenki Miriamele

Chasu Yarinna – miasto wybudowane wokół twierdzy, na północny wschód od przełęczy Onestrine

Dolina Frasilis – dolina na wschód od przełęczy Onestrine

Dolina Hasu – dolina w Erkynlandzie

Dom Wód – budynek na *Sesuad’ra*

Dom Rozstania – sithijski budynek na *Sesuad’ra*, później siedziba dworu na wygnaniu Josui

Elvritshalla – książęca siedziba Isgrimnura w Rimmersgardzie

Falshire – miasto zajmujące się głównie handlem wełną, zniszczone przez Fengbalda

Fiadhcoille – las na południowy wschód od Nad Mullach, także znany jako „Jeleni Bór”

Garwynswold – małe miasto przy Rzecznym Trakcie między Stanshire i Falshire

Góra Den Haloi – góra z *Księgi Aedona*, na której Bóg stworzył świat

Gratuvask – rzeka w Rimmersgardzie, przepływa w pobliżu Elvritshalli

Grenamman – wyspa w zatoce Firannos

Harcha – wyspa w zatoce Firannos

Hekhasor – byłe terytorium Sithów

Jaskinia Si’injan’dre – miejsce uwięzienia Drukhiego po śmierci Nenais’u

Jaskinia Tortur – miejsce, w którym przygotowują się Szpony Utuk’ku

Khandia – zaginiony baśniowy ląd

Kiga’rasku – wodospad pod Burzową Górą, zwany „Wodospadem Łez”

Komnata Pięciu Schodów – komnata w Asu’a, w której zmarł Briseyu

Laguna Chamul – miejsce w Kwanitupulu

M’yin Azoshai – sithijska nazwa Wzgórza Herna

Maa’sha – byłe górzyste terytorium Sithów

Mezutu’a – Srebrzysty Dom, opuszczone miasto Sithów i karlaków pod Grianspog

Naraxi – wyspa w zatoce Firannos

Obserwatorium – budynek z kopułą na *Sesuad’ra*

Ogród Ognia – wyłożona płytami otwarta przestrzeń na *Sesuad’ra*

Peja’ura – była, porośnięta lasem siedziba Sithów, zwana „odziana w cedry”

Przełęcz Onestrine – przełęcz między dwoma dolinami w Nabbanie, miejsce wielu bitew

Risa – wyspa w zatoce Firannos

Shisae’ron – rozległa dolina, niegdyś terytorium Sithów

Spenit – wyspa w zatoce Firannos

Torfowe Nadbrzeże – dok w Kwanitupulu

Trakt Bloków – droga w Stanshire

Trakt Drewniany – ważniejsza droga w Stanshire

Trakt Taig – droga prowadząca przez Hernysadharc, znana także jako „Droga Tethtaina”

Venyha Do’sae – pierwszy dom Sithów, Nornów, Tinukeda’ya, zwany „Ogrodem”

Vinitta – wyspa w zatoce Firannos

Wealdhelm – łańcuch wzgórz w Erkynlandzie

Ya Mologi – (Wzgórze Kołyski) najwyższy punkt Wranu, legendarne miejsce stworzenia

Yakh Huyeru – (Drżąca Komnata) jaskinia pod Burzową Górą.

Yasira – święte miejsce zgromadzeń Sithów

Zwierzęta

Bukkeny – imię nadane kopaczom przez Rimmersmenów

Drochnathair – hernystirskie imię nadane smokowi Hidohebhi, zabitemu przez Inelukiego i Hakatri

Ghanty – stworzenia zamieszkujące Wran

Huneny – nazwa olbrzymów nadana przez Rimmersmenów

Igjarjuk – lodowy smok na Urmsheim

Kilpa – morskie stworzenia podobne do ludzi

Kopacze – małe, podobne do ludzi podziemne stworzenia

Kot – szary, bliżej nieznany czworonóg

Nadzieja – klacz Simona

Niku’a – największy ogar Ingena Jeggera, wychowany w psiarni Burzowej Góry

Olbrzymy – ogromne, kudłate stworzenia podobne do ludzi

Oruki – legendarne morskie potwory

Qantaqa – wilczyca Binabika, jego przyjaciółka i wierzchowiec

Shurakai – ognisty smok zabity pod Hayholt, z którego kości powstał Smoczy Tron

Vildalix – koń Deornotha

Vinyafod – koń Josui

Wodne Potwory – legendarne potwory morskie

Rzeczy

A-Genay’asu – (Domy Podróżowania Poza) miejsca o tajemniczej mocy i znaczeniu

Aedontide – okres, w którym czci się narodziny Usiresa Aedona

Badulf i Zabłąkana Jałówka – piosenka, którą Simon próbuje zaśpiewać Miriamele

Berło Wielkiego Króla – zakres opieki Wielkiego Króla nad krajami Osten Ard

Biały Gwóźdź – miecz Prestera Johna, wcześniej zwany „Minneyarem”, zawiera gwóźdź ze Świętego Drzewa i kość palca świętego Eahlstana

Biskupi Wóz – piosenka Jacka Mundwode

Bitwa nad Jeziorem Cladu – bitwa, którą John stoczył z Thrithingami, nazywana także „Bitwą w Krainie Jezior”

Cellian – róg Camarisa zrobiony z zęba smoka Hidohebhi

Cierń – czarny miecz Camarisa wykonany z gwiezdnego kamienia

Cockindrill – północny odpowiednik słowa „krokodyl”

Cukrowiec – drzewo rosnące we Wranie

Cytryl – aromatyczny korzeń do żucia sprowadzany z Południa

Czerep – Wielki Świadek w Mezutu’a

Czerwony Ostrodziób – ptak z Wranu

Dobry Wieśniak – postać z przypowieści w *Księdze Aedona*

Drzewo – („Święte Drzewo” albo „Drzewo Egzekucji”) symbol stracenia Usiresa Aedona

Drzwi Odkupiciela – tajemnica spowiedzi

Du Svardenvyrd – prawie mityczna profetyczna księga Nissesa

Dzień Sądu – dzień ostatecznego sądu, w który wierzą Aedonici

Dzień świętego Granisa – święto

Dzik i Włócznie – herb Guthwulfa z Utanyeat

Gwiazda Zdobywcy – kometa, złowieszcza gwiazda

Hala Targowa – budynek zwieńczony kopułą w centrum Kwanitupulu

Homar – konstelacja w Nabbanie

Indreju – miecz Jirikiego wykonany z magicznego drewna

Juya’ha – obrazy Sithów powstałe ze splatanych ze sobą wstęg

Katedra świętego Rhiappy – katedra w Kwanitupulu

Kei-vishaa – substancja używana przez Urodzonych w Ogrodzie do osłabiania i usypiania wrogów

„Klin i Żuk” – gospoda w Stanshire

Kobieta z Nabbanu – tytuł jednej z piosenek Sangfugola

Kocioł Rhynna – kocioł, w który uderzano, wzywając do walki w Hernystirze

Króliczy Nos – grzyb

Kvalnir – miecz Isgrimnura

Lampa Mgieł – Świadek, przyniesiona z Tumet’ai przez Amerasu

Mansa Nictalis – ceremonia Nocy obchodzona przez Matkę Kościół

Mixis Wilk – konstelacja w Nabbanie

Mówiący Ogień – Wielki Świadek w Hikehikayo

Nad Brzegiem Greenwade – pieśń śpiewana w Noc Ognisk na *Sesuad’ra*

Najstarsze Drzewo – magiczne drzewo, które rosło w Asu’a

Niezbadany – przysięga Nisków

Niepewność – zaklęcie Nornów

Obrzęd Przyspieszenia – ceremonia trolli związana z początkiem wiosny

Ocean Wieczny i Nieskończony – nazwa nadana przez Nisków oceanowi, który przebyli Urodzeni w Ogrodzie

Oddychająca Harfa – Wielki Świadek w Burzowej Górze

Ognik Frayji – zimowy kwiat w Erkynlandzie

Pakt Sesuad’ra – umowa, na mocy której Sithowie i Nornowie rozdzielili się

Piaskowy Żuk – wrańska nazwa konstelacji

Pięćdziesiąt Rodzin – szlacheckie rody w Nabbanie

Płaczący Kamień – dolmen nad Doliną Hasu

Pływający zamek – słynny pomnik na wyspie Warinsten

Pochwyć Piórko – gra wrańska

Prise’a – „Wiecznie-zielony”, ulubiony kwiat Sithów

Przysięga Żeglarza – przysięga składana przez Nisków, którzy zobowiązują się bronić statku za wszelką cenę

Rhao iye-Sama'an – Wielki Świadek na *Sesuad'ra*, zwany także „Okiem Ziemnego Smoka"

Serce Nocy – sithijska nazwa gwiazdy

Shent – towarzyska strategiczna gra Sithów

Skrzydlaty Delfin – herb Streawe'a z Perdruin

Skrzydlaty Żuk – konstelacja w Nabbanie

Smocze Lustro – hernystirska nazwa pewnych starych luster

Smutek – miecz Eliasa, podarunek od Inelukiego, Króla Burz

Sokół – konstelacja w Nabbanie

Srebrnik – kwiat o właściwościach zioła

Staw Trzech Głębin – Wielki Świadek w Asu'a

Szare Wybrzeże – część planszy gry shent

Szary Kapelusz – grzyb

Sztuka Cieni – magia Nornów

Szybkoziele – wrańskie ziele

Śnieżnik – erkynlandzki kwiat zimowy

Święto Wiatru – święto wrańskie

„Tarbox" – gospoda w Falshire

Ten, Który Uciekł – aedonickie określenie Diabła

Ti-tuno – róg Camarisa wykonany ze smoczego zęba, znany też jako „Cellian"

Topór Tethtaina – topór zatopiony w sercu brzozy według znanej hernystirskiej opowieści

Tron Yuvenisa – konstelacja w Nabbanie

Urodzeni w Ogrodzie – wszyscy, którzy pochodzą z Venyha Do'sae

Wąż – konstelacja w Nabbanie

Wiciowiec – roślina wrańska

Wielki Stół – zgromadzenie rycerzy i bohaterów na dworze Johna

Wielka Kolumna – Wielki Świadek w Jhina Y'senei

Wielkie Miecze – Biały Gwóźdź, Smutek i Cierń

Wigilia Orki – 30 Octander, dzień poprzedzający „Dzień Dusz"

Wino Myśliwych – trunek trolli

Wirujące Koło – erkynlandzka nazwa konstelacji

Yrmansol – drzewo obchodów Maia w Erkynlandzie

Zając – konstelacja w Erkynlandzie

Zgromadzenie Anitulles – słynne zgromadzenie wojsk w czasach Złotego Wieku Nabbanu

Zimorodek – konstelacja w Nabbanie

Żółty Druciarz – wrańska roślina

Kości – służą Binabikowi do wróżenia:

Bezskrzydły Ptak

Rybia Włócznia

Ścieżka Cieni

Pochodnia u Wejścia do Jaskini

Krnąbrny Baran

Chmury na Przełęczy

Czarna Szczelina

Niezawinięta Strzała

Kamienny Krąg

Słowa i wyrażenia

Qanuc

Henimaatuq! Ea kup! – Ukochany przyjacielu! Jesteś tutaj!

Inij koku na siqqasa min taq – Będę rad, kiedy się znowu zobaczymy.

Iq ta randayhet suk biqahuc – Zimą nikt nie kąpie się nago.

Mindunob inik yat – Mój dom stanie się twoim grobowcem.

Nenit, henimaatuya – Chodźcie, przyjaciele.

Nihut – Atakuj!

Shummuk – Zaczekaj!

Ummu Bok – Dobra robota!

Sithijskie

A y'ei g'eisu! Yas'a pripurna jo-shoi! – Wy tchórze! Nawet fale by was nie uniosły!

A-Genay'asu – Domy Podróżowania Poza

Hikeda'ya – Dzieci Chmury: Nornowie

Hikka Staja – Ten, Który Nosi Strzały

Hikka Ti-tuno – Ten, Który Nosi Ti-tuno

M'yon rashi – Niszczyciele

Sinya'a du-n'sha e-d'treyesa inro – Obyś znalazł światło, które świeci nad łukiem

Sudhoda'ya – Dzieci Zachodzącego Słońca: śmiertelnicy

Sumy'asu – Piąty Dom

Tinukeda'ya – Dzieci Oceanu: Niskowie i karlaki

Venyha s'ahn! – Na Ogród!

Zida'ya – Dzieci Świtu: Sithowie

Nabbańskie

a prenteiz – Bierzcie go! Na niego!

Duos preterate! – Niech Bóg chroni!

Em Wulstes Duos – Zgodnie z wolą Boga

Matra sa Duos – Matka Boża

Otillenaes – Narzędzia

Soria – Siostra

Ulimor Camaris? Veveis? – Lord Camaris? Ty żyjesz?

Hernystirskie

Goirach cilagh! – Głupia dziewucha!

Moiheneg – pomiędzy albo puste miejsce

Smearech fleann – niebezpieczna książka

Rimmerspakk

Vad es... Uf nammen Hott, vad es...? – Co? W imię Boga, co?

Inne

Azha she'she t'chako, urun she'she bhabekro... Mudhul samat'ai. Jabbak s'era memekeza sanayha-z'a... Nineyk she'she, hamut 'tke agrazh'a s'era ye... – (pieśń Nornów) znaczy Coś Bardzo Nieprzyjemnego

Shu'do-tkzayha! – (Nornowie) śmiertelnicy

S'h'rosa – (Karlaki) Żyła kamienia

Tytuł oryginału: *To Green Angel Tower. Volume 1 (The Waiting Stone, The Winding Road)*

Copyright © 1993 by Tad Williams
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Mapy: Tad Williams

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Wieża Zielonego Anioła część 1, wyd. I w tej edycji, dodruk, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-911-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com